

I. CHRZANOWSKI

Historia literatury
niepodległej Polski.



821.1621(0'91)

SN 12690

LITERATURA

WYDAWNICTWO

1930

Wyd. 1000

OD WYDAWCÓW

Niniejsze wydanie *Historji literatury niepodległej Polski* jest (nie licząc wydań, które się w roku 1916 ukazało w Kijowie nakładem Rady Zjednoczonych Polskich Organizacyj Pomocy Ofiarom Wojny w Moskwie) wydanem dziesiątem: pierwsze wyszło w roku 1908, drugie — 1908, trzecie — 1909, czwarte — 1911, piąte — 1914, szóste — 1916, siódme — 1918, ósme — 1920, dziewiąte — 1923. Do niektórych wydań autor nie wprowadzał żadnych zmian i oznaczał je na okładce cyframi wydań poprzednich. Ogólna liczba wysokości nakładu (nie licząc wydania kijowskiego i niniejszego) wynosi 130.000.

W wydaniu niniejszem, poprawionem i znacznie uzupełnionem, autor stosownie do życzenia wydawców, pominął — poza urywkami, wplecionem w tekst — wypisy z tych utworów, które, jego zdaniem, wszystkim wogół miłośnikom literatury staropolskiej powinny być znane w całości. Są to mianowicie: *Odprawa posłów greckich*, *Pieśni i Treny Kochanowskiego*; *Szarym sejmowe Skargi*; *Pamiętniki Paska*; *Satyry i Mikołaja Doświadczeńskiego*; *Przypadki Krasickiego*; *Pamiętniki Karpńskiego*; *Powrót pastora Cewicza*.

Warszawa, dnia 3 maja r. 1930.

dosłownie trzynaście
quattuor — cztery;
historja literatury polskiej

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU

Str.	w.	20	zam. znając	pow. być	znajdując
»	53	»	» przytomności	»	» potomość
»	61	»	» ale są	»	» są jednak
»	81	»	» lecz jednocześnie	»	» ale jednak
»	116	»	» nazywa	»	» zaczyna
»	139	»	» Górnicki;	»	» Górnicki
»	167	»	» Monomachji	»	» Monachon
»	169	»	» Glissna	»	» Ulissesa
»	177	»	» Minicjusza	»	» Minucjusz
»	187	»	» grosze	»	» gorsze
»	189	»	» dawny	»	» tak zwany
»	193	»	» mniej	»	» niemniej
»	207	»	» Anzonjusz	»	» Auzonjusz
»	217	»	» 63	»	» 64
»	224	»	» Chyustusowego	»	» Chrystusowego
»	228	»	» wołałbych	»	» wołałbych
»	229	»	» Kochanowskiego	»	» Kochowskiego
»	232	»	» ogłoszoną	»	» ogłoszono
»	235	»	» całemu	»	» całego
»	236	»	» piarze	»	» pisarze
»	237	»	» Kochanowskiego	»	» Kochowskiego
»	243	»	» Jana	»	» Janasa
»	245	»	» przyczyni	»	» przyczyni
»	247	»	» majtkownie	»	» majtkowie
»	267	»	» uczuciowa	»	» uczuciową
»	270	»	» zły, mając	»	» zły mając
»	272	»	» Polymnija	»	» Bohymnija
»	287	»	» natationum	»	» notationum
»	294	»	» widzą	»	» wiedzą
»	330	»	» snuta	»	» osnuta
»	384	»	» ogony	»	» gony
»	387	»	» pałsterza	»	» pałsterza
»	433	»	» sposób	»	» sposób
»	433	»	» 102	»	» 103
»	433	»	» jedynie	»	» jedyne
»	467	»	» śmierci	»	» śmierć
»	467	»	» 120	»	» 121
»	467	»	» moralności	»	» niemoralności
»	467	»	» dzikość»	»	» «dzikość»
»	467	»	» nie	»	» nic nie
»	470	»	» potwórnego	»	» powtórnego
»	484	»	» cierpał	»	» cierpiął
»	541	»	» La Chaussé	»	» La Chaussée
»	609	»	» Oto jeszcze	»	» Oto jeszcze:
»	615	»	» tyłu	»	» stylu
»	620	»	» czucie i skąd	»	» czucie, skąd
»	629	»	» przeszkodziła jednak	»	» przeszkodziła
»	635	»	» demokracij	»	» demokracji
»	636	»	» lepszym	»	» najlepszym
»	665	»	» przedmiotach	»	» przedmiotach
»	666	»	» odbioru	»	» odbioru
»	667	»	» powinność	»	» powinność
»	667	»	» dobroczyności	»	» dobroczynności

HISTORIA LITERATURY NIEPODLEGŁEJ POLSKI (965—1795)

LITERATURA ŚREDNIOWIECZNA

ROZDZIAŁ I

Od przyjęcia chrześcijaństwa aż do wieku XV

Początki literatury

1. Dwa były wielkie ogniska cywilizacji w Europie średniowiecznej: na Wschodzie — Bizancjum, które karmiło się resztkami kultury starożytnych Greków, na Zachodzie — Rzym, który odziedziczył cywilizację po starożytnych Rzymianach. Dwa te ogniska, początkowo połączone jednością Kościoła, z biegiem czasu coraz więcej oddalały się od siebie, kiedy zaś w połowie XI wieku nastąpiło zerwanie jedności kościelnej, odosobniły się niemal zupełnie. A stąd i cała Europa rozpadła się na dwa światy: bizantyjski i rzymski, wschodni i zachodni; w pierwszym cywilizacja rozwijała się bardzo powoli, drugi kroczył szybko naprzód; w pierwszym największą potęgą była władza świecka (cesarza bizantyjskiego), w drugim — władza duchowna (papię rzymskiego).

Z narodów słowiańskich Bułgarja, Serbja i Ruś przyjęły wiarę chrześcijańską od Kościoła wschodniego i tym sposobem wzrastały pod wpływem cywilizacji bizantyjskiej. Polska tymczasem, podobnie jak Czechy, przyjęła wiarę chrześcijańską od Kościoła zachodniego i tym sposobem dostała się pod wpływ wielkiej cywilizacji rzymskiej, to jest narodów germańskich i rromańskich, mianowicie: Niemców, Włochów i Francuzów.

Wraz z chrześcijaństwem zaczęła napływać do Polski oświata za d-nia; jej głównym źródłem były szkoły, które zakładano przy kościołach katedralnych (szkoły katedralne) i po klasztorach (szkoły klasztorne).

Uczono w nich t. zw. «siedmiu sztuk wyzwolonych» (*septem artes liberales*), a mianowicie: 1) gramatyki łacińskiej; 2) dialektyki (t. j. nauki rozumowania i umiejętności rozmowy o przedmiotach naukowych); 3) retoryki (t. j. umiejętności pisania listów i wygłaszania mów). Te trzy nauki stanowiły kurs niższy, zwany *trivium*¹. Na kurs wyższy, zwany *quadrivium*², składały się dalsze «sztuki wyzwolone», a mianowicie: 4) muzyka

¹ dosłownie trzydroże (*tres* — trzy; *via* — droga).

² dosłownie czterodroże (*quattuor* — cztery; *via* — droga).

(t. j. głównie nauka śpiewu kościelnego); 5) arytmetyka; 6) geometria (t. j. geografja, kosmografja i historia naturalna) i 7) astronomja (t. j. głównie nauka o kalendarzu). Dopiero po ukończeniu *trivium* i *quadrivium* uczeń przystępował do najważniejszej w wiekach średnich nauki, do «królowej nauk» — teologii. Nauka szkolna polegała przeważnie na kuciu na pamięć, zwykle z podręczników wierszowanych. Językiem wykładowym był język łaciński. Kto, wstępując do szkoły, nic nie umiał i nie rozumiał po łacinie, ten musiał najprzód nauczyć się na pamięć pacierza i kilku psalmów, a potem uczono go pisać, czytać i śpiewać po łacinie; na tem kończyła się w wiekach średnich nauka elementarna (dla której, począwszy od wieku XIII, zakładano osobne szkoły niższe, czyli t. zw. parafjalne).

Nauczycielami w szkołach byli wyłącznie księża. Ponieważ jedynym celem szkół było przygotowanie ucznia do stanu duchownego, więc uczyli się w nich prawie wyłącznie ci, którzy mieli zamiar zostać księżmi. Tym sposobem ludźmi wykształconymi w pierwotnej Polsce byli tylko księża, oni więc jedynie mogli stworzyć literaturę.

Wprawdzie już w epoce przedchrześcijańskiej posiadał niewątpliwie naród polski rodzimą poezję ludową, a to pod postacią podań i pieśni, przysłów i zagadek, ale była to literatura usna (bo sztuki pisania nie znano u nas przed przyjęciem chrześcijaństwa) i, nie utrwalona zapomocą pisma, zaginęła, tem więcej, że duchowienstwo tępiło ją, jako zabytek pogaństwa. Natomiast stworzyło inną literaturę — pisaną, nie świecką, tylko kościelną, nie polską, tylko łacińską, język bowiem polski nie był jeszcze dostatecznie wyrobiony. Wogóle trzeba wiedzieć, że w całej Europie średniowiecznej posługiwano się w literaturze językiem łacińskim, jako językiem Kościoła katolickiego: po łacinie pisano i dzieła historyczne, i naukowe, i wiersze, a językami narodowymi przez długi czas gardzono. Otóż tak samo było i w Polsce: literatura nasza rozpoczyna się od literatury łacińskiej, która ze względu na to, że autorami są Polacy, nazywa się polsko-łacińską. Ma ona charakter kościelny, ponieważ autorami są wyłącznie księża; przed wiekiem XV jest bardzo uboga, ponieważ oświata rozpowszechniała się bardzo powoli: ciągłe wojny, zaburzenia wewnętrzne (zwłaszcza po śmierci Bolesława Chrobrego), rozbiecie Polski na księstwa udzielne (po śmierci Bolesława Krzywoustego), napady Tatarów (począwszy od wieku XIII) — wszystko to utrudniało rozwój oświaty, a zatem i literatury. Nadto krzewicielami oświaty byli u nas początkowo głównie cudzoziemcy: pierwszy uczony Polak (Wincenty Kadłubek) ukazuje się dopiero przy końcu wieku XII; w wieku XIII wprawdzie nie brakło już oświeconych księży-Polaków, ale w temże stuleciu rozpoczęła się na wielką skalę kolonizacja niemiecka, która sprawiła, że miasta polskie stawały się niemieckimi do tego stopnia, iż nawet na ulicach Krakowa prawie nie było słyhać mowy polskiej; niemieczyzna wtargnęła do kościołów miejskich, gdzie kazania wygłaszano po niemiecku, i do szkół, w których nauczycielami byli Niemcy. I w wieku XIV jeszcze, pomimo że się Polska, dzięki Łokietkowi i Kazimierzowi Wielkiemu, stawała coraz potężniejsza, germanizacja miast polskich nie ustawała; poczucie narodowe obudziło się dopiero w wieku XV, dzięki świetnemu zwycięstwu nad Niemcami — pod Grunwaldem; teraz dopiero zniemczale miasta polskie stają się szybko napowrót polskimi. Ale wpływu niemieckiego już nie nie zdołało zatrzeć: do dziś dnia w języku polskim są liczne wyrazy niemieckie, np. *wójt, sołtys, burmistrz, hebel, waga, szacunek, kierunek* i t. d.

2. Początki literatury łacińskiej w Polsce przypadają już na koniec X wieku; są to tak zwane **Roczniki**, to jest krótkie i luźne notatki o wypadkach historycznych, zapisywane na kartach pergaminowych przez księży, zwłaszcza przez zakonników, np.: «965. Dobrawka przybywa do Mieszka. 966. Mieszko, książę polski, chrzci się». Lecz najdawniejsze roczniki zaginęły; a zresztą autorami ich byli z początku nie Polacy, tylko cudzoziemcy.

Cudzoziemcowi także zawdzięcza Polska pierwszą swoją kronikę. Jej autorem jest nieznaną nam ani z imienia, ani z nazwiska zakonnik, którego niesłusznie nazwano **Gallusem**, myśląc, że to Francuz. Ale mu nazwa już została. W istocie był to nie Francuz, tylko, według wszelkiego prawdopodobieństwa, Węgier, który w końcu XI, czy też na początku XII wieku osiedlił się w Polsce. Otóż ten Węgier, nie chcąc, jak się pięknie wyraził, «darmo pożywać chleba polskiego», napisał kronikę, w której króciutko opowiedział dzieje swej przybranej ojczyzny, od Popiela aż do końca panowania Władysława Hermana, bardzo szczegółowo zało opisał życie i rządy Bolesława Krzywoustego aż do roku 1113, najwięcej uwagi poświęcając znakomitym wojnom tego walecznego księcia, którego nazywa «synem Marsa». Ponieważ Gallus był człowiekiem prawdomównym i posiadał odwagę cywilną, więc jego kronika, pomimo że nieraz w zbyt pochlebnym świetle wystawia dzieje Polski, zwłaszcza panowanie Bolesława Krzywoustego, jest dla historyka prawdziwym skarbem, jako bardzo poważne źródło do dziejów starożytnej Polski.

Pierwszym autorem Polakiem, i to autorem znakomitym, jest **Wincenty Kadłubek**, który urodził się w ziemi sandomierskiej w drugiej połowie XII w., a który w XIII w., za panowania Leszka Białego, był biskupem krakowskim, pięć zaś ostatnich lat życia przepędził w klasztorze (um. r. 1223). Był to człowiek wielce uczony (kształcił się we Francji); to też Kazimierz Sprawiedliwy, dbał o oświatę i wychowanie młodzieży, polecił mu napisać dzieje Polski, o czym świadczy sam Kadłubek w tych słowach: «Najdzielniejszy z królów..., chcąc przodków zacność zostawić potomności w puściźnie, włożył na mnie, piszącego kruchem jak trzcina piórem, na moje barki kartowane ciężar olbrzymi, w tem zapewne przekonaniu, że połysk złota i blask drogich kamieni tak samo nie blednieją od niewprawnych rąk rzemieślnika, jak nie czernieją gwiazdy, chociaż Etyjopi wskazują je strasznie czarnymi palcami». Z tego polecenia jednak wywiązał się Kadłubek dopiero w lat kilkanaście po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego, już w zaciszu klasztornej.

Kronika Kadłubka opowiada dzieje Polski od najdawniejszych czasów aż do początków XIII wieku; składa się z czterech ksiąg, z których tylko czwarta, poświęcona dziejom współczesnym autorowi, jest opowiadaniem ciągłym, trzy zaś pierwsze, o dziejach dawniejszych, mają postać rozmowy — pomiędzy Janem, arcybiskupem gnieźnieńskim, a Mateuszem, biskupem krakowskim. Nie zapomniął o tem Kadłubek, że Kazimierz Sprawiedliwy polecił mu przekazać potomności «zacność przodków»: opowiada więc, że ci przodkowie założyli państwo polskie jeszcze przed Narodzeniem Chrystusa i że wówczas już wstawili się cnotą i dzielnością, że prowadzili wojny z Aleksandrem Macedońskim, że jeden z książąt polskich poślubił siostrę Juljusza Cezara i t. d. Już to dzieje bajeczne wyklada Kadłubek bardzo szczegółowo, biorąc je nietylko z podań ludowych, ale i z własnej wyobraźni oraz... z historii narodów obcych. I wogóle jego kronika nie jest wiarogodna. Ale bo też chodziło mu nietylko o prawdę historyczną, ile o naukę młodzieży,

— 4 —

którą chciał uczyć mądrości, miłości ojczyzny i cnoty: dlatego ciągle a ciągle przerywa opowiadanie o dziejach polskiej, pouczającemi przykładami z historii narodów obcych, bajkami, krótkimi sentencjami, a nawet rozprawkami moralnemi, tak dalece, że czasem jego kronika wygląda na podręcznik do nauki nie historii, tylko moralności. A ponieważ Kadłubek był głęboko przekonany, że ten tylko może być moralny, kto we wszystkim słucha Kościoła katolickiego, więc zachęca czytelników do posłuszeństwa władzy kościelnej, twierdząc, że nawet panujący winien Kościołowi nietylko szacunek, ale i posłuszeństwo; przez to jego kronika jest doskonałym wyrazem tych czasów, kiedy w Polsce i całej Europie zachodniej władza i powaga duchowieństwa szybko wzrastała i miała większe znaczenie, niż władza świecka. To przywiązanie Kadłubka do Kościoła i uznanie dla jego władzy najlepiej uwydatnia się w opowiadaniu o zatargu Bolesława Śmiałego z biskupem krakowskim, Stanisławem Szczepanowskim: Gallus, który żył w czasach, kiedy władza Kościoła nie była jeszcze tak silna, przyznaje, że Bolesław, skazując biskupa na śmierć, popełnił «grzech», ale go nie potępia, owszem biskupa nazywa bez ogródki «zdrajcą» (mając to prawdopodobnie na myśli, że biskup należał do stronnictwa Władysława Hermana, które względem Bolesława występowało wrogo); Kadłubek tymczasem nietylko całą winę w zatargu księcia z biskupem składa na księcia, którego poczytuje za potwora z piekła rodem, ale opowiada jeszcze bajkę, jakoby książę własnoręcznie uśmiercił biskupa.

Kronika Kadłubka była u nas dziełem niezmiernie poczytnem, używano jej bowiem, jako podręcznika szkolnego, do nauki nietylko historii i moralności, ale także wymowy i pięknego stylu. Bo Kadłubek jest pisarzem bardzo wymownym i strasznie gadatliwym; wkłada np. w usta postaci historycznych szumne mowy, których się im nigdy nawet nie śniło wygłaszać, a które on wysłał sobie z palca; ze zdarzeń historycznych wyciąga sens moralny i szczegółowo go tłumaczy. A zawsze pisze w sposób tak kwiecisty i sztuczny, że dzisiaj jego styl wydaje się nam nienaturalnym, czasem nawet niejasnym; ale w owym czasie taka kwiecistość uchodziła za szczyt pięknego pisania. Wogóle ani jeden pisarz nie cieszył się u nas w wiekach średnich takim rozgłosem, jak Kadłubek. A i później jeszcze bardzo długo, bo aż do czasów Naruszewicza (w. XVIII), uchodził za wielką powagę.

***Zabójstwo świętego Stanisława.** Świętobliwy biskup krakowski Stanisław — opowiada Mateusz — gdy nie zdołał Bolesława od okrucieństw odwieść, zagroził mu najprzód upadkiem kraju, nareszcie dotknął go mieczem kłątwy. Lecz on, jak raz wszedł na złą drogę, już ciągle w coraz okropniejsze wpadał szaleństwo: boć łatwiej drzewo pogięte złamać, niż wyprostować. I oto od ołtarza, wśród nabożeństwa, nie bacząc ani na stan, ani na miejsce, ani na czas, rozkazuje porwać kapłana. Lecz ilekroć dzicy halabardnicy próbują wtargnąć, tylekroć, skruszeni, tylekroć obaleni na ziemię, łagodnieją. Tyran, lżąc ich niegodnie, sam ręce świętokradzkie nań nakłada, sam oblubieńca odrywa z łona oblubienicy, pasterza od owczarni, sam morduje ojca w uściskach córki, jakby syna we wnętrzościach matki. Co za żalodne, co za przeokropne widowisko śmierci! Człowieka świętego świecki, zbożnego bezbożny, biskupa świętokradca, niewinnego okrutnik na kawałki rozszarpał, poszczególne członki na najdrobniejsze rozsiekując części!... Całym zdre-

twiał, całym zmartwiał, włosy mu dęba stały; za ledwie myślą objąć, cóż dopiero językiem, cóż dopiero piórem wyrazić cuda, jakich Zbawiciel nad świętym dokonał!... Oto wisziano, jak z czterech stron świata przyleciały cztery orły, które, krążąc w powietrzu nad miejscem męczeństwa, odganiały sępy i inne żądne krwi ptaki od zwłok męczennika i pilnowały ich ze czcią, czuwając dzień i noc. Zresztą, czyż ta noc była nocą? Nazwałbym ją raczej dniem niż nocą. Była to bowiem tak niezwykła noc, o której mówi Pismo święte: «A noc jako dzień będzie oświecona». Tyle bowiem na różnych miejscach zajaśniało światel boskich, cudownie błyszczących, na ile cząstek rozprysło się święte ciało; samo niebo zdawało się zazdrościć ziemi jej krasę, jej chwały... Niektórzy ojcowie, ożywieni tym cudem niespodzianym i zapaleniem żarliwą pobożnością, porwą się, by zebrać rozproszone szczątki członków, lecz zbliżając się powolutku, patrzą, a ciało całe, bez najmniejszego śladu blizn: więc podnoszą je z ziemi, zabierają, namaszczają wonnemi olejkami i składają w mniejszej bazylice św. Michała... Po tem zdarzeniu ów okrutnik, spłoszony, zienawidzony zarówno przez ojczyznę, jak przez ojców, uszedł do Węgier... a wkrótce potem, zdjęty niesłychaną niemocą, śmierć sobie zadał. I syn jego jedyny, Mieszko, w pierwszym kwiecie wieku zwiądlł od trucizny. A tak cały ród Bolesława poniósł karę za świętego Stanisława; jak bowiem żadna cnota nie pozostaje bez nagrody, tak żadna zbrodnia bez kary. *

*** Sentencje moralne.** Szlachcicem jest ten tylko, kogo uszlachciła własna cnota. — Dobra doczesne nie są nasze: te jedynie klejnoty poczytują za swoje własne, które rodzą się w skarbcu serca. — Nic niema w człowieku doskonalszego nad niedoskonałość. — Co się z miłości ku ojczyźnie podejmię, miłością jest, nie szaleem, walecznością, nie zuchwalstwem; mocna bowiem jak śmierć jest miłość, która, im trwożliwsza (o przedmiot ukochania), tem jest odważniejsza. Nic bowiem obywateli śmieiej pod broń nie wzywa, niż obawa domowego niebezpieczeństwa. Dlatego Solon tak zachęcał do boju Ateńczyków: «Chciałbym, abyście byli równie bojaźliwi, jak odważni; bojaźń bowiem dodaje ostrożności, a ostrożność rodzi ufność, ufność zaś rodzi odwagę, która sprawia, że człowiek popełnia czyny śmielsze, niż on sam». Cóż skłoniło Machabeusza, który miał tylko 800 żołnierzy przeciwko 22.000 Bachida, że, o sobie zapomniawszy, o swem rycerstwie raczej pamiętał, niż o własnem życiu? Miłość ojczyzny. Co dało taką odwagę synowi Saula, że na małej przestrzeni półmorgowej, utraciwszy dwudziestu mężów, uderzył, w towarzystwie jednego jedynego giermka, na tyle legionów filistyńskich i zmieszał ich szyki? Skąd taki duch wstąpił w Eleazara, że, kiedy inni ratowali się ucieczką, on wołał, by słoń, strzałą przeszyty, przywalił go swem cielskiem? Cóż zagrzało 600 Spartańczyków, że poszli do obozu Kserksesa, nie lękając się 500.000 nieprzyjaciół? Miłość ojczyzny. Cóż, jeśli nie miłość ojczyzny, dało tyłu innym taką gotowość do śmierci? *

*** Bajka o mędrцу.** Pewien mędrzec, otrzymawszy wiadomość, że mu się syn urodził, rzekł: «Miły to dar i dobrodziejstwo natury, lecz rozkazuję, by syn mój nigdy innego nie ssał mleka, tylko z piersi najdzikszego zwierzęcia». Zapytano go: «Więc może wilczycy poszukać?» «Bynajmniej», odpowiedział. «To może lwicy?» «Nie!» «Tygryscy?» «Niech Bóg broni!»

«Smoka?» «Nigdy w świecie!» «Któż więc zwierzę jest najdziksze?» Od-
rzekł: «To samo, które jest najłagodniejsze: kobieta». Albowiem wszelka
łagodność kobieca jest okrutniejsza nad wszelką srogość, srozsza nad
wszelką okrutność. *

3. W wieku XIII szybko wzrastała w Polsce potęga Kościoła, i rozwi-
jało się bujnie życie religijne; wiara chrześcijańska w tem dopiero stuleciu
zapaściła głębokie korzenie w społeczeństwie polskiem, które stawało się
coraz bardziej religijnem, szukając w religji pociechy na te liczne nie-
szczęścia, jakie spadały na kraj, rozczłonkowany pomiędzy poszczególnych
książąt i szarpany przez dzikie hordy tatarskie. W ścisłym związku z tem
rozbudzeniem życia religijnego rozwijała się łacińska literatura religijna,
jako to legendy i żywoty świętych.

Lecz ogół społeczeństwa nie rozumiał przecie po łacinie; zasady wiary
chrześcijańskiej trzeba było wpajać w prostaczków w języku ojczystym —
zapomocą nauk moralnych i kazań, trzeba było także nauczyć ich modlić
się po polsku: tym sposobem, wnet po wprowadzeniu chrześcijaństwa do
Polski, musiała powstać literatura religijna w języku narodowym: kazania
polskie i modlitwy polskie, a zczasem pobożne pieśni polskie; autorów tych
wszystkich utworów nie znamy.

Otóż najstarszym znanym nam dzisiaj zabytkiem polskiej literatury
religijnej jest **Pieśń Bogurodzica**, która powstała w drugiej połowie XIII
wieku. Składa się z dwóch zwrotek, z których pierwsza jest modlitwą do
Najświętszej Panny o wstawienictwo do Pana Jezusa, a druga — modlitwą
do Pana Jezusa o pobożne życie na ziemi i wiekiuste szczęście w niebie.

Chociaż pieśń *Bogurodzica* powstała w wieku XIII, najstarszy jej
znany nam dzisiaj odpis pochodzi dopiero z początku wieku XV.

Bogy rodzicza dziewicza
bogem sławena maria
Vtwego syna gospodzina
matko swolena maria
Sziszei nam spwezi nam

[kyrieleyson

1. Bogurodzica dziewica,
Bogiem sławiona Maryja!
Twego Syna Gospodzina,
Matko zwolena Maryja,
Zyszczy nam, spuści nam!

[Kyrie elejson!

Twego dzela krzcziczela boszicze
Vslisz glosi naplen misli czlowecze
Slish modlithw^o y sz nosimi
A dacz raczi gegosz prosimi
a naswecze zbozni pobith
posziwocze raski pzbith¹

[ky'eleyson

2. Twego dzieła² Krzciela Bożycze³.
Uslysz glosy, napeln myśli czlowieczel!
Slysz modlitwę, jaż⁴ nosimy,
To dać raczy⁵, jegoż prosimy:
A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt!

[Kyrie elejson!

Oto najdawniejszy pomnik naszej poezji, oto początek naszej litera-
tury narodowej. W przekładzie na dzisiejszy język pieśń ta brzmiałaby
tak: «Bogurodzico dziewico, przez Boga wstawiona Marjo! Matko (przez
Boga) wybrana, Marjo! Pozyskaj nam, spuść nam (z nieba na ziemię)

¹ przebyt ² dla. ³ przyp. 5 od Bożyc — Syn Boga. ⁴ ize, jaże, jeże =
który, która, które. ⁵ racz.

Twego Syna Pana! Kyrie elejson! Dla (za przyczyną) Twego Chrzciciela, Synu Boży, usłysz głosy, napełń myśli człowiecze! Wysłuchaj modlitwy, którą (do Ciebie) zanosimy, to dać racz, o co prosimy, a mianowicie: na świecie zbożne życie, po życiu (ziemskim) żywot niebieski. Kyrie elejson!»

Pieśń *Bogurodzica* (którą później, w XIV i XV wieku, uzupełniano nowymi zwrotkami) rozpowszechniła się po całej Polsce; początkowo była wyłącznie pieśnią kościelną: śpiewał ją lud w kościele podczas nabożeństwa, później zaś, nie przestając być pieśnią kościelną, stała się jeszcze pieśnią bojową: śpiewało ją rycerstwo przed bitwą dla wyblągania u Pana Boga zwycięstwa nad wrogiem; kiedy w r. 1410 stanęło rycerstwo polskie pod Grunwaldem, aby krwią swoją okupić potęgę i szczęście Polski, uderzył w niebo głos potężny, wydobyty z kilkudziesięciu tysięcy piersi polskich: «Bogurodzica, dziewica!» W wieku XVI *Bogurodzica* przestaje być pieśnią bojową; w XVII nadaremnie usiłowano wznowić zwyczaj śpiewania jej przed bitwą; w XVIII władza duchowna, żeby ją ocalić od zapomnienia, wydała rozkaz, aby duchowieństwo katedry gnieźnieńskiej odśpiewywało ją co niedziela przy trumnie świętego Wojciecha. I ten piękny zwyczaj przetrwał do dziś dnia.

4. Na początku wieku XIV królem polskim jest Czech, Wacław. Od czasów jego panowania wpływ cywilizacji czeskiej na polską, który się zaczął od chwili poślubienia Dąbrowki przez Mieszka, wzrósł potężnie; ślady tego wpływu do dziś dnia nosi na sobie język polski (np. w wyrazie o b y w a t e l). Czesi w wiekach średnich byli narodem bez porównania więcej oświeconym od nas i posiadali bogatą literaturę, która też przez czas długi wywierała pewien wpływ na polską: tłumaczono lub przerabiano z języka czeskiego na polski modlitwy i pieśni religijne. Niedosyć na tem. Już przy końcu pierwszej połowy XIV wieku założono w Pradze uniwersytet, który jest pierwszym uniwersytetem na ziemiach słowiańskich. Uczyli się w nim i Polacy, którzy zresztą jeździli się kształcić i do innych uniwersytetów zagranicznych. Dopiero Kazimierz Wielki, pragnąc, aby Polacy mogli pobierać wyższe wykształcenie we własnym kraju, a nadewszystko potrzebując uczonych prawników, założył, za przykładem Czechów, w r. 1364 uniwersytet w Krakowie, zwany Szkołą Główną (*Studium generale*) o trzech wydziałach: prawnym, lekarskim i sztuk wyzwolonych; (na otworenie wydziału teologicznego nie pozwolił papież). Ale szkoła Kazimierza nie rozwijała się pomyslnie, zwłaszcza po śmierci swego założyciela.

Wogóle naród polski, chociaż w wieku XIV szybko wzrastał w bogactwo i potęgę, nie garnał się jeszcze do oświaty tak chętnie, jak później. Dlatego to i literatura tego stulecia jest wciąż jeszcze bardzo uboga, a rozwija się po dawnemu prawie wyłącznie w języku łacińskim.

Najznakomitszym pisarzem XIV wieku jest Wielkopolanin **Janko z Czarnkowa** (urodzony około roku 1320, zmarły około roku 1387), archidiakon gnieźnieński, podkanclerzy Kazimierza Wielkiego. Jest on autorem kroniki łacińskiej, w której opowiedział krótko i zwięźle panowanie Kazimierza Wielkiego, a bardzo szczegółowo — rządy Ludwika Węgierskiego. Kronika ta jest zupełnie inna, niż kronika Kadłubka: kiedy Kadłubek ma na celu przedewszystkiem naukę cnoty i mądrości, Janko z Czarnkowa nie bawi się w moralizowanie czytelnika, tylko opowiada wypadki dziejowe, które znał doskonale, jako naoczny świadek, i w których poczęści sam brał

udział; to zaś opowiadanie jest ożywione własnem uczuciem autora, który nie chciał i nie umiał ukrywać swych uczuć względem ludzi, nie tał np. swej miłości względem Kazimierza Wielkiego, swej niechęci do króla Ludwika, jako Węgra, a nadewszystko swej namiętnej nienawiści względem osobistych wrogów, tych zwłaszcza, którzy go, po śmierci Kazimierza, posądzili, że przywłaszczył sobie część skarbów królewskich. Otóż ze względu na to, że Janko z Czarnkowa, opowiadając dzieje współczesne, nie zapomina i o sobie samym, jego kronika ma poczęści charakter pamiętników, a nawet tu i ówdzie, ze względu na stronniczość, z jaką autor pisze o swoich wrogach, przechodzi w pamflet polityczny.

*** Śmierć Kazimierza Wielkiego** (w skróceniu). Roku Pańskiego 1370, dnia 8 września, to jest w samo święto Narodzenia Najświętszej Panny Marji, najjaśniejszy król Kazimierz bawił na swym dworze w Przedborzu¹ i wybierał się na polowanie na jelenia. Pojazd królewski już czekał, już król miał wsiadać, gdy kilku wiernych dworzan jeło mu przekładać, że nie przystoi polować w dzień świąteczny. Król przyznawał im słusność i już zamierzał zostać w domu, kiedy wtem jakiś niecnota szepnął mu o jakiejś uciezce (która go czeka na polowaniu); i oto król, już głuchy na rady ludzi mądrych, wsiadł do pojazdu i popędził do lasu na łowy. Nazajutrz konno ścigał jelenia, lecz stępak² przewrócił się, a król spadł i zranił sobie ciężko lewą gołęń. Uderzenie przyprawiło go o gorączkę, która jednak rychło go opuściła. Ale ponieważ, wbrew zakazowi lekarzy, nie zachował umiarkowania i żarłocznie zjadał różne potrawy, a zwłaszcza świeże owoce, orzechy laskowe i inne, oraz smarze³, nadewszystko zaś ponieważ nie odmówił sobie łaźni, na którą mu nie pozwalał jego lekarz nadworny, mistrz Henryk z Kolonji — więc zapadł w cięższą jeszcze gorączkę. Nazajutrz, o brzasku, wyruszył do Krakowa i o milę za Sandomierzem, ciągle trawiony nadmierną gorączką, napił się zimnej wody, wskutek czego gorączka jeszcze go więcej paliła i silniej dręczyła; lekarz i wszyscy dworzanie zwątpili o jego życiu. Lecz nazajutrz, dzięki zabiegom lekarza, gorączka opadła, więc wierni dworzanie, z głęboką litością patrzący na osłabionego króla, wrzegli się do jakiegoś wozu i, ciągnąc go powolutku, zawieźli króla do klasztoru cystersów w Koprzywnicy. Tutaj wypoczywał całe osiem dni; tutaj też ślubował Bogu i św. Zygmuntovi, że odbuduje w ruinach leżącą świątynię płocką, w której ze czcią przechowywano relikwie Zygmunta, króla i męczennika. Rano kazał mnie zawołać do siebie i oznajmił o uczynionym ślubie mnie i innym obecnym, poczem zaraz doznał ulgi w gorączce. Zawieziono go potem do Osieka, i tutaj jakiś lekarz, mistrz Mateusz, wbrew zakazowi mistrza Henryka i nas wszystkich, pozwolił mu, w zbytniej pobłażliwości, napić się miodu; i znów go schwyciła gorączka. Ale później, w Nowem Mieście, znakomicie odzyskał siły: bez cudzej pomocy siadł na wóz i wysiadł dopiero w Opatowcu. Wreszcie przedostatniego października przywieziono go na zamek krakowski, a pierwszego listopada kazał mi zapytać lekarzy, otaczających jego łożę, czy już jest w Krakowie. Gdym ich zapytał, czy król pan jest w Krakowie, wspomniany mistrz Mateusz rzekł: «Czy on majaczy, czy dostał po-

¹ w województwie sieradzkim, nad Pilicą. ² = jednochodnik, t. j. koń, lekko pod siodłem chodzący. ³ wymawia się: smar-ze (rodzaj grzybów).

mieszania zmysłów, że pyta, czy król jest w Krakowie?» A ja na to: «Król wie, że jest w Krakowie, ale się dziwi, że nie przepisujecie mu lekarstw łagodzących, których w podróży mieć nie mogliście; i zdaje mu się teraz, że nawet nie myślicie o tem». Na to mistrz Mateusz, jak piorunem rażony, odpowiedział, że wraz z kolegami, w miarę sił swoich, dokładać będzie jak najusilniejszych starań. Niebawem kazał mi król zapytać lekarzy, czy spostrzegają w nim jakie znaki śmierci; jeżeli spostrzegają, to niech mu to na Boga wyjawią, aby mógł zawczasu pomyśleć o zbawieniu duszy i zarządzić domem. Oni zaś, jak to lekarze, obiecywali mu i wróżyli długie życie. Ale król, wątpiąc, czy zdrowie odzyska, dnia trzeciego tegoż miesiąca listopada, rano, o wschodzie słońca, sporządził testament; a we wtorek, dnia piątego listopada, rano, o wschodzie słońca, w przytomności wielu szlachty i duchowieństwa odszedł szczęśliwie do Chrystusa.*

Oprócz kroniki o panowaniu Kazimierza Wielkiego i Ludwika Węgierskiego jest Janko z Czarnkowa (według wszelkiego prawdopodobieństwa) autorem innej jeszcze kroniki, mianowicie tak zwanej *Kroniki Wielkopolskiej*, w której opowiedział historję książąt i królów «wielce rozległego królestwa polskiego czyli królestwa Lechitów» od najdawniejszych czasów aż do roku 1271. Jako źródło historyczne, kronika ta nie może się nawet równać z tamtą, zasługuje jednak na uwagę przedewszystkiem z tego względu, że tutaj po raz pierwszy w naszej literaturze ukazuje się świadomość wspólności plemiennej Polaków z innymi Słowianami; aby tę wspólność lepiej uwydatnić, opowiada autor wyczytane w kronice czeskiej podanie o trzech synach księcia Pannonów: Lechu, Rusie i Czechu, których potomkowie «posiadali, posiadają i przy łasce bożej posiadać będą królestwa Lechitów, Rusinów i Czechów». Po raz pierwszy także jest w *Kronice Wielkopolskiej* wzmianka o Kaszubach: «Jeden naród słowiański nazywają Kaszubami — od szat tak długich i przestronnych, że je podkasywać musieli, albowiem fałd, czyli zmarszczenie szaty, w słowiańskim języku tłumaczy się *huba*, a przeto *Kasz-hubi* czyli *Zakasani* nazywają się». Są inne jeszcze etymologje, rozrzewniające w swojej naiwności, np.: «Królestwo dalmackie nazywa się tak dlatego, że królowa Pannonji dała swemu synowi nadmorską część tego kraju i królem go koronować kazała; część tę nazwano *Dal-macją*, że to ją synowi *dała mać*».

Z innego jeszcze względu jest *Kronika Wielkopolska* utworem bardzo ciekawym: oto autor włączył do niej powieść, którą napisał albo on sam, albo ktoś inny. Jest to *Powieść o Walcerzu Udałym i Helgundzie*. «Za czasów jeszcze pogańskich» panował w Wiślicy Wisław Piękny (*Wystaus decorus*), który się wywodził od Popiela, a w Tyńcu — Walcerz Udały (*Walterus robustus, qui in polonico vocabatur udaly Walter*¹). Ten Walcerz miał za żonę córkę króla Franków, Helgundę; poznał ją był na dworze jej ojca, kiedy to księżniczka kochała już królewicza niemieckiego: pieśnią czarodziejską Walcerz skłonił ku sobie jej serce i namówił ją do ucieczki; przebył z nią wplaw Ren, stoczył walkę z owym królewiczem niemieckim i zabił go, a «po szczęśliwej podróży, przybywszy do zamku tynieckiego, odpoczywał sobie przez czas niejaki, lekując swe rany». Niebawem jednak

¹ Walter mocny, który po polsku nazywał się udały Walcerz; udały = mocny, dzielny.

poszedł na bój — z Wisławem; wziął go do niewoli i osadził w więzieniu zamkowym w Tyńcu, poczem znowu wyruszył na jakąś wojnę i nie wracał całe dwa lata. A tymczasem Helgunda, za radą i przy pomocy niegodziwej zauszniczki, wypuściła z więzienia pięknego Wisława, pokochała go i dała mu się skłonić do ucieczki. Powrócił Walcerz, a dowiedziawszy się o wszystkim, pomknął do Wisłicy, w czasie kiedy Wisław polował sobie najspokojniej gdzieś za miastem. Postrzegła go zdaleka Helgunda, wybiegła naprzeciwko, padła mu do kolan, skarżąc się ze łzami, że ją Wisław poniewolnie porwał, i błagając męża, by się schronił w kryjówce, a będzie miał w rękach Wisława. Walter uwierzył — i wpadł w zasadzkę: Wisław nie osadził go w więzieniu, ale kazał go żelaznymi obręczami przykuć do ściany w tej samej izbie, w której sobie gruchał z Helgundą. Lecz przyszła kreska na Matyska: piękny Wisław miał szpetną siostrę, która się rozkochała w udułym Walcerzu; gdy ten obiecał pojąć ją w małżeństwo, rozkuła mu pęta i uzbroiła go w miecz Wisława; tym to mieczem zabił Walcerz i Wisława i Helgundę. «Pokazują — kończy autor — do dziś dnia grobowiec Helgundy z kamienia wyciosany».

Lecz ten grobowiec był tylko w bujnej fantazji autora; także tylko w jego fantazji Walcerz Uduły panował w Tyńcu, a Wisław Piękny w Wisłicy. Cała powieść jest zmysleniem: część pierwszą (o ucieczce Walcerza z Helgundą) autor wziął z literatury niemieckiej, mianowicie z poematu łacińskiego o «Waltharjusz», a drugą (o Wisławie i Helgundzie) z «byliny»¹ ruskiej. Powieść tę powtarzali za *Kroniką Wielkopolską* nasi kronikarze XVI wieku; za Stanisława Augusta pewien trzeciorzędny poeta przełożył ją wierszem polskim; na początku XIX wieku dostarczyła pomysłu do dwóch dramatów polskich i do jednej powieści francuskiej. Lecz dopiero Żeromski stworzył z niej dzieło sztuki.

5. Do najważniejszych zabytków literatury polsko-łacińskiej XIV wieku należą **żywoty świętych**. Rodzaj to literatury niezmiernie w wiekach średnich popularny, a jest owocem zarówno głębokiej wiary i wielkiej pobożności dawnych ludzi, jak ich serdecznego pragnienia, żeby na świecie było lepiej, niż jest, żeby ludzie byli nie tylko cnotliwsi, ale także potężniejsi, — tak potężni, aby mogli przy pomocy Pana Boga tworzyć cuda. Wcieleniem tych wszystkich uczuć i marzeń, tego dążenia do ideału, są właśnie w literaturze średniowiecznej legendy o świętych, w części oparte na rzeczywistości, a w części wysnute z wyobraźni. Już w wieku XII posiada literatura polsko-łacińska *Żywot św. Wojciecha*, w XIII dwa *Żywoty św. Stanisława*, ale dopiero w XIV zdobywa się na więcej tego rodzaju utworów, z których najpiękniejszym jest *Żywot św. Kingi*, księżniczki węgierskiej, poślubionej Bolesławowi Wstydliwemu; autorem jest spowiednik Kingi w klasztorze klarysek w Starym Sączu, gdzie święta księżna osiadła po śmierci męża i gdzie w roku 1292 umarła. Utwór ten, jak wogóle wszystkie średniowieczne żywoty świętych, składa się z dwóch części: z zyciorysu i z opisu różnych cudów, które widzieli i których na sobie doświadczyli pobożni ludzie po śmierci księżny. Oto niektóre szczegóły.

Kiedy tuż po narodzinach św. Kingi przystąpił do niej biskup, aby ją ochrzcić, dziecko wyraźnie wyrzekło słowa: *Ave, regina coelorum, mater*

¹ t. j. z opowieści bohaterskiej.

*regis angelorum*¹. «Kiedy raz król Bela, przychyłając się do prośby córki, podarował jej kopalnię soli, ona stanęła nad kopalnią i, wezwawszy łaski Pana Boga, cisnęła z góry pierścień; wiele czasu od tej chwili upłynęło, kiedy w Bochni (w diecezji krakowskiej) zaczęto kopać kopalnię soli: i oto zaraz w pierwszym dole, w pierwszej bryle soli, znaleziono ów pierścień złoty». Pobożnością jaśniała św. Kinga tak wielką, że, ilekroć podczas podróży ujrzała zdala kościół Matki Boskiej, wnet zsiadała z wozu i boso, nie bacząc na ostre kamienie i ciernie, pędziła do kościoła przez wzgórze i pagórki, rzucając się od czasu do czasu twarzą na ziemię i tak gorące łzy wylewając w modlitwie, że pod twarzą tajał śnieg i lód, i ukazywała się trawa zielona.

Tuż po ślubie, podczas hucznego wesela na zamku królewskim, ogarnął księżnę smutek; mąż, wzruszony jej łzami, obiecał jej, że otrzyma wszystko, o cokolwiek go poprosi; a wtedy «ona, jak przystało na dziewicę roztropną a nabożną, nie prosiła go ani o srebro i złoto, ani o ziemię i bogactwa, ani o szaty i perły, lecz padła na kolana i z pokorą błagała męża w imię Boga, by wraz z nią złożył ślub, że oboje przez cały rok mieszkać będą osobno, żeby się ona mogła poświęcić wyłącznie służbie bożej. Bolesław zgodził się na to chętnie. Minął rok, i tę samą prośbę zaniósł Kinga do męża — w imię Panny Najświętszej; Bolesław raz jeszcze się zgodził. Lecz kiedy znowu rok minął, a księżna znowu powtórzyła swe zakłęcie — w imię św. Jana, obruszył się książę, a widząc, że groźbami nic nie wskóra, udał się do spowiednika Kingi, by jej wolę złamał. Ale kiedy i to nie pomogło, pogniewał się Bolesław na księżnę. A wtedy ona oddała się w opiekę św. Janowi, który nie pozostał głuchy na jej modlitwy: objawił się jej w samą wigilję swojego święta i oznajmił, że uzyska wszystko, o co tylko w jego imię poprosi męża: «a to niech ci będzie znakiem pewności: w Nowem Mieście Korczynie, kiedy wychodzić będziesz z kościoła, spotkasz księcia, a on cię słodko pozdrowi i rękę do ciebie wyciągnie». I tak się stało.

Oto jedna jeszcze opowieść — o cudzie, który się stał za przyczyną św. Kingi już po jej śmierci, w roku 1312. «Dwaj chłopcy, Florjan i Jan, mieli dużo pszczół. Napadli na Polskę z wielkiem wojskiem Węgrzy i, widząc mnóstwo uli, rzucili się na nie z siekierami i zaczęli je rąbać i rozbijać; wszystkie miód porwali, a pszczoły już deptać nogami, tak że prawie nic nie zostało. Przyszli chłopcy, aby zebrać resztki, a kiedy uzbierali coś garniec pszczół i miodu i włożyli do ula, zaczęli wzywać pomocy świętej księżny Kingi, ślubując jej coroczną dziesięcinę z miodu, jeśli im raczy pomnożyć pszczoły. Nazajutrz przyszli do ula, patrzą: pełno pszczół i miodu, jakgdyby nigdy nic! Niebawem pszczoły się tak rozmnożyły, że starczyło ich na pięćdziesiąt uli».

6. Utwory literatury XIV wieku, pisane w języku ojczystym, posiadają charakter wyłącznie religijny. Lecz większa ich część zaginęła. Ocalały urywki *Kazań świętokrzyskich*, *Kazania gnieźnieńskie*, *Psalterz florjański*, oraz kilka pieśni religijnych.

Kazania świętokrzyskie to najdawniejszy znany nam dzisiaj zabytek prozy polskiej, pochodzący z połowy wieku XIV; świętokrzyskiemi nazywają się dlatego, że napisał je prawdopodobnie jakiś zakonnik z klasztoru

¹ Zdrowaś, Królowo niebios, Matko króla aniołów (słowa pieśni średnio-wiecznej).

świętokrzyskiego (na Łysej górze); do czasów naszych dochowały się tylko szczątki sześciu kazań; tekst polski przeplata się w nich z łacińskim. Są to kazania bardzo krótkie; ale bo też, ściśle mówiąc, nie kazania to, tylko ich plany, według których kaznodzieja daleko obszerniej rzecz wykladał.

* **Urywek z kazania na święto Trzech Króli.** Mówi ewangelista święty pod obrazem trzy królew pogańskich: Gdzie jest Ten, jenże¹ się narodził król żydowski? Bo Pismo tego Królewica, Dziewicą porodzonego, w trojakiem mieście pisania nazywa Królem ludu żydowskiego: w Jego dziwnem narodzeni, w Jego uciesznem wielkich cud czynieni a w Jego trudnem umęczeni. I pokazuje ewangelista, iż ten to Król i Królewic niebieski w trojakiej rzeczy znamienitej inie wszystkie króle zmija², a to w tem, iż jest miłościwiejszy, iż jest szczerzejszy... Ten to Król jest miłościwiejszy, a to w rzeczy trojakiej: w miłem wabieni, iżbychom³ pokutę wiernie czynili; w długiem czekani, iżbychom się k Niemu żądnie pośpieszyli; w rychłem odpuszczeni, iżbychom w Jego miłości nie rozpaczyli.*

Kazania gnieźnieńskie, których przechowało się dziesięć, pochodzą z końca XIV wieku; są to już nie plany kazań, lecz całkowite kazania, nie tylko długie, ale i rozwlekłe, a bez porównania przystępniejsze, popularniejsze; bo też słuchaczami kazań świętokrzyskich byli zapewne uczeni zakonnicy, gnieźnieńskich — prości ludzie.

* **Urywek z kazania o św. Bartłomieju.** Działki miłe! Nasz Krystus miły jest On swe święte apostoły temu to nauczał był, kakoćby⁴ na tem to świecie między krześcijany bydlic⁵ mieli. A przetoć On rzekł jest był k nim, rzekąc tako: *Estote prudentes*, bądźcie — dzie⁶ — tako mądrzy, jakoć są węzewie mądrzy, iżci, napirzwe⁷, wąż tę to mądrość ma, iże, gdyż ji⁸ chcą zabić, tedyć więc on swą głowę kryje i szonuje⁹, a o ciałoć on nicz nie dba; a takżeć ci święci apostołi sąć oni to byli czynili. Aleć nawięć¹⁰ święty Bartłomiej jest on to był czynił, iżeć on swej głowy, toć jest miłego Krystusa, jest był szonował. Wtoreć przyrodzenie jest to węzewe, iże, gdyż się on chce odmłodzić, tedyć więc on je gorzkie korzenie, a potem więc on wlezie w durę ciasną, a tako więc on tamo z siebie starą skórę zejmie¹¹. A takżeć my zdrzucmy z siebie starą skórę, toć jest stare grzechy, a jedzmy teże gorzkie korzenie, toć jest, iżbychom na tem to świecie niektórą mękę prze miłego Krystusa cirpeli na naszym ciecie! A toć święty Bartłomiej jest on to był uczynił, iżci on skórę z swego ciała prze miłego Krystusa dał jest był obłupić... Gdyż jest on króla tej to ziemie Indyje¹² jest był okrzył..., tedy więc biskupowie tej to istej¹³ ziemie się oni byli zjachali, świętego Bartłomieja są oni byli jeli, a do brata tego istego króla są go oni byli przywiedli. Tedy więc ten to isty król... świętego Bartłomieja kazał jest był na pręgę¹⁴ zawiesić a miotłami ji bić i z jego ji skóry żywo obłupić... A przetoć on skórę z swego ciała jest był zdrzucił, iżbyć on koronę królestwa niebieskiego był zasłużył¹⁵.*

¹ który. ² przewyższać. ³ iżbyśmy. ⁴ jakoćby. ⁵ przebywać, żyć.
⁶ mówi. ⁷ po pierwsze. ⁸ go. ⁹ szanuje. ¹⁰ najwięcej. ¹¹ zdejmie.
¹² przyp. 2 od «ta to ziemia Indyja». ¹³ ten sam. ¹⁴ słup. ¹⁵ W pisowni XIV wieku początek tego urywku wygląda tak. Dzathky mile nasz xt miły gest on swe sw☉the appli temutho nauczał był, kakoczby na thetho svecze medzy xpiany bydlicz mely. Apstocz on rzecł gest był k nim rzekocz tako: Estote p'dentes bōczdze o mōdrzy gakocz sz☉ wśzeue mōdrzy.

Nad obydwoma temi zbiorami kazań góruje znacznie rozmiarami **Psalterz florjański**, który też można nazwać pierwszą księgą polską. Napisa-
no ją w końcu XIV wieku. Jest to przekład 150 psalmów Dawida, doko-
nany przez nieznanego tłumacza z łaciny, przy pomocy przekładu czeskiego.
Psalterz był w wiekach średnich w całym świecie chrześcijańskim najpo-
czytniejszą książką, na której się najchętniej modlili pobożni. To też i u nas
bardzo wczesnie przekładano psalmy, ale przekłady te zaginęły, i najstar-
szym znanym nam dzisiaj psalterzem polskim jest właśnie psalterz florjań-
ski, który nazywa się tak dlatego, że rękopism jego znajduje się dzisiaj
w bibliotece opactwa ś. Florjana (w górnej Austrii). Znaczenie psalterza
florjańskiego polega na tem, że jest to największy zabytek języka staropol-
skiego przed wiekiem XV, że więc jest nieocenionem źródłem do poznania
naszej dawnej mowy i jej gramatyki.

* **Psalm 90.** Jenże¹ przebywa w pomocy Nawyższego, w zaszczyeniu²
Boga nieba przebędzie. Rzeczę Gospodnu: Przyjemca³ mój jeś⁴ Ty i utoka⁵
moja, Bóg mój; pwać⁶ będę weń. Bo on zbawił mnie z sidła łowców i od
słowa przykrego. Plecoma swoima zasłoni ciebie i pod piórnami jego pwać
będziesz. Szczytem⁷ ogarnie ciebie prawda Jego; nie będziesz się bać od
strachu nocnego, od strzały, latającej we dnie, od potrzebizny⁸, chodząc we
ćmach, od biegu⁹ i djabła przepołudniego¹⁰. Upadną od boku twego tysiąc,
i dziesięć tysięcy od prawic¹¹ twoich ku tobie zaprawdę nie przybliży się.
Zaprawdę wszako oczyma twyma uznamięnasz¹² i odpłatę grzesznych
użrzesz. Bo Ty jeś, Boże, nadzieja moja, wysoki położył jeś utok¹³ mój. Nie
przystąpi k tobie zło, a bicz nie przybliży się przybytkowi twemu. Bo angie-
łom swoim Bóg kazał o tobie, bychą¹⁴ strzegli ciebie we wszech drogach
twoich. W rękę nosić będą ciebie, aby nie uraził o kamień nogi twojej.
Na zmi i na bazyliżku chodzić będziesz i podepczesz lwa i smoku. Bo
w Mię pwał, zbawię ji, zaszczycę ji, bo poznał imię Moje. Wołał ku Mnie
i wysłuszam ji; z nim jeśm w zamątce¹⁵, wyimę i sławić będę ji. Długości
dni napełnię ji i pokażę jemu zbawienie Moje. *

Jest to ten sam psalm, który we wspaniałej przeróbce Kochanowskiego
zaczyna się od słów: «Kto się w opiekę poda Panu swemu».

Z **pieśni religijnych** XIV wieku dochowały się pieśni o Zmartwych-
wstaniu Pańskiem. Najstarsza, tłumaczona z łaciny, jest bardzo krótka,
czterowierszowa:

Chrystus z martwych wstał je¹⁵,
Ludu przykład dał je,
Eż¹⁷ nam z martwych wstaci,
Z Bogiem królewaci. Kyrie elejson.

Lecz najwybitniejszym utworem poezji polskiej tego stulecia jest
Pieśń o Męce Pańskiej:

¹ który. ² bronić. ³ obrońca. ⁴ jesteś. ⁵ ucieczka. ⁶ ufać. ⁷ tarcza.
⁸ potrzeba, przygoda. ⁹ nabieg, najazd (nieprzyjaciela). ¹⁰ południowy. ¹¹ pra-
wej strony. ¹² będziesz oglądał. ¹³ ucieczka. ¹⁴ bychą — 3 osoba l. m. czasu
przeszłego dokonanego (aorystu) od czasownika być. Czas ten odmieniał się w ję-
zyku staropolskim tak: L. pojed.: bych, by, by. L. podwójna: bychwa, bysta, bysta.
L. mnoga: bychom, byście, bychą. ¹⁵ smutek. ¹⁶ jest. ¹⁷ iż, że.

Jezus Chrystus, Bóg-człowiek, mądrość Ojca swego,
Po czwartkowej wieczery czasu jutrzennego
Gdy się modlił w ogrodzie Ojcu Bogu swemu,
Zdradzon, jęt i wydan jest ludu żydowskiemu.

Tę szwę¹ noc policzkowan, plwan, nędzon² do świata³,
W piątek pirwej godziny wiedzion do Pilata;
Tamo nań powiedziano świadectwo nieskładne:
On stał, jako baranek, zwierzątko pokorne.

Na dzień trzeciej godziny Żydowie niezbedni⁴
Wołali, by kryżowan pirwy i pośledni.
Pilata⁵ ję kazał biczować beze wszej lutości
I cirkim koronować; tuć miał trudu dości.

Na dzień szóstej godziny na kryż wiedzion z miasta;
Tej biady rozmaitej plakała niewiasta;
Na kryż wzbiwszy nagiego, o suknią igrano,
Żółcią z octem napawan, jak prorokowano.

O dziewiątej godzinie wołał Jezus: «Heli!»
Ci, což ję kryżowali, Żydowie się śmieli.
Janowi polecona Matka jęgo miła.
Tu się dusza Krystowa z ciałem rozdzieliła.

Włócznią ślepy włodyka bok otworzył jęgo:
Krew z wodą popłynęła zbawienia naszego.
Z kryża zjęt o mieszporce⁶, prosiwszy Pilata:
Takoć za nas ucierpiał Odkupiciel świata.

O kompletnej godzinie⁷ ciało grobu dano,
Od miłostnych przyjaciół mirrą pomazano.
W sobotę zwojewwała dusza pkielne koćce⁸,
W niedzielę wywiodła jest szwytki święte oćce.

Prze szwę siedm' świętych godzin umęczenia Twęgo,
Jiż⁹, Chryste, wspominały z nabożstwa naszego,
Racz użyzyć zbawienia, bydlenia¹⁰ dobrego,
A po śmierci domięści stadła niebieskiego.

Daj na śmiertniej pościeli pomnieć Twoję mękę,
Naszę duszę polecł Ojcu Bogu w rękę,
Tęgo świata imienie, srebro, złoto, drogie kamienie
By się nam nie słodziło¹¹ tęgo czasu. Amen!

¹ wszę, całą. ² dręczony. ³ do białego dnia. ⁴ obrzydliwy. ⁵ go.
⁶ o nieszporch (o nieszporchach). ⁷ o godzinie, w której się odmawia kompletę (t. j. ostatnią modlitwę wieczorną). ⁸ rozbiła piekielne zamki (bramy). ⁹ które. ¹⁰ bydlić = przebywać, mieszkać. ¹¹ aby nam nie smakowało.

ROZDZIAŁ II

Wiek XV

Rozkwit Akademji Krakowskiej. Początki humanizmu

Wiek XV to epoka największej potęgi państwa polskiego. Ślub Jagielly z Jadwigą i ślub Litwy z Polską, zawarty przy końcu wieku XIV, teraz dopiero wydał owoce: dnia 15 lipca roku 1410 na polach Grunwaldu i Tannenbergu połączone wojska polskie i litewskie zadały straszliwą klęskę śmiertelnemu wrogowi Polski i Litwy, Zakonowi krzyżackiemu. Za Kazimierza Jagiellończyka wybuchła nowa wojna z Krzyżakami; w r. 1466 stanął pokój toruński, mocą którego Polska posiadała ujście Wisły i brzegi Bałtyku. Od tej chwili staje się Polska jednym z najpotężniejszych państw na świecie. Kraje sąsiednie ubiegają się o jej łaskę i przyjaźń, miasta niemieckie same błagają króla polskiego, by je w swoje poddaństwo przyjąć raczył; dynastja Jagiellonów, opromieniona bohaterską śmiercią króla Władysława pod Warną, zasiada na tronach czeskim i węgierskim; rozkwita gospodarstwo i handel zbożem (dzięki posiadaniu brzegów morza Bałtyckiego), mnożą się bogactwa, wzrasta dobrobyt.

Jednocześnie zachodzą w wieku XV bardzo ważne zmiany w ustroju państwa polskiego. Niegdyś w Polsce książę miał władzę nieograniczoną, a później wielki wpływ na rządy wywierało duchowieństwo; teraz i stan świecki domaga się udziału w rządach. Już w XIV stuleciu, za panowania Ludwika Węgierskiego, szlachta wywalczyła sobie ważne przywileje (układ koszycki z r. 1374); po śmierci Ludwika możni panowie, korzystając z bezkrólewia, zaczęli sami rządzić państwem, a za panowania Jagielly ich udział w rządach ciągle się wzrastał. Otóż za przykładem możnowładców poszła i szlachta, która, uświadamiając sobie coraz to lepiej swoją potęgę, domagała się od Kazimierza Jagiellończyka wciąż nowych przywilejów; król musiał spełniać jej żądania, bo wiedział, że inaczej szlachta nie pójdzie na wojnę z Krzyżakami. Tym sposobem Polska staje się w wieku XV państwem parlamentarnem: szlachta wybiera na sejmikach posłów i wysyła ich na sejm walny, który zaczyna rządzić państwem, z coraz większym uszczerbkiem władzy królewskiej.

Wraz z rosnącą potęgą Polski i ze wzmagającym się udziałem szlachty w życiu publicznym rozwija się oświata: dawniej ludźmi wykształconymi byli tylko duchowni, teraz, w wieku XV, garną się do oświaty i świeccy, zwłaszcza mieszczaństwo i możni panowie. Dlatego też literatura w wieku XV jest o wiele bogatsza, niż dawniej; po dawnemu posiada charakter jeszcze przeważnie kościelny, ale zdobywa się już na pierwsze utwory świeckie:

obok najznakomitszego pisarza tego stulecia, księdza Jana Długosza, ukazuje się pierwszy znakomity pisarz świecki, magnat wielkopolski, Jan Ostro-
róg. Obydwaj piszą po łacinie, bo język łaciński ma ciągle jeszcze przewagę
nad polskim, ale i utworów polskich jest w wieku XV bez porównania wię-
cej, niż dawniej.

8. Głównem źródłem oświaty była w wieku XV Akademia Krakowska (dzisiaj mówimy: uniwersytet). O wznowieniu założonej przez Kazimierza Wielkiego, a upadającej po jego śmierci Szkoły Głównej pomyślała dopiero królowa Jadwiga, przeznaczając na ten cel własne klejnoty. Tym usiłowa-
niom zawdzięcza Polska swój przesławny uniwersytet, otworzony w rok po śmierci świętej królowej, dnia 22 lipca roku 1400 (przy ulicy św. Anny). Był to już uniwersytet zupełny (bo i na wydział teologiczny zezwolił papież), to jest składający się z czterech wydziałów: każdy wstępujący do Akademii musiał najprzód zapisać się na wydział sztuki wyzwolonych (filozoficzny) i dopiero po jego ukończeniu obierał sobie jeden z trzech innych wydziałów: albo teologiczny, albo medyczny, albo prawny. Akademią zarządzała wła-
dza kościelna; kanclerzem, t. j. zwierzchnikiem, był biskup krakowski; pro-
fesorami byli księża; uczniowie mieszkali razem, w tak zwanych ^{domach} pensjonatach, będących pod ścisłym dozorem zwierzchności.

W wieku XV Akademia rozwijała się świetnie; na cały świat cywili-
zowany zasłynęła tak znakomitymi teologami, jak Mateusz z Krakowa i Ja-
kub z Paradyża, oraz matematykami i astronomami, z których najznakom-
itszym był Wojciech z Brudzewa: na jego to wykłady uczęszczał przy końcu XV wieku Mikołaj Kopernik, ta największa chwała Akademii. Nie
dziw, że się w niej uczyli nie tylko Polacy, ale i cudzoziemcy: Niemcy, Czesi,
Węgrzy, Szwajcarzy. Posługując się, jak wszystkie szkoły średniowieczne,
językiem łacińskim, zarówno w wykładach, jak i w pismach swoich pro-
fesorów, troszczyła się trochę Akademia o język ojczysty: jeden z jej rektorów,
Jakób Parkosz, napisał rozprawę łacińską i wiersz polski o pisowni pol-
skiej, którą usiłował ujednostajnić.

Oddana nadewszystko nauce, nie zapominała jednak Akademia o in-
nych ważnych sprawach: profesorowie jej brali udział w obradach soborów
powszechnych w Konstancji i Bazylei, gdzie zwrócili na siebie powszechną
uwagę swoją uczonością; na soborze w Konstancji rektor Akademii, Paweł
Włodkowic, bronił w swych pismach wymownie i skutecznie spraw polskich
przeciwko podłym intrygom Krzyżaków, którzy podawnemu rościli sobie
prawo do nawracania Litwy.

Ze wszystkich nauk najgorliwiej uprawiała Akademia Krakowska scho-
lastykę. Tak nazywa się nauka średniowieczna, której głównem zadaniem
było uzasadnić zapomocą rozumowania prawdę Objawienia, zawartego
w Piśmie Świętem, i wszystkich wogóle dogmatów, które nauka Kościoła
z Pisma Świętego wysnuła, i w które Kościół kazał wierzyć: ideałem scho-
lastyki było zupełne uzgodnienie wiary z wiedzą, z nauką. Stąd uczeni śred-
niowieczni z niesłychanym zapalem wysilali się na stworzenie umiejętności
rozumowania i dowodzenia różnych prawd, z niezmierną biegłością posłu-
gując się metodą Arystotelesa, który uchodził w wiekach średnich za naj-
wyższą powagę naukową. Nigdy jeszcze, ani przedtem, ani potem, myśl
ludzka nie zdobyła się na tak wielki wysiłek, żeby uzasadnić rozumowo
prawdy religijne, ale bo też nigdy jeszcze, ani przedtem, ani potem, ludzie

niezgodnych, jednocy kłótliwych, odmienia nienawiści, niszczy gniewy i wszystkich obdarza pokarmem pokoju, zbiera w jedno to, co rozproszone, wywodzi w górę to, co runęło, gładzi to, co szorstkie, prostuje to, co krzywe, wszystkim cnotom śpieszy z pomocą, nikogo nie obraża, kocha wszystkich, tak że każdy, kto się do niej ucieknie, znajdzie bezpieczeństwo i znikąd nie będzie się lękał napaści; ponieważ dalej miłością stoją prawa, rządzą się królestwa, zawiadują się państwa, i cała Rzeczpospolita osiąga wszystkie swoje cele; ponieważ wreszcie miłość góruje nad wszystkimi innymi cnotami do tego stopnia, że kto nią wzgardzi, ten ogoloci się ze wszystkiego, co dobre: przeto my, prałaci, panowie, szlachta i wielmoże Królestwa Polskiego, wszyscy wobec i każdy z osobna, oznajmiamy każdemu z osobna i wszystkim wobec, zarówno żyjącym, jak tym, którzy na ten świat przyjdą, że ponieważ naszym dusznym życzeniem jest, abyśmy statecznie spoczywali pod cieniem skrzydeł miłości, złączyliśmy i zjednoczyli... domy i rody nasze, herby i klejnoty nasze ze szlachtą i bojarami ziem litewskich... Niechaj ich połączy i zrówna z nami miłość, jak połączyła ich z nami ta sama religja, te same prawa, te same przywileje!... *

9. Wielką chlubą Akademji Krakowskiej w wieku XV jest jej uczeń, najznakomitszy pisarz polski tego stulecia i jeden z najznakomitszych kronikarzy w całej ówczesnej Europie, kanonik krakowski, Małopolanin, **Jan Długosz** (1415—1480), wierny sługa i przyjaciel Zbigniewa Oleśnickiego, nauczyciel i wychowawca synów Kazimierza Jagiellończyka, pod koniec życia mianowany arcybiskupem lwowskim. Z Akademji Krakowskiej wyniósł gorące przywiązanie do Kościoła katolickiego i głęboki szacunek dla jego potęgi i władzy; a pod wpływem potężnego biskupa krakowskiego, Zbigniewa Oleśnickiego, którego był sekretarzem i którego olbrzymiami majątkami zarządzał, nabrał przekonania, że wszyscy ludzie, najmniejsi i najwięksi, nie wyjmując króla, powinni być pokornymi sługami Kościoła. Oprócz religijności znamionowała go rzadka w wiekach średnich, bardzo żywa i mocna miłość ojczyzny, i ona to sprawiła, że, kiedy Oleśnicki namawiał go do napisania dziejów Polski, Długosz z niesłychanym zapałem i nadzwyczajną pilnością zabrał się do pracy i, jak sam powiada, «postanowił spisać kronikę dziejów Polski i innych narodów, z Polską graniczących, i wyluszczyć sprawy, dokonane w pokoju i wojnie, aby cnych ludzi pamięć z martwych i długowieczną pomroką okrytych wydobyć popiołów, a wszystkim czytelnikom i słuchaczom dzieje ich obwieścić». Pragnął więc Długosz przekazać pamięci potomnych sławne czyny narodu polskiego. Lecz obok tego celu miał jeszcze inny: pragnął pouczyć współczesnych i potomnych, jak rządzić państwem, był bowiem przekonany, że żadna inna nauka nie przyczyni się w tym stopniu «do rządowego sprawowania rzeczypospolitej», jak «wydanie dziejów dawnych i rozważanie zarówno naszych, jak dawnych spraw przodków», że wogóle historia jest «mistrzynią życia» i «matką cnoty». Oto dwa główne cele, które skłoniły Długosza do podjęcia ciężkiej, niemal nadludzkiej pracy, do której wykonania szukał sił i pomocy w mądrości, a której owocem jest olbrzymia *Kronika Polski*, ukończona tuż przed śmiercią. Opowiedział w niej autor szeroko i szczegółowo dzieje swej ukochanej ojczyzny od najdawniejszych czasów aż do roku swej śmierci, a poprzedził je geografją kraju ojczystego.

nie odczuwali tak głęboko potrzeby i doniosłości religji dla życia, nigdy tak jasno nie rozumieli tej prawdy, że religja jest i powinna być nie jakąś gałęzią życia, ale jego korzeniem i pniem. Lecz ideału swojego nie mogła scholastyka w zupełności osiągnąć, nie wszystkie bowiem dogmaty dało się usadnić zapomocą rozumowania. Największy myśliciel średniowieczny, zakonnik włoski, święty Tomasz z Akwinu (1225—1274), przy całym swoim genialnym umyśle, wyznał, że nie wszystko, czego uczy Objawienie, da się udowodnić rozumowo, że np. rozum ludzki może udowodnić istnienie Boga, ale nigdy nie będzie wiedział dokładnie, jakim On jest, nigdy nie ogarnie Jego istoty. Z tego wszystkiego jednak bynajmniej nie wyprowadza scholastyka wniosku, żeby dogmaty nie były prawdziwe: przeciwnie, uczyła, że są niewątpliwą i świętą prawdą, tylko że rozum ludzki jest bądź zbyt słaby, na to, aby ją uzasadnić, bądź obiera sobie złą drogę rozumowania; tak czy inaczej, trzeba w prawdę dogmatów wierzyć, wiara bowiem jest czemś daleko wyższem od rozumu, i, co za tem idzie, teologja, jako nauka, wyprowadzająca prawdy religijne z Objawienia, zawartego w Piśmie świętem (i w tradycji chrześcijańskiej), jest nauką wyższą, aniżeli filozofja, posługująca się tylko słabym rozumem ludzkim; filozofja jest służebnicą teologji (*philosophia theologiae ancilla*).

W historii umysłowości europejskiej filozofja średniowieczna odegrała rolę ogromną, a bardzo dobroczynną: nauczyła ludzi myśleć i rozumować. Niedosyc na tem. Ona to uzasadniła i wpajała w ludzi wiarę w tę nieśmiertelną prawdę, że głównem zadaniem człowieka i całej ludzkości jest postępować moralnie, według nauki Chrystusa, że zatem kultura moralno-religijna jest słońcem, około którego obracać się powinna cała kultura: i umysłowa, i artystyczna, i materialna, i polityczna. Ten ideał średniowieczny odzwierciedlił się w dziele zakonnika niemieckiego XV wieku, Tomasza a Kempis, p. t. *De imitatione Jesu Christi (O naśladowaniu Jezusa Chrystusa)*. Wspaniała ta książka należy do największych arcydzieł literatury powszechnej.

Dzięki powstaniu Akademji Krakowskiej, zawitała scholastyka do Polski; profesorowie krakowscy nie posunęli jej badań naprzód, studjowali ją tylko bardzo gorliwie i wykładali słuchaczom, dzięki czemu młode głowy polskie uczyły się myśleć, rozumować, badać, zastanawiać się nad Bogiem, światem i człowiekiem. Trafiała także nietylko do głów, ale i do serc polskich. nauka, że kultura moralno-religijna jest ośrodkiem całej kultury. Jednym z licznych tego dowodów są owe pisma Pawła Włodkowica; ich bowiem myślą przewodnią jest, że istnieje jeden a tylko moralność, a nie dwie, że znaczą, że moralność obowiązywać powinna nietylko życie prywatne, ale i polityczne, czyli, innemi słowy, że nietylko życie prywatne, ale i polityka powinna się kierować miłością chrześcijańską; później będzie to ukochana myśl Modrzewskiego, Mickiewicza i Krasińskiego. A drugim, także wspaniałym, dowodem jest jeden z aktów Unji Horodelskiej, mianowicie akt, mocą którego panowie polscy przypuścili panów litewskich do swoich herbów. Początek tego aktu brzmi, jak następuje:

* W imię Pańskie, amen. Na wieczną rzeczy pamiętkę. Ponieważ, jak wiadomo, nikt nie dostąpi łaski zbawienia, kogo nie wesprze cud miłości, która krzywą drogą nie chodzi, lecz która, jaśniejac własną dobrocią, godzi



Do wykonania tego pomnikowego dzieła zgromadził wszystkie możliwe źródła: zbadał dawne roczniki i żywoty świętych, oraz kroniki polskie, czeskie, ruskie i niemieckie; nie poprzestając na tem, sięgnął do źródeł pierwszej ręki, to jest do dokumentów: przestudjował akty państwowe, nadania, przywileje, bulle, jednym słowem, jak sam sobie świadczy, «wszystko, co po kościołach, składach pism i różnych miejscach było rozproszone, starał się pozbierać i, jakkolwiek związawszy, wciągnąć» do swego dzieła. Nikt w całej Europie średniowiecznej nie dorównał mu w pilnem gromadzeniu źródeł.

Te zaś źródła starał się opracować krytycznie, t. j. sprawdzać ich wiarygodność; «usuwał więc na bok i odrzucał niektóre podania, ... które zdają się trącić baśniami i podobniejsze są do marzeń poetyckich, niż do historycznych powieści». Rozumie się, że ten krytycyzm jest jeszcze bardzo słaby: Długosz, jak wszyscy ludzie średniowieczni, jest łatwowierny; więc nie odrzucił różnych baśni, np. o Popielu, Krakusie, Wandzie i t. d.; wierzył, że planety wywierają wpływ na życie człowieka i narodu, że komety są zapowiedzią nieszczęść; wierzył, że za panowania Bolesława Wstydliwego «w okolicy Krakowa zjawił się dziw rozgłosny, nad którym się wielu zdumiewało: nowonarodzone dziecię płci męskiej, już w chwili przyjścia na świat, miało zęby i mówiło dobrze i wyraźnie, co oboje, t. j. zęby i mowa, zostały mu aż do chrztu; ale kiedy tylko je ochrzczono, zaraz utraciło zęby i postradało mowę» i t. p. Wogóle niezawsze umiał Długosz odróżniać prawdę od nieprawdy, podanie lub pogłoskę od faktu; dlatego też nie brak w jego kronice opowiadań z prawdą niezgodnych, tem więcej, że nieraz nie mówi on prawdy naumyślnie, przemilczając różne zdarzenia, o których istnieniu doskonale wiedział, a nawet przekręcając je: tłumaczy się to jego miłością Kościoła katolickiego i Polski; tak np. o tem, że na Litwie już przed r. 1386 krzewiono chrześcijaństwo według obrządku wschodniego, że Olgierd był już chrześcijaninem, Długosz z pewnością wiedział, a jednak milczy o tem w kronice — aby cała zaśluga zaprowadzenia wiary chrześcijańskiej na Litwie przypadła w udziale Kościołowi katolickiemu i Polsce. Często również powodował się osobistą miłością albo niechęcią względem ludzi: wynosi np. pod niebiosa Zbigniewa Oleśnickiego, bo kochał go całym sercem, a o Kazimierzu Jagiellończyku wydaje często sąd zbyt surowy, bo nie darował mu tego, że nie chciał być pokornym sługą Kościoła; kiedy jednak Kazimierz Jagiellończyk zwyciężył Krzyżaków, nie szczędzi mu pochwał, ciesząc się serdecznie, że się jego ukochana ojczyzna okryła nową chwałą. Wogóle Długosz jest pisarzem tendencyjnym: przy każdej sposobności opromienia Polskę i Kościół katolicki blaskiem chwały; jego kronika to pierwszy potężny wyraz patriotyzmu polskiego.

Pomimo jednak tendencyjności kroniki Długosza śmiało można powiedzieć że, jak na wiek XV, jest ona dziełem krytycznem.

Oprócz krytycyzmu jest w niej już pewien pragmatyzm. Nie poprzestaje bowiem Długosz na opowieści o wypadkach historycznych, ale usiłuje wyjaśnić ich przyczyny, zwłaszcza pobudki, z których wypłynęły te lub owe czyny ludzkie. W tym celu, idąc za przykładem historyków rzymskich, oraz Kadłubka, wkłada mowy (często przydługie) w usta postaci historycznych, w których ci, co je wygłaszają, wyjaśniają swoim słuchaczom, dlaczego mają takie, a nie inne zamiary. Niedosyć na tem. Rozumiał Długosz, że dzieje na-

rodu to jeden wielki łańcuch przyczyn i skutków, a ponieważ jednocześnie mocno wierzył, że Bóg rządzi światem i że jest sprawiedliwy, więc łańcuch dziejów Polski przedstawił tak, że główną przyczyną jej wszystkich nieszczęść były grzechy, za które Pan Bóg zawsze karze, a główną przyczyną jej wszystkich pomyślności — cnoty, za które Pan Bóg zawsze nagradza. I ten swój pogląd na świat wyraża Długosz w swej kronice z ogromną konsekwencją.

Wogóle jego kronika jest dziełem olbrzymiej wartości i wielkiego znaczenia: przez obszerność swoją i szczegółowość jest najcenniejszem i najbogatszem źródłem znajomości średniowiecznej historii ojczystej; a przez obfitość nagromadzonych i zużytkowanych źródeł i przez dążenie autora do krytycyzmu i pragmatyzmu jest dziełem, przerastającym poziom kronik średniowiecznych i zbliżającym się do poziomu historii. Dopiero w wieku XVIII wydała Polska historyka, który dorównał Długoszowi zasługą i przewyższył go zarówno w krytycyzmie, jak w pragmatyzmie: był nim Naruszewicz.

Styl kroniki Długosza bywa często rozwlekły, nieraz zbyt uroczysty, ale często bardzo żywy; a język łaciński jest bez porównania lepszy, niż w dawniejszych kronikach. Ale bo też wzorował się Długosz na swoim ukochanym Liwjuszu, który wszystkich historyków rzymskich przewyższa talentem epickim.

*** Pogląd na dzieje Polski.** Mężobójca Popiel, wraz z synami swymi zjedzony od myszy, z woli Boga słusznej uległ zatracie... Piast za cnotę ludzkości i gościnności otrzymał tę łaskę, że go nawiedzili aniołowie, a potomstwo jego na tronie Polski szczęśliwie zasiadło... Bolesław Chrobry, rzadki, nawet u panujących, wzór cnoty, przez koronację wywyższony został nad wszystkich książąt słowiańskiego rodu... Bolesław Śmiały, kiedy... targnie się zuchwale na męża bożego i, dopełniwszy na nim morderstwa, śmie nadto usprawiedliwiać swą zbrodnię, wtedy okazuje się drugim dla Polaków Popielem i, cokolwiek Polska za dawniejszych królów i książąt pozyskała chwały i zaszczytu, to wszystko niweczy... Od czasu dokonania zabójstwa na mężu świętym, Stanisławie, biskupie krakowskim, ręką niezbożną Bolesława, króla polskiego, i jego rycerstwa, straciła Polska godność królewską, a rozdrobniona na mnogie dzielnice,... przestaje być ciałem jednym i potężnem, zszedłszy do stanu niedoli i podległości... Przeróżne kłębki spadają na Polskę, a najgorszą z nich — napad Tatarów w r. 1241... Przez długi czas zaniedbana kanonizacja św. Stanisława przyszła nareszcie do skutku w r. 1253... I oto łaskawość Baranka Niebieskiego, który w niezbadanych wyrokach Opatrzności swojej nad wszystkim czuwa i wszystkim rozumem swym rządzi, ulitowała się nad wielorakiem poszarpaniem królestwa polskiego, dała się przebłagać za zbrodnię... i postanowiła potargane ciało królestwa polskiego... zjednoczyć na nowo i wrócić mu dawną chwałę i świetność: wlał Bóg ducha w męża dzielnego, Przemysława, który ku temu wszystkie swoje starania zwrócił i zabiegi, aby ocalić szczytki ojczyzny swojej, nazbyt utrapionej i nieszczęśliwej, podnieść ją do godności królestwa i w jedno połączyć państwo... Za przyczyną św. Stanisława odnosi Łokietek walne zwycięstwo pod Płowcami nad Zakonem krzyżackim... Kazimierz Wielki za zbrodnię gwałtu, popełnioną, kiedy jeszcze bawił na dworze węgierskim, ulega karze: świetne były jego rządy, ale potomstwo jego pomsta

Boża wygubiła... Później zaś za inny postępek nieprawy, z obrazą religii chrześcijańskiej popełniony przez panów polskich, którzy, katolickiego wyznawcę, Wilhelma, księcia Austrii, odepchnawszy sromotnie od prawej małżonki, mimo jej opór i wzbranianie się, połączyli ją z Jagiełłą, człowiekiem dzikim i w pogaństwie wychowanym, — karał potem Bóg sprawiedliwy Polaków niezdarnym rządem i królami, więcej Litwinom, niż Polsce sprzyjającymi.*

*** Bitwa pod Grunwaldem** (w skróceniu). We wtorek, w dzień Rozesłania Apostołów, 15 lipca, król Władysław postanowił przed świtem wysłuchać mszy św.; ale dla silnego i gwałtownie wiejącego wiatru nie można było tak śpiesznie, jak nakazano, zatknąć i rozwinąć namiotu, w którym zwykle odprawiano nabożeństwo, bo co rozwinięto płótna, to je wiatr zrywał. Już wreszcie i dzień nastał, a wiatr począł się wzmagać gwałtowny. Gdy więc dla ciągłej zawiei niepodobna było kaplicy królewskiej mocno ustawić, za radą wielkiego księcia Aleksandra ruszył król obozem; a uszedłszy przestrzeń dwumilową, w której widzieć można było płonące dokoła włości nieprzyjaciół, stanął na polach wsi Rudy i Grunwaldu, mających się wstawić przyszlą w dniu tym bitwą, i pomiędzy gajami i gąszczami, które zewsząd to miejsce zakrywały, kazał rozbić namioty, a kaplicę obozową ponad jeziorem Lubnem na wyniosłym ustawić pagórku, aby przez ten czas, gdy wojsko rozmieszczać się miało na swoich stanowiskach, mógł wysłuchać nabożeństwa. Już Mistrz pruski, Ulryk Jungingen, ściągnął do wsi Grunwaldu, którą miał swoją upamiętnić kłeską, i zbliżka stanął ze swoim wojskiem, a czaty królewskie jeszcze go nie dostrzegły. Po rozwinięciu więc kaplicy obozowej, kiedy król śpieszył do niej na nabożeństwo, przybiegł Hanek, szlachcic ziemi chełmskiej, herbu Ostoja, z oznajmieniem, że nieprzyjaciela widział już o kilkanaście kroków od obozu. A gdy król zapytał, jak liczne było jego wojsko, Hanek odpowiedział, że jedną tylko ujrzał chorągiew i natychmiast z doniesieniem o niej pośpieszył. Ledwo te słowa domawiał, kiedy przybył Dersław Włostowski, szlachcic herbu Oksza, i oznajmił, że widział nadchodzące chorągwie nieprzyjaciół. Jeszcze i ten mówić nie skończył, a już nadbiegł trzeci, po nim czwarty, piąty i szósty, którzy zgodnie powtarzali, że nieprzyjaciel tuż pod obozem stał w gotowości do boju. Król Władysław, tak nagle i niespodzianem nadejściem nieprzyjaciela niezmieszany, za najważniejszą rzecz osądził, aby wprzódy oddać powinność Bogu, nimby do wojny przystąpił. Zarazem, udawszy się do kaplicy obozowej, wysłuchał z wielkim nabożeństwem dwóch mszy, a prosząc Boga o pomoc, z większą, niż zwykle, modlił się gorącością ducha, i żadne prośby i zaklęcia nie zdolały go oderwać od nabożeństwa, póki go do ostatka nie skończył...

Wreszcie skończył król modlitwy, a przywdziawszy zbroję, świętnym od głowy aż do nóg okrył się rynsztunkiem. A chociaż rycerstwo, uszykowane w porządne hufce, wystąpiło już do boju, i nieprzyjaciel z przeciwnej strony stał w gotowości i z orężem w rękę, tak że oba wojska zaledwo na rzut strzały były od siebie oddalone, i już nawet pojedyncze między nimi zagrały harce: uważano przecież za rzecz przyzwoitą, aby czekać, aż król sam wyda hasło do spotkania. Zaczem król Władysław, w pełnej zbroi siadłszy na konia, a wszystkie oznaki królewskie zostawiwszy na boku, dla obaczenia nieprzyjaciela podjechał na wyniosłe wzgórze i stanął na pagórku, między dwoma gajami szeroko rozłożonym. skąd łatwy i dokładny podawał się wi-

dok na wojska nieprzyjacielskie. Napatrzwszy się dowoli zastępom nieprzyjaciół, zjechał na równinę i wielu z towarzyszków pasem rycerskim ozdobił; dla dodania zaś swoim serca krótką, ale silną zagrzał ich przemową, a sam z konia tak, jak na nim ubrany siedział, ponowił jeszcze spowiedź. Gdy wytrąbiono hasło bojowe, wszystko wojsko królewskie zaśpiewało pieśń ojczy-stą *Bogurodzica*, a potem z podniesionemi kopjami pobiegło do bitwy. W tej samej chwili obadwa wojska z głośnym, jak zwykle przed walką, okrzykiem zwarły się z sobą w nizinie, która je przedzielała. Krzyżacy, dwakroć ude-rzywszy z dział, silnem natarciem napróżno usiłowali przełamać i zmieszać swych przeciwników szyki, lubo wojsko pruskie z głośniejszym krzykiem i z wyższego pagórka ruszyło do walki. Było w miejscu spotkania sześć wy-sokich dębów, na które powłaziło wiele ludzi, czy królewskich, czy krzyżac-kich, dla przypatrzenia się z góry pierwszemu na siebie nieprzyjaciół na-tarcu i obu wojsk powodzeniu. Tak straszny za ich spotkaniem z wzajem-nego uderzenia kopij, chrzęstu ścierających się zbroi i szczęku mieczów po-wstał huk i łomot, że go na kilka mil w okolicy słychać było. Mąż na męża napierał, kruszyły się z trzaskiem oręże, godziły w twarz wymierzone wzajem grotą. W tem zamieszaniu i zgiełku trudno rozróżnić było dzielniejszych od niewieściuchów; wszyscy bowiem jakby w jednym zawiśli tłumie. I nie cofali się wcale z miejsca, ani jeden drugiemu ustępował pola, aż gdy nie-przyjaciół, zwałony z konia albo zabity, rum¹ otwierał zwycięzcy. Gdy nako-niec połamano kopje, zwarły się z sobą tak silnie obu stron szyki i oręże, że już tylko topory i grotą, na drzewcach ponasadzane, tłukąc o siebie, prze-raźliwy wydawały łoskot, jakby bijące w kuźniach młoty. Jeźdźcy, ściśnieni w natłoku, szablą tylko nacierali na siebie, i sama już wtedy siła, sama dzielność osobista przeważała.

W czasie toczącej się z zaciętością z obu stron bitwy stał Władysław, król polski, zbliższy i przypatrywał się dzielnym czynom swoich rycerzy, a po-łożywszy zupełną ufność w Bogu, oczekiwał spokojnie ostatecznego pogromu i ucieczki nieprzyjaciół, których widział na wielu miejscach złamanych i pierzchających. Tymczasem wystąpiło do boju szesnastcie pod tyłuż zna-kami hufców nieprzyjacielskich, świeżych i nietkniętych, które jeszcze nie doświadczyły oręża; a część ich, zwróciwszy się ku tej stronie, gdzie król polski stał z przyboczną tylko strażą, pędziły z wymierzonymi włóczniami, jakby prosto ku niemu. Wrzał gorącą chęcią boju król Władysław i, spina-jąc konia ostrogami, chciał rzucić się na najgęstsze szyki nieprzyjacielskie; ledwo drużyna przybocznej straży zdołała go wstrzymać w zapędzie. Jakoż jeden z drużyny, Żoława, Czech, chwycił sam konia królewskiego za wod-de, aby nie mógł dalej postąpić, aż król zniecierpliwiony uderzył go zlekka końcem swej rohatyny², wołając, aby go puścił, a nie bronił mu wyruszyć do walki. Dopiero, gdy wszyscy rycerze straży królewskiej oświadczyli, że wołą raczej na wszystko się odważyć, niżli tego dopuścić, zezwolił na ich prośbę i dał się powstrzymać. A wtem przybiega rycerz z obozu Prusaków, Niemiec, nazwiskiem Dypold Kikierzyc, złotym pasem opięty, w białej pod-bitej kiece niemieckiego kroju, którą u nas jupką albo kaftanem zowią, i cały okryty zbroją, towarzysz ze znaku większej chorągwi pruskiej, do owych szesnastu należącej, i rozpedzony na koniu bułanym dociera aż do miejsca, kędy król stał, a wywijając włócznią, godzi prosto na króla wobec

¹ wolne miejsce.

² włócznia.

całego wojska nieprzyjacielskiego. Gdy więc król Władysław, podniósłszy także włócznię, czekał jego spotkania, Zbigniew z Oleśnicy, pisarz królewski, prawie bezbronny, bo w rękę miał jedno drzewce w pół złamane, uprzedził cios królewski, a ugodziwszy w bok owego Niemca, zwałił go z konia na ziemię. Padł struchlały, a drżącego z bojaźni król Władysław uderzwszy włócznią w czoło, które z opadnięciem przyłbicy odsłoniło się rycerzowi, zostawił go wreszcie nietkniętym. Ale rycerze, trzymający straż przy królu, ubili go na miejscu, a piesze żołdaki zdarły z zabitego odzież i zbroję.

Wojsko krzyżackie, szesnaście owych chorągwi składające, spostrzegłszy, że pomieniony rycerz trupem poległ, zaraz zaczęło się cofać na hasło jednego z Krzyżaków, dowódcy chorągwi, który, siedząc na białym koniu, kopją dawał znak do odwrotu i wołał po niemiecku: *herum, herum!* Zwróciwszy się potem, ruszył na prawo, kędy stała wielka chorągiew królewska, już po zadanej nieprzyjaciółom klęsce, wraz z innymi chorągiewami polskimi. Rycerze królewscy, ujrawszy te szesnaście chorągwi, jedni, poznawszy w nich nieprzyjaciół, jak rzeczywiście było, drudzy, wzięwszy je za wojsko litewskie, a to z przyczyny lekkich i rzutnych włóczni, zwanych sulice, których w wojsku krzyżackim wielka była liczba, — nie zaraz uderzyli na Krzyżaków; spierali się bowiem z sobą, długo byli w niepewności; wreszcie wyprowadzeni z błędu, już nie wątpiąc, że to nieprzyjaciel, w kilkanaście chorągwi rzucili się na owe szesnaście znaków, do których przyłączyły się inne, i krwawą z nimi stoczyli bitwę. A lubo Krzyżacy przez jakiś czas wytrzymali natarcie, wkońcu pobici zostali na głowę. Prawie wszystko rycerstwo, walczące pod owymi szesnastu znakami, legło na placu lub dostało się do niewoli. Po zniesieniu zatem i rozbiciu całej potęgi nieprzyjacielskiej, przyczem także Wielki Mistrz pruski, Ulryk, marszałkowie, komturowie, rycerze wszyscy i najznakomitsi w wojsku pruskiem panowie poginęli, reszta nieprzyjaciół poszła w rozsypkę, a raz tył podawszy, pierzchała ciągle w popłochu.

Władysław, król polski, nierychle wprowadzie i ciężkim okupione trudem, zupełne jednak nad Mistrzem i Krzyżakami odniósł zwycięstwo. Obozy nieprzyjacielskie, zasobne w wielkie bogactwa i zapasy, wozy i wszystek sprzęt wojenny Mistrza i rycerstwa pruskiego, polski żołnierz opanował i złupił. Znaleziono zaś w obozie krzyżackim kilka wozów, naładowanych samymi dybami i okowami, które Krzyżacy, z pewnością rokując sobie zwycięstwo, więcej przyszłym triumfem, niżeli bitwą, zajęci, do pętania Polaków przygotowali. Były i inne wozy, pełne luczywa smolnego, a oblanego łojem i smołą. kiścieni, także smołą i tłuszczem wysmarowanych, któremi Polaków pobitych i uciekających gnać mieli przed sobą. Za wcześnie cieszyli się zwycięstwem, z pychą zaufani w siebie i niepomini, że zwycięstwo jest w rękę samego Boga.

Legło w tej bitwie 50.000 nieprzyjaciela, a 40.000 wzięto do niewoli. ★

★ **Życie, obyczaje i ułomności Władysława Jagiełły** (w skróceniu). Był on synem Olgierda, księcia litewskiego, nazwiskiem Jagiełło; zrodzony z Marji, córki księcia twerskiego, który był wyznawcą Kościoła greckiego... Za łaską i miłosierdziem Boga, który go w poczet prawowiernych chrześcijan policzyc raczył, przez prałatów i panów polskich z ciemnoty pogańskiej do światła wiary nawrócony, przyjął chrzest i otrzymał imię Władysław. Po chrzcie świętym połączył się ślubem małżeńskim z Jadwigą, królową wę-

gierską i polską, córką Ludwika, króla węgierskiego; a po jej śmierci miał jeszcze trzy żony: Annę, Elżbietę i Zofję, z żadną jednak nie żył w szczerzej i prawdziwej miłości małżeńskiej. Wzrostu był miernego, twarzy ściągłej, chudej, u brody nieco zwężonej. Głowę miał małą, podłużną, prawie całkiem łysą...; oczy czarne i małe, niestatecznego wejrzenia, ciągle latające; uszy duże, głos gruby, mowę prędką, kibić kształtną, lecz szczupłą, szyję długą. Na trudy, zimna, zawieje i kurzawy dziwnie był cierpliwy... Sypiać i wczasować się lubił aż do południa, to też mszy świętej rzadko o właściwym czasie słuchał. W prowadzeniu wojen niedbały i ciężki, wszystko staranie na wodzów i zastępców składał. Łaźni zazwyczaj co trzeci dzień, a niekiedy częściej używał. Do rozlewu krwi ludzkiej tak był nieskory, że często największym nawet winowajcom karę odpuszczał. Dla poddanych i zwyciężonych okazywał się dziwnie łaskawym i wspaniałym; tylko tym, którzy mu na łowach i w innych rozrywkach zawinili, nigdy nie mógł przebaczyć. W ludziach umiał dostrzegać cnoty i nie zawiścią, ale przychylnością mierząc czyny i zasługi swego rycerstwa, każdą sprawę chwalebną, czyto w wojnie, czy w pokoju spełnioną, hojnie i wspaniale nagradzał: małą rzeczą ludzi czynił odważnymi, odważnych bohaterami, gotowymi do największych dzieł i poświęceń... Nierozważną szczodrością i rozrzutnością więcej krajowi czynił uszczerbku, niż inni chciwością i łakomstwem. W myślistwie był tak zamilowany, że zaniedbywał sprawy państwa, czem słuszne na siebie ściągał zarzuty. Lubiał patrzeć na bujającą się huśtawkę. Co tydzień, w piątek, z wielką wstrzemięźliwością pościł, przestając na chlebie i wodzie. Zawsze trzeźwy, wina ani piwa nie pijał. Jabłek i ich zapachu nie cierpiał, jadał zato pokryjomu smaczne i słodkie gruszki. Do spełniania obrządków i obowiązków chrześcijańskich częstemi pobudzany przestrogami królowej Jadwigi, w święta Wielkanocy, Zesłania Ducha ś., Wniebowzięcia N. Marji Panny i Narodzenia Pańskiego przystępował do ś. sakramentów pokuty i ołtarza; ale po jej śmierci obyczaj ten ograniczył do samych świąt Narodzenia Pańskiego i Wielkanocy... Corocznie, w Wielki Piątek, dwunastu ubogim w swojej komnacie, w obecności kilku tylko sekretarzy, nogi umywał, a potem każdemu z nich dawał po 12 groszy, tudzież sukno i płótno na przyodziewek... Posty, wigilje i inne nabożeństwa tak żarliwie wypełniał, że więcej zwycięstw modlitwami swemi u Boga wyprosił, niżli orężem wywalczył. Szczery i prostoduszny, nie miał w sobie żadnej obłudy... Ozdób powierzchownych i szat wytwornych nie lubił; chodził zwykle w baranym kożuchu, suknem pokrytym; rzadko brał na siebie strój wykwintniejszy, np. płaszcz z szarego aksamitu, bez ozdób i bez złotogłowiu, i to tylko na większe uroczystości. W inne dni nosił odzież prostą, żółtawej barwy; nie cierpiał soboli, kun i lisów i innych miękkich a kosztownych futer: przez całe życie używał tylko zwyczajnych baranków, nawet w najostrzejszej porze zimowej... Miał niektóre zwyczaje zabobonne: wrywał włosy z brody i, powplatawszy je między palce, wodą ręce obmywał; zawsze, nim z domu wyszedł, trzy razy obrócił się wkoło, łamał słomkę na trzy części i ciskał je na ziemię. Nauczyła go tego wszystkiego matka, greckiego wyznania; ale dlaczego i w jakim celu to czynił, nigdy w życiu nikomu nie powiedział, ani też to łatwo zgadnąć. Powiadają, że często powtarzał, niby przysłowie, to zdanie: «Słówko z ust wyleci płaszkiem, ale, jeśli było niedorzeczne, i chcesz je cofnąć, wróci wołem». Miał także zwyczaj upominać żartem rycerzy, żeby w boju

nie stawali nigdy na przodzie, ani w ostatnim szeregu, ale też nie chowali się do środka. *

*** Przyłączenie ziemi pomorskiej, chełmińskiej i michałowskiej do królestwa polskiego (1466).** Okazał Bóg wszechmogący narodowi polskiemu osobliwszą łaskę swoją i miłosierdzie, gdy i ziemie tak znakomite, zdawna od królestwa polskiego oderwane i w obce ręce zagarnione, i z zawistnym nieprzyjacielem pokój i jedność przywrócił; gniewnych Polakom przychylnymi, niebezpiecznych przystępnymi, srogich łagodnymi, wrogów przyjaciółmi i sprzymierzeńcami uczynił... Rozszerzył granice królestwa polskiego, uzacnił je i wywyższył wobec sąsiednich i odleglejszych narodów, tak że wielu niemieckich i spółczesnych książąt, a z nimi wiele ludów postronnych, uczuło zawiść... Wszelako miasto Wrocław i jego obywatele nieobojętnie złożyli wtedy dowody swej dla króla i królestwa polskiego wdzięczności, wiary i przychylności. Gdy bowiem... dowiedzieli się o zawarciu pokoju, zabrzmiały w ich kościołach hymny dziękczynne, podniosły się między ludem pienia radosne, przy głośnych okrzykach wesołości, biciu we dzwony i rzesistem oświetleniu miasta nocy następnej...

Okazał zwykłą swoją sprawę Bóg, który w początku nie oddalał niebezpieczeństw, ale owszem pomnażać się im pozwolił, i dopiero wtedy, gdy już wszystko, zdawało się, było stracone, przybył na ratunek i nad wszelkie spodziewanie cudowną łaską swojej Opatrzności wojnę, tak straszną i już lat trzynaście trwającą, uśmierzył. W chwili najniebezpieczniejszej, gdy wojna wrzała najgorętsza, gdy obydwie strony dopuszczały się na sobie wzajemnie największych okrucieństw, okazał wielkość miłosierdzia swego, po bożemu nauczywszy ludzi cierpliwości. I zwyciężyła wtedy prawda, chociaż się przez kilka wieków kryła w pomroce, i wyświeciło się dowodnie (co Krzyżacy różnemi wybiegami, fałszem i pozorami starali się podać w wątpliwość), do kogo należeć mają ziemie pomorska, chełmińska i michałowska. I oto ziemie te, o które się przez półtora wieku toczyła walka, przyznane zostały słusznie królestwu polskiemu... Przykład ten niechaj będzie przestrogą dla tych, którzy sobie cudze rzeczy niesłusznie przywłaszczają, aby się lękali kary boskiej, ścigającej wszystkich wydzierców niesprawiedliwych, z tem większą srogością, im się jej mniej spodziewają... Sprawdziło się proroctwo ś. Brygidy, królowej szwedzkiej, zapisane w księdze drugiej jej *Objawień*, w rozdziale XIX, przy końcu, proroctwo, które tu przytaczamy: «Powiedziałem ci — mówi Pan Bóg — o pszczołach, że mają jaką korzyść z rośliny, zwanej rojownikiem (*melissa*). A teraz ci mówię, że takimi pszczołami winni być Krzyżacy, których umieściłem w krajach chrześcijańskich. Tymczasem oni powstają przeciwko Mnie, skoro, nie troszcząc się zupełnie o zbawienie dusz, prześladują tych, co się z ciemnoty błędów nawrócili do wiary chrześcijańskiej i przeszli na Moje łono: obciążają ich pracami, pozbawiają wolności i swobód, nie objaśniają w wierze; odmawiają im sakramentów i gorsze gotują dla nich piekła, niż gdyby byli pozostali w swoim dawnym pogaństwie. Wojny w tym jedynym prowadzą celu, żeby rozszerzyć pole dla swej dumy i podsycić swą żądę chciwości. Przekrociłeś czas, w którym skruszone będą ich zęby i prawica odcięta, i prawa noga poderwana, aby żyli i uświadomili sobie swoje zbrodnie. Amen!» Z tem proroctwem ś. Brygidy połączyło się jeszcze zjawisko niebieskie: kometa.

przez dwa lata trwająca, zwiastowała długą i straszną wojnę i wyrugowanie Krzyżaków z ziem, które byli przemocą zagarnęli.*

* **Pisarz tej książki cieszy się, że za jego życia Prusy połączyły się z królestwem polskiem.** I ja, piszący te kroniki, czuję niemałą pociechę z ukończenia wojny pruskiej, z odzyskania krajów, zdawna od królestwa polskiego odpadłych, i z przyłączenia Prus do Polski. Bolało mnie to bowiem, że królestwo polskie szarpane było dotąd i rozrywane od rozmaitych ludów i narodów. Teraz szczęśliwym miennie i siebie, i swoich współczesnych, że oczy nasze oglądają połączenie się krajów ojczystych w jedną całość; a szczęśliwszym byłbym jeszcze, gdybym doczekał odzyskania za łaską bożą i zjednoczenia z Polską Śląska, ziemi lubuskiej i ślępskiej... Z radością zstępowałbym do grobu i słoński miałbym w nim odpoczynek.*

10. Pomimo że Akademia Krakowska uprawiała nadewszystko dwie główne nauki średniowieczne: scholastykę i teologję, już w pierwszej połowie XV stulecia przedostawały się do niej z Zachodu, mianowicie z Włoch, nowe prądy nauki i nowe prądy życia, które znane są w historii pod nazwą humanizmu.

Człowiek średniowieczny posiadał małą wolność — czynów zarówno, jak myśli, krępował ją bowiem Kościół. Co do wolności czynów, to Kościół uczył, że, ponieważ nietylko głównym, ale jedynym celem życia ludzkiego jest chwala boża i zbawienie duszy, że właściwą ojczyzną człowieka jest nie ta marna ziemia, na której żyje, ale Królestwo Niebieskie, więc nie wolno mu się przywiązywać do życia ziemskiego, które powinien poczytywać jedynie za środek do osiągnięcia wiekuistego szczęścia w niebie; a tak wszystkie czyny ludzkie i wogóle całe życie duchowe i cielesne, prywatne i publiczne, odświętne i codzienne, wprzęgał Kościół w służbę chwały bożej i zbawienia duszy; wytknięcie życiu ludzkiemu tego jednego głównego celu, skupiającego wszystkie inne, to jedna z największych zasług Kościoła średniowiecznego, pomimo że nieraz wpadał on w przesadę, odmawiając życiu ziemskiemu wszelkiej rzetelnej wartości. Co do wolności myśli, to i tę krępował Kościół średniowieczny, nie pozwalając jej dochodzić do wyników, niezgodnych z nauką kościelną, i to nietylko w dziedzinie religijnej, ale i we wszystkich innych dziedzinach, np. w badaniach przyrodniczych: ślepą wiarę we wszystko, w co kazał wierzyć Kościół, i dobrowolną pokorę rozumu poczytywano za jedną z największych cnót. Otóż przyszedł czas, kiedy się człowiek zaczął burzyć przeciwko tej niewoli. Z jednej strony przestał poczytywać życie doczesne za marność i, zamiast myśleć ustawicznie o chwale bożej i zbawieniu duszy, zapragnął już tutaj, na ziemi, radości życia — szczęścia i rozkoszy, dobrobytu i potęgi; a z drugiej strony myśl ludzka stawała się coraz śmielszą, domagała się też, zwłaszcza w dziedzinie naukowej, coraz większej wolności, choćby nawet wyniki jej pracy miały być niezgodne z nauką Kościoła. W związku z tem dążeniem do wolności czynów i myśli zaczęto z coraz większem upodobaniem zwracać się ku starożytności greckiej i rzymskiej, jako ku tej epoce, kiedy to i czyny ludzkie miały większą wolność, niż w wiekach średnich, i myśl ludzka bujała śmiało i swobodnie.

Ten zwrot w życiu i umysłowości Europy zachodniej zaczął kiełkować już w wieku X i XI (we Francji i w świętem cesarstwie), ale do pełnego rozkwitu dochodzi dopiero w wieku XIV i XV — we Włoszech, a dokonał

się w znacznej mierze dzięki odrodzeniu literatury starożytnych Rzymian i Greków. Otóż humanizmem nazywa się prąd życia i kultury duchowej, którego istotę stanowi dążenie człowieka do wolności czynów i ducha, do pełni i radości życia ziemskiego, a który powstał przy pomocy odrodzenia literatury starożytnej.

W wiekach średnich prawie zupełnie nie znano w Europie zachodniej autorów greckich; (do wyjątków należał Arystoteles, w lichych przekładach łacińskich); autorów rzymskich wprawdzie znano, ale, po pierwsze, nie wszystkich, a po drugie, nie odczuwano piękności literatury rzymskiej, szukając w niej wyłącznie mądrości i nauki moralnej. Dopiero poeci i uczeni włoscy XIV, a zwłaszcza XV wieku, zaczęli ją nie tylko badać, ale kochać i uwielbiać, żywo odczuwając jej piękność: tym sposobem odradzała się literatura rzymska. W wieku XV, kiedy po zdobyciu Konstantynopola przez Turków uczeni greccy zaczęli wędrować na Zachód, niosąc z sobą rękopisy autorów greckich, odrodziła się i literatura grecka. Olsnieni pięknością autorów starożytnych, pisarze włoscy zaczęli ich naśladować, posługując się prawie wyłącznie językiem łacińskim, tylko już nie zepsutym średniowiecznym, ale poprawnym, «klasycznym», t. j. takim, jakim pisywali znakomici autorowie rzymscy. Podziwiano w pisarzach starożytnych nie tylko mądrość i piękność, ale także ich swobodę twórczości i myśli badawczej, której żadne pęta nie kępowały. Ta zaś miłość pogańskiej literatury Greków i Rzymian i przejęcie się jej duchem nie dały się naturalnie pogodzić z chrześcijańską nauką kościelną; to też humaniści (t. j. znawcy i wielbiciel literatury starożytnej) wypowiedzieli walkę nauce średniowiecznej i wogóle życiu średniowiecznemu, sztydząc z tych, którzy myśleli więcej o zbawieniu duszy, niż o życiu i użyciu, oraz z tych, którzy się bali lub nie pragnęli wolności myśli, a więc nadewszystko z mnichów i zwolenników scholastyki. Wogóle humaniści zaczęli krytykować wszelkiego rodzaju powagi, czy to życiowe: Kościół i państwo, czy naukowe: teologję i scholastykę, przy czem nieraz posuwali się w krytyce tej zbyt daleko, burząc często nie tylko naukę Kościoła średniowiecznego, ale i moralność chrześcijańską: przejęci duchem literatury pogańskiej, podziwiając wolność myśli Greków i Rzymian, pragnąc wyssać z kielicha życia wszystkie słodycze, godziwe i niegodziwe, głosili hasło nie tylko wolności myśli, ale i bezwzględnej wolności czynów, a tę rozumieli fałszywie i przewrotnie, jako możliwość postępowania tak, jak się każdemu podoba, i nie kępowali się zasadami moralnymi. Dlatego to świetnemu rozkwitowi życia umysłowego we Włoszech w XV i XVI wieku towarzyszył upadek moralności.

Lecz humanizm nie tylko burzył i niszczył, ale wznosił i budował. Rozwijając w ludziach miłość życia ziemskiego i nie uznając go za marność, przyczynił się niezmiernie do wszechstronnego rozwoju kultury zarówno duchowej (umysłowej i estetycznej), jak materialnej. W pracy nad budową tej kultury człowiek nowoczesny miał nowe pobudki, któremi wieki średnie gardziły: troskę o dobrobyt i wygodę, oraz ambicję osobistą i dążenie do sławy, które dawniej uchodziły niemal za grzech wobec obowiązku pokory. Wogóle dopiero w epoce humanizmu rozkwitł indywidualizm: człowiek zaczął sobie coraz lepiej uświadamiać swoją odrębność od innych ludzi i rościł sobie coraz większe prawo nie tylko do jej pielęgnowania, rozwijania, ale i uzewnętrzniania. A stąd jednym z ulubionych tematów poezji humanistycznej są koleje własnego życia poety, oraz jego uczucia i myśli.

Niedosyć na tem: coraz lepiej zaczęto rozumieć i odczuwać tę prawdę, której pełny i wspaniały rozkwit przypadnie dopiero na wiek XIX, że nie tylko jednostka, ale i każdy naród posiada swoją odrębność, którą wolno i należy pielęgnować i rozwijać. Patryjotyzm nowoczesny jest dziecięciem epoki humanizmu, a wzrastał pod ogromnym wpływem literatury starożytnej, zwłaszcza pism Cycerona.

W badaniach naukowych umysł ludzki stawał się coraz śmielszy: za główne źródło wiedzy poczytywał już nie tradycję i książkę, nie Pismo święte i Arystotelesa, jak w wiekach średnich, tylko własną pracę — własne doświadczenie, własną obserwację ludzi i świata, własne rozumowanie. Humanizm to stworzył nowe podstawy dla nauki o człowieku i o naturze, to jest dla nauk humanistycznych i przyrodniczych. Wogóle w każdej dziedzinie życia, a nadewszystko w dziedzinie nauki i literatury, humanizm stanowi epokę.

Z Włoch rozpowszechniały się te wszystkie nowe prądy życia po całej Europie zachodniej i dotarły do Polski. Po raz pierwszy poznali je ci Polacy, którzy byli obecni na soborze powszechnym w Konstancji (1414—1418), t. j. uczeni, i oni to przywieźli z sobą do kraju wiadomości o nowem życiu. Od tej chwili rodzi się powoli i w Krakowie zapal dla autorów rzymskich i chęć pisania i mówienia tak pięknym językiem łacińskim, jak oni. Na dworze Zbigniewa Oleśnickiego nie brakło już humanistów. A i w Akademji Krakowskiej ukazali się już w pierwszej połowie XV wieku dwaj nauczyciele, którzy są pierwszymi humanistami polskimi: Jan z Ludziska i Grzegorz z Sanoka.

Jan z Ludziska, Wielkopoleśnik, doktor i profesor medycyny, był pierwszym w Polsce zapalonym wielbicielem Cycerona i pilnie troszczył się o to, żeby profesorowie Akademji Krakowskiej wykładali i przemawiali piękną łaciną. Sam zasłynął jako znakomity mówca. A z mów jego zasługuje na uwagę ta, którą powitał raz Kazimierza Jagiellończyka, zwiedzającego Akademię; w mowie tej nie tylko okrywa pochwałami króla i Polskę, ale nadto upomina króla, aby ulżył niedoli chłopskiej: «Dlaczegoż w tym kraju bogaty chłopci żyją w niewoli i cierpią taki ucisk, jak niegdyś synowie Izraela w Egipcie?... Królu! Z pomiędzy tylu książąt, godnych korony, obrali sobie Polacy ciebie, tusząc, że dokonasz wielu reform, że, pomiędzy innemi, ukrócisz zebranię możnych, a zniesiesz niewolę chłopów,... że powrócisz wolność chrześcijanom, zamieszkującym to królestwo; jasną albowiem jest rzeczą, że natura wszystkich ludzi zrodziła równymi». Pierwszy to głos w naszej literaturze w obronie ludu wiejskiego.

Grzegorz z Sanoka (zmarły jako arcybiskup lwowski w roku 1477) z zapalem wykladał w Akademji sielanki Wirgiljusza, uwydatniając ich piękno; wykłady te cieszyły się podobno wielkiem powodzeniem. Scholastyki Grzegorz z Sanoka nie cierpiał, nie wierzył ślepo w powagi średniowieczne (ośmielał się np. krytykować Kadłubka), życie prowadził swawolne, rozumiał wartość nauk przyrodniczych, kochał literaturę rzymską i sam pisywał wiersze łacińskie, naśladowując poetów rzymskich: zresztą poezyj tych prawie zupełnie nie znamy, te zaś, które znamy, wcale nie świadczą o wybitniejszym talencie. Wogóle wszystko prawie, co wiemy o Grzegorzu z Sanoka, zawdzięczamy opowiadaniu jego przyjaciela, a był nim humanista

włoski. **Filip Buonacorsi**, zwany **Kallimachem**¹, który, wygnany z Rzymu za wolnomyslność, długo się tułał po świecie, aż przywędrował do Polski i, doznawszy gościnności od Grzegorza z Sanoka, osiadł we Lwowie, później zaś dostał się na dwór królewski i był nauczycielem synów Kazimierza Jagiellończyka, a po jego śmierci — doradcą króla Olbrachta. Otóż Kallimach, który w Polsce niejedno napisał dzieło (pomiędzy innymi zyciorys Grzegorza z Sanoka i historję Władysława Warneńczyka), niemało przyczynił się do tego, że królewicze i dworzanie królewscy przejęli się zamięłowaniem literatury starożytnej. Krzewili humanizm i inni cudzoziemcy-humaniści, np. poeta niemiecki, Konrad Celtis, oraz różni uczeni i poeci ze Śląska. Pomimo to wszystko humanizm rozwijał się u nas w wieku XV bardzo powoli i bardzo słabo: przejęły się nim jedynie najwyższe warstwy społeczeństwa. Wobec tego i na literaturę XV wieku humanizm wywarł wpływ bardzo niewielki; byli wprawdzie poeci, którzy pisywali wiersze łacińskie, ale nie pięknego nie napisali.

11. Zato niektóre utwory prozy polsko-łacińskiej XV stulecia uległy znacznemu wpływowi literatury rzymskiej: kronika Długosza, duchem średniowieczna, w stylu, jak widzieliśmy, wzoruje się na Liwjuszu; niedość na tem: jest jeden utwór, na którym humanizm wycisnął bardzo silne piętno także i pod względem treści, utwór, ożywiony w znacznej części duchem już nie średniowiecznym, tylko nowożytnym. Dziełko to, napisane za panowania Kazimierza Jagiellończyka, ma tytuł: *Monumentum pro Reipublicae ordinatione (Memoriał w sprawie uporządkowania Rzeczypospolitej)*. Jego autorem jest pierwszy nasz znakomity pisarz świecki, magnat wielkopolski, **Jan Ostroróg** (zmarły r. 1501, jako wojewoda poznański). W piśmie tem, skreślonym w przededniu sejmku nowokorczyńskiego w roku 1475, po raz pierwszy w literaturze polskiej uwydatnia się silnie znamienne cecha humanizmu: walka z powagami, a mianowicie krytyka państwa i krytyka Kościoła. Po raz pierwszy także w literaturze naszej ukazuje się tutaj słynna nauka Cyncerona o obowiązkach patryjotycznych: «Wy, przezacni panowie! — tak zaklina Ostroróg posłów na sejm — filary i podstawy, osie i dźwignie ojczyzny! Pokażcie swemi słowami i czynami, że kochacie ojczyznę więcej, niż samych siebie, rzecz pospolitą więcej, niż prywatną, więcej, niż własne dzieci, niż własnych braci, niż własne wszelakiego rodzaju mienie: a tak w powszechnej pomyślności wzrośnie także dobrobyt prywatny, i wszystko, co ustanowicie, będzie miało trwałą wartość; jeżeli zaś dobro powszechne dozna uszczerbku, to i pomyślność prywatna pójdzie na marne i runie». Tę naukę Cyncerona rozwinie w XVI wieku Skarga.

Dopatrując się wielu wad i niewłaściwości w państwie polskiem, Ostroróg pragnie je przekształcić, doradza więc, by zreformować skarb, wojsko, a zwłaszcza sądy i prawodawstwo. Mówi Ostroróg: «Niech będzie jedno prawo, wszystkich obowiązujące, bez żadnej osób różnicy...; jednym i tem samem prawem zarówno wszyscy mieszkańcy kraju mogą i powinni się rządzić»; nie znaczy to, żeby się domagał równouprawnienia, skoro, jego zdaniem, kara za zabójstwo powinna być, jak dawniej, inna dla chłopów, a inna dla uprzywilejowanej szlachty: on żądał tylko, by wszyscy bez wy-

¹ Kallimach — poeta grecki III wieku przed Chr.; humaniści lubili przybierać sobie imiona pisarzy starożytnych.

jątku podlegali prawom krajowym, a tego właśnie nie było w Polsce, mięszczenie bowiem rządili się prawem niemieckiem. Za najlepsze zaś prawo dla kraju poczytywał Ostroróg, jako zapalony wielbiciel literatury i nauki rzymskiej, prawo nie polskie, tylko rzymskie, nie rozumiejąc, że, co było dobre dla Rzymu, to może być złe dla Polski.

Ale więcej jeszcze raził go średniowieczny stosunek państwa polskiego do Kościoła, oparty na posłuszeństwie panującego względem władzy kościelnej. Zresztą Kazimierz Jagiellończyk pokazywał już rogi Kościołowi, nad czym Długosz ubolewał, a z czego się Ostroróg cieszył i pysznił, jego bowiem zdaniem, król polski nie powinien znać nad sobą żadnej zwierzchności prócz Boga; (i znów uwydatnia się tutaj znamienna cecha humanizmu: dążenie do wolności). Wogóle Polska, zdaniem Ostroroga, chociaż powinna zostać posłuszną papieżowi w rzeczach wiary, może i powinna sama rządzić swoim Kościołem katolickim, a więc np. wszelkiego rodzaju opłaty, które Polska wysyła do Rzymu, powinny być zniesione, Polska bowiem nie ma pieniędzy na wyrzucenie; biskupów powinien mianować nie papież, tylko król polski, duchowieństwo nie powinno mieć osobnych przywilejów i t. d.

Te wszystkie i inne żądania wypowiada Ostroróg, jak przystało na humanistę, z nieznaną dawniej w literaturze polskiej pewnością siebie, z prawdziwie młodzieńczym zapałem i z wielką dumą narodową. Zdając sobie już jasno sprawę, że Polska to naród wielki i potężny, Ostroróg szczyli się tem, że jest Polakiem, a tu i owdzie wpada nawet w szowinizm, odzywając się z niechęcią o cudzoziemcach (pomimo że wykształcenie swoje zawdzięczał podróżom zagranicę), zwłaszcza o Niemcach, osiadłych w Polsce. Ta duma narodowa stanowi wybitną cechę jego pisma.

Dzielo Ostroroga jest utworem bardzo ważnym: jest mianowicie pierwszym silnym głosem, żądającym dokonania różnych zmian w państwie polskim, innemi słowy, jest początkiem naszej literatury politycznej.

*** O powinszowaniu papieżowi nowoobranemu.** Odwiedzić nowego papieża, powinszować mu tego wyniesienia, napomnieć i zachęcać, aby sprawiedliwie i świątobliwie Kościołem Chrystusa rządził, także oświadczyć i wyznać, że król z całym królestwem wiarę katolicką zachowuje: w tem wszystkim nie widzę nic złego; ale żeby roztropną było rzeczą obiecywać posłuszeństwo we wszystkim (jak to zwykle papieżowi obiecują), — na to żadną miarą nie przystanę. Sprzecznością bowiem jest co innego mówić, a co innego czynić. Twierdzi król polski (i słusznie, bo nikomu nie ulega!), że prócz Boga nie zna nad sobą żadnej zwierzchności: jakże to pogodzić z prawdą, jeśli mówić będziemy do papieża tak, jakżeśmy dotychczas, winszując mu, mówili? Niech sobie nadal pozostaną odwiedziny, ale pod imieniem uszanowania, nie posłuszeństwa, bo to absurd, uwłaczający wolności króla polskiego! *

*** O dochodzeniu sprawiedliwości w Magdeburgu.** Co za oglupienie, co za niedbalstwo, co za wstyd, i hańba, i sromota! Jakaż potrzeba (czyli raczej głupota!) zniewala nas do tego, żeby w tem sławnem i wolnem królestwie trwał tak długo — ku wzgardzie króla, ku poniewierce możnych panów i ku niesławie całej wogóle społeczności szlacheckiej — zwyczaj szukania sprawiedliwości w Magdeburgu, i to u kogo? u brudnych i plugawych rzemieślników, u ludzi najniższej warstwy, którym, jak mniemam, tak daleko od

stanu uczonych, że należy pogardzać nimi, jak najgorszymi szumowinami. Jakgdyby w całym naszym królestwie nie znalazł się ani jeden sprawiedliwy i biegły sędzia! Jakgdyby nam brakowało mężów mądrych, roztropnych i wykształconych! Ocućcie się raz przecie, waleczni mężowie! Zrzućcie z siebie tę hańbę sprośną i nie kalajcie się dłużej jej brudem, wstyďte się — zaklinam was — takiej małoduszności, którąście się wszędzie wobec cudzoziemców osławili! *

* **O kazaniach w języku niemieckim.** O! co za ujma i osława dla wszystkich Polaków! Po wielu miejscach w świątyniach naszych odbywają się kazania po niemiecku, i to w miejscu wyniosłem i okazałem; słuchają ich jedna lub dwie baby, a tłumy Polaków duszą się gdzieś tam w kąciuku ze swym kaznodzieją! Ponieważ zaś między temi dwoma językami (jak i pod innym jeszcze względem) samo przyrodzenie zaszczerpiło wieczną niezgodę i nienawiść, napominam, aby w tym języku nie kazywano. Niech się uczy mówić po polsku ten, kto chce w Polsce mieszkać! Chyba, że takie z nas półgłówki, że zapominamy, iż Niemcy z naszym językiem podobnie obchodzą się u siebie. Jeżeli zaś potrzeba takich kazań dla przybyszów, niechże się one odbywają gdzieś na ustroniach, bez ujmy dla godności Polaków! *

12. Kiedy się proza polsko-łacińska XV wieku szczyti tak znakomitem dziełem, jak kronika Długosza, i tak wybitnem, jak traktat Ostroroga, na prozę polską składają się prawie wyłącznie przekłady różnych pism religijnych, dokonane z języka łacińskiego, najczęściej przy pomocy przekładów czeskich. Są to więc, właściwie mówiąc, pomniki nie literatury, tylko języka polskiego.

Tłumaczono modlitwy i pobożne rozmyślania, z których powstawały modlitewniki czyli książki do nabożeństwa, jak np. *Modlitewnik siostry Konstanczyjej*, *Modlitwy ubogiego Waclawa*, *Modlitewnik Nawojki*, *Powieść o papieżu Urbanie* i t. d. Tłumaczono także legendy o świętych (np. *Żywot św. Błażeja*). *Psalterz florjański* przepisano w wieku XV na nowo, zamieniając przestarzałe formy i wyrazy nowemi: jest to tak zwany *Psalterz puławski*, rękopis jego bowiem był niegdyś własnością biblioteki Czartoryskich w Puławach: (obecnie znajduje się w Muzeum Czartoryskich w Krakowie).

Najważniejszym zabytkiem języka polskiego XV wieku jest *Biblia Królowej Zofji* czyli *Biblia Szarospatacka* — przekład Pisma św., dokonany dla czwartej żony Władysława Jagiełły, Zofji: do naszych czasów przechowała się tylko część rękopismu, która dziś znajduje się w bibliotece szkolnej w Szarospataku na Węgrzech. Początek tego zabytku, bardzo ważnego pod względem językowym, brzmi, jak następuje:

* Na początce bog stworzył nyeho yszemyφ alye szemya bila nyevszyteczna a proszna, a czmi bili natwarzy przepaszczy, advch boszy naszweczye nad wodamy. Y rzekł bog, bφdz szwyatlo, y stworzono szwyatloszcz, avszrzal bog szwya-

* Na początce Bóg stworzył nieho i ziemię, ale ziemia była nieużyteczna a próżna, a émy były na twarzy przepaści¹, a Duch Boży na świecie nad wodami. I rzekł Bóg: bądź światło, i stworzono światłość. A ujrzał Bóg światłość, iż jest do-

¹ a ciemności były nad przepaściami.

tloszcz ysze gest dobra, yrozdzyli szwyatloszcz ode czmi y nazwal gest szwyatloszcz dnyem, aczmi noczφ yvczynyl wyeczor asyutra dzien gedn. lepak rzeczε bog bφdz stworzenye wposzczod wod. arozdzyli wodi od wod. Y vczynyl bog stworzenye y rozdziyl wodi gesto byli podstworzenym ottich gesz byli natstworzenym. Y stalo sze gest tako. y nazwal bog stworzenye nyebem. istal sze wyeczor azyutra dzen drugi. Weszrzal lepak bog y rzekl. Sgromaczyste sze wodi geszto podnyebem sφ wmyasto gedno, avkasz szφ svchoszcz, astalo szφ gest tako.

bra, i rozdzielił światłość ode ćmy i nazwał jest światłość dniem, a ćmy nocą; i uczynił wieczór a z jutra dzień jeden. Lepak¹ rzecze Bóg: bądź stworzenie wpośród wód, a rozdzielił wody od wód. I uczynił Bóg stworzenie i rozdzielił wody, jeżto² były pod stworzeniem, od tych, jeż były nad stworzeniem. I stało się jest tako. I nazwał Bóg stworzenie niebem, i stał się wieczór, a z jutra dzień drugi. Wezrzal lepak Bóg i rzekl: zgromadźcie się wody, jeżto pod niebem są, w miasto jedno, a ukaz się suchość. A stało się jest tako.*

Lecz pobożnym ludziom średniowiecznym nie wystarczały do zaspokojenia uczucia religijnego ani psalterze, ani modlitwy, ani żywoty świętych, ani nawet Ewangelja: pragnęli oni poznać życie Chrystusa i Matki Boskiej w najdrobniejszych szczegółach, a nie znając ich w Piśmie świętem, znajdowali je — we własnej fantazji: w ten sposób powstało w Europie średniowieczne mnóstwo apokryfów, to jest powieści religijnych, których treścią jest właśnie życie Zbawiciela i Marji, opowiedziane tylko w małej części na podstawie Pisma świętego, głównie zaś wysnute z bujnej fantazji. Apokryfy pisywano pierwotnie po łacinie, a z łaciny tłumaczono je na różne języki narodowe. Otóż i w Polsce przekładano powieści religijne, a najobszerniejszą z nich i najciekawszą jest pochodzące z drugiej połowy XV wieku **Rozmyślanie przemyskie**; nazywa się tak dlatego, że rękopis ocalał w kapitule unickiej w Przemyślu. Jest to połączenie w jedną całość kilku apokryfów łacińskich. Treść stanowi życie Joachima i Anny (rodziców Najświętszej Panny), życie Matki Boskiej i życie Pana Jezusa od dzieciństwa aż do męki krzyżowej. Większa zawartych tu szczegółów nie ma nic wspólnego z Ewangelją. Czytamy np., że, kiedy się Pan Jezus urodził, cesarz August ujrzał na niebie dziewicę z dzieciątkiem, że na ziemię spadł miód, a rzeki stanęły na całe trzy godziny; że podczas ucieczki do Egiptu św. Józefowi i Marji wskazywały drogę różne zwierzęta, jakoto «łosiowie, lwowie, niedźwiedziowie, zębrowie³, łanie, jelenie, turowie, słoniowie, sarny, liszki, małpy, wilcy, gronostajowie, rysiewie, leśna i polnia zwierzęta»; że już od małego dziecka Jezus czynił rozmaite cuda.

* **O wodzie, którą nosił Matce swej, a jako dzbany rozbite czynił cało.** Studnia była blisko Nazareta, k niejże chodzili są często, a nosił wodę swej Matce. Takż jednego dnia szedł, nosząc dzban w ręku, gdzież silną, dziwną rzecz pokazał. Bo ten istny⁴ dzban, co w ręku nosił, rozbiwszy, i naczyrpał wody w podolek swego odzienia i nosił, jako w wie-drze, i niedna⁵ kropia⁶ nie ukanęła⁷. Użrawszy to, ine dzieci rozbiły swoje dzbany i jęły czyrpać wodę podolki⁸, ale woda, podług swego przyrodzenia,

¹ zaś, lecz.

² kótoreto.

³ tygrys.

⁴ ten sam.

⁵ ani jedna.

⁶ kropła.

⁷ kapnąć.

⁸ podolkami.

przeszedłszy przez chusty, i wyciekła dziurami przez chusty. Tako ony, lękawszy się wrócić do domu, ale płakały, siedząc pospołu u studnie. Tedy Jezus kazał im, aby zebrały swoje dzbany. Tako dzieci, zebrawszy ty istne skorupy, i położyły przed nogi Jezusa Krystusowemi. Tako Jezus, ony skorupy przeżegnawszy, i kazał im... aby każde złomienie natychmiast się wróciło i przyłączyło się swemu stawu. Tak nagle ony skorupy nagle się same zlepily, a takoz ty istne sądy¹ złomiony były potem całe, i dzbany, które się w małe skorupy złamały, były całe natychmiast, jako przedtem. Tako to użrzały dzieci, wielkiem weselim wezmą swoje wiadra i naczyrpały je wody i wróciły się do domu z wielką radością, dziwiąc się temu dziwu wielkiemu. *

*** Czcienie² o tem, jako ślali Jezusa po ogień Maryja i Józef.** Kiedy miły Jezus swej Matce posługował, wezwawszy, i posłała po ogień. Tedy on, wzięwszy węgle w łono swej suknie, poniósł. Chcąc takież inne dzieci uczynić, i zeżgły sobie suknie, a nie śmiały do domu, ale stały na ulicy, płacząc a rzekąc, iż sam czarownik nam szkodę czyni; a przydąc do domu, skarżyły macioram, iż on czarownik kazał nam, bychmy brali ogień w suknie, i zeżgliśmy suknie sobie. Bieżawszy ony, i skarżyły Józefowi i Maryjej. A miły Jezus kazał im suknie zwlec i uczynił im zasie całe, jako pirwej. *

*** O tem, jako miły Jezus zawieszał dzban na promieniu słonecznym.** Kiedy miły Jezus nosił wodę swej miłej Matce, którąż Ona chciała pić, tako, zawiesiwszy sąd na promieniu słonecznym, i ciągnął za sobą słońce, jako powróż, z tem wiadrem. *

Tłumaczono z łaciny także powieści świeckie, napoły historyczne, napoły fantastyczne. Najulubieńszą była **Aleksandreida** czyli Historja Aleksandra Macedońskiego; część pierwsza, osnuta na tle historycznym, opowiada o wojnach największego wojownika starożytności; druga, nie mająca już z prawdą dziejową nic wspólnego, mówi o podróżach Aleksandra po różnych krainach fantastycznych, zamieszkanych przez dziwożony, olbrzymie mrówki, wielkoludów, psiogłowców i t. d. Kończy się powieść nauką moralną o znikomości człowieka i spraw jego; (bo ludzie średniowieczni ze wszystkiego wyciągali sens moralny, nawet z opowiadań bezsensownych i niemoralnych).

*** Jako gdy Aleksander prosił widzieć głębokość morską.** Potem wszedł Aleksandrowi w serce, iżby szukał głębokości morskiej, iżby się też badał o wszelkich rodzajach ryb. A natychmiast kazał k sobie wezwać szklarze i przykazał im, aby uczynili każdą szklaną jasną, aby wszystkie rzeczy mogły być widziany przez ono szkło. I stało się jest tak. Potem kazał one każdą łańcuchy żelaznymi uwiązać i kazał dźierać co namocniejszym rycerzom. A on, wszedłszy w one każdą szklaną, i kazał dziurę zalać smołą warzoną i wpuścić się w głębokość morską. I widział tamo rozmaite wyobrażenie ryb i rozmaite farby, mając na sobie wyobrażenie zwierząt ziemie; a cho-

¹ naczynia. ² czytanie.

dząc po ziemi na dnie w morzu, ony zwierzęta deptały nogami owoce drzew, które się rodziły w morzu. A ony to morskie dziwy przychodziły blisko jego, a zasie uciekały. I widział też wiele inszych dziwów, których nie chciał był żadnemu człowiekowi objawić dlatego, iżeby się ludziami widziały być niedowierzające. Czas jego mieszkania w wodzie, który powiedział rycerzom swoim Aleksander, przyszedł był, i wyciągnęli go na górę z wody.

Potem, ruszywszy zastępu¹, i szedł jest na brzegi morza Czerwonego i stanował się² na miejscu, gdzie należli zwierzęta, które miały na głowach kości, jakoby piły żelazne, a ostre jako miecz, któremi były rycerze Aleksandrowy i ich pawęże³ przebijały, a zwano je, ony zwierzęta, jenorożce. A wszekoż ich pobili ośm tysięcy i pięćset i pięćdziesiąt. Potem, ruszywszy zastępu, i przyszli na miejsce puste na morzu Czerwonym i do Arabijej, na którychto miejscach było węzów barzo wiele, a były tamo ony węże dziwnej wielkości, mając na głowie rogi, jakoby skopowie, któremi zabijali rycerze Aleksandrowe, a wszekoż ony rycerze pobili wielkość onych węzów.*

13. Poezja polska XV wieku jest o wiele oryginalniejsza od prozy: kiedy na prozę składają się dosłowne przekłady z łaciny, utwory poetyckie bywają często mniej lub więcej wolną przeróbką tekstów łacińskich. Najbogatszy dział poezji religijnej stanowią pieśni. Układano je dla tych nade wszystko, co po łacinie nie umieli, a więc dla kobiet i prostaczek; nie silono się na sztukę: w sposób najprostszy, często bardzo naiwny, ale szczery i serdeczny, wypowiadano swoje uczucia religijne, zwłaszcza głęboką cześć ku Najświętszej Pannie: pieśni o Matce Boskiej, czyli pieśni maryjne, są najliczniejsze. Ich «składacze» (t. j. autorowie) są po większej części nieznan; dochowały się np. tak zwane *Pieśni łysogórskie*, których jednym ze składaczów był podobno jakiś Słopuchowski, ale życia jego zupełnie nie znamy.

Wśród tych *Pieśni łysogórskich* jedna chwytła za serce prostotą i rzewnością; jej treścią jest wręcz wspaniała w swojej rytmiczności **Skarga Matki Boskiej pod Krzyżem**.

Zamęt ciężki dostał się mnie, ubogiej żenie,
Widząc rozkrwawione me mile narodzenie.
Ciężka moja chwila, krwawa godzina,
Widząc niewiernego Żydowina,
Iż on bije, męczy mego milego Syna.
Synku miły i wybrany,
Rozdziel z Matką swoje rany!
A wszakom Cię, Synku miły, w swem sercu nosiła,
A także Tobie wiernie służyła.
Przemów k Matce, bych się ucieszyła,
Bo już idziesz ode mnie, moja nadzieja miła!
Synku! Bych Cię nisko miała,
Niecóż bych Cię wspomagała:
Twoja główka krzywo wisa, — toć bych ją podparła,
Krew po Tobie płynie, — toć bych ją utarła;
Picia wołasz, — piciać bych Ci dała,
Ale nielza⁴ dosięć Twego świętego ciała!

¹ wojsko. ² rozłożył się obozem. ³ tarcze. ⁴ nie można, nie mogę.

O, Angiele Gabryjele,
Gdzie jest ono Twe wiesiele,
Cóż mi go obiecował tako barzo wiele?
A rzekący: Panno! pełna jeś miłości!
A ja pełna smutku i żałości!
Spróchniało we mnie ciało i moje wszystkie kości!..

Wyrazem uwielbienia względem Marji jest *Pieśń o Zwiastowaniu*, napisana przez jakiegoś Macieja z Raciąża. We wstępie autor napomina słuchaczy, by uważnie posłuchali pieśni:

Mocne Boskie tajemności Krześcijaństwo, wierze wierne,
O Maryjej wielbności, I nabożne, a i śmierne¹,
Racz tego posłuchaci!

Następuje krótkie opowiadanie o tem, że Pan Bóg przeznaczył Marję na Matkę Zbawiciela, i o ś. Annie. Najświętsza Panna

Z skarbu boskiej głębokości Panna, będąc wielmi² młoda,
Wyszła krasą wszej cudności,
Miedzy kapłanmi w świętości,
Miedzy pannami we cności,
Rosła ku obrzędu. I panną została.

Kiedy przyszedł Archanioł, zwiastując Jej, że będzie Matką Zbawiciela, «Maryja, dziewczeczka śmierna, stała jak róża czerwona». Po opisaniu Zwiastowania autor wypowiada swój zachwyt względem Marji:

Ani lilija białością, Maryja miedzy kwiaty kwiat:
Czerwona róża krasnością, Służbę Jej dawa wszytek świat;
Ani nardus swą wonnością,
Zamorski kwiat swą drogością Z Jej sławetnej nabożności
Maryjej sie równa. Szukajmy u Niej miłości,
Wszelki wierny sluga Jej!

Mistrz Maciej o Tobie pisze A kto Tobie służbę dawa,
Wszemu ludu ku uciesze,
By sie k Tobie uciekali, Swoim grzechom odpuszczenie
Swoje krzywdy powiadali, Ma i wieczną koronę.
Boś Ty ich rzecznicza³. O Maryjo, Panno czysta,
Tego domu racz być stróża,
Ty jeś, Panno, rajaska róża, Raczy nam być miłościwą
Panno miłościwa! Ku swemu Synu rzecznicą.

O wiele mniej, niż pieśni maryjnych, dochowało się koled z XV wieku; najstarsza, która przechowała się w rękopisie z roku 1424, brzmi tak:

¹ pokorne. ² bardzo. ³ orędowniczka.

Zdrów bądź, królu angielski¹,
K nam na świat w ciele przyszedł!
Tyś zaiste Bóg skryty,
W święte, czyste ciało wlitý.
Zdrów bądź, Stworzycielu
Wszelkiego stworzenia!
Narodził się w uciarpienie
Prze swego luda zaszczylenie².

Zdrów bądź, Panie, od Panny
Jenż się narodził za ny³,
Od ojców⁴ zdawna pożądany!
Zdrów bądź, Jezu Kryste miły!
Potwierdź we mnie wszystkie siły,
Jakobych Tobie mógł służyć,
Z Tobą na potem królować. Amen.

Najwięcej zasług około pisania i rozpowszechniania pieśni polskich położyli bernardyni, wśród których wyróżnił się błogosławiony **Władysław z Gielniowa**, znakomity kaznodzieja, a jednocześnie poeta — pierwszy poeta polski, którego znamy już nietylko z imienia, ale i z czynów: z kazań i pobożności. Ułożył on, pomiędzy innymi, obszerną *Pieśń o Męce Pańskiej*, przez długi czas bardzo popularną; jest to właściwie poemacik epicki, pisany wierszem trzynastozgłoskowym, a składający się z 27 zwrotek czterowierszowych. Oto kilka zwrotek:

Jezusa Judasz sprzedał za pieniądze nędzne;
Bóg Ociec Syna wydał na zbawienie duszne;
Jezus, kiedy wieczerał, swe Ciało rozdawał,
Apostoły swe smętne swoją Krwią napawał.
Jezus w ogrodziec wstąpił z swymi zwolenniki,
Trzykroć sie Ojcu modlił za wszystkie grzeszniki;
Krwawy pot przezeń płynął dla boja wielkiego.
Duszo miła, oglądaj miłośnika swego!...
Jezus z miasta wywiedzion, krzyżem uciążony,
Tu łotrom jest przyłączon, jak robak wzgardzony.
Matka mu zabiegała, chciała ji oglądać,
A kiedy Go ujrzała, jęła rzewno płakać.
Jezus z krzyżem podniesion — patrzcie, krześcijani!
Miedzy lotry postawion, drogą Krwią obłany,
Od Żydów jest naśmiewan, gdy na kryżu wisiał.
Jezus, miłosierny Pan, wszystko skromnie cirpiał...
Jezusa umarłego stworzenie płakało,
Pana swego milego barzo żałowało;
Słońce sie jest zaćmiło, ziemia barzo drżała,
Opoki sie padały, groby otwarzały...
O Jezu Nazareński, o królu żydowski,
Obroń lud krześcijański od mocy pogańskiej,
Dla Twej milej Matuchny odpuść nasze złości,
Daj po naszym skonaniu niebieskie radości!

14. Oprócz pieśni religijnych dochowały się z XV wieku legendy wierszowane, z których najlepiej opracowaną jest **Legenda o św. Aleksym** (nieznanego autora). Zaczyna się od t. zw. inwokacji (t. j. wezwania): autor prosi Boga o pomoc do napisania wiersza.

¹ anielski. ² narodził się na mękę, na obronę (zbawienie) swego luda.
³ nas. ⁴ od świętych ojców i patriarchów, którzy czekali tak długo, by ich Chrystus wybawił z otchłani.

Ach! Królu wielki nasz,
Coż Ci dzieją¹ Mesyjasz!
Przydaj rozumu k mej rzeczy,
Me serce bóstwem obleczy²,
Raczy mię grzechów pozbawić,
Bych mógł o Twych Świętych prawić!
Żywot jednego Świętego,
Coż miłował Boga swego,
Czuję³ w jednych księgach o niem:
Kto chce słuchać, ja powiem.

W Rzymie jedno panie było,
Coż Bogu rado służyło.
Miało barzo wieliki dwór:
Prócz panosz⁴ trzysta rycerzów...
Chował siroty i wdowy,
Dał im osobne trzy stoły;

W dwudziestym czwartym roku życia Aleksy z rozkazu ojca ożenił się;
lecz tuż po ślubie, za zgodą żony, opuścił ją i poszedł w świat:

Nabrał srebra, złota dosyć,
Co go mógł piechotą nosić;
Więc sie na morze wezbrał,
A ociec w żalości ostał...
Więc to święte plemię
Przyszło w jedną ziemię.
Rozdał swe rucho⁷ żebrakom,
Srebro, złoto popom, żakom.
Więc sam pod kościołem siedział,
A o księstwie nikt nie wiedział...
Ano z wirzchu szła przygoda:
Niegdy mróz, niegdy woda.
Eż⁸ sie stało w jeden czas:
Wstał z ołtarza Marjej obraz,
Szedł do tego człowieka,
Jenże sie kluczem opieka,
I rzekł jest tako do niego:
«Wstani, puści człeka tego,

Znaleźli go wreszcie w «Jelidoczni» (w Laodycei w Azji Mniejszej),
lecz Aleksy nie chciał jeszcze wracać i nadal tułał się po świecie; wreszcie
powrócił do Rzymu:

Szrał¹⁵ przed grodem oćca swego,
Jał prosić: «W imię Bożego
«Syna i dla Aleksego

Za czwartym pielgrzymi jedli:
Ci do Boga ji przywiedli.
Eufamijam jemu dziano,
Wielkiemu temu panu,
A żenie jego Aglijas;
Ta była ubóstwu w czas⁵.

Byli wysokiego rodu;
Nie mieli po sobie plodu:
Więc-ci jęli Boga prosić,
Aby im jedno plemię dał.
Bóg tych prośby jest wysłuchał.
A gdy sie im syn narodził,
Ten sie w lepsze przygodził;
Więc ci mu zdziano Aleksy,
Ten był oćca⁶ barzo lepszy.

«Odemkni mu kościół boży,
«Ać⁹ na tym mrozie nie leży».
Żak sie tego barzo lęknął.
Wstawszy, kościół mu odemknął.
To sie nie jedną¹⁰ dziejało,
Ale sie często dziejało.
Więc żak powiedział każdemu —
I staremu i młodemu.
A gdyż to po nim uznali,
Wielką mu fałę¹¹ dali:
Za świętego ji trzymano,
Wiele mu prze Bóg¹² dawano.
Steskszy sobie¹³ ociec jego,
Prze swego syna jednego
Rozesłał po wszym ziemiach lud
I zadał im wieliki trud;
Strawili wieliki pieniądz,
Swego księdza¹⁴ szukając.

«Raczy mi swą jałmużnę dać,
«Bych mógł ty odrobiny padać».
Co będą ci z stoła padać.

¹ nazywać. ² tryb rozkazujący od oblec. ³ czyść, cześć = czytać.
⁴ młody rycerz, giermek. ⁵ wspierała ubogich. ⁶ niż ociec. ⁷ odzienie.
⁸ eż, eze = aż. ⁹ nićch. ¹⁰ jeden raz. ¹¹ chwala. ¹² w imię Boga.
¹³ stęskniwszy się. ¹⁴ ksiączę. ¹⁵ spotkał.

Gdy jego ociec usłyszał,
Iż jemu syna wspomoniał,
Gdy usłyszał taką mowę,
Zawił sobie płaszczem głowę;
Tu sie był weń zamęt wkradł,
Mało eże z mostu nie spadł.

Tu silno rzewno zapłakał,
Więc ji Boga dla chował.
Podał mu szafarza swego,
Ten mu czynił wiele zlego.
Tu pode wschodem leżał,
Každy nań pomyje lał.

Nie poznany przez nikogo, szesnaście lat mieszkał Aleksy w domu ojcowskim; czując, że śmierć się zbliża, spisał swe życie na kartce i, zacisnąwszy ją mocno w dłoni, umarł.

Tu sie wielki dziw stał:
Samy zwoy zwonili
Wszystki, co są w Rzymie były.
Więc sie po nim pytano,
Po wszystkich domach szukano.
Nie mogli go nigdziez najć¹,
Zwoy wždy nie chcieli przestać.
Jedno młode dziecicę było,
To im więc wzjawilo:
A rzkąc: «Aza² wiecie o tem,
«Kto to umarł? Jać wam powiem:
«U Eufamijanać leży,
«O jimże³ ta fala bieży:
«Pode wschodem ji najdziecie,
«Ac go jedno szukać chcecie!»

Więc tu papież z kardynały,
Cesarz z swoimi kapłany
Szli są k niemu z chorągwiemi.
Zwoy wždy zwonili sami...
Chcieli mu list⁴ z ręki wziąć,
Nie mogli go mu wziąć:
Ani cesarz, ani papież,
Ani wsze kapłaństwo takież...
Jedno przyszła żona jego,
A ściagała rękę do niego,
Eż jej w rękę wpadł list...
A gdy ten list oglądano,
Natemieście uznano,
Iż był syn Eufamijanów.

Ze wszystkich utworów naszej poezji średniowiecznej ta legenda jest najlepszym wyrazem ideału średniowiecznego, którym było życie nie rodzinne, tylko samotne, ascetyczne, pełne dobrowolnych upokorzeń i utrapień.

15. Osobny dział poezji religijnej XV wieku stanowią wiersze religijno-dydaktyczne, mające na celu zachęcić człowieka do pobożności, zozydzić mu grzech, wpoić w jego serce bojaźń przed śmiercią bez pokuty. Tu należy np. **Skarga umierającego**. Na łożu śmierci leży człowiek i jęczy:

Ach! mój smętku, ma żalości!
Nie mogę sie dowiedzieci,

Gdzie mam pirwy nocleg mieci,
Gdy dusza z ciała wyłeci;

żał mu się rozstawać z majątkiem i dziećmi, ale nadewszystko trapi go niepokój o zbawienie duszy, na które nie pracował, bo zbyt lubił uciechy światowe i pieniądze, których marność teraz dopiero poznaje:

Gdzie ma siła, ma robota?
Głupiem robił po ty lata:
Ośm miar płótna, siedm stóp w grobie
Tom tylo wyrobił sobie.

Halerzem łakomo zbierał,
Swój żywot rozpustnie chował:
Prze ty dwa bogi przekłeta⁵
Nie czcilem żadnego święta.

¹ ić = iść; najć = najść, znaleźć.

² azali. ³ o którym. ⁴ karta. ⁵ liczba

podwójna.

Jalmużnym nędznym nie dawał,
Ofierym Bogu nie czynił,
Ni z pirwiny¹, ni z nowiny²
Bogum nie dał z siebie winy³.

Leży ciało, barzo stęka,
Duszycą się barzo lęka,
Bóg się z liczby upomina,
Djabeł na grzechy wspomina.

Kaki⁴ to mój rozum głupi!
Sobiem był szczodr, Bogu skąpy:
Com kiedy Bogu poślubił,
Tegom nigdy nie uczynił.

Młotem moje pirsy biją,
Dusza nie śmie wynić szyją:
Widzi niebo zatworzone,
Widzi piekło otworzone.

Lecz jest niezawodny środek dla uspokojenia tych wyrzutów sumienia i zażegnania tego niepokoju: skrucza, spowiedź i św. sakramenty, — oto sens moralny tego wiersza:

Kwap się rychło do spowiedzi,
Kaplana w swój dom powiedzi,

Placz za grzechy, przymi świętość:
Boże Ciało, święty olej!..

Najdłuższym, najciekawszym i najudatniejszym wierszem poezji religijno-dydaktycznej, i wogóle całej polskiej poezji średniowiecznej, jest **Rozmowa Mistrza ze Śmiercią**. Jest to przeróbka prozy łacińskiej, ale bardzo swobodna. Bezimienny autor miał niewątpliwy talent do szczegółowej, realistycznej charakterystyki osób, oraz zacięcie satyryczne. Po inwokacji do Boga i po przestrodze ludziom, że każdy prędej czy później umrzeć musi, zaczyna się opowiadanie tej treści. Pewien mądry mistrz, Polikarp, prosił Boga, by mu pozwolił ujrzeć Śmierć we własnej osobie; czekał niedługo: kiedy raz po nabożeństwie ludzie już wyszli z kościoła, a on sam pozostał, nagle

Uzrzał człowieka nagiego
Przyrodzenia niewieściego,
Obraza⁵ wielm' skaradego,
Loktuszą⁶ przepasanego.
Chuda, blada, żółte lica,
Leści się⁷, jako miednica;
Upadł-ci jej koniec nosa,

Z oczu plynie krwawa rosa.
Przewiązała głowę chusta,
Jak samojędz⁸ krzywousta.
Nie było warg u jej gęby,
Poziewając, skrzyta zęby.
Mieće⁹ oczy, zawracając,
Groźną kosę w rękę mając.

Mistrz zemdlał ze strachu, «padł na ziemię, eże stęknął», a kiedy odzyskał przytomność, zaczyna się rozmowa. Śmierć chępli się swoją potęgą: ona ścina wszystkim głowy, bogatym i biednym, starym i młodym, mędrcom i głupcom, świeckim i duchownym. Na uwagę Mistrza, że są przeciw lekarze na to, aby przedłużali życie, Śmierć odpowiada: «Otoć każdy lekarz faści¹⁰, nie pomogą jego maści»; na zapytanie, czy się można przed nią ukryć, brzmi odpowiedź:

Nikt się przede mną nie skryje,
Wszystkim żywym utnę szyje.

Sama w lisie jamy łąże,
Wszystki liszki w zdrowiu każę¹¹,

¹ pierwociny, t. j. pierwsze owoce, pierwsze zboże i t. d. ² pole, pierwszy raz zorane po wykarczowaniu lasu. ³ nie dałem tego, com był winien Bogu (dzieścińcy). ⁴ jaki. ⁵ postać. ⁶ płachta. ⁷ lśnić się. ⁸ ludożercy, dzicy ludzie. ⁹ mieść oczami = strzelać oczami. ¹⁰ chwaścić, zwodzić, oszukiwać. ¹¹ psuć, niszczyć.

Za kunami łążę w dzień¹,
Łupieżę² dam na odzienie.
Ja dawię³ i gronostaje,
I wiewiórkam sie dostaje,

Jać też kosą siekę wilki,
Sarny łapam drugiej filki⁴
I przez płoty gonię chłópie
Żórawie, także i dropie.

Szczególniej jednak uwzięła się Śmierć na stronnicych sędziów i rozpustnych zakonników:

Morzę sędzie i podsędku,
Zadam im wielkie smętki;
Gdy swoją rodzinę sądzą,
Często na skazaniu błędzą:
Ale gdy przydzie sąd boży,
Sędzia w miech piszczeli włoży...⁵

Inako morzę złe mnichy,
Którzy mają zakon lichey,
Co z klasztoru uciekają,
A swej wolej pożywiają.
Gdy mnich pocznie dziwy stroić,
Nikt go nie może ukoić;
Kto chce czynić co na świecie,
Zły mnich we wszystko sie miece.
Jestli wsiędzie na szkapicę,

Wetknie za nadra⁶ kapiecę⁷;
Zawodem⁸ na koniu wraca,
Często kozielce przewraca.
Kiedy mnich na koniu skacze,
Nie weźrzalby na kołacze.
Umaż się jako wila⁹,
Wżdy mu ta rzecz barzo miła.
Gdy piechotą imie biegać.
Muszę mu naprzód zabiegać.
Ażaż-ci ji czarci niosą,
Jedwo¹⁰ ji pogonię z kosą...
A wżdy za nim biegać muszę,
Aż z niego wypędzę duszę.
Mówię to przez kłamu, wierę¹¹,
Dam go czartu na ofierę.

Tylko dobremu człowiekowi Śmierć nic złego uczynić nie może: «Acz umrze, nic nie straci: pozbędzie świeckiej żalości; pójdzie w niebieskie radości»; zły natomiast pójdzie do piekła: to sens moralny całego wiersza, który i z tego jeszcze względu jest ciekawy, że zawiera w sobie satyrę na lekarzy, sędziów i zakonników.

16. O istnieniu poczji świeckiej w wiekach średnich posiadamy wprawdzie dużo świadectw, ale mało jej zabytków. Wiemy np., że lud polski śpiewał pieśni obrzędowe, ale ich nie znamy; kiedy Kazimierz Odnowiciel wjeżdżał do Krakowa, witano go pieśnią: «A witajże nam, witaj, miły gospodynie»¹², ale i tej pieśni nie znamy. Dopiero z wieku XV dochowało się kilka zabytków poczji świeckiej.

Najstarszym jest **Wiersz jakiegoś Stoty** (z początku XV w.). Jest to wiersz dydaktyczny, uczący, jak się należy zachować przy stole, a zarazem pierwszy w literaturze nie tylko polskiej, ale wszystkich narodów słowiańskich, wiersz dworski, zawierający w sobie pochwałę kobiety.

Gospodnie!¹² Daj mi to wiedzieć,
Bych mógł o tem czso powiedzieć,
O chlebowem stole!

Zgarnie na się wszystko pole:
Czso w stodole i w tobole¹³,
Czsole¹⁴ sie na niwie zwiąże,

¹ dziupla w drzewie. ² skóry. ³ dławić. ⁴ chwilka. ⁵ narzędzie do piskania; w miech piszczeli włożyć (przysłowie staropolskie) = spuścić nos na kwintę, stropić się. ⁶ nadro, nadra = pazucha. ⁷ habit; kaptur. ⁸ na wyścigi, szybko. ⁹ błazen, szalenciec. ¹⁰ ledwo. ¹¹ zaiste. ¹² gospodyń, gospodzin = pan, władca. ¹³ tutaj: Pan Bóg. ¹⁴ torba. ¹⁵ któle, czsole = ktokolwiek.

To wszystko na stole leże.
Przetoć stół wielki świeboda: ¹
Stanie na nim piwo i woda,
I ktemu mięso i chleb,
I wiele inych potrzeb,
Podług dostatka tego,
Ktrole może dostać czego.

Zjutra wiesioł nikt nie będzie,
Aliż ² gdy za stołem siędzie,
Toż wszego myślenia zbędzie.
A ma z pokojem sieść,
A przytem sie ma najeść.

A mnogi idzie za stół,
Siedzie za nim jako wół,
Jakoby w ziemię wetknał kół!
Nie ma talerza karmieniu swemu,
Eżby ji ukroił drugiemu,
A grabi sie w misę przód,
Iż mu miedzwno ³ jako miód ⁴.
Bogdaj mu zaległ usta wrzód!...

A je z mnogą twarzą cudną ⁵,
A będzie mieć rękę brudną!
Ana ⁶ też ma k niemu rzecz ⁷ obłudną.
A pełną misę nadrobi
Jako on, co motyką robi;
Sięga w misę prze drugiego,
Szukają ⁸ kęsa lubego:
Niedostojen nic dobrego!

.....

Panny! Na to sie trzymajcie:
Małe kęsy przed sie majcie!
Ukrawaj często, a mało,
A jedz, byle-ć się jedno chciało!
Tako panna, jako pani,
Ma to wiedzieć, czso się gani.

Lecz rycerz albo panosza
Czci żeńską twarz: toć przyslusza! ⁹
Czso masz na stole lepszego przed sobą,
Czci ¹⁰ ją, iżby żyła z tobą...
Boć jest korona czsna ¹¹ pani:
Przepaśćby mu, kto ją gani!
Od Matki Boże tę moc mają,
Iż przeciw jim książęta wstają
I wielką jim chwałę dają.
Ja was chwałę, panny, panie,
Iż przed wami nic lepszego nie!... ¹²

Ktokoli czci żeńską twarz,
Matko Boża, ji tem odarz: .
Przyjmi ji za służę swego,
Schowaj grzecha śmiertnego
I też skończenia nagłego!
Boć paniami stoi wiesiele,
Jego jest na świecie wiele;
I od nich wszystko dobroć mamy,
Jedno na to sami dbajmy.
I toć są źli, co jim szkodzą.
Bo nas ku wszej czci przywodzą.

Kto nie wie, przeczby ¹³ to było,
Ja mu powiem, ac mu miło ¹⁴:
Ktokoli czsna matkę ma,
S niej wszystko cześć otrzyma;
Prze nią mu nikt nie gani:
Tę-ć ma moc każda czsna pani.
Przetoż je nam chwalić słusza,
W kim jeść ¹⁵ koli dobra dusza.
Przymicie to powiedanie,
Prze waszę cześć, panny, panie!

Też, miły Gospodnie mój,
Słota, grzeszny sługa Twój,
Prosi za to Twej miłości,
Udziel nam wszem swej radości. Amen.

Wiersz ten, prócz tego, że jest najstarszym wierszem polskim treści świeckiej (choć, jak cała literatura średniowieczna, przesiąknięty duchem religijnym), przez to jeszcze zasługuje na uwagę, że zawiera w sobie niektóre

¹ swoboda, wolność; wolny pan, wielki pan. ² ali, aliż = aliści. ³ miód, słodko. ⁴ znaczenie czterech ostatnich wierszy jest takie: kto nie dostał talerza do jedzenia, ten tak się niecierpliwi, że ażby rad ściągnąć talerz drugiemu (sasiadowi), a «grabi się» (pakuje się, t. j. pakuje widelec albo łąpę) w misę wpród (t. j. nie czekając kolei), bo mu słodko (t. j. bo mu slinki ida). ⁵ pięć piękna. ⁶ a ona (kobieta). ⁷ mowa. ⁸ pierwotna forma imiesłowu. ⁹ godzi się, należy się. ¹⁰ poczęstuj. ¹¹ cna, zacna. ¹² niema. ¹³ dlaczego. ¹⁴ niech mu będzie miło. ¹⁵ jest.

rysy obyczajowe, wzięte wprost z życia: przecie autor nieraz widział na własne oczy, jak się Polacy przy stole zachowują.

Charakter obyczajowy posiada i **Satyra na chłopów** (z drugiej połowy XV w.), w której nieznaną autor, szlachcic, wyrzuca im lenistwo i brak życzliwości względem panów:

Chytrze bydlą¹ z pany kmiecie,
Wiele sie w ich sercu plecie.
Gdy dzień panu robić mają,
Częstokroć odpoczywają,
A robią silno obłudnie:
Ledwo wyńdą pod południe,
A na drodze postawają:
Rzkomo² pługi oprawiają:
Żelazną wić dońdą złoży,
A drzewianą na plug włoży.
Wprzągają chory dobytek,
Chcąc zlechmanić³ ten dzień wszytek:
Bo umyślnie na to godzi,

Iż sie panu źle urodzi.
Gdy pan przydzie, dobrze orze;
Gdy odydzie, jako gorze⁴.
Stoi na roli, w lemiesz⁵ klekce⁶:
Rzekomo-ć mu orać nie chce.
Namysłem potraci kliny,
Bieży do chrósta po iny.
Szedw⁷ do chrósta, za krzem leży,
Nierychło zasię wybieży.
Mniema-ć każdy człowiek prawie⁸,
By był prostak na postawie⁹,
Boć sie zda jak prawy wolek:
Aleć jest chytry pacholek.

Układano także już w wiekach średnich pieśni historyczne o ważnych zdarzeniach; odgrywały one wówczas podobną rolę, jaką dziś grają gazety: obiegały cały kraj i roznosiły wiadomość o doniosłych wypadkach. Były np. pieśni polskie o bitwie pod Grunwaldem, ale się, niestety, nie przechowały do naszych czasów. Jedyną znaną nam dzisiaj pieśnią historyczną z XV w. jest **Pieśń o zamordowaniu Jędrzeja Tęczyńskiego** przez mieszczan krakowskich. W r. 1461, podczas wojny z krzyżakami, Jędrzej Tęczyński, zamieniony rycerz, wybierając się na wojnę, oddał zbroję do naprawy płatnerzowi krakowskiemu Klemensowi; kiedy ten nie naprawił jej na czas, Tęczyński wyciął mu policzek; wszczęła się bójka pomiędzy szlachtą a mieszczanami, która skończyła się smutno: Tęczyński schronił się do kościoła franciszkańców, i tutaj zamordowali go mieszczanie, za co ich później surowo ukarano. O tym to wypadku opowiada nieznaną autor pieśni, szlachcic, nie kryjąc się ze swem oburzeniem przeciwko zuchwałym mieszczanom, że się na szlachcica targnąć ośmielili.

A jacy to źli ludzie mieszczanie krakowianie,
Żeby pana swego, wielkiego chorągiewnego,
Zabiliście, chłopci, Andrzeja Tęczyńskiego!
Boże, sie go pożałuj, człowieka dobrego,
Iżę tako marnie szcedł¹⁰ od nierównia¹¹ swojego!

Chciał-ci królowi słuzyci, swą chorągiew mieci,
A chłopci pogańbieli¹² dali ji zabici, —
W kościele-ci zabili: na tem Boga nie znali,
Świętości nizacz¹³ nie mieli, kapłany poranili.

¹ postępują. ² rzekomo, nibyto. ³ strwonić, przeproźnować. ⁴ gorzej, jak najgorzej. ⁵ nóż poziomy u pluga. ⁶ klekotać, pukać, stukać. ⁷ imieszów. ⁸ prawdziwie. ⁹ pozornie. ¹⁰ czas przeszedł od czasownika szcednąć — zniknąć, umrzeć, polec. ¹¹ człowiek nierówny (komu). ¹² hańba; pogańbieli — imieszów od pogańbieć = zhańbieć; chłopci pogańbieli — chłopci pohańbiali, podli. ¹³ za nic.

Zabiwszy, rynną¹ ji wlekli, na wschód nogi włożyli²,
Z tego mu gańbę czynili.
Do wrocławianów posłali — do takich, jako i sami —
A skarżąc na ziemiany, by im gwałty działali.
Wrocławianie im odpowiedzieli, żeście to źle udziałali,
Żeście się ukwapili, człowieka zabili.

Kłamacie, chłopci, jako psy, byście tacy byli:
Nie spóicie wszytcy za jeden palec jego!
Mnimaliście, chłopci, by tego nie pomszczono?
Już-ci ich sześć sieczono³; jeszcze na tem mało!

A ten Walko⁴ radzca, ten niewierny zdradzca,
Z Greglarem⁵ sie radzili, jakoby ji zabić mieli.

Pan krakowski⁶, jego miłość, z swoimi przyjacióły —
Boże, je racz uzdrowić, że tego pomścili!

Jaki to syn szlachetny⁷ Andrzeja Tęczyńskiego,
Żeć on mści gorąco oćca swego.
Boże, ji racz pozdrowić ode wszego zlego! Amen.

Obydwa te wiersze — o leniwych chłopach i o Tęczyńskim — są bardzo znamienne, jako wyraz wzrastającej w szlachcie XV w. niechęci, a nawet pogardy ku chłopom i mieszczanom; szlachta już w wieku XV staje się warstwą panującą i myśli o pognębieniu chłopów i mieszczan: w wieku XVI zamiary swoje urzeczywistniła.

Z utworów liryki świeckiej XV w. przechowało się kilka drobnych wierszyków miłosnych, z których jeden np. brzmi tak: «Ach, miły Boże! Toć boli, kiedy chłop kijem głowę goli, ale bardziej boli, kiedy miła inszego woli». Najciekawszym jest **List miłosny** jakiegoś zakochanego żaka uniwersytetu krakowskiego do ukochanej, ujmujący naiwnością uczucia zarówno, jak wyrazu. Pochodzi z końca XV w.

W jedności, stałości serca mego
Żadnemu nie objawiam tego,
Jedno tobie, namilejsza!
Moje pocieszenie,
A przytem pozdrowienie
I pokłonienie na obiedwie kolanie aż do samej ziemi —
Bo tego jest w obyczajach wiele;
I po wtóry kroć pozdrowienie
I pokłonienie
Na obiedwie kolanie
Aż do samej ziemi.

¹ kanał. Długosz opowiada: «Pastwił się lud jeszcze nad ciałem zabitego, wlokąc je z kościoła aż do ratusza kanałem ulicznym... przez dwa dni potem leżało w ratuszu». ² ciągnęli ciało po schodach kościelnych. ³ ścięto. ⁴ Walter Kesling. ⁵ Mikołaj Kridlar. ⁶ kasztelan krakowski, Jan Tęczyński, brat zabitego Jędrzeja. ⁷ Jan Tęczyński, starosta rabsztyński.

Przytem, namilsza, nawiedzam zdrowie twoje,
A tobie też opowiem swoje.
Toć na mię wie Pan Bóg z wysokości,
Iż ja ciebie miłuję z serdecznej miłości,
Tak iż też o tobie nie mogę przestać myśleć we dnie i w nocy,
Dobrze¹ ze mnie zdrowie nie wyleci,
Toćbych ja siebie nic nie żałował,
Bych się jedno z tobą, moja namilsza, nagadał
I do wolej namielował...

O Boże wszechmogący, który panujesz stworzeniu swemu,
Oddał dziś smutek, który panuje sercu memu,
Boć muszę na każdą godzinę wzdychać,
A ciebie, miłą, zawsze wspominać.

By się wszyscy doktorowie argowali²,
Jeszczeby mojego smutku nie wypisali,
Bo tak me serce jest wielmi³ zranione.
By były wszystkie maści zebrane,
Apteki przyrównane,
Nie mogłyby mieć pomocy,
Kromia⁴ bożej mocy.
Jedno ty, mój przyjacielu namilszy,
Ty jeś też ze wszech nawdzięczniejszy,
Ty pocieszycielu, ty ochłodzisz,
Ty uzdrowić raczysz!

A by⁵ się też wszyscy ptacy zlecieli,
Tedyby się takowej miłości dziwowali.

A jeszcze, moja namilejsza,
Przez ten list niniejszy pytam:
Powiedz mi co wesołego
Dla pocieszenia serca mego...

A zatem cię poruczę Onemu,
Co służy wszytek świat Jemu,
I po wtóry kroć poruczam cię Panu Bogu,
Który wstał trzeciego dnia z grobu.

Imienia, miła, swego
Nie wypisuję dla podejrzenia ludzkiego,
Bo dziś, co młodzi ludzie baczą,
Na to i wrony kraczą...

A jeślim ja tobie mił,
Chcę, aby ten list na cię zawždy patrzył,
A póki się nie zedrą słowa listu tego,
Póty ty, ma namilsza, nie wynidziesz z serca mego. Amen.

¹ mało co. ² argumentować, dowodzić, rozwódzić się. ³ bardzo. ⁴ prócz.
⁵ gdyby, choćby.

LITERATURA WIEKU XVI

ROZDZIAŁ III

Od początku wieku XVI aż do roku 1543

Poezja polsko-łacińska. Pierwsze drukowane książki polskie.

17. Przy końcu wieku XV, za panowania Olbrachta, zaszły w Polsce bardzo ważne wypadki. Szlachta, mając coraz większą świadomość swojej potęgi politycznej i dążąc ciągle do pomnożenia majątków i bogactw, z zdrosnem okiem patrzyła na bogatych mieszczan, a z chłopów pragnęła uczynić narzędzie do pracy rolniczej. Otóż za Olbrachta spełniły się jej pragnienia: mieszczanom zakazano nabywania majątków ziemskich (i, co za tem poszło, piastowania urzędów świeckich), a chłopów pozbawiono wolności, przykuwając ich do ziemi: nie wolno było chłopu przesiedlać się bez pozwolenia pana. Odtąd szlachta nie potrzebowała się już obawiać ani współzawodnictwa z mieszczanami, ani braku sił roboczych; rolnictwo i handel zbożem, jako środek do zdobywania bogactw, stały się głównem i ulubionem zajęciem szlachty, która też traci swój dawny charakter rycerski, stając się ze społeczeństwa rycerskiego społeczeństwem ziemiańskiem.

Nie dosyć na tem. Szlachta dążyła do ograniczenia władzy królewskiej i do osłabienia potęgi możnowładców (zarówno świeckich, jak i duchownych), którzy nie chcieli się wyrzekać swego uprzywilejowanego stanowiska. Zaczyna się więc walka szlachty z królem i możnowładztwem, walka, z której szlachta wychodzi zwycięsko: za panowania Aleksandra, na sejmie radomskim r. 1505, zapadła uchwała, mocą której królowi nie wolno było nadal postanawiać *n i c n o w e g o (nihil novi)* bez wspólnej zgody senatu i izby poselskiej; uchwałą tą zadano, rozumie się, silny cios władzy królewskiej.

Co do możnowładców, to główną podstawą ich potęgi były wielkie posiadłości ziemskie, rozdawane zbyt hojnie szczodłą ręką Jagiellonów; rozumiała to dobrze szlachta, to też już na sejmie r. 1504 dobiła się uchwały, że odtąd nie wolno królowi bez zgody sejmu ani rozdarowywać, ani dawać w zastaw t. zw. królewszczyzn, t. j. dóbr koronnych. Kiedy zaś Zygmunt Stary, wbrew tej uchwale sejmowej, nie przestał obdarzać magnatów majątkami ziemskimi, szlachta postanowiła położyć temu tamę i zażądała t. zw. *e g z e k u c j i d ó b r k o r o n n y c h*, t. j. odebrania możnowładcom tych dóbr, które posiadli po roku 1504. Król przyrzekł spełnić to żądanie, ale kiedy chciał do-

konać egzekucji nie tak, jak sobie tego życzyła szlachta, wówczas na sejmie piotrkowskim r. 1537, zwołanym głównie w celu obmyślenia środków do walki z hospodarem mołdawskim, zerwała się straszna burza, i podatku na wojnę odmówiono. A wkrótce potem, w tym samym roku 1537, powstał pod Lwowem bunt przeciwko królowi, znany pod nazwą wojny kokoszej. Król ustąpił żądaniom szlachty: powaga władzy królewskiej i majestatu była już mocno nadwątlona.

Odtąd to utrzymywała się w Polsce złota wolność, która złotą była tylko dla szlachty, bo dla mieszczan i chłopów była niewolą; zaczęły się w Rzeczypospolitej polskiej rządy (a raczej nierządy) szlacheckie, które są jedną z głównych przyczyn upadku Polski: miłość złotej wolności, obawa o jej utratę i chciwość bogactw zaślepiały szlachtę i zabijały w niej prawdziwą miłość ojczyzny, która ustąpiła miejsca prywacie, t. j. samolubstwu, wyłącznym zabiegiem około własnych spraw i majątków — ze szkodą ojczyzny. Narazie jednak owoce złotej wolności były słodkie: rosła Polska szlachecka nie tylko w bogactwa, ale i w oświatę i cywilizację.

Humanizm, który w wieku XV krzewił się bardzo powoli, teraz, już w pierwszej połowie XVI wieku, rozwija się szybko. Coraz częściej bowiem przyjeżdżają do Polski uczeni humaniści, Włosi i Niemcy, którzy osiadają w Krakowie jako nauczyciele i budzą miłość i zapal ku literaturze starożytnej; napływ humanistów włoskich do Polski wzmógł się zwłaszcza od czasów małżeństwa Zygmunta Starego z księżniczką włoską, Boną (1518). A z drugiej strony, młodzież polska coraz to tłumniejsz kształci się w uniwersytetach zagranicznych, stroniąc od uniwersytetu własnego, który nie mógł zaspokoić ich pragnień: Akademia Krakowska bowiem, która się tak świetnie rozwijała w wieku XV, teraz upada; przerażona duchem pogańskim humanizmu, cofa się, zamiast iść naprzód, i powraca do średniowiecznej scholastyki; a ponieważ młodzież chciała iść naprzód, pragnęła nowej, nie zaś starej wiedzy, więc do Akademii uczęszczali przeważnie tylko ci, którzy nie mieli za co kształcić się zagranicą: zubożeli mieszczanie, chłopci i niezamożna szlachta; możniejsi śpieszyli zagranicę — najczęściej do Włoch (zwłaszcza do Bononji i Padwy). We Włoszech zaś już dawno zapomniano o scholastyce, humanizm był już w pełnym rozkwicie: więc młodzież polska powracała z Włoch do kraju ze znajomością języka łacińskiego i włoskiego i z miłością literatury rzymskiej. Tym sposobem już w pierwszej połowie XVI w. miała Polska wielu humanistów, którzy pisali wyłącznie po łacinie, usiłując dorównać poprawnością i pięknnością języka pisarzom rzymskim: więc nie była to już łacina zepsuta, średniowieczna, jaką np. pisał Kadłubek, ale łacina poprawna, zbliżona do klasycznej.

Rozmówcami w mowie Rzymian, patrzyli humaniści na mowę ojczystą z lekceważeniem i pogardą, w przekonaniu, że jedynym językiem, godnym literatury, jest język łaciński. Pisywali więc do siebie listy po łacinie, gniewali się, kiedy pisano do nich listy po polsku, wygłaszali na zamku królewskim oraz po dworach możnych panów i biskupów długie i kwieciste mowy łacińskie, naśladując Cyncerona; jednym słowem, w pierwszej połowie XVI stulecia, podobnie jak w wiekach średnich, język łaciński posiada w literaturze ciągle jeszcze stanowczą przewagę nad ojczystym; rozwijały się obok siebie dwie literatury: jedna po łacinie — dla ludzi wykształconych, pomiatających językiem ojczystym, druga po polsku — dla prostaczków, nie rozu-

miejących po łacinie; na pierwszą składają się dzieła poważne, naukowe, oraz sztuczne wiersze, na drugą — książki popularne.

O tem, żeby dzieła ściśle naukowe pisać po polsku, nikt jeszcze nawet nie pomyślał w pierwszej połowie XVI w. To też nie po polsku, tylko po łacinie ukazał się w r. 1519 pierwszy drukowany podręcznik historii ojczystej p. t. *Kronika Polaków (Chronica Polonorum)*, której autorem jest uczony lekarz Zygmunta Starego i zasłużony profesor Akademii Krakowskiej, **Maciej Miechowita**: jest to bardzo sumienne streszczenie kroniki Długosza, uzupełnione własną opowieścią autora o czasach późniejszych aż do końca panowania króla Aleksandra.

Po łacinie również, nie po polsku, ukazało się w r. 1543 dzieło **Mikołaja Kopernika** z Torunia (1473—1543) p. t. *O obrotach ciał niebieskich (De revolutionibus orbium coelestium)*, największa chluba nauki europejskiej XVI wieku. Genjalne odkrycie Kopernika, które wstrzymało słońce, a wzruszyło ziemię, stanowi epokę w historii umysłowości ludzkiej, a posiada olbrzymią doniosłość nie tylko dla nauki, ale i dla życia: dla nauki, bo zadało cios nauce Kościoła (który, stojąc twardo przy mądrości uczonych greckich i Piśmie św., poczytywał nieruchomą ziemię za środek wszechświata) i przez to przyczyniło się niesłychanie do zeświecczenia, a zatem do postępu, nauki, którą wyrwało z rąk Kościoła, a złożyło w ręce uczonych specjalistów; dla życia zaś — bo strącając ziemię z uprzywilejowanego stanowiska, tem samem strącało z niego i jej mieszkańca, człowieka, który się pysznił, że jest panem całego stworzenia, że się wszystkim w świecie około niego obraca, kiedy tymczasem, dzięki genjuszowi Kopernika, okazało się, że cała ziemia (a cóż dopiero człowiek!) jest drobnym pyłkiem wobec ogromu świata bożego, że się nie świat około człowieka obraca, ale człowiek około świata.

18. Poezja łacińska gorliwie uprawiana przez humanistów, posiada wogóle małą wartość: brak jej i fantazji, i uczucia, i szczerości, a przede wszystkim — oryginalności: bo humanistom chodziło głównie o to, aby dorównać pięknnością wiersza i wystąpienia poetom rzymskim, więc naśladowali ich pilnie, czasem niewolniczo, biorąc od nich żywcem nie tylko całe zwroty, ale nawet całe pomysły i obrazy; była to t. zw. *poezja uczona (docta poesis)*. Upodobali sobie zwłaszcza humaniści mitologję, ani się spostrzegając, że wpadają w śmieszność i nienaturalność. Kiedy Wirgiljusz opowiada w *Eneidzie*, że podczas bitwy Mars zstępuje z nieba na ziemię, aby pomagać śmiertelnym ludziom, jest to zupełnie naturalne: Rzymianie bowiem wierzyli w istnienie Marsa. Ale kiedy **Jan z Wiślicy**, autor poematu *Wojna pruska (Bellum pruthenum, 1516)*, opowiada, że w bitwie pod Grunwaldem «ryczał Mars natężeniem z całej siły gardłem», to pomysł taki nie ma sensu, chrześcijańscy bowiem Polacy, walczący z Krzyżakami, nie wierzyli w Marsa; a razi nas to tem więcej, że obok Marsa bierze udział w walce i... ś. Stanisław. Otóż to pomieszanie pierwiastków mitologicznych z chrześcijańskimi i wogóle pojęć starożytnych z nowoczesnymi jest znamioną cechą poezji polsko-łacińskiej. Jan z Wiślicy nie powie: «zboże», tylko: «plony zbożorodnej Cery»; nie powie: «wybuchła wojna», tylko: «srogi Mars powstał»; o natężeniu będzie się modlił raz do Najświętszej Panny, drugi raz do «dzieciw ańskich» (t. j. Muz) i t. p.

Jako przykład sztuczności i nienaturalności poezji łacińskiej za Zygmunta Starego może posłużyć wiersz **Andrzeja Krzyckiego** (1482—1537),

napisany na uroczystość zaślubin Zygmunta z Boną. Opowiada poeta, że przybył raz do Kozienic, miasta rodzinnego Zygmunta, i rozpamiętywał triumfy oręża polskiego, aby je uwiecznić w poezji, gdy wtem doleciały jego uszu jakieś dźwięczne pieśni. Zdumiony idzie w kierunku, skąd sły-chać śpiew, i oczom swoim nie wierzy: oto widzi Nimfy i Muzy, płasające wesolo, a nieco dalej — Bachusa, Feba, Pana z faunami i satyrami, Dianę z Nereidami, wreszcie Wenerę z synkiem Kupidyńkiem i Minerwą. Zbliża się poeta do jednej z Muz i pyta: «Mów, Erato, co znaczy ta wasza wesolość? Jakiż los, jaki powód sprowadził was do nas?» Ta, stanąwszy: «Czci-cielu nasz drogi — powiada — lutnię teraz na lepszy ton nastrój i, pienia lejąc, winszuj ojczyźnie i sobie zaszczytu: oto, ponętą Auzonję i słodki Helikon opuściwszy, na północ waszą na wyścigi zdążamy wszyscy. Dosyć Grekom już daliśmy i Włochom; teraz losy zkolei ozdobić to królestwo darami naszymi kazały. Lecz przyczyny i całą rzecz porządkiem tobie, gdy wola, i bóstwa skryte zamiary odsłonię». Opowiada dalej Erato, że Jowisz długo same nieszczęścia zsyłał na Zygmunta; aż ulitowały się nad biednym królem trzy boginie: Junona, Minerwa i Wenera, i nuż prosić Jowisza, aby spełnił przecie daną niegdyś obietnicę, że da królowi polskiemu za żonę księżniczkę z latyńskiego rodu; tą księżniczką jest Bona Sforcja, uczennica Apollina, Klio i Ateny, a koleżanka Muz. Wzruszył się Jowisz tak bardzo, że Minerwę pogłaskał po twarzy, a Junonę czule uściskał; i rozkazał boginiom przygotować wszystko do ślubu. Wenera mknie więc do Włoch, wchodzi do komnaty Bony i przyczynia jej krasy i wdzięków; Minerwa pędzi do Neapolu, aby skłonić rodziców Bony do oddania jej za żonę królowi polskiemu; Junona toczy się do Zygmunta, by go do małżeństwa namówić. Przylatuje do króla i poseł złotousty z tak pięknym wizerunkiem Bony, że król rozgorzał miłością i wyprawił do Włoch posłów po księżniczkę, a kiedy ta się wybrała do Polski, pośpieszyli za nią bogowie z boginiami. Tak kończy swą opowieść Erato i znika. Teraz zaczyna śpiewać poeta: kiedy Bona w Polsce osiedzie, ostry klimat złagodnieje, wiatry będą cieplejsze, zazie-lenią się łąki i lasy; gotujcie się na przyjazd królowej, wieńczcie domy kwieciami i zielenią, wytańczajcie z piwnic beczki z co najlepszem winem, bierzcie pochodnie do rąk i wzywajcie Hymena! Dziewice polskie niech idą w płąsy na cześć Bony, a młódź rycerska wraz z dziewczycami niech ją wita pieśnią ślubną! Odetchnie nakoniec Zygmunt, król nad królami, i nieba pobłogosławią stadłu królewskiemu!...

Obok nienaturalności, ten wiersz Krzyckiego posiada inną jeszcze cechę, właściwą poezji łacińskiej humanistów, mianowicie panegiryzm, t. j. niesmaczne pochlebstwo: poeci-dworacy, pragnąc sobie zaskarbić łaski króla, możnych panów, biskupów, pisywali na ich cześć wierszydła oko-licznościowe, jakoto: elegje, opiewające pogrzeby, *epithalamia* (pieśni we-selne), *epitaphia* (napisy na grobowce) i wogóle epigramaty, sławiące cnotę, męstwo, mądrość i t. d.; rozpowszechniły się zwłaszcza epigramaty her-bowe, t. j. wierszyki na herby szlacheckie.

Ale nietylko w panegirycznej poezji dworskiej ćwiczyli się humaniści: opiewali wypadki historyczne, wojny i bitwy (np. bitwę pod Orszą), opisy-wali żywoty świętych i układali modlitwy; pisywali wiersze miłosne, choćby nawet zakochani nie byli, naśladowując poetów rzymskich i t. d.

Są jednak wśród tej powodzi wierszydeł, pisanych dla wprawy lub dla zysku, utwory poważne. Ten sam np. Andrzej Krzycki, który pochle-

biał parze królewskiej, giętki i sprytny dworak, umiejący z równą łatwością uniać się przed jednym, jak szydzić złośliwie z innych, chciwy i niemoralny biskup, który, obok pieśni pobożnych i paszkwilów na Lutra, pisał wstrętne i swawolne wierszyki — jest autorem poważnej satyry p. t. *Religionis et Reipublicae querimonia*, (*Skarga Religji i Rzeczypospolitej* 1522). Uosobiona Rzeczpospolita skarży się na swe dzieci wyrodne, że, myśląc jedynie o sobie, zapominają o matce-ojczyźnie i swą prywatą w przepaść ją wtrącają, z której jedna chyba tylko Religja wyrwać ją może. Lecz oto ukazuje się Religja, i wnet nadzieja stroskanej Rzeczypospolitej pryska: bo i Religja płacze, że Polacy porzucają prawdziwą wiarę i szukają innej, przez co Polska idzie ku pewnej zgubie; wobec tego zapowiada zrozpaczona Religja, że zamierza opuścić niewdzięczną Polskę. Rzeczpospolita błaga ją, by się zmiłowała i nie opuszczała ojczyzny, by przeczekala chwilę obłędu: kiedyś może opamiętają się jej dzieci, «chmury przejdą, i znowu światło ukaże się jasne», bo «Chrystus tylko doświadcza swe dzieci, ale ich nie opuści». Ten utwór Krzyckiego, pisany nie dla zysku, ani dla rozrywki, lecz z miłości ojczyzny, jest pierwszą w literaturze naszej satyrą na prywatę i zarazem pierwszym smutnem przeczuciem nieszczęść narodowych. Im dalej w czas, tem częstsze będą w literaturze XVI wieku te skargi i przeczucia.

19. Najznakomitszym poetą polsko-łacińskim za Zygmunta Starego i zarazem pierwszym utalentowanym naszym poetą jest Małopolanin, **Mikołaj Hussowski** (urodzony około r. 1475, zmarły około 1532). Ani kunsztownością wiersza, ani poprawnością języka łacińskiego nie odznaczają się wprawdzie jego poezje, tętnią zato żywym, szczerem, nieklamaniem uczuciem (religijnem i patryjotycznym), a dotego są wolne od mitologii, co się tłumaczy nie jakimś przypadkiem, tylko rozmysłem autora: jasno zdawał on sobie sprawę, że poeta chrześcijański, który się w poezji posługuje mitologią, przestaje być poetą, bo sam nie wierzy w to, co pisze, a bez prawdy i szczerości niema poezji. Oto jego własne słowa:

Czy mam się zastanawiać, co rzec o Dianie
Łowczyni i o którejś z towarzyszek jej?
Nie czas podziwiać krzywe łuki Apollina
I strzały, tak okrutne dla zranionych trzód!
Chrystusa, nie Jowisza, cześć, — i nie Junony,
Lecz Matki Chrystusowej niech wzywa ma pieśń!..
Czyż godzi się baśniami zastępować prawdę?
Pozwólcie mi to z nagą otwartością rzec,
Wy wszyscy, co, fałszywej oddani nauce,
W poezji hodujecie starożytnych kłam!

Najlepszym z niewielu utworów Hussowskiego jest *Carmen de statura, feritate ac venatione bisonis* (*Poemat o postawie i dzikości żubra, oraz o polowaniu na niego*, 1523). Na język polski przełożył go Kasprowicz. Treść wziął autor nie z książek, tylko z życia, z tego, co na własne oczy oglądał; spędziwszy bowiem młodość na Litwie i Białorusi, nieraz sam brał udział w łowach na żubry (których było pełno w dawnej Polsce, a nie tylko, jak doniedawna, w puszczy białowieskiej), i pasjami lubił polowanie, nie na płaszki oczywiście, ani na zające, tylko na grubego zwierza:

Powietrze rozegranym napełnia się rykiem,
Wierzchołki krzepkich dębów wraz przebiega dreszcz;
Świadomi powiadają, że nad wszelkie surmy,
Nad wszelkie dźwięki lutni idzie ten ich głos.
Przeróżne wszystkie tony w jedną się zlewają
Harmonję, ponad którą niema słodszych brzmień...
Gdy zabrmi wokrag przestwór ujadaniem sfory,
O, jakąż żądę w łonie rozbudza ten głos!
A ta melodja krzyków, co, rwąc głuchą ciszę,
W tysięczny sposób pną się, to spadają wdół!
A cóż ów ryk, gdy niedźwiedz na oszczep się nabił,
Lub kwiki te żałosne, gdy z ran ginie dzik!...
A razy te, dziakiemu zadane żubrowi,
Gdy w rykach przeraźliwych uchodzi już dech,
Gdy wściekły gniew nabierze postaci i straszne
Spojrzenia, oszalały, zacznie rzucać wkrag!...
Gdy takie w głuchym lesie spełniały się sprawy,
Jam często dorównywał w trudzie druhom mym
I rzekim, ufny w konia, przepływał — koryta
Dnieprowe, gdy przez wodę puszczał się mój zwierz.

Na treść poematu składa się głównie opis wyglądu żubra i polowania na niego. Opis żubra nie jest drobiazgowy, bo autor był poetą, nie zoologiem: chodziło mu o to, żeby czytelnikowi dać pojęcie, jak dziki żubr wygląda, i tego swego celu dopiął znakomicie: «broda, jeżąca się szeroko zwisającym włosem», «straszna grzywa», która «z szyi spada na łopatki, pokrywa czoło, piersi, kolana», groźne, czerwone, zionące szałem oczy: te i inne jeszcze rysy dają plastyczny obraz żubra. A i opis polowania zawiera w sobie rysy prawdziwe, tem więcej, że autor opisuje nie polowanie wogóle, tylko to jedno, w którym sam brał udział w puszczy litewskiej: jest to więc, właściwie mówiąc, nie opis, tylko opowieść epicka o polowaniu. Opowiada więc autor, jak najpierw ogrodzono całą jedną dzielnicę puszczy zasiekami ze zwalonych kłód, jak potem wpędzono zwierza w środek miotu, jak się zaczęło wreszcie polowanie:

Nasamprzód poraniły go lekkie pociski:
Sterczały w górze pręty posłanych mu strzał.
Rozwścieklon, strasznie sapiąc drżącemi nozdrzami,
Gromadę łowców zmierzył spojrzeniem i, wraz
Zwrot nagły uczyniwszy, w gwałtownych podskokach,
Co prędzej jął uciekać; jeźdźce za nim wślad
Z okrzykiem przeraźliwym puścili się w pogoń;
Rozlegał głos się wokrag, odbity od chmur.
Lecz gdy w szalonym biegu dotarł zwierz do miejsca,
Gdzie drogę mu tamował stos zwalonych kłód,
Zatrzymał go wrzask łowców; odparty, przystanął
I zdawał się namyślać, którędyby zbiec:
Wtem ranę mu świszczący zadaje znów pocisk,
Ażeby go rozpętał jeszcze większy gniew.
Widzący, jak mu cielsko przeszywa żelazo,

W szaleństwo wręcz popada rozjuszony żubr,
Myśliwych okrutnemi przybija oczami,
Wciąż bacząc, gdzie najczęściej skupia się ich tłum.
Nasamprzód, rażąc krwawo, kieruje swe ciosy
Ku sforze rozszczekanej, potem wpada w lud...
W gwałtownych mknąc podskokach, snać większy z postaci,
W tym biegu wyciągniętej, sapie, parska wkrąg,
Wiatr grzywą mu potrzasa, na oba ją boki
Rozwiewa. W takim kształcie wielki, dziki stwór
Naoślep w ogrodzonym rzuca się ostępie,
Szukając, czem nasycić okrutny swój gniew...
Z przedziwną mocą w piersiach, każdy za swem drzewem
Stojący, na okrutny narażony skon,
Miecznikiem połyskując, pokrzykując zcicha,
Dzikiego k' sobie zwierza przynęca, a ten,
Od huraganu szybszy, rzuca się na wroga,
Co chroni się za drzewo, odskakując wtył;
Daleki wzięwszy rozmach, potwór w nie uderza
Z chyżością niespodzianą, niby łysk i grom.
Na ziemię odwalone padają gałęzie,
A po nich ciężko stąpa ich niszczyciel, żubr...
Śnieg biały skrywał drzewo — pod twardą a grubą
Powłoką silny chojak konary swe giął.
Żubr z hukiem weń uderzył, zadrżały gałęzie
Pod mocą łba, na ziemię padł ruszony śnieg
I, gestą się naokrąg rozwiawszy kurniawą,
I pień, i myśliwego zanurzył w swych mgłach.

Kończy się na tem, że żubr z łbem opartym o drzewo, tańczący naokoło drzewa, pada pod oszczepami myśliwych. Że tak istotnie polowano na żubra w Polsce, poświadcza historyk współczesny (Kromer).

Lecz to wszystko jeszcze nie wyczerpuje treści poematu: autor, nie kępując się wcale regułą, że «w poemacie epickim poeta nie mówi o sobie», przeplata swoją opowieść wycieczkami lirycznymi, w których daje upust swoim uczuciom, zwłaszcza patryjotycznym i religijnym, np.:

Dziewico, Matko Boża! Gdym pragnął Twe imię
Wypisać tutaj, z trwogi zadrżała mi dłoń.
Nie mogę też zrozumieć, oszołomion w duszy,
Co lepiej — czy zamilknąć, czy przemówić mam.
Zamilknąć, kiedyś godna, aby świat cię sławił?...
Przemówić, kiedy umysł ani język ludzki
Snać nie wie, jakich użyć najgodniejszych słów?
Lecz ufny w Twoją dobroć, wyższą ponad wszystko,
Cokolwiek jest niższego od Boga, o, patrz!
Przychodzę z drżącym sercem, błagam przebaczenia
I rzucam się, Maryjo, do Twych świętych stóp!
W tym lichym, brudnym płaszczu, z lichszem jeszcze wnętrzem,
Modlitwy trwożne z białych wydobywam ust,

Nie przeto, iżbym godny był rzec chociaż słowo,
Lecz wiem, że Ty nas tylko zdolasz wyrwać z klęsk,
Litując się nad dolą człowieczą. Wszak Ciebie
Posadził Bóg na górze, niby zbawczy blask,
I, jako ptak bezpióre ochrania pisklęta,
Tak Ty, Dziewico czysta, troszczysz się o lud;
Jak matka ku dziecięciu wyciąga ramiona,
Tak Ty podnosisz w górę tych, co padli w proch.
O, kwiatu dziewiczego wielki Majestacie!
Swe modły racz dołączyć dzisiaj do mych próśb!
Na wojny patrz zaciekle, na krwią złane pola!
Patrz, jakie prawo miecza rości sobie los
Do ludu, co, połączon wiarą Twego Syna,
W spokoju winien bratnim żyć po wieków wiek!
Książętom naszym, błagam, daj opamiętanie:
Niech widzą, że zdradzili obowiązek swój!
Przecz każdy z nich, puściwszy cugle świata z ręki
Z imienia tylko stróż jest, z istoty zaś wilk?
Tymczasem, byśmy mogli odetchnąć, Ty wroga¹
Powstrzymuj zażartego, hamuj jego złość,
Niech w jasyr nieszczęsnego tak nie pędzi ludu,
Bezbronny niech narodom nie narzuca pęt!

20. Drugim znakomitym poetą polskim za Zygmunta Starego jest **Klemens Janicki** (1516—1543), chłop wielkopolski. Ukończywszy z pomocą bogatych panów szkoły w Poznaniu, chciwy wiedzy, wyjechał na studia do Padwy, gdzie otrzymał stopień doktora filozofji i tak głośno zasłynął pięknymi poezjami łacińskimi, że go jeden z dygnitarzy cesarza Karola V obdarzył wieńcem poetyckim, który okrył sławą nie tylko poetę, ale poniekąd całą Polskę i jej cywilizację. Jakoż posiadał Janicki niepospolity talent; nieszczęściem jednak, trawiony puchliną wodną, zgasł przedwcześnie — w dwudziestej siódmej wiosnie życia. Był to talent wybitnie liryczny: do najpiękniejszych jego utworów należy *Tristium liber, variarum elegiarum liber* (*Smutków księga, różnych elegij księga*, 1542). Poeta mówi tu o sobie i o swoim życiu, spowiada się ze swych uczuć, upodobań i marzeń. Bije z tych wyznań przymiot, bardzo rzadki w poezji humanistów: miła szczerłość, a uroku dodaje im smutek, płynący z przeczucia rychłej śmierci, smutek, nigdy nie przechodzący w rozpacz, ale łagodny, cichy, spokojny, pełny wiary w Boga i Jego miłosierdzie. Wszystkie te uczucia Janickiego pięknie i rzewnie wyraził Syrokomla w swoim przekładzie *Smutków i Elegij*.

Najpiękniej przemówił smutek Janickiego w *Elegji do Najświętszej Panny*. Skarży się poeta, że jego choroba jest nieuleczalna, że mu ludzie już nie pomogą, więc woła żałośnie do Matki Bożej: «Zlituj się nade mną, spuść dobre oko! Patrz, w jakiej pokorze błaga Cię sługa w swych cierpien go-dzinie, który, że żyje, że modlić się umie, że dychać może, winien Ci jedynie. Winien Ci, Pani, i te reszty siły, co jeszcze ducha w mym szkielecie wloką». Nawet Prometeusz, mówi poeta, był od niego szczęśliwszy, bo «łatwiej se-

¹ t. j. Turka.

pów gromadę żarłoczną, niżli chorobę odegnać od człeka»; ale trudno — trzeba się zgodzić z wolą Bożą, ukorzyć się przed Bogiem i wyznać swoje grzechy: «O, siłam, Ojczy, zawinił się Tobie, winienem kary i sroższej, i prędszej: jam Cię znieważał wszelkiemi sposoby, jak syn niebaczny, jak wróg najzaciętszy. Jam tyle winien!... O, dzięki Ci, Ojczy, za litościwe Twojej dłoni cięcie!... Błagam Cię, Panie — o, karaj mię srożej, popraw mię, przebaez — niech Twoim zostanę!» Po tym akcie skruchy raz jeszcze zwraca się poeta do Najświętszej Panny, ale nie prosi już o zdrowie, tylko o siły do zniesienia cierpień. A to zupełne zdanie się na wolę Boga daje mu spokój, a nawet radość — na myśl, że niebawem przestanie cierpieć już na wieki: «A kiedy skrytym posłana rozkazem Śmierć niespodziana stanie w oczy moje, niechaj ją przyjmę bez trwogi, z uśmiechem; bo pocóż trwoga? wszak grobową deską Śmierć nas rozdzieli z plamami i grzechem i ducha wzniesie w ojczyznę niebieską... Ach! obym prędzej obaczyć był godny rzeczy niebieskie własnymi oczyma i widzieć Pana obliczem i Ciebie, Panno, w towarzystwie świętych!...»

Oprócz głębokiej religijności, miłym rysem poezji Janickiego jest serdeczna wdzięczność względem ludzi, ale nadewszystko gorąca miłość ojczyzny. W satyrze, mającej postać rozmowy pomiędzy Stańczykiem a zmarłychwstałym Jagiellą, p. t. *In polonici vestitus varietatem et inconstantiam (Na różnorodność i niestalość odzieży polskiej)*, ubolewa poeta, że wraz ze zmianą stroju w Polsce zanikła i dawna waleczność. W pięknej elegji, napisanej z powodu zaślubin królewicza Zygmunta Augusta z Elżbietą, księżniczką austriacką, z radosną dumą opiewa Janicki zwycięstwa oręża polskiego.

W innej elegji unosi się nad pięknnością i kulturą ziemi włoskiej: «Ja wzrok i słuch mój upajam zachwytem na tej łacińskiej starożytnej stronie. Patrę na niebo — o! pod tym błękitem powietrze czasów saturnowych wionie! Niebo pod jasnym lazuru ubraniem, a żadna chmurka nie błąka się na niem; żaden mróz tęgi, ani wiatr wydęty, ni żadne grady, ni żadne zamiecie: nie wiedzą ludzie o zimowej porze, kąpie ci oczy jakiś wietrzyk święty, wkoło zieloność i nadobne kwiecie; cały rok pytasz: wiosnaż to na dworze?... Patrę na ludzi: co za widok miły! Trudno o słodsze w ludziach obyczaje: tu butna próżność przewagi nie bjęrze, nie słyhać górnej świegollowej mowy; uprzejmą przyjaźń — nie wiem, czyli szczerze — każdy ci tutaj okazać gotowy...» Ale nad włoską krainę przekłada poeta własną, polską ziemię: «Świat ten szeroki, i pięknie na świecie, lecz niema ziemi nad moją ziemie. Dziwię się Włochom, — Polskę wielbię szczerze, tutaj podziwem, — tam miłością stoję; do mojej Polski prawnie przynależę, tu mam gościnę, — a tam bogi moje».

Do najpiękniejszych utworów Janickiego należy elegja *O sobie samym do przytomności* (1540), szczerza i rzewna autobiografia poety.

Jeśli ktokolwiek, gdy będę w grobie,
Zapragnie o nas zasięgnąć wieści,
Niech przejrzy kartę, com sam o sobie
Napisał w chwilach ciężkiej boleści.

Za źnińskim bagnem ¹ jest wieś prze-
Co się Janusza imieniem zowie ²; [jezdna,
Tamtędy niegdyś polscy królowie
Jeździli w pruską ziemię od Gniezna,

¹ w województwie poznańskim.
wieś rodzinna Janickiego.

² Januszkowo (w powiecie szubińskim),

I tam mój ojciec, mieszkaniec wioski,
Orął poczciwie grunt pradziadowski.
Tam gdy mu dziatwa morem pomarła,
Co nasze strony wyniszczał srodze,
Łza się z ojcowskich źrenic otarła,
Gdy na świat boży k'niemu przychodzę.

Dla mnie czwartego dnia listopada
Błysnęło światło jasności dniowej,
W tym samym roku, kiedy śmierć błada
Przerwała życie polskiej królowej,
Onej Zapolskiej, dobrej Barbary,
Którą oplakał lud cały społecm.
Zaledwie piąte lato zacząłem,
Gdym już naukom dawał ofiary.
Bo ojciec, czujny o dni dziecięce,
Nie chciał mnie trudom poświęcać wcale,
Nie dał mi sochy w niewprawne ręce,
Ani pozwolił schnąć na upale.
Potem (o! dzięki dobroci pańskiej!)
Umyśl, od miejskich mistrzów przetarty,
Wniosłem do szkoły, którą Lubrański
Świeżo założył na brzegach Warty¹.
Mąż znakomity², co w owym czasie
Greckie i rzymskie objaśniał rzeczy,
Kształcenie moje przyjmując na się,
W starowej zawsze trzymał mię pieczy.
Tamem usłyszał imię Wirgila
I Nazonowe³ imię mistrzowskie;
Tamem poetów wielbił dotyla,
Żem dla nich cześci oddawał boskie.
Ilem tam pracy ze łzami spolił!
Ilem wznosił modłów do Apollina,
Aby mię przyjął za swego syna
I w swoim chórze śpiewać pozwolił!
Skinął — przyzwolił, i lirę wziąłem;
On sam mą ręką w struny kołace;
O! pomnę, pomnę, z jakim mozołem
I dni, i noce dałem za pracę!
Za nic mi praca! cóż ona znaczy
Przed młodocianym moim zapalem?
Pomnę, gdy pierwszy trud mój czytałem
W sali popisów, w gronie słuchaczy —
W cześć Lubrańskiego złożyłem pieśnię,
Bom mu był winien pierwszą ofiarę —
Lud mię z oklaskiem przyjął nad miarę,
Dobrze o dziecku wróżąc za wcześnie.

Odtąd, przodkując nad uczniów trzodką,
Skarbiłem serce mistrza nieznacnie
I rosłem w chlubę — o! jak to słodko,
Kiedy, bywało, chwalić kto zacnie!
Lubiłem sławę, pragnąłem sławy,
Badałem drogi, co do niej wiodą...
Przebóg! ubóstwo, los niełaskawy.
Ciężką mym chęciom bywał przeszkodą.

Ubogi ojciec swoje ostatki
Wywłókl je dla mnie z rolniczej chatki;
Ślubować Muzom nie było za czem,
Miałem już żegnać wołą-niewołą:
Kdy wielki Krzycki⁴, tknięty mym płą-
Czule pomyślał nad moją dolą: [czem,
Dom swój otworzył, sercem łaskawem
Przyrzekł mym Muzom bywać pomocą;
Spełnił, co przyrzekł, — lecz zmarł nieba-
[wem,

I znów widziałem przyszłość sierocą.
Lecz dobre losy mego żywota
Były wrócone prawicą boską:
Przyjął mię Kmita⁵, nie szczędząc złota,
Słał mię po światło na ziemię włoską.
Spełnione chęci! Lecę ochoczy
Zanieść Palladzie serce i głowę;
Lecz los mię zdradza: choroba tłoczy
I zmusza wracać w progi domowe
Prędzej, niż chciałem, niż Kmita życzy.
Lecz cóż się z wołą przeciwieć bożą?
Doma więc umrę. — to mam w zdobyczy,
Że nie w obczyźnie kości me złożą.
Czuję przyjaciół żale najszczerze;
Słabe mam siły, zwątlone zdrowie,
I lada praca już mię unuży.
Jednak oblicze weselem kwitnie,
Płonę rumieńcem jako niewiasta;
Słowa mi idą łącno, dobitnie,
A postać słusznej miary dorasta.
Skory do gniewu, żywy w zapale,
Nieraz dni kilka w złościem się zaciął:
Wielum otwartych miał nieprzyjaciół,
Co mi szkodzili zapamiętale.
Lecz wiernych druhów gromadkę całą
Umiałem cenić, jak drogie złoto;
Gdyby mi w taszce⁶ lepiej świetało,
Słynałbym, myślę, wielką szczodrotą.

¹ biskup Lubrański założył w Poznaniu szkołę, jedną z najlepszych w Polsce XVI w. ² Tomasz Bedermann, rektor szkoły. ³ Publjusz Owidjusz Nazon, poeta rzymski, autor *Metamorfoz* (Przemian). ⁴ poeta, arcybiskup gnieźnieński. ⁵ Piotr Kmita, magnat, słynny warchoł i słynny mecenas. ⁶ kaleta, sakiewka.

Jam zawsze cześcią prawdziwą pałał
 Na słowa Tyta pamiętne wiecznie:
 «Nikomum dzisiaj dobra nie działał,
 Dzień to stracony bezużytecznie».
 Mięknę, gdy we łzach obaczę oczy:
 Me sarnie serce lęka się, trwoży,
 I kłamię wojny, gdy bój się toczy,
 Bom nosił w sercu wszystkich lud boży.
 W życiu narowy miałem niewieście:
 Lubilem stroje, miękkość, wygodę;
 Lecz, nimem skończył wiosen dwadzie-
 Nic nie pijałem, krom czystej wody. [ście,
 (Z niej to mych chorób wynikły stopnie,
 Z niej moje płuca puchną boleśnie).
 Miłość w mem sercu wrzała pochopnie,
 W młodzieńczej piersi czułem ją wże-
 Pod ton miłosny i lutnię stroję [śnie,
 I siłam pieśni miłosnych sklecił.

«A gdzież (spytacie) te pisma moje?»
 O! dawnom niemi komin podniecił:
 Pienie dziecinne, wąż i blade,
 Niegodne życia, ogniem splonęło,
 Dziś, kończąc piątą olimpijadę,
 Mógłbym na większe zdobyć się dzieło;
 Lecz ginę wcześniej... O! jakem żądał
 Ciebie, ojczyzno, opiewać czule!
 Twe stare dzieje, twe zacne króle,
 Czasy i ludzi, com ich oglądał,
 Gody Augusta — w dobrej otusze
 Króla z cesarzem związki, nadzieje!
 Ale, ojczyzno, żegnać cię muszę,
 Niech cię szczęśliwy śpiewak opieje!...

Żegnam was, druhy, którym jedynie
 Dałem me serce jawnym dowodem!
 O, Antoninie! o, Antoninie!

Bywaj mi zdrowy z całym twym rodem!
 Biada mi, biada! nie miałem pory
 Całych mych uczuć wykazać tobie,
 Ani zawdzięczać duchem pokory,
 Żeś mię tak często dźwigał w chorobie.
 Lecz kiedy przyjdę na świętych łono,
 Będę się chlubił dawniejszem zdrowiem
 I twoją dobroć nieocenioną
 Z błogosławieństwem w niebie opowiem.
 Kiedy mię przodki moje spytają,
 Czemu, z tak wątłym cielesnym pyłem
 I tyłu chorób obarczon zgrają,
 Nad zamierzoną porę przeżyłem —
 Powiem: «Na ziemi jest lekarz dzielny,
 On sztuką wspierał me słabe siły,
 On mię z pościeli dźwignął śmiertelnej
 I codzień prawie wskrzeszał z mogiły;
 Krzepił zdretniałą siłę człowieczą,
 Bóle cielesne jego się trwożą:
 Dzisiaj nie wskrzesił, bo jego rzeczą
 Walczyć z chorobą, nie z wolą bożą.
 Ciało schorzałe, zbrzękłe, wodniste
 Chrystusby jeno wyleczyć zdoła!...
 Lecz ze mnie jadu nic nie wywierci,
 Ni ziemskie środki, ni ludzkie czyny;
 We krwi nosilem zaród mej śmierci,
 Bo i mój rodzic zmarł od puchliny.
 Nie dziw, że, hydrze nie starszy głowy,
 I dzielny lekarz opuścił ręce!»
 O, Antoninie! Takimi słowy
 Za grobem pamięć twoją uświęcę!
 Sam to usłyszysz, gdy na twem czole
 Późnego wieku osiadzie zima,
 Ty przyjdiesz do nas, bo w tym padole
 Wiecznej dziedziny nikomu niema.

21. Zarówno proza, jak poezja polsko-łacińska, uprawiana przez humanistów, służyła za pokarm duchowy jedynie dla najukszałcenszej części społeczeństwa. Ogół tymczasem — nietylko mieszczaństwo, ale i przeciętna szlachta, nadewszystko zaś kobiety, z których tylko nieliczne umiały po łacinie, — nie miał z humanizmem nic wspólnego i odczuwał potrzebę zupełnie innej literatury, odpowiedniej ich małemu wykształceniu, nie sztucznej, lecz prostej, powszechnie zrozumiałej, a więc polskiej, nie łacińskiej. Ciekawym objawem odczuwania tej potrzeby jest skarga szlachty, zanesiona na sejmiku w Środzie w roku 1534: «Prosiemy, aby nam księża nie bronili imprymować¹ po polsku historyj, kronik, praw naszych i też inszych rzeczy, a zwłaszcza o Bibliją. Albowiem każą sobie bić²

¹ Jan Antoninus, lekarz nadworny Zygmunta I.

² drukować.

rzeczy rozmaite, a czemu też nie mają bić naszym językiem? Tu też wielka nam krzywda się widzi od księży, abowiem każdy język¹ ma swym językiem pisma, a nam księża każą głupimi być». Skarga ta była słuszna, księża bowiem stali mocno przy uprzedzeniu średniowiecznym, że tylko język łaciński może być językiem literackim, i na tych, którzy się domagali literatury narodowej, niechętnym patrzyli okiem, bojąc się, że czasami ludzie będą żądali, aby i Pismo św. było dla wszystkich dostępne w języku narodowym. Pomimo jednak tych uprzedzeń, ziszczwały się pragnienia ogółu, chociaż bardzo powoli: w pierwszych latach XVI wieku wzrasta ilość rękopisów polskich z powieściami średniowiecznymi, legendami, modlitewkami i t. d., a niebawem ukazują się w Krakowie pierwsze drukowane książki polskie.

Z utworów prozy rękopiśmiennej w pierwszych latach XVI wieku zasługuje na uwagę **Czasów popisanie o tureckich sprawach** czyli **Kronika turecka**, dawniej pospolicie zwana *Pamiętnikami Janczara*. Jest to bezimienny przekład z czeskiego, dokonany około roku 1520. Kronika opowiada z wielką prostotą o zwyczajach Turków, o ich religji i wojsku, osobliwie zaś o potędze ich państwa, a więc o wojnach zwycięskich: o bitwie z Serbami na polu Kosowskim (1389), o klęsce pod Warną (1444), o zdobyciu Konstantynopola (1453) i t. d. Utwór dyszy nienawiścią przeciwko psu-sułtanowi i jego plemieniu. «Tureckie rozmnożenie — mówi autor — podobne jest morzu, którego nigdy nie przybywa ani ubywa;... zawsze się cholebie², abociem³, aczkolwiek się w jednej krainie uciszy, a wszakoż się w drugiej o brzegi tłucze... Turcy-ć też to podobieństwo mają: nigdy w pokoju nie są, zawsze walki wiodą, rok od roku, z jednych ziem do drugich; a wždy, gdzie przymierze uczynią, toć prze swój pożytek, a w drugih krainach wszystko źle czynią, lub biorą, zajmują, a co nie może chodzić, zabijają;... kilkanaście tysięcy przepędzają chrześcijanów między pogaństwo, a zmieszawszy wszyscy się skażą, jako i wody rzeczne w morzu; abociem, opuściwszy wiarę swą, pogańską przyjmują». To też ostrzega autor chrześcijan przed tem strasznym niebezpieczeństwem i ubolewa, że królowie chrześcijańscy śpią, zamiast się na Turka zbroić. *Kronika turecka* to w języku polskim pierwszy głos ostrzeżenia przeciwko Turkom, pierwsza pobudka do wojny z Półksiężycem.

W rękopisach także przechowała się znaczna ilość poezyj religijnych: legend, wierszy dydaktycznych, modlitw i pieśni. Na samo czoło tej poezji wysuwają się kolędy. Na ich treść składają się: narodziny Dzieciątka w stajence i towarzyszące im różne cuda; troskliwość i miłość macierzyńska Najświętszej Panny; uwielbienie i współczucie wołu i osła dla Dzieciątka, które «drżało dla zimna wielkiego»; wściekłość Heroda i jego niegodziwe zamysły; pokłon trzech królów; ucieczka do Egiptu. Ale to wszystko jeszcze nie wyczerpuje całej treści kolęd: oprócz opowieści, są w nich uczucia składaczów względem Dzieciątka, wypowiedziane w sposób naiwny, ale bardzo szczerzy i serdeczny. Uczucia te przemawiają w kolędach już to pośrednio, np. zapomocą takich epitetów, jak «sliczny panicz», «kwiatek dziewiczy», «kwiatek narozkoszniejszy», «małuchny człowieczek», albo też bezpośrednio, np.

Nic nigdy tak słodkiego nie jestem ukusił,
Nic tak rozkosznego nie jestem pożywał:

¹ naród.

² kolebać się, kołysać.

³ bowiem.

Usta twe namilejsze, nad cukier słodszejsze, — — —
Nad cynamon i nad miód są wielmi smaczniejsze...

Czemu leżysz tu w chlewie, niebieska perełko,
Na tak grubem łożysku czemu odpoczywasz?
O maluśki, nadobny kwiatku wielmi śliczny,
O Dzieciątko szlachetne, do róży podobne!

Czemu płaczesz, Jezu?
Aza zimno czujesz?
Azali Cię Matka nie odziała?
Azali Cię miła nie przyjęła?
Azali Cię miła nie piastuje?
Azali Cię słodko nie miłuje?

A oto jeszcze kilka strof, wyjętych z różnych kolęd.

O kwiatku śliczny, różany,
Cudniejszy, niż malowany,
Wyszedłeś dzisiaj z lilijej,
Z Najświętszej Panny Maryje.

Bo liczko Twoje rumione
I nad wszystkie kwiatki wonne,
Słońce i miesiąc przewyższa,
Iżes Ty mądrość nawyższa...

Nie płaczże, miłośniku mój,
Owociem ja jest służka Twój,
Będę Cię zawsze piastował
I liczko Twoje całował.

Pódziz, Jezu, do dusze mej,
Pożyczę Cię u Matki Twej,
Chcę Cię kwiatkami darować:
Nie będziesz tego żalować.

W jaślkach leży
Kwiatek śliczny,
Panięskie porodzenie;
Jego tulą aniołowie:
Ninu, ninu, ninu,
Nie płacz, panięski synu!

Panna kłęczy,
Serce wznosi,
W ciele bóstwo chwali,
Jego tuli z anioły:
Ninu, ninu, ninu,
Nie płacz, namilszy synu!

Wolek z osielkiem, będąc w stajniej, usłyszeli,
Ano Dzieciątko płacze; k' niemu przybieżeli,
Jakoby płakali, Jego żalowali,
I sianka jeść nie chcieli, jasłek odbieżeli.

Nad Dzieciątkiem stanęli, głowy swe skłaniali,
Chwałę Jemu dali, iż był Bóg, poznali...
By nie wolek z osielkiem nad niem tak nie stali,
Parę swoją dychając, Jego też nie grzeli,
Więcejby płakało i zimno cirpało.

22. Do druku dostała się mowa polska po raz pierwszy już w wieku XV: w wydanej r. 1475 we Wrocławiu łacińskiej księdze kościelnej wydrukowano po polsku *Ojczy nasz, Zdrowaś i Wierzę*. Modlitwę Pańską wydrukowano, jak następuje:

★ Otcze nasz genz gsi nanyebesach oswyentcze gmye twe budz twa wuola yako na nebi tako na zemy. Chleb nass wssedny day nam dissa odpuszcz nam nasse wynny yako my odpusstiame nassim wynowatczom. Ee newodyz nas napokuschenya ale zbaw nas od zleho Amen».★

W wieku XVI arcybiskup gnieźnieński, Jan Łaski, wydając w r. 1506 w Krakowie zbiór praw polskich (po łacinie), wydrukował na ich czele pieśń *Bogurodzica*, z dodatkiem, że jest to «najswiętobliwsza pieśń i jakoby wyrocznia Królestwa Polskiego». W wydanej w Krakowie r. 1514 łacińskiej księdze kościelnej wydrukowano po polsku średniowieczną *Powieść o papieżu Urbanie*. Oto najstarsze druki polskie, ale jeszcze nie książki.

Niebawem przyszła kolej na całe książki. Wydawali je księgarze krakowscy, z pochodzenia Niemcy, ale spolszczeni, którzy, doskonale rozumiejąc potrzeby ogółu, pragnącego czytać po polsku, zamawiali u bakałarzy Akademji Krakowskiej przekłady polskie różnorodnych pism łacińskich (powieści, modlitewników, żywotów świętych i t. d.) i drukowali je, szerząc tym sposobem wśród społeczeństwa czytelnictwo w języku ojczystym i torując drogę literaturze narodowej. Bardzo ciekawe są przedmowy księgarzy krakowskich do tych książek, świadczą bowiem, jak trudno było pokonać uprzedzenia Polaków względem mowy rodzinnej. Oto np. co pisał księgarz Hieronim Wietor (jeszcze w r. 1542): «Będąc ja wmieszkanym, a nie urodzonym Polakiem, nie mogę się temu wydziwić, gdyż wszelki inny naród język swój miłuje, szyrzy, kraszi i poleruje, czemu sam polski naród swym gardzi i brząka, który mógłby iście, jako ja słyszę, obfitością i krasomową z każdym innym porównać; ile ja rozumieć mogę z ludzi, z którymi czasem o tem mawiam, nie jest inna przyczyna tego, jedno przyrodzenie polskie, które ku obcym a postronnym obyczajom, sprawam, ludziom i językom skłonniejsze jest, niżli ku swym własnym».

Otóż wielką jest zasługą bakałarzy krakowskich, którzy książki polskie pisali, i księgarzy krakowskich, którzy je wydawali, że zwalczyli uprzedzenie przeciwko językowi polskiemu, jako literackiemu, i wpoili w społeczeństwo przekonanie, że się może rozwijać literatura nietylko po łacinie, ale i po polsku. Jedni i drudzy, zarówno bakałarze, jak księgarze, byli mieszczanami: nie szlachcie więc, tylko mieszczańom zawdzięczamy pierwsze książki polskie.

Pierwsza książka polska ukazała się w Krakowie — kiedy, dokładnie niewiadomo, wiadomo jednak, że nie później, niż w roku 1514, i nie wcześniej, niż w roku 1511. Wydał ją drukarz, osiadły w Krakowie, Florjan Ungler, który też później, w roku 1534, mówił o sobie: «Mogę się i ja w tem u was pochełpić, gdym to obaczył, nie tak pożytku swego szukając, jako tego wielmi lutując¹, pracem się tej naprzód i przed innymi podjął, zem księgi polskie nigdy niebywałemi buksztaby² drukował; potem inni ze mnie przykład brali». Człowiekiem zaś, który tę książkę napisał, zaskarbiając sobie przez to wiekopomną zasługę w historii literatury i wogóle kultury polskiej, jest mieszczanin, **Biernat z Lublina**,³ uczony teolog i lekarz, pierwszy nasz autor świecki, piszący po polsku; (bo Ostroróg pisał jeszcze po łacinie). Książka, z której się dochowało do naszych czasów zaledwie osiem kartek

¹ t. j. bardzo się nad wami (Polakami) litując, żeście tak długo nie mieli książek, drukowanych w języku ojczystym. ² buksztab = czcionka, litera.

(obecnie znajdują się one w Bibliotece Uniwersytetu we Wrocławiu), miała tytuł: *Raj duszny*, był to bowiem zbiór pieśni i modlitw, które duszom pobożnym zapewniały niebo. Modlitwy wziął Biernat z Lublina w drobnej części z jakiegoś modlitewnika polskiego XV wieku, a w głównej części sam je przełożył z modlitw łacińskich¹. Oto jeden urywek z pierwszej naszej książki:

*** Modlitwa przeciw sokom² i chytróściam nieprzyjacielskim.** Nye raczi nas karac! Alye ti, namyloscywssi, od nyenawyscy gych y od uwlaczana nyeposromocone wirwy a potargay sydla dyabelskye y wszitkych nyeprzyacyol nassich, wydomich y nyewydomich, ktorimy nas chcą polowyc, sdradzyc y posromocyc, abismi nye upadly przed oblycznoscya nyeprzyacyol nassich, bi syę nad namy nye weselely a nam nye uragaly. Panye, ktori rosipuyesz radi poganskye a odmyatass misly lyudskye y wsgardzass uradzenye xiazat, yakos rosipal radę Achytofelya, złom' a rosrzuc przes twoye mylosyerdzye wssitkę nyenawisc y wssitky chitrosocy, zle radi, przewrotnosc y wssitkych nyeprzyacyol nassich, boc nye wyemi, kędi syę ucyc, yedno do cyebye, boże nass, yen ziywess y krolyuyess na wyeky wyeków. Amen. ★

W lat kilka po *Raju dusznym*, coś około roku 1522, wydał Biernat z Lublina, także w Krakowie, inne swoje, ze wszystkich najważniejsze dzieło, dzięki któremu jest pierwszym bajkopisarzem polskim: *Żywot Ezopa Fryga, mędrca obyczajnego, i z przypowieściami jego, z niektórymi też innych sławnych mędrców przykłady osobliwemi, a barzo śmiesznemi i też krotochwilnemi*. Jest to zbiór bajek wierszem, poprzedzony przetłumaczonym z łaciny, także wierszem, średniowiecznym życiorysem Ezopa. Bajki greckie, przypisywane Frygijczykowi Ezopowi (postaci legendowej), obiegły w przekładach łacińskich całą Europę średniowieczną; znano je u nas już w wiekach średnich, ale dopiero Biernat z Lublina opracował je wierszem polskim i uzupełnił innemi bajkami, rzymskiemi i średniowiecznemi. Każda bajka kończy się nauką moralną.

Kto pili³, nie zmyli.

Zajac się niegdy z zółwia śmiał,
Jakoby nierychło biegał.
Rzekł mu zółw: «Możesz skosztować,
«Chcesz-li ze mną w zawód biegać».
Rzekł mu zajac: «Zółwiu-bracie!
«Nieradbych ja swojej stracie:
«Alboś podobno nie słycał,
«Iżebych ja dobrze biegał?»
Zółw mu rzekł: «Cóż wiele mówić!
«Chcewa się na liszkę zwolić:⁴
«Niechaj ta kresę zamierzy,
«Patrząc, jako który bieży».

Liszka kresę zamierzyła,
Bo w tych rzeczach biegła była;
Dala czas, aby biegali,
Swych rozumów pokuszali⁵.
Zajac kresy niepilen był,
Zółwia sobie lekko ważył,
A iż barzo w nogi dufał,
Siadszy sobie, takż zaspiał.
A zółw zasię, nie mieszkając⁶,
Szedł sobie w drogę, skakając,
I drzewiej⁷ nie odpoczynał,
Aże więc na kresie stanął.

¹ mianowicie z modlitewnika p. t. *Antidotarius animae*, którego autorem jest Niemiec, zrazu lekarz, później zakonnik, Mikołaj Weidenbusch (po łacinie: Salicetus). ² sok = oskarżyciel, oskarżenie; soczyć = oskarżać. ³ być pilnym. ⁴ chcemy się na lisa zdać. ⁵ wypróbować. ⁶ zwlekać. ⁷ wcześniej.

Zając potem sie ocucił,
Ku biegu się prędko rzucił,
Natychmiast ono przebieżał,
A na kresie żółwia zastał.

Więc liszka tak wywołała,
A żółwiowi zakład dała,

Rzekąc: «Zajacu! tyś stracił,
«Żeś swej rzeczy niepiłen był».

Nie ci tylko rzecz konają¹,
Którzy wielkie siły mają:
Barzoć lepszy dzielca² pilny,
A gdy ktemu nieomylny.

W każdej rzeczy końca patrzaj.

Liszka z kozłem pewnej chwili
Przyszli k studni, aby pili,
A chciwie się tam wpuścili,
Występu nie opatrzyli.

Potem zaś, gdy zeń chcieli,
A żadnych stopniów nie mieli,
Stroskał się kozieł ubogi,
Spuścił uszy, strząsnął rogi.

Liszka k niemu przemówiła:
«Jużem drogę wymyśliła,
«Jako już stąd wynidziewa,
«Jeśli sobie pomożewa:

«Wespni się na swoje nogi,
«Stań prosto, ściągnawszy rogi,
«A jak się tak wyprowadzę,
«Potem o tobie poradzę».

On uczynił, co radziła;
Liszka po nim wyskoczyła,

A nad studnią przebiegała
I z kozła się naśmiewała.

Kozieł wołał: «Wszakś ślubila,
«Aby mię stąd wyzwoliła:
«Pomożysz³ mi, gdyś w świcbodzie⁴,
«Bych nie ostał w tejtó wodzie».

Liszka rzekła: «Kozle miły!
«Rozumy cię omyliły,
«Których w brodzie mało masz,
«Chocia się w niej barzo kochasz;
«Bowiem, by⁵ ty był rozum miał,
«W studniaby był nie wstępował,
«Ażeby⁶ pierwej opatrzył,
«Kędyby zaśię wyskoczył».

Wszelki mądry, kto ma działo⁷,
Aby się mu mądrze zstało,
Koniec przejrzy⁸, niż co poczniesz,
A tak w szkodę nie upadniesz.

Bajki Biernata z Lublina są nietylko pierwszymi bajkami polskimi, ale nadto pierwszym zbiorem przysłów polskich: przytacza je autor bądź w tytule, bądź też w samym toku bajek, np. «Szkoda kraszy, gdy rozumu niemasz»; «Kto rad szczebiece, wszystko wymiece»; «Zięciem być lwowi źle myszurowi»; «Kędy chcesz, tu się wierć, wždy ciebie najdzie śmierć»; «Kto dobrze broi, śmierci się nie boi»; «Gdzie rozumu nie⁹, czas pomoże»; «Lepsza trocha dobrego, niż wiele złego»; «Kto miecz trzyma, pokój miewa».

23. Po pierwszej książce polskiej zaczęły się, jak z rogu obfitości, sypać inne. Do najwcześniejszych i najpoczytniejszych należy obszerny życiorys Pana Jezusa, po raz pierwszy wydany w Krakowie w roku 1515 albo następnym; to pierwsze wydanie zaginęło; natomiast z roku 1522 znamy nie jedno, ale aż dwa wydania krakowskie, a potem wydawano je w Polsce jeszcze prawie czterdzieści razy — dla ludu wiejskiego (wydanie ostatnie wyszło w Poznaniu w roku 1884!) Autorem jest bakałarz krakowski, **Baltazar Opeć**, który się około prozy polskiej nie mniej zasłużył, jak Biernat z Lublina około poezji. Tytuł brzmi tak: *Żywot Pana Jezu Krysta, Stworzyciela i Zbawiciela rodzaju ludzkiego, wedle Ewanielistów świętych, z rozmyśla-*

¹ dokonywać. ² działacz, pracownik. ³ pomóż-że. ⁴ na swobodzie.
⁵ gdyby. ⁶ zanimbyś. ⁷ kto ma (zaczyna) robotę. ⁸ przejrzyj, niech przejrzy.
⁹ niema.

nim nabożnem doktorów Pisma świętego krótko zebrany. Nie jest to dosłowne tłumaczenie oryginału łacińskiego (t. j. dzieła świętego Bonawentury), tylko jego przeróbka, uzupełniona innemi źródłami; pomiędzy innemi zasilał się Opec polskiem *Rozmyślaniem Przemyskiem*, tak że dzieło jego posiada w niemałej mierze charakter apokryficzny. Oprócz obszernej, szczegółowej, a pełnej prostoty i serdeczności, opowieści o życiu Zbawiciela, są w tej książce pobożne rozmyślania, modlitwy i pieśni.

★ **Ucieczka z Egiptu.** Anioł boży ukazał się we spaniu Józefowi, rzekąc: «Wstań a weźmi Dziecię i Matkę Jego, a wydzi do Egiptu, a bądź tam, dokąd nie powim tobie: bo ma być, aby Herod szukał Dziecięcia ku zagubieniu Jego...» Józef, powstawszy, hnetki¹ objawił to Pannie. O! ciężko się Jej serce zasmuciło z te nowiny, a przeto, chcąc zachować żywot namilejszego Synaczka swego, natychmiast chciała iść² i poszła z Józefem. Któryż, powstawszy, wziął jest Dziecię i Matkę Jego a odszedł do Egiptu... Tu rozmyślaj, z jaką żalością Dzieciątka budzi śpiące, a polutuj³ Matki i Syna i Józefa świętego... Uciekał tedy Król niebieski przed sługą, Matuchna też, panna młodziutka, nosiła Go na swych rączkach, Józef też stary prowadził Ją przez puszcze, lasy, bory i też kamieniste góry; gdzieby odpoczywali, nie mieli, bo domów tam nie było, a tak często na noc w puszczy, w boru, w lesie, w polu odpoczywali. Pożalujcie onego rozkosznego i ślicznego Dzieciątka młodego, bo skoro dwa miesiące miało, a już za nas prześladowanie cirpiało!... ★

Lecz nietylko Nowy, ale i Stary Testament był pobudką do układania apokryfów. Oto np. mieszczanin krakowski, **Krzysztof Pussman**, opierając się na średniowiecznym apokryfie łacińskim o życiu Adama i Ewy (*Vita Adae et Evae*), napisał w roku 1543 książeczkę p. t. *Historyja barzo cudna o stworzeniu nieba i ziemi*. Opowiada tu nasamprzód o stworzeniu świata, potem o stworzeniu Jadama i Jewy, o ich upadku, wygnaniu z raju, pokucie i dalszem życiu, wreszcie — o ich śmierci. Tu i owdzie autor dosłownie powtarza tekst biblijny, ale są nietylko szczegóły, ale i całe rozdziały, nie wspólnego nie mające ze Starym Testamentem, nawskróś apokryficzne. Jewa np., żeby odpokutować grzech, popełniony w raju, włązi za namową Jadama, do rzeki Tigris i obiecuje, że przez dni trzydzieści będzie cierpliwie stała zanurzona po samo gardło; ale cóż, djabeł nie spał: «przemieniwszy się w własność angielską⁴, i szedł do rzeki Tigris do Jewy, gdzie pokutowała, i znalazł ją płaczącą; tedy on szatan, uzałowawszy się jej, rzekł: «O, Jewo, Jewo! wynidź z tej wody, abowiem Pan Bóg usłyszał twój płacz i żalowanie twe za grzech i Jadama, męża twego, i przyjął pokutę waszę, i wszyscy aniołowie boży modlili się za grzechy wasze»... «To usłyszawszy, Jewa uwierzyła i wyszła z wody, a ciało jej było jako ziele z zimności wody, a gdy wyszła, dla wielkiej mdłości upadła na ziemię; i podniósł ją djabeł i przywiódł do Jadama. A gdy ją ujrział Jadam i djabła z nią, wielkim płaczem zawołał i rzekł: O, Jewo, Jewo! gdzie jest pokuta twoja? jakoś się powtóre dała zwieść djabłu, przez którego jesteśmy wygnani z raju i z wesela dusznego?» A gdy to Jewa usłyszała, iż był djabeł, upadła na oblicze swoje na ziemię, a tam się rozmnożył więszy smutek, płacz i boleść jej». Dowiadujemy się dalej z *Historji*, że Jadam i Jewa mieli trzech synów: Kaima, Abła i Setha, a potem jeszcze trzydziestu synów i trzydzieści «dziewek». Z tych

¹ wnet. ² iść. ³ polituj się. ⁴ anielski.

dzieci doczekał się Jadam liczne potomstwa, tak że, kiedy umierał w dziewięćset trzydziestym roku życia, stanęło przed nim «piętnaście tysięcy mężów samych, krom niewiast i dzieci». Jest także w *Historji* opowieść o różdźce, którą anioł dał Sethowi, a którą ten zasadził na grobie Jadama; «po nimczasie urósł owa różdźka ...wielkiem drzewem». «A potem było ono drzewo nalezione od łowców abo myśliwców króla Salomona, a tam było wzięte do rzeki przed jego dwór. Potem przyszła niektóra królowa z granic od wschodu słońca słuchać i widzieć mądrość Salomonową, który był barzo mądry, która prorokowała, iż przez to drzewo miały być poposowane wszystkie królestwa żydowskie... Co gdy usłyszał król Salomon, rozkazał, aby to drzewo było wrzucone i wpuszczone w sadzawkę, nawiązawszy kamienia u niego, aby utonęło, i kazał je pograżyć. Gdzie potem, gdy już było ono drzewo w onę sadzawkę wrzucono, tedy anioł zstępował a ruszał onę wodę, gdzie owo drzewo było. I wiele chorych, którzy zstępowali w onę wodę, z rozmaitych niemocy byli uzdrowieni przez Pana Chrystusa, który potem na onem drzewie był zawieszon, i na końcu drzewa tego była głowa Jego położona». ★

24. Oprócz apokryfów drukowano w Krakowie żywoty świętych, mianowicie ś. Aleksęgo (1529), ś. Eustachjusza (1529) i ś. Anny (około r. 1532); wszystkie trzy są przekładami z łaciny, dokonanymi przez bakałarza krakowskiego, **Jana z Koszyczek**.

Lecz od tych legend tłumaczonych nierównie ciekawsza jest legenda, ułożona w Polsce na podstawie kroniki Długosza — o klasztorze łysogórskim, nieznanego autora. Wydrukowano ją około roku 1540 p. t. *Powieść rzeczy istej¹ o założeniu klasztoru na Łysej Górze braciej² zakonu św. Benedykta, i też o tem, jako drzewo św. Krzyża na tę górę jest przyniesiono*. Niedgdyś — opowiada legenda — stała na Łysej Górze świątynia pogańska; lecz pobożna Dąbrówka kazała ją zburzyć i wystawiła na górze kościół ś. Trójcy i klasztor, w którym osadziła sześciu mnichów zakonu ś. Benedykta. Zdarzyło się raz, że syn ś. Stefana, króla węgierskiego, Emerykus, żonaty z córką Bolesława Chrobrego, wybrał się w pobożną pielgrzymkę do grobu ś. Wojciecha, wzięwszy z sobą drzewo Krzyża świętego, które papież Benedyktus podarował ś. Stefanowi («pięć cząstek Krzyża świętego złamanych, a w srebro oprawionych»). Po drodze zatrzymał się w Polsce, gdzie go Bolesław gościnnie przyjmował. «Czasu jednego, gdy na łowie byli król z zięciem swym, zstało się z bożego zrządzenia, iż Emerykus, odłączywszy się od dworzanów, ściagał w puszcza jelenia wielkiego; a gdy jeleni na wielką górę wbieżał, a za nim też Emerykus, ścigając go, tedy natychmiast jeleni, z skały skoczywszy, uciekł. Emerykus, to widząc, a sam zostawszy, zatroskał się. Któremu Anioł boży ukazał się i rzekł do niego: «Nie bój się, Emeryku, ale pódz za mną, ukażę ja tobie, co masz uczynić». I wywiódł go z puszczy aż ku klasztorowi Łysej Góry, a groźno jemu tak począł mówić: «Wiedz, iż na górze Golgota (która się wykłada Łysa Góra) Zbawiciel uciarpiał, a Krzyż Jego krwią tam jest skropion i poświęcon, ten, który ty na piersiach swych nosisz; przeto mocą bożą tobie rozkazuję, aby to drzewo Krzyża świętego dał do klasztoru na Łysą Górę; nie uczynisz-li tego, wiedz, iż pomstą wielką

¹ isty = prawdziwy. ² drugi przyp. liczby pojedynczej od rzeczownika zbiorowego bracia (rodz. żeń.).

od Boga skaran będziesz; a nie wynidziesz z tej ziemi, aż moje rozkazanie wypełnisz». Tym to sposobem dostało się na Łysą Górę drzewo Krzyża świętego, «nad który skarb Polska nie może mieć nic miłszego ani droższego». W roku 1254 unieśli z sobą drzewo cudowne Tatarzy; «carz tatarski», dowiedziawszy się, że to dla Polaków świętość, «wrzucił je w rzekę, które nie utonęło, ale pływało ze srebrem po wodzie»; potem «wrzucił je w ogień wielki, które, tam leżąc pełną godzinę, potem całe wyskoczyło»; co więcej, «grom z nieba rozproszył» niewiernych Tatarów, «iż Krzyża bożego nie uczcili», «tak iż jedni byli osłepieni, drudzy opętani od czarta, drudzy zaś, od strachu oszalawszy, w rzece się topili». Ułakł się «carz tatarski» i odesłał relikwję do Polski. Po latach przybył do Polski Jagiełło, jeszcze zanim się ochrzcił, i, zwiędzając klasztor łysogórski, bardzo się dziwił na widok czci, oddawanej świętemu drzewu; «chciał ono wziąć z ręki kapłanowi, mówiąc rzeczą¹ swą: «*Szto to jest?*»; natychmiast jemu ręka uschnęła, a tak on, wielką boleść cirpiąc, począł wołać: «Wierzę ja, iż Pan Jezus Chrystus na tem drzewie ukrzyżowan». A jak skoro złotą bryłę ofiarował na oprawienie Krzyża świętego, natychmiast zdrowiu pierwszemu był przywrócon i okrzyk się na wiarę».

25. Osobny dział prozy stanowią przekłady różnych powieści średnio-wiecznych.

W roku 1521 ukazała się w Krakowie, nakładem Hieronima Wietora książeczka, która dawniej, zanim znaleziono *Raj duszny* Biernata z Lublina, uchodziła za najstarszą drukowaną książkę polską: *Rozmowy, które miał król Salomon mądry z Marchołem grubym a sprośnym, a wszakoż, jako o nim powiedają, barzo zwymownym, z figurami² i z gadkami³ śmieszniemi*. Autorem przekładu (z oryginału łacińskiego) jest znowu Jan z Koszyczek, który narówni z Opeciem położył około wyrobienia prozy polskiej wielkie zasługi.

Z przekładu tego ocalał tylko urywek, stanowiący mniej więcej trzecią część całości. Treścią jest rozmowa króla Salomona z rubasznym, a chytrym wieśniakiem Marchołem, który, zamiast na pytania Salomona odpowiadać wprost, sprytnie i bezczelnie wykręca się sianem, tak że ostatecznie w kozi róg zapędza mądrego króla. Myślą przewodnią powieści jest właśnie to, że prosty chłopski rozsądek jest lepszy od rozumu, nabytego drogą wykształcenia.

Przekład Jana z Koszyczek odznacza się bogatym, a mocno dosadnym językiem: tłumacz zasilał się wyraźnie gwarą ludową. Oto np. rodowód Marcholta: «Chłoptas porodził Gruczoła, Gruczoł porodził Rudka, Rudek porodził Rzygulca»; idą dalej: Kudmiej, Mózgowiec, Łyp', Potyrała, Kuchta, Trzęsiogon, Opiółka, Warchoł, którego synem jest Marchott. A oto jeszcze kilka urywków z tej książeczki:

★ Gdy Salomon był na stolcu ojca swego Dawida, pełen mądrości i bogactw, ujrzał niektórego człowieka, imieniem Marcholta, przychodzącego od wschodu słońca, na obliczu żadnego⁴ i grubego, ale barzo wymownego... A wzrost Marcholtów był krótki, mały a miąwszy⁵, głowę miał wielką, czoło szerokie, czerwone a zmarszczone, uszy kosmate a zwieszzone do póllica, oczy

¹ mowa. ² obrazek. ³ zagadka. ⁴ brzydki. ⁵ gruby, ciężki.

mięszsze a płynące,... brodę smrodliwą a kosmatą, jak u kozła, ręce jakoby klocki, palce krótkie a mięszsze, nogi okrągłe, nos mięszszy a garbaty, wargi wielkie a mięszsze, oblicze jakoby u osła, włosy jakoby na kozle; obów nóg jego była chłopska a barzo gruba, skóra jego kosmata a błotna, suknia jego krótka — telko do łędźwi, nogawice jego fałdowane, odzienie jego farby barzo grubej... Salomon rzekł. Słyszałem, iżes wielomówny a chytry, aczkolwiek chłop a gruby, przeto gadajwa sie: ja ciebie będę pytał, a ty mi odpowiadaj. — Marchołt odpowiedział. Ten-ci pirwej rad poczyna, który żadnie i źle śpiewa. — Salomon odpowiedział. Jeśli mi na wszytko będiesz odpowiadał, tedy cie wielkimi bogactwy ubogacę, a będziesz znamienity w mojem królestwie. — Marchołt. Obiecuje zdrowie lekarz¹, gdy nie ma mocy, a w tem jest Igarz. — Salomon. Cudna rzecz jest biały czepiec na głowie niewieściej. — Marchołt odpowiedział. Pisano jest: Nie są takie rękawy, jako kozuch cały; często pod białym czepcem bywa mól niemały. — Salomon. Dobrzeć-em rozsądził między dwiema swowolnemi niewiastoma, które w jednym domu udawily dziecię. — Marchołt. Gdzie są sprawy, tam bywa słuchanie; gdzie są niewiasty, tam bywa swarzenie... — Salomon. Kiedy mocniejszy zwycięża mdlejszego, tedy bierze wszytko imienie² jego. — Marchołt. Z tym kot rad mieszka we zgodzie, kto mu sie da lizać po brodzie... — Salomon. Każdy człowiek ma być miłowan dla Boga. — Marchołt. Jeśli tego miłujesz, kto cie nie miłuje, ty swą miłość tracisz, a on z ciebie błaznuje... — Salomon. Jużem sie teraz umęczył, odpoczniemy. — Marchołt. Jać jeszcze przez długi czas nie odpuszczę gadania, aza³ u ciebie nabędę imienia. — Salomon. Jać już teraz daley nie mogę. — Marchołt. Jeśli, królu, sie nie możesz już ze mną rozgadać, tedyś już zwyciężon, a coś ty mi obiecał, toż daj.★

Powieść o Salomonie i Marchołcie była w dawnej Polsce bardzo poczytna: wydawano ją niejednokrotnie; wyrażenie «Marchołtowe drzewo» weszło nawet w przysłowie — znaczyło tyle, co wykrety.

Lecz nierównie poczytniejszą była powieść o Sowizdrzale, która się w przekładzie polskim Jana z Koszyczek (z czeskiego) ukazała po raz pierwszy coś pomiędzy rokiem 1530 a 1540, a którą później przedrukowywano nieskończoną ilość razy nietylko w XVI, ale także w XVII i jeszcze w XVIII, a nawet w XIX wieku: *Sowizrzał krotofilny i śmieszny, urodzenie, żywot, postęпки i dokonanie⁴ jego dziwne*. Powieść ta powstała w Niemczech, w narzeczu dolnoniemieckiem; jej przekład łaciński obiegł całą Europę zachodnią — tłumaczono go na język francuski, flamandzki, angielski, a nawet na żargon żydowski. Treść stanowią różne psoty i figle syna chłopskiego, nazwiskiem Ulenspiegel (czyli, w narzeczu górnoniemieckiem, Eulenspiegel). Czech przetłumaczył to imię dosłownie na Sovnozrcádłko, a Polak przekreślił to na Sownociardłko, zamiast którego w późniejszych wydaniach powieści jest już Sowizrzał. Jeździ on sobie po całych Niemczech, od miasta do miasta, od wsi do wsi (raz zabłądził nawet do Polski, na dwór Kazimierza Wielkiego), a wszędzie płata ludziom figle, np.:

¹ W oryginale łacińskim jest nie lekarz, tylko ksiądz. ² mienie, majątek.
³ a może też. ⁴ śmierć.

★ Jako Sowiźrzał, w Erforcie będąc, osła czytać uczył na starym psalterzu. Przyszedszy do Erfortu miasta,... tam swoje listy rozbił¹, a zwłaszcza na Kollegijum², aby o nim wiedzieli. Kollegijaci, słysząc dawno o jego przewrotnej chytrności, radzili, jakoby się z nim obchodzić mieli... I zmówili się wspólnie, że Sowiźrzałowi osła na naukę dać mieli, bo tam osłów starych i młodych było dosyć. Obesłali Sowiźrzała³, mówiąc mu: «Mistrzu! znamienite listy przybite świadczą, że wszelkie stworzenie czytać i pisać uczyć możecie w krótkim czasie; więc chcę wam dać panowie akademicy osła młodego na naukę; chcieli go uczyć?» Rzekł Sowiźrzał: «Dobra, tylko że mi czasu długiego na to trzeba, z tej przyczyny, że niewymowne i nierozumne zwierzę jest». I dali mu czas do dwudziestu lat. Sowiźrzał pomyślił sobie: «Nas w to wchodzi troje; umrzeli rektor, tom wolen; umarli ja, kto mi się będzie upominał? zdechnieli mój dyscypuł⁴, tedy prace pozbędę». I na tem przystał, bo szło o pięćset kup starych groszy, a wprzód mu na to nieco pieniędzy zadali. Wziął tedy onego osła Sowiźrzał na swoje staranie, starał się potem o gospodę; trafił na gospodarza jednego i najął sobie u niego stajnię, aby tam jego żak stał, i dostał starego psalterza, który mu do żłobu włożył, a między karty owsa nasuł⁵. Osieł, szukając owsa, przewracał karty tam i sam, aż wszystek owies wyjadł. A gdy już nie miał co jeść, zawołał: ia, ia. Obaczywszy to Sowiźrzał po osle, szedł do rektora, mówiąc tak: «Panie mistrzu! pójďte a obaczcie, co mój żak czyni». Rektor go spytał: «Miły mistrzu! mali się co do nauki?» Rzekł Sowiźrzał: «Jest barzo niedowcipnego zmysłu i zły pamięci, trudno go barzo uczyć; jednakem go z wielką pilnością i pracą do tego przywiódł, że już niektóre słowa, a zwłaszcza *vocales*⁶, zna i wymawia; chcieli doświadczyć, pójďteż ze mną, a doznacie tego sami». Tak tedy ubogi żak przez ten czas pościć musiał aż do trzeciego dnia. Przyszedszy Sowiźrzał z rektorem i niektórymi mistrzami do stajni, położył przed żaka swego nowe księgi. Obaczywszy je w żłobie, przewracał karty tam i sam, szukając owsa, którego nie było; tu głosem okrutnym ryknął: ia, ia. Wnet Sowiźrzał rzekł: «Widzicie, mili panowie, jako to dwie słowie umie wymawiać: ia; spodziewam się, że jeszcze więcej będzie umiał». Potem niedługo był żyw rektor, a Sowiźrzał swego ucznia wypuściwszy, opuścił, potem sam poszedł w drogę z onemi pieniędzmi. ★

★ Jako Sowiźrzał dokazał, iż jedna niewiasta swoje garnce potłukła. Wykonawszy Sowiźrzał wszystkie swoje niecnote, jechał zaś do Breму, do biskupa, który na Sowiźrzała łaskaw był... Zmówił się na drodze z jedną garncarką, która przy drodze garnce przedawała, i, co ich tylko było, wszystkie zapłacił; i tak się z nią zmówił: «Kiedy na cię kiwnę, albo ci znak jaki ukażę, abyś garnce swoje kijem tłukła». Potem przyszedł do biskupa,... rzekł...: «Miłościwy panie, pójďteż ze mną w rynek, tam stoi niewiasta jedna z garncami; założę się z wami, że żadnego słowa ku niej nie przemówię, ani oczyma na nią nie mrugnę, ale ją przywiode, że sama wstanie, kij weźmie i swoje garnce potłucze». Biskup rzekł: «Radbym na to patrzył». I założył się z nim o trzydzieści złotych. Niewiasta czekała, ażby jej jaki znak dał. I szedł z biskupem Sowiźrzał na targ; ukazując onę niewiastę,

¹ poprzybił odezwy. ² uniwersytet. ³ posłali do Sowiźrzała. ⁴ uczeń.
⁵ nasypać. ⁶ samogłoski.

tam Sowiźrzał dał znak..., żeby tak uczyniła, jako powiedział; krzyknął na garnarkę, ona, wstawszy, kij wzięła i wszystkie garnce potłukła. Wróciwszy się biskup do swego dworu, wziął go na stronę, mówiąc mu, aby go tego kunsztu nauczył, jako być mogło, że ona sama sobie szkodę uczyniła. Sowiźrzał rzekł: «Miłościwy panie! racz Wasza Miłość wiedzieć, zem ja przedtem garnce zapłacił i z niąmem sie namówił, aby to uczyniła». A tak, jako sie stało, powiedział. «Nie mniemaj Wasza Miłość, abym tego czarnoksięstwem dokazał». Biskup sie tedy jego powieści śmiał i dał mu te trzydzieści złotych, a musiał mu Sowiźrzał obiecać, że tego nikomu nie miał powieść, za co mu karmnego wołu darować obiecał. Jako tylko Sowiźrzał odjechał, biskup, z swymi dworzany przy stole siedząc, powiedział przed nimi, że ten kunszt umiał, chcąc niewiastę do tego przywieść, żeby powtore swoje garnce potłukła. Dworzanie nie żądali tego po panu, aby on to pokazał, tylko aby tego kunsztu nauczył. Biskup rzekł: «Jeśli mi każdy z was dobrego i łustego wołu do mej kuchni da, tedy wszystkich tego nauczę». Było to prawie¹ w jesieni, kiedy woły natłusze. Radząc sie około tego, obiecał każdy biskupowi dać wołu dobrego. I dostał od nich szesnaście wołów. A wtem Sowiźrzał przyjechał; uźrawszy woły stojące, i rzekł: «Tej kupi² połowica mnie przynależy». Biskup rzecze: «Coś mi obiecał, abyś temu dosyć uczynił, a ja też tobie obietnicę wypełnię». I darował mu wołu dotego. Sowiźrzał podziękował panu za dar. Potem biskup zwołał wszystkich i rzekł: «Słuchajcie, bo wam ten kunszt powiem». I powiedział, jako Sowiźrzał przedtem z niewiastą sie zmówił, zapłaciwszy jej pierwej garnce i dał znaki takie: «Kiedy pójde z biskupem, żebyś ty wzięła kij i potłukła garnce». Usłyszawszy to, a widząc, że byli oszukani, żaden z nich przeciw panu namniej nie śmiał mówić; zadrapali sie w głowę, bo im wołów było żal, jednak po sobie znać nie dali dla utracenia pańskiej łaski, tem sie tylko cieszyli, że pana na się łaskawego mieli i krotofile użyli, aczkolwiek niektórym niemilo było, że one swoje woły przez błazna utracili, co swojej głupości przyznali. A Sowiźrzał, że wołu jednego dostał, z nim dalej powędrował.

Temi różnemi figlami Sowiźrzała zasilala się nieraz polska literatura humorystyczna XVI, a nadewszystko XVII wieku; nazwisko tego psotnika stało się u nas, jak wiadomo, imieniem pospolitem.

26. Oprócz powieści o Salomonie i Marcholcie przełożył Jan z Koszyczek (z łaciny) jeszcze dwa średniowieczne utwory powieściowe: *Historje rzymskie* i do dziś dnia sprzedawaną na jarmarkach i odpustach *Historję o siedmiu mędrkach*.

Na tak zwane *Historje rzymskie* (*Gesta Romanorum*), nie mające nic wspólnego z historją Rzymu, a które, jak się zdaje, powstały w Anglii w XIII wieku, składają się różne powiastki alegoryczne, legendy i żywoty świętych³, do których później dołączono czasem odpowiednie, a czasem nie bardzo odpowiednie nauki moralne. Obficie korzystali z tego zbioru kaznodzieje; a powieściopisarze i poeci nieraz brali z niego tematy do swoich utworów (np. Szekspir). W całej Europie przez trzy wieki wydawano te *Historje* w przekładach na języki narodowe. Najwcześniejszy znany nam dzisiaj przekład polski ukazał się w roku 1543: *Historyje rozmaite z rzymskich i z innych*

¹ prawdziwie, właśnie. ² kupia = kupno, zysk. ³ Żywoty ś. Aleksego i ś. Eustachjusza, wydane osobno w r. 1529, są wyjęte z *Historyj rzymskich*.

dziejów wybrane z wykłady ich obyczajnemi, ludzi ku rozmiłowaniu mądrości i też innych cnót przywodzące.

*** Przykład, abyśmy sie łakomstwa niemilostiwego wiarowali**¹. Kowal niektóry był barzo bogaty nad morzem w niektórym mieście, barzo łakomy i zły; a ten zebrał wiele pieniędzy. A wyspawszy je w wielki kloc, i zaszpuntował je; i położył ten kloc u ognia, aby wszyscy nań patrzali, aby żadny domniemania nie miał, iżeby tam pieniądze były. I przydało sie czasu jednego, gdyż² wszyscy zesnęli, że morze wylało aż w dom, tak iż on kloc pływał z pieniędzmi, a wypłynawszy na morze, i przyplął przez kilkadziesiąt mil do jednego miasta, w którym był jeden człowiek, u którego była pospolita gospoda wszystkim ubogim. Tedy on człowiek, wstawszy rano, i ujrzał on kloc pływający po morzu i wywiódł ji na brzeg, mni mając, by nic inego nie było, jedno drzewo, od niekogo w morze wrzucone. Ten człowiek był ubogim i pańnikom barzo szczodroblivy. I przygodziło sie dnia jednego, że pielgrzymowie nocowali w jego domu, a było zimno. Tedy on gospodarz szczerpał³ on kloc a gdyż czterykroć weń uderzył, usłyszał dźwięk, a rozszczerpiwszy, znalazł wiele pieniędzy, i uradował sie barzo i schował ony pieniądze, chcąc je wrócić, jeśli by sie kto ozwał. Potem on kowal chodził od miasta do miasta, szukając swych pieniędzy. I przyszedł do onego miasta w dom tego gospodarza, który był kloc znalazł. A gdyż ten kowal czynił wspomnianie o klocu straconym, usłyszawszy to gospodarz, porozumiał, że jego pieniądze były, i myślił sam w sobie, rękąc: «Już doświadczę, jeśli wola boża, abych mu ty pieniądze wrócił». I kazał on gospodarz uczynić trzy kreples⁴; a w piirwy kazał nakłaść ziemie, we wtóry — kości umarłych, w trzeci — pieniądze, które znalazł z onym klocem. A gdy ty kreples uczyniono, rzekł gospodarz onemu kowalowi: «Chceszli, zjedzmy ty trzy kreples, a którykolwiek wybierzesz, w tym dosyć mieć bédziesz». Tedy on kowal podniósł jednego po drugim, potem wziął krepel ciężki, który był napelnion ziemie, a położywszy rękę na drugim krepelu, który był napelnion kości umarłych, i rzekł ku gospodarzowi: «Będęli więcej potrzebował, tedy ten wtóry sobie wybieram, a ty trzeci krepel sobie miej». Ujrzawszy to gospodarz, myślił w swem sercu, rękąc: «Już jawnie baczę, że nie jest wola boża, abych ja temu nędznemu człowiekowi jego pieniądze wrócił». A wnetki wezwawszy ubogich, niedostatecznych, ślepych i kulawych, a przed onym kowalem rozłomił on krepel i rzekł: «Oto, nędzny człowiecze, pieniądze twe, którym był dał w rękę twoje, a tyś wolał obrać kreples, pełne ziemie i kości umarłych, a prawie⁵, bo nie jest wola boża, aby pieniądze swe miał». Tedy on gospodarz przed oczyma jego ony pieniądze ubogim rozdał, a kowal z hańbą zasię odszedł. ★

*** Wykład obyczajny**⁶. Namilejszy bracia! Ten kowal może być rzeczón każdy człowiek świecki, który zawždy woli światu służyć, niżli swemu Stworzycielowi. Przez ten kloc zaszpuntowany zewsząd rozumie sie serce każdego łakomego człowieka, które jest zawždy zawarte od niebieskich rzeczy. Przez pieniądze zaszpuntowane rozumieją się niektóre uczynki zapłatne⁷, które niegdy⁸ człowiek czyni z bojaźni bożej. Morze, które wylewa i coś

¹ strzec się. ² kiedy. ³ łupać, rozrębywać. ⁴ krepel = placek. ⁵ prawdziwie, słusznie. ⁶ nauka moralna. ⁷ godny nagrody. ⁸ niekiedy.

opada, jestci ten świat, który chyta serca ludzkie łakome, czyni niegdy co dobrego — nietylko cnoty, które na krzcie przyjął, ale i dobre myśli serdeczne, jak pisze ś. Mateusz w 6 kapitulum¹: «Gdzie jest skarb twój, tam jest serce twe». Gospodarz, który kłoc nalazł, jest dobry spowiednik, który powinien mieć pilność o grzesznych ludzied, a badać serc i uczynków, aby mogli ku drodze prawej przysć. A dlatego człowiek ma naśladować drogi, przez którąby mógł zbawienie odzierać, to jest ma przykazanie boże chować. Tedy spowiednik ma jemu ukazać trzy krepie, aby jeden wybrał z nich, przez któryby mógł głód grzechu usmierzyć. Pirwy krepel był pełny ziemie, a znamionuje świat, który wybierzeli człowiek świecki w tymto żywocie, nic inego nie najdzie, jeno szczerą ziemię, to jest grób, ledwy na siedm' stóp długość mając; bo wszystko, co na świecie jest, albo jest pycha żywota, albo żądość² oczu, albo żądość ciała, i owszem wszystkie świat położony jest we złości. Przezoż biada owym, którzy świeckie rzeczy wybierają, a dlatego ma człowiek pamiętać, że proch jest i ziemia, a w ziemie się obróci. Wtóry krepel jest pełny kości umarłych a znamionuje ciało, to jest ludzi cielesne, jaką są obżarci smyślnicy³, którzy z wszystką pilnością chcą służyć ciału. Przeciw takowym pisze Apostoł, rzekąc: «Będziecieci żyć wedle ciała, zemrzećcie, tedy najdziecie uczynki nasze jakoby kości suche, które ninacz się inego nie godzą, jedno aby były spalony». A przezoż biada tym, którzy ten krepel, to jest cielesne żądości, wybierają. Trzeci krepel był pełen srebra i złota czysłego, a to znamionuje niebo, w którym jest skarb niewymowny; ale mało takowych, którzyby rękę kładli na ten krepel. A przezoż mówi Mateusz w 7 kapitulum: «Szeroka jest droga, która wiedzie do piekła, ale ciasna, która wiedzie do nieba, a mało ich, którzy tą drogą chodzą». Przezoż mamy wezwać ubogich i niedostatecznych, to jest sprawiedliwych i świętych, którzy tą drogą przez smutki wielkie dla Boga chodzili, wielkie udęczenia cierpieli; takowym będzie otrzewano ono pismo Mateusza w 25 kapitulum: «Póďteć, pożegnani⁴, a otrzymacie królestwo Ojca mego, nagotowane wam od początku świata». †

Historja o siedmiu mędrkach powstała na wschodzie, mianowicie w Indjach; znali ją Persowie, Arabi, Żydzi, Grecy, Turcy. W wiekach średnich opracowano ją po łacinie, a z łaciny tłumaczono na nowsze języki europejskie. Przekład Jana z Koszyczek wyszedł po raz pierwszy w roku 1528: *Poncyjan, który ma w sobie rozmaite powieści mile barzo ku czcieniu, wzięte z «Rzymskich Dziejów»*. Późniejsze wydania (a było ich całe mnóstwo) ukazywały się pod tytułem: *Historyja piękna z przykłady nadobnemi o Poncyjanie, cesarzu rzymskim, jako syna swego Dioklecjana dał w naukę i ku wychowaniu siedmi mędrcom*. Na utwór ten składa się cały szereg powiastek, ale oprawionych w jedną ramę. Oto cesarz rzymski Poncjjan wysłał syna swego Dioklecjana na naukę do siedmiu mędrców (nic wspólnego nie mających z siedmiu mędrkami greckimi); zła macocha Dioklecjana umyśliła sobie, że, gdyby się tak pozbyć pasierba, «a jabych syna miała, tedyby syn mój był dziedzicem»; więc «prosiła cesarza, iżeby swe posły posłał po swego syna». Zezwolił Poncjjan. Mędrzy jednak w gwiazdach, że, jeśli cesarzewicz, powróciwszy do domu, piśnie choć jedno słówko, to «złą śmiercią» umrze; dowiedziawszy się o tem, Dioklecjan także zaczął czytać

¹ rozdział.

² pożądliwość.

³ ludzie zmysłowi.

⁴ błogosławieni.

w gwiazdach i wyczytał, «iż, by przez siedm' dni żadnego słowa nie mówił, tedyby został przy zdrowiu, aczkolwiekby na każdy dzień był wiedzion na szubienicę, a też, aczkolwiekby z wielką trudnością, miał być wybawion». I tak się stało. Wraca Dioklecjan do domu wraz z siedmiu mędrkami i milczy jak grób. Oszkalowała go macocha (podobnie jak żona Putyfara oczerniła Józefa) i opowiedziała cesarzowi taką powiastkę, że ten skazał syna na śmierć. Już wyrok miał być wykonany, kiedy pierwszy mędrzec opowiedział cesarzowi taką powiastkę, że ten wykonanie wyroku odłożył. I tak się wszystko powtarzało jeszcze przez sześć dni: cesarzowa codziennie opowiada mężowi powiastkę o przewrotności i chytryści mężczyzn, a mędrcey (od drugiego do siódmego) — o chytryści i przewrotności niewiast: cesarz ponawia wyrok — i odwołuje. A Dioklecjan ciągle milczy. Wreszcie, kiedy ostatni mędrzec skończył powiastkę, cesarzewicz przemówił: «Bądź pozdrowion, oćce i panie nałaskawszy». «A gdy to oćciec usłyszał, dla wielkiego wesela padł na ziemię», ale wkrótce zmysły odzyskał. Wszystko się wydało, i cesarz skazał cesarzową na śmierć. Poczem Dioklecjan opowiedział ojcu «powieść bardzo cudną», i bardzo długą, w której go przekonał, że, wbrew temu, co mówiła macocha, on nie myśli nawet o uszczupieniu jego władzy. Cesarzową, «związawszy ją koniowi u ogona, ciągniono... na śmierć;... potem rychło cesarz umarł, a Dioklecjan syn na miejscu jego królował, a mistrze swoje wszystkiego czasu z sobą miał. A tak państwo rządził, iż wszyscy barzo jego mądrość chwalili i barzo miłowali. A potem w pokoju dokonał żywota swojego dobrze».

*** Wtóra powieść cesarzowej: o pasterzu, który dzikiego wieprza zabił.**

Był niektóry król, który miał wielki las, w którym był dziki wieprz tako barzo okrutny, iż wszystkie przychodzące zabijał. Król sie z tego barzo smucil i kazał woźnemu wołać po wszystkim królestwie, iż, jestliby kto tego wieprza zabił, tedy miał mu dać dziewczkę swoję i wszystko królestwo po jego śmierci miał mieć. A gdy to tak wołano, żaden nie był, któryby sie tego podjął. Był tego czasu niektóry chłop, pasterz owczy. Który sobie tak mylił: «Bych tego wieprza zabił, nie telkobych sam przyszedł ku wysokiemu stanowi, ale też i wszystkie moi krewni i przyjaciele». A wzięwszy kij, i siedł do lasa. Którego gdy ujrzał on wieprz, z wielką nawałnością bieżał k niemu. On pasterz, widząc gniew onego wieprza, wbieżał na drzewo. Tedy wieprz począł pod nim gryźć drzewo tak barzo, iż sie widziało pasterzowi, jakoby już upaść miało. Ale na onem drzewie był owoc. Pasterz, rwąc owoc, mიაłtał jemu. On wieprz onego owocu tako sie najadł, aż legł na ziemi pod onem drzewem. Widząc to pasterz, pomału zszedł, a jedną ręką wieprza czośał, a drugą sie drzewa dzierżał, iż, jestliby sie wieprz chciał nań rzucić, iżeby natychmiast wbieżał na drzewo. A gdy tak onego wieprza czośał, wieprz usnął. Pasterz, widząc, iż wieprz usnął, wyjąwszy kord, zabił go. Potem dziewczka królewska była mu dana i królestwo po śmierci królewskiej. — Tedy rzekła cesarzowa: «Panie! rozumieliście, com wam powiedała?» Rzekł cesarz: «Rozumiał». Rzekła cesarzowa: «Wyłożę wam tę powieść. Wieprz ten tako mocny znamionuje waszą moc, naprzeciw której nie może sie żaden przeciwić. Pasterz ten znamionuje waszego syna przekłętego, który kijem swojej nauki poczyna was nagrawać¹. Bowiem jako

¹ sztydzić.

pasterz, drapiący wieprza, uczynił, iżże usnął, dlatego iżby go zabił, tak mistrzowie syna twego przekłętego cieszą was swemi przypowieściami fałszywemi, aż syn wasz zabije was, iżby mógł królować». Rzekł cesarz: «Boże! tego nie daj, iżby mnie syn mój tak miał uczynić, jako ten pasterz wieprzowi. Powiadam ci, iżże dziś umrze natychmiast». Gdy ona to usłyszała, rzekła: «Miły panie, jestli to uczynicie, tedy mądrze uczynicie». Tedy cesarz przykazał, iżby czeladź wiodła syna jego na śmierć.*

27. Tłumaczono na język polski i drukowano, także już w pierwszej połowie XVI wieku, średniowieczne powieści historyczne albo raczej pseudo-historyczne, to jest powieści, oparte na podaniach i dziejach starożytnych, które jednak fantazja średniowieczna znacznie przekształcała i uzupełniała pomysłami fantastycznymi. A więc np. przełożono na nowo (z języka łacińskiego) romans o Aleksandrze Macedońskim, tłumaczony na język polski raz w XV, a drugi raz na początku XVI wieku, i wydrukowano go w roku 1550: *Historyja o żywocie i znamienitych sprawach Aleksandra Wielkiego, króla macedońskiego, która w sobie wiele cudnych przykładów zamyka, każdemu rycerskiego stanu człowieku ku czytaniu użyteczna, teraz nowo przełożona*. I ta również powieść cieszyła się u nas ogromną poczytnością w ciągu dwóch wieków z górą.

Mniej poczytną, ale daleko lepiej przetłumaczoną (także z łaciny) była inna powieść pseudohistoryczna, którą drukowano już około roku 1520, ale którą znamy dopiero z wydania r. 1563: *Historyja barzo piękna, ucieczna i każdemu stanu, tak rycerskiemu, jakoteż i inszemu pospolitemu, iście pożyteczna, gdyż w sobie osobliwych przykładów ma barzo wiele, o zburzeniu i zniszczeniu onego sławnego a znamienitego miasta i państwa Trojańskiego, które dla jednej białejgłowy Heleny, którą był Aleksander, syn Priamusa, króla trojańskiego, uniósł, Grekowie naonczas z wielkiem krwie z obu stron rozlaniem uczynili. Teraz nowo drukowana*. Na treść tej powieści składają się podania o królu tessalońskim Peljasie i jego bratanku Jazonie, o wyprawie Argonautów, jako «przyczynie pirwszej walki trojańskiej»; dalej — porwanie Hezjony, córki króla trojańskiego Laomedonta przez Herkulesa, poselstwo Antenora do Grecji, porwanie żony Menelausa Heleny przez Aleksandra (Parysa), bezskuteczne poselstwo Palamedesa, Ulissesa i Menelausa do Troi po Helenę i ich odprawa; wreszcie — wojna trojańska, «jako historykowie powiadają... trwała przez dziesięć lat i sześć miesięcy a sześć dni», i w której «Greków poginęło ośmset ośmdziesiąt i sześć tysięcy, a z Trojanów — sześćset siedmdziesiąt i sześć tysięcy». W tę opowieść autor wplata często moralizacje, z których najważniejszą, stanowiącą myśl przewodnią całej powieści, jest, że za winy panujących ponoszą karę ich państwa i narody: «Przypatrzże się tedy, czytelniku łaskawy,... jakie to było skaranie boże, iż tak pokarać chciał¹ dziwnym sposobem Priamusa, króla trojańskiego, który swej wolej dopuścił synowi swemu, gdy cudzą żonę uniósł. Z czego iż go Priamus nie karał, boże skaranie nań przyszło, tak iż dla grzechu a złości musiał zginąć i sam i dzieci jego i wszystko państwo jego. Co ma być wielkim przykładem inszym, gdyż to szczęśliwy człowiek, co się cudzą przygodą karze², a zwłaszcza tym, którzy się do cudzego przysiadają, którzy,

¹ t. j. Bóg. ² karać się czem = brać sobie co za przestrożę.

jeśliby sprawy Priamusowej naśladować chcieli, niechaj to wiedzą, iż to, co Priamusa potkało, to ich też nie minie. Dostyć mądremu!»

28. Lecz nietylko do literatury pięknej — do poezji religijnej i świeckiej, do apokryfów i powieści — wtargnął, już w pierwszej połowie XVI wieku, język ojczysty, wypierając potrosze łacinę: wydawano w języku polskim także różne książki do użytku praktycznego, a więc przede wszystkim kalendarze z przepowiedniami astrologicznymi, dotyczącymi nietylko pogody, urodzajów, ale także wypadków politycznych. Tak np. kalendarz krakowski, wydany w roku 1529, zapowiadał, że w roku następnym panować będzie światu głównie Wenera, że przeto urodzaje będą dobre, ale ludzie będą mieli wiele przykrości w życiu małżeńskim, że «dnia Zwiastowania Panny Maryje chmurno — na deszcz zimny a krupny a śnieżny, przez trzy dni potrwa», że «naszym krainam polskim i innym królestwom, polskiemu przyległym, dostyć spokojny rok niebo obiecuje», «a inne królestwa wzburzą się ku walczeniu, ale rycerstwo samo siebie spólnie będzie się strachować a pokoju żądać». Takie kalendarze (czyli, jak wówczas mawiano, «wieszczby» albo «wysłownienia znaków niebieskich) przeznaczano, podobnie jak utwory literatury pięknej, nadewszystko dla nieumiejących po łacinie, a ciekawych kobiet (albo raczej dla białychgłów czyli niewiast, wyraz bowiem «kobieta» był wówczas i długo jeszcze później wyrazem pogardliwym): «Matka Ewa to im po sobie zostawiła, żeby każda z nich wiedzieć tajemności chciwa była, a to, co wie, aby żadnym obyczajem nie zataiła. Być była Ewa słów węża przed Adamem nie powiedziała, byłaby jego nie zwiodła».

Dla celów praktycznych wydawano także tak zwane *Ogrody zdrowia*, to jest książki, zawierające w sobie różne rady lekarskie, wskazówki higieniczne, jak się ma człowiek zachowywać w każdej porze roku i w każdym miesiącu, np. kiedy ma sobie krew puszczać i t. p.; nie zapomimano także o pouczeniu czytelnika, jaki wpływ na życie ludzkie wywierają planety. Oto przykłady: «Wódka anyżowa odtwiera zatkanie w żyłach i zachowawa każdego, kto ją pije naczcho, od koliki, rzygania oddala, barzo jest użyteczna mamkom, ból w krzyżach uspokaja». «Mięso kotowe jest ciepłe i suche, pomaga na boleści nerek i grzebiet». «Indyjski agatek rzeczy jadowite odpędza; kto nań będzie patrzył, tedy widzenie wspomaga, a gdy ji kto w uściech trzyma, pragnienie uśmierza, walczącemu dawa zwycięstwo». «Włosy czarne uczynić: krucze jaje zbić, a ogoliwszy głowę, pomazuj, ale póki nie uschnie, miej oliwę w uściech, by zęby nie szerniały, nie umywaj się do trzeciego dnia, a czyn to w cieniu!» «Pamięć twierdzi¹ zęb słoniowy tarty, czwartą część luta daj pić w wodzie miodowej; albo tył olejkim ceglanym nacieraj, to pamięć przywodzi». «Popiół z kości głowy psa wściekłego, gdy z niej mięso dobrze ogniło, z oliwą go rozmieszawszy, w ucho nalać, po której stronie zęb boli». «Wrześniac² zdrowszy owoc stały, z koziem mlekiem jedz chleb biały, warz pokrzywy, wodę z nich pij, żyłę zatni, ciepłej się miej!» Kto się urodzi pod znakiem Wenery, ten «bywa rozkoszny, a towarzystwo miłujący, miłosierny, na panny rad patrzy; a jestli sie panna urodzi pod tą planetą, tedy (acz nic, ale aby weźrzeniem) miłuje rada». Autorem jednego z takich «ogrodów zdrowia» jest Biernat z Lublina.

W bliskim pokrewieństwie z tego rodzaju książkami są wydane

¹ utwierdzać, wzmacniać. ² we wrześniu.

w roku 1535 *Problemata Aristotelis*, gadki z pisma wielkiego filozofa *Aristotela* i też inszych mędrców tak przyrodzonej, jako i lekarskiej nauki, z pilnością wybrane, pytanie rozmaite o składności człowieczych członków rozwiązujące, ku biegłości rozmowy ludzkiej tak rozkoszne, jako i pożyteczne. Są tutaj wiadomości z dziedziny fizjologii, biologji, higieny, medycyny i fizjognomiki, np. «Przecż niewiastam broda nie obrasta? Odpowiedź: iż wszytka ona materyja, z której takowa broda pochodzi, wstępuje w głowę, a tak włosy gęstsze czyni i dłuższe, niż u otroka¹, a nie na brodzie». «Czemu około ust są wargi? Odpowiedź: dla zakrycia zębów, aby człowiek zębami nie świecił, bowiemby to było szpetnie; też dlatego, iż zęby są zimnego przyrodzenia, aby ich wiatr nie tak rychło mógł obrazić przed wargami², też dla dostatecznej mowy, gdyż niektóre słowa wargami zamykamy; albo też, aby one, usta zatwarzając, powściągały człowieka od zbytnej mowy». «Czemu człowiek nie ma kopyt, jako insze bydło? Odpowiedź: kopyta dany bydłu ku obronie, ale człowiek ma ręce, któremi się broni, przeto kopyt nie potrzebuje, ani też paznogtów długich dla drapania w obronie, gdyż to jemu nie przyrodzono». «Czemu po rybach zdrowo jeść orzechy?.. Odpowiedź: bowiem ryby czasem jad w sobie mają... a orzechy, zwłaszcza włoskie, mają naturę, odmiękcżającą jadowitości, a tak i rybam jad odejmują». «Twarz mała a okrągła znamionuje człowieka prostego, nieśmiałego, mdłego przyrodzenia, złej pamięci, wszakoż pobożnego». «Komu sie brwi ku dołu skrzywiają, gdy z kim mówi albo patrzy na kogo, znamionują człowieka złośnego, matacza, fałszerza, ślepcę³, milczącego, zradnego, a swej myśli»⁴. «Nos kończysty zawsze gniew znamionuje, a im większa w nim będzie ostrość, tem większą ukazuje gniewliwość jakoby osa».

Oprócz tytułu, książka ta nie ma nic wspólnego z *Arystotelesem*: jest to owoc mądrości średniowiecznej; tłumaczem (z łaciny) jest **Andrzej Glaber z Kobyłina**. Wogóle na prozę naszą XVI wieku przed rokiem 1543 składają się prawie wyłącznie przekłady; jedynie najważniejszy utwór poezji tych czasów (to jest *Ezop* Biernata z Lublina), oraz pieśni religijne, to nie przekłady, tylko przeróbki z łaciny. Pomimo to wszystkie te utwory, zarówno wiersze, jak proza, zarówno religijne, jak świeckie, zajmują bardzo ważne stanowisko w historii literatury: one to przyczyniły się bardzo wydatnie nie tylko do wyrobienia języka literackiego, ale nadto do zwalczania przesądu średniowiecznego, że językiem literackim może być tylko łacina.

¹ chłopiec, mężczyzna. ² dzięki wargom. ³ krótkowidz. ⁴ samodzielny, uparty.

ROZDZIAŁ IV

Od roku 1543 do końca XVI wieku

Wiek złoty: mądrość i piękno literatury staropolskiej

29. Rok 1543 stanowi epokę w dziejach literatury naszej, nie dlatego, że jest datą śmierci Janickiego i datą wydania wiekopomnego dzieła Kopernika, ale dlatego, że się w tym roku ukazała *Krótką rozprawa* Reja, pierwszy po polsku napisany utwór nawskrós oryginalny, nawskrós narodowy, bo mający treść, wziętą z życia narodu, a nie, jak bajki Biernata z Lublina, powieści, apokryfy i książki dla użytku praktycznego, z literatury obcej. Niedosyć na tem: w tym samym roku zaczynają pisać jeszcze dwaj inni znakomici pisarze: Modrzewski i Orzechowski. To początek najwspanialszego rozkwitu literatury staropolskiej, jej «wieku złotego», który unieśmiertelniły cztery zwłaszcza nazwiska: Reja, jako ojca naszej literatury narodowej; Modrzewskiego, jako jednego z najszlachetniejszych myślicieli polskich wszystkich wieków; Kochanowskiego, jako największego liryka niepodległej Polski, i Skargi, jako największego ze wszystkich kaznodziejów, jakich kiedykolwiek Polska wydała.

Oświeconem musiało być społeczeństwo, które wydało tak mądrą i piękną literaturę. Jakoż było niem rzeczywiście. Lecz głównem źródłem oświaty nie były szkoły krajowe, które nie zaspokajały wymagań spragnionego wiedzy społeczeństwa. Akademia Krakowska upadła coraz to więcej: zamiast humanizmu uprawiała scholastykę, a za główne swoje zadanie poczytywała nie naukę, lecz dochowanie wierności Kościołowi katolickiemu wobec szerzącej się reformacji. Wystąpiła Akademia do walki z reformacją, ale była to walka raczej bierna, niż czynna, głównie bowiem polegała na tem, że innowierców nie przyjmowano ani do Akademii, ani do podwładnych jej szkół. Ci zakładali własne szkoły, które wprawdzie stały pod niejednym względem wyżej od katolickich, ale które także nie odpowiadały wysokim zadaniom szkoły, i one bowiem miały charakter nietylko naukowy, ile wyznaniowy. Oprócz Akademii Krakowskiej powstały w XVI wieku jeszcze dwie inne, w Wilnie (1578) i Zamościu (1595); ale pierwsza, będąca w ręku jezuitów, uprawiała, podobnie jak Akademia Krakowska, prawie wyłącznie scholastykę i teologję i walczyła z innowiercami, a druga rozwijała się pomyślnie tylko dopóty, póki żył jej wielki założyciel, Jan Zamoyski (um. 1605).

Nie szkołom więc krajowym zawdzięcza Polska XVI wieku swą wysoką oświatę, ale, po pierwsze, samemu życiu (mianowicie ruchowi poli-

tycznemu i religijnemu), a po drugie, szerzącemu się coraz to więcej wpływowi cywilizacji włoskiej (humanizmowi).

Ruch polityczny był niesłychanie żywy. Szlachta, pragnąc do reszty skruszyć potęgę możnowładców, domaga się po dawnemu egzekucji i zwycięża: na sejmie egzekucyjnym piotrkowskim r. 1562—3 uchwalono egzekucję dóbr, rozdarowanych po r. 1504. Niedosyć na tem. Szlachta dążyła do zreformowania państwa wogóle (do t. zw. naprawy Rzeczypospolitej), pragnąc utrwalić i uprawnić swoją złotą wolność. I znów odniosła zwycięstwo. Po bezpotomnej śmierci Zygmunta Augusta (1572) złota wolność stała się prawem: odtąd króla obierali nie przedstawiciele narodu, tylko cała szlachta (*viritim*), nowoobрани zaś król musiał przysięgać, że wykona warunki, poddyktowane mu przez szlachtę (*pacta conventa*). Jedno i drugie, zarówno elekcja *viritim*, jak *pacta conventa*, ukoronowało złotą wolność, ale zarazem podkopało potęgę państwa. Odtąd szlachcic z dumą mówił sobie: «Urodziłem się wolnym szlachcicem, nie boję się nikogo, i króla samego»; pysznił się, że ma prawo obierać sobie króla i że sam może nim zostać; rozumował, że, skoro jest wolny, to może postępować tak, jak mu się żywnie podoba; lekceważył prawa, nie szanował króla i urzędu; uwierzył w mądrość przeklętej zasady: «Nierządem Polska stoi». Silna ręka Batorego umiała wprawdzie utrzymać w Polsce porządek, a jego wielka głowa umiała skłonić szlachtę do zgodnych i wielkich czynów: do wojny moskiewskiej, w której oręż polski okrył się nieśmiertelną chwałą; potężna więc jeszcze była Polska za króla Stefana, ale gdy jego nie stało, złota wolność wydawać zaczęła owoce: rozpanoszył się nierząd, król tracił nietylko władzę, ale i powagę, niewola chłopów stawała się coraz cięższą, miasta upadały, zachwiała się i powaga sejmu walnego, bo sejmiki coraz to odbierały mu władzę; słowem, państwo wchodziło już na drogę do przepaści, w którą stoczyło się w końcu XVIII stulecia. Tak więc ruch polityczny szlachty w wieku XVI był dla państwa w ostatecznych skutkach swoich zgubny, ale na oświatę wywarł wpływ niezmiernie dodatni: już to jedno, że szlachta brała tak żywy udział w życiu publicznem, rozwijało ją i oświecało, kształciło i pobudzało do zastanawiania się nad sprawami państwa.

Olbryzi wpływ na oświatę społeczeństwa wywarł również ruch religijny, mianowicie reformacja. Już za Zygmunta Starego szerzyła się nauka Lutra w ziemiach, graniczących z Niemcami, z całą siłą jednak wybuchła reformacja dopiero za Zygmunta Augusta. Z początku poprzestawano na ostrej krytyce duchowieństwa, któremu słusznie zarzuczano życie niemoralne i nadmierną chciwość grosza; domagano się Kościoła narodowego, t. j. niezależnego od Rzymu; na sejmach wołano, aby Słowo Boże było głoszone «w czystej postaci» (mniemano bowiem, że Kościół katolicki wypaczył je i zepsuł); aż wreszcie szlachta, chcąc się wyłamać z pod władzy Kościoła, zaczęła tłumnie z nim zrywać, tak dalece, że zdawało się, iż Polska szlachecka na zawsze przestanie być katolicką.

Tymczasem stało się inaczej. Reformację wywołały przyczyny nie religijne, tylko społeczne i polityczne: nie o istotę religijni chodziło szlachcie, tylko o to, aby złamać władzę i przywileje duchowieństwa: aby nie płacić dziesięcin, nadewszystko zaś, aby nie podlegać sądom biskupów, którzy mieli prawo sądzić i żądać od urzędów świeckich, by karały tych, którzy łamią przepisy kościelne. Otóż, kiedy na sejmie piotrkowskim r. 1552 zapadła uchwała, że urzędy świeckie nie będą wykonywały wyroków sądów bisku-

pich. upadła tem samem jedna z najważniejszych pobudek do zrywania z Kościołem katolickim. To jedno. Po drugie, większość szlachty, choć zmieniła wyznanie, w głębi serca tęskniła do okazałości i przepychu nabożeństwa katolickiego; żal jej było wyrzekać się kultu Najświętszej Panny, a także nabożeństwa do świętych: ukradł złodziej szlachcicowi konia, jakże nie pomodlić się do św. Lenarta? zginął wieprz, jak nie dać na mszę do św. Antoniego, by się znalazł? Po trzecie, w łonie samej reformacji nie było zgody: ponieważ tak wielkiej wolności sumienia, jak w Polsce, nie było na całym świecie, więc nigdzie nie powstało tyle, co u nas, sekt religijnych, które pomimo licznych usiłowań nie mogły dojść z sobą do zgody. Najtrudniej było o zgodę ewangelików z arjanami. Arjanie czyli antytrynitarjusze to najskrajniejsza sekta XVI w.: odrzucali dogmat bóstwa Jezusa Chrystusa (a zatem dogmat Trójcy ś.), chociaż przejęli się głęboko moralnością chrześcijańską; nienawidzono ich powszechnie: zarówno katolicy, jak ewangelicy, miotali na nich oszczerstwa, a oni twardo stali przy swej nauce, co jeszcze bardziej wzmagało zawziętość ich nieprzyjaciół. Otóż ta niezgoda podkopywała siłę reformacji w Polsce, tem więcej, że Kościół katolicki, dzięki reformom, dokonany na soborze powszechnym w Trydencie, wzrastał w siłę i powagę. Upadała więc reformacja szybko już w ostatnich latach panowania Zygmunta Augusta; nie ocalała jej bezprzykładna na całym świecie tolerancja religijna, która po śmierci Zygmunta Augusta stała się prawem państwowem, mocą tej samej konfederacji warszawskiej, która zapewniła szlachcie wolność polityczną. Katolicyzm zwyciężał, bez środków gwałtownych, jak gdzie indziej; przyczynili się do tego triumfu jezuita, których sprowadził do Polski Hozjusz.

Cały ten ruch religijny miał nieobliczone następstwa dla oświaty. On to rozbudził życie umysłowe w większym jeszcze stopniu, niż ruch polityczny, a nietylko rozbudził, ale i rozszerzył: jak Polska długa i szeroka, wszędzie sprawy religijne budziły w umysłach mieszczan i szlachty tak wielkie zajęcie, jak nigdy przedtem i nigdy potem, dostarczając obficie pokarmu umysłowego i pobudzając do myślenia; każdy jako tako wykształcony człowiek, duchowny czy świecki, nietylko politykował, lecz nadto rozprawiał o religji i Kościele; rozwijał się więc umysł, budził się zmysł krytyczny. Dawniej jedynem niemal środowiskiem życia umysłowego był Kraków, teraz powstawały ogniska nowe: Pińczów, Raków, Lublin, Wilno, Brześć Litewski i inne.

Potęną dźwignią oświaty w XV w. był wreszcie humanizm. Zniechęcona do Akademji Krakowskiej, młodzież coraz to tłumniej jeździła po naukę zagranicę, zwłaszcza do Włoch, które całej Europie przodowały oświatą, ogładą obyczajów, literaturą i wogóle cywilizacją. Roilo się po uniwersytetach włoskich od młodzieży polskiej, która nie traciła czasu, pilnie przykładała się do nauki, a za powrotem do ojczyzny szerzyła nabytą wiedzę i cywilizację po całym kraju. To też humanizm rozwinął się w Polsce bujnie. Znajomość języka greckiego była wprawdzie rzadka (znali go tylko ludzie najukształceńsi), ale zato znajomość łaciny była tak powszechna, że, jak świadczy współczesny historyk, Marcin Kromer, w samych Włoszech trudno było znaleźć tylu mówiących po łacinie, co w Polsce. Chępnio się tem i popisywano, i już w wieku XVI utrwalił się zwyczaj, że w mowach, do których wygłaszania tak skorzy byli dawni Polacy, w listach i broszurach ulotnych sypano jak z rękawa nietylko wyrazami, ale i całemi zda-

niami łacińskimi. Powszechna znajomość łaciny umożliwiła powszechną znajomość literatury rzymskiej: z zapalem rozczytywali się Polacy w pismach autorów rzymskich, podziwiali ich piękność i mądrość, i tym sposobem przyzwyczaili sobie całe mnóstwo pojęć, poglądów i zasad starożytnych, często ślepo wierząc w ich słuszność. Miało to ujemną stronę, bo przecie nie wszystko, co wymyśliła starożytność, jest dobre i mądre, ale miało i stronę dodatnią, rozszerzało bowiem widnokreśli umysłowe.

30. Trzy więc były główne źródła, z których płynęła oświata Polski XVI wieku: ruch polityczny szlachty, reformacja i humanizm. A była to oświata rzetelna i wysoka, i literatura zatem rozwinęła się wspaniale.

Teraz dopiero runęło do szczętu uprzedzenie średniowieczne, że językiem literackim może być tylko łacina, teraz dopiero język ojczysty otrzymuje w literaturze przewagę nad obcym, łacińskim. Wpłynął na to po części humanizm: we Włoszech, gdzie się tyle młodzieży polskiej kształciło, minęły już czasy ślepego uwielbienia i naśladownictwa literatury rzymskiej, kiedy to głównem staraniem humanistów było dorównać pięknością języka łacińskiego autorom rzymskim; teraz humaniści włoscy już zrozumieli, że największa sztuka polega nie na tem, żeby pisać pięknie po łacinie, tylko na tem, żeby pisać po włosku równie pięknie, jak Rzymianie pisali po łacinie; tym sposobem rozwinęła się w XVI w. we Włoszech bogata literatura narodo wa. Otóż za przykładem Włochów poszli Polacy: i oni zrozumieli nakoniec tę prawdę, że językiem literackim może i powinien być język ojczysty.

Głównym jednak czynnikiem zwycięstwa języka polskiego w literaturze była reformacja; jej zwolennicy bowiem, chcąc mieć posłuch w jak najszerszych masach społeczeństwa, musieli się posługiwać zarówno w mowie, jak w piśmie, językiem powszechnie zrozumiałym, a więc ojczystym; musieli przede wszystkim postarać się o to, aby Pismo św. było dla wszystkich dostępne: stąd pierwszy drukowany przekład polski czterech Ewangelij zawdzięcza literatura nasza nie katolikom, tylko protestantom, mianowicie Stanisławowi Murzynowskiemu. Protestantom także, nie katolikom, zawdzięcza literatura XVI wieku pierwsze postylle polskie (to jest kazania pisane, objaśniające teksty Ewangelij), oraz pierwsze kancjonały (to jest zbiory pieśni religijnych z nutami). Wówczas to i duchowieństwo katolickie, chociaż niechętnie patrzyło na spolszczanie się literatury religijnej, rozumiało, że, jeśli chce skutecznie walczyć z reformacją, koniecznie musi także posługiwać się językiem ojczystym. Tym sposobem rozwinęło się piśmiennictwo religijne, które stanowi najbogatszą gałąź literatury polskiej XVI wieku, a na które, prócz przekładów Pisma św.¹ i pieśni religijnych, zło-

¹ Cztery Ewangelje w przekładzie Murzynowskiego ukazały się w Królewcu w r. 1551, nakładem księgarza Jana Seklucjana; w roku następnym wydał Seklucjan cały Nowy Testament w przekładzie tegoż Murzynowskiego (t. zw. Biblia Seklucjana czyli królewiecka); w przedmowie do króla, któremu swoje wydawnictwo poświęcił, pięknie mówi Seklucjan, że przekład Pisma św. na język ojczysty więcej znaczy, niż gdyby król całe kraje do swego królestwa przyłączył. W r. 1561 drukarz krakowski, Szarffenberger, wydał całe Pismo św. w tłumaczeniu księdza katolickiego, Jana Leopolicy; jest to t. zw. Biblia Szarffenbergera czyli Leopolicy. W roku 1563 wyszła w Brześciu Litewskim, nakładem gorliwego kalwina, Mikołaja Radziwiłła Czarnego, Biblia dla kalwinów (Biblia brzeska czyli radziwiłłowska). W r. 1572 w Nieświeżu wydano Biblię dla arjan w przekładzie Szymona

żyły się kazania, dzieła teologiczne, a nadewszystko bogata, niezmiernie żywa i gwałtowna polemika religijna (t. j. pisma, w których zwolennicy jednego wyznania walczyli z przedstawicielami innego). Otóż to wywołane przez reformację piśmiennictwo religijne, z jednej strony, przyczyniło się w najwyższym stopniu do wyrobienia języka polskiego, a z drugiej, do utrwalenia w literaturze języka ojczystego; innemi słowy, reformacja była czynnikiem unarodowienia literatury ze wszystkich najpotężniejszym.

I humanizmowi zawdzięcza literatura polska niezmiernie wiele. Znajomość znakomitych historyków, polityków, mówców i poetów starożytnych przyczyniła się do rozwoju literatury historycznej, politycznej, wymowy i poezji. Historycy usiłują pisać tak pięknie, jak Liwjuż i Cezar; politycy szukają mądrości w pismach Platona, Arystotelesa i Cycerona; mówcy budują równie piękne i kształtne okresy, jak Cyceron; poeci naśladują poetów rzymskich, zwłaszcza Horacego. Naśladownictwo to sięgało czasem za daleko: składni polskiej nadawano nieraz tok łaciński, w poezji posługiwano się mitologją, w prozie do znudzenia przytaczano różne przykłady z dziejów starożytnych i t. d.; ale z drugiej strony rozczytywanie się w literaturze starożytnej przyniosło piszącym tę wielką korzyść, że rozwinęło i udoskonalilo w nich poczucie estetyczne, t. j. zmysł piękna, że nauczyło ich sztuki dobrego pisania; piękność swoją — piękność języka, stylu i wogóle piękność formy — zawdzięcza literatura nasza XVI stulecia głównie humanizmowi; tę zaś piękność najznakomitsi pisarze umieli pogodzić z prostotą, w poezji — nadewszystko Kochanowski, a w prozie — nadewszystko Skarga.

A jak piękna jest forma literatury wieku złotego, tak szlachenta i mądra jej treść. Żywy ruch religijny, wywołany przez reformację, był obfitym pokarmem nie tylko dla umysłów, ale i dla serc: pobudzając bowiem ludzi do zastanawiania się nad sprawami religji i moralności, do zgłębiania nauki Jezusa Chrystusa, budził w ich duszach uczucia szlachetne; to też pełna podniosłych uczuć jest literatura, pełna miłości Boga i człowieka, nawskróś przesiąknięta zasadami moralności chrześcijańskiej. Najpiękniejsze pisma XVI wieku: *O naprawie Rzeczypospolitej* Modrzewskiego, *Treny* i *Psalterz* Kochanowskiego, *Kazania Sejmowe* Skargi — należą zarazem do najpodnioslejszych utworów w całej naszej literaturze. Najznakomitsi pisarze są jednocześnie najszlachetniejszymi nauczycielami swego narodu, albowiem, sami ducha chrześcijańskiego pełni, pragną przelać go w serca czytelników, pragną prowadzić swój naród drogą cnoty, drogą moralności chrześcijańskiej. A oprócz moralności ogólnej, oprócz miłości Boga i człowieka, uczą go moralności patriotycznej i miłości ojczyzny. Ogół szlachty, rozkochany w złotej wolności i dobrobycie materialnym, zapominał o obowiązkach względem ojczyzny: literatura przypominała mu o nich; uciskał chłopów: ona stawiała w ich obronie; unikał rzemiosła wojennego, wołąc siedzieć spokojnie na wsi: ona przestrzegała, że bez wyćwiczonego żołnierza państwo potężnem być nie może; uwierzył w zasadę: «Polska nierządem stoi»: ona uczyła, że zasada to głupia i niegodziwa. Słowem, duch obywatelski, mądry i szlachetny patriotyzm znamionuje literaturę XVI wieku, jest jedną z najwybitniejszych i najpiękniejszych jej cech; przejęła się ona szczerze i głęboko nauką Cy-

Budnego (Biblja nieświeska czyli Budnego). W r. 1593 wyszedł Nowy Testament, a w r. 1599 całkowite Pismo św. w przekładzie jezuitę, Jakóba Wujka (Biblja Wujka); przekład ten odznacza się prześlicznym językiem, który do dziś dnia nie stracił swego wdzięku i czaru.

cerona, który był dla ludzi tego stulecia wielkim nauczycielem patrijotyzmu: «Drodzy są rodzice, drogie dzieci, drodzy krewni i przyjaciele, ale wszystkie wszystkich miłości jedna ojczyzna ogarnęła, za którą śmierci spojrzeć w oczy a któż dobry się zawaha, jeśli wie, że jej tem pożytek przyniesie?»

Niestety, ogół nie chciał słuchać swoich mądrych i zacnych nauczycieli, i to napełniało ich serca smutkiem i trwogą: to też w pismach XVI wieku dźwięczą często przeczucia smutnej przyszłości, raz wraz rozlegają się przepowiednie upadku Polski; tłumaczy się to zresztą w niemałej mierze wpływem Cycerona, który się na przyszłość Rzymu patrzył bardzo ponuro, oraz wpływem proroków hebrajskich, którzy wróżyli państwu żydowskiemu upadek. Dosyć, że przepowiednie upadku Polski to także wybitne znamię literatury XVI wieku.

31. Szereg znakomitych pisarzy wieku złotego otwiera **Mikołaj Rej** (1505—1569), urodzony w Żórawnie pod Haliczem. Ojciec jego, jak powiada przyjaciel i biograf Reja, uczony humanista, Andrzej Trzeciecki¹, «o wychowanie tego syna mało dbał, bo jednegoż miał, tak że jemu przy sobie chował aż do niemałych lat, że go byli potem ledwie namówili, iż go był dał do Skarmierza do szkoły... Tamże był dwie lécie i, nic się nie nauczywszy, wziął go był zasię do domu i potem go był dał do Lwowa; i tam się też nic nie nauczył, bawiąc się między przyjaciół, bo już był podrosły, a był tam dwie lécie». Przez kilka miesięcy chodził Rej do Akademji Krakowskiej, ale i to «mu mało albo nic nie pomogło, bo już rozumiał, co to jest dobre towarzysstwo». «I zdało się ojcu, iż już był nauczony człowiek, a on przedsię, jako dawno, nic nie umiał; wziął go zasię do domu, do onego Żórawna. Tamże, z rusznicą a z wędką biegając koło Niestru, aż do ośmnaście się lat ćwiczył, bąki strzelając; a gdy przyniósł pełne zanadra² płócic, laskowych i wodnych orzechów, a kaczora albo gołębia, abo wiewiórkę za pasem, to go z onej kuszule z płoskonek³ roztrząsali, rozpasawszy: ano wszystko dobrego dosyć. To się tu w nim kochali, mówiąc: «Nic nasz Mikołaj, nic! ba, nie zależy-ć ten na starość gruszki w popiele!» Ano prawdę mówili: bo było prawie⁴ ze wszystkiego nic. Potem go posłali do Topolej, do stryja, aby go był wyprawił gdzie na służbę, i kupili mu kitajki na kabat⁵ na wyprawę; a on się jął brogiem⁶ wron łowić, a nim mu uszyto sukniej, tym onę kitajkę wykrawał na proporczyki, a czyniąc drzewca, z onemi proporczyki przywiewował wronam do szyje a do ogona pod skrzydło, a żywo je puszczał, tak że, z onemi proporczyki latając, wygnały inie wrony i kawki precz, że szkody w gumniech nie czyniły». Takie to życie pędził Rej aż do lat dwudziestu. Ale nastąpił zwrot: ojciec oddał go na dwór wojewody sandomierskiego, Andrzeja Tenczyńskiego, i tutaj to, w otoczeniu ludzi wykształconych, zaczął się Rej wstydzić swego nieuctwa. «Tam potem będąc, począł go pan w listy polskie wprowadować, bo łańckiego języka barzo mało albo nic nie umiał; tamże potem z listów, z rozmów między pisarzmi, z czytania, a snadź więcej z natury jął się już był przegryzować potrosze i łańckiego pisma czytać, a Bóg a natura ostatka dodał, iż był przyszedł potem *ad iudicium*⁷, iż wždy już rozumiał, co czarno, a co biało, jedno iż mu to wiele przekazało, iż był zawždy zabawion towarzystwem a muzyką, tak z natury, że rzadkiej której nie umiał.

¹ Istnieje śmiało, ale dostatecznie nie udowodnione przypuszczenie, że autorem tej biografji jest sam Rej. ² pazucha. ³ płoskon, płoskonka = konopie. ⁴ naprawdę. ⁵ suknia, surdut. ⁶ sieć. ⁷ do rozsądku, do rozeznania.

Teksty dziwne a wirsze rozmaite, tak nie sie nie rozmyślając, czynił. A był pan barzo ciekawy zmlodu, że nigdy na jednym miejscu długo posiedzieć nie mógł, a myślistwo mu też wiele przekazało». Po śmierci ojca wziął się do gospodarstwa, a miał na czem gospodarować, bo i po ojcu odziedziczył niemalą fortunę, i za żoną wziął duży majątek. Życie płynęło mu wesoło, wśród biesiad i polowań w gronie «dobrych towarzyszków», którzy przepadali za jego humorem i wesołością, a i mądrą radę jego wysoko sobie cenili; w dzień hulał, po nocach pisał; zjeździł całą Polskę, ale zagranicą ani razu nie był. Gdy się reformacja zaczęła szerzyć w Polsce, odstąpił Kościoła katolickiego i zwalczał go słowem i piórem, jako jeden z najgorliwszych zwolenników nowej nauki. «Żadnego sejmku, zjazdu, ani żadnej koronnej sprawy nie zamieszkał», ale pomimo że się cieszył względami obu Zygmunatów, «urzędem żadnym ziemskim nigdy się nie chciał parać¹: powiedział, że w zatrudnionym żywocie dwa co naślachetniejsze klenoty ociążone być muszą: wolność i sumnienie, które powiedział, iż w zabawionym żywocie nigdy bezpieczne być nie może». Nie uchylał się tylko od godności posła i niejednokrotnie zabierał głos na sejmach w sprawach państwa i religii.

Zasługi Reja są nieśmiertelne, a polegają, krótko mówiąc, na tem, że on to stworzył literaturę narodową, po pierwsze dlatego, że on dopiero zaczął pisać po polsku dzieła oryginalne, w których się odbiło życie narodu, po drugie dlatego, że on był pierwszym autorem świeckim, piszącym nie dla kobiet i nie dla ciemnych prostaczków, tylko dla całego narodu szlacheckiego, a po trzecie dlatego, że on dopiero zdobył się we wszystkim, co pisał, na swój własny styl: wprawdzie jego język bywa niekiedy niepoprawny, czasem zdania złożone nie są porządnie zbudowane; cóż z tego, kiedy ten język tętni życiem i jest doskonałym zwierciadłem prostej, rubasznej, ale bogatej i szlachetnej natury autora.

Dzięki swemu niepospolitemu talentowi, on pierwszy dowiódł, że się literatura może rozwijać w języku narodowym, on się najwięcej przyczynił do zwycięstwa języka ojczystego nad łacińskim.

Tę zaś olbrzymią zasługę położył Rej zupełnie świadomie: przywiązany gorąco do swej narodowości i ojczyzny, Polak duszą i ciałem, cierpiał i wstydział się, że, kiedy, jak powiada, «każdy naród język swój i sprawy swe zdobyć się stara, jako najlepiej może i pisząc czasem też leda co i wiele nikczemnych a niepotrzebnych rzeczy», Polacy tylko gardzą swym językiem i nie mają literatury narodowej, «aż się inszy narodowie czasem pytali, jeśli Polska jest miasto, albo też jaka kraina». Oto co bolało Reja! Jego szlachetna duma narodowa nie mogła pozwolić na to, by Polska, kraj tak wielki i potężny, nie miała własnej literatury. Więc kiedy widział, że o jej stworzeniu nie myślą jakoś ludzie uczeni, którzy uniwersytety włoskie pokonczyli, porwał się do czynu, on, prostak i nieuk, i zaczął pisać pod przepięknym hasłem:

A niechaj narodowie wždy postronni znają,
Iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają.

Łatwość pisania miał ogromną, zarówno prozą, jak wierszem; pisał językiem dosadnym, obrazowym, wziętym z żywej mowy współczesnej szlachty, czasem rubasznym, ale często pięknym, a nawet podniosłym — wtedy mianowicie, gdy mu zagrało w duszy uczucie patriotyczne albo reli-

¹ zajmować się.

gijne. Humanistą nie był o tyle, że literaturę starożytną znał bardzo mało: o greckiej nie miał pojęcia; z pisarzy rzymskich czytał niektóre pisma moralne Cyserona i Seneki; w książkach szukał nie piękności, tylko mądrości życiowej, zwłaszcza nauki dobrych obyczajów. Z tem wszystkim nie można powiedzieć, żeby humanizm nie wywarł na niego żadnego wpływu; przeciwnie: nie bał się Rej wypowiadać śmiało i otwarcie tego, co myślał i czuł, bez względu na to, czy się te jego myśli i uczucia zgadzały z tradycyjnym poglądem na świat; tak znamieną dla humanizmu walka z różnego rodzaju powagami, kościelnymi czy politycznymi, jest znamieną cechą jego pism. Jedną tylko powagę poczytywał za niewzruszoną, nieomylną, świętą: naukę Jezusa Chrystusa, przekazaną w Piśmie świętem.

W pismach swych występuje Rej głównie jako nauczyciel narodu polskiego. Będąc sam człowiekiem bardzo religijnym, pragnął serca swoich czytelników zwrócić ku Bogu i w tym celu pisywał pieśni pobożne oraz przełożył piękną, rytmiczną prozą *Psalterz Dawidów* (około r. 1544). Jako gorliwy zwolennik reformacji, głęboko przekonany, że Kościół katolicki wypaczył naukę Chrystusa, wystąpił do walki z Kościołem, szydząc złośliwie nie tylko z duchowieństwa, ale i z nabożeństwa katolickiego. Pragnąc szerzyć w Polsce znajomość Pisma świętego, napisał olbrzymią księgę: *Świętych słów a spraw Pańskich, które tu sprawował Pan a Zbawiciel nasz na tym świecie, jako prawy Bóg, będąc w człowieczeństwie swojem. Kronika albo Postylla, polskim językiem a prostym wykładem też dla prostaków krótcie uczyniona* (1557). Ze wszystkich postyl polskich *Postylla* Reja cieszyła się w XVI wieku największą poczytnością: wkrótce po pierwszym wydaniu ukazało się drugie, a potem trzecie i czwarte (1571). I nie dziw: głód Słowa Bożego był w społeczeństwie polskiem XVI wieku tak wielki, jak jeszcze nigdy przedtem i już nigdy potem; otóż tego głodu żadna inna postylla nie zaspokajała tak skutecznie, jak to dzieło, w którym Rej opowiedział, na podstawie Ewangelij, prostym ludziom życie Chrystusa i wyjaśnił im zasady moralności chrześcijańskiej. Niema tu uczoności, ale jest jasność myśli, a nade wszystko serdeczne uczucie — miłość ku Bogu i człowiekowi; styl grzeszy wprawdzie rozwlekłością (jak prawie we wszystkich pismach Reja), ale ujmuje swoją dziecięcą prostotą, a nieraz wzrusza ciepłem uczucia, w takim np. usłępie:

★ «Słyszałeś też od Pana swego, iżci i ptaszki i lilije polne podawa na przykład, jako są w dziwnej Opatrzności Boga, Occa swego niebieskiego, a opowiadając ci, iżes ty jest w nierówniejszej wadze u Niego. Słyszysz, żeć tu nie wspomina, jedno ptaszki niewinne swoje? słyszysz, żeć tu nie wspomina łopianu ani pokrzywy, jedno lilije polne? Uczynże sie też ty jako niewinny ptaszek w myśli i w sercu swoim przed oblicznością Jego, a proś, aby cie w tem podpomogło święte Bóstwo Jego wedle obietnic Jego. Przywdziejże sie farbą onej pięknej lilijej, którąć tu sam wspominać raczy, która stoi w białosci przed oblicznością Jego, a wdzięczną wonność podawa światu temu, a na lekarstwo i na pomoc ludzką wydawa ziarnka i korzonki swoje».★

A i w pismach świeckich Rej uczy czytelników, jak spełniać obowiązki względem Boga, ojczyzny i człowieka, i zachęca ich wogóle do c n o t y, którą poczytywał za główny cel życia ludzkiego.

Lecz jest on nietylko nauczycielem szlachty polskiej, lecz jednocześnie malarzem jej życia i obyczajów, oraz niepospolitym satyrykiem: pełno w jego pismach obrazków obyczajowych, żywcem wziętych z rzeczywistości, a świetnych, posiadał bowiem wysoce rozwinięty zmysł spostrzegawczy; że zaś najtrafniej dostrzegał ujemnych i śmiesznych stron życia, stąd obrazki te są zarazem satyrą na społeczeństwo. Jako nauczyciel, Rej często powtarza to tylko, czego się z książek dowiedział, ale jako malarz obyczajów polskich i satyryk, jest samodzielny i nawskróś narodowy; inni przewyższali go wiedzą, sztuką pisania, zmysłem piękną, ale ani jeden z pisarzy XVI w. nie dorównał mu, jako malarzowi współczesnego życia; pisma jego są doskonałym odzwierciedleniem obyczajów i wogóle życia szlachty polskiej, i to właśnie nadaje im niepospolitą wartość. Największą posiadają trzy utwory: *Krótką Rozprawą, Wizerunk i Zwierciadło.*

32. *Krótką rozprawą między trzema osobami: panem, wójtem a plebanem, którzy i swe i innych ludzi przygody wyczytają, a także i zbytki i pożytki dzisiejszego świata* (1543), to najlepsza satyra polska XVI wieku. Trzy rozmawiające z sobą osoby: pan, wójt i pleban, są przedstawicielami trzech warstw społecznych: szlachty, chłopów i duchowieństwa. Pan i wójt sarkają na próżniactwo, a zwłaszcza na chciwość księży, obdzierających parafjan; pleban broni się, jak może, poczem, płacąc pięknem za nadobne, suchej nitki nie pozostawia na szlachcie, bez ogródki wytykając sędziom i urzędnikom zdzierstwo i łapownictwo, posłom i senatorom — prywate, wszystkim — chciwość bogactw. Wójt skarży się na marny los chłopu, którego wszystkim, co żyje w Polsce, zdiera i uciska tak bardzo, że nie żał mu umierać! Skarży się i pan, że jemu także ciężko na świecie, bo rujnują go sądy przedajne i służba wojskowa. Wreszcie pan na spółkę z wójtem wymyśla na zbytki szlachty, która tyle pieniędzy trwoni na wymyślne potrawy, trunki i stroje, która hula i poluje, zamiast gospodarstwa pilnować, i t. d. Jednym słowem, *Krótką rozprawą* to satyra na księży i szlachtę.

PAN

Miły wójcie, cóż sie dzieje!
Aboć sie ten ksiądz z nas śmieje?
Mało śpiewa, wszystko ¹ dzwoni,
Msza nie bywa, jako łoni ²;
Na naszym dobrym niesporze
Już więc tam swą każdy porze: ³
Jeden wrzeszczy, drugi śpiewa;
A też jednak rzadko bywa.
Jutrzniej — tej nigdy nie słyhać:
Podobno musi zasypiać;
Odśpiewa ją czasem sowa,
Bo więc księdzu cięży głowa.
A wdy przedsię jednak łają,

Chocia mało nauczają.

Ano wie Bóg, za ⁴ tą sprawą
Obrócim-li sie na prawą:
Bychmy jedno na lewicy
I z księdzem nie byli wszytcy! ⁵

WÓJT

Miły panie, my, prostacy,
A cóż wiemy, nieboracy?
To mamy za wszystko zdrowie,
Co on nam w kazanie powie:
Iż, gdy wydam dziesięcinę,
Bych był nagorszy, nie zginę;
A dam-li dobrą kolędę,

¹ ciągle. ² łońskiego (t. j. przeszłego) roku, dawniej. ³ już tam każdy wrzeszczy (śpiewa) na swoją nutę. ⁴ czy. ⁵ t. j. Bóg wie, czy dostaniemy się do nieba; abyśmy się czasem wraz z księdzem do piekła nie dostali!

Ze z nogami w niebie będę.
Abo, gdy w obiad przybieży,
A kukła¹ na stole leży,
To ją wnet z stołu ogoli,
A mnie kęs posypie soli...
Potem mnie pokropi wodą, —
To już z Bogiem idę zgodą...

PAN

Bo sie już więc tam łomi chróst,
Kiedy sie zejda na odpust:
Książd w kościele woła, wrzeszczy.
Na cmyntarzu becza trzeszczy,
Jeden potrząsa kobiałką,
Drugi bębmem a piszczałką,
Trzeci, wyciągając szyje,
Woła, do kantora pije;
Kury wrzeszczą, świnię kwiczą,
Na oltarzu jajca liczą.
Wieręmy² odpust zyskali,
Iżechmy sie napiskali.

PLEBAN

Tkniź³ jedno świeckich urzędów:
Jestli tam nie więcej błędów?...
A ze sta was jeden sędzię
Takim kształtem na urządzie,
Aby jedno prawdę mnożył,
A swe pożytki odłożył...
Ale gdyby nie pamiętne⁴,
I sędzi-ć też nie niechętne;
Ale więc nie szkoda pracej,
Kiedy już kto pewien płacej.
Bo użrzesz ony proroki,
Kiedy już odsądzą roki, —
Sporo im więc młyny miela⁵,
Kiedy sie pamiętnem dzieła.
A to barzo łowne pole:⁶
Sporzej młócić, niż w stodole!
Choć siec ledajako stanie,
Jednak wždy co padnie na nię:
Sarna, zajac, soból, liszka

I kuna jej towarzyszka, —
Chocia żadny pies nie goni,
Przedsię jej być jednak w toni⁷.

Wierę, snadź z sejmu naszego
Nie slychamy nic dobrego:
Już to kielka niedziel baja,
A w niwczem sie nie zgadzają.
Podobno, jako i loni,
Každy na swe skrzydło goni:⁸
Pewnie pospolitej rzeczy
Żadny tam nie ma na pieczy;
Boć i owi z pustą głową,
Co je rzkomo⁹ posły zowa,
Więcej też sobie folgują,
A to, co jem¹⁰ trzeba, kuja.

WÓJT

Książd pana wini, pan księdza,
A nam, prostym, zewsząd nędza!...
Urządnik¹¹, wójt, sołtys, pleban —
Z tych każdy chce być nad nim pan;
Temu daj gęś, temu kokosz!
Zać¹² więc z nimi mała rozkosz.
A przedsię na tłokę¹³ robić, —
Czasem proszą, czasem chcą bić.
Sprawnie ją nazwali tłoką:
Bo tam czasem i grzbiet stłuką!
Bo znowu nastanie nędza,
Kiedy czas przydzie na księdza,
Gdy, chodząc, snopki przewraca,
A co tłustszej kopy maca...
Wnet masz urządznika z niego.
Choć tobie nie trzeba tego!
Natknąć wieszka¹⁴ kopę w rogu:
«Nie mnie to dasz, synku, — Bogu!»
Acz nie wiem, wie-li Bóg o tem,
Aż to zrozumiemy potem;
To wiem, iż żyta nie jada,
Bo w stodole nierad siada.
Więc ci jeszcze będzie grozić,

¹ kukła, kukła, kukielka = bochenek chleba, kołacz. ² zaprawdę, zaiste.
³ tknij-że. ⁴ płaca sędziów, czesne, podarunek na pamiętkę, łapówka. ⁵ sporo
komu młyny miela — przysłowie: powodzi się komu. ⁶ A to bardzo łowne pole —
przenośnia: sędzia obłowi się porządnie. ⁷ przenośnia: aby wygrać sprawę, trzeba
podarować sędziemu to sarnę, to zajaca, to skórke na futro — sobolową, lisią albo
kunią. ⁸ przysłowie: każdy dba tylko o siebie. ⁹ rzekomo, niby to. ¹⁰ im.
¹¹ ekonom. ¹² azaż, czyż. ¹³ dobrowolna pomoc, niesiona przez całą gromadę
sasiadowi. ¹⁴ książd wetknie wiechę w róg kopy, którą sobie wybrał za dziesięcinę.

Że mu dusznie¹ musisz zwozić;
 Mało jeszcze, iż nań robią:
 Muszą wieźć, a w leb sie skrobią:
 «Małom sie panu nawozil?»
 Bo ten jeszcze barziej groził!...
 A tak ten swój ubogi stan
 Tak rad noszę, jako i pan,
 I w tym doczesnym żywocie
 Snadź o mniejszym wiem kłopotcie.

Siedzę, jako człowiek prawy,
 Nie bodą mie cudze sprawy.
 Acz mie trochę nędza gniecie,
 To też odcierpię na świecie,
 A gdy sie każą prowadzić²,
 A co mi więc ma zawadzić?
 Mało mi żal z tej pociechy:
 Wylecę jako wróbl z strzechy!...

33. Najobszerniejszym utworem wierszowanym Reja jest poemat dydaktyczny, obejmujący przeszło 12.000 wierszy: *Wizerunek własny³ żywota człowieka poczciwego, w którym jako we zwierciadle snadnie każdy swe sprawy oglądać może, zebrany i z filozofów i z różnych obyczajów świata tego* (1558). Krótka treść jest następująca. Mędrzec grecki Hipokrates nauczał, że się człowiek, jeżeli chce być poczciwym, musi starać się nadewszystko o nabycie cnoty. Nauka ta przypadła wiele do serca jakiemuś młodzieńcowi, który, chcąc jeszcze mocniej upewnić się w jej prawdzie, powędrował w świat i, chodząc od mędrca do mędrca, pilnie słuchał ich nauk; po drodze doświadczył różnych przygód, poznał różne okolice, widział nawet piekło i niebo, aż wreszcie przekonał się jasno, że bez cnoty człowiek nie jest człowiekiem.

Pomysł tego utworu zapożyczył Rej z łacińskiego poematu humanisty włoskiego Palingenjusza *Zodiacus vitae* (*Zwierzyniec niebieski życia*): wiele ustępów wzięł stamtąd żywcem, ale niejedno opuścił, niejedno dodał, a na wszystkim wycisnął piętno własnej oryginalności i wszystkiemu nadał cechę polską. Młodzieńca uczą wprawdzie mędracy starożytni: Diogenes, Epikur, Anaksagoras, Sokrates, Platon, Arystoteles i t. d., ale wszyscy dziwnie jakoś przypominają Polaków, znają doskonale życie szlachty polskiej, piorunują na jej wady, mówią o herbach szlacheckich, o księżach katolickich i t. d.; zabawnie wygląda np. Diogenes, kiedy szczegółowo wylicza potrawy polskie! Humanisci śmieli się zapewne z Reja, ale przeciętna szlachta zaczytywała się w *Wizerunku*, bo też dowiadywała się mnóstwa ciekawych rzeczy — o Bogu, naturze i człowieku.

Bóg, uczy Rej, jest istotą najwyższą, najdoskonalszą i tak potężną, że człowiek wobec niego jest jak mucha wobec wielbłąda, a komar wobec wołu; wielkości Jego nie wypowie «żadna gęba». Bóg rządzi wszechwładnie światem, bez Jego woli nic się nie dzieje: «Namniejszy ptaszek, — żwirzątko, drzewko, ziółko, nadrobniejszy krzaczek, — wszystko to w Jego dziwnej Opatrzności chodzi», a cóż dopiero człowiek, który jest «wdzięczne żwirze u Boga!» Czasem jednak Bóg odstepuje część swej władzy innym stworzeniom: złymi ludźmi np. rządzą djabli, a drapieżnymi zwierzętami — «planety», «bo cóż to byłby za Bóg, by miał sie tem parać, — jako sądzić niedźwiedzia albo wilka karać?» Wogóle poglądy Reja na Boga są naiwne, ale zato uczucie miłości ku Niemu jest szczerze i głębokie:

...Wszechmogący Boże nieskończonej mocy,
 Gdyż sie nic zstać nie może bez Twojej pomocy,

¹ duszkiem, szybko.

² a gdy będę umierał.

³ dokładny.

Gdyż Ty jest początek i koniec wszystkiego,
A irwać długo nie może nic bez Bóstwa Twego!
Tyś jest Bóg nieskończony, a w Twojej opiece
Każda sprawa zależy tu, na wszystkim świecie.
Tyś prawda nieskończona, dobroć, żywot, zdrowie!
A o Twym majestacie a kto właśnie powie?
Ziemię, niebo i gwiazdy w dziwnej sprawie mając,
A co jeszcze dziwniejsza, myśl każdego znając,
Na niebie, na powietrzu, w morzu i na ziemi,
A w Twoich się rozprawach dziwnie wszystko mieni!
Tyś jest król wszystkich królów, Tobie upadają
Mocy ziemskie, niebieskie i cześć wieczną dają,
Wyznawając Twe Bóstwo, a majestat dziwny,
Naszemu rozumowi na wszystkim przeciwny.
Do Ciebie się uciekam tak, jako do Tego,
Którego rozumiemy tak miłosiernego!

Cała nauka Reja o naturze jest czysto średniowieczna: o odkryciu Kopernika — ani słowa! Słońce i planety obracają się około ziemi; wogóle wszystko się na świecie rusza, «jedno przekłeta ziemia, ta w swojej ciężkości — używa ustawicznie tej swej marnej młodości, — iż się nigdy nie rusza: jako kamień leży». Nad ziemią jest powietrze, którego wprawdzie nie widzimy, ale które czujemy, kiedy wiatr; wiatry bywają zimne i gorące, są też i zaraźliwe — z łaski djabłów; wichry, który począciwemu szlachcicowi wywraca stodołę, to także sprawka czartowska. Nad powietrzem unosi się woda pod postacią mgły, nad wodą — ogień, nad ogniem — planety, nad planetami — niebo, gdzie mieszkają Bóg; musi tam być ślicznie, jeżeli bowiem marną ziemię zdobią góry, morza, rośliny, zwierzęta i ludzie, to cóż dopiero powiedzieć o niebie?

Piękności natury odczuwał Rej wcale żywo, to też są w *Wizerunku* opisy natury — pierwsze w poezji polskiej, np. opis poranku i wieczora:

. Pięknie świta.
Już się jeden o drugim ptaszek w lesie pyta,
Już skowronek na górze pięknie przepieruje¹,
Słowiczek we krzu² krzyczy, gźgżoлецzka³ kuje.
Pożrzy wzgórze: skały już jasno się błyskają,
A promienie słoneczne ziemię rozświecają.
Zarza⁴ wzgórze wychodzi różanej piękności,
Na obłokach się broją jasne odmienności.
.
Gdy już było k wieczoru, słońce zachadzało,
Jasne nazad promienie po górach puszczało,
Ciemność od wschodu słońca ziemię pokrywała,
A mgła szara po górach też się podnaszała.
Obaczywszy młodzieniec, iż już noc przychodzi,
A iż każde źwirzątko już na pokój godzi,
Przyszedł nad piękną rzeczkę, cichuczko płynącą,

¹ szczebiotać, ćwierkać. ² krzak. ³ kukuleczka. ⁴ zorza.

Wodę w sobie, by kryształ nadobną, mającą;
Rybki, sie po niej miećąc, na brzegoch igrają,
Ziółka, trawkę, robaczki, biegając, chwytają,
Oliwne drzewka wszędy po brzegoch zielone
Stoją pięknym porządkiem, jako rozsądzone.
Zabawił sie, dziwując, aż go ciemność zaszła,
I owa zarza śliczna już mu była zgasła.

Nie brak i opisów fantastycznych, np. piekła: jest to głęboka dolina, zaludniona przez potępieńców i djabłów, których wygląd Rej szczegółowo opisuje.

Król
rozterków,
Warchoł.

Leb jako u niedźwiedzia, a baranie rogi,
Zęby jako u wieprza, a u szkapy nogi,
Ręce jako u żaby, skrzydła z jakiejś błony,
Jako u niedoperza, czarnem przesadzony.
Goły po pas, a nadół by niedźwiedź kosmaty,
Kiedy go psi oskubą, wiszą po nim płaty.
Miecz goły dzierży w ręce, a w drugiej buławę,
A z swojemi panięty ma jakąś rozprawę,
Którzy około niego wszędy hufy¹ stoją,
A drudzy po powietrzu rozlicznie sie broją,
Z mieczmi, z łuki, w kaftaniech, drudzy z arkabuzy²,
Przyprawując nędzny świat w rozmaite guzy.

Król
łakomstwa
a
zazdrości.

Pożrzał potem na zachód młodzieniec ubogi,
Uźrzał zasię rozliczne zamieszanie trwogi:
Ano jeden drugiemu worki wydzierają,
Srebro, złoto, kamienie dziwno sie mieszają.
Miedzy nimi pan siedzi: psia głowa u niego,
A kędy sie obeźrzy, warczy na każdego.
Na łańcuchu przybity do mocnego stołka,
Tak sie jedno obraca, by ciele u kołka,
Poglądając tu na świat jakoby wilk marnie,
A czego gdzie dosięże, to do siebie garnie.
Łapy by u niedźwiedzia, z paznogty ostremi,
A co w którą uchwyci, już mu nie wydrzemy!

Ale najszczególowiej wyklada Rej czytelnikom naukę o człowieku. Dobry Bóg dał człowiekowi nietylko rozum, ale i wolną wolę; wprawdzie jest tam na świecie jakieś *fatum* (przeznaczenie), lecz podlegają mu tylko ludzie źli: póki człowiek pełni przykazania boże, póty ma wolną wolę, ale niechno się tylko odwróci od Boga, wnet «*ono fatum* jego — już go wiedzie by osła do wszystkiego złego, — iż albo sie stłucze, albo marnie zginie: — a tym kształtem schodzimy jako ine świnię!» Człowiek ma prawo dążyć do szczęścia, ale na czymże ono polega? Nie na bogactwie: wprawdzie rozumny człowiek stał się panem stworzenia i nagromadził mnóstwo skarbów, ale nie wolno mu poczytywać ich za swoją własność: on jest tylko

¹ przyp. 6 l. m. od huf = hufiec. ² arkabuz = hakownica, strzelba bez bagneta.

szafarzem darów bożych, z których po śmierci zda Bogu rachunek. Zresztą, kto bogaty, ten nigdy spokoju nie zazna, bo się lęka złodzieja; bogactwo to «tajemny jad»; wogóle życie ludzkie jest marne: nawet w nocy człowiek cierpi, bo go kasaają pchły i muchy. Wartość życia nadaje jedynie tylko cnota: ona to jest głównym szczęściem człowieka, najdroższym jego skarbem, droższym nad srebro i złoto, diamenty i brylanty; wobec niej niczem są bogactwa, uroda, sława, niczem nauka. A stąd głównym zadaniem wychowania jest wpoić w dziecko zasady moralności; nauką męczyć go nie trzeba, bo większość nauk sprawia tylko zamęt w młodych główkach. a i w poetach starożytnych niczego się pocziwego nie doczytasz; wogóle «pismo — niepotrzebna zabawa», chyba że uczy cnoty:

A tak oni mędrkowie, co wypisowali
Rozliczne świeckie burdy, i jako pływali
Po morzu, i gdzie Scilla i Karybdis bywa,
I jakich strachów każdy, tam będąc, używa,
Jakie ryby i dziwy tam sie okazują,
I jako marynarze z okręty harcują,
Jako Wenus błaziła prostaki na świecie,
Jako Kupido strzelał tu swe głupie kmiecie,
Jako broił Herkules, kiedy zabił Hydrę,
(Ano dziś i prosty chłop też zabije wydrę!), —
Owa¹ niebo i ziemię pisma pokryślali,
Okazując rozумы, dziwy wymyślali,
A zbiegali na świecie omylności wszytki,
Szukając, aby z tego rosły im pożytki:
Ano żaden pożytek większy być nie może,
Byś sie nabarziej wspinał z rozumem, nieboże,
Jedno co cnoty uczy a wdzięcznej skromności.

Nie odczuwał więc Rej piękności starożytnych podań mitologicznych, a nie rozumiejąc, że nauka, kształcąc umysł, uszlachetnia człowieka, początywał kształcenie umysłu jedynie za d o d a t e k do wychowania moralnego: «cnota zacniejsza, nauką ozdobiona», podobnie jak «koń — cudne żwirzę, kiedy bystro kroczy, — ale, gdy w pięknej uździe, jeszcze bujniej skoczy; — albo i białogłowa, gdy brwi zafarbuje, — już więc sobie w taneczku bujniej porskakuje».

Z poglądu, że jedynie cnota stanowi o wartości człowieka, płynie pogląd Reja na szlachectwo. Ludzie mają «mylne rozsądki o szlachectwie», mniemając, że ten szlachcic, kto się sławnymi przodkami szczyci; Rej był innego zdania, bo wiedział, że często ludzie odradzają się od przodków: «Przodek, nie wiem, jaki był, lecz potomka prawie — mógłby² właśnie zadkiem zwać na każdej rozprawie». I ci się myślą, którzy pokładają szlachectwo w bogactwie albo w herbach, prawdziwe bowiem szlachectwo dają jedynie osobiste zasługi, własna cnota:

Jedni, gdy łańcuch uźrzą, wnet mu sie kłaniają,
Już nie pana, lecz złoto za ślacheica mają;

¹ otóż, jednym słowem. ² możnaby.

Snadź na sprośnego osła gdyby ji włożono,
I temuby poczciwość zdaleka czyniono,
Albo gdy gęsty worek u kogo poczuja,
By też był jako świnia, wszyscy mu dudkują¹;
Albo gdy sie za którym chłopów wlecze rota,
To już mają w powadze największego kota;
Już sie nań przypuszczają o każdą rzecz zgola,
A onby nie rozsądził ledwe z krową woła...
Wystrój sie ty, jako chcesz, ale jeśliś świnia,
Nie ozdobi cie szata iście ni rodzina...
I wilkby tak był ślacheć, by mu herby dano,
Leczby go przedsię zawždy za niecnotę miano:
Gdyż herby nie pomogą do złych obyczajów,
By ich też snadź dostawał i z dalekich krajów...
Boć i kamień i drewno, gdy je pozłocimy,
Pospolicie ślachtetnem każde nazowiemy;
Ale różne przezwisko, a różna istota,
Gdy tu jedno kęs zwirzchu błyszczyc się ta cnota:
Także i ty, chcesz-li być ślacheć prawy, czysty,
Nie bądźże jako kamień zwirzchu pozłocisty,
Ale bądź wszytek złotem a prawym szafirem,
Wadź się wszędy z niecnotą, a z cnotą idź mirem.

Lecz nietylko moralistą jest Rej w *Wizerunku*, ale i satyrykiem: jak w *Krótkiej rozprawie*, tak i tutaj piętnuje ujemne strony życia szlachty polskiej, oburzając się na huczne biesiady i pijatyki, na przepych w strojach i urządzeniu domów, wogóle na zbytki; ubolewa nad tem, że w Polsce niema sprawiedliwych sądów, że bogatszy zawsze sprawę wygra z krzywdą uboższego, że szlachta, obojętna względem ojczyzny, nie strzeże jej granic; wyrzuca duchowieństwu niemoralność i chciwość, drwi z Kościoła katolickiego i t. d. A te obrazki satyryczne, od których się aż roi w *Wizerunku*, tryskają życiem i prawdą. Do najlepszych należą: wesola satyra na kłopoty życia rodzinnego, oraz opis uczt i pijatyk szlacheckich, od których nie stronił sam autor, chociaż zalecał zawsze życie «pomierne».

**Trudności
zonatego.**

Zaż takich nie widamy, co sie ożeniamą,
Jako gęsi na wiosnę, tak sie odmieniają?
Chodzi, by podskubiony, opuściwszy skrzydła,
Już sie nie po szwu porze, już nie gołą szydła².
We lbie i na kołnierzu pierza pełno wszędy,
Buty spuścił do kostek prawie we trzy rzędy³.
Rzepa w dole pogniła, grochu nie dostaje,
Słucha, gdzie kokosz gdacze, aby znalazł jaje.
Bo co sie pirwej musiał jedno o się starać,
Teraz, nędznik⁴, ani wie, czem sie pirwej parać;
Bo dom, dzieci a żona — nienatkane piekło⁵,

¹ nadskakiwać, pochlebiać. ² przysłowia: już mu się nie powodzi. ³ t. j. cholewy od butów opadają, marszcząc się w trzy rzędy. ⁴ biedak. ⁵ piekielko, t. j. przypiecek; dom, dzieci a żona — nienatkane piekło = nie nastarczy wydatków na utrzymanie domu, dzieci, żony.

Już tam odkrój, skoro sie by namniej przypiekło!
Bo chocia, i z siebie drąc, tam wszystko podaje,
Przedsię wszystko mało, zawżdy niedostaje:
Kupisz jej dziś koszulkę, jutro chce rańtuszka¹,
A na święta pstrej sukniej, ze smalcem² lańcuszka;

**Trudność
około
wychowa-
nia dzieci.**

Więc sie Jasiek urodzi, gotuje mu mamkę,
A skoro pocznie chodzić, wnet piestunkę Hankę!
Sprawże mu pstry kożuszek, więc czerwona myckę,
A mamkę też z piestunką przystrój miłośniczkę,
Coby sobie na hajtuś z panięciem chodziła!
Dajże jej jeść, gdy raczy, by go nie zgłodziła!...
Więc, gdy Jasiek doroście, a ktemu Hanuška,
To welnę by z barana drą z pana tatuška...

**Niepo-
mierne
biesiady.**

...Jeśli to rozkoszą kto ma przezwać właśnie,
Gdy brzmi bęben za uchem, a kozi róg wrzaśnie,
Pomorty a puzany³, co wszystkie zagłuszą,
Albo skakać od kąta do kąta z Maruszą?
Już który kąt zastąpisz, już siedz jako drewno,
Bo jako sie podniesiesz, odepchną cie pewno.
Już jako głuch⁴ na drugie musisz palcem kiwać,
Bo już tam trudno słusznej rozmowy używać;
Abowiem już tam każdy, chociaż ledwe ziewa,
Wrzeszczy, sapie, markoce, a mnima, iż śpiewa;
A drugi, za nim stojąc, jako cielę ryczy,
A zda mu się, iż wesół a iż pięknie krzyczy.
Sklenice w kąt latają, na stole by w łaźni:
Tak więc Bachus, on rycerz, swe kochanki błażni⁵;
Iż, kiedy, rano wstawszy, wieczór wspominają,
«Alboć-em był oszalał?» — sami sobie łają.
Ano sie we łbie kręci, pan, siedząc, szczka⁶, spluwa.
Pierza mu we łbie pelno, opak sie obuwa...
Suknia śmierdzi drożdżami, czapka gdzieś na ławie.
Patrzajże krotchwile w takiej miłej sprawie!

**Muzyka
wszędzie-
na.**

. Wrzeszczą wszyscy,
A drudzy marnie wyją jako w lesie wilcy,
A kozi róg za uchem jako świnią wrzeszczy,
W bęben tłuką by w pudło, aż więc we łbie trzeszczy;
Stół uleją i ławy, siedzą jako w łaźni,
A sami poszaleją jako ini błażni.
Więc kregłów⁷ nastawiają wkoło podłe ściany:
Dybie jako kot na mysz z gałką chłop pijany,
Puknie w ścianę, a drudzy: «Zyskał! Zyskał!» — krzyczą,

¹ rańtuch = chusta duża do pokrycia głowy lub pleców. ² smalc, szmalc, szmelc = emalja. ³ pomort, puzan — instrumenty dęte. ⁴ głuszec, t. j. człowiek głuchy. ⁵ na błażna wystrychać, durzyć. ⁶ mieć czkawkę. ⁷ kregiel = kręgiel.

A drudzy, płacąc piwo, jako krowy ryczą:
A więc to krotochwila? a więc to biesiada?
Oszaleje więc z takiej głowa barzo rada!

34. Pod koniec życia Rej, pragnąc zostawić po sobie pamiątkę «pocziwym ludziom stanu rycerskiego» (t. j. szlachcie), napisał obszernie dzieło p. t. *Zwierciadło albo kształt, w którym każdy stan snadnie się może swym sprawom jako we zwierciadle przypatrzeć* (1568). Na dzieło to składa się kilka utworów, pisanych bądź prozą, bądź wierszem. Najobszerniejszą i najciekawszą częścią jest *Żywot człowieka pocziwego* — nauka życia, którą zaczerpnął Rej z różnych źródeł: z własnych dawniejszych pism (z *Postylli* i z *Wizerunku*), z rzymskich pism filozoficznych: Cyserona, a nadewszystko Seneki, z dzieła humanisty niemieckiego Reinharda Lorichiusa *De institutione principum*, które w roku 1558 wyszło w przekładzie polskim Stanisława Koszutkiego p. t. *Księgi o wychowaniu i o ćwiczeniu każdego przełożonego, nietylko panu, ale i poddanemu każdemu ku czytaniu barzo pożyteczne*, — i jeszcze z innych źródeł.

Żywot człowieka pocziwego składa się z trzech ksiąg.

Pierwsza mówi o młodości szlachcica (bo przez «człowieka pocziwego» Rej rozumie jedynie szlachcica, i to zamożnego). Bóg stworzył człowieka na to, żeby mu wiernie służył, t. j. żeby był cnotliwym; «Bóg nie chce, aby kto złym był», i człowiek może spełnić tę wolę boską: wprowadzić przynosi z sobą na świat to lub inne usposobienie (temperament), ale jest środek skierowania wrodzonego temperamentu ku dobremu, a środkiem tym jest *wychowanie*. Otóż nad wychowaniem szlachcica szczegółowo rozwodzi się Rej.

Dziecko powinno jadać potrawy proste, ubierać się skromnie; od najmłodszych lat należy czuwać nad jego obyczajami, strzegąc je od złego przykładu i ucząc moralności; dlatego też «preceptor» powinien być «cnotliwy, stateczny, trzeźwy a pomierny». Głównym celem wychowania jest, «aby dzieciątko, które już ku lepszemu rozumowi będzie przychodziło, uczyło się rozumieć, co jest Bóg, a co jest wola Jego». «A gdy się już tego dzieciątko potrosze nauczyć,... to już potem i do innych nauk będzie snadniejszy przystęp miało. Niechże go z młodu nie bawią owemi gramatykami, logikami, arytmetykami..., albo owemi zawikłanemi poeckimi fabułami; bo a co mu po tem, jako Circes ludziom głowy odmieniała, albo jako Ulixes pływał, albo co Helenka broiła, albo co Penelope czyniła? Acz to potem, powoli, gdy się już czego inszego poduczy, nie wadzi sobie dla krotofile czytać. Ale niech czyta historyje onych zacnych pirwszych ludzi, jako się onemi dziwnemi rozumy sprawowali, jako niczegoj inszego nie patrzali, jedno sławy, cnoty a pocziwości... A nie czynić gwałtu zbytniego w przyrodzeniu, bo więc wi-damy drugie, iż się tak zaczęła¹ albo zamysła, że i od pamięci odchodzą a omdlewają, co to napotem onej młodej fantazyjej wiele zaszko-dzić może». «A wszakoż nietylko czytania, ale i rozmowy pocziwe mogą niemało ćwiczenia do rozumu podawać,... albowiem tak dawno powiadają, iż lepszy jest zawždy żywy głos, niż zdechła skóra, co ją na pargamin wyprawują». Baczna uwagę radzi Rej zwracać na ćwiczenia i rozrywki: «Potem, gdy już też ona młodość podrastać będzie, nie wadzi mu też, poczedzsy² sobie, czego potrzeba, nauczyć się i konika osieść, i jako sobie na nim poigrać, a jakoby

¹ czyść = czytać; zaczęła się = zaczętają się.

² pocztawsz.

ji też czasu potrzeby obrócić; a jeśliby mógł i drzeweczko¹ znieść², tedy i to nie wadzi z niem sobie poigrać, ręką uważać do pierścionka albo do czapeczki przymierzyć;... też mu nie wadzi czasem z pocziwem, a nie z opilem towarzysztem posiedzieć, pożartować,... nie wadzi mu też czasem pouczyć się i poszymrować i poskakać i na lutence pograć: wszystko to są pocziwe zabawki. Azażby lepiej leżał jako wieprz w barłogu, a marnie czas tracił, co jest drogi klenot?»

I to już wszystko, to już całe wychowanie! O szkołach publicznych, o uniwersytecie — ani jednego słowa! Poduczy się panicz w domu — niech sobie pojedzie zagranicę, aby tam «przyapatrować się onym pięknym, poważnym a statecznym sprawam ludzkim, a czasu przedsię darmo nie tracić, a bawić się pocziwami sprawami ludzkimi a naukami potrzebnymi, aby wždy sobie nadaremnie pracy nie zadawać, tłukąc się po górach, po skałach i po inych miejscach niebezpiecznych... Abowiem małooby pomogło, choćbyś widział Einę pałającą, rzeki bystrze ciekące, morza ony srodze burzliwe, wieloryby po nich pływające, syreny śpiewające, kokodryły abo smoki latające, miasta, zamki i pałace rozmaicie się błyszczące, jeśli toż do domu w obyczajoch z sobą przyniesiemy, cochmy byli z sobą wzięli; trzeba tam będzie czego inszego pilnować więcej, niżli tylko tego, czemby się oczy napasły; pilniejsza daleko, czemby się umysł napasł, nacieszył, a w nadobnej sprawie a w uczciwych postępkach aby się sprawił i postanowił». Po powrocie do domu młody szlachcic powinien odbyć praktykę: albo na dworze wielkopańskim, albo, co lepiej, w wojsku. A kiedy odbędzie praktykę, niech wraca do siebie na wieś, bo jest już skończonym człowiekiem (choćaż właściwie nie umie nic!) i obywatelem Rzeczypospolitej.

Księgę drugą poświęca Rej «śrzedniemu wiekowi żywota człowieka pocziwego». Osiadłszy na roli, młody pan najlepiej zrobi, jeśli się ożeni — nie z bogatszą od siebie i nie z biedniejszą, ale z «równą» majątkiem i stanem. Lecz wśród szczęścia rodzinnego i pracy około roli nie powinien szlachcic zapominać, «co też powinowat Rzeczypospolitej i ojczyźnie swej»: starajże «sie też zasię, aby sie nie nazbyt domem obarłzył, abys nie był tylko jako wieprz w karmniku albo jako suchy pień na roli, co sie oń pługi zawadzają!» Najpiękniej zaś służy ojczyźnie ten, kto piastuje godność p o s ł a z i e m s k i e g o, byleby tylko godnie pełnił swe obowiązki, co nie jest rzeczą tak łatwą, «bo już taki człowiek miałby właśnie być jako anioł boży: abowiem jeśli każdy cnotliwy a baczny człowiek powinien staniczek swój tak opatrować, tak zdobić, tak uważać, jakoby ji każdemu z osobna dobrym, cnotliwym, a na wszem nadobnie ozdobnym ukazał, — a jeśli to powinien z jednej osoby swojej, cóż rozumiesz, gdy ony wszytki poważne a zacne osoby weźmie na pracę a na opiekę swoje, którzy sie ncnocie jego zwierzili klenotów swoich, to jest: praw, wolności, gardł i majątności swoich!» Innych urzędów nie radzi Rej piastować: «Nuż, jeślićby sie też przytrefiło, iżbyś na jaki urząd ziemski albo na jakikolwiek inszy... był powołan a potrzebowan, — jeślićby mógł bez tego sie obejść, tedyćby mało³ nie lepiej,... bo już tam co naprzędniejsze klenoty człowieka pocziwego zaprzedane być muszą: naprzód wolny żywot,... potem też i sumnienie». Tego, że dla ojczyzny warto chyba «wolny żywot» poświęcić, a przytem sumnienia nie zbrukać, Rej nie rozumiał. O jednym tylko urzędzie rozvodzi się szeroko, mianowicie o se-

¹ mała włócznia. kopijka.

² utrzymać.

³ bodaj czy nie.

natorze, któremu każe nietylko być doradcą króla, ale i czuwać nad jego moralnością, zachęcać go do cnoty, odwozić od występku, a przedewszystkiem pilnować, aby się król na wolności szlacheckie nie targnął.

Od senatora wraca Rej do szlachcica i uczy go, na czem polega prawdziwe szlachectwo, rozwijając szczegółowo myśl, wypowiedzianą już w *Wizerunku*, że ten tylko szlachcic, kto cnotliwy. Nadewszystko powinna zdobić szlachcica «świeta prawda», a «gdzie prawda zawije gniazdo swe, już i sprawiedliwość, już i stałość, już i pomierność, już i roztropność i insze wszystkie cnoty nieźla jedno się przy niej osadzić muszą». Najszpetniejszą zaś plamą prawdziwego szlachcica jest «sprośne łakomstwo» (t. j. chciwość grosza i wogóle mienia), ono bowiem jest «źródłem a studnią innych grzechów», zwłaszcza niesprawiedliwości i zdzierstwa: bo szlachcic łakomy nie pyta, jaką drogą majątek zdobyć: «gdzie wziąć, tu wziąć, dobrze-li, nie dobrze-li, kiloby² się dobrze kurzyło». Główną zaś przyczyną chciwości grosza jest nadmierna chęć użycia, zamiłowanie do wystawności i zbytków: szlachcic musi mieć pieniądze, aby opędzić wydatki na «dziwne ubiory», na «pojazdy kosztowne», na «potrawy wymyślne», na «niepomierne pijaństwo». Wszystkim tym objawom zbytku dużo miejsca poświęca Rej, oburzając się zwłaszcza na pijaństwo i szczegółowo opisując «nadobne sprawy i postawki» pijaka, który «chrapi jako świnia, kiedy się drożdży opije, a on sobie pluje na brzuch, a śliny mu się jako zgrzebi³ z gęby włoką: oczy się jako u szurka, kiedy z mąki wylezie, błyszczą, sukniisko popluskają, a czasem je za sobą po błotach wlecze, pierza we łbie pełno, więc mruczy, sam nie wie co, wszystkim łaje, wszystkim przymawia; więc, byś go chciał pocziwem słowy albo hamować a co wdy z nim mówić, a cóż po tem, kiedy mu nie rozumieć, a on klekce jako bocian, krzaka jako kiernoz⁴; więc mu się tu zachce śpiewać, aliści jako cielę ryczy; więc mu się zachce w tanek, aliści się śliza jako kozieł na ledzie; więc mu się zachce miłować, aliści drzemie albo uśnie na stole; a we wszystkich sprawach swoich podobniejszy ku jakiej bestyj niemej, aniżeli ku człowiekowi». Z łakomstwa płynie także «szara pycha»: bogaty szlachcic pyszni się swem bogactwem, «nadyma nos», «podnosi gębę», patrzy z góry na uboższych, którzy «w oczy pochlebiają, a odszedszy, wszyscy się śmieją, wszyscy o tobie szepcą, wszyscy tobą, choć nie w oczy, gardzą, a ty nie dbasz, kiloby kilku węsnych chłopów z lisiemi kołnierzmami przed tobą stało, a iż ci by czterzej ręcznik dzierżeli, a ty abyś jedno chrapał, spluwał, na stronę poglądał, z postawą⁵ mówił, a ludzie abyć się jedno dziwowali, a ośmiawszy, aby cie szlacować⁶ z onych sprośnych obyczajów twoich». Nakoniec i gniew (popędliwość) jest brzydką plamą na szlachectwie, bo on «wszystki grzechy śmiertelne w sobie zamyka». Kto chce być prawdziwym szlachcicem, ten powinien zwalczać wszystkie złe namiętności, a pielegnować cnoty, do czego nie małą pomocą będzie przyjaźń, zawarta z dobrym i rozumnym człowiekiem, nie mówiąc już o tem, że dobry przyjaciel jest ozdobą i osłodą życia. A jeżeli nadto szlachcic będzie myślał nietylko o sobie, jeżeli będzie innym dobrodziejstwa świadczył, wówczas nie minie go największa na ziemi nagroda: dobra sława. Kończy się druga księga szczegółowym opisem szczęśliwego, spokojnego życia «człowieka pocziwego» na wsi, na

¹ nieźla jedno = koniecznie. ² byleby. ³ włókna konopne. ⁴ wieprz.
⁵ z pyszną miną. ⁶ ganić.

lonie rodziny, wśród zajęć gospodarskich i rozrywek; obrazki te, najlepsze w całym *Zywocie*, pełne naiwnego wdzięku, są doskonałym wyrazem rozmiłowania się szlachty polskiej XVI w. w gospodarstwie i urokach życia wiejskiego.

Księga trzecia — o starości szlachcica — jest najmniej ciekawa, gdyż obrazków obyczajowych prawie wcale tam niema; są zato rozprawy moralne o powadze starości, o błogosławieństwach bożych, o cnotach, o śmierci; myślą przewodnią tej księgi jest, że starość nie jest nieszczęściem, bo i ona ma swoje powaby, i że się człowiek cnotliwy nie potrzebuje lękać śmierci.

*** Ubiorz jakie mają być dziecinne i ćwiczenie obyczajów młodych.**

Nie wiąż¹ mu nazbyt z młodu knefliczków², bryżyczków³, pstrych sukienek jako prosięciu⁴, bo jako się tego zmlodu nauczy, tak mu się to w pamięć wbije i tak się tego napotem zawždy będzie chciało, a stąd mu i swawola napotem i wszeteczeństwo snadnie rósć będzie mogło... Potem, gdy już będzie podraść, nie trzeba go też nazbyt w grozie chować, bo ona młodość jego, gdyż jeszcze smysły słabe we mdłym ciele być muszą, tedy zbytnią grozą a frasunkiem snadnie może być zgwałcona, iż potem zawždy straszliwa⁵, tępa a głupia być musi. Ale bez zbytniej grozy a bez frasunku, nadobnem napominaniem przedsię mu potroszę trzeba ujmować obroków⁶, aby nie rosło jak wirzba, którą jako nachyli, także też rósć będzie. Także go też już będzie trzeba strzec od głupich a od plugawych chłopiąt, od zbytniej czeladzi, bo co zmlodu widzi, słyszy, to mu się snadnie wbije w onę młodą pamięć jego i także z nim będzie rosło. Bo i od starszych to słychamy, iż lepiej to więc pamiętają, co się zmlodu około nich działo, niżli co przed małym czasem czynili. Boć może dzieciątko czyście⁷ się, igrając, i paciorka i łacińskich słów wiele nauczyć, i a, b, c, d, barzo mu się to snadnie, igrając, w pamięć wbić może. Nie dajże mu też wiele leda czego szczebiotać, jako to ini barzo radzi widzą, a zową to szpaczkim, bo jako mu to w obyczaj wnidzie, tedy potem z tego wszeteczeństwo urosć, którego go potem trudno oduczyć będzie. Także też i panie matki około dzieweczek swych powinny także pilność mieć, gdyż to jest naród mdły a na wszystko snadnie nałomny⁸. Abowiem wierz mi, iż młode wychowanie roztropne siła potem obyczajów dobrych na starość każdemu umnożyć może.*

*** Stan rycerski jaki jest.** A jeśliby cie też w stan rycerski albo ten żołnierski myśl wiodła, wierz mi, i tambyś się nie prawie⁹ źle udał: bo tam znajdziesz i dworstwo¹⁰ i towarzystwo i ćwiczenie, a snadź mało nie¹¹ potrzebniejsze, niżli u dwora; bo się tam nauczysz gospodarstwa, bo się już swym stanem tam nie inaczej, jako we wsi gospodarstwem, musisz opiekąć; już się tam nauczysz pomiernego szafarstwa, boć tego będzie potrzeba, bo tam trudno, jako doma, do szpiżarniej. Nauczysz się cirpliwości, nauczysz się spraw rycerskich, nauczysz się około koni, około sług i około inych potrzebnych rzeczy sprawy a opatrności, a snadź mało nie rychlej, niżli w onej dworskiej zgrai darmo leżącej. Bo jeślic się trefi być w ciągnieniu¹², tedy już tam wielka rozkosz patrzeć na ludzi, patrzeć na sprawy, patrzeć na hufy,

¹ nie wiąż-że. ² guziczek. ³ hafcik. ⁴ t. j. prosięciu na stole wielkarnocnym. ⁵ strachliwy. ⁶ ująć komu obroków = przysłowie: poskromić kogo. ⁷ dobrze, pięknie. ⁸ dający się nałamać, skłonny. ⁹ naprawdę nie. ¹⁰ obczaje dworskie. ¹¹ bodaj czy nie. ¹² w pochodzie.

pięknym porządkiem postępując¹, nasłuchać się onych wdzięcznych trębaczków, bębnow, pokrzyków, aż ziemia drży, a serce się od radości trzęsie.

Przydziesz do stanu², nie trzeba już będzie oliwek, limonij³ ani kaparów dla przysmaków, jako onemu doma leżącemu a rozpieszczonemu brzuchowi: bo powiedają, iż to nawdzięczniejszy przysmak żołądkowi — przegłodzenie. Boć stanie za limoniją i za kapary ona wdzięczna przejeżdżka z milem towarzystwem, żeć tam smaczniejsza będzie wędzonka a kasza, niżli gdybyś leżał za piecem, na ścianę nogi wznosił, a w kobzę grając, czekając, rychło-li obiad dowre, niżlićby przyniesiono bijankę⁴ z marcepanem...

Patrzajże zasię, gdy już potrzeby⁵ nie będzie, a rozłożą je⁶ po leżach, jakiej tam dopi rokoszy i ćwiczenia używać będą! Aż tam nie rokosz mają, gdy się do jednej gospody z potraweczkami nadobnymi znoszą? Aż tam nie będą wdzięczne rozmowy a ony poczciwe żarty, że więc, jako ono powiedają, i gęba się dobrze⁷ nie zakrzywi od śmiechu? Acz też tam i kofel i żołądny tuz wielkie zachowanie miewają, ale gdy tak, jakoś słyssał, zachowasz na wszem stateczną pomiare w sobie, nic to tobie wszystko szkodzić nie będzie; bo trudno tego, powiedają, do tańca ciągnąć, kto nierad skacze...

A to zawždy miej na pieczy: gdy tam ujrzysz, ano drapią, biorą a szarpią niewinne ludzi a ich majątności (bo to jest stary zwyczaj wojenny), chociaż się lży leją, chociaż głosy aż pod niebo o pomstę krzyczą: aleć ja radzę, byś miał przemrzeć i ze szkapami, kędy możesz, ostrzegaj się tego, a byś miał i jednę suknię przedać a w drugiej się do domu wrócić, tedyć to lepiej będzie, niżli głos niewinny a przekleństwo na się puścić. Bo wierz mi, iż Pan Bóg na wielkiej pieczy ma, a jaśnie powie: «Gdy zawoła do mnie ubożuchny o krzywdę swoją, ja muszę pomścicielem jego być». Bo wierz mi, iż ci się to sowicie⁸ oddać musi: alboć szkapy pochromieją, alboć potem i z gospodą zgorają, albo cie okradną. Owa ani obaczysz, jako to Bóg sowito zawetuje a pomści się krzywdy onego niewinnego: a przedsię to i onemu sowito nagrodi, bo to jest święte przyrodzenie Jego.*

*** Równemu z równym ożenie nie lepsze.** Jeśli jużes tak na tem swą myśl postanowił, iż w tym poczciwym stanie chcesz żywot swój postanowić a staniku swego pomiernego, poważnego, statecznego i bogobojnego użyć, szukajże sobie żonki staniku sobie równego, wychowania a ćwiczenia roztropnego, obyczajków nadobnych a wstydlivych, a pomocy⁹ wždy jakiej, jaka może być, bo powiedają, iż to są przysmaki do dobrego ożenienia: uroda, obyczaje, przyjaciele a pomoc. A nie zawodźże się na wielkie trudności, na wielkie zgraje, na wielkie koszty, boć mało po tem, iż bęben przed tobą kołace, a surma¹⁰ wrzeszczy, a chlopi się po płociech wieszają, ukazując sobie, gdzie tu pan młody jedzie. Bo znajdziesz u drugiego, co na tę przejeżdżkę wszystko utraci, a na przynosiny posagu mu nic nie zostanie, i będzie długo sypiał, aż do południa, bo go kurek żadny nie obudzi. Ale ty, nie rozmyślając się ani na żadne zbytnie miłości, ani na żadne powagi, ani na żadne spadki albo wielkie pomocy, gdyć się już w obyczajoch i w urodzie i w poczciwych przyjaciółch upodobała poczciwa dziewczeczka, miejże ty Pana Boga dziewosłębem, a anioły Jego swaty, a bez wszech wielkich zalotów

¹ postępujące.

² stacja, postój wojska.

³ cytryna.

⁴ bita śmietana.

⁵ wojna.

⁶ t. j. ludzi ryckich.

⁷ ledwie.

⁸ podwójnie, w dwójnasób.

⁹ posag.

¹⁰ trąba turecka.

uczyni powinności swej krześcijańskiej dosyć, wzięwszy z sobą przyjaciela albo dwu, a to, cobyś miał na bębny, na surmy albo na opierzone swaty utracić, lepiej, iż tem sobie podpomóżesz gospodarstwa swego. A tam ci już Pan Bóg pozdarzy wedle obietnic swoich, że z onym miłym a wdzięcznym, a sobie równym towarzyszem swoim używiesz długo rozkosznego żywota swego, i wszystko się sporzyć i mnożyć będzie około ciebie, jako ono powiadają, jako wianki wil. *

*** Stroje.** By dziesięć krojów na każdy tydzień wymyślił, tedy każdy chwałą. Będzie jedna¹ z długim kołnierzem aż do pasa, to powiadają, iż tak czyście: chłop ozdobny, od wiatru się zastłoni, kiedy trzeba, i kijem we grzbiet nie tak barzo puknie. Będzie zaś druga, co kołnierza nie będzie u niej i na palcu, a przedsię też tak czyście: wolno mi się obejrzeć, kędy chcę i jako chcę, a przedsię mi kołnierz w szyję nie kąsa. Będzie druga z długimi rękawy, a czasem i ze trzemi, też tak, powiadają, czyście: chłop znaczny na koniu, kiedy rękawy około niego trzpiatają. Będzie druga, co jedno rękawiki do łokcia, a też tak przedsię czyście: wolniejszym tak, i snadniej mi na koń wsieść. Więc będzie druga aż do samej ziemi, to też tak czyście: chłop się zda urodziwy i pieszo i na koniu, i przedsię mi wiatr około goleni nie tak harcuje. Druga zaś będzie mało niżej za pas, a przedsię tak czyście: i lżejszy człowiek i pieszo i na koniu i niczem się nie zabawi. Więc będą ostrogi na pół łokcia, to też tak czyście: ozdobny chłop na koniu i konia się mocno imię, i wszystko czyście. Będą drugie, ledwie je przy piętach znać, a przedsię czyście: lżej mi tak i, Boże uchowaj, konia odbyć, tedy mi w trawie nie zawadzą, a przedsię wszystko czyście. Ja wierzę, by kto, pozłociwszy, rogi na łeb włożył, tedy nie wiem, by nie powiedali, iż to tak czyście, bo wszystko czyście, by się jedno co dziś pojawiło, czego chmy wczoraj nie widzieli. A co na to «czyście» wynidzie, to już tam mieszek niechaj responduje². *

*** Rok na cztery części rozdzielon.** Iż różne są czasy w roku, też są i różne przypadki w gospodarstwie i w każdej sprawie człowieka pocziwego, gdyż rok jest na czworo rozdzielon: naprzód wiosna, więc lato, potem jesień, więc zima. A w każdym z tych czasów i potrzebnego a różnego gospodarstwa i rozkosznych czasów i krotofil swych w swoim onym pomiernym a w spokojnym żywocie pocziwy człowiek może snadnie użyć. Bo gdy przypadnie wiosna, azaż owo nie rozkosz z żoną, z czeladką po sadkoch, po ogródkoch sobie chodzić, szczepków naszczepić, drobne drzewka rozsadzić, niepotrzebne gałązki obcinać, mszyce pozbierać, krzaczki okopać, trzaskowiskiem³ osypać, bo tego trzeba, aby około młodego drzewka chwast nie rósł; bo coby miało drzewko rósć, to mu one wilgotność chwast wyciągnie. Też gdy młode drzewka rozsadasz, niepotrzebne gałązki precz obrzeż i wirzech, jeśliby się wyniósł wysoko; bo nowo wsadzony korzeń, gdy jeszcze w sobie wilgotności nie ma, gdzie wiele gałęzi na górze, nie może ich używić. Też gdy szczepisz a pniaczek rozbijesz, tedy nożykiem nadobnie gniazdeczka⁴, gdzie masz gałązkę wsadzić, wybierz; tedy i gałązka pięknie przystanie, i pniaczek jej nie ściśnie a nie zmorzy, i wnet ją snadniej sok obleje, iż się prędko przyjmie.

¹ t. j. suknia. ² odpowiadać. ³ trociny, popiół z trocin. ⁴ dziura do spojenia drewnianych klisz.

Też sobie i wineczka i różyczek możesz przysadzić, bo sie to barzo lacno wszystko a za barzo małą pracą przyjmie. Dostawszy gałęzi winnych, ukopawszy dołek, nasypawszy gnoju dobrego a trzaskowiska, położywszy dwie gałązce na krzyż, środek onych gałązek włoczywszy w on dołek, nadobnie onąż ziemią przyłożysz, a konce ku górze wypuścisz: tedy sie to barzo snadnie przyjmie. Także też tam chwastu strzeż, boć ten każdą rzecz zagłuszy. Potem, kiedy sie rozroście, niepotrzebne gałązki i liście¹, gdzie go wiele, obrzynaj, bo także też to wilgotność wyciąga, która miała gronka urościć², — jako i chwast około szczepów. Więc też sobie pójdiesz potem do ogródeczków, do wirydarzyków³, grządki nadobnie każesz pokopać; nie czynże ich owak kółpakiem⁴ nazbyt wysoko, bo i woda snadnie z nich spłynie, i w głębokiej bródzie nic nigdy nie będzie. To sobie z oną rozkoszą nasiejesz ziólek potrzebnych, rzodkiewek, sałatek, rzeżuszek; nasadzisz maluneczków, ogóreczków; i majoranik i szalwijka i ine ziółka — wszystko to nic nie wadzi; więc włoskich grochów, więc wysokich koprów, więc i inych wiele rzezy, co sie to wszystko przygodzi. Bo to zasie, kiedy wzejdzie, tedy to i panienki albo ty ine domowe dziewczeczki mogą wpleć i ochędożyć. Więc nie wadzi brzoskwiniową, morellową, marunkową⁵ kosteczkę⁶ wsadzić albo też włoski orzeszek, bo to wszystko prędko uroście, a przedsię i pożytek uczynić może... Azaż lepiej, iż ci lopian pod okny śmierdzi, a pokrzywa cie parzy, niżlibyć co inego na to miejsce posadził? Bo być też to i pożytku żadnego pieniężnego nie uczynilo, tedy azaż mały pożytek potrzeba domowa? Bo z jabłuszka możesz sobie kilka potrawek uczynić: dobre warzone, dobre smażone, dobre pieczone, i dobrze gęś nadziać, dobra kasza z nich, przetarszy przez durszlak, dobrze je ususzyć i w pudle na cały rok chować, nie wszystko głąby⁷ gryźć, jako świnia...*

***Pczoły, owce niemały pożytek uczynić mogą, także i ine rzeczy.** Nuż też, jeśli masz pczółki, tedy je też w czas podchędożyć, chorem miodu podstawić, także też chwastów i niepotrzebnego plugastwa między niemi nie dopuszczając... Nuż też owieczki! Azaż też ty mały pożytek uczynić mogą? A niemaszli ich czem chować, więc ich na wiosnę kupić, a na jesień sprzedać. Dasz za parę pół grzywny, a weźmiesz zasie, gdy jagniątko uroście, w jesieni za onę parę swoje pół grzywny... Nuż też pani łaskawa domowa azaż też z drugiej strony nie może bez wielkiej pracy a napoły z krotofilą nadobnych pożyteczków naczynić, gdy sie zabawi około ogrodów, około nabiałów, około lnów, około konopi? Wszystko a wszystko może sie to sownie opłacić i domek sie napełnić. Bo to zimie zasie z dziewczeczkami poprzędzie, płócienek nasprawuje, może i uprzedać, może i potrzebę domową zawždy poczciwą mieć. Nuż też i gaska niezła, bo i piórka i mięsko wždy też darmo nie wynidzie, a mały to koszt — trawki nasiekać, ukropkiem gorącym ją odmiękczyć, otrąbkami posypać, to sie tak tem dobrze pan młody gęś uchowa, jak owsem, bo mu to snadniej polknąć i przechować⁸. Nuż też kurczątko, nuż też kaczątko, nuż też i gołębiątko — wszystko to nic nie wadzi, bo to bez trudności, a na poły z krotofilą wszystko być może.*

¹ liście — rzeczownik zbiorowy rodz. nijakiego. ² wydać. ³ ogródek zielony. ⁴ czubiasto. ⁵ marunka albo merunka — gatunek śliwki. ⁶ pestka. ⁷ na surowo. ⁸ strawić.

*** Lato gdy przydzie, co z niem czynić.** Nuż też, gdy przydzie ono gorące lato, azaż nie rozkosz, gdy ono wszystko, coś na wiosnę robił, kopał, nadobniec dojrzeje a poroście? Anoc niosą jabłuszka, gruszcзки, wiśneczki, śliweczki z pierwszego szczepienia twego; więc z ogródków ogóreczki, maluneczki, ogrodne ony ine rozkoszy! Ano młode masłka, syreczki nastaną, jajka świeże; ano kurki gmerzą, ano gaski gęgają, ano jagniątka wrzeszczą, ano prosiątka biegają, ano rybki skaczą; tylko sobie mówić: «Używaj, miła duszo, masz wszystkiego dobrego dosyć!» — a wszakoż z bojaźnią bożą a z wiernem dziękowaniem Jemu. Pojedziesz zasię sobie z krogulaszkiem¹ do żniwa: ano nadobnie żną, dzieweczki sobie śpiewają, drudzy pokrzykawają, snopki w kopy znowu układają; ano im i milej i sporzej robić, kiedy pana widzą, — a wszakoż nie owego, co się z nimi po polu z maczugą goni albo biczem po grzbiecie kołace. Tamże sobie i przepióreczkę ugonić możesz, ale nie owak, aby proso abo insze zboże ubogim ludkom łamać miał: abowiem on, patrząc na to, nie może bez żalości być, a mówi po cichu: «Bodajż w niej zjadł złego ducha!» Też nie owak, aby wszyscy stali, dziwując się, a wołali: «Owo padła, panie, padła!» A pan sie przed nimi pyszni, iż chróściela ugonił, a oni stoją, dziwując się, sirpy porzuciwszy. Abowiem w każdej rzeczy trzeba czasu i miary zawżdy używać. *

*** Jesienne rozkoszy i gospodarstwa.** Przydzie jesień, azaż nie rozkosz do siana sie przejeździć? ano nadobnie uorano, nadobnie sieją, włóczą, śpiewają; ano serce roście, ano sie nadzieją cieszy, iż z tego, da-li Pan Bóg do-czekać, na drugi rok pożytek uroście! A wszakoż tego dojrzeć, aby było dobrze uorano, aby urzechy² nie było, aby tylko trawy nie próto... Też trzeba pilnować, aby sie dobrze zawlokło, aby brył, jeśli może być, niewiele było, a wczas, a co naraniej, bo im sie zboże napiękniej uściele na zimę, tem mu sporzej będzie rósć na wiosnę... Tamże możesz sobie kazać i pieski, jeśli je masz, wyrzecć³, tamże sobie wnet rozkoszną krotofilę uczynić; ano rozliczne głosy, jako fletniczki z puzany, krzyczą; ano myśliwiec wrzeszczy, trąbi, dojeżdżając za niemi. Wypadnie zajaczek, azaż go nie rozkosz pozschwacć, za nim sobie pobiegać, a jeszcze lepsza do łęku go przywieźć a do domu przynieść: ano chucć i dobra myśl roście, ano sie krew dobra mnoży, ano wszystko zdrowo, wszystko miło. A wszakoż, jako na każdą rzecz, tak też i na tę trzeba czasu patrzeć: nie wonzas, kiedy jeszcze zboża stoją, albo drugie dorastają, bo już tam musisz bez rozmysłu biecć, gdzie pan zajac obóz swój zatoczy, ano jedno psi połamią, drugie szkapy podepcą, ano grzech, przekleństwo a niewdzięczność darów bożych! Przyjedziesz do domu, ano sie jeść chce, ano już wszystko nadobnie gotowo: ano grzybków, rydzików nanoszono, ano ptaszków nałapano. Bo i to niemiała krotofila, i pan sobie czasem w budzie barzo rad posiedzi: ujrzy po chwili, ano miody podbierają, ano owieczki strzygą, ano owoce znoszą, zakrywają, a drugie suszą; ano rzepy, kapusty do dolów chowają, układają, drugie też suszą; ano wszystko miło, wszystko sie śmieje, wszystkiego dosyć, jedno trzeba tego dojrzecć, aby to wszystko było porządnie opatrzone... Jednoby też trzeba, kiedy czemu czas przypadnie, jako karwowi⁴ darmo nie leżecć, a nadobnie sie i z żoną i z czeladką do wszystkiego przyczynić. Bo im więszy dostatek

¹ mały krogulec (z rodziny sokołów myśliwskich).
przy oraniu. ³ wypuścić. ⁴ wół karmny (opasowy).

² miejsce, pominięte

w domu będzie, tem sie też będą wszyscy lepiej mieć, bo to i pożytek i rozkosz i krotofila. A co to jest za trudność, już kapusty, rzepy, pasternaki, piotruszki i ine rzeczy dobrze opatrzywszy, kapustki nadobnej osobno obrawszy, fasę jednę na to obróciwszy, napoły główki przekrawając, nadobnie ją ułożyć, ćwikiełką przekładać, koprzyku do niej nakłaść? Tedy będzie smaczna i czerwona, także i rosolek z niej będzie nadobny i onemi ziółki pięknie pachnący... Albo też kopru włoskiego, póki jeszcze zielony, także z gałązkami narzezać i jakoby każdą gałązkę warkoczkiem przepleść, także w faszczkę ułożyć, ocetkiem przekropić a solą potroszę przetrząsnąć, a kamieniem przyłożyć, także też to przysmak i osobny i długo trwający może być. Albo też rydzików nasolić, grzybków nasuszyć — a cóż to za praca? a długoż to zamieszka? ¹ Ale leniwemu niedbalcowi wszystko sie trudno widzi... *

*** Zima co za pożytki czyni i co za rozkoszy w sobie ma.** Przydzie zima, azaż mała rozkosz, kto ma lasy albo łowiska, z rozmaitym sie szwirzem nagonić, a jeśli sie poszczęści, więc go nabić i przyjaciełom sie zachować ² i sobie pożytek może sie z tego uczynić? Kto też ma jeziora, stawy wielkie... niewody zapuścić, ryb rozlicznych nałowić?... A jeśli niema lasów albo wód wielkich, azaż też zła sarna albo wilczek, z siatkami go poszukawszy?... Azaż nie rozkosz z charty sie przejeździć, na cietrzewia sie zastawić, kurapatwiczkę rozsiadem ³ przykryć? a przejeździwszy sie a obłowiwszy sie, do domu przyjechać? Ano izba ciepła, ano w kominie gore, ano potraweczek nadobnych nagotowano, ano grzaneczki w czaszy w rozkosznem piwie miasto ⁴ karasków pływają. Po obiedzie sie do gumienka przechodzić, dopatrzeć sie, jeśli dobrze wymłacają, jeśli kłóc ⁵ wyrzāsają, jeśli słomę dobrze układają, plewki, zgoninki chędogo pochowają... Nuż nachodziwszy sie po swem pobożnem gospodarstwie, już też sobie w ciepłej izbie usiędziesz albo sam, albo z przyjacielem. A jeślić jeszcze Pan Bóg dziatki dał, toć już jako błazenkowie kuglują ⁶, żonka z panienkami szyje, też sie z tobą rozmawia albo też co powieda, pieczenia sie wieprzowa dopieka, cietrzew w rosółku, a kapłun tłusty z kluskami dowiera ⁷, więc rzepka, więc ine potrawki. A czegoż ci więcej trzeba? a czegoż ci nie dostawa ku pocziwemu wychowaniu twemu? Bys jedno sam chciał, a sam tego i nabyć i użyć umiał, tedyć Pan Bóg wszystkiego dosyć dał... *

Żywot człowieka pocziwego to najznakomitszy ze wszystkich utworów Reja, nietylko dlatego, że najlepiej opracowany, ale i dlatego, że zawiera w sobie mnóstwo rysów obyczajowych, przez co jest doskonałym obrazem życia domowego zamożniejszej szlachty polskiej XVI wieku. A nadto *Żywot* skupia w jedną całość wszystkie nauki moralne Reja. Wprawdzie nie są one jego własnością: czerpał je to z Pisma Świętego, to z autorów starożytnych, to z nowoczesnych; ale we wszystkie włożył własne serce, w którym tkwiło głęboko poczucie świętości ideału chrześcijańskiego, oraz wiara, że cnota ma wartość bezwzględną, że jest sama sobie celem. Zachęca wprawdzie Rej «człowieka pocziwego» do cnoty w imię takich pobudek, jak zdrowie, dobrobyt materialny, przyjaźń, dobra sława i wogóle szczęście na ziemi,

¹ dużoż to czasu zabierze? ² przysłużyć się. ³ sieć. ⁴ zamiast. ⁵ słoma wymłócona. ⁶ dokazywać. ⁷ dopieka się.

a wiekuista nagroda w niebie: ale wznosi się także do pojęcia cnoty bez nagrody, do rozumienia «różności *inter honestum et utile*»¹: «Dajże ku dyjabłu to *utile*, a uważ sobie, co to jest *honestum*». Zaszczyt niemały sprawia Rejowi ta sentencja, a sprawiałaby jeszcze większy, gdyby jego pojęcie cnoty było szersze: jakie są obowiązki człowieka względem człowieka, to rozumiał Rej dobrze; ale jakie są obowiązki «pocziwego człowieka» względem ojczyzny, tego dobrze nie rozumiał; mało się uczyć, prowadzić żywot spokojny i pogodny na wsi, cieszyć się zamożnością i szczęściem rodzinnem, a służby publicznej, z wyjątkiem godności poselskiej, o ile możliwości unikać, bo ona odbiera «żywot wolny»: oto ideał «człowieka pocziwego»! Takie poglądy na życie miał niejeden szlachcic XVI w., takie poglądy miał i Rej, człowiek dobry, pocziwy, ale, jako nieuk, nie mający szerszego poglądu na świat; kochał on ojczyznę bardzo serdecznie, ale dobrze nie wiedział, jak jej służyć.

35. Bo że Rej kochał Polskę, tego dowodem jest jego piękny utwór, mieszczący się również w *Zwierzciadle*, p. t. *Spólne narzekanie wszej Korony na porządną niedbałość naszą*. Unosi się tutaj Rej nad Polską, nad jej wielkością i potęgą, dostatkami i bogactwem, odwagą i męstwem narodu, ale gorzkimi łzami płacze nad nierządem i brakiem sprawiedliwości i przepowiada smutną przyszłość, jako karę bożą za grzechy.

* **Jako jest zacne królestwo polskie.** Patrzej, które jest tak zacne a tak sławne królestwo, jako jest... nasze królestwo polskie, w którym nas tu, Polaki, Pan nasz z łaski swej posadzić a rozszerzyć raczył? Albo które jest królestwo okoliczne, aby od niego albo jakiej pomocy, albo jakiej żywności nigdy nie potrzebowało? A wiele krain i królestw, co na nie robią, jako za dzień kmiotkowie, a tu wszystkie swe prace podawają, a stąd pożytków swych, żywności swych i inych rzeczy szukając, nabywają! A my, Polacy, za małą pracą a za małym staraniem, ich kosztownej pracy a ich robót z rozkoszami sobie używamy! Czego ja wyliczać nie chcę: snadnie się temu, kto jedno chce, każdy przypatrzeć może. Bo acz w inych stronach jest więcej złota, srebra, korzenia, jedwabiów i inych rzeczy, a wszakże to nam tu przed się od nich mało nie darmo przychodzi. Ale takich ludzi, takich cnót, takich obyczajów, takiego męstwa, — a który w tem naród porównał z narodem tym? a które wojsko kiedy polskiemu wojsku wytrwać mogło?... A szczęśliwem to wojskiem zową, gdzie Polaki widają; a straszny huf każdemu nieprzyjacielowi bywa, gdzie Polak swe jasne, niezakryte czoło okaże. *

* **Polskie królestwo w czym jest ubogie.** Pożrzyż² zasię, przewróciwszy kartę na drugą stronę, jeśliże jest nędzniejsze, zeszejsze³ a niedbalsze państwo... jako jest to sławne a tak zacne królestwo polskie nasze? Żaden naród, żadna horda, a snadź i cygańska, nie jest w takiej niedbałości, a snadź jest w lepszym opatrzeniu, niżli to tak sławne a zacne państwo nasze! Ażaj my mamy postanowienie jakie pewne, oprócz tych marnych a niepobożnych wici? gdyby na nas jaki prędki nieprzyjaciel przypadł, cobyśmy z nim czynić mieli?... Stoją zamki, stoją mury puste, wilcy a świnie dzikie się

¹ pomiędzy tem, co plynie z prostej uczciwości, a tem, co pożyteczne.

² spojrzysz-że.

³ podlejszy.

w nich łagną, a ni nacz ich podobno nie chowamy, jedno na baszty nie-
nieprzyjacielom swoim, aby oni to, powoli pobrawszy sobie, osadzili, a stąd
nas bezpieczniej wojowali a posiadali. A jakoż tu nieprzyjaciel serca nie ma
brać? a jakoż sie tu nie ma, jako dyjabeł z niedbalej dusze, rozkochać, wie-
dząc o tak zacnem, sławnem. a bogatem królestwie, wiedząc o takich sławn-
nych, zacnych a bojowych ludziach i wielkości ich, a wiedząc też o takiej
niedbałości i o takiej sprawie ich?... *

*** Iż gniew Pański nigdy bez przyczyny nie przypadnie.** Przypatrz sie
jeno pilnie sprawam a niesprawiedliwościom naszym, jako sie lzy leją lu-
dzi ucisnionych, jakie głosy krzyczą przed Majestatem Pańskim na upadek
nasz, jako ludzie niewinni narzekają, pragnąc a łaknąc, biegając a szu-
kając sprawiedliwości swojej... jako stoją oni mizerni Łazarzowie u drzwi
bogaczów onych, którzy wysnali mleko ich a odarli wełnę ich, a jeszcze je cza-
sem kijem biją, odganiając a powiadając: niemasz teraz czasu!... Gdyż spr-
awiedliwość naszą zowią pajęczą siecią, którą bąk przebije, a nędzna mucha,
upłotszy sie, uwikławszy sie, utraciwszy wszystko, nie doczekawszy sie żad-
nej pociechy w upadku swoim, idzie z kijem, bęcząc, do domu, ręce żało-
miwszy! Obaczże, jaki tam płacz a jakie tam narzekanie, przyszedszy do
swego domu, uczynić musi z żonką a z działkami swemi, wołając
o pomstę do Pana swego! A Pan sie obiecał stać nieomylnie przy krzywdzie
jego, a mścić sie onego mizernego upadku jego!...

A jakoż tu Pan, proszę cie, ma podnieść oczy swoje na wspomnienie
nasze? Ano, jako sam powiadać raczy, iż wołacie do mnie a narzekacie, iż
was chcę wysłuchać, a ręce wasze, które podnosicie do mnie, pomazane
niesprawiedliwością!... Już trudno mamy dufać jakim nadziejam albo ja-
kim godnościom swoim do znalezienia łaski u Pana tego, jedno czekać mi-
zernego upadku jakiego!... Gdyż to jawnie obiecać raczył każdemu naro-
dowi takiemu, iż «dla złości a niesprawiedliwości ludzkich przeniosę króle-
stwa na inne królestwa, a narody w insze narody odmienić muszę!» Obaczże
sie, smaczności by to było, kiedybyś ujrział, ano postronny człowiek rozka-
zuje w domu twoim, a urzędnika odmienil, a ty zdaleka z cirknia wyglą-
dasz, co sie dzieje: ano już inny urzędnik, albo cie w łykach przy koniu
wodzą!... Pomyśl sobie jedno, jeśliby do tego kiedy przyszło (jakoż nieomyln-
nie przysć musi, nie będzieli uznania twego a miłosierdzia Pana twego),
gdy obcy a srogi człowiek przyszedł mocą do domu twego, posiadł albo roz-
prosił wszystkiej majątność twoją, zapalił srogim ogniem dom twój i wszystkie
rozkoszy twoje, posiekałby głowy działkam twoim przed oczyma twemi, zel-
żyłby małżonkę i naród twój, a ciebie by jako psa wodził na łańcuchu, przy
koniu swoim, łukając głowę twoją: jakoby łam żalosa była dusza twoja
i serce twoje! *

36. Odrębne stanowisko wśród utworów Reja zajmują wierszowane fa-
cecie czyli dykteryjki, wydane w roku 1562 pod tytułem *Przypowieści przy-
padle*, a po śmierci Reja pod tytułem *Figliki albo rozlicznych ludzi przy-
padki dworskie, które sobie po zatrudnionych myślach dla krotofile, wolny
będąc, czytać możesz* (1574). Odrębność ich polega na tem, że pisał je Rej
nie dla nauki, jak inne pisma, tylko «dla krotofile», to jest dla rozrywki
czytelnika. W innych pismach jest on moralistą i satyrykiem, tutaj — hu-
morystą. Pomysły *Figlików* są po większej części nieoryginalne: jak dzisiaj,

tak i dawniej dykteryjki wędrowały od człowieka do człowieka, od towarzystwa do towarzystwa, z miasta do miasta, z kraju do kraju. W epoce humanizmu opowiadanie dykteryjek należało do najulubieńszych rozrywek towarzyskich; ukazywały się one także w druku, zrazu po łacinie, później w językach nowoczesnych. Otóż Rej nasłuchiwał się ich i naczytał dosyta, to i owo zmieniał, to i owo dodał, albo też sam wymyślił i, jak mówi, «dla ćwiczenia języka polskiego» opracował ich zgórą dwieście, a wszystkie — w ósmiowiekszach. Niektóre z nich powstały w Polsce, ale dużo przyszło do Polski z Włoch i z Niemiec. Prawie wszystkie są bardzo niewybredne, rubaszne, czasem nawet plugawe — takie, że ich w mieszanem towarzystwie czytać niepodobna; i przez to właśnie są doskonałym wyrazem starszla-ckiego humoru i życia towarzyskiego, które się u nas w XVI wieku coraz bujniej rozwijało i coraz więcej ześwieczało. Do ulubionych tematów dykteryjek należały drwiny z duchowieństwa i ośmieszanie naiwności i rubaszności chłopskiej.

Baba, co w pasyją płakała.

Gdy ksiądz śpiewał pasyją, więc baba płakała;
Umie-li po łacinie, druga ją pytała:
«Płaczesz, a to wiem pewnie, nie rozumiesz, czemu,
«I ten płacz podobien barzo k szalonemu».
Rzekła baba, iż-ci «ja płaczę nie dlatego,
«Lecz wspominam na swego osielka miłego,
«Co mi zdechl: prosto takim, by ksiądz, głosem ryczał
«I także na ostatku czasem cicho kwiczał...»

Co powiedział, iż Kurza Noga zgorzała.

Więc go drudzy potkali: «A cóż tam nowego?»
«Zgorzała kurza noga z opatrzenia złego».
A Kurza Noga pałac jest zacny w Krakowie,
A więc się zatroskali oni prostakowie.
Ten rzekł: «Nie lękajcie się, nie toć, co król siada:
«Ować to, co więc kucharz z poślednimi jada;
«Zapomniał jej na węglu, piekąc między pępki
«I tamże jej odbieżał, bo chłop barzo prętki».

Co rym pisał: nie umiem.

Dwa sie mieli ku paniej, więc rymy pisali¹,
Aby sie, czem kto może, paniej podobali.
Jeden, stojąc, napisał: «Już dalej nie umiem».
Drugi przyszedł, wziął kredkę, napisał: «Ja umiem».
Ten wyszedł, a ów przyszedł, przypisał: «Ale łąać».
Ten, przyszedszy, obaczy, jął rym pilnie mazać,
A do tego przypisał, co pisał «nie umiem»:
«Umiesz, ale nie możesz, tak o tem rozumiem».

Co podle żony nie chciał w niebie sieść.

Chłopu żona umarła, a on rychło potem
I kołatał do nieba, nic nie myśląc o tem.
Otworzył mu święty Piotr: «To tobie za ono,
«Coś mi więc czasem pościł, będzie otworzono».

¹ Jedna z ulubionych rozrywek towarzyskich w Polsce: jeden pisał coś na ścianie lub na drzwiach, drugi doczepiał rym.

«Idź¹, siądz podłe żony!» Ten: «Za² tu jest?» pytał.

Rzekł Piotr, iż jest. A ten sie nazad precz wrócić chciał,

Mówiąc: «Wierzę, iż wilcy — i ci będą w niebie;

«Ja wolę precz, bo nie chcę mieć jej podłe siebie».

37. Zasługi około utrwalenia języka ojczystego w literaturze dzieł z Rejem ziemianin i rycerz, szlachcic sieradzki, **Marcin Bielski** (1495—1575). Nie posiadał on ani wybitnego talentu, ani tej łatwości pisania, co Rej. ale, przepadając za książkami, usilną pracą nabył więcej wiadomości i wyrobił sobie głębszy pogląd na życie: Rej głosił, że «pismo niepotrzebna zabawa», że człowiek powinien dążyć jedynie do cnoty; Bielski uczył, że «ludzie bez pisma na świecie żyli nie inaczej, jedno jako niemy dobytek, co jedno brzuchowi folguje»; rozumiał, że człowiekowi nieoświeconemu trudno być cnotliwym, bo nie będzie wiedział, jak dążyć do cnoty, że nauka to jeden z największych skarbów na świecie, bo rozwijając i wzbogacając umysł, uczy człowieka, jak ma żyć, daje mu nietylko cnotę, ale i dobrą sławę i szczęście. Otóż to przekonanie usiłował wpoić w swoich czytelników, pragnął oświecać i kształcić społeczeństwo polskie i jeszcze na lat kilka przed wystąpieniem Reja przełożył z języka czeskiego książkę o życiu, nauce i cnotcie starożytnych mędrców (Talesa, Solona, Likurga, Cyccrona, Seneki i innych), p. t. *Żywoty filozofów* (1535) — w tym celu, aby z jednej strony przyczynić się do «rozmożenia języka polskiego», którym «przedtem dla trudności jego niewiele pisano», a z drugiej, aby pokazać czytelnikom, że od nauki «nie może być wymyślono większe dobrodziejstwo».

Za najszlachetniejszą zaś i najpożyteczniejszą ze wszystkich nauk poczytywał historję: «Historyje są nauką żywota, jako obrazy albo świece, sprawam ludzkim w umyśle świecąc, ostrzegając nas od przygód złych, a ku dobrym przykładnie wiodąc, aby tem każdy ostrożniejszy był, karząc się³ ludzką przygodą, abowiem snadniej sie każdemu obaczyć z kogo inego, niżli sam z siebie». Tymczasem literatura polska nie posiadała książki o dziejach powszechnych; więc Bielski, pragnąc, jak mówi, «braciej swej milej uszy ich, żadościwie⁴ dziejów zacnych rozmaitych, czytaniem tem napełnić», postanowił ją napisać; wziął się gorliwie do pracy, przeczytał całe mnóstwo podręczników i pism historycznych, napisanych po łacinie przez uczonych Niemców i Włochów, oraz kilka książek czeskich, i ułożył z nich wielką *Kronikę wszyłkiego świata* (1551), którą czytano tak chciwie, że już po trzech latach trzeba ją było wydać po raz drugi, a w lat dziesięć po wydaniu drugim ukazało się trzecie: *Kronika, to jest Historyja świata, z rozmaitych historyków tak w Świętem Piśmie krześcijańskiem, żydowskiem, jako i pogańskiem, wybierana i na polski język wypisana dostateczniej, niż pierwej, z przydanim wiele rzeczy nowych od początku świata aż do tego roku, który sie pisze 1564*. Było tu co czytać: opowiedział Bielski historję narodów starożytnych od początku świata, a więc Żydów, Asyryjczyków, Babilończyków, Persów, Greków, Rzymian; historję średniowieczną, zarówno kościelną, jak świecką; dzieje nowsze Europy zachodniej w epoce reformacji (której Bielski był gorliwym zwolennikiem); niedosyć na tem: osobne roz-

¹ idźże.

² czyż.

³ karać się czem = brać sobie przestrożę z czego.

⁴ chciwy, spragniony.

działy poświęcił historii Turcji, Czech, Węgier, Rusi; wyłożył «kosmografję» (t. j. geografję) powszechną, opisując szczegółowo rozmaite osobliwości świata, a jeszcze obszerniej opowiedział «o wyspach morskich, nowo nalezionych, które mogą być rzeczony świat nowy», t. j. o odkryciu Ameryki. Przy końcu zaś opisał wcale szczegółowo... sąd ostateczny!

Wartości naukowej *Kronika świata* nie ma: przeciw Bielski, chociaż ciągle czytał i czytał, nie był uczynym i nie posiadał umysłu krytycznego, nie umiał odróżnić prawdy od nieprawdy; zdawało mu się, że wszystko, co wydrukowane, jest prawdą, w najlepszej więc wierze powtarza za innymi, że np. Aleksander Macedoński «wpuszczał się w morze w szklanej skrzyni, chcąc zobaczyć morską głębokość»; że «Jowisz pięćkroć razów świat obszedł i umarł na wyspie Krecie»; że w Arabji mieszka ptak feniks, «który, gdy przydzie ku sześćset i sześćdziesiąt lat, starzeje się, uczyni sobie gniazdo z mirry, kadzidla, różdżek, położy się na tem i obumrze», a potem «ożywie, jako chrobaczek będzie napirwej, potem jako gołabek», a potem «jako orzeł»; są też — opowiada Bielski — różne dziwne narody, np.: «Satyry, ludzie leśni, w górach albo niewielkich lesiach bywają, nago chodzą, a z zwierzem żyją, kosmaci, mowy żadnej nie mają, tylko jako małpy krzykają;... Astromi w Indyjej są, nie mając żadnych ust, nie jedzą ani piją, tylko przez nos dychanie żywą;... Neury (u Tatarów) na czas pewien w wilki się zamieniają» i t. p. Nie umiał także Bielski rozróżniać wypadków ważnych od nieważnych i często daleko więcej miejsca poświęca anegdotom, niż ważnym faktom historycznym. A pomimo to wszystko jego *Kronika świata* była w swoim czasie dziełem wielce pożytecznem, jako pierwszy obszerny podręcznik historii powszechnej, napisany po polsku, z którego więc o tem, co się działo na szerokim świecie, mogli się dowiedzieć ci nawet, którzy nie umieli po łacinie.

Osobną część *Kroniki świata* poświęcił Bielski dziejom Polski, która, jak pięknie powiada, «nas wszech, Polaki, w swej ziemi chowa, żywi, ćwiczy». I tutaj nie jest historykiem samodzielnym: głównem źródłem jego wiadomości jest kronika Miechowity; samodzielnie opowiedział tylko o kilku wypadkach z ostatnich lat panowania Zygmunta Starego, np. o bitwie w Wołochami pod Obertynem w r. 1531 (w której sam walczył w szeregach hetmana Tarnowskiego), oraz opisał szczegółowo pogrzeb królewski. Pomimo to i kronika Polski jest dziełem ważnem, jako pierwsza historia ojczysta, napisana w ojczystym języku.

*** O Cyganach tułaczach.** Lata od Narodzenia Pańskiego 1417 napierwej się rodzaj cygański u nas i w Niemczech ukazał, lud próżnujący, chytry, tajemny, plugawy, dziki, czarny, wiary ani postanowienia nie mając: gdzie się przywłoka, tam wiarę trzymają, aby im dawano; mowę sobie zmyślili ku kradzieży godną, aby nikt nie rozumiał, jedno sami sobie; stądże są misterni złodzieje, zwłaszcza żony ich, z których kradzieży mężowie żyją; aby k temu lepszy przystęp miały, praktykują¹ białym głowam prostym, leda co mówiąc, i, gdy się nabarziej zapatrzy na nie, wtenczas lekką ręką wybierze, cokolwiek najdzie w mieszku, jedną ręką, a drugą kreślą po rękę; przeto w płachowiskach² chodzą, aby pod nie snadniej ręce kryła, gdy się jej co trafi ukrasć. Sami też mężowie rozmaitem szyderstwem się obchodzą³: końmi

¹ wróżyć. ² w plachtach z grubego płótna. ³ rozmaite popełniają oszustwa.

frymarchą, miedź pozłociwszy, żelazo pośrebrzywszy, sprzedają, mynicę¹ kuja, wytrychy złodziejom czynią i rozmaite igrzyska wymyślają, aby tem prace uszli, a nic nigdy nie robili ani służyli; z dziećmi swemi włóczą się od miast do miast, od wsi do wsi po wszytkich krainach świata, niedługo na miejscu trwając, aby sie kradzieżą barzo jednym nie oprzykrzeli, a zasię w rok na ty miejsca swoje rozdzielone z rotami swemi przychodzą, bo oni cudze królestwa miedzy się rozdzielili, mieniać to swoje być, a gdzieby jedna rota drugą najechała, czynią o to z sobą i porażają sie okrutnie sami o to. W cudzych ziemiach katy bywają, jako w Turcech i indziej, i na szpiegi jeżdżą do nieprzyjacielskich krain. Powiedają ci matacze u nas, aby to pokutowali, włócząc sie po rozmaitych krainach, iż byli odstąpili wiary krześcijańskiej, a na mahometową przystali; a w Turcech takież, iż sie byli obrócili na krześcijańską wiarę. Powiedają też u nas, że im Turcy zamknęli drogę do ich krainy, to jest do małego Egiptu, iż ich wiary nie trzymamy; a gdy go spyta, gdzie jest Egipt mały, będzie plótl, sam nie wie co, jako ten, który tam jako żyw nie był, ani wie, skąd się wziął; bo sie tu porodziło to lotrostwo, u nas, i jest naszych dosyć miedzy imi lotrów, co też chronią się robót, aby sie im tak zdało pocziwiej kraść, którzy sobie twarzy poczernili i włosy tym obyczajem: nabrawszy śnieci jęczmiennej, zbije ją z żółcią wołową, przyczyniwszy trochę oliwy, a tem sie mażą na każdy miesiąc, a temże gryzienia od wszy i pcheł uchodzi: a na iną nędzę nie dba, kiedyby² nie robił. Do której krainy przydą, pilnie sie mowy uczą dla pożywienia. Wyszli oni napierwej z przodków swych z Afryki przed głodem z krainy Cyrenajki; przeto mają być wezwani Cyrani, a nie Cygani. Z tej Cyreny był on Symon, co za Panem Jezusem niósł krzyż przed Jeruzalem, na górę Kalwaryją. Mają listy niektórzy z nich cesarza Zygmunta, aby byli wolni w krainach krześcijańskich; ale, jako mówią, niczemny król niczemnym ludziom wolność daje ku skazie rzeczy pospolitej, bo oni inszą sie rzeczą nie żywią, jedno kradzieżą. I jest to z podziwieniem każdego mądrego człowieka, czemu ty lotry wpuszczają do ziemie na granicach, czegoby mieli pilnie starostowie doglądać, bo ci lotrowie wiele dobrych ludzi zamordowali potajemnie, łupiąc i wydzierając ludzkie prace, tak w nocy, jako we dnie, swobodnie, bez żadnej pomsty, gdzie wiele ubogich ludzi, prostych kmieci, przez nie wzięło wielką szkodę i, strzegąc sie ich każdej godziny, nieprześpieczni są w nocy na gardlech i na statkach swoich, gdy je w ziemi czują.★

*** O fałszywym Chrystusie.** Na początku panowania króla Zygmunta (Starego) niektórzy ziemianie i mieszczanie, jako Piotr Zatorski z Krakowa i Jakób Mielszyński, wójt z Brzezin, i drudzy, których było w liczbie trzystaście, wybrali miedzy sobą Krystusa i dwunastu apostołów, chodzili po wsiach, każąc, i cuda czynili kuglarskim obyczajem, to jest skrzysali umarłe na znowie, ryby łowili w kałuży na rozkazanie Krystusowo, wsadziwszy je tam pirwej, takież i chleby w piec miotali, a zasię w imię Krystusa wybierali³, z podziwieniem ludzi, których za nimi wiele chodziło. Gdy do Śląska szli, wstąpili do Częstochowej... Nie znano ich jeszcze. Uczynili Judasza opsesem⁴, który nakładł sobie w zanadrze kamyczków za koszulę od gołego ciała, a z wierzchu miał z sukniej lanke⁵ dwoistą, do której mógł włożyć, co trzeba, jako do kalety⁶. Wiedli tedy drudzy onego opsesa do ołtarza, aby sie

¹ mynica, myńca = pieniądz, moneta. ² byleby. ³ wyjmować. ⁴ opętany.

⁵ lnianka. ⁶ sakwy, sakiewka, torba skórzana.

ofiarował, a potem miał z niego mnich czarta wyganiać. Opierał się opsos rzekomo, nie chciał do obrazu, a gdy go gwałtem przywiedli, rzucił się na ofiarę, wydarzył się im z ręki, brał na ołtarzu pieniądze, a kładł do sowitej¹ suknie, ostatek zrzucił z ołtarza. Mnich, co miał mszą, uciekł od ołtarza, dał widzenie drugim mnichom, którzy, gdy przyszli, odpasali go, mając za to², aby w zanadra kładł pieniądze. Wypadły tedy ony kamyczki, których był za koszulę nakładł, a pieniądze zostały między sukniemi. Mniszy, zasmuceni, mając za to, aby to czart przemienił z pieniędzy kamienie, mówili długo modlitwy i egzorcyzmy nad kamykami, aby się zstały pieniędzmi, jako pierwiej były. Gdy się kamyczki nie chciały odmienić, uderzył mnich agendę³ o ziemię, rzekł: «Jeszcze na nas tak chytry czart nie przychodził, jako ten; pódźcie z nim ku wszystkim czartom, aby go osiedli: życzylibyśmy mu tego za swoje szkodę». Wyszli precz z kościoła z pieniędzmi. Chodził opsos po gospodarach, gdzie mięso ujrzał, tedy je brał, zrywał pieczenie z roznów a ciskał na swoje apostoły, a oni jedli a żegnali się z drugimi ludźmi. A tak się żywili, gdyż swojej kuchni nie mieli. Gdy było w Śląsku, przyszli do jednej ziemianki na wsi, rzekli jej: «Pani szlachetna! Nawiedza cie Krystus z apostoły swymi, ofiaruj się im». Rzekła: «Nie mam męża doma, przeto mi się nie godzi samej». Rzekli: «Masz jakie obrusy albo prześcieradła ku poświęceniu?» Rzekła: «Mam». A gdy ukazała jedno, wyjąwszy je z skrzynie, rzekli: «To my z sobą weźmiemy, abyć się przedziwo rodziło; ukaż drugie!» Rzekła: «Nie dam go wam, bo nie śmiem przed mężem». A tak oni zawinęli żagwie⁴ kęs z ogniem w ono prześcieradło, dali jej zasię. Włożyli w skrzynię. Gdy to tam tlało, zapaliła się skrzynia, a od skrzynie dom. Mąż przyjechał, dom zgorzał. Powiedziała przyczynę, «izem niewdzięcznie przyjęła Krystusa z apostołami jego, przeto na mie tę plagę przypuścił». Rzekł mąż: «Łotrci to jakiś był, a nie Krystus». Pytał drugich sąsiad: «Gdzie się obrócili?» Powiedzieli: «Ku Polsce»⁵. Zebrali się wszyscy, szli po nich. Obaczył Krystus, rzekł swoim: «Pietrze, już się moja męka przybliża». Piotr rzekł: «I moja też z tobą, Panie!» Rzekł Krystus: «Pietrze, niełzać mnie, jedno oknem»⁶. Rzekł Piotr: «Panie, ja ciebie nie stanę⁷, pókim żyw». A gdy je chłopci oskoczyli w jednym domu, dotłukli im kijem w okniech. Wrócili się z guzy do domów, dalej nie chcieli chodzić po tej świąci, mówiąc: «Trudno nam wytrzymać Krystusową mękę i apostołskie przygody». Kłął je biskup o to, ale mu powiedzieli, iż już za to ciężką pokutę przyjęli, gdy im kijem doprano: «przeto prosim o rozgrzeszenie». I byli rozgrzeszeni, a polepszyli się. Tegoć w żadnych kronikach niemasz, tylkom to słuchał od ojca swego, który wszystkie dobrze znał i widał, co czynili. Aleć tego więcej było, niżli tu piszę: zdawna frantowie na świecie! *

*** Śmierć i pogrzeb Zygmunta Starego.** Lata 1547 Zygmunt, król polski, sjiem⁸ walny w Piotrkowie na pany i rycerstwo Korony polskiej przez listy, jako jest obyczaj, na św. Marcin położył, na którym, postanowiwszy Rzezczypospolitej sprawy wszelakie około praw, obrony i inych rzeczy, których potrzebuje zawždy rzecz pospolita w Koronie tej, będąc w zesłych leciech żywota swego, wpadł w ciężką chorobę, w której, już napoły martwy będąc, przywiezion z Piotrkowa do Krakowa, miesiąca lutego lata Pańskiego 1548,

¹ podwójny. ² mniemając. ³ księga kościelna. ⁴ żagiew = rzecz palna, np. próchno, hubka. ⁵ Polska = Wielkopolska. ⁶ nie mogę inaczej uciec, tylko oknem. ⁷ nie opuszczę. ⁸ sejm.

przyjawszy Pańskie Świątości, jako prawy krześcijański człowiek, w święto chwalebne wielkonocne Zmartwychwstania Pańskiego z światem się rozdzielili, z wielką skruchą a pokorą na zamku krakowskim. Aczby tu wypisał jego zachowanie albo obyczaje żywota jego prawie świętego, któremi się sprawował, będąc na stolcu królewskim, zda mi się, iż nie trzeba, gdyż się samy jawnie w kronice jego żywota dobrze okazują; nadto jeszcze dosyć dobrze i szeroco wypisali je uczeni ludzie w swoich oracyjach albo kazaniu i wydali pospolitemu człowiekowi jawne, zwłaszcza Stanisław Orzechowski, który go prawie do nieba pisaniem swem postronnym ludziom wystawił; dlaczego jego śmierć nietylko nas, obywatele tej ziemi, ale i postronne ludzi krześcijańskie zasmuciła. Miał wieku swego lat 81, miesiący 2, dni 7. Pogrzeb jego był znamienicie sprawowan, jako jest u nas obyczaj królom działać. Każdy z swej ziemi chorąży z swoją chorągwią pod ziemskim herbem na koniu zbrojnym był, których było sto trzydzieści i także wiele mar pod przykryciem rozmaitych farb złotogłowów. Szły za marami napierwej trzydzieści koni królewskich pod przykryciem kitajek rozmaitej farby z herby królewskimi; po nich chorążowie ziemscy, każdy z swej ziemi, w kirysiech w żałobie, mając na chorągwiach herby rozmaite ziemskie...

Przed marami, na których ciało było królewskie, jechał Jan Tarło w zupełnym kirysie, który był Maksymilijan cesarz królowi dał, gdy byli społu w Wiedniu, mając w ręku miecz goły, także chłopiec z drzewem¹. Przed marami szli posłowie ziemscy. Niesiono też przed marami królewskie sceptra²: niósł miecz Zygmunt Wolski, jabłko — Tęczyński, marszałek nadworny, sceptrum³ — Jan z Tarnowa, kasztelan krakowski. Ciało za nimi nieśli dworzanie z wielkością świec lanych. Za ciałem szedł król między posłem cesarskim i króla rzymskiego Ferdynanda; za nim szła królowa, matka jego, między książytką pruską a margrubicem. Przyprawdzili ciało do kaplice i składziono sceptra na marach; złożywszy ciało nadół pod kaplicę, łąże zasię sprawą⁴ odeszli na zamek.

Nazajutrz, w piątek, ci wszyscy obchody w mieście czynili w sześci kościelech ze wszystkimi procesyjami, położywszy sceptra królewskie na marach, naprzód u Wszech Świętych, gdzie miał mszą biskup kamieniecki, wtóra u św. Franciszka, gdzie śpiewał mszą biskup chełmiński, trzecia u św. Anny, tam śpiewał mszą biskup przemyski, czwarta u św. Szczepana, śpiewał mszą biskup płocki, piąta w rynku u Panny Maryjej, tam śpiewał mszą biskup poznański, szóstą u św. Trójce śpiewał mszą sufragana.

W sobotę zasię na zamku arcybiskup gnieźnieński mszą miał; służyli mu biskup i opaci wszyscy, po Ewangelijej biskup krakowski Samuel Maciejowski dosyć dobre i długie kazanie uczynił o jego świętobliwym żywocie. A gdy pacierz śpiewano we mszy, Jan Tarło we zbroi i chłopiec, który drzewo nosił, do kościoła wjechali, obtykawszy hełm i iną zbroję świeczkami. Gdy śpiewano *Agnus*⁵, panowie mianowani sceptra albo ornamenta (który co nosił) na ołtarzu spokładali; król August niósł hełm, książe — tarczę, margrubic — miecz, cieszyńskie książe — drzewo: to przed wielkim ołtarzem o ziemię uderzyli i drzewo łamali. Wtenczas ten kirysnik z konia spadł przy marach; kanclerz i podkanclerzy pieczęci króla umarłego potłukli, a insze im na to miejsce dano od króla młodego. Po wykonaniu tych

¹ włócznia. ² oznaki. ³ berło. ⁴ w tym samym porządku. ⁵ Agnus Dei = Baranek Boży.

spraw wyszli z kościoła takową sprawą. Nazajutrz też w niedzielę mieścianie krakowscy u Panny Maryjej w rynku znowu swoje obchody czynili dosyć żalobliwe i nabożne przy mszy, w której biskup przemyski Panu Bogu służył. Był ten pogrzeb nazajutrz po św. Jakubie, we czwartek, lata od Narodzenia Pańskiego 1548, dnia 26 miesiąca lipca.*

Część *Kroniki Świata*, zawierającą w sobie dzieje Polski, wydał ponownie, wygładziwszy język, uzupełniwszy ją dziejami lat ostatnich i starrannie oczyściwszy z tendencji protestanckiej, która stanowi jedną ze znamiennych cech *Kroniki Świata*, syn autora, **Joachim Bielski**, w roku 1597. Był to nietylko w XVII, ale jeszcze w XVIII wieku, popularny podręcznik historii ojczystej.

38. Uzupełnieniem *Kroniki świata* jest poniekąd niewielka książka p. t. *Sprawa rycerska według postępków i zachowania starego obyczaju rzymskiego, greckiego, macedońskiego i innych narodów pierwszego i niniejszego wieku, tak pogańska, jako i krześcijańska, z rozmaitych ksiąg wypisana, ku czytaniu i nauce ludziom rycerskim pożyteczna* (1569). Opowiada tu Bielski o sztuce wojskowej u starożytnych Greków i Rzymian, w Turcji i w Moskwie, u Tatarów i Wołochów, wreszcie — w Polsce. Napisał to dzieło w tym celu, aby przekonać szlachtę, rozkochaną w zacisznem życiu na wsi i stroniącą od rzemiosła rycerskiego, że to tylko państwo może być spokojne i potężne, które ma dzielne i dobrze wyćwiczone wojsko; że naród, w którym duch rycerski zamiera, prędzej czy później zginąć musi; a ponieważ w społeczeństwie polskiem zamierał właśnie, dzięki długiemu pokojowi za Zygmunta Augusta, duch rycerski, więc Bielski pragnął go wskrzesić i, drżąc o przyszłość ojczyzny, zaklinał szlachtę, żeby nie zaniedbywała rzemiosła rycerskiego i nie ufała nazbyt pokojowi, żeby pamiętała, iż samych wrogów ma naokoło siebie: «Temu każdy może rozumieć, iż my, w tych krainach będąc prawie w pośrodku¹ wielkich monarchów świata, w pokoju być długo nie możemy; bo ci mocarze na tem zawždy są, aby przyczyniali swoich dzierżaw, a nigdy nie umniejszali: uchodzisz-li² jednego, rozgniewasz drugiego; uchodzisz-li wszystkie, najdzie lada przyczynę złamania przymierza... Cóż tedy mamy czynić?... Opuściwszy wczesności domowe i gospodarstwa zbytnie i swary o wiarę niepotrzebne, obronę taką stanowić, któraby była pożyteczna Rzeczypospolitej, pamiętając na to, iż lepiej poczeiwie umrzeć, broniący gardła swego, żon, dzieci i wszystkiej majątności, niżliby miał doma czekać hańbiej a mizernej śmierci».

Ten sam niepokój o przyszłość Polski widnieje i w trzech satyrach; pisał je Bielski w latach 1566—1569, ale ich drukiem nie ogłosił; wydał je dopiero jego syn Joachim, już po śmierci ojca: *Sen majowy pod gajem zielonym jednego pustelnika* (1586); *Sjem³ niewieści* (1586); *Rozmowa nowych proroków, dwu baranów o jednej głowie, starych obywatelów krakowskich, o przemienności niniejszego wieku naprzeciw staremu w porządkach, w obyczajach i w sprawach ludzkich* (1587). Satyra pierwsza ma postać widzenia sennego: pewien pustelnik (sam autor), chodząc sobie w maju po dąbrowie, rozmyślał nad tem, co się dzieje na świecie; poczem zasnął i we śnie widział, pomiędzy innemi, różne nieszczęścia, godzące w Polskę. Satyra trzecia ma

¹ w samym środku. ² ulagodzić. ³ sejm.

postać rozmowy pomiędzy dwoma kamiennymi baranami — na dachu starej kamienicy w Krakowie (na rogu rynku i ulicy św. Anny). Druga jest wolnem naśladowaniem satyry łacińskiej wielkiego humanisty holenderskiego Erazma z Rotterdamu p. t. *Sejtnik czyli rada kobiet*, tylko że Erazm ośmiesza gadulstwo i kłótniwość kobiet, a Bielski piętnuje brak patryjotyzmu u mężczyzn-Polaków: ponieważ ci myślą tylko o sobie i unikają rzemiosła rycerskiego, więc zbierają się kobiety, radzą o zbawieniu ojczyzny i oświadczają gotowość walki za nią. Ale bo też Bielski, który sam za młodu walczył za ojczyznę, z bólem serca patrzył na jakąś dziwną obojętność szlachty względem własnego kraju: «Smoleńsk wzięto, — a wždy ich to najmniej nie ruszy, — Śląsko dawno odpadło, a wždy na to głuszy; — Tatarzyn ruskie ziemie częstokroć plondruje, — a przedsię przeciwko im nikt się nie gotuje». Nadto wyrzuca Bielski szlachcie niezgodę, łakomstwo, zbytki, ucisk ludu wiejskiego, słowem, powstaje na to samo, co Rej. Ale kiedy Rej milczy o *m i e s z c z a n a c h*, Bielski rozwodzi się nad nimi szeroko: mieszkając przez dłuższy czas w Krakowie, poznał doskonale życie miejskie, widział na własne oczy nadużycia cechów rzemieślniczych, zdzierstwo kupców i przekupniów — i wszystko to opisał w *Rozmowie baranów*. Oto np. obrazek rynku krakowskiego.

Pójdiesz-li też do owej pięknej Sukiennice,
Tam też prędko wywrócą twój mieszek na nice...
Bo najdzie w Sukiennicach takowego nogcia¹:
Mierzając, sukno wyciąga, — zginą go dwa łokcia.
Pójdiesz-li też przez owy i tam i sam Krzyże²,
Ali woła kramarka: «Kupcie, panie, bryże³!...
«Mam też pytel do młyna, mam prawe galery⁴,
«Które inaczej nie dam, — po cztery talery!»
Ale ja wam powiadam, słuchajcie mnie, dziatki,
Na wasze to pieniądze zastawiono siatki!...
Owy zaś Smatruzianki⁵, co wlażyły wysoko,
Jako lupią lada zacz⁶, widzimy na oko:
Zamsz⁷ sprzedają skopowy, cośmy leszem zwali,
Za trzy grosze takową skórę pierwej brali,
A dzisiaj za piętnaście takowej nie pytaj,
Jedno, jako ona chce, za mieszek się chwytajl!
Skóry z cielców wyprawia, a rzeką «Jelenie!»
Nie dbają nic na Boga, o duszne zbawienie.
Nuż zaśle ony baby, co siedzą na trece⁸,
Jeśli z niemi targujesz, zabająć kalecie!⁹
Bo nic nigdy nie robi, nad węglem się piecze,
To sie baba czerwieni, dobrze¹⁰ sie nie wściecze.
Takież i owy szwaczki, co nam szyją worki,
Umieją też wypróżnić młodym ludziom worki.

¹ nogieć = lotr. ² Krzyże = kramy w Sukiennicach, podtrzymywane złożonymi na krzyż drewnkami. ³ bryż, bryże = ozdoby na sukni kobiecej: hafty, koronki i t. p. ⁴ galer = kapelusz włoski. ⁵ Smatruz był to rozległy gmach murowany nad Sukiennicami, w którym przekupki (Smatruzianki) sprzedawały rozmaite towary. ⁶ jak zdzierają za byle co. ⁷ zamsz, lesz = skórka miękko wyprawiona. ⁸ tret = deptak; rynek. ⁹ zaśpiewają twojej sakiewce. ¹⁰ o mało.

. Idź do paniej Marty:
Nie da, jedno pięć groszy złego wina kwarty...
Pójdiesz-li też pod Wieniec gdzie do paniej Haski,
Zjesz wątróbkę cielecą, przyplacisz małmazki¹:
Po siedmi groszy kwartę sobie ustawili,
Którą pierwszej w Mynicy² po dwu groszu pili...
Gdzie sie kolwiek obrócisz, chcesz poczynąć hojnie,
Pójdiesz ze czczą kaletą, jakoby po wojnie.

Te i tym podobne szczegóły z życia miejskiego należą do wyjątków w literaturze XVI wieku, która odzwierciedla prawie wyłącznie życie szlachty, nie troszcząc się o mieszczan. Ogół szlachty nie lubił miast i gardził mieszczanami; Bielski — inaczej: on życie miejskie wolał od wiejskiego, z niejednym mieszczaninem żył w przyjaźni, a widząc, że się szlachta zanadto zasklepiała w gospodarstwie wiejskiem i odwykła od służby publicznej, mądrze doradzał, aby miast nie unikała.

39. Jeden jeszcze utwór wierszowany Bielskiego zasługuje na uwagę ze względu na swoją rzetelną wartość poetycką. Już niektórzy poeci rzymscy mieli zwyczaj zaopatrywania swoich poezyj w przemowy, ale nie do czytelnika, tylko do książki: «idź, moja książko, pomiędzy ludzi, nie bój się, będą cię ludzie czytali» i t. p. Od czasów starożytnych przejęli ten zwyczaj humaniści. Otóż Bielski wpadł na szczęśliwy pomysł przetworzenia przemowy autora do książki na rozmowę autora z książką: rozmowę tę umieścił na czele swego (bardzo lichego) utworu dramatycznego p. t. *Komedyja Justyna i Konstancyjej* (1557). Rozmowę zaczyna «mistrz» (t. j. autor):

Idźcie na świat, moje książki,
Przedajcie się za pieniądze...
Idźcie, idźcie w cudze kraje,
Bo nam wiewa nie dostaje...
Idźcież w imie boże śmieie,
Wszak swe macie przywieje...
Nic doma nie wyleżycie,
Nie dajcie się czytać skrycie.

Jawnie każdemu powiedzcie:
Wszyscy ludzie świata! wiedzcie,
Który pismo waży lekce,
Czytających słuchać nie chce,
Jest podobien ku głuchowi
I niememu dobytkowi.
A kto sie kocha w czytaniu,
Bywa z Duchem³ w rozmawianiu.

Na to mówią «książki ku mistrzowi»:

Ach, mój mistrzu, wielkie to jest brzemie
Iść prześpiecznie⁴ między ludzkie plemię;
Ano w ludziach różne obyczaje:
Jeden chwali, a drugi nałaje...
Trudno naleźć ze wszytkiem człowieika,
Co we wszytko ugodzi zdaleka,
Coby każdej rzeczy wyrozumiał,
A rozsądek rzeczy dawać umiał.

Lecz mistrz nie ustępuje: «sroka gdy głodna szcziebiece, wszytki strachy precz odmiece,... wilk na miejscu nie utyje, choć wie, iż nań czynią kije»;

¹ słodkie wino greckie lub włoskie. ² restauracja około mennicy. ³ t. j. z Duchem Świętym. ⁴ niebacznie.

trudna rada, musicie się przygotować na złe języki ludzkie; zresztą, jeżeli będziecie ostrożne, «snadnie wam dudka ominąć», więc już «w imię boże idźcie». Dobre książki miękną: «jeśli swój pożytek baczysz, pójdziem wszędzie, gdzie rozkazać raczysz»; ale powiedz nam: «co dolega ciębie?» Na to mistrz:

Zaż nie wiecie w każdym domu
Trzeba statków, trzeba plonu,
Trzeba na żonę, na dzieci,
Przeto z mieszka grosz wyleci.
Zapłać dziewczkom, zapłać chłopom:
Niesporo w stodole snopom¹,
Bo się do tych ubiegamy,
Kiedy mieszki próżne mamy.
A gdy zasię nie dostanie,
Będzie żonki narzekanie:
«Aniś ty mistrz, ni bakalarz,
Ani kapłan, ni gospodarz.
Wszystko nad księgami leżysz,
Do roboty nie dobieżysz;
Ani ze psy, ani z ptaki!

Nie chcę cię mieć między żaki
Ani też między doktory:
Pódź z widłami do obory,
Boć lepak² księgi popalę,
Swoje imienie oddalę³.
Musisz ciężko ruchać nogą,
Boś mi wziął w kuczę⁴ uboga.
Nie zasiali jeszcze chlopi,
O dziesięcinę klną popi:
Tobieby to o tem chodzić,
Jakoby to postanowić.
Czasem się z tego wyśmiewam,
Czasem się też i rozgniewam,
Czasem się też z nią wdam w rzecz,⁵
Czasem też od niej idę precz.

Książki.

Dobrze, mistrzu, w ty rzeczy ugadzasz,
Iż swą żonę rozumem uchadzasz,
Jako jakie kuropatwy, króćisz⁷.

Nas też wszędzie, kędy chcesz, obrócisz.
Lecz nie wiemy, gdzie iść pirwej mamy:
Wstyd nas będzie za swe tanie kramy⁸.

Mistrz.

Idźcie naprzód ku królowi,
Ku jego Majestatowi.
Toć jest przełożony wielki,
Dawa mu cześć człowiek wszelki.
A jest człowiek jeszcze młody,
Ktemu nadobnej urody,
Wdzięczny, miły, bogobojny,
Swoim służebnikom hojny...
Powiedzcie mu: «Królu miły,
My cię, książki, nawiedziły.
Posłał nas mistrz sobie kwoli,
Bo mu nie dostało soli,
Nie dostało wiele rzeczy,
Których nie miewał na pieczy.
Już się zstarzał, piórem płużąc,
Rzeczypospolitej służąc.
Jeszcze od swoich młodych lat

Pisał wszem polskie rzeczy rad.
On się na to pirwej⁹ obrał —
Drogę impresorom¹⁰ podał
Pisma polskie imprymować...¹¹
Pójdziecie potem do Rusi,
Boć wždy swe¹² nawiedzić musi,
Zwłaszcza do ziemie przemyskiej,
Ślachty zdawna towarzyskiej.
Tamem się chował z młodych lat,
Každy mi się zachował rad...
A gdy będziecie w Mazoszu,
Przedajcie się po dwu groszu,
Bo tam ziemia barzo ludna,
Pani gładka, panna cudna.
Przeto niedarowne¹³ wdowy:
Nie da wołu, ani krowy;
Często na biesiadach siedzą,

¹ t. j. trzeba będzie zboże omlócić i sprzedać. ² bo inaczej. ³ t. j. odbiorę ci swój posag. ⁴ kucza = buda, chata. ⁵ to już twoja głowa, jak to urządzić. ⁶ wdam się w rozmowę. ⁷ poskramiać. ⁸ za małą cenę. ⁹ już dawno. ¹⁰ drukarz ¹¹ drukować. ¹² swoich (krewnych i znajomych). ¹³ niehojny, skąpy.

Wszystko sami spiją, zjedzą.
Lecz dobry obyczaj mają:
Radzi po polsku czytają.
Potem do Polski¹ pójdziecie,
Swoim się ofiarujecie.
Bo tam rodziny dosyć mam,
Co przemożę, to im rozdám
Was, swojej prace książeczki,

Za jedny² upomineczki.
Nie mamci skarbów myślistwa,
Ani z kupy towarzystwa.
Toć są moje krotofile —
Jedny z przodku, drugie w tyle:³
Książki a papieru karta,
Miasto wyżełka a charta.
Przyjmicie za dobre⁴.

Ten pomysł rozmowy autora z książkami przetrwał długo w literaturze polskiej, czego dowodem *Pierwiosnek* Mickiewicza.

40. *Kronika świata* Bielskiego, zawierająca w sobie i kronikę Polski, umożliwiła ogółowi społeczeństwa poznanie przeszłości własnego kraju; ludziom, średnio wykształconym, wystarczała zupełnie, ale humanistów razili zarówno swoją krótkością, jak naiwnością i prostotą. Obszernej i znakomitej kroniki Długosza, nie ogłoszonej drukiem, nie czytał prawie nikt; kronika Miechowity odstręczała lichym językiem łacińskim i wogóle brakiem pięknej formy. Za panowania Zygmunta Starego jeden z humanistów, kanonik krakowski **Bernard Wapowski** napisał wprawdzie poprawną łaciną kronikę polską, lecz umarł, nie ogłosivszy jej drukiem. Tymczasem oświecone warstwy społeczeństwa pragnęły koniecznie mieć książkę, któraby nietylko była dokładnym obrazem przeszłości narodowej, ale nadto odznaczała się powabem i wdziękiem opowiadania; niedosyć na tem: marzyły o tem, aby się i cudzoziemcy raz przeciw dowiedzieli, jak wielka i sławna jest przeszłość Polski; rozumie się, że taką książkę trzeba było napisać po łacinie, inaczej bowiem czytaliby ją tylko Polacy. Otóż to marzenie humanistów polskich spełnił mieszczanin z Biecza (na Podgórzu karpackim), biskup warmiński **Marcin Kromer** (1512—1589), człowiek rozległej wiedzy, którą zawdzięczał głównie uniwersytetom włoskim, znakomity humanista, znający obydwaj języki starożytne, mąż stanu, któremu Zygmunt August niejednokrotnie powierzał ważne sprawy państwowe. Był to gorliwy katolik, który reformację poczytywał za najgorszą plagę dla Polski i całego świata, to też walczył nauką Lutra w czterech śliczną polszczyzną napisanych *Rozmowach dworzana z mnichem* (1551—4) i w całym szeregu uczonych pism łacińskich. Poczytując stan kapłański za święty, dumny był, że sam jest księdzem, ale też z bólem serca patrzył na zepsucie księży katolickich, podkopujące powagę Kościoła, i, jak mógł, tak walczył z niemoralnością duchowieństwa nietylko słowem i piórem, ale, jako biskup, i czynem. A jak w historii Kościoła polskiego, tak i w dziejach literatury i oświaty wślawił Kromer swe imię: jego księga *De origine et rebus gestis Polonorum* 1555, (*O pochodzeniu i czynach Polaków*), doprowadzająca historję Polski do śmierci Aleksandra, to wprawdzie tylko przeróbka Długosza i Wapowskiego, ale jest pierwszą u nas kroniką, napisaną pięknym językiem łacińskim, stylem ozdobnym i powabnym, poważnym i wymownym, i zarazem książką, z której się całe pokolenia uczyły historii ojczystej. (Na początku XVII w. przetłumaczył ją na język polski Marcin Błażowski).

Prawda, że nie wszyscy byli zadowoleni z tej kroniki. Duchowieństwo

¹ t. j. do Wielkopolski. ² za jedyne upominki, na jakie mnie stać. ³ jedyną moją przyjemnością są książki i papier do pisania, książki dalej ode mnie (gdy siedzę przy biurku i piszę), papier przede mną. ⁴ przyjmijcie chętnem sercem.

uwielbiało ją, bo Kromer na każdym kroku bronił stanu kapłańskiego i jego niezależności od władzy świeckiej. A i możnych panów chwycił autor za serce, bo gdzie tylko mógł, tam dowodził, że senat (z możnowładców złożony) najwięcej się przyczynił do szczęścia i potęgi Polski. Ale szlachta krzywiła się trochę na Kromera, że zaraz na początku kroniki zbijał ostro i przenikliwie pogląd dawnych kronikarzy, iż Słowianie pochodzą od męźnych Wandalów. Nadewszystko zaś sarkająca, że Kromer powiedział jej w swej kronice niejedną gorzką prawdę, oskarżając ją, że nie szanuje władzy ani królewskiej, ani kościelnej, że wszczynia walkę z Kościołem, że się targa na uświęcone wiekami jego prawa i przywileje, że wogóle «lekceważy boskie i ludzkie prawa» i wtrąca kraj w odmęt anarchji; posłów ziemskich nazywa Kromer «nadętymi dudkami», słowem, występuje wrogo przeciwko rządowi szlacheckim. Oto jego słowa.

*Urząd poselski tak dalece za czasem zwyczaił się, że krom¹ tych posłów ziemskich (tak ich abowiem zowią) ani żadnego sejmu sprawiedliwego by nie było, ani też pobór uchwalać, a zgoła ani prawo żadne stanowić się nie mogło;... żadnej rzeczy walnej krom pozwolenia swego ustanawiać ani królowi, ani senatowi nieradziby dopuścili i nadto króla samego we wszystkim poprawiać poważną jakąś gorliwością chcieliby. A naostatek, im dalej, barziej przyrastawają w chciwości, też i o wierze krześcijańskiej, o obrzędach i ceremoniach kościelnych przeswarzać się, a zgoła nieustanowione przyjmować, ale wymyślone prawa na kościelne dostojeństwo stanowić i wznosić rzucili się. Odżywiali tedy i tak wielką znieągła wykochnali w nich śmiałość częścią królowie pierwszy, wiele im dopuszczając, lub to dla podratowania wypróżnionego skarbu swego, lub też pokojowi swemu i wczesności² zabiegając, a częścią zaś potężniejszy niektórzy i niepokojni senatorowie bez przestanku ich sobie zniewalać bankietami i tajnym datkiem na swą stronę zaciągając i, kędy się im upodobywało, nawodzić, a zgoła właściwie jakoby dudki jakie (gdyż tak z nich niektórzy przesydzają zwykli) nadymać ich poczęli, — a to względem tego, żeby abo przysłużyć się, abo też zaszkadzać mogli królowi, abo też więcej dlatego, żeby abo potęgę swą zmocnili, przeciwniki przekonywali lub nad nimi zemścili się, abo, naostatek, żeby, podnaprawiwszy³ ich, wszystkiego dokazali, o co jawnie sami przez się pokuszać się nie śmieli, abo więc dowieść nie mogli. Zdrować to, zaprawdę, i zbawienna rzecz jest w królestwie czułym być stróżem pospolitej wolności, a wszakże pilnie a pilnie przestrzegać tego potrzeba, aby, co dla pożytku zdrowego Rzeczypospolitej dozorny porządek wynalazł, tego bezprawne używanie w zagubę koronną nie przewierznęło. Zaczem obawiać się potrzeba, aby niepomierna władza ona i na rozpustę zanoszająca się wolność, nie tak dalece zdrowia pospolitego przestrzegając, jako podobno jednej osoby jakiej prywacie lub też kilku pożądlivej chciwości,... podeptawszy i z gruntu wywróciwszy dostojną zwierzchność królewską i zaraz⁴ powagę senatorską, — wielkiego Rzeczypospolitej zamieszania nie wewlokła... abo też więc uciążliwem i okrutnem tyranstwem nie skończyła się... Tak właśnie Rzeczypospolita rzymska, znamienita niekiedy⁵ i w ozdobie kwitnąca, wyuzdaną żarliwością trybunarów⁶ tłuczona, naprzód w nieznośną

¹ bez. ² wolny czas, wygoda. ³ przekupywać. ⁴ zarazem, jednocześnie.
⁵ niegdyś. ⁶ trybun (posłowie ziemscy w Polsce lubili się porównywać z trybunami rzymskimi).

rozpuszę pospólstwa swawolnego wywarła się była, a potem rozerwaniem i wojną domową nadkołatana, gdy pod władzą kilku osób i wnet zatem pod jednego tyrańskie panowanie zapadła, natychmiast szlachtę wygubiwszy, zwierzchność senatorską zrzuciwszy, a wolność pospolitą zatłumiwszy, wszelakimi kłopotami domowymi równie, jak i postronnemi, utrektana¹, aż naostatek, nawałnością srogich poganów z gruntu obwalona, upadła».★

Mądre te słowa, świadczące o niemałej przenikliwości umysłu Kromera, nie podobały się szlachcie, raz dlatego, że prawda w oczy kole, a drugi raz, że, dumna ze swoich posłów, ani nawet przeczuwała, że Kromer ma słusność, że się jego smutne przewidywania sprawdzają. Co jeszcze gniewało szlachtę, to, że się Kromer, którego matka była wprawdzie szlachcianką, ale ojciec mieszczaninem, odzywa w swej kronice ze współczuciem, czasem nawet z uznaniem, o mieszczanach i chłopach, których szlachta coraz to silniej dusiła. Nie szczędzono więc Kromerowi przycinków, a jednak czytano go chciwie: mogła się szlachta nie wiedzieć jak oburzać na Kromera, ale za jedno musiała mu być i rzeczywiście była szczerze wdzięczna: oto ten mieszczanin, wróg rządów szlacheckich, napisał dzieło, które czytali i cudzoziemcy (przetłumaczono je nawet na język niemiecki), a to schlebiali dumie narodowej szlachty. Kromer — mówi współczesny mu Stanisław Orzechowski — «objawił nas światu; co za lud jesteśmy, ludziom obcym ukazał: mniemali przedtem postronni ludzie, aby Polonia była miastem jakiegoś, tak jako jest Bolonia we Włoszech miastem jedno... Oświecił nas Pan Bóg Kromerowem piórem, zalecił nas obcym krajom, tak że nas dziś ludzie nie mają za sprosne, i niewyćwiczone, jako przedtem nas mieli, ale nas kładą między ludźmi, wybornymi rozumy, obyczajami i naukami w Kościele bożym». A wyrazem wdzięczności za te zasługi było publiczne podziękowanie, wyrażone Kromerowi (za powodem króla Stefana) przez cały sejm, t. j. nie tylko przez możnowładców, ale i przez posłów ziemskich: zapomniano o wszystkim, to tylko mając we wdzięcznej pamięci, że kronika jego szerzyła po świecie sławę imienia państwa polskiego.

41. Uzupełnieniem kroniki, «kluczem do pełniejszego i trafniejszego zrozumienia historii» (jak mówi Kromer), jest *Polonia sive de situ, populis, moribus magistratibus et republica regni Polonici, 1577 (Polska czyli o położeniu, narodach, obyczajach, urzędach i rzeczy pospolitej Królestwa Polskiego)*. Dziełko to, równie jak kronika, napisane po łacinie, jest niezmiernie cenne i ciekawe: ziemia polska i jej natura (klimat, zwierzęta, rośliny, bogactwa kopalne), mieszkańcy wsi i miast, ich zajęcia, obyczaje, cywilizacja, charakter; ustrój Rzeczypospolitej: król, senat, urzędy koronne, ziemskie i nadworne; sądownictwo, podatki i wojsko; sejmy, duchowieństwo — oto przedmiot tej krótkiej encyklopedji wiadomości, niezbędnej dla każdego, kto chciał wyrobić sobie pojęcie o ziemi polskiej i o państwie polskiem XVI w. Zwłaszcza cudzoziemcy, rzeczy polskich nieświadomi, wiele się z tej książki nauczyć mogli: to też, kiedy wjeżdżał do Polski Henryk Walezjusz, wręczono mu na prośbę Kromera rękopis *Polski*. A dowodem zaciekawienia się tą książką są jej przekłady na język niemiecki i hiszpański. Na język polski przełożył *Polskę* Syrokomla, ale bardzo niedokładnie.

¹ karać, dręczyć.

*** Polowanie na żubra.** Warto wiedzieć, jak to u nas polują na żubry, kiedy, odłączywszy się od stada, bujają samopas po równinach Podola. Konni myśliwcy, zbrojni w łuki i strzały, ustawiają się wkoło; jeden po drugim podjeżdża do zwierz, wypuści z łuku strzałę i, co koń wyskoczy, umyka, a za nim pędzi oszalały z bólu, ranny żubr. Tymczasem strzela drugi. Żubr porzuca pierwszego, pędzi za drugim, i tak ciągle, dopóki zwierz nie padnie od znużenia i ran. W puszczech polują z naganką: chłopci całe stado napędzą w upatrzone miejsce, zrobią zasiek, i oto żubry są ogrodzone niby płotem, — żywa noga nie ujdzie. Już zawczasu wzniesiono z balów rusztowanie i narzucono na wierzch tarcie, aby się król ze świtą i z paniami mógł bezpiecznie z wysokiego miejsca przypatrywać łowom. Myśliwi z oszczepami rozchodzą się na stanowiska. Po chwili rozlega się szczekanie psów i tętent koni: żubr, wypłoszony z zarośli, pędzi na środek ostępu, a tam za drzewami czają się myśliwi; z za drzewa wypada oszczep i rani zwierz; zwierz rozjuszony rzuca się z rogami na drzewo, a jeśli drzewo za cienkie na to, by obydwaj rogi uderzyły, wali łbem, prze cielskiem, a rogi groźnie wystają. Tego tylko czekał myśliwiec: przypada, chwytą za oszczep, tkwiący w ciele żubra, i z całej siły wbija mu go aż w jelita; żubr targa się, tańczy naokoło drzewa, a wraz z nim tańczy w kółko i myśliwy, wciąż za oszczep trzymając; psy, co większe, gryzą, aż wreszcie żubr, zdyszany i zziąpany, pada bez ducha. Biada myśliwcowi, jeśli źle trafi, albo zgola chybi: zwierz porwie go na rogi, rzuci o ziemię i nuż tratować; lecz sąsiad, co najbliższy, pędzi na pomoc, machając płachtą czerwoną, co we wściekłość wprawia żubra: porzuca więc tamtego i pędzi za tym, a ten umyka, dopada do swego drzewa, razi i dobija. *

*** Charakter, obyczaje, wychowanie i oświata Polaków.** Otwarty i czysty charakter ma Polak, — łatwiej ty go oszukasz, niżli on ciebie; drażliwy nie jest: przejednać go nietrudno; a już zaciętości albo uporu nie ma nic, owszem, łatwo go uchodzić, byleby się tylko zabrać do niego zgrabnie i łagodnie; zwłaszcza przykładami łatwo umysł Polaka wzruszyć; królowi i władzy jest umiarkowanie posłuszny; do uczynności, do ludzkości bardzo skory, a dobrotliwy i gościnnie tak, że nieznanym i cudzoziemców nietylko rad w swym domu gości, ale ich nawet do siebie zaprasza i gotów im świadczyć wszelkie usługi; wogóle w pożyciu łatwy, do przyjaźni jedyny, a do trybu życia i obyczajów tych, z którymi żyje, osobliwie cudzoziemców, nagina się z łatwością. Wychowanie młodzieży jest za mało systematyczne i nieco zaniedbane, ale to nic, bo zdolności duże. Zresztą chętnie posyłają Polacy chłopców do szkół i mistrzów, aby się od najmłodszych lat uczyli łaciny, a ćwiczą się w niej wszyscy, zarówno ubodzy, jak bogaci, zarówno szlachta, jak spólstwo, zwłaszcza miejskie; niejeden trzyma nauczyciela domowego; to też nawet we Włoszech nie znajdzie tylu, co tutaj, ludzi z gminu, z którymi się po łacinie rozmówić można. Nawet dziewczęta, czy szlachcianki, czy mieszczańki, czyto w domu, czy w klasztorze, uczą się czytać i pisać nietylko po polsku, ale i po łacinie. Dziewczęta dorastające zaprawiają się nadto do gospodarstwa: uczą się gotować, chodzą około bydła, przędą wełnę i len, tkają, haftują. Młodzieńcy zaś poświęcają się rolnictwu albo rzemiosłu, albo handlowi, albo też, w pogoni za karierą, odbywają służbę na dworach dostojników, możnych panów lub zamożniejszych du-

chownych; lecz wielu też siedzi z rodzicami w domu i pomaga im do gospodarstwa, a po śmierci obejmują dziedzictwo i sami już gospodarują. Wielu też chętnie wyjeżdża zagranicę, nieczuli na uszczuplenie majątku, znosząc nawet niedostatek i inne niewygody, jakie pociągają za sobą podróże, bo przekładają to, co cudze, nad to, co swoje. Uczą się więc chciwie i łatwo języków tych narodów, u których goszczą; niedosyć na tem; przejmują zagranicą różne nowomodne zwyczaje, czyto w jedzeniu, czy w stroju, i za powrotem szukają chluby z tej swojej wytworności; ta zaś pochopność do wszelkich nowinek rozciągnęła się nawet na poglądy religijne. A mają Polacy umysły pojętne i dające sobie radę ze wszystkim, czego się tylko tkną, tylko że wolą przyswajać sobie cudze wynalazki, niż samemu coś wymyślić i zasłynąć jakimś nowem odkryciem; a płynie to czy stąd, że się niechętnie poświęcają jednej jakiejś specjalności, lecz pragną umieć wiele, czy też stąd, że nie umieją przezwyciężyć swej opieszałości, lenistwa i właściwego sobie pod wielu względami lęku do systematycznej pracy... czy wreszcie stąd, że bogatsi wolą używać wczasów i oddawać się rozkoszom, pozostawiając biedniejszym kształcenie umysłu i przemysłności¹.★

42. Żywy ruch religijny, jaki ogarnął Polskę XVI wieku, przyczynił się nie tylko do rozwoju umysłowego wielu jednostek, ale i do uszlachetnienia ich uczuć, do przejęcia się zasadami moralności chrześcijańskiej. Jednym z najlepszych i najpiękniejszych tego objawów jest znakomite dzieło łacińskie *O naprawie Rzeczypospolitej*, którego autorem **Andrzej Frycz Modrzewski** z Wolborza (1503—1572), głęboki umysł i serce gorące, najgorliwszy u nas w XVI wieku rzecznik sprawiedliwości chrześcijańskiej, najżarliwszy obrońca chłopów i mieszczan, zaszczyt i chluba myśli polskiej XVI wieku i jeden z najszlachetniejszych pisarzy w całej ówczesnej Europie. Swoją szeroką wiedzę zawdzięcza długoletnim studjom, najpierw w Akademji Krakowskiej, a później w Niemczech (w Witemberdze i Norymberdze), gdzie, oprócz literatury starożytnej, studjował filozofję i teologję. Pomimo uwielbienia dla mądrości starożytnej, nie przejął się duchem pogaństwa: przez całe swoje życie był gorliwym wyznawcą Jezusa Chrystusa, którego naukę poczytywał za najwyższą mądrość i za największe szczęście dla ludzkości. A pomimo to posądzali go niektórzy, np. Hozjusz, że «się zaparł Chrystusa». Tłumaczy to się tem, że Modrzewski, zatopiony w badaniach teologicznych, pragnął przekształcić nie tylko ustrój Kościoła katolickiego, ale i jego naukę, że, dążąc zawsze do pokoju i zgody, usiłował w pismach swoich pogodzić katolicyzm z protestantyzmem i że się z biegiem czasu coraz to więcej oddalał od katolicyzmu. Otóż to zbudziło w duchowieństwie niechęć i nienawiść ku niemu, ściągnęło nań nawet prześladowania, tak dalece, że się pod koniec życia musiał tulać po ludziach i szukać u nich bezpiecznego schronienia. A prócz krzywdy, jaka mu się działa od duchowieństwa, była jeszcze inna, o wiele ważniejsza przyczyna jego cierpienia: oto sam z sobą nie mógł dojść do ładu, bo taką miał już naturę. Będąc człowiekiem głęboko religijnym, chciał sobie nie tylko wyjaśnić, ale i wyrozumować przekazane przez tradycję dogmaty wiary chrześcijańskiej, chciał nie tylko wierzyć, ale wiedzieć napewno; a tymczasem rozum raz po raz

¹ Przekład autora tej książki.

wymawiał mu posłuszeństwo; i to go właśnie tak męczyło. Ale i to jeszcze nie wszystko. Mogły Modrzewskiego nawiedzać różne wątpliwości o prawdziwości tego lub innego dogmatu, ale o tem, że moralność chrześcijańska jest jedyną prawdziwą moralnością, że nauka Jezusa Chrystusa o miłości bliźniego jest najświętszą ze wszystkich świętych nauk, nie wątpił nigdy: cóż z tego, kiedy widział, jak w jego własnej ojczyźnie ludzie gwałcą i depcą tę miłość, jak mianowicie szlachta uciska chłopów i mieszczan. I to mu raniło serce. A że miał ogromną odwagę cywilną, że ojczyznę swoją kochał tak gorąco i tak rozumnie, jak mało kto w XVI wieku, więc głośno występował w obronie uciskanych braci w Chrystusie, i groził tym, którzy ich uciskają, pomstą bożą. I za to właśnie posądzono go... o brak miłości ku ojczyźnie! Na jego mądrości i szlachetności poznały się tylko wybilne jednostki, np. Zygmunt Stary, Zygmunt August, hetman Tarnowski, ale ogół nie mógł mu darować, że śmiało uczył, iż mieszczanin i chłop jest ulepiony z tej samej gliny, co szlachcic.

Wogóle Modrzewski to jedna z największych piękności moralnych, jakimi się szczyci dawna Polska. Wyjątkowo bezinteresowny, nic a nic nie zazdrosny, nie myślał nigdy ani o karierze, ani o zaszczytach, ani o majątku, wołał przez całe życie biedę klepać, aniżeli czapkować możnym tego świata; miał świadomość i swojej rozległej wiedzy, i swojej nadzwyczajnej pracowitości (mimo słabego zdrowia), i wogóle swojej wartości moralnej, ale nie unosił się pychą, ani nawet zarozumiałością; przeciwnie, zdobyła go wręcz wyjątkowa u humanistów skromność; krzywdy, jakich doznawał od ludzi, nie napępiała mu serca pragnieniem zemsty, ani nieważnością: wybaczal im, jak przystało na prawego chrześcijanina.

Pierwszym głosem jego rozumu i serca jest broszura łacińska, wydana w roku 1543: *Ad Serenissimum et Inclitum Regem Poloniae Sigismundum Augustum Lascius sive de poena homicidii (Do Najjaśniejszego i Przesławnego Króla Polskiego Zygmunta Augusta¹ Łaski czyli o karze mężobójstwa)*. Broszura ta ma postać mowy, włożonej w usta zmarłego w roku poprzednim Hieronima Jarosława Łaskiego, męża wysokiej nauki; jest to więc głos z za grobu, co nadaje broszurze niezwykłą powagę, głos, domagający się sprawiedliwości chrześcijańskiej dla żyjących. Za panowania Olbrachta stanęło prawo: kto zabije szlachcica, płaci 120 grzywien kary i siedzi w więzieniu rok i sześć tygodni; kto zabije chłopą, płaci kary 10 grzywien, a od więzienia jest wolny; ponieważ zaś chłop najczęściej nie był w stanie zapłacić 120 grzywien, więc za zabójstwo szlachcica płacił dożywotniemi więzieniem albo gardłem. Przeciwno temu to nieludzkiemu prawu wystąpił Modrzewski, blagając królewicza Zygmunta Augusta (a w późniejszych broszurach — senatorów, szlachtę, duchowieństwo, wreszcie cały naród polski), by zniesiono to prawo okrutne, by za mężobójstwo karano śmiercią bez względu na osobę zabójcy i zabitego. Ale był to głos wołającego na puszczy, bo tylko nieliczne jednostki przyznawały Modrzewskiemu słusność.

Głosem na puszczy była również inna broszura łacińska, z roku 1545: *Ad Senatum, equites populumque polonum oratio Philaletis Peripatetici (Do senatu, rycerstwa i narodu polskiego mowa Prawdowócy Perypatetyka²)*.

¹ Królewicz Zygmunt August koronował się na króla już w roku 1530.

² Perypatetycy — uczniowie Arystotelesa.

«Ja — tak nazywa tę broszurę Modrzewski — chociaż urodzony z rodziców szlacheckich, przecież, wiedziony niezmiernym zapalem poszukiwania prawdy, powiem to, co myślę, tak, jakbym miał mówić... w obecności Boga Najwyższego, który widzi myśli ludzkie i przenika tajemności ludzkich serc». Mowa tutaj o prawie, które zakazywało mieszczanom nabywania majątków ziemskich. Prawo to poczytuje Modrzewski za nieludzkie i okrutne: przecie i szlachta, i chłopci, i mieszczenie są krajowi zarówno pożyteczni, więc podobne prawo jest pozbawione wszelkiej podstawy i sprzeciwia się wszystkim prawom boskim i ludzkim; lepiej już obdarzyć wszystkich mieszczan szlachectwem, niż przyzwalać na taką tyranję!

Tak więc już w pierwszych pismach Modrzewskiego uwydatnia się jego zacność i szlachetność, jego poczucie sprawiedliwości i miłość chrześcijańska. Ale jeszcze wyraźniej i piękniej zajaśniała jego wspaniała dusza w znakomitem piśmie *De republica emendanda*, 1551 (*O naprawie Rzeczypospolitej*), składającym się z trzech ksiąg: *O obyczajach*, *O prawach*, *O wojnie*; do wydań późniejszych (1554, 1559) dodał Modrzewski jeszcze dwie księgi: *O Kościele* i *O szkołach*. Napisał to dzieło po łacinie, aby i cudzoziemcy mogli je czytać; i nie zawiódł się. Czytali je uczeni europejscy i podziwiali mądrość i szlachetność Polaka. Nie przesadził pewien uczony humanista włoski, mówiąc, że Modrzewski «z natchnienia boskiego napisał swe szczere nauki i upomnienia dla dobra tego złego i przewrotnego świata, z niemniejszym pożytkiem, jak to przed wiekami czynili starożytni»: w literaturze całego świata mało jest dzieł tak pięknych, tak szlachetnych, tak nawskróś ducha chrześcijańskiego pełnych. Dużo pomysłów zawdzięcza Modrzewski myślicielom starożytnym (zwłaszcza Platonowi, Arystotelesowi i Cyceronowi), oraz nowożytnym (np. Erazmowi z Rotterdamu i humaniście hiszpańskiemu Vivesowi); niem mało także korzystał z Pisma świętego; ale te trzy główne uczucia, które ożywiają dzieło: gorąca miłość Jezusa Chrystusa, ojczyzny i człowieka, stanowią jego osobistą własność.

Uczy Modrzewski, że nauka Chrystusa, rozkazująca kochać nade wszystko Boga, a bliźniego swego jak siebie samego, obowiązuje nie tylko jednostki, ale i całe społeczeństwa, całe państwa, całe narody; że jedynym celem państwa jest zapewnić wszystkim bez wyjątku mieszkańcom warunki, potrzebne do osiągnięcia szczęścia, a ponieważ niema i nie może być szczęścia bez moralności chrześcijańskiej, więc głównym zadaniem państwa jest krzewienie i utrwalanie w społeczeństwie moralności, dobrych obyczajów. Gdyby się ludzie rządili cnotą, rozumuje Modrzewski, gdyby wśród nich zakwitły dobre obyczaje, ziściłyby się słowa modlitwy, której nauczył nas Chrystus: «Przyjdź Królestwo Twoje!» Dobrze zaś obyczaje zakwitną wtedy dopiero, kiedy ludzie uwierzą mocno i głęboko, że jedna jest tylko prawda moralna na świecie: Jezus Chrystus — miłość Boga i człowieka. Otóż gorące pragnienie, aby Polska była państwem chrześcijańskim nie tylko z wiary, ale i z czynów, aby przyszło do niej Królestwo Boże — oto co jest myślą przewodnią i zarazem najwyższą pięknnością dzieła Modrzewskiego. Przez taki swój charakter jest ono wspaniałym przeciwieństwem dzieł politycznych znakomitego pisarza włoskiego, Machiavelli'ego (1469—1527), który uczył, że jedynym celem państwa jest potęga, i że wszystkie dążące do niej środki są godziwe.

Rozumiejąc, że podstawą moralności jest dobre wychowanie młodzieży,

szeroko się nad niem Modrzewski rozwodzi, nacisk szczególny kładąc na kształcenie charakteru dziecka w duchu chrześcijańskim. Ale rozumiał, że kształcenie charakteru nie wystarcza: prawdziwie moralnym może być tylko człowiek rozumny, a rozum daje nauka; stąd dobre wychowanie umysłowe jest równie ważne, jak moralne. Rej nie rozumiał tego, Modrzewski rozumie doskonale. Rej nie uznawał innych nauk, prócz nauki moralności i, co najwyżej, historii: Modrzewski oburza się na to, że «naszym dworzanom nietylko ręczne rzemiosła, ale i wolne nauki umieć zda się być rzecz bardzo chłopska, a stądże też żywą w lenistwie i niczemności, za którą idą szachy, kostki, truneczki, biesiady, gamracje¹ i insze dworne zarazy». Rej ani nawet słowem nie wspomina o szkołach: Modrzewski poświęca im całą księgę, rozumiejąc, że «szkolny stan jest nacudniejszy i rzeczami ludzkim napożyteczniejszy»; zachęca więc społeczeństwo do ofiarności na zakładanie dobrych szkół, a o nauczycielach tak mówi: «Nigdy okrom² osobliwego gryzienia na ten nieporządek patrzeć nie mogę, gdy widzę, ano mistrze szkolne prawie za nic mają, któreby jednak w tej uczciwości winni mieć, jako lekarze, prawniki i insze Rzeczypospolitej dobrze zasłużone: nie mniejszą pracę ma nauczyciel szkolny, niżli który z tych, pożytek z nich równy — albo większy; a jeśli bez tych Rzeczypospolita nie może być, a jakoż będąc onych będzie, którzy staranie mają o pomnażanie nauk, z których wiele bardzo wielkich pożytków do Rzeczypospolitej i do Zboru³ przychodzi?» Rej myślał w swej naiwności, że mądrym i krajowi pożytecznym można się stać ot tak sobie, «igrając», ucząc się piąte przez dziesiąte: Modrzewski rozumiał potrzebę nauki porządnej i systematycznej: «Wszystcy młodzieńcy, a zwłaszcza ci, którzy czasu swego mają być sługami Rzeczypospolitej, mają się o to pilnie starać, aby jeszcze razem z młodu przejmowali a w pamięć sobie brali sposób postępku w rzeczach, a ćwiczyli się, w naukach potrzebnych do spraw..., a niechaj nie mają za to⁴, aby prędkością a niejaką przyrodzoną ostrością mogła się każda sprawa odprawić, boć do sprawy... trzeba nauki».

A jak na wychowanie, tak i na obowiązki obywatela poglądy Modrzewskiego są bez porównania szersze od poglądów Reja. Rej niby to zachęca szlachcica do służby publicznej, ale, prócz godności posła, innych urzędów piastować nie radzi, bo one odbierają człowiekowi «żywoć wolny»: Modrzewski uczy, że nie wolno nikomu usuwać się od służby publicznej, bo, «ponieważ wszystkie wszystkich ludzi miłości jedna ojczyzna w sobie zamyka, tedyć onę nad wszystko trzeba przekładać i wszystkie prace dla niej mężnie i śmieło podejmować»: człowiek «sie nie sobie urodził, ale przyjaciółom, ojczyźnie i nabożeństwu albo wierze ku Bogu». Więc, kiedy Rej mówi tylko o powinnościach posła i senatora, Modrzewski wyklada obowiązki wszystkich dostojności i urzędów: zaczyna od króla, który dla wszystkich powinien być wzorem prawego chrześcijanina, potem zaś mówi szczegółowo o obowiązkach i przymiotach senatora, posła, sędziego, starosty, helmana i t. d., a oprócz urzędów, już istniejących w Polsce, pragnąłby ustanowić jeszcze kilka nowych, np. dozorców ubogich ludzi, stróżów moralności i t. p., których głównem zadaniem byłoby czuwanie nad dobrami obyczajami społeczeństwa i karanie ludzi niemoralnych, zwłaszcza próżniaków: bo póki

¹ rozpusta.

² bez.

³ Zbór = Kościół.

⁴ mniemać.

ludzie nie są jeszcze zdolni sami czuwać nad sobą, dopóty ktoś czuwać nad nimi musi, strzegąc ich obyczajów i zmuszając ich do dobrego za pomocą kar, ustanowionych przez prawa. «Gdyby stateczne wychowanie, wstyd, dobroć, cnotliwe a święte obyczaje w której Rzeczypospolitej moc miały, tedyby tam... praw nie trzeba: bo ustaw nie piszą ludziom dobrym, którzy z skromności a z obyczaju, nie z bojaźni, posłuszni są poczciwości»; ponieważ jednak ludzie są jeszcze źli, więc prawa są konieczne. A to wszystko, co Modrzewski mówi o prawach, stanowi najważniejszy pomysł i zarazem najwspanialszą ozdobę jego dzieła.

Piękna jest myśl, że bez praw nie może być prawdziwej wolności. Na czym bowiem polega prawdziwa wolność? Ogół szlachty mniemał, że na tem, aby każdy szlachcic mógł postępować tak, jak mu się podoba, bez względu na to, czy się to zgadza z prawami, czy nie: Modrzewski uczył, że prawdziwa wolność polega na «pohamowaniu ślepych a upornych i skwapliwych popędliwości serdecznych», t. j. namiętności, popychających do złego, namiętności bowiem trzymają człowieka w najcięższej niewoli; otóż prawa są właśnie na to, aby je poskramiać, to jest, wyzwalają człowieka z niewoli. Ślicznie mówi Modrzewski: «Niech żaden nie mnima, aby Bóg nie miał w sobie wolności przeto, iż nie może grzeszyć: tak też żaden się niechaj nie mnima dlatego być niewolnym, iż prawa i karania srogość odejmuje mu swowoleństwo grzeszenia».

Lecz najpiękniejszą ze wszystkich myśli Modrzewskiego jest myśl o równouprawnieniu wszystkich warstw społecznych, myśl, płynąca zarówno z poczucia miłości i sprawiedliwości chrześcijańskiej, jak z głębokiego przekonania, że takie tylko prawa są pożyteczne dla Rzeczypospolitej, które przynoszą pożytek w s z y s t k i m jej mieszkańcom; bo przecie w s z y s c y mieszkańcy przynoszą pożytek Rzeczypospolitej, która «samą tylko ślachtą kwitnąć nie może, bo a któż będzie dodawał żywności i nam i bydłu, jeśli żadnego oracza nie będzie? któż nam dodawać będzie odzienia i ubioru, jeśli nie będzie rzemieślników? któż rzeczy potrzebne będzie przewoził, jeśli żadnego kupca nie będzie? któż naostatek będzie ślachecciem, jeśli żadnego chłopu nie będzie?» A jeśli tak, jeżeli mieszczenie i chłopci są Rzeczypospolitej równie pożyteczni, jak szlachta, to Rzeczpospolita powinna dać równą opiekę mieszczenom i chłopom, jaką daje szlachcie.

Nie znaczy to jednak, żeby się Modrzewski domagał zupełnego równouprawnienia mieszczen i chłopów ze szlachtą: przeciwnie, był zdania, że rządzić Polską może tylko szlachta, t. j. że chłop nie może, na przykład, być posłem albo senatorem (chyba że przedtem, w uznaniu osobistych zasług i dobrych obyczajów, zostanie szlachcicem); pod tym względem Modrzewski, syn szlacheckiej Polski, nie wznosił się nad przesady swego wieku. Ale jest wyższy od ogółu swego społeczeństwa, kiedy się domaga równouprawnienia wszystkich warstw społecznych pod innymi względami, a przede wszystkim równouprawnienia wobec sądów, którego brak poczytywał za zbrodnię, wołającą o pomstę do Boga. Jego serce chrześcijańskie, które ukochało cały naród, krwawiło się na widok tej krzywdzącej niesprawiedliwości, jaka się w jego ukochanej ojczyźnie działa mieszczenom i chłopom, zaklinał więc szlachtę w imię miłości Boga i ojczyzny, by się opamiętała, i usiłował wpoić w nią tę śliczną prawdę, że «prawa są jakoby lekarstwo, w którego dawaniu żaden biegły lekarz na osoby nie ma baczenia: dosyć jemu jest poznać niemoc, która chorego trapi, ale na to ba-

czenia niema, jeśliże pan, czyli chłop, jeśli ślachcic, czyli nieślachcic jest ten, który leczenia potrzebuje; tymże sposobem prawa niech się w sobie mają, aby występki winnych jednakim obyczajem karały, a izby jednako o pożytku, o pokoju i o zdrowiu wszystkich radziły». A więc za jedno i to samo przestępstwo powinna być jedna i ta sama kara, bez względu na to, kto się go dopuścił, szlachcic, czy nieślachcic. «a jeśliżebym jaką różność karania stanowić miano, tedyby ciężej ci mieli być karani, którzy są na wysokich urządziech, niż podlejszego stanu ludzie, srożej bogaci, niżli ubodzy, srożej ślachcicy, niżli miejskiego albo wiejskiego stanu, srożej ci, co są na urządziech, niżli ci, co bez urzędu: bo oni, będąc i rozumem i bogactwy od Boga lepiej obdarzeni, więcej przyczyn mają, które je od występków odwodzą, a przeto ich występki cięższy jest». Za zbrodnię mężobójstwa powinna być dla wszystkich jedna kara: śmierć, bo tak sam Bóg przez Mojżesza rozkazał!

Z tego, że wszystkie warstwy społeczeństwa powinny być równouprawnione wobec sądu, wynika dalsze żądanie Modrzewskiego, aby zniesiono sądy patrymonjalne, t. j. aby odebrano panom prawo sądenia podległych im chłopów. Lecz na tem nie poprzestaje. Domaga się równouprawnienia chłopów ze szlachtą nietylko wobec sądu, ale i w zakresie prawa prywatnego, t. j. żąda, aby chłop miał swój własny kawałek ziemi, swoje własne gospodarstwo, aby był nie niewolnikiem, ale sąsiadem pana, i, co za tem idzie, aby pan nie miał prawa ani pozbawiać chłopu roli, ani też przykuwać go do niej na wieczne czasy.

Oto, czego uczył Modrzewski, jeden z najmądrszych i najszlachetniejszych nauczycieli, jakich kiedykolwiek miał naród polski. Na nieszczęście uczniowie nie odczuli piękności jego myśli: ogół szlachty nie wzniósł się do uznania tej prawdy, która dzisiaj, dla nas, jest tak jasna, jak słońce, ale która dawniej wcale jasna nie była, że chłop i szlachcic są ulepieni z tej samej gliny: «I kmiecie i insze nieślacheckiego stanu ludzie pospolicie ślachta ma za psy; stądże one nieczystych ludzi mowy: «Ktoby wieśniaka albo chłopu zabił (bo tak każdego nieślachcica zowią, choćby daleko ode wsi był), jakoby też psa zabił». To głos wyrzeczania języka godny!» Więc modlił się Modrzewski do Boga, aby zmiękczył serca Polaków i oświecił ich umysły: «Panie Boże!... Racz wszystkiemu ślacheckiemu stanowi takie serce dać, aby oni, odrzuciwszy na stronę miłość samych siebie, wszystkę Rzeczpospolitą, to jest, wszystkie ludzie, w tem społecznego życia towarzystwie z nami mieszkające miłowali, o wszystkie się starali, wszystkich gardła, pożytków i zacności bronili!»

Ale znając swoje społeczeństwo, wątpił Modrzewski, czy Bóg tej modlitwy wysłucha, wiedział, że głos jego będzie głosem wołającego na puszczy. I ta świadomość go przerażała, drżał o przyszłość swojej ukochanej ojczyzny, bo rozumiał, że na nic wszelkie reformy, póki równouprawnienia nie będzie. «Lecz to wszystko się mówi, jakoby groch na ścianę mijał; nie dbamy na tak częste uskarżania, żywiemy w wielkiem bezpieczeństwie¹, nie nas nie rusza utrapienie pospolitego człowieka,... nie nas nie rusza krew ludzi niesłusznie pobitych, która zawždy woła do nieba a płaczem niewypowiedzianym prosi pomsty i na mężobójce i na te, którzy tego prawa bronią, które podawa miecz mężobójcom za pieniądze w ręce. Dlaczego więc

¹ obojętność, gnuśność.

trzeba się obawać¹ nagłego jakiego gwałtu z nieba, aby jaka gwałtowna burza nie spadła z nieba, a naszych wszystkich i domów i narodów, a n-ostatek i samego imienia polskiego z gruntu nie wyróciła i nie potarła. Jać to mówię, jakoby wątpiąc o polepszeniu, wszakże przedsię nie już dla-tego ustanę w powinności mojej... Zaiste, trzeba się tego obawiać, aby wkrótce nie przyszedł czas, gdyby nas także wzajem sam Bóg wzgardził, a karanie za dawną krew sprawiedliwe a ciężkie przypuścił... Bo co przed-tem Bóg izraelczykom mówił, to rozumiemy, że do nas teraz mówi: «Nie będę przy was, Polacy, jeśliż z pośrodku was przekłętwa nie wyrzucicie! Woła krew braciej waszej z ziemie do mnie! Wołają dusze zabitych, abych się mścił krwie ich nad obywatelami ziemie!» A jako i to przekłętwo od-ziąć i gniew boży ubłagać mamy, uczy nas tenże sam Bóg, mówiąc: «Nie plugawcie ziemie, na której mieszkacie, na której i ja mieszkam! Przelan-kiem krwie plugawi się ziemia, a nie może być krew na niej przelana, okrom krwie tego, kto ją przelał, oczyszciona!» Z wyjątkiem Skargi, nikt w XVI wieku nie zdobył się na słowa silniejsze i groźniejsze.

Dzieło *O naprawie Rzeczypospolitej*, z wyjątkiem księgi o Kościele, przełożył dokładnie i ślicznym językiem polskim mieszczanin sieradzki **Cyprjan Bazylík**: *O poprawie Rzeczypospolitej księgi czwore: pierwsze o obyczajach, drugie o statucie, trzecie o wojnie, czwarte o szkole* (1577). Do najpiękniejszych rozdziałów należą końcowe rozdziały księgi pierwszej, o obyczajach.

*** Wychowanie chrześcijańskie.** Trzeba pacholęta uczyć, jako się prze-ciw drugim zachować mają, co winne rodzicom, co sąsiadom, co Rzeczypo-spolitej; którym sposobem towarzystwo z ludźmi i zgodę w całości zatrzy-mać, jako się mają przeciw zacniejszym stawić, jako przeciw podlejszym, przeciw sobie równym, przeciw towarzyszom, przyjacielom, krewnym i po-winowatym, przeciwko zwierzchności urzędowej, przeciwko panom, sługam i przeciwko nieprzyjacielom, tak w swoich własnych, jako też i w pospo-litych albo wszystkim spólnych potrzebach. A nawięcej wszystkim to należy, aby dziatki małe ćwiczyli w nabożeństwie a w prawdziwej ku Panu Bogu wierze, co Chrystus ukazuje słowy..., gdy każe dzieciom do siebie przyjść a im błogosławi. Trzeba tedy Chrystusa ukazować dzieciom a znajomość bożą w nie znieagła cedzić, aby wiedziały, od kogo się wszelakiego dobra spodziewać mają, za czyją się woła wszystko dzieje, kto karze złości, a kto za dobre sprawy odpłatę dawa; a przetoż trzeba je wodzić do zborów świą-tych na kazania, aby poznawały sposób chwały bożej i ceremonije święte, by sakramenta miały w uczciwości, modlitwami się bawiły i do tych się rzeczy chętnie miały, którymiby i Nawyższego Boga łaski dostąpiły i lu-dziom się upodobały. *

*** Niesprawiedliwość w Polsce.** Trafilo się w niektórym powiecie, iż dwa człowięki, jeden prostego stanu, a drugi ślacheckiego, oba bogaci i rolej mieli dosyć, ci srodze zranili jednego człowieka, acz nie tak bogatego, jako sami, ale przedsię ślachcica. Onego ranionego wzięto do balwierza², ale iż niektóre rany były w nim śmiertelne, przeto w miesiąc abo we dwa umarł. Ci, którzy go z strony powinności przyjacieliskiej nawiedzali, abo też i ci,

¹ obawiać się. ² kościoły. ³ cyrulik.

kłórcy na oglądania ran od urzędu przystąpi byli, pytali, kłóremuby z onych dwu, co go bili, większą w tem winę dawał. Odpowiedział, że ślarchcic swaru i bitwy początkiem był, ale bijąc, oba mu zarówno byli ciężcy, iż zgoła nie wiedział, od kłórego z nich szkodliwsze rany podjął. Tedy oni, pytając, dokuczali, mówiąc, iż o rany oba oni, co bili, mają być karani, ale jeśliiby z tych ran śmierć przysła, tedy jeden z nich tylko o głowę ma być obwion; bo dwa o jedno zamordowanie wedle naszych praw nie mogą być na gardle karani. Na to on raniony odpowiedział, że o swem zdrowiu zwąpiał, ale na sumnieniu swem, kłóre wrychle ma sądu bożego doznać, nie może tego u siebie pewnie postanowić, na kłóregoby wina o morderstwo kładziona być miała, gdyż od tych ran, kłóre oba jednako zadali, schodzi z tego świata. Skoro tedy on ranny umarł, wnet poczęto szukać onego prostego stanu człowieka, a gdy postawion przed sędzią, winę mu dano, a potem ji ścięto; bo statut jest, iż człowiek prostego stanu, jeśliiby ślarchcica (kłórcyby przy czyny z siebie naścia¹ nie dał) zabił albo ochromił², albo srodze zranił, da gardło. To tedy jest karanie, kłórego prostego stanu mężobójca za występpek już podjął; lecz on ślarchcic jeszcze żyw i mieszka między ludźmi!... Izali, dla Boga, ta sprawa nie jest takowa, kłóra dwu rzeczypospolitych potrzebuje dla tych dwojga rodzajów ludzi, a tak daleko od siebie oddalonych, iż z jednej do drugiej przystęp żadny nie może być, że też jedna od drugiej pomocy nie potrzebuje, że sie ich obywatele między sobą ani pojmują, ani sie znają; naostatek, że też ani wody, ani powietrza, ani słońca niema wspólnego?...

To też trzeba postanowić, aby żaden rzeczy swej sędzią być nie śmiał; bo na kłórcy sędzie trzy osoby mają być: powodowa strona, obżałowany a sędzia. Barzo tedy niesprawiedliwie czynią, kłórcy o swą rzecz ludzi, swemu panowaniu poddane, sądzą. Nie jest ona wolność, kłóra jest w uścicach u kłórego, ani umiarkowanie prawa, przez kłóre stoją dobrze postanowione Rzeczypospolite, ale jest okrutne niewolstwo, że pan przywłaszcza sobie moc nad żywotem i śmiercią sługi swego... Wszytcy na wyobrażenie boże stworzeni są... Jeśliże tedy odejmujemy kmieciom wolność pozywania panów do sędziego, odejmujemy im wszytkę wolność; jeśli panom dawamy moc sądzić je o rzecz swą, niszczy my wszytek sposób sprawiedliwego sądu, kłórcy, iż trzech osób potrzebuje, nie będzie sprawiedliwy, gdzie tenże będzie sędzią, kłórcy powodową stroną, a przeto i kmiecie i wszytcy poddani od takiego tyraństwa mieliby być wyswobodzeni...

Powiedał jednego czasu u stołu on wielce możny a sławny mąż, Jan Tarnowski, hetman polski: gdy jednego czasu jechał do Włoch przez baworską³ ziemię, chciał zstąpić do domu niekłórego ślarchcica, aby tam, w drodze sie spracowawszy (bo już noc nadchodziła), sobie odpocznął; kłórcy ślarchcic, iż natenczas żonę płodem się pracującą miał, a dom (jako to pospolicie bywa) był pełen białych głów, kłóre jej posługowały, prosił hetmana, aby do domu niekłórego jego poddanego zstąpił, chcąc mu tam wszytkiego, coby w domu miał, dostatek dać; a gdy na to Tarnowski przyzwolił, szedł on ślarchcic do kmiecia swego, a dla uczciwości zdjąwszy czapkę, prosił o nocleg hetmanowi. Było natenczas około hetmana ślarchciców polskich niemało, kłórcy, chcąc oglądać, jeśliiby w tej gospodzie wczasność⁴ mogli mieć, szli byli za onym baworskim ślarchcicem, a tak gniewali

¹ najście, napad. ² okulawić, okaleczyć. ³ Bawarja. ⁴ wczasność, wczesność = wygoda.

sie i szemrali, powiedając to być rzecz niesłuszną, aby kmieć miał tak być od pana w uczciwości mian albo proszon, któryby raczej miał być z domu wyrzucon, jeśliby czego panu, gdyby mu rozkazywał, odmówił. To pan Tarnowski z rzeczy¹ powiedział, gdy była zmianka o podatku, który naonczas nie na każdy rok na kmiecie wkładano; a potem, pochwaliwszy onę baworskiego ślarchcica ku swemu kmieciowi łaskawą skłonność, rzekł, że inaczej mają być rozumiani kmiecie, gdy powinności swej dosyć uczynią i czynsz zapłacą, jedno jako sąsiedzi. O słowa, mądrego hetmana godne!... Pan na swej części ma przestawać, swoje role ma orać, a cudzych nie nachodzić ani posiadać; bo a czemuży oni, którzy rolę, a swą część oddzieloną robią, nie mieli bezpiecznie rzec, że ich własna jest?... I to niedobrze, iż panowie chcą, aby im to wolno było, kiedy sie im spodoba, odjąć kmieciowi rolę, a tego nie chcą, żeby też kmieciowi wolno, gdy mu sie spodoba, puścić rolę a iść z niej precz... *

*** O dozorcach ludzi ubogich.** Jako ludzie, którzy sie do roboty godzą, od żebraniy mają być odpadzani, tak zasię, którzy są prawdziwie ubogimi, a schodzi² im i na siłach i na żywności, mają być opatrzeni, aby i domy pospolite były im postanowione, i wszelkie potrzeby, do żywności należące, aby im dawano. Są lepak³ niektórzy ubodzy, co w szpitalach mieszkają, tam sie żywią, i tam je opatrują; a drudzy, po ulicach sie przechodząc, żebrzą; drudzy są, którzy, w chałupkach swoich mieszkając, swoje i domowników swych potrzeby, jako mogą, opatrują. Na ty wszystkie urząd ma pilne baczenie i dozór mieć, żeby ludzie nie oszukiwali, zmyśliwszy sobie jaką niemoc albo ubóstwo. Lecz które obaczą być do roboty godne, niech je przymuszają robić; jeśliby nie chcieli, niechby z miasta byli wygnani, co i o cudzych żebrakach ma być rozumiano, żeby i oni do swoich miast byli odsyłani. Abo-wiem godzi sie, żeby każde zgromadzenie⁴ o tych staranie miało, którzy albo sie w niem urodzili, albo długo mieszkali, żeby dla niedostatku żywności albo których inszych rzeczy nie pomarli. Bo trzeba wiedzieć każdego ubóstwa sposób albo przyczynę. Bo ci, którzy za złą sprawą swą majątność stracili, acz mają być cierpieni między ubogimi i trzeba o nich myśleć, żeby od głodu nie pomarli, ale i żywność skromniej im ma być dawana, i pracami trzeba im dokuczać, żeby i na przykład byli drugim, i sami sie wystrzegali, aby w większe występki zasię nie wpadli. Którzy dla niemocy albo inszej nędzy albo jakiegokolwiek przygody w ubóstwo wpadli, na ty trzeba mieć większe baczenie. A tym, którzy w chałupkach swych żywią sie, opatrzając, jako mogą, swoje i domowników swych potrzeby, mają być albo pola niedrogo najęte, albo takowe rzeczy poruczone, którymby sprostali, albo jakie insze drogi do zysku mają być podane... Owi żebracy-hultajowie, nie wiem, jeśliby mieli być cierpieni, bo zwykli pod zastłoną żebractwa wiele złego broić, dopuszczając sie złodziejstwa, mężobójstwa i inszych sprośnych występków; lepiejjby, żeby je dano do szpitalów, gdyby jedno tacy byli, żeby robić nie mogli.

Są mało nie w każdym mieście dochody roczne, naznaczone ubogim, które jeśliby były mniejsze, niżliby wszystko ubóstwo wychować mogły, tedy ich trzeba tym sposobem przyczynić. Naprzód, gdyby każdy ujął nieco

¹ nawiązując do tego, o czem mówiono. ² brakuje. ³ jednak. ⁴ społeczeństwo.

swych nakładów, a zwłaszcza tych, które się do zbytku, do pychy i nadejści skłaniają: zaprawdę chce tego po nas Chrystus, żebyśmy sobie czynili przyjaciół z bogactw nieprawości, którzyby nas przyjęli do namiotów swych; mamy przeto udzielać rzeczy doczesnych tym, którzy nas do wiecznych domów przyjąć mają. Co, zaprawdę, nawięcej przystoi czynić tym, którzy z tego świata przechodzą do onych domów, aby i oni zostawowali niejaką część majątności swej tym przyjaciołom swoim. Są ci, którzy na okazały pogrzeb wielki koszt i nakład każą czynić: aleć, zaprawdę, ci, którzy na ostatecznym stopniu żywota swego są, ci chwały i sławy od Boga czekać mają, nie od ludzi; potomkom też przystoi, aby onych, którzy z tego świata schodzą, prowadzili nie okazałością bogactw albo pychy, ale uczynkami, z miłości pochodzącymi, przez które przychodzą ludzie do Królestwa Niebieskiego. Ktemu też i biskupów majątności starodawni ludzie tak dzielili, że czwartą część dawali na ubogie: niechby ich przeto w tem urząd napominał. Zaprawdę, ci, którzy nie dawają i nie czynią, co powinni, Boga będą mieli mścicielem. Jest obyczaj, że abo w kościelech, abo na onych miejscach, gdzie się często ludzie zbierają, stawiają skrzynki dla ubogich ludzi: a tak niechby do nich każdy kładł, ileby mu jego pobożna chęć poradziła. Rozmnoży Pan Bóg takowe jałmużny: i dawającym, że im zawždy będzie dostawało, skądby dawali, i bierącym, jeśli będą skromnie prosić, pobożnie brać, a miernie tego używać; bo to są boże dary, który¹ gdy rękę otworzy, bywa napelniona wszelka rzecz błogosławieństwem. Lecz to po nas chce mieć, aby ci, którzy dawają, ochotnie to czynili, którzy biorą, aby uznawali dobrodziejstwa boże, dziękowali. a ustawicznie się modlili tak za się, jako też i za dobrodzieje swe. A takowych ubogich żywność niech nie będzie ani rozkoszna, żeby stąd nie przyzwyczaili się źle czynić, ani też tak skąpa, któraby ledwie połowicę głodu odjąć mogła, bo chorzeje i wątłeje tak ciało, jako i myśl, od niedostatku pokarmu.

To też trzeba pilnie opatrzyć, aby od próżnowania nie znikczemnieli ubodzy, ale każdyby niech robił to, co może i ile może; niech się zabawią jaką uczciwą robotą, a owocu roboty swej niech drugim udziela; a którzyby już ubogi ciało na się wziął i ku siłom zasię przyszedł, ten do roboty niech będzie posłan, żeby jako trąd cudzego potu nie pożywał. Zaś którymby na rozumie abo na siłach cielesnych schodziło, iż nie mogą o sobie radzić, o tych urząd niech staranie ma. Wszytcy jesteśmy bracia, jednego Ojca Niebieskiego synowie; a żaden od przygód, na ludzi przychodzących, nie jest wolen. Co jeśli² na człowieka należy, aby onemu, komu idzie o gardło, dał ratunek, żeby albo od ognia, albo od wody, albo od nieprzyjaciela, albo od jakiej inszej nędzy był wyzwolon: tedyć naprawdę łącznym³, pragnącym, nagim, ziębnącym słuszną rzecz jest dać ratunek, żeby z niedostatku rzeczy potrzebnych nie pomarli. A przetoż trzeba abo jakikolwiek podatek składać, albo je jakim inszym obyczajem opatrzyć; co najlepiej sprawić mogą królowie, biskupi, wielcy panowie, zgromadzenia księżej⁴, miasta i ci, którzy w bogactwach obfitują.

A to jest własna i prawdziwa szczodrośliwość: uczynić dobrze temu, kto tego żadnym sposobem nie może nagrodzić. Wszakże nie omyli nas w zapłacie on najłaskawszy Niebieski Ociec, który i czasę wody zimnej,

¹ t. j. Bóg. ² jeśli więc. ³ łączący. ⁴ księża — rzeczownik zbiorowy rodz. żeńskiego (podobnie: szlachta).

w imię swoje daną, obiecał nagrodzić. Napomina Paweł apostoł Rzymiany i Koryntyjany, aby majątności swych udzielali ubogim, którzy byli w Jeruzalemie: o, jako daleko słusniejsza rzecz, abychmy pobożnem a miłosier-nem składaniem dawali ratunek tym, którzy z nami są, którzy między nami starością, niemocą albo jakim inszym upadkiem znędzeni, a od wszelakiej nadzieje opuszczeni są!

Niech tedy będzie na to wysadzony urząd, któryby miał staranie o ubo-gich, a tem dobrze szafował, co będzie na ich potrzeby naznaczono.★

★ **O jednaniu** (w skróceniu). Dałżeby to Pan Bóg, żeby i to w obyczaje weszło, aby ludzie, którzy chcą jednanie między sobą mieć, szczerze po-wiedali, każdy z strony swej, czem obraził bliźniego swego! Starali się Piotr i Paweł z pilnością, aby się byli pojednali o krzywdy, które byli sobie uczy-nili; a do tego używali wiela ludzi zacnych. Powieda pirwej Piotr, jako wielką krzywdę wziął od Pawła, i wkłada winę nań; zasię przeciwko temu Paweł powieda, iż nie mniejszą także od Piotra krzywdę wziął, i nań wszystkie winę zgania; jeden na drugiego winę wkładał swoje, abo ją jednak obma-wiał¹, jeden drugiego winnym chciał uczynić. Cóż tedy, Pietrze, i ty, Pawle, cóż czynicie? chcecie, aby między wami nieprzyjaźni ustały, a źródeł i przy-czyn prawdziwie ukazać nie chcecie? Któreż tedy lekarstwo, a jako będzie przyłożone na ten wrzód, którego oba taita?² Jakub, jerozolimski biskup, roz-kazuje, abyśmy jeden przed drugim grzechy nasze wyznawali a spólnie się Bogu modlili za sobą, abyśmy byli uzdrowieni; a ta-ć jest prawdziwie ona chrześcijańska spowiedź grzechu, gdy się nietylko przed Bogiem do grze-chów swych, ale i przed bratem szczerze wyznawamy, w czemeśmy go obra-zili, a jeden sie za drugiego Bogu modlimy, aby nam odpuścił a słuszne od nas karanie oddalił. Łacniej i Boga i ludzi ublagamy tym obyczajem, niżli co inszego na to miejsce zmyślając, abo rzkomo tego nie bacząc. A przetoż sam Chrystus nam rozkazuje, jeśli chcemy jaki dar ofiarować Bogu, a wspomnielibyśmy brata być od nas obrażonego, abychmy, położy-wszy na czas on dar, Bogu nagotowany, szli pirwej do brata, a przejednali go. Co jeśli grzeszą ci, którzy zmyślają, czego niemasz, abo którzy ochylają³, co jest, cóż⁴ oni, którzy fałszywie winę swoją na drugiego wkładają, grzech do grzechu przymnażając! co sie jednak o jednym ze dwu rozumieć musi, gdy przeciwne powieści przeciwko sobie twierdzą. A ty, Pietrze, i ty, Pawle, chcecie, aby was za dobre ludzi miano, a przedsię przeciwne rzeczy śmiecie twierdzić, a nie boicie sie myśli jednaczów⁵, na któreście sie zdali? Cóż tedy wam dobrego wiek nasz przyniósł abo długie rzeczy doświadczenie, jeśli w tak małej rzeczy sercu waszemu rozkazać nie możecie, abyście wždy prawdy używali, jeden przeciwko drugiemu szukając jednania? O, nędzny wasz wiek! o, zwyczaj w rzeczach daleko nędźniejszy, który was na złe mądrymi czyni, a na dobre nikczemnymi a gnuśnymi! Próżno wam dobre obyczaje przed oczy kładą, próżno dobrych ludzi rozsądki powiedają, próżno Jakubowe i chrześcijańskie nauki oznajmują! Gniew, waśń o chęć szkodze-nia wtrąciły was w to szaleństwo i serdeczną ślepotę, czego jeśli nie zbędzie-cie, tedyć więtsze złości za sobą pociągną.

Lecz są niektórzy, co nie tak dalece dla siebie, jako dla Rzeczypospo-

¹ usprawiedliwiać. ² liczba podwójna: taicie. ³ omawiać, obwijać w ba-welnę. ⁴ coż dopiero. ⁵ jednacz = pojednawca.

litej, nie zgadzając się z kim, zarazem od niego i chęć przyjacielską odwracają. A aczkolwiek nam nic nad Rzeczpospolitą miłszego nie ma być, dla której i nieprzyjaźni i nędzy albo trudności, naostatek i śmierci żaden dobry nie będzie się zbierał: wszakże gniewać się albo waśń brać na tego, który tak rozumie, że jego rozsądkiem ma być rządzona, nie jest rzecz dobra ani samej Rzeczpospolitej pożyteczna. Bo naprzód, kto inaczej rozumie, może to być, że lepiej rozumie, niż ty; druga¹, chociażby się i omylił, wszakże, jeśli z szczerego serca mówi to, co Rzeczypospolitej rozumie być pożytecznego, ono jego omylenie godniejsze jest odpuszczenia, niż gniewu. Tak wielka bywa czasem różnaitość i różność tak w rzeczach, jako i w czasiech, iż nie dziw, że o nich tak wiele czasem bywa rozumów (jako jest w przypowieści), ile głów. Gdy niektóry filozof mocnie się spierał, iż mądry nie może się omylić, tedy mu podrzucano ptaka nie tego, którego on chciał, a gdy go jadł, nie będąc tego mniemania, żeby mu co podrzucano, dano mu winę w onem jego omyleniu. Częstoć się takie podrzucane ptaszki miasto prawdziwych do serc ludzkich nawijają. Lecz jako to jest rzecz podobna, że i ty sam możesz się omylić, tak zasię jest rzecz przyjacielska a własnej² ludzkości pełna żałować czyjego omylenia; ale nienawidzić a nieprzyjacielskie nacierać na tego, który się zda, jakoby zbłądził, jest rzecz człowieka srodze jadowitego a krewkości ludzkiej mało znającego. Tak wielu występkom i wadam poddan jest żywot człowieczy, iż, jeśliibyśmy wiele rzeczy nie przebaczała, a występków sobie zobopólnie nie odpuszczali, niedługoby to towarzystwo a złączenie ludzkie trwało.

Lecz też i to w niektórych obaczono, iż nie tak cudza omyłka, czem oni rzecz swą farbują, ale zazdrość dawa im do rozterków drogę. Ciężkie to zaprawdę obruszenie, a nie każdemu człowiekowi służące i przystojne. A jako czerw nie w każdym się drzewie rodzi, ale tylko w słodkiem, tak też zazdrość przyzwoitsza bywa tym, którzy są barzo wysokiego serca a sławy pragnącego. Która zazdrość, jeśli rozumem będzie rządzona, będzie jakoby pobudka do cnoty i do uczciwych spraw wiodąca z przykładów, przed oczy położonych; lecz jeśli się z prawdziwym rozumem będzie mijać, będzie barzo zła, a jako Ciceru powieda, barzo podobna owej, która między dwiema jedną białą głowę miłującymi bywa. Bo a co jest gorszego, jedno że się trapisz a gryziesz sam w sobie z cudzego dobra, którego tobie albo przyrodzenie, albo lenistwo nie dało? A za tem gryzieniem chodzi zazdrość, z której roście waśń, a potem bywa wedle dawnej Hezyjodowej przypowieści, iż garnarcz garnarza nie najrzy³, a ponieważ z nim równać albo go przechodzić nie może, przeto w nim wszystko gani, pośmiewa się z niego, źle go na wszem, gdzie może, wyklada⁴, a źle o nim mówi. Przeto takowe wady i znać i strzec się ich trzeba, nikomu nie zajrzeć, dary, od Boga drugim dane, w przystojnej uczciwości mieć, waśni tak dla naszej, jako dla Rzeczypospolitej, na stronę odłożyć, a każdy występpek drugiem łaskawie odpuszczać, a w szukaniu jednania tak się zachować, aby to było szczerze a niepokrycie.

Bo są niektórzy do obrażenia drugich barzo prędcy, a do jednania albo leniwi, albo zgola niedbali. Jeśli jaka potrzeba przymusza je do jednania, wszakże mają to sobie za sprośną rzecz jawnie to po sobie dawać znać:

¹ druga rzecz, po drugie. ² prawdziwy. ³ nawidzić, lubić. ⁴ źle kogo wykladać = wystawiać kogoś w złem świetle.

wolą cicho wleźć do zgody, niż jawnie wniść, a dlategoż i tajemnie i jakoby nieumyślnie chcą to sprawować; a ponieważ się do tego, co czynią, przyznać nie chcą, cóż inszego czynią, jedno szydzą i z tego, kogo obrazili, i z ludzkich spraw, które mają być jawne, gdy i obrażenie było jawne? Prawdziwie ono poeta napisał: *Qui simulat verbis, nec corde est fidus amicus*, to jest:

Kto słowy przedzionemi ³ przyjaźń pokazuje,
Nie wierz mu nigdy, bo cie sercem nie miłuje.

A przetoż takie tajemne jednania o rzeczy, jawnie obrażające, nierady długo trwają. a pospolicie się w zamieszania i rozruchy obracają. Niech przeto pierwszy stopień cnoty będzie nikogo nie obrażać; wtóry — tego, kogoś z przygody obraził, przejednać. Kto się na pierwszym stopniu nie zostoi, niech się stara, aby się na drugim został, a to twarzą, postawą i mową dawał znać, że onego uczynku żałuje i do tego się garnie, że z onym obrażonym zasię w miłości mieszkać pragnie. Bo z tego wtórego stopnia żaden nie może zstąpić, żeby nie musiał ciężko upaść; gdyż i gniew przeciwko oremu, któregoś nie przejednał, uroście i chęć źle czynienia. A tak to złe, czem dalej, tem się więcej będzie szczyrzyło, a iskierka, z przodku niezagaszona, urodzi wielki pożar, gdy będzie do tego materylej dostawać. Przeto człowiek chrystyjański ma się o to pilnie starać, aby z każdym żył w łasce ², obrażenie szczerze odpuszczał, za swe występki szczerze a pokornie odpuszczenia prosił. Bo nie może mieć przystępu do Ojca Niebieskiego ten, który się innym stawia albo pysznym ku przejednaniu, albo trudnym i nieuproszonym ku odpuszczeniu ich występku.

Ale jest ich wiele takiego przyrodzenia, którzy z maluczkiej rzeczy łącno biorą wielkie obrażenia; z leda słóweczka, którem mnimają się być dotkniętymi (chociaży on, kto je mówił, chciałby daleko inaczej rozumieć), z świstania, chrapania, zębów ściskania, paznogcia gryzienia, z otworzenia ust, zakrzywienia, marszczenia, z pilnego zapatrzania, oczu zamrużania, z niedbałości albo w zdejmowaniu czapki, albo w rozmowie, albo w dawaniu ręki, naostatek, każdego kiwania, mrugania albo inszej postawy, o której tak rozumieją, żeby ich wzgardę znaczyła. Ale przez takie domysłania każdy swoje przyrodzenie wydaje, jakie jest, z którego obyczaje drugich sądzi; bo tak pospolicie bywa, iż, jaki kto sam jest, za takie ma i drugie; którym a czego więcej trzeba użyć, jedno aby mieli myśl zdrową w ciele zdrowem? Boć, zaprawdę, serdeczne niemocy niebezpieczniejsze są, niżli cielesne, a częstokroć one bywają przyczynami tych. Niech przeto każdy zleczy myśl swą, a miasto rzeczy niech się nie boi cieniów ani snów, a obyczajem sofistów niech tego nie czynią przyczyną, co nie jest przyczyną. Tacy jesteśmy mało nie wszyscy, iż w wielu rzeczach bywamy ślepi, błądzimy, upadamy; a gdyby drudzy ostremi oczami na nasze upadki chcieli pojrzeć, nie leda ³ jakoby się jeden nalazł, któryby z nami w przyjaźni na wieki zmieszkał. A jeśli to mamy za słuszną rzecz, aby nam występki nasze odpuszczano, czemu my też sami nie przebaczymy cudzych występków? Czemu maluczkiego obrażenia nie mamy skromnie znosić, gdyż sami wielekroć drugie obrażamy? acz-ci nie wiem, jakobyśmy to właściwie obrażeniem nazwać mogli, co podczas ⁴ z niejakiego serdecznego obłądzenia my sami zmyślamy. Ale cho-

¹ jedwabny. ² miłość. ³ nie leda = ledwie. ⁴ niekiedy.

ciaby i tak było, tedy przedsię na chrystyjańskiego człowieka należy drugim odpuszczać, jeśli też i on chce, aby mu Ociec Niebieski odpuścił..

Każdy..., ile może, albo namową, albo rzeczą, albo radą, albo zwierzchnością, albo prośbami, albo mocą panowania, niech się o to stara, żeby niezgodne do zgody przywodził. Co gdyż każdemu czynić przystoi, tedy, nie wiem, komuby więcej, jako ludziom, w wielkiej uczciwości u inszych będącym: którzyby częstokroć mogli samem tylko skinieniem wiela ludzi niezgody uspokoić a zgodę postanowić. Ale wiele ich jest, którzy albo z lenistwa, abo iż się stąd żadnego pożytku nie spodziewają, abo też dla jakiej inszej zlej przyczyny pogodę¹ dobrze czynienia upuszczają: takowi są siebie tylko miłujący a wszelakiej poczciwości nie godni. Bo prawdziwe wyrażanie poczciwości nie bywa, chyba² dla cnoty a dla zasług przeciwko narodowi ludzkemu. Niech się przeto każdy dobrze zasługuje narodowi ludzkemu, a niech z swej strony, jako może, leczy chorujące: waśni ludzkie niech wyniszcza, w łaskę je przywodzi, a niechaj się tego nie dopuszcza, aby, gdy dom bliźniego jakoby gorzeć poczyna, on w próżnowaniu leniał, by zaś, jeśli by sie wielki ogień zawziął, domu twego (a ty próżnujesz) ogień nie doszedł. Co jeśli sie sam o siebie nie boisz, tedy przedsię będącym w niebezpieczeństwie ratunku, gdy możesz, nie dać, w wodzie tonących w morzu nie ratować, nędzami ludzkimi oczy swe paść — nie jest rzecz człowieka; zasię, przeciwko temu³, różnice⁴ ugadzać, przyjaźni stanowić, serca ludzkie do miłości a sprzyjaznej chęci przywodzić i uczyć, od waśni i zlej woli odwozić, — aza to nie nawięcej ludzkości jednego ku drugiemu przystoi? Której ludzkości jakośmy wiele powinni, przyrodzenie wszystkich spólne nas tego uczy, gdybyśmy w to pilnie wglądali; uczy nas i on szczerzej prawdy mistrz, Chrystus Jezus, powiedając, że oni są błogosławieni, którzy pokój czynią, to jest, którzy, sami miłując pokój, i między drugimi starają się o pokój.

Wiele rzeczy jest, które ludzi do pokoju, zgody i ku łącznemu ubłaganiu przywozją: Ociec Niebieski jeden, wszystkich przyrodzenie jedno, spolecność⁵ wiary, spólne używanie praw, handlów abo towarów i Rzeczypospolitej, a zwłaszcza omyłki wszystkim spolite, które zobopólnie sobie odpuszczają jest rzecz barzo ludzka...

Lecz jeśliże te rzeczy mało kogo pobudzają do ubłagalności, miłości i zgody, niechże słucha Jezusa Chrystusa, niebieskiej mądrości mistrza, temi słowy rozkazującego: «Miłujcie nieprzyjacioły wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą, módlcie się za tymi, którzy was obrażają i przesładują, abyście byli synmi Ojca waszego, który rozkazuje i światłu świecić i dżdżowi iść na wszystkie, tak na dobre, jako na złe. Bo jeśli tylko miłujące was miłować będziecie, a cóż zacnego uczynicie? azaż i mytnicy tak nie czynią?» Bo to jest nasnadniejsza droga, którą łączniutko przyść możemy do odpuszczenia grzechów naszych: odpuszczać winowajcom winy ich, jeśli chcemy, aby nam nasze były odpuszczone. Cóż tedy na to rzeczemy, chrześcicianie, którzy pod chorągwiami Syna Bożego żołnierską⁶ służymy. Żadna rzecz nie jest, któraby nas nie wiodła do miłości i łącznego ubłagania: i prawo przyrodzone i nasz pożytek i Ojca onego przykład, którego nam pierworodny Syn Jego, Zbawiciel nasz, przed oczy kładzie. Nędzna to jest rzecz,

¹ sposobność. ² tylko. ³ przeciwnie. ⁴ klótnie. ⁵ wspólność. ⁶ t. j. żołnierską służbę.

zaprawdę, że my, urodziwszy się w szkole Chrystusowej, będąc wychowani i wyćwiczeni w niej, nie chcemy uznać nauki naszej. Na każdy dzień się modlimy, aby Królestwo Boże do nas przyszło, a któreż to insze jest królestwo, jedno sprawiedliwości, pokoju, zgody a wspólnej miłości? Sam Chrystus, mistrz nasz, z tego świata do Ojca odchodząc, hasło lub cechę zgody i miłości wspólnej zostawił nam: Wieczerzą swoją, aby, jako spólnem używaniem Ciała i Krwie Jego bywamy sobie równi, takbyśmy też spólną a równą i przeciwko¹ nam samym i ludzież przeciwko Sprawcy tej świętej Uczty chęć i wolą mieli. Nadto jeszcze jasnym głosem pokój i miłość, jakoby na testamencie, nam dał: «Pokój — pry² — mój dawam wam, pokój mój zostawuję wam; stąd poznają wszyscy, iż uczniowie moi jesteście, jeśli miłość będziecie mieć między sobą spólną». Zaś do łącznego ubłagania i łaskawej skłonności temi słowy nas napomina: «Jeśli odpuscicie ludziom występki ich, odpuści i wam Ociec wasz Niebieski; a jeśli nie odpuscicie ludziom upadków ich, tedy i Ociec wasz Niebieski nie odpuści wam występków waszych». Kogóż tedy inszego początkiem i mistrzem mieć możemy, któryby nas więcej pobudzał do odpuszczenia, do zgody, miłości wspólnej, jedno Tego, który nam na każdy dzień sam odpuszcza, który nas osobliwie miłuje, który nie po czem inszem uczni swoje więcej poznawa, jedno po wspólnej miłości? A przetoż wszyscy, którzy uczniami Chrystusowymi chcą być, mają się o to pilnie starać, aby się zwad, nieprzyjaźni i waśni wystrzegali, a pokój i zgodę ze wszystkimi w całości zachowali, forytowali a jako mogąc, pomnażali. Czego każdy barzo łacno dokaże, jeśli się swego żalu mścić nie będzie. A jeśli sobie krzywdę od kogo mieć mniemasz, tedy albo do urzędu się uciecz, który Bóg postanowił i dla karania złości i dla nagradzania dobrych uczynków wyrządzeniem poczciwości; albo, odpuszcivszy onę twoją krzywdę, zwycięż złość przeciwnika twego dobrocią twoją!

Ale pospolity człowiek wedle złego rozsądku swego tych, którzy się krzywd swoich mszczą, wielce waży i mężnymi je a wielkiego serca ludźmi nazywa; a zasię cierpliwe lekce waży a bojaźliwymi i nieśmiałymi je być osądza. Lecz my, którzyśmy się niebieskiego nabożeństwa nauczyli, więcej mamy sobie ważyć on rozsądek nasprawiedliwszego sędziego — Boga, który złorzeczącym każe dobrorzeczyć, a źle czyniącym dobrze czynić, który cierpliwość tak wielce sobie waży, iż powieda, że w niej otrzymamy dusze nasze. Tej cnoty przykład i sam w sobie Chrystus Jezus dziwnie okazał i w wielu ludziach, którym On kazał na tęż drogę następować, którą On pirwej przed nimi szedł. Nadto jeszcze, jeśli się w tem filozofów dołożymy³, wiele od nich usłyszymy o hamowaniu gniewu a o łaskawem, cierpliwem znoszeniu krzywd. Bo a cóż inszego jest mścić się krzywdy, jedno naśladować złości tego, który pirwej obraził? A złej rzeczy naśladować cóż inszego jest, jedno od dobrzeczynienia odstąpić? Nie godzi się tobie chorować przeto, że choruje przeciwnik twój, ani szaleć, iż on szaleje! Bo a jakoż niemoc twoja uzdrowi jego niemoc? jako myśl twoja niezdrówka do zdrowia ji przywiedzie? Zaprawdę, on lekarz jest wielki prostack, który nie chce inaczej chorego uleczyć, jedno ażby też sam chorował.*

*** Zgromadzenie wszystkich nauk a zamknięcie pirwszych ksiąg o obyczajach.** Swarom przeto, waśniam i nienawiściam bynamniej nie trzeba przy-

¹ względem.

² prawi, mówi.

³ poradzić się kogo.

wykać, lecz cichości, pokoju a zgody pilnować. Każdemu jego cześć ma być wyrządzana, — nie trzeba tak rozumieć, żeby on miał sławnym zostać dlatego, że drugimi gardzi. Bo wszyscy miłują i wielce ważą ony, które widzą, że też i oni drugie wielce ważą, ale ci, co drugimi gardzą, pospolicie bywają u wszech w nienawiści. Każdy też w sprawach swoich ma pilnie patrzeć na ten sposób żywota, w którym mieszka: ma ji, powinności swej doryść czyniąc, zalecać i zdobić, a w cudze się urzędy nie wtrącać; bo stąd roście pomieszanie stanów, gdy się ludzie wdawają w sprawy, sobie nie należące; stądże też i własne powinności swe opuścić muszą, albo je wzdry niedbale sprawują, mając dla cudzych spraw myśl roztargnioną. I sama Rzeczpospolita nie dobrze się ma, gdy każdy, nie przestawając na swym urzędzie, miesza cudze chciwością górności, nie inaczej, jedno jako i ciało byłoby roztargnione, gdyby członki, miejsca swe opuściwszy, przeniosły się na drugich członków miejsce a w ichby się urząd wdały. A przetoż ludzie dobrzy i pragnienia górności wystrzegać się mają i miłość samego siebie zbytnią z serca swego wykorzeniać. Czego każdy tem łacniej dokaże, czem skromniej o sobie będzie rozumiał, a dary, któremi był obdarzon, częstoby obaczał, nadto i ono uważał, że mu więcej do doskonałości żywota nie dostawa, niż dostawa. A przetoż też nikogo sobie lekce ważyć nie trzeba, ale siłami i majątkościami naszymi ludzom, ile możemy, usługować.

Nie godzi się nam, którzy się za bracią liczymy, sobie tylko gwoli żyć, ale raczej dobrodziejstw Ojca naszego między się udzielać, które On różne różnym dal, aby tą różnością i spólnem udzielaniem powinowactwo braterstwa między nami zachowano było. Kto tedy jest bogaty, niech się szczodrobliwością ukazuje być ubożego bratem; kto jest rozumem i mądrością obdarzon, niech nauki swej i rady użyje potrzebny; kto ślacheństwem abo możnością wiele może, niech zwierzchność i możność swą obraca na bronienie niewinnych a pokornych. Bo się zda, jakoby wszelką ludzkość zwlekli z siebie i prawo braterstwa porzucili oni, którzy, bogatymi będąc, sobie tylko bogaci są; którzy, uczeni i mądrzy, sobie tylko nauką i mądrością swoją obmyślają; bo prawdziwa ludzkość i braterstwo udzielaniem wszech rzeczy ludzom zawiera się albo na rozpominaniu i użaleniu tych przygód, którym wszyscy poddani jesteśmy. Zaprawdę, nie jest godzien w przygodzie swej miłosierdzia drugich, który nad nędznymi nie ma zmiłowania, niegodzien jest pomocy ludzkiej, kto w niebezpieczeństwie będącym ratunku nie dawa, kto zamyka oczy przed proszącym, a drzwi przed potrzebnymi. A tak ustawicznie trzeba się o to starać, abychmy, ile możemy, drugim dobrze czynili, abychmy się ludźmi nie brzydzili, ani nimi gardzili, abysmy składali nadętość, a nie pyszno nie czynili, nie hardzie, nie okrutnie. Bo te wady z siebie wygnawszy, choć różne są majątkości ludzkie, przedsię równość umysłów będzie zachowana, która jest najpotrzebniejsza do zachowania pokoju i zgody. Którzy tej równości zachować nie chcą, naprzód jawnie dają znać, że nie chcą mieć wspólnego Ojca z tymi, których za bracią mieć nie chcą; bo to być nie może, aby ten w powinności braterskiej nie miał chcieć zostać z tym, z którym się do jednego Ojca przyznawa; potem też sami sobie zstawiają się proroki, że k temu przyjdzie, iż którzy nie chcą być z drugimi równo, ci bywają poniżeni. Bo to wyrokiem Syna Bożego jest postanowiono, aby kto się powyższa, był uniżon, a kto się uniża, był powyższon. To mamy dobrze znać i głęboko do serca pokładać, a jako boskie

rozkazanie rozpominać i do tego wszystkie nasze sprawy obracać. A przeto nikim gardzić nie mamy, każdego dobrą chęcią i powinnościami¹ zawždy naszymi uszanować, szczęśliwe i przeciwne rzeczy skromnie znaszać, rady uczciwej a z cnotą złączonej, zawždy się trzymać, a powodzenia od Boga wszechmocnego prosić i czekać, przed którego stolicą stanąć a Jemu liczbę ze wszystkich naszych spraw, mów i myśli dać pewnie musimy. *

43. Żywy udział społeczeństwa polskiego w życiu publicznem stworzył nową, prawie zupełnie nieznaną w wiekach średnich gałąź literatury, mianowicie publicystykę; prasy perjodycznej nie było jeszcze w Polsce XVI wieku, ale ukazywało się zato całe mnóstwo pisemek ulotnych i broszur, których autorowie udzielali przeróżnych rad społeczeństwu, wypowiadali swoje poglądy na współczesne wypadki, na sprawy państwa i Kościoła, kłócili się z sobą o zasady i t. p. Znakomitym publicystą był Modrzewski, jako autor broszur łacińskich. Najgłośniejszym jednak publicystą polskim XVI stulecia i jednym z najzdolniejszych, jakich kiedykolwiek miała Polska, jest ksiądz-małżonek **Stanisław Orzechowski** (1513—1566), z Rusi Czerwonej. Rodzice przeznaczili go już w dzieciństwie na księdza i nie szczędzili kosztów na jego wychowanie: gdy ukończył szkoły w Przemyślu, wysłali go do Wiednia, «nie tyle zresztą dla nauki — jak opowiada Orzechowski w swojej autobiografji łacińskiej — ile dla nabrania ogłady». Z Wiednia pojechał do Witembergi i tam dostał się pod wpływ Lutra i Melanchtona; pod ich to wpływem, mówi Orzechowski, «jak dzikie zwierzę, wypuszczone z klatki i rozdrażnione głodem, rwałem się chciwie do wszelkiej swawoli, ważyłem się na wszystko, nie bałem się nikogo»; «nie było żadnej rzeczy, boskiej, czy ludzkiej, o którejby nam, smarkaczom, nie wolno było pleść trzy po trzy»; słowem, pod wpływem Lutra i Melanchtona stracił Orzechowski, jak sam świadczy, «wszelką cnotę oraz religję ojców i dziadów». Lecz dowiedział się o tem wszystkiem ojciec i kazał synalkowi wynosić się z Witembergi i jechać do Padwy. W Padwie słuchał Orzechowski znakomitych profesorów, a z ich wykładów nadewszystko to przypadało mu do serca, co go utwierdzało w nauce Lutra. Z Padwy udał się na studia do Bononji, gdzie przebywał lat osiem, a później do Rzymu. Tutaj dopiero nastąpił zwrot w jego przekonaniach i uczuciach religijnych: odzyskał dawną wiarę, stał się nawet fanatycznym katolikiem, ale nie porzucił już myśli, że Kościół katolicki potrzebuje reformy i że jednym z jej środków powinno być zniesienie bezżeństwa księży. Po szesnastoletnim pobycie zagranicą powrócił wreszcie Orzechowski do Polski (1543). Rodzice nalegali, by się wyświęcił na księdza; on się wzbraniał, aż rodzice powiedzieli mu stanowczo: «No, jak ci się podoba, lecz albo nie mów, że jesteś naszym dzieckiem, albo zwróć nam co do grosza koszty» (któreśmy na twą naukę łożyli), «albo ruszaj na księdza!» Orzechowski uległ: wyświęcił się na księdza i... rozpoczął walkę z Kościołem: wydał broszurę łacińską *De lege coelibatus* (1551, *O prawie bezżeństwa*), w której dowodził, że «prawo to jest bezprawiem». Wówczas biskup przemyski pozwał go do sądu, zagroził kłatwą i odebraniem probostwa; Orzechowski zmiękł i odwołał wszystko, co napisał. Ale wkrótce znów zaczął broić; ożenił się był w tych czasach pewien ksiądz (Walenty z Chrzczonowa), Orzechowski wystąpił w jego obronie; nie dosyć

¹ usługa powinna.

na tem: sam wyswatał i dał ślub innemu księdzu, Marcinowi Krowickiemu, a niebawem na sejmiku w Sądowej Wiszni głośno oświadczył, że się sam lada dzień ożeni. Biskup ponowił groźbę, ale Orzechowski już się nie uląkł: już bowiem miał za sobą całe tłumy szlachty, którą umiał być sobie ująć swemi pismami, i która z naprężoną uwagą śledziła jego zatarg z zniawidzoną władzą biskupią. Sprawa oparła się o sejm piotrkowski, na którym posłowie i senatorowie świeccy stanęli w jego obronie; biskupi zlekli się, poniechali kary, wzięli tylko od Orzechowskiego przyrzeczenie, że się bez dyspensy papieża nie ożeni. Ale Orzechowski złamał słowo i ożenił się (z Magdaleną Chelmską). Biskup spełnił groźbę: skazał go na utratę czci i dóbr, oraz na wygnanie, ogłosił go za odstępcę od Kościoła i wyklął. Król zatwierdził wyrok, lecz na sejmie piotrkowskim r. 1552 szlachta znów stanęła w obronie swego ulubieńca i — wygrała sprawę: na sejmie uchwalono, że urzędy świeckie przez cały rok nie będą wykonywały wyroków biskupich; (w rzeczywistości odłąd już raz na zawsze ustala jurysdykcja biskupów). Ale to nie wystarczało Orzechowskiemu: pragnął on, aby Kościół uprawnił jego małżeństwo, bo zrywać z Kościołem, jak to uczyniło wielu innych księży (np. ów Marcin Krowicki), nie chciał; zaczął się więc starać u papieża o dyspensę. Lecz nie wskórał nic, otrzymywał tylko rok rocznie rozgrzeszenie od biskupów polskich, a kiedy prymas je cofnął, znów zaczął szturmować do Rzymu i znów bezskutecznie: to jedynie sprawił, że papież orzekł, iż Orzechowski jest winien nie herezji, tylko złamania karności kościelnej, wskutek czego i biskupi musieli uznać jego prawowierność, tem więcej, że stawał się on coraz to fanatyczniejszym obrońcą Kościoła katolickiego, gorliwie i namiętnie walcząc w swych pismach z jego nieprzyjaciółmi i obrzucając ich obelgami, a często bez ogródki szkalując. Pomimo tej gorliwości, wyższego dostojenstwa w Kościele nie otrzymał, bo o rozwodzie ani myślał; czekał i czekał na dyspensę z Rzymu, póki mu szczęśliwie żona nie umarła; a w rok później on sam żywota dokonał, upominając w testamencie swoje dzieci, by, wstępując w ślady ojca, dochowały wierności Kościołowi katolickiemu...

Był to człowiek bardzo wykształcony, humanista niepospolity, czytany zarówno w prozaikach, jak i poetach starożytnych (nie tylko rzymskich, ale i greckich), i nadzwyczajnie zdolny, od Modrzewskiego wyższy talentem pisarskim, ale bez porównania niższy i siłą rozumu i szlachetnością uczucia i dobrą wolą. Kiedy Modrzewski uczył, że prawdziwa wolność polega na posłuszeństwie prawom i że dla miłości religji i ojczyzny człowiek powinien ponosić choćby najcięższe ofiary, Orzechowski lekceważył sobie prawa, wolności nie odróżniał od samowoli, a ofiary nie chciał ponosić dla nikogo i dla niczego. Kochał on wprawdzie ojczyznę, do Kościoła katolickiego, pomimo wszystko, był prawdziwie przywiązany, czego dowodzi już to jedno, że na protestantyzm nie przeszedł, jak przechodzili inni księża, pragnący się wyzwolić z pod władzy kościelnej, ale nadewszystko kochał samego siebie: ilekroć wygórowana miłość własna była w zatargu z miłością czy ojczyzny, czy Kościoła, czy bliźniego, tylekroć nie ona, tylko miłość własna zwyciężała; najwyższym prawem dla Orzechowskiego był egoizm, własna korzyść; wyrzucał np. innym, że nie kochają ojczyzny, kierując się prywatą, ubolewał nad tem, że szlachta na sejmach wicherzy: a sam się prywatą kierował i wicherzył na sejmach, robiąc ze sprawy swojego małżeństwa, a więc ze sprawy osobistej, sprawę publiczną; dowodził w swem fanatycznym za-

ślepieniu, że najwyższą władzę w państwie powinien mieć kapłan, że nawet król powinien go słuchać: ale sam władzy kościelnej słuchać nie chciał; a i względem ludzi nie kierował się miłością bliźniego, szarpiąc ich dobrą sławę, łącząc i szkalując tych, którzy zadrasnęli jego miłość własną albo ośmielali się głosić inne poglądy, niż on; jedną z ofiar jego nienawiści był Modrzewski. Zdawało się Orzechowskiemu, że jest najmędrszy ze wszystkich ludzi w Polsce, że go wszyscy słuchać powinni, że się cała Polska około niego obraca; Polska — to ja: oto zasada, którą się najczęściej w życiu kierował. Był to jeden z największych warchołów, jakich miała Polska.

Talent pisarski posiadał olbrzymi: nikt w XVI wieku nie pisał tak żywo, z takim zacięciem, z tak szalonym, żywiołowym temperamentem i z taką pewnością siebie, a często z taką bezczelnością i błagą, jak on; temperament pisarski wzmagał się w nim jeszcze, kiedy sobie krzeczka zalał; sam zwierzył się kiedyś znajomemu, że do pisania zasiadał zwykle «mocno podпиты: dopiero bowiem wtedy, gdy go wino rozpałi, styl jego staje się wymownym». Pomimo jednak wielkiego talentu, większego i poważniejszego dzieła nie napisał: chciwy rozgłosu, ciekawy nowości i wrażliwy na nie, chwytął pióro i pisał krótkie broszury o wszystkim, co tylko zajmowało ówczesne społeczeństwo. W całej Europie dużo mówiono o potrzebie wojny z Turkami: Orzechowski puszcza w świat pisemka ulotne, w których zachęca Polaków do walki, zapewniając ich, że zwyciężyć muszą, bo przeciw szlachcie zawsze zwycięża nieszlachcica...; oburzała się szlachta na małżeństwo Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłówną: Orzechowski podsyca jeszcze to oburzenie, pisząc na królowę najwstrętniejsze paszkwile; umarł wielki rycerz, hetman Jan Tarnowski (1561): Orzechowski pisze jego życiorys; cała szlachta zajmowała się żywo sprawą egzekucji: Orzechowski omawia tę sprawę w swych broszurach i t. d.

Popularność wśród szlachty miał ogromną, ale bo też umiał jej schlebiać tak, jak nikt za jego czasów. Jak się nie miała szlachta zachwycać pisarzem, który ją zapewniał, że ze wszystkich narodów polski jest najlepszym, najszlachetniejszym i że pochodzi... od Greków, «taż bowiem jest wrodzona obojga pokolenia dobroć, taż sama dowcipność, taż sama rozumu bystrość!» Jak nie miała kochać autora, który uczył, że cała historia Polski to jeden nieprzerwany łańcuch cnót, zasług i triumfów; że «policja» (t. j. urząd państwa) «nasza polska zewsząd doskonała jest, tak iż jej nie przydać ani ująć nikt nie może»; że wolność polska jest najświętszym skarbem; że jedynymi zajęciami, godnymi człowieka wolnego, to służba rycerska i gospodarstwo wiejskie, wszystkie zaś rzemiosła «sprośne a smrodliwe są»; że Polska jest tylko dla szlachty, a «kupiec, rzemieślnik, oracz nie są dziedzicami Królestwa polskiego, ale są słudzy jego» i t. d. Słowem, w pismach Orzechowskiego znajduje się apoteoza szlachty polskiej, rządów szlacheckich i złotej wolności: i dlatego to Orzechowski (inaczej, niż Modrzewski) był pisarzem szkodliwym, był złym nauczycielem swego narodu; są wprawdzie w jego pismach szlachetne uczucia patriotyczne i bardzo rozsądne myśli, ale, jak to często bywa, chwymano z nich nadewszystko myśli złe, niemądre, schlebające próżności narodowej; a nadto uczono się z nich rozumowania, mającego pozory słuszności, a w istocie wykrętnego i fałszywego: w tej bowiem sztuce, to jest w sofisteryj, był z Orzechowskiego mistrz nad mistrze.

Z licznych pism jego zasługują zwłaszcza na uwagę dwie polskie broszury o egzekucji (1563): *Rozmowa albo dialog około egzekucyj pol-*

skiej Korony i Quincunx, to jest wzór korony polskiej, na cynku wystawiony. Pierwszą napisał Orzechowski przed sejmem egzekucyjnym, pragnąc oddziałać na obrady sejmowe, drugą — już po sejmie, z którego uchwały, dotyczącej egzekucji dóbr koronnych, nie był zadowolony.

Idąc za przykładem Platona, nadał Orzechowski swoim broszurom postać dialogów: rozmawiają trzy osoby — ewangelik, papieżnik (katolik) i gospodarz (Orzechowski). Rozmowa toczy się żywo, a jej przedmiotem są sprawy Kościoła i państwa; gospodarz popisuje się swą uczonością, którą biedny ewangelik tak podziwia, że zapomina często języka w gębie; gospodarz i papieżnik nawracają go na wiarę katolicką, i to z powodzeniem: ewangelik wkrótce wyrzeka się herezji. Swoje własne poglądy wypowiada Orzechowski przez usta papieżnika i gospodarza, którzy, ilekroć się ewangelik ośmiela wygłaszać inne od nich zdanie, zapędzają go w kozi róg.

Dowodzi Orzechowski, że egzekucja jest niemoralna i szkodliwa: niemoralna, bo te majątki, które król rozdał panom, są już własnością panów, a więc król nie ma prawa żądać ich zwrotu; szkodliwa, bo przecie te majątki są nagrodą za cnotę i zasługi, położone dla ojczyzny, a ojczyzna powinna płacić tym, którzy ją kochają i którzy jej służą, inaczej bowiem nie będzie miała ludzi oddanych jej i cnotliwych: pogląd ten, zapożyczony od Cycerona, powtarzali u nas, jak za panią matką pacierz, wszyscy humaniści XVI wieku; bezsensowność i szkodliwość tego poglądu zrozumiał u nas dopiero Skarga.

Ale przez egzekucję pojmuje Orzechowski nietylko egzekucję dóbr koronnych, lecz wogóle naprawę państwa polskiego, której ono nagwałt potrzebuje, bo wszystko się w niem rozprzegło: «Ukaż mi jedną rzecz namniejszą — mówi papieżnik do ewangelika — któraby nam pewnego upadku nie obiecowała! Sprawiedliwości nie mamy, obrony nie mamy, z sejmów też nic inego nie odnosimy, jeno reces¹ a limitacyja...². Z sejmu walnego nic inego nie bywa, jeno hańba u postronnych ludzi a waśń domowa: rozjeżdżamy się, naganiwszy króla a zhańbiwszy rady, odpowiadając jeden drugiemu, ewanielikowie o papistach, papistowie o ewanielikach radząc..., skąd ten pożytek mamy, że Korona każdemu obcemu otworem stoi... Nie możemy do jedności przysięć, zaślepiała nas złość nasza, ku zgodzie drogi należeć nie możemy, ani jej najdziemy, bo nas zaklął jawnie Pan Bóg prze kacerstwa ty wszeteczne nasze». Za największe nieszczęście dla Polski, za hańbę narodu i za główną przyczynę niezgody i wogóle wszystkiego złego poczytuje Orzechowski odstęstwo od katolicyzmu: jeżeli Polska nie powróci do Kościoła katolickiego, zginie, jak Bóg w niebie; jeżeli powróci, wszystko pójdzie jak z płatka; innowierców najlepiej wygnać z Polski, gadać z nimi niema co, bo «powroza na kacerza trzeba, nie pisma!»

Najwyższą władzę w Polsce, zdaniem Orzechowskiego, powinien mieć nie król, tylko kapłan: «Król polski jest sługa kapłański, postawiony przeto w Polsce ręką kapłańską, aby polskie królestwo nawyższego kapłana posłuszne było, ażeby żaden nie śmiał przeciwko zwierzchności kapłańskiej hardego pyska swego podnosić;... tak bez kapłana ludzie są niesmaczni, jako mięso bez soli;... cesarzowie, królowie i wszyscy panowie świata tego są podnóżkiem stanu kapłańskiego;... owca parszywa król jest każdy bez ka-

¹ odłożenie sprawy do następnego sejmu.

² limitacja, limita = zawieszenie obrad sejmowych.

plana». W Polsce najwyższym kapłanem jest prymas, on więc powinien mieć najwyższą władzę. A dowodzi tego Orzechowski tak: Polska jest królestwem, a zatem musi mieć króla; jeżeli ma króla, to ma i koronę, bo król niekoronowany nie jest królem; a któż daje królowi koronę? prymas: a zatem prymas jest wyższy od króla! Jest i inne rozumowanie, równie mądre. Państwo polskie, mówi Orzechowski, jest zbudowane nakształt piramidy o podstawie kwadratowej. (Piramida taka powstanie, jeżeli w figurze, zwanej po łacinie *quincunx*, a po polsku *cynek*:



punkt A podniesiemy w górę: stąd tytuł drugiej broszury). Otóż cztery boki tej piramidy, bredzi Orzechowski, stanowią: wiara, kapłan, ołtarz i król, a wierzchołkiem jest Kościół; stąd wniosek oczywisty, że król jest sługą Kościoła i że kapłan ma nad nim zwierzchność! Dlaczego Polska ma być kanciąstą piramidą, a nie np. tłustym kotem, tego już Orzechowski nie wyjaśnia. To przekonanie jednak o wyższości władzy kapłańskiej nad królewską nie przeszkadza mu mniemać, że król polski może i powinien... znieść bezczeństwo księży; dlaczego? oczywiście dlatego, że jemu, Stanisławowi Orzechowskiemu, było to potrzebne!...

Obok tych i tym podobnych bredni, dialogi Orzechowskiego zawierają w sobie apoteozę Polski: ze wszystkich państw na bożym świecie Polska jest najlepszym; w Polsce tylko, jako w królestwie, gdzie król podlega kapłanowi, przed którym zaprzysięga wierność prawom, panuje prawdziwa wolność; wszelkie księstwo jest niewolą, a ponieważ księstwem jest Litwa, w której książę jest nie obieralny, tylko dziedziczny, więc Litwini to podli niewolnicy, którzy się nawet równać z Polakami nie mogą, którym Polacy czynią łaskę, chcąc z nimi zawrzeć unję!! Wogóle był Orzechowski szowinistą, z góry spoglądał na obce narody, a Polaków poczytywał za naród, przez Boga wybrany do wykorzenienia na świecie «kacerstwa, odszczepieństwa i pogaństwa».

Lecz są w dialogach Orzechowskiego i zdrowe myśli. Jest np. surowa, ale sprawiedliwa krytyka sejmów, na których, jak mówi, panowie umyślnie mącą wodę, by sobie węgorze wyłowić, t. j. umyślnie wszczynają rozruchy, aby je na własną korzyść wyzyskać. Jest także prawdziwe, gorące uczucie miłości ojczyzny i niepokój o jej przyszłość, wywołany widokiem prywaty, niezgody i zbliżającej się bezpotomnej śmierci Zygmunta Augusta:

«Byś serce moje rozkroił, nie znalazłbyś w niem nic inego, jedno to słowo: Z g i n i e m y! Nie żałuję tego, żem się ożenił, przeto iż mi dał Pan Bóg żonę, rodem, urodą, posagiem i cnotą znacną, a przytem szlachetne z żony tej, a mnie miłe dziatki: ale tego ja żałuję, iż nie sam, ale samosiódm z żoną i dziećmi zginąć mam albo w roztyrku domowym, albo w więzieniu nieprzyjacielskiem. Na jednym śmiertelnym człowieku wszystka Polska zawisa! Przepuścili Pan Bóg, nie opatrzywszy nas inak, na dzisiejszego pana naszego śmierć, tysiąc królów, miasto jednego, zarazem Polska mieć będzie... Będziemy mieć króla w duchownych rzeczach sędziego, ale nie tego, którego nam w Polsce przedtem przez kapłana rzymskiego Bóg dawał, ale

tego, którego nam Bóg przez Turka albo przez roztyrk nasz domowy da! A tego niedługo czekać... Panie Boże! Dajże mi śmierć przed śmiercią króla dzisiejszego, a nie dawaj doczekać onych złych dniów, które nastaną po śmierci króla tego; bowiem śmierć jego śmiercią pewną królestwa polskiego jest!»

Ratunek dla Polski upatrywał Orzechowski w powrocie na łono Kościoła katolickiego i wpajał w szlachtę to fałszywe przekonanie, że, byleby tylko wykorzeniła z pośród siebie różnowierstwo, może spokojnie, z założonymi rękami, czekać zmiłowania bożego. Głosił także pogląd, że, ponieważ Polska była dawniej potężniejsza i szczęśliwsza, aniżeli dzisiaj, więc powinna i w ustroju państwowym i w obyczajach powrócić do dawnego stanu: ten pogląd głosili u nas niemal wszyscy pisarze XVI wieku (np. Kochanowski), nie rozumiejąc, że państwo i społeczeństwo, jeżeli się chcą ostać, powinny nie cofać się, tylko iść naprzód.

Jak w broszurach politycznych, tak i w pismach historycznych wykazał Orzechowski niezwykły talent pisarski. Opowiedział on bardzo pięknie *Żywot i śmierć Jana Tarnowskiego, kasztelana krakowskiego, hetmana wielkiego koronnego*, a w skreślonych po łacinie *Rocznikach (Annales)* niezmiernie żywo i zajmująco wyłożył współczesne dzieje Polski (w latach 1548—1552). Do najżywszych ustępów należą te, w których opowiada o własnych przygodach, o swych zatargach z władzą kościelną i o małżeństwie; jeszcze ciekawsze są ustępy, poświęcone burzliwym sejmom, zwłaszcza sejmowi z r. 1548, na którym zerwała się burza z powodu małżeństwa Zygmunta Augusta z Radziwiłłówną. Smutne wrażenie sprawia rocznik dodatkowy, o wojnie kokoszej (1537), kiedy to szlachta, zamiast iść na wojnę z Wołochami, targowała się z królem i senatorami o swoje wolności i sposób egzekucji. A Orzechowski, chociaż doskonale rozumie, że prywata wzięła górę nad dobrem ojczyzny, chwali jednak tę kłótniwą i warcholską szlachtę, nie szczędząc zresztą słów uznania stronnictwu przeciwnemu — senatorom. A tak zawsze i wszędzie palił i Bogu świeczkę i djabłu kaganiec.

*** Przedmowa do Quincunxa.** Panowie a bracia, mnie miłościwie laskawi! Trudno milczeć, gdy boli, trudno nie wołać w zlej tóni, trudno też nie wzdychać w niewoli. W jednej łodzi siedzimy, wiatry przeciwnie mamy, welny¹ biją, maszty łomią, żagle drą, morscy rajtarzy na łódź szturmują, nas dobywają, ognie miecą, łódź pałą, na patrona² godzą: żeglarze śpią. Ja, ginąc, na was: «Rata!»³ wołam, których w s z y t k i e h — pomoc wielka, z o s o b n a k o ż d e g o — mała moc w tej łodzi jest. «Cóż wołasz?» rzeciecie. To: wszyscy do szturm biecicie, maszlu strzeżcie, żagle na tramontanę⁴ naciągajcie, na lewo ku Niemcom nie uchodźcie, wiatrów zachodnych sie bójcie, polskiemu pływajcie, ku portu sztyr dzierżcie, oreżą na rajtary dobywajcie, patrona bróńcie, żeglarza ze snu obudźcie! Inak wszyscy jedną plagą ze mną zginięcie. «Skąd to masz?» rzecze kto. Od Boga przez ludzi, co wam też za koleną posyłam; gdyż tak po skarbie zakopanym, jako po studni zamknionej, ludziom korzyści niemasz żadnej. «Ktoś ty jest?» spytacie. Brat jeden z Rusi wasz, niczem innem, jedno miłością wszech was, znakomity na świecie. «Cóż to jest, co nam ślesz?» Quincunx. «Co Quincunx jest?» Kompas.

¹ welna = bałwan.

² opiekun (kapitan statku).

³ rata! rety! = gwałtu!

⁴ wiatr północny.

«Co kompas każe?» Drogi morskie, gwiazdy niebieskie, wiatry słuszne, porty pewne na tem burzliwym morzu ukazuje polskiej Koronie. Od czego jeśli odstąpicie, portu chybicie, a rychlej w Kalikucie¹, aniżli doma będziecie. A iż to tak jest, słuchajcie, co Quincunx nasz o was w rozprawie swej z papieżnikiem, ewanielikiem, z Orzechowskim, bezpiecznie² mówi przed wami.*

*** Królestwo a księstwo. Wolność polska a niewola litewska. Bohaterstwo polskie** (z *Quincunxa*). Król nad królmi, Pan Chrystus, nazwał swoje państwo królestwem, a dyjabelskie, sobie przeciwne, państwo — księstwem nie prze co inego, jedno że własność³ królestwa wolność jest, na którą urodziliśmy się z pierwu⁴ byli, którąchmy potem grzechem byli stracili i z królestwa w księstwo byliśmy wpadli; z którego księstwa przeniósł nas Pan Krystus śmiercią swą zasię do królestwa, którego własność wolność jest, tak, jako księstwa własność jest niewola — rzecz, człowieczej naturze przeciwna. Przeto Pan Krystus królem wiernych swych tak przez anioła, jako sam przez się, jest mianowany, a dyjabeł ludzi niewiernych, mizernih i też nędznych — od tegoż Syna Bożego — księżciem wezwany jest.

Łotr też na krzyżu, podla⁵ boku Pańskiego wisząc, nie mówił ku Panu tak: «Pomni mię, Panie, w księstwie Twem», — ale, Duchem św. natchniony, tak mówił: «Pomni mię, Panie, w królestwie Twem!» Czemu? Przeto, iż się był ten święty łotr urodził w księstwie, to jest w niewoli dyjabelskiej, z której pragnął wybawiony być do swobody bożej, której nigdzie indziej nie widział, jedno w królestwie, Panu Krystusowi poddanem...

Azaż w Ewanieliej jawnie nie widzicie, jako ón marnotrawca, z królestwa, od ojca, w obcą krainę, to jest w księstwo, wpadszy, wszystkie ozdoby pocziwości swej szlacheckiej był utracił, swinie pasł, młóto⁶ z niemi jadał, prawą swinią w księstwie był; a gdy zasię szpatność⁷ swą i księstwa onego był obaczył, wrócił się nawstecz do swojego ojca królestwa. Patrzajże, jako go tu ociec wita! Kazał nań naprzód wdziać szatę przedniejszą, znak wolności królewskiej... Potem dał mu pierścień, którego za wieku starego żaden nie nosił, jedno pocziwy szlachcic... Otóż masz, jako ten marnotrawca w księstwie pierścień, to jest szlachectwo swe, był utracił, którego nie pierwej zasie nabył, aż był od ojca w królestwo przyjęty. I tenże ociec, dawszy pierścień, t. j. szlachectwo, znowu synowi, zabił przeń⁸ wołu tłustego: a wół a żóna są przedniejsze rzeczy w gospodarstwie statecznego człowieka... Tym tedy wołem tłustym uczynił syna swego, w księstwie upadłego, uczestnikiem domu swego wszystkiego... Mało na tem, ale jeszcze tenże ociec śpiewać i tańcować rozkazał, czyniąc dobrą myśl⁹ synowi...

Otóż macie z Pisma św. królestwo i księstwo, równajcież je teraz z sobą! Patrzajcie na hardego wolnością a świetnego swobodą na świecie Polaka: szatę nosi Polak znamienitą, to jest równą z swym królem wolność; ktemu nosi Polak świetny pierścień złoty, to jest szlachectwo, którem najwyższy niższemu równy w Polsce jest; ma wołu wspólnego z królem, panem swym, to jest prawo pospolite, które tak jemu, jako i królowi jego, w Polsce jako wół równo służy. Takowym będąc Polak, zawsze wesółym w królestwie swem jest, śpiewa, tańcuje swobodnie, nie mając na sobie

¹ Kalikut — Kalkuta. ² śmiało. ³ właściwość. ⁴ najpierw, początkowo.
⁵ podle, wedle. ⁶ słodziny, lupiny. ⁷ szpetność. ⁸ dla niego, na jego cześć.
⁹ wesołość.

niewolnego obowiązku żadnego, nie będąc nic królowi, panu swemu zwierzchniemu, inego winien, jedno to: tytuł na pozwie, dwa grosza z ładu a pospolitą wojnę; czwartego nie ma Polak nic, coby jemu w królestwie myślą dobrą kaziło... Niech to Litwa weźmie przed się, iż urodzony Polak czterzy rzeczy własne ma, któremi hardym i wspaniałym¹ człowiekiem między najprzedniejszymi ludźmi na świecie jest: naprzód matką, którą statutem srogim *de turpiloquio*² obwarował sobie Polak, pilnie strzegąc niepokalanego narodzenia swego; potem starodawnem szlachectwem, które z Czechem a z Lechem z Charwat do Polski z sobą przyniósł Polak; wie Polak, co szlachectwo umie a jakich obyczajów i zachowania potrzebuje; trzecia też przy Polaku rzecz jest, którą Polak świetnym na świecie jest: całą przeciwko królowi swemu wiarą, którą tak umiłował Polak, iż od wieku polskiego to się nigdy nie najdzie, ażeby kiedy Polska zdrajcę przeciwko królowi swemu polskiemu urodziła... Nakóńiec, równością Polak wszystkie inne królestwa przesiągnął; niemasz w Polsce kniazów, grofów ani książąt żadnych; tem jednym słowem: SZLACHTA wszystkich naród i gmin polskiego rycerstwa się zamyka. Chce li tedy Litwa temi czterzoma rzeczoma, to jest: matką, szlachectwem, wiarą, równością, Polsce być równą, niechajże ona co rychlej księstwo swoje w królestwo, a księdza³ litewskiego w króla polskiego, a niewolą w swobodę, hańbę w cześć, głupotę w mądrość, a hrubość swą w ćwiczoną naturę polską co rychlej zmieni, gdy po temu czas mają, a gdy ich polska Korona pod płaszcz wolności swej w towarzystwo swe dobrowolnie wzywa, a gdy im też tego król nasz polski, a ksiądz wielki ich, miłościwie życzy i tego im dozwala i do tego ich wiedzie.

A jeźliże tę szczodroblivość króla swego precz od siebie Litwa odrzuci, niechaj to wie, że ona ani Koronie polskiej, ani Litwin żaden, by też był najzacniejszy i najprzedniejszy, najniższemu Polakowi w niczem równym być nie może: abowiem, jeźliże królestwo wszelaką zacnością przewyższa każde księstwo, tedy też każdy człowiek w królestwie wszelaką zacnością przewyższa w księstwie każdego człowieka... Nie ujmuję tu ani przydaję nikomu nic, tylko o rzeczach mówię tak, jako same w sobie postanowione od Boga są, wedle którego postanowienia może Polak bezpiecznie do sąsiada swego Litwina, wzywając go do wolności i do zacności swej polskiej, w miłości tak mówić, życząc jemu teje wolności, którą sam Polak w królestwie swem polskiem od każdego w księstwie człowieka błogosławionym jest:

«O, niewolny Litwinie, mnie wolnego słuchaj Polaka! Wzywam cię do «siebie, wolności swej przyrodzonej i błogosławieństwa swego szczodrobliwie i wiernie użyczam tobie! Nie dla siebie, ale dla samego ciebie, w spółeczność swą cię biorę! Z niewolnika wolnym wolnością swą cię czynię, jakom też niewolnego przed laty Rusina wolnym i swobodnym panem i równym we wszem sobie uczynił, z którym w ziemi jego mieszkam i gruntu «jednego z nim używam, wszystkiego na poły z nim mam, nie jako z sąsiadem, ale jako z swym własnym bratem!... Takoweż dobrodziejstwo ja, «wolny Polak, dobrowolnie tobie, niewolny Litwinie, ofiaruję; które dobrodziejstwo ażebyś tem wdzięczniej ode mnie przyjął, obacz niedostatki swoje, a wielkie dostatki moje! Tobie się pan rodził, mnie się nie rodził; tego ty «pana masz, któregoś mieć musiał: ja, Polak, tego króla mam, któremom

¹ wspaniały.

² o uwłaczaniu czci.

³ książe.

«mieć chciał! Nie masz ty żadnej obrony przeciwko zwierzchności książę-
«cia swego: a ja mam obronę przeciwko królowi swemu — przysięgę jego,
«uczynioną pod zwierzchnością stanu kapłańskiego! W jarzmie ty, Litwi-
«nie, jako wół chodzisz, albo jakoby zniewolona monszlukiem szkapą pana
«przyprowadzonego na grzbiecie swoim nosisz; a ja, Polak, jako orzeł bez pę-
«tlic na swej przyrodzonej pod królem swym bujam swobodzie!»

To tak naród polski śmieje do Litwy mówić może! A co mówię o Li-
twie, toż rozumiej i o Moskwie, o Wołoszech, o Turcech i o innych mocar-
stwach! Ilko ty widzisz z księstwa ludzi, tylko widzisz niewolników, a ilko
widzisz Polaków, tylko widzisz swobodnych panów, którym każdy inszy
z księstwa niewolnik zawsze z harcu tak ustępować musi, jako lwowi ustę-
pują sarny, kozy albo dzicy jelenie... Zajączego jest serca niewola: pierw-
«ci ona ucieka, aniżli ją swoboda płosza; niechaj niewola w kamkach¹ albo
i w złotogłowach, na bedewijach² albo i na dzianetach³ hardzie jeździ, niech
sobie tytułów zdobywa a jemi się ozdabia; nakóńciec niech się ta sowa zja-
strzabia, jako chce, przedsie sowa sową będzie, z orłem nigdy nie zrówna:
dnia, to jest Polaka, chronić się i nocy swej patrzeć musi; z tym orłem
w słońce ta sowa nigdy równo patrzeć nie będzie!...

Pytajcie tych, którzy w sokalskiej bitwie⁴ byli — ci wam powiedzą,
co dzielna wolność polska umie! Mikołaj Fierlej, Mikołaja Fierleja, kasztel-
lana krakowskiego a hetmana wielkiego i mądrego (mogę tak rzec: Fabi-
jusza Cunctatora polskiego) syn... przebiwszy się przez wszystko tatarskie
wojsko na zad wojska tatarskiego, zamordowany po bitwie nalezióń jest.
A cóż tego Fierleja inego przez wojsko tatarskie przeniosło było, jedno nie
wolność a króla swego miłość?

W tejże bitwie Frydrych Herbort z Fulsztyna, gdy był cało z bitwy
wyjechał, obróciwszy się, postawszy mało nad bitwą, zatrząsnąwszy wzdorę
ręką a ono rycerskie hasło zakrzyknąwszy: «O, bezecna poczeiwości⁵, toć
mnie dla ciebie dzisiaj gardło dać!» — ochynał się⁶ w ony uffy tatarskie
i z wielką tatarską szkodą w kupie mężnych Kozaków, którzy z nim skupili
się byli, odbywszy⁷ kóni, z łuki pieszki⁸ ordę wszystkę tatarską na sobie
dzierżawszy, tam został i gardło swe między drużyną wierną swą mężnie
dał, okupując cześć króla swego, poczeiwość swą a wolność królestwa pol-
skiego krwią i śmiercią swą. O, mężna polska cnota, toć u ciebie nie po-
dleszego⁹ nad śmierć nie jest! Chwałą Leonidę swego Grekowie, który tylko
ze trzemasty ludzi, dzierżąc na sobie wszystkie persyjańskie wojska Xerxa
króla w ciasnych Termopilach, tako upominał drużynę miłą swoją: *Pergite
animo forti, o Lacedaemonii, hodie apud inferos fortasse coenabimus.*¹⁰
Toż-ci też uczynił ten Herbort sławny nasz, który ku zmordowanej już bi-
twą drużynie tak wołał krzykliwie: «Tu, o wierna drużyno, gardła dajmy,
cześć panu swemu po sobie zostawmy! Miejsca lepszego nie będzie ku temu
napotem, by cnota zapłatę swą w Polsce miała». I nie byliby był ten
Herbort z Fulsztyna z drużyną swą onego pogrzebnego u Polaków napisu
godzien, który Leonidas on zacny u Spartanów z Lacedemona miał?

¹ kamcha = adamaszek. ² bedewija = koń arabski. ³ rumak. ⁴ w r. 1519.

⁵ o honorze szlachecki, z czci wyzuty. ⁶ zanurzyć się. ⁷ pozbyć się. ⁸ piechota.

⁹ nie łatwiejszego. ¹⁰ Idźcie śmiało naprzód, Lacedemończycy, dziś może siądziemy
do uczyty u bogów podziemnych!

*Dic, hospes, Spartae, nos te hic vidisse jacentes,
Dum sanctis patriae legibus obsequimur!*¹

44. Młodzież polska, kształcąca się we Włoszech, przywoziła z sobą do Polski nietylko wiedzę, zwłaszcza znajomość literatury starożytnej, ale nadto obyczaje, ogładę towarzyską i wogóle cywilizację włoską, którą się starała potem krzewić we własnym kraju. Otóż jednym z jej najgorliwszych wielbicieli i krzewicieli był **Łukasz Górnicki**; (1527—1603). Czy był istotnie mieszczaninem (jak to niektórzy mniemają), nie jest rzeczą pewną; być może, iż pochodził z rodu szlacheckiego, ale w każdym razie niezamożnego. Pomimo to, dzięki swemu wykształceniu, kulturze towarzyskiej i sprytowi życiowemu, nietylko żył w przyjaźni z najwyższymi dygnitarzami, ale cieszył się nawet względami Zygmunta Augusta i Stefana Batorego.

Był to niepospolity stylistą, który, przy całym swoim uwielbieniu dla literatury i języków starożytnych, pisał wyłącznie po polsku, a władał mową ojczystą tak biegle, jak mało kto w XVI wieku. Jego język nie ma wprawdzie ani tej obrazowości i dosadności, co język Reja, ani tej żywiołowej siły, co język Orzechowskiego, ale posiadała zato nieznaną przedtem w literaturze naszej szlachetną powagę, a nadewszystko dokładność w wyrażaniu myśli, będącą owocem sumiennej i uczciwej pracy człowieka, który się wręcz kochał w języku ojczystym i wziął sobie za punkt honoru patriotycznego dowieść, że w języku polskim można nietylko zrozumiale, ale nawet i pięknie wyrazić wszystko, co pomyśli głowa, nie wyłączając myśli najgórniejszych i najgłębszych. Tej właśnie szlachetnej powadze, dokładności i piękności języka zawdzięcza głównie Górnicki swoje wysokie stanowisko w literaturze naszej XVI wieku; prześcignię go pod tym względem dopiero Skarga (z tą wszakże na korzyść Górnickiego różnicą, że Skarga o przedmiotach filozoficznych mówić nie będzie).

Nie miał Górnicki umysłu ani głębokiego, ani samodzielnego, ale jako człowiek rozsądny i bardzo wykształcony, rozumiał doskonale, jakim dobrodziejstwem jest dla narodu nauka i cywilizacja, a jaką szkodą nieuctwo i barbarzyństwo: «z głupstwa wszystkie nieprawości rosną; jeśli pirwej nie wypurguje² człowiek oczu umysłu swego a nie będzie widział tej dobrej drogi, którą iść ma, nie jest rzecz można³, aby kiedy sam z siebie przystojnie żyć mógł». Otóż postanowił Górnicki oświecać Polaków, dając im do czytania książki pełne mądrości, w tem przekonaniu, że bez mądrości człowiek nigdy nie będzie prawdziwie cnotliwym. A ponieważ za najwyższą mądrość poczytywał tę, którą stworzyli starożytni, oraz Włosi, więc z jednej strony przyswajał literaturze ojczystej pisma starożytnych Rzymian, a z drugiej — pisma Włochów. Mieszkając przez czas dłuższy we Włoszech, zwłaszcza w Padwie, gdzie odbywał nauki uniwersyteckie (na wydziale prawnym), polubił tamtejsze wykwiłne obyczaje w życiu towarzyskiem; to też podobała mu się niezmiernie piękna książka pisarza włoskiego, Balthazara Castiglione'go, p. 1. *Il cortegiano*, t. j. *Dworzanin* (1528), poświęcona właśnie pełnemu taktu i oglądy życiu dworskiemu, i postanowił ją spolszczyć, aby się i Polacy, których ogromna większość nie posiadała oglądy towarzyskiej, mogli w niej rozmiłować. I oto wcześniej jeszcze, aniżeli Ży-

¹ powiedz, wędrowcze, Sparcie, żeś nas tu widział poległych, posłusznych świętym prawom ojczyzny! ² wyczyścić. ³ niepodobna.

wot człowieka poczciwego Reja, ukazał się *Dworzanin polski* Górnickiego (1566), jedna z najpiękniejszych ksiązek polskich XVI wieku, będąca po części przekładem, a po części przeróbką *Dworzanina* włoskiego.

Z zadania swojego wywiązał się Górnicki świetnie: jeżeli tłumaczy *Castiglione*'go, to tłumaczy wiernie, a jeśli go przerabia, to przerabia bardzo zrzęcznie, zawsze pamiętając o tem, że pisze dla Polaków. W oryginale włoskim rzecz dzieje się w Urbino, na dworze księżęcym: w przeróbce polskiej — pod Krakowem, nad rzeczką Prądnik, w willi Samuela Maciejowskiego, biskupa krakowskiego i kanclerza koronnego; tutaj to schodzą się wykwinni dworzanie, przyjaciele biskupa, i rozmawiają o przymiotach i zachowaniu się prawdziwego dworzanina. W *Dworzaniu* włoskim udział w rozmowie biorą i kobiety: w *Dworzaniu* polskim — sami mężczyźni, bo, jak mówi Górnicki, «ani nasze Polki są tak uczone, jako Włoszki, ani drugie rzeczy, które owdzie są, cierpiećby ich uszy nie mogły». Wogóle pominał Górnicki to wszystko, co poczytywał dla Polaków za nieodpowiednie albo niepotrzebne; opuścił np. rzecz o malarstwie, «bo mi sie to widzi rzecz mało potrzebna, a też naszym Polakom, którzy *delicatum palatum*¹ niedawno mieć poczęli, nie szłoby to w smak»; pomijał także z zasady to wszystko, coby, jego zdaniem, «poczciwe uszy obrazić mogło», np. tłuste anegdoty i rozmaite «lascywije»². Natomiast dodał niejedno, czego w oryginale włoskim niema; a czerpał te dodatki nietylko z pisarzy greckich i rzymskich (zwłaszcza z Cycerona), ale i z życia — z rzeczywistości polskiej, jak np. długi ustęp o grze w karty, kilka krótkich ustępów o przymiotach i zadaniach kobiety, o modach, a nadewszystko cały szereg dykteryjek czyli facecyj.

Dworzanin polski składa się z czterech ksiąg. W pierwszej rozmowa toczy się na temat, jakie przymioty zdobić winny prawdziwego dworzanina. Dworzanin powinien być z urodzenia szlachcicem (bo tacy to już ludzie, że zawsze cenią wyżej szlachcica od nieszlachcica), z powołania rycerzem, pełnym męstwa i szlachetności, a nadto człowiekiem wykształconym, któryby znał dobrze języki obce, starożytne i nowożytne, któryby chętnie czytywał znakomitych poetów, mówców i historyków, umiał pisać dobrze listy, a nawet wiersze, któryby wreszcie odczuwał piękność muzyki. Ale to nie wystarcza: idealny dworzanin powinien być człowiekiem fizycznie zdrowym (w myśl zasady starożytnej: «Zdrowa dusza w zdrowem ciele»), biegłym we wszystkich ćwiczeniach rycerskich, a co najważniejsza, powinien mieć «przystałość», t. j. grację, która polega na doskonałej naturalności, na zupełnej swobodzie, na braku wszelkiego «wydwarzania» (t. j. przesady) zarówno w ruchach, jak i w mowie.

W księdze drugiej mowa o tem, jak ma dworzanin używać tych wszystkich swoich przymiotów, t. j. mowa o takcie towarzyskim. Jakie są ogólne przepisy zachowania taktu, tego Górnicki nie mówi — i słusznie, bo nauczyć się taktu niepodobna: jedynie dobre wychowanie i jakiś wrodzony instynkt mogą człowieka uczynić taktownym; mówi więc tylko Górnicki, że taktowny dworzanin ze wszystkich swoich przymiotów «uczyni jedną masę, tak iżby każda sprawa jego pachnęła wszystkiemi cnotami», a potem udziela różnych drobnych wskazówek, jak się ma dworzanin zachowywać wobec kobiet, wobec przyjaciół, przy grze, jak się ma ubierać i t. p. Do taktu towarzyskiego należy umiejętność rozweselania towarzystwa zapomocą żartów,

¹ delikatne podniebienie.

² niewstydlivości.

a więc zapomocą bądź uciesznych i wesołych dykteryjek i dowcipów, bądź psot i figlów (byleby nie bolesnych i nie szkodliwych); tym to żartom poświęca Górnicki większą część księgi drugiej i przytacza za autorem włoskim całe mnóstwo dykteryjek, ale dodaje od siebie dykteryjki, wzięte z innych źródeł, np. z Cyclerona albo z powieści o Sowizdrzale, i coś czterdzieści dykteryjek polskich, np. o jakimś szlachcicu, zapalonym myśliwym, co lgał jak najęty, że «w szczuce¹ nalazł jastrząba, a on kuropatwę skubie», i że «miał kiedyś lecowego², który, w wozie ciągnąc, kuropatw zawietrzył, a on, nie będąc takim³, wysiadł i pięćdziesiąt ich kobiercem przykrył». Polską także jest dłuższa dykteryjka o Skotnickim i Pukarzewskim, arcydzieło prostoty i humoru. Od facecyj Reja różnią się dykteryjki w *Dworzaninie* tem, że nie «obrażają poczciwych uszów», a są nieraz prawdziwie dowcipne.

W księdze trzeciej toczy się dysputa o kobietę. Jedni uczestnicy rozmowy poczytują kobietę za najgorsze stworzenie pod słońcem, inni za najlepsze i najszlachetniejsze; obrońcy kobiety zbijają zwycięsko poglądy swych przeciwników i kreślą idealny obraz «dwornej pani». Jak dworzanina, tak i «dworną panią» powinny zdobić liczne przymioty, cnoty i nauki: «szlachcianką się urodzić, strzec się wydwarzania, mieć wdzięczność we wszystkim, co pocznie, mieć dobre obyczaje, umieć niemało rzeczy, mieć dowcip wielki, wielkie baczenie, nie być hardą, zawistną, kłótliwą, swarliwą, kłamliwą, sprośną, ni o kim źle nie mówić»; z tem wszystkim jednak powinna być inna, niż dworzanin: nie wolno jej utracać swej kobiecości, «bo jako mężczyzna ma to w każdej sprawie pokazywać, iż jest jako dąb, tak zasię w białejgłowie ma być coś pieszzonego, w miarę przystojnego żeńskiej niedużości, aby w staniu, w chodzeniu, w mowie i cokolwiek pocznie, nie było w niej znać nic męzczyńskiego»: słowem, powinna mieć kobieta swoją osobną grację i swój osobny takt — «mądrą powagę», która jej nie pozwoli nic nie stosownego powiedzieć ani uczynić. O względy takiej kobiety dworzanin powinien się ubiegać ze wszystkich sił swoich.

Księga czwarta powraca od dwornej pani do dworzanina. Jej główną treść stanowi rozmowa o celach, do jakich dążyć powinien dworzanin. Nie wolno mu chować dla siebie wszystkich swoich przymiotów: dworzanin jest najbliższym towarzyszem swego pana (króla) i jego to powinien uszlachetniać, bo tym sposobem przyczyni się do szczęścia całego państwa, które zawsze «szczęśliwsze jest, gdzie król cnotliwy rozkazuje». Niedosyć na tem: prawdziwy dworzanin powinien nadewszystko ukochać najwyższe ideały ducha ludzkiego, a więc dobro i piękno, a ta miłość ideałów doprowadzi go do doskonałej miłości i poznania Boga, który jest najwyższą doskonałością i źródłem tych ideałów, do których dąży szlachetny i rozumny człowiek.

Oto ideał dworzanina polskiego, oto główne myśli, jakie Górnicki pragnął zaszczerpić w swoim społeczeństwie. Ponieważ *Dworzanin polski* jest przekładem albo przeróbką z włoskiego, więc, z wyjątkiem kilkunastu oryginalnych ustępów, za źródło poznania obyczajów polskich uchodzić nie może: pod tym względem *Zywoł człowieka poczciwego* Reja większą posiada wartość, bo pełno w nim rysów obyczajowych, wziętych wprost z życia szlachcica polskiego; te zaś rysy świadczą, że ogół szlachty nie miał nawet pojęcia o takim życiu, jakie mu zalecał Górnicki: nie uganiał się za tak wysokim wykształceniem, nie dbał ani o grację, ani o subtelny takt towarzyski,

¹ szczuka = szczupak.² t. j. konia lecowego.³ t. j. głupcem.

a oddany gospodarstwu, nie miał zbyt wysokich dążeń duchowych. Życie tak wykwiśnie i szlachetnie, jak dworzanin Górnickiego, pragnęły, co najwyżej, najmędrze i najszlachetniejsze jednostki. To też *Dworzanin polski* nie był wcale książką poczytną, co jednak nie przeszkadza, że w historii literatury naszej zajmuje stanowisko ważne jako świadectwo dążności najukształconszych ludzi XVI wieku do wysokiej kultury, a nadewszystko jako piękność języka polskiego.

*** Wstęp** (w skróceniu). Tuż u Krakowa jest rzeczka Prądnik, nad którą Samuel Maciejowski, biskup krakowski i kanclerz koronny, włoskim kształtem dom piękny zmurować kazał, jako dla wielu inych dobrych przyczyn, tak też dlatego, aby w tak osobnym¹ kraju, jaki jest około Krakowa, miał miejsce, gdzieby postronni ludzie a wielkich królów posły czcić mógł. Abo-wiem mając on na sobie wielkie sprawy, dla których w jego domu u wszystkich gmachów drzwi zawsze otworem stały, snadniej mógł na stronie, niż w mieście, uczynić temu dosyć. A w tem nie szukał ani rozkoszy żadnej, ani swej własnej chluby², którą sie przyrodzenie jego hydziło³, ale pomniąc sie być mało nie pierwszym senatorem w Polsce, pomniąc sie być urzędnikiem koronnym, ustawicznie to omyślał⁴, skądby Król J. M. cześć, a naród polski sławę u postronnych miał ludzi. Które chwalebne jego staranie iżby tem łatwiej szło ku zamierzonemu kresu, natura macochą jemu nie była, ale taką matką, iż co sobie człowiek jeden od niej żędać⁵ może, to wszystko jemu była dała hojną ręką. Miał urodę prawie⁶ pańską, twarz wdzięczną, a z której niceś inego sędzić⁷ nie mógł, jedno szczyry umysł a dobre serce; rozum ostry, nauki wiele, biegłości w rzeczach, dzielności w sprawach dosyć; w czem wszystkim dobrze szafować umiał, bo w szczęściu nadętości⁸, a w nieszczęściu upadłej myśli⁹ znać nie było...

Ten tedy taki biskup, Sokrates drugi, miał zawsze około siebie zacne, uczone i dzielne ludzi; na co kosztu ani starania nie litował, garnąc takie ku sobie i wielkimi jurgielti¹⁰ wzywając, tak iż dwór jego był jedną osobną szkołą rycerskich ludzi, z którymi żył nie jako pan z sługami, ale jako ociec z syny... A iż ustawicznie mieszkał u dworu, cisnął sie do tego czelniejszy z dworzan każdy, aby był w domu księdza Maciejowskiego nie gościem, gdzie i było zawsze czego słuchać i miał plac człowiek pokazać to, co umiał — w gromadzie onych osobnych ludzi, jakich tam pełno było...

Rychło tedy potem, kiedy Król J. M. po śmierci króla Zygmunta, świętej pamięci ojca swego, na regiment Królestwa Polskiego wstąpił i do Krakowa przyjechał, ksiądz Maciejowski, prze niebarzo sposobne zdrowie na Prądnik odjechawszy, siedm' albo ośm' dni tam mieszkał. A gdy do niego często dworzanie: pan Kryski, pan Wapowski, pan Aleksander Myszkowski, pan Derśniak, pan Bojanowski i ini zacni przyjeżdżali, trefiło sie raz, iż ksiądz biskup, po obiedzie u stołu siedząc (gdzie też był i J. M. pan Stanisław Maciejowski, kasztelan lubelski), gdy ktoś karty wspomniał, powiedział: «Azaby sie nie mogła należeć jaka ina krotochwila, nie ta ustawiczna — karty? Czemuby też kto nie wniósł owego obyczaju do nas, który jest we Włoszech, iż szlachta zacna, polerując rozумы swoje, wynajduje na biesie-

¹ osobliwy, nadzwyczajny, piękny. ² chluba ³ brzydzić się. ⁴ obmy-
ślać. ⁵ żędać, życzyć. ⁶ prawdziwie. ⁷ sędzić. ⁸ pycha. ⁹ przygnę-
bienie. ¹⁰ jurgielt (Jahrgeld) = pensja roczna.

dzie gry rozumne i tych używa, w których się nierówno więsza pociecha i pożytek znajduje aniżeli w karciech? Zaprawdę W. Mciomby to przystało, którzy świeżo z Włoch przyjeżdżacie, nie zaniechywać tych dobrych zwyczajów, ale owszem wieść do tego drugie, żeby się ich imowali. Panie Kryski, do W. Mci ja mówię, których podobno lepiej, niż kto inny, włoskiej ziemi świadom: pokuś W. M. tego!... Niechajby się takowe gry od W. M. poczęły! Masz oto W. M. równe towarzystwo: pana Wapowskiego, pana Myszkowskiego, pana Derśniaka, którzy tego W. Mci radzi pomoga; i Kostka mój, chocia młody, jednak w tej mierze może się popisać niegrubie¹.

Na to pan Kryski tak odpowiedział: «Jako wiele inych obyczajów dobrych jest we Włoszech, Miłościwy księże, tak też ten, który ja barzo chwale, iż ludzie zacniejszy mają tę zabawę pożyteczną ku obostrzeniu rozumu: gry rozmowne i barzobym ja temu rad, aby się ich też u nas ludzie niesprośni² jęli. Ale do wynalezenia i podania rzeczy ludziom trzeba człowieka wziętego, iżby to, co powie, szło w posłuch... A ja przed W. M., panem swym, nie chciałbym się źle popisać: bo ledajako mówić zeszloby się³ gdzieindziej, mnie zwłaszcza, który mądrze mówić nie umiem, ale przed W. M. żadną miarą...»

Natenczas pan Andrzej Kostka tak powiedział: «Puścisz li to W. M. Miłościwy księże, na one same, nie rychło się na to zgodzą, kto będzie miał z nich te gry począć; aleby lepiej, ażebyś to W. M. jednemu rozkazał, bo kiedy to będzie, już się żaden nie wymówi...»

Powiedział zasię ksiądz biskup: «Dobrze, Kostka, gdyś tego sam podał, trudniej tobie będzie, niż komu inemu, z tego się zedrzeć.⁴ Tobie to rozkazuję, abyś począł a swoją grę wynalazł...»

Zatem pan Kostka rzekł: «Nagła to na mię⁵, M. księże; nielza, jedno mi⁶ się do cudzej pomocy uciec, bo tak dobrej gry w swojej głowie nie najdę, jakam raz we Włoszech słyszał».

Ledwie tego domówił pan Kostka, kiedy przyszło pacholę, dając znać, iż komornik⁷ z listy od króla J. M. przyjechał; które listy gdy ksiądz biskup wziął i przeczedeł, iż się wielkie rzeczy... w nich zamykały, zaraz wstać a dla odprawy ich do kownaty⁸ (bo ta rozmowa na sali była) iść musiał, zostawiwszy na miejscu swem J. M. pana⁹ lubelskiego i przykazawszy, aby każdy był rozkazania jego posłuszen.

Po odeściu księdza biskupa rozkazał pan lubelski, aby pan Kostka, jako począł, mówił. Który w te słowa powiedział: «...Jabym chciał, aby ta nasza gra była, iżby każdy powiedział, którąby osobliwie cnotą chciał mieć ozdobionego tego człowieka, którego by miłował...»

Pan lubelski... tak powiedział: «Mnieby się ta gra barzo podobała, ale mi idzie o to, żeście się W. Mciowie jeszcze nie wszyscy wyprawili...¹⁰ Pan Kryski... nie powiedział gry swojej. A jeśli ja dobrze znam postawę¹¹ jego, widzi mi się, że miała nam coś osobnego... powiedzieć... Weźmiesz to W. M. na się, panie Kryski, opisać i wymalować słowy doskonałego dworzanina; co tem ochotniej W. M. uczynisz, im to lepiej, niż kto inny, rozumiesz, jako wiele na posłuszeństwie należy, gdzie ma być porządek. A komu się co ina-

¹ nie bylejak. ² wykształceni. ³ uszloby. ⁴ wymówić się. ⁵ nagła (rzecz) to na mię = nie jestem do tego przygotowany. ⁶ nielza, jedno mi = muszę.
⁷ szambelan. ⁸ komnata. ⁹ kasztelan. ¹⁰ wyprawić się = wypowiedzieć się.
¹¹ mina.

czej, niż W. M. powiesz, będzie zdało, temu niech będzie wolno przeciwko W. M. mówić.*

*** O gracji w mówieniu i pisaniu.** Pan Kryski rzekł: «Mój dworzanin... będzie miał we wszystkim gracyją, a zwłaszcza w mowie, jeśli sie strzec będzie wydwarzania¹, której wady pełno wszędzie, a podobno u nas w Polsce więcej, niż gdzieindziej. Abowiem nasz Polak, by jedno kęs z domu wyjechał, wnet nie chce inaczej mówić, jedno tym językiem, gdzie troszkę zmieszkał: jeśli był we Włoszech, to za każdym słowem *signor*², jeśli we Francycyjej, to *per ma foi*³, jeśli w Hiszpanijej, to *nos otros cavaglieros*⁴, a czasem drugi, chocia nie będzie w Czechach, jedno iż granicę śląską przejedzie, to już inaczej nie będzie chciał mówić, jedno po czesku, a czeszczyzna wie to Bóg jaka będzie! A jeśli mu rzeczesz, żeby swym językiem mówił, to powie, iż zapomniał, abo że mu sie przyrodzony język prawdziwie gruby widzi, czego dowodząc, wyrwie jakie staropolskie z *Bogarodzice* słowo, a z czeskim jakimś gładkiem słówkiem na sztych je wysadzi⁵, aby swego języka grubość, a obcego piękność pokazał; nakoniec i z tem na plac wyjedzie⁶, że niemal każdy w języku polskim wymówca⁷ czeskich słów miasto polskich używa, jakoby to było naschwał⁸ dobrze».

Tu pan Aleksander Myszkowski powiedział: «Tedy sie to W. M. nie podobą, kiedy Polak bierze w polszczyznę czeskie słowa?»

Odpowiedział pan Kryski: «Niema sie co podobać, kiedy kto, mając swe własne⁹ polskie słowo, zarzuciwszy ono, pożyczą na jego miejsce z cudzego języka... Prawda jest, gdzieby słowa polskiego nie było na tę rzecz, którąby Polak okrzyć miał, abo w przetłumaczeniu z jednego języka na drugi potrzebowałby cudzego słowa, nie telko tego nie ganieć, kiedy tak z podobnego naszej mowie języka, jaki jest czeski, weźmie słowo, ale też i z łacińskiego, zwłaszcza jeśli by łatwe ku wyrozumieniu abo już nieco utarte słowo było, wziąć mu dozwalam. Także podobno naszy wymówce polscy sławni czynili, czego nie rozumiejąc dzisiejszy, z onegoż wydwarzania, które tak barzo człowiekowi nie przystoi, przyszło im to, że jeli niewstydliwie w swój język kłaść dziwne słowa cudzoziemskie, a miasto słów wybornych polskich stawiać czeskie, dobrze¹⁰ niż nasze podlejsze; za tem to idzie, iż tych nowych Ciceronów mało rozumiemy, a tego prosto nic, co nam kiedy na piśmie podadzą. I mnimają oni, by to był najwiętszy rozum tak mówić abo tak pisać, jakoby abo mało ludzi, abo żaden nie rozumiał; w czem jako błędzą, znacie to W. M. dobrze sami».

Natenczas pan Myszkowski tak powiedział: «Dzierzę o tem, iż ktoby tak mówił, iżby go trudno wyrozumieć, byłaby to siłna wada, ale pismu, widzi mi sie, że to przynosi powagę jakąś, kiedy kto węzłowacie¹¹, a nie tak zbyttnie łatwie pisze».

Powiedział zaś pan Kryski: «Nie wiem, czemu by inakże pisanie być miało, niż mowa, gdyż pisanie nic inego nie jest, jedno jakiś kształt a wyobrażenie mowy, które zostaje, chociaż już człowiek wypowiedział, jakoby wizerunkiem tego, co sie rzekło; a prosto jest pisanie ta rzecz, która daje żywot słowom. Otóż ona trudność, która z słów cudzoziemskich roście, rychlejby sie

¹ przesada, nienaturalność, wymuszoność. ² pan. ³ (w dzisiejszym jęz. franc. — *par*) — słowo uczciwości. ⁴ my szlachta. ⁵ na sztych wysadzić = porównać. ⁶ na plac z czem wyjechać = przytoczyć co jako dowód. ⁷ mówca. ⁸ nadzwyczajnie. ⁹ własne. ¹⁰ daleko. ¹¹ zawile.

jeszcze zesła w mowie, niż w pisaniu, bo gdy mówimy, ci, którzy nas słuchają, mogą spytać, jako sie co rozumieć ma, ale kiedy ja cudze pisanie czytam, tam (gdyż niemasz tego, kto pisał) trudno mam wiedzieć, co to jest, czego wyrozumieć nie mogę. ★

★ **O żartach** (w skróceniu). Każda... rzecz, która ku śmiechu pobudza, uwesela nas i daje sercu ochłodę, a ktemu nie dopuszcza, aby człowiek natenczas pomniał na owe frasunki a doległości teskliwe¹, któremi opływa nasz żywot. A przeto każdemu jest śmiech luby, i ten pochwały godzien, kto go na czas i dobrym kształtem wskrzesić umie... Otóż jakiego kształtu dworzanin w trefnowaniu² i po który kres używać go ma, tyle, ile mi pokaże moje blahe baczenie, postaram sie, abych tu, na tem miejscu, W. Miłościam powiedział. Bo ustawicznie trefnować nie przystoi dworzaninowi, ani też tym kształtem, jako szaleni abo pijanice, abo błaznowie... Też około z uszczknieniem³ trefnowania trzeba być barzo ostrożnym, aby człowiek wiedział, kogo dojechać ma... Z takimi telko kunsztować⁴ i ich niedostatki strofować mamy, którzy ani są tak nędzni, żeby ku ulitowaniu serce poruszali, ani tak barzo niecnolliwi, żeby powroza byli godni, ani tak wielczy, iżby najmniejszy ich gniew mógł nam uczynić wielgą szkodę...

Żart abo kuńsztowna posługa nic inego nie jest, jedno jakieś oszukanie przyjacielskie w rzeczy ani szkodliwej, ani obraźliwej, a jeśli co, tedy niebarzo. Otóż jako w trefnych powieściach⁵, gdy kto co nad pomysł a mniemanie ludzkie wyrzeczce, tak tu, gdy sie co komu nad nadzieję stanie, hnet⁶ sie temu ludzie śmieją. Ale te żarty najharziej chwala, w których jest najmniej sprośności i obrazy, a najwięcej misterstwa; i tychże dworzanin używać ma, bo ze szkodliwych żartów nieprzyjaźni i wielkie zaścia bywają. Żart tedy abo kuńsztowna posługa dwojaka jest...: jedna jest, kiedy kto pięknym kształtem a misternie podejdzie kogo i zbłaźni⁷; druga jest, kiedy kto, nagotowawszy sidło, przynętą przywiedzie k niemu, iż sie sam człowiek ułowi... Pierwszej posługi ten przykład niechaj będzie.

Pan Giżycki stary, mając mieć jednego wielkiego pana, a snać nieboszczyka pana krakowskiego⁸ Szydłowieckiego (z którym pospołu z Prus po dokończeniu wojny jechał) u siebie w domu, powiedział mu między innemi rzeczami, o które go w drodze, jadąc, pytał, jako ma żonę, która barzo nie słyszy, «tak iż muszę — prawi — okrutnie na nią wołać, niż które słowo zrozumie; a przeto nie radbych, abys ją W. M. widział a miał ten niewczas⁹ wołać na nią, by na wilka». Pan krakowski, onęgo żalując a rozpytywając, z temli sie urodziła, czy jej to niedawno kiedy przyszło, żadną miarą inaczej nie chciał, jedno ją widzieć. Owa dla tej przyczyny samej powiedając Giżycki, iż, «jeśli ja sam naprzód nie pojedę, tedy W. M. żony mej widzieć nie będziesz mógł», — dozwolił mu pan krakowski z ostatniego noclegu trzema godzinoma przed sobą wyjechać. Co gdy sie stało, przyjechawszy do domu Giżycki, powiedział takież żenie, iż pan krakowski barzo mało co słyszy, «a dlatego musisz — prawi — dobrze wołać, cheeszli, aby cie zrozumiał». Przyjechał zatem pan krakowski i przywitał silnym głosem panią, a pani

¹ dolegliwości przykre. ² trefnować = żartować, dowcipkować. ³ przy-
mówka. ⁴ żartować. ⁵ dowcipna anegdota. ⁶ wnet. ⁷ wystrychnąć na
dudka. ⁸ pan krakowski = kasztelan krakowski. ⁹ niewygodą.

też, rozumiejąc, iż pan krakowski nie słyszy, dobrze mu głośno podziękowała i szyrokimi słowy opowiedziała radość swoją. Gdy potem do siedzenia za stół przyszło, pan krakowski, aby ludzkość¹ swą pokazał (ktemu, że pan Giżycki u stołu nie siedział, ale to tam, to sam, goście częstując, chodził), ustawicznie z panią Giżycką chciał mówić, a pani, będąc wielkiemu panu w domu swym rada, ochnie nie odpowiadała, iż we wszystkiej izbie nikogo bardziej nie było słyszeć, jako ich dwoje. Owa tego cały obiad było. Po obiedzie pacholcy pana Giżyckiego, chocia mieli srogie zakazanie od pana, a wszakoż, gdy sobie to ten, to ów podrażił², jeśli pytać sług pana krakowskiego, dawnoli to J. M. przyszło, iż nie słyszy. Odpowiedzieli służebnicy pana krakowskiego: «Pan nasz dobrze słyszy, ale wy głuszkę panią macie». A gdy ci śmiać się poczęli, obaczyli hnet służebnicy pana krakowskiego, iż pan Giżycki z pana dworuje³, i hnet pana ostrzegli, tak że pan krakowski z przodku się gniewał, ale potem barzo się śmiać musiał...

Takowych żartów... u dworu siła bywa, ale to są najforemniejsze, które człowieka z przodku nakarmią strachu, a potem wszystko się w śmiech, a krotochwilę obróci, jako wzajem Skotnicki Lula z Pukarzewskim, zacni dworzanie króla starego, uczynili sobie, co oto tak było.

Pukarzewski prosił na wieczerzą Skotnickiego i był mu tak rad, że go i od rozumu odpoił, tak że, kiedy już na nogach stać nie mógł, sługi jego jedne od gospody odprawił, drugie pozamykał, a pana tak spiącego kazał sługom swym nieść do jednego sklepu już na to nagotowanego i tam kazał go wsadzić w łańcuch i w pęta i zamknąć kilkiem kłótek, straż u drzwi przystawiwszy. Skotnicki, iż był okrutnie pijan, jeszcze ktemu na wiatr wyniesiony, kęs jeden onego nie czuł. Owa przespawszy kilka godzin jako umarły, ocknie się nadedniem i woła: «Cóż się dzieje, ki mie djabeł tak wsadził? Przebóg, gdzieżem? A jest tu kto, ozwi sie, proszę!» Gdy na pierwsze wołanie nic mu nie odpowiedziano, pocznie znowu wielkim głosem wołać: «Jest tu kto? przebóg cie proszę, ozwi mi sie!» Dopiero sie straż nauczona odezwała, mówiąc: «Awom ja sam z drugimi, a czego chcesz?» Rzecze zasię Skotnicki: «A ty ktoś, miły bracie?» Odpowie mu: «Straż nad tobą, abyś sie nie wylał». Zaś Skotnicki powie: «A prze cie Pana Boga proszę, któż mie to i prze którą przyczynę w te żelaza wsadził?» Odpowie straż: «A wierę nie wiesz? dowiesz sie, gdy cie we dnie na plac wywiodą». Tu Skotnicki: «Czas panny Maryjej» — i, pomilczawszy trochę, rzecze zaś: «Ale, mój najmilszy bracie, prze cie boskie miłosierdzie proszę, wdy mi powiedz, com uczynił, bo ja, na Bóg ci to żywy przysięgam, nie wiem ani pomnie, abym co namniej przeciwko komu wystąpił». Straż zasię tak powiedziała: «Aza nie pomnisz, żeś pocziwą dzieweczkę zgwałcił i ojca jej, gdyć jej wziąć bronił, zabił?» Skotnicki dopiero krzyknie: «A niestetyż, narodziwszy sie mnie na ten świat, a bezecne pijaństwo, do czegożeś ty to mnie przywiódło, iż oto marnie a sromotnie garło dać muszę. Czemużeś ty radniej, miły Panie, w onych potrzebach, gdzie bywał, zginąć nie dał, iżbych był nigdy na katowskie ręce nie przychodził? Ha, Pukarzewski, przyjacielu, przesiądź mi⁴ twego wina, aby cie było pirwej w sztuki zsiekano, niżem je do twej gospody iść pomyślił!...» Owa tego lamentu było z pół godziny, nakoniec jał pytać straży: «A, moi mili braciszkwie, wiele was tu mnie strzeże?» Odpowiedział mu inny już

¹ grzeczność. ² podchmielić sobie. ³ żartować. ⁴ odechce mi się.

z onej straży, a nie ten, co pirwej: «Sześć nas tu», prawi. A Skotnicki zaś: «Kiedyby jeden z was chciał uczynić to miłosierdzie nade mną, a iść po którego mego sługę». Odpowiedziano mu: «A co mniemasz, aby ci wolni byli? W lakowemżec więzieniu są, jako i ty». A Skotnicki znowu: «A, nieszczęsny ja człowiek, czegożem ja to doczekał!» Tak że po długiem siebie przeklinaniu uprosił wdy jednego z nich, iż szedł, gdy dzień poczęło, po pana Kaspra Maciejowskiego, który o wszytkiem wiedział i był pogotowiu; a ten dopiero, kiedy przyszedł z drugimi towarzyszami, poprawił tak dobrze, iż nieborak Skotnicki ledwe nie umarł od strachu. Aż wdy nakoniec zlitowali się nad nim, a wrzeczy¹ to do tego, to do owego pana śląc o przyczynę, przywiedli rzecz k temu, iż na ślubie z więzienia wyszedł a przejednywać miał stronę, na oczy królewskie — aż przejednawszy — nie przychodząc; a jeśliby sie strona jednać nie chciała, tedy do takowegoż zaś więzienia wrócić sie miał. Wtem, gdy za łaskawe staranie panu Maciejowskiemu dziękować począł, strzymać dalej śmiechu drudzy nie mogli; rzecz sie wszytka odkryła. Skotnicki mimo strach, którym go dobrze było nakarmiono, jeszcze sie długo wstydzic musiał, gdy to ten, to ów łańcuch a pęta wspominał. Więc, iż go tem często drażniono, często leż i on o tem myślił, jakoby ten żart Pukarzewskiemu oddał.

Owa raz, w rok podobno potem, obaczył Pukarzewskiego podpilego i uprosił go do swej gospody, a tam, dognawszy go do upaści², iż i ręką i nogą władać nie mógł, i pacholę jego (bo telko to natenczas Pukarzewski miał przy sobie) po sługi do gospody posławszy, barwierza³ hnet, któremu ufał, przyzwał i rozkazał mu, aby Pukarzewskiemu śpiącemu pół gęby zalawty zaprawił⁴. Barwierz posłuszny wnet to sprawił, zalawty wargi spoił, plastr przyłożył, chustami obwinał głowę i przeniósł go na iną, lepszą pościel, którą tamże w izbie Skotnicki posłać był rozkazał. Przydą potym słuźdy z pacholęciem nierychło (bo daleko gospoda była), widzą, iż pan z zawitą głową leży, a barwierz instrumenta zbiera, a maści chowa, pytają, coby sie to działo; powiedzą im drudzy (bo sam Skotnicki, załując wrzeczy przygody onej, płakał, w głowach u Pukarzewskiego siedząc), iż ten a ten (który tamże był, niż⁵ chłopię po sługi odeszło) pana im przez twarz ranil. Słuźdy, acz sie mścić onego chcieli, ale iż nie było wiedzieć, gdzieby sie winowajca schował, sam też Skotnicki powiedział, aby dali pokój, ponieważ pana ich jest z to⁶, że sie sam, wyzdrowiawszy, pomścić może, zaniechali wszytkiego. I tak jedni zostali przy panie, drudzy odeszli do gospody. Potem w nocy ocuci sie Pukarzewski, obaczy łeb zawity i rzecze półgębkiem: «Ki dyjabeł, cóż mi sie stało? Chłopiec, jesteś tu? rozświeć!» Hnet sie chłopiec porwie, idzie do pana i pyta: «Co W. M. raczysz? abo W. M. źle leżeć?» Odpowie Pukarzewski: «Ba, dobrze mi leżeć, ale mi to ki dyjabeł w gębę?» Chłopiec odpowie: «Aza W. M. nie pomnisz, iż W. M. wczora ten a ten ranil?» Zaś pan: «Ja tego kęs jeden nie pomnię, ani czuję, aby mie bolało». Wtem rzecze chłopiec: «Prze Pana Boga, nie racz W. M. wiele mówić, bo nam barwierz rozkazał, abyśmy z tego W. M. upominali». Tak że, gdy przydzie dzień, pyta, jako sie co stało; powiedzą mu rzecz wszytkę zmyśloną, a chłopiec jego włosny onegoż potwirdza, bojąc sie, aby go pan nie bił, gdzieby

¹ niby to. ² spoivszy go do upadłego. ³ cyrulik. ⁴ aby pół gęby ściegami (nicmi, zawłokami) zaszył (w istocie nie zaszył, tylko nalepił na gębę nici, a nici zalepił plastrem). ⁵ zanini. ⁶ stać na to.

powiedział, że natenczas odszedł był od niego. Przydzie barwierz do oprawowania, odwinie mu głowę, a Pukarzewski rzecze: «Miły barwierzu, namniej mnie ta rana nie boli, co sie to dzieje?» Odpowiedział barwierz: «Tak to, widzi W. M., zmartwiało ciało odrazu, ale po trzecim abo czwartym dniu poczujesz W. M.». Zaś powiedział Pukarzewski: «A bodajże go zabito, mógłci wždy gdzieindziej trefiać, niż przez gębę. A toć ja mężatek nie miluję, a wdy mie Pan Bóg takową raną nawiedził». Barwierz, poszypławszy¹ trochę, wpuścił knot² między zalawty, przyłożył znowu plastr, zawinał i rzekł, aby mu dał od wczorajszej pirwszej oprawy. A Pukarzewski hnet parę czyrwonnych złotych dać mu rozkazał i prosił, aby go rychło wygoił. Odpowiedział barwierz: «Da-li Bóg, W. M. rychło zdrów będziesz, jednoby, panie, mówić nie trzeba». I z tem odszedł. Przydzie czas obiadu, mięsa jesć nie śmie, aby żwaniem nie poruszył haftów³, także się trochę kontluzu⁴ napije i położy. Po obiedzie przyda towarzysze nawiedzać, którym już był Skotnicki o wszystkim powiedział, pytają go na zdrowie, przemówi półgębkiem, prosząc, aby za złe nie mieli, iż mówić nie śmie, «bo mi — prawi — zakazał barwierz». Wyrwie ten to, ów owo pytać, a on jedno przyzwala głową a milczy. Owa tego tak długo było, iż sie żadną miarą strzymać drudzy nie mogli, poczną sie śmiać, a Pukarzewski, domyśliwszy sie, iż to już Skotnickiego sprawa, zawój⁵ on uderzył o ziemię, a zalawty, rozparzywszy dragant⁶, odjąć sobie kazał. Śmiechu było dosyc, a temu zwłaszcza, że on więcej barwierzowi wierzył, niż sobie, czując to, że go kęs jeden nie bolało. Powiedają drudzy, iżby tam nie było zalawtu żadnego, ale skóra telko była lina, w rosole uwarzonego, którą nie telko pół gęby, ale i obie oczy kazał mu być Skotnicki zalepić.

Co sie zasię wtórego żartu abo kuśztownej posługi dotycze, gdzie człowiek sam ułović sie ma, nie wiem, jaki może być lepszy przykład..., jako jeden dworzanin króla starego⁷, znając w towarzyszu swym ten defekt rozumu, iż miał wielką chęć ku czarnoksięstwu i siła o niem dierzał, zmówił sie z babą, która pod zamkiem krakowskim... garce ilżeckie⁸ sprzedawała, i zapłacił jej wszystko, aby je do jednego, kij wzięwszy, potłukła wtenczas, kiedyby on, na zamku w oknie stojąc, znak pewny uczynił. I ukazał jej okno, w którym stać chciał, a znak ten miał być chustka rozpostrzona i wisająca z ręki. Gdy to tedy sprawił, szedł na zamek i chodził sobie po wielkiej sieni, czyhając już na tego swego towarzysza, który rychło potem przyszedł, tak że, skoro, po daniu dobrego dnia jeden drugiemu, zaczął pytać ten, co później przyszedł, czemu by on tak chodził, a do izby wnieść nie chciał, a ten mu odpowiedział: «Niemasz — prawi — poco, bo król J. M. jeszcze w kownacie, ani tak prędko z niej wynidzie; ale oto chodźmy tu sobie radniej⁹ abo półdźmy do okna», — i zaraz wszedł w ono naznaczone okno. A towarzysz też, widząc, iż nie miał co w izbie sam czynić, szedł z nim pospołu, tak że, mówiąc to to, to owo, przyszli w rozmowie do czarnoksięstwa. I jał ów, komu to czarnoksięstwo tak barzo smakowało, wychwalać tę naukę, powiedając, iż na świecie niemasz nad nią, a żalując tego, że sie natenczas nie urodził, kiedy jej w krakowskich szkołach jawnie uczono. A ten, słuchając, powiedział: «Cobyś dał, kiedyby sie kto obral, a chciał cie jej nauczyć?» A ów zasię rzekł: «Dalbych — prawi — sto i drugie złotych, ba, i dalejby mie

¹ szypląć = dłubać, skubać. ² szarpie. ³ t. j. szwów (których nie było).

⁴ kontuz = buljon. ⁵ bandaż. ⁶ nagotowawszy kleju z koźlego ciernia. ⁷ t. j. Zygmunta Starego. ⁸ Ilża — miasteczko niedaleko Sandomierza, sławne z wyrobów garncarskich i sukna. ⁹ raczej.

wyciągnął!» Odpowiedział ten: «Kiedybyś to ziszczyć chciał, a był tajemnym, powiedziałbym ja tobie o jednym, który się u Twardowskiego uczył i tak wiele, jak on umiał, umie; i jest go z to¹, że cie nauczyć może». Hnet ów na Bóg żywy przysiągł i dał rękę, obiecując pocziwem słowem nikomu na świecie o tem nie powiedzieć, ani takiego człowieka wydać. «A to ja — prawi — uczeń Twardowskiego: więcej, niż mnimasz, nauczyć cie mogę, jedno mi zdzierz słowo, jakoś obiecał». «A umiesz ty — odpowiedział zatem ów — zabita śmierć²: nie takbyś się ty miał, gdybyś co rozumiał w tej nauce!» Rzecz ten zasię: «Nie trzeba wiele³, hnet się to pokaże, jeśli co umiem; atoli rozkaż mi co dziwnego uczynić — użrzesz, prawdę li mówię, abo kłamam; a cheszli, uczynię to: widzisz onę niewiastę, co garce sprzedaje?» (i ukazał ją zgóry); «ta, gdy ja kilka konjuracyj⁴ zmówię, potlucze hnet te wszystkie garki kijem». Począł ów dopiero tem więcej bić na to⁵ i spór dzierzeć, powiadając, żeby tego nigdy dowieść nie miał. Owa się założyli i sadzili⁶ po 30 czerwonnych złotych. Zatem ten, obróciwszy się kilkakroć wkoło, pocznie mruzczyć w rzeczy⁷ konjuracyje, a i tedy i owedy słowo jakie niezwykle głośniej wyrzeczce, aby ów mniwał, że dyjabłów wzywa. Aż dobył kartki jakiejś pergaminowej, na której kilka liter potwornie wymalowanych było, a raz w tę jak w tęczę, drugi raz w ziemię pilniuchno patrząc, rzekł tak: «Patrzcie teraz!» I spuścił z ręki onę chustę nieznacznie, aby wisała. A baba, widząc znak, zaraz kij porwała i poczęła tłuc ony garce, tak iż je do jednego potlukała. Zdumiał się ów, co na to patrzył, a nic nie żałując przegranych pieniędzy, uczniem jego być i dać, co namienil, obiecał. Tegoż dnia królowi ten, co wygrał, wszystkie rzecz powiedział. Nazajutrz król uczynił sobie rzecz⁸ o czarnoksięstwie z onym dworzaninem, który zakładu przegrał, i dał mu to znać, iżby rad miał takiego człowieka, któryby się z tem rozumiał. Wnet dobry pan, zapomniawszy przysięgi swej, a rozumiejąc, że się miał tem królowi barzo przysłużyć, na onego dworzanina, towarzysza swego, jako jest osobny w tej nauce, wskazał i onę wszystkie o garcach historyją wypowiedział. Król hnet onego do siebie kazał zawołać i rzekł mu, w oknie stojąc a na onę babę patrząc, która się znowu na garki była zdobyła: «Słysz! A kiedyby⁹ znowu co takiego trefnego z czarnoksięskiej nauki uczynić, a chociaż to, aby ta baba zasię garki potlukała?» A ten odpowiedział: «Miłościwy królu, musiałbych się znowu z nią zmówić!» Słyszając to ów, który przegrał, i rozumiejąc po śmiechu, iż król wie o wszystkim, barzo się sromać musiał, a od tych czasów czarnoksięstwu dał pokój, bojąc się, aby co gorszego nań nie przyszło.

O piękności (w skróceniu). Z Boga piękność się rodzi, a jest nieodzielona od dobroci jako gorącość od ognia. Cudność tedy zwierzchnia¹⁰ prawdziwy znak jest a piątno wewnętrznej dobroci, jako piękny kwiat na drzewie znakiem jest dobrego owocu; a my przez to, co widzimy, dochodzimy tego, czego widzieć nie możemy, to jest umysłu — przez ciało. Stądże to jest, iż owi fizyognomowie z twarzy a z położenia członków nie telko obyczają, ale i myśli czasem człowiecze wiedzą. I myśliwiec, pożrzawszy na psa, na

¹ stać go na to. ² umieć zabita śmierć — przysłowie: nie nie umieć. ³ nie-długo czekać. ⁴ zaklęcie. ⁵ bić na co = uporeczywie domagać się czego. ⁶ stawić (w zakładzie). ⁷ nibyto. ⁸ wdać się w rozmowę. ⁹ a gdyby tak. ¹⁰ piękność fizyczna.

ptaka¹, już hnet wie, co w nim wre, jeśli rączy, jeśli łuczny², jeśli łowny albo gniewliwy, bo duch każdego zwierzęcia na ciele swem wyraża, jako najbardziej może, siebie. Patrzymy na lwa, na konia, na orła, jako w oczu jednego znać gniew, w drugiego oczu bystrość, w trzeciego nadętość jakąś; pódźmyż zaś do owce, do gołębia: tam szczyrą a prostą widzimy niewinność, a w liszce, wilku — złość pokrytą. I tak niemal we wszystkich zwierzętach: co żadne³, to i złe, a co piękne, to i dobre...

Owa, kto sie temu chce przypatrzeć, tedy tak najdzie, iż, cokolwiek jest dobrego a użytecznego, to każda rzecz ta ma i piękność w sobie. A to⁴ nad świat ten, tę tak wielką machinę, którą Pan Bóg ku pożytku a zachowaniu w dobrej mierze wszystkich rzeczy stworzył, i możeż być co cudniejszego? Niebo okrągłe, ozdobione tak wilem jasnych pochodni; w pośrodku ziemia, żywyły ogarniona i niczem nie podparta, stoi; słońce, które, obchodząc ten krąg, wszystko oświeca, zimie do najniższego na niebie znaku schodzi, a zaś zniemagła odchodzi a przychodzi lecie⁵ ku najwyższemu znakowi. Nuż miesiąc! Ten bierze od słońca światłość, podług tego, jako blisko od niego albo daleko chodzi, i drugie pięć gwiazd, z których każda, inaczej a inaczej postępując, tenże bieg w krąg z nieba odprawuje: to te wszystkie rzeczy, jako z swej zamierzonej miary nigdy nie wychodzą (bo gdzieby sie co najmniej odmieniło, nie telkoby dobre nasze zginęło, ale świat bez pochyby⁶ upaść musiał), też zasię mają taką piękność w sobie i ozdobę, iż rozum człowieczy nic piękniejszego wymyślić sobie nie może.

Pódźmyż do wyobrażenia naszego, bo człowiek może być nazwan małym światem! Cokolwiek ma w sobie, wszystko w nim jest mądrazę uczyniono, a pewnie nie przygodnie tak sam stanął; abowiem... najcieńsza żyłka, najlżejsza⁷ kosteczka jest mu potrzebna; a ten kształt wszystek człowieczy przedsię jest barzo piękny, i nie wiem, jeśli pożytek więszy, czyli ozdoba ciała jest ze wszystkich tych członków, których używamy. To sie też o innych zwierzętach powiedzieć może. Owo pierze u ptaków, liście i różeczki na drzewie, co natura dała obojgu temu⁸ ku potrzebie i zachowaniu swojej istności, a wdy⁹ i to ma wielką cudność w sobie.

Ale nie patrzmy na przyrodzenie, patrzmy na to, co człowiek rozumem i ręką urobi! W okręcie a co jest potrzebniejszego, jako maszty, jako żagle, jako powrozy, co to trzymają? A wdy te rzeczy mają tyle ozdoby w sobie, iż, kto na to patrzy, mnima, aby tak wiele dla pożytku, jako dla napasienia oczu, to było uczyniono. Filary kształtowane trzymają na sobie w kościele wysokie sklepy, i nie mniejsza z tego jest oczom uciecha, niż pożytek kościołowi... A tak piękność wszędzie tam ma miejsce, gdzie ma być co dobrego; i dlatego odtąd¹⁰ więc zawdy chwalić poczynamy, mówiąc: piękny dzień, piękne niebo, piękna ziemia, piękna rzeka, piękny kraj, piękny las, piękna łąka, piękny sad, piękne drzewo, piękne miasto, piękny kościół, piękny dom, piękny poczet, piękne wojsko i dalej. Owa sie każda rzecz pięknością zdobi i jest, jakom pírwej powiedział, nieoddzielona od dobroci, zwłaszcza w człowieczem ciele; bo takowej cudności ina przyczyna nie jest, jedno piękność duszna, a taż jest istotną dobrocią; bo dusza, mając cząstkę jedną prawdziwej cudności, to jest tej, która od Boga płynie, rozświeca i czyni każdą rzecz

¹ t. j. na sokoła. ² mający dobre oko (sokół). ³ żadny = szpetny. ⁴ a już.
⁵ lecie (miejscownik) = w lecie. ⁶ niechybnie. ⁷ najlżejszy. ⁸ t. j. ptakom i drzewu. ⁹ wždy, przecie. ¹⁰ od piękności.

piękną, której sie jedno dotknie, zwłaszcza, jeśli ciało to, w którym mieszka, nie jest z tak grubej a podłej materyjej, iżby dusza na niem wyrazić swego wzoru nie mogła. Przeto cudność jest znak zwycięstwa dusznego, jako owa chorągiew, co ją wytkną z wieże po wzięciu miasta: bo przez takową cudność, jako przez chorągiew, już dusza daje znać, iż opanowała ciało, a swoją światłością jasne uczyniła cielesne ciemności.

Jeśliż tedy ta piękność, którą oczyma śmiertelnemi tu, na ludziach, widzimy,... zapala serca nasze i przynosi taką uciechę, iż więc drugi nic nad to miłszego nie ma, cóż tamta niebieska, na którą patrząc, aniołowie są błogosławieni?... Wiem pewnie, iż jako tej piękności żaden rozum ogarnąć, żaden język wysłować nie może, tak też ani rozkoszy, którą te szczęśliwe dusze mają, co ku widzeniu onej do nieba przyszły, nikt wypowiedzieć nie umie. Abowiem ta piękność początkiem jest i studnią, z której wszyscy czerpają, a jej przedsię nie ubywa ani przybywa, ale w swej mierze ustawicznie stojąc, wszystkim na świecie pięknym rzeczom swej piękności użyczają, bo przez się sama i od siebie piękność ma nieprzysłanną, wieczną, szczyrą a nieodmienną. Taż to jest piękność od najwyższej dobroci nieoddzielona, która swą światłością wzywa i ciągnie ku sobie wszystkie rzeczy...

Obróćmyż tedy myśli wszystkie i siły duszne nasze ku tej najświętszej światłości, która nam drogę do nieba pokazuje, a z tą (zewlekszy z siebie żądze i chciwości cielesne, w któreśmy sie tu na ziemi oblekli) po tej drabinie, która na spodnim szczeblu ma cień jakiś piękności, idźmy aż do onego najwyższego gmachu, gdzie niebieska, pożądana a istotna Piękność mieszka, która w tajemnym zamknięciu u Boga najwyższego jest dlatego, iżby telko święte oczy patrzeć na nią mogły! A tu dopiero ostatni i błogosławiony kres i koniec najdziem naszym żądociom¹; tu odpoczynie każdy z prac ziemskich; tu wytchnie z nędz, w których opływa człowieczy żywot; tu sie uleczą cielesne choroby; tu będzie najpewniejszy port nam wszystkim, którzy na świecie, jako na rozgniewanem a niebezpiecznym morzu, mieszkamy. Ale któż może miłość niebieską tę, która z piękności, z dobroci, z mądrości boskiej sie wznieca, doskonale chwalić? Ona wszystkie części świata spaja; ona przyczyną jest, iż niebieska zwierzchność ziemską sprawuje; ona odwraca umysły ludzkie od beceństwa a przywraca je Bogu, jako tej studni, z której wyszły; ona żywiły jednoczy, naturę spasabia k temu, iż wypuszcza wszystko z siebie i zachowuje każdy rodzaj w istności swojej; ona rzeczy rozproszone zgromadza; niedoskonałym doskonałość, ziemi owoc, morzu uspokojenie, niebu światłość ożywiająca daje; z niesprzyjaźliwych sobie rzeczy sprzyjaźliwe, a z niepodobnych do siebie podobne czyni; ona jest matką rozkoszy, pokoju, cichości, dobroćliwości, a wielkim nieprzyjacielem nieludzkości i obrzydliwej gnuśności. Owa² jest i początkiem i końcem wszystkiego dobrego. ★

45. Z Włoch przywiózł Górnicki z sobą do Polski nietylko oglądę towarzyską, ale i poglądy polityczne, ten przedewszystkiem, że takie tylko państwo może być szczęśliwe i potężne, które, obok praw sprawiedliwych, posiada silny rząd, czuwający nad wypełnianiem praw. Takie szczęśliwe państwo oglądał Górnicki we Włoszech — mianowicie Wenecję; kiedy porównywał z nią Polskę, widział jasno, że jego ojczyzna nie posiada ani praw sprawiedliwych, ani silnego rządu. Zresztą o złem prawodawstwie wiedział

¹ pożądanie, dążenie.

² słowem.

już Modrzewski, ale żądanie, aby wzmocnić rząd, aby rozszerzyć władzę królewską, wypowiedział dopiero Górnicki. Przyczyną zaś słabości rządu była złota wolność, a raczej swawola i samowola szlachecka. Wprawdzie Batory umiał ją trzymać na wodzy, ale po jego śmierci odrazu się pokazało, jakie to owoce wydaje złota wolność: część szlachty obrała na króla Zygmunta szwedzkiego, a część Maksymiljana austriackiego; na polu elekcyjnym pod Warszawą dobyto broni, żeby zaś osadzić na tronie Zygmunta, musiał Zamoycki toczyć wojnę z Maksymiljanem i jego stronnikami. Ołóż pod wrażeniem tej elekcji powstało znakomite pismo polityczne Górnickiego p. t. *Rozmowa Polaka z Włochem o wolnościach i prawach polskich* (1587).

Polak i Włoch rozmawiają o Polsce. Polak twierdzi, że w Polsce jest tak dobrze, jak nie może być lepiej: «Cóż ty mówisz, Włochu? a prawda, że nigdzie takiej wolności nie masz, jak w Polsce? Oto wolnie obieramy sobie pana: nie rodzi się nam pan, jako we Włoszech, w Izpanijej, we Francyjej! Do elekcyjej każdy tu należy, a waży głos najuboższego szlachezca tak, jako najwziętszego pana. Powiedzże mi, gdzie taka na świecie wolność?... Nie masz u nas nic z łaski bożej, czego by nie chwalić: i wolność dobra... i prawo tak dobre, jakiego nie ma żadne królestwo!» Na pytanie Włocha, co pojmuje przez wolność, Polak odpowiada: «Wolność to jest móc żyć, jak kto chce»; a głównymi warunkami tej «prawdziwej» wolności są, zdaniem Polaka, elekcja *virilim*, oraz słynne prawo *Neminem captivabimus, nisi jure victum* (nikogo nie będziemy więzić, póki go nie przekonamy prawem). Włoch bardzo mądrze zwalcza to wszystko, co mówi Polak, dowodzi mu, że elekcja *virilim* jest zgubna, że prawa polskie są niesprawiedliwe, skoro szlachcie tylko folgują, a chłopów i mieszczan krzywdzą; że sądy polskie są złe, skoro się tak łatwo krzywoprzysięstwem od zasłużonej kary wykręcić; że granice polskie stoją nieprzyjacielowi otworem, bo niema fortec ani zamków obronnych — słowem, Włoch surowo krytykuje rządy szlacheckie: anarchję i złotą wolność. Ale Polak nie da się zbić z tropu i na każdy zarzut Włocha ma zawsze odpowiedź w kieszeni, a jedna od drugiej głupsza. Tak np., kiedy się Włoch skarży na niewolę chłopów, Polak odpowiada: «Tak jest, iż *plebs*¹ u nas nie zażywa wolności, ale tej chłopstwu nie trzeba, bo wolność byłaby ku ich szkacie²: kto dusze swej używać nie umie, temu lepiej, żeby tej nie miał, a był umartym, niż żywym, a jeśli tego potrzeba, iżby taki człowiek był żywy, tedy lepiej, żeby był niewolnikiem, niż wolnym człowiekiem. I dziecięciu wolności nie dajemy, bo go chciwość³ sprawują, nie rozum: także też wolności ten nie godzien, kogo ciało, a nie dusza sprawuje». Kiedy Włoch dowodzi, że prawo *Neminem captivabimus* jest złe, Polak odpowiada: «Włochu, Włochu, jużbyśmy naszej wolności zadzwonić ku pogrzebowi mogli, gdyby szlachcica było poimać wolno». Na zarzut, że niema twierdz na granicach, Polak daje odpowiedź: «Co nam po tych miastach abo po murach? Lacedemonijanie mieć ich nie chcieli, ukazując na ludzi, na których męstwem a sile, nie w murach, zdrowie każdej Rzeczypospolitej i każdego królestwa zawisło; wzięszą skazę przynoszą miasta, niż naprawę... I Tatarowie tem mocni są, i nikt ich nie zwalczył, iż miast nie budują». A kiedy Włoch łapie Polaka za słowo, pytając, czemuż więc własną pierś granic ojczyzny nie broni, ten odpowiada: «Byłaby to wielka niewola, żeby mie kto z mej ojczyzny zegnać miał i kazał

¹ gmin, pospólstwo.

² szkaza = szkoda.

³ popędy.

mi, jako na kraj świata, pod Tatary», i t. d. Jednym słowem, jest Polak głę- boko przekonany, że «Polska nierządem stoi».

Wogóle odpowiedzi Polaka są tak głupie, że się czasem zdaje, iż Gór- nicki wpada w przesadę; na nieszczęście, żadnej przesady tu niema: takich Polaków, jak ten, który z Włochem rozmawia, było wielu, bardzo wielu; ogół szlachty nie rozumiał, albo też nie chciał słuchać i rozumieć głosu ludzi mą- drych, którzy ostrzegali, że złota wolność prowadzi Polskę do upadku. Otóż *Rozmowa* Górnickiego jest wyborem odzwierciedleniem opinii publicznej dwóch stronnictw, które istniały w Polsce aż do samego jej upadku: głupiej większości, zadowolonej ze wszystkiego, co jest, nie pragnącej żadnych re- form, wierzącej w potworną zasadę: «Polska nierządem stoi» — i mądrej mniejszości, domagającej się reform. Przedstawicielem tej większości jest Polak, a mniejszości — Włoch. W jego to usta wkłada Górnicki smutną prze- powiednię: «Podobno ani ja, ani ty nie doczekamy tego, żeby Polacy kiedy o radzie pomyśleć chcieli. Sądy boże pędzą was, jako wiatry na morzu okręt, a co wiedzieć, jeśli ku portowi, czy ku zginieniu? W czym sami sobie bę- dziecie winni. Dobrze mówią ludzie oni dawni mądrzy: ani księstwa, ani królestwa, ani monarchiję nieprzyjacieli nie skazi, ale samo to siebie każdy, gdy czas skazy przyjdzie, zepsuje. A czas skazy wtenczas przychodzi, gdy Rzeczpospolita albo królestwo tak wiele popełni grzechów, iż Bóg ich dalej cierpieć nie może, abowiem nie jednoć te tylko są grzechy, które człowiek każdy z osobna popełni, ale są i te grzechy, a daleko cięższe, które popełni Rzeczpospolita».

Jedno jeszcze dzieło Górnickiego, napisane w ostatnim dziesięcioleciu XVI w., zasługuje na uwagę: *Dzieje w Koronie Polskiej* — opowiadanie o wy- padkach za panowania Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta. Są to ra- czej pamiętniki, aniżeli dzieje, autor bowiem to tylko opowiada, co sam na własne oczy widział albo co sam słyszał; pomiija więc często rzeczy ważne, np. unję lubelską, a długo i szeroko rozpisuje się o wypadkach, może bar- dzo ciekawych (zwłaszcza, że opowiedzianych niezmiernie zajmująco), ale nie najważniejszych, jak np. o przygodach nieszczęśliwej Halszki Ostrog- skiej, wydanej przemocą za Dymitra Sanguszkę, a po jego śmierci za Łukasza Górkę. Jako źródło historyczne, *Roczniki* Orzechowskiego mają wyższość nad *Dziejami* Górnickiego, ale jako utwór literatury pięknej, po- siadają *Dzieje* wartość niepospolitą przez prostotę i wdzięk opowiadania.

46. Dzięki Rejowi, Orzechowskiemu, Górnickiemu i innym jeszcze pi- sarzom proza polska już za panowania Zygmunta Augusta osiągnęła wysoki stopień doskonałości; lecz do zupełnego rozkwitu literatury brakowało jeszcze wielkiej poezji: na rymach wprawdzie nie zbywało już za Zygmunta Starego; byli i utalentowani poeci, (Hussowski i Janicki, ale ci uprawiali poezję tylko po łacinie — wielkiej poezji polskiej nie było. Tę stworzył dopiero **Jan Kochanowski**, urodzony w Sycynie, w ziemi radomskiej (1530—1584), pierwszy natchniony poeta nietylko w Polsce, ale w całej Słowiańszczyźnie, który pie- śnią swoją zasłynął już za Zygmunta Augusta, lecz którego najwspanialsze dzieła przypadają dopiero na czasy króla Stefana.

O życiu jego posiadamy szczupłe wiadomości. Pierwsze nauki zawdzię- cza dobrej i rozumnej matce; gdzie chodził do szkół, niewiadomo. W czter- nastym roku życia (1544) wstąpił do ~~Akademii~~ Krakowskiej, gdzie się uczył coś trzy lata, ale studjów nie ukończył — czy może wskutek śmierci ojca

(1547), także niewiadomo. Co się z nim działo w ciągu następujących czterech lat, tego się tylko domyślać można: prawdopodobnie odbywał służbę dworską (u Tarnowskich albo Tęczyńskich); możliwą także jest rzeczą, że się kształcił w jednym z uniwersytetów w Niemczech. Natomiast wiemy już z pewnością, że od jesieni roku 1551 aż do wiosny roku następnego uczęszczał do uniwersytetu królewieckiego, który świeżo (1544) założył książę pruski Albrecht.

Lecz najważniejszą epokę w studjach Kochanowskiego stanowi jego trzyletni pobyt we Włoszech, dokąd wyjechał w lecie roku 1552: przez pierwsze dwa lata odbywał systematyczne studia w najświetniejszym podówczas ze wszystkich uniwersytetów europejskich — w Padwie; a w trzecim roku zwiedzał środkowe i południowe Włochy. Ukochanym przedmiotem jego nauki w Padwie były języki starożytne, których profesorem był uczony filolog i humanista Franciszek Roberto. Tutaj to wyrósł Kochanowski na jednego z najznakomitszych na całym świecie humanistów, na głębokiego znawcę autorów starożytnych, zarówno rzymskich, jak greckich; z zapalem ćwiczył się w poezji łacińskiej, mianowicie w pisaniu elegij miłosnych: miłość, jak sam mówi, nauczyła go «słodkie składać wiersze». Ale składał je nietylko po łacinie. We Włoszech minął już był czas ślepego uwielbienia dla poetów starożytnych, i coraz częściej odzywały się głosy w obronie języka ojczystego w literaturze — tem śmielej, że przecie już na początku XIV wieku literatura włoska wydała tak wielkie arcydzieło poezji, jak *Boska Komedia* Dantego (1265—1321), a później, w tem samym jeszcze stuleciu, pieśni Petrarki (1304—1374); nie brakło poetów, piszących po włosku, i w XV wieku, a w XVI, na lat kilka przed urodzeniem Kochanowskiego, wydał Ariosto swój poemat *Orland szalony* (1516). Otóż Kochanowski poznał, podczas swego pobytu we Włoszech, tych wszystkich trzech poetów (z których najbardziej przypadł mu do serca Petrarka) i utrwalił się w przekonaniu, że poezja może i powinna rozwijać się w języku narodowym: to też, nie zrzucając do śmieci poezji łacińskiej, coraz gorliwiej uprawiał polską (której pierwsze utwory przypadają, być może, jeszcze na lata uniwersyteckie w Krakowie); składają się na nią głównie pieśni miłosne.

W roku 1555 wrócił Kochanowski do kraju. Przez pewien czas bawił znowu w Królewcu, ale już nie jako student uniwersytetu, tylko jako dworzanin księcia Albrechta. Lecz niebawem zapadł na oczy i, otrzymawszy od księcia zasiłek, znowu wyjechał do Włoch, na kurację (1556). Śmierć matki (1557) zniewoliła go do powrotu. Długo jednak miejsca w kraju nie zagrzał: raz jeszcze jeździł do Włoch, aby się nacieszyć swoją ukochaną Padvą, a z Włoch udał się morzem do Francji, ale już w celach raczej turystycznych, niż naukowych; przewodnikiem był mu tutaj młody humanista flandryjski Karol Utenhove, żywo interesujący się współczesną literaturą we Francji. Rozwijała się zaś ta literatura w tym samym kierunku, co we Włoszech: poeci francuscy usilnie pracowali nad wyrobieniem języka ojczystego, jako literackiego. Na ich czele stał rówieśnik Kochanowskiego — utalentowany liryk, Ronsard (1524—1585), gorliwy wyznawca poglądu, że «zbrodnia jest pomiatać żywym językiem ojczystym, a odgrzebywać Bóg wie jakie popioły». Otóż przykład poetów francuskich, zwłaszcza Ronsarda (którego Kochanowski widział kiedyś w Paryżu), mógł go umocnić w wyniesionem z Włoch przekonaniu, że poeta ma obowiązek tworzenia w języku narodowym — na chwałę ojczyzny.

Ta trzecia i ostatnia podróż zagraniczna Kochanowskiego trwała mniej więcej półtora roku: na wiosnę roku 1559 był już w kraju i teraz dopiero powiedział sobie: «...Mnie też czas o sobie poradzić, — jeśli mi w rewerendzie¹, czy lepiej w sajanie², — jeśli mieszkać przy dworze, czy na swoim łanie». Nieprędko jednak «o sobie poradził»: wahał się jeszcze długo, zanim obrał sobie stałą zawód. Zrazu próbował służby dworskiej, to u możnych panów, to na dworze Zygmunta Augusta, który mianował go swoim sekretarzem, zapewne w uznaniu wielkich zasług, położonych dla piśmiennictwa ojczyzstego. Sława bowiem Kochanowskiego, jako poety, jako autora *Satyra*, *Szachów*, a nadewszystko *Fraszek* i *Pieśni*, które, chociaż jeszcze niedrukowane, z ust do ust obiegały Polskę, rosła z dnia na dzień. Natomiast w życiu politycznym prawie żadnej roli Kochanowski nie odegrał. Do rewerendy nie czuł najmniejszego powołania: nic nie pomogły namowy jednego z licznych jego wielbicieli i przyjaciół na dworze królewskim, Piotra Myszkowskiego, który mu (jak to było jeszcze podówczas w zwyczajach), w nadziei, że się wyświęci na księdza, ofiarował probostwo, a nawet dwa probostwa — w Poznaniu i w Zwoleniu; dochody z nich Kochanowski pobierał, ale o tem, żeby się wyświęcić na księdza, ani mu się śniło. Nie nęciła go i służba rycerska; raz jeden tylko wdział na siebie sajan, w roku 1568, aby pociągnąć z wojskami Zygmunta Augusta na Moskwę: lecz wyprawa ta skończyła się bez wojny. Życie dworskie, pełne gwaru i wesela, ale nie wolne też od zawodów, upokorzeń i przykrości, a nadewszystko nie pozwalające człowiekowi skupić się wewnątrznie, znudziło go, a nawet zraziło trochę do ludzi. Więc nakoniec, w roku 1571, porzucił dwór królewski, złożywszy wszystkie godności dworskie i duchowne, i osiadł na wsi, w Czarnolesie, którą to wieś (w radomskim) otrzymał był w spadku po rodzicach jeszcze w roku 1559. Gospodarował, ożenił się (z Dorotą Podlodowską) i prowadził żywot człowieka poczciwego, jak sam o tem świadczy: «Wiodłem swój żywot tak skromnie, — że ledwo kto wiedział o mnie». W pieśni «Może kto ręką sławy dostać w boju» odmalował zapewne swoje własne szczęście rodzinne: «Żona uczciwa ozdoba mężowi — i najpewniejsza podpora domowi... Ona mężowym kłopotom zabiega — i jego wczasu na wszystkim przestrzega; — ona wywabić troskę umie z głowy — słodkimi słowy. — Ona dziateczki ojcowi podobne — rodzi, skąd rostać pociechy osobne... trzykroć szczęśliwy, któremu Ty zdarzysz — ten związek, Panie!...» To szczęście zmaćiła jednak w roku 1579 śmierć ukochanej córeczki Orszulki, za którą poszła wkrótce starsza siostra Hanna. Po pewnym czasie doszedł wprawdzie Kochanowski do równowagi moralnej, ale więcej jeszcze, niż dawniej, unikał zgiełku światowego. Jan Zamoyski ofiarował mu kasztelanję, — on jej nie przyjął, mówiąc, że się boi w dom swój wprowadzać kasztelana, bo ten zjadłby to, co zapracuje Kochanowski; piastował tylko dany mu przez Stefana Batorego urząd wojskiego sandomierskiego. W zaciszu wiejskiem napisał najznakomitsze swoje utwory: *Sobótkę*, *Odprawę posłów greckich*, *Psalterz* i *Treny*, oraz przygotowywał do druku utwory drobniejsze; ale zdążył wydać tylko *Fraszki*: podczas pobytu w Lublinie padł rażony apopleksją w roku 1584. W rok później ukazały się w druku jego pisma zbiorowe pod tytułem *Jan Kochanowski* (1585), a w lat sześć po śmierci — *Fragmenta albo pozostałe pisma Jana Kochanowskiego* (1590).

¹ rewerenda = sutanna.

² sajan = płaszcz żołnierski.

Mało miała Polska poetów nietylko tak bardzo utalentowanych, ale i o tak wielkiej wartości moralnej, jak Kochanowski. Obdarzony umysłem zdolnym i chłonnym, «niemal wszystkie» lata swego życia (jak sam sobie świadczy), «strawił nad księgami, — mało się bawiąc światła tego zabawami». Nie dziw, że zdobył rozległą wiedzę w dziedzinie filozofji i literatury pięknej, zarówno starożytnej (greckiej i rzymskiej), jak nowoczesnej (głównie włoskiej, a po części francuskiej). Zajmowało go także wszystko, co się za jego czasów w Polsce i na szerokim świecie działo, zwłaszcza na polu tak żywego za jego czasów ruchu religijnego. Interesowały go i sprawy polityczne, jak przystało na dobrego obywatela, ale nie można powiedzieć, żeby się na nich dobrze znał; jeżeli czasem zabierał o nich głos, to powtarzał zapatrywania tych swoich przyjaciół, którym wierzył, że się znają na polityce lepiej od niego. Najsilniej utrwalił się w poglądzie, że polityka powinna być nieodłączna od moralności i że najmocniejszym filarem potęgi państwa jest moralność jego obywateli. Na życie człowieka miał poglądy nie koniecznie głębokie, ale trzeźwe i szlachetne: za największą wartość życiową poczytywał cnotę, co mu jednak nie przeszkadzało, że nie odsądzał od wartości ani dobrobytu, ani rozrywek, ani dobrej sławy, nie mówiąc już o szczęściu rodzinnem: odziedziczoną po kulturze średniowiecznej cześć religijną dla cnoty umiał doskonale pogodzić z nowoczesną, stworzoną przez kulturę humanizmu radością życia. Wogóle miał naturę bardzo harmonijną, miał głowę jasną, trzeźwą, zrównoważoną, wolną od skrajnych zapędów i od wszelkiej jednostronności, a niezmiernie uczciwą. Nigdy nie wmawiał w siebie myśli, których nie mógł przyjąć za prawdę, ani uczuć, których nie żywił, i nie mydlił sobie oczów, patrząc na to, co się dzieje na świecie. Wychował się w tradycji katolickiej, ale nie był ślepy na tego raka zepsucia, który w latach jego młodości toczył Kościół katolicki; nie dziw, że w jednej z elegij łacińskich ostro napiętnował rozpustne i cheiwe duchowieństwo, nie oszczędzając samego papieża (Pawła IV), a i w utworach polskich, mianowicie we *Fraszkach*, nieraz przypinał księżom zasłużone łaski, chociaż, pełny spokoju i umiaru artystycznego, nigdy nie drwił z nich tak złośliwie i tak rubasznie, jak Rej, nie mówiąc już o tem, że ani z nabożeństwa, ani z nauki Kościoła nie sztychował nigdy. Z tego jednak bynajmniej nie wynika, żeby, nawet po dojściu do lat dojrzałych, ślepo wierzył we wszystko, w co Kościół wierzyć każe; nie wszystkie tajemnice religijne, zawarte w dogmatach katolickich, chciały mu się w głowie pomieścić; to też w latach młodości skłaniał się do protestantyzmu: niedarmo protestanci mieli go za swojego człowieka i obsypywali pochwałami. Pomimo to, inaczej, niż Rej, nietylko nie przeszedł na protestantyzm, ale, już pod koniec swego pobytu zagranicą, widząc, że jednym ze skutków rozbicia przez reformację dawnej jedności religijnej i kościelnej są nienawiści serdeczne i krwawe walki, zniechęcił się do protestantyzmu tak dalece, że, po powrocie do kraju, występował w obronie Kościoła katolickiego — z równą szczerością, z jaką go dawniej zaczepiał. Czy odzyskał dziecięcą wiarę w prawdę wszystkich dogmatów katolickich, tego nie wiemy i nigdy nie będziemy wiedzieli z powodu braku jego osobistych wyznań w tej mierze; ale wiemy napewno, że nie ślepą, dogmatyczną wiarę, tylko moralne, zgodne z nauką Chrystusa życie poczytywał za najwyższe kryterjum dobrego chrześcijanina; a i to jeszcze napewno wiemy, że wierzył całym sercem w Boga, i to nietylko w Jego istnienie, wszechmoc i wszechmą-

drość, ale i w Jego interwencję w sprawach ludzkich, w Jego wszechdobroć, sprawiedliwość i miłosierdzie, oraz, co zatem idzie, w skuteczność modlitwy.

Wogóle była to dusza religijna, co się też wyraźnie odbiło na jego poezji, będącej wiernym zwierciadłem nie tylko jego przelotnych uczuć i myśli, ale i charakteru. Odzwierciedla się w niej człowiek o naturze bardzo bogatej, czujący szczerze i głęboko, niezmiernie wrażliwy zarówno na ponęty, jak na gorycze życia, ale opanowany, umiejący zbyt żywe odruchy swojej wrażliwości powściągać rozważą; a nadto człowiek, wolny od pychy i zbyt wielkiego rozumienia o sobie, chociaż mający zupełną świadomość swojej moralnej i umysłowej wyższości od szarego tłumu; dla ludzi dobry, serdeczny, usłużny, wdzięczny za doznane przysługi, ale do szukania u nich łaski, a nawet pomocy lub życzliwości, nie zniżający się nigdy w sposób niegodny, brzydzący się uniżonością i pochlebstwem; przeciwnie, głowę zawsze do góry noszący, zwłaszcza wobec możliwych tego świata (nie wyłączając króla), wolność i niezależność duchową kochający, jako jeden ze skarbów najdroższych, pełny własnej godności i szlachetnej dumy, która mu nieraz kazała nawet przed przyjaciółmi zamykać na cztery zamki swoją duszę, ilekroć doznał czy to jakiej krzywdy, czy upokorzenia miłości własnej, czy choćby tylko zawodu. Krótko mówiąc, była to dusza nie tylko bogata, ale i rogata.

47. Poetą był Kochanowski z bożej łaski: urodził się nim i ten dar boży poczytywał za szczęście. Dla zysku nie tworzył nigdy, dla cudzego pożytku — tylko wyjątkowo: prawie wszystkie jego poezje wypłynęły z żywiołowego pędu do twórczości, która była mu tem, czem śpiew dla ptaka; o sławę poety chodziło mu bardzo, ale nie o doczesną, tylko o nieśmiertelną. Swoje wyznaczenie wiary poetyckiej złożył sam w króciutkim poemacie lirycznym *Muzy*. Oto jego początek i koniec.

Sobie śpiewam a Muzom! Bo kto jest na ziemi,
Coby serce ucieszyć chciał pieśniami memi?
Kto nie woli tym czasem zysku mieć na pieczy,
Łapając grosza zewsząd, a podobno krzeczy¹,
Bo z rymów co za korzyść krom próżnego dźwięku?
Ale kto ma pieniądze, ten ma wszystko w ręku:
Jego władza, jego są prawa i urzędy,
On gładki², on wymowny, on ma przodek wszędy.
Nie dziw tedy, że ludzie cisną się za złotem,
A poeta, słuchaczów próżny³, gra za płotem,
Przeciwiając się świerzom⁴, które nad łąkami
Ciepłe lato witają głośnemi pieśniami.
Jednak mam tę nadzieję, że przedsię za laty⁵
Nie będą moje czule nocy⁶ bez zapłaty,
A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą czas późniejszy;
I opatrzył to dawno syn pięknej Latony⁷,
Że moich kości popiół nie będzie wzgardzony!

¹ słusznie (poeta mówi tu z ironją). ² piękny. ³ pozbawiony. ⁴ współzawodnicząc ze świerszczami. ⁵ po latach. ⁶ noce, spędzone na tworzeniu poezyj.
⁷ Apollon.

Przeto, jako was kolwiek prosty gmin szacuje,
Panny, którym lotnego konia¹ zdroj² smakuje,
Ja jeden niech wam służę, a za cześć poczytam
Sobie, że sie dróg inszych, niż pospolstwo, chwytam...
Za wami idąc, ani o bogate złoto,
Ani o perły drogiej ceny dbam, jakoto
O rzeczy, które wedle swego zabaczenia³
Raz mnie Szczęście⁴, raz temu da, krom zauważenia⁵.
Ale to moja praca. Bezečna Zazdrości,
Przepadni ziemię⁶, abym i w tej śmiertelności
I potem był u ludzi w powieści uczciwej,
A nie podlegał wszytek śmierci zazdrościwej!
Do tego mi pomóżcie, o boginie święte,
Szczęściąc przyjaźnią swoją prace me zaczęte!

By⁷ mi nie był zostawił ojciec nic po sobie,
Albo żebym⁷ nie umiał przestać na chudobie⁸,
Jednakby mię Myszkowski Piotr był nie przebaczył⁹,
Który swą hojną ręką podeprzeć mię raczył, —
Nie przeto, żebym przed nim stał w pacholczem kole
Albo i przy nastółce¹⁰ ciągnął sie przez pole¹¹,
Ale żebym, wygnawszy niedostatek z domu,
Tem głośniej śpiewał, a nie podlegał nikomu.
Tę łaskę jego, proszę, Siostry wiekopomne¹²,
Pomnicie opowiadać na czasy potomne...
A ja, o Panny, niechaj wiecznie wam hołduję
I żywot swój na waszych rękę ofiaruję,
Kiedy, ziemi zleciwszy śmiertelne zewłoki,
Ogniu rówien prędkiemu, przeniknę obłoki!

W nadziejach swoich nie zawiódł się Kochanowski: potomność orzekła, że on jest największym poetą niepodległej Polski, że nie było u nas większego poety przed Mickiewiczem.

Poeta genialnym nie był: wyobraźnię miał żywą, ale niezbyt bujną; uczucie szczere, serdeczne, ale nie płomienne. Lecz talent miał niepospolity (mianowicie liryczny), a nadto posiadał przymiot, bardzo jeszcze w owoczesnej Polsce rzadki: zmysł piękna; a stąd jego poezja ma w sobie tyle wdzięku.

Talent zarówno, jak zmysł piękna, przyniósł z sobą na świat; ale i jedno i drugie rozwinął i uszlachetnił drogą usilnej pracy, mianowicie drogą studjów nad literaturą po części włoską, a przedewszystkiem starożytną, w której się rozmiłował i którą poczytywał za największe piękno: proza Cycerona była mu «anielską», pieśni Horacego — «nad złoto droższymi»; o umiłowaniu Homera świadczy najlepiej jego *Monomachija Parysowa z Menelausem* (t. j. przekład trzeciej pieśni *Iljady*). Z tego uwielbienia poetów starożytnych poszło, że i we własnych poezjach, polskich zarówno, jak łacińskich, często ich

¹ lotny (skrzydlaty) koń — Pegaz. ² Hippokrene. ³ według swego widzi mi się. ⁴ Fortuna. ⁵ bez rozważi, na ślepo. ⁶ zapadnij się w ziemię. ⁷ gdyby. ⁸ na ubogiem (skromnem) mieniu. ⁹ nie zapomniałby o mnie. ¹⁰ nastółka = czaprak. ¹¹ abym się ciągnął za nim w konnym orszaku. ¹² Muzy.

naśladował, zapożyczał od nich myśli, posługiwał się mitologją, pomysły swoje przyoblekał w starożytne formy (jako to: elegje, ody i pieśni, epigramaty i fraszki i t. d.). Główną miarą wartości i głównem zadaniem poety było w jego oczach, jak w oczach wszystkich wogóle humanistów, nie stwarzanie nowych form i nie oryginalność pomysłów, tylko możliwie wierne i dokładne naśladowanie poetów starożytnych. Z tem wszystkim ślepym ich naśladowcą nie był i być nie mógł, skoro treści i natchnienia do swej poezji szukał nietylko w literaturze starożytnej, ale także w Piśmie świętem, oraz we współczesnem życiu — swoim własnem i swojego narodu; to też jego najznakomitsze utwory, chociaż mają nieraz pokost starożytności, są pod względem treści i ducha nowoczesne, bo polskie i chrześcijańskie.

Treść poezji Kochanowskiego jest bardzo bogata. Przed nim poezja polska miała cel prawie wyłącznie praktyczny: świecka uczyła czytelników moralności albo wprost (np. *Wizerunk Reja*), albo zapomocą satyry (np. *Krótką rozprawą*), a religijna uczyła ich, jak służyć Bogu. Kochanowski pierwszy rozszerzył ten ciasny zakres; wprawdzie i on uprawiał niekiedy poezję dydaktyczną i satyryczną, pragnąc uczyć swoje społeczeństwo; ale w najznakomitszych swych utworach nie miał na widoku korzyści praktycznej, — «sobie śpiewał a Muzom»: jeżeli śpiewał pieśni na cześć Boga, to wcale nie dlatego, by pouczyć czytelników, jak mają służyć Bogu, ale jedynie dlatego, że chciał wypowiedzieć to, co jego własne serce względem Boga czuje; jeżeli w *Trenach* opłakiwał zgon Orszulki, to tylko dlatego, że własne serce domagało się przelania ciężkiego smutku w poezję. Wogóle najchętniej Kochanowski wypowiada w poezji własne uczucia: miłość Boga, pięknej natury, ojczyzny, umiłowanej kobiety, ukochanego dziecka; mówi o własnych smulkach i radościach, o własnym bólu i weselu, o własnych niepokojach i nadziejach, pragnieniach i rozczarowaniach. Niektóre z tych uczuć, np. ból po stracie dziecka, odślania w całej pełni, na inne, np. na smutek, płynący z osobistych zawodów, zarzuca lekką zasłonę i wyraża je z przedziwną dyskrecją, nakazaną przez szlachetną dumę.

Oto dlaczego jest poezja Kochanowskiego zwierciadłem jego własnej duszy, i przez to właśnie rozszerzył on niepomiernie zakres poezji polskiej: wprowadził do niej świat duszy ludzkiej, świat niewidzialny, ale równie bogaty, jak widzialny. I to pierwsza jego wielka zasługa.

A druga polega na tem, że on dopiero dał poezji ojczyściej poetyczny język i wogóle piękną formę. Rej w *Wizerunku*, żeby wyrazić wielkość Boga, mówi, że człowiek jest w stosunku do Stwórcy, czem mucha do wielbłąda, a komar do wołu: wyrażenie to obrazowe, ale nie poetyczne, nie piękne; Kochanowski, żeby wyrazić wielkość Boga, mówi: «Tyś pan wszytkiego świata, Tyś niebo zbudował — i złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował... Za Twojem rozkazaniem w brzegach może stoi, — a zamierzonych granic przeskoczyć się boi». Tutaj jest już nietylko obrazowość, ale i piękność, jest piękna przenośnia, która stanowi tak wielką ozdobę stylu poetyckiego. Pełno takich przenośni w poezji Kochanowskiego, np. «Wilna¹ cicha — górę, z wieku sadzoną, potajemnie spycha, — czyniąc sobie gościniec² bliski do siestrzyce³, — której szumny bieg sły s z y przez wąskie granice»; «A wtem dzień zszedł, noc na jego miejsce nastąpiła, — swemi skrzydły wszytkę ziemię i niebo zakryła»; «A niechaj już Uniej w skrzyniach nie chowamy, —

¹ Wilenka, Wilejka.

² szeroka droga.

³ Wilna wpada do Wilji.

ale ją w pewny zamek do serca podamy» (mowa o Unji Lubelskiej); «Lato Wiosnę goni, — a czujna Jesień przed Zimą się chroni»; «mokra śmierć zewsząd się dobywa» (w opisie burzy morskiej); «serce me zbiegło do Hanny»; «w cnotę własną się ogarnę»; «złota strzała» (miłości). Nowych wyrazów tworzył Kochanowski mało (nierównie mniej, niż Rej, którego słownik jest wogóle znacznie bogatszy): w przytoczonych przenośniach są nowe piękności, ale wydobyte z umiejętnego łączenia wyrazów starych. Na nieliczne neologizmy składają się głównie epitety złożone, np. «wiatronogi» albo «żartkonogi» (koń), «władogromy» (Bóg), «nocoświetny» (księżyc), «wszystkokrotny» (wiek). Wszystkie te i inne epitety tworzył Kochanowski za przykładem poetów starożytnych (zwłaszcza greckich); za ich także przykładem posługiwał się niekiedy przekładnią czyli inwersją, np. «A ty więc drogiemi — rzuć się ojcu na szyję rączynkami swemi» (zamiast: a ty więc rzuć się ojcu na szyję drogiemi rączynkami swemi), albo: «Czasie, pożądnej¹ ojcze niepamięci, — w co ani rozum, ani trafią święci², — zgój smutne serce» (zamiast: Czasie, ojcze pożądnej niepamięci, zgój smutne serce, w co ani rozum, ani święci nie trafią). Wogóle, zdając sobie sprawę z tego (czego ani rymopisowicze średniowieczni, ani Biernat z Lublina, ani Rej jeszcze nie rozumieli), że poezja od prozy różni się nie tylko wierszem, ale i stylem, wziął Kochanowski gorąco do serca radę Horacego, żeby nie szędzić pracy nad formą utworu poetyckiego: on pierwszy z poetów, piszących po polsku, rozumiał, że sam jeden talent czy natchnienie nie stworzy prawdziwie pięknego utworu, że niema wielkiej poezji bez świadomej roboty artystycznej, że nawet prostota poezji nieraz bywa owocem mozolnej pracy. Otóż jedna z największych piękności poezji Kochanowskiego polega na tem, że się w niej (podobnie jak w poezji Mickiewicza) ozdobność stylu łączy, jeżeli nie zawsze (dzięki mitologii i przekładniom), to najczęściej — z prostotą.

Niedosyć na tem. Styl poezji Kochanowskiego jest zawsze właściwy, t. j. odpowiadający treści: inaczej mówi poeta o Bogu, inaczej o ojczyźnie, inaczej o sobie, a poprzednicy jego na polu poezji polskiej nie potrafili tej sztuki: Rej np. w *Wizerunku* mówi o przedmiotach poważnych często w sposób zbyt pospolity, niekiedy rubaszny. A jak styl, tak i wiersz Kochanowskiego jest zawsze właściwy: raz krótszy, drugi raz dłuższy, o rytmie to żywym, to powolnym — zawsze doskonale dobrany do opiewanego przedmiotu i do uczucia poety; różnorodność wiersza i strofy jest ogromna. Słowem, pomiędzy treścią a formą poezji Kochanowskiego panuje doskonała harmonja.

Oto jego główne zasługi: rozszerzenie treści poezji polskiej i stworzenie pięknej formy. A ponieważ bez pięknej formy niema prawdziwej poezji (mogą być tylko wiersze), więc on to jest twórcą poezji polskiej i słuszenie powiada sam o sobie, «zem się rymy swemi — ważył zetrzeć z poety co znakomitszymi; — i wdarłem się na skałę pięknej Kallijopy, — gdzie dotychczas nie było śladu polskiej stopy!»

Slicznie powiedział Mickiewicz, że, jak Stefan Batory chciał uczynić Polskę państwem europejskim, tak Kochanowski pragnął sztukę polską uczynić europejską; tylko że Batory zbyt krótko żył na to, aby cel swój urzeczywistnić, a Kochanowski wykończył swoje dzieło: podniósł poezję polską do godności europejskiej. I, jak o Kazimierzu Wielkim powiedziano, że za-

¹ pożądny = pożądany, upragniony.
potrafią.

² czego ani rozum, ani święci nie

siał Polskę drewnianą, a pozostawił po sobie murowaną, tak i o Kochanowskim powiedzieć można, że zastał w Polsce tylko wiersze, a pozostawił po sobie poezję. Jego utwory wytknęły poezji polskiej nowe drogi, po których kroczyła przez dwa wieki: *Satyry*, *Fraszki* i *Pieśni*, *Psalterz* i *Treny* wywołały cały szereg naśladowań. Ale mistrzowi nie dorównał ani jeden z jego uczniów. W wieku XIX poezja nasza zajaśniała nowym blaskiem, ukazali się poeci genialni, a jednak pieśń Kochanowskiego nie straciła swego oroku ani prawdy. Do dziś dnia hymn o dobrodziejstwach bożych żywo przemawia do tych, co odczuwają wielkość i piękność stworzenia; dusza, zboliała śmiercią ukochanej istoty, i dziś, jak przed wiekami, pozna w *Trenach* swój własny ból; a niejedna matka-Polka i dziś jeszcze, w chwilach niepokoju, modli się słowami psalmu «Kto się w opiekę poda Panu swemu».

48. Jako zapalony humanista, rozkochany w literaturze starożytnej, posługiwał się Kochanowski często w poezji językiem łacińskim, naśladując poetów rzymskich. Podczas pobytu zagranicą pisał za przykładem Tybulusa i Properejusza *Elegje* miłosne, w których opiewał swą miłość ku jakiejś Lidji i smutki, o jakie go ta miłość przyprawiła. Prawdziwego, szczerego uczucia w tych elegjach niema; może nawet owa Lidja zupełnie nie istniała: poeta pisał elegje jedynie dla wprawy w wierszu łacińskim. I po powrocie do kraju nie zaniechał poezji łacińskiej, tylko że się ona staje coraz to poważniejszą i doskonalszą; oprócz wierszy miłosnych, pisze *Elegje* różnej treści; w jednej np. opisuje bohaterski czyn Wandy, co nie chciała Niemca i rzuciła się w nurty Wisły, w innej opiewa spokojne życie na wsi i t. d. Pisze i ody pochwalne, zwłaszcza na cześć króla Stefana, oraz wiersze okolicznościowe, np. na cześć Zamoyskiego.

Ale na szczególną uwagę zasługuje utwór p. t. *Gallo crocitantis* (*Kogutowi¹ gdakającemu*); tym kogutem jest poeta francuski, Desportes, który po ucieczce Henryka Waleczjusza napisał obrzydliwy paszkwil na Polskę p. t. *Adieu à la Pologne*. Kochanowski, obrażony w swem uczuciu miłości ojczyzny, dowcipnie i złośliwie odpowiedział Francuzowi, zwracając ostrze zarzutów, czynionych Polsce, ku Francji: wyrzucasz nam niegościnnosć, — daj pokój! to Francuzi są tak gościnni, że się czasem ich gość nie obudzi, bo snem wiecznym zaśnie (jest to bolesny, ale zasłużony przytyk do nocy św. Bartłomieja); wyrzucasz nam ubóstwo, — rozumiem: chcieliście kraść w Polsce, nie udało się i t. d. W taki to sposób broni poeta polski czci narodowej, którą nadaremnie chciał opluć dworak króla Henryka.

Zabawną formę ma wiersz p. t. *Carmen macaronicum* (*Wiersz makaroniczny*): wyrazy łacińskie płaczą się tu z wyrazami polskimi, o końcówkach łacińskich; takie wiersze nazywają się właśnie makaronicznymi albo makaronami; pisywał je już przed Kochanowskim jego przyjaciel, Piotr Roizjusz, uczony Hiszpan, zamieszkały w Polsce, naśladując autora makaronów włosko-łacińskich (Hieronima Folengo). Tego poetę naśladował i Kochanowski:

Est prope *wysokum* celeberrima silva *Krakovum*,
Quercubus insignis, multo miranda żółędzio,

¹ *Gallus* znaczy po łacinie zarazem Francuza i koguta.

Istuleam spectans wodom Gdańskumque gościńcum;
Dąbie nomen habet, Dąbie dixere priores.

Hanc ego, cum suchos torreret Syrius agros
Et rozganiaret non mądra Canicula żakos,
Ingredior, multum de conditione żywota
Deque statu vitae mecum myślądo futuraa;

to znaczy: «Jest blisko wysokiego Krakowa las bardzo słynny, znamienity dębami, zadziwiający mnogością żołądzi, spoglądający na wody Wisły i gościńiec gdański; Dąbie mu na imię, Dąbiem nazywali go przodkowie. Otóż raz, gdy Syrjusz palił suche pola i niemądra kanikuła¹ rozganiała żaków, poszedłem do tego lasu, rozmyślając wiele o wyborze żywota i o rodzaju przyszłego życia»; tutaj to, opowiada dalej poeta, spotkał mnicha, księdza świeckiego, dworzanina i ziemianina, z których każdy zachwalał mu swój żywot; po wysłuchaniu wszystkich poeta nie odpowiada nic, ale łatwo się domyślić, że najbardziej do serca przypadł mu żywot ziemiański (co też stwierdził czynem, osiedlając się w zaciszu wiejskiem). Zabawny formą, jest to utwór poważny treścią, zawiera w sobie mianowicie satyrę na duchowieństwo i dworaków, oraz pochwałę «wolnego żywota» na wsi.

W poezji łacińskiej miał Kochanowski wielu poprzedników, lecz pięknnością formy prześcignął ich wszystkich. Początkowo pisywał wiersze łacińskie dla wprawy albo dla własnej przyjemności, ale później odzywał się do innych, i to nie tylko do humanistów polskich (np. Myszkowskiego i Zamoyskiego), aby im sprawić przyjemność umiłowaną przez nich mową Rzymian, ale i do obcych, aby, jak np. w odach na triumfy wojenne króla Stefana, roznieść po całym świecie sławę imienia polskiego.

49. Do najwcześniejszych polskich utworów Kochanowskiego (z przed r. 1561) należy poemacik *Szachy*. Poniekąd jest to naśladowanie poematu łacińskiego (*Scaccia ludus*, t. j. *Gra w szachy*), którego autorem poeta włoski, Marek Vida; ale nie brak tu własnych, samodzielnych pomysłów. Obydwaj poeci szczegółowo opisują grę w szachy, ale kiedy w poemacie włoskim grają z sobą bogowie, Apollon i Merkury, w polskim — śmiertelni ludzie, dwaj książęta; w poemacie włoskim nagrodą za zwycięstwo jest różdżka czarnoksiężka, w polskim — ręka uroczej królowny.

Tarses, król duński, miał dziewczkę nadobną,
We wszystkich sprawach swoich tak osobną²,
Że jej natenczas równia³ mieć nie chciano;
Przeto z dalekich krain przyjeżdżano,
Chcąc się przypatrzeć jej zbytniej gładkości
A uczestnikiem być takiej miłości.
Pelen dwór zawżdy bywał cudzoziemców:
Czechów, Polaków, Francuzów i Niemców;
Ale dwa jednak przed wszystkimi byli,
Którzy na dworze czas długi służyli:
Fiedor i Borzuj, wielkich domów oba,
Co sama mogła pokazać osoba.

¹ upał. ² osobliwy, niezwykły. ³ równień (rzeczownik) = równy (komu).

Ci dwa przed sobą często się skradali,
A o królownę króla nalegali;
Nakoniec oba taką chuć k niej mieli,
Że się bić o nią pojedynkiem chcieli.

Ale król nie dopuścił do pojedynku i orzekł, że ten otrzyma rękę królowny, kto wygra z drugim partję szachów. Fiedor i Borzuj chętnie na to przystają: przez całe dwa tygodnie pilnie ślęczą nad kartą, na której z rozkazu króla spisano szczegółowo prawidła gry, «a dla ćwiczenia zawždy szachy grali»; po dwóch tygodniach stawili się na dworze królewskim i po obiedzie zasiedli z biciem serca do gry, przy której się kłóca i... szachrują.

Borzuj już dawno na draba¹ przymierza,
Jeno że jeszcze nieprawie² dowierza;
Ledwe tknął palcem, a ten jako z kusze³
Porwał królową wnet za federpusze⁴.
«Stój! — rzecze Borzuj — gorącoś kapany!
«Nie takci grają, bracie, między pany;
«Wróc mi sam⁵ babę: czekaj, aż ja pójdę,
«Bo pewnie z tobą tak rządu⁶ nie dojdę!»
Więc Fiedor: «Bychwa poprawiać się miała⁷,
«Do sądnego dnia graby trwać musiała!
«Jużeś się dotknął; a w tej grze, kto ruszy,
«Wymówki niemasz: z tym się na plac kłuszy!»⁸
Odpowie Borzuj: «Tego na wymowie
«Nie było⁹, — niechaj powiedzą panowie!
— «Takby przystało i tak ma być słusznie:
«Czego kto dotknie, tenby miał iść dusznie»¹⁰.
Lecz, iż nie było żadnej o tem wzmianki,
Kazano zasię puścić babę w szranki.

Walka zaciekle trwa długo, aż wreszcie zdaje się rzeczą pewną, że Fiedor przegra. Tymczasem zapada noc, i dalszy ciąg gry odłożono do jutra. Podano wieszczkę: «Trochę je Fiedor, pije barzo mało: — wszystko mu serce u szachów zostało, — cieszą go drudzy, drudzy k niemu piją, — a jemu prawie psi za uchem wyją...» Lecz zaniepokoiła się i Anna, «że dotąd nie wie, czyja ma być pewnie»; zdejmuje ją ciekawość zobaczyć pole walki: idzie więc do sali, w której się odbywała gra, i, spojrzawszy na szachownicę, widzi, że sprawa Fiedora, któremu widocznie w cichości serca sprzyjała, stoi bardzo źle; ale po namyśle spostrzega, że Fiedor może jeszcze wygrać, więc głośno wypowiada jakąś tajemniczą radę wobec stróżów, pilnujących szachownicy, a nadto «obróci rochu¹ na króla rogami, — sama wynidzie, zalawszy się łzami». Nazajutrz powracają zapaśnicy do gry; Fiedor pyta, kto obrócił wieżę; stróże odpowiadają, że królowna, i powtarzają ową radę tajemniczą; Borzuj nie zrozumiał jej, ale Fiedor po namyśle zrozumiał i za trzeciem posunięciem

¹ pionek. ² niezupełnie. ³ kusza = rodzaj łuku; z kusze = szybko, jak z procy. ⁴ federpusz = pióropusz. ⁵ tu. ⁶ dojsć rządu = dojsć do ładu. ⁷ bychwa się miała (liczba podwójna) = gdybyśmy się mieli. ⁸ tryb rozkazujący od kłusać = kłusować. ⁹ tegośmy sobie nie wymówili. ¹⁰ ko- niecznie. ¹¹ roch = wieża.

dał mata Borzujowi. «To było tej gry sławnej dokonanie — prawie nad wszystkich ludzi domniemanie! Tamże zarazem po pannę posłano, — którą za żonę Fiedorowi dano; — a Borzuj nie chciał być proszon na gody, — ani żegnawszy, jechał precz z gospody».

Szachy to pierwsza nowela nasza, pierwszy utwór poezji polskiej, mający za treść dzieje ludzkich serc, i zarazem jeden z najładniejszych utworów naszej dawnej literatury, pełny wdzięku i niewymuszonej swobody, żywości i szczerzego humoru.

Są jeszcze inne próby epickie Kochanowskiego, np. krótki, ujmujący swoją prostotą poemacik *Zuzanna* (1564) — o biblijnej Zuzannie, którą podli ludzie oskarżyli o rozpustę, a której niewinność wyszła najaw przy pomocy bożej, «Bo choć podczas¹ prawda musi ustępować zdradzie — przedsię Pan Bóg pospolicie na wirzch prawdę kładzie».

Są i poemaciki historyczne: *Pamiętka wszystkiemi cnotami hojnie obdarzonemu Janowi Baptyście hrabi na Tęczynie* (1563) i *Jezda do Moskwy i posługi z młodych lat, aż i przez wszystkie czas przeszłej wojny z Moskiewskim*², *Oczywiście swej i panom swym czynione, Jego Książęcej Mości i Pana Krzysztofa Radziwiłła* (1583). Treścią pierwszego utworu jest miłość i tragiczny zgon Jana Tęczyńskiego, który, płynąc do swej narzeczonej, królowny szwedzkiej Cecylji, utonął podczas burzy morskiej; treścią drugiego — wyprawa Krzysztofa Radziwiłła na Moskwę, podjęta w roku 1581 z rozkazu Stefana Batorego. Nosił się Kochanowski z myślą napisania i innych jeszcze poematów historycznych; przeszłość bowiem narodowa wydawała mu się jakimś wiekiem złotym, kiedy to i Polska była szczęśliwsza, i Polacy lepsi, bo umiarkowańsi, mężniejsi i goręcej kochający ojczyznę. Wyobraźnię jego nęciła bitwa pod Grunwaldem, w której «Polacy na głowę Niemce porazili», i bohaterska śmierć Władysława Warneńczyka, którego «kości nie są w ojczystym grobie położone: — grób jego jest Europa, słup — śnieżne Balkany, — napis — wieczna pamiętka między krześcijany». I oto pragnął poeta wyśpiewać przeszłość ukochanej ojczyzny:

Gdzieśto³ piękne boginie tak łaskawe były,
Żebych ja, ile chęci, tyle miał i siły
Służyć ojczyźnie milej, a jej sprawom sławnym
Nie dopuszczał zamierzknąć w ciemnym wieku dawnym!
Gdzie pojrzę, wszędy widzę polskiej siły znaki:
Tu do Czarnego morza jeszcze świeże szlaki⁴,
Tu droga znakomita przez śnieżne Bałchany,
Tu Psie pola, a sam⁵ brzeg pruski zwojowany!
A ktoby oczy podał w jeszcze głębsze lata,
Przodkom naszym większa część hołdowała świata:
Bo od Zmarzłego morza po brzeg Adryjański
Wszystko był opanował cny naród słowiański!

Ale «piękne boginie» (Muzy) nie były na Kochanowskiego łaskawe: nie zbywało mu na chęciach do wyśpiewania przeszłości, ale sił po temu brakło, bo talentu epickiego, zwłaszcza bujnej wyobraźni, nie miał.

¹ czasem. ² t. j. z carem moskiewskim. ³ gdybyż to. ⁴ w r. 1484 Turcy zagarnęli brzegi morza Czarnego, które należały do hołdującej Polsce Mołdawji. ⁵ tam.

50. Lecz nietylko przeszłość, ale i terażniejszość Polski żywo interesowała Kochanowskiego, czego dowodem są jego utwory polityczne, tchnące duchem obywatelskim. Na ich czele stoi *Satyr albo dziki mąż*, satyra, napisana podczas obrad sejmowych w Warszawie, w końcu r. 1563.

Odrązu poznać, że satyrę tę pisał humanista, rozmiłowany w literaturze starożytnej: przemawia tutaj nie wójt ani pleban, jak w *Krótkiej rozprawie* Reja, tylko półbożek grecki, «Satyr albo dziki mąż», który niby to od wieków zamieszkał w gęstych borach polskich, ale teraz, wystraszony łośskotem toporów, wyrębiających stare drzewa, wybiega z lasu i głośno się skarży na Polaków, którzy są tak bardzo niepodobni do swoich przodków.

Tak, jako mię widzicie, choć mam na łbie rogi
I twarz nieprawie cudną i kosmate nogi,
Przedsiem uszedł za boga w one dawne czasy;
A to mój dom był zawždy, gdzie nagestsze lasy.
Aleście je tak długo tu, w Polsce, kopali,
Zeście z nich ubogiego Satyra wygnali.
Gdzie pojrzę, wszędy rąbią: albo buk do huty,
Albo sośnią na smołę, albo dąb na szkuty¹;
I muszę ja podobno, prze ludzi łakome
Opuściwszy jaskinie i góry świadome²,
Szukać sobie na starość inszego mieszkania,
Gdzieby w ludziach nie było takiego starania
O te biedne pieniądze; wszak i drew po chwili
Nie najdą, żeby sobie izbę upalili.
Próżna to, niech mi, wierę, jako kto chce, łaje, —
Niemasz dziś w Polsce, jedno kupcy a rataje³.
To nawiętsze misterstwo⁴, kto do Brzegu⁵ z woły,
A do Gdańska wie drogę z żytem a z popioły...
Na Podolu go nie patrz, bo między Tatory
Szabla więcej popłaca, niż leśne towary!
Z czasem wszystko sie mieni. Pomnię ja, przed laty
Że w Polsce żaden nie był w pieniądze bogaty:
Kmieca to rzecz naonczas patrzeć rolę była,
A szlachta sie rycerskiem rzemięslem bawiła.
Nic to nie było siedm' lat walczyć, nie przestając,
Mróz i gorąco cierpiąc, głodu przymierając;
A to wszystko bogactwo, kto sie sławy dobył:
Lepiej sie tem, niż złotym łańcuchem, ozdobił;
A jeśli ku pokoju kiedy myśl skłonili,
Nie już swoich żołnierskich zabaw odstąpili...
Temci Polska urosła, a granice swoje
Rozciągnęła szeroko między morza dwoje;
Stąd prawa, stąd wolności, stąd Rzeczpospolitą
Macie, moi Polacy, na świat znakomitą.
Lecz tego snadź nie wiecie, iż, jako dostają,

¹ szkuta = statek do przewożenia zboża. ² góra świadoma = góra, z której szczytu widać rozległą przestrzeń. ³ oracz, rolnik. ⁴ sztuka. ⁵ miasto na Śląsku (nad Odrą).

Tymże również sposobem królestw ostrzegają¹.
Dalekoście się od swych przodków odstrzelili,
A prawieście ojcowskie granaty² na plugi,
A z drugiego już dawno w kuchni rożeń długi.
W przyłbicach kwoczki siedzą albo owies mierzą,
Kiedy obrok woźnice na noc koniom bierzą³
Kotczy⁴ — to nadzieźny⁵ koń, a poczet zaś — woły,
Które stoją i w stajni, i w tyle stodoły.
To już rotmistrz, co fuka na chłopy u pluga,
A jego przedniejsza broń — toczona maczuga.
Prawdę mówię, czyli nie, — uznajcie to sami.
Ale sie tam ożywa jeden między wami,
Mieniać, iż gospodarstwo Polskę zbogaciło,
A jako żywo, złota więcej w niej nie było.
Prawda, że złota waszy przodkowie nie mieli,
A malobych tak nie rzekł⁶, że go ani chcieli:
Jednak za swoim męstwem wielkie państwa brali
I bogatym książętom prawa ustawiali...

Ukażcież wy, pieniądze, coście tak smacznego
Uczynili! Nie chcę nic wspominać dawnego:
W kilku lat Tatarowie pięć kroć was wybrali⁷,
Bracią waszę w niewolą Turkom zaprzedałi...
Moskiewski wziął Połocko
Co dalej? Szwedowie was przez morze sięgają
A Iflanty wam prawie z garści wydzierają...
Toć owoc waszych bogactw i toście wygrali,
Zeście przy plugu raczej, niż szabli, zostali!

Tak to przez usta Satyra wyrzuca Kochanowski szlachcie, że zatraciła ducha rycerskiego, jaki zdołał jej przodków, że nie kocha już ojczyzny, skoro, zamiast jej bronić przed chciwymi sąsiadami, myśli tylko o gospodarstwie, jako o źródle bogactw, które trwoni na same zbytki; a potem gorzko wymawia Polakom niezgodę religijną i mędrkowanie w rzeczach wiary, wyrzeka na upadek Akademji Krakowskiej i przypisuje go (bardzo niesłusznie) obojętności społeczeństwa, które woli «do Włoch albo do Niemiec ślać syny, mając swe szkoły doma».

Wszystkie te poglądy Kochanowskiego nie są oryginalne: głosili je wcześniej inni, zwłaszcza Modrzewski i Orzechowski; wygłosił je także podkanclerzy, biskup Myszkowski (w mowie, którą w imieniu króla otworzył sejm). Myśl przewodnią *Satyra*, że Polska powinna, pod grozą upadku, powrócić do dawnych obyczajów i praw, jest z gruntu fałszywa, bo niemożliwa do wykonania. Pomimo to jest *Satyr* utworem godnym uwagi, jako pierwsza humanistyczna satyra polska i jako piękne świadectwo patriotyzmu Kochanowskiego, który nie wiedział wprawdzie, jak zaradzić złemu, ale który z tego złego zdawał sobie jasno sprawę, bolejąc zwłaszcza,

¹ strzec, utrzymać, zachować. ² granat = rodzaj broni ręcznej (obuch z pugińalem w środku). ³ biorą. ⁴ powozowy. ⁵ pewny, najlepszy.
⁶ mógłbym niemal powiedzieć. ⁷ wielu z was wzięli do niewoli.

podobnie, jak Bielski, nad zanikaniem dawnego ducha rycerskiego wśród szlachty.

Inny jeszcze sejm odbił się głośnym echem w twórczości Kochanowskiego — sejm lubelski, na którym książę pruski Albert II złożył hołd lenniczy Zygmuntowi Augustowi (19 lipca roku 1569).

Oto w zacnym ubierze i w złotej koronie
Siadł pomazaniec boży na swym pańskim tronie,
Jablko złote i złotą laskę w rękę mając,
A zakon Nawyższego¹ na łonie trzymając.
Miecz przed nim srogi, ale złemu tylko srogi,
Niewinnemu na sercu nie uczyni trwogi.
Z obu stron zacny senat koronny, a wkóło
Sprawiony zastęp stoi i rycerstwa czoło.

Przystąp, Olbrychcie młody, zacnych książąt plemię,
Który trzymasz w swej władzy piękną pruską ziemię
Z łaski cnych królów polskich; uczyn panu swemu
Winną poczciwość, a ślub² wiarę dzierżyć jemu.

Tak się zaczyna krótki poemat *Proporzec albo hołd pruski*. Szkoda, że ciąg dalszy nie stoi na tej samej wyżynie, co ten wspaniały w swej uroczystości początek. Cały prawie poemat wypełnia opis proporca, który podano jakoby Albertowi po złożeniu hołdu, a na którym, z jednej strony, były «kosztownymi farbami» wymalowane walki Krzyżaków z Polską, a z drugiej — pierwotne «dzieje słowieńskie» «na wszytek świat sławne». Całe to malowidło stworzyła fantazja Kochanowskiego, na wzór opisu tarczy Achillea w *Iliadzie* i puklerza Eneasza w *Eneidzie*: jest to ten sam rodzaj literacki, do którego należeć będzie opis puharu w *Monomachji* Krasickiego i opis arcycyserwisu w *Panu Tadeuszu*.

51. Do utworów patryjotycznych Kochanowskiego należy także, ze względu na swoją tendencję, tragedia p. t. *Odprawa posłów greckich*, podana¹ na *Theatrum przed Królem Jego M. i Królową Jej M. w Jazdowie pod Warszawą, dnia 12 stycznia, Roku Pańskiego 1578. Na Feście² u Jego Mści Pana Jana Zamoyskiego, naonczas podkanclerza, a teraz kanclerza i hetmana wielkiego koronnego*.

Jan Zamoyski zareczył się z Krystyną Radziwiłłówną, a pragnąc uświetnić wesela (na które miał przybyć sam król Stefan) przedstawieniem teatralnym, zwrócił się do Kochanowskiego z prośbą o przysłanie stosownej sztuki dramatycznej. Tę prośbę spełnił Kochanowski tem łatwiej, że miał sztukę gotową: pozostawało mu tylko wygładzić ją, a tu i owdzie uzupełnić.

Sztuką tą jest właśnie *Odprawa posłów greckich*, tragedia humanistyczna, napisana na wzór tragików greckich (Eurypidesa i Sofoklesa), a za przykładem poetów włoskich (Trissina i Speroniego): wiersz, z wyjątkiem dwóch pierwszych pieśni chóru, jest nie rymowany, tylko biały (rytmiczny); na scenie przez cały czas trwania akcji znajduje się chór (złożony z «panien trojańskich»), który jednak czynnego udziału w akcji nie bierze i jest

¹ t. j. Ewangelję.

² tryb rozkazujący od ślubić.

³ przedstawiona.

⁴ fest = uroczystość (weselna).

tylko jej świadkiem, wypowiadając od czasu do czasu swoje własne poglądy lub uczucia; scena przez cały ciąg sztuki nie zmienia się ani razu: wszystko odbywa się w jednym miejscu, przed domem Aleksandra, a o przebiegu rady trojańskiej, która się odbyła w innym miejscu, widzowie dowiadują się z długiego opowiadania posła; układ wreszcie (budowa) tragedji prawie taki sam, jak w tragedjach starożytnych¹. A jak forma, tak i treść *Odprawy* jest starożytna. Główny pomysł wziął Kochanowski z Homera, który w trzeciej księdze *Iljady* (w tej samej księdze, którą poeta przełożył na język ojczysty) wspomina, że Ulisses i Menelaus przybyli w poselstwie do Troi, aby się upomnieć o porwaną przez Aleksandra (Parysa) Helenę, i zamieszkali w gościnnym domu Antenora; ale nie wskórali nic i powrócili do domu bez Heleny. Kilka szczegółów zapożyczył nadto Kochanowski z *Historji o zburzeniu państwa trojańskiego* i z innych autorów starożytnych. Pomimo to wszystko *Odprawa posłów greckich* jest utworem oryginalnym — nie tylko dlatego, że wiele szczegółów wymyślił Kochanowski sam, a szczegóły zapożyczone rozwinął i uzupełnił, ale nade wszystko dlatego, że zbudował z nich jednolitą całość, ta zaś stanowi jego niezaprzeczoną własność.

Niedosyć na tem. Własnością Kochanowskiego jest myśl przewodnia utworu i uczucie, które go ożywia. Cóż jest myślą przewodnią *Odprawy*? Parys, porywając Helenę, popełnił zbrodnię, bo pogwałcił świętość domowego ogniska, podeptał prawa boskie i ludzkie, a nadto naraził ojczyznę na niebezpieczeństwo wojny z Grekami; można jeszcze temu niebezpieczeństwu zapobiec, oddając Helenę posłom greckim, lecz Parys, kierując się egoizmem, nie zaś miłością ojczyzny, nie tylko uczynić tego nie chce (i w ten sposób popełnia nową zbrodnię), ale wciąga do niej innych, mianowicie większość panów z rady trojańskiej, których zapomocą przekupstwa ująć sobie potrafił i którzy też głosują, żeby Heleny nie oddawać; nie nie sprawił rozum, szlachetność i miłość ojczyzny Antenora i nielicznych patryjotów trojańskich, — zwycięża głupota, nikczemność i prywata Parysa i jego stronników; posłowie greccy dostają odprawę, a skutkiem tego wybucha wojna, która ziściła straszną przepowiednię Kasandry: potężna Troja legła w gruzach i popiołach. Otóż myślą przewodnią tragedji jest, że państwo, w którym większość rządzi się nie miłością ojczyzny, tylko prywatą, musi zginąć. A miał tu poeta na myśli swoją własną ojczyznę, w której już za jego życia nie brakło, na nieszczęście, Parysów (np. Zborowscy!), Antenorów zaś było niewiele; ponieważ nadto widział, że w Polsce «ani prawa ważą, ani sprawiedliwość ma miejsca», że zanika dawny duch rycerski, więc nie rokował szczęścia ojczyźnie i swój lęk o jej przyszłość wypowiedział przez usta Ulissesa («O nierządne królestwo i zginienia bliskie!») i Kasandry («Poco mię próżno, srogi Apollo, trapisz?»). Wogóle pełno w *Odprawie posłów greckich* napomknień o sprawach polskich: a więc np. opowiadanie posła o kłótliwem i wrzaskliwem posiedzeniu rady trojańskiej jest dosadnym obrazem posiedzeń sejmu polskiego; Iketaon, umiejący rozbudzić uczucia patryjotyczne słuchaczy, aby je wyzyskać na rzecz sprawy prywatnej, jest wizerunkiem polskiego warchoła sejmowego; król Priam, odkładający

¹ Zaczyna się tragedia od prologu, po którym następuje pierwsza pieśń chóru; dalej — epeisodion pierwsze, druga pieśń, drugie epeisodion, trzecia pieśń chóru i wreszcie — exodos (rozwiązanie).

wszystko do jutra, przypomina trochę Zygmunta Augusta, którego już wspólnie nazywali dojutrzkiem, i t. d.

Ale to jeszcze nie wszystko. Przy pisaniu tragedji przyświecał Kochanowskiemu pewien wyraźny cel polityczny: pragnął on mianowicie rozbudzić ducha rycerskiego w szlachcie i, w myśl wielkich zamiarów króla Stefana i Zamoyskiego, zachęcić ją do wojny zaczepnej z Moskwą: cel ten przebija się najwyraźniej w zakończeniu tragedji w słowach Antenora: «Na każdy rok nam każą radzić o obronie: — ba, radźmy też o wojnie, nie wszystko się broimy; — radźmy, jako kogo bić: lepiej, niż go czekać!» Słowa te dźwięczały w uszach widzów jak pobudka wojenna; jakoż pustym dźwiękiem nie były: wkrótce po odegraniu tragedji Kochanowskiego wobec posłów i senatorów, których Zamoyski na «fest» zaprosił, sejm uchwalił podatek na wojnę zaczepną z Moskwą! Otóż przez tę pobudkę wojenną, przez liczne napomnienia o sprawach polskich, przez uczucie niepokoju o przyszłość ojczyzny jest *Odprawa posłów greckich*, pomimo swojej starożytnej treści, utworem narodowym i patriotycznym.

Nie jedyny to utwór dramatyczny w literaturze polskiej XVI wieku, ale jedyny piękny. Arcydziełem tragedji nie jest bynajmniej, braknie mu bowiem nietylko żywej i bogatej akcji, ale i... tragiczności. Sam pomysł wprawdzie (upadek całego państwa wskutek zbrodni samolubnej jednostki, oraz lekkomyślnych i złych obywateli, którzy się ze zbrodniarzem solidaryzują) jest wysoce tragiczny: cóż z tego, kiedy go Kochanowski nie umiał wyzyskać, ani bowiem nie uwydatnił wielkości zbrodni, ani nie wydobyl z niej grozy tragicznej: groźne proroctwo Kasandry jest wprawdzie zapowiedzią kary, jaką Troja poniesie za zbrodnię, ale żeby ta kara była czemś nieuchronnem, jako wymiar wiekuistej sprawiedliwości, rządzącej światem, a choćby tylko jako logiczny, nieublagany skutek zbrodni — nie widać z tego proroctwa. Nie będąc jednak arcydziełem tragedji, jest *Odprawa posłów greckich* najpiękniejszą tragedją, na jaką się zdobyła literatura niepodległej Polski. Klasycyzna w swojej prostocie i jasności budowa, klasycznie piękny język — to prosta, to ozdobny — szlachetna powaga i głębookość uczuć w słowach Antenora, Ulissea i Menelausa, oraz w kunsztownych pieśniach chóru, żywość i wyrazistość opowieści posła o radzie trojańskiej, wzniosłość proroctwa Kasandry — oto główne piękności tej tragedji.

52. Najwyżej wznosił się talent Kochanowskiego w utworach lirycznych — we *Fraszkach*, w *Pieśniach* i w *Trenach*.

Na *Fraszki* (1584) składa się blisko trzysta króciutkich i dłuższych utworów (po dwa do trzydziestu wierszy). Wzorował się w nich Kochanowski trochę na Anakreonie, więcej na Katullusie, a nadewszystko na tak zwanej *Antologii* (greckiej i rzymskiej), zawierającej w sobie drobne utwory różnorodnej treści: są tułaj epigramaty poważne (np. napisy nagrobkowe) i humorystyczne (np. uszczypliwe docinki i drwinki), sentencje i aforyzmy, madyrygały i komplementy miłosne, wierszyki satyryczne, anegdotki i t. d. Coś szóstą część *Fraszek* stanowią przekłady z *Antologii*; w innych bierze stamtąd poeta tylko pomysły, które opracowuje samodzielnie; lecz najwięcej jest *Fraszek* oryginalnych. Ich większa część powstała w Krakowie, kiedy to Kochanowski był sekretarzem Zygmunta Augusta i bywał częstym gościem na różnych dworach, zwłaszcza biskupa Filipa Padniewskiego. Hucznie i gwarne było to dworskie życie: hulali dworzanie, co się zowie, tańcowali

i biesiadowali, weselili się muzyką i śpiewem, kochali się nazabój i pili namumór, płatali sobie figle wesołe, opowiadali ucieszne, a czasem bardzo swawolne dykteryjki, drwili sobie z księży, prawili «dwornym paniom» komplementy, nie szczędząc im zresztą uszczypliwych docinków. Otóż całe to życie, które porwało w swój wir i naszego poetę, odbiło się we *Fraszkach*: «Nie dbają moje papiery — o przeważne bohaterzy: — nic u nich Mars, chociaż srogi, — i Achilles prędkonogi; — ale śmiechy, ale żarty — zwykły zbierać moje karty; — pieśni, tańce i biesiady — schadzają się w nich do rady». «Ja inaczej nie piszę, jeno jako żyję: — pijane moje rymy, bo i sam rad piję...» Lecz *Fraszki* są nietylko obrazem wesołego życia dworskiego, a stąd źródłem do poznania owocnych obyczajów dworskich, ale nadto są zwierciadłem życia i duszy samego poety, są jakby jego pamiętnikiem, w którym dorywczo zapisywał swoje najróżnorodniejsze przygody nietylko wesołe, ale i smutne, i czasem otwarcie, ale częściej pod osłonkami, spowiadał się ze swoich uczuć i myśli. A prowadził ten pamiętnik i po opuszczeniu Krakowa, w Czarnolesie: tylko, że wśród tych późniejszych fraszek przeważają już rymy nie «pijane», lecz poważne, a nieraz i podniosłe. Wogóle treść *Fraszek* jest niesłychanie rozmaita, i w tem tylko są wszystkie do siebie podobne, że posiadają wykwintną formę, która dowodzi niepospolitego talentu i mistrzostwa we władaniu poetyczną mową ojczystą; niektóre są skończonymi arcydziełami zwięzłości i precyzji. (*Fraszki* nie mają formy stroficznej — z wyjątkiem trzech: *Do Paniej*, *Do Franciszka* i *Do Stanisława*; są to sonety, pierwsze w poezji polskiej; z tych jednak trzech sonetów jeden tylko, *Do Franciszka*, posiada budowę, znamionującą pospolicie sonety, to jest składa się z dwóch strof czterowerszowych i dwóch (ostatnich) trzywerszowych; dwa zaś pozostałe sonety składają się z trzech strof czterowerszowych i jednej (ostatniej) dwuwerszowej; są to sonety epigramatyczne, w jakie szczególnie obfituje poezja francuska XVI wieku; ale znała je także w tym wieku poezja włoska i angielska).

**Do
Fraszek.**

Fraszki nieprzełączone! wdzięczne fraszki moje,
W które ja wszystkie kładę tajemnice swoje,
Bądź laskawie fortuna ze mną postępuje,
Bądź inaczej (czego snadź więcej się najduje!).
Obrali by się¹ kiedy kto tak pracowity,
Żeby z was chciał wyczerpać umysł mój zakryty,
Powiedźcie mu, niech próżno nie frasuje głowy,
Bo się w dziwny Labirynt i błąd wda takowy,
Skąd żadna Aryjadna, żadne kłębki tylne
Wywieść go móc nie będą, tak tam ścieżki mylne!...

**Do
Mikołaja
Firleja.**

Jeśli by w moich książkach co takiego było,
Czegoby się przed panną czytać nie godziło:
Odpuść, mój Mikołaju! Bo ma być stateczny
Sam poeta — rym czasem ujdzie i wszeteczny.

O Kozle.

Kozieł², kto go zna, piwszy do północy,
Nie mógł do domu trafić o swej mocy.

¹ gdvby się kto znalazł. ² nazwisko pewnego ziemianina lubelskiego.

Ujrzawszy kogoś: «Słuchaj, panie młody!
«Proszę cię, nie wiesz ty mojej gospody?»
A ten: «Niech cię znam, tedy sie dowiewa!»
«Jam — pry¹ — jest Kozieł». — «Idźże spać do chlewa!»

O
doktorze
Hiszpanie.

Nasz dobry doktor² spać sie od nas bierze,
Ani chce z nami doczekać wieczerze.
«Dajcie mu pokój! najdziem go w pościeli,
«A sami przedsię bywajmy weseli!»
Już po wieczerzy: «Późdzmy do Hiszpana!»
«Ba, wierę³, późdzmy, ale nie bez dzbana!»
«Puszczaj, doktorze, towarzyszu miły!»
Doktor nie puścił, ale drzwi puściły.
«Jedna⁴ nie wadzi: daj ci, Boże, zdrowiel»
«By jeno jedna!», doktor na to powie.
Od jednej przyszło aż więc do dziewiąci,
A doktorowi mózg sie we łbie mąci.
«Trudny — powiada — mój rząd z tymi pany:
«Szedłem spać trzeźwo, a wstanę pijany».

Na
Konrata.

Milczycie w obiad, mój panie Konracie:
Czy tylko na chleb gębę swą chowacie?

Na
nabożną.

Jeśli nie grzeszysz, jako mi powiadasz,
Czego sie, miła, tak często spowiadasz?

Do
Baltazara.

Nie dziw, żeć głowa, Baltazarze, chora:
Siedziałeś wedle głupiego doktora.

O
kapelanie.

Królowa do mszej chciała, ale kapelana
Doma nie naleziono, bo pilnował dzbana.
Przyjdzie potem nierychło w czerwonym ornacie,
A królowa: «Ksze⁵ miły! długo to sypiaciel!»
A mój dobry kapelan na ono łajanie:
«Jeszczemci sie dziś nie kładł! co za długie spanie?»

O Hannie.

Tu góra drzewy natkniona,	Tu zachodni wiatr powiewa,
A pod nią łąka zielona;	Tu słowik przyjemnie śpiewa:
Tu źródół przeźroczystej wody	Ale to wszystko za jaje ⁶ ,
Podróznemu dla ochłody;	Kiedy Hanny nie dostaje.

Do Hanny.

Na palcu masz dyjament, w sercu — twardy krzemień;
Pierścień mi, Hanno, dajesz: już i serce przemień!

Do Jana.

Janie, cierp jako możesz; przyjdzie ta godzina,
Że ludziom złym będzie swa zapłacona wina,

¹ prawi, mówi.
⁴ t. j. jedna czasza.
t. j. niewiele warto.

² uczony
⁵ księżę.

doktor Piotr Roizjusz.

³ zaprawdę.

⁶ ale to wszystko tyle warto, co jedno jajko,

A Bóg pomści niecnoty i falesznej zdrady,
Którąś odniósł za swą chęć¹ świeżemi przykłady.
Czyś ludzi nie znał? czyś tak rozumiał, nieboże,
Że ciernie inszy owoc, niż tarnki, dać może,
Albo wilk nie miał szkodzić rogatemu stadu,
Albo wąż miał za czasem przestać swego jadu?
Daremnąś pracą podjął, czyniąc dobrze złemu,
Bo sie on nie odejmie przyrodzeniu swemu².
A ty sam siebie winuj, bo co cię dziś boli,
Stąd idzie, iż się ludziom obłudnym był g'woli³.
Dla których coś ty czynił, a ci też czem ci to
Płacili, niechaj wszystko światu będzie skryto!...

Na dom
w Czarno-
lesie.

Panie! To moja praca, a zdarzenie Twoje!
Raczyż⁴ błogosławieństwo dać do końca swoje!
Inszy niechaj pałace marmurowe mają
I szczerym złotogłowem ściany obijają:
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tem gniaździe ojczystem,
A Ty mię zdrowiem opatrz i sumnieniem czystym,
Pożywieniem uczciwem, ludzką życzliwością,
Obyczajmi znośnemi, nieprzykrą starością!

Modlitwa
o deszcz.

Wszego dobrego dawca i szafarzu wieczny!
Tobie ziemia, spalona przez ogień słoneczny,
Modli sie dżdża⁵ i smętne zioła pochyłone
I nadzieja oraczów — zboża upragnione.
Ściśni wilgotne chmury świętą ręką swoją,
A one suchą ziemię i drzewa napoją,
Ogniem zjęte! O, który z suchej skały zdroje
Niesłychane pobudzasz, okaż dary swoje!
Ty nocną rosę spuszczasz, Ty dostatkim hojnym
Żywej wody dodawasz rzekom niespokojnym,
Ty przepaści nasycasz i łakome morze;
Stąd gwiazdy żywność mają i ogniste zorze.
Kiedy Ty chcesz, wszytek świat powodzią zatonie,
A kiedy chcesz, od ognia jako pióro wspanie.

Na
zdrowie.

Szlachetne zdrowie!	Ani lepszego,	Dobre są, ale
Nikt sie nie dowie,	Ani droższego;	Gdy zdrowie w cale ⁷ ;
Jako smakujesz,	Bo dobre mienie,	Gdy niemasz siły,
Aż sie zepsujesz.	Perły, kamienie,	I świat nie miły.
Tam ⁶ człowiek prawie	Także wiek młody	Klejnocie drogi!
Widzi na jawie	I dar urody,	Mój dom ubogi,
I sam to powie,	Miejsca wysokie,	Oddany tobie,
Że nic nad zdrowie	Władze szerokie	Ulubuj sobie.

¹ życzliwość. ² nie wyzbędzie się swej natury. ³ żeś był uczynny dla
złych ludzi. ⁴ racz. ⁵ modli się o deszcz. ⁶ t. j. kiedy utraci zdrowie.
⁷ w całości.

Na swe
księgi do
Łaskiego¹.

Psalmy syłam, gdzie kogo nabożnego słyszę,
Λ *Fraszki* zaś dla dobrych towarzyszków piszę;
Sobótka paniom służy; gracze odprawuję
Szachami, a wesole *Pieśniami* daruję.
Tobie, Łaski, co właśnie zawołanie² twoje,
Zacne hetmany dają i surowe boje³.

Do
Stanisława⁴
(sonet)

Nie przez pochlebstwo, ani złote dary,
Jako te lata zwykły terażniejsze,
Ale przez cnotę na miejsce ważniejsze
Godzisz, Wapowski, jako zwyczaj stary.
Szczęśliwe czasy, kiedy giermak⁵ szary
Był tak pocziwy, jako te dzisiejsze
Jedwabne bramy⁶ coraz kosztowniejsze.
Wprawdzie nie było kosztu na maskary⁷,
Ale był zawždy koń na staniu⁸ rzeźwi⁹,
Drzewo¹⁰, tarcz pewna i pancerz na ścienie,
Szabla przy boku; sam pacholek trzeźwi
Nie szukał pierza, wyspał się na sienie,
A bił się dobrze. Bodaj tak uboga
Dziś Polska była i poganom sroga!

Do
Paniej.
(sonet)

Imię tve, pani, które rad mianuję,
Najdziesz w mych rymiech często napisane,
A kiedy będzie od ludzi czytane,
Masz przed inszymi, jeśli ja co czuję¹¹.
Bych cię z drogiego marmuru postawił,
Bych cię chciał ulać i z szczerego złota
(Czego uroda i twa godna cnota),
Jeszczebych cię czci trwalej nie nabawił.
I mauzolea i egipskie grody
Ostatniej śmierci próżne być nie mogą:
Albo je ogień, albo nagłe wody,
Albo je lata zazdrościwe zmoga.
Sława z dowcipu sama wiecznie stoi¹²,
Ta gwałtu nie zna, ta się lat nie boi.

53. Jak *Fraszki*, tak i *Pieśni* tworzył Kochanowski w różnych chwilach swego życia, ale kilka zaledwie ogłosił drukiem; całość ukazała się dopiero po jego śmierci. Głównym wzorem był mu Horacy; niektóre pieśni są wręcz przekładami albo też przeróbkami jego ód. Od *Fraszek* różnią się *Pie-*

¹ Olbrycht Łaski, wojewoda sieradzki, słynny wojownik i awanturnik. ² zawód, powołanie. ³ Być może, ma tu Kochanowski na myśli *Monomachję* *Parysową*. ⁴ Stanisław Wapowski, podkomorzy sanocki. ⁵ suknia długa do kostek. ⁶ brama albo bramobłoga = obszczyce u szaty. ⁷ maska, przebranie. domino. ⁸ stanie = stajnia. ⁹ rzeźwy. ¹⁰ drzewce, oszczep. ¹¹ będziesz miała większą sławę od innych pań, jeśli się nie mylę. ¹² jedynie poezja zapewnia człowiekowi sławę nieśmiertelną.

śni nietylko formą stroficzną (najczęstszą strofą jest czterozgłoskowa), ale i tonem: prawie wszystkie są poważne; żartobliwych jest bardzo mało, a swawolnej, którejby się «przed panną czytać nie godziło», niema żadnej.

Wesołością tchną pieśni towarzyskie, np. pieśń «Miło szaleć, kiedy czas po temu», albo «Dzbanie mój pisany»: obydwie są zachętą do wypitki i wogóle do radości życia, która tak często dźwięczy w odach Horacego. Raziły jednak Kochanowskiego nieestetyczne wybryki tej radości, mianowicie pijaństwo i pijackie manieri niekulturalnej szlachty: ostrą, nieprzebierającą w wyrażeniach satyrą na «miłych pijaniców» jest pieśń «Czołem za cześć, łaskawy mój panie sąsiedzie». Raziły go także w życiu towarzyskiem stare, brzydkie i pomarszczone baby, pragnące uchodzić za młode; ośmieszył je też bez litości w pieśni «Żal mi cię, niebogo».

W pieśniach miłosnych Kochanowskiego po raz pierwszy w Polsce miłość przemówiła pięknym językiem, albo raczej on dopiero stworzył polski język miłości, wzorując się nietylko na liryce rzymskiej (na pieśniach Horacego i Katullusa, oraz na elegjach Owidjusza, Tybullusa i Propercjusza), ale jeszcze więcej na liryce włoskiej, mianowicie na pieśniach Petrarcki.

Miłość przepelnia serce poety to weselem, to smutkiem. Nie posiada się ze szczęścia, kiedy ukochana jest mu wzajemną: «Złota to strzała i krom wszego jadu była, — którą mię niepochybna miłość ugodziła»; «Srogie łańcuchy na swem sercu czuję, — lecz to szczęściem szacuję, — zem jest tak pięknem sidłem ułowiony»; raz mu się zdawało, że jest «wszystek w niebie». Unosi się nad pięknością ukochanej, swojej «pani wszech piękniejszej», w której «więcej, niż we stu inszych, najduje»: w zachwyt go wprawiają jej oczy, czarne jak dwa węgle, jej brwi «wyniosłe i czarnawe», jej usta «różowe, perel pełne», jej włosy złote, jej lice «podobne zorzy»; «Kto mi wiary dać nie chce, daj ją oku swemu, — a przypatrz się stworzeniu pilnie tak pięknemu: — taka jeszcze nie była za dawnego wieku, — aniołowi podobna barziej, niż człowieku. — Raj tam, gdzie ona siedzi, a którądy mija, — za jej stopami róża wstawa i lelija; — jej gwoli piękne drzewa dają cień sowity, — nie chcąc, aby ją letni żegl² ogień obfity». Zachwyt nad pięknością ukochanej potęguje się jeszcze na myśl, że piękność to przecie nietylko dar boży, ale także, jak uczy Platon, jeden z pierwiastków samej istoty bożej: «Przeto tusz dobrze, Hanno urodziwa, sobie! — Z twoich darów znać, że Bóg jest łaskawym tobie, — który, jako ozdobę i piękność szacuje, — ten czyn niezmiernego świata okazuje, — tak pięknie zbudowany. Kto sklepowi³ temu, — nadobnemi gwiazdami ślicznie sadzonemu, — nadziwować się może?... — ...Cóż, gdzie nasze oczy — dosiąć nie mogą? gdzie myśl, która niebem toczy, — gdzie sama piękność świeci i kształty wszech rzeczy?... Dar boży tedy gładkość, a dar znamienity, — bo jeśli go Ten³ nie da, zinać nienabyty». Lecz ideałem piękności kobiecej jest nie sama piękność fizyczna, ale piękność twarzy, połączona z pięknością duszy, ze «świętlemi obyczajami»: «Nie tylkoś nad insze gładza się urodziła, — aleś i zwyczajmi twarzy nic nie zelżyła, — a jako wdzięcznie szmarakiem złoto się dwoi⁴, — tak tej szlachetnej duszy w tem ciele przystoi».

Smutek i tęsknota ogarnia serce poety, kiedy się rozstaje z ukochaną:

¹ zeć = palić. ² sklepienie. ³ t. j. Bóg. ⁴ jak złoto jest jeszcze piękniejsze, kiedy w nie szmaragd oprawić.

«Trudna rada w tej mierze: przyjdzie się rozjechać, — a przez ten czas wesela i lutnie zaniechać; — wszystka moja dobra myśl¹ z tobą precz odchodzi, — a z tego mię więzienia nikt nie wyswobodzi...» «...Zajrzę² wam, gęste lasy i wysokie skały, — że przede mną będziecie taką rozkosz miały: — usłyszycie wdzięczny głos i przyjemne słowa, — po których sobie teskni biedna moja głowa». Lecz daleko większy smutek wstępuje w duszę, kiedy ta, którą poeta kocha, nie płaci mu wzajemnością, a cóż dopiero, kiedy się pokazuje, że go tylko ludziła; wtedy do smutku przyłącza się gniew: «Cierpiałem ja tak wiele, że mię wstyd powiadać, a mógłby mi bezpiecznie³ każdy głupstwo zadać⁴, — zem się dał za nos wodzić czas tak bardzo długi — ...Bóg was zegnaj, niewdzięczne i nieludzkie wrota, — świadome mych częstych dróg i mego kłopotu; — bodaj tu pajęczyna i pleśń na was padła, — a te niewierne zamki rdza plugawa zjadła».

Ze wszystkich tych i innych wyznań bije taka szczerłość, że ani wątpić, iż nie są one zmyśleniem poetyckiem, tylko odzwierciedleniem naprawdę doznanych uczuć; lecz kto był ich przedmiotem, tego Kochanowski nie wyznał. Domyślać się tylko wolno, że Hanna, którą wzywa, żeby przyjechała do Czarnolasu (w jednej z najpiękniejszych pieśni: «Nie dbam, aby zimne skały — po mem graniu tańcowały»), to przyszła żona poety, Dorota Podlodowska; uczucie miłości kobiety zlewa się w tej pieśni z miłością wsi polskiej i z poczuciem piękności natury.

Poczucie to ukazuje się także w niektórych pieśniach refleksyjnych, jak np. w pieśni «Serce roście, patrząc na te czasy», albo jeszcze w pieśni «Nie porzucaj nadzieje»: w obydwóch króciutki opis rozkwitającej po przykrej ziemi natury wiosennej jest tylko tłem do wypowiedzenia myśli o życiu ludzkim. Ale bo też właściwa treść pieśni refleksyjnych stanowi filozofja życia, którą Kochanowski przejął od myślicieli i poetów starożytnych, zwłaszcza od Horacego. Dźwięczą w niej echa nauki Epikura, który radził człowiekowi, żeby używał świata, byleby tylko rozumnie, oraz nauki stoików, którzy umiarkowanie, męstwo w przeciwnościach i wogóle cnotę poczytywali za największy skarb. Człowiek, zdaniem Kochanowskiego, dąży i ma prawo dążyć do szczęścia, ale głupi ten, kto je pokłada w bogactwie, w zaszczytach, w ciągłej pogoni za rozkoszą; lecz i ten głupi, kto unika rozkoszy i przyjemności życiowych: najlepiej trzymać się złotego środka. Nadto człowiek rozumny winien pamiętać o tem, że fortuna kołem się toczy, że zarówno szczęście, jak nieszczęście, jest nietrwałe, że więc nie trzeba brać zbyt mocno do serca ani szczęścia, ani nieszczęścia; prawdziwy mędrzec w złej, czy dobrej doli powinien zachować równowagę duchową; powinien wreszcie pamiętać, że na świecie obok rozkoszy znikomych są i nieznikome, mianowicie cnota, czyste sumienie i dobra sława. Te złote myśli wyraził Kochanowski z taką prostotą, jasnością i precyzją, że się stały ulubionymi i nieodzownymi pierwiastkami staropolskiej liryki refleksyjnej, np. «To pan, zdaniem mojem, — kto przestał na swoim»; «Ale to grunt wesela prawego, — kiedy człowiek summnienia całego⁵»; «Serca nie zleczą żadne złotogłowy, — żadny skarb troski nie wybije z głowy»; «Cnota skarb wieczny, cnota klenot⁶ drogi — tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi, — nie spali ogień, nie zabierze woda: — nad wszystkim

¹ wesolość. ² zazdrościć. ³ śmiało. ⁴ nazwać głupcem. ⁵ kiedy człowiek ma czyste sumienie. ⁶ klejnot.

inszem panuje Przygoda»; «Lecz na szczęście wszelakie¹ — serce ma być jednakie; — bo z nas Fortuna w żywe oczy sztydzi: — to da, to weźmie, jako sie jej widzi»; «Cnota (tak jest bogata) nie może wziąć szkody, — ani sie też ogląda na ludzkie nagrody; — sama ona nagrodą i płacą jest sobie — i, krom nabytych przypraw, świetna w swej ozdobie². — «A jeśli komu droga otwarta do nieba, — tym, co służą ojczyźnie». Jeszcze Malczewski położył na czele *Marji* słowa Kochanowskiego: «Wszystko sie dziwnie plecie — na tym tu biednym świecie, — a kto by chciał rozumem wszystkiego dochodzić, — i zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić».

Są dalej pieśni patryjotyczne. W jednej («Kto mi dał skrzydła, kto mię odział pióry») wznosi się niby poeta do nieba, do którego (jak to śpiewał już Homer) «ani ciemne mgły dochodzą, — ani śnieg, ani zimne grady szkodzą; — wieczna pogoda, dzień na wszystkie strony — trwa nieskończony»; w tej to krainie mieszkają królowie polscy od «Lecha Słowianina» aż do Zygmunta Starego: ich «szlachetne dusze» za swą cnotę i «dzielność» na ziemi, za zasługi, położone dla Polski, otrzymały jako «zapłatę» «niebieskie radości». Przejął się widocznie Kochanowski poglądami Cyce-rona, który twierdził, że wszyscy, którzy się przyczynili do wielkości swej ojczyzny, «mają wyznaczone w niebiosach miejsce, gdzie rozkoszują się wiecznem szczęściem». — Kiedy, w czasie bezkrólewia po ucieczce Henryka, Tatarzy wtargnęli na Podole i uprowadzili kilkadziesiąt tysięcy jeńca, wyrwał Kochanowski ze zboląłego serca wspaniałą pieśń «Wieczna sromota i nienagrodzona — szkoda, Polaku! Ziemia spustoszona — podolska leży, a pohaniec sprosny, — nad Niestrem siedząc, dzieli łup żalosny». Jest to pieśń żalu i wstydu patryjotycznego, — wstydu za własną ojczyznę, której niedobrzy synowie, oddani tylko uciechom, zapominają o matce i nie bronią jej przed napastnikami; pieśń kończy się gorzką prawdą: «Ciesz mię ten rym³: Polak mądr po szkodzie, — lecz jeśli prawda i z tego nas zbrodzie⁴, — nową przypowieść⁵ Polak sobie kupi, — że i przed szkodą i po szkodzie głupi». W żadnej innej pieśni nie przemówiło tak mocno serce Kochanowskiego. — Brzmiąca w niej skarga na zanik ducha rycerskiego, dźwięczy także w pieśni «O piękna nocy nad zwyczaj tych czasów», napisanej podczas (czy też na wspomnienie) wyprawy moskiewskiej r. 1567, jedynej, w której Kochanowski brał udział: «Przebóg! tychżeśmy ojców dzieci, czyli — w tak krótkim wiekuśmy się wyrodzili? — Święty pokoju, tę masz wadę w sobie, — że ludzie radzi zgnusnieją przy tobie! — Więcejci srebra i złota dziś mamy, — więcej półmisków na stoły dawamy: — co po tem, kiedy siedzim jak na ledzie, — a granic na nas lada kto ujedzie». — Lecz doczekał się poeta chwili, kiedy Stefan Batory na nowo wzniecił w sercach polskich ducha rycerskiego, który w dawnym swoim blasku zajaśniał w zwycięskiej wojnie z Moskwą; kiedy w roku 1582 stanął pokój zapolski, mocą którego odzyskała Polska utracony przed laty osiemnastu Połock, uderzył Kochanowski w strunę radości i triumfu w pieśni «Panu dzięki oddawajmy, — Jego łaskę wspominajmy, — który hardym miesza rzeczy, — a skromne ma na swej pieczy». Za przykładem biblijnego Psalmisty, nie tylko cieszy się poeta ze zwycięstwa, ale i sztydzi z ucieczki zwyciężonego wroga — Iwana Groźnego: «Obróć swój koń przedkonogi, — nieścigniony ca-

¹ t. j. i na szczęście i na nieszczęście. ² t. j. obchodzi się bez ozdób zewnętrznych, sama będąc swoją najświetniejszą ozdobą. ³ przysłowie. ⁴ jeśli rzeczywistość zda i temu kłam. ⁵ przysłowie.

rze srogil — Chcesz być groźnym, a uciekasz; — jeśliś płochy, hardzie nie każ»¹; uwielbia natomiast «mężnego», «niezmożonego» i «szczęśliwego» króla Stefana. — Do utworów patrijotycznych należy także pieśń o dobrej sławie («Jest kto, coby, wzgardziwszy te doczesne rzeczy, — chciał że mną dobrą tylko sławę mieć na pieczy?»). Jak Mickiewicz w *Odzie do młodości* nawołuje młodzież, aby, wykorzeniwszy z siebie samolubstwo, przejęła się zasadą, że «w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele» i że «ten szczęśliwy», kto padł wśród zawodu, jeżeli poległ ciałem dał innym szczebel do sławy grodu»: tak i Kochanowski woła: «Jako kto może, niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże!... Nie przegra, kto frymarczy na sławę żywotem»; a jak Mickiewicz mocno wierzy, że, kto ma zapał, ten wszystko sprawi, bo «zapał tworzy cudy»: tak i Kochanowski, nawołując rodaków, by pierśią własną ojczyznę od pogan bronili, woła: «Prostak to, który wojsko z wielkości szacuje: zwycięstwo liczby nie chce, — męstwa potrzebuje!».

Jak miłość ojczyzny, tak i religijność Kochanowskiego nie mogła nie przemówić w jego *Pieśniach*; te dwa uczucia bywały nieraz w jego sercu nieodłączne, tak że (w pieśni «Oko śmiertelne Boga nie widziało»), zalecając rodzicom, aby wychowywali swoje dzieci w znajomości Boga, tuż potem doradza, aby je hartowali na przyszłych obrońców ojczyzny. W innych pieśniach («Kiedyby kogo Bóg był swemi słowy, — upewnił... i «Panie, jako barzo błędzą, — którzy Cię niedbałym sądzą») zastanawia się Kochanowski, dlaczego Pan Bóg nie zawsze strzeże «biednej głowy» człowieka od «złych przygód» i dlaczego złemu nieraz powodzi się lepiej, niż dobremu; odpowiedź na te pytania brzmi tak: człowiek nie odgadnie wyroków bożych, ale z tego wcale nie wynika, żeby Bóg nie był sprawiedliwy; trzeba się «bożskiemu przejrzzeniu» poddać, i koniec; a zresztą nieszczęście może się obrócić w szczęście, więc «nadzieja dobra serce niech podpiera»; co zaś do szczęścia złego człowieka, to prędzej czy później ukarze go Pan Bóg, jeśli nie w tem, to w przyszłym życiu. Oprócz tej wiary w sprawiedliwość bożą, wypowiada Kochanowski podziw dla wielkości i potęgi Boga, jako dobrego ojca, sypiącego hojną ręką dobrodziejstwa swym dzieciom, ale nadewszystko jako wszechmocnego stwórcy cudownej w swojej piękności i w swoim niewzruszonym ładzie natury. To uwielbienie wielkości Boga w naturze jest uczuciem bardzo dawnem: dźwięczy ono i w *Psalmach* biblijnych, i w literaturze starożytnej, np. w pismach filozoficznych Cycerona, albo jeszcze w poemacie *Zjawiska* poety greckiego Arata (poemacie, który Kochanowski przełożył na język polski) i w pismach autorów chrześcijańskich pierwszych wieków, np. w znanym zapewne Kochanowskiemu *dialogu Oktawjusz Minicjusza Feliksa*. W wiekach średnich religijna kontemplacja natury zanika, ale już o świcie nowych czasów, w wieku XIII, powtórnie zakwita — w prostym sercu i w natchnionej pieśni świętego Franciszka z Asyżu; później raz jeszcze zanika, ale w wieku XVI, w epoce odrodzenia religijności, znowu zakwita. Otóż ta właśnie kontemplacja religijna piękności i ładu natury stanowi treść pieśni Kochanowskiego, wyśpiewanej w szczęśliwej chwili natchnienia (w roku 1563 czy też 1564): «Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary». Ten hymn majestatyczny to zupełna nowość w poezji naszej: przed Kochanowskim nikt nie uwielbiał wielkości Boga w przyrodzie, nie

¹ jeśliś tchórz, to przechwalaj się hardo swoją potęgą.

mówiąc już o tem, że jest to pierwszy utwór polski, który wolno nazwać wielką poezją. A nie tylko siła natchnienia, objawiająca się we wspaniałej rytmice wiersza i we wspaniałej obrazowości języka, ale i śmiałość myśli znamionuje ten utwór: «Kościół Cię nie ogarnie», «Złota też, wiem, nie przagniesz», woła do Boga Kochanowski, to znaczy: ażeby poznać wielkość Boga, mało Kościoła, jego nabożeństwa i jego nauki — trzeba się nadto przyglądać olśniewającej swą pięknnością i zdumiewającej swoim ładem naturze; a co do ofiary, jaką człowiek winien Bogu za Jego łaskę, dobroć i za ten świat cudowny, to niema ofiary «przystojniejszej» nad wyznawanie Boga «wdzięcznem sercem». Trzeba było blisko trzech wieków, żeby się polska liryka religijna zdobyła na hymn jeszcze piękniejszy i jeszcze śmielszy: będzie nim dopiero pieśń Słowackiego «Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy — błękitnych polach».

54. W niektórych pieśniach Kochanowski wypowiada nie swoje, tylko cudze uczucia; tak np. w pieśni «Słońce już padło, ciemna noc nadchodzi» śpiewa Penelopa swoją tęsknotę za mężem, który już dziesiąty rok nie wraca z wojny trojańskiej; w pieśni zaś «Kiedy się ranne zapalają zorza» wywodzi swe żale «smutna białogłowa», poślubiona gwałtem wstrętnemu sobie człowiekowi, a rozłączona z tym, którego kocha. Wprawdzie takiego rodzaju liryka nie była w poezji polskiej nowością: przecie już w XV wieku nieznaną autor wiersza «Ach! mój smętku, ma żałosci» umiał się wczuć w uczucia umierającego grzesznika. Lecz Kochanowski posiadał tę umiejętność w nierównie większym stopniu, umiał się wczuwać w różne dusze i w różne usposobienia, czego najpiękniejszym dowodem jest *Sobótka*, napisana już po osiedleniu się poety w Czarnolesie.

Zabawa wiejska, zwana sobótką, będąca spuścizną po obrządku pogańskim na cześć słońca, a polegająca na paleniu stosów w noc świętojańską, na skakaniu przez ogień i na tańcach przy odgłosie muzyki i śpiewu, już w XVI wieku przestawała być zwyczajem powszechnym; lecz w niektórych okolicach Rzeczypospolitej odbywała się jeszcze: wspomina o niej Rej w *Postylli*, ale z pogardą i z ironją, jako o jednym z wielu głupich przesądów, kolacących się jeszcze po świecie: «W dzień ś. Jana bylicą sie opasać, a całą noc około ognia skakać... toć... niemałe uczynki miłosierne! a tam nawętsze czary, błędy w ten czas się dzieją!» Zupełnie innemi oczami — nie z pogardą, nie z ironją, tylko z upodobaniem, a może i z zachwytem — patrzył na sobótkę Kochanowski: i on z pewnością zdawał sobie sprawę, że to przeżytek pogański, ale, po pierwsze, był czcicielem «ojcowskiego rządu», to jest tradycji, a powtóre, był poetą, który odczuwał malowniczość, a zapewne i tajemniczość tego obrzędu. Kto wie, może nie tylko sam z rodziną i domownikami przypatrywał się mu u siebie na wsi, ale i gości na tę uroczystość sprowadzał. I oto przyszło mu na myśl, żeby poświęcić sobótkę utworowi poetyckiemu; myśl to nie tylko szczęśliwa, ale, jak na wiek XVI, ogromnie śmiała, bo przecie naówczas nie rozumiano jeszcze, że i w życiu prostego ludu są pierwiastki, proszące się o zwierciadło poetyckie. W całej pełni zrozumiano to dopiero w wieku XIX, w epoce romantyzmu, i wtedy *Sobótka* Goszczyńskiego nie będzie już osobliwością. Ale *Sobótka* Kochanowskiego, w epoce humanizmu, jest czemś bardzo osobliwym. Zresztą sam opis uroczystości zbył poeta-humanista w czterech zwrotkach czterowierszowych:

Gdy słońce Raka zagrzewa¹,
A słowik więcej nie śpiewa,
Sobótkę, jako czas niesie²,
Zapalono w Czarnym Lesie.

Tam goście, tam i domowi
Sypali się ku ogniovi;
Bąki³ zaraz⁴ troje grały,
A sady się sprzeciwiały⁵.

Siedli wszyscy na murawie,
Potem wstało sześć par prawie⁶
Dziewek, jednako ubranych
I belicą⁷ przepasanych.

Wszystki śpiewać nauczone,
W tańcu także niezganione.
Więc koleją zaczynały,
A pierwszej tak począć dały.

Całą pozostałą treść *Sobótki* (którą Kochanowski przeznaczył, jak to widać z jego fraszki *Na swe księgi*, dla pań) wypełniają pieśni dwunastu panien, które, trzymając się za ręce, tworzą koło i «postępują» «krokiem» albo «skokiem», to jest tańczą; każda pokolei zawodzi swoją pieśń, a pozostałe jej «opiewają», to jest wtórują. Każda śpiewa o tem, co jej na sercu leży. A są to uczucia bardzo różnorodne, i właśnie na uwydatnieniu tej różnorodności uczuć polega wielka sztuka Kochanowskiego. Czasem jednak uczucia śpiewających panien są także jego własnymi uczuciami. Oto panna pierwsza zachęca towarzyszkę, w imię starodawnej tradycji, do uroczystego obchodu sobótki; szóstą śpiewa pieśń o wyglądzie wsi podczas gorącego lata; jedenasta wylicza piękności «nieprześląconej» Doroty, która jest zapewne żoną albo może dopiero narzeczoną Kochanowskiego; dwunasta, już o świcie, śpiewa «chwałę», «wczasy» i «pożytki» «wsi spokojnej, wsi wesolej»: wszystko to wziął Kochanowski z własnego serca. Lecz osiem pozostałych panien śpiewa już tylko swoje własne uczucia. Pieśni panny drugiej i trzeciej tchną wesołością: druga nie posiada się z radości, że tańczy — «samy nogi prawie drgają»; trzeciej także wesoło, ale, że jest złośliwa, więc żartuje sobie niemiłosiernie z jakiegoś biedaczyny, który «ciągnął kota»⁸: jest to więc próbka pieśni szyderczych, jakie istotnie śpiewano podczas sobótki. Śpiewano także pieśni miłosne; i o nich nie zapomniał Kochanowski: panna czwarta jest zakochana i nie traci nadziei, że ukochany będzie jej wzajemny, ale drży na myśl, że go jej inna dziewczyna odebrać może; piąta skarży się na Szymka-bałamutę, że jej «za trzewik... zastępuje, — a powiada, że miłuje»: chciałaby wprowadzić dusza do raję, ale cóż z tego, kiedy Szymek to «ziółko» i «pokrzywa» — «drugiej nogę przestępuje»; siódma panna smuci się, że jej ukochany ciągle tylko poluje, i pragnęłaby mu do polowania pomagać; ósma wije wieniec, ale, jak twierdzi, dla samej siebie, bo nie może zapomnieć, że, kiedy dała raz wieniec chłopcu, on ją gwałtem całował; dziesiąta płacze rzewnie, bo ukochany poszedł na wojnę i nie wraca. Panna dwięta wreszcie także zalewa się łzami, ale, co jej dolega, wyznaje tylko pośrednio: śpiewa mianowicie smutną i straszną balladę o starożytnym królu-zbrodniarzu, który, uwiódlszy siostrę żoniną, urznął jej język, żeby się zbrodnia ukryła; ale nie ukryła się, bo siostra «wszystko... krwią na rąbku

¹ gdy słońce wstępuje w znak Raka, t. j. w drugiej połowie czerwca. ² we właściwym czasie, według dorocznego zwyczaju. ³ dudy. ⁴ naraz, jednocześnie. ⁵ echo rozlegało się po sadach. ⁶ nie mniej ani więcej. ⁷ belica = bylica. ⁸ Była to kara wojskowa: przez bagno (lub rzekę) przerzucano długi i mocny sznur, którego jednym końcem przewiązywano winowajcę, a drugim — biednego kota; winowajca ciągnął kota, ale, że go przeciągnąć nie mógł, bo szarpącemu się i przeraźliwie miauczącemu zwierzowi pomagali stojący za nim ludzie, więc kończyło się na tem, że winowajca musiał, ku uciesze gawiedzi, przelażyć przez całe bagno i lądować na drugim brzegu.

wypisała — i smutnej siostrze posłała»; królowa zemściła się okrutnie: dała mężowi do spożycia potrawę, ugotowaną z małego królewicza; chroniąc się przed zemstą króla, królowa przemienia się w jaskółkę, jej siostra w słowika, król w dudka czubatego. Balladę tę wziął Kochanowski z podań starożytnych¹, ale, wkładając ją w usta wiejskiej dziewczyny, umyślnie nie nazwał po imieniu ani króla, ani królowej, ani jej siostry, rozumiał bowiem, że imiona starożytne w ustach polskiej dziewczyny wiejskiej brzmiałyby nienaturalnie. Szkoda jednak, że z pieśni panny dwunastej zapomniał usunąć «Faunów leśnych»! Jest to jedyna skaza na tem zwierciadle wsi polskiej, którem jest *Sobótka*: pieśni bowiem są różnorodne i treścią i tonem, ale wszystkie razem dają obraz «wsi spokojnej, wsi wesolej», obraz, nie tak dokładny i nie tak radosny, jak w *Żywocie człowieka poczciwego* Reja, ale przepiękny w swej poetycznej idealizacji; tyle wdzięku, ile go ma *Sobótka*, daremnieby szukać w całej poezji staropolskiej.

55. Najwyżej wzniósł się talent Kochanowskiego w *Psalterzu Dawidowym* i w *Trenach*.

Już w wiekach średnich psalterz był najulubieńszą książką do nabożeństwa w całym chrześcijańskim świecie, ale na niezwyklej piękności psalmów poznano się dopiero w wieku XVI; wprawdzie ogół szukał w nich po dawnemu jedynie pokarmu dla swych uczuć religijnych, ale jednostki, obdarzone zmysłem piękna, rozumiały już, że psalterz to nietylko zbiór modlitw, podnoszących duszę człowieka ku Bogu i krzepiących ją w smutku, ale zarazem wspinały utwór poezji lirycznej, jeden z najbardziej natchnionych w poezji wszechludzkiej. Otóż do tych jednostek należał, naturalnie, i Kochanowski. Tłumaczono u nas psalmy już przed nim, zarówno w wiekach średnich, jak i w wieku XVI: prozą przekładali je, pomiędzy innymi, Walenty Wróbel i Mikołaj Rej, a wierszem — Jakób Lubelczyk. I zagranicą nie brakło ani przekładów, ani wierszowanych przeróbek, z których wyróżnia się przeróbka łacińska poety szkockiego, Buchanana (1569). Kochanowski znał tych swoich poprzedników, korzystał z nich nawet, ale wszystkich przepiewał, bo też ze wszystkich tłumaczył psalterza on jeden jedyny był natchnionym poetą. Jego *Psalterz Dawidów* wyszedł w roku 1579.

O dosłownym przekładzie z tekstu łacińskiego (oryginału Kochanowski nie znał, bo po hebrajsku nie umiał) nie mogło być nawet mowy, nie tylko dlatego, że prozy na wiersz rymowany dosłownie przełożyć niepodobna, ale dlatego nadewszystko, że Kochanowski nie chciał dosłownie tłumaczyć: jego serce chciało nieraz własnymi słowami rozmawiać z Bogiem i wielbić Jego potęgę; czasem więc brał z psalmów Dawida jedynie myśl zasadniczą, a tę już wypowiadał po swojemu; innymi słowy, *Psalterz Dawidów* Kochanowskiego to raczej poetyczna przeróbka, niż przekład.

W historii poezji staropolskiej *Psalterz* jest dziełem ogromnego znaczenia. Nikt przed Mickiewiczem nie umiał tak, jak Kochanowski, wyrazić różnorodnych uczuć duszy ludzkiej: radości i smutku, wesela i żałości, pogody ducha i zniechęcenia do ludzi i świata, ufnej nadziei w Bogu i rozpacz, żalu do ludzi i uwielbienia względem Boga, dumy względem ludzi i skruchy względem Boga. A wszystkie te uczucia wypowiedziane są języ-

¹ mianowicie z Owidjusza (o królu trackim Tereuszu, o królowej Proknie, o jej siostrze Filomeli i o królewiczu Itysie).

kiem, pełnym prawdziwej poezji; Kochanowski jest, jak mówi Mickiewicz, «w swoim przekładzie psalmów natchniony, ma styl szlachetny, jasny i przeźroczy, lok poetycki śmiały, poruszenia swobodne i wspaniałe, wszędzie jakąś powagą sędziwą i uroczyście kapłańską». Dopiero od *Psalterza* Kochanowskiego język polski stał się zdolnym do poetycznego wyrazu potężnych uczuć, wstrząsających duszą człowieka: pod tym względem stanowi on w dziejach polskiego języka poetycznego epokę. Epoką jest również w historii polskiego wiersza i strofy: Kochanowski bowiem posługuje się w *Psalterzu* wierszem różnorodnym, to krótszym, to dłuższym, od siedmiozłogłowego do czternastozłogłowego, i różnemi strofami, od dwuwierszowej do ośmiowierszowej; takiego bogactwa wiersza i strofy nie znała jeszcze poezja polska. Nie znała także tej muzykalności i melodyjności, jakimi się odznacza wiersz *Psalterza*; poznali się na tem już współcześni: zarówno katolicy, jak protestanci, śpiewali psalmy Kochanowskiego, a sławny kompozytor współczesny polski, Mikołaj Gomółka, dorobił muzykę do wszystkich 150 psalmów.

Sam Kochanowski miał zupełną świadomość, że tworzy arcydzieło, i nie gdzie indziej, tylko właśnie w przedmowie do *Psalterza*, wypowiedział owe słowa dumne, ale prawdziwe: «I wdarłem się na skalę pięknej Kallijopy, — gdzie dotychczas nie było śladu polskiej stopy!» Arcydzieło zaś to, jak każda wielka poezja, jest niespożyte; minęło przeszło trzy wieki od śmierci Kochanowskiego, a jego *Psalterz* nie stracił nic ze swej piękności i majestatu; wielu poetów naszych tłumaczyło psalmy po Kochanowskim, ale ani jeden nietylko mu nie dorównał, ale się nawet do niego nie zbliżył.

Psalm 7.

W Tobie ja samym, Panie, człowiek smutny,
Nadzieję kładę: Ty racz o mnie radzić!
Nieprzyjaciel mój jako lew okrutny
Szuka mej dusze, aby ją mógł zgładzić;
Z jego paszczyki jeśli mię, mój Boże,
Ty sam nie wyrwiesz, nikt mię nie wspomże.

Jeśli mię, Panie, słusznie oszacował¹
Zły człowiek, a ma do mnie jaką winę²;
Jeślim przyjaźni nieszczyrze zachował
A do złej chęci dał z siebie przyczynę:
Niech nieprzyjaciel górę ma nade mną,
Niech mię w proch zetrze i moję cześć ze mną!

Powstań, o Panie wieczny, w gniewie Twoim
Przeciw złych ludzi niepobożnej radzie,
A powstań z pomstą, jakąś prawem swoim
Opisał! Oto lud w wielkiej gromadzie
Wyroku Twego czeka, jeśli złemu,
Czy upaść przed Twym sądem cnotliwemu.

Przeto, o Sędzia, Sędzia wiekuisty,
Chciej na wysokiej sieć stolicy swojej.

¹ osławić.

² winować.

A jeślim jest praw i przed Tobą czysty,
Osądź mnie wedla niewinności mojej!
Złego złość niszczy, a człowiek cnotliwy
Jest w Twej opiece, Boże sprawiedliwy!

Boże, przed którym tajne być nie mogą
Myśli człowiecze! W Twej stojąc obronie,
Przed żadną nigdy nie uciekę trwoga,
Bo szczyre serce w Twojej jest zaslonie.
O sprawiedliwy Sędzia! Ty każdego
Sprawnie¹ oddzielasz² wedla zasług jego.

Jeśli sie człowiek zły nie pohamuje,
Pan swój miecz ostrzy, Pan luk nałożony
Na rękę trzyma i strzały gotuje
Śmiertelne: zapadł w zazdrość człowiek płony³,
Niesprawiedliwość nosi, kłam urodzi,
Dół pod nim kopa, a sam weń ugodzi.

Sam sie upęta w chytrem sidle swoim,
Nań sie obalą wszystkie jego złości,
A ja, podparty miłosierdziem Twojem,
Próżen i troski i niebezpieczności,
Sąd sprawiedliwy i Twe imię, Panie,
Wyznawać będę, póki dusze stanie!

Psalm 74

Także nas już na wieki, Boże nasz, opuścisz
I srogim wilkom drapać stado Tve dopuścisz?
Wspomni na swe dziedzictwo i na swój lud wierny,
Z któregoś Ty zdjął jarzmo w jego czas mizerny!

Wspomni na piękną skałę, poświęconą Tobie
Syjońską, gdzie Ty obrał był mieszkanie sobie;
Powstań kiedy a rozgrom swe nieprzyjaciele,
Od których tak wiele szkód widzisz w swym Kościele!

Pełne Twoje bóżnice huku, pełne zbroje,
Wpośród placu chorągwie roztoczyli swoje,
Ozdobę domu Twego, kosztowne roboty,
Obuchami potlukli i twardemi młoty.

Ściany padną, ziemia grzmi, jako kiedy wałą
W lesie surowe dęby twardą, ostrą stałą;
Świątelnica Twoja gore, namiot roztargany
Leży w prochu, szkaradzie⁴ nogami wdeptany.

Całego nic zostawić nie chcą; ogień srogi
Wszystki w popiół obrócił Pańskie synagogi.
Co gorsza, znaków żadnych, żadnego nie znamy
Proroka, żeby widzieć, póki w tem trwać mamy.

Długoż sie pastwić będą ci śprośni poganie
Nad nami? długoż mają Ciebie bluźnić, Panie?
Czemu tak długo kurczysz mozną rękę swoją?
Podnieś wzdąm⁵ kiedy wzgórze, podnieś prawą Twoję!

¹ sprawiedliwie.

² obdzielać.

³ płonny, próżny.

⁴ szkaradnie.

⁵ wždy, przecie, nakoniec.

O Panie! Jeszcze z wicku znaczna zawždy była
Twoja laska nad nami, znaczna Twoja siła:
Tyś wpośród morza drogę szyrką osuszyl,
A srogim smokom w wodzie harde głowy skruszyl.

Skruszyłeś i samemu leb wielorybowi
I dałeś go na pastwę górnemu sępowi;
Na Twoje rozkazanie zdrój wyskoczył z skały,
A rzeki nieprzebyte wody ostradały¹.

Twój dzień jest i noc Twoja; światło niezgaszone
Słońca górolotnego przez Cię jest stworzone;
Tyś morze z ziemią spoił i mocnie ustawił,
Tyś lato swym dowcipem i zimę naprawił!

Pomni swe urąganie, pomni, wieczny Panie,
Jako imię Twe lżyli nieszczęsni poganie!
Synogarlice swojej bestyjom nie dawaj,
Stada swego w niepamięć wieczną nie podawaj!

Wejźrzy na swe przymierze! Nie mamy, ubodzy,
Głów gdzie skłonić: posiadli wszystko ludzie srodzy;
Nie daj, aby upadły wstyd odniósł na sobie,
Owszem mógł za Twą laskę podziękować Tobie.

Wstań, Panie, a weźmi sie za swą krzywdę! Pomni,
Jako Cię lżą każdy dzień bluźnierce nieskromni,
Nie zamilczaj przegrózek i wszetecznej mowy,
Na co Twój nieprzyjaciel zawždy jest gotowy!

Psalm 91.

Kto sie w opiekę poda Panu swemu,
A całem prawie sercem ufa Jemu,
Śmieie rzec może: «Mam obrońcę Boga,
«Nie będzie u mnie straszna żadna trwoga!»
Ciebie On z łowczych² obierzy³ wyzuje
I w zaraźliwym powietrzu ratuje,
W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie,
Pod Jego pióry ulęczesz bezpiecznie.

Stateczność Jego — tarcz i puklerz mocny,
Za którym stojąc, na żaden strach nocny,
Na żadną trwogę, ani dbaj na strzały,
Któremi sieje przygoda w dzień biały.

Stąd wedla ciebie tysiąc głów poleże,
Stąd drugi tysiąc: ciebie nie dosięże
Miecz nieuchronny; a ty przedsię swemi
Oczyma ujrzysz pomstę nad grzesznymi.

Iżes rzekł Panu: «Tyś nadzieja moja»,
Iż Bóg nawyższy jest ucieczka twoja, —
Nie dostąpi cię żadna zła przygoda,
Ani sie najdzie w domu twoim szkoda.

Aniolom swoim kaze cię pilnować,
Gdziekolwiek stąpisz, którzy cię piastować

¹ postradać.

² łowiący, czyhający.

³ obierż = sieć, sidło.

Na rękę będą, abyś, idąc drogą,
Na ostry krzemień nie ugodził nogą.
Będiesz po zmijach bezpiecznie gniewliwych
I po padalcach deptał niecierpliwych,
Na lwa srogiego bez obrazy wsiedziesz
I na ogromnym smoku jeździć będziesz.
Słuchaj, co mówi Pan: «Iż mię miłuje,
«A przeciwko mnie szczyrze postępuje,
«Ja go też także w jego każdą trwogę
«Nie zapamiętam i owszem — wspomogę.
«Głos jego u mnie nie będzie wzgardzony,
«Ja z nim w przygodzie, ode mnie obrony
«Niech pewien będzie, pewien i zacności
«I lat szedziwych¹ i mej życzliwości».

Psalm 104. Duszo, śpiewaj Panu pieśń! O nieogarniony
Nieba i ziemie sprawco, wielceś uwielbiony!
Ciebie obeszła² wkoło cześć i świetna chwała,
Ciebie jasność jako płaszcz ozdobny odziała.
Tyś niebo jako namiot rozbił ręką swoją,
Nad niem wody za Twojem rozrządzeniem stoją,
Chmury — Twój wóz; Twe konie — wiatry nieścignione,
Duchy — posłańcy; słudzy — gromy zapalone.
Twym rozumem tak miernie³ ziemia usadzona,
Że na wieki nie będzie nigdy poruszona.
Na tej jako powłoka przepaści leżały,
A góry niezmierzone wody zakrywały;
Ale skoroś rzekł słowo, a niebo zagrzmiało,
Wody spadły, a morze na dół uciekało;
Skały ku górze poszły, pola rozciągnione
Opanowały miejsca, przez Cię naznaczone.
Zamierzyłeś kres pewny morzu, że wiecznemi
Czasy wezbrać nie może ani szkodzić ziemi.
Ty w skale ukazujesz drogę zdrojom nowym,
Które posiłek niosą rzekom kryształowym.
Tu sie wszelki zwierzę chłodzi, który w polu żyje,
Tu łoś, mieszkanić leśny, upragniony pije.
Tamże ptacy mieszkają, a w krzakach zielonych
Nie przestają powtarzać pieśni ulubionych.
Ty z pałaców swych świętych, Ojczy uwielbiony,
Spuszczasz na niską ziemię deszcz nieprześlącony;
A ona, nieprzebranej łaski Twojej syta,
Wszystkiego wszystkim starczy:⁴ stąd trawa obfita
Bydłu ku żywieniu; stąd zioła ogrodne
I wszelki rodzaj zboża; stąd wino łagodne,
Dobrej myśli naczynie; stąd chleb, który snadnie
Siłę twierdzi; stąd olej, po którym twarz gładnie.
Taż wilgotność i lasy żywi niezmierzone

¹ siwy, sędziwy.

² otoczyć.

³ doskonale.

⁴ starczyć, dostarczać.

I cedry na Libanie, Twą ręką szczepione;
Tam wróble gniazda noszą; jodła — bocianowi,
Sarnom góra mieszkanie, skała — królikowi.
Tyś na znak czasów sprawił błędną¹ twarz miesięczną,
Ty niepoścignionego słońca lampę wdzięczną
Prowadzisz do zachodu; wtem nocne émy wstają:
Wtenczas leśne bestyje wszystkie się ruszają;
Lwięta ryczą, pokarmu żądając od Ciebie.
Skoro zaś jasna zorza zakwitnie na niebie,
Zwierz do jaskiń uchodzi, ludzie następują
Na roboty, gdzie także do mroku pracują.
Zacne są Twoje sprawy i wielkie mądrości!
Pełna jest wszystko ziemia Twej szczodroblewości,
Pełne, Panie, i wody: kto wyliczyć może
Wszystki rybie rodzaje, które żywi morze?
Tam żagle rozpuszczonym okręty biegną,
Tam swe igrzyska srodzy wielorybi mają,
Wszystko to, co jest w morzu, wszystko, co na ziemi,
I co siecze powietrze pióry pirzchliwemi,
Oczy ku Tobie wznosi, który siedzisz w niebie,
I oczekiwą zwykłej żywności od Ciebie.
Kiedy rękę otworzysz, wszyscy nasyceni;
A kiedy twarz odwrócisz, wszyscy zasmuceni;
Jeśli im ducha weźmiesz, w proch się wnet obróca;
Jeśli im ducha natchniesz, na świat się zaś wróca.
Wieczna jest Pańska chwała, a On z tak mądrego
Nie przestanie się kochać nigdy czynu swego.
Pan, który kiedy pojrzrzy, ziemia drży, Pan, który
Kiedy ręką gór dotknie, dymem pójdą góry.
Dokąd mi tedy mego żywota dostanie,
Głos mój Panu i lutnia śpiewać nie przestanie.
Tylko Jemu niech wdzięczne będą pieśni moje,
Bom ja wszystko położył w nim wesele swoje.
Bodaj wszyscy złośliwi zagubieni byli,
Tak żeby się na wieki już nie poprawili!
A ty, o duszo moja, daj cześć Panu swemu!
Dajcie wszystkie narody winną chwałę Jemu!

56. *Treny* wyszły w roku 1580 z taką dedykacją: *Orszuli Kochanowskiej, wdzięcznej, ucieszonej, niepospolitej dziecinie, która, cnót wszystkich i dzielności panteńskich początki wielkie pokazawszy, nagle nieodpowiednie², w niedoszłym wieku swoim, z wielkim a nieznośnym rodziców swych żalem zgasła, — Jan Kochanowski, niefortunny ociec, swojej namilszej dziewce z łzami napisał. Niemasz cię, Orszulo moja!* Kiedy ból nieco zelżał, serce ojca-poety wołać zaczęło o wyraz poetycki przebytego nieszczęścia. Zrazu były to, jak się zdaje, drobne wiersze, np.: «Niewinna duszo, owaś ty już w niebie, — a jam tu został, nieszczęsny, bez ciebie, — Na swój ciężki płacz, ciężką żalność swoją. — Nie chciał tego Bóg, bym był głowę twoję — Ja pier-

¹ błędzący (zmienny).

² nieodpowiednio, t. j. niespodziewanie.

wej zaległ, — bo ciebie straciwszy, — Straciłem wszystko, a nad mię troskliwszy — już być nie może. Sroga śmierci, to ty — umiesz ugodzić, gdzie na wyższe cnoty?» W pisaniu takich wierszy znajdował poeta ulgę: pisał je tylko «sobie», nie «Muzom», to znaczy, nie miał ich zamiaru drukować. Lecz po kilku miesiącach, kiedy równowaga ducha powoli wracała, zaczął śpiewać te wszystkie bolesne uczucia, jakich po śmierci Orszulki doświadczył, już nie tylko «sobie», ale i «Muzom», to znaczy w świadomym zamiarze ogłoszenia swojego śpiewu drukiem i w nadziei, że ta poezja opromieni jego zmarłą córeczkę nieśmiertelną sławę. Nadzieja spełniła się w zupełności: dopóki Polska Polską, nie będzie chyba nikogo, kto by, myśląc o Kochanowskim, nie pomyślał o jego Orszulce.

Już poeci starożytni, a za nimi poeci-humaniści, nieraz opiewali smutek po śmierci drogich osób: takie utwory nazywały się *epicedia*. A Petrarca wyśpiewał ból po śmierci swej ukochanej Laury nie w jednym, ale w całym cyklu utworów. Otóż Kochanowski poszedł śladami Petrarcki: każdy z dziewiętnastu *Trenów* jest wprawdzie całością artystyczną, ale wszystkie razem tworzą jedną całość artystyczną i uczuciowo-ideową, mianowicie jeden wspólny poemat bólu rodzicielskiego.

Dwa pierwsze treny to przedmowa literacka: poeta jakby usprawiedliwia się przed czytelnikami, że oplakuje śmierć córki, bo może niejeden z nich powie: poco i naco płakać? i czy to nie wstyd? Na to odpowiada Kochanowski, że nie dba, jaka go z płaczu jego «czeka cześć napotem», to jest, co sobie o nim ludzie pomyślą: on płacze, bo musi płakać; «na to mię przygoda — gwałtem wbiła i moja nienagrodna szkoda».

Treny od III do VIII włącznie są wyrazem rozdzierającego smutku rodzicielskiego po zgonie ukochanego dziecka, oraz głuchego żalu do «niepożądanej śmierci», która je zabrała. Smutek potęguje się na myśl, że Orszulka umarła tak młodo, — «mało od ziemi sie co wzniószszy», — że, gdyby żyła dłużej, mogłaby ojcu «siła pociech przymnożyć». A drugim czynnikiem potęgowania się smutku są wspomnienia o dziecku: one to wypełniają główną treść tych trenów. Nieszczęśliwy ojciec wspomina «słowa, zabawy i wdzięczne ukłony» Orszulki, jej «ucieszny śmiech», jej serdeczność dla matki i ojca, a nadewszystko «nowe piosnki», które sobie tworzyła, «nie zamykając — ustek nigdy, ale cały dzień prześpiewając». Szczytem jednak tych rozpamiętywań jest wspomnienie, jak się Orszulka, w obliczu śmierci, żegnała z matką — słowami, jakimi się w pieśniach ludowych żegna z matką córka, wychodząc zamąż: «Już ja tobie, moja matko, służyć nie będę, — ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasięde, — przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać, — domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać». «To i przez żal ojcowski nie da serdeczny — przypominać więcej, był jej głos ostateczny. — A matce, słysząc żegnanie tak żalościwe, — dobre serce, że od żalu zostało żywe». Widok pozostałego po dziecku ubrania i pustki w domu, po którym się tak niedawno jeszcze rozlegał szczebiot dziecięcy, to jeden jeszcze powód wzmaganania się smutku. Jedyną pociechą ojca jest myśl, że pójdzie tam, dokąd poszła Orszulka: «Tam cię ujrzę, da Pan Bóg, a ty więc z drogiemi — rzuć sie ojcu do szyje ręczynkami swemi».

Trzy następujące treny (od IX do XI) mają nieco już inny charakter od sześciu poprzednich: wspomnień o córce już niema; jest natomiast obraz tego spustoszenia, jakiego śmierć dziecka dokonała w myślach ojca. Oto wierzył on dawniej mądrości starożytnej, która uczyła, że człowiek powinien

zarówno w szczęściu, jak w nieszczęściu, zachować niewzruszony spokój ducha: teraz, kiedy nieszczęście przyszło, cała ta mądrość prysła jak bańka mydlana; to też zwraca się do niej poeta z bolesną ironją i z gorzkim rozczarowaniem, przeklina ją niemal, wołając: «Nieszczęśliwy ja człowiek, którym lata swoje — na tem strawił, żebych był ujrział progi twoje!» Lecz nietylko o mądrości starożytnej zwątpił poeta: on, chrześcijanin, nie wie, dokąd poszła dusza Orszulki; co więcej, nie jest pewny, czy jej dusza wogóle jeszcze żyje: «Gdziekolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żałości!» Słowem, zwątpił o nieśmiertelności duszy!... Zwątpił także o wartości cnoty, i on, który niegdyś wołał: «Cnota — skarb wieczny; cnota — klenot drogi», teraz woła: «Fraszka cnota!... Kogo kiedy pobożność jego ratowała? — Kogo dobroć przypadku złego uchowała?» To zaś zwątpienie o wartości cnoty pociągnęła za sobą inne, jeszcze grosze — o boskiej Opatrzności: nie ona, tylko ślepy los, jakieś fatum rządzi ludźmi: «Nieznamy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy, — nie mając ani dobrych, ani złych na pieczy». A więc bunt przeciwko Bogu rodzi się w duszy; ale doszedłszy do tego szczytu zwątpienia, schodzi z niego poeta już w tym samym trenie (XI) — i, reflektując się, woła: «Żałości, co mi czynisz? owa już oboje — mam stracić: i pociechę i baczenie swoje?»

Od tej chwili znowu zmienia się charakter liryki — w trenach XII, XIII i XIV. Jakby się usprawiedliwiając przed samym sobą z tego, że zwątpił o boskiej Opatrzności, woła poeta: «Żaden ociec podobno barziej nie miłował — dziecięcia, żaden barziej nad mię nie żałował», i tuż potem raz jeszcze wraca do swoich wspomnień o dziecku, raz jeszcze płacze nad jego śmiercią i raz jeszcze daje upust swojej tęsknocie, pragnąc, jak Orfeusz za Eurydyką, pójść za dzieckiem na tamten świat i błagać, żeby mu je zwrócono.

Lecz ta powrotna fala wspomnień mija, i nieszczęśliwy ojciec szuka nakoniec ukojenia — w trenach od XV do XVIII. W nadziei, że, «patrzac na ludzkie przygody, — skromniej człowiek uważa i swe własne szkody», szuka poeta pociechy w opowieści Owidjusza o «przygodzie» nieszczęśliwej Nioby, która jednego dnia straciła nie jedno, jak on, ale czternaścioro dzieci i skamieniała z rozpacz. Lecz ta pociecha, że był ktoś jeszcze nieszczęśliwszy, zawodzi. Szukać ukojenia w owej filozofji starożytnej, która, gwałcąc naturę człowieka, zalecała mu opancerzyć serce przed cierpieniem, już nawet nie próbuje Kochanowski; owszem, raz jeszcze zwraca się do niej z żalem, a do jej nauczyciela (Cycerona) — z ironją; szuka natomiast pociechy — w czasie, jako «ojcu niepamięci»: «Zgój smutne serce, a ten żal surowy — wybij mi z głowy». Ale na to za długo czekać: «Oczu nigdy nie osuszę — i tak wiecznie płakać muszę». Więc nakoniec zwraca się poeta do Boga we wspaniałym, majestatycznym trenie XVIII. Jest to uderzenie się w piersi wierzącego chrześcijanina: podobnie jak Petrarca, wyznaje Kochanowski przed Bogiem swoje winy, tę nadewszystko, że w chwilach szczęścia nie dziękował za nie Bogu; obecne nieszczęście poczytuje za sprawiedliwą karę, wymierzoną mu przez Boga, jako... ojca! «Lecz miłosierdzie Twoje — przewyższa wszystkie złości; — użyj dziś, Panie, nade mną litości!»

Tren ostatni to już ukojenie: pewnej nocy, kiedy poeta nad ranem zasnął, zjawia mu się nieboszczka matka z Orszulą na ręku i koi jego serce wieścią, że dziecko uniknęło, przez wczesną śmierć, cierpień ziemskich i cieszy się wiekuistym szczęściem w niebie.

Oto co przecierpiał Kochanowski po stracie Orszulki. Piorun nieszczę-

ścia nietylko nie zdruzgotał jego duszy, ale ją podniósł i uszlachetnił: przez smutek, ból, rozpacz, pustkę w duszy i zwątpienie doszedł poeta do ukojenia, które, po długim szukaniu, znalazł w Bogu; wyrzekł się mądrości pogańskiej i uwierzył w mądrość chrześcijańską, która uczy, że cierpienie jest nietylko czemś zupełnie naturalnym i potrzebnym, ale i zbawiennym, że nie tak zbolącej duszy nie koi, jak pokorna wiara w niezbadane wyroki Opatrzności, że nieszczęście to nieraz sprawiedliwa kara, którą Bóg zsyła na człowieka dla jego własnego dobra, i że trwałego szczęścia na ziemi niema. Przez takie ujęcie przebiegu i celu cierpienia *Treny* są nietylko poetycznym zwierciadłem bólu rodzicielskiego po śmierci dziecka: są czemś dużo jeszcze większem, bo zwierciadłem każdego wielkiego cierpienia, które czującą, myślącą i wierzącą duszę chrześcijańską oczyszcza i podnosi. Niektóre myśli i niejeden pomysł poetycki (np. pomysł widzenia sennego, nie mówiąc już o Niobie i Orfeuszu), niejedno wyrażenie czy porównanie zawdzięcza Kochanowski literaturze starożytnej: ale uczucie bólu w nieszczęściu i płynące z tego źródła inne uczucia wziął z własnego serca. Z własnego także serca i z własnego rozumu wziął przekonanie, że mądrość starożytna stoików ze swoim przykazaniem, aby człowiek był drewnem czy kamieniem na ból i cierpienie, jest nieludzka, bo z naturą ludzką sprzeczna. Otóż l u d z k a p r a w d a uczuć i myśli jest główną tajemnicą piękności i kamieniem węgielnym wiekuiestej wartości *Trenów*. Są one koroną całej poezji niepodległej Polski i jednym z największych arcydzieł liryki całego świata.

57. Poezja Kochanowskiego już za jego życia pobudziła do twórczości niemało poetów, a wśród nich najbardziej utalentowanym i już przez współczesnych wysoko cenionym był **Mikołaj Sęp Szarzyński** z Czerwonej Rusi, zmarły przedwcześnie, bo coś w trzydziestym roku życia (1581). Mówi on o sobie w swej skromności, że «uczonej mało pił wody»; w istocie jednak naukę posiadał rozległą: kształcił się w uniwersytetach niemieckich (w Lipsku i Witemburdze), był i we Włoszech, znał poezję starożytną i włoską, rozczytywał się też w pismach filozoficznych, a nadewszystko religijnych, zwłaszcza od czasu, kiedy porzucił protestantyzm i stał się gorliwym, głęboko wierzącym katolikiem, «wielkim Panny Maryjej służką», jak świadczy jego spowiednik, dominikanin Antonin z Przemyśla. Do ulubionych jego książek należały, oprócz Pisma świętego, dzieła teologa hiszpańskiego XVI wieku Ludwika z Granady i słynne dzieło myśliciele rzymskiego V wieku po Chrystusie, Boecjusza, *De consolatione philosophiae* (*O szukaniu pociechy w filozofji*), dzieło, którego myślą przewodnią jest, że, z wyjątkiem cnoty, wszystkie inne dobra ziemskie są marnością i że światem rządzi Opatrzność boska.

Talent poetycki miał Szarzyński bardzo niepospolity, mianowicie liryczny. Wymownie świadczy o tem małeńka wiązanka poezyj, wydana w lat dwadzieścia po jego śmierci przez kochającego brata, p. t. *Rytmy abo wiersze polskie* (1601). Jest tutaj kilka pieśni, pisanych za przykładem Horacego i Kochanowskiego, kilka przekładów i parafraz psalmów biblijnych, oraz sześć sonetów epigramatycznych.

Tej przedziwnej jasności i prostoty, którą jaśniejje poezja Jana z Czarnolasu, *Rytmy* Szarzyńskiego, naogół biorąc, nie posiadają: ich styl jest tak kunsztowny, że się często wydaje nienaturalnym, zwłaszcza dzięki przekładniom (nierównie częstszym, niż w poezji Kochanowskiego) i wogóle dzięki zawikłanemu szykowi wyrazów; tłumaczy się to głównie dążnością poety do

zamykania wielu myśli w niewielu słowach. Czasem trzeba się dobrze zastanowić, aby go zrozumieć; (pod tym względem przypomina on niekiedy Norwida). Lecz trud ten sownie się opłaca: kto się oswoi z formą poezji Szarzyńskiego, ten je pokocha, bo wyczuje w nich niezwykłą powagę myśli i niezwykłą głębię uczuć, mianowicie smutek, a nawet mękę duchową, oraz tęsknotę do lepszego świata. Co zrodziło w duszy poety te uczucia, tego napewno nie wiemy; można się tylko domyślać, że przyczyną były wyrzuty sumienia na myśl o nazbyt bujnym życiu we wczesnej młodości: «I z płaczem ganię młodości mej skoki». Tak czy inaczej, dosyć, że znamionną cechą *Rytmów* jest ból życia, i to tak głęboki, że na głębszy zdobędzie się u nas dopiero Malczewski — w *Marji*.

Najpiękniej przemówił ten ból w *sonetach*, napełnionych treścią stokroć bogatszą, niż sonety Kochanowskiego. Są one wyrazem głębokiego przeświadczenia, że dla człowieka niema i być nie może prawdziwego szczęścia na tym świecie; bo i cóż mogłoby mu je zapewnić? jeden tylko spokój, a spokoju człowiek nigdy nie zazna: życie ludzkie bowiem to ciągle bojowanie, to ustawiczna walka duszy z szatanem, kuszącym ją do grzechu, i z własnym ciałem, które nie chce uznać nad sobą zwierzchnictwa duszy i pożąda rozkoszy doczesnych; te zaś rozkosze są równie znikome, jak bogactwo, sława, władza, za którymi się człowiek tak ugania; nadto życie ludzkie jest krótkie — śmierć zewsząd czyha na człowieka i prędzej czy później odbierze mu wszystko.

Lecz ten głęboki smutek poety, ten jego pesymizm, płynący z przekonania o marności tego życia, nie przechodzi w rozpacz: nie rozpaczać, ale walczyć powinien człowiek — walczyć z szatanem i ciałem, a więc nie dbać o rzeczy ziemskie, tylko o wiekiście, nie przywiązywać się do znikomych rozkoszy i zaszczytów, ale ukochać jedynie «wieczną i prawą piękność», t. j. Boga, i spełniać Jego przykazania; a Bóg to nie tylko wiekiusta mądrość, ale i miłość nieprzebrana: nie opuści człowieka, doda mu sił do walki, i z owego rozdwojenia pomiędzy duszą a ciałem nie ciało, tylko dusza wyjdzie zwycięsko i otrzyma wiekiustą nagrodę w niebie. Tym sposobem ból życia nie jest jedyną struną liryki Szarzyńskiego: drugą jest jego mocna wiara w wiekiustą wartość życia; pesymizm Szarzyńskiego to dawny «pesymizm chrześcijański», odwracający się od ziemi, a szukający spokoju i szczęścia w niebie. Więc w pieśniach i psalmach modli się poeta o ratunek i zbawienie, ze skrucą spowiada się przed Bogiem ze swych grzechów, błaga Go o przebaczenie i o siły do walki, podziwia piękność Jego stworzenia i wielbi Opatrzność, wołając w pieśni *O bożej Opatrzności*: «Nie frasunek przygodny ludzkie sprawy rządzi: — i Fortunę szaloną, choć upornie błądzi, — Chelzna¹ twarzym munsztukiem Twego moc zrządzenia, — O Mądrości, wszystkiego żywocie stworzenia!»

Tak gorąca wiara w Boga i wogóle tak głęboka religijność, jak w poezji Szarzyńskiego, będzie znamionowała dopiero *Psalmodję polską* Kochanowskiego — w wieku XVII. A w poezji XVI wieku jest Szarzyński doskonałym wyobrazicielem reakcji katolickiej — reakcji zarówno przeciwko mądrości pogańskiej humanizmu, jak przeciwko protestantyzmowi. Bardzo znamionną jest rzeczą, że, kiedy w poezji religijnej Kochanowskiego głucho o Matce Boskiej, wśród sonetów Szarzyńskiego jest już jeden *Do Naświętszej Panny*.

¹ kielznać.

Jedna jeszcze struna dźwięczy w jego poezji: uczucie patryjotyczne. Słychać ją np. w pieśni na cześć króla Stefana, ale nadewszystko w dwóch pieśniach rycerskich na cześć dwóch bohaterów, poległych w walce za ojczyznę: Jakoba Strusa, który zginął w bitwie z Tatarami nad Rastawicą w województwie kijowskim (1520) i Fryderyka Herborta (Frydrusza), którego bohaterską śmierć w bitwie pod Sokalem nad Bugiem (1519) opisał, oprócz Orzechowskiego, Marcin Bielski w tych słowach: «Poległo tam wiele rycerstwa polskiego, prawie czoło wszystko, okrom tych trochę, którzy mogli na Sokal zameczek uciec; Fredrusz, bacząc upadek naszych, jako był człowiek serca wielkiego, żywota nizacz nie ważąc, rzekł: «Boże! tego nie daj, abych przy mej milej bracie gardła nie dał!» Rozpuściwszy koń ze wszęgo skoku, dobrowolnie, jako jeden Kurcyjusz rzymski, skoczył między nie z drzewem¹ swoim, bił się z nimi, póki mógł sobą władać; tam między Tatory rozsiekan z krzykiem a z żałością więźniów, których natenczas dosyć nabrali». Opowiadanie to uzupełnił Szarzyński własną fantazją i napisał pieśń, będącą pięknym zwierciadłem nie tylko rycerskiej duszy Frydrusza, ale i własnej duszy poety: głęboka religijność połączyła się w niej w harmonijną całość z duchem rycerskim, co będzie później, w wieku XVII, znamioną cechą najpiękniejszych dusz polskich.

O krótkości i niepewności na świecie żywota ludzkiego (sonet).

Ehej!² Jak gwałtem obrotne obłoki
I Tytan³ prędki lotne czasy pędzą!
A chciwa może odciąć rozkosz nędzą
Śmierć — tuż za nami spore czyni kroki!⁴

A ja, co⁵ dalej, lepiej cień głęboki
Błędów mych widzę, które gęsto⁶ nędzą⁷
Strwożone serce ustawiczną jędzą⁸,
I z płaczem ganię młodości mej skoki.

O moc, o rozkosz, o skarby pilności!
Choćby nie darmo były⁹, przedsię szkodzą,
Bo naszą chciwość¹⁰ od swej szczęśliwości
Własnej (co Bogiem zowiemy) odwodzą.

Niestale dobra! O, stokroć szczęśliwy,
Który tych cieniów w czas zna kształt prawdziwy!

O wojnie naszej, którą więdziemy z szatanem, światem i ciałem (sonet).

Pokój — szczęśliwość; ale bojowanie —
Byt nasz podniebny: on srogi ciemności
Hetman i świata łakome marności
O nasze pilno czynią¹¹ zepsowanie¹².

Nie dosyć na tem, o nasz możny Panie!
Ten nasz dom — ciało, dla zbiegłych lubości¹³,
Niebacznie zajrzając¹⁴ duchowi zwierzcności,
Upaść na wieki żądać nie przestanie.

¹ włócznia. ² ach, niestety!
Śmierć, chciwa (t. j. chciwie pragnąca) odciąć rozkosz nędzą, może tuż za nami spore czyni kroki. ³ słońce. ⁴ porządek wyrazów:
utrapienie. ⁵ im. ⁶ często. ⁷ nędzić = męczyć, dręczyć. ⁸ jędza =
procesować się o co, domagać się czegoś. ⁹ choćby były zapracowane. ¹⁰ wola. ¹¹ czynić o co =
doczesne rozkosze. ¹² zguba. ¹³ zbiegłe lubości =
¹⁴ zajrzeć = zazdrościć.

Cóż będę czynił w tak strasliwym boju,
Wąły, niebaczny, rozdwojony w sobie?
Królu powszechny, prawdziwy pokoju
Zbawienia mego, jest nadzieja w Tobie!

Ty mnie przy sobie postaw, a prześpiecznie
Będę wojował i wygram statecznie!

O nietrwa-
łej miłości
rzeczy
świata
tego
(sonet).

I nie miłować ciężko, i miłować
Nędzna pociecha, gdy żądzą zwiedzione
Myśli cukrują¹ nazbyt rzeczy one,
Które i mienić i muszą się psować.

Komu tak będzie dostatkami smakować
Złoto, scepter², sława, rozkosz i stworzone
Piękne oblicze, by ten nasycone
I mógł mieć serce i trwóg się warować?

Miłość jest własny³ bieg bycia naszego;
Ale z żywiołów utworzone ciało,
To chwając, co zna początku równego,
Zawodzi duszę, której wszystko mało,

Gdy Ciebie, wiecznej i prawej Piękności
Samej nie widzi, celu swej miłości.

Do Na-
świętszej
Panny
(sonet).

Panno bezrówna⁴, stanu człowieczego
Wtóra ozdoba⁵, niepsowała w której
Pokora serca⁶, ni godność pokory,
Przedziwna Matko Stworzyciela swego!

Ty, głowę starszy smoka okrutnego,
Którego jadem świat był wszystek chory,
Wziętaś jest w niebo nad wysokie chóry;
Chwalebna, szczęścia używasz szczerego.

Tyś jest dusz naszych jak księżyc prawdziwy,
W którym wiecznego baczymy promienie
Miłosierdzia, gdy na nas grzech strasliwy
Przywodzi smutnej nocy ciężkie cienie!

Ale Ty zarzą już nam nastań raną
I pokaż słońca światłość pożądaną.

Pieśń o Fry-
druszu, który
pod Sokalem
zabit od Tata-
rów roku pań-
skiego 1519.

Umysł stateczny i w cnotach gruntowny
Kto ma od Boga, żywie świętym równy;
Nie tylko wytrwa gniew szczęścia surowy,
Ale i łaską wzgardzić jest gotowy.

Tysiąc przykładów, ale dostateczny
Słów moich świadek — sam Frydrusz serdeczny?

¹ cukrować = posypywać cukrem, przenośnie: wystawiać w pięknym świetle, zalecać ² berło. ³ właściwy. ⁴ nie mająca sobie równej. ⁵ pierwszą ozdobą jest Adam (przed upadkiem): Matka Boska urodziła się bez grzechu pierworodnego... ⁶ t. j. godności. ⁷ mężny.

Który to sprawił, że się mniej wstydamy
Blizny, prze upór co nieszczęścia mamy¹.

Na Sokal wojska gdy już płacziwego
Ostatek uwiódł, od rąk okrutnego
Pohańca wolny, serce niełękliwe
Odkrył, te słowa mówiąc pamiętliwie:

«Farbę Bugowej, widziałem, krew wody
«Nasza zmieniła prócz² pohańskiej szkody.
«Skrzyły się pola pod zacnemi ciały.
«A mnie, niestetyż, kto w te zagnał wały?

«Bojaźń wyrodna w serce me nie wchodzi,
«Lecz, mogąc pomóc żywiąc³ — umrzeć szkodzi;
«Choć miejsce żywa i dusza ucziwa
«Krwia, ciałem, zbroją, sławę kupić chciwa,

«Ale jeszcze trwa ten targ!⁴ Otwórz brone⁵.
«Otwórz, już mię wstyd mur mieć za obronę!
«Niechaj przyplaci pohaniec zdradliwy,
«Ze tył mój widział, gdym zbrojny i żywy!»

To rzekszy, jako z działa śmiertelnego
Kamień, płomienia gwałtem siarczystego
Z hukiem wyparty, jako przez wiatr rzadki
Leci przez ciała, dając im upadki:

Tak mężny Frydrusz, gniewy szlachetnemi
Zapalon, z zamku z krzyki rycerskiemi
Wypadł i przeszedł zastęp niezliczony,
Swą i tatarską prawie krwią zjuszony.

Tam zaś, by tygrys, gdy swe baczy dzieci
Miedzy myśliwcy, choć tysiąc strzał leci,
Wpada wpośrzodek, nie o ratunk dbając,
Ale o pomstę, szkodzi, i konając:

Taki był on mąż, widząc swój lud zbity,
Drugi związany; aż go znamienity
Duch ze krwią odbiegł: padł. Krzyknął bezbożny
Zastęp i więźnie; lecz był okrzyk różny!...

O cny rycerzu! nietylko szczęśliwie
Duch twój z wielkimi bohaterzy żywie:
I tu, dokąd Bug cichy wody swoje
Niesie do Wisły, dokąd imię twoje

Trwać będzie w ustach ludu rycerskiego.
I rzecze człowiek serca wspaniałego:
«Z lepszem ojczyzny szczęściem, wieczny Panie,
«Racz mi naznaczyć tak prędkie skonanie!»

¹ t. j. bohaterska śmierć Frydrusza przynajmniej w części okupiła wstyd, jakim okryła nas poniesiona klęska. ² bez. ³ żyjąc. ⁴ t. j. waham się jeszcze (targując się z sobą), czy obrać życie, czy śmierć. ⁵ brama.

58. Świetne czasy króla Stefana, unieśmiertelnione w historii politycznej szeregiem triumfów wojennych nad Moskwą, a w historii literatury — najpiękniejszymi utworami Jana z Czarnolasu, znalazły godnego siebie historyka w osobie **Reinholda Heidensteina** (1556—1620). Rodem Niemiec (z Prus Zachodnich), wyznania protestanckiego, we wczesnej młodości niezbyt życzliwie usposobiony dla Polski, stał się później wiernym sługą i przywiązanym obywatelem Rzeczypospolitej, przeszedł na katolicyzm, był nietylko sekretarzem, ale nawet powiernikiem i przyjacielem Stefana Batorego i Jana Zamoyskiego. Odznaczał się bystrym umysłem, trzeźwym poglądem na świat, mrówczą pracowitością i odwagą cywilną; swoje rozległe wykształcenie humanistyczne zawdzięczał studjom uniwersyteckim w Królewcu i Witemberdze, nadewszystko zaś w Padwie. Talent pisarski miał duży, a wywyczył go i uszlachetnił na historykach rzymskich, zwłaszcza na Juljuszu Cezarze.

Z pośród pism łacińskich Heidensteina najpiękniejszym i najlepszym są napisane z polecenia i pod osobistą kontrolą Batorego *Pamiętniki o wojnie moskiewskiej* (*De bello Moscovitico commentariorum libri sex*, 1584), — szczegółowy, prawdziwy i bezstronny obraz zwycięskiej wojny z Iwanem Groźnym. Zczasem wcielił je Heidenstein do innego dzieła, nad którym pracował w ostatnich latach swego życia — przy pomocy Zamoyskiego: kanclerz mianowicie nietylko dostarczał mu materiałów, ale niejednokrotnie dyktował szkic wypadków, który Heidenstein już samodzielnie rozwijał w obszerną opowieść dziejową. W druku ukazało się to dzieło dopiero w lat kilkadziesiąt po śmierci autora, p. t. *Rzeczy polskich ksiąg dwanaście* (*Rerum polonicarum libri duodecim*, 1672); opowiedział tutaj dzieje Polski od śmierci Zygmunta Augusta aż do początku XVII wieku (1572—1602).

Obydwa te dzieła stanowią wspaniałą ozdobę literatury łacińskiej w Polsce. Heidenstein to nie pamiętnikarz, jak Górnicki, który opowiada to tylko, na co się patrzył, lub co go osobiście obchodziło; Heidensteina obchodzi wszystko, co daje prawdziwy obraz społeczeństwa, co się składa na historję państwa polskiego i to zarówno zewnętrzną, jak wewnętrzną: on nie poprzestaje na szczegółowym opowiadaniu o wojnach, ale równie szczegółowo kresli obraz sejmów, zjazdów, elekcij, zmian, dokonanych w ustawodawstwie i sądownictwie, itd. W tej zaś szczegółowości umie zazwyczaj należytą zachować miarę: on wie dobrze, że jeden wypadek zasługuje na opowieść szczegółową, a inny tylko na krótką wzmiankę — wie, bo rozumie, jak ani jeden z naszych dawnych kronikarzy, jakie wypadki są ważne, a jakie mniej ważne; on pierwszy np. zrozumiał, że bezkrólewie po śmierci Zygmunta Augusta to wypadek przełomowy w dziejach polskich, i dlatego to opowiada o nim mniej szczegółowo, jak o wojnie moskiewskiej. Otóż szczegółowość opowiadania i umiejętna ocena zdarzeń historycznych należą do najwybitniejszych cech historii Heidensteina.

Miłość prawdy to inna jej wielka zaleta. Ani jeden z naszych historyków XVI wieku nie jest tak wiarogodny i bezstronny, jak on. Wszystko, o czem opowiada, poznał dokładnie, zużytkował całe mnóstwo źródeł historycznych, nie gardząc nawet ulotnemi pisemkami, i wszystko starał się przedstawić w prawdziwym świetle. Nie pochlebia nikomu: jeżeli chwali króla Stefana i Zamoyskiego, to dlatego, że nie chwalić mężów tej miary nie mógł; jeżeli potępia Zborowskich, to znowu dlatego, że nie mógł nie potępiać takich warcholów i zdrajców; zresztą zarówno w pochwałach, jak naganach

jest nadzwyczajnie wstrzemięźliwy. Wogóle swoje osobiste sądy i poglądy wypowiada nietylko ostrożnie, ale nawet zbyt oszczędnie, a osobistych uczuć nie wypowiada prawie zupełnie, i stąd z kart jego historii, tych nawet, które wypełnia opowiadanie o świetnych triumfach oręża polskiego, wieje jakiś chłód. Ale zato wieje z nich zawsze prawda, czasem słodka i pochlebna, czasem gorzka i przykra. Serce rośnie, kiedy się czyta opowiadanie o mądrości Batorego, o tym zapale wojennym, jaki król umiał w społeczeństwie rozbudzić, o szturmach zwycięskich do Połocka albo do Wielkich Luków, o bitwie pod Byczyną, o czynach i zasługach Zamoyskiego; ale boli serce, kiedy się czyta o tem, co się działo u nas podczas bezkrólewia; jak się strasznie z sobą kłócono, jak wielka była bezmyślność tłumów szlacheckich, które na elekcjach «szły za tymi, którzy je karmili, zdalniejsze do wrzasków, niż do rady», a po obiorze króla «dobrodusznie myślały, że to im król winien królestwo»; jak sejmy spelzały na niczem; jakie plotki i potwarze na siebie miotano; jak szarpano dobrą sławę Batorego i Zamoyskiego, któremu nawet uczoność poczytywano za winę; jak podejrzewano ich o złe zamiary (a «podejrzanie nigdzie tak łatwo, jak w Polsce, nie rosną»); jak się wymawiano od obrony granic Rzeczypospolitej, ciągle szarpanej przez Tatarów, i t. d., i t. d.; o tem wszystkiem opowiada Heidenstein z całą otwartością i z tym samym, co zawsze, chłodnym spokojem. Krótko mówiąc, historia jego jest prawdziwym i wyjątkowo bezstronnym obrazem trzydziestu lat dziejów naszych, skreślonym z znajomością nietylko wypadków, ale i charakterów polskich, z sądem trzeźwym, a spokojnym.

*** Zdobycie Połocka (1579).** Gdy się tak trudności zewnątrz piętrzyły, król zwołał radę wojenną, aby rozstrzygnąć, co dalej robić. Prawie wszyscy przemawiali za tem, ażeby (o czem już przedtem powszechnie mówiono) ze wszech stron wszystkimi siłami przypuścić szturm. Król nie zgadzał się na to, z uwagi, że, gdyby się nie udał szturm, w którym wszyscy całą nadzieję pokładali, to po straceniu jej niemal zupełnie niechybnie już nie pozostałoby, tylko odwrót. Należało więc pierwej, jego zdaniem, wszystkie środki wyczerpać. Zachęca przeto Węgrów obietnicą wielkich nagród, ażeby raz jeszcze skoczyli pod mury; jeźdźców zaś wzywa, aby, kto tylko ma silną rękę, zsiadł z konia i razem z piechotą szedł do szturm; poucza, że przedewszystkiem na to baczyć należy, żeby nie pierwej (jak to przedtem bywało) od ścian odbiegali, aż się ogień na dobre zajmie; a wreszcie, że lepiej jest raczej zginąć pod murami od kul nieprzyjacielskich, ratując sławę narodową i honor wojskowy, aniżeli, nie nie wskórawszy, odstąpić od oblężenia i okryć się hańbą.

Więc żołnierstwo w wielkim zapale drapie się znów ku zamkowi, niosąc w rękę łuczywo i inne palne materiały, poprzednio na ten cel przygotowane. Na szczęście deszcz nieco ustał, a ogień, od którego się zajęła ściana od dołu, ogarnął wkrótce całą połąć parkanu; objąwszy następnie znaczną przestrzeń, cały dzień szalał, nie dając się ugasić. Było to 29 sierpnia. Wzniesiony pożar rzucał daleko lunę; król, obawiając się przeto, że nieprzyjaciel, zwabiony ogniem z miejsc najbliższych, zwłaszcza z Sokola (gdzie, jako się wyżej rzekło, stał wybór wojska, zebranego przez kniazia w Pskowie), może pośpieszyć na ratunek zamkowi i swoim, a równocześnie załoga zamkowa zrobić wycieczkę — wyprowadził z obozu całe wojsko i w polu pod chorągwiami ustawił; w obozie została tylko silna załoga. Następnie, otoczony jazdą nadworną, ażeby lepiej na wszystkie strony czuwać, przeprowadził się

przez Połotę, gdy i droga do Sokoła tamtędy prowadziła, i wycieczki, gdyby nastąpiła, z tej strony najprędzej spodziewać się należało. Już przerażona Moskwa poczęła myśleć o poddaniu, a nawet dziesięciu ludzi z załogi, skoczywszy z murów, zbiega do naszych. Bekiesz kazał ich do króla odprowadzić; w drodze jednak wymordowali ich Węgrzy, ażeby przez to innych od poddania odstraszyć, a siebie nie pozbawić chwały zdobycia zamku, owoców zwycięstwa i wszelkiej wogóle nagrody za poniesione trudy. Pominąwszy bowiem inne pobudki, wieść o tym słynnym zamku, a osobliwie o cerkwi św. Zofji, znajdującej się w obrębie murów zamkowych, i o odwiecznych skarbach, srebrnych posągach i bogatych darach, ofiarowanych przez dawnych książąt ruskich, obiecywała żołnierzom ogromną zdobycz, i w tej to nadziei, że się dobrze oblowią, znosili oni najochotniej wszystkie uciążliwości. Ponieważ się już ściemniać począł, osądzono przeto za rzecz i trudną, i niebezpieczną drapać się w górę po tak spadzistym stoku i przedzierać się przez płomienie; nie ustał bowiem jeszcze pożar, a przystęp do zamku jedynie tamtędy był możliwy. Z tego powodu postanowiono szturm odłożyć do jutra. W czasie jednak, gdy król do obozu już wracał, zjawia się kilkudziesięciu Węgrów; przeszedłszy most, o którym była mowa, drapią się kupą do zamku. Przykładem porwana, przyłącza się do nich w znacznej liczbie piechota polska. Lecz naprzeciw tego miejsca, gdzie pożar wzniecono, wykopała Moskwa rów i, ustawivszy nad nim hakownice, obwarowała się na wszelki wypadek. Nietylko więc odparła naszych i zmusiła do odwrotu tą samą drogą przez płomienie, którą, niebaczni, przebyli, ale nawet, rozzuchwalona powodzeniem, puściła się dalej za nimi z pogoń, rażąc ztyłu strzałami. Tymczasem jednak owych 200 Zamoyskiego piechoty, którzy, jak się powiedziało, strzegli mostu pod górą zamkową, spostrzega gonitwę, przybywa naszym na pomoc i Moskwę zmusza do odwrotu. Król, mało co ku obozowi ujechawszy, zobaczył wdzierających się do zamku ochotników; zarządził więc odpowiednie środki do obrony szanców, na drogę, zwłaszcza ku Sokołowi, baczną zwracając uwagę. To samo czyni Mielecki; zsiadł z konia i ze znaczną liczbą szlachty, którzy to samo czynili, biegnie na obronę szanców i armat. Nie siedział też beczynnie wtenczas nieprzyjacieli i z wyższych baszt, średniego zamku zwłaszcza, który panował nad całą okolicą, strzelał raz wraz na wszystkie strony. Z tego powodu nawet król i Zamoyski, rozmawiający z sobą, znaleźli się obaj w niemałym niebezpieczeństwie. Bo gdy się właśnie Zamoyski z miejsca rozmowy oddalił nabok dla zmiany konia, poległ tuż przy samym królu od kuli jakiś jeździec, który niebacznie w jego miejsce pojechał. Noc wreszcie uciszyła ten zgiełk wojenny...

Nazajutrz nakazał król nowy szturm. Moskwa ustąpiła, jako się rzekło, dnia poprzedniego z baszty, która zgorzała. Położenie jej było takie, że zajmowała wierzchołek kąta, utworzonego przez dwie ściany, które przez to niejako zabezpieczała. Otóż Moskwa opuściła cały ów kąt, leżący pomiędzy dwiema najbliższymi, a przez ogień dotąd jeszcze nietkniętymi basztami, a natomiast połączyła baszty z sobą przekątnią. Teraz jednak, upatrzivszy stosowną porę na odzyskanie owego kąta, zaczęła go na nowo obsadzać. Powiadomiony o tem król, nie chcąc dać czasu nieprzyjacielowi na obwarowanie owego miejsca, rozkazuje wojsku wdrzeć się na wał i, spędzivszy nieprzyjaciela, miejsce opanować. Węgrzy szybkim napadem tę część wzgórze zajmują. Sład, stosownie do rozkazu, przykopują się pod najbliższą ścianę i... pod najbliższą basztę, do której się dostali, podkładają ogień. Powstał

pożar, który przetrwał noc całą; nasi też, ustawiwszy od czoła kilka hakownic, któremi nieprzyjaciela razili, pracowali całą noc i przykopy tak daleko posunęli, że o świcie byli już całkiem blisko szanców nieprzyjacielskich, dotykając niemal niższego kąta, gdzie się kończył okop, przez nieprzyjaciela dzień przedtem usypany; boki zaś nieprzyjaciela były już tak odsłonięte, że się nawet w obrębie swych warowni bezpiecznie ostać nie mógł. Pozbawieni w ten sposób wszelkiej nadziei, obłączeni powracają do myśli poddania się. W imieniu bojarów i żołnierzy przybywają posłowie, ażeby załozde zamkowej wyjednać zachowanie przy życiu... Pozwolono im w jednym odzieniu oddalić się swobodnie, gdzie się komu podobało. Przeciwni poddaniu byli jedynie: biskup (którego władką zowią) Cyprjan i wojewodowie, na zamku będący, z tem się odkazując, że raczej wolą zginąć, aniżeli się dostać w moc nieprzyjacielską. Usiłowali nawet przedtem ogień pod prochy podłożyć i zamek, siebie i całą osadę wysadzić w powietrze; przeszkodzili jednak żołnierze. Otóż, gdy teraz zamysł ich udaremniła wspólna wszystkich obawa, zamknęli się w cerkwi św. Zofji, oświadczając, że się tylko gwałtem stamtąd wyprowadzić dadzą. Król, zatrzymawszy posłów, posłał po władkę i wojewodów. Przychodzą i oddają królowi swoim obyczajem czołobitność...

Nazajutrz pragnął król przedewszystkiem odprawić nabożeństwo, aby za otrzymane zwycięstwo Panu Bogu złożyć dzięki. Lecz nie mogąc wjechać na zamek z powodu niecznośnej woni, rozchodzącej się od gęsto leżących trupów, których dotychczas Moskwa nie pogrzebała, każe wyprowadzić dotąd na zamek zostającą Moskwę; równocześnie wyznacza straż, która ich miała bronić od swawoli żołnierskiej... Przestrzegając król jak najpilniej, ażeby się Moskwie jaka krzywda nie działa od żołnierzy; kiedy więc pewien towarzysz kilku z nich począł obdzierać, spodziewając się, że w tak licznym tłumie nikt tego nie zobaczy, przyskoczył do niego król, przypatrujący się właśnie schodzącej z zamku Moskwie, i zajechał go buzdyganem. Czyn ten zjednał mu niemałe uwielbienie u nieprzyjaciół, tem bardziej podziwiających łaskawość i sumiennność królewską, że w ciężkiej swej niewoli o takich cnotach nie słyszeli wcale.

W obrębie zamku znajdowano poszarpane ciała naszych żołnierzy, których Moskwa dopadła była w chwili, kiedy ci — rzecz, w tak wielkim niedostatku żywności i wszystkich potrzeb nieunikniona — po ogrodach, leżących pod ostrogiem Strzeleckim, zbierali ziola, aby głód zaspokoić; zawłókszy ich do zamku, w najokropniejszy sposób rozszarpywała na sztuki. Zauważono, że nad Niemcami zwłaszcza pastwiła się okrutnie: wsadziła ich do kotłów, pod któremi palił się ogień, i, nalawszy wody po kolana, gotowała żywcem; wiązała im ręce wtył powrozem i, ponacinawszy wzdłuż brzuch i całe ciało w gęstych odstępach, najohydniej darła z nich pasy. Dyszeli więc zemstą żołnierze. Król jednak, uważając, że słowa, raz danego nieprzyjacielowi, łamać nie wolno, dwie rotę przydał tym na obronę, którzy wracali do Moskwy. Nazajutrz odprawiono uroczyste nabożeństwo w obozie ¹. ★

★ **Charakterystyka Stefana Batorego.** Natura wyposażyła króla Stefana we wszystkie przymioty ciała i duszy: rzekłbyś, chciała stworzyć w nim wzór rzadkiej na tym świecie doskonałości. W postawie, w twarzy, w mowie był

¹ Przekład Jana Czubka.

uosobieniem majestatu; a jednocześnie miał w sobie jakąś dziewiczą delikatność i prostotę, oraz tak wielką ludzkość, że przy całej swojej godności królewskiej i powadze majestatycznej, jaką zachowywał wobec wszystkich, wdawał się z nawiedzającymi go w najpoufalsze rozmowy, a bojaźliwszych sam niejednokrotnie ku sobie ośmielał. To też nie wiedzieć, czy go się ludzie więcej bali, czy kochali. Katolikiem był wielce gorliwym, o czym świadczy choćby jego testament, w którym, zwracając się w obliczu śmierci do synowca swego, Zygmunta, księcia siedmiogrodzkiego, zaleca mu w najgorętszych słowach opiekę nad religją katolicką i nad kolegjum jezuickim, które był dla nawracania Arjan siedmiogrodzkich do życia powołał. Nie sprzeniwierył się jednak swemu pogładowi, że wszelkich sekciarzy należy raczej tolerować, polecając ich Bogu i czasowi, niż prześladować. Wiedzę posiadał olbrzymią, a zawdzięczał ją po części praktycznemu obznajomieniu się ze sprawami Węgrów, Turków, Niemców, Włochów, nadewszystko jednak — czytaniu historyków; najulubieńszym jego historykiem był Cezar, z którym się też nigdy nie rozstawał. Wymowny był bardzo (ze wszystkimi rozmawiał po łacinie), a każde słowo jego taką miała powagę, że uchodziło niemal za wyrocznię. Gdy wiedział, że ma prawo i słusność za sobą, tam nigdy nie ustępował. Wielki miłośnik prawdy, jak sam nigdy się z nią nie mijał, tak innym łatwo wierzył. W oczach niektórych uchodził za człowieka nadto skłonnego do gniewu i okrucieństwa (zwłaszcza, póki był jeszcze księciem siedmiogrodzkim); lecz ja twierdzę, że nie było chyba człowieka, któryby tak łatwo odpuszczał krzywdy i tak szybko zapominał o nich; długo zato pamiętał wyświadczone sobie dobrodziejstwa, nawet najmniejszą usługę, i niejednokrotnie obsypywał dobrodziejstwami tych, którzy już dawno zapomnieli, że mu się kiedyś przysłużyli, i bynajmniej nagrody nie oczekiwali. O pomnożenie majątku wielce dbały, uchodził zwykle za zbyt oszczędnego; jakoż był oszczędny, ale, kiedy było potrzeba, umiał być nietylko szczodrym, lecz i wspaiałym.

Na sejmie toruńskim (1576) posłowie ziemscy, i to ci, którzy rej wśród szlachty wodzili, zamęczali króla Stefana, by zdał sprawę ze wszystkich swych czynności, a szczególnie z zabranych skarbow (po Zygmuncie Auguście). Król, nieprzyzwyczajony do takiej wolności, która mu się raczej swawolą być zdawa, zapłonął gniewem. I niechaj mi wolno będzie przytoczyć słowa, które mu się wówczas z ust wyrwały, jako przykład właściwej mu wymowy: «Nie w chlewie, lecz wolnym człowiekiem jam się urodził, i, zanim do tej ziemi przybyłem, nie brakło mi jedzenia, ani odzienia; wolność swą kocham i będę jej strzegł. Z woli bożej wyście mnie królem swym obrali, na wasze to prośby i nalegania tu przybyłem, wyście mi koronę na skronie włożyli; jestem więc królem waszym, ale nie glinianym ani malowanym (*non fictus neque pictus*); chcę królować i nie ścierpię, by mi ktokolwiek grał po nosie! Bądźcie sobie stróżami swej wolności: na to zgoda; ale nie pozwolę, byście byli moimi i moich senatorów pedagogami; strzeżcie sobie swej wolności, ale od swawoli — wara!»¹. ★

59. Oprócz *Pamiętników* Heidensteina, ukazało się za panowania Stefana Batorego inne jeszcze, zupełnie odmienne, dzieło historyczne, napisane

¹ Przekład autora tej książki.

po polsku, pod szumnym i długim tytułem: *Która przedtem nigdy światła nie widziała kronika polska, litewska, żmodzka i wuszystkiej Rusi: kijowskiej, moskiewskiej, siewierskiej, wołyńskiej, podolskiej, podgórskiej, podlaskiej etc. I rozmaite przypadki wojenne i domowe pruskich, mazowieckich, pomorskich i inszych krain, Królestwu Polskiemu i Wielkiemu Księstwu Litewskiemu przyłęgłych. Według istotnego i gruntownego zniesienia¹ pewnych dowodów z rozmaitych historyków i autorów, postronnych i domowych, i kijowskich, moskiewskich, sławiańskich, liflanckich, pruskich starych, dotąd ciemnochmurną nocą zakrytych kronik i latopisców ruskich, litewskich, i Długosza, ojca dziejów polskich, z inszymi, z wielką pilnością i węzłowatą² pracą (osobliwie okolo dziejów litewskich i ruskich od żadnego przedtem niekuszonych)... dostatecznie napisana, złożona i na pierwsze światło z wybadanym prawdziwie dowodnej starodawności, własnem wynalezieniem, przeważnym dochcipem i nakładem nowo wydźwigniona przez wuszystki starożytny wieki aż do dzisiejszego roku 1582. Autorem tej wielkiej księgi jest Mazur, **Maciej Strykowski** (urodzony w r. 1547, zmarły niewiedzieć kiedy), w jednej osobie bardzo szanowany człowiek i niezmiernie śmieszna figura.*

Na wielki szacunek zasługuje Strykowski przez podziwu godną pracowitość i wręcz żywiołową żądę wiedzy. Obdarzony od natury żelaznem zdrowiem, ogromną ruchliwością, silną wolą, wrażliwym umysłem, a do tego gorącym sercem i żądzą sławy, od młodości rwał się do nauk, poczytując je (podobnie jak Marcin Bielski) za jeden z największych skarbów, jakie «sam Bóg... z nieba» dał człowiekowi. Czy, po ukończeniu szkoły w Brzezinach, kształcił się w jakim uniwersytecie, nie wiadomo; ale wiadomo, że się sam ustawnie uczył, i to nietylko z książek, które pochłaniał nocami — nie dosypiając, i dniami — nawet podczas posiłku, ale także z bogatego doświadczenia: gospodarował, bawił na dworach możnych panów, służył wojskowo, bił się z Moskwą (na polach Iwańskich i pod Ulą), a podróżował z istną pasją: zjeździł wybrzeże Bałtyku, Litwę, Inflanty, Ruś, Wołoszę, Turcję i ujarzmione przez nią kraje sławiańskie; nauczył się różnych języków, poznał obyczaje różnych narodów, słuchał z upodobaniem pieśni i podań ludowych, zwiedzał ruiny starych grodów i zamków, pola bitew i mogiły rycerzy; pod ziemię nawet zaglądał, żeby podumać nad kośćmi poległych bohaterów i szczątkami ich oręża. Mało który pisarz staropolski był tak cheiwy wiedzy, jak ten samouk.

On sam zdawał sobie z tego sprawę i bardzo się tem pysznił: w zarozumiałości nie ustępował samemu Orzechowskiemu, tylko że Orzechowski był zarozumiałcem niesmacznym, a on — miłym i śmiesznym. Nie mniej ani więcej, tylko uroił sobie, że go Pan Bóg powołał do wielkich rzeczy, a w tej mrzonce utwierdziło go to, że zawsze wychodził cało z różnych przygód, któremi aż się roiło jego życie. Oto, co sam opowiada w swej wierszowanej autobiografji: «Ledwom pięć lat miał, w wielkim gdym utonął stawie, — i nierychlóm nalezion już umarły prawie, — umarły, bo zsiniałe wywleczono ciało, — które snać³ już ni ducha podle serca miało. — Które potem, w kościele na mary włożone, — długo w smutku trzymało rodzice strwożone, — bo już zatchnione członki ogień przyrodzony — opuścił był; a w głośnie uderzono dzwony: — alić (i ktoby wierzył?) jam na marach zasię —

¹ znosić = zgromadzać, porównywać.

² węzłowaty = trudny.

³ jakby,

ożył, a trup oziębły wziął rumianość na się». Później, kiedy był już w szkole, gruchnął mu na leb dzwon, urwawszy się z dzwonnicy, i «na śmierć» go «zabil»: zmartwychwstał twardobisty Mazur, ale od tej chwili zaczął się jąkać, stąd porównywał się nie mniej ani więcej tylko z Mojżeszem (który miał podobno pyczik na języku). W wieku dorosłym dwa razy o mały włos nie dostał się do niewoli moskiewskiej, dwa razy już już tonął w rzece, jeden raz o mały go Turcy w niewolę nie zaprzędali i t. d. To wszystko dało mu wiele do myślenia, aż nakoniec wymyślił i powiedział sobie: «Pan Bóg wie, co robi — nie bez kozery wybawił mnie z tyłu opresyj, widocznie chce, żebym zrobił na tej ziemi coś, czego słońce jeszcze nie oglądało». I zrobił: napisał *Kronikę, która przedtem nigdy światła nie widziała*.

Lecz nie jest ona pierwszym jego dziełem: poprzedziły ją liczne utwory wierszowane, już bowiem w siódmym roku życia (jak sam sobie świadczy) Muzy wzięły go w swój święty poczet, Apollo omył go w Helikonie, «a mózgorodna dar swój Minerwa przydała». Więc opiewał wierszem różne wypadki historyczne, np. śmierć Zygmunta Augusta, wjazd do Krakowa i koronację Waleczjusza i inne. Napisał też obszerny i szumny poemat dydaktyczno-historyczny w strofach safickich¹: *Goniec cnoty, do prawych ślachciców przez Matysa Strykowskią uczyniony, w którym są przykłady piękne spraw mężów zacnych, postęпки Sarmatów i królów polskich, książąt litewskich i ich narodu wywód, i sprawy skuteczne, zdawna w prochu zakryte, a od żadnego przedtem niewydane, od początku ich aż do dzisiejszego z łaski bożej króla Henryka (1574)*. Treść jest taka, że Cnota wysyła, jako gońca, rodzoną swoją siostrę, Prawdę, do szlachty polskiej. Posłuszna Prawda idzie i tłumaczy szlachcie długo i szeroko, na czem polega prawdziwe szlachectwo. Potem zabiera głos sam autor i wyklada, porządkiem książąt i królów, historję Polski i Litwy, a to z tego względu, że cała ta historia jest w jego oczach historją prawdziwego szlachectwa: przodkowie nasi «skutkiem² szlachectwo i cnotę zdobyli, — dla swej ojczyzny piersi nadstawili, — państwo od morza do morza szerzyli, — krwią je kupili»; podobnie przodkowie Litwinów, «postronnym straszni, miru nie prosili, — prywatę w spólnem dobru zamykali, państwo szerzali». Że prawdziwe szlachectwo polega na osobistych cnotach i zasługach, z których największą jest czynna miłość ojczyzny, tego uczył u nas, już przed Strykowskim, i Kadłubek, i Rej, i Modrzewski, i Kochanowski; ale dopiero Strykowski poświęcił tej nauce cały jeden duży utwór. Co więcej, nikt przed nim nie dowodził z taką siłą przekonania, że niema cnoty, a zatem i prawdziwego szlachectwa, bez kształcenia rozumu, który jest wielką potęgą: «Tak umysł ludzki Bóg raczył ozdobić, — iż przez swój rozum, co chce, może zrobić... Nie zawadzi-ć nic rozum do rycerstwa, — aleć przymnoży stokroć k niemu męstwa, — ku wszystkim rzeczom rozum i nauki — są pewne sztuki».

Lecz najważniejszym dziełem Strykowskiego jest *Kronika*. Pracował nad nią osiem lat, «nie własnym siłom, które są bardzo mdłe, ani wyschłemu i miłąkiem mózgowi ufając, ani słabemi zmysłami rozumu dziurawego podpierając, ale darami bożemi, który³ natchnie, gdzie, kiedy i kogo raczy, posilony i pobudzony». To przekonanie, że pisze z natchnienia bożego, nietylko dodawało mu sił do pracy, ale nadto wyolbrzymiło w jego

¹ Strofa czterowierszowa: trzy pierwsze wiersze jedenastozgłoskowe, czwarty pięciogłoskowy. ² t. j. czynem. ³ t. j. Bóg.

oczach wartość *Kroniki*: na każdym kroku przechwała się swoim rozumem (zapominając o jego dziurach), twierdzi, że on dopiero przedstawił dzieje Litwy w prawdziwym świetle; o dawniejszych «latopiscach» (to jest kronikarzach) ruskich i litewskich mówi, że «byli nikczemni i bez mózgu», a przyszył swoim krytykom wymyśla od osłów i świń, od «hardych storzypiętków» i «sposrnych a bezhumnych łapaczów». W istocie zasługa Strykowskiego jest niemała, ale wcale nie tak wielka, jak mu się zdawało. Prawdą jest, że się napracował strasznie: przewertował wszystkie możliwe kroniki polskie, niemieckie, ruskie i zlepil z nich swoją; niektóre kroniki ruskie on pierwszy poznał i zużytkował; on też pierwszy opowiedział tak szczegółowo historję Litwy (wraz z historją Rusi i Polski) od potopu i «rozdzielenia języków» aż do ostatnich czasów. Cóż z tego, kiedy ta opowieść jest bardzo chaotyczna i niekrytyczna; roi się nietylko od błędów, płynących z nieumiejętności, ale i od świadomych wymysłów bujnej fantazji — w tym np. rodzaju, że Litwini pochodzą od Rzymian, że mianowicie pięciuset rycerzy rzymskich, z Palemonem na czele, przybyło kiedyś, po długich tułaczkach, nad Niemen, «tam też, obaczywszy wesołe położenie i rozłogi wdzięcznych pól i pagórków, zielonemi dąbrowami nad brzegami rzek porosłych, zabawiali się łowem rozmaitego zwierza» i osiedlili się na stałe; z tych małych początków powstało zczasem całe państwo, które on, Palemon, pierwszy książę litewski, nazwał *La Italia*, «a potomkowie ich, gdy... ojczystego języka zapamiętali, mówili potem: *Litalia*, *Litualia*, a za postępkim czasów *Litvania* i *Litwa*»!! Tę bajkę opowiedział Strykowski w tym celu, żeby opromienić Litwę blaskiem starożytnego, a szlacheckiego pochodzenia. Ale bo też cała *Kronika* jest pisana w celu rozstawienia Litwy i jej wielkich czynów; odbił się ten zamiar i na stylu, który, choć naogół prosty, nieraz bywa zbyt uroczysty, a nawet napuszony, obfitujący w takie przymiotniki złożone, jak «słodkowiedźczny», «pilnoczujnny», «ciemnomglisty» i t. d. Niektóre zaś wypadki opowiedział Strykowski nie prozą, tylko wierszem, a to, jak mówi, «dla skuteczniejszego wyrażenia». Zwłaszcza upodobał sobie opisy bitew, fabrykowane wprawdzie wszystkie na jedno kopyto, ale wcale żywe, bo pełne ruchu i wrzawy bojowej, a okraszone mitologją i porównaniami. Oto np. kilka wierszy z opisu bitwy pod Grunwaldem:

Taratan tara! taratan! trąby zewsząd brzmiały,
A bębny grzmiotem hucznym uszy zagłuszały,
Frezy¹ rżą, głosy mężów, spólnie się cieszących,
Zewsząd tęten, a echo po lasach szumiących,
Aż pod niebo huk niosąc, głos sowito² dwoi...

Bogarodzica naszy, Niemcy *dastycht* krzyczą,
Z dział, z bębnow, z trąb trzask, krzyk, zbrój brzęk, konie rżą, kwiczą...

Na kilka ich mil naszy gonili, ścigając,
A oni uciekali, pludry z nóg zrzucając,
Drugi też w nie napocił, porzucali broni
I zbroje, drugi z błotnej patrzył, jak wilk, toni.

¹ konie fryzyskie.

² podwójnie.

Strach im kości przenikał, jeden ich sto gonił,
Aż Febus z złotym wozem w ocean się skłonił.
U jeziora błotnego kilko ich rot było,
Pieszycy knechtów w szelinę zaległą się skryło.
Blask ich od zbroje wydał, naszy przyskoczyli,
Niemców, jak omamionych, wszystkich potłoczyli;
A drudzy dobrowolnie ręce podawali
Do wiązania i bronie od siebie miotali,
Nie inaczej, jak owce, gdy w chlewie niebogi
Wilk, głodem wysuszony, prześladuje srogi,
Jedna się k drugiej tuląc, cicho w kupie stoją,
A ku tej stronie, gdzie wilk, i spojrzeć się boją.

Jest i opis bitwy pod Warną:

Krzyk, huk, *hata! hata!* brzmi, brzmia o szable miecze,
A strzały z wierzchu lecą, jako gdy deszcz ciecze,
Konie rżą, trąby huczą, a bębny trzaskają,
Chorągwie, zbroje, bronie z słońca się błyskają.

.....
Jak lew armeński, gdy go łowców gmin obskoczy,
Na włócznie śmieje idzie, ufając swej mocy,
Albo jak rozdrażniony niedźwiedź, gdy las łomi,
Albo tygrys, złodzieja gdy swych dziątek goni,
Bieży śmieje na ogień, bieży i na miecze
Nie dba, acz z zranionego dla dziątek krew ciecze,
A gniew, dzielność i żalność wzad uciekać bronią:
Tak król Władysław nacierał..
Amurat już chciał biegać, gdy jezdni uciekli,
Turcy, szyki zmieszawszy, kręcą się, jak wściekli.
Wtem Władysław na janczarską moc znowu uderzył
Hunyad z Węgry ubiegł, król został z Polaki,
Bił Turków. Aż sam przyszedł na ich zdraadne haki,
Bo janczarowie przekop darnem wnet nakryli
I chróstem, a za nim się z cesarzem bronili.
A gdy król, krzycząc, do nich, miecz wyniosłszy, skoczył,
Wpadł w on dół. Tamże go gmin janczarski potłoczył.
Potłoczył: mężnie mężne pokolenie ginie,
Stąd Jagłowych potomków wieczna sława słyńcie.
Byłem sam tam w tych polach, gdzie naszy przodkowie
Turki bili. Śpiewają dziś o nich Serbowie.
Widziałem Warnę z płaczem, nad nią oracz krzywy,
Najdując zgnile w roli zbroje, ma za dziwy...
Widziałem to swem okiem, tem widziałem okiem,
I w przekopie, gdzie król wpadł, chodziłem głębokiem.
Chodziłem, a Greczyn mi miejsca ukazuje,
A pobitych chrześcijan i króla żałuje.

¹ szelina = gąszcz leśny.

Ta rycerska poezja Strykowskiego, wraz z poezją historyczną Kochanowskiego, utworowała drogę naszej bogatej epice historycznej XVII wieku. Niedosyć na tem: *Kronika* Strykowskiego wywarła wpływ na naszą powieść historyczną XIX wieku; bez niej nie byłoby np. ani *Astoldy* Mostowskiej, ani, co ważniejsza, *Pojaty* Bernatowicza. A i Mickiewicz, jako autor *Zywiłi*, *Grażyny*, drugiej części *Dziadów* i *Konrada Wallenroda* zawdzięcza niemało *Kronice* Strykowskiego.

★ Obyczaje Litwinów i Żmudzinów. Naprzedniejsze święto u tych poganów bywało, które jeszcze i dziś zachowują na niektórych miejscach w Litwie, w Żmodzi, w Liflandach, w Kurlandach i w ruskich krainach niektórych, na schodzie października miesiąca, gdy już zboże wszystko pożną, zgromadzają i zwożą do gumien, tedy sobie kołacje czynią, na które się wszyscy, czasem ze trzech i ze czterech siół składają i schodzą do jednego domu z żonami, z dziećmi i z sługami. Stół sianem, a indziej obrusem nakryją, na którym chlebów kilka i cztery wielkie sudziny¹ piwa na czterech nogach postawią. Potem przywiodą cielca i cielicę, barana i owcę, kozła i kozę, wieprza i świnie, kura i kurzyce, gąsiora i gęś i insze ku jedzeniu godne dobytki... To wszystko tym obyczajem na ofiarę bogu swemu Ziemiennikowi: biją: naprzód ich wieszczek, ... wymówiwszy modlitwy według zwykłych gustów, poczyną kijem bić którekolwiek zwierzę; potem wszyscy około stojący kijmi tłuką ono bydłę po głowie, po brzuchu, po grzbiecie, po szyi i po nogach, mówiąc: «To tobie, o Ziemienniku, boże nasz, ofiarujemy i czynimy-ć dzięki, żeś nas roku przeszłego dobrze zdrowych w okwitości wszech dóbr, zboża i majątności zachował i szczyił² i od ognia, żelaza, powietrza morowego i wszelkich nieprzyjaciół naszych obronił raczył». To sprawiwszy, onego bydła pobitego mięsa i ptaki warzą, pieką i smażą, a siadłszy za stół, jedzą, ale naprzód każdej potrawy i ptaka sztuczkę, oderżnawszy. ich wieszczek albo czarownik miece pod stół, na piec, pod ławy i w każdy kąt domu, mówiąc: «To tobie, o Ziemienniku, boże nasz! racz ofiary nasze przyjąć, a łaskawie tych potraw pożywać». Także jedzą i piją aż do obżarstwa, onego Ziemiennika za każdą potrawą i trunkiem wzywając, a w trąby długie i żonki, i mężowie huczają. A na tych biesiadach i świętach ich jam często bywał, ... gdzieś się dziwnym pogańskim gustem przypatrzył, bo tam w tych stronach teraz i do tych czasów prawie³ o Bogu mało wiedzą...

A kiedy się już który śmiertelnym czuje, tedy według możliwości, na beczkę albo na dwie piwa każe prosić przyjaciół i wszystkich, co w onem siele mieszkają, których przeprosza i żegna. A oni zaś umarłego w łaźni pięknie wymyją i ubierzą w białą koszulę długą, jako jest obyczaj, a posadzą go na stołku, i piją do niego przyjaciele, temi słowy smętnemi a lamentliwemi mówiąc: «Ja do ciebie piję, miły przyjacielu, i czemuś umarł? a wszak masz swoją miłą małżonkę, dziatki, bydło etc. i wszystkiego dostatek». Potem do niego drugi raz piją na dobrą noc i proszą go, aby raczył na onym świecie pozdrowić ich przyjaciela, ojce, matki, bracią etc., aby też tam z nimi łaskawie i sąsiedzko się obchodził, jako tu oni z nim za żywota. Ubierzą go potem w szaty, a jeśli będzie mąż, przypaszą mu kord albo siekiere, ręcznik też około szyje, w który mu kilka groszy we-

¹ konwie, stągwie.

² szczyić = ochraniać.

³ prawdziwie.

dług możliwości zawiązą na strawę, chleba z solą i konew piwa wstawią w grób. A jeśli niewiastę pogrzebują, tedy jej włożą nici i igłę, aby sobie zaszyła, jeśli sie jej co zedrże na onym świecie, a kiedy ją wiozą do grobu, tedy przyjaciele wszyscy, idąc procesyjną, szermują nożami wzgóre, wielkim głosem wołając: «*Gejgej, begejle Pokkole*», to jest: «Uciekajcie, uciekajcie, precz od tego ciała, wy, djabli!» ★

60. Odrębne stanowisko wśród poetów ostatniej ćwierci XVI w. zajmuje **Sebastjan Klonowicz** (urodzony około roku 1550, zmarły 1602), mieszczanin wielkopolski (z kaliskiego). W młodym wieku osiadł na Rusi Czerwonej, we Lwowie, a później zamieszkał w Lublinie, gdzie, piastując kolejno różne urzędy miejskie, dosłużył się godności burmistrza; przez pewien czas pełnił obowiązki nauczyciela w szkole zamojskiej. Był to człowiek wykształcony, a nawet uczony; znał prawo krajowe i rzymskie; znajomością Pisma świętego i autorów greckich i rzymskich nie ustępował Kochanowskiemu, którego był zapalonym wielbicielem i na którego śmierć napisał trzynaście elegij p. l. *Żale nagrobne*; znał i poetów niemieckich; miał zmysł spostrzegawczy, umysł bardzo ciekawy, wrażliwość na piękno przyrody, dużo dobrej woli i zacne serce, które gorzko płakało na widok wciąż wzmagającego się ucisku ludu i upośledzenia mieszczaństwa. Posiadał nadto ogromną ambicję, i ona to właśnie pobudziła go do działalności literackiej: widząc, jak szlachta zgóry patrzy na mieszczan, postanowił jej pokazać, że i mieszczanin może piórem dzielnie władać, co więcej, że i mieszczanin może być poetą; lecz obok tej ambicji osobistej miał jeszcze inną, patriotyczną: oto pragnął, aby pisma jego wpłynęły na umoralnienie narodu polskiego, aby się jego ukochana ojczyzna stała społeczeństwem chrześcijańskim.

Talentu poetyckiego niepodobna mu odmówić: umiał podchwytywać drobne rysy życia codziennego, zwłaszcza ujemne, i uobrażać je żywo (choć nie tak żywo, jak Rej); czasem zdobywał się na piękny w swojej sile wyraz uczucia, wtedy zwłaszcza, kiedy współczuł krzywdzie ludzkiej i oburzał się na jej sprawców; o tem, co mu się podobało, umiał opowiadać nie bez wdzięku i nie bez humoru; nad formą swoich utworów pracował bardzo pilnie, nie śpiesząc się z ich drukiem. Szkoda jednak, że, podobnie jak Strykowski, przy każdej sposobności lubił się popisować swoją rozległą erudycją, choćby nawet miał odbiec o sto mil od właściwego tematu i popsuć układ utworu. Wogóle zapominał nieraz, że poezja a nauka to nie jedno i to samo; a stąd jego poezja to często wierszowana proza, posiadająca systematyczny i pedantyczny plan, ale rozwlekła i rozepchana przykładami z mitologii i historii starożytnej, oraz przytoczeniami z autorów greckich i rzymskich.

Nie piękność tedy utworów Klonowicza zapewnia mu wybitne stanowisko w literaturze XVI wieku, ale, po pierwsze, ciekawa treść, a po drugie, szlachetna myśl.

Co do treści, to mieszczanin Klonowicz opiewał takie przedmioty, jakich możeby nie tknął, gdyby był szlachcicem, mianowicie życie mieszczan i ludu. A co do myśli szlachetnej, to walczył on z uprzedzeniami swojego wieku, dowodził, że niema szlachectwa bez osobistych zasług, i ujmował się tak gorąco za ludem wiejskim i jego niedolę opisywał tak wymownie, jak nikt w XVI stuleciu. Niedosyć na tem: za przykładem poety greckiego Hezjoda, który ze wszystkich przymiotów człowieka najwyżej cenił praco-

witość i twierdził, że bogowie nie cierpią próżniaków, uczył Klonowicz, że człowiek bez pracy nie jest człowiekiem, że próżniactwo to «poduszka szatańska»; «pracuj do zdechu!» — oto jego hasło. Żaden inny poeta polski przed Norwidem nie miał tak wielkiego nabożeństwa dla pracy, jak Klonowicz. Nie dziw, że podobne i inne jeszcze nauki nie szły w smak wielu czytelnikom: miał Klonowicz za swoje i od szlachty, która krzywem okiem patrzała, że jakiś tam mieszczanin śmie ją uczyć rozumu i piętnować jej zdrożności, i od jezuitów, którzy nie mogli mu darować, że, przy całej swojej prawowierności katolickiej, gromi wady duchowieństwa, a i tęgo jeszcze, że się kuma z protestantami i że nawet jednemu z nich pomógł do napisania ostrej napaści na Towarzystwo Jezusowe.

Cztery są główne utwory wierszowane Klonowicza: dwa łacińskie (*Roxolania* i *Victoria Deorum*) i dwa polskie (*Flis* i *Worek Judaszów*); *Roxolania* i *Flis* to poematy opisowe, a *Victoria Deorum* i *Worek Judaszów* — satyryczno-dydaktyczne.

Roxolania, t. j. *Ruś Czerwona* (1584), to — narówni z *Poematem o żubrze* Hussowskiego — najciekawszy ze wszystkich utworów naszej poezji łacińskiej. Pracował nad nim Klonowicz dziesięć lat. Treść stanowi opis przyrody, miast i ludzi Rusi Czerwonej. Po inwokacji do Muz, które na prośbę poety opuszczają Parnas i odbywają wraz z poetą wędrówkę po Rusi Czerwonej, opisuje Klonowicz najprzód jej granice i gęste lasy, potem zajęcia Rusinów, jako to: wyroby z drzewa, hodowlę bydła, łapanie ptaków na lep, oswajanie niedźwiedzi, bartnictwo, handel skórami i t. d., raz w raz przerywając opowiadanie to wyrazem własnego współczucia względem ludu, to pochwałą miodu, a naganą wódki, to różnemi powiastkami, o tem np., jak Rusin wpadł w głęboką barę i jak się z niej wydostał, łapiąc za nogę niedźwiedzia, który się także na miód w barci ułakomił. To wszystko wypełnia część pierwszą. W drugiej autor opisuje miasta, najszczegółowiej Lwów, Zamość, Kijów i Kamieniec. Lecz najciekawszą jest trzecia, opisująca zwyczaje i obyczaje Rusinów, ich wiarę w czary, różne sztuczki chytrych czarownic, chrzciny i zabawy dziecięce, śmierć i pogrzeb gospodarza Iwana, po którym płacze wynajęta płaczka, i któremu pop kudłaty wkłada do trumny list polecający do św. Piotra i pieniądze, «by Rusin miał czem zapłacić przewoźne, płynąc przez Styks do bogów i gaju elizejskiego». Nawet o piosenkach ludowych nie zapomniał poeta: «Przestań płakać, malutki, — śpiewa matka — bo wrzucę do wody, oddam rybom i potworom wodnym; milcz, radzę, jeśliś mądry! Cicho, dziecino, poniechaj smętnej skargi, bo cię, maleńki, wilki żarłoczne zjedzą! Czy cię czarownica wzrokiem piekielnym urzekła? czy ci członeczki duchem zaraźliwym otchnęła? — bodaj-és sama przepadła za swoim przeklętym, obrzydliwym, zezowatym okiem!» Przed Klonowiczem ani jeden z poetów naszych tak szczegółowo życia ludowego nie opisywał. Jaka szkoda, że *Roxolania* pisana po łacinie! Przełożył ją wprawdzie wierszem Syrokomla, ale niezbyt dokładnie.

Lwów.

Witaj nam, grodzie poważny, a stary!
Miła w twych murach wypocznienia chwilka.
Od ciebie wieje namaszczenie wiary,
A bramy twoje zaparte od wilka¹;

¹ t. j. od heretyka (protestanta).

Nigdy łupieżca haraczu nie bierze
Ze krwi i runa owczarnie¹ tej ziemi;
Bo tutaj mają tron arcypasterze,
Ich czujne oko niełacno zadrzemie...
Lwowie kamienny! nowość cię nie mami,
Nie daj się zachwiać jako wąż ziele!
Wiekować tobie z twojemi basztami,
Z twoim kościołem i krzyżem na czele,
I z twoją górą, co ku niebu idzie...
Lwowie! my ciebie z cześcią pozdrawiamy,
Bo losy świata w twych murach się ważą.
Inny kraj skarby pojedyncze liczy:
Tu wszystkie skarby gromadzą się cudnie;
Bo tu jest ziemia, którą graniczy
Lodowa północ i wrzące południe.
Co rodzi ziemia na północnej osi,
Wiozą moskiewskie telegi² i sanie;
Co pod równikiem natura przynosi,
Tu idzie lądem i po oceanie.
Nad twemi dachy złoty obłok płynie,
Wieżycę mglistą owionioną szatą;
Zda się w niebiosach te wszystkie świątynie,
Co tak ozdobne świetnie i bogato³.

★ **Śmierć Rusina** (w skróceniu). Gdy martwemi ustami ostatnie uleci tchnienie, i ciepło życiowe opuści zimne członki, wnet zjawia się baba, która za pieniądze powtarza wyuczone lamenty i na zawołanie oplakuje śmierć nieswojego męża; lży przedaźne wyciska z oczów, którym się nie chce płakać, i jęki żalosse zmyśla frasobliwa baba...: «Ach, umarłeś, mężu, umarłeś, najwierniejszy mężu! pójdiesz na wieczne pokoje, aby nigdy nie wrócić! Kto rządzić będzie domem owdowiałym? kto dziatkom moim rozkazywać? kto pola tłuste po twej śmierci orać? kto bydło paść? kto miód podbierać? kto koszyki pleść na sereczki moje? Dziw, że umarłeś, szaleńcze! czy ci brakowało czego? czy ci za życia przykry głód doskwierał? Toć ogród rodzi, toć rodzi obficie i rola, toć i komora pełna! W oborze stoi siedem par ciołków, godnych już do roboty, pięćdziesięcioro cieląt, nie tkniętych jeszcze jarzmem; dwadzieścia krów wieczorem i w południe powraca z pastwiska do udoju!... Ach, umarłeś, mężu, umarłeś, najwierniejszy mężu, pójdiesz na wieczne pokoje, aby nigdy nie wrócić! Któż mnie teraz, sierotę, pieścić, kto ścisnąć będzie? Zaprawdę, tylko mi już zawsze płakać po tobie: bez ciebie, mężu, żadnej mi słodyczy nie zaznać!...» Tymczasem gromadzą się przyjaciele nieboszczyka (zwłaszcza, gdy człek był bogaty) i wołają kudłatego popa, by albo list napisał, albo pieśń w tych słowach odśpiewał: «Pietrze! Tobie Chrystus wszechmogący dał klucze od Olimpu, klucznikiem niebieskim cię mianował; ty zamykasz i otwierasz wnętrza niebieskie, ty strzeżesz podwojów i świątych chramów bożych! Oto nasz Iwan, wykreślony

¹ Syrokomla w swoich przekładach poetów polsko-łacińskich nieraz posługiwał się formami archaicznymi. ² wozy. ³ Przekład Syrokomli.

z rejestru żyjących, już do was wybrał się w drogę; człeczysko dobre, ojców swoich cześć dla cerkwi święcie zachował, wiary greckiej się nie zaparł. Wiedźże, Pietrze, że to on właśnie przychodzi, przyjmij go do nieba, racz mu otworzyć w swej sprawiedliwości! Teraz, gdy leci do bogów, mknąc drogą napowietrzną, niechże się z łaski twojej, Pietrze, szczęśliwie do nieba dostanie! Ześlij Iwanowi na drogę wiatry pomyślne, wesprzyj go, Pietrze, swoją opieką! Za życia bowiem, Pietrze, on czcił cię wielce i zawsze łaskę twą zaskarbiał: na cześć twoją, Pietrze, pobożnie długie obchodził posty, nigdy zakazanych potraw nie tykając; więc, gdy przyjdzie Iwan i zapuka do bram Olimpu, gdy nowy gość przybędzie do waszych podwojów, gdy się nieśmiałym głosem odezwie, nie bądź trwożliwemu srogim odźwiernym, spytaj go łagodnie o imię i wysłuchaj łaskawie jego odpowiedzi; nie byłci on mówcą, tylko pracowitym rolnikiem, więc nie bądź surowym sędzią jego słów drżących; to-ć i ty, Pietrze, nie byleś mówcą, tylko sieci w fale miotałeś...; więc pokochaj, rybaku, rolnika, łączą was dwa węzły wspólne: prostota i sam Chrystus!...» Nadto kapłan daje zmarłemu Rusinowi pieniądze, by mógł lepiej przebyć tak długą drogę i miał czem zapłacić przewoźne, płynąc przez Styks do bogów i gaju elizejskiego...¹★

**Apostrofa do
panów i urzęd-
ników².**

A wy, ojcowie ludu, którym naród cały
Posłuszny wielkich fortun pomnaża dostatki,
Rzekomo z niebios woli i dla boskiej chwały
Niesie mienia i pracy poddańczej ostatki,
Wy, ze starych szpargałów wyroki nieprawne
Wywłócząc, nową krzywdą przewyższacie dawne!
Z waszej łaski urzędnik o sercu z kamienia
Gorzej pjawki się przypiął do chłopskiego mienia
I do kropli ostatniej, co jeszcze dziś płynie,
Wysysa krew biedaka!... Jako lew zgłodniały
W wściekłym gniewie, wypadłszy z libijskiej pustyni,
Szarpie jagnię bezbronne, tak ten tłum zdziczały
Nad wieśniakiem się pastwi aż do szpiku kości,
Depcąc prawa przepisy, nie znając litości.
Nie wzruszysz go, byś płakał i łzami krwawemi:
Skóręby zdarł z wieśniaka, co schodzi z tej ziemi;
Tak, zajeździwszy konia właściciel lub osła,
Łupi skórę, która go tyle razy niosła!...
Nie baczy twardy dziedzic na boleść głęboką,
Na chłopskiej widną twarzy; nie baczy, że skóra,
Skurczona głodem, kości jedyną powłoką,
Że to szkielet, nie człowiek, i śmierci figura,
Której dawno odbiegły i siła, i życie!...
Napróżno z jego oczu płyną lzy gorące,
Po licach gorzkie krople toczą się obficie,
I próżne te westchnienia, pierś rozrywające:
Nie pojmie, co to prośba, ni co litość święta!²

¹ Przekład autora tej książki.
niego Kanteckiego.

² urzędnik = ekonom.

³ Przekład Anto-

Mniejszą wartość od łacińskiej *Roxolanji* posiada poemat polski, piśniany (może na wzór *Gońca cnoty* Strykowskiego) strofą saficką: *Flis, to jest spuszczenie statków Wisłą i inszemi rzekami, do niej przypadającemi* (1598). Poszedł tutaj Klonowicz śladami poety rzymskiego Auzonjusza, autora poematu *Mosella*: jak Anzonjusz opisał Mozellę i jej brzegi, tak Klonowicz, pragnąc, jak mówi, «poczciwość wyrządzić rzece ojczystej, a matce wód sarmackich», napisał coś pośredniego między poematem opisowo-podróżniczo-dydaktycznym a przewodnikiem i poradnikiem dla kupców, spławiających z flisakami zboże do Gdańska. Klonowicz nie lubił żeglugi, myślał sobie bowiem, że Pan Bóg, zaprowadzając ład wśród pierwotnego chaosu, poto dał człowiekowi na mieszkanie ziemię, a nie wodę, żeby się nie włóczył, licho wie na co, po wodach, ale żeby poprzestawał na ziemi, której owoców starczy na jego wyżywienie; zwłaszcza Polak (rozumuje Klonowicz, który, przy całej swojej zachości i uczoności znał się na polityce jak koza na pieprzu) powinienby o tem pamiętać, bo «miła Polska na żyznym zagonie — zasiała, jako u Boga na łonie; — może nie wiedzieć Polak, co to morze, — gdy pilnie orze»; cóż z tego, kiedy Polak jest chciwy i lubi żeglować, by sprzedać zboże i nakupić sobie różnych towarów zamorskich w Gdańsku (któryby raczej «Chłamskiem» nazwać trzeba, bo pochłania majątki Polaków!). Postanowił tedy Klonowicz nauczyć Polaka, jak ma do Gdańska płynąć, i wpakował w swój poemat wszystko, co tylko wiedział o żegludze bądź z autorów starożytnych, bądź z własnego doświadczenia, sam bowiem odbył raz podróż z flisakami do Gdańska.

Poezji niewiele znajdzie we *Flisie*, ale jego treść jest wcale ciekawa. Wprawdzie Klonowicz, chcąc się pochwalić swą uczonością przed czytelnikiem, najniepotrzebniej w świecie wyklada mu całą historję żeglugi, od Noego i Argonautów aż do odkrycia Ameryki; przytacza mu podania mitologiczne, np. o Ikarze; częstuje go morałami, suchym opisem Wisły i jej brzegów od «warszawskiego — aż do Zielonego mostu gdańskiego», wylizaniem nadbrzeżnych miast wsi, oraz kęp, tam, dopływów: ale zato ciekawe są wiadomości o obyczajach i gwarze flisaków (którzy np. mgłę nazywają mamką, wiatr — stryjem, wronę — ciotuchną, bociana — księdzem Wojciechem), o budowie tratw, promów i szkut, o chytrych kupcach w Gdańsku, o tem, jak zabawnie Niemcy gdańscy trzepią po łacinie («aż mi grzmi we łbie ta łacina skoczna!») i t. d. Są także i «żarty», które, jak zapewnia autor, «osłodzą» czytelnikowi poważną treść, np. bajka Ezopa o tem, jak, wybierając się razem w podróż, nietoperz wziął pożyczone pieniądze, nurek (ptak) — pożyczone klejnoty, a krzak jeżynowy nabrał sukna na kredyt; ale okręt się rozbił, i cały towar poszedł na dno: dlatego to nietoperz, bojąc się wierzycieli, pokazuje się tylko w nocy, nurek, szukając klejnotów, nie opuszcza wody, a krzak jeżynowy, «wetując swej straty, — hamuje ludzi, chwytając ich za szaty». Ale ciekawszym jest inny «żart» — polskie podanie flisackie, wyjaśniające poetycznie, dlaczego koryto Wisły rozdwa się pod Gniewem (na Pomorzu):

Dwa bracia z siostrą w drogę się wybrali:
Z Litwy — Niemen, Bug — z Wołynia zuchwały,
I Narew bystra, jako siostra starsza,
Przyszła z Podlasza.

Wziąwszy przymierze bez gniewu i trwogi,
Zażyła sobie przyjacielskiej drogi
W małym orszaku, co więc nie nowina:

Zgodna rodzina!

Potem lepszego bytu chcieli użyć:
Zachciało się im u królowej służyć,
Co do niej płyną ze wszech stron poprzeki¹
Sarmackie rzeki.

Przystali tedy do Nowogodworu
Narew i z bracią, puściwszy się toru,
I tak służyli Wandzie Krakusowej,
Jako królowej.

Czując do siebie Narew śliczną gładkość,
Czując też w braci siłę i też wartość,
Chciała być równa w rodzaju, w urodzie,
Wandalskiej wodzie.

Pani, śliczności i domem chwalebna,
Nie chcąc być tańszą, niż panna służebna,
Wyzwała Narew, chcąc ją wywieść z błędu,
Pozwem do sądu.

Na którym² zasiadł strumień nieujęty³,
Do tego wolnie z obu stron przyjęty, —
Ów, co u Gniewu swemi wroty wpada,
Wisłę roz bada.

Sędzia roztropny puścił przed się strony
I zagał sąd tuż u samej brony⁴.
Szła para panien, każda z nich osobna⁵,
Gwiazdzie podobna.

I długo myślił, niż wszystkie przymioty
Wybaczył w obu i wrodzone cnoty;
Chwilę tak okiem poglądał na obie
Czujnem osobie⁶.

Upatrzył sędzia, iż nad księżnę owa
Osobliwszego coś miała królowa,
Jako nad leśne Nimfy ma Dyjana,
Złotem ubrana.

A także zatem wnet uczynił wyrok,
Jako sumnienie świadczyło i też wzrok:
Skazał, iż gładsza królowa, rzecz ista⁷.
Niżli służbista.

Narew i z bracią wnet się rozgniewała,
A inszą drogą płynąć się wezbrała:
Więc miejsce sądu na brzegu na lewem
Nazwano Gniewem.

¹ poprzek. ² na tym sądzie. ³ nieprzekupiony; jest to strumień Wierzyca. ⁴ brama. ⁵ śliczny. ⁶ obie osobie — liczba podwójna. ⁷ pewny, prawdziwy.

61. Poematy satyryczno-dydaktyczne Klonowicza wypłynęły z jego zacnej chęci umoralniania społeczeństwa, osobliwie zaś młodzieży, której wychowanie żywo go obchodziło, dla której tłumaczył z łaciny wierszyki moralne i ułożył krótki wierszowany podręcznik historii ojczyznej. Otóż, pragnąc pouczyć rodziców, w jakim duchu dzieci wychowywać należy, napisał olbrzymi, składający się blisko z 20.000 wierszy poemat, nad którym długie lata pracował, p. t. *Victoria Deorum, in qua continetur veri herois educatio, 1587 (Zwycięstwo bogów, w którym się mieści prawdziwego bohatera wychowanie)*. Właściwie mówiąc, to nie poemat, tylko traktat naukowy, w który autor wtłoczył niezliczone mnóstwo wiadomości z dziedziny historii starożytnej i mitologii, nauki wychowania i moralności, medycyny i nauk przyrodniczych, gospodarstwa i sztuki kulinarnej i t. d. — słowem, całą niemal swą rozległą wiedzę. Jeden z czterdziestu czterech długich rozdziałów poematu opisuje walkę gigantów z bogami, która się skończyła zwycięstwem bogów. Lecz to zwycięstwo pojmował Klonowicz alegorycznie: przez «bogów» rozumiał królów (których Pismo święte zowie «bogami ziemskimi»), za godnych zaś nazwy króla poczytywał jedynie tych, którzy są «prawdziwymi bohaterami», a bohaterstwo było w jego oczach jednoznaczne z prawdziwą wielkością ducha, t. j. z cnotą. Zwycięstwo więc bogów nad gigantami oznacza zwycięstwo cnoty, heroizmu nad występkiem, nad złością ludzką: stąd tytuł poematu, w którym zacny autor chciał pouczać, jak należy wychowywać ludzi (a zwłaszcza Polaków) na bohaterów, na prawdziwych królów, t. j. na ludzi cnotliwych i wielkodusznych. Prawdziwe szlachectwo, uczy Klonowicz, polega nie na «szlachetnem urodzeniu», nie na bogactwie, nie na potędze, nie na piękności, tylko wyłącznie na cnotcie; «szlachectwo niczem innem nie jest, tylko służbą cnotcie». Cnota jest «matką szlachectwa nowego i wskrzesicielką utraconego»; głównymi środkami do nabycia cnoty, a zatem szlachectwa, są nauka i praca; najpiękniejszą ozdobą szlachectwa jest niewątpliwie służba rycerska, ale i uczciwe rzemiosło nie hańbi człowieka. Oto czego uczy Klonowicz, pragnąc, aby w tym właśnie duchu rodzice wychowywali synów, jeżeli chcą, żeby wyrosli na prawdziwych «bohaterów». Jego poemat jest rozwlekły, przeladowany wiedzą, poszczególne części nie trzymają się kupy — to prawda; ale myśl przewodnia jest piękna, słuszna i chlubnie świadczy o zacności, rozumie i odwadze cywilnej autora, który, chociaż doskonale wiedział, że się narazi szlachcie, rozkochanej w herbach, gardzącej mieszczańinem i chłopem i poczytującej rzemiosło za zajęcie «sprośne a smrodliwe» (jak się wyraził Orzechowski), nie wahał się jednak otwarcie swych poglądów na szlachectwo wypowiedzieć, i to bez porównania obszerniej, niż Strykowski w *Gońcu cnoty*; nagromadził wszelkie możliwe dowody i rozumowania, swoje i cudze, oraz niezliczony szereg przykładów historycznych; nikt w XVI wieku nie napracował się nad tym przedmiotem tyle, co on.

Niedosyc na tem. *Zwycięstwo bogów* obfituje w mnóstwo wycieczek satyrycznych. Zarzuca Klonowicz duchowieństwu niemoralność, szlachcie prywatę, swawolę, zbytki, ale szczególnie ucisk ludu. Rzewna i wymowna jest skarga, którą wkłada autor w usta chłopca, uciskanego przez pana: «Jeśliś jest moim bratem; jeśli wraz ze mną przystępujesz do Stołu Pańskiego; jeśliś mnie nie wziął na wojnie w niewolę; jeśliś mnie nie kupił; jeśli tu, na tej ziemi, żyli moi przodkowie; jeśli i ja tutaj ujrzał światło dzienne; jeśli tu po raz pierwszy odetchnął powietrzem: to czemu mnie dręczysz

i męczysz?...» «Ty wszystkich, Jezu Chryste, wzywasz ku sobie, którzy pracują, którzy, jęcząc, uginają się pod brzemieniem trudów!...» «Biedny chłop zawsze w nędzy, w udręczeniu, ciężko dyszy, drży, pragnie, łaknie, cierpi, potnieje, dźwiga brzemień ciężkie, skarży się, pracuje dzień i noc, — a wszystko to dla niewdzięcznego pana: jego to zyski mając na celu, oglupia swój własny umysł, piecze się na upale i dygoce podczas wichrów zimowych i śniegów, moknie na deszczu, zamęcza pachołków i bydłęta, wczasowi sen kradnie». Wybucho Klonowicz potężnem oburzeniem na złych panów, «którzy wysysają żyły ludu do szpiku kości, sądząc, że dla ich żołądków wszystko tu na świecie, że dla nich samych tylko zasiewa się pola, złote chwieją się zboża, stalki prują przestworze, płodzą się w wodzie ryby, że dla nich samych zwierzą się poprzez gąszcze błąka, że dla nich tylko pod niebem lotne trzepoce się ptactwo, że o nich tylko troszczą się nieba, a reszta wzdardzona, że zasnął Bóg i przepomniał małych. Lecz, śmiertelni, lękajcie się... pomsty bożej!... Potopem skarani, dawni zginęli Giganci!... Już grzmi trąba, już powietrzem głos złowrogi wstrząsa, wszystko zniszczy ogień, a Bóg zrówna góry i głębokie doły». W całej literaturze staropolskiej mało się znajduje słów równie wymownych i szlachetnych.

Jak *Zwycięstwo bogów*, tak i *Worek Judaszów* (1600) pisał Klonowicz z myślą o «poprawie obyczajów ludzkich, a zwłaszcza ludzi młodych», aby, «oprzykrzywszy sobie sprawy i chytryści judaszowskie, udali się do sprawiedliwych i uczciwych dróg i obyczajów szukania żywności». W tym celu nie szczędzi czytelnikowi długich nauk i morałów, obrzydza mu próżniactwo, jako źródło wszystkiego złego, a pragnąc go odstraszyć od oszustwa i kradzieży, poucza, jak srogiej karze podlegał złodziej w starożytności, i jak surowo karze go prawo polskie, jak okropnie męczy się złodziej na torturach, jak czasem ludzie spełniają nad nim sądy doraźne. Ale główną treścią poematu jest szczegółowy opis «spraw i chytryści judaszowskich» to jest charakterystyka różnego rodzaju złodziejów i oszustów, z którymi Klonowicz, jako sędzia miejski i burmistrz, miał często do czynienia i których różnorodne zbrodnie i sztuczki znał dokładnie.

Tytuł poematu pochodzi stąd, że, według jakiegoś podania, Judasz miał worek, zszyły z czterech skór: wilczej, lisiej, rysiej i lwiej; a ponieważ Judasz był największym łotrem i złodziejem, jakiego ziemia nosiła, więc ów jego worek to alegorja wszystkich wogóle złodziejstw. Poemat więc składa się z czterech części.

W pierwszej, t. j. w skórze wilczej, opisuje Klonowicz zwykłych złodziejów i rabusiów, którzy, jak wilk, kradną cudze mienie, jako to: świętokradców, «pszczołolupców», złodziejów bydła nad Dniestrem, Cyganów, Tatarów, złodziejów dobra pospolitego i łapowników, «Martahuzów», t. j. wyrodków, zaprzędających ludzi w niewolę turecką i t. d.

W części drugiej (skóra lisia) mieszczą się ci, którzy przywłaszczają sobie cudze mienie «proszą, pochlebstwem albo też zmyślonem nabożeństwem», a więc wogóle oszuści i wydrwigrosze, wyłudający np. od prostych ludzi pieniądze pod płaszczykiem składek dobroczynnych albo pielgrzymek pobożnych.

W skórze rysią (część trzecia) zaszył Klonowicz tych oszustów, co to usiłują swoim postępkiem nadać pozory prawa; są tu więc np. podstępni kupcy, którzy używają fałszywych wag i miar, a tłumaczą się, że przecie oni nie zmuszają nikogo, by u nich kupował; gracze, ogrywający roznamięt-

nionego przeciwnika; lichwiarze, którzy usprawiedliwiają swe haniebne rzemiosło tem, że przecie i rolnicy biorą lichwę od ziemi, która «daje za trochę ziarn posianych — gumna jako gaje».

Część czwarta nakoniec (skóra lwia) składa się zaledwie z kilku wierszy; zamierzał w niej zapewne Klonowicz napiętnować jawne rozboje i gwałty, jakich się dopuszczali możnowładcy: ale, powiada, «strach o tej skórze pisać: bo ta groźba strachem — narabia, iż tak mówić mam prostym odmachem; — więc mam li o niej pisać, namyśle się zatem; — bym się zaś nie uprzykrzył Judaszom zębatym»: bał się zemsty magnatów!

Wartość i znaczenie *Worka Judaszowego* polega na tem, że sporo w nim żywych obrazków i dobitnych wizerunków, wziętych wprost z życia miast i wsi polskich; jest tu np. obraz kłopotów burmistrza, dobrze Klonowiczowi znanych; jest jaskrawy opis tortur w sądach miejskich; ale nadewszystko jest dosadna charakterystyka oszustów, złodziejów i wogóle wszelkiego rodzaju mętów społecznych, w jakie za czasów Klonowicza obfitowały szczególniejsze ziemie ruskie; wreszcie i tutaj nie zapomniał autor o tem, co mu zawsze najbardziej na sercu leżało — poskarżyć się na ucisk ludu wiejskiego.

**Oszust
i wyzyski-
wacz ludu.**

Przędzie sobie postawę¹, żebrze płaskim głosem,
Włóczy się po jarmarkach z judaszowym trzosem;
Nosi puszkę żelazną, dzwonek mosiądzowy,
Prosi rzkomo² na szpital i na kościół nowy;
Prosi, chytry nieborak, na jakiego świętka³,
Chocia z tamtej jałmużny nie da mu i szczątka.
Czasem zmyśli na błoniu i w boru zjawienie
I ślubuje prostakom za pewne zbawienie:
«Widziałem — pry⁴ — pod lasem miłą Matkę Bożą!
(A baby sie, słuchając onych baśni, trwożą).
«Wielka światłość wynikła w choinowym borku,
«Na pieńku nowociętym, na cudnym pagórku!»
Więc on niezbędny⁵ oszust twierdzi za rzecz istą,
Że widział własnem okiem Dziewicę Przczystą,
Która mu rozkazała chwałę bożą mnożyć
I tam, na onem miejscu, kościółek założyć.
Więc plecie, bredzi, mata i na on kościółek
Nawyludza powalek⁶, pieniędzy, gomólek.
I dobrze mu wychodzi matanina ona:
Idzie mu chleb w kobiałkę i w puszkę mamona.
Więc też chudzi kleszkowie i książkowie⁷ prości,
Widząc, iż tak przybywa do zjawienia gości,
Opuszczają więc podczas i⁸ kościół swój stary:
Przenoszą się na odpust do lasa od fary;
Udają się za chlebem, za ofiarą głupią:
Kury, jajca, szelągi, kukle⁹, świeczki lupią.
Pomagają prostakom po staremu błędzić,

¹ prząść postawę = robić minę (nieszczęśliwą). ² rzkomo, nibyto. ³ świętek = święty, obraz świętego. ⁴ prawi, mówi. ⁵ wstrętny. ⁶ powalka = bochenek. ⁷ książek = księżyna. ⁸ czasem nawet. ⁹ kukla = bochenek, kołacz.

Nie umieją ubogich ludków dobrze rządzić,
Ślepi wodzowie ślepych, i wpadną pospołu,
Mistrzowie i uczniowie, do jednego dołu...

Odbieży białagłowa krosien i kądziele,
Nie opatrzy dobytką, marchwi nie wypiele,
Tak, nieboga, samopas puści gospodarstwo;
Już jej zawsze na myśli będzie ono łgarstwo.
Wlecze się do zjawienia, tuszy: «Będę w niebie,
«Jeśli pójdę do boru o zebranych chlebie».
Więc, co by jałmużnę dać swoją, żebrze cudzej;
Jej przykładem prostacy czynią to i drudzy.
Więc też za nią gospodarz wlecze się i sługa,
Odbieżawszy koników i wołków, i pluga;
Bez pozwolenia starszych po świecie się krążą,
Boże męki na polach powrósłami wiążą,
Kładą kije na kupę, głaze¹ na kamionki²,
Wiją kiczki³ z brzeziny mężowie i żonki.
Idą — nikt im nie kazał — na niepoświęcane
Miejsce i które nie jest przywilejowane,
A on isty bałamut ze dzwonkiem i z puszką
Żywie na tę leż⁴ dobrze i z swą panią duszką⁵;
Więc się w onej świątyni kościelnym obierze,
Wierutny lotr, co gmerze w onej tam ofercie,
Co w kazanie potrząsa po kościele owym
Na kiju zawieszonym workiem judaszowym
I mówi: «Wspomagajcie na nowy dom boży,
«Pan Bóg mu to zapłaci, kto w mieszek co włoży!»
Dopieroż się do moszen⁶ prostaczkowie mają:
Na kościelny budynek hojną ręką dają,
I tak wiele pieniędzy bierze on chorąży,
Że każdemu «Bóg zapłać» mówić nie nadąży.
Wszedłszy do zakrystyjej, rachuje się z onym,
Co nań prosił, nowego kościoła patronem:
«Odpuść mi, święty miły, miej lutość nade mną!
«Staszek robił, Staszek je — nie brząkałeś ze mną!»
Myk-że do swej kalety z tą świętą zdobyczą!
A tak chłop liczy grosze, mili święci milczą.

**Dola
mieca.**

...Kmiotaszek ubogi ustawnie do dwora
Robi sobą i bydłem aż do wieczora,
Karmi się ustawiczną biedą i kłopotem,
Cierpi kuny⁷, biskupy⁸, korbacze⁹, gąsiory¹⁰,
Osoczniki¹¹ pochlebce, podatki, pobory
I pany furyjaty, opile tyrany,

¹ głaza = głaz. ² kamionka = kupa kamieni. ³ kiczka = powrósło (z ga-
łązek). ⁴ kłamstwo. ⁵ żonka. ⁶ moszna = sakiewka. ⁷ kuna, kunica =
słup z kółkiem żelaznym, które wkładano na rękę lub na szyję winowajcom —
pręgierz. ⁸ jakiś rodzaj kary. ⁹ bicz rzemieenny. ¹⁰ dyby. ¹¹ oskarżyciel;
Klonowicz ma tu na myśli ekonomów, którzy chłopów przed panem skarżą.

Pyszne, chciwe, wszeteczne, gorsze, niż pogany.
 Ach! biednaż jego lichwa¹: dobrze to zapienia²,
 Co mu Bóg da z wiecznego swego opatrzenia!
 Chocia sie Bóg rozgniewa na pieszczone pany,
 Musi ten gniew odnosić na sobie poddany.
 Przyjmie wszystko za dobre, co przyniesie rola,
 Mówi z pokorą: «Niech sie dzieje boża wola!»
 Chocia grady potłuką, choć susza zaszkodzi,
 Chocia zboże wymoknie dla długiej powodzi,
 Chocia spasię zły sąsiad, ostatek ukradnie, —
 Wszystko tego oracz ożaluje³ snadnie.
 Kiedy chybią ogrody, więc do lasu na gier⁴,
 Jeśli pola szwankują, do dąbrowy na żer.
 Nie szemrze, nie swarzy sie i z ziemią, i z Bogiem,
 Żywi sie, nieboraczek, bardzo niskim brogiem⁵.
 Więc musi czekać lata i słusznego żniwa,
 Bo zimie⁶ nie będzie żał: zamarza mu niwa,
 Z tej też lichwy oddaje księdzu dziesięcinę,
 Snopki, meszne⁷ i pobór, czynsze, pańską winę⁸,
 Stądże suknią, konika kupić, krówkę, wołku,
 Stąd jałmużnę dziadowi, obuwie pacholku.

62. Jedną z najznamienniejszych cech literatury naszej wieku złotego jest mądry i szlachetny duch obywatelski, który bije z pism i Modrzewskiego, i Górnickiego, i Kochanowskiego, i Klonowicza. Wszyscy, sami kochając Polskę, chcą wpoić jej miłość w serca współbraci, wskazują im drogę do służby ojczyźnie, piętnują prywatę, uczą, upominają, karzą, proszą, zaklinają, grożą. Nie pomagało nic: za panowania Zygmunta III wzrastała prywatą, szerzyła się swawola, krzewiła się niezgoda, wzmagała anarchja. Wtedy to ukazał się w Polsce człowiek gorące serca i bystrego rozumu, wielki patrijota i znakomity pisarz, który postanowił raz jeszcze zakłąć naród do poprawy i miłości — w imię Boga. Człowiekiem tym był największy kaznodzieja polski, **Piotr Skarga** (1536—1612), jezuita, autor nieśmiertelnych *Kazań sejmowych*.

Urodził się w Grójcu (o sześć mil od Warszawy). Pochodził z rodziny drobnomieszczańskiej, z czego nieraz drwiła sobie szlachta, wściekając się z gniewu, że jakiś tam «łycezek» z pod ciemnej gwiazdy chce ją uczyć rozumem. Wcześniej osierocony przez rodziców, wychowywał się Skarga pod opieką starszego brata; uczył się w parafjalnej szkole grójeckiej, a potem w Akademji Krakowskiej. Po ukończeniu nauk osiadł w Warszawie, jako rektor szkoły parafjalnej. Ale niebawem Jędrzej Tęczyński, kasztelan krakowski, wziął go na swój dwór i powierzył mu wychowanie swego syna, z którym po pewnym czasie pojechał Skarga do Wiednia. Dopiero po powrocie do kraju, idąc za głosem serca, przyjął święcenia kapłańskie. Teraz to zaczęła się jego działalność, najprzód we Lwowie, gdzie zajaśniał zarówno kazaniami, jak świętymi czynami miłosierdzia względem chorych, ubogich

¹ procent, zysk (z gospodarstwa). ² w pocie czoła zarabiać. ³ odżalować, przeboleć. ⁴ gier, girz = ziele leśne. ⁵ t. j. bróg chłopca jest niziutki, nie wypchany zbożem wysoko. ⁶ miejscownik = w zimie. ⁷ opłata za mszę, ⁸ kara pieniężna.

i więźniów; a jednocześnie przystąpił do czynu, który poczytywał za swój święty obowiązek: do nawracania protestantów na katolicyzm. Lecz kapłaństwo świeckie nie na długo mu wystarczyło: postanowił wstąpić do zakonu, którego głównym zadaniem była właśnie walka z różnowierstwem; wyjechał więc do Rzymu i wstąpił do zakonu jezuitów. Na rok przed śmiercią Zygmunta Augusta powrócił do Polski i nanowo rozpoczął swą działalność, tylko już bez porównania szerszą. Po krótkim pobycie w Pułtusku i Jarosławiu, przybył do Wilna, gdzie, obok czynów miłości chrześcijańskiej, wnet zasłynął niebywałą przedtem w Polsce potęgą wymowy, która całe tłumy do kościołów ściągała; wielu innowierców skłonił do przyjęcia wiary katolickiej, a w ich liczbie synów gorliwego kalwina, Mikołaja Radziwiłła Czarnego, oraz sześćdziesięciu siedmiu ministrów protestanckich: niedarmo nazywano go tyranem dusz ludzkich! Kiedy Batory podniósł szkołę jezuicką do godności akademii (1578), on był jej pierwszym rektorem; jednocześnie, na wezwanie króla, który go wyróżniał szczególnymi względami, zakładał i urządził szkoły jezuickie w świeżo odzyskanym Połocku i Inflantach. Po jedenastoletnim pobycie na Litwie przełożeni odwołali go do Krakowa. Tutaj, pomiędzy innymi czynami, założył Bractwo miłosierdzia, oraz Bank pobożny, którego zadaniem było wrywać biedaków ze szpon lichwiarzy.

Tymczasem umarł Batory. Na tron wstąpił Zygmunt III, którego jeszcze w Szwecji dochodziły wieści o wymowie i świętości Skargi; to też już w styczniu r. 1588 powołał go na kaznodzieję nadwornego, które to obowiązki pełnił Skarga przez lat dwadzieścia trzy, najprzód w Krakowie, a potem w Warszawie, dokąd król Zygmunt przeniósł stolicę. Teraz dopiero stanął Skarga na szczycie sławy, teraz dopiero wystąpił, jako «poseł, ale nie z jednego powiatu», to znaczy, jako poseł, nie przez ludzi wybrany, lecz posłany przez Boga, od którego, jak sam mówi, objawienia nie miał, ale miał poselstwo do narodu, aby go nawoływać do poprawy. Poselstwo to pełnił nadewszystko w swoich «kazaniach sejmowych» z niesłychaną nigdy jeszcze w Polsce odwagą cywilną piętnując grzechy narodu względem matki-ojczyzny, wzywając go do pokuty i upamiętania, przepowiadając mu w słowach, pełnych grozy, upadek Polski, jeśli się nie poprawi. Niedosyć na tem. Jeździł na synod brzeski (1596), którego był duszą i na którym przy jego współudziale stała unja religijna. Kiedy zaś wybuchł rokosz Zebrzydowskiego, usiłował buntowników pogodzić z królem. A czynów miłosierdzia, dokonanych na stanowisku kaznodziei królewskiego, nikt nie zliczy. Zakładał po miastach Bractwa miłosierdzia, przytułki dla żebraków i szpitale, był ojcem biednych i nieszczęśliwych.

Wreszcie w r. 1611 siedemdziesięciopięcioletni starzec, zmęczony pracą, zapragnął spokoju: więc prosił króla, by go zwolnił od obowiązków, «prosił — jak mówi słynny kaznodzieja XVII wieku, Birkowski — aby winy jego były mu odpuszczone; lamentował, iż był sługą niepożytecznym na tem miejscu, którego się być niegodnym w głos opowiadał; uczynił to kazanie, które było jako pieśń łabęciowa z takim afektem, iż król Jegomość i dwór jego i drudzy słuchacze łzami się zalewali». Opuścił Skarga Warszawę i osiadł w Krakowie, gdzie niebawem świętego żywota dokonał. Pochowany w kościele św. Piotra w Krakowie.

63. Całe życie Skargi śmiało można nazwać jedną wielką służbą Bogu i ojczyźnie. Do służby tej zaprzęgił on wszystkie nieprzebrane zasoby swojej

bogatej duszy, mieszkającej w zdrowym ciele. Pełen sił fizycznych, miał jednocześnie, jak na Mazura przystało, żywy, bujny, gorący temperament, który go nieraz ponosił, a który szukał sobie ujścia w ciągłej pracy, i to nie w ciasnym kółku zakonnem, lecz na szerokiej arenie działalności kaznodziejskiej i pisarskiej, społecznej i politycznej. Stąd miał on nieprzewyciężony wstręt już nietylko do wszelkiego rodzaju próżniaków, ale i do tych wszystkich, co pracują wolno, i do flegmatyków, to jest, jak mawiał, do «ludzi bez gniewu i gorącości», którzy nie są «ani ciepłi, ani zimni, ale rozmokli», którzy, «jako zmokła kokosz, tak się ruszają». Jemu samemu roboty paliła się w rękach, a pracować mógł i umiał, jak mało kto, posiadał bowiem żelazną wolę i upór, dochodzący aż do zaciętości: kiedy sobie powiedział, że coś zrobi, to, choćby z nieba pioruny były, choćby na ziemi ludzie ciskali mu kamienie pod nogi, robił i zrobił.

Lecz nie sam bujny temperament wprawiał w ruch wolę Skarga, ale i rozum, a nadewszystko — serce.

Miał Skarga umysł niekoniecznie głęboki, mało filozoficzny, ale trzeźwy, zdolny, umiejący myśleć logicznie i systematycznie, a do tego żądny wiedzy: był czytany nietylko w Piśmie świętem, oraz w literaturze moralno-religijnej, ale i w dziełach historycznych; przytomność umysłu miał ogromną, zdrowy rozsądek i zmysł organizacyjny — wielki. Wogóle był to umysł bardzo praktyczny.

A serce płonęło wiarą i miłością. Wierzył Skarga niezachwianie we wszystko, w co Kościół katolicki każe wierzyć: «Mnie wiara jest widzeniem i za wszystkie mi z rozumu i zmysłów wywody stoi» — oto jego własne wyznanie. W żywym ogniu tej wiary roztopiały się wszystkie wątpliwości: nieraz bał się Skarga wniosków własnej myśli, więc dusił je wysiłkiem woli, ilekroć spostrzegł, że się one kłócą z wiarą; równie mocno trzymał na wodzy swoje, choćby najszlachetniejsze, popędy, ilekroć się one sprzeczały z twardemi, nieubłaganemi nakazami jezuickiej reguły zakonnej, poczytującej ślepe, psie posłuszeństwo zwierzchności za wielką cnotę. Jak żywa była wiara Skarga, o tem świadczy, pomiędzy innemi, to, że czasem, wśród cizy klasztornej, miewał (przy pomocy bujnej fantazji) halucynacje wzrokowe i słuchowe: ukazywali mu się np. umarli, przychodzili doń i święci z krainy wiekuistej szczęśliwości; raz, w dzień świętej Cecylii, słyszał wyraźnie głos z nieba, który mu do samej śmierci dźwięczał w uszach; nieraz opędał się w swej celi zakonnej przed djabłem, który, w postaci straszliwego psa, przychodził go kusić. Umiał też Skarga tak głęboko pogrążyć się w rozmyślania o Bogu, o Jego wielkości i dobroci, że mu się czasem zdawało, iż dusza jego ulatuje do nieba i roztopia się w Bogu, czyli, innemi słowy, był zdolny do wlotów mistycznych, do czego jest potrzebna, prócz bujnej fantazji, gorąca miłość. Ale bo też on kochał Boga całym sercem. Całym sercem kochał i Kościół: z miłości to ku niemu, porzuciwszy wszelkie myśli o zaszczytach i karierze, został zakonnikiem, żeby go bronić przed herezją. Całym sercem kochał i bliźniego, zwłaszcza w jego nieszcześciach i cierpieniach: chyba nikt drugi we współczesnej Polsce nie płakał tak gorzko nad niedolą wdów, sierot, «niemocnych» (to jest kalek albo biedaków, którzy «długo leżą bez roboty»), więźniów, «ubogich kmieciów», którym «jedno bydło pozdychało, drugie żołnierz pobrał, ostatek pan zajął». «Bez miłosierdzia wiara katolicka — jako drzewo bez owocu, nadzieja —

jako najemnik bez roboty, miłość — jako matka bez dzieci, modlitwa — jako ptak bez skrzydeł, post — jako potrawa bez soli».

Miłość Boga była w sercu Skargi nieodłączna od miłości ojczyzny: ten człowiek nie rozumiał poprostu, jak Polak może kochać Boga, nie kochając Polski, i jak może kochać Polskę, nie kochając Boga: ideał kapłana połączył się w nim w jedną nierozdzielalną całość z ideałem patrioty. Podobnie jak Modrzewski, szczęście swej ukochanej ojczyzny upatrywał w pełnieniu woli bożej, objawionej przez Jezusa Chrystusa, a ponieważ był przekonany, że jedyną prawdziwą drogą, wiodącą do tego celu, jest religja katolicka, że reformacja jest nietylko klęską dla Polski, ale i zbrodnią wobec Boga, więc zwalczał i nawracał protestantów mową i pismem. Konfederacja warszawska, która, podnosząc tolerancję religijną do godności prawa, stanowi nie-małą chwałę kultury polskiej, napełniała jego serce oburzeniem i zgrozą. To też napisał przeciwko niej gwałtowną, namiętną broszurę (*Proces konfederacyjnej*), w której dowodzi, że, ponieważ odstępstwo od jedynej prawdziwej wiary jest grzechem, więc należy je karać, co więcej, że do prawdziwej wiary można człowieka... przymusić! Z tem wszystkiem do tego stopnia nietolerancji, co wielu innych ówczesnych fanatyków, nie posunął się nigdy: nie doradzał (jak Orzechowski), żeby heretyków karać wygnaniem, konfiskatą majątków, a cóż dopiero śmiercią; doradzał tylko, nawet sam nad tem pracował, żeby ich nie dopuszczać do urzędów państwowych. Niedosyć na tem. Czasem zdrowy rozsądek i dobre serce mówiły mu, że i protestanci polscy są ludźmi i Polakami, że «złe heretyctwo, ale ludzie dobrzy, złe błędy, ale natury chwalebne, złe odszczerpieństwo, ale krew miła»; czasem mówił mu jakiś głos, że protestanci nie są zbrodniarzami, tylko ludźmi obłąkanymi i ciemnymi, i że, jeśli tak, to nie wolno ich prześladować, ani przymuszać do wiary katolickiej, że trzeba ich nawracać «uprzejmością i przyjemnem towarzystwem, i posługami sąsiedzkiemi, a najwięcej dobrymi naszymi cnót świętych katolickich przykłady, abyśmy świecili między nimi, jako gwiazdy w ciemności». Ale cóż, kiedy takie logiczne myśli i uczciwe uczucia odpędzał od siebie Skarga, a nawet, kto wie, poczytywał je za podszepty złego ducha, i powracało do jego duszy podzielane wówczas przez wszystkich głęboko wierzących katolików nieszczerne przekonanie, że reformacja jest zbrodnią wobec Boga. A tak, nie będąc takim fanatykiem, jak np. Hozjusz, był jednak Skarga nietolerantem. Lecz na jego obronę powiedzieć trzeba, że wówczas wszyscy wogóle wierzący ludzie byli nietolerantami, zarówno katolicy, jak niekatolicy: tolerancja religijna jest owocem kultury dopiero XVIII i XIX wieku, a dawniej zdobywali się na nią tylko ludzie wyjątkowo śmiałego umysłu, którzy nie bali się słusznego przekonania, że Pan Bóg od nikogo poniewolnej służby nie żąda; (takim wyjątkowym człowiekiem był np. w ówczesnej Polsce Zamoyski).

Lecz nietylko reformacji, ale i Kościołowi greckiemu wypowiedział Skarga walkę. Poczytując krzewienie katolicyzmu za posłannictwo Polski, pragnął, aby Rzeczpospolita mocno zespoliła z sobą ziemie ruskie pod skrzydłami swej korony, wiary i cywilizacji. Stąd jego dzieło *O jedności Kościoła Bożego pod jednym Pasterzem i o greckiem od tej jedności odstąpieniu* (1577); stąd jego współudział w zawarciu Unji Brzeskiej i pismo *Synod Brzeski* (1596). Jednem słowem, Skarga to, obok Hozjusza, największy szermierz katolicyzmu w Polsce XVI wieku.

Ale rozumiał on, że wiara bez uczynków jest martwa, że, jeśli Pol-

ska ma być krzewicielką wiary, musi się moralnie odrodzić. Z tego przeświadczenia wypłynął największy czyn jego: praca nad umoralnieniem narodu, praca podobna do tej, którą we Francji podjął współczesny mu święty Franciszek Salezy: pragnął, żeby Polska była nie tylko społeczeństwem chrześcijańskim, ale i państwem chrześcijańskim, pracował Skarga nad umoralnieniem nie tylko szarych tłumów, prostaczków, żołnierzy, ale i tych, którzy rządili państwem: króla i jego rodziny, dostojników, senatorów, posłów, wodzów, słowem, wszystkich «bogów ziemskich». Naród się nie poprawił, ale to już nie Skarga wina! On spełnił swoje powołanie; i jako patrijota, jeden z największych, jakich miała kiedykolwiek Polska, jako nauczyciel wiary, moralności i miłości ojczyzny, głęboko i święcie wierzący, że go sam Pan Bóg do tego powołał, a wreszcie jako natchniony kaznodzieja i jako prorok, to grożący narodowi, że go Pan Bóg pokarze upadkiem ojczyzny, to znowu, przeciwnie, wlewający weń wiarę, że się Pan Bóg zmiłuje nad swoim «ludem wybranym», który jest Jego «Kościołem i kochaniem», jeżeli sobie tylko pokutą i poprawą to zmiłowanie wysłuży, — jest Skarga w życiu polskim postacią niezwykle wielkiego znaczenia.

63. W historii literatury polskiej jest on także postacią wielką, jako znakomity prozaik. Miał już lat czterdzieści, kiedy ogłosił pierwsze swoje dzieło (po łacinie) *Pro sacratissima Eucharistia contra haeresim Zuinglianam*, 1576 (*Obrona przenajświętszej Eucharystji przed herezją Zwingljusza*); od tej chwili, jak z rogu obfitości, sypały się jego dzieła: polemiczne i apologetyczne (t. j. zwalczające poglądy przeciwników katolicyzmu, zwłaszcza protestantów, i broniące Kościoła katolickiego, jego nauki i powagi), historyczne (poświęcone dziejom Kościoła katolickiego), żywoty świętych, broszury religijno-moralne i polityczne, wreszcie utwory, które opromieniły imię Skarga aureolą nieśmiertelnej sławy: kazania.

Wszystkie te pisma posiadają dwie wspólne cechy: po pierwsze, są pisane pięknym językiem, a tak popularnie, tak przystępnie, jakgdyby je autor przeznaczał dla dzieci; po drugie, wszędzie, nie wyłączając pism historycznych i *Zywotów Świętych*, Skarga jest kaznodzieją, pragnącym nie tylko pouczyć czytelnika o prawdach religji katolickiej i obowiązkach chrześcijańskich, i nie tylko zasiać w jego sercu miłość tych obowiązków, jako najwyższego ze wszystkich dóbr życia, ale nadto skłonić wolę czytelnika do pełnienia czynów moralnych, to jest do naśladowania Jezusa Chrystusa. Żeby te wszystkie cele osiągnąć, żeby Polskę moralnie odrodzić, pragnął Skarga, żeby jego pisma mogli czytać wszyscy, i właśnie dlatego troszczył się tak bardzo o piękno i jasność, a jednocześnie o prostotę swoich pism: jak Polska Polską, żaden inny — do dziś dnia — kaznodzieja nie zespolił tak doskonale piękną stylą i jasności wykładu z prostotą, jak żaden nie może się równać ze Skargą siłą uczucia i polem katodziejskim.

Najznamienniejszą cechą i zarazem wielką piękność jego stylu, płynącą zarówno z jego żywej i poetycznej wyobraźni, jak ze świadomego celu, żeby przemówić nie tylko do rozumu i serca, ale i do wyobraźni czytelnika (i słuchacza) — jest wyrazistość (plastyka) i malowniczość: pod tym względem styl Skarga jest podobny do stylu Reja, z tą jednak wielką różnicą, że Skarga, obdarzony niemałym poczuciem estetycznym, rzadko wpada w poposalność, którą tak często grzeszy Rej. Głównymi zaś środkami, służącymi mu do osiągnięcia piękności stylu, są przenośnie i porównania, np.: «Jako nami-

lejszej matki swej miłować i onej czcić nie macie?... Bóg matkę czcić rozkazał. Przeklęty, kto zasmuca matkę swoją! A która jest pierwsza i zasłużeńsza matka, jako ojczyzna... która gniazdem jest matek wszystkich... i komorą dóbr waszych wszystkich?» «Jako sam Jan był zorzą przed Chrystusem-słońcem, goniec przed wielkim posłem, tak też jego chrzest był przed chrztem Chrystusowym; skoro słońce weszło, zorza ustala,... skoro posel wielki przyjechał, żaden się o gońcu nie pyta». «Gdy się» (Anna Austrjaczka, żona Zygmunta III) «we wszystko szczęście ludzkie, jako lilija i róża, rozkwitnęła, owo zły wiatr na miękki i wonny, i wszystkiemi farbami ozdobiony kwiat uderzył, i uwiądl, i usechl, i ozdoba jego upadła». «Zakon ten *Societatis Jesu* zgody mieć z heretyki nigdy nie może, jako charci z zajęcami i psy z wilkami». Równie po mistrzowsku posługuje się Skarga uosobieniami, np. «Jest stworzenie jako ślad boży, po którym poznać, iż tam przeszedł» (Bóg); «jako myśliwi po śladach zwierza szukają, tak człowiek rozumny, na świat patrząc, szukać Boga może i nie najdzie Go, jedno w niebie, nieogarnionego. Gdy patrzysz na słońce, tak piękne i jasne, podobnobyś rzekł: Bóg to jest. A słońce odpowiada: śladem ja jestem Jego, tędy przeszedł, a dalej Go szukaj! Toż mówi w wszelka moc i piękność, i dostatek rzeczy na niebie i na ziemi: nie myśmy Bogiem, tędy przeszedł, dalej go szukaj».

W umiejętnym doborze wyrazów żaden pisarz staropolski nie dorównał Skardze; jak bardzo się troszczył o czystość mowy ojczystej, świadczy już to jedno, że w późniejszych swoich pismach usuwał germanizmy, których się dawniej nie ustrzegł, zamieniając np. «tańce» na «wesele», «folgować» na «dogadzać». Latynizmów natomiast nie unikał ani w słowniku, ani w składni: w budowie zdań wzrwał się nieraz na Cyceronie, od którego się nauczył trudnej sztuki umieszczania wyrazów w odpowiednim porządku i budowania często długich, ale niezmiernie przejrzystych okresów: i w tej także sztuce ani jeden pisarz staropolski nie może się z nim mierzyć. Słusznie nazwał go Stefan Witwicki¹ «cudotwórcą języka polskiego i jego przemożnym panem». Niemniej słusznie powiedział o nim Birkowski: «Nierychło takiego kaznodzieje Polska nasza obaczy, który serca ludzkie trzymał w rękę swych i obracał niemi, kędy chciał, przez dziwną, a jemu tylko daną wymowę». Ta wymowa Skargi działała na słuchaczy nadewszystko żywym słowem kaznodziei: ale niejeden z tych nawet, którzy tylko czytają jego utwory, nieraz poczuje się bądź wzruszonym rzewnością, bądź wstrząśniętym potęgą i wzniosłością (palosem) niektórych ustępów.

65. Najpoczytniejszem ze wszystkich dzieł Skargi były i są *Żywoty Świętych Starego i Nowego Zakonu* (1579): jeszcze za jego życia doczekały się dziewięciu wydań, a dzisiaj liczą już blisko trzydzieści (z tych jedno — w 50.000 egzemplarzy). Olbrzymia ta księga (obejmująca blisko czterysta żywotów) nie jest oryginalna: pisząc ją, miał Skarga przed oczami dzieło łacińskie zakonnika niemieckiego, Wawrzyńca Suriusa, które to tłumaczył, to przerabiał, to skracał, to uzupełniał. Żywoty świętych Starego Testamentu (Mojżesza, Jozuego i t. d.) opowiedział według Pisma Świętego, żywoty świętych polskich — według kronik i legend polsko-łacińskich, oraz według ustnej

¹ Przyjaciel Mickiewicza, poeta i prozaik, autor *Wieczorów pielgrzyma i Złego Ołtarzyka*.

tradycji. Sam życia świętych nie badał: nie o prawdę historyczną mu chodziło, tylko o pożytek duchowy czytelników. Oto co pisał w przedmowie do wydania dziewiątego (1612):

★ «Praca około pisania i na polski nasz język przekładania *Zywotów świętych*, którąm za pomocą boską przed lat trzydziestą i dwiema podjął, do tego mię czasu pociechą wdzięczną ochładza, iż widzę te księgi w ręku ludzkich, któremi pobożni gospodarze domy swe i stoły okrasili, i duchowni, i uczeni, i wszyscy wobec na nie laskawi, a ich czytania nie odmiatają... Przetoż... znowu ciebie, wdzięczny czytelniku, do czytania tych *Zywotów świętych* namawiam. Nie żałuj czasu, bo go dobrze obrócisz, którą drugdy¹ na próżności trawisz, gdy z pajęczyny płótno robisz, a z piasku zamki z dziećmi budujesz i motyle na powietrzu chwytasz, które pojmawszy, porzucić, boć i ręce zmażą, musisz. Mówię, iż zabawy wszystkie w niestatkku świeckim, jeśli duchowne opuścisz, do pożytku nie przyjdą... Jeśli na niebo i gwiazdy, i słońce tak piękne z rozkoszą patrzysz; jeśli ozdoby ziemie w górach i pagórkach, i polach, w zieloności i kwieciu, i w rzekach, i w lasach, i gajach ślicznych uciechę tobie miłą dają; jeśli na ptakach, śpiewaniu ich i piórkach pięknych, i na zwierzach rozmaitych dzikich i domowych oko twoje chłodziś: a jako się, patrząc na Święte boże, nie ochłodziś? To wszystko nierozumne stworzenie jest, jako ślad tylo Boga nieogarnionego: a Święci są jako twarz i obraz, i podobieństwo Jego. Na Boga jeszcze patrzeć nie możemy: ale obrazem Jego uciechy się możemy. O, jako wielka ochłoda!... Byśmy na Święte często patrzyli, pewniebyśmy w miłości ku Bogu gorzeli. Oni są piękniejsi niżli niebo, słońce i gwiazdy... Przetoż, na nie i dary boże w nich patrząc, do zamiłowania dobroci, szczodrobliwości i miłosierdzia Pana Boga naszego pobudzić się możemy... Nie czytaj tych żywotów jako samą historiją, abys tylko wiedział, ale jako naukę i żywą Ewangeliją, abys się z niej do czynienia pokuty i dobrych uczynków pobudzał...★

Żeby zaś czytelnicy nie czytali *Zywotów świętych* jako samą historję, do każdego prawie żywotu dodał Skarga «obrok duchowny», to jest naukę, pobudzającą «do czynienia pokuty i dobrych uczynków». Czytelnikom jednak podobały się zapewne nietyle te nauki, ile sama historja, to jest same żywoty: ale bo też w dawniejszej literaturze polskiej darmo szukać opowieści tak swobodnych i potocznych, tak pełnych prostoty, wdzięku i serdecznego uczucia: *Zywot Pana Jezu Krysta Opecia* wydaje się czemś bardzo nieudolnem w porównaniu z Żywotami Świętych Skargi. Ani poznać, że i one są przekładem albo przeróbką z łaciny!

★ **Z żywotu św. Marcina, biskupa turońskiego.** Czasu jednego, gdy szedł na mszę, zawołał na niego ubogi (a było zimno), prosząc o suknię. Rzekł do arcydiakona, aby mu suknią wnet była dana; a sam, do zakrystyjey wszedłszy, modlitwy czynił. Lecz gdy arcydiakon nagiego nie odprawił², werwał się do zakrystyjey ubogi, prosząc biskupa o miłosierdzie; a on, suknią z siebie zdjawszy, gdy nikt nie widział, żebraka odprawił. A nie mogąc bez sukniej do ołtarza wynieść, gdy czas był mszej, rzekł do arcydiakona: «Nie wynidę, aż ubogiemu suknią będzie», — sam siebie rozumiejąc. A gdy

¹ niekiedy.

² nie opatrzył, t. j. nie dał mu sukni.

już ubogiego nie było, wymawiał się arcydiakon; a on jednak suknią do siebie przynieść kazał. Rozgniewany tedy arcydiakon, szedłszy do bliskich kramów, kupił sukniisko grube i porzucił je u nóg św. Marcina. A on, tajemnie kazał mu wynieść, na się onę suknią włożył. A gdy mszą miał, suknią podspód obleczony, koło ogniste, z jego głowy wychodzące z promieniami jasnymi, z wielkiem podziwieniem niektórzy widzieli. A iż suknia ona, nie wedle wzrostu św. Marcina, nagich jego ręku, gdy Ciało Pańskie podnosił, nie pokrywała, Pan Bóg onemi niebieskimi promieniami ręce jego gołe pokryć raczył. ★

★ **Z żywotu św. Franciszka z Asyżu.** Bestyje nieme bracią swoją i siostrami z wielkiej łaskowości zwał... Baranki, na zarzeczanie wiedzione, często wypraszał, na Chrystusa wspomniawszy, albo je okupował, czem mógł. W polu owce... spotkawszy, wszystkie się do niego skupiły i radość mu niejaka pokazały. Owieczkę mu raz dano, której mówił, aby chwaliła Pana Boga, braciej się nie przykrzyła; rzecz dziwna, gdy usłyszała, iż bracia w kościele śpiewali, zawsze tam biegła i przed ołtarzem Bogarodzicy, jako mogła, kłękała; toż czyniła, gdy Ciało Boże podnoszono. Zające do niego się, od innych uciekając, cisnęły; ptaszki, gdy kazał, do niego lecieli. Raz wszedł między stado ptaków śpiewających, a żaden się nie ruszył; i, gdy z bratem mówić tam pacierze począł, a słyszeć się dla wrzasku ptasząt nie mogli, rzekł św. Franciszek: «Bracia ptaszki, umilknijcie, aż się z służbą bożą odprawimy»; wszyscy umilknęły i nie poczęły śpiewać, aż im kazał. ★

66. Kazan zostawił po sobie Skarga blisko dwieście. Są to *Kazania o siedmi Sakramentach* (1600), *Kazania na niedziele i święta* (1595) i *Kazania przygodne* (1600). Pierwsze mają charakter dogmatyczny; drugie są wykładem odpowiednich urywków Ewangelji z dołączeniem nauki moralnej; na trzecie składają się kazania okolicznościowe: nawołujące do pokuty, pogrzebowe (np. na pogrzebie Anny Jagiellonki i Anny Austrjaczki), dziękczynne czyli triumfalne (np. *Pokłon Panu Bogu Zastępów za zwycięstwo Inflanckie nad Karolusem, Książęciem Sudermańskim*, 1605, i inne). Do kazan zaliczyć można także różne nauki moralne, np. *Czytania Bractwa Miłosierdzia w Krakowie, Żołnierskie Nabożeństwo* i inne. Pod koniec życia wydał Skarga wszystkie swoje kazania i nauki w dwóch wielkich księgach: *Kazania na niedziele i święta całego roku... przyłączone są do nich Kazania o siedmi Sakramentach* (1609) i *Kazania przygodne z inemi drobniejszemi pracami o różnych rzeczach, wszelakim stanom należących* (1610).

Jak Skarga pojmował swoje obowiązki, jako kaznodzieja, kogo i czego uczył w swoich kazaniach, to sam najlepiej wyjaśnił w dedykacji *Kazan na niedziele i święta*, napisanej prozą, ale będącej w istocie rzewną, poetyczną elegją; na rzewniejszą zdobędzie się literatura polska dopiero w dumaniu Mickiewicza «na paryskim bruku».

★ **Najaśniejszemu i Niezwyciężonemu Monarsze, Zygmunтови Trzeciemu, z łaski Bożej Królowi Polskiemu i Szwedzkjemu, Wielkiemu Książęciu Litewskiemu etc. Łaska i pokój od Pana i Boga naszego Jezusa Chrystusa.**

Już sobie podrobiwszy, Najaśniejszy Miłościwy Królu, Panie mój, po dwu i trzydziestu lat rzemienia mego kaznodziejskiego tą trochę podłej praczej w zostawieniu pisma, nauki, którąm w imię Chrystusowe rozsiewał, —

zamykam wiek mój i dni te złe i krótkie drogi mojej. Zwątlony i, jako Samuel prorok mówi, zstarzały i zasiały, niedługo ustane. Czas mi na pokój: czeka mię komorka¹ w domu ubogich ojców moich², do której rychło gość on niebывały³, z czeladką swoją, z niemocami i boleściami, zakolące. Boże, daj mu się śmieie odezwać i drzwiczki otworzyć, i z ochotą mówić: «Witaj, spodziewany gościu! Czekałem cię w teskności żywota tego i kłopotach jego; chałupka ta pogniła i błotem ulepiona, którą obalisz, obrócić się ma w dom, nie ręką budowany i wieczny; duszy wrota do pokoju otworzysz, a nad ciałem krótką pociechę mieć będziesz!» Boże, daj takie serce mieć na onę godzinę i mnie, i każdemu wiernemu!

Myślę, jako się sprawię⁴ Chrystusowi, Panu i Bogu memu, który mię na tę swoją robotę posłał i talenty swemi, wedle małej sileczki mojej, nadał i opatrzył. Gdy spyta: «Coś mi zrobił? wiele i jakiches mi pożytków przyczynił?» — a ja z czem się postawię? co ukazę? Zawstydzivszy się i przestraszywszy, rzeknę:

Panie! Posłałeś mię do domu królewskiego, do Zygmunta trzeciego, pana dwu wielkich królestw, do domu i senatu, i rycerstwa, i sług, i poddanych jego. Nauczałem i upominał Pana swego, pomazańca Twego, na którym nawięcej należało⁵, od Ciebie i Twojem boskiem imieniem: aby Ciebie znał, Boga swego, któryś go wyniósł i głową nad tak wielkimi i szerokimi narody postawił, i w ręce jego dałeś takie państwa i nieprzeliczony poczet ludu Twego, któryś Twoją Krwią odkupił; aby sobie mądrości i rozumu prosić u Ciebie i nabywać staraniem pilnem na tak trudne i ciężkie rządzenie umiał; aby się w bojaźni Twojej i we wszytkiej pobożności utwierdzał i kochał, służbę świętą Twoją i chwałę rozmażał, kościołom Twoim i wierze świętej obronę wszelaką i wysługę czynił, wedle praw Twoich pannaował, sprawiedliwości i karności nie odstępował, miłość uprzejmą⁶ ku poddanym i ku prawom ich zachował, i prace żadnej i czujności w obmyślaniu dobra pospolitego i obrony, a zachowania w całości Korony wszytkiej nie żałował; aby się w mądrych i bogobożnych kochał i rady ich używał, pochlebstwa się strzegł, w próżnowanie się i w rozkoszy nie wdawał, duchowne i świeckie urzędniki i sprawce ramienia swego pobożne i dobre wszędzie stawiał i inemi, wedle prawa Twego i wolej boskiej Twojej, drogami chodził. I obiecowałem mu od Ciebie, Jezu Chryste, mocną rękę Twoję nad nim i powodzenie wszytkiego, coby począł.

I do rady, i do senatu jego, i do rycerstwa jego, i do domu, i do sług jego, i na sejmach, i zjazdach odprawowałem, Panie Zbawicielu, poselstwo Twoje: upominałem, aby obie matce swoje, Kościół boży i ojczyznę, w jednym końcu złączone, wiernie i uprzejmie miłowali; aby ich kacerstwy nie rozróżniali, a niezgody między nie nie siali, którą się obiedwie zabijają; aby wierną radę dawali, na samo się dobro pospolite oglądając, a domy i prywaty swoje dla niego radzi tracąc, gdyby tego potrzeba; aby pany króle swoje na wzór przodków swoich wiernie czcili i onym posłuszeństwo oddawali, i o ich się nieczesie gniewali, i szemrania się wszelakiego o nich strzegli; aby uprzejmość i całość serca między sobą zachowali; aby wolnością swoją nie ginęli, a niewolej obcych panów na się nie przywodzili. Wolałem na nie, Panie, aby na niewierność, mężobójstwa, cudzołóstwa, kazi-

¹ cela. ² t. j. jezuitów. ³ t. j. śmierć. sprawić się = zdać sprawę.
⁴ zależeć. ⁵ szczerzy. ⁶ w jednym celu.

rodztwa, lichwy, wydzierania, najazdy i inne srogie grzechy — lepsze prawa i pędszą sprawiedliwość należeli, a zmazaną krwią i krzywdami kościołów i ubogich, i uciążeniem poddanych ziemię swoją oczyszczali; aby hardości, zbytków i próżnych utrat w jedwabiach i winie, i rozkoszach zaniechali, a dostatek swój na obronę Rzeczypospolitej i ojczyzny miłej na ubogie i na kościoły obracali. Groziłem im, jakoś rozkazał, gniewem Twoim, zgrabą i pożarciem ich od nieprzyjaciół i spustoszeniem, i przeniesieniem królestwa ich do innych narodów; ukazałem, jako pogański miecz nad nimi wisi, który sąsiedzkie zdrowia i majątności pożera, aby się przykłady srogości Twej ukarali, a o większych grzechach swoich, które lejże sprawiedliwości nie ujdą, myśleli i z nich powstawali.

Cóżem dalej czynić miał, mój Panie? Uprzejmiej i z serca nawrócenia i poprawy ich, i zbawienia ich pragnął (Ty wiesz!) i radbych na to zdrowie ważył, abych na dobre ich i ojczyzny ich patrzył. Miłować-em chciał cześć Twoję i pożytki Twoje, aby praca i wylanie drogiej Krwie Twojej na nich nie ginęło.

Nie wiem, czem się dzieje, iż nie pomaga im poselstwo Twoje i wołanie moje: do pokuty rzadki barzo powstaje. Twarda rola strudziła wołu starego, a pracy na niej w dobrem żniwie nie znać. Chytre ryby, od sieci Twej uciekając, poimać się nie dają. Mówię z prorokiem Micheaszem muszę: «Niestety mnie, na złym czas trafił, na jesień, w której jagody już pozbierano, a rzadko się co naleźć może, jako gruszki po otrząsieniu i kłosa po żniwie». Zebrane są z tego królestwa one słodkie jagody — mężowie oni nabożni, mądrzy, mężni i potężni, cnót i poczciwości, i ojczyzny wielcy miłośnicy, którzy i upadku Korony wesprzeć mogli.

Niemasz dostałych jagód, mało pociechy! Łakomstwo, hardość, łupieństwo, zdrada, niestatek wszystkich opanował; niesprawiedliwość i nieprawda górę wzięła; lichwy i złupienie dóbr pospolitych nastąpiło; zginął święty z ziemi, i prostego, a uprzejmego między ludźmi nie naleźć; jeden drugiego krwi pragnie: mąż brata swego na śmierć łowi. Złość w ręku swoich dobrocią zowią; panowie wszystko mówią: «Daj, daj!»; sędziowie zapłaty i darów czekają; możni przewodzić myśli swoje chcą. Należszy między nimi przedsię kole, jako ciernie z płotu. Jedni nas, fałszywi sami, fałszywymi proroki zowią, choć jawne od Ciebie, Pana naszego, świadectwa mamy. Dru-dzy słuchają, a nie czynią, wiarę mają katolicką, a ręce heretyckie. Drugim słowo Twoje jest za śpiewanie i muzykę, po której się słuchaniu nic nie zwiąże: chwałą kazania, a żywota swego nie poprawują.

Któż winien, Panie? Straszliwe sądy są Twoje: ze mnie może być przyczyna! Abo bojaźnią, albo niedbalstwem, albo nieumiejętnością psuję żniwo Twoje. Któż się Ciebie nie przelęknie, Panie? Kto się wyliczy i przed Tobą usprawiedliwi? Kto się nie przestraszy na liczbie¹ z sługami Twymi? Jeśli świecki mędrzec, na złego ucznia patrząc, mistrza jego bić i karać kazal: a cóż Ty, sprawiedliwszy nad wszyscy ludzie, czynić z nami będziesz, gdy tak złe słuchacze nasze widzisz? Lecz, Panie, przyjmij wymówkę posłańca Twego, jakoś sam powiedział: «Jeśli stróż na wieży wołać będzie: oto idzie nieprzyjaciół! — a ludzie się nie przestrzegą, sami sobie winni zostaną, a stróż wolny, bez karania będzie! Uczyniże mię wolnym, Panie, bomci wołał na nie i przestrzegał ich, i Tobiem codziennie ofiary za nie czynił, i modlitwa moja

¹ porachunek.

i pokłon mój nigdy za nie przed Tobą nie ustał. Otom i na tych kartach pisanie zostawił, znaki robótki małej mojej. Proszę — i ze mną, i z tymi, co mię słuchają, nie wchodź w sąd, ale zwyczajui i natury swojej używaj nad nami! «Nie dla nas», ale dla samego siebie, jakoś u proroka rzekł, «dla chwały wielkiej Imienia Twego», uczynź z nami przymierze wieczne, a nie przestaj nam dobrze czynić! Daj bojaźń Twoję w serca nasze, abysmy Cię nigdy nie odstępowali, a czyniąc nam dobrze, miej pociechę i wesele swoje z nas! «Daj nowe serce i nowego ducha, a oddal kamienne, a daj mięsiste serce», a spraw to, abysmy chodzili w rozkazaniu Twojem, abysmy ludem Twoim nigdy być nie przestali, a Ty Bogiem naszym zawždy zostawał! ★

67. Na czoło kazań i wogóle wszystkich pism Skargi wysuwają się *Kazania Sejmowe* (1597).

Sejmy w dawnej Polsce rozpoczynały się od uroczystego nabożeństwa w kościele, mianowicie od tak zwanej «Mszy o Duchu Świętym», podczas której kaznodzieja królewski wygłaszał stosowne kazanie; na nabożeństwie obecni byli, prócz króla i jego dworu, senatorowie i posłowie. Od roku 1588, w którym Skarga został kaznodzieją nadwornym, do roku jego śmierci odbyło się osiemnaście sejmów, i, jak świadczy Birkowski, wszystkie «oświecał» on «kazaniami swemi», przyczem do kazań sejmowych zaliczał nie tylko te, które wygłaszał podczas «Mszy o Duchu Świętym», ale i te, które miewał na wszystkie niedziele i święta, przypadające na czas trwania sejmu. Sam Skarga wystawił sobie (w roku 1606) takie świadectwo: «Już to piętnaście sejmów za panowania szczęśliwego Pana i Króla naszego odprawilo się; na każdym byłem posłem (ale nie z jednego powiatu), tożem mówił i przekładał». Mówił zaś nie tylko o obowiązkach człowieka względem Boga, Kościoła i bliźniego, ale także o powinnościach obywatela względem ojczyzny, i gromił grzechy nie tylko przeciwko Bogu, Kościołowi i bliźniemu, ale także przeciwko ojczyźnie: prywatę, niezgodę, osłabienie władzy króla, lekceważenie jego majestatu, niesprawiedliwe prawa i inne jeszcze grzechy, wołające o pomstę do Boga. Ich bezkarność napępniały jego serce obawą o przyszłość Polski.

Rosła ta obawa z roku na rok, a do szczytu swego doszła w roku 1597, kiedy to sejm warszawski, do którego król i jego stronnicy przywiązywali wielkie nadzieje, rozszedł się, nie uchwalwszy ani ligi przeciwko Turcji, ani reformy politycznej, o której marzyła partja królewska w osobie trzech biskupów: Radziwiłła, Rozrażewskiego i Maciejowskiego; reforma ta miała na celu wzmocnić władzę królewską i senatu, a uszczuplić sejmowładztwo, które, zdaniem partji królewskiej, wtrącało Rzeczpospolitą w otchłań anarchji i zguby. Skarga całem swoim sercem podzielał ten pogląd, to też, kiedy obrady sejmu spęzły na niczem, postanowił raz jeszcze, w imię Boga, przemówić już nie tylko do posłów i senatorów, ale i do całego narodu polskiego, żeby się zmiłował nad matką-ojczyzną i nie pozwolił jej ginąć w odmęcie prywaty i niezgody, różnowierstwa i anarchji, praw niesprawiedliwych i innych grzechów: w tym celu napisał odezwę czyli «wezwanie» do narodu, której dał tytuł: *Kazania Sejmowe*, ze względu na to, że bądź streścił, bądź rozwinął w niej te myśli, które przez lat już dziesięć wygłaszał na kazalnicy podczas nabożeństw sejmowych. Odezwy tej, która, stosownie do tytułu, ma postać kazań, osobno nie wydał, tylko ją wcielił do wielkiej księgi,

którą właśnie drukował w roku 1597, mianowicie do drugiego wydania *Kazań na niedziele i święta*.

Kazań sejmowych jest osiem. Pierwsze, *O mądrości potrzebnej do rady*, pełne majestatycznej powagi i namaszczenia, stanowi wstęp. Jego przewodnią myślą jest, że, ponieważ moralność narodu to najsilniejsza podstawa szczęścia i potęgi państwa, więc ci, którzy rządzą narodem, powinni sami być moralni — tem więcej, że prawdziwą, najwyższą, «niebieską» mądrość, potrzebną do sprawowania rządów na pożytek i ku szczęściu narodu, ten tylko od Boga otrzyma, kto cnotliwy; wprawdzie i zły człowiek może być mądrym, ale będzie to mądrość fałszywa, «bydlęca, djabelska, ziemską», która nie wyjdzie narodowi na pożytek i, prędzej czy później, będzie jego przekleństwem. Myśl to nietylko szlachetna, ale i prawdziwa: czystość moralna wywiera dobroczynny i głęboki wpływ na rozwój umysłu i rozszerza jego widnokręgi, a niemoralność osłabia go i oslepia; stąd człowiek zły prawdziwie mądrym być nie może. Ten sam pogląd, wygłoszony już przez Arystotelesa, a uzasadniony przez myślicieli chrześcijańskich (nadewszystko przez św. Tomasza), będzie później u nas głosił Mickiewicz i Krasiński.

Kazanie drugie, *O miłości ku ojczyźnie*, chwytła za serce swą rzewnością. Mówi Skarga, że nietylko «domy i familije», ale całe państwa upadają, bo i one podlegają chorobom; dowodem — Polska, która ciężko zapadła, i to nie na jedną, ale na sześć chorób: «Pierwsza jest nieżyczliwość ludzka ku Rzeczypospolitej i chciwość domowego łakomstwa; druga — niezgody i roztyrki sąsiedzkie; trzecia — naruszenie religijnej katolickiej i przysada heretyckiej zarazy; czwarta — dostojności królewskiej i władzej osłabienie; piąta — prawa niesprawiedliwe; szósta — grzechy i złości jawne, które się przeciw Panu Bogu podniosły i pomsty od Niego wołają». Otóż kazanie drugie poświęca Skarga chorobie pierwszej, t. j. «nieżyczliwości ludzkiej ku Rzeczypospolitej», płynącej z «chciwości domowego łakomstwa», to jest prywaty. Ale nasamprzód, żeby lepiej uwydatnić, na czem ta nieżyczliwość polega, mówi o życzliwości ku ojczyźnie: uczy mianowicie, że patriotyzm jest nietylko świętym obowiązkiem człowieka, jako prawo boże, płynące z Chyustowego przykazania miłości, ale i obowiązkiem wdzięczności za te wszystkie dobra, jakie obywatel otrzymuje od matki-ojczyzny, oraz dobrze zrozumianą korzyścią własną; ojczyzna bowiem jest jak okręt: «gdy się z okrętem źle dzieje, gdy dziur jego nie zatykamy, gdy wody z niego nie wylewamy,.... gdy dla bezpieczeństwa jego wszystkim, co w domu jest, nie pogardzamy, zatonię, i z nim my sami poginiemy». Na brak miłości ojczyzny skarżyli się wszyscy wogóle pisarze nasi XVI wieku; ale nikt, nawet Modrzewski, nie skarżył się tak silnie i boleśnie, i nikt go z taką śmiałością nie napiętnował, jak Skarga. Niedosyć na tem. On jeden jedyny w XVI wieku wznosił się do pojęcia, że miłość ojczyzny powinna być bezinteresowna, że każdy obywatel kochać ją powinien dla niej samej — nawet wtedy, gdy ona go skrzywdzi, albo mu za wierną służbę nie zapłaci; on jeden jedyny tak jasno rozumiał, że magnaci, «cieśniając i kurecząc» miłość ojczyzny w swoich domach i pojedynkowych pożytkach, t. j. dbając nie o szczęście Polski, tylko o potęgę swych domów i rodów, wtrącają ojczyznę w przepaść; on jeden jedyny wreszcie ośmielił się rzucić tym magnatom straszne słowo, że ich serca są — złodziejskie! Wogóle kazanie o miłości ojczyzny to korona całej naszej literatury patriotycznej XVI wieku i najwspanialsza nauka o patriotyzmie, na jaką się zdobyła literatura niepodległej Polski. Nie kto inny, tylko

Skarga opromienił miłość ojczyzny aureolą świętości, jako obowiązek religijny.

W kazaniu trzecim, *O zgodzie domowej*, poświęconem drugiej chorobie Rzeczypospolitej, t. j. «niezgodom i rozlyrkom sąsiedzkim», tłumaczy Skarga, dlaczego dzieci jednej i tej samej ojczyzny powinny się zgadzać: dlatego, że łączą je różne «łańcuchy i związki», i to dwojakie. Po pierwsze, religijne: powinniśmy się zgadzać, bo tak wszystkim Chrystus kazał; «jeśliśmy uczniowie Jego, jeśliśmy chrześcijanie, jeśliśmy z Jego chrztu jednego urodzeni, jeśliśmy jedną męką Jego i krwią Jego okupieni, jeśli w Chrystusa wierzym, jeśli Go za pana i głowę naszą znamy, jako wierna czeladka Jego, jeśli do dziedzictwa Jego wspólnie należymy, jeśli skarbów Jego domu i dostatków zażywamy, jeśli pod Jego obroną i cieniem odpoczywać chcemy, — targać tych łańcuchów tak możnych nie możemy, zgadzać się i w jednoci żyć i o sobie w zgodzie radzić musimy». Po drugie, wiąże nas łańcuchy świeckie: «Macie jednego pana i króla, jedne prawa i wolności, jedne sądy i trybunały, jedne sejmy koronne, jedną spólną matkę, ojczyznę miłą, jedno ciało, z rozmaitych narodów i języków skupione i spojone, i dawno zrosłe: jakoż się wadzić, dzielić tem i nie zgadzać możecie?» A jednak zgody nie było — tam nawet, gdzie najwięcej o nią dbać należało: na sejmach, które przecie całym państwem rządziły. Otóż widok niezgody wogóle, a niezgody na sejmach w szczególności, obudził w sercu Skargi lęk o przyszłość Polski; w całej literaturze staropolskiej niema nic, coby miało w sobie tyle potęgi i grozy, ile owo proroctwo upadku Polski i niedoli porozbiorowej: «Nastąpi postronny nieprzyjaciół, jawnszy się za waszą niezgodę, i mówić będzie: «Rozdzieliło się serce ich, — teraz poginą!»... I ta niezgoda przywieździe na was niewolę, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą, i będzie, jako mówi prorok, «sługa równo z panem, niewolnica równa z panią swoją, i kapłan z ludem, i bogaty z ubogim, i ten, co kupił imienie, równy z tym, co sprzedał»... Ziemie i księstwa wielkie, które się z Koroną zjednoczyły i w jedno ciało zrosły, odpadną i rozerwać się dla waszej niezgody muszą... Odbieją was, jako chałupki przy jabłkach, gdy owoce pozbierają, którą lada wiatr rozwieje. I będziecie jako wdowa osierociała, wy, coście drugie narody rządzili, i będziecie ku pośmiewchu i urąganiu nieprzyjaciółom swoim. Język swój, w którym samym to królestwo między wielkimi onemi słowieńskimi wolne zostało, i naród swój pogubicie, i ostatki tego narodu, tak starego i po świecie szeroko rozkwitnionego, potracicie, i w obcy się naród, który was nienawidzi, obrócicie, jako się inszym przydało. Będziecie nie tylo bez pana krwie swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwej ważono, będą... Gdzie się na taką drugą ojczyznę zdobędziecie, w którejbyście taką sławę, takie dostatki, pieniądze, skarby i ozdobności, i rozkoszy mieć mogli? Urodzili się wam i synom waszym taka druga matka? Jako tę stracie, już o drugiej nie myśleć!» Po tym wybuchu rozpaczliwej powraca Skarga do niezgody i wyjaśnia jej przyczyny, upatrując je głównie w charakterze Polaków, którzy są zazdrośni, podejrzliwi, pyszni i hardzi, a stąd niekarni, lekceważący sobie wszelką władzę i powagę królewską.

Myślą przewodnią kazania czwartego i piątego, poświęconych trzeciej chorobie Rzeczypospolitej, t. j. naruszeniu religji katolickiej, jest, że reformacja to grzech nietylko przeciwko Bogu i Kościołowi, ale i przeciwko Pol-

sce, powiększa bowiem i pogłębia niezgodę, że więc cała Polska powinna powrócić do dawnej jedności katolickiej, zarówno dlatego, że wiara katolicka jest jedyną prawdziwą, jak i dlatego, że bez niej państwo potężnem być nie może. Ze wszystkich kazań sejmowych te dwa najmniej mają siły i potętu, nie mówiąc już o tem, że, kiedy trzy pierwsze nigdy się nie zestarzeją (ponieważ przykazania moralności, patriotyzmu i zgody zawsze będą młode), te dwa już się zestarzały: dziś bowiem już wszyscy rozumiemy, że niekatolicy mogą być równie dobrymi obywatelami państwa, jak katolicy.

W kazaniu szóstym, *O monarchijej i królestwie*, mówi Skarga o czwartej chorobie Polski, to jest o «dostojności królewskiej i władzej osłabieniu». Kazanie to jest najsmielszym utworem literatury politycznej XVI wieku. Oto w epoce rozwydrzonego sejmowładztwa Skarga ośmielił się dowodzić, że najlepszą postacią rządu jest jednowładztwo króla, że więc władzę królewską trzeba w Polsce wzmocnić: król powinien szanować ustanowione prawa, o ile są sprawiedliwe; powinien także, a przynajmniej może, sprawując rządy, zasięgać rady senatu (nie sejmu!): ale ostatecznie on tylko sprawuje rządy, on tylko jest źródłem władzy prawodawczej zarówno, jak wykonawczej; władza zaś sejmu powinna być ograniczona jedynie do «zezwalania» (albo niezezwalania) na podatki. Słowem, pragnął Skarga zaprowadzić w Polsce rządy monarchiczne, na wzór Francji i Hiszpanji, ludząc się, że to możliwe. Dopiero po rokosz Zembrzydowskiego przekonał się, że to niemożliwe, i wówczas dopiero uczył, że «pożyteczniejszy jest rząd, zmieszany z tych trzech do rządzenia sposobów: aby monarchija obtoczona była i arystokracją, i demokracją» (to jest i senatem i sejmem).

Lecz w kazaniu szóstym jest nietylko rada, żeby zmienić postać rządu w Polsce, ale także surowa, nieublagana, wspaniała w swojej odwadze i prawdzie krytyka «złotej wolności», jak nazywała swoją wolność szlachta, a wolności «piekielnej», jak ją nazywał Skarga, rozumiejąc, że taka wolność, jaka była w Polsce, prowadzi do anarchji, a zatem do upadku państwa. Zresztą, mówi mądrze Skarga, ta wolność, którą się tak chlubi szlachta polska, jest pozorną tylko, w istocie bowiem szlachta jest w niewoli u «królików», t. j. magnatów, którzy robią, co chcą, «a szlachta, w prostocie nie wiedząc, co się dzieje, przyzwala i wrzaskiem wszystko odprawuje»; ci zaś «królikowie, z sobą się wadząc i jeden drugiemu zajrzając, wszystko nogami wzgórze obróca, wszystko wam zepsują i was pogubią». Historia Polski XVII wieku, pełna zrad i rokoszów, oraz konfederacja targowicka są okropnem stwierdzeniem prawdy tych słów.

W kazaniu siódmym, *O prawach niesprawiedliwych*, które stanowią piątą chorobę Polski, Skarga rozwija tę samą myśl, którą uzasadnił już Modrzewski, że bez praw sprawiedliwych nie może być prawdziwej wolności, i że się bez nich żadne państwo ostać nie może; poczem mówi o prawach niesprawiedliwych, do których, oprócz prawa *Neminem captivabimus*, prócz zniesienia sądów biskupich, oprócz konfederacji warszawskiej, zalicza nadto prawo o mężobójstwie i prawo, pozwalające panu sądzić i krzywdzić chłopą; żąda, jak Modrzewski, wolności osobistej dla chłopą i zniesienia sądów patrymonjalnych. O zupełnem jednak równouprawnieniu wszystkich warstw społecznych nie mówi; owszem, jego zdaniem, stany powinny pozostać tak, jak są: pod tym względem nie wznosił się nad przesady swego wieku, tak samo, jak Modrzewski; co nie przeszkadza, że ustęp o ucisku ludu w tem kazaniu to, narówni ze skargą Klonowicza, jedno z najpiękniejszych i naj-

wymowniejszych słów, jakie w dawnej Polsce wypowiedziano w obronie ludu: «Dotknąby¹ i onego złego prawa, którem kmiiecie i wolne ludki, Polaki i wierne chrześcijany, poddane ubogie, niewolnikami czynią...; i czynią z nimi drudzy, co chcą, na majątności i na zdrowiu i gardle²... Co jeśli się godzi, i jeśli to prawo ma jaką odrobinę sprawiedliwości, spytałby praw i obyczajów wszytkiego świata chrześcijańskiego... Jeśli nie kupieni ani poimańcy³, jeśli Polacy teje krwie, nie Turey ani Tatarzy, jeśli chrześcijanie: czemuż w tej niewolej stękają? Czemu ich nie jako niewolników, ale jako najemników używać nie mamy?... Jakoż się z takim prawem wszytkiego na świecie chrześcijaństwa nie wstydzicie? Jako się o taką tyrańską krzywdę na oczy boskie ukazać?»⁴

W kazaniu ósmem, *O niekarności grzechów jawnych*, to jest o szóstej chorobie Rzeczypospolitej, talent każnodziejski Skargi stanął na szczycie. Żadne inne kazanie nie ma w sobie tyle ognia, natchnienia i grozy. Matlejko, tworząc obraz, przedstawiający kazanie sejmowe Skargi, w tem właśnie kazaniu czerpał nietylko pomysł, ale i natchnienie. Skupiły się tutaj wszystkie uczucia patrijotyczne Skargi: i miłość ojczyzny, i święte oburzenie na jej złych synów, i lęk o jej przyszłość, i nadzieja, że się może jeszcze Pan Bóg zmiłuje nad Polską. Wszystko, czem grzeszyła Polska XVI wieku, wszystko, cokolwiek wytykali jej najmędrsi ludzie tego stulecia, dostało się pod surowy, ale sprawiedliwy sąd Skargi. Tutaj to rzucił on w oczy posłom i senatorom, jako przedstawicielom narodu, wszystkie «grzechy jawne», wołające o pomstę do Boga, a jednak popełniane — bezkarnie: a więc, obok grzechów przeciwko Kościołowi, cały szereg zbrodni względem matki-ojczyzny i społeczeństwa: brak sprawiedliwego i szybkiego wymiaru sprawiedliwości, mężobójstwa, «krew albo pol żywych poddanych i kmiotków» («jako ziarna pod młyńskim kamieniem, tak ci kmiotkowie pod pany swymi»), «lichwy i złe nabywania majątności», zbytki, brak miłości ojczyzny, kradzież dobra pospolitego, wyzyskiwanie sierot przez złych opiekunów... A po tym strasznym rachunku sumienia, Skarga, posługując się głównie piorunującymi słowami proroków biblijnych, wydaje na Polskę wyrok — upadku, który spotka ją niechybnie, jeśli się nie upamięta i nie poprawi: «Cóż mam z tobą czynić, nieszczęśliwe królestwo? Kto tu na was, ze wszech stron królestwa zebrane, i na głowy ludu patrzy, i wasze obyczaje i sprawy widzi, domyślać się może, jakie niezbożności i grzechy po wszytkiej Koronie panują! Bych był⁵ Izajaszem, chodziłbych bosy i na półnagi, wołając na was, rozkoszniki i rozkosznice, przestępniki i przestępnice zakonu bożego: «Tak was złupią i tak łyskać łystami⁶ będziecie, gdy nieprzyjaciele na głowy wasze przywiedzie Pan Bóg i w taką was sromotę poda! I będzie wam złość wasza jako mur porysowany wysoki, który, gdy się nie spodziejecie, upadnie, i jako garniearska flaszka mocno uderzona, z której się nie najdzie skorupka na noszenie trochy ognia i na poczerpnięcie trochy wody z dolku». Ustawicznie się mury Rzeczypospolitej waszej rysują, a wy mówicie: «Nie, nie! nierządem stoi Polska!» Lecz gdy się nie spodziejecie, upadnie i was wszytkich potlućce! Bych był Jeremiaszem, wziąłbych pęta na nogi i okowy, i łańcuch na szyję i wołałbych na was grzeszne, jako on wołał: «Tak spę-

¹ wartoby dotknąć. ² t. j. na życiu. ³ niewolnicy. ⁴ Ten ustęp dodał Skarga dopiero do trzeciego wydania *Kazań Sejmowych* (1610); nadto pominął w tem wydaniu całe kazanie o monarchji. ⁵ gdybym był. ⁶ lysta = lydka.

lają pany i pożoną¹ jako barany w cudze strony». I ukazałbych zbutwiałą i zgnojoną suknię, którą trząsnąwszy, gdyby się w perzyny rozleciała, mówilbych do was: «Tak się popsuje i w niwecz obróci, i w dym a w perzynę pójdzie chwała wasza, i wszystkie dostatki, i majątności wasze!» I, wziąwszy garniec gliniany, a zwoławszy was wszystkich, uderzyłbych go mocno o ścianę w oczach waszych, mówiąc: «Tak was pogruchocę — mówi Pan Bóg — jako ten garniec, którego skorupki spoić się i naprawić nie mogą!» Bych był Ezechijelem, ogoliwszy głowę i brodę, włosybych na trzy części rozdzielił. I spaliłbych jedną część, a drugąbych posiekał, a trzeciąbych na wiatr puścił i wołałbych na was: «Jedni z was poginiecie głodem, drudzy mieczem, a trzeci się po świecie rozproszycie». I nie wychodziłbych z mieszkania mego drzwiami ani oknem, alebych ścianę przekopał, w rzeczy² uciekając, i wołałbych na was: «Tak się z wami zostanie, żadne was zamki i twierdze nie obronią, wszystkie nieprzyjaciel wywróci i was pogubi!...» Bójcie się wždy tych pogróżek! Jać objawienia osobliwego od Pana Boga o was i o zgubie waszej nie mam, ale poselstwo do was mam od Pana Boga i mam to poruczenie, abych wam złości wasze ukazał i pomstę na nie, jeśli ich nie oddalicie, opowiadał. Lecz tą «pogróżką» nie kończą się *Kazania Sejmowe*: w sercu kaznodziei tli się jeszcze ognik nadziei, że się Polska upamięta; więc modlitwą do Boga, żeby «dał pomoc do powstania i pokuty na odmianę dekretów i pogróżek swoich», kończy się kazanie ósme i ostatnie.

Te są przewodnie myśli i uczucia *Kazań Sejmowych*. Skupiło się w nich wszystko, co tylko było mądrego, szlachetnego i świętego w naszej literaturze patriotycznej XVI wieku. A chociaż były głosem wołającego na puszczy, to jednak w historii literatury pozostaną na wieki, jako największe arcydzieło wymowy kaznodziejskiej w Polsce i jedno z największych na całym świecie; jako nieprześcigniony wzór odwagi obywatelskiej; jako najsilniejszy w Polsce XVI wieku głos, nawołujący w imię Boga do ratowania ojczyzny; jako wspaniała pomnik miłości ojczyzny jednego z najlepszych jej synów.

¹ czasownik gnać odmieniał się tak: żonę, żeniesz, żenie, żeniemy, żenicie, żoną. ² nibyto.

LITERATURA WIEKU XVII

ROZDZIAŁ V

Wiek XVII

Zanikanie mądrości i piękna

68. Literatura nasza w wieku XVII nie utrzymała się na tym wysokim poziomie, na jaki się wzniosła w stuleciu XVI: posiada wprawdzie utwory tak piękne, jak poezje łacińskie Sarbiewskiego, *Sielanki* Szymonowicza, *Roxolanki* Szymona Zimorowicza i *Psalmody* Kochanowskiego, tak kunsztowne, jak liryki Jędrzeja Morsztyna, tak niepospolite, jak kazania Birkowskiego, *Wojna Chocimska* Potockiego i *Pamiętniki* Paska, — a jednak, naogół biorąc, jest od literatury wieku złotego znacznie niższa, traci bowiem stopniowo to, co w stuleciu XVI było główną jej ozdobą i chwałą: mądrość i szlachetność treści, oraz piękno formy.

Ten zaś upadek literatury tłumaczy się upadkiem oświaty. W wieku XVI oświata była nietylko wysoka, ale i szeroka: nietylko szlachta, ale i mieszczenie garnęli się do nauki, uczyli się nawet i chłopci, czego najpiękniejszym dowodem — Janicki. Teraz chłopci, coraz to silniej uciskani, nie biorą udziału w życiu umysłowym Polski, a miasta, coraz to więcej upadające — o wiele mniejszy, niż dawniej. Szlachta zaś uczy się wprawdzie, ale już nie tak, jak dawniej, i nietylko zagranicą, jak w XVI stuleciu, ile w domu; w domu zaś mnożyły się szkoły, lecz nie odpowiadały swemu zadaniu, bo ani nie rozwijały umysłu, ani nie kształciły charakteru.

Najgorliwiej krzętałi się około oświaty jezuiti, których sprowadził był do Polski Hozjusz (jeszcze za Zygmunta Augusta) — do walki z reformacją. Za najskuteczniejszą broń do tej walki poczytywali oświatę, zakładali więc szkoły w Koronie i na Litwie i szybko umieli sobie zjednać zaufanie ogółu, i to nietylko schlebaniem szlachcie i podbijaniem bębena magnatów, ale także rygiorem szkolnym i systematycznością nauki. Czegóż jezuiti uczyli? Głównie troszczyli się o to, aby uczniowie byli prawowiernymi katolikami: osiągnęli ten cel w zupełności, ale jednocześnie zatruli serca duchem fanatyzmu, nietolerancji, nienawiści względem wszystkiego, co niekatolickie; a i umysłów nie rozwijali, owszem, ogłupiali je raczej, bo, poza religją i dewocją, uczyli prawie wyłącznie łaciny: znajomość gramatyki łacińskiej (według osławionego podręcznika jezuitę hiszpańskiego, Alwara) i kilku autorów rzymskich (mocno okrojonych), rozmowy i dysputy łacińskie, wygłaszanie szumnych, a głupich oracyj łacińskich, zwłaszcza panegirycznych, to jest schlebających komu się tylko dało, oraz deklamowanie poezyj łaciń-

skich, które musieli wysmażać sami uczniowie według gotowych recept — oto główny zakres nauki w szkołach jezuickich. Były wprawdzie jeszcze inne szkoły, zakonne i niezakonne, i one jednak nie krzewiły rzetelnej nauki, ponieważ, pragnąc współzawodniczyć ze szkołami jezuickimi, tak samo, jak one, dbały nadewszystko o prawowierność katolicką i naukę łaciny. Wychodziła tedy ze szkół młodzież z ciasnym poglądem na Boga, świat i ludzi: wierzyła, że Bóg jest tak dobry, iż nie dopuści upadku Polski; nie rozumiała, że Bóg wtedy tylko ludziom pomaga, kiedy oni sobie sami pomagają; myślała, że, kto umie paplać po łacinie (a jaka to była łacina, Boże się zmiłuj), ten już rozumy całego świata pojadł; wynosiła ze szkoły nienawiść różnowierców, a nadto przewrotny pogląd na t. zw. równość szlachecką, głoszący, że, skoro szlachcic szlachcicowi równy, więc szlachcic nie ma obowiązku słuchać szlachcica, choćby ten był wojewodą: przecie szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, a i królem dzięki zasadzie oibieralności każdy szlachcic urodzony może zostać! I jakże wobec tego szlachcic miał szanować władzę?

Lecz oplakany stan szkolnictwa to nie jedyna przyczyna upadku oświaty, a zatem i literatury: przecie i w XVI w. szkoły krajowe nie stały wysoko, a jednak społeczeństwo było oświecone. Dlaczego? Dlatego, po pierwsze, że oświecać się miało ochotę, a po drugie, że sprzyjało temu samo życie, polityczne i religijne. W w. XVII tymczasem ochota do nauki znikła, ale bo też inaczej, smutniej płynęło życie.

Dawniej rwała się szlachta do oświaty, rozumiejąc, że bez niej nie wywalczy sobie tego, do czego dążyła: wolności politycznej. Celu dopięła: złota wolność, okupiona niewolą chłopów, upadkiem miast, uszczupleniem władzy i powagi królewskiej, stała się rzeczywistością: więc poco i naco wysilać sobie głowę nad naprawą Rzeczypospolitej, kiedy lepiej już być nie może? pozostaje jedno: dopilnować, aby wszystko zostało po staremu, aby złota wolność nie uciekła! Ze ona wprost do niewoli prowadzi, tego nie rozumiała szlachta; że jest nierządem, rozumiała, ale wierzyła w potworną zasadę: «Nierządem stoi Polska». To też dzieje wewnętrzne Polski XVII w. to dzieje nierządu. Rokosz Zebrzydowskiego do reszty osłabił władzę i powagę królewską. Magnaci coraz to więcej «kurczyli miłość ojczyzny w swoich domach i pojedynkowych pożytkach»: kurczyli ją i ci, co za Zygmunta III prowadzili na własną rękę wojny z Moskwą i Wołoszą, i Jeremi Wiśniowiecki, który samowolnie zerwał rozejm z Kozakami, i stokroć gorsi od nich jawni zdrajcy: Hieronim Radziejowski, Krzysztof Opaliński, Janusz Radziwiłł, Jerzy Lubomirski. A głupia szlachta dała się za nos wodzić tym i innym «królikom», którzy bałamucili ją, przekładając, że największym wrogiem złotej wolności jest król. To też, jak ognia, bała się szlachta wszelkich pomysłów i zamiarów królewskich, a unicestwić je było niemiętno wobec zasady jednomysłności sejmowej; ta zaś w r. 1651 przybrała postać *liberum veto*, które wprawdzie nigdy nie było prawem, ale które się stało obowiązującym zwyczajem; a nadto było w mniemaniu szlachty najpewniejszą rękojmnią złotej wolności; wobec tego o poprawie Rzeczypospolitej nie mogło być mowy: w drugiej połowie XVII w. zerwano siedemnaście sejmów! Straszne ciosy, godzące w Polskę — wojny kozackie, moskiewskie, szwedzkie — otrzeźwiły szlachtę, ale tylko na chwilę: zaczęła już myśleć o poprawie skolataniej ojczyzny, ale zamiary te unicestwił rokosz Lubomirskiego, rokosz, w którym brały udział całe stada szlacheckie — nie ze zlej

woli, lecz w przekonaniu, że walczą w obronie wolności. Niemniej dobitnie świadczy o zupełnem oglupieniu politycznem szlachty wyniesienie na tron takiej nicości, jaką był Michał Wiśniowiecki. Świetne zwycięstwa Sobieskiego-hetmana pod Chocimem i Sobieskiego-króla pod Wiedniem nie ocaliły Polski od upadku: były to już ostatnie błyski zachodzącego słońca; Rzeczpospolita leciała w przepaść — nie dla braku męstwa, tylko dla nierządu.

Jak życie polityczne, tak i religijne smutny przedstawia widok. Katolicyzm zwyciężył już w ostatniej ćwierci XVI stulecia, lecz jednym z objawów jego zwycięstwa stała się nietolerancja, która w XVII stuleciu święci swoje straszne triumfy w całej Europie zachodniej: jest to przecie wiek wojny trzydziestoletniej. Zygmunt III nie uszanował konfederacji warszawskiej z r. 1573, zapewniającej dysydemtów swobodę wyznania i równouprawnienie polityczne: na burzenie kościołów ewangelickich przez sfanalizowane tłumy spoglądał przez palce i, jak mógł, tak nie dopuszczał protestantów i kalwinów do urzędu. Ze szczególną jednak zawziętością zwrócono się przeciwko arjanom: za Jana Kazimierza zapadła na sejmie uchwała (1658), wydalająca ich z granic Polski. Względem unitów i dyzunitów (t. j. tych prawosławnych, którzy nie przyjęli unji brzeskiej z roku 1596) także nie było tolerancji, skoro np. ani biskupom unickim, ani archijerejom prawosławnym nie dano krzesła w senacie; ta zaś nietolerancja w połączeniu z uciskiem ludu na Rusi doprowadziła do straszliwych wojen kozackich. Wreszcie nietolerancja doszła do tego, że szlachcicowi Lyszczyńskiemu wytoczono proces o ateizm, i sejm skazał go na spalenie żywcem (1689); (w ostatniej dopiero chwili, kiedy skazańca, po wyrwanju mu języka i ucięciu prawej ręki, miano wrzucić do ognia, ulitował się nad nim Sobieski i kazał go ściąć, tak że spalono już trupa). Był to zresztą wypadek odosobniony: i wogóle nietolerancja religijna w Polsce była stokroć mniejsza, niż w Europie zachodniej, np. w państwie kościelnem albo w Hiszpanji.

Współcześnie z zanikiem tolerancji religijnej i z wzrastającym oglupieniem politycznem szlachty nikła wolność myśli i słowa wogóle: z jednej strony duchowieństwo tępiło pisma, które się sprzeciwiały nauce Kościoła i zasadom moralności, i wydawało tak zwane indeksy (spisy) książek zakazanych, a z drugiej szlachta coraz to krzywiej patrzyła na śmiałków, którzy się ważyli dowodzić, że złota wolność prowadzi Polskę do zguby. Krzywo patrzeni na takich śmiałków i jezuiti, schlebający szlachcie, czego jaskrawym dowodem jest np. to, że, kiedy w r. 1610 Skarga wydawał na nowo swoje *Kazania sejmowe*, nie pozwolili mu na przedruk kazania o monarchji, w którym złotą wolność nazywa piekielną!

Tak więc w w. XVII zanikły te dwa czynniki, które w XVI były tak potężnymi pobudkami i dźwigniami oświaty. Zadowolona z siebie i złotej wolności, nie przezuwająca nieszczęścia, przekonana, że «jakoś to będzie» — straciła szlachta ochotę do nauki: uczyła się wprawdzie, ale głównie dlatego, że taki był już zwyczaj, że tak wypadło...; tego zaś, że postęp umysłowy jest jednym z głównych warunków potęgi narodu i państwa, już nie rozumiała. W wieku XVI uniwersytety zagraniczne roily się od Polaków; teraz młodzież szlachecka prawie nie myśli o kształceniu się zagranicą; zagranicę wyjeżdżają niemal wyłącznie magnaci, i to nietylę dla nauki, ile raczej dla przetarcia się po świecie; ogół zaś szlachty, nieczuły na to, co się na szerokim świecie dzieje, najczęściej poprzestawał na tem, co dom dawał, a dom dawał tak mało! Nieuniknionem zaś następstwem tego zado-

mowienia było zerwanie związku pomiędzy umysłowością zachodnio-europejską a polską, które było dla kultury polskiej straszliwszą jeszcze klęską, niż ciągle wojny; Europa zachodnia, z Anglią i Francją na czele, szła naprzód, Polska stała w miejscu, a w drugiej połowie XVII w. i w pierwszej XVIII cofała się nawet; po stu latach dopiero zaczęła Europę gonić, ale już nie dogoniła, podobna do owego lekkomyślnego zajęcia z bajki, co to spał spokojnie, a kiedy się ocknął, to nie dogonił nawet... żółwia.

69. «Taki wieszcz, jaki słuchacz», mówi Mickiewicz; taka literatura, jaka oświata. Społeczeństwo było ciemne i traciło upodobanie w książkach mądrych i poważnych, to też ukazywało się ich coraz mniej. I teraz nie brakło wprawdzie ludzi, którzy, zdając sobie sprawę, na co się zanosi, cięli szlachcie gorzką prawdę w oczy (np. Starowolski albo Opalińscy); ale w drugiej połowie XVII w. takich ludzi było już mało, a nadto, widząc, że ogół zatyka sobie uszy na słowa prawdy i że wogóle nie lubi rzeczy poważnych, nie ogłaszali ci ludzie swoich pism drukiem; takim np. był Wacław Potocki. Otóż jest to niezmiernie ciekawy (a zarazem smutny) objaw umysłowości polskiej XVII wieku, że najpiękniejsze utwory literatury często spoczywały w rękopismach; w druku ukazują się dopiero w XIX i w XX wieku, dzięki gorliwości uczonych badaczy. Tak np. Zbigniew Morsztyn, arjanin, napisał po wypędzeniu arjan z Polski rzewną *Pieśń w ucisku*:

Obrońco uciśnionych, Boże litościwy!
Usłysz krzyk sierot Twoich, usłysz płacz rzewliwy!
Ciężka krzywda, o Boże! Ty na Twojej ziemi
Wszystkich cierpisz; Twe słońce promieniami jasnemi
Złych i dobrych oświeca, Twój deszcz kropi ziemię
Złych i dobrych pospolu: a tu ludzkie plemię,
Samo na się zajadłe ciężko, następuje
Na swych bliźnich i z Twojej ziemi ich ruguje,
Którąś przestronną stworzył, a my nie możemy
W niej żyć, choć, że i dla nas stworzona jest, wiemy.
Ty, zdawszy rządy królom, wielowładny Panie,
Nad sercem i sumnieniem ludzkim panowanie
Sameś sobie zostawił, aleć się wdzierają
W Tve prawa i gwałtem je ludzie odbierają...

Jedna to z najdrogocenniejszych perełek liryki staropolskiej, ale drukiem ogłoszoną ją dopiero za naszych czasów — w w. XVII szlachta ryknęłaby z pewnością na heretyka, który śmiał się za heretykami ujmować. I takich przykładów możnaby przytoczyć mnóstwo; a tak szlachetne uczucia i mądre myśli musiały się ukrywać i tym sposobem nie mogły oddziaływać na opinię publiczną.

Coraz częściej zato ukazywały się stare powieści średniowieczne, o Aleksandrze Wielkim, o siedmiu mędrkach, o pięknej Meluzynie i t. p., oraz powieści nowe, fantastyczne, tak zwane romanje, po większej części przerabiane lub tłumaczone z literatury obcej, wierszem i prozą, nieraz plotące troje niewidy, pełne dziwacznych pomysłów i banialuk, np. o królewnie Baniałuce, albo o «Strasznym bohaterze», który bywał na bankietach u «Neptuna, boga morskiego» i u «Marsa, boga wojennego», śniadanie jadał u «pana

Słońca», z którym był «w bardzo dobrej przyjaźni i konfidencyjnej wielkiej», a raz nawet «na chrzcinach Jowiszowych kumem Saturna został».

Ukazywało się równie coniemiarą panegiryków, t. j. wierszydeł i mów pochwalnych, polskich i łacińskich, wygłaszanych przez księży i nieksięży na chrzcinach i pogrzebach, na zaręczynach i weselach, przy uroczystych wjazdach króla i dostojników do miast, słowem, przy każdej sposobności; wynoszono pod niebiosa nieboszczyków, choćby ci żadnej zasługi nie położyli, wielbiono ich cnoty, choćby nawet byli wierutnymi łotrami; palono kadzidła na cześć żywych, i odurzala się niemi szlachta i magnaci, coraz to więcej z siebie zadowoleni, tem więcej spragnieni pochwał i pochlebstwa, im mniej na nie zasługiwali. Ten głupi zwyczaj wtargnął nawet do wymowy sejmowej: pochlebiano sobie nawzajem, zamiast radzić o ratowaniu ojczyzny. Wprawdzie panegiryki istniały już w w. XVI, ale było ich stosunkowo mało; w XVII tymczasem zachwasciły literaturę.

Lecz lwia część literatury XVII w. stanowią pisma religijne i ascetyczne: żywoty świętych, modlitewniki, pobożne ćwiczenia duchowne i rozmysłania, wiersze na cześć Matki Boskiej i świętych, oraz całe stosy kazań, które często bywały albo tak mądre, że słuchacze ich nie rozumieli, albo tak głupie, że, zamiast budować słuchaczy, bawiły ich tylko, a czasem nawet gorszyły. Ulatywał z kaznodziejstwa XVII w. mądry i szlachetny duch obywatelski, który ożywiał kazania Skargi: kaznodzieje oburzają się wprawdzie po dawnemu na zepsucie obyczajów, na pijaństwo i zbytki, na ucisk ludu wiejskiego, ale jednocześnie schlebiają często szlachcie i uczą ją, że ze wszystkich narodów Pan Bóg najbardziej umiłował sobie Polskę, że Najświętsza Panna opiekuje się szczególnie Polską, jako jej królowa, której się można najlepiej przypodobać, bijąc Turków i heretyków, bo oni «Przenajświętszej Paniencie dyzgusta czynią». A naród wierzył tym bredniom, wierzył, że jest narodem wybranym, że rząd polski jest najlepszym na całym świecie. I jak nie miał wierzyć, kiedy w tem przekonaniu utwierdzali go i pisarze świeccy, taki Fredro naprzykład, który dowodził, że Polska póty będzie potężna, póki istnieje *liberum veto!* Otóż obniżanie się poziomu myśli, zanikanie mądrości i ducha obywatelskiego to pierwsza główna cecha literatury naszej XVII stulecia, cecha treści.

A drugą, cechą formy, jest zanikanie piękna czyli zepsucie smaku estetycznego. Uwydatniło się ono, pomiędzy innymi, w tem, że bardzo często tracano poczucie różnicy pomiędzy prozą a poezją. Niektórzy np. pisarze, nie rozumiejąc, że nie każdy przedmiot nadaje się do poezji, pisali rozprawy polityczne i moralne, oraz dzieła historyczne, albo opisy podróży — wierszem, w tem miłym złudzeniu, że to poezja. Inni, zwłaszcza mało wykształceni, zatracili poczucie między mową potoczną a stylem literackim; ponieważ zaś mowa potoczna szlachty zarówno, jak mieszczaństwa polskiego w XVII w. nie grzeszyła elegancją, więc i w piśmie nie stronili bynajmniej od wyrażań nadto pospolitych, często rubasznych, jeszcze rubaszniejszych od wyrażań Reja. Ogromna jednak większość pisarzy XVII wieku, bardziej wykształconych, im dalej w czas, tem głębiej wpadała w drugą ostateczność: zarówno poeci, jak prozaicy, coraz mniej rozumieli tę prawdę, że najwyższe nawet piękno nie unika, tylko, przeciwnie, szuka prostoty i naturalności. Najwspanialszym dowodem tej prawdy jest poezja Mickiewicza i proza Sienkiewicza; a i w XVI wieku świadczy o tem bardzo wymownie, oprócz poezji Kochanowskiego, proza Orzechowskiego, Górnickiego, Bazylika, a nade-

wszystko Skargi. Tymczasem w wieku XVII niemal większość pisarzy, w słusznym przekonaniu, że się język literacki powinien szlachetnością i ozdobnością różnić od mowy potocznej, przesadzała w ozdobności, przez co wpadała w nadmierną sztuczność stylu, która dzisiaj wydaje się nam to niesmaczną, to śmieszną, ale która wówczas bardzo się ludziom podobała: widocznie znudziła się im prostota. I właśnie nadmierna sztuczność stylu jest najważniejszym objawem zepsucia smaku estetycznego i znamiennej cechą literatury naszej w XVII wieku: panuje w niej tak zwany styl barokowy.

Pierwsze jego ślady są już w wieku XVI, i to nawet u bardzo znakomitych pisarzy: poezja Szarzyńskiego, przy całej swojej piękności, nie ma już tego wdzięku prostoty, którą jaśnieje poezja Kochanowskiego. Nawet w pismach Skargi trafiają się wyrażenia, przeładowane ozdobnością, np.: «Bez miłosierdzia cnoty inne są jako dom bez jednej ściany, ptak bez jednego skrzydła, potrawa bez soli, mowa bez prawdy, wiara bez uczynków»; są i takie szluczne metafory, jak: «niech się zatrzęsie ziemia serca mego, na Mękę Twoję» (Chrystusa) «patrzac», albo: «ruszyć się sam nie mogę z tego dołu upadku grzechów moich, jeśli... na konia łaski Twej» (Chrystusa) «wsadzony nie będę»; jest i taka przestroga, żeby na «oziębłość, nikkzemność i ziewanie flegmatyckie katolików niektórych» częściej używać «musztardy Królestwa Bożego» (!!).

Co w XVI wieku było tylko wyjątkiem, to w XVII stało się regułą, którą już w szkołach, zwłaszcza jezuickich, wbijano w młode głowy: pamiętajcie, ośle, że głównym celem wymowy, poezji i wogóle literatury jest przemawiać nietyłe do umysłu i do serca, ile do wyobraźni, nie wzruszać, tylko zadziwiać, olśniewać czemś niezwykle. Otóż cel ten osiągnąć z pomocą sztucznego stylu. W imię tej reguły, zamiast nazywać rzeczy po imieniu, uciekano się do omówień czyli peryfraz: zamiast np. «człowiek enotliwy» pisano «ekonom Męki Jezusowej», albo «niebieskiej sławy faktor»; zamiast «oczy» — «okna ciała, przez które dusza łzami się pokazuje»; zamiast «człowieka dawno śmierć zabrała» — «człowiekowi śmierć przed laty dotrzęsła zegarka»; zamiast «głowa» — «przybytek milego dowcipu»; zamiast «grzmia działa» — «odlewani z miedzi ryczą smoczy». Ulubionym środkiem omówień była mitologia; chwyłali go się już wprawdzie pisarze XVI stulecia, i to nietylko taki Strykowski, albo Klonowicz, ale i sam Kochanowski; lecz w wieku XVII przebierano wszelką miarę: pisano np. «Sarmackiego Marsa krwawe dzieje» (zamiast «wojny polskie»), «otchnął Mars popędliwy i wściekle Gorgony — pod się padalcorode wtuliły ogony» (zamiast «pokój zakrólował»); «na nogi wstanie długie swoje Oryjon i zapieje kur z pod strzechy» (zamiast «słońce wstało»); «namdlały koła Tytanowe» (zamiast «upał zelżał»). Lecz głównym polem, na którym się popisywano szumnemi peryfrazami, były tytuły książek, np.: *Trąby żalosci* (mowa pogrzebowa); *Purpura zbawienna, kaznodziejskim stylem uszyzowana* (kazania o zbawieniu); *Ogród, ale nie plewiony, bróg, ale co krok to inszego zboża, kram rozlicznego gatunku* (wiersze różne) i t. p.

Lubowano się także w jaskrawych przeciwieństwach (antytezach), w wyolbrzymionych przesadniach (hiperbolach) i zbyt dalekich przenośniach (metaforach): «Bez ciebie mi wzrok padnie, choć w samo południe, — a z tobą o północy słońce wstaje cudnie», mówi pewien poeta do swej kochanki; zapewnia ją, że kona od jej śmiechu, a zmartwychwstaje od płaczu, wyrzueca

jej, że «piołunem ma serce, a nektarem usta»; inny poeta skarży się, że miłość rozżarzyła w jego sercu tak wielki ogień, że na jego zagaszenie nie wystarczy całemu oceanu. Jeszcze inny, mówiąc o miłosierdziu bożem i o tęczy po potopie, posługuje się taką metaforą, że Pan Bóg «ujął gniew sprawie dliwy przez niebo popręgiem» (to jest niby osiodłał konia swego gniewu) «i wiecznie malowaną zawiązał obręczą swój arsenał». Sadzono się na tak dziwaczne pomysły (koncepty), jak ten np., że kaznodzieja ofiaruje pobożnym słuchaczom na gwiazdkę różne kokoszki, albo ten, że zakochany poeta podobny jest do smolnego lucywa. Często unikano naturalnego szyku wyrazów i posługiwano się przekładniami, nieraz tak zawikłanymi, że, aby zrozumieć, o co chodzi, trzeba sobie nasamprzód «zrobić konstrukcję»; oto jeden np. poeta skarży się, że, po śmierci żony i dzieci, nie mu nie pozostaje, tylko «żebym pisał nagrobki w moim domu pustem — rzewnych łez, które z oczu płyną, inkaustem»¹; inny tak buduje zdanie: «Noc tę miała — spokojniejszą nad inne i aż do dnia spała — smaczno bardzo białego». Lubiono także dla wyrażenia najprostszej myśli posługiwać się całym arsenalem wyrazów i obrazów; oto np. jak pewien poeta (Jędrzej Morsztyn) opisuje swój *Stan oplakany* (to jest miłość bez wzajemności): «moje życie» jest «żałości pełne, ciemnością nakryte, — głodne pokoju i w troski uwite», — «skąpane we łzach, stałe w złym humorze, — przykrsze, niżli noc, burzliwsze, niż morze, — ognia gorętsze, chłodniejsze, niż mrozy, — słabsze, niż plewy, krętsze, niż powrozy, — błędniejsze, niż ptak, jako żółw leniwe, — spokojne, jak wiatr albo srebro żywe». Ta gadanina zaraziła nietylko poezję, ale i prozę: i w niej na poparcie jakiejś myśli przytaczano całe mnóstwo przykładów i sentencji, żeby olśnić czytelnika uczonością.

Wszystkie te znamiona stylu można sprowadzić do wspólnego mianownika: jest nim brak prostoty i naturalności. I bardzo ciekawą jest rzeczą, że prosta i naturalna poezja Kochanowskiego przestała ludziom smakować: w pierwszej ćwierci XVII wieku ukazały się jeszcze trzy wydania zbiorowe jego poezyj, ale w drugiej — już tylko dwa; wydanie z roku 1639 było ostatniem w XVII wieku; na nowe wydanie trzeba było czekać... aż do czasów Stanisława Augusta!

Autorów rzymskich czytuje się podawnemu w szkołach, językiem wykładowym jest podawnemu łacina, więc jej znajomość jest wśród szlachty równie powszechna, a nawet powszechniejsza, niż dawniej: cóż z tego, kiedy, w miarę zanikania ochoty do nauki, mija i ten zapal do starożytności, jakim się odznacжали nasi humaniści XVI wieku: to też znajomość literatury rzymskiej staje się coraz powierzchowniejsza, a greckiej nie zna już prawie nikt! Na początku XVII wieku byli jeszcze prawdziwi humaniści, którzy znali wybornie literaturę starożytną i kształcili sobie na niej poczucie piękna (takim był nadewszystko Szymonowicz), ale później już ich niema. Niedosyć na tem, kiedy humaniści XVI wieku zachwycali się najznakomitszymi pisarzami rzymskimi: Wirgiljuszem, Horacym, Cyzeronem, Cezarem, pisarze nasi XVII wieku woleli od nich takich autorów, jak Lukan, Marcjalis, Seneka (filozof), Kwintyljan, to jest autorów z epoki, w której się smak estetyczny zaczął już psuć; wpływ tych autorów przyczynił się w niemałym mierze do zepsucia smaku u nas.

Inną zaś przyczyną był przykład literatury włoskiej, która zaczęła się

¹ atrament.

psuć już w drugiej połowie XVI stulecia, a którą znali i naśladowali pisarze z możnych rodów, często bawiący zagranicą, poeżęści zaś i pisarze ze szlachty, przebywający na dworach możnowładców. Ukochanym poetą włoskim był u nas Marini (1569—1625), autor poematu *Adonis* (o Wenerze i Adonisie) i wielu poezyj lirycznych.

Jak styl, tak i język uległ w XVII wieku zepsuciu: już w wieku XVI zaczął się zwyczaj przeplatania mowy polskiej wyrazami i całemi zdaniemiami łacińskimi; w XVII wieku tak zwane makaronizmy utrwaliły się i zagęściły niepomrotnie zarówno w mowie potocznej, jak i w niektórych gałęziach prozy (w panegirykach i wogóle w wymowie świeckiej, w broszurach politycznych, w listach, w pamiętnikach); poezja i wymowa kościelna są po większej części od niej wolne. Oprócz makaronizmów, szpecono mowę ojczystą innemi jeszcze wyrazami cudzoziemskimi, zwłaszcza włoskimi. Wogóle język literacki XVII wieku, chociaż nieraz przewyższa język wieku XVI dosadnością zwrotów i bogactwem słownika, nie może się z nim, naogół biorąc, nawet równać pod względem czystości i szlachetności.

Lecz nie o same tylko straty przyprawił naszą literaturę XVII wieku styl barokowy; pomimo zepsucia smaku estetycznego, poczyniła literatura nowe zdobycze, i to w dziedzinie nietylko formy, ale i treści.

Żeby olśnić czytelnika, pisarze tego stulecia często wprowadzie przebijają miarę w ozdobach stylowych, tak że forma ich utworów (inaczej, niż w XVI wieku) ma nieraz przytłaczającą przewagę nad treścią, jak np. w przytoczonym wierszyku Jędrzeja Morsztyna: jednak, dzięki pogoni za ozdobnością stylu, udoskonalały się sposoby wyrażania pomysłów, czyli, innemi słowy, rozwijała się tak zwana technika pisarska; tak np., w dziedzinie poezji przybyło całe mnóstwo nieznanych poetom XVI wieku strof; w poezji Szymona Zimorowicza ich bogactwo jest wręcz olśniewające. Niedosyć na tem: styl staje się w XVII wieku bardziej malowniczym, niż w XVI. Opisy natury są i częstsze, i o wiele bogatsze w wyrazy, oznaczające barwy, światła i cienie; a prócz opisów natury są, w poematach historycznych i powieściach fantastycznych, opisy błyszczących gmachów, tudzież różnych jaśniejących przepychem uroczystości, a także krwawych i wrzaskliwych bitew, których opis wymagał wyrazów, oznaczających dźwięki i ruchy. Słowem, styl bardzo się wzbogacił; czasem (ale dopiero w XVIII i XIX wieku) zepsucie stylu zniknie, lecz nowe jego nabytki pozostaną już na zawsze. Pozostaną i nowe nabytki treści. Literatura jest w XVII wieku wierniejszem zwierciadłem życia społeczeństwa, aniżeli w wieku XVI, kiedy to pisarze kreślili wprowadzie obrazki, wprost z życia wzięte (zwłaszcza Rej), ale daleko częściej, przejęci szlachetnym duchem obywatelskim, uczyli, jakim życie być powinno. Wprowadzie i wśród pisarzy w. XVII nie braknie takich nauczycieli (np. Starowolski), ale o wiele więcej, niż dawniej, jest pisarzy takich, którzy opisują życie narodowe, nie jakim ono być powinno, ale jakim rzeczywiście było. Epika historyczna jest bez porównania bogatsza; w w. XVI nawet Kochanowski, chociaż tak gorąco pragnął wysławiać życie narodu, nie zdobył się jednak na większy poemat epicki: teraz zaś ukazuje się mnóstwo drobnych wierszy i ogromnych poematów o wypadkach dziejowych, zwłaszcza o wojnach z Turkami, Kozakami, Szwedami i Moskwą. Ta epika, której najpiękniejszą ozdobą jest *Wojna chocimska* Potockiego, stanowi główną chwałę poezji XVII wieku. Bujnie także zakwitła poezja obyczajowa (i to nietylko szlachecka, ale i mieszczańska), tudzież satyra

i sielanka. Epika religijna, w XVI wieku bardzo jeszcze uboga, w XVII rozwinęła się bujnie: składają się na nią nietylko utwory drobne (w rodzaju *Zuzanny Kochanowskiego*), ale i wielkie poematy, opiewające, na podstawie Pisma świętego, życie Pana Jezusa, czyli tak zwane mesjady; najlepszą napisał książd Walenty Odymalski (który, jak się zdaje, jest także autorem poematu o oblężeniu Jasnej Góry).

Wogóle literatura XVII wieku, mądrością i pięknem od literatury wieku złotego bez porównania niższa, jest od niej różnorodniejsza, bogatsza nietylko w rodzaje literackie, ale i w treść. Odbiło się w niej życie owoczesnej Polski zarówno publiczne, jak domowe, ze wszystkimi swemi wadami i zaletami; nadewszystko odzwierciedlił się w niej duch pobożności, często, niestety, skażony bigoterją i nietolerancją, oraz wspaniały duch rycerski, który, mimo wszystko, wstępował w naród, ilekroć ojczyzna była w niebezpieczeństwie: jest wprawdzie w historii naszej XVII wieku hańba piławiecka, ale są także dwie wojny chocimskie, jest śmierć Żółkiewskiego pod Cecorą, jest Częstochowa i Wiedeń.

Niedosyć na tem. Coraz większą rolę odgrywa w literaturze pierwiastek osobisty: o sobie, o swoich własnych uczuciach i przygodach ludzie piszą teraz daleko więcej, niż dawniej, a stąd, z jednej strony rozwija się pamiętnikarstwo, na którego czele stoją pamiętniki Paska, a z drugiej — poezja liryczna, zwłaszcza miłosna, patryjotyczna i religijna; tak szczegółowej spowiedzi poety ze swego życia, ze swoich myśli i uczuć, jaką jest *Psalmodyja Kochanowskiego*, a poczęści także liryka religijna Lubomirskiego, nie znała poezja XVII wieku.

70. Do najciekawszych i najoryginalniejszych nowości literackich XVII wieku należy tak zwana **Literatura sowizdrzalska**. Ochrzcil ją tem imieniem największy znawca piśmiennictwa staropolskiego, Aleksander Brückner, nietylko z tego względu, że składają się na nią głównie utwory humorystyczne, przypominające rodzajem humoru starą powieść o Sowizdrzale, ale nadewszystko dlatego, że utwory te wychodziły z pod pióra rozmaitych sowizdrzałów, wesołych i złośliwych, których żywiołem były nie same puste żarty, ale także dowcipne drwiny ze wszystkiego, często zawierające w sobie poważną i trafną satyrę na rozmaite strony życia. Autorami tych utworów, które zaczęły się ukazywać w Krakowie już przy końcu XVI wieku, a których najbujniejszy rozkwit przypada na pierwsze dwa dziesięciolecia wieku XVII, byli przeważnie mieszczanie krakowscy, przeciętnie wykształceni, albo i niedokszałceni, ale nie pozbawieni pewnego zacięcia literackiego i pełni tego niewybrednego humoru, który nazywamy jowialnością staropolską: można być pewnym, że pan Zagłoba studjował w młodości daleko pilniej literaturę sowizdrzalską, niż pisma Kochanowskiego i Skargi.

Nazwiska swoje ukrywali najczęściej sowizdrzali pod pseudonimami, jako to: Jadam Nieborackowski, Frant Niebyliński, Jan Dzwonowski — generał pilziński, Józef Pięknorzycki, Mauricius Trzyprztycki, Januarius Sowizdralius i t. p. Kochali się bardzo, za przykładem Reja, w uciesznych dykteryjkach, które nazywali to facecjami, to furfanterjami, to żartami krotofilnemi, to wydworknemi powieściami. Jeden zbiór tych dykteryjek, bezimienny, wydany po raz pierwszy może jeszcze w XVI wieku, ale prawdopodobniej coś dopiero około roku 1617, ma tytuł: *Facecye polskie*; inny, późniejszy: *Co nowego albo dwór, mający w sobie osoby i mózgi rozmaite*,

z których wydworne powieści abo dworstwa... zebrane i na pospolity pożytek i uciechę są wydane przez Mauryciusa Trzyprztyckiego, Radopatrzka Gładkolwarzkiego. Oto przykłady (pierwszy — z *Facecyj*, inne — z *Co nowego*).

★ **O sołtysie, co syn jego studował.** Sołtys jeden nakładał na syna w Krakowie niemalym dostatkim; ale on nakład próżno wiódł, bo pan student więcej, gdzie szklankami dzwonią, przeleżał, aniżeli w gollegijum. Gdy mu pieniażków nie stało, powędrował do ojca, aby zaś dał pieniędzy. Nieprawie¹ się ojcu chciało, że już był nań niemalo nałożył. Prędko jakoś potem kładł ociec gnój na wóz, a synaczek dziwował się, we drzwiach stojąc. Zawoła go ociec: «Synu, ba, chodź jedno!» Przyszedł; pyta go: «Jako po łacinie widły?» Syn rzeczy: «Widlatus». «A gnój jako?» Odpowie: «Gnojatus». «A wóz?» «Wozatus», syn powiedział. Rozgniewał się ociec, dał mu widłami po łbu, mówiąc: «Trafięć ja, lotrze, taką łacinę: znać, żeś się przed szkołą uczył. Nu, lotrze, weźmiż widłatus w rękatus, nakładajże gnojatus na wozatus; niechajże już widłatus będzie twój piórkatus, a darmo mego nakładu nie traw!» — Pospolicie mówią²: «Nie z każdego żaka ksiądz będzie»; bo ono prawda: «Nie karmią łyżką nauk w Krakowie, — Kto tam ma dziatki, snadnie się dowie». ★

★ **Controversia³ niepotrzebna.** Szlachcic, który się pieczętował Ciołkiem, widząc u drugiego, uboższego, luboby to⁴ i podlejszego, że łąż bestyją swoje rzeczy zdołił i woski przyciskał, począł mu odpowiadać⁵, furią stroić, jako potężniejszy słabszego chcąc despektować, jak zwykli furijaci; jeno że i chudszemu nie wrzód był w gębie i serce nie pożyczane. Pyta go, o co by takiego nań tak srogo następował. Powiada, że «się moim herbem, a nie wiem, dlaczego, pieczętujesz». Pyta: «Niech wždy⁶ wiem, co za herb twój taki, tobie tylko samemu służący». Powie, że Ciołek. On też rzecze: «Toż się ja nie tym pieczętuję, bo u mnie musi być abo krówka, abo wołek, gdyż widzisz, że ma rogi niemale; a co wiedzieć jeszcze⁷, jeśli się ten Ciołek nie z mojej krówki abo nie z mego byczka urodził». ★

★ **Foremny rodzaj.** Gdy Kreska wyliczał swoją genealogiją, że miał ojca Turka, matkę Mazurkę, rzekł mu na to drugi: «Toś ty pół psa, pół kozy». Aż też zopytany⁸ wzajem, kłoby sam był, powiedział, że się na pograniczu rodził i miał ojca Mazura, matkę Litewkę. Na co mu pierwszy: «Toś ty sam pół psa, pół kozy». A on: «Nie każdemu się też to zdarzy, jako tobie, być psem całym». ★

★ **Lepiej być bez nosa, niż się dać żenie za nos wodzić.** Chojewskiemu, złą żonę mającemu, ucięto nos w zwadzie. Gdy go potem towarzysze i przyjaciele nawiedzali, ciesząc, on sam sobie największej dodawał pociechy, mówiąc, że «się tem najbardziej cieszę, że mię więcej żona nie będzie wodziła za nos». ★

¹ niekoniecznie. ² jest przysłowie. ³ spór. ⁴ nibyto. ⁵ kłócić się z nim, wymyślać mu. ⁶ przecie. ⁷ a niewiadomo jeszcze. ⁸ zapytany.

71. Odrębny dział literatury sowizdrzalskiej stanowią różne pieśni i śpiewki; wydawano je (podobnie jak dykteryjki) w osobnych zbiorach, np. *Pieśni, tańce i padwany¹ kwoli zabawom uczciwym szlachetnej młodzi*; albo: *Dzwonek serdeczny, do którego się co żywo na głos zbiega, tak młodzieńcy, jako i panny; albo jeszcze: Dama dla uciechy młodzieńcom i pannom, w której się zamykają pieśni, tańce i padwany rozmaite*. Są to przeważnie pieśni miłosne, często niezbyt przystojne, któremi kawalerowie dzwoniли do sere swoich bogdanek; ale nie brak i takich, które są nietylko przystojne, ale i piękne w swojej prostocie i prawdzie uczucia. Autorowie tych pieśni zasilali się obficie pieśniami ludowymi (nietylko polskimi, ale i ruskimi), starając się im nadać formę literacką, i tak przerobione pieśni powracały nieraz do ust ludu.

Żalśnie Kasinka płakała,
Gdy zamąż nieboga iść miała.
Rozczesując włosy rozkoszne,
Te słowa mówiła żalśnie:

«Włosy moje żółtozłociste!
«Wyście mnie zdobyli zaiste,
«Ostatnie² się już z wami cieszę
«I snadź już ostatnie was czeszę».

Płakała na swoje złe szczęście,
Że się jej przemienia w nieszczęście:
«Czemuś mię, zła chwilo, tak zwiodła?
«Z wesela w dom płaczu przywiodła?

«Czemuś mnie w niewolę wprawila
«A złotej wolności zbawiła,
«Ach! mojej wolności zbawiła?
«Gdzież mi się teraz podziała?

«Gdym była w panieńskim swym wieku
«Pod moich rodziców opieką,
«Jak rybkam więc sobie bujała,
«Frasunków, kłopotów nie znała.

«A teraz muszę się frasować
«I fuki i puki przyjmować?»

Płakała na swoje rodzinę,
Że młodo wydali dziewczynę:

«Czemuż mi, kochani rodzice,
«Tak mi oddajecie swe dziecię?
«Czemuż me niewdzięczne posługi?
«Wszakem wam służyła czas długi,

«Służyłam, a wiernie, nieboga!
«Cóżem wam czyniła dla Boga?
«Czym ja wam główeczki nie zmyła?
«Czym kiedy przeciwko wam była?

«Aleć się to nigdy nie znajdzie:
«Byłam wam powolna po prawdzie,

«Za stołem siedziałam, chudziątko,
«Jak jakie pieszczone zwierzątko.

«Oczkamim, jak sokół, patrzała,
«A lzy z nich, jak rosę, puszczała».
Płakała, idąca do ślubu,
Śpiewając tę piosnkę nielubą:

«Ach! moja pieszczona młodości,
«Dziś koniec uczynisz wolności!
«Nieszczęsne ja teraz stworzenie:
«Już moja już wolność o ziemię,

«I ona z młodzieńcy biesiada
«Na długi, wieczny czas upada!»
Już idąc od ojca i matki,
Żegnała rozkoszne dostatki.

I, ojca i matkę żegnając,
Płakała, u nóg im padając:
«Żegnam cię, mój gołąbku siwy,
«Żyj długo z rodziczką szczęśliwy!

«Już ci się od was oddalam,
«Bogu was miłemu oddawam,
«Za wychowanie wam dziękuję;
«Inszy mnie opiekun przyjmuje».

Ganeczek³ swój łzami skrapiała,
Na którym częstokroć sypiała,
Mówiąc: «Mój kochany pokoju!
«Żegnam się z rozkoszą już moją.

«Już więc zasypiać tu nie będę,
«Bo się stąd daleko przesiedę».
Gdy była od matki w pół drogi,
Płakała, aż mi żal niebogi.

Płaczący w domu świekruchy⁴,
Przywiodła rodzice⁵ do skruchy,
Że wszyscy rzewliwie płakali,
Jak siwe gołąbki hukali.

¹ padwan czyli padwanek = taniec włoski pad o a n o (od miasta Padwy), także — pieśń, śpiewana do tego tańca.

² po raz ostatni. ³ przedsiónek. ⁴ świekra, świekrew, świoakra, świekrucha = matka męża lub żony (teściowa). ⁵ krewniacy (cała rodzina męża).

Żałośnie pogląda po domu,
 Nie da się utulić nikomu:
 «Tuż ja to będę mieszkała?
 «Jakbym się w inszy świat dostała!
 «Już muszę tu łańcuszki te schować,
 «Niemasz się tu czasu bryżować¹.
 «I te pierścionki muszę złożyć,
 «Rękawy za łokcie założyć,
 «Już mi się z urodą nie drożyć:
 «Muszę rąk do pracy przyłożyć;
 «Małżonka tu już słuchać muszę
 «I swojej wygadzać świekrusze.

«Muszę też doglądać czeladzi,
 «I samej ruszyć się nie wadzi». W rynek ci szła, koszyczek wzięwszy,
 Dumala, przed jatki stanawszy:
 «A jakoż tu będzie kupować.
 «Nie nauczyłam się targować,
 «Bom tego u matki nie znała,
 «Gotowego tytkom czekała:
 «A teraz i sprzedać, i kupić!
 «Cóż czynić? musi się nauczyć!
 «Trzeba rzecz zrozumieć na świecie,
 «Żeby mąż nie uczył po grzbiecie».

72. Lecz nie facecje i nie pieśni stanowią lwią część literatury sowizdrzalskiej, tylko satyry, pełne komizmu. A komizm to gruby, pospolity: albo burleskowy, to jest rubaszny, albo też groteskowy, to jest wpadający w przesadę czyli w karykaturę, często fantastyczną. Ofiarą śmiechu i szyderstwa padają tu nadewszystko mieszczanie (rzadziej — chłopci, jeszcze rzadziej — szlachta): pierwiastek mieszczański, który w poezji XVI wieku ukazywał się tylko wyjątkowo (np. w *Rozmowie baranów* Marcina Bielskiego, albo w *Worku Judaszowym* Klonowicza) jest jedną z najznamienniejszych cech poezji sowizdrzalskiej. Szydzą tedy sowizdrzali z różnego rodzaju rzemieślników, z kupców, kramarzy i szynkarzy, z nauczycieli szkolnych i żaków, z lekarzy, z klechów¹, kantorów² i rybaltów³, z żebraków i próżniaków, z pątników i włóczęgów, z «gorzałkopijów» i t. d., i t. d.

Nie zapominają i o Żydach-szachrajach; w jednej np. satyrze mówi Żyd: «Przyrodzenie to własne⁴ jest oddawna naszym: — machlować⁵, szalbierować, oszukać, wymatać⁶, — potwarzyć, przedarować⁷, ukraść i pochwatać... Psa starego na łańcuch trudno przywieść, ale — trudniej Żyda do cnoty przyprowadzić w cale; — wilk chowany, żyd chrzczoney — przyjaciel obłudny, z Żyda dobry człek żaden być nie może — bo się on bez machlerstwa zapomóc nie może». Oprócz «machlerstwa», wyszydza ją satyry sowizdrzalskie tchórzostwo Żydów. Oto np. w *Wyprawie żydowskiej na wojnę* (1606) Szmoil, idąc za radą Boruchaja, namawia pospólstwo żydowskie, żeby się wyprawiło, pod wodzą swego hetmana Morduchaja, na nieprzyjaciół króla polskiego; jedzie tedy kilkuset Żydów na Podole, ale nie dojechali, po drodze bowiem spotkali się aż z trzydziestoma hultajami, którzy pobili ich na głowę i ranili im Morduchaja; więc wracają pejsaci rycerze do Krakowa i już nie myślą o nieprzyjaciolach króla polskiego.

Dotkliwie ciągi dostawały się od sowizdrzałów innowiercom, zwłaszcza lutrom i kalwinom: są to już nie satyry, ale raczej paszkwile, do których fabrykowania dzielnie pomagali sowizdrzałom jezuitci. Treść stanowią ordynarne szyderstwa z Kalwina i Lutra, z ministrów i predykantów (to jest kaznodziejów) protestanckich, z ich wiary i nabożeństwa. O tonie tych szyderstw mogą dać takie wyzwiska, jak wydmikufel, morzypiwo, świnia, świniester (zam. minister), błaznodzieja (zam. kaznodzieja) i t. p. Do ulubio-

¹ stroić się w bryże (t. j. w rozmaite hafty, łańcuszki, koronki i t. p.). ² sługa kościelny. ³ śpiewak kościelny. ⁴ śpiewak kościelny i zarazem bakałarz (nauczyciel szkoły niższej). ⁵ właściwy. ⁶ oszukiwać, szachować. ⁷ wyludzać, przekupić.

nych środków szyderstwa należą opisy pobytu Lutra i Kalwina w piekle; kiedy Luter przybywa po śmierci do piekła, djabli, nie posiadając się z radości, wydają na jego cześć wspaniałą ucztę; Luter urzyna się wódką, a trąbi ją z olbrzymiego dzbana, który nazywa dekalogiem; w piekle poczuł się raz Kalwin z Lutrem i ugryzł go w rękę, i t. p. Inny pomysł to parodjowanie śpiewów protestanckich, np.: «Błogosławcież już Pana, błogosławcie, ludzie, — bo widzicie, jak z kuchni nam pożytek idzie, — jedne rzeczy z rosółu, a drugie z korzeniem... westchniecie sercem wszyscy przy takim obiedzie: — my mamy w piątek mięso, papieżnicy śledzie». A oto jeszcze kilka słów z paszkwilu p. t. *Testament Luterski, żartownie napisany* (to jest testament, który Luter pozostawił niby po sobie): «...Odkazuję — ciało zborom¹, pludry² braciszkom leguję³. — Ministrów napominam i z ministrzycami, — żeby się wiary mojej trzymali zębami... — Minister każdy ma być w osobie osiadły⁴, — na katoliki, jako pies na morszynę⁵, zajadły... — ministru każdy ma być serdeczka śmiałego — nie ma się bać, jak tchórz, grzechu największego, — owszem, byśmy się djabłu nie dawali cieszyć, — winniśmy z swej dobroci jak najwięcej grzeszyć, — bo skoro wszystkich djabłów grzechami przejdziemy, — nie djabli nas, lecz djabłów my męczyć będziemy». Autorem *Testamentu* (1623) jest sielankopisarz Bartłomiej Zimorowicz.

Nad kobietami znęcała się satyra polska już w wieku XVI; żartował sobie z nich np. Rej, twierdząc, że to «naród mdły», a niejaki Bartosz Paprocki (pisarz bardzo płodny, który dużo więcej pisał, niż myślał, autor wielkiej księgi p. t. *Herby rycerstwa polskiego*, 1584) urągał białogłowom, ile wlażło; ponieważ sam miał wściekłą żonę, wymyślał złym żonom od ostatnich słów i taką radę dawał mężom: «Naprzód weźmi surowiec ów tęgi wółowy, — a obwiąż jej koszulę czyście koło głowy,... — bij godzinę; a jeśli nie przyobiecuje — być dobrą, otoć karę drugą pokazuję. — Za nogi ją związawszy, w kominie zawiesi, — a potem psiego sadła funt i dwa przyniesi, — smarujże co nalepiej, a kijem w nią wcieraj — z oburącz po godzinie, a potem obieraj, — spoczywając, któreby drewno lepsze było, — coby w tem złem stworzeniu upór odmieniło; — stłukłszy o nią sto kijów, zagrzeb w końskim gnoju; — bądźzieli zła, znowuż w nią, wywiódłszy z pokoju! — Bij, a rękę nie żałuj — po lędźwiach ją mocno smaruj: — węzowej jest natury, — dosięgaj dziewiątej skóry!»

Na początku XVII wieku aż się roi od satyr na kobiety, a pisali je głównie sowizdrzali, posługując się często zamiast wyrazu «białogłowa» albo «niewiasta» wyrazem «kobieta», który nie tylko w wieku XVI, ale i w XVII. uchodził za pogardliwy, bo oznaczał świniarkę. Drwili sobie tedy i z żon, i z wdów, i z panien, zwłaszcza z ich zamięłowania do strojów i z różnych «fortelów», na które się łapią głupi mężczyźni. Oto np. jak żona «małżonka swego męża pochodził pieszczotami»: «Więc się w rzeczy⁶ dla niego bielidłem smaruje, — to się w szaty ustroi, to się perfumuje, — to się k niemu uśmiecha, to rozmawia cudnie, — to się w wieczór dla niego ubierze w gielczko — a mówi: Mój klejnocie, moja perełeczko, — niechajże tu z Wasciunią będą zabawiała, — bobym zgoła na oczu snu w nocy nie miała. —

¹ zbor = kościół (protestancki). ² spodnie. ³ odkazywać, legować = zapisywać. ⁴ tłusty. ⁵ padlina. ⁶ niby.

I tak męża zniewoli, że rad nie rad musi — słuchać i czynić, co się podobają panusi».

Są satyry, wymierzone specjalnie przeciwko starym babom, umiejącym łapać sobie młodych mężów; tak np. w satyrze Prokopa Matlaszewskiego z Babożenic p. 1. *Baba abo stary inwentarz*, tak skarży się na starą połowicę małżonek (mądry po niewczasie): «W nocy spis, ona kaszle, charcha, na łóżku się przewraca, stęka, trzeszczy, wrzeszczy, czeladzi łaje, psy drażni, świece każe całą noc palić abo ogień w kominie, żeby tylko tobie w oczy... Rano... ona, jako karw¹, leży, ledwie ją dziewczka dźwignie z łoża, a niż się ubierze abo narządzi, nadejdzie południe». Często jednak skarżą się nie mężowie na żony, tylko żony na mężów: za przykładem *Sejmu niewieściego* Marcina Bielskiego, opisują i sowizdrzali takie sejmy, np. *Sejm białogłowski, który w sobie zamyka wszelakie swobody, pokoje z mężami, warując to wszystko sobie do lat pewnych, póko swego nie przewiodą według uporu, spisany roku niedawno przeszłego, dnia pierwszej niedziele, niektórego miesiąca jasnomodrego, za pozwoleniem rękodajnem wszystkich białychgłów jasnorumianych*. Jedna białogłowa skarży się na męża, «że ją pobił srodze, — że jej z głowy zawicie zleciało, niebodze. — Druga mówi, że, kiedy się wyśmiewa, ciska i misami». Schodzą się na sejmy i panny, np. w satyrze *Sejm paniński abo rozmowa o biesiadach i krotofilach mięsopustnych, tudzież o obyczajach mężów, gdzie ze dwudziestu panien każda zdanie swe podaje*. «Aczkolwiek cicho to panny gadały — i zapewne się tego spodziewały, — że tego żaden nie miał na nich wiedzieć, — przecie to jedna musiała powiedzieć — temu, w którym się była zakochała — i takci swoje drużynę wydała».

73. Ulubioną formą satyry sowizdrzalskiej była ta sama, co *Krótkiej rozprawy* Reja, to jest rozmowa. Już w ostatnich latach XVI wieku ukazało się kilka dialogów sowizdrzalskich, a na początku XVII posypały się jak z rogu obfitości. Do najwcześniejszych należą dialogi o Albertusie: *Wyprawa plebańska* (1590) i *Albertus z wojny* (1596). Pleban-sknera wyprawa swego sługę kościelnego Albertusa na wojnę z Tatarami: daje mu na drogę zdychającego konia, starą zbroję, mało żywności, ale zato dużo błogosławieństw i rad zbawiennych, np.: «W bitwie jako najdalej wzad uchodź od czoła, — na harc nie jedź, a złego razu strzeż się zgoła, — o nierówną się nie kuś, weźm' tę radę zdrową: — pomni na to, że muru nie przebijesz głową». Wraca Albertus z wojny i opowiada księdzu swoje przygody: ugrzązł w błocie, koń mu doreszty zdechl, i oto, zamiast ciągnąć na Podole, siedział sobie nasz rycerz w Bochni, sprzedął prawie całą zbroję i pił naumór, rozumując, że mu Podole nie ucieknie; wreszcie dowlókl się do obozu, ale się z Tatarami nie bił, posłuszny zbawiennej radzie księdza; przywiózł jednak bogate łupy: kilka kur, które ukradł w powrotnej drodze, oraz łuk i sajdak ze strzałami tatarskimi, które kupił od towarzysza.

Te dialogi są satyrą na skąpstwo księży, na niedołężne ruszenie popolite, na rozpustne życie obozowe, ale nadewszystko na żołnierzy-tchórzów, obdzierających ubogi lud: popularnym typem takiego żołnierza jest właśnie ów Albertus, z którym spotykamy się w wielu satyrach sowizdrzalskich.

¹ stary wól.

Innym ulubionym przedmiotem dialogów satyrycznych jest «mizeryja szkolna», to jest nędza nauczycieli ludowych, którymi byli śpiewacy i słudzy kościelni (klechy i rybałci), oraz szyderstwa z nauki języka «lackiego» czyli «latańskiego», jak ironicznie nazywano łacinę, której się nazabój uczyła szlachta, zwłaszcza w szkołach jezuickich. Oto np. *Colloquium*¹ Jana Knutla, z *Chlebówki magistrata*², w którym radzi się Szymona, towarzysza swego, czego się na świecie tych czasów jąc ma, ponieważ mu szkoła nie plaguje³ (1633). Klecha Janas, widząc, że «na tem szkolsku nie zarobi strawy», chce «udać się w rzemiosło» i prosi o radę Szymona; ten nie z jednego już pieca chleb jadał: uczył się łaciny w szkole, a śpiewu — u kantora Gardola, który śpiewał tak pięknie, że raz cielę u chłopca zdechło ze strachu, a raz bydło uciekło do lasu; uczył się muzyki u organisty i kornecisty, służył «pięć lat za woźnicę», nosił torbę za jurystą-pijakiem, był czeladnikiem karczmarza, piekarza, kotlarza, — wszędzie było mu źle, aż wreszcie dostał się na nauczyciela do szkoły i przekonał się, że w szkole mniejsza nędza, niż gdzie indziej. Słyszac to, Janas już nie chce iść do rzemiosła: «A tak już koniecznie — szkoły będę pilnował i trwał w niej statecznie, — boć ja widzę, jak owo mawiają na Rusi, — choćby przeszedł wszytek świat, wszędy robić musi». W rozmowie swej przepłatają towarzysze wyrazy polskie łacińskimi, ale taka to i łacina; cóż dziwnego, kiedy, jak opowiada Szymon, w szkole

Uczył tam Gregorius, mistrz niepospolity,
Persona prawie *grava* (!), człowiek rodowity...⁴
 Kochał się dziwnie we mnie, i wziąłem od niego
 Niezły profekt⁵; mam jeszcze i raptury jego⁶.
 Łatwiusieńko nam *certe* łacinę tradował⁷,
 Ba, i do nabożeństwa *optime* wprowadzał.
 Pomnię, jak dziś, napierwszą jego prekacyją⁸,
 Co mi się jej dał naprzód uczyć za lekcycją:
Dominus patris amen, gratias, habias,
Suripales, depemales, particas, farias,
Incisus Dominasus, bikasus Janasus
Et chloptasus dobrasus, multum rad pijasus.
 To to te jego były pierwsze *principia*,
 Aż też zaś potem większe czytał nam *studia*,
 Zwłaszcza owe Bukłagi o onym Tytorze⁹,
 Co owo kozy pasał tu, na Babiej górze...
 Pomnięć *aliquot versus*, zaraz od początku,
 Gdy tak właśnie poczynął prawić o szczeniátku:
Tytire patulae — Tyrušku szczeniátko,
sub tegmine — na kominie,
silvestrem tenui Musam — leśną ułpilem myszkę,
meditaris avena — rozmyślająca nad owsem...
paulo maiora canamus — o Pawle większym śpiewały...

¹ rozmowa. ² klecha, bakałarz. ³ dogadzać, iść na zdrowie. ⁴ «dobrze urodzony». ⁵ korzyść. ⁶ notatki (bruljony) z jego wykładów. ⁷ wyładać.
⁸ modlitwa. ⁹ Bukoliki (eklogi) Wirgiljusza (*Tytire tu recubans patulae sub tegmine fagi*).

Dalej nie mogę pomnieć, gdyż już czas niemaly,
Jako mi już te plotki¹ z głowy wywietrzały.

Czasami wkraczają sowizdrzalskie dialogi satyryczne w dziedzinę satyry politycznej, jak np. *Poselstwo z Dzikich Pól od Sowizdrzała do mało-cnotliwej drużyny* (1606). Jest to rozmowa Sowizdrzała z Marcholtem, których Pluton «wzbudził z krajów podziemnych» i przysłał do Polski, kiedy się dowiedział, że Polacy postanowili poprawić i obostrzyć prawa na różnych złoczyńców, wtrącających kraj w otchłań zguby: otóż Sowizdrzał i Marcholt mają wyprowadzić z Polski całą tę «małocnotliwą drużynę» na Dzikie Pola — «niechby się zła ojczyzna z dobrą rozstrzygnęła». Tworzą zaś złą ojczyznę, po pierwsze, pospolici łotrowie, rozpustnicy, «połocy»², gracje, błazny; po drugie, Żydzi, «którzy w Polsce i w miastach mурowa-nych — są jak czerw w zrzebie pięknym, mól w futrach kosztownych — ...Niech przyjmą do szeregu lichwiarze, szalbierze, — oszusty, lupigrosze i kupce-falszerze — ...wędzikalety³, swędry⁴, żmigrosze⁵, mitregi»⁶; po trzecie, wszyscy «jaratycy», to jest heretycy, którzy «dla swego błędu — wywracają świat, państwa i z sobą do szczędu — zagubiają zbyt głupie»; po czwarte, zdrajcy i «przekupnie» ojczyzny. «Tak, co ma wisieć w Polsce» (mówi Sowizdrzał do Marcholta), «ty na Ukrainę — wywiedź w wszelką swobodę, w przestroną dziedzinę, — chorągiew im tę podnieś: na drzewie Judasa — obieszono»⁷, a ta piękna ich okrasa».

Satyra ta, której autorem jest Jan Jurkowski (mieszczanin, bakalarz z Pilzna), należy do najstrzejszych w literaturze staropolskiej; szkoda tylko, że szpeci ją duch nietolerancji: ziarna nauki jezuickiej nie padały na skałę. A i z tego jeszcze względu zasługuje ta satyra na uwagę, że jest w niej pierwiastek fantastyczny, i to nie tylko w głównym pomysle, ale i w takim np. opisie cudownej kuracji: «Księża, doktorowie — ci, chcąc, by przyszli k sobie szaleni błaznowie — wodzą ich do apteki, gdzie dobroć i cnoty — w puszkach i w słojkach siedzą, a z pilnej ochoty — recepty i syropy świętobliwe dają... a chcąc, by z onych błaznów było co dobrego, — ślą je w koszach do młyna dobrzedziejącego; — tam ich tłuką i, w stępie⁸ mieląc pod kamieniem, — pyllują je, sieją je, a przecię z grzebieniem — bladeńskim zaś wychodzą; drugim wykurzają — ze łba mózgi szalone w piecach, skąd latają — muchy, dym, wiatr i fsiu, bziu, przecię z prózną pracą».

Lecz najfantastyczniejszą (a niezmiernie popularną) satyrą staropolską jest wydany po raz pierwszy około roku 1615 *Sejm piekielny straszliwy i examen księżęcia piekielnego, abo słuchanie liczby wszystkich czartów, co który zrobił na świecie za te lata, od strącenia z nieba aż do dnia sądnego*. Pomysł tej satyry wzięł bezimienny autor z powieści fantastycznej XVI wieku *Postępek*⁹ *prawa czartowskiego przeciw narodowi ludzkiemu* (1570). Lucyper wzywa uniwersałem wszystkich djabłów na sejm; zbierają się więc: Belzebub, «najprzedniejsze książe i senator piekielny»; Cerberus «obżarły, tłusty, brzuchaty»; Lewijatan, «książe gniewliwy»; Smółka; Pluto «książe piekielne pyszne, z wielkim orszakiem pompose¹⁰ przyjdzie; *Daemon scholaris alias*¹¹ szkolny djabeł»; Rogalec «też przyjedzie na ożogu,

¹ brednie. ² pijacy. ³ złodzieje kieszonkowi. ⁴ włóczęgi. ⁵ sknery.
⁶ próżniacy. ⁷ obiesić = powiesić. ⁸ stępa = tłuczka, koryto tłuczki. ⁹ proces.
¹⁰ z pompą. ¹¹ inaczej.

czarownik»; Asmodeus, «karczemny djabeł, przyjdzie pijany, w wieńcu, a kufel drożdży w ręku trzyma, a drugi przed nim gra na gęśliczkach i będzie pił do Lucypera»; bies, «djabeł ruski»; *Nuncius apostaticus* czyli «heretycki djabeł» i inni jeszcze. Lucyfer zagaja sejm, poczem djabli pokolei zdają sprawę ze swojej działalności na ziemi, przechwalając się psotami, jakie płatali ludziom. Pluton np. opowiada, jak to, za jego podszeptem, ludzie zadzierają nosa do góry: jest to satyra na ową «szarą pychę», którą już Rej ośmieszał, tylko że Pluton podusza do niej nie samą szlachtę, ale i mieszczaństwo. Beljal skarży się, że ludzie, kiedy wpadną w gniew, to sadzą djabłami, zwłaszcza

. niewiasty: kiedy komu lają,
Razem wszytkie djably wziąwszy, to nań wypuszczają...
Jeszcze druga nie doroście, bestyjeczka niska,
Jak się rozgniewa na kogo, to nań djably ciska.
Pacierza druga nie umie, ani się przeżegnać,
A już umie egzorcyzmy, jako djably wegnać¹.
By² go tak umiał wypędzić, jako umie wsadzić,
Żaden się mu nie odejmie³, trudno o tem radzić.
I te, co po ziemi lażą, malusienkie dzieci,
Umieją już sobie lajać: «O, Babo! w cię wleci».
A matusia mu poświadcza, abo się mu śmieje:
«Jeszcze to rozumu nie ma, nie wie, co się dzieje».
Nanusiek mu jeszcze każe: «Łaj, duszko, macierzy,
«Mów: bodajes djabła zjadła dzisiaj na wieczerzy!»

Rogalec z triumfem opowiada Lucyperowi, jak «poczynił z dobrych niewiast wielkie czarownice», które ludzi uczą głupich zabobonów: oto czarownica

Maściami się nasmaruje, a na ożóg⁴ wsiedzie...
Tam po polach i po miedzach czary zakopuje...
Kiedy się do domu wraca, kotką się przyczyni,
I sam gospodarz nie pozna, by to gospodyni.
Nuż w sobotę wielkanocną, kiedy wodę święcą,
To się wtenczas czarownice po chałupach kręcą,
Biegają około domu, brząkając w siekacze⁵,
A druga, wlazszy na gniazdo, z kokoszami gdacze;
Wziąwszy ognia święconego, dobytek⁶ nim kadzi...
Aniela z domu wypędzić, a djabła tam wegnać,
Śmieciami ciskać, gdy księża chodzą po koledzie,
Do poduszki się wyścigać tam, kędy ksiądz siedzie:
Mniema druga, że tam księdza odpusty opadły,
Więc się do nich wyścigają. Bodaj djabła zjadły!
Święcone w dzień wielkanocny wkoło domu noszą:
Aby węzów nie widali, kielbas o to proszą⁷.

¹ t. j. wegnać w tego, na którego się gniewa. ² gdyby, gdybyż. ³ nie uwolni się od niego (od wpędzonego djabła). ⁴ głownia; stara miotła.
⁵ tasaki (szerokie noże do siekania). ⁶ bydło. ⁷ Wierzono, że węże nie będą robiły szkód w gospodarstwie temu, kto obniesie święconą kielbasę naokoło domu; piorunowali na ten zabobon (i na inne) kaznodzieje polscy już w wiekach średnich.

Lecie¹ zasię, kiedy trzaska, gdy się boją gromu,
Oknem naczynie żelazne wyciskają z domu:
Siekierę, motykę, widły, łopatę i grabie,
A ziela naklaść na ogień każą leda babie...
Nie przyda się baba ni na co, jedno na czary:
Człowieka osuć², ostudzić³, osłepić, pokrzywić,
Małżeństwo k sobie ostroczyć⁴, człowieka nie żywić⁵.

Wysłuchawszy raportu swoich poddanych, Lucyfer dziękuje im za ich pracę, nie posiadając się z radości, że będzie miał w piekle tych wszystkich, którzy się dali uwikłać w sidła djabelskie; więc rozkazuje czynić przygotowania na przyjęcie miłych gości:

Wapna w pomyje namieszać, piolunu, gorczyce,
A tem będziemy częstować wszystkie pijanice...
Mam też dla ludzi opasłych mosiądzowe łoże,
Szrubami go na niem przypiąć, gdy kto spać nie może,
Węgla dobrze podsypować podeń ognistego,
A spodkiem poddymać, wzięwszy miechu kowalskiego...
Heretycy zaś osobne będą mieć mieszkanie,
Bo to naszy kochankowie, trzeba mieć wzgląd na nie:
Wprzód im nosy pourzynać i wylupić oczy...
Dobrzeby im ich języki wtył wywłóczyć szyją,
Pisma im kazać pożywać wespół z pomyjami,
Wszystkie księgi nimi skarmić, które robią sami.
Trzeba przy nich ustawicznie mieć rzeźnicze jatki:
Żaby, jaszczurki, niedźwiadki i inne dostatki...
Trzeba siarki, smoły, prochu, soli, szkła tartego,
Pieców dobrze upalonych, luczywa smolnego.
Zdrapawszy ich ośnikami⁶, nacierać ich rany,
Potem ich kłaść do kąpiele, do żelaznej wanny.
Tamże im trunki zadawać, smrodem zaraźliwe,
A bestyje kłaść w paszczęki i jaszczurki żywe;
Potem w smrodliwych kominiech wieszać nadół głową.
Tu będzie krzyk, usłyszemy niejedną pieśń nową,
Kiedy będą własne dzieci rodzice przeklinać,
Dni, których się porodzili, z żalnością wspominać;
Imię boże będą bluźnić, «ach, ach!» niestytając⁷,
Włosy na sobie targając, zębami zgrzytając.
A my im, mąk przyczyniając, będziemy służyli,
A z ich płaczu na wieki się będziemy weselili.

74. W żadnej innej gałęzi literatury XVII wieku zanikanie mądrości i piękna nie uwydatniło się tak wyraźnie, jak w kaznodziejstwie; najbardziej zaś typowym przedstawicielem wszystkich ujemnych cech stylu barokowego jest dominikanin **Jacek Mijakowski** (urodzony około roku 1600, zmarły w 1647). Kocha się on w sztucznych porównaniach i dziwacznych metafo-

¹ w lecie.

² wywołać wysypkę na twarzy.

³ nabawić plam na ciele.

⁴ zbrzydzić, gusłami miłość odwrócić.

⁵ ratować.

⁶ nóż do strugania.

⁷ wołając «niestety».

rach: więc np. Opatrzność boską przyrównywa do ogona pawia, zgodę obywateli — do jakiegoś mitycznego kamienia, do granatowego jabłka, do kupy strzał, do podróźnej karety czyli «kotezy», do lutni i do «armatniej galery», «która wleczas bezpieczniej po niebezpiecznych nawałnościach morskich płynie, kiedy kupa galjotów¹ raz w raz wiosłami wodę sieką»; jezuitów nazywa Mijakowski lwiatami, dominikanów — szczeniętami, augustjanów — słoniami, franciszkanów — jelonkami, zakonników klasztoru św. Romualda — osłami, bernardynów — bawołami; sypie, jak z rękawa, bajkami, anegdotalami, przysłowiami, sentencjami; posługuje się wyrazami, niezbyt licującymi z powagą kazalnicy, np. pypciasty, koczko-danik, bestyjeczka, ogórczy-sko, biegunka i t. d. Nieraz kazania jego sprawiają wrażenie wręcz humorystyczne, zwłaszcza kazanie p. t. *Kokosz... za kołędę dana* (1638). Oto kilka ustępów z tego kazania.

*Ubogiego kmiotek, kiedy przed panem swym stawa, aby mu powinny i poddany pokłon oddał, lub sobie załogę² i ratunek wyjednał, parę kur pod pachą, a w garści miskę glinianą jajek przynosi: wie dobrze, choć prostak, że *munera placant hominesque deosque*³, że, mówię, lada upomineczek czasem więcej u pana sprawi, niż okazała i słuszną petycja⁴, poważnemi racyjami podparta; dlatego też poczę⁵, lubo tak drobną, ale nie drobnym afektem⁶, panu swemu ofiaruje... Stawam i ja dnia dzisiejszego przed tobą naprzód, Mci X. Archipresbiter⁷, pasterzu kościoła tego, ze wszystkim kapłaństwem twojem. Stawam i przed tobą, M. P. Burmistrzu, ze wszystkimi kolegami twoimi. Stawam przed każdym z was z osobną, PP. Krakowianie i Krakowianki i wszyscy inszy zacni audytorowie. Jakoż? Jako ubogi wasz kmiotek i rolnik,... aby wam wszystkim zwyczajną, a doroczną przy pokłonie oddał daninę, biernią⁸ i kołędę:... wzięwszy kokosz pod pachę, wszystkim wam ofiarować ją będę po kołędzie. Nayczyła mi jej Ewangelija dzisiejsza, w której się sam Chrystus Pan przyrównywa do kokoszy, a synagogę żydowską do kurcząt. *Quoties volui congregare filios tuos, quemadmodum gallina congregat pullos suos sub alas, et noluisti*⁹. Ptak domowy wprawdzie, ale dziwnie pożyteczny i w gospodarstwie potrzebny; zacem rozumiem, że nią żaden nie wzgardzi, bo przy niej wiele zdrowych, a potrzebnych nauczy się może obyczajów. Pana Boga zatem prośmy, aby nas przez tę godzinieczkę za kurczątka pod skrzydła łaski swojej niebieskiej przyjął, bo inaczej onakania z krajów piekielnych i mnie do mówienia, i wam do słuchania przeskadzać będzie...

Naprzód tedy J. M. X. Archipresbiterowi... i wszystkiemu duchowieństwu... daję za kołędę *gallinam ruspantem* — kokoszkę, co rada grzebie. A to czemu? Abyście się od niej, kapłani moi, nauczyli *contemptum temporalium* — gardzić marnością świata tego. Widzieliście, kiedy kokoszka grzebie? Rzecz podziwienia godna: grzebiąc, nie ku sobie, ale wszystko za się odpycha, zarówno barłóg z posładem, czyste ziarno z pszenicą za się odmiatywa i, jakoby w niczem smaku nie miała, jakoby się jej nie podobało, ku sobie nigdy, a od siebie zawsze odrzuca. Podobno to kapłanom na przykład

¹ galjoty = majtkownie (dosłownie — spodnie; język ówczesny nie znał jeszcze ani majtków, ani majtek). ² zapomoga. ³ podarki jedną ludzi i bogów. ⁴ prośba. ⁵ poczesne, podarek. ⁶ uczucie. ⁷ arcykapłan. ⁸ dań, podatek. ⁹ ilekroć chciałem zgromadzić syny swoje, jako kokosz kurczęta swoje pod skrzydłami sgromadza, a nie chciałaś (słowa z Ewangelji św. Mateusza).

takiego obyczaju niemych kokoszek natura nauczyła, abowiem między wielą cnot, które kapłana zdobia, i ta niepoślednia,... kiedy od siebie odrzuca rozkoszy, stroje, bogactwa, dostatki i insze wszystkie *vanitates mundi*¹... Panowie szlachta! A wy jaką kokoszkę radzibyście mieli po koledzie?... Daję wam... kokoszkę na grzędzie. Rzeczę kto: «Dać to było białymgłowom, ojczę, bo to pospolitą, że, kiedy się pan rozfuryjuje, abo też rozum w kuflu utopił, to pani smyk z kurami na grzędę». O, bywać to! ale jednak co inszegom ja białymgłowom nagotował: wy bierzcie, co dają! Kokoszka, siedząca na grzędzie, ma wielką cnotę, a prawie² szlachcie przyzwoitą. Na najwyższem miejscu w domu siada ta kokoszka, bo aż pod dachem, pod strzechą kędyś wysoko; a przecie, choć górno siada, nikogo sobie lekce nie waży, nikogo nie kontemnuje³, nie znieważy ani gospodarza, ani gospodyniej, ani czeladki, ani kucharek, i owszem, zlazszy z grzędy, każdemu z drogi ustąpi;... co większa, w nocy, kiedy na grzędzie siedzi, nikogo nie inkomoduje⁴ ani się ozwie całą noc. Kuraszek przecie ma swój obyczaj: spać nie da, pieje raz, drugi i trzeci, gra hejnał⁵ słońcu na dzień dobry,... budzi do roboty parobki kucharki, ba, i gospodynią: ale kokoszka spokojna całą noc się nie ozwie, — cnoty, właśnie szlachcie potrzebne. Krew szlachecka w Koronie polskiej najwyższe trzyma miejsce: przyznawam; najwyżej godna siedzieć: prawda; przodkuje zacnością, urodzeniem i zasługą przodków swoich: prawda; godna stołków senatorskich, infuł biskupich, buław hetmańskich, lasek marszałkowskich i inszych honorów koronnych: prawda! Ale, panowie moi, trzeba przy tej grzędzie cnoty kokoszej: bo kiedy cię natura i urodzenie wysoko posadziło, a ty jeszcze nadto chcesz nos wyżej nosić, niż gębę, każdego sobie lekceważysz, kontemnujesz, bałta⁶ grozisz, znieważasz wszystkich, ni⁷ twój kogut, w nocy inkomodujesz; kiedy się przed tobą żaden wysiedzieć nie może, ani kupiec w sklepie, ani mieszczanin w kamienicy, ani ubogi chłopiec w chałupie, ach! nie pomalu to szpeci twoję przystojność szlachecką!... Niech nie będzie krzywda panom studentom: i wam, panowie młodzi, daruję po koledzie kokoszkę. Wiecie jaką? *Gallinam singultantem* — kokoszkę z pypciem. Kiedy kokoszce pypeć uroście, o, jako jej z tem źle, jako jej z tem plugawo! wszystko parska, pryska, jeść nie może, chudnie tak długo, aż jej pypeć zedrą. Boże mój, jeśli kto sposobniejszy do pypcia, jako młodzieniaszek? A jeszcze im dwojakie więc rady pypcie rosna: jedne szkolne, drugie piekielne. Kiedy się owo młodzieniaszek imię wszetecznych słoweczek, jużę źle około niego: pypeć na języku piekielny;... kiedy owo młodzieniaszek piosneczki lada jakie rad śpiewa, jużę na języku pypeć; kiedy też klnie, czarty wspomina, zlorzeczy, a to nie kokoszy, ale dyjabelski pypeć!... Krom piekielnych, cierpią więc też i szkolne pypcie młodzieniaszkowie. Wiecie które? *Solecismus, barbarismus, polonismus*:⁸ źle to pypcie w szkole, plugawa przywara! A, Matko Boża, toć to z takim pypciem sprośnie w mowie!... Miał też Mojżesz jakiś pypcik, defekcik jakiś na języku;... a jakoż uleczone ten język schorowały? *Virga*⁹, *virga* — to grunt!... Panięta moje, dobreż to i zdrowe ziółko na szkolne pypcie ta *virga*: jeśli Mojżesza w dojrzałym wieku uleczyła, a cóż was w młodości! Trochęć bywa ta recepta przykra, ale jednak pożyteczna: jak miotełka z pierza i z prochu poleruje szatę, tak ta święta *virga*, upew-

¹ marności świata. ² zupełnie, prawdziwie. ³ kontemnować = pogardzać.

⁴ inkomodować = niepokoić. ⁵ pieśń poranna. ⁶ bałta = topór. ⁷ niczem, jak.

⁸ solecyzm, barbaryzm, polonizm (błędy językowe w rozmowach i wypracowaniach lacińskich). ⁹ różga.

niam w tem, żeć wypoleruje rozum i dowcip!... Bawić się nie będę z wami, panienki, bo mi tego zakazuje zakon i reguła, ale wam dam za kolędę kokoszkę dla zabawy. Wiecie jaką? Owę, co w kojcu siada:... najlepsza z panienką do kojca, niechaj siedzi w domu!... Ach! Boże, cóż rozumieć o owych panienkach, co w domu, jak na szydlach, co je pięty świerzbią, kiedy nie obieżą ulic, kościółów i rynku, co na matkę lamentują, że ich i tam, i sam nie wiedzie, co owo ustawnie szyje wyciągają z okna, jak zięba z klatki... W kojcu, panienki moje, w kojcu wam najlepiej!...

Kończę kazanie moje przysłowiem włoskiem: *La vivanda vera è l'affeto e la ciera*¹ — nie to, mówi Włoch, co mi za nim kilka półmisków dadzą, ale to bankiet, kiedy mi by² najmniej dadzą z dobrym afektem i twarzą: bo cóż mi to za smak, że mi kto postawi bażanta na półmisku, kiedy widzę kozła na czele? Co za k rzeczy, kiedy mi, jeść dawszy, dmucha, choć już ostygło, marszczy się, choć nie kwaśno! Przy prawdziwym bankiecie nie ma człowiek upatrować, co dają, ale z jaką twarzą i ochotą, i sercem. To i ja *pro ultimo*³ mówię: małam rzecz darował — jedną kokoszkę, ale dobrym afektem, uprzejmem sercem; przyjmiecież za wdzięczne, a za mię, jako i za was, Pana Boga prosicie! Amen. ★

Lecz nietylko kaznodzieje przeciętni upodobali sobie styl barokowy: świadczą o tem wymownie kazania innego dominikanina, obdarzonego olbrzymim talentem kaznodziejskim. Jest nim **Fabjan Birkowski** (1566—1636), rodem ze Lwowa, wychowaniec i profesor Akademji Krakowskiej, kaznodzieja nadworny królewicza Władysława i towarzysz jego wypraw wojennych. Jeden to z najznakomitszych kaznodziejów dawnej Polski. Nie miał wprawdzie ani tej powagi i namaszczenia, ani tego rozumu, co Skarga; a stąd, chociaż ojczyznę kochał całą siłą swego gorącego, namiętnego serca, nie miał tak szerokich, jak Skarga, poglądów na jej sprawy. I pod względem piękności kazania jego są bez porównania niższe: noszą już na sobie wyraźne ślady zepsutego smaku, co widać już choćby z samych tytułów, np. *Kwiaty koron królewskich nieśmiertelne abo pamięć Najaśniejszego Monarchy Zygmunta III...* także *pamięć Najaśniejszej Paniej Konstancyjej*; język bywa często zbyt pospolity, czasem nawet rubaszny; są i niestosowne anegdoty (dla urozmaicenia wykładu), oraz różne zabawne koncepty; tak np. porównywa Birkowski św. Szczepana z kogutem, mówiąc, że jak kogut (wedle podania średniowiecznego) straszy lwy (!), tak św. Szczepan straszył złych ludzi; tłumaczy słuchaczom, dlaczego się wściekły pies boi wody i dlaczego kobieta nie ma rozumu; opowiada, że się nosorożec, choć srogi, boi młodej panny, «która, gdy wybieży, przyjmuje go na ręce, a ten, srogość wszelaką złożywszy, głowę skłania i tak, uspiiony, jako baranek, pojmany bywa», i t. p.

A pomimo to wszystko posiadają kazania Birkowskiego niepospolitą wartość: jest w nich bujna fatnazja, serce gorące, zdolne zarówno do gniewu i oburzenia, jak do zachwytu i uwielbienia, a nadewszystko jest potężny, żywiołowy, porywający temperament. Lecz główną tajemnicą ich piękności jest ożywiający je duch religijno-rycerski, ten duch, który mieszkał w piersiach najszlachetniejszych synów owoczesnej Polski, Żółkiewskiego np. albo Chod-

¹ prawdziwa uczta to uprzejmość i mina (wesola). ² chociaż. ³ na zakończenie.

kiewiczza. Skarga był kapłanem-obywatelem: Birkowski — kapłanem-rycerzem; Skarga przemawiał do posłów i senatorów, których obowiązkiem było bronić ojczyzny rozumem: Birkowski — do rycerstwa, które broniło jej własną piersią; a jak Skarga miał się za posła bożego, któremu sam Bóg rozkazał gromić «bogów ziemskich», tak Birkowski mawiał, że jest «kolegą bożym w robocie około zbawienia», «aby wołał i opowiadał rycerstwu ich grzechy». Bo za najpiękniejszą «robotę około zbawienia», za najświętsze powołanie Polaka poczytywał właśnie służbę rycerską; wierzył, że walczący z Turkami «żołnierze do metryki wybranych Pańskich są wpisani», że dusza poległego rycerza idzie prosto do nieba, bo nie może być większej zasługi przed Bogiem, jak poleć w obronie wiary i ojczyzny; a w niebie, myślał sobie Birkowski, będzie rycerz polski jak u siebie w domu: bo jakże? przecie niebo to rzeczpospolita, tylko że bez rokoszów i najazdów konfederackich; Pan Jezus to wojewoda niebieski; święci to «senatorowie, książęta, hierarchowie, którzy sejm tam odbywają», albo też «doktorowie, jako w akademii jakiej, co mają... swoje łańcuchy na szyi», i t. d.

Do najpiękniejszych kazań Birkowskiego należą pogrzebowe, obozowe i dziękczynne (czyli triumfalne).

W pogrzebowych wielbił walecznych rycerzy polskich, jako to Jana Karola Chodkiewiczza, który położył siwą głowę w obozie chocimskim, Bartłomieja Nowodworskiego, który męstwem swoim zajaśniał nietylko w Polsce, ale we Francji i w Afryce, Stefana Chmieleckiego, którego imieniem matki tatarskie straszły małe dzieci.

Lecz i do żywych rycerzy przemawiał Birkowski — w kazaniach obozowych, ucząc ich, jakimi być mają, aby i sławę doczesną, i koronę niebieską pozyskali, a jednocześnie gromiąc surowo ich grzechy: nieposłuszeństwo, zniewieściałość, pychę, zdzierstwo ubogich.

Ale najświetniejszymi są kazania triumfalne, wygłaszane z powodu zwycięstwa albo na wieść o śmierci którego z wrogów Polski, jak np. *Kantymir basza porażony, albo o zwycięstwie z Tatar, przez Jego M. Pana P. Stanisława Koniecpolskiego, helmana polnego koronnego, w roku 1624 dnia 20 miesiąca czerwca, w oktawę św. Antoniego z Padwi, między Haliczem a Bolszowcem otrzymanemi; Nagrobek Osmanowi, Cesarzowi Tureckiemu w roku Pańskim 1622, dnia 20 maja, w oktawę Zesłania Ducha Świętego*, i inne. Jest w tych kazaniach iście rycerska fantazja, zapal wojenny i gorąca wdzięczność ku Bogu, która raz, na widok małych dzieci, odbitych Tatarom, przemówiła w ten sposób: «Krople lez sierotek z jagodeczek ich pochop wzięły aż do nieba i do Najwyższego postąpiły i nie wróciły się nazad bez miłosierdzia wielkiego». Jak bardzo przejął się Birkowski pojęciami żołnierza, o tem świadczy taki np. ustęp: «Powinniśmy mieczem duchownym wszelaką jazdę grzechów pokaleczyć i wozy powinniśmy popalić, to jest wszelkiego ducha hardość od siebie odciąć; a ten pali wyniosły wóz, którego nie unosi buta ani wyniosłość, i ten żyły podcina szkapom, to jest siły im odejmuje, który hardość utracą». Lecz nadewszystko bije z tych kazań Birkowskiego szalona, niemal dzika radość z triumfu ojczyzny, a klęski wroga, któremu bez litości, prawie z okrucieństwem urąga. Bo jeśli silna była w sercu tego człowieka miłość Boga i Polski, to równie silna i namiętna nienawiść ku wrogom Kościoła i ojczyzny, zwłaszcza Turkom, tym «zbójcom niecnotliwym», «psom», co nie umierają, ale «zdychają jak świnię», i wierzą w Mahometa, «syna dyjabelskiego». Niecierpiał Birkowski także pro-

testantów i, mówiąc o nich, nie przebierał w wyrażeniach, nazywając np. Lutra «plugawcem śmierdzącym»; niecierpiał i Żydów, jako wyzyskiwaczy ubogiej ludności, jako pasorzytów na ciele Polski. Ale i swoim, katolikom i Polakom, nie darował i ciał im gorzką prawdę w oczy, zwłaszcza za ucisk ludu: «Widzicie te pany odrzuchłopskie, jako poddane swoje milują? Co złodziej w komorze cudzej, to pan drugi we wsi będzie, wszystko pobierze, połupi i duszęby z chłopka wydarł, kiedyby jak». Od prawdziwego rycerza bowiem żądał Birkowski nietylko odwagi i męstwa, ale miłości Boga i bliźniego: jego rycerz to waleczny patriota i zarazem dobry chrześcijanin.

★ Nagrobek Osmanowi (w skróceniu). Kędyż on Osman, który nato był tak rok¹ przyszedł na granice Polski i rozwiódł się był obozami swojemi od rzeki Prutu aż do Dniestru, od zamku chocimskiego aż do Kamieńca, nato, aby dusze, krwią Chrystusową odkupione, miasto bierni² i poboru, wybierał w Koronie polskiej i w Wielkiem Księstwie litewskim? Zwiódł był nato wielkie wojsko z Europy, z Azyjej, z Afryki; o większem myślił naprzeczok³. Ci wszyscy nato byli sprowadzeni, aby wydarli Chrystusowi Panu dziedzictwo Jego;... na syny koronne chciał położyć pobór brzydki bezecny bisurman, aby drogiemi duszami opłacali zdrowie swoje; aby się turczyły, aby się Chrystusa zapierały, aby cnot chrześcijańskich zaniechały, a jeły się wszetecznicw tureckich, zbrodni mahometańskich. Dziękujemy Tobie, Chryste Jezu, iżes zniósł z karków naszych tego brzydkiego poborcę!... Gdy Faraona Bóg w morzu utopił, «tańcowały góry jako barankowie», mówi Pismo św.; gdy Julijana Apostatę Bóg włócznią swą zabił, morze tańcowało, jako niektórzy historycy piszą, wydzieralo się z brzegów swoich i oświadczało radości swoje, które miało, gdy okrutnego tyrana piekło pożarło: toż ja mówię o weselu wszystkiego chrześcijaństwa, nawet i pogaństwa, jako się weselili wszyscy, gdyś ty jeden ginął!...

«Piekło — mówi... Ezaiasz św. — pod tobą zatrwóżyło się, zwłaszcza gdyś do niego przychodził; tobie kwoli wzbudziło olbrzymy swoje: wszystkie księżęta ziemi porwały się z krzesel swoich, wszyscy panowie narodów; wszyscy odpowiedzą i rzeką tobie: «I ty zraniony jesteś, jako i my, nam podobny stałeś się! Zwleczona jest do piekła hardość twoja, upadł trup twój, pod tobą pościel będzie mól, a koldra twoja będą robacy!» Spodziewałeś się podobno witania innego, Osmanie, aniż kiedy miał Nabuchodonozor w piekle: nie potkało cię insze od niego, boś nie robił na lepsze! Przystawaj na takim, jakim cię opatrzone teraz i jakiego cnota twoja godna była! Zwiódł cię, jako wszystkich pobratymów twoich, bezecny Mahomet! Spodziewałeś się raj, a w nim rzek czterech: jednej — miodem, drugiej — mlekiem, trzeciej — winem, czwartej wodą płynącej; i jednej z tych teraz nie masz! Masz jedną, która za wszystkie stoi: rzekę ognia i siarki pełną! Tą pragnienie swoje, tyranie, nasyć! nie godzienes lepszej!... Spodziewałeś się, według obietnic Alkoranu, pałaców i budynków od pereł i od złota: nie dla bisurmanów takie mieszkania gotuje Bóg, ale dla wiernych chrześcijan swych!... Spodziewałeś się bankietów po śmierci przepysznych, fazyjanów⁴ i ptaków innych smacznych, fruktów wszelakich, któreś miał wołą zbierać, leżąc pod pięknymi drzewy: masz lichotę i masz ptaki, jakicheś godzien: owe sępy

¹ rok temu. ² danina, podatek. ³ na następny rok. ⁴ bażant.

i harpije piekielne, które cię ustawicznie, jako Prometeusza bezbożnego, kłują; masz frukty ogniste, których przelknąć trudno, które gardziel twój dławić będą na wieki!...

Pókiś żył na ziemi, trwogiś puszczał na ziemi, a teraz zatrwożyłeś umarłych w piekle! Ale niedługo tej trwogi było: olbrzymy swoje ruszyło piekło, abyć drogę zaszli i witali nowego gościa swego. Porwali się wszyscy do jednego z krzesel ognistych oni twoi Machmetowie, Selimowie, Solimanie, Amuratowie i witali cię onemi słowy: «I tyś zraniony, jako i my? i tyś przyszedł do piekła, jako i my? A ona дума twoja kędy, gdyś pod Chocimem niedawno z Karakasem twoim stanął? I Karakas twój, od ciebie łzami polany, dawno między nami, i drudzy, ale i ty za nimi, jako widzimy, przed się pokwapił na te miejsca mąk wiecznych»...

Twoje słowa nagestsze były: «Zabij! zamorduj!» Gdy gaurów¹, Kozaków nie zstawało, zabijałeś więźniów swoich; sameś nawet w ciągnienu pod Chocim jednego rotmistrza kozackiego związanego rękoma swojemi ustrzelił, zaprawiając się w katowskie rzemiosło, które związanych bije... Jako wiele poginęło więźniów na rozkazanie twoje! Jako wiele głów zleciało z onej góry przy Chocimie dla uciech katowskich oczu twoich! Ubogie wieśniaki z włości psi tatarsey zaganiali do obozu jego i, żeby od niego pieniądze brali, Kozaki ich przezywali: kazał ich okrutnie mordować, aby krwią niewinną napasł tylko okrutne oczy swoje! Gdy się przez Dunaj przeprawił, przywiedziono mu 40 Kozaków, których na Czarnem morzu było załapiono: kazał łódź, na której most budowano, obrać jedną, miasto klatki, i wszystkie one Kozaki wetkać i smołą oblać i, zapaliwszy, po rzece puścić, krotofile sobie czyniąc z śmierci haniebnej więźniów swoich. I miałże długo tak żyć na tym świecie, który tak okrutny?...

Za takie okrucieństwa nisko padł ten Lucyfer pod powrozy katowskie, cięciwami, jako siatką przykryty ten ptak, który tak wysoko latał! Latał wysoko ten ptak: na samo niebo chciał wlecieć, Krakowa mu się chciało i kościoła na zamku, Stanisława i Wacława świętych! Kościoły nasze myślił w swoje meczety... obrócić; chciał po kościołach świętych męczenników, wyznawców, z szkapami swojemi tańcować; chciał nam obrazy i ołtarze z kościołów brzydki ten poganin wyrzucić i kwoli kalwinistom bezenym Ofiarę Przenajświętszą do szczytu znieść! Nie pocieszył go Bóg w tem, co myślił: widzimy w całej kościoły, Akademiją i szkoły mądrości nietykane, gwiazdy niebieskie, t. j. święte Pańskie, w swojej dostojności...

Chciałeś wstąpić na wysokość obłoków i być podobnym Nawyższemu: prostaku Osmanie, nie twoje to dzieło po obłokach skakać! Przyjdzie Ten, który cię już sądził wedle dusze, który karety swoje na obłokach zatoczył, i ukaże się między nimi, gdy sądzić wszytkich będzie i wedle dusze, i wedle ciała. Obaczy Go wszelkie oko — i twoje, Osmanie, nieprzyjacielu Boży i ukrzyżowanego Chrystusa! Wtenczas zapłacić ze wszystkiemi powiatami ziemię, wtenczas poznasz, jaki to Pan, który takie woźniki² z obłoków sprząga, który kładzie obłoki wstępem swoim, który chodzi po skrzydłach wiatrów! Niżej, Osmanie, wysokie to karoce na cię!...

Już cię niosą do grobu, do grobu, w którym tak rok udawiony od rąk twoich brat rodzony leży. Wszyscy do lewka zdechłego bieżą, wszyscy zacie-

¹ gaur, giaur = niewierny (tak mahometanie nazywają chrześcijan).

² ru-

maki powozowe.

raja i mówią: «A tenże to mąż (młokos!), który zamącił ziemią, który zatrząsł królestwy, który położył w pustynie okrąg ziemię i miasta jego zepsował i więzniom jego nie otworzył więzienia? Tenże to Osman, który po czterykroć sto tysięcy ludzi do boju gotowego wyprowadził był pod Chocim? Tenże to, który chana tatarskiego z ośmdziesiąt tysięcy z sobą przywiódł, aby, jako ogar jaki z lasów, ubogie kmiotki wyganiał i wygnane zabijał?...»

Zawyj, Porto turecka — mówi do ciebie prorok — zawyj i zawołaj, miasto carogrodzkie: «Obalony Osman przekleły, okrutny! Przyszedł dym od Akwilonu¹, gniewy przyszły janczarskie i spahijów² — dla Akwilonu, dla Polaków, dla obozów koronnych nie wziętych, dla mów jego takich lada-jakich («Nie żołnierze, ale babym miał pod Chocimem, którzy nie umieli Lachów wziąć!»): nie uszedłci dymów tych, zakwasily mu oczy lakome, gardło bezecne, głupiomusne i harde, i okrutne załumily kwasem swoim!

Polóżmy mu... ten wierszyk na grobie: «Dlatego, iż «Pan grunty założył Syjonu i w Nim nadzieję będą mieć ubodzy ludu», — powstał Pan Bóg i skarał okrutnego tyrana Osmana, aby potem pogaństwo wiedziało, iż Pan Bóg o chrześcijanach ma pieczę swoją i staranie ojcowskie!» Ojciec wszelkiego miłosierdzia, bądź pochwalon na wieki! Amen. ★

75. Najznakomitszym poetą pierwszej połowy wieku XVII jest uszlachcony mieszczanin lwowski, autor najpiękniejszych w literaturze staropolskiej sielanek, **Szymon Szymonowicz** (1558—1629). Nietylko młodość, ale i większa część jego życia przypada na wiek XVI, kiedy to literatura i oświata rozwijała się w innych, pomyślniejszych warunkach. Garnął się Szymonowicz do nauki, nie poprzestał na ukończeniu Akademji Krakowskiej, lecz przez czas dłuższy przebywał zagranicą, oddając się głównie swoim ulubionym studjom nad językiem greckim i łacińskim, oraz literaturą starożytną: był to znakomity humanista, ostatni już wielki humanista polski. A prócz nabytej wiedzy posiadał przyrodzony talent poetycki i niepospolity zmysł piękna: podobnie jak Kochanowski, jest to poeta z bożej łaski. I dla niego poezja była nie rzemiosłem, nie zabawą, tylko potrzebą serca i zarazem źródłem największego szczęścia na ziemi; oto jego własne wyznanie (w sielance *Kiermasz*): «Muzy, nadobne Muzy!... kto was nie ogląda, — nigdy ozdobnym, zawsze wzgardzonym być musi; — kto was zazna, kto darów waszych raz zakusi, — nigdy wzgardzonym, zawsze ozdobnym się stawia; — naszczęśliwszy, kto z wami do śmierci wiek trawi». A jak Kochanowski ze smutkiem, ale i ze szlachetną dumą wołał: «Sobie śpiewam a Muzom», tak i Szymonowicz, przez usta nimfy Nais (w sielance *Wierzby*), świadczy sobie, że woli «nad pustemi schadzać... brzegami, — niżli się popisować u gminu podłego». Wiedział bowiem, że gmin prawdziwej poezji nie zrozumie i nie odczuje, zwłaszcza w czasach, kiedy zanika mądrość i piękno; że zaś w Polsce czasy te nastały, z tego zdawał sobie jasno sprawę i przez usta pasterza Menalki (w sielance *Kiermasz*) tak się skarżył: «Wszystko się pomyka — nadół: zginęli dawni dobrzy kantorowie³, — a miasto nich leda kto muzykiem się zowie; — i pieśni marne jakieś, nastrzępione słówki⁴, bez rzeczy⁵. On tymczasem wymagał od poezji nietylko piękna, ale i poważnej treści, pragnął, aby poezja była «uczona», t. j. zarówno kunsztowna, oparta na znajomości

¹ Akwilon = północ, Polska.

² spahja = pan turecki.

³ śpiewak.

⁴ słówkami. ⁵ t. j. bez poważnej treści.

poezji starożytnej i zasad sztuki, jak ucząca i umoralniająca ludzi. Taką też jest jego własna poezja: piękność łączy się w niej z poważną myślą i czystością uczuć; w utworach swoich jest Szymonowicz humanistą, a jednocześnie poważnym myślicielem, przejętym głęboko ideą moralności chrześcijańskiej.

Rozkochany w literaturze starożytnej, na niej się, jak Kochanowski, wzorował. Zaczął od poezyj łacińskich (które ogłaszał pod zlatynizowanym nazwiskiem: Simon Simonides): są to poematy, tragedje, ale nadewszystko utwory okolicznościowe, mianowicie ody, które zachwycaly humanistów europejskich i zjednały mu wśród nich imię Pindara polskiego, a jednocześnie roznosiły po świecie sławę Polski: bo nie o sobie śpiewał Szymonowicz, ale o wielkich wojownikach polskich i ich świetnych czynach, np. o triumfach wojennych przyjaciela swego, hetmana Zamoyskiego, któremu wychowywał syna (Tomasza) i dopomagał do wyszukania profesorów dla Akademji Zamojskiej. Lecz nie poezje łacińskie zapewniają Szymonowiczowi niemiernitelne stanowisko w literaturze polskiej, tylko polskie *Sielanki* (1614).

Dwaj byli znakomici sielankopisarze w starożytności: grecki — Teokrytes i rzymski — Wirgiljusz; pierwszy kreślił drobne obrazki z życia pasterzy, rybaków, rolników, mieszczan, a są to obrazki po większej części realistyczne, t. j. odtwarzające życie prostych ludzi, jakim ono było w rzeczywistości; sielanki Wirgiljusza tymczasem są po większej części konwencjonalne czyli alegoryczne: występują w nich ludzie niby prości (pasterze), którzy jednak myślą, czują i mówią tak, jakgdyby byli ludźmi wykształconymi i dobrze wychowanymi; ale bo też pod postacią tych pasterzy kryją się dworzanie cesarza Augusta, a wśród nich sam Wirgiljusz. Szymonowicz znał doskonale obydwóch sielankopisarzów starożytnych; pierwszeństwo oddawał Teokrytesowi, lecz tłumaczył, przerabiał albo naśladował obydwóch: więc jedne z jego sielank są konwencjonalne czyli alegoryczne, inne — realistyczne.

Wszystkich sielank jest dwadzieścia, a właściwie — osiemnaście, dwa bowiem utwory, zaliczone do sielank (*Ślub* i *Epithalamium Heleny*) to nie sielanki, tylko «pieśni ślubne». Z pośród właściwych sielank jedna tylko (*Alkon*) jest opowieścią ściśle epicką; inne mają formę dramatyczną, to znaczy są albo monologami, albo dialogami; są i takie, które się zaczynają od monologu, a później schodzą na dialog; jedna wreszcie (*Dziewka*) ma postać mieszaną — dramatyczno-epicką: po wypełniającym prawie całą treść sielanki dialogu autor dodaje od siebie kilkowierszową opowieść.

W sielankach konwencjonalnych występują pasterze, którzy, pasąc owce, kozy i krowy, rozmawiają o swych przygodach, kłopotach, myślach i uczuciach (zwłaszcza o miłości ku pasterkom), a dla rozrywki śpiewają sobie piosenki. Ci pasterze — to niby Rusini z nad brzegów Puru (w okolicach Zamościa, w których Szymonowicz dzierżawił wioski od Zamoyskiego), ale noszą imiona starożytne (Dafnis, Menalkas, Licydas i t. d.); są to pozornie ludzie prości, w istocie wykształceni, skoro rozmawiają np. o Orfeuszu albo o upadku prawdziwej poezji w Polsce. Sielanki to bardzo piękne: odznaczają się żywym odczuciem piękności natury kraju polskiego, subtelnością w malowaniu różnych uczuć ludzkich, oraz przeslicznym, wyrzeźbionym i wypieszczonym, niemniej przeto czarującym swą prostotą językiem. Często wypowiada Szymonowicz w tych sielankach swoje własne uczucia i myśli, wkładając je w usta pasterzy; tak np. w sielance *Rocznica* pasterz

Tyrssys opłakuje śmierć «wielkiego Dafnisa», ale właściwie płacze tutaj nie Tyrssys, tylko Szymonowicz — w rocznicę śmierci Jana Zamoyskiego. W sielance *Zalotnicy* pasterz Mopsus tak się skarży na swoją samotność: «Przyjdzie ten czas kiedy, że ja swe zabawy — będę śpiewał? Czyli już Bóg tak niełaskawy — mieć mię raczy, że nigdy przyjaciel¹ nie siedzie — przy mym boku, i dom mój wieczną pustką będzie? — Miłości nieszczęśliwa, nigdyś pięknej strzałki — we mnie nie utkla? POCO noszę te piszczałki? — poco pieśni? poco mi stada te igrają? — szczęśliwsze stada, bo wždy uciechy swe mają! — Ja nie mam, a już starość nad grzbietem się krzywa — zawiesza, i co chwila sił pierwszych ubywa. — Oganiaj cudze proso! twoje już wypili — dzicy ptacy; wielki błąd, kogo wiek omyli». Otóż jest to osobista skarga Szymonowicza (który umarł w stanie bezzennym) na pustkę w domu; jedyną radością była mu poezja: «Ale wždy, pieśni moje, ze mną zostawajcie, — ani mię do samego grobu opuszczajcie!... Zachowajmy się cudzem, gdy swego nie mamy: — wspomnijmy, jakie stroił Licydas zaloty, — jakie Amintas. Miłość ma swoje kłopoty». I teraz Mopsus opowiada o zalotach dwóch «pasterzy»: wykwiłtnego Licydasa, zakochanego w urodziwej i posażnej jedynaczce Neerze, i «prostego najmita» Amintasa, smalącego cholewki do krzywookiej i ubogiej, ale gospodarnej Likorys. Opowieść ta, w której bardzo subtelnie i poetycznie odmalował Szymonowicz różność dwóch miłości — człowieka kulturalnego, a człowieka prostego, należy do najpiękniejszych pereł poezji staropolskiej. Cała zaś ta sielanka to nic innego, tylko znowu wyraz nigdy nie zaspokojonej tęsknoty samego Szymonowicza do szczęścia rodzinnego.

Podobnie i w sielance *Wierzby*, kiedy, «stojąc nad cichym Purem, Nais żalosiwa», mówi: «A jako teraz żywa nad twym brzegiem stoję, — będzie pamiątka moja na wieczny czas stała: — bo nie żył, po kim piękna pamięć nie została. — Jeśli mię nigdy taniec długi nie zabawił, — jeśli na krotofilach wiek się mój nie strawił, — jeśli na łąkach kwiatków tylko nie zbierała, — anim się na wesole Fauny zapatrzała, — ale uczone pieśni w uściech moich brzmiały, — te, proszę, aby po mnie na świecie zostały», — to przez usta nimfy sam Szymonowicz (podobnie jak Kochanowski w *Muzach*) wróży sobie i swojej poezji nieśmiertelność.

W sielankach realistycznych poeta zupełnie zapomina o sobie: chodzi mu o wyraz myśli i uczuć nie własnych, tylko innych ludzi. Tu należy np. sielanka *Pastuszy*, w której dwaj pasterze, Sobon i Symich, skarżą się na swoją ciężką dolę i, żeby sobie ulżyć, śpiewają naprzemiany pieśni; niektóre z nich są przekładami pieśni Teokryta, ale są także oryginalne, a śliczne:

Skowroneczku! Już śniegi na polach nie leżą,
Już do morza rzekami pienistemi bieżą;
A tyś rad i ku niebu wzgórze polatujesz
I garłeczkiem krzykliwym wdzięcznie przepierujesz²;
Bo skoro wiosna role rozległe ogrzeje,
Skoro łąki kwiatkami pięknymi odzieje,
Wynikną i robaczki z ziemi rozmaite,
A ty potrawki będziesz miał z nich znamienite.

¹ Starzy Polacy nieraz przyjacielem nazywali żonę.

² śpiewać.

Jaskółeczko! Już się na świat ukazała?
Już się ożyła? Już z wody wyleciała?
Za tobą dni wesole i wietrzyk powiewa,
Za tobą i słoneczko cieplejsze dogrzewa.
Narodzi ono tobie muszek niezliczonych,
Ty ich będziesz łapała po polach przestronych;
Będziesz łapała i do gniazdeczka nosiła,
Boś je sobie pod naszą strzechą ulepiła.

Lecz koroną całej poezji Szymonowicza są dwie sielanki, nawskroś oryginalne, dla których treści poszukał nie w poezji starożytnej, tylko w życiu polskim: *Kolacze* i *Żeńcy*. Obydwie są arcydziełami realizmu artystycznego; w imię prawdy nie cofa się czasem poeta przed użyciem wyrazów pospolitych, a nawet rubasznych, ale w przesadę pod tym względem nie wpada, posługując się często niedomówieniami.

Kolacze — to wdzięczny obrazek z życia dworku szlacheckiego, do którego przybywa panicz urodziwy, by zaślubić pannę domową. Są tu rysy czysto rodzime, np. sroczka, która krzeczce na płocie, panna młoda, rozpuszczająca warkocze, kołacze na uczcie weselnej. Lecz główną wartość nadaje sielance poezja i prawda, z jaką wyraził poeta uczucia i tych panien, które witają panicza, i panny młodej, której przy ślubie «Iza za Izą płynie po oblizu», a która przy uczcie «nie wzniesie oka», i pana młodego, który, choć z taką odwagą polował na dziki, błędnie na widok stuley.

Żeńcy — to smutny, ale prawdziwy obrazek z życia ludu. Wśród skwaru słonecznego znają zboże dziewczyny, a dwie z nich, wesola Pietrucha i smutna Oluchna, rozmawiają nie o Orfeuszu, tylko o rzeczach, o jakich proste dziewczyny wiejskie naprawdę rozmawiać mogły, a więc o starości (ekonomie) bez serca, o jego gospodyni-jędzy i t. p.; uroku sielance dodaje przesłiczna pieśń o słoneczku, którą śpiewa Pietrucha, by ułagodzić gniewnego starostę. Ten zaś starosta z balem w rękę, znęcający się nad Maruszką, to także powstać, wzięta nie z fantazji, tylko z życia. Otóż w *Żeńcach* Szymonowicz staje w obronie ludu: sielanka ta jest nie tylko arcydziełem poezji, ale i protestem szlachetnego i myślącego człowieka przeciwko niedoli ludu.

Wogóle na wszystkich sielankach wycisnął mocne piętno myślący człowiek, który myśli swoje o życiu ludzkim lubił zamykać w formę sentencji i przysłów, np. «Kto Bogu dufa a pracuje, do ostatniej starości nędze nie uczuje»; «Praca — skarb napewniejszy»; «Na Boga, by na osła, na Niego wkładamy, — co sami dobrowolnie sobie zadziałamy; — Bóg za szyję nie ciągnie: że kto drogi zmyli, — Bóg nie winien: tam każdy padnie, gdzie się chyli»; «Z dobrymi dobrym będziesz; gdzie się ze złym zbracisz, — byś był naostrożniejszym, własne dobro stracisz»; «Kto milej nowiny — czeka, dni idą rokiem, miesiącem godziny»; «Cnota się nie utai: niech w jakie chce cienie — tuli się, przedsię jasno świecą jej promienie»; «Kto się chce żenić, domu i dostatku trzeba: — zła miłość (powiadają) bez soli, bez chleba».

Zalotnicy Licydos do Likory; ta trochę patrzyła
(w skró- Krzywooko, lecz dobrą gospodynią była.
ceni). Amintas do Neery; siła była za tą
Posagu, bo się babką chępiła bogata
I często nowe chusty sprawowała na się
I w srebrnym na każdy dzień chodziwała pasie.

Onej trefnie¹ żartować, onej w tańcu było
Rej wodzić, onej samej, co żywo, służyło.
Ledwie się o północy do domu wracała,
Bo, jako jedynaczce, matka folgowała.
Wtenczas była pognąła kozy do chrósciny:
Kozy w chróscinie, ona u gęstej leszczyny
Legła w chłodzie na trawie i smaczno zasnęła:
Wilczaszku! żeś tam nie był, strawka cię minęła.

Tamże pędził Amintas na pola przyległe,
A gdy do kupy zgania owce swe rozbiegłe,
Trafił na śpiącą: co w nim za myśl wtenczas była,
Trudno trafić, atoli źle mu nie radziła:
Kto pragnie przyjaciela, wstydem go nabywa,
Cnota nad zakazanie nie chce być skwapliwa.
Stał tylko by² wryty; ona twardo spała,
A wtem trzoda, pasąc się blisko nadchadzała.
On do trzody: «Owieczki, lekko następujcie!
«Śpi tu piękna Neera: spania jej nie psujcie.
«Śpi tu piękna Neera: ani się tryksajcie
«I trawkę cicho szczypcie i cicho stąpajcie...
«Lekko owieczki moje, lekko następujcie!
«Śpi tu piękna Neera: spania jej nie psujcie!»
«Śpi tu piękna Neera. Przyjdź, wietrzyku chłodny,
«Przyjdź, wietrzyku, i czyń jej sen wdzięczny, łagodny.
«Pozwalam ci i włosy obwionąć na czele,
«Pozwalam, ach, niestetyż! ty i w ucho śmiele
«Możesz poszemrać, możesz i wargę całować,
«A ja, nieborak, muszę przyjaźni folgować.
«Lekko, owieczki moje, lekko postępujcie!
«Śpi tu piękna Neera: spania jej nie psujcie!»...
«Słoneczko, o słoneczko! nie zajrzy nam cienia,
«Pohamuj małą chwilę ostrego pragnienia,
«Uchyl się za ten obłok: blask śpiącemu szkodzi;
«Jabym zasłonił, ale tknąć mi się nie godzi.
«I ty się nie przebiegaj, jaszczurko zielona,
«Bo cię prędko dosięże maczuga toczona.
«Lekko, owieczki moje, lekko następujcie!
«Śpi tu piękna Neera: spania jej nie psujcie!»...
«Naco mi ociec zbioru tak wiele zostawił?
«Na co dom tak budowny i folwark postawił?
«Naco się ja o dobre mienie pieczołuję?
«Komu spiżarnie, komu dostatki gotuję?
«Tobie, piękna Neero, ty to będziesz miała,
«Ty, jako swego, będziesz ze mną zażywała.
«Śnie wdzięczny, zwiastuj to dziś nadobnej Neerze,
«A niechaj omylenia nie zaznam w tej mierze!»
Tak Amintas. Zaloty zasię Licydowe
(A był to prosty najmit) bywały takowe

¹ dowcipnie, a wytwornie.

² jak.

(Wtenczas Likorys krowy w dojniku doila,
Licydas sieczkę rzezał): «Zawsześ mię żywiła,
«Ręko moja! Kto Bogu dufa, a pracuje,
«Do ostatniej starości nędze nie uczuje.
«Dziś sieczkę rzeżesz, sieczka nie rzeże się sama:
«Likory¹, przy tej ręce będzie dobrze nama².
«Ręko moja, kto Bogu dufa a pracuje,
«Do ostatniej starości nędze nie uczuje.

«Panem się nikt nie rodzi; siła zostawiają
«Dzieciom rodzice, siła dzieci utracają;
«Praca skarb napewniejszy: kto się spuści na nie,
«I za żywota ma chleb, i po nim zostanie.
«I ty, Likory, u mnie nie będziesz żebrała,
«Nie będziesz, gdy nie będziesz ze mną próżnowała.
«Ręko moja, kto Bogu dufa a pracuje,
«Do ostatniej starości nędze nie uczuje.

«Widziałem cię u tańca, i tak mi się zdalo,
«Lżeć tamto igrzysko namniej nie przystało,
«Lubo cię w płasy wzięto, lub do gonionego:
«Trudno ciągnąć, kto nie ma umysłu do czego.
«Piękniej ci u roboty: w tej-eś przodek miała,
«U robotyś mi naprzód do serca przystała.
«Ręko moja, kto Bogu dufa, a pracuje,
«Do ostatniej starości nędze nie uczuje.

«Pomnisz? Kiedyśmy byli pospołu na żniwie,
«Pszenicę wtenczas żęto na siedzianej niwie³.
«Zagon twój był wedla mnie; tak ci tam służyło
«Szczęście, żeć sierpa w ręku ledwie dojrzeć było.
«Jeszcześ nam przyśpiewała; przyznać ci się muszę,
«Chcąc się tobie przeciwieć⁴, sililem się z dusze
«I mówilem do siebie: Boże, jeśli zdarzysz,
«Niech taki zawsze robi wedla mnie towarzysz.
«Ręko moja, kto Bogu dufa, a pracuje,
«Do ostatniej starości nędze nie uczuje...

«Dufajmy Mu, a On nam niechaj błogosławi.
«I kiedyż ten dzień będzie, gdy nas obu stawi
«Przed ołtarzem? Uspokój, proszę, myśli moje:
«Wszakęś i ty człowiekiem, uspokój i swoje!»

Tak śpiewał, a już sieczki wielka kupa była,
I Likorys namyślnie u krów się bawiła.

Kołacze
(w skró-
cceniu).

Panny. Sroczka krzeczce na płocie: będą goście nowi!
Sroczka czasem omyli, czasem prawdę powie.
Gdzie gościom w domu rado, sroczce zawsze wierzą
I nie każą się kwapić kucharzom z wieczerzą.
Sroczko! umiesz ty mówić? Powiedz: gdzieś latała?
Z którejś strony goście jadące widziała?

¹ wołacz od Likorys. ² liczba podwójna: nam dwojgu. ³ na ojcowskiej niwie. ⁴ doścignąć w robocie.

Sroczka krzeczce na płocie: pannie się raduje
Serduszko, bo miłego przyjaciela czuje.
Jedzie z swoją drużyną panic urodziwy,
Panic z dalekiej strony; pod nim koń chodziwy¹,
Koł łysy, białonogi, rząd na nim ze złota:
Panno! gotuj się witać, już wjeżdża we wrota.
Już z koni posiadali, wszystko się podwórze
Rozśmiało, jak niebo od wesołej zorze!

Witamy cię, panicze, dawno pożądanym!
Czeka cię upominek, tobie obiecany,
Obiecany od Boga i od domu tego:
Po obietnicę trzeba wsiadać na rączego,
A ty się gdzieś zabawiasz! Już nam nie zstawało
Oczu, wyglądając cię; winienesz nie mało
Sam sobie, a pogonić trudno i godziny!²
Cobyś rzekł, gdyby to był otrzymał kto inny?
Barzoś się ubeścipeczył! Czyli tak urodzie
Dufasz swojej? Kto dufa nawiętszej pogodzie,
Deszcz go zlewa; nie trzeba spać i w pewnej rzeczy:
I Bóg nie dźwignie, kto się sam nie ma na pieczy.
Często zazdrość o tobie złe powieści siała,
Ale cnota zazdrości wiary nie dawała.
Trudno stateczność ruszyć; niechaj zły wiatr wieje,
Jako chce, przedsię ona nie traci nadzieje.
Kędyś się nam zabawiał? mój panicze drogi!
Serce przez³ ciebie mdlało, i te piękne proggi
Pustkami się widziały. Czyliś na jelenie
Z myślistwem jeździł? wami, wami, leśne cienie,
Świadczy my, jakośmy wam częstokroć lajały,
Jako częste zabawy wasze przeklinały.
Lubo sroga Dyjanna w surowej karności
Drużynę swoją chowa, ale przy gładkości
Trudna przestroga! Były insze obawania⁴,
Bo i harap⁵ ma swoje przykre dojeżdżania,
I od płochego zwierza urosnie nowina.
Jeszcze po dziś dzień płacze swego Adonina⁶
Wenus żalonna: «Ach, ach! młodzieńcze ubogi!
«Jako cię dzikiej świnię zęb uranił srogi!»
I tyś, drugi młodzieńcze⁷, w uściach naszych bywał:
Nazbyteś, ach, nędzniku, w lesiach przemieszkował;
Daleko cię nieszczęsne łowy unosiły,
Aż cię nakoniec lają właściwą skarmily⁸.
Pełna jest trwogi miłość i w każdy kąt ucha
Przykłada; raz ją bojaźń, raz cieszy otucha.

¹ wytrzymały w biegu. ² czasu minionego nawet o godzinę nie cofniesz.
³ bez. ⁴ obawy. ⁵ polowanie konne. ⁶ Adonin, Adonis — młodzieniec, którego dzik zabił na polowaniu ku rozpaczcy Wenerzy. ⁷ drugi młodzieniec — Akteon, zapalony myśliwy; Artemida zamieniła go na jelenia, i tak rozszarpały go własne psy. ⁸ aż nakoniec poszedł na żer własnym psom.

Czyli cię krotchwile jakie zabawiały?
Nam tu bez ciebie ani dzień widział się biały,
Ani słoneczko jasne. Komuż do wesela
Przyść może, gdzie milego niemasz przyjaciela?
Czyli nie każdy serce ma jednakie? czyli,
Co z oczu, to i z myśli? a czasem omyli
Oko jasne. O tobie tego nie trzymamy,
I owszem się pociechy wszelkiej spodziewamy.
Sokół wysoko buja, a bujawszy siła,
Jedno mu drzewko, jedna mu gałązka miła.
Młodość przestrono patrzy i daleko strzela
Z myślami, aż Bóg nawet każdego oddziela¹
Własną cząstką; kto na niej przestawa spokojnie,
Wszystkiego ma dostatek, wszystkiego ma hojnie.
I ty myśli uspokój, mój panicze drogi!
Nie darmo cię tu przyniósł twój koń białonogi.
Pryskał², we wrota wchodząc: znać, żeśmy-ć tu radzi,
Radziśmy wszysey tobie i twojej czeladzi.

Już i matka, i panna witać cię wychodzi;
Poprzedź ich ręką: tobie poprzedzić się godzi!
I czołem nisko uderz; jest dla czego czołem
Uderzyć; a nie chciej sieść za gościnnym stołem,
Aż otrzymasz, co pragniesz! Wszystko z czasem płynie, —
Co ma być jutro, niechaj będzie w tej godzinie!

I ty, matko, nie zwłaczaj, czyń, coś umyśliła:
Żadna rzecz się nie kończy, gdzie rozmysłów siła.
Panno! czas już rozpuścić warkocz rozwite,
Czas oblec szaty, takiej sprawie przyzwoite.
Storzcie³ pannę do ślubu, sąsiady życzliwe!
Ślub święty jest, i wasze prace świętobliwe;
Wszak też wam tę przysługę przedtem oddawano,
Toż i za matek waszych w obyczaju miano.

Kapłanie! gotuj stule!... Zbladłeś nam, panicze!
Ba! i pannie lza za lzą płynie przez oblicze.
Przelekłeś się, panicze! — bojaźń ta od Boga:
Szczęście tam bywa, kędy bywa taka trwoga.
Nie płacz, panno! bo rzeką, że płaczesz z radości,
Pomyśli ktoś i gorzej, bo siła zazdrości
Nie pierwsza ty od matki wychodzisz z opieki!
Aboś chciała na lonie jej mieszkać na wieki?
I ona przy matce swej nie wiecznie mieszkała,
I tyś się nie dlatego tak tu wychowała

Jużeście w stadle świętem! Wszysey wam dajemy
Na szczęście i milego życia winszujemy:
Bodajęście długi wiek z sobą pomieszkałi,
Bodajęście wszelakich pociech doczekali!

¹ oddzielać (od siebie) = obdzielać (kogo). ² parskać. ³ storzyć = stroić.

Potrawy postawiono: do stołu siadajcie,
W pośrodku mieśce pannie z panem młodym dajcie!
Jem-ci¹ z sobą być: tak więc dwa szczepy zielone
Stoją w nadobnym sadu pospołu sadzone.
Panna nie wzniesie oka: serduszko w niej taje,
A pan młody długiemu obiadowi łaje.
Niech kucharze potrawy dziwne wymyślają,
Niechaj win rozmaitych hojno nalewają:
Kołacze grunt wszystkiemu, a może rzec śmieie,
Bez kołaczy jakoby nie było wesele.
Laską w próg uderzono: już kołacze dają.
A przed kołaczmi panie nadobne śpiewają
I taniec prędkie wiodą, i kleszczą rękami:
Zabawmy oczy tańcem, a uszy pieśniami!..

Zeńcy
(wskró-
ceni).

Oluchna. Już południe przychodzi, a my jeszcze żniemy!
Czy tego chce urzędnik², że tu pomdlejemy?
Głodnemu, jako żywo, syty nie wygodzi!
On nad nami z maczugą, pokrzakając, chodzi,
A nie wie, jako ciężko z sierpem po zagonie
Ciągnąć się; oraczowi insza³, insza wronie:
Chociaj i oracz chodzi za pługiem, i wrona,
Inszy sierp w ręce, insza maczuga toczona.
Pietrucha. Nie gadaj glosem, aby nie usłyszał tego!
Abo nie widzisz bicia za pasem u niego?
Prędko nas nim namaca! Zły frymark³ — za słowa
Bicz na grzbiecie, a jam nań nie barzo gotowa.
Lepiej złego nie drażnić: ja go abo chwale,
Abo mu pochlebuję — i tak grzbiet mam w cale.
I teraz mu zaśpiewam, acz mi nie wesoło:
Niesmaczno idą pieśni, gdy się poci czoło!

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.
Ty wstajesz, kiedy twój czas; jemu zda się mało:
Chciałby on, żebyś ty od północy wstawalo;
Ty bieżysz od południa zawsze swoim torem,
A onby chciał ożenić południe z wieczorem...
Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.
Ty dzień po dniu prowadzisz, aż długi rok minie:
A on wszystko porobić chce w jednej godzinie;
Ty czasem pieczesz, czasem wionąć wietrzykowi
Pozwolisz i naszemu dogadzasz znojowi:
A on zawsze: «Pożynaj! nie postawaj!» woła,
Nie pomniąc, że przy sierpie trój pot idzie z czoła.
Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.
Ciebie czasem pochmurne obłoki zasłonią,

¹ im-ci. ² starosta, ekonom. ³ handel zamienny, zamiana.

Ale ich prędko wiatry pogodne rozgonią:
A naszemu staroście nie patrz w oczy śmieie, —
Zawsze u niego chmura i kozieł na czele;
Ty rosę hojną dajesz, poranu wstawając,
I drugą także dajesz, wieczór zapadając:
U nas post do wieczora zawsze od zarania, —
Nie pytaj podwieczorku, nie pytaj śniadania!
Starosto! Nie będziesz ty słoneczkiem na niebie!
Ni panienska, ni wdowa nie pójdzie za ciebie:
Wszędzie cię, bo nas bijasz, wszędzie osławiemy,
Babę, boś tego godzien, babęć narajemy,
Babę o czterech zębach! Milo będzie na cię
Patrzeć, gdy przy niej sidziesz, jako w majestacie,
A ona cię nadobnie będzie całowała,
Jakoby cię też żaba chropawa lizala!
Oluchna. Szczęście twoje, że odszedł starosta na stronę:
Wzięłabyś była pewnie na buty czerwone,
Abo na grzbiet upstrzony za to winszowanie!
Słyszysz, jakie Maruszcze daje tam śniadanie?
A słaba jest nieboga: dziś trzeci dzień wstała
Z choroby, a przedsię ją na żniwo wygnala
Niebaczna gospodyni. Takci służba umie!¹
Rzadko czeladnikowi kto dziś wyrozumie.
Patrz, jako ją katuje: za głowę się jęła
Nieboga; przez łeb ją ciął, krwią się oblinęła;
Podobno mu coś rzekła; każdemu też rada
Domówi. Tak to bywa, gdy kto siła gada!
Dobrze mieć, jako mówią, język za zębami:
I my mu dajmy pokój, choć żartuje z nami!
Zart pański stoi za gniew i w gniew się obraca:
Ty go słówkiem, a on cię korbaczem² namaca.
Pietrucha. Dobrze radzisz. Mnie się on, widzę, nie przeciwi,
Ale lepszy z nim pokój. Co się często krzywi,
Złomić się może, — przyjdzie jedna zła godzina,
A częstokroć przyczyną bywa nieprzyczyna.
Dobry on barzo czowiek, by go nie psowała
Domowa swacha: ta go właśnie osiodlała
I rządzi nim, jako chce, a on się jej daje
Za nos wodzić; podczas³ mu ledwie nie nalaje.
Na kogo ona chrap ma, może i od niego
Spodziewać się, że go co potka niesmacznego.
Więc mu nie wierzy, — to już zawsze fasoł⁴ w domu,
I przemówić do niego nie wolno nikomu.
Oluchna. To prawda! Niedawnośmy len w dworze czosały;
On stał nad nami; tam się z nim coś rozmawiały
Dwie komornice; ona kędyś podsłuchala
Za ścianą; jako jędza, do nas przybieżała,

¹ t. j. tak to postępuje zła służba panów (gospodyni i starosta).
bacz = bicz. ³ czasem. ⁴ klótnia, burda, zamieszanie.

² kor-

Ni z tego, ni z owego poczęła bić one
Komornice; sam zaraz ustąpił na stronę;
Potem wszystkim lajała, drugie rozeгнаła,
Nam, cośmy pozostały, jeść przedsię nie dała.
Pietrucha. By też co było, coby ludźmi nazwać siusza¹, —
Ale też siostra nasza — także w ciele dusza!
A już jej brózdki dobrze lice przeorały,
I przez włosy gęsto się przebija sron biały;
A przedsię wymuskać się, przedsię z pstrocinami
Czepczyk na głowie, przedsię fartuch z forbotami².
Naśmieszniejsza, gdy owo chce się pieścić z mową:
Świni krzakać, a babie przystoi trząść głową!...
Oluchna. Co mi za gospodyni? Jako żywo krowy
Ręką swą nie doila! gadać o tem słowy
Tylko umie, a stroić po domu fasoly,
Kucharkom lajać! Z pustej nie wyjdzie stodoły,
Jedno sowa! Ogórki wczora kwasić chciała:
Tak to robiła, że się wszystka czeladź śmiała!
A w karczmie albo w tańcu plak jej nie doleci:
Gdy podolek³ rozpuści, wymiecie i śmieci!...
Pietrucha. Ale starosta do nas znowu przystępuje,
Kwaśno patrzy, z nahajką na nas się gotuje.
Zaśpiewam ja mu przedsię, — rad on pieśni słucho:
Patrzy na nas i stanął, i nadkłada ucho.

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Naucz swych obyczajów starostę naszego!
Ty piękny dzień promieniami swojemi oświecasz
I wzajem księżycowi noc ciemną polecasz;
Jako ty bez pomocy nie żyjesz na niebie,
Niechaj i nasz starosta przykład bierze z ciebie:
Na niebie wszystkie rzeczy dobrze są zrządzone;
Księżyc u ciebie żoną: niech on też ma żonę!

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Naucz swych obyczajów starostę naszego!
Gdy ty na niebo wchodzisz, gwiazdy ustępują,
Gdy księżyc wschodzi, z nim się gwiazdy ukazują.
Siła gospodarz włada, siła w domu czyni,
Ale czeladka lepiej słucho gospodyni:
Niechaj ma żonę: będzie się domu trzymała
Czeladka; nie będzie się często odmieniała;
I nam do dwora będą otworzone wrota, —
Wszystkich do siebie wabi przyjemna ochota.

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Naucz swych obyczajów starostę naszego!
Ty nas ogrzewasz, ty nam wszystko z nieba dajesz,
Bez ciebie noc, z tobą dzień jasny, gdy ty wstajesz;
Niech i on na nas zawsze patrzy jasnym okiem,
Niech nas z pola wczas spuszcza, nie z ostatnim mrokiem!

¹ żeby to jeszcze ta gospodyni była jakąś ważną osobą. ² forbot = koronka.
³ kraj sukni.

Starosta. Pietrucho! Prawieś mi się sianem wykreciła!
Ta nahajka mocno się na twój grzbiet groziła.
Kładźcie sierpy, kupami do jedła siadajcie,
W kupach jedźcie, po chróstach się nie rozchadzajcie!

76. Oprócz Szymonowicza poezja pierwszej połowy XVII wieku posiada jednego jeszcze wielkiej miary artystę, o którym w Europie zachodniej było bez porównania głośniejsze, niż o Szymonowiczu. Artystą tym jest «Horacy sarmacki», jak go nazywano zagranicą, jezuita **Maciej Kazimierz Sarbiewski** z Mazowsza (1595—1640), autor obszernej poetyki (czyli teorii poezji), najznakomitszy ze wszystkich poetów polsko-lacińskich i jeden z najznakomitszych w całej Europie liryków barokowych.

Nie odrazu jednak stał się Sarbiewski artystą. W młodości, będąc jeszcze nauczycielem szkół jezuickich w Krożach i Wilnie, pisywał niesmaczne panegiryki na cześć dobrodziejów swego zakonu, jak np. panegiryk laciński na cześć Jana Karola Chodkiewicza (1619), fundatora szkoły jezuickiej w Krożach. Opowiada poeta, że do Apollona przybiegła Gracja, pytając z wyrzutem, dlaczego nie pomyślał jeszcze o uniesmiertelnieniu sławy Chodkiewicza; zawstydzony Apollon pośpieszył do gryfa, «wodza ptaków pierzastych i zwierząt dzikich», (Chodkiewicz miał gryfa w herbie), z prośbą, aby rozkazał podwładnym sobie ptakom znosić skarby na pomnik dla wielkiego wojownika i dobrodzieja jezuitów; minął tydzień; Apollon, bawiąc w Krożach (!), patrzy i oczom swym nie wierzy: pod wodzą gryfa lecą ptaki, niosąc złoto, srebro, spiż, drogie kamienie, marmur; niebawem przybiega Kaljopa i, przy pomocy Czi, Sławy i Odwagi, buduje pomnik; słońce bieg wstrzymało, aby na wieczór robota mogła być skończona; jakoż pod wieczór stanęły nie jeden, ale całe trzy pomniki. Takie to dziwaczne utwory pisywał zamłodu Sarbiewski!

Lecz na szczęście zaszedł zwrot w jego twórczości: w roku 1623 jezuita wysłali go na dalszą naukę do Rzymu, i tutaj to, pod wpływem gorliwych studjów nad poezją starożytną, zarówno grecką, jak rzymską, talent jego nietylko się rozwinął, ale i wyszlachetniał do niepoznania. Świadczą o tem wymownie trzy księgi ód lacińskich, wydane w roku 1625 (w Kolonji); za tem pierwszym wydaniem poszło niebawem drugie i trzecie, a już w roku 1631 ukazało się (w Lejdzie) czwarte, znacznie uzupełnione: *Lyricorum libri IV, Epodon liber unus alterque Epigrammatum* (Pieśni lirycznych ksiąg czworo, jeszcze jedna księga pieśni i jedna epigramatów). Pieśni te czyli ody, pisane głównie na wzór Horacego, dały Sarbiewskiemu rozgłos w całej Europie zachodniej, i one to właśnie zjednały mu imię Horacjusza polskiego. Tłumaczono je na różne języki: niemiecki, angielski, flamandzki, włoski, francuski, czeski; na język polski przełożył je pięknie, ale niezbyt dokładnie, Syrokomla, o wiele dokładniej — ks. Tadeusz Karyłowski.

Treść ód jest różnorodna. Jedne, jak przystało na wiek XVII, są panegiryczne: wielbi np. Sarbiewski papieża Urbana VIII, wielkiego znawcę i miłośnika poetów starożytnych, wynosząc pod niebiosa jego rzeczywiste i urojone cnoty, zasługi i poezje, oraz wróżąc mu szczęście wiekuiste w niebie.

Dział osobny stanowią ody religijne, wielbiące Najświętszą Pannę, Dzieciątko Jezus i Chrystusa ukrzyżowanego, oraz świętych: Marję Magdalenę, Elżbietę (królową portugalską) i Stanisława Kostkę; tu należą także

ody, których pomysły zawdzięcza Sarbiewski Salomonowej *Pieśni nad pieśniami*. Jedną z najpiękniejszych pieśni religijnych jest oda *Do Dziewicy Matki*.

Gdy bez Dzieciny oglądam Cię, Panno, Gdy zasię widzę Matkę i Pacholę,
Dziwię się Twojej urodzić; To księżyc w północnych cieniach,
Zda mi się, widzę jutrzeńkę zaranną Co zlotolity blask na swoim czole
W różowych falach na wschodzie. Bierze w słonecznych promieniach.
Gdy zaś Twe Dziecię, o Matko i Pani,
Tulisz rękami do łona,
Jasnaś jak słońce, co niebom hetmani
W pośrodku gwiazd milijona¹.

Na szczególną uwagę zasługują ody, będące pobudkami wojennemi, za które godzi się nazwać Sarbiewskiego Tyrteuszem chrześcijańskim: jak Tyrteusz bowiem zagrzewał Spartan do walki z Meseńczykami, tak Sarbiewski, bolejąc nad niewolą narodów chrześcijańskich, jęczących pod jarzmem tureckim, nawoływał chrześcijan, żeby raz przecie wypędzili Turka z Europy. Tak np. w odzie *O gnuśności wieku* woła: «Czyśmy już cześć przodków Tyrjcom przedali? — czyśmy ją posłali w dalekie wygnanie? — Gdzie silni rycerze? gdzie męże wspaniali? — gdzie cnota? gdzie dzielność? Nie pomnim już na nie!...»² — Umiemy tańczyć na prawo i lewo, — gdy zagrzmia skrzypce. Potrząskajcie lutnie, — zerwijcie struny: niechaj głupie drzewo — niewieściech dźwięków nie miota rozrzutnie! — Słyszycie? Leci dźwięk surmy ponury — z Dunaju brzegów. Już stromych Alp czoła — zagrzmiały echem, potężne im góry — wtórują włoskie: do bronii Mars woła!»³ Lecz nie pilno było książętom i rycerzom chrześcijańskim do walki z Księżycem; to też wybuchał Sarbiewski pełnem zgryźliwej ironji oburzeniem na zanik ducha rycerskiego i na twarde serca wobec niedoli narodów, uciskanych przez Turka, np. w odzie *Do książąt europejskich*: «Naprawdę, zimą siadłszy przy kominie, — cieszyć się będziem uczonemi gwary, — że Turczyn padnie, że marnie zaginie, — że zniży k ziemi swe harde sztandary. — Pójdziemyż walczyć? — ale z jakim mieczem? — Broń nasza — cacko, jeno oczy pieści! — zaiste, karku wrogom nie rozsieczem, — gdy miecz złożony, złoto w rękojeści!... Ozdobny oręż znak to jest złowrogi: — on nic nie zdziała, nie nie zabezpiecza; — nawet, gdy chmurą następują wrogi, — rycerz się cofnie, bo... mu szkoda miecza!... Naco nam serca? i naco nam miecze? — Więc je sprzedajmy: ustroim się pięknie — i weźmiem złoto! Gmin: «Cześć wam!» wyrzeczcie, — bo gmin ma uszy, gdzie złoto zabrząknie!... Szczerze, serdecznie gmin się nam pokłoni, — padnie na klęczki, kiedy złoto widzi; — lecz zniknie złoto ze spodłonej dłoni, — a gmin nas popchnie, zelży i zawstydzi!»⁴

Zniewieściałej Europie przeciwstawia Sarbiewski rycerską Polskę, która piersią własną broni chrześcijaństwa przed dziczą turecką; bohaterska wojna chocimska z r. 1621 natchnęła go do napisania ody patryjotycznej *O znamiennym zwycięstwie Polaków nad Osmanem, cesarzem tureckim*: Galezus, rolnik mołdawski, wyorawszy raz na polu chocimskiem szyszaki i pancerze,

¹ Przekład Syrokomli. ² Przekład Syrokomli. ³ Przekład ks. Karyłowskiego.

⁴ Przekład Syrokomli.

przypomina sobie, że kiedyś własnymi oczami patrzył tutaj na bitwę straszliwą, i śpiewa o niej pieśń, wielbiąc nieustraszoną odwagę rycerstwa polskiego. W innej zaś odzie patryjotycznej, *Do rycerstwa polskiego, gdy Władysław, król polski, pobiwszy Osmana, cesarza tureckiego, ściągnął zwycięskie wojsko na leże zimowe*, tak woła poeta: «Wierzycie? Chwała! O, wierzcie, potomki, — że złaman Turczyn, szpetnie z naszej ziemi — zbiegł i, w rozsypce rzucając bój gromki, — okupił pokój zgony nieszczęsnymi. — Jakież strach skrzydła poprzyypinał wtedy — pohańcom sprośnym, gdy z hufcami spolem — Władysław ślepe od trwogi czeredy — gnał, piorunowy miecz wznosząc nad czołem? — Jakież Tatarów i Janczarów roty — ogarnął przestrach, gdy niemal już zdala — zbladł modry Dunaj, runieńcem sromoty — Bosforu mętna pokryła się fala!»¹

Rozumie się, że, jak Horacy, tak i jego wielbiciel Sarbiewski opiewał nietylko swoje uczucia, ale i swoje myśli — o świecie, o człowieku, o jego życiu i obowiązkach, o cnocie: są to ody refleksyjne, przypominające pieśni refleksyjne Kochanowskiego. Ta jednak wielka różnica zachodzi między dwoma poetami, że, kiedy Kochanowski, człowiek świecki, nie żywił bynajmniej pogardy do tego świata, nie stronił od wesołego towarzystwa, nie tęsknił do lepszego życia, Sarbiewski, ksiądz i zakonnik, świat ziemski po czytuje za marność, uciech życiowych unika, szukając samotności, aby się móc bez przeszkody oddawać pobożnym rozmyślaniom, i tęskni do lepszego, wiekuistego życia: pod tym względem podobny jest do Szarzyńskiego. Najpiękniej wypowiedział tę swoją tęsknotę w *Westchnieniu do ojczyzny niebieskiej*.

Ojczyzna niebios wzrok mój zachwyca,	Długoż mi jeszcze, długo potrzeba
Tło firmamentu bogate	Tulać się w ziemskim padole?
I młodociany promień księżycy,	Otwórz się, grobie! otwórz się, głuchy!
I gwiazdek światło iskrzate.	Legnę w tobie bez popłochu:
Światło za światłem miga wesoło,	Zrzucę cielesnych kajdan łańcuchy,
Kręgiem tanecznym się waży,	Strząsnę proch mego prochu.
Lampa przy lampie stoi wesoło	Zbędę się mego brzemienia w ciebie,
U świętych niebios na straży.	Zbędę się bólu, zgnilizny
Przykute oczy moje do nieba	I ducha mego lotem wystrzeżę
Błądzą jak goście w tem kole.	Do niebios, do swej ojczyzny! ²

Oprócz tęsknoty do nieba, poezję refleksyjną Sarbiewskiego cechuje żywe poczucie piękna natury, np. w odzie *Do Pawła Kozłowskiego*, w której wzywa poeta przyjaciela, aby porzucił «Palladowe prace» (t. j. książki) i śpieszył za miasto, by się pięknymi widokami nasycić. «Już dawno ciepłym wiosny oddechem — wionął na pola wietrzyk majowy, — w krasie wiosenną stroją się łąki, — łąki kwieciste, dąbrowy. — Wilja, zastana statkami z zbożem, — przez bujne łąny cicho się toczy, — a tu, w pobliżu, płynnie ze wzgórza — śpiew ptaszal gwarny, uroczy. — Tam znów pastuszek siadł na kurhanie, — chwycił fujarkę, dumki wygrywa; — a wiatr na Wilji w żagle uderzył, — wioślarz odpoczął i śpiewa... Na szczyt Łukiszek³ pójdzim zielony! — Dęby wyniosłe dźwiga na skroniach — i słucha z góry

¹ Przekład ks. Karyłowskiego.
Wilna.

² Przekład Syrokomli.

³ Przedmieście

szumu potoków, — co wartko krąży po błoniach. — Stamtąd ze szczytu, stamtąd zwysoka — ujrzymy całe Wilno przed nami, — Wilję ujrzymy, co wkoło Wilna — krętymi płynię wodami,... — i to zameczysko Giedymimowe, — co na potężnych piętrzy się stokach, — Kapitol Litwy, te baszty wieże, — co dumne toną w obłokach»¹.

Jeszcze piękniejszy krajobraz namalował Sarbiewski w odzie *Do Pawła Jordana Ursyna*; wzywa tutaj poeta przyjaciela, żeby opuścił Rzym, korzystając z wakacyj sierpniowych, i przyjechał do niego, na wieś, do Bracciano pod Rzymem, gdzie się będzie rozkoszował piękną naturą: «Dokoła świecą zaciszne dąbrowy, — wysoko czoła wznoszące w niebiosa, — nad falą wzgórzy, gdzie uśmiech tęczy — w szerokich błoniach srebrzysta śle rosa;... dąb z olchą gada, z topolą zaś jesion, — sosna szmerami tłumaczy coś sennie, — tak las, wzajemną miłością uniesion, — Pocięchę sobie śle wzajem radośnie... Zwysoka patrzą na fale wąwozy, — wieńcem trawiastych wół spowite tkanin, — tam to, uchodząc ponurych zim grozy, — ciepłszych szuka zaciszy Rzymianin. — Dalej Cyminus-góra wstrząsa czoło, — ubrane w bujnej dąbrowy liść złoty, — co Boreasa² pęd łamie wesolo, — kiedy za bary pochwyty się z Noty³. — Szeroko władnie niwie i upałom — nadstawia barki północne wytrwale. — Tymczasem cicho obmywa skał załom — jezioro; z falą zmagają się fale: — tak gnuśna Tetys⁴ ze sobą trwa w sporze, — grą światła wodna się mieni głębina, — którą raz po raz to szybka łódź porze, — to statek, żaglem pędzony, przecina»⁵.

Te wszystkie Boreasze, Noty, Tetydy, Neptuny, Diany, Feby stanowią niemniej częstą okrasę poezji Sarbiewskiego, jak poezji humanistycznej wieku XVI. Nie ustrzegł się on także ujemnych cech stylu barokowego, np. zbyt kunszłownych antytez, które zalecał w swojej poetyce jako środek do osiągnięcia «zgodnej niezgody» czyli «niezgodnej zgody». Przeważa jednak w poezji jego to, co jest pięknym i trwałym nabytkiem stylu barokowego, a więc muzykalność wiersza, różnorodność strof lirycznych, a nadewszystko nieznaną przedtem poezji polskiej malowniczość: bogactwo barw, gra światła i cieni; a i ruchu jest dużo więcej, niż w poezji wieku XVI.

Wszystkie te piękności zajaśniały w pełnym blasku w utworze, pisanym w latach 1627—1629, lecz wydanym dopiero przez Naruszewicza w roku 1757: *Silviludia (Zabawy leśne)*. Władysław IV polował raz w lasach pod Birsztanami (w powiecie trockim); Sarbiewski, jako karnodzieja nadworny, towarzyszył królowi w tych «zabawach leśnych», i one to pobudziły go do napisania utworu, który się składa z dziesięciu pieśni. Tu i owdzie mogłoby się zdawać, że jest to panegiryk na cześć króla: poeta wzywa naturę, by pomagała do polowania królowi i jego dworzanom, zwraca się np. do rosy, żeby wskazała obławie ślady zwierząt, do wiatru, żeby orzeźwił skronie królewskie, do jeziora, żeby po całym świecie roznosiło sławę króla, do księżycy, by mu przyswiecała, do cieniów leśnych, by go zasłaniały od skwaru.

Nie panegiryzm jednak jest główną nutą tych pieśni, tylko zachwyt nad pięknnością natury: lasów i wód, łąk i kwiatów, jasnego dnia i nocy księżycowej, światła i cieniów, ziemi i nieba; a jest to zachwyt nie tylko estetyczny, ale i religijny: widok pięknej natury daje pocie niewzruszona pewność uczuciowa, że jest Bóg, co więcej, poeta wpada w ekstazę mistyczną,

¹ Przekład ks. Piątkiewicza. ² wiatr północny. ³ Notus — wiatr południowy. ⁴ Thetis — nimfa morska (matka Achillesa), morze. ⁵ Przekład ks. Karwłowskiego.

w której uczucie zachwytu nad naturą zlewa się w nierozłączną całość z miłością Boga i tęsknotą do «ojczyzny niebieskiej»: «Kiedyż niebiański płomień — pierś swą popieli w pył — i z dymu oszołomień — Duch-ptaszę, pełen sił, — uleci w tęcz ozdobie — i gniazdo będzie wił, — Miłości wieczna, Tobie?»¹ Na czele *Zabaw leśnych* możnaby położyć, jako ich najlepszą charakterystykę, trzy wiersze z *Przedświtu* Krasińskiego: «My podnosim wzrok nasz w górę — i, gdy widzim tę naturę, — w niej i za nią czujem... Boga!»

Czasem wyraża Sarbiewski swoje zachwyty nieco sztucznie, mówiąc np., że o brzasku dnia kwiaty «boleśnie oplakują pogrzeb nocy», albo że «rankiem wschodzący, a wieczorem zachodzący Febus, niby Feniks niebieski, znajduje kołyskę i mogiłę» w przezroczej toni jeziora. Ale nieraz jest w tych zachwytach wdzięczna harmonja sztuki z prostotą: «Długimi pasmy ścielą się cienie, — jak widma senne, w dal płyną... — nad jakąś cichą, pełną drożyną — przystanął księżyc, wsłuchan w milczenie... — usnęły gaje w ciszy głębokiej»... «Mroki na światła napadły tłumnie — cicho mra blaski gasnące... — z pobladłą twarzą kładzie się słońce — w głuchych ciemności ponurej trumnie... — Noc czarną płachtą okrywa pola»².

Silvudium drugie. Do rosy. (*Taniec pasterzy, gdy Władysław przybył rankiem do Soleczników*)².

- | | |
|---|--|
| <p>I. Uroczą roso poranna,
Którą jasne niebo miecie,
Co, jak manna,
Barwne kwiecie,
Brylantów tęczą bogacisz
I pęk każdy, każdy kielek
W cieniu zacisz
Stoisz w cudnych sznur perełek!</p> | <p>II. Czujna wschodu ogrodniczko,
Co umorusane w pyle
Łąki liczko
Zwilżasz mile
Koneweczką srebrną co dnia!
Lzo tęczowa, którą zdradnie
Zorza wschodnia
Rumianemu niebu kradnie!</p> |
| <p>III. Mleko zorzy, która w sadzie,
Pierś, strojną w blaski szkarłatów,
Zcicha kładzie
W usta kwiatów!
Wznosząc pąki wonne, duże
Wiotkiami warg barwnych płatki;
Wokół róże
Biorą pokarm z piersi matki!</p> | <p>IV. Gwiazd jasnych świto wesola,
Skry, rozsiane przez niebiosy,
Gwiazdy siola,
Perły rosy,
Lezki, z kwiatów ócz płynące,
Które żalność nieci szczera,
Gdy na łące
Pierzchająca noc zamiera.</p> |
| <p>V. Śladów zwierząt świeże piętna,
Których łatwo wzrok nie złowi,
Roso skrzętna,
Zjaw królowi!
W gąszcze, których nie zna gawieź,
Kędy zwierz się chytrze chowa,
Łowców zawieź,
Poranna roso perłowa!</p> | |

¹ Przekład ks. Karyłowskiego

² Przekład Juljana Krzyżanowskiego.

³ Przekład ks. Karyłowskiego.

wyleciało, co widząc, «Sam go ustroił Kupido pierzchliwy — w swe forgi¹, sam mu dał lot popędliwy. — Serce, postrzegszy, że Kupido skrzydeł — pozbył, chcąc wolne być od jego sideł, — wzbiło się w górę i tem się już cieszy, — że go bożeczek nie poima pieszy. — Gdy ono buja pod samym obłokiem, — tyś go, Maryno, przeraźliwym okiem — jako piorunem nagłym postrzeliła, — tyś go z powietrza na ziemię zwabiła. — Potem z trefionych włosów twojej głowy — ukręcone nań wrzuciłaś okowy — i przywiązałaś mocno (daj się Bogu!) — w alkierzu twoim do spodniego progu. — Tam go Kupido zły, mając po woli, — okrutnej nad nim zażywa swawoli». Są i pomysły wręcz nienaturalne, wzięte prawdopodobnie z włoskich poetów barokowych; Pomozja np. boleje, że nie zdoła przybyć do ukochanego przez morze lez swoich: «Bo wiatr mego wzdychania tak poburzył wody, — i żal mój nagły takie wzbudził niepogody, — że, niżeli na drugą nadziei mej stronę — przyjadę, we łzach własnych nieszczęsna utonę».

Na szczęście jednak, daleko częściej, niż na włoskich poetach barokowych, wzorował się Zimorowicz na liryce miłosnej i *Sobótce* Kochanowskiego i od niego to poczęści nauczył się śpiewać uczucia z niewymuszoną, ujmującą prostotą, — poczęści, bo zawdzięcza ją także, jak się zdaje, pieśniom ludowym. Jeżeli zaś w niektórych *Roxolankach*, np. w uroczej pieśni Bohymnji, uczucie miłości łączy się w całość z poczuciem piękności natury, to i tutaj szedł Zimorowicz śladami Kochanowskiego. I, podobnie jak Kochanowski przez usta panien w *Sobótce* śpiewa czasem swoje własne uczucia, tak i Zimorowicz wyraża w niektórych *Roxolankach* swoje własne uczucia, np. pragnienie sławy (w pieśni Lubomira).

Cyceryna. Widziałam cię z okieneczka, kiedyś przechodził,
Rozumiałam, żeś się ze mną obaczyć godził,
Aleś ty pokoje I mieszkanie moje
Prędkim miął skokiem,
A na mnie nędznicę, Twoję niewolnicę,
Aniś rzucił okiem.

Żal mię przejął niesłychany, gdym to ujrziała,
Bóg strzegł, martwą zaraz w oknie zem nie została;
Lecz to niebaczeniu, Abo też niechcieniu
Twemu przyczytałam,
A wieczornej chwili, Tusząc sobie mile,
Tylko wyglądałam.

Przyszedł wieczór, mrok mię nocny w okienku zastał,
Trwałam przecię, dokąd księżyc pełny nie nastał,
A ciebie nie było, Ani cię zoczyło
Oko moje smutne.

Aniś listkiem cisnął, Aniś słówka pisnął,
O serce okrutne!

Kędy teraz tve usługi, kędy uklony?
Kędy lutni słodkobrzmiącej głos upieszczony,
Który bez przestanku Zmierzchem do poranku
Słyszeć-eś mi dawał,

¹ forga = kita, pióropusz.

77. W tym samym roku, w którym umarł Szymonowicz (1629), zgasł, podczas studjów w Krakowie, w dwudziestej pierwszej wiosnie życia, utalentowany liryk, także mieszczanin lwowski, **Szymon Zimorowicz**. Od dziecka niemal rwał się do poezji, a marząc, że mu ona da nieśmiertelną sławę na świecie, marzył o długim życiu: «Spraw, dobry Febie, żeby moje przędde — leniwo wiły niezblagane Jędze». Lecz Apollon nie wysłuchał prośby swego służebnika: Parki szybko wiły przędde jego życia, z czego on sam zdawał sobie sprawę: «...W pół zaczętej drogi — wściekła Lachezys kosą podcina mi nogi — i pierwiej w niepamiętnym chce mię kapać zdroju, — niżbym wiekopomnego skosztował napoju... Ja zaś cichuchno wędnę, jako letnie siano, — które straciła ze pnia ostra stał porano». Lecz, jak marzenia o długim życiu, tak i obawa utonięcia «w niepamiętnym zdroju», nie ziściła się: historia poezji polskiej nigdy mu nie zapomni sześćdziesięciu dziewięciu pieśni, które, na krótko przed śmiercią, uczył wesele swojego brata, Barłomieja, z panną Katarzyną Duchnicówną, a które wdzięczny brat wydał dopiero w roku 1654: *Roxolanki, to jest Ruskie Panny, na wesele B. Z. z K. D... Roku Pańskiego 1629, dnia 28 lutego, we Lwowie wprowadzone*.

Z tego tytułu widać, że te pieśni naprawdę śpiewano na godach weselnych: osiemnaście pieśni wyśpiewał «pierwszy chór, paniński», trzydzieści jeden — «włóry chór, młodzieński», dwadzieścia — «trzeci chór, paniński»; jako śpiewy, mają *Roxolanki* budowę stroficzną, niezmiernie urozmaiconą.

Prawie wszystkie imiona śpiewających panien i młodzieńców są starożytnie: Pneumella, Licydyna, Amaran, Narcyssus, Amorella, Pulcherja i t. d.; młodemu bowiem pocięciu, bardzo ambitnemu, chodziło o to, żeby wesele starszego brata uczyć «poezją uczoną»: w tym samym celu, wzorując się na poetach starożytnych, zwłaszcza na Owidjuszu, wprowadził do *Roxolank* i Wenerę, i Kupidyna, i Apollona, i Jowisza, i Factona i t. d. Jak w *Sobótce* Kochanowskiego panny, tak w *Roxolankach* panny i młodzieńcy śpiewają swoje uczucia, nadewszystko — miłość. Radość na myśl o miłości odwzajemnionej, smutek na myśl o braku wzajemności, lub na widok obojętności wobec zaklęć i próśb o wzajemność, wyznania miłosne, rozstania i pożegnania, skargi młodego serca, spragnionego miłości, że nie znalazło jeszcze drugiego serca, do którego by było, ból po śmierci ukochanej istoty: oto co stanowi bardzo rozmaitą treść tych pieśni. Nigdy jeszcze przedtem w poezji polskiej miłość nie przemówiła w takiej różnorodności odcieni: każda panna i każdy młodzieniec inaczej kocha, inaczej tęskni, inaczej się cieszy, inaczej smuci. Pod jednym wszakże względem są *Roxolanki* do siebie podobne: oto miłość przemawia w nich jakby tylko półgłosem — rzewnie, tkliwie, ale cicho, spokojnie; zmysły nie grają w nich zupełnie, bo się jeszcze nie obudziły; w tych nawet pieśniach, w których panny i młodzieńcy skarżą się, że płomienie miłosne palą im serce, jest więcej tęsknoty do miłości, aniżeli samej miłości. Słusznie bardzo sam poeta nazwał pobłażliwie *Roxolanki* «łagodnymi odami», nie zdając sobie może sprawy, ile w nich jest uroku młodości.

Zresztą nie wszystkie są równie piękne: nie brak takich, którym «uczoność» nie wyszła na dobre, które dzisiaj trudno czytać bez pobłażliwego uśmiechu. Oto np. Ostafi skarży się, że mu kiedyś «z srogiej tesknice» serce

Przy nim winszowania I ciche wzdychania
Lekuchność podawał?
Niemasz też dawnych zabaw, nie słyhać pienia,
Pelne serce tęsknić, uszy pełne milczenia.
Gdzie zwyczajne śmiechy? Gdzie dawne uciechy?
Niebaczny człowiecze!
Nie wiesz, że przygoda I godzina młoda
Prędziuchno uciecze.
Przeto, żeś mi nie winszował szczęśliwej nocy,
Nie uznały snu milego biedne me oczy;
Także ty wzajemnie Łaskawej przeze mnie
Nocy nie zakusisz,
Lecz przykre niespania I częste wzdychania
Co noc cierpieć musisz.

Majoranna. Jużem z pieluch wyrosła I lat panińskich doszła,
Już mam z potrzebę¹ wzrostu I urody poprostu, —
A nie wiem przecie, Kto mię na świecie Przyjmie w małżeńskie stadło.
Umiem potrefić włosy I warkocz zapleść w kosy,
Kłaniam się barzo snadno I tańczuję układno, —
A cóż po temu, Kiedy żadnemu W serce się nie wkrađło!
Mam pogotowiu wiano, Posag mi zawiązano,
Obiecali wesele Sprawić mi przyjaciele,
Ale to fraszka, Gdy młodzieniaszka Nie mam, dziewczka stroskana!
Bowiem niczem są szaty, Także posag bogaty,
Lada co obyczaje, Kiedy mi nie dostaje
Ukochanego, Obiecanego Przyjaciela i pana.

Melani. Gdym do twego ogródeczka niedawno w maju
Przyszedł, rozumiałem, żeś był wzięty do raju,
Obaczywszy rozmaitość bujnego zioła:
To fijołki, to rozmaryn stoi dokoła,
A od twojej twarzy Każdy się kwiat żarzy:
Nuż goździki śliczne I róże rozliczne
Rumienieją się, patrząc w ciebie ustawicznie.
Wszystko nizacz, ma kochanko, gdy niemasz ciebie;
Mnie żaden kwiat nie powabi wonny do siebie.
Cóż mi po tem, chociaż spojrzę na konwalią?
Chociaż uszczknę miłą różę, albo liliją?
Bez twojej urody Niczem są ogrody;
Twe wargi szkarłatne I czoło udatne
Wszystkie kwiecie nabogatsze czynią niepłatne.
Jeżliś przeto mię wezwała, żebyś się bawił,
A w tesknicy frasowliwej tylko czas trawił,
Jakoż ja mogę bez ciebie wytrwać na świecie?
Fraszka u mnie wirydarze², fraszka są kwiecie.
Głupibym był, wierzę, Kiedybym w tej mierze
Więcej kochał w ziele, Niżeli w przyjacielu,
Któremu serce wylałem nad inszych wielu.

¹ tyle, ile potrzeba.

² ogródki.

Czyli już śpisz, czy na jawie ze mnie żartujesz?
Jakie teraz niepogody, aza nie czujesz?
Noc ciemniejsza nad obyczaj, deszcz z wierzchu leje,
Ja przecież czekam w ogródku, mając nadzieję,
 Że zasnąć nie raczysz, Aże mnie obaczysz;
 Jeżeli milujesz, Wianeczkiem darujesz.
 Dosyć będzie ze mnie, gdy mię tak uszanujesz.
Lecz, widzę, zapamiętałaś twojego sługi,
Barziej ci się upodobał, nie wiem, ktoś drugi,
Z którym miluchno rozmawiasz godzin w noc kila;
Jeżeli mi to na złość czynisz, dajbyś nie żyła.
 Ale żyj szczęśliwa, Póki będziesz żywa;
 Bo pewienem tego, że ty dla nowego
 Przyjaciela nie opuścisz mnie, dawniejszego.
Już dobranoc, ogródeczku! z żalem odchodzę,
Dobra noc wam, ziołeczka i tobie, gospodze!
Wianeczek ci zostawuję, weźmi go sobie,
A jako tej nocy spałem, wypowie tobie.
 Wierzę, iż tej nocy Nie zamknąłem oczy,
 Przecie ty koniecznie Miej dobranoc wiecznie,
 Ja się z tobą dzisiaj żegnam już ostatecznie.

Pohymnija. Patrzaj, jak ogniem niebieskim dotknięte
Przemieniają się śniegi w rzeki wrone:
Kędy po lodzie wóz przejechał brzegi,
Naładowane pływają komiegi¹.
Dąbrowa, nocnej napojona rosy,
Ogółcone z drzew rozwija włosy;
Słowik w szelinach², gdy zorza zakwita,
Gardleczkiem ranem³ młodą wiosnę wita.
Już i zezula w głośnym gaju huka,
Z radości kora na drzewach się puka,
Same fijołki głowy wynarzają⁴
Z ziemię, a na dni piękne pogładają.
A któż, podobny do martwych kamieni,
Kłopotów w piękną radość nie odmieni,
Zwłaszcza w tej chwili, gdy same godziny
Niosą wdzięcznego wesela przyczyny?
A tak przybywaj co prędzej, mój luby!
Bowiem dla ciebie samego me śluby
Chowam gotowe; oprócz ciebie zasię
Nie mam wesela w najweselszym czasie.

78. *Sielanki* Szymonowicza i *Rozolanki* Zimorowicza dowodzą, że tradycja pięknej poezji XVI wieku nie od razu zagięła w XVII. Nie od razu też ulotniła się z literatury mądrość i szlachetność myśli: widać to z pism

¹ komiega = statek do splawiania zboża, galar. ² szelina = gaj. ³ rany = poranny, młody. ⁴ wynurzają.

kanonika krakowskiego, **Szymona Starowolskiego** (ur. s. w końcu w. XVI, um. 1656). Nie posiadał on ani nadszwyczajnych zdolności, ani wybitnego talentu; ale miał dużo rozumu i wykształcenia: party żądzą wiedzy, nie poprzestał na szkołach krajowych, ale trzykrotnie wyjeżdżał zagranicę, skąd przywoził z sobą coraz nowe zapasy nauki; przypatrywał się także temu, co się w Polsce działo, i ze smutkiem widział, że dzieje się źle; postanowił więc, idąc w ślady Modrzewskiego, Skargi i innych pisarzy XVI wieku, otwierać swemu narodowi oczy i przestrzegać go, żeby nie wtrącał ojczyzny w przepaść; nula złowroga, dźwięcząca w pismach Modrzewskiego i Skargi, dźwięczy i w jego pismach: i on grozi upadkiem, co mu jednak nie przeszkadzało wierzyć i uczyć, że się Pan Bóg nad Polską zmiłuje, Polska bowiem jest Jego narodem wybranym; ta myśl, błakająca się już w kazaniach Skargi, ukazuje się w pismach Starowolskiego i częściej, i wyraźniej.

Pisał zarówno po łacinie, jak po polsku: po łacinie — dla obcych, po polsku — dla swoich.

Wiedząc, że zagranicą mało co o literaturze polskiej wiedzą, ułożył dla cudzoziemców dwa dziełka: jedno — o sławnych pisarzach polskich wogóle, drugie — o sławnych mówcach. Obznajmiał cudzoziemców z geografją Polski i z jej rządem, napisał dla nich rzecz o słynnych wojownikach polskich; a kiedy jakiś podły Niemiec ogłosił pismo, będące stekiem niegodziwych oszczerstw przeciwko Polsce, Starowolski dał mu ostrą, a rzetelną odpawę. Słowem, w pismach łacińskich występuje, jako Polak, dbały o godność narodową i dobrą sławę Polski na świecie.

Po polsku pisał dzieła religijne (dogmatyczne i kaznodziejskie), traktaty moralne, polityczne, strategiczne, broszurki publicystyczne, satyry wierszowane; nie brak także pism historycznych i geograficznych. A niemal wszędzie i zawsze jest przedewszystkiem moralistą, i on bowiem, podobnie jak Modrzewski i Skarga, poczytywał moralność za główną ostoję zarówno potęgi państwa, jak szczęścia społeczeństwa.

Bolejąc nad zanikaniem ducha rycerskiego w Polsce (co widział na własne oczy, przebywając podczas wojny chocimskiej w obozie), napisał dziełko p. t. *Prawy rycerz* (1632), w którym nakreślił ideał rycerza chrześcijańskiego: rycerz powinien służyć ojczyźnie bezinteresownie, bronić wiary, pracować na dobrą sławę, słowem, być takim, jakimi niegdyś byli uczestnicy wypraw krzyżowych. W innem dziełku (*Stacyje żołnierskie albo w wyciąganiu ich z dóbr kościelnych potrzebne przestrogi*, 1636) jaskrawo maluje zdzierstwa, jakich się dopuszczali żołnierze, którzy, przepiwszy żołd (albo też, jak to często bywało, nie otrzymawszy go) żyli cudzą krzywdą.

Większość swoich poglądów, rad i nauk moralnych skupił w obszer-nem piśmie *Reformacyja obyczajów polskich* (około roku 1650). Wiele tu myśli powtórzonych za Modrzewskim i znakomitym myślicielem Sebastjanem Petrycem (który na początku XVII wieku przełożył na język polski pisma moralne i polityczne Arystotelesa); a i u Skargi zapożyczył się Starowolski: *Reformacyja obyczajów polskich* to bardzo szczegółowy rachunek sumienia polskiego, coś w rodzaju *Kazań sejmowych*, tylko bez ich piękności i potęgi. Pod pewnym względem nie wznosi się tu autor ponad przesady swego czasu; twierdzi np., że się szlachcic, dbały o dobrą sławę, nie powinien trudnić handlem; albo np., jako fanatyk, ubolewa, że «nie usłyszy teraz, kogoby o bluźnierstwo i niewiarę na ogień skazano, kogoby o czary publice spalono; pięknie mówi, że «jednaki występek» powinien być «we-

dług prawa bożego jednaką winą karany, jako jedna cnota ma być jedną nagrodą uczczona», z tego jednak nie wyciąga wniosku, że niesprawiedliwe prawo o mężobójstwie powinno być zniesione! Ale w innych wielu poglądach jest wyższy ponad ogół szlachty. Mniejsza o to, że wyrzuca jej pychę i niezgodę, zbytki i pijaństwo, życie nad stan i t. d.: ważniejszą jest rzeczą, że nie boi się mówić, iż złota wolność jest klęską dla państwa i krzywdą dla ubogich: «U nas, iż wszystko wszystkim wolno, dlatego zawsze uboższy jest niewolnikiem możniejszego, który go krzywdzi, despektuje¹, najeżdża..., czego pod Turczyнем żaden basza najuboższemu kmiotkowi czynić nie może, bo szyja w tem²;... Moskwa, gdy im mówiono, aby się z naszym narodem złączyli i... z nami spólnie swobody i wolności miłej zażywali, odpowiedzieli światłobliwej pamięci księdzu Zadzikowi: «Nie chcem, panie biskupie, waszej wolności, derżyte ją sobe, bo u nas jeden tylko car, co naszym horlem i majątnościami dysponuje, a u was co bojar, to tyran!» Nie waha się również Starowolski wyrzucać szlachcie ucisku chłopów i zdzierstw, popełnianych przez starostów, «którzy, co wiedzieć, jakich ciężarów, robocizn i podatków nie wkładają na ubogie poddane królewskie», oraz przez panów, «którzy, podróżą z gromadnemi orszakami czyniąc, nie płacą w gospodach, a ich gwardyje niekarne, przez wsi albo miasteczka jadąc, co jeno po drodze potkają, porwą: geś, kurę, barana, ser, masło, kielbasy, chusty i wszelakie naczynia domowe, chłopu do komory wpadzą». Nie zapomina i o upadku rzetelnej oświaty, stwierdzając tę smutną prawdę, że ludzi uczonych przestano szanować w Polsce XVII w.: «My, grubi Sarmatowie, nie znając się na... drogich perłach nauk... filozofiją błazeństwem, a filozofy i wszystkie ludzkie uczone żakami, bikami³,... a ludzi dobrych, cnotliwych błaznami nazywamy». Nie poprzestaje jednak autor na wytykaniu wad i grzechów, ale podaje szereg pomysłów do naprawy państwa: sądownictwa, wojska, finansów i t. d. Lecz jak niegdyś Modrzewski, tak i Starowolski wątpił, czy go naród posłucha; dlatego też lękał się o przyszłość ojczyzny: «Czego się lepszego nad Rzymiany i pograniczne narody spodziewać mamy? Nic zapewne inszego, jeno takiego upadku i takiejże zguby ojczyzny, jako i insze narody, co przed wieki sławą, męstwem, bogactwem, rozumem i szerokością panowania słynęły... Co rok, to gorzej: uciski wielkie, niezmierne zdzierstwa, łupiestwa, rozbójstwa, mężobójstwa, potwarzy, krzywoprzysięstwa, gwałty, najazdy». Ale pocieszał się Starowolski wiarą w miłosierdzie Boże, które jednak wówczas dopiero Polsce obiecywał, kiedy się ona poprawi: «My, którzy *confidimus in Domino*⁴,... mamy tę nadzieję, że, gdziebyśmy się jeno poprawić umyślili,... tedyby nie wzgardził pokorą naszą Ociec miłosierny, ale owszem na wszytkiemby nam hojnie błogosławił i dał dobre lata, pokój, zgodę, miłość i zwycięstwo z nieprzyjaciół Kościoła swojego świętego».

Ale nadzieja się nie ziściła, i, zamiast «dobrych lat», przyszły lata okropne: po wojnach kozackich przyszły szwedzkie. I dożył Starowolski tego upokorzenia, że króla szwedzkiego, Karola Gustawa, musiał oprowadzić, jako kanonik krakowski, po podziemiach Wawelu; stanąwszy przy grobowcu Łokietka, odezwał się do Karola: «Tenci jest król polski, którego losy przeciwnie potrzykroć tron opuszczać zmuszały, wrócił nań jednak i królem na-

¹ pogardzać. ² bo życiem zapłaci. ³ bik = dragal, próżniak. ⁴ ufamy w Panu.

Jaszczurcze — pry¹ — potomstwo matkę swą zabily.
Ty, co przemijaszą tędy, czytelniku miły,
Jeśli cnotę milujesz, proszę, tej mogily
Nie mijaj bez wiernych lez, westchnienia gorzkiego,
A uzał się serdecznie upadku mego.

Uboża albowiem matka, *filios enutrivit et exallavit, ipsi autem spreverunt me*². Wychowałam syny koronne w dostatkach i obfitości wszelkiego dobra: a oni lekce sobie powazyli żyzność moją. Porównałam je godnością szlacheccą ze wszystkimi tytułatami³ pogranicznymi: a oni, wzgardziwszy rycerską dostojnością, książęce i margrabskie nazwiska kupować sobie u postronnych panów poczęli. Obdarzyłam je wolnością taką, jakiej u okolicznych narodów najwyższych tytułów panowie nie mają: a oni, ją nizacz sobie mając, niemieckich rządów jarzmo na szyję swoją zaciągnęli. Oświeciłam ich wiarą świętą powszechną katolicką: a oni poszli sobie szukać nowych sektarzów opinij, nauką apostołską wzgardziwszy... Wystawiłam im szkołę w mieście stołecznem, aby się w niej wszelkich nauk wyzwolonych, wszelkich cnot doskonałości i wszelkiej pobożności chrześcijańskiej ćwiczyli: a oni, królewską Akademią wzgardziwszy, do Wittemberku, do Lipska, do Lejdy i do Genewy się udali, gdzie wszelakiej niebożności, swejwoli, chytrłości i obludy nauczyli się.

Założyłam im ćwiczenie rycerskie na Ukrainie, wojsko kwarciane postanowiwszy: a oni, zaniehbawszy męstwa sławnych przodków swoich, nie pod namiotami w polu, ale po miasteczkach, w izbach i chłodnikach⁴ lata swoje trawili... Coście się czynili⁵ bohaterami, to, uslyszawszy tylko o nieprzyjacielu, zostajecie tchórzami, a ujrzawszy go przed sobą, ręce opuściwszy, zaraz z placu uciekać będziecie... Nie będziecie mogli rękę podnieść na nieprzyjaciela i broni nie będziecie mogli dobyć na niego, żeście ubogich chłopków niemi bili niewinnie i siekli w domach ich okna, stoły, skoble i kłódki do komór... Będziecie się zbiegać do gromady, zaponniawszy się od strachu, pytając sąsiad sąsiada, przyjaciel przyjaciela: «Dla Boga! co się dzieje? czemu się nie możemy oprzeć nieprzyjacielowi? czemuśmy tak pobledli od strachu, lubo jeszcze daleko jest od nas?...»

Obciążaliście poddane wasze gorzej, niżli egipską niewolą: ponoścież ją teraz sami, mając panami cudzoziemców nad sobą; i co się każdy z was czynił królem nad poddanymi swoimi, to teraz znajcie króla nad sobą, który będzie umiał ochelznąć swawolą waszą, *absolute*⁶ rozkazując;... i coście w purpurach się nosili, abyście knechtom jego trzewiki robili, coście się stroili w tabiny⁷ ze złotem, abyście smolę palili i pod wagą oddawali z wiossek waszych; a małżonki wasze, co, się w klenoty ustroiwszy i bławaty różne, ni o czym, jeno o delicyjach, o zbytkach wszelakich myśliły, to teraz piechocie pończoszki robić muszą i oddawać je pod liczbą, jako czyjej wiosce na kartce naznaczą... Jedni pójdą w niewolą do Moskwy, do Szwecyjej, do Tatar, a drudzy na wygnaniu w nędzy i w zniewadze od sromoty pomrą, — tak księża, jako i świeccy, tak szlachta, jako i mieszczanie, jako też i chłopkowie... Nikt się przed karaniem Pańskim nie umknie, nikt się

¹ prawi, mówi. ² wychowałam syny i wywyższyłam, a oni mię wzgardzili (słowa Izajasza). ³ posiadający tytuł (dostojność). ⁴ miejsce zaciemnione, altana. ⁵ udawać. ⁶ nieograniczenie. ⁷ tabina = kitajka jedwabna.

bez szkody i utrapienia nie najdzie, tak senator, jako i biskup, tak zakonnik, jako i kupiec, tak Żyd, jako i heretyk, tak arendarz, jako i pan dziedziczny, tak żebrak, jako i rolnik, tak rzemieślnik, jako i przekupień... Rozproszą się, jako mrówki, Lachowie moi — po Śląsku, po Węgrzech, po Wołoszech, po Siedmigródzkiej ziemi, a ziemia ich pójdzie na szarpaninę różnym narodom... «Bo ja — powiada Pan przez Jeremijasza — przywiędę na nich wszystko złe z północkska i plagę nieznośną, że nie chcą opuścić złych nałogów swoich!...» Jak skoro obaczą nieprzyjaciela następującego, zaraz się polekają wszyscy, straci serce i król, i senatorowie jego, stracą śmiałość i żołnierze, i pospólstwo, zgłupieją od strachu kapłani, umilkną kaznodzieje, nikt do męstwa nie pobudzi obywatelów, nikt do obrony ojezyny nie zwabi synów koronnych, nikt do pokuty za grzechy nie napomni, — opuszczą ręce wszyscy i tak jeno będą oczekiwać plagi, od Boga naznaczonej, nic o sobie nie radząc.

Co się też właśnie stało... i tak nam Ruś odjęto, Litwę opanowano, Mazowsze, Prusy i Polskę wszystkie pod jarzmo niewoli wzięto, a my się przecię poprawić nie chcemy i nieprzyjacielowi odjąć się nie myślimy, lubo nas rabują, pustoszą i zabijają, jako by było nieme... Długo nam Pan Bóg folgował, a nie chcieliśmy się obaczyć... «Oczekiwałem — mówi Pan przez Izajasza — aby też Polska obaczyła się i czyniła sąd i sprawiedliwość na swoich sejmach, trybunach, grodach i ziemstwach, alic, miasto poprawy, co dzień, to większą niesprawiedliwość, większe ukrzywdzenie ubogich, których płacz przebijał do mnie niebiosa...»

Cóż wżdy, Panie, synowie moi tak złego uczynili, żeś ich dał na pośmiewisko narodom wszystkim, żeś ich dał pod jarzmo tak odległemu nieprzyjacielowi, o którym ledwie kiedy słyhać było na świecie?... Pobudziłeś na nas wszystkie sąsiady nasze do wojny, wszystkie okoliczne narody naśmiewają się teraz z synów przezacnej niegdyś Korony polskiej, którzy straszni bywali wszystkim pogranicznym sąsiadom, nawet i odległym pogańskim monarchijom!... Widzisz, Panie, jako bluźnierskie narody, heretyckie, odszczepieńskie i bisurmańskie, pogwałcili kościoły Twoje, pomordowali kapłany Twoje, pozabijali tysiącami sług Twoich, w wierze świętej katolickiej trwających...

Odupuś nieprawości ich, jako Bóg miłosierny!... Wspomni na miłosierdzie Twoje nieskończone, a oddał tę plagę od narodu Twego wybranego!... Wspomni na prostotę starych Polaków onych, którzy w szczerości serca mandatów Twoich świętych przestrzegali, którzy od przyjęcia wiary katolickiej zawsze się za Kościół Twój Święty i za wszystko chrześcijaństwo pogańskim narodom zastawiali!... Niech oczy nasze widzą zemstę niewinnie rozlanej krwi wybranych sług Twoich od krzywoprzysięgłych sąsiadów naszych! Niechaj ciężki płacz i wdychanie pobranych w niewolę córek i synów koronnych przeniknie boskie uszy Twoje, że w tem zagniewaniu Twojem na Polskę wspomniesz na miłosierdzie Twoje, jako Ociec łaskawy i dobrotliwy, — abym ja, utrapiona matka, po karaniu dziełek moich wystawiła przed światem wszystkim, *quantas ostendisti mihi tribulationes multas et malas et conversus vivificasti me et de abyssis terrae iterum reduxisti me...*¹

¹ Jako wielkie uczyniłeś mi uciski mnogie i złe, a nawróciwszy się, ożywiłeś mnie i z przepaści ziemskich zasię wywiodłeś mnie (Psalm 70).

Jakoż już miałam zginąć, Polska, dla nieprawości potomków moich, a Tyś mię, Boże, wyrwał wszechmocną ręką swoją z przepaści śmierci. Po-
dałeś mię sąsiadom moim nielitościwym: Sudermanowi, Moskwiciniowi, Ta-
tarzynowi i rebelizującemu¹ Kozakowi, ale na skaranie tylko, nie na zgubę,
na wykorzenienie zbytków i swejwoli dziatek moich, ale nie zatracenie i wy-
niszczenie imienia polskiego.

Odpowiada Pańskiem imieinem... psalmista święty i mówi: «Sąsiadów
twoich krzywoprzysięgłych, którzy powstałi na cię, o Sarmacyja niezwy-
ciężona, rozproszy Bóg zastępów wielmożną ręką swoją;... skarże i buntow-
ników kozackich i zdrajców ojczyzny wszystkich wyniszczy:... ale pierwej
skarże złości synów twoich swawolnych...» Mówi przez Izajasza Pan: «Nie
zlituję się, Korono polska, nad tobą, aż pierwej zemszczę despektu² mo-
jego, żeście mandata moje znieważyli, aż wyniszczę tych wszystkich, którzy
Kościół mój sprofanowali, aż wysmażę wszystkie nieprawości tego ludu zło-
śliwego, że nie zostanie, jeno brant cnoty samej chrześcijańskiej. Dopiero
wam przywrócę przelożonych ludzi sprawiedliwych i pobożnych, jacy by-
wali za przodków waszych; dopiero dam senatorów mądrych, poważnych,
jakieście za starych wieków miewali; dam i pokój pożądany, którymeście
gardzili pierwej, i tron pomazańca waszego utwierdzą;... będą się rebelizanci
lękać twarzy jego, i zdrażliwi poddani, którzy go nienawidzili, nie będą
śmieli ukazać się przed majestat jego; poganie będą się strachać imienia
jego, i wszyscy obliczni³ nieprzyjaciele jego będą rzucać bronie i chorągwie
swoje pod nogi jego: abowiem wszechmocna ręka moja będzie przy nim
zawsze obecna, i zastępy moje niebieskie będą stawały na posilek w każ-
dym boju, gdy się kto targnie na niego. Ale pierwej omyjcie łzami nie-
prawości wasze, upokórcie się przed majestatem moim, żalujcie za grze-
chy, pokutujcie, żyjcie pocziwie!...»

Ratuj nas sam, Boże, Zbawicielu nasz, w tych utrapieniach naszych,
abowiem próżno się mamy spodziewać ratunku z Rakus, próżno i ze Fran-
cyej, mało nas wesprą i włoskie obietnice, i kumanie się z Perekopem, nie
nie pomogą Wołosza, Węgry i Siedmigródzianie, byśmy ich najbarziej pro-
sili, bo się oni teraz cieszą z nieszczęścia naszego, jako i wszyscy inszy po-
graniczni! W samym tylko Bogu nadzieja a w pokucie świętej, do której
gdy się z szczerego serca udamy,... z nieba otrzymamy posiłki, z nieba da-
dzą nam męstwo, śmiałość, siły i serce nieustraszone, że, jakeśmy teraz po
te lata sromotnie uciekali dla grzechów naszych, tak, za pomocą Najwyż-
szego, gdy się poprawimy w cnoście, będą przed garstką naszych uciekały
niezliczone hufce nieprzyjaciół naszych...

Obronco nasz niewyciężony, Chryste Zbawicielu, wejrzy na pokorę
ludu Twojego utrapionego, którzy wszystkę ufność swoją i nadzieję w To-
bie pokładają, że, przyjąwszy płacziwe modlitwy nasze, wyrwiesz nas z pa-
szczęki nieprzyjaciół naszych! Wejrzy i na pomazańca Twojego, KAZI-
MIERZA, króla naszego, który do ciebie samego ucieka się o ratunek!...

A że jesteś, Panie, z natury Twojej boskiej *patiens et multum mise-
ricors*⁴, proszę, uboga matka Polska, już już konająca, przepuść grzechy
działkom moim, bezwzględnie utrapionym, a gniew Twój boski wylej na pagany
niewierne, na heretyki złośliwe, na schizmatyki uporczywe!... A syny tej

¹ powstańczy. ² zniewaga. ³ obecny. ⁴ cierpliwý a wiele miło-
sierny (Psalm 144).

zacznej Korony, po rozmaitych krainach rozproszone, zgromadziwszy do ich ojczyzny, pokojem pożądanym racz miłosiernie opatrzeć i błogostawieństwem Twojem niebieskiem!...

79. Smutniejsze jeszcze świadectwo, niż Starowolski w *Reformacji obyczajów*, wystawił swemu społeczeństwu magnat wielkopolski, wojewoda poznański, smutnej pamięci **Krzysztof Opaliński** (1610—1656), najznakomitszy satyryk XVII w. Był to człowiek zdolny, rozumny, bardzo wykształcony, ocytany w pisarzach starożytnych; nie marnował bowiem czasu ani w szkołach poznańskich, ani w uniwersytetach zagranicznych: bawił rok w Padwie i całe cztery lata w Lowanjum, gdzie słuchał (wraz z bratem Łukaszem) wykładów uczonego łacinnika Puteanusa. Pod względem moralnym nie był Opaliński pozbawiony szlachetnych popędów: cóż z tego, kiedy zaślepiąta go szalona pycha magnacka i duma szatańska, silniejsze od głosu sumienia i miłości ojczyzny, i one to pełnęły go najprzód do wichrzycielstwa, potem zaś do jawnej zdrady: żywiąc osobistą urazę do Władysława IV, haniebnie go szkalował, a urażony na Jana Kazimierza, że go o radę nie pyta, wichrzył w obozie pod Beresteczkiem; wreszcie, kiedy Radziejowski naprowadził Szwedów na ojczyznę, wydał Wielkopolskę w ich ręce i podpisał kapitulację pod Ujściem.

Wybitne stanowisko w literaturze zapewniają mu *Satyry albo przestrogi, do naprawy rządu i obyczajów w Polsce należące* (1650). O ich pożyteczności świadczy to, że je przy końcu stulecia wydano już po raz ósmy (1698). Na karcie tytułowej dwóch ostatnich wydań widnieje napis: *Juvenalis Redivivus (Juwenalis zmartwychwstały)*. Jakoż Opaliński naśladował tego wielkiego satyryka, nadto dwóch jeszcze innych satyryków rzymskich (Horacego i Persjusza), i to nie tylko pod względem formy, ale i treści.

Co do formy, to *Satyry* Opalińskiego nie są ani długimi dialogami dramatycznymi, jak *Krótka rozprawa Reja*, albo *Rozmowa baranów* Bielskiego, ani długimi monologami, włożonemi w czyjeś usta, jak *Satyr* Kochanowskiego. Są to, podobnie jak satyry rzymskie, utwory krótkie, mające postać to rozważań samego autora, to opowieści o jakimś zmyślonem czy prawdziwem zdarzeniu, to dysputy autora ze znajomym. Pierwszy Opaliński posługiwał się taką rzymską formą; przed nim posiadała wprawdzie nasza poezja liczne utwory satyryczne, ale właściwych satyr, jako ściśle określonego rodzaju literackiego, nie miała.

Co zaś do treści, to często brał Opaliński z satyryków rzymskich (zwłaszcza z Juwenalisa) gotowe pomysły, np. miotanie piorunów na zbytki, na dworaków, na kobiety, co nie przeszkadza, że te zapożyczone pomysły umiał doskonale dostrajać do obyczajów polskich.

Wszystkie *Satyry* pisał Opaliński wierszem białym, o nieszczególniej rytmice; językiem posługiwał się (i to z umysłu, żeby je czytała przeciętna szlachta) pospolitym, rubasznym, tu i owdzie upstrzonym makaronizmami, ale bardzo dobitnym, nieraz nawet silnym; lubił wplatać w satyrę sentencje moralne. Dar spostrzegawczy miał duży, talent charakterystyki — bardzo niepospolity; umiał się i oburzać, a dowcipu mu także nie brakowało, zwłaszcza złośliwego. Miał prócz tego rozum polityczny, to też jasno zdawał sobie sprawę z anarchji w Polsce; miał i odwagę cywilną, to też nie wahał się piętnować nawet najdroższego skarbu szlachty — złotej wolności.

Treść *Satyr* jest niezmiernie bogata. Nie oszczędzają nikogo: ani króla,

ani hetmanów i innych dostojników, ani szlachty, ani duchowieństwa. Złe wychowanie dzieci, oplakany stan szkół, ciemnota duchowieństwa; zepsucie obyczajów, życie nad stan, pijaństwo, oziębłość w prawdziwym nabożeństwie obok dewocji, brak miłosierdzia dla ubogich; nieposzanowanie władzy króla, «który Polakom nigdy nie wygodzi»; bezsilność praw wskutek słabości władzy wykonawczej; niekarność wojskowa i brak fortec pogranicznych; przedajność urzędników (zwłaszcza sędziów); pustki w skarbie i t. d., słowem — okropna anarchja; nadto upadek miast, przemysłu, handlu, oraz straszny ucisk chłopów: oto treść *Satyry*, które składają się na ponury, rozpaczliwy obraz ówczesnej Polski; sam autor nazwał je «zwierciadłem, w którym każdy przejrzeć się i plamę obaczyć może».

Zaden inny satyryk staropolski nie dał obrazu tak wszechstronnego. Lecz barwy jego są czasem zbyt ciemne, innemi słowy, czasem przesadza Opaliński, jakby chcąc zozydzić własną ojczyznę, mówiąc np., że w s z y s c y rycerze w obozie, a w s z y s c y posłowie i senatorowie w sejmie są pijani, albo np., że się na dworze Władysława IV trzeba mieć na baczności przy obiedzie, aby wraz z potrawą arseniku nie połknąć: ale po większej części satyry mówią niestety prawdę — bolesną, upokarzającą, ale prawdę.

Z poszczególnych satyr wyróżniają się przedewszystkiem te, które charakteryzują stan wychowania i oświaty. W satyrze *Na złe ćwiczenie i rozpasaną edukacją młodzi* opisuje autor tryb wychowania bogatego panicza: w dzieciństwie pieczęją go, «papinkami karmią: uchowaj, Boże, inszej potrawy dzieciątku, tylko co się na *ątko* zwykło terminować¹, jako to: gołębiątko, kurczątko, cielątko»; «po różnych przymówkach i krewnych, i przyjaciół» posyła ojciec swego gagatka do szkoły, «przykazawszy surowie pedagogowi, — i tym, którzy są przy nim, aby długo sypiał, — aby różga na ciałku jego nigdy nie powstała». «Rośnie Jaś jak cielątko, będzie wołek z niego!» W szkołach niczego się nie nauczy, ale rodzice unoszą się nad jego uczonością i dla dokończenia edukacji wysyłają go zagranicę, gdzie czasu nie traci: nauczy się grać, śpiewać, tańczyć, «*à la mode* — chodzić, stroić i wszystko czynić po francusku»; po powrocie «już mu i Polska śmierdzi, i wszystko w niej gani; — o Francyi powiada, o domach, baletach, — nic nie umie, tylko *łgać*, a udawać rzeczy; — w zwierciadle ustawicznie, ni tam małpa jaka, — muszcze się, goli brodę i dwa razy na dzień;... prezumpcyi² nazbyt, którą ma o sobie, — że grzeczny, że uczony, że wszyscy błaznowie, — tylko sam nie».

Surową, ale słuszną krytyką szkół krajowych jest satyra *Na tych, co się sobie mądrymi i uczonymi zdadzą*: «Chłopca przez siedm lat bawią samą gramatyką, — którą, jako papuga, trzepie bezrozumnie»; za najwyższą mądrość uczą go poczytywać «macaronice mówić»; prócz łaciny liźną jeszcze trochę tego i owego i przechwala się: «Umie wszystko! — Naprzód jestem astrolog: piszę minucyje³, — znam i wiem bardzo dobrze, co *ephemerides*⁴, — jestem przytem *orator*, jakie tu nie ma — kraj ten, ba, wszytka Polska! Umie oracyje — pisać, z inszych złożone szumnych oratorów;... jurysta ze mnie szumny: czytałem *jus*⁵ w szkołach!» «Hala, hala! Dosyćci! Byś jednę rzecz dobrze — z tych umiał, mógłbyś się tem, ily, kontentować! — Ale pono u ciebie — jakoż tak jest właśnie, — *ex omnibus aliquid et ex toto nihil*:⁵ —

¹ kończyć. ² zarozumiałość ³ minucyje, ephemerides — kalendarze astrologiczne. ⁴ prawo. ⁵ ze wszystkiego coś, a z całości nic.

taka w tobie nauka, taka twoja mądrość, — mój miły astrologu, miły oratorze, — filozofie, jurysto, medyku *et nihil!*¹ — Pójdź jeno do obcych ziem: nauczysz się, coto — człowiek uczony albo nadto człowiek mądry. — Tu, u was, gdy kto sobie łaciną pomaże — gębę, zaraz uczony, zaraz człowiek godny. — Nie dziw, że *inter caecos monoculus rex est...*²

Złośliwy dowcip znamionuje satyrę *Na terażniejsze w różnych zakonach obyczaję*. Zarzuca tu autor zakonnikom, że nie zachowują ślubów posłuszeństwa, ubóstwa i czystości obyczajów; gniewa się, że mnichów w Polsce jest za dużo (niechby szli do krajów zamorskich nawracać pogan!), ubolewa nad upadkiem kaznodziejstwa: «Teraz, miasto nauk — duchownych, powiadają bajki jakieś albo — historyje żartowne i nie wiem, co tylko; — błaznują czyli każą, trudno i rozeznąć; — ot, uszy tylko bawią, a gdy na kazanie — przyjedziesz, staniec za jedną szczyrą krotofilę». Wejdzie mnich na ambonę, «odmie się, jak półtora nieszczęścia,... uformuje postawę i cerę,³ — jakoby trzeciego dnia gadał z Panem Bogiem»; wreszcie zaczyna się kazanie. We wstępie jest wszystko, czego dusza zapragnie: i zodjak niebieski, i astrologja, i cytaty z różnych uczonych, — «kleju, dla Boga, kleju do tego kazania!» Następuje część pierwsza, którą Opaliński charakteryzuje słowami Kochanowskiego: «część niepospolitą, słuchaczom niepojętą, kaznodziei skrytą»: a są w niej bezsensowne koncepty i dykteryjki oraz cytaty z *h i s t o r y k a* (!! Pindara, z *p o e t y r z y m s k i e g o* (!! Demostenesa i t. d. Teraz ma się zacząć część druga, ale autor woła: «Przebóg! Nie zabijaj! — Dosyć było drew w pierwszej! Stój tak, stój, dla Boga!»

Z satyr, wymierzonych przeciwko anarchji, jedną z najlepszych jest *Na ogolocene ściany w obronę*, t. j. na bezbronność granic Rzeczypospolitej (wskutek braku fortec i wojska). Słusznie mówi Opaliński, że chyba tylko jakimś cudem Polska jeszcze istnieje; trywjalny, ale trafny jest pomysł, że «zgoła tak sobie z nami Bóg więc zwykł poczynać, — jako który pan z błaznem: gdy błazna opadną — chłopięta, jeden go w zad uszczypnie, drugi go — zakole, gdzie najgorzej; błazen się opędza — i wrzeszczy raz, drugi raz; cierpliwie pan słucha, — aż też, gdy chłopcy błazna nazbyt obracają — i nie dadzą wypocząć, pocznie wrzeszczeć, gębę — aż po uszy rozdarszy, że się też naprzykrzy — panu onem wrzeszczeniem: dopieroż zawoła — na chłopcy: «Chłopcy, ciszej! długoż tego będzie?» — A chłopcy w kierz,⁴ odbiegą błazna i igrania. — Tak Pan Bóg czasem czeka, aż nieprzyjaciele — dowoli się ucieszą, zewsząd obracając — mizerną naszą Polskę; dopiero gdy nazbyt — naprzykrzą się i onej, i Jemu samemu, — zawoła: «Ciszej, Turcy! ciszej, Tatarowie!» — A Turcy — w kierz i oraz inszy bisurmańcy. — Opatrzność zgoła boża nad nami, Polaki!...» Ale i Bóg przestanie wreszcie pomagać tym, którzy, spuszczać się na Opatrzność, sami sobie nie pomagają: «Nierządem Polska stoi i — nierządem zginie!»

Lecz najsilniejszą i najboleśniejszą jest satyra *Na ciężary i opresyję chłopską w Polsce* — jaskrawy, ale zgodny z prawdą obraz ucisku ludu wiejskiego, z tem jednak zastrzeżeniem, że nieprawdą jest, co mówi Opaliński, że takiej «opresji», jak w Polsce, niema nigdzie; przeciwnie, naogół biorąc, w Polsce gorzej nie było, raczej nawet, lepiej.

¹ i nic. ² pomiędzy ślepyimi i jednooki jest królem (na bezrybiu i rak ryba).

³ cera = mina.

⁴ krzak.

**Na ciężary
i opresyję
chłopską
w Polsce.**

Rozumiem, że Bóg Polski za nico nie karze
Więcej, jako za poddanych srogą opresyją
I gorzej, niż niewolą, — jakoby chłop nie był
Bliżnim nietylko twoim, ale i człowiekiem.
Serce się oraz lęka, skóra drży, wspomniawszy
Na tę niewolą, która cięższa, niż pogańska!
A! dla Boga, Polacy! czyście oszaleli?
Wszystko dobro, dostatek, żywność, wszystkie zbiory
Z waszych macie poddanych; ich ręce was karmią:
Przecię się tak okrutnie z nimi obchodzicie?
Wielbłąd — tak powiadają — nad siły nie nosi
I, kiedy go najuczają, że przeładowanym
Być się poczuje, zaraz tamże się położy
I wstać nie chce. Opak tu: bo nad przyrodzone
I boskie prawa chłopiek wytrzymać to musi,
Co mu pan na ramiona włoży, by miał zdyszeć!
Łają i kaznodzieje, łają spowiednicy,
Piekłem grożą: nic na tem! Sami to biskupi
Przez swoich ekonomów czynią i pralatów,
A bodaj i nie więcej! Ma szlachcic ubogi
Zasłone, kiedy widzi, że przedniejszy grzeszą!

Naprzód, jakie ciężary w samych robocznach!
Gdzie bywało dwadzieścia kmieci abo więcej,
Tam ich ośm abo dziesięć, a przecię to zrobić
Każą dziesięciom, co ich dwadzieścia robiło!
Gdzie przedtem wychodziło ludzi po jednymu
Z domu, potem i po dwu, po trzech i po czterech,
Gdzie dwa dni abo i trzy robili w tygodniu, —
Teraz nie mają czasem wolnego żadnego.
Gdzie wolny szynk piw bywał, zwłaszcza w księżych dobrach,
Teraz i to odjęto, i pić każą piwo,
Któremby same trzeba dyjabły truć w piekle!

Rzeczysz: «Ale mam dziatki, mam i różne spezy!»¹
Wszystko to zły duch weźmie: i zbiory, i ciebie,
I dzieci; bo taki zbiór nie zwykł bywać trwały!

Nie wspominam zaś zdzierstwa, które z chłopów czynisz!
Powiedzą słudzy, czeladź: «Chłop tu jest bogaty,
«Ma bydła, owiec, inszych dobytków niemało», —
— «Znijdzie się to na kuchnię!» — Zrodził mu się jęczmień,
Pszenica: — «I ta dobra na piwo dla gości!» —
Zgromadził też, nieborak, grosz jeden i drugi: —
— «I ten się na wydatki znidzie!» — Szyją buty
Chudzinie. O przyczynkę nie trudno! Winują
Stem, drugim grzywien chłopa, ledwie, że i dusze
Nie wydrą z niego! Czemu? że jest nabogatszy!
O drugim zaś powiedzą: «Ma roli dostatek,
«I² dobrej»: — «Znidzie się to na folwark: wziąć mu ją!
«Ba, i wszystkich pozrzucić z ról, a folwark tamże

¹ speza = wydatek. ² i to jeszcze.

«Założyć!» — Stanie się to w jednymże tygodniu.
Płaczą chudziny: ociec, matka, dzieci, wszyscy,
Do nieba tylko krwawe skargi posyłając
I tam żądając zemsty, która, nie leniwa,
Jeśli nie na tym, tedy onym następuje
Świecie, kędy oddadzą sownie złem za złe.
A my przecię nie dbamy, bo baczyć nie chcemy,
Co się z nami po śmierci dzieć będzie; ani też
Piekła widziemy, ani o niem pamiętamy!
Ale spyta kto: «Jużeś wszystko wypowiedział?»
Stu gąb i stu języków — i to jeszcze mało
Potrzebamy na słuszne chłopskich opresyi
Wyrażenie. Jeszcze mam kilka ich powiedzieć.

Kiedy wiosna nastąpi, a deszcz ustał w maju,
Abo tam co z przychowków, — czarownice winą!
Każą tedy niewinną babę wziąć i męczyć,
Aż ich z piętnaście wyda! Ciągnie kat i pali,
Aż powie i powoła wszystkie, co ich we wsi;
A baba, dziw, że pana z panią nie powoła,
Którychby raczej spalić za to, że niewinnie
Męczyć i tracić każą swoich bez przyczyny!
I tak nie będzie we wsi trzydzieści człowieka,
A piętnaście pogłowie spalą! Co, dla Boga,
Za przyczyna? Pan chory i nie ma wskórania¹,
Schnie, i dzieci mu często umierają w domu;
Jakoby i suchoty, i śmierć przyrodzone
Nie były i zesłane od Boga samego!
Nie wspomnię, jacy w takim sądzie zasiadają:
Chłoptwo głupie, ławnicy, abo i ci, którzy
Przyczynkę jaką mają na niewinnych chłopków!
Ale azaż nowina i nie z tej przyczyny
Męczyć ludzie? Urzędnik da chłopu obiesi²,
O czem nawet pan nie wie. Ale cóż wždy zrobił?
Ukradłże co, czy zabił? jestże świadek jaki?
Żadna o głowę ludzką zwłoka nie jest długa:
Wždy poczekaj i uczyn wprzód inkwizycyją!³
«Na co inkwizycyją? Chłop to i poddany!»
— To poddany nie człowiek? — «Ej, nie, dajże pokój!
«Wiem, co czynię!» Znajdzie się drugi, co piątnuje,
Co bije do umoru, co w tarasie⁴ zgnoi,
Co różgami siec każe, jako dzieci w szkole,
Sędziwych i poczciwych starców bez przyczyny!

Będzie czasem stąd pretekst, że nie piją w karczmie,
Choć złe, choć kwaśne piwsko, choć się wszem złym godzi.
Powiem, bo też zamilczęć trudno. Gdym raz jachał
Przez pewne wsi, kazałem piwa wynieść z karczmy.

¹ ulga.

² obwiesić.

³ śledztwo.

⁴ więzienie.

Wyniesiono. Spytam się: «Takież u was piwo
«Zawsze bywa?» Powiedzą: «I! sto razy gorsze,
«A przecie je pić musim, bo pan kaczmarzowi
«Oddaje pewną liczbę beczek do tygodnia,
«Za które kaczmarz musi oddać mu pieniądze,
«Lub wypijem, lubo nie! Kaczmarz zaś dochodzi
«Na nas straty, dobrze to wprzód obrachowawszy,
«Wiele rozmiarów przyjdzie na każdego chłopca.
«Jeśli w karczmie nie będzie, zaniosą do domu
«One piwa rozmiary! Pij, choć złe, a nie chceś,
«Wylej choć świniom, przecię zapłać kaczmarzowi!»
Toż i z owsem, i z mąką, i z solą, z śledziami
Czynią, któremi chłopcy coraz zarzucają!

O, sroga opresyja, nigdzie nie widziana!
Chłopka takim przyciskać ciężarem, który to
Księdzu, Rzeczypospolitej, panu żołnierzowi,
Urzędnikom, pisarzom, klechom, sługom pańskim,
Hajdukom i kozakom, dzieciom swym i żenie
Dawać musi ustawnie z ubogiego szplachcia!¹
Drań go w mieście i w karczmie, we dworze, w kościele
Ledwie że nie ze skóry, a przecię pociągają!
Włodarze sami, o mój Boże, co więc czynią
I jako z chudzinami często wymyślają!
Czemu? bo tak pan kazał: pana trzeba słuchać!

I teć to opresyje onych dawnych wieków,
Po wypędzeniu Ryksy drapieżnej i z synem
Kazimierzem, sprawiły, że się wszystko było
Poddąństwo zbuntowało na swe własne pany;
Stądże musieli pierzchać i kryć się po lasach
I po różnych pustyniach tak księża, biskupi,
Jako i kasztelani i wojewodowie,
Gdy ich chłopcy szukali, dochodząc krzywd swoich!
Też ciężary Pawluków, Muchów, Nalewajków,
Buntowników i teraz krwawej nabawieli
Wojny i srogiej hańby ojczyznę, ba, mało,
Nie ostatniej już zguby, gdy Bóg to *flagellum*²
Przez chłopcy zesłał na nas, karząc oczywiście
Wprzód kłeską i więzieniem hetmanów, a potem
Brzydka i desperacką ucieczką³, nakoniec
Sromotnym i zelżywym pokojem ojczyznę!
Per quae bowiem *quis peccat, per eadem* także
*Punitur*⁴. Doznaliśmy, ach! doznali tego!

Zamykam, jakom zaczął: że Bóg Polskę karze
Najwięcej za poddanych, ba, i karać będzie,
Jeżeli się, Polaku, nie obaczysz kiedy!

¹ szplachec = kawałek roli. ² bicz, chłosta. ³ pod Piławcami. ⁴ czem
kto grzeszy, tem będzie ukarany.

80. Satyrykiem był i brat Krzysztofa Opalińskiego, marszałek nadworny, **Łukasz Opaliński** (1612—1662), rozumem i nauką bratu nie ustępujący, a przewyższający go wartością moralną: i on wprawdzie wicherzył przeciwko królowi (na sejmie r. 1638), ale się potem opamiętał i był wiernym sługą Rzeczypospolitej i jej wymownym obrońcą przeciwko niegodziwemu paszkwiłowi, napisanemu na Polskę przez pisarza szkockiego Barclaya. Prócz tej *Obrony Polski* (*Polonia Defensa*, 1684), trzy jeszcze pisma Opalińskiego zasługują na uwagę: poemacik dydaktyczny, broszura polityczna i satyra.

Poemacik, ogłoszony drukiem dopiero w XVIII wieku (w r. 1788) ma tytuł *Poeta*. Jest to pierwszy u nas w języku ojczystym wiersz o poezji. Autor, opierając się poczęści na słynnym *Liście do Pizonów* Horacego, wyklada swoje poglądy na poetę i poezję. Poeta powinien mieć rozum i wiedzę, oraz usilnie pracować nad formą swoich utworów, bo «za pracą Bóg dawa wszystko», — chyba żeby ten miał być pisorymcm, — co sobie głupiej fantazyi dymem — głowę zarazil i już tak rozumie, — że wiersze pisać bardzo dobrze umie; — a on nieborak płonne chwyta słowa, — z których pochodzi próżna sensu mowa; — jedno się zgoła drugiego nie dierży; — choć wiersz nierówny niemal nicią mierzy — i, acz na palcach sylaby rachuje, — próżno się jednak biedzi i morduje, — próżno łeb drapie i coraz zębami — strzyże paznogie nad złemi wierszami; — bo co przypisze, to zmaże, to kryśli, — a nic godnego przecie nie wymyśli». Poezja powinna, po pierwsze, dostarczać czytelnikowi rozkoszy duchowej, a mianowicie dać mu uludę rzeczywistości, oraz nietylko go wzruszać, ale i zachwycać; a po drugie, nietylko uszlachetniać i uczyć, ale i pobudzać do czynu; a więc np. poezja miłosna niechaj budzi w młodych sercach uczucie miłości; poezja rycerska niechaj zachęci młodzieńca, żeby poszedł na wojnę, pragnąc «mieć rany i potężne blizny — o chwałę bożą i dobro Ojczyzny», i t. d. Te i inne jeszcze myśli wypowiedział Opaliński tylko dorywczo, nie łącząc ich we wspólną całość, tak że poemacik, chociaż jest pierwszym wierszem polskim o poezji, nie jest jeszcze poetyką; (na wierszowaną poetykę zdobędzie się nasza poezja dopiero w XVIII wieku).

Broszura polityczna Opalińskiego, upstrzona makaronizmami, ale bardzo mądra, najmędrsze ze wszystkich pism politycznych XVII wieku, wyszła bezimiennie: *Rozmowa plebana z ziemianinem albo dyskurs o postanowieniu terażniejszym Rzeczypospolitej i o sposobie zawierania sejmów* (1641). Rozmowa ta toczy się na wsi. Do ziemianina, który świeżo powrócił na wieś z Warszawy, gdzie, jako poseł, brał udział w obradach sejmowych, przychodzi w odwiedziny pleban, i obydwaj boleją nad tem, że się w Polsce coraz gorzej dzieje. Pleban, przez którego usta przemawia sam autor, tłumaczy ziemianinowi, że główną przyczyną anarchji jest słabość władzy królewskiej, że więc jej wzmocnienie jest głównym środkiem ratunku Polski: «Jako zepsowania Rzeczypospolitej jedna jest przyczyna, że się daleko od pierwszego ustanowienia oddaliła, tak naprawa nie może być insza, tylko gdy się do niego powróci, t. j. pod władzą większą i panowanie królów, którego teraz cię i godność władzy próżna». Tej prawdy nikt od czasów Skargi nie rozumiał i nie wypowiedział tak jasno, jak Łukasz Opaliński. Ale naturalnie ziemianin oburza się na to: «Nie chcę, nie chcę tej poprawy! Wolę zwyczajny nasz nierząd, byle przy wolności... Rzeczpospolita nasza żadną miarą nie da się do tego przywieść, aby w swobodach swych jakie ubliżenie ponosić miała». Pleban, widząc, że głupiego szlachcica nie przekona, wy-

powiada pogląd już umiarkowańszy, ale także bardzo mądry: jeżeli główną władzę w Polsce ma sejm, to niechże przynajmniej ten sejm odbywa się porządnie, z planem i ładem! Niedosyć na tem: radzi pleban, chociaż trochę nieśmiało, aby odebrać sejmikom prawo unieważnienia uchwał sejmowych, bo inaczej sejm nie będzie miał powagi ani znaczenia. Rady to najmędrsze, najgłębsze w całej literaturze XVII w.!

Ale ich nie usłuchano: w lat jedenaście po ukazaniu się tej broszury nastąpiło pierwsze *liberum veto*. Napiętnował je Opaliński w satyrze, pisanej naprzemiany prozą i wierszem, a wydanej także bezimiennie, p. t. *Coś nowego, pisanego Roku tysiąc sześćsetnego Pięćdziesiątego wtórego. Drukowano w Koziej Głowie, Kiedy miesiąc był na nowie, Koszłem zaś pana jednego Z bractwa Piławieckiego; A drukarnię zaś zakryto, Boby drukarza zabito*. Może nie mylił się autor: możeby naprawdę zabito drukarza, gdyby go znano, a i autorowi, gdyby nazwiska swego nie ukrył, możeby nie uszła na sucho ta satyra, rąbiąca szlachcie cierpką prawdę w oczy. Mniejsza o to, że Opaliński szydzi niemilosiernie z głupich akademików krakowskich i ciemnych zakonników, że bez litości ośmiesza długie, a głupie mowy sejmowe; nawet o to mniejsza, że drwi z tych, co uchodzą za szlachciców, nie mając do tego prawa: ważniejszą jest rzeczą, że ostro napada na wolność szlachecką i jej źrenicę — *liberum veto*: «Na sejmie każdemu wolno zgubić ojczyznę! — Jakoż to? — Bo wolno nie pozwolić obrony, nie dać mówić o niej, nad dobrem pospolitem mścić się swej urazy, pretekstem prawa swojej dochodzić prywały, sejm zawieszać; nakoniec wolno i rozerwać, zwłaszcza, gdy całość wszystka Rzeczypospolitej w dyskrecyi jednego jest posła z Upity!» Lecz najciekawszą część satyry stanowi sarkastyczny opis ucieczki z pod Piławiec w r. 1648, kiedy to przeszło 200.000 wojska polskiego uciekło na wieś, że Chmielnickiemu przyszedł na pomoc Tuhaj-bej, powitany przez hetmana kozackiego strzałami armatnimi. Bez litości piętnuje autor tę sromotę, krwawo sztydząc (wzorem Kochanowskiego) z jej winowajców i uczestników:

Nowa sromota i nienagrodzona
Hańba Polakom! Ziemia opuszczona
Wszej Ukrainy, w której chłop nasz hardy
Panuje, pelen i gniewu, i wzgardy...

Zawołano: «Tatarowie!»
Aż moi w nogi panowie!
I, kopije porzuciwszy
I ledwie szabel dobywszy,
Wszyscy prawie tył podali...
Wszystkim hałas daje puchu¹,
Właśnie tak, jako gdy: hu! hu!
Zwykle na wilki wołają,
Gdy przede psy uciekają!
Za nowym regimentarze
Wodzem, z nimi komisarze,

Jadą śpieszno i panowie,
Waleczni bohaterowie!
Jedzie rycerstwo, co żywo,
Niemcy, dragoni — nie dziwo? —
Gonią wodzów, pułkowników,
Rotmistrzów i poruczników.
Uchodząc, siła szepłali
Do siebie, bowiem mniemali,
Że za nami Tatarowie:
Jak się to głosem ozowie,
Trwoga, bojaźń i strach srogi

¹ t. j. wszyscy, słysząc huk armat, poczuli się tak lekkimi (do ucieczki), jak puch.

Przyprawia skrzydła do nogi.
Ktoby krzyknął: ha! ha! ha!
Duszaby go odbieżyła...
Nie ciąży brzuch ani sadło;
Choć się cały dzień nie jadło,
Ani spało przez dwie nocy!
Dosyć jest sił, dosyć mocy!...

I ten zasię panicz chudy...
Pędzi skoczno albo leci,
Z za nimi, klusząc², trzeci
Mówi: «Ręka nas dotknęła
«Pańska i rozum odjęła!»
Takto więc zawsze mówimy,
Kiedy co sami pokpimy!

81. Na nieszczęście, nie posłuchała szlachta ani zacnych rad Starowolskiego, ani mądrych przestroż Opalińskich. Do serca przypadł jej zato inny pisarz, marszałek owego nieszczęsnego sejmu roku 1652, obrońca złotej wolności i *liberum veto*, kasztelan lwowski i wojewoda podolski, **Andrzej Maksymilian Fredro** (1621—1679). Dziwny to człowiek: miał zdolność i bystrość umysłu, i dar sprostzegawczy, i niemałe wykształcenie; kochał ojczyznę, skoro podczas wojen kozackich własnym kosztem wystawił dwie chorągwie; cóż z tego, kiedy nie posiadał równowagi umysłowej. Wymownym tego dowodem są jego pisma łacińskie, jako to: *Monita politico-moralia* (1664 *Przestrogi polityczno-moralne*); *Scriptorum seu Togae et Belli natationum fragmenta* (1666, *Fragmenty pism czyli notatek o pokoju i wojnie*); *Militarium seu axiomatum belli... libri duo* (1668, *Spraw wojskowych czyli zdań o wojnie... ksiąg dwoje*). Pisał Fredro te swoje dzieła po łacinie, jak się zdaje, w tem miłym złudzeniu, że będzie je czytała co najmniej cała Europa zachodnia, aby się uczyć mądrości. Omylił się: Europa ich nie czytała; czytała je zato chciwie szlachta polska, i to nie tylko w XVII, ale jeszcze w XVIII wieku. Znajdowała w nich wiele myśli mądrych i szlachetnych, chociaż banalnych; lecz bardziej może jeszcze przypadają jej do serc myśli tak straszliwie głupie, jakgdyby ich autor był skończonym warjatem, a czasem tak wręcz potworne, jakgdyby ich autor chciał w przepaść wtrącić swoją własną ojczyznę. Dowodzi np. Fredro, że tron obieralny jest lepszy od dziedzicznego: przecie, jeśli król jest dobry, to po jego śmierci naród i tak syna jego obierze; o tem, że bezkrólewie jest klęską dla państwa, Fredro zapomina. Lecz są myśli jeszcze głupsze: *liberum veto* jest błogosławieństwem dla Polski, ono to bowiem sprawia, że głupia większość nie rozkazuje mądrej mniejszości (!!); nie przyszło jakoś Fredrze na myśl, że dzięki *liberum veto* głupia albo podła mniejszość rozkazuje mądrej albo szlachetnej większości! Ale szczytem tych absurdów jest pogląd, że Polska póty będzie potężna, póki nie będzie miała fortec, póki będzie istniało *liberum veto*, póki skarb będzie świecił pustkami i t. d. Trudno naprawdę uwierzyć, żeby takie brednie głosił człowiek o zdrowych zmysłach! Dziełka łacińskie Fredry są świetnym wyrazem i dowodem ogłupienia politycznego szlachty XVII w.

Niemniej popularnem było polskie dziełko Fredry: *Przysłowia mów potocznych, obyczajowe, radne, wojenne, na fawor polskiego języka, ku głębokiej przytem uwadze poważnego czytelnika na widok podane przez wernego ojczyźnie anonima* (1658). Pierwsze przysłowia, albo raczej, jak dawniej mawiano, «przypowieści» polskie, pochodzą z wieku XV; przysłowie najstarsze zapisano, napóły po polsku, napóły po łacinie, w roku 1407: «Quando się łyka drą, tunc ea drzy»². W wieku XVI Biernat z Lublina bajki swoje tytułował przysłowiami; w pismach Reja jest ich całe mnóstwo;

¹ klusac — klusować.

² Kiedy się łyka drą, wtedy je drzyj.

w wieku XVII, który się bardzo kochał w sentencjach, wyszły już dwa osobne zbiory przysłów: Salomon Rysiński wydał przeszło tysiąc osiemset *Przypowieści polskich* (1618); jeszcze więcej zgromadził ich jezuita, Grzegorz Knapki, autor słynnego słownika polsko-łacińsko-greckiego (w wydaniu z roku 1632). Że Fredro znał i lubił «przypowieści», o tem świadczą już jego pisma łacińskie, w których przytoczył coś czterdzieści przysłów ludowych, polskich i ruskich, w ich oryginalnem brzmieniu. Znał także, rzecz prosta, Rysińskiego i Knapkiego, ale korzystał z nich bardzo niewiele: w jego dziełku *stare przysłowia polskie* (np. «Kiedy sowa zjastrzębieje, wyżej lata, niż sokół») trafiają się tylko wyjątkowo; prawie wszystkie *Przysłowia mów potocznych* to sentencje i maksymy, które ułożył sam Fredro, czerpiąc jednak ich pomysły w drobnej tylko części z własnej obserwacji życia i ludzi, przeważnie zaś — z mądrości starożytnych: z Liwjusza i Sallustjusza, z Tacyta i Seneki, z przysłów greckich i rzymskich, zebranych przez Erazma z Rotterdamu. I kto wie, czy nie dlatego właśnie nazwał te sentencje i maksymy nie «przypowieściami», tylko «przysłowiami». Obiecując sobie jednak w duchu, że się one staną «przypowieściami», to jest po naszymu «przysłowiami», do tytułu *Przysłowia* dodał: *mów potocznych*. Nadzieja ziściła się jedynie w drobniańskiej mierze: ogromna większość sentencyj nie poszła w przysłowia i nie stała się własnością mowy potocznej.

Myśli tak rozpaczliwie głupich, jak w pismach łacińskich Fredry, niema w jego *Przysłowiach*, ale trafiają się mocno nierozsądne, np.: «Którzy Polacy Polskę ganią, tacy ją najprędzej zagubią; kto co gani, tego nie kocha; czego nie kocha, o to nie dba», — jakgdyby taki np. Skarga nie kochał Polski i nie dbał o nią! Ale stanowczą przewagę mają sentencje, jeżeli nie tak znowuż bardzo «uwaga głębokie», jak to autor w swej skromności świadczy sam sobie w przedmowie, to bardzo rozsądne. Składają się zaś na nie bądź spostrzeżenia życiowe, bądź też, nierównie rzadziej, rady czyli przestrogi moralne.

★ Jest, który kształtem próżnującego najwięcej sprawuje. — Jest, który nakszttał czyniącego wybornie próżnuje. — Wielkie rzeczy zamilkniemieniem najlepiej się mówią. — Najlepiej o Bogu mówi, kto nie mówi, lecz podziwieniem dokłada. — Cóż po tem wiedzieć, co się w Rzymie działo, a nie wiedzieć, co się dzieje doma? — Nie wskrzesi racyja zguby. — Własne rzeczy afektem, nie rozumem się sądzą. — Spokojna myśl — najlepsze ludzkie szczęście. — Łatwiej o dyskurs, aniżeli o rzecz. — Z swoim na czoło, z cudzem do kąta, choć dobre. — Odległością opinija roście. — Prawdy a żartów jako soli zażywać, bo prędko przesolisz. — O pracy a o nędzy najsmaczniejszy dyskurs, póki jej kto nie pokosztuje. — Wielka jest różność umieć samemu co, a umieć tegoż nauczyć kogo. — Czasem nas występki same odstępują, nie my one, nie żebyście być dobrymi chcieli, ale że, źle czyniąc, wysiliny. — Bywa zły subtelniejszy w oskarżeniu, niżeli niewinny w oczyszczeniu swojej niewinności. — Insza przestać źle czynić, insza zacząć czynić dobrze. — Przykrzejsze lekarstwo czasem, niż choroba. — Chcieć, kiedy wszyscy nie chcą, nie chcieć, kiedy wszyscy chcą, jest nic nigdy nie chcieć. — Woli drugi szkodę mieć, byle się nagadał. — Którzy nazbyt chcą być dobrymi, każdemu ulegając, miękkimi są bardziej albo flegmatykami, aniżeli dobrzy; albo, jako Włoszy mówią: «Tak dobry, że aż się na nic nie przyda». — Jako w tęczy pewności farb zrozumieć, tak niektórych pewność cnoty i fan-

lazujej naznaczyć trudna: nie cale dobry, nie cale zły; nie cale rozsądny, nie cale prostak; nie cale stateczny, nie cale lekki; nie cale grzeczny¹, nie cale duren; sam się nie rozumie²; najtrudniejsza z takim sprawa, a najlepiej, żeby nie była żadna. — Cóż po tem wiedzieć, co się w Rzymie działo, albo co się w obcych krajach dzieje, a nie wiedzieć, co się dzieje doma? Cudze wiedzieć rzeczy kracawość jest, a swoje potrzeba. — Chcesz wszystko znóc, cobys zamyślał: o nie się nie kuś, tylko coć podobna dokazać. — Chcesz mieć długo przyjaciela, tak zażywaj, jako jest; ciego nie uczynisz mownym, trzcwego biesiadnym, oszczędnego rozrzutnym, wstrzemięzliwego rozpieszczonym: odrazisz prędzej, niż naprawisz; zły w jednym, na insze ci się przyda. ★

Oprócz tych i tym podobnych przysłów «obyczajowych», to jest dotyczących moralności i charakterów ludzkich, są, jak to obiecuje tytuł, «radne», to jest dotyczące rządu, i «wojenne», np.: «Łagodny rząd więcej, nie drażnić, sprawuje». — «Na jednego kara, a postrach dla wszystkich». — «Pie-szy leniwo wygra, ale dłużej dotrzyma, — według owego przysłowia: «Jakby go ćwiakiem przybił». — «Kto pan w polu, i pan nad fortecą».

Wszystkie przytoczone przysłowia stosują się do wszystkich wogóle ludzi i narodów. Lecz są także «polską własnością technące», jak mówi autor w przedmowie, np.: «Większa niewola, gdzie się wszystko wszystkim godzi, niżeli gdzie nic nikomu»: tutaj miał zapewne Fredro na myśli polską złotą wolność. — «Tak nam trzeba cudzoziemskich zwyczajów Polakom do polskiego zażywać rządu, jako zażywamy z Włoch przywiezionych bławatów, kiedy nie pludrzaste stroje, ale do polskiego ubioru krajemy z nich sobie ferezyje³, żupany i kontusze: tak obce zwyczaje, Polakom przywiezione, lubo w sobie dobre, przecię one złe są, jeżeli nie będą do natury rządów polskich z polska krojone, oszpecą albo zaskodzą bardziej Polakom, niżeli pomogą». — «Dyskrecyja⁴ z dowierzaniem wrodzona Polakom przywara. Uważałem często w publicznych i prywatnych sprawach, jako Polak woli swą jawną szkodę, byle ukochanej nie nadweryzył dyskrecyi». — «Kto mówi: Nierządem Polska stoi — sam ma nierząd w głowie»: święta prawda, szkoda tylko, że sam Fredro, dowodząc użyteczności *liberum veto*, uczył, że nierządem Polska stoi, a zatem...

Prawie wszystkie *Przysłowia* są nietylko krótkie, ale i bardzo zwięzłe, a jasne: to ich wielka zaleta. Nieraz są i obrazowe, a to dzięki udatnym przenośniom i porównaniom, np.: «Ucieczka jest zamek niecnoty». — «Któręgo pięta uraża stać przed panem, a rad basem gada, wiele snadź wysłużyć nie myśli». «Będąc między ogniem a mieczem, tu siecze, tu pali — jedno przecię obrać potrzeba». — «Ze złej gęby niedobra mowa: nie uczerpnąć z błota czystej wody». — «Wystawne cery⁵ jak pęcherz nadęty: szpilka sprawi, że wiatr wyleci, i niemasz nic». — Zdarza się także coś naksztalt gry słów, np.: «Zły nienawidzi cnoty, ale ją widzi»; a czasem (ale bardzo rzadko) jest i dowcip: «Złych ludzi najpiękniejsze w życiu dzieło, kiedy umierają». Wogóle *Przysłowia* Fredry należą do najcelniejszych utworów przy staropolskiej.

82. Wielu pisarzów pierwszej połowy XVII w. wzoruje się jeszcze na literaturze wieku złotego: Szymonowicz np. piękność swego języka zawdzię-

¹ dorzecznym. ² sam nie wie, jaki jest. ³ suknia zwierchnia nieprzepasana, z szerokimi rękawami. ⁴ łatwowierność, miękkość. ⁵ uroczyście miny.

cza poczęści Kochanowskiemu; *Roxolanki* Zimorowicza są w pomysle swoim naśladowaniem *Sobótki* Kochanowskiego; Starowolski często powtarza myśli Modrzewskiego i Skargi. Lecz jednocześnie, także już w pierwszej połowie XVII w., są pisarze, którzy szukają nowych dróg dla swej twórczości i wzorują się na literaturze narodów romańskich, zwłaszcza na włoskiej. Te zaś literatury już w XVI stuleciu posiadały całe mnóstwo poematów i powieści rycersko-fantastycznych. Z poematów najznakomitsze są dwa, obydwaj włoskie: *Orland szalony* Ariosta (1516) i *Jerozolima Wyzwolona* Tassa (1581): treścią pierwszego są różne przygody fantastyczne rycerza, który oszalał z miłości; treścią drugiego — pierwsza wyprawa krzyżowa pod wodzą Gotfryda de Bouillon. Obydwa te poematy, pisane oktawami, przełożył na język polski bratanek Jana z Czarnolasu, **Piotr Kochanowski** (1566—1620); *Orland szalony*, tłumaczony nie oktawami, tylko strofami ośmiowerszowemi, składającymi się z czterech par rymowanych, pozostawał długo w rękopisie; (w całości ogłoszono go dopiero na początku XX wieku); natomiast przekład drugiego poematu, dokonany, na wzór oryginału, oktawami, p. t. *Goffred abo Jeruzalem wyzwolona*, doczekał się już w wieku XVII trzech wydań (pierwsze w r. 1618).

Przekład ten należy do arcydzieł języka polskiego i zajmuje bardzo ważne stanowisko w historii literatury polskiej. Tłumacz dbał o wierność, ale nie o dosłowność przekładu i, naogół biorąc, dał poemat równie piękny, jak oryginał: nie umiał wprawdzie oddać z tą subtelnością, co Włoch, scen miłosnych, nie dorównał mu także malowniczością obrazów, ani muzykalnością wiersza; dorównał mu natomiast w przekładzie potocznych przemów rycerskich, oraz w podniosłych modlitwach; a w opowieści o bitwach, szturmach i oblężeniach, o pojedynkach rycerzy, przewyższył nawet nasz tłumacz oryginał włoski nie tylko polotem wyobraźni, ale i uczuciem, miarowicie zapalem rycerskim, który ożywiał pierś Polaka XVII wieku, a którego w pierś Włocha wieku XVI nie było. Do duszy polskiej przemówił Piotr Kochanowski tem silniej, że w wielu ustępach, świadomie czy nieświadomie, nadawał przekładowi koloryt polski, zwłaszcza w opisach bitew, w których się wspaniale odzwierciedlił duch rycerski Polski XVII wieku. A sceny miłosne poematu, np. miłość bohaterskiego rycerza chrześcijańskiego Tankredy ku cudownie pięknej i walecznej Kloryndzie, oraz fantastyczność i cudowność, np. cudowne ogrody Armidy, sceny w niebie i piekle, — pociągały czytelnika polskiego urokiem nowości, nie tylko przemawiając mu do serca, ale i olśniewając jego wyobraźnię. Nie dziw tedy, że przekład Kochanowskiego był tak bardzo poczytny, i że pod jego wpływem powstawały w wieku XVII samodzielne poematy epickie, opiewające polskie życie rycerskie. Niedosyć na tem: ten przekład wywarł znaczny wpływ i na późniejszą poezję polską, widoczny np. w *Grażynie* Mickiewicza, w poezji Słowackiego, a nawet jeszcze w *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza.

**Początek
pieśni I.**

Wojnę pobożną śpiewam i hetmana,
Który święty Grób Pański wyswobodził.
O, jako wiele dla Chrystusa Pana
Rozumem czynił i ręką dowodził!
Darmo miał sobie przeciwnym Szatana,
Co nań Libiją i Azyją zwodził:

Dał mu Bóg, że swe ludzie rozproszone
Zwiódł pod chorągwie święte rozciągnione.

Panno, nie ty, co laury nietrwalemi
Zdobisz w zmyślonem czoło Helikonie,
Lecz mieszkasz między chóry niebieskiemi
Z gwiazd nieśmiertelnych w uwitej koronie, —
Ty sama władnij piersiami mojemu,
Ty daj głos pieśni! A jeśli przy stronie
Prawdzie gdzie jakiej ozdoby przydawam,
Niech Twej nielaski za to nie uznawam.

Soliman ude-
rza na obóz
krzyżowców.
(z pieśni IX)

Soliman pędem na straży przypadnie,
Jeszcze do końca nie dobrze sprawione:
Nigdy tak ręczo wicher nie wypadnie
Z ziemi, i wiatry nie są tak szalone,
Grom, kiedy z ogniem i z piorunem spadnie,
Rzeka, co niesie domy wywalone, —
Na jego wściekłość i na serce śmiałe
Tylko jest jakieś podobieństwo małe.

Nigdy się darmo mieczem nie zamierzy,
Ledwie go spuści, wielkie widać rany,
A kogo zajmie i kogo uderzy,
Leci, od dusze zaraz odbieżany;
A sam nie czuje, choć weń każdy mierzy,
Każdy nań siecze, choć hełm porąbany
Brzmi tak, jako dzwon, choć skry wylatują
Od częstych razów, które mu dojmują.

A kiedy wszyscy przed nim uciekali
I pierwsze rotę rozgromione gonili,
Arabowie też w obozy wpadali,
I przez przykopy prześcia nikt nie bronili.
Już się zwyciężcy z tymi pomieszali,
Co uciekali, już się każdy chronili,
Już nieprzyjacieli wpadał i w namioty
I krwią płócienną pofarbował płoty.

Soliman niesie skrzydlatego smoku
Z ogromną szyją — na helmie stalonem —
Który się wspina wzgórze, a poboku
Bije z obu stron dwoistym ogonem,
Pianę ma w gębie, a jad brzydki w oku,
Świszczy językiem wielkiem, roztrojonem,
A z panem równo okrutnie się burzy
I dymem z gęby i płomieniem kurzy.

Tak się straszliwy zdał między wojskami
Na Solimanie wielki smok ognisty,
Jako więc w ciemną noc z błyskawicami
Zda się żeglarzom ocean pienisty.
Jedni się biją, a drudzy kupami

Wciąż uciekają, a mrok nieprzejrzysty
I noc w rozruchu wszystko pomieszała
I, kryjąc trwogę, trwogi przyczyniała.

**Śmierć
Lezbina**
(z pieśni IX).

Miedzy strzelcami Solimanowemi
Jego kochany był pięknej urody
Jeden młodzieńczyk; a jeszcze ostremi
Włosami gładkiej nie okrywał brody,
I ledwie kwiaty dopiero pierwszemi
I mchem mu bely porosły jagody;
Włos zaniedbany przydawał wdzięczności
I twarz przy męskiej piękna surowości.

Koń miał pod sobą podobny do śniegu,
Który dopiero spadł nadół z obłoku,
A tak był żartki, że takiego biegu
Wiatry nie miały i takiego skoku;
Trzcinę w pół trzymał złocistą po brzegu,
Szablę oprawną zawiesił u boku,
Z cienkiej bawelny zawój miał na głowie,
Sam był w miesiące tkanym złotogłowiem.

Gdy tak młodzieńczyk sławą uwiedziony
W srogiego Marsa dzieło się wprawował
I gęste roty, i lud potrwożony
Mieszał i śmieie wszędzie następował,
Chytry Argillan, zachodząc go z strony,
Nieostroznego jakoś upilnował,
Konia pod niem skłuli, że ledwie na nogi
Wstał, a on już miecz nad niem trzymał srogi.

W samej miał tylko nadzieję litości,
Ręce do niego złożone obrócił;
Lecz w okrutniku kwiat pięknej młodości
Zatwardziałego serca nie okrócił:
Ciął nań; ale miecz większej był ludzkości
I, żalując go, płazą się wywrócił,
Cóż po tem? znowu zadał mu sztych srogi,
I miecz przedzięki¹ musiał iść w swe drogi.

Soliman, z którym poblizu straszliwy
On pojedynek Goffred odprawował,
Widząc, że jego Lezbin nieszczęśliwy
Był we złem razie, on plac zostawował
I z wielkim pędem biegał zapalczywy,
Lecz tylko pomstę, nie pomoc, gotował,
Bo już na ziemi, jako kwiat rozwity,
Podcięty plugiem, Lezbin był zabity.

Oczy zemdlone znenagła konały,
Szyja się na grzbiet wywrócona kładła,

¹ gwałtem, z musu, koniecznie.

Ale, choć w śmierci, wdzięczność wydawały,
I twarz mu piękną jakąś barwą bladła,
Piersi kamienne w sultanie zmiękczały,
Nie jedna mu łza w pół gniewu wypadła.
Ty, Solimanie, płaczesz, coś swojego
Państwa nie płakał, wszczął² zepsowanego?

A widząc, że krwią świeżą Lezbinową
Nieprzyjacielskie żelazo kurzyło,
Płacz ścisnął w piersiach; a serce surową
Wygnawszy żalność, gniewem się burzyło.
Ciał Argillana tak barzo, że z głową
Żelazo szyszak i tarcz przepędziło:
On tak wielki raz i tak wielka rana
Mężnego bela godna Solimana.

83. Zawitały do nas z Włoch i Francji także «romanje», jak u nas nazywano baśni i powieści fantastyczne — o królewnach zaczarowanych, o królewiczach błędnych, o awanturach nadzwyczajnych; głównym ich przedmiotem była miłość dwojga młodych, wieńcząca się najczęściej, ale niezawsze, szczęściem małżeńskim. Otóż i w Polsce pisywano takie powieści, wierszem i prozą, a będące najczęściej bądź naśladowaniem, bądź wolnym przekładem powieści zagranicznych. Oto np. w roku 1650 ukazały się (często później przedrukowywane) *Antypasty małżeńskie, trzema ucieszonymi historjami: o Banialuce królewnie, o Galisie i Filidzie i o Przemysławie, księciu Oświęcimskim, jako wdzięcznego smaku cukrem prawdziwej a szczerzej miłości małżeńskiej zaprawione*. Autorem tych «antypastów», to jest przekąsek (!), jest **Hieronim Morsztyn** (ur. w roku 1581, zm. przed rokiem 1645), autor wielu innych jeszcze utworów. Najsmaczniejszą przekąską, jakożę spreparowaną wierszem, a nie, jak dwie inne, prozą, jest powieść pierwsza — baśń fantastyczna w dziesięciu rozdziałach p. t. *Historija ucieszna o zacnej królewnie Banialuce ze wschodniej krainy*, pełna przygód tak dziwacznych, że imię bohaterki poszło w przysłowie: «pleść banialuki» znaczy to samo, co «pleść kosałki-opałki».

Jakiś królewicz zabłądził w lesie na polowaniu, aż ujrzał pałac wspaniały; chociaż strzegł go lew i niedźwiedź, dostał się jako królewicz wraz z giermkim do wnętrza, ale nie zastał nikogo. Niebawem powraca z wycieczki właścicielka pałacu, uroczą Banialuka: zrazu nie posiada się ze złości na widok nieproszonego gościa, ale wkrótce potem «gniew swój opuściła — i na jego twarz gładką ochotniej patrzyła», poczem opowiadała królewiczowi swoje dzieje: przed rokiem, po śmierci obojga rodziców, uczyniła ślub, że przez całe trzy lata nie będzie patrzała «na insze ludzie, tylko na swój fraucymer»; więc opuściła strony rodzinne i zamieszkała w tym oto pałacu. Tymczasem zastawiono ucztę: «lu dzika zwierzyna, — owdzie się z misy kurzy tłusta ciecęcina, — sam² jarząbek w rosole, indyk do podlewy»; podczas uczy «żądło gładkości» królewicza tak «nielitościwie zraniło» Banialukę, «że jakoby siedziała we mdłości»; nawzajem «żądło gładkości» Banialuki zraniło królewicza. Ale czas wracać do domu: na pożegnanie królewna daje królewiczowi

¹ do szczętu. ² tutaj.

połowę pierścienia na znak, że za nikogo innego zamąż nie wyjdzie. Król-wicz wraca do domu, ale codziennie Banialukę odwiedza. Aż dowiedziała się o wszystkim jakaś królowna, która już dawno królewicza kochała, i ślubuje zemstę: jej ochmistrzyni-czarownicy wręcza giermkowi królewicza zaczarowane jabłko z rozkazem, aby, gdy znów do pałacu Banialuki z królewiczem pojedzie, dał mu je zjeść. Król-wicz zjadł i zemdlął: nadbiega Banialuka, naciera «pachnącemi ziołkami» puls, wodą «zakrapia uschły język jego», — wszystko na nic; nie pomogły ani «całowania», ani «milusieńkie przytulania»: król-wicz leży, jak drąg, zrozpaczona Banialuka odjeżdża. Dopiero po jej odjeździe ocknął się król-wicz i powrócił do domu. Nazajutrz było jeszcze gorzej: król-wicz znowu przyjechał, znowu zjadł jabłko, i «większe go dziś, niż wczora, boleści objęły, ... jęczał, leżąc, i mruczał, i zgrzytał zębami, — pianą parskął i brzydko wywracał oczami». Zbolała Banialuka, myśląc, że to Pan Bóg ją karze za złamanie ślubu, opuszcza pałac i powraca w swe strony rodzinne; nagle «piorun rozpalony uderzył na on pałac, ... gromy straszne trzasnęły, wichry popędliwe — czynią z nagłą ruiny w pałacu straszliwe». Huk piorunu obudził królewicza; teraz dopiero domyślił się on zdrady giermka, zabił go, poczem powędrował w świat szukać Banialuki. Idzie do świętego pustelnika i pyta, czy nie wie, gdzie królowna: pustelnik nie wie, zwołuje wszystkie zwierzęta, którym panuje — nie wiedzą. Król-wicz idzie do drugiego pustelnika, jeszcze świętszego, który rozkazuje ptakom. Zlatują się ptaki: «Struś krzyczał, żóraw strukał, a pawy wrzeszczały, — feniks się śmiał, bociany nosem¹ klekotały, — bażant piał, a bąk bączał, kraczą ślepowrony... Plegotały kaweczki, sroki szczygotały... Sowy huczały, puszczyki z puhaczem wołały, — drop ksykał, głuszek puchał, dudkowie dudają, — grały cietrzewie, a ich ciociórki kokały... Ciurkał dzięcioł, wróbił świerkał, strzykały chróściele, — słowiczek lamentował, a pardwa kokciele... Psykali czyżkowie, kwiczoły piskały, — drozdy skrzypią, a żolny niemiło skrzeczały, — zięba cin-cin, sikora ta-ra-ra przydaje, — strzyżyk ci-ci, a więcej głosu mu nie staje». Ale i ptaki nic nie widzą. Król-wicz idzie do trzeciego pustelnika, już najświętszego, który rozkazuje wiatrom: wiatry wiedziały, i jeden z nich zanoszą królewicza do królestwa Banialuki. Tu w tajemnicy godzi się król-wicz na ogrodnika w pobliżu zamku Banialuki. Kiedy czas załoby po rodzicach Banialuki minął, zjeżdżają się rycerze na turnieje: kto zwycięży, ten otrzyma rękę królowny. Zwycięża naturalnie król-wicz, ale nie wyjawia jeszcze, kto jest, tylko zawija ową połowę pierścienia w papier i każe wręczyć obecnej na turniejach królownie. Kończy się na weselu: król-wicz obejmuje państwo Banialuki, obiecując swym poddanym, że uszanuje wszystkie ich wolności — niby król polski, zaprzysięgający *pacta conventa*.

84. Z poetów, którzy się wzorowali na poezji włoskiej i francuskiej, największy talent posiadał poeta miłości. **Jędrzej Morsztyn** z Sandomierskiego (ur. około r. 1613, zm. 1693), wielki bywalec, który zjeździł całą niemal Europę zachodnią, dworzanin Władysława IV i Jana Kazimierza, gładki dworak i ulubieniec królowej Marji Ludwiki (żonaty z jej damą dworską, Katarzyną Gordon, Angielką), podskarbi wielki koronny, zręczny, giętki i czynny dyplomata; człowiek wykształcony i doświadczony, posiadający

¹ nos = dziób.

niemały rozum polityczny, bystro przewidujący skutki anarchji, słabości władzy królewskiej i obieralności tronu, pragnący też przekształcić państwo polskie na wzór potężnej i rządnej Francji, w której dziedziczny król posiadał władzę nieograniczoną; ale człowiek bardzo lichy, intrygant i niemal zdrajca ojczyzny, skoro wicherzył przeciw królowi Michałowi, zamiast którego byłby wołał widzieć na tronie Kondeusza, a potem, za Sobieskiego, przekupiony przez Ludwika XIV, starał się unicestwić zamiar zawarcia przymierza Polski z Austrią: nie dziw, że się go ojczyzna wyparła, że na stare lata musiał uchodzić z Polski, aby kości na obcej ziemi złożyć.

Pochłonięty sprawami publicznymi, Morsztyn dorywczo tylko mógł się poezji poświęcać; w jednym wierszyku mówi, że «sobie w domu gędził, aby zły humor odpędził», t. j. przyznaje się, że poezję poczytywał jedynie za rozrywkę. A szkoda, bo talent miał niemały, chociaż niesamodzielny — nie twórczy, tylko przetwórczy: znając i lubiąc poezję rzymską, nadewszystko jednak włoską i francuską, bądź tłumaczył jej utwory, bądź przerabiał, bądź naśladował; drukiem swych poezyj nie ogłaszał, wiedząc, że się ogół nie pozna na ich wykwintnej sztuce, że podobać się mogą jedynie garstce panów i dworzan królewskich; ci bowiem zasmakowali w sztuce cudzoziemskiej — za przewodem Władysława IV, który, dzięki odbyтым w młodości podróżom po Europie, polubił obyczaje obce (przepadał np. za operą włoską), a więcej jeszcze za przewodem królowej Marji Ludwiki, księżniczki francuskiej, od której przyjazdu zaczął się szerzyć u nas wpływ cywilizacji francuskiej (obejmując jednak zrazu tylko najwyższe warstwy społeczeństwa). Otóż poezja Morsztyna ma charakter dworski, cudzoziemski, jest owocem wpływów obcych, po części francuskich, a głównie włoskich.

Jako dworzanin i wierny sługa królowej Marji Ludwiki, kobiety rozumnej, dążącej do wzmocnienia władzy królewskiej w Polsce, Morsztyn popierał jej zamiary nie tylko czynem, ale i piórem: przetłumaczył wierszem znakomitą tragedję Corneille'a *Cid*, która obfituje w sentencje moralne i przestrogi, zalecające, pomiędzy innymi, wierność i nieograniczone posłuszeństwo królowi; pierwsza to tragedia francuska, przełożona na język polski — wcale udatnie; odegrano ją na dworze królewskim podczas sejmu roku 1662; w druku ukazała się po śmierci Morsztyna, dopiero w końcu XVII wieku p. t. *Cid albo Roderik, komedya (!) hiszpańska*.

Wraz z tym przekładem wydano i powieść poetyczną Morsztyna, pisaną oktawami: *Psyche z Lucyjana, Apulejusza, Marina*. Pewien król miał trzy córki, z których najmłodsza, Psyche, była tak cudownie piękna, że ludzie przestali czcić nieśmiertelną Wenerę, woląc składać hołdy śmiertelnej Pysze. Zawrzała gniewem bogini i uknuła zemstę, której wykonanie pragnie powierzyć synowi swemu, Amorowi; szuka go więc po różnych krajach, ale znaleźć nie może, ani nawet przypuszczając, że Amor bawi sobie najspokojniej... w Warszawie, na dworze Marji Ludwiki. Znalazła go wreszcie Wenera i rozkazuje mu wynosić się z Polski, lecieć do Psychy i zranic jej serce strzałą miłości ku «brzydkiemu chłopu». Ale stało się inaczej: ujrawszy Psychę, rozkochał się w niej Amor i wziął ją za żonę — pod warunkiem, że się nigdy nie będzie starała dowiedzieć, kogo ma za męża. Lecz, podmówiona przez siostry zazdrosne, dowiedziała się, i Amor zagniewany porzucił ją. Zrozpaczona Psyche szuka Amora po świecie, ścigana przez Wenerę, aż nakoniec, opadając z sił, «myszka trafiła do łapki»: sama oddaje się w ręce Wenerze. Ta znęca się nad nią okrutnie: «w złotych warkoczy

gęstwinę — niemiłosiernie zapuściwszy palce, — ciągnie z pośpiechem zbieganą dziewczynę — przez dworzec, przez drzwi, przez progowe walce; «połem, zmieszawszy zboża i nasienia — różnego, kupę niebodze odmierzy — i rozkazuje, żeby bez mruczenia — w osobne kupki, a w kilka pacierzy, — wszystkich zrobiła równe podzielenia, — pierwej niżli się wróci od wieczerzy»; spełnia Psyche tę robotę — przy pomocy dobrych mrówek (które Amor posłał jej na pomoc). Poczem przynosi welny zlocistej z dzikich, straszliwych baranów, przy pomocy trzciny, «natchnionej własnym duchem Kupidyna», która radzi jej, by czekała, póki barany nie zasną: «Wtenczas po krzakach zbieraj welnę, — którą tam zostawiają, trac się o nie skórą». Wreszcie z nurtów rzeki, której «źródła w piekle się schowały», przynosi wody — przy pomocy orła, który, «wydarłszy jej flaszkę w swe pazury, — wzbija się od niej aż na sam wierzch góry — i tam, śmiertelną napelniwszy wodą, — oddaje nazad zupełne naczynie». Ale Wenerze jeszcze mało: Psyche musi iść do piekła, aby przynieść od Prozerpiny «bielidła, którem się piękna Plutonowi czyni». Idąc za radą gadającej wieży piekielnej, i to zadanie spełnia Psyche: wraca z puszką, ale, zdjęta «białogłowskim ciekawym humorem», nie wytrzymała, otworzyła puszkę i — padła bez zmysłów. Ocucił ją Amor, który już dawno złożył gniew z serca i, zmiękczony prosbami serca Wenerę, wyznał swą miłość Jowiszowi; a ten, «pogłaskawszy synaczką pod brodę», doreszty ugłaskał Wenerę, która «chętnie przyjmuje Psychę za synową».

Tę powieść osnuł Morsztyn na jednym z najpoetyczniejszych podań greckich; opracował je, pomiędzy innymi, powieściopisarz rzymski II wieku po Chrystusie, Apulejusz, w swoich *Metamorfozach*, które dawniej uchodziły za przeróbkę przypisywanej znakomitemu pisarzowi greckiemu (tegoż wieku), Lucjanowi, powieści o Lucjuszu, zamienionym na osła. Dlatego to w tytule swej powieści wymienił Morsztyn nie tylko Apulejusza, ale i Lucjana; głównym jednak źródłem *Psychy* jest nie powieść Apulejusza, tylko poemat Mariniego, *Adonis*, z którego Morsztyn to przerabiał, to przekładał całe ustępy. Oryginalny jest tylko ustęp o dworze Marji Ludwiki, której nie szczędzi poeta pochwał: «Przewyższa wielką fortunę umysłem, — umysł rozumem, rozum wszelką cnotą; — jako nad bajką i pięknym wymysłem, — zdziwi się przyszły wiek nad jej robotą, — nad zdrową radą, nad mieszkaniem nieścisłym, — gdy między stany stwierdza zgodę złotą, — albo zachęca na nieprzyjacioly, — albo funduje szpitale, kościoły... Chce za żywota, łaską dzięków godną, — wcześniej opatrzyć królem te dziedziny, — lecz i w tem Polskę znajduje niezgodną. — Nie wał na prawo, o Polaku, winy: — chciwość, niesłowność, praktyki i płonne — nadzieje w zguby pędzą cię nieschronne».

Najchętniej pisywał Morsztyn wierszyki drobne czyli fraszki (w których nieraz naśladował Kochanowskiego), złośliwe epigramaty, zagadki, komplementy i t. d.; zgrabność i dowcip walczy tu nieraz o lepsze ze swawolnością.

Najczęstszym jednak przedmiotem jego liryki jest miłość, jak to widać z dwóch zbiorów poezyj, które w rękopiśmie podarował na pamiątkę dwóm swoim znajomym. Zbiór pierwszy, ofiarowany koniuszemu koronnemu, Aleksandrowi Lubomirskiemu, ma tytuł: *Kanikuła albo psia gwiazda* (1647); zawarte tu poezje pisał Morsztyn z nudów, kiedy bawił raz w stepach naddnieprzańskich podczas «kanikuły», t. j. podczas strasznych upałów letnich kiedy to w nocy świeci na niebie kanikuła, t. j. psia gwiazda.

Zbiór zaś drugi, подарowany Lukaszowi Opalińskiemu, ma napis *Lutnia* (1661), ponieważ tak właśnie zasytułował swoje poezje ulubiony poeta Morsztyna, Marini. Otóż na obydwu te zbiory składają się przeważnie wiersze miłosne. A są one zupełnie inne od pieśni miłosnych Kochanowskiego i od *Roxolanek* Zimorowicza: te są zazwyczaj naturalne, proste, szczerze i przez to tak miłe; wprowadzie i Morsztyn, kiedy chciał, umiał wypowiadać swoje uczucia w sposób naturalny i wdzięczny, ale najczęściej siłił się na dziwaczne, wyszukane pomysły i na styl nadto kwiecisty; chodziło mu bowiem nietylko o szczery, ile o wymowny wyraz uczucia, o popisanie się swoim mistrzostwem w pisaniu wierszy. Tej zaś sztuki nauczył się głównie od Mariniego. Wiersze jego roją się od takich metafor, jak np.: «Oczy twe nie są oczy, ale słońca», «Usta twe nie są usta, lecz koral rumiany», «Oczy — serca mego zwierciadła, gwiazdy nieba miłosnego»; od takich porównań, jak np. porównanie zakochanego z jedwabnicą, z drzewem wilgotnem, syczącem w ogniu, z trupem i t. p.; zapewnia poeta, że z miłości mdleje, kona, albo że się rozsypuje w popiół; dziwi się, że «w płaczu żyje, wśród ognia palając», a więcej jeszcze dziwi się, jakim cudem żyje, kiedy już nie ma serca, bo ono nie do niego należy i t. d. Wszystko to wyszukane, nienaturalne, nieszczerze, chłodne jak lód, a do tego nie polskie, tylko obce; ale sztuka jest, i to niemała. I jak Marini w liryce włoskiej, tak Morsztyn w polskiej jest najwybitniejszym i najzdolniejszym przedstawicielem przesadnego w swej kwiecistości stylu barokowego, mistrzem wyszukanej formy; zwłaszcza jego sonety to wprowadzie nie najpiękniejsze, ale najzręczniejsze sonety w całej poezji staropolskiej.

Co ciekawe, że ten sam dworak i pochlebca, specjalista od fabrykowania swawolnych, a czasem i plugawych wierszyków, jest autorem kilkunastu poezyj religijnych. Z niektórych bije szczerą, niekłamana prawda uczucia, a nietylko chłodna sztuka: były widocznie w życiu tego marnego człowieka chwile skupienia wewnętrznego, podniesienia duszy do Boga, żalu, skruchy, nade wszystko zaś... strachu przed piekłem; jedna z takich chwil nawiedziła go podczas ciężkiej kwartany (to jest gorączki febrycznej, powracającej co czwarty dzień). Ze wspomnień tej chwili powstały dwa jego najpiękniejsze utwory religijne: sonet *W kwartannie* i dłuższy wiersz, będący spowiedzią grzesznika i modlitwą o litość: *Pokuta w kwartannie*. Szkoda tylko, że piękność moralną rachunku sumienia, skruchy i modlitwy błagalnej w tym wierszu psuje zakończenie, niebardzo licujące z pokorą grzesznika, owszem, jakby wyzywające, czy nawet protekcyjne: pamiętaj, Jezu Chryste, że, odpuszczając mi moje grzechy, wyrządzisz przysługę nietylko mnie, ale i sobie!... Jak szydło z worka, wyłaziła tu bezczelność i pycha magnata polskiego!

Na Tomka. Tomek kocha szalenie, napiera, nalega,
 Ojcu łze, matce kłania, przyjaciół podzega.
 Tak piękna? Owszem, szpetna! Skądże te zaloty?
 Ma kota¹, a co większa, chora na suchoty.

Starej. Twierdzisz, żeś się za króla Stefana rodziła:
 Łziesz, babo, boś za Piasta już na świecie była;
 I tak łziesz, bo, jak twoje drżące świadczą lata,
 Wraześ z Ewą stworzona od początku świata.

¹ sakiewka, pieniądze.

Gadka. Białym małżonek czarnej miłośnicy,
Związany tak z nią w ścisłe tajemnice,
Że mię rozdzielić same z moją drogą
Nieba nie mogą.

Sekreta chowam i oneż wydaję
Często tym, co mnie nic niewinnie lają,
Wzniecam i pokój, i zwady przyczynki,
I pojedynki...

Sam bez afektów, różne w ludzie leję:
Gniew, miłość, śmiech, żal, bojaźń i nadzieję;
We mgnieniu oka, choć nie mam czem płacić,
Mogę z bogacić...

Łacno mię zgadnąć, bo i mówię z tobą,
I masz mnie jawnie w oczach twych przed sobą,
I zgadniesz, jeśliś na oczy nie głuchem¹
I patrzysz uchem².

Jedwabnica. Patrz, Kasiu, jako, gdy ciepła panują,
Jedwabną przędzę robaczekowie snują,
Jak żyją liściem, jak, gęste osnowy
Puszczając, domek gotują grobowy:
To ja tak właśnie robię bez przestania
I kręcę głową z mroka do zarania;
Liściem się karmię, niepewny nadzieje,
Które twej wietrzyk nielaski rozwieje;
Z myśli i z żądze nawinąwszy przędzę,
Różne z niej nici dowcipem swym pędzę;
I w tem dumaniu tak się bardzo topię,
Że trunę sobie kuję i grób kopię;
Potem, jak i on, co z pracą zbuduję,
Samże to zgryzę, samże to popsuję.

Łzy. Jako drzewo surowe, na ogień włożone,
Sapi naprzód i dmucha; potem, otoczone
Nieprzyjacielem wkoło, przez kryjome oczy
Wszystkę wilgotność z siebie i wszystek sok toczy;
Nakoniec, kiedy mu już obrony nie staje,
W wągiel gore, a potem w szczyry popiół taje:
Tak ja, opanowany będąc twą miłością,
Wzdychałem naprzód, srogą ściśniony tęsknością;
Potem sobie i łzami serce ulżywało;
Teraz, gdy mi obojga tego już nie stało,
Tleję w wągiel, a jeśli nie spojrzysz wesolem
Okiem, w małej się chwili rozsypię popiołem!...

Do trupa Leżysz zabity: i ja też zabity;
(sonet). Ty — strzałą śmierci: ja — strzałą miłości;

¹ głuch, głuszek — człowiek głuchy.

² rozwiązanie zagadki: papier i in-

kaust (atrament).

Ty — krwie: ja w sobie nie mam rumianości;
Ty — jawne świece: ja mam płomień skryty;

Tyś na twarz suknem żalobnem nakryty:
Jam zawarł zmysły w okropnej ciemności;
Ty masz związane ręce: ja, wolności
Zbyszysy, mam rozum łańcuchem powity.

Ty jednak milczysz: a mój język kwili;
Ty nie nie czujesz: ja cierpię ból srodze;
Ty jak lód: a jam w piekielnej szreżodze;

Ty się rozsypiesz prochem w małej chwili:
Ja się nie mogę, stawszy się żywiołem
Wiecznych mych ogniów, rozsypać popiołem.

Cuda miłości
(sonet).

Przebóg! jak żyję, serca już nie mając?
Nie żyjąc, jako ogień w sobie czuję?
Jeśli tym ogniem sam się w sobie psuję,
Czemu go pieszczę, tak się w nim kochając?

Tak w płaczu żyję, wśród ognia palając!
Czemu wysuszyć ogniem nie próbuję
Płaczu? czemu, jak z ogniem, postępuję,
Że go nie gaszę, w płaczu opływając?

Ponieważ wszystkie w oczach u dziewczyny
Pociechy, czemuż muszę od nich stronić?
Czemuż zaś na te narażam się oczy?

Cuda te czyni miłość: jej to czyny,
Którym ktoby chciał rozumem się bronić,
Ten przedzej w sidło z rozumem swym wskoczy!

O swej
pannie.

Biały, polerowany alabastr z Karary,
Białe mleko, przyslane w sitowiu z koszary,
Biały łabędź i białem okrywa się piórem,
Biała perła, nie częstym używana sznurem,
Biały śnieg świeżo spadły, nogą nie deptany,
Biały kwiat lilijowy za świeża zerwany:
Ale bielsza mej panny pleć twarzy i szyje,
Nad marmur, mleko, łabędź, perłę, śnieg, lilije.

Niestatek.

Oczy są ogień, czoło jest zwierciadłem,
Włos — złotem, perłą — zęb, pleć — mlekiem zsiadłem,
Usta — koralem, purpurą — jagody,
Póki mi, panno, dotrzymujesz zgody.
Jak się zwadzimy, jagody są trądem,
Usta — czeluścią, pleć — blejwasem bladym,
Ząb szkapią kością, włosy pajęczyną,
Czoło — magłownią, a oczy — pierzyną!

Niestatek. Prędzej kto wiatr w wór zamknie, prędzej i promieni
Słonecznych drobne kęski wżenie¹ do kieszeni;
Prędzej morze burzliwe prośbą uspokoi;
Prędzej zamknie w garść świat ten, tak wielki, jak stoi...
Prędzej, płacząc nad Etną, łzami ją zaleje,
Prędzej niemy zaśpiewa, a ten, co szaleje,
Co mądrego przemówi; prędzej stala będzie
Fortuna i śmierć z śmiechem w jednym domu siedzie;
Prędzej poeta prawdę powie, niż sen płonny;
Prędzej i aniołowi płacz nie będzie płonny;
Prędzej słońce na nocleg skryje się w jaskini;
W więzieniu będzie pokój, ludzie na — pustyni;
Prędzej nam zginie rozum i ustaną słowa,
Nizli będzie stateczną która białogłowa.

W kwartannie Goreję, Panie! Coraz większy wstaje
(*sonet*). Ogień, pałacy wnętrzości w perz suchy.
To Twoje dzieło bez żadnej otuchy
Kona i z swym się gościem już rozstaje.
Już ośm miesięcy, jako nie ustaje
Płomień czyli mróz, na lekarstwa głuchy;
Jako воск miękki, jako garnek kruchy,
Tak się ta kruszy lepianka i taje.
To samo, któreć posyłam westchnienie,
Rad nie rad w sobie powściągam — i duszę,
Czując z nich zbytnie w uściech upalenie.
Ach! jeśli już w tym skwarze skończyć muszę
I śmiercią samą przygasić płomienie,
Ty od wiecznego wybaw ognia duszę.

Pokuta O Boże! jakoż podnieść grzeszne oczy
w kwartannie Tam, gdzie Twoja moc wieczną światłość toczy?
(*w skró-* Jam robak ziemny, proch marny, pies zgnily,
ceniu). We mnie się wszystkie brzydkości zrodziły...
Tyś szczera czystość, niewinność bez skazy:
Jakoż Ci swoje odkrywać mam zmayı?
Jam zwiedził grzechy śmiertelnego grzechu
Siedmiorakiego i straszny w pośmiechu
Zakon Twój miałem, i Tve przykazanie
Każdem znieważyl, albowm zgwałcił, Panie!
Jam nie jednego, chociaż Twa przestroga
Przeciwna była, miał pana i boga:
Jam z swych wymysłów bałwanom ofiary
Oddawał, niosąc namiętności w dary..
Jam brał nadarmo i z lekką uwagą
Imię Tve, ciężką karmiąc Cię zniewagą:
Mieć na bluźnierstwa obrzydłe otwarty
Język — za dworstwo² miałem i za żarty...

¹ 3 osoba l. pojed. od *wegnać*. ² dobry ton.

Jam tak siódmy dzień święcił i niedzielę,
Żem rzadko bywał i w te dni w kościele;
Poprzestałem weń powszedniej roboty,
Alem się puścił na większe niecnoty:
Wtenczas i tańce, i tłustsze obiady
Odprawowałem, zbytki i biesiady,
Jakby ten dzień był od roboty pusty
Dlatego, abym czas miał do rozpusty...

Jam fałszywego nie jest wolen słowa:
Często się z myślą nie zgadzała mowa,
Serce daleko było od tej rzeczy,
Którą się język zdawał mieć na pieczy,
I, żeby mowę nieco tem osłodzić,
Śmiałem zmyślonę powieści przywodzić.

Jam w swym umyśle zapisał gospodę
Pożądliwości i za własną szkodę
Sądziłem, że się nie mnie to dostało,
Co już, za wolą Twoją, pana miało:
Żyźniejsze było u sąsiada żniwo,
W oczach mych tłustsze obory, i żywo
Zazdrość mnie piekła, kiedyś, Panie, komu
Większą pokazał łaskę, niż mnie w domu.

Tom ja tak Twego zakonu szanował,
Takem dróg, któreś ustawił, pilnował...
A jakoż tedy mam zacząć swą mowę
I tak niegodny wniść z Tobą w rozmowę?...

Wstań Ty, o Jezu, dosyć urzędowi
Swojemu czyniąc, co Pośrednikowi
Należy, i wstąp między Ojca Twego,
Między mnie, między grzech mój i gniew Jego!
Ukaż Mu w rękach dwie i w nogach rany
Od gwoździ i bok nieuszanowany,
Głowę pokłutą cierniem i z obliczem
Zsiniałem, ciało poszarpane biczem
I pot Twój krwawy, i przewrotną radę,
Policzki częste i uczniową zdradę...

Niechże ta męka i ta dobroć wieczna
Będzie grzesznemu teraz pożyteczna,
Niech moc Twojej śmierci, wymowa, przyczyny
Przed Ojcem Twoim skryje moje winy!...
Twoja to rozkosz i pocieszne dzieła
Odpuszczając w lasce, gdzie zgrzeszono się!¹
Odpuście i mnie i racz, przejednany,
Wygasić ogień upartej kwartany!
Ale najprzedniej² przez moc Twojej ręki
Zachowaj³ wiecznie palącej męki
I daj się przez dar prawdziwej pokuty
Schronić gorączki i piekielnej huty.

¹ siła. ² przedewszystkiem. ³ wybaw od.

Ty rad odpuszczasz — a mnie tego trzeba,
Ty nas chcesz zbawić — i ja chcę do nieba:
Bądź tedy łaskaw, a tak w jednej dobie
Wygodzisz i mnie naprzód, lecz i sobie!

85. Niemalą chwałę poezji XVII wieku stanowi bogata epika historyczna. Już w początkach tego stulecia ukazują się opowiadania i pamiętniki wierszowane o różnych wypadkach, później zaś, pod wyraźnym wpływem *Jerozolimy wyzwolonej* Tassa w przekładzie Piotra Kochanowskiego, powstają obszernie, czasem nawet ogromne poematy, czyli, właściwiej mówiąc, wierszowane kroniki, opiewające to poszczególne zdarzenia dziejowe, to całe współczesne dzieje Polski. Wyróżnił się na tem polu Wielkopolanin, **Samuel Twardowski** (ur. około r. 1600, zm. 1660), ziemianin, rycerz i poeta. Wyższego wykształcenia nie otrzymał: poprzestał na ukończeniu szkoły jezuickiej; ale, mając umysł z natury ciekawy, lubił czytać książki: znał literaturę ojczystą XVI wieku i współczesną, znał poetów i historyków rzymskich, czytał, jak się zdaje, Homera, w streszczeniu (które się w języku polskim ukazało jeszcze w roku 1598); rozumiał i po włosku. Ale głównem źródłem jego wiadomości była nietyłe nauka, ile samo życie: przechodził on bowiem najrozmaitsze koleje, to na zachodnich, to na wschodnich krańcach Rzeczypospolitej; przebywał na dworach magnatów, którym się wysługiwał i których okadzał napuszonemi panegirykami; z Krzysztofem Zbaraskim, koniuszym koronnym, jeździł do Konstantynopola, towarzyszył również, jak się zdaje, królewiczowi Władysławowi w jego podróżach zagranicznych; brał udział w wojnach z Moskwą, Turkami, Kozakami i Tatarami, ale, kiedy Szwedzi przyszedli do Polski, dał się obalać magnatom i stanął po stronie najjeźdźców, w jak najlepszej zresztą myśli, będąc przekonanym, że król szwedzki przywróci porządek w Polsce.

Jako poeta, był wielce ceniony przez współczesnych, którzy nazywali go Wirgiljuszem polskim. W istocie nie umywał się do Wirgiljusza; posiadał niezaprzeczony talent, i to zarówno epicki, jak liryczny: czasem (zwłaszcza w młodych latach) umiał to, co na własne oczy widział, opisać żywo, to zaś, co własnem sercem odczuł, wypowiedzieć wcale wdzięcznie, niekiedy z siłą. Ale te chwile szczęśliwe nie były częste: już w szkołach jezuici zabili mu klina w głowę, że poezja tylko wtedy jest poezją, kiedy obfituje w szumne wyrażenia i porównania, kiedy, jak on sam mawiał, jest «zwierzchu ocukrowana attyckimi kanary» (słodyczami), t. j. upiększona mitologją i ozdobami, wziętymi z poezji starożytnej. Otóż tego klina nie wybił sobie Twardowski do śmierci: «cukrował» swoją poezję wtedy zwłaszcza, kiedy chciał być uroczystym, a że uroczystym chciał być zwykle, więc jest typowym wyobrazicielem napuszonego stylu w poezji, co nie przeszkadza, że przez treść swoją jest to poezja bardzo ciekawa i wielce różnorodna.

Niektóre jego utwory świadczą, że nie zerwał on z tradycją poezji wieku złotego: rozumiał, że największym poetą polskim jest Kochanowski, i naśladował go w *Trenach*, napisanych po śmierci «wdzięcznej dziewczyny, jedynaczki swojej», Marjanny, w których ból rodzicielski przemówił rzewnie i serdecznie. A na wzór *Satyry* Kochanowskiego napisał satyrę: *Satyr na twarz Rzeczypospolitej* (1640). W Beskidach, w budzie drewnianej, mieszka już od lat przeszło tysiąca Satyr, to też pamięta jeszcze owe czasy, kiedy się Wanda uganiała za jeleniami i turami, a i to pamięta, że się daw-

niej dobrze działało w Polsce. A teraz? Strach mówić, bo kto mówi Polakom prawdę w oczy, ten «jak po ogniu i po brzytwach chodzi». Ale trudno — mówić trzeba! Więc narzeka Satyr na pijaństwo, na stroje wykwintne i wogóle na zbytki szlachty, oburza się na szlachcianki, że strojami rujnąją mężów, że córki źle chowają, nie strzegąc ich od złego przykładu; gniewa się zwłaszcza na żony-rzędziuchy, trzęsące donem i trzymające mężów pod pantoflem; księżom zarzuca chciwość i skąpstwo. Lecz surowiej jeszcze sądzi Satyr życie publiczne. Zarzuca szlachcie brak miłości ojczyzny, skarży się na długie i czeze gadaniny podczas obrad sejmowych, na zrywanie sejmów (a zrywano je już przed Sicińskim), na zdzierstwa, jakich się żołnierze po wsiach dopuszczają, na łapownictwo urzędników. Opisując życie dworskie i ubolewając nad scudzoziemczem dworu królewskiego, doskonale charakteryzuje dworaków, pochlebiających panu: «Nabożny, — więc i trzech mszy słuchać z nim w kościele, — myśliwy, — to ni o czym przed nim dyskutować, — tylko o psiech; gniewa się, — więc go nie hamować, — owszem zaraz zabijać; a huczy i pije, — to pić także!» Lecz najsilniej chłoszcze Satyr przedajność sądów, zwłaszcza trybunału lubelskiego: kto chce sprawę wygrać, ten musi posłać sędziom «to wódek, to piotrkowskich krupek na złocistych miednicach»; niedosyć na tem: trzeba sędziom ucztę wyprawić, trzeba się płaszczyć przed nimi, zapominając o własnej godności. Z godną uznania bezstronnością mówi Twardowski, że, «gdyby czasem nie lutrzy oparli się sami, — snadźby wszystkie trybunały wzgórze stał nogami», t. j., gdyby nie było wśród sędziów kilku uczciwych protestantów, trybunał byłby licha wart. Równie śmiało karci autor szlachtę, że, bojąc się o swoją złą wolność, nie pozwala królowi na reformy. Wogóle *Satyr* Twardowskiego to jeden z najlepszych i najśmielszych utworów satyrycznych XVII wieku.

86. Nie *Satyr* jednak, nie poezje liryczne i nie wierszydła panegiryczne dały Twardowskiemu rozgłos i sławę, tylko trzy poematy historyczne; za nie to właśnie okrzyknięto go *Wirgiliuszem polskim*, chociaż przypomina on raczej autora *Farsalji* — Lukana, ale i jemu nie dorównywa talentem.

Tytuły trzech poematów są takie: *Przeważna Legacja Jaśnie Oświeconego Krzysztofa Zbaraskiego, koniuszego koronnego, krzemienieckiego, soleckiego, wiślickiego, rubieszowskiego etc. etc. Starosty, od Najjaśniejszego Zygmunta III, Króla polskiego i szwedzkiego, do Najpotężniejszego Soltana, Cesarza tureckiego Mustafy, w roku 1622, na pięć rozdzielona punktów, z dotknięciem krótko przez uciężne dygresyje stanu podówczas rządów, ceremonij i zwyczajów pogańskich (1633); Władysław IV, król polski i szwedzki (1649); Wojna domowa z Kozaki i Tatarzy, Moskwą, potem z Szwedami i z Węgry, przez lat dwanaście, za panowania Najjaśniejszego Jana Kazimierza, króla polskiego, tocząca się, na cztery podzielona księgi (1681). Pierwszy poemat obejmuje przeszło 7.000 wierszy trzynastozgłoskowych, drugi — przeszło 11.000, trzeci — przeszło 17.000.*

Utworky te, różne treścią, mają dwie wspólne cechy. Po pierwsze, są to raczej kroniki rymowane, niż poematy: autor, mając przed sobą notatki prozaiczne, to własne, to cudze, przetapiał je na wiersz, nie zmieniając prawie ich układu, to znaczy, opisuje zdarzenia historyczne w porządku ściśle chronologicznym, z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, z dnia na dzień, czasem nawet dzieląc jeszcze dzień na ranek, południe i wieczór. Wymysłu poe-

tyckiego, własnej fantazji autora, poematy te nie posiadają prawie zupełnie: «prawdę pisać jest moja intencja», mówi Twardowski, ale dodaje: «jednak nie bez gracy i zwyczajnych poetyckich przysad». Ołóż te «przysady», czyli dodatki, które, zdaniem autora, nadają «grację» poezji, to druga główna cecha trzech poematów. A jest tych «przysad» całe mnóstwo, np. tak zwane inwokacje: wzorem poetów starożytnych zwraca się Twardowski do Muz («panien z Helikonu», «Jowiszowych cór»), by go «duchem napuszyły swoim», albo żeby jego «piersiami poruszyły»; to znów prosi Apollona, żeby mu «boki napuszył». Jakoż poczuł się poeta napuszonym: więc Boga np. nazywa «hetmanem empirejskich zastępów»; zamiast powiedzieć: przy blasku księżycy», mówi «pod świecącą Lucyną», zamiast «słońce pogodnie wzeszło»: «Już wdzięcznymi Lucyfer przegładał oczoma — i konie factońskie puhały nozdrzoma — płomień hiperyjoński w karze¹ złotokolej, — pogodę i dzień niosąc nadzwyczaj wesoły»; szum wód dniewprowych opisuje tak: «Słyszeć tam niezmierny — tumult wód spadających i chrapliwe Lery — i Charybdy i Scylle, strasznie belkocące, — i na dnie Palemony, okropnie wyjące» i t. p. Księcia Zbaraskiego nazywa aulor Scypjonem, Wiśniowieckiego — Achillesem i t. d. Słowem, owe «przysady» polegają głównie na posługiwaniu się mitologją i historją starożytną.

Z historyków starożytnych upodobał sobie Twardowski nadewszystko Liwjusza, któremu niejedną «przysadę» zawdzięcza; tak np. w poemacie *Władysław IV* mowa Żółkiewskiego do wojska w obozie pod Cecorą jest naśladowaniem mowy, którą w *Historji* Liwjusza wygłasza do swych żołnierzy Lucjusz Korneljusz Scypjon (podczas pierwszej wojny punickiej); opisując zaś śmierć Żółkiewskiego pod Cecorą, wzorował się Twardowski także na Liwjuszu, mianowicie na opisie śmierci konsula Lucjusza Emiljusza pod Kannami.

Przeważna legacyja zaczyna się od panegiryku na cześć rodu książąt Zbaraskich, których pod niebiosa wynosi Twardowski, sługa księcia Krzysztofa, mówiąc, że się na ocean cwał jego świątobliwych w miałkiej puszcza łodzi; poczem opowiada o wojnach z Turkami, mianowicie o bitwie pod Cecorą i o wojnie chocimskiej, po której stanął pokój; ale warunki pokoju muszą być zatwierdzone przez sułtana, i w tym to właśnie celu własnym kosztem jedzie do Konstantynopola Krzysztof Zbaraski, namówiony przez «wesołego Merkuryjusza». Otóż w orszaku książęcym był i nasz poeta, który notował sobie pilnie wszystko, co widział, a po powrocie do domu «wierszem ojczystym illustrował». Opisuje więc najprzód podróż do Turcji przez Mołdawję i kraje słowiańskie, których bujna natura bardzo mu się podobała, brzegi Dunaju np., «gdzie po wdzięcznej trawie — gęsi i białopióre pasą się zórawie, — krzyk i lament łabęci echo w cieniu sporzy,... — brzegi bluszcz bujne snuje, z tej i owej strony — smakiem najdoskonalsze zółcą się melony»; nie zapomniał wspomnieć i o obyczajach Bułgarów, o tem np., jak «pośród wsi wesołej, ujawszy się społem, — rej corocznych prażników² pięknem toczą kółem; — ci płaszą, ci w fujary i dzingi brząkają, — a młodzi i dziewoje w takt im napiewają». Nareszcie przybywa poselstwo do Konstantynopola: ze wszelkimi szczegółami opisuje poeta pobyt posłów w stolicy tureckiej, posłuchania u wezyra i sułtana, niegodziwe intrygi, wszczęte przez wezyra Dziurdziego, który nie chciał pokoju i godził nawet na życie

¹ kara = wóz. ² prażnik = święto.

księcia; ale Bóg, który «z turmy Daniela i, co było trudniej, — z odbieżanej Józefa wywindował studni», wybawił z niebezpieczeństwa nabożnego polskiego: pokój stanął, za co Zbaraski «tu sławę wieczną, w niebie ma koronę». Równie szczegółowo opisuje Twardowski Konstantynopol, jego okolice i obyczaje tureckie; wspaniałe budowle i place; sobór św. Zofji («sama jakby stała — nie na ziemi machina, filaru nie mając, — a tylko na odległych ścianach się wspierając»); ogród zoologiczny sultana, «w cieniu gdzie chowani — lwi, lamparci, tygryse,... — widziem mrówki indyjskie i przy jednym słupie — żółwia afrykańskiego w niezbitej skorupie — i, czem się Nil chlubi, — ...ichneumona, który płód krokodyłów gubi»); nabożeństwa, obrządki, zabobony, podania (a nawet przysłowia) tureckie; psy i koty, włóczące się po ulicach; wspaniałe brzegi Bosforu; «jeśli ludziom natura w czem dogodzić chciała, — wszystko to, jako na sznur jeden, tu zebrała»; pomimo to «milsze nam w domu szoldry¹ i ciepłe kominy, aniż w raj u tulejszym grana² i cytryny», — i t. d. Wreszcie — powrót do domu: Zbaraski, odkryty chwałą, przybywa do Warszawy, gdzie «panu swemu uczyni relacyją», poczem, «ważniejszy nad Etnę ciężar z plec złożywszy, — pełen sławy, do swej się wróci Końskiej Woli»; niebawem «srogie siostry³ ostatniej przedze mu dowiły», ale «póki Arktur pożenie⁴ złote gwiazdy swoje, — z ust ludzkich nie wynidzie sławne imię twoje». Taka jest w krótkości treść poematu. Posiada on niemałą wartość, jako najciekawszy, najżywszy, najbardziej malowniczy z nielicznych w literaturze staropolskiej opisów podróży.

**Rozumienie
Turków
o winie.**

Tak wierzą, że, by namniej wina ukusili,
Toż karanie w otchłani za to zasłużyli,
Jakoby o nawięcej: przetoż, gdy skosztują,
Do samego upadu piją i hoczują⁵;
Czem już grzech popelniwszy, tak im snadź o mało,
Jako i wiele, cierpieć: to, co się przebrało
Nad miarę i baczenie, za zysk sobie mają,
Ze w pijaństwie do woli swem się nakochają.

Jakiby jednak skrupuł, a zwłaszcza przystarszy,
O to mieli, dwu widzim: oni, głowy wsparszy,
Ręce sobie załomią i oczy wywróca,
A swoim obyczajem żalobliwie nuca:
«O duszo! duszo moja! tyś jak kryształ czysta!
«Oto cię czeka ogień i kaźń wiekuista.
«Wynidź abo gdzie ustąp w ostatni kąt ciała,
«Żebyś się tak napojem brzydkim nie zmazała».
Podobnych tym lamentów jeszcze nie skończeli,
Gdy, nadół się chynąwszy, z drugimi posnęli.

**Mahomet
na weselu.**

Czemuby jednak swoim tak zakazał wina
Bisurmanom Mahomet, mienia,⁶ — ta przyczyna:
Gdy zmierzał po Arabach ziem i krajów wiele,
Trafił w drodze na jedno przypadkiem wesele,
Gdzie młodzi nowożenie zaproszą go z sobą,

¹ szynki. ² granaty. ³ Parki. ⁴ 3 osoba l. pojed. od *pognać*. ⁵ hoczować = hulać, dokazywać. ⁶ mniemać.

«Z żołnierzami moimi! Ciebie, jeśli cało
«Bóg stąd kiedy wyniesie, co ze mną się stało,
«Opowiedz senatowi, zem nad jego rady
«Nic nie czynił, chroniąc się z tem pogaństwem zwady
«Do ducha ostatniego. A niech Lwów co pręcej
«I Kamieniec opatrzą, niż serca tem więcej
«Dostanie nieprzyjacieli i, zwycięstwem srogi,
«Przez mię dziś zawalone te przestąpi progi!
«Ja niech już tu zostawam, a wolę, niż w domu
«Swej się potem sprawować niewinności komu!»
Wtem, nieznanym — z drugimi, końmi porażony
I gradem strzał pogańskich poległ zarzucony...
I tenci to zabój nasz, ta Cecorska biała,
Jaka nigdy, rozprawa! Której dotąd fali
Dałem żagle, bo którzyżby ją opisali
Tak krótko Orfeowie? którzy styl ścieńczony
I jednym wymówiely słowem ją Lakony?

Koronacja Prymas z przedniejszymi
Władystawa. Biskupy i opaty, w uroczyste swoje
Ozdób pontyfikalnych zubierani stroje,
Przychodzą do pałacu z niezwykłą ochotą,
Gdzie w płaszcz i dalmatykę ubranego złotą,
Albę i rękawicę, i uhaftowaną
Drogo obów z obiema marszałki zastaną,
Skąd go, błogosławioną pokropiwszy wodą,
Do wielkiego zarazem kościoła powiodą.
Czterej zwłaszcza co wyższy wprzód wojewodowie,
Którzy tych tu klejnotów wieczni są stróżowie,
Niosą sceptrum¹, jabłko, miecz i szczeroko koronę
Diamenty błyszcząca
Toż przyszedłszy przed ołtarz, gdzie owe to złożyą
Sprzęty drogie, osobę arcybiskup bożą
Na się wzięwszy, gdy i tu oddanej przysięgi
Wspomni mu kondycyje, z kosztownej się księgi
Modłąc nad nim, żeby to skutkiem ziścił samym,
Co usty ofiarował, pomaże balsamem
Głowę mu uniozoną i ostrzy do boku
Miecz przypasze. Dopiero jakoby w obłoku
Niebieskim ochyniony, i postać na sobie
Miał nie ludzką. Skronie wtem obłąpiwszy obie,
Drogą włożył koronę, w prawą rękę przytem
Poda sceptrum, a w lewą z jabłkiem złotolitem
Wszystkiej świat Sarmacyi. W którym tak ubierze,
Przy Naświętszej nie wznosząc z ziemi się Ofierze,
Chleb i wino podawał ofiarującemu
Aż nakoniec, który był po prawej tam stronie
Kosztownie podniesiony, usiedzie na tronie,

¹ berło.

Gdzie już jurysdykcyją wielką swą funduje
 I mieczem poświęconym kilku ich pasuje
 Zasłużonych rycerzów, przy rozliczno-brzmiającej
 Na trzy chóry muzyce i Bellonie, grzmiającej
 Ówże triumfalny hymn, że¹ doprowadzony
 Do pałacu, gdzie obiad, wielkim sporządzony
 Dostatkiem dla senatu i posłów znaczniejszych,
 Drogie kurzeł potrawy, a swych dorodniejszych
 Dobył Bachus tokajów z lestrygońskich² dzbanów,
 Z aplauzy³ wesołemi pospolitych stanów,
 Póki dzień, spracowany czyny tak wielkimi,
 Nie zapadł w Hesperyi z woźnikami swemi.

Aż jako z oceanu ochywał się znowu,
 Żeby się tej pociechy wszytkiemu Krakowu
 Pożądaną dostało, król zjeżdża na rynek
 Słuchać mieszczan przysięgi. Tu co za uczynek
 Miasta był tak zacnego i wylany wszytek
 Na niezmierne ochoty aż rozrzutny zbytek,
 Muzo! porusz piersi swych, gdy, jako szeroki
 Ambit⁴ jego, uslane bruki i rynsztoki
 Czerwieniały szkarlatem; triumfalne brony,
 Nardy i pachnącemi szczerzo szkordyjony⁵
 Natknione, zakwitwały, a po ich podwojach
 Ogromne Wiktoryje⁶ w tureckich zawojach,
 Wieszając się, trąbiły, z temi zaś zuchwale
 Pacholeta marsowe w suremki swe małe
 Certowały, dumając⁷, z jakim Osman żalem
 Zjeżdżał z pola i co tu z okutym Moskałem
 Za igraszkę fortuna pod Warszawą miała,
 Kiedy czolgającego z bracią swą widziała
 Przed naszym Majestatem, a tam obranemu,
 Klęcząc twardo na ziemi, elektowi swemu
 Czolem bił Septemtryjon⁸.

W *Wojnie domowej*, pisanej stylem znacznie mniej napuszonym, opowiedział Twardowski dwanaście lat dziejów polskich (1648—1660), od nie-szczęśliwej bitwy korsuńskiej aż do pokoju w Oliwie, t. j. owe okropne czasy, kiedy ustawiczne wojny z Kozakami, z Moskwą, ze Szwedami, z Rakoczym ledwie o śmierć nie przyprawiły Rzeczypospolitej, — te same czasy, na których tle bujna fantazja Sienkiewicza stworzyła *Ogniem i mieczem* i *Potop*. Nigdy jeszcze przedtem literatura polska nie zdobyła się na utwór, w którymby się współczesne życie polskie (zwłaszcza obozowe) odbiło tak dokładnie, jak w tym najdłuższym poemacie Twardowskiego. Zresztą opowiadanie nie jest równomierne: tak np. obronie Częstochowy poświęca autor za- ledwie kilka wierszy, a «różne świątobliwe fatygi» rycerzy, oblężonych w Zbarażu, opisuje bardzo szczegółowo; wogóle najszczegółowiej i najżywiej

¹ aż, dopóki nie. ² kampani. ³ poklask. ⁴ obejście. ⁵ nard (spikanard), szkordjony — wonne rośliny.
⁶ przebrani za boginie zwycięstwa.
⁷ certować z kim, dumając = śpiewać z kim naprzemianny dymy. ⁸ naród północny, t. j. Moskwa.

opowiedział wojny kozackie (ponieważ sam w nich walczył). Panegiryzmu nie wyżył się i tutaj, obsypując pochwałami Jana Kazimierza, który «więcej uczynił», niż Herkules, i księcia Jeremiego, który «jakoby się był drugim Anibalem urodził». Naogół jednak panegiryzmu w *Wojnie* jest o wiele mniej, niż we *Władysławie IV*, i nie panegiryzm stanowi jej cechę wybitną, tylko zupełnie co innego. Oto autor, wzorując się na poemacie Lukana (o wojnie domowej pomiędzy Cezarem a Pompejuszem, która się skończyła klęską Pompejusza pod Farsalem w roku 48) raz w raz przerywa swą opowieść o wypadkach historycznych i wypowiada swe własne uczucia, uwagi i rozmyślania, — najczęściej bardzo niewesołe. Płacze więc nad ojczyzną, że ją wróg pustoszy, że Chmielnicki-krokodyl, «spólną Matkę nie inaczej, jako pies, podpadzły», «szarpie jej nietykane po Wisłę wnętrzności»; ale silniej jeszcze boleje, że jej rodzone dzieci nie kochają, skoro żalują pieniędzy na jej obronę; oto np. na sejmie r. 1648 «pieniądze jedni, — drudzy srebra i stoły swe ofiarowali, — przecież, kiedy do czego, wszyscy nic nie dali»; hańby pilawieckiej nie może Twardowski przeboleć, «bowiem tam zginęło — męstwo polskie wrodzone, które więc słynęło — przed inszemi narody za Herkulesowe gdzieś Kolumny»¹. Najczęściej jednak wyrzeka na pospolite ruszenie, na kłótnie i zbytki w obozie, na niedołęstwo zarządu wojskowego, na niewypłacanie żołdu żołnierzom i wogóle na brak ładu i karności w wojsku: «doma Aleksandry za stołem bijemy, — a na wojnę bez prochu i lontów idziemy»; «luboby Święty zstąpił z nieba,... i z gruntu ojczyzna wstała — i tuż, przed i za nimi, gorzeć zewsząd miała, — z obozu się nie ruszą, aż im wprzód zaplącą». A jest takich narzekañ tyle, że, razem wzięte, tworzą obszerną, drobiazgową satyrę na całe życie obozowe. Niedosyć na tem. Przy zdarzonej sposobności piętnuje Twardowski złotą wolność, mówiąc np., żeśmy «wolność tę nieszczęśliwą subtelniej strugali, przestrugali nakoniec»; nie zapomina także o napiętnowaniu *liberum veto* (choć nazwiska Sicińskiego nie wymienia). A wobec świadomości grzechów własnej ojczyzny, niejednokrotnie przestrzega rodaków, że to nie fatum jakieś, ale własne winy ściągają na Polskę nieszczęścia: «Na karanie z nieba — próżno już narzekamy, które w swej skrytości — lubo psuje, jako mól, nasze w nas wnętrzności, — przecież jednak nie wszystko na fata składajmy, — ale sami cokolwiek sobie też przyznajmy, — żeśmy męstwo wyzuli, że się bić nie chcemy!» Nie skarżmy na fata, — bo sami w nie wpadamy, gdy jedna prywata — wszystko w nas przemoże!» Tak więc *Wojna domowa* jest nie tylko obrazem dwunastoletnich wojen, ale i odzwierciedleniem patriotyzmu i zdrowego rozsądku autora.

Szturm do Zbaraża 1649. Dzień był Lipca tedy
Dziewiętnasty, Saturnów², pokażą się kiedy
Nad późnym już wieczorem do szturmów zrządzone
Nowe jakieś maszyny, które, wyrobione
Z tramów³ grubych, na walkach niskich się toczyły,
A ludźmi i armatą opatrzone były;
Przy nich spolem wysokie do wałów drabiny
I cepy, i osęki, i wszelaki iny
Aparament szturmowy. Więc, gdy się dziwiają

¹ Gibraltar. ² t. j. poniedziałek. ³ belka.

Żeby on ich ozdobił swoją akt osobą.
Idzie rad. Przy obiedzie nie bawi się niczem,
Tylko się przypatruje gestom godowniczym...
Potrzeźwiu milczą wszyscy; jako jednak w głowie
Wino mózgu zagrzeje, i wtem się ozowie
Muzyka: wnet do lepszej pobudzą się woli,
Wyprawiwszy co młodszych w tańce i kaproli¹,
Nu, w chęci i ofiary: ten przytem umiera,
On wzajem (gdzieby można) serce mu otwiera;
Już z sobą się kumają, już spólnie darują,
A rube² do dna czary za zdrowie gruntują.
Zdadzą się³ prorokowi one ich zaloty,
A coby za przyczyna takiej w nich ochoty,
Pyta się. Powiedzą mu, że wino sprawuje,
Kogo wdzięczną jagodą swoją zafarbuje.
Muszczowi⁴ tedy temu hojnie błogosławi,
Że tak ludzi jednoczy i z uciechą bawi.
Wszakże, jako pod wieczór lepiej się nachyla,
Ucieszą go dopiero nową krotofilą:
Gdy jeden, zawadziwszy drugiemu, tam trąci,
Wnet wszystkim po zastolu⁵ we łbie się zamąci.
Nu, wija⁶ do szarszunów!⁷ Pelno krwie i trwogi,
Że, nierząd zobaczywszy, i Mahomet w nogi!
Kiedy zaś po wczorajszym tracie⁸ i igrzysku
Przypatrzy się onemu rano poboisku, —
Ci nosy odbieżane zbierają i zęby,
Owi gardła haftują i przecięte gęby, —
Tedy tej komedyjej widzi gdy nie inną
Anse⁹ i okazyją, macice klnie winną,
Pierwej ją poświęciwszy, — że za jej powodem
Taka złość między ludzkim dzieje się narodem.
I odtąd wino w Turcech (gdzie inszy warunek
Byłby na ich swawola!) — za przeklęty trunek.

Najbardziej napuszony, lecz nie pozbawiony pięknych ustępów, jest poemat *Władysław IV*. «Króla powiem wielkiego w wojnie i pokoju, — pióra sarmackiego pociągnąwszy stroju — i Minerwie ojczystej. Precz baśni i owe — nadludzkie w Meończyku¹⁰ chwały Achillowe: — nie stare tu Micyeny, nie przysnione Troje, — ale słońce dzisiejsze tchną wnętrzości mojej!... O, zaprawdę, otwiera wielkie mi się morze — do chwał jego niezmiernych! Lecz, niż się zapuszczę — w tę to przepaść głęboką, żagiel nadół spuszczę — i lekkuczko od pierwszej popłynę młodości — aż do portu dzisiejszej jego dojrzałości». Wychowanie królewicza (które się odbywało przy pomocy Marsa, Bellony, Minerwy i Muz); stosunki i wojny z Moskwą (Maryna Mniszchówna, dwaj samozwańcy, oblężenie Smoleńska, bitwa pod Kłuszynem, obiór Władysława IV na cara i t. d.) aż do zawarcia rozejmu w Dywilinie (1618); wyprawy mołdawskie (przy sposobności — historia Mołdawji

¹ kaprol, kaprojol = skok. ² gruby, wielki. ³ udać się, podobać się.

⁴ moszcz, sok, wyciśnięty z jagód winnych. ⁵ zastole = miejsce za stołem.

⁶ dalejże. ⁷ szabla. ⁸ tret = treta, tertes, hałas, zamieszanie. ⁹ powód.

¹⁰ Homer.

od XIV wieku!) i wojny tureckie (Cecora i Chocim); podróż królewicza po Niemczech, Belgji i Włoszech; wojna z Gustawem Adolfem, zakończona rozejmem w Altmark (1629); śmierć i pogrzeb Zygmunta III; elekcja i koronacja Władysława; świetne poselstwo Ossolińskiego do papieża z wiadomością o wstąpieniu na tron nowego króla; wreszcie trzy wojny w pierwszych latach panowania Władysława IV: z Moskwą, Turkami i Szwedami — oto treść poematu, na który, krótko mówiąc, składa się, oprócz panegirycznego życiorysu Władysława IV, historia Polski od młodości Władysława aż do pokoju polanowskiego (1634) i rozejmu sztumdorfskiego (1635). A wszystko to opowiedziane bardzo szczegółowo, zwłaszcza bitwy i oblężenia miast, oraz rozmaite uroczystości i pompy dworskie, jak np. przedstawienie teatralne, dane we Florencji na cześć królewicza, audjencja i uczta u papieża, który przypuścił królewicza do ucałowania swych «nóg błogosławionych»; pogrzeb Zygmunta III, koronacja Władysława i t. d. Panegiryzm względem obu królów przechodzi wszelką miarę: na pogrzebie Zygmunta III «konie same, — żałośnie poryżając, nieraz w tych ciężarach — grube lzy z oczu upuszczały»; Władysław IV jest «więszy nad Aleksandra», «szczęśliwszy nad Augusta», «łaskawszy nad Trajana», «dobrotliwszy nad Tyta»; «owo, jako na jedną kiedyś się tam beli — nieśmiertelni bogowie Pandorę złożyli, — także jemu. co w sobie kosztownego miała — natura, przed inszymi razem wszystko dała». Ale jednocześnie bije z poematu miłość ojczyzny, duma narodowa i radość z odniesionych zwycięstw, zwłaszcza nad Moskwą, której autor serdecznie nie lubi, to też nie pomija żadnej sposobności, aby ją w jak najgorszym świetle przedstawić, zarzucając jej «przyrodzone obludy», opisując szczególnie jej okrutne znęcanie się nad więźniami polskimi i t. d. Nie cierpi i Szwedów, «morskich tych szewluchów, śmierzących śledziami». Wogóle, zdaniem Twardowskiego, wszystkie państwa i narody są «nierównie podlejsze» od Polski: przekonanie to było u nas powszechne w XVII w.

**Śmierć
Zółkiew-
skiego pod
Cecorą.**

Sam Zółkiewski, zginioną widząc rzecz na oko,
Jako zwierz, osaczony w puszczy gdzie głęboko,
Gdy z ostępów zrozumie, że już nie uciecze,
Na wszystkie się naraża żelaza i miecze,
Żeby nie żyć co pręcej: tak i ów przyśpiesza
Sobie fatum, gdy między pulki się zamiesza
I, gdzie gniew, gdzie potrzebę¹ samę widzi walną,
Oną czyni aż dotąd ręką triumfalną,
Póki z bronią pospołu i ta nie ucięta.
A na wiek swój nie pomnąc, tylko to pamięta,
Czem dobrego hetmana kiedyś zalecono,
Że stojąc ma umierać. Aż i postrzelono
Konia pod nim, na stronę kinąwszy którego,
Czeka śmierci. Dodawa żołnierz mu drugiego:
«Hej! Dzień już ostateczny, i w rękę poganie
«Mają obóz! Ubiegaj, ubiegaj, hetmanie!
«I nie dopuść, żeby ten odnieść miała w tobie
«Żal ojczyzna!» Na co ów: «Już ty radź o sobie
«I uchodź, gdzie rozumiesz: mnie, że tak zrządzioło
«Szczęście moje, umrzeć mi na tym placu mieło

¹ potrzeba = wojna, bitwa.

Nasi tym manijerom, owi je windują,
Czołgiem się podmykając pod same okopy
Niesłychanym uporem. A zaraz w te tropy
Stąd kozacki komonik¹, stąd uderzy w czoło
Horda srogim nawalem, że wszytek okolo
Świat zasłonią. Nawet już w pochyłonym zmierzchu,
Fala i deszcz gwałtowny, rzuciwszy się zwierzchu,
Twarz tę sprawi, jakoby samo się zmówiło
Niebo na nich. I znowu źle haniebnie było!

Znowu, radzić nie mogąc takiemu gwałtowi,
Wodzowie ryterować chcą się ku zamkowi,
Aż wtem z bronią dobytą Wiśniowiecki stanie:
«Hej! Kto z miejsca się ruszy, albo tu zostanie,
«Albo mię wprzód podepcę! Przebóg! nie dawajmy
«Pociechy tym hultajom, a tu umierajmy!»
Zaczem, gdzie gniew i śmiałe serce w nim rozpada,
Przebrawszy się, z Dymitrem z okopów wypada
Na kształt gromu jakiego albo błyskawice,
Której dostać nie mogą śmiertelne żrzenice.

Tamże zaraz, niż² owe przytoczone szturmym
(A niezmierne kolo nich nacisną się hurmy
Chłoptwa wyuzdanego) pod wałem rozpostrą, —
On, przypadszy w obłoku, zawinie się z ostrą
Po nich szablą i — jako grad niebieski, który,
Lodami się szczyreми urywając z góry,
Zboże ze pnia wyścina i potopem splawi
Pole wszytko — takową ruinę w nich sprawi.
A co większa, że, który zrazu deszcz przeskoda,
Tenże wnet pożądaną i wielką wygodą
Stał się naszym: bo kiedy nie mogą w tym kale
Chłopi szturmów ratować, porzuca je cale,
Które zaraz ciurowie, porywając głównie
I kagańce smolane, zapalą cudownie
Ze wszytkich podziwieniem. Skąd dopiero wstanie
Srozsza wrzawa, kiedy im w posielku poganie
Nietylko już z okrzykiem zwykłym przypadają,
Ale samiż z Kozaki spół się narażają,
Czerń przed sobą parując³; i, choć ich tak biją,
Że trup równo z wałami, przecię, zda się, żyją,
I że tego howadu⁴ nigdy nie ubywa.
Zaczem też i Podczaszy⁵ z Sieniawskim przybywa,
Pałaszami błyskając, i drudzy, swych rzeczy
Poprawiwszy, dopiero bieżą ku odsieczy,
Ale gdy już tę burzę lekko ustawając⁶
I książęcia potkają nazad powracając⁷
Z wielką sławą i duchem (jeszcze mu gniew z broni
I krew żywa pluszczała), — wrócą się i oni,

¹ komonik, komunik = hufiec konny. ² zanim. ³ odbijać, wypychać.
⁴ owad. ⁵ Mikołaj Ostroróg. ⁶ ustającą. ⁷ powracającego.

A co jego stanęło męstwo bez wątpienia,
Dank przyznają i tedy swego mu zbawienia.

**Sejm ro-
zerwany
(1652).**

. Jako kto budynek
Stawi wielki, wydając prospekty na rynek
Świetne jego, podniesie altany i banie,
Szczyty, ganki, kopuły, aż, kiedy nie stanie
Albo mu materyjej, w krótkim się momencie
Na sztuki i popioły drobne zruinuje:
Także i tu mało co więcej się zbuduje;
Bo wszytek czas na próżnych wymowach strawiwszy
I swarach, i prywatach, a nic nie sprawiwszy,
Kiedy było gotowe w senacie przed panem
Czytać konstytucyje i, kto wždy hetmanem,
Konkludować nakoniec, niżli dzień się schyli,
Przez sektarskie fakcyjne na tajemnej Scyli
Rozbita ta machina — tylkoż dla jednego
Posła głosu O! tak li — bez względu żadnego
Na to wszystko, cokolwiek zawierasz w swem łonie,
Zdrowia, fanty, ozdoby i zronione skronie
Wdzięcznym szronem i żywych, i umarłych oraz
Pociechy nieskończone — przepadać masz coraz,
Ojczyzno nieszczęśliwa, że, chcąc mieć inaczej,
Rzeczę kto: Nie pozwalam? Życzyłbym ci raczej
(Z żalu li to mówię) wielkich tych wolności
Niecico skrócić! Zaczembyś w swojej dojrzałości
Rady pędsze i głowę spokojniejszą miała,
Gdybyś ani niewoli zupełnej nie znała,
Ani całej swobody

87. Inny zupełnie charakter, niż poematy historyczne Twardowskiego, mają dwa jego utwory: sielanka dramatyczna (czyli komedja pasterska) i «romanja». Obydwa, podobnie jak *Banialuka* i *Psyche*, są owocem wpływu literatur romańskich na polską.

Już w XV wieku poeta włoski, Poliziano, napisał sielankę dramatyczną p. t. *Baśń o Orfeuszu*, ale dopiero w wieku XVI ten rodzaj poezji dojrzał i stał się bardzo popularnym, a to dzięki dwóm komedjom pasterskim: *Amintas* (1573) i *Wierny pasterz* (1590); autorem pierwszej jest Tasso, drugiej — Guarini. W wieku XVII w całej Europie zachodniej aż się roiło od takich komedyj, i w tem dopiero stuleciu zabiły one do Polski; *Amintasa* przetłumaczył Jędrzej Morsztyn, *Wiernego pasterza* — Jerzy Lubomirski (rokoszanie). Niektóre komedje pasterskie przerabiano na opery. Zasmakował w nich bardzo, bawiąc we Włoszech, Władysław IV, który też, wkrótce po wstąpieniu na tron, urządził na zamku warszawskim wielką salę tetralną, w której grywano opery włoskie. Był to w Polsce pierwszy stały (ale nie publiczny) teatr; pomiędzy innymi wystawiono tutaj dwukrotnie (w r. 1636 i 1638) operę *Dafnis*, nie wiedzieć dobrze przez kogo skomponowaną. Otóż Twardowskiemu tak się ta opera podobała, że, na podstawie jej libretta, napisał sielankę dramatyczną: *Dafnis w drzewo bobkowe przemieniła się* (1638).

Składa się ona z prologu, w którym «cztery Zefiry, wietrzyki południowe, witają Jutrzenkę», a Jutrzenka im odpowiada, z piętnastu scen i z epilogu, w którym «Hesperus, wieczorna gwiazda, wzywa gości do wczasu». Jeden to z najwdzięczniejszych utworów poezji staropolskiej, napisany w jakiejś szczęśliwej chwili poety. Akcja odbywa się w lesie, porośłym w modrzewie, jodły i dęby, «w ciemnym gdzie liściu gzęgzołki kukają». Mieszkają w tych lasach pasterze i pasterki; ich miłość przemawia nie bez prawdziwego wdzięku, językiem naogół prostym, nie tak wyszukany, jak w liryce Morsztyna, — zwłaszcza miłość Korydona i Filidy, która np. tak wymawia ukochanemu jego czarną niewdzięczność: «Nie był mój nigdy z twoim porównany — w kochaniu afekt, o zmienniku srogi! — Pomnisz? wiem, pomnisz, ledwie dzień wstał rany, — aż ja małdzyki¹ tobie i pierogi — i, co najśodszej zebrawszy śmiotany, w spore pod wieczór nalala trzynogi,² — o co gdy się więc matka kłopotala, — tom ja na czeladz, to kolki skladała».

Główną jednak treścią sielanki jest wzięta z *Metamorfoz* Owidjusza historia miłości Apollona ku uroczej Dafnidzie, towarzyszyce łowów Diany. Apollon, uwielbiany przez pasterzy za to, że zabił straszliwego smoka, który szerzył spustoszenie w całej okolicy, wzbija się w pychę i szydzi z Kupidyna, że, kiedy ten strzał swoich «na płeć miękką i ludzi lekkie używa», on, Apollon, zabił swą strzałą okrutnego potwora. Wenera, mszcząc się zniewagi syna, każe mu zranić Apollona strzałą miłości; Kupidyn spełnia rozkaz matki, i Apollon, rozkochany w Dafnidzie, goni ją przez las gęsty i już ma dogonić, kiedy Diana, na prośbę błagalną Dafnidy, zamienia ją w drzewo bobkowe (to jest laurowe). Zrozpaczony Apollon ślubuje, że odtąd z liści laurowych wić będzie wieńce dla zwycięzców. Uczucia Apollona, któremu zrazu Dafnis tylko się podobała, który jednak później, kiedy go zranił złoty pocisk Kupidyna, rozgorzał ku niej miłością, oraz uczucia Dafnidy, coraz trwożliwszej w miarę natarczywości Apollona, umiał Twardowski wyrazić i wdzięcznie, i subtelnie.

Za sceny VII. Za jeleniem się a tom zagoniła,

Dafnis.

Nieszkodliwym go postrzeliwszy grotom;

On zginął z oczu, a mnie noc zaćmiła.

Nieszczęsna, w głębiej³ — i w miejscu oto tem

Błądząc aż dotąd, pobiegałam siłą,

Między otwartą śmiercią a żywotem.

Nie baw⁴ mię, proszę! A na jaką drogę

Lub trop gdzie ludzki naprowadź niebogę!

Apollo
(w postaci
pasterza).

Rad cię, o panno, z tego tu wywiode

Na jasne słońce okropnego cieniu;

Jednak od ciebie niech mam tę nagrodę,

Że wždy o twojem dowiem się imieniu,

Bo, na wspaniałą patrząc twą urodę,

Snadź nie ludzkiemuś podobna stworzeniu:

Lubo to Diana, lub która bogini!

Co za przyczyna, żeś tu, w tej pustyni?..

¹ serek z mleka słodkiego.
szczy leśnym.

⁴ nie zatrzymuj.

² garnki o trzech nogach.

³ t. j. w gą-

A gdybyś z konia, panno moja, zsiadła,
I, członki ciężkie¹ złożywszy w tym cieniu,
Na miękkiej trawie trochę się układła
I co ulżyła mdłemu przyrodzeniu,
Żeby ta piękność, którą noc ukradła²,
Do siebie przyszła po słodkiem uśnieniu?
Oto cię drobne ptaszęta wzywają,
Strumienie szemrzą, wietrzyki dmuchają...

Widzisz i sama, jako w tym niewczynie
I ty, i koń twój mdleje zmordowany;
Przeto mu pozwól, że się kęs popasie:
Jest tu pastewnik, kosą nie tykany,
Jest i źródło zimne. A ja w krótkim czasie
Pokażę pole i świat pożądany;
Teraz rękoma nie broń życzliwymi
I ustom z usty zdjąć się cukrowymi.

Dafnis. Niestety, zwierza chronię się dzikiego,
Lada mię szelest jaszczurowy trwoży,
Chronię hodyńca³ nieuśmierzonego,
Któregoś uszła z Opatrzności bożej, —
A nie ustrzegłam oka się ludzkiego,
Które mię, które zaraziło srożej
Nad bazyliżką, a to w pustej cieni:
Cóż w otworzonej światowej przestrzeni?

A że już wolę nawet żyć z zwierzętą
I w te głębokie wmieszkać się odnogi,⁴
Aniż, się żądzej dawszy w moc przeklętej,
Miałam, o wstydzie, naruszyć cię, drogi,
I, raz Diannie oddawszy się świętej,
Przestąpić twoje nietykane progi;
Wždy, za zdarzeniem życzliwego słońca,
Dojadę kiedyś tych przepaści końca.

Zo sceny X. Dotąd przyjsz jeszcze nie mogę do siebie,
Apollo. Jakom tak wdzięczne utracił widzenie:
Ledwie tak wznidzie Jutrzenka na niebie,
Że pochmurzony Oryjon⁵ ją zżenie⁶.
Ja, który widzę w nagłębszym Erebie⁷,
Który wszelakie oświecam stworzenie,
Lasem okryte i pustynią ciemną, —
Dafnis się jedna utai przede mną?

¹ zmęczone. ² Przez całą noc Dafnis gonila jelenia. ³ odyńca. ⁴ gą-
szcze leśne. ⁵ Orjon — myśliwy z Beocji, ukochany przez Jutrzenkę (Eos);
gwiazda na niebie północnem. ⁶ spędzi. ⁷ Erebe — świat podziemny.

Pójdę jej szukać, by¹ mi w Kaledony²
Przepadła same i hercyńskie gaje³,
Skalistą Atho⁴ i ostre Edony⁵,
Wieczna gdzie zima, wieczny śnieg nie taje,
Pójdę, nie swemi wiatrami niesiony,
Póki mi ducha, póki głosu staje.
A ty, świadoma mego niepokoja,
Nie opuszczaj mię, cytro wdzięczna moja...

Gdzieś jest, o Dafni?...

Ozwi się, ozwi, o! twardsza kamienia!⁶
Głosli mój sięga, ty słyszysz gdzie o tem?
A z tej przepaści i głuchego cienia
Rzucę wdzięcznym okiem, błysni włosiem złotym!...

Owoż i moja kochanka szukana!
Na miękkim darnie sama się złożyła,
Żeby, niewczasem przykrym zmordowana,
Ciężkim podobno członkom co ulżyła...

Co czynisz, serce, że się nie wydzierasz
I zbiega swego nie poimasz śmieje?
Toć to jest Dafnis, dla której umierasz
I trawisz nocy niespanych tak wiele!...

Cóż, gdy lituję i żal mi, żal srodze,
W pół tak ucieznej przebudzić jej chwile,
Po przeszłym zwłaszcza niewczasie i trwodze;
Widząc, jako sen oblał ją mile,
Dam jej, dam pokój, strudzonej niebodze,
Że ku czerstwości przyjdzie swej i sile,
Ono⁷, choć drzemie, choć zawarła oczy,
Jako żrzenice niespokojne toczy!...

Ale, zda mi się, podnosi już głowy
I ciężkie ze snu powieki przeciera,
Jako przyjemny wschód lucyferowy,
Tak jasne swoje kryształy otwiera,
Już się porywa, już i bursztynowy
Włos po ramionach w złoty czepek zbiera.
Śmieje, Apollinie! nie odkładaj więcej,
A z tego cieniu ukaż się co pręcej!

Dafnis. Co to jest przebóg? Co za nagła trwoga?
Ktoś się tu na mię skrada w tym szelesie!
Ach, koń się ulekl, pierzchnął koń dla Boga,
Wodze pozbywszy, gdzie go oko niesie.

¹ choćby. ² Kaledony — okolice miasta Kalidon w Etolji. ³ las hercyński — pasmo górskie na północ od Dunaju. ⁴ góra w Macedonji. ⁵ okolice góry Edon w Tracji ⁶ niż kamień. ⁷ oto, przecie.

Stój, stój! O czegoż czekam już, nieboga,
W tym nieskończonym opuszczona lesie?
Ktoś jest¹, zmiluj się, a zabij z litości!
Inaczej swojej nie zbędę ciężkości...

Apollo Ach! jako ginę i, która tak piecze,
(kiedy Dafnis uciekla). Upadam marnie z rozszrozałej rany!
Cóż? Tedy ujdzie, tedy mi uciecze,
A ja zostaną tu nieratowany?
O, pójdę za nią przez ognie, przez miecze,
Sam², gdzie Kaukazus dziki nie mieszkany.
Niech ją pod ziemię skryje Prozerpina,
Nie zniknie Dafnis nigdy Apollina!

88. W tej komedji pasterskiej Kupidyn triumfuje i śpiewa hymn, w którym wynosi pod niebiosą swoją potęgę, urągając i mędrcom, i kaznodziom, i pustelnikom, i zakonnikom, i rodzicom: «Nie gniewajcie mię, mędrkowie, ja radzę, — ani w głębokie ufajcie swe dumy, — bo urażony, jako się usadzę, — tak wszystkie wasze pomieszam rozумы — i w labirynty takie zaprowadzę, — wieczna gdzie przepaść i niezbyte szумы. — Co mi dyskursy wasze i bystrości, — jeśli to z wodzem dzieje się mądrości? — Ani wy ze mną ujeżdżajcie granic, — co, po wzgardzonym w rzeczy³ depcąc świecie, — z beśpiecznych swoich katedr i kazalnicy — na mię przed gminem tak następujecie. — Gorącość wasza wszystko u mnie za nic, — i, jeśli z sobą się porachujecie, — wiem, latorośli że dobre szczepicie, — ale owoce sami złe rodzicie. — Ani co, w pustym zamieszkani cieniu, — wszytek trawicie wiek w bogomyślności, — ani co, w twardej chowani zamknięciu, — w zakonnej zwierzchniej⁴ żyjecie ostrości — i, gwałt miękkiemu czyniąc przyrodzeniu, — każecie hardzie w swe doskonałości⁵. — Bywam ja, bywam i w grubej kapicy — i puszkii miewam swe we włosiennicy... Niechajby ociec podzierzgnał się w smoka, — coby strzegł we dnie dziewczki swej jedynej; — niech matka w sowę, żeby gdzie zwysoka — hukala w nocy na sąsiednie syny; — niech jej oboje ani spuszcza z oka: — znajdę ja, znajdę sposób na to iny, — że spapużeje i sowa, i smoku⁶ — jagód tokajskich czara uspię soku».

Piszząc ten hymn na cześć potęgi miłości, Twardowski był jeszcze młody; na starość, poczytując miłość za interes bardzo niebezpieczny, nietylko potępił Kupidyna, ale nawet skazał go na sromotną śmierć — w «romanji *Nadobna Pasqualina, z hiszpańskiego świeżo w polski przemieniona ubiór* (1655).

Powieść składa się z trzech «punktów». Rzecz dzieje się w Portugalji, za czasów Filipa II. Wenera, wypędzona z Cypru przez sułtana tureckiego Selima, przeniosła się do Lizbony i zamieszkała we wspaniałym pałacu alabastrowym; naprzeciwko wznosił się pałac panny Paskwaliny, która się także, odbywszy kilkoletnią próbę zakonną w klasztorze Westy w Padwie, przeniosła do Lizbony, gdzie swoją «dziwnie niesłychaną gładkością» czarowała wszystkich młodych; dumna z tego powodzenia, ze składanych so-

¹ ktokolwiek jesteś. ² tam. ³ niby. ⁴ podlegający zwierzchności.
⁵ zachwalacie na kazaniach życie zakonne, jako doskonałe. ⁶ biernik od smok.

bie hołdów i pochlebstw, zapomniała o życiu klasztorzem i uwierzyła, że jest piękniejsza nietylko od Heleny i Meluzyny, ale i od Wenery, co więcej, «nie już się stworzeniem ziemskim mieć poczęła». Napróżno przestrzega ją stara piastunka Stella, żeby się nie wzbijała w pychę, napróżno przypomina jej, że Wenera teraz dopiero wyrze na niej tę zemstę, którą, jeszcze przed jej urodzeniem zaprzysięgła jej matce, kiedy ta, czytając raz *Iljadę*, osmieliła się powiedzieć, że Parys głupio zrobił, oddając jabłko Wenerze, a nie Minerwie. Ale Paskwalina jest głucha na wszystkie przestrogi. Tymczasem Wenera przystępuje do dzieła: rozkazuje Kupidynowi, żeby zranił serce Paskwaliny strzałą miłości ku «młodemu, grzecznemu, swobodnemu» Oliwerowi, pochodzącemu «z wielkiej familijej». Strzelił Kupidyn, i zakochała się Paskwalina tak gorąco, że pierwsza wyznaje w płomiennym liście swój afekt Oliwerowi. Lecz Oliwer kocha swą narzeczoną Kornelję, więc, nie bez wahania zresztą, daje Paskwalinie kosza, także listownie; «który to Paskwalina respons gdy przeczyta, — omdleje bez pamięci... Ledwie aż ją upamiętały — służebne białogłowy i odlały¹ różno — likworami drogiemi». Niedosyć na tem: list Paskwaliny dał Oliwer Kornelji, ta zaś «roztrzęsie po mieście — wszystkim zaraz, co każdej wrodzona niewieście, — że nic taić nie może i jedna przed drugą, — coś mając z świegotliwą spółnego papugą; — choćby nawet sygnetem usta swej Junonie — Jowisz zapieczętował, ona to wyzionie». Zrozpaczona i upokorzona Paskwalina długo buntuje się przeciwko swemu losowi, aż wreszcie, za namową Stelli przebrawszy się za chłopkę, opuszcza w nocy Lizbonę i nad ranem przybywa do klasztoru Minerwy. Tu pobożna ksieni Felicja zachęca ją do pokuty, radzi, żeby się udała do klasztoru Junony i wpaja w nią wiarę, że ona to, Paskwalina, jest powołana przez bogów do spełnienia tak wielkiego dzieła, jakiego «nie dopiął» jeszcze «nikt z śmiertelnych», «czem zasłyniesz więcej — niż z gładości daleko i wielu tysięcy — wojska przerażonego»; błogosławi ją ksieni i, zdjawszy z własnej szyi kamień, «znak Minerwy bogini» (t. j. medalik poświęcony), daje go Paskwalinie, żeby go zawsze nosiła na piersiach «przeciw wszystkim napaściom». Poczem wraca pokutnica do Lizbony. To «punkt» pierwszy.

W drugim Paskwalina, «jak skoro ku nowiu pochylił się złoty — nisko Febus», «ostrą włoży włosienicę, — płaszcz sukienny i grubą na twarz bawelnicę, — tkanę prostą na głowę», i rusza w drogę do klasztoru Junony; po drodze uczyniła ślub, że w klasztorze «urźnie» sobie «szczerzo bursztynową i obfitą kosę» i że ją tam zawiesi «między kosztownymi śluby». Wędrówka trwa długo. Pierwszy nocleg spędza w chacie ubogiego rybaka; potem goszczą ją u siebie, w koszarach, ubodzy pasterze; w dalszej drodze, w lesie, spotyka urodziwego młodzieńca, którym jest, jak się okazuje, Apollon: ten zaprasza ją do swego «mieszkania pod lipą ozdobną», pokazuje jej wszystkie swoje sprzęty, a pomiędzy innemi stolik, na którym leżało «kilka w kosztownej oprawie ksiąg niebieskich», opowiada jej szczegółowo o swoich różnych przygodach i o miłości ku Dafnidzie, poczem umacnia ją w wierze, że «wywyższy bardzo wysoko» swoje imię. Przenocowawszy w pokoju siostry Apollona Diany wędruje Paskwalina dalej i spotyka Dianę, która okazuje się jeszcze wymowniejszą od swego brata: długo i szeroko opowiada Paskwalinie o swoim ślubie czystości, o rządach Boga na ziemi, o fortunie,

¹ ocucily.

o miłości, jako grzechu i źródle nieszczęścia. Przenocowawszy u Diany, Paskwalina, jeszcze mocniej utwierdzona przez nią w wierze, że, jeśli posłucha rady Felicji, to dokaże sztuki, «jakiej żaden» przed nią «z żyjących tu ludzi», wędruje dalej.

W «punkcie» trzecim autor porzuca na chwilę Paskwalinę i wraca do Lizbony: Wenera, pozbywszy się «przeciwnej emulki»¹, «tem bezpieczniej — panowanie swoje w tem mieście utwierdziła»; ale tęskni do swego dawnego kochanka Marsa, który bawił wówczas w Ameryce, pomagając Portugalczykom do mordowania tubylców: więc rozkazuje Kupidynowi lecieć po Marsa do Ameryki; przylatuje Kupidyn, ale Mars odprawia go z kwitkiem i z wściekłością. Wraca tedy biedne dziecko do Portugalji, tak zmęczone drogą, że się na pięknej łące «rozepało jakoby zarżnione». Zdarzyło się, że się wtedy właśnie w rzece, przepływającej przez tę łąkę, kąpała Paskwalina (zwlókszy poprzednio z siebie grubą suknię i «kamień zdjawszy z szyje, dany od Felicji»). Nagle, z wody, ujrzała coś jasnego na trawie: wyskakuje z rzeki, przybiega, oczom swoim nie wierzy: chrapiący Kupidyn! Po krótkim namyśle porywa jego «armatę», to jest łuk i strzały, i łamie w drobne wióry; poczem, upojona radością, nago legła na murawie i zasnęła tak twardo, że Kupidyn zdążył się obudzić, polecieć do Lizbony, usłyszeć burę od zropaczzonej utratą armaty matki, wrócić na łąkę i związać Paskwalinę «pasem mocnym, nierozzerwanym». Budzi się Paskwalina — ani rusz. Na szczęście usłyszał jej lamenty jakiś poczciwy Satyr i «potarga ciągoty² niesłychaną mocą». Pobięła Paskwalina nad rzekę, przywdziała swoje czekające na nią spokojnie manatki, na szyję wzięła ów kamień, «z którego utraty wszystko to ucierpiała», poczem, nakarmiona przez Satyra i pokrzepiona na duszy jego zapewnieniem, że teraz, kiedy zniszczyła «armatę» Kupidyna, nastanie na ziemi wiek złoty, powędrowała dalej i dojechała nakoniec do kościoła Junony. Tutaj wysłuchiwała wielu nauk zbawiennych od ksieni Belizy, wypowiedała się przed nią, przysięgła, że «się wyrzeka całe już światowej marności i obłudy», za pokutę, nie bez wielkiego żalu, obcięła sobie warkocz, poczem powraca do Lizbony, gdzie z pałacu swego «prezentuje» przez okno «wszytkiemu zgarnionemu miastu» połamaną «armatę» Kupidyna. Co widząc, Kupidyn powiesił się z rozpacz, Wenera wyprowadziła się z Lizbony, a Paskwalina zamieniła swój wspaniały pałac na kościół i klasztor, «grono Westy bogini dziewic zgromadziła — i, zamknawszy spół. się im ksienią poświęciła, — czem więcej już daleko, niż słynąc z gładkości, — w wielkiej sławie dożyła i świętobliwości, — zostawiwszy paniąkom przykład znaczny w sobie, — żeby nie w tej powierzchnej, ale się ozdobie — swojej inszej kochały, miękkie fatygując — pracą członki i nigdy zgoła nie próżnując... Nadewszystko oczyma szafować umiały, — gdyż tam welnie³ napierwej Kupidynek mały;... — więc, kiedy go po puszках pieszczonych poznają — i pożrzeniu zuchwałem, niech mu nie ufają, — ale wskok do cylicy i innych ostrości...»⁴

«Z hiszpańskiego w polski przemienioną ubiór» nazwał swoją «romanję» Twardowski. Jakoż w pewnych szczegółach przypomina *Nadobna Paskwalina* jedną powieść hiszpańską XVI wieku, mianowicie słynną *Dianę Montemayora*, którą Twardowski mógł czytać w przekładzie łacińskim albo

¹ emulka (aemula) = współzawodniczka. ² pasy. ³ welgnie, wkradnie się.

⁴ niech natychmiast, przyodziawszy cylicję (włosienice) idą do klasztoru.

włoskim; przez inne szczegóły *Nadobna Paskwalina* przypomina powieść Apulejusza, oraz różne utwory poezji rzymskiej (zwłaszcza Owidjusza). Według wszelkiego jednakże prawdopodobieństwa «romanja» Twardowskiego jest nie samodzielnem połączeniem w jedną całość różnych zapożyczonych pomysłów, tylko przeróbką jednej tylko powieści, zapewne włoskiej, przeobrażonej z hiszpańskiego; co to za powieść, dotychczas wiadomo.

Lecc samodzielna, czy niesamodzielna, jest «romanja» Twardowskiego przez swoją przewodnią ideję, którą jest potępienie miłości (i to nietylko występnej, ale i godziwej), utworem niezmiernie znamionym dla literatury tych czasów, w których powstała. Były to czasy okropne: po wojnach kozackich przyszła wojna moskiewska i szwedzka; naród uwierzył, że się nad Polską rozpętała kara boża za grzechy: stąd księża nawoływali do pokuty, czystości obyczajów i ascezy klasztornej; Twardowski nie był wprawdzie księdzem, ale i on do niej nawoływał, mianowicie kobiety — właśnie w *Nadobnej Paskwalinie*: jest ona owocem tego przygnębienia, jakie przyniosły z sobą nieszczęścia narodowe, i jego skutków: wzrostu pobożności i ducha ascezy klasztornej, która uchodziła za najwyższy szczebel służby bożej i, co zatem idzie, za najskuteczniejszy środek do przebłagania gniewu bożego.

Niedosyć na tem. Powieść Twardowskiego jest utworem bardzo znamionym dla smaku literackiego owej epoki, która, choć duchem chrześcijańska, wymagała od poezji «przysad» pogańskich. Otóż mało który utwór poezji XVII w. jest tak dziwną mieszaniną pierwiastków chrześcijańskich i pogańskich: Wenera z Kupidydem psoci sobie spokojnie, w wieku XVI po Chrystusie, w katolickiej Portugalji; Junona i Minerwa mają klasztory; Apollon czyta «księgi niebieskie» i t. d. Wszystko to oczywiście tylko maska, kryjąca nietylko ducha chrześcijańskiego, ale czasem nawet pojęcia i dogmaty chrześcijańskie; tak np., kiedy Apollon mówi, że «z natury swojej — bogiem jest urodzony, lecz teraz obojej — z śmiertelną uczestnikiem», to czytelnikowi przychodzi na myśl Chrystus-Bóg i człowiek; przygody, których doświadcza Paskwalina w swojej wędrówce, piękne łąki i dzikie lasy, przez które wędruje, to nic innego, tylko alegorja różnych wabików i trudności na drodze do ideału służby bożej.

Jako utwór literacki, grzeszy *Nadobna Paskwalina* wszystkimi wogóle wadami stylu barokowego; ale posiada też niektóre jego zalety, a przede wszystkim malowniczość; na szczególną uwagę zasługują nadto ustępy, z których się czytelnik dowiaduje, co Paskwalina czuła i myślała: jest to już coś nakszttał analizy psychologicznej.

Uroda Wszystkich zgodą
Paskwaliny. Śmiertelne celowała stworzenia urodą,
 Tak że członka nie było w ciele jej żadnego
 Bez kochania i wdzięku swego osobnego.
 A wprzód, włos po ramionach płonął burztynowy,
 Który, kiedy dosięgło słońce więc jej głowy,
 Zajmował się płomieniem przez ciche pioruny
 Niecąc reperkusyje¹ i żarliwe² luny
 Po kosztownych pokojach. Smukowniejsze³ czoło
 Nad alabastr gładzony, wydane⁴ wesolo,

¹ odbłaski. ² płomieniste. ³ gładsze. ⁴ wysunięte, wypukłe.

Brwi puszyły, niebieskim równając się łukom,
Od słońca odrażonym, oczy — dwiema krukom,
Wielkie i otworzone, przez obroty żywe
Łaski oraz i żądla strzelały szkodliwe...
Nos, w miarę pociągniony, jagody różane
Śliczną dzielił ideą¹, które, pomieszane
Napół ze krwią i mlekiem, tem wdzięczności w sobie
Miały więcej, kiedy wstyd przyrumienił obie.
Usta krwawsze nad koral słodko się spoily,
Czemby do smakowania sposobniejsze były.

Paskwalina
waha się,
czy pisać list
do Oliwera.

. Tylkoż jej przed oczyma stoi
Urodziwy Oliwer. O! czego nie roi
Sobie o nim! o! jakich imprez² nie buduje,
Żeby naprzód (w czem trudność wielką upatruje)
Zhydzić mu Korneliją, a skłonić ku sobie,
(Ponieważ go pospołu mieć nie mogły obie),
Do czego ma jako przyjsć, jeśli się wkorzenił
W serce jej tak głęboko? i, żeby odmienił,
Kto jej za to zaręczy? a ona go próżno
Kochać będzie? I inne nieskończone różno
Myśli ją porywają. Już to raz koniecznie
Postanowi u siebie, żeby mu bezpiecznie
Przyjaźń swoją otworzyć i zajęty wydać
W sobie ogień, raz znowu musi się tej wstydać
Rady swojej źle zdrowej: bo cóżby inszego,
Jedno sławę, nad którą nic kosztowniejszego,
Przez to stracić? Chce — nie chce — i pragnie — i nie wie,
Co ma czynić, — jako więc w starożytnem drzewie,
Gdy zewsząd je podetną siekierami chłopci
A jeden już ostatnią plagę³ w niej utopi,
Długo sobą kołysze, na którą się stronę
Ma obalić, — że zatem w rozmowę się onę
Wda z Medeą⁴: «Hej! wyrzuć z serca te płomienie,
Dziewko biedna, możeszli!» «Gdyby mi baczenie
Wodzem było, mogłabym; ale jakiś nowy
Gwałt mię ze wnętrz porywa, czego trudno słowy
Mam wymówić! Rozum mi radzi co inszego,
A inszego Kupido; widzę, co lepszego,
I, co źle, rozeznawam, a przecież, gdzie gorzej,
Tam iść muszę». — Nakoniec, jako tych natworzy
Konceptów i fantazyj, zwycięży ją owa,
Że list pisze do niego...

Sen Kupi-
dyna.

Położywszy na trawie skronie mlekoliczne,
Zaśnie twardo nadzwyczaj. Zapalą się śliczne
Różańcem mu jagody, tocząc pot perłowy;

¹ linja. ² pomysł, zamiar. ³ cios. ⁴ podobnie jak Medea, kiedy wal-
czyła ze swą miłością ku Jazonowi.

Oczy słodko błyskały, raz z niebieskiej głowy
Na wierzch się dobywając, raz mrużąc obłoki ¹,
Do wpeł nieprzywierane. Z piersi duch głęboki
Ognie żywe wyziewał, skąd wszystkie dokola
Gotowym się płomieniem zajmowały ziola.
Drzewa same pałały, z sobą się zżarzając
Jednostajnym pożarem, i, po nich latając,
Bażanci, feniksowie powietrze ogniste
Skrzydły siekli złotemi. Nory aż bagniste
I błota wysychały, i ziemia w swem lonie
Czuła ogień, piastując ciężkie jego skronie.
Dodawała tego snu wdzięcznym swem szmranie
Rzeka sama i zboku chłodnym powiewaniem
Łagodnych Fawonijów ², poruszając drobne
Ptaszęta do śpiewania. I inne osobne
Lalo niebo przysmaki, czem więcej zmarzone
Dziecko się rozespalo, jakoby zarżnione.

**Śmierć
Kupidyna.**

. Za miasto poleci,
A tam, z desperacyjej, kształtem głupich dzieci,
Upatrzawszy z między drzew piękniejszych szeregu
Mirt, stojący przy rzeczonym złotonurym brzegu,
Na onym się obiesi. Chróśnie przeszyniona ³
Gałąź pod nim. Skąd drogą sznurą ⁴ zaciągniona
(Jako dżdżem kryształowym różdże swej makówka
Ciężka bywa) zwiśnie złotowłosa główka,
Wiatrom dawszy kędziory. Karczek z mlekolicznej
Spadnie szyje nadół, wzrok pomrużywszy śliczny,
Skrzydzelka go opuszczą, róże wszystkie zmieni
I z ustek koralowych ślinę srebrną wspani,
Dziecinnemi pracując śmiertelnie piersiami,
A raz niespokojnemi tylkoż drgnie nóżkami.

89. Wojny kozackie, które szczegółowo opisał Twardowski w poemacie *Wojna domowa*, odbiły się także głośnie echem w sielankach **Józefa Bartłomieja Zimorowicza** (1597—1673), mieszczanina lwowskiego, starszego brata autora *Roxolanek*. Był to człowiek bardzo zacny i ogromnie energiczny; własną pracą dorobił się dość znacznego majątku, a własną zasługą osiągnął w swoim ukochanem mieście rodzinnem szacunek powszechny i godność burmistrza, na którym to stanowisku przyczynił się do uratowania miasta obleganego przez Turków w r. 1672. Różnorodne przeciwności i nieszczęścia (śmierć czworga dzieci, trzykrotne wdowieństwo, napady Kozaków na Lwów i in.) nie osłabiły hartu jego duszy: pracował w pocie czoła i kształcił się do śmierci, bo chociaż ukończył tylko szkołę średnią, ale wiedzy i nauki był chciwy. Od młodości miał żyłkę do pisania wierszy: układał więc fraszki, wiersze miłosne, drobne poemaciki epickie, napisał ów *Testament luterski*, rubaszny, a niedowcipny paszkwil na Lutra, którego, jako fanatyczny ka-

¹ powieki. ² Favonius — wiatr zachodni.

³ nieprzeięta.

⁴ sznur.

tolik, serdecznie, nienawidził, tworzył piękne hymny religijne, a na starość zabrał się do pisania historii Lwowa (po łacinie).

Lecz najcenniejszym jego utworem są *Sielanki nowe ruskie, różnym stanom dla zabawy teraz świeżo wydane*; pisał je Zimorowicz w różnych czasach, a wydał dopiero w ostatnich latach panowania Jana Kazimierza (1663); jest ich siedemnaście. Oprócz poetów starożytnych, zwłaszcza Wirgiljusza, naśladował w nich poeta Szymonowicza, do czego się sam przyznaje, mówiąc, że szedł «Symonidowym niedostępnym śladem, — bywszy jego i ziomkiem, i bliskim sąsiadem», i dodając z całą skromnością, że mistrzowi nie dorównał. Powiedział szczerą prawdę: nie miał ani tak wielkiego talentu, ani tak subtelnego poczucia piękna, ani tak wielkiej umiejętności pracy artystycznej, jak Szymonowicz. Nie brak wprawdzie w *Sielankach ruskich* pięknych ustępów, i to nie tylko lirycznych, ale i epickich; są i wcale piękne opisy natury, bardziej szczegółowe, niż u Szymonowicza i innych współczesnych poetów: ale pięknej całości niema ani jednej. Styl jest, naogół biorąc, prosty, naturalny, a przez to bardzo miły, ale tu i owdzie przyplącze się wyrażenie zbyt sztuczne albo niesmaczne, np. «Jeszcze czujna jutrzienka po nocnej kąpeli — wczasowała spotniałe członki na pościeli, — zaledwie co na ziemię upragnioną rosy — wycisnęła rękoma z utrefionej kosy», to znaczy, że słońce jeszcze nie wzeszło; «w grudniu obłoki, zimnej rosy pełne, — na ziemię wyrzucają kędzierzawą wełnę», to znaczy, że śnieg pada; «Już to ośmnasty odwrót na swym zodyjaku — koła słoneczne wstecznym uczyniły Raku», to znaczy, przed osiemnastu laty. Wyrażenia takie tłumaczą się powszechną zarazą wieku, to jest ujemnymi cechami stylu barokowego; na szczęście jednak zaraza ta, od której i młodszy Zimorowicz nie był całkiem wolny, bardzo lekko dotknęła także i starszego. Więcej jest wyrażeń niesmacznych, a tłumaczą się one tem, że Zimorowicz, naśladowując *Żeńców* Szymonowicza, troszczył się świadomie w niektórych sielankach, żeby pasterze mówili s w o i m językiem. «Nie damy sobie urwać rękawów» (to jest: nie potrzeba mnie ciągnąć, nie dam się dwa razy prostić), mówi w sielance *Trużenicy* Leszek, kiedy go Miłosz zaprosił «na sztukę chleba», obiecując nadto, że «będą ruskie pierogi, będzie i wędzonka, — i co jeszcze trzeciego zgotowała żonka»: te rękawy to wyrażenie udatne i nikogo chyba nie razi. Ale mniej już udatnie Demjan mówi do Panasa w sielance *Kobeźnicy*: «Przyjmij też w ucho trochę mojego posładu» (t. j. posłuchaj i moich skromnych słów). A już niejednego będzie raził w poezji taki np. opis śmierci w sielance *Roczyzna*: «Już, hej niestetyż, one oświecone oczy — smrodliwa rosa bez przestanku toczy; — już czoło okazałe i udatną szyję — plugawy robak bez przestanku ryje... Ehej niestetyż, twoje lube oczy — i także pyskiem brzydkim czerw rozłoczy».

Ruskiemi nazwał swe sielanki Zimorowicz dlatego, że występują w nich pasterze z Rusi Czerwonej, mianowicie z okolic Lwowa, którzy rozmawiają z sobą (posługując się czasem wyrazami ruskiemi) o swoich uczuciach i upodobaniach, zajęciach i przygodach, śpiewają pieśni i t. d. — wszystko, jak w sielankach Szymonowicza. Po większej części jednak są to sielanki konwencjonalne: pasterze rozmawiają np. o Kupidyńie i Hymeneuszu, o Wernerze i Adonisie, słowem, o tem, o czem pasterze pojęcia nie mają; ale bo też pod tymi pasterzami kryją się dobrzy znajomi Zimorowicza, wykształceni mieszczańscy lwowscy, a niejednokrotnie on sam występuje jako pasterz i przez jego usta, znowu podobnie jak Szymonowicz, wypowiada swoje

własne uczucia: czy to smutek po śmierci przedwcześnie zgasłego brata-poety, czy ból na myśl o utracie czworga dzieci, czy uczucia religijne, czy przywiązanie do Lwowa i jego okolic i t. d. W tych wszystkich wylewach uczuciowych jest Zimorowicz nie głębokim wprawdzie i nie kunsztownym, ale szczerym i serdecznym lirykiem. Najlepszą sielanką konwencjonalną są *Trużenicy*. Schodzą się trzej pasterze: Miłosz, Leszno i Samujło; Miłosz (sam poeta) wyrzeka gorzko, że stracił czworo ukochanych dzieci; poddaje się jednak z pokorą niezbadanym wyrokom Opatrzności, pocieszając się myślą, że jego dzieci mieszkają w niebie, «kędy dzień ani wiosna wieczna nie ustaje, — gdzie z barankiem niewinnym nasze niewinnięta — odprawują wesoło nieskończone święta; — że tedy dzieci nasze tę otchłań przebrnęły, — że u portu fortunnej krainy stanęły,... — nie lepiejże za nimi do wieczności śpieszyć, — niżeli tu na krótki z nimi się czas cieszyć?» W dalszym ciągu rozmowa schodzi na Lwów i jego okolice, które Miłosz opisuje z niekłamanym uczuciem przywiązania do swego gniazda; na górze pod miastem zamierza on, za radą i przy pomocy przyjaciół, zbudować kościółek na pamiątkę dzieci. Poczem rozmowa się zmienia: Leszko i Samujło proszą Miłosza, by im co zaśpiewał; ten obiecuje, ale odkłada to na jutro, a tymczasem opowiada im, za przykładem Szymonowicza, o początkach swojej twórczości poetyckiej.

Na samo czoło sielanek Zimorowicza wysuwają się dwie, osnute na tle historycznym: *Kozaczyzna* i *Burda ruska*, a stanowiące jakby jedną całość, obydwie bowiem są odzwierciedleniem tych okropnych wspomnień, jakie w pamięci mieszczan lwowskich pozostawił po sobie napad Kozaków w r. 1648, w czasie bezkrólewia po śmierci Władysława IV. Dorosz, Ostafi i Wojdyłło opowiadają sobie o szturmie dziczy kozackiej do cerkwi św. Jura, o bohaterskiej obronie Lwowa, o spustoszeniu miasta i okolic; opowiadanie to żywe, proste, bez owych «poetyckich przysad» Twardowskiego, a przez swój realizm nietylko przejmujące, ale wręcz wstrząsające. Rozumie się, że pasterze nie szczędzą Kozakom gniewu i obelg, co jednak nie przeszkadza, że jeden z nich (przez którego usta przemawia z pewnością sam poeta) z chwalebłą bezstronnością przyznaje, że wojny kozackie wywołali sami Polacy swą niesprawiedliwością względem chłopów ukraińskich. Obydwie sielanki są najlepszym dowodem, że Zimorowicz był jeszcze lepszym epikiem, niż lirykiem.

Z sielanki „Kozaczyzna“. *Wojdyłło*. Jako przyszłą nawałność żeglarzom na morzu Gwiazdy opowiadają, tak na Zaporozu Burdę kozacką, gdy się zaczynała właśnie, Wiele praktyk¹ domowych wróżyło nam jaśnie; Nie było żadnej nocy (śmieje to rzecz moge), Którejby nie trąbili kundysi na trwogę; Nie było dnia, żeby weń stare wrony wieszcze Nie miały krakać rano; a co powiem jeszcze, Żadnego roku wilcy większemi kupami Nie wili się naszymi między koszarami², Nawet się z domowemi spachawszy³ sobaki, Szkody w trzodach czynili. Aż to nie znaki

¹ wieszczba. ² zagrody (na owce). ³ spachać się = zwaćać się.

Uniej niezwyczajnej, która biesa z Krzyżem
Pobratała, Krym dziki zjednoczywszy z Niżem?
Nuż, gdy najwięcej chmielu w zapustne ostatki
Zażywaliśmy, azaż w tenże czas na klatki
Wiejskie i na pałace pańskie z wschodniej strony
Szturmowny wiatr i wicher wypadłszy szalony,
Odzierając poszycia, łupiąc domy z dachów,
Prędko następujących nie był wieszczkiem strachów?

Lecz kogo Bóg pokarać chce, zdrową mu radę
Odbiera! Też ja miałem na rozumie wadę:
Nie pokładałem sobie w pamięci tych wrózek¹
Ani obawiałem się niebieskich przegrózek.
Aż kiedy jednym razem z Dniepru wypadła
Z trzaskiem i lyskawicą straszna chmura nagła;
Kiedy przed jej potopem i kamiennym gradem,
Kędy kto mógł, uciekał: dopiero ich śladem,
Nie dowierając bagnetom ani trzęsawicy,
Umknąłem z domem wszystkim do Ruskiej stolicy.

Tam *proskurnica*² cerkwie Krotoszyńskiej³ w bramie,
Pocobym się tak cisnął usilnie, spyta mię.
Gdym powiedział: «Kącika poszukać niewieście»⁴, —
«Nie osiedzisz się — rzecze — nieboraku, w mieście:
«Jako zdzierzą potęgę mury ledajakie,
«Której nie mogły wojska wydolać trojakię?
«Płacz mi nie daje mówić, ale miasto zginie
«I ktokolwiek się wtenczas żyjący nawinie!
«Raczej, iż są Kozacy jednej z nami wiary,
«Jednego zażywamy chrzestu i Ofiary,
«Do katedry *władyczej*⁵ Świętojurskiej radę
«Uchodźcie wam; i sama tam się wyprowadzę:
«Przecież i na krew swoją, i mitrę *władyczą*,
«I na świątnicę będą mieć wzgląd męczenniczą».

Co ja słyszac i widzac ludzie rodu mego
Z miasta, jako z okrętu już, już tonącego,
Wynoszące sprzęty swe i różne tłomoki,
Ustąpiłem na górę z żoną bez odwłoki.
Alem trafił pod samą rynnę z deszczu; bowiem
Nazajutrz po wtargnieniu (że, co prawda, powiem)
Tatarowie z Kozaki, jako gęsta chmura,
Naprzód na cmentarz wpadłszy do świętego Jura,
Kilka tysięcy ludzi, którzy tam uciekli,
W ocemgnieniu pobili i na śmierć posiekli;
Niekórych powiązali Tatarzy w surowce⁶.
Tak kiedy kupa wilków wpadnie między owce,
Żadnej całej nie puszczą; albo gdy jastrzębi
Ze wszystkich stron uderzą na stado gołębi,
Choć się z strachu tegiego przyczają do ziemi,

¹ wróżka = wróżba. ² kobieta, wypiekająca chleb, potrzebny do Sakramentu Ołtarza. ³ Krotoszyn — wieś pod Lwowem. ⁴ dla żony. ⁵ biskup.
⁶ powrozy.

Przecię wszystkich poszarpią pazurami swemi:
Tak tu namniejsza dusza śmierci abo łyków
Nie uszła suchą nogą jawnych rozbójników.
Bałuch¹ ogromny z wrzasku, lamentów i pisku
Umierających, jako na pobojuwisku!
Tu dzieci, tu niewiasty, tu leżą tułowy,
Tu pomieszane w kupę walają się głowy;
Wozów liczba niezmierna już pożakowanych²,
Tamże nicmało widać skrzyń porabowanych.

Bacząc my to (a było nas nad tysiąc więcej),
W cerkwi drzwi zamknęliśmy drągami co pracę,
Rozumiejąc, że nas dom boży w onej toni
Swojem poszanowaniem od szwanku obroni.
Lecz prędko nas otucha oszukała blaha,
Bowiem do cerkwi wszytka przypadszy *wataha*³
Ze czterech stron poczęła łamać oraz mury;
Jedni z nich lud gromadny strzelali przez dziury,
Drudzy tłukli ciężkimi fortę taranami⁴,
Niektórzy dziurawili ściany kilofami⁵,
Insi, przebiwszy zwierzchnie młotami sklepienie,
Spuszczali na gęsty lud orkłowe⁶ kamienie,
Aż niektórzy ze strachu napoly pomarli!
Aż kiedy się oprawcy drzwiami do nich wdarli,
Przesieczę⁷ siekierami przez nacisk on srogi
I przez ciała czynili martwe sobie drogi.
Tamże jeden drugiego dusił w tym hałasie,
Jeden drugiego krwią swą napawał w tej prasie,
Że niezadługo cerkiew pospołu z przytworem⁸
Krwawą sadzawką, ciepłem zstała się jeziorem.
Dopiero, jako snopie⁹ biorąc z wiejskiej kupy,
Przerzucali na stronę obnażone trupy
I tak gołe za nogi na podwórze wlekli;
Jeśli duszę zataił który, znowu siekli.

Jako w tym żona z dziećmi zginęła nierządzie,
Nie będę wiedział pewnie, aż na bożym sądzie!
Ja przez ten czas w maclochu¹⁰ nieznacznie zakryty,
Siedziałem za obrazem świętego Mikity;
Zrazu, widząc te mordy, serce we mnie drżało,
A potem, jako kamień, od żalu strętwiało,
Żem dalej nie mógł patrzeć. Dopiero pojrzałem,
Kiedy *ihumen*¹¹ głosem zawołał nie miałym:
«Hej! *probuł, chrestyjanie!*» Temu *horylicq*¹²
Polawszy plesz¹³ na głowie, przypalali świecą,
Żeby wyśpiewał, kędy stare *ryze*¹⁴ schował,

¹ wrzawa. ² żakować = rabować. ³ czereda, kupa, gromada. ⁴ ta-
ran = okuta belka dębowa do rozbijania murów. ⁵ kilof = młot do rozbijania mu-
rów. ⁶ orkiel, orciel = kamień nie ciosany, łom. ⁷ przesiecz = droga przesie-
czona. ⁸ przytwór = kruchta, przedsionek. ⁹ snopie — rzeczownik zbiorowy =
snopy. ¹⁰ niśza. ¹¹ przełożony klasztoru. ¹² gorzałka. ¹³ tonsura, łysina.
¹⁴ rzyza = szata kapłańska.

Abo srebro. On z nimi o wierze rokował;
 Lecz mu jeden powiedział: «*Bateńku choroszy!*
 «*Nie chcem twojej wiry łysze ditezich hroszy!*»¹
 Insi ustawnie *hałaj, bre*², *gaur*³ wolali,
 Żeby się Tatarami, nie Rusią być zdali.
 Takowe wyprawiwszy do południa sztuki,
 Ci odjechali, graty powiązawszy w juki.
 Po nich zaraz nadeszli z rydlami kopacze
 I nad pierwszych trzy razy ciekawsi badacze.
 Ci już, kruszcu szukając, otworzyli groby,
 Ruszyli wszystkie truny⁴ i zgniłe osoby,
 Z których zdzierali ropą obewrzałe szmaty
 I zaraz się dzielili zbutwiałemi płaty.
 Naostatek wołając: «*Proszczaj, światyju Juru!*»⁵
 Oberwali na ziemię obraz jego z muru,
 Większe tablice, rąbiąc, jako drwa, łupali,
 Aż mię też w skalubinie⁶ onej wymacali.
 Natychmiast, żegnając się, krzykną: «*Buh, ne mara!*»⁷
 Ja na to: «*Ej, czolowik, ta i wasza wiara!*»
 «*Ale masz denhy*⁸ lackie!» Skoro to wyrzekli,
 Jako mysz z onej jamy za leb mię wywlekli
 I obrali do naga; jedni za kaletę,
 Drudzy za trzos, aże w nim naleźli monetę.
 «*Ho, ho, ho!* — krzyknęli — ty, *mużyku*⁹, kozackie
 «*Nieprzyjaciele nosisz z sobą, zdrajce lackie!*
 «*Gardłowa to jest sprawa i nieledajaka,*
 «*Ale, żeś chrześcijanin, a nie Lach-sobaka*¹⁰,
 «*Czynią ci atamani łaskę (dziękuj Bogu!),*
 «*Abyć trochę czupryny przycięto na progu.*
 Już mię jeden z siekierą do progu przywodził,
 Aż się we drzwiach Tatarzyn z trafunku nagodził;
 Ten, opończę kilijską¹¹ z kostrubatych¹² sierci
 Dawszy im, wybawił mię od zabitej śmierci.
 Sam na smyczy, jako psa, prowadził do koszu,
 Kędym com przez pół roku ucierpiał, Doroszu,
 Nie spisałbyś wszystkiego na wołowej skórze!...

90. Najznakomitszym epikiem XVII w. i wogóle jednym z najznakomitszych poetów niepodległej Polski jest autor *Wojny chocimskiej* Małopolanin **Wacław Potocki** (1625—1696) z Woli Lużeńskiej (w powiecie bieckim), a r j a n i n. Wyższego wykształcenia nie otrzymał: zagranicą nigdy noga jego nie postąpiła, do Akademji zaś Krakowskiej, jako arjanin, wstąpić nie mógł; może nawet szkół średnich nigdy nie oglądał; a jednak, dzięki wrodzonym zdolnościom, starannemu wychowaniu w domu rodzicielskim, oraz własnej pracy i ochocie do kształcenia się, która nie opuszczała go do samej śmierci,

¹ ojezłuku dobry! nie chcemy twojej wiary, gorszej od dziadowskich (t. j. wy-tartych) groszy. ² okrzyki tatarskie. ³ gaur, giaur = niewierny. ⁴ truna = trumna. ⁵ do widzenia, święty Jurze! ⁶ nisza. ⁷ Bóg, nie mara. ⁸ pienią-dze. ⁹ chłopie! ¹⁰ pies. ¹¹ kilijski = z miasta imieniem Kilja (przy ujściu Dunaju). ¹² kostropaty, szorstki.

należał Potocki do najświetlejszych i najrozumniejszych ludzi swojego czasu. W siedemnastym roku życia służył wojskowo, lecz później ani razu miecza do boku nie przypasał i pędził ciche i spokojne życie na roli, rozkochany w swoim gospodarstwie, w poezji i w życiu rodzinnem. Ale szczęście niedługo trwało: w roku 1658 zapadła uchwała, wydalająca arjan z granic Polski; wówczas to Potocki przeszedł na katolicyzm, ale żona arjanka pozostała, co było dla Potockiego źródłem ustawicznej troski i trwogi: musiał żonę ukrywać, dopóki i ona wreszcie katolicyzmu nie przyjęła. Lecz nie sądzono mu już było zaznać szczęścia na tej ziemi: starszy syn poszedł na wojnę turecką i nie wrócił; niebawem umarła córka, za córką poszedł młodszy syn (także na wojnie tureckiej), a wreszcie umarła ukochana żona. Pozostała mu tylko synowa, która miłością swą i przywiązaniem słodziła nieszczęśliwemu starcowi ostatnie lata życia i zamknęła mu oczy.

Literatura staropolska niewiele posiada postaci, tak wyjątkowo miłych, jak Potocki. Był to człowiek łagodny i dobru duszny, otwarty i szczery, gościnnie, uprzejmy i chętny do usług, pod powłoką szorstkości i rubasznego humoru kryjący dobre, złote serce polskie, tkliwą miłością kochające żonę i dzieci. Religijny był do szpiku kości i w nieszczęściach swoich poddawał się pokornie niezbadanym wyrokom bożym. Ojczyznę kochał całym sercem: nie szczędził dla niej kosztów (raz np., jak sam sobie świadczy, «kilkadziesiąt człeka na Szwedy, herbu swego okrywszy ich płatkami, stawiał własnym kosztem»), synów wychował na rycerzy; z dumą i radością rozpamiętywał świetną rycerską przeszłość Polski, jako przedmurza chrześcijaństwa, płakał łzami bólu nad jej późniejszym nieszczęściem i łzami wstydu nad jej późniejszą hańbą (Pilawce i traktat w Buczaczu, 1672), trwożył się, a nawet rozpaczał, na myśl o jej przyszłości; tradycję narodową i obyczaje staropolskie szanował i kochał aż do niechęci, a nawet do nienawiści cudzoziemszczyzny; do swego kawałka ziemi, odziedziczonego po ojcach, a niemniej do swego szlacheckiego gniazda i herbu, gorąco był przywiązany. Jednym słowem, Potocki to przepyszny typ Polaka-szlachcica starej daty, wyborne wcielenie sarmatyzmu (t. j. dawnej polskości) — ale w dobrem, dodatniem znaczeniu tego wyrazu.

Bo od ogółu szlacheckiego był Potocki znacznie wyższy, zarówno sercem, jak rozumem. Kiedy ogół szlachty miał fałszywe i przewrotne pojęcia o służbie bożej, mniemając, że dobry katolik powinien nienawidzić innowierców, Potocki, wychowany w zasadach właściwej arjanom tolerancji religijnej, był szlachetnym tolerantem; przeszedł później na katolicyzm, nietylko z przekonania, ile dlatego, że się nie mógł pogodzić z myślą opuszczenia swojej ukochanej ziemi rodzinnej, że nie chciał, jak mówi, «stradać doczesnej ojczyzny»; czasem dopiero stał się katolikiem gorliwym i z głębi serca wołał do Boga: «Pasterzu święty, i jam z Twej owczarni — za innym wodzem obłądził się marnie»: ale duchem fanatyzmu nie przejął się już nigdy, bo rozumiał, że albo głupotą, albo zbrodnią jest narzucać komukolwiek gwałtem przekonania religijne, że «ani sam Bóg potrzebuje, żeby z musu Mu człowiek służył», że «w tej chce umierać wierze człowiek, w której rozdził się na świat, jakby wiara szła z natury».

A jak religijnością, tak i patryjotyzmem był Potocki wyższy od braci-szlachty: gorąca miłość Polski nie zamykała mu oczu na jej grzechy i wady; on nigdy nie wierzył, że «Polska nierządem stoi», przeciwnie, rozumiał, że Polska nierządem ginie; główne zaś źródło nierządu upatrywał nietylko

w *liberum veto*, ale i w słabości władzy królewskiej, oraz w obieralności króla; dlatego też przemawiał niejednokrotnie, jeden z bardzo niewielu, za dziedziczością tronu. I w poglądach społecznych nie był on tak ciasny, jak inni; podzielał wprawdzie niedorzeczny pogląd, że «rzemiosło nieładnie z szlachectwem się zgodzi»; podrwiwał sobie ze świeżo upieczonego szlachcica, który niedawno jeszcze «pieprz ważył funtem», a teraz się herbem przechwala; wierzył, że chłopci «z natury» są «sprawieni do ziemi i do pluga», że nawet wykształcony chłop zawsze pozostanie chłopem, bo «niepodobna przerobić psa na rysia»; słowem, i on, jak cała owoczesna szlachta, poczytywał szlachcica za jakieś osobliwe stworzenie; ale domagał się od szlachcica szlachectwa duszy, którego najwspanialszym wyrazem jest służba rycerska w obronie matki-ojczyzny: «Niechaj syn koronny mocno temu wierzy, — że, chociaż nie szynkuje i łokciem nie mierzy, — jeśli nie będzie wojny w młodem lecie służył,... — szlachcicem być nie może i szczycić się herbem, — nie synem bywszy matce, lecz podłym pasierbem;... — niechaj się żaden nie waży honoru napierać, — aż się pierwej za matkę nauczy umierać». O tym poglądzie nie zapomniał Potocki w swem olbrzymim dziele: *Poczet herbów szlachty Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego* (1596). Opisał tu wierszem klejnoty czyli herby szlacheckie, opowiedział ich historję, pochwalił zasługi lub napiętnował grzechy poszczególnych rodów. Otóż myślą przewodnią tego dzieła jest, że herb to naprawdę klejnot dla szlachcica, ale jedynie dlatego, że, przypominając mu zasługi przodków, powinien jego samego zachęcać do zacnych i wielkich czynów: przodkowie, «walcząc z poganą, brali ich szablami rżnięte — na ciała charaktery¹, żeby w sukcesorach — świeciły, na grobowych kładli je marmorach»; stąd nauka dla potomków: «To stopnie do honorów, do czci, do fortuny: — przez grady strzał tatarskich, przez geste pioruny — drzeć się dział otomańskich; przez ich szabel ostrze — cnota i wieczna sława plac sobie rozpostrze».

Poezja była mu (jak Kochanowskiemu i Szymonowiczowi) potrzebą duszy; to też nie wojenka i nie gospodarstwo, tylko poezja stanowiła główny jego zawód. A talent posiadał ogromny. Wyobraźnia jego nie była wprawdzie bujna, ale zato niezwykle żywa, to znaczy, że sam pomysłów do swoich dzieł poetyckich nie tworzył, tylko brał je gotowe — bądź z tego, co przeczytał (mianowicie z książek łacińskich), bądź z tego, co sam widział i przeżył (podobnie, jak Twardowski); ale te pomysły już sam uzupełniał i bardzo żywo wyrażał. Uczucie miał szczere, silne, głębokie i wypowiadał je często z niepospolitą siłą. Posiadał nadto nadzwyczajną łatwość rymowania, a w posługiwaniu się mową ojczystą był prawdziwym mocarzem: pod względem bogactwa wyrazów, dobitności języka, zamaszystości i żywego rodzimego, szczeropolskiego stylu nie dorównał mu ani jeden z dawnych poetów. Miał wreszcie przymiot, bardzo w Polsce rzadki, — niezmierną pracowitość: utwory swoje poprawiał i przerabiał raz i drugi, i trzeci, walcząc zwłaszcza z właściwą sobie (i bardzo wielu pisarzom polskim, nietylko dawnym) rozwlekłością: «Kilką słów sentencyją w łacińskim zawartą — w polskim języku trzeba opisować kartą; — filozofom dać pokój, gdyż to każdy przyzna, — że temu nie wydoła uboga polszczyzna». Niekiedy (ale rzadko), wal-

¹ rysy, blizny.

cząc z rozwlekłością, wpadał w drugą ostateczność: w nadmierny, czasem trudny do zrozumienia lakonizm.

Wogóle, przy całym swoim talencie, miłości poezji i pracowitości, nie był Potocki artystą; gdyby nim był, kto wie, możebyśmy dzisiaj czcili w nim największego poetę staropolskiego! Na nieszczęście, żyjąc w wieku stopniowego zanikania w Polsce dobrego smaku, nie znając nadto współczesnej poezji włoskiej i francuskiej, nie posiadał znajomości zasad prawdziwej sztuki i nie miał należyte wyrobionego poczucia piękna: rozumiał wprawdzie, że makaronizmy są, «jakby w słomianej strzesze blachą latał dziury»; rozumiał równie, że «senteneyja..., im jest zwięźlejsza i piórem, i usty, — im krótsza, tem większe ma w uszu ludzkich gusty»: ale nie unikał wyrazów zbyt pospolitych, rubasznych i nie ustrzegł się pomysłów dziwacznych i tematów, już nietylko nie pięknych, ale często wstrętnych i plugawych. A do tego nie miał pojęcia o budowie utworów poezji, mianowicie większych, t. j. nie umiał tworzyć pięknych całości. Wogóle poezja Potockiego to dziwna mieszanina piękności z brzydotą, zdrowych ziarn z pośladem i plewami, których od ziarna nie odróżniał. Te ziarna jednak są tak liczne i często tak piękne, że byłoby krzyżującą niesprawiedliwością odmówić Potockiemu miana znakomitego poety.

A jest to poeta tak nawskróś, tak typowo polski, jak ani jeden z dawnych naszych autorów; w poezji jego odbiło się, jak w zwierciadle, całe życie Polski XVII w., jej klęski i triumfy, jej duch religijny i rycerski, jej wady i przymioty, jej charakter i obyczaje domowe, słowem, całe życie polityczne, wojskowe, religijne i obyczajowe; a zwierciadło to tak dokładne, że, gdybyśmy nawet nie posiadali innych źródeł do poznania Polski XVII w., poznalibyśmy ją z poezji Potockiego aż do najdrobniejszych szczegółów. Wogóle, jako malarzowi życia polskiego, nie dorównał Potockiemu ani jeden z poetów niepodległej Polski, nie wyjmując Reja; i na tem to polega jego wyjątkowe stanowisko w dziejach naszej dawnej literatury. Niedoścę na tem. Ponieważ Potocki był wyższy nad ogół swego społeczeństwa, stąd jest on nietylko malarzem życia polskiego, ale jednocześnie (podobnie, jak Rej) jego sędzią, jest znakomitym satyrykiem, którego uwagi nie uszedł ani jeden grzech przeciwko Bogu, ojczyźnie i bliźniemu: ani fanatyzm i nietolerancja religijna, ani prywata i anarchja polityczna, ani ucisk chłopów. A satyra to inna zupełnie, szlachetniejsza od satyry Krzysztofa Opalińskiego; przemawia w niej nie gniew, nie niechęć ku społeczeństwu, lecz głęboki smutek zacnego człowieka, który, widząc, co się w jego ojczyźnie dzieje, łamał ręce i rwał włosy — z rozpaczy patryjotycznej.

91. Spuścizna poetycka Potockiego jest olbrzymia: obejmuje co najmniej 300.000 wierszy, to znaczy, że się ani jeden poeta staropolski mierzyć z nim nie może pod względem płodności (z nowszych zaś — jeden chyba Zegadłowicz). Ale po większej części nie ogłaszał drukiem swych utworów, wiedząc, że słowo nie ma już w Polsce ani posłuchu, ani wolności: «Zawarto wszelki sposób do mówienia: — jakoż i pismo wynisć ma na ludzkie oczy? — abo go spala, abo mól w kącie roztoczy! — choćby i wyszło, tyle ogłosu uczyni, — co drumka¹ abo mucha w hirkąńskiej² pustyni». Dopiero

¹ bak. ² azjatycki.

w czasach nowszych poznano i oceniono należycie poezję Potockiego. A poezja to wielce różnorodna.

Bardzo znaczną jej część stanowią wiersze i poematy religijne (np. poemat o męce krzyżowej Zbawiciela), znamienne, jako wyraz gorącej wiary i serdecznej skrucy poety.

Dział drugi stanowią romanje — powieści wierszowane, napoły fantastyczne, napoły historyczne, jako to o nadzwyczajnych przygodach mężnego Syloreta, o Argenidzie, o Judycie, o cnotliwej Rzymiance Wirginji, o bohaterskiej walce Holandji z Hiszpanją. Powieści to nie oryginalne: ich źródłem są pisarze starożytni i nowocześni, których prozę łacińską Potocki przetapiał na wiersz polski (często bardzo piękny); sam otwarcie się do tego przyznaje w tytułach dwóch swoich najobszerniejszych i najciekawszych romanij. Pierwszą wydano dopiero w roku 1764: *Syloret, albo prawdziwy obraz nie osłabionego najdotkliwszemi przeciwnościami męstwa i uszczęśliwionej w poddawaniu się boskim wyrokom ufności, w starodawnej historii, z różnych greckich i łacińskich pisarzy wyjętej, odmalowany*. Głównie zasilał się tutaj Potocki *Metamorfozami* Apulejusza i słynną powieścią autora greckiego III wieku po Chrystusie, Heljodora, p. t. *Etjopiki* czyli *Teagenes i Charykleja*, powieścią, która, przetłumaczona w wieku XVI na język łaciński i francuski, wywarła olbrzymi wpływ na powieściopisarstwo europejskie XVI i XVII wieku. Druga romanja ukazała się w rok po śmierci Potockiego: *Argenida, którą Jan Barclaius po łacinie napisał, Wacław Potocki, podczaszy krakowski, polskim wierszem przetłumaczył, czyniąc zadosyć żądaniu wielu czytelników, do druku podana* (1697). Treść obu tych powieści, których ośrodkiem jest miłość dwojga młodych, kończąca się, mimo piętrzących się straszliwych przeszkód, małżeństwem, wypełniają różne nadzwyczajne, a często nieprawdopodobne przygody na ziemi i na morzu, jako to: niespodziewane napady nieprzyjaciół; porwanie kobiety przez wstrętnego jej rycerza, a ocalenie przez ukochanego; różne tajemnice rodzinne, które się wyjaśniają dopiero przy końcu powieści, w tym np. rodzaju, że jeden z konkurentów królowny Argenidy jest, jak się okazuje, jej bratem; że Arsina, młoda żona starego Syloreta podsuwa swemu pasierbowi, gardzącemu jej miłością, truciznę, którą się truje... własny syn Arsiny (okazuje się zresztą, że się nie otruł, tylko zdrzemnął); cudowne ocalenie bohatera w chwili, kiedy już miał zginąć, i t. p. Niektóre z tych pomysłów, jak zwłaszcza porwanie i ocalenie panny, przetrwały do ostatnich czasów, jak o tem mogą coś powiedzieć powieści historyczne Sienkiewicza. Otóż pomysły te nie są własnością Potockiego, a jednak niepodobna jego powieści nazwać przekładami; nie jest nim nawet *Argenida*, snuta nie na różnych źródłach, jak *Syloret*, tylko na jednym — na *Argenidzie* tego samego Barclaya, który napisał głupi i niegodziwy paszkwil na Polskę. Nie mówiąc już bowiem o pięknym języku i wierszu, które są niezaprzeczoną własnością Potockiego, nadawał on powieściom koloryt tak wybitnie polski, że wszystkie te Sylorety i Poliarchy, Argenidy i Arsiny wydają się czytelnikowi Polakami i Polkami, a różne kraje zamorskie — Polską; w *Argenidzie* np. są odpusty i sejmiki szlacheckie, woźnica królewski ma na imię Matyjasz, są jarmarki, na których sprzedają maślankę i serwatkę, jest pan starosta, który (choć akcja powieści odbywa się w starożytności) najspokojniej strzela sobie do ptaków... z fuzji. Niedosyć na tem. Pełno w *Argenidzie* własnych dodatków i własnych poglądów Potockiego, który, dopatrując się podobień-

stwa między szarpaną przez wrogów Sycylią (gdzie się akcja powieści Barclaya odbywa) a nierządną Polską, szarpaną przez nikczemnych magnatów i przez głupi motłoch szlachecki, wymownie piętnuje anarchję polską: rządy sejmikowe, słabość władzy królewskiej, zasadę wolnej elekcji i inne jeszcze grzechy, polityczne zarówno, jak obyczajowe.

Rząd zły, gdy W tumultach¹ się kto zdrowej ma spodziewać rady?

pospólstwo Gdzie tysiąc głów, a każda z swoim zdaniem jedzie,
wszystko Tysiąc razem języków, właśnie po obiedzie,
opieka się Każdy wrzeszczy, co gardła, choć go nikt nie słucha,
Rzecz- A każdy co inszego; drudzy — do obucha!
pospolitą. Wszytcy swoje osobne interesa mają;
Ci — prywatnym faworem², drudzy narabiają
Nienawiścią i, kogo gdzie afekt pociąga,
Zapomniawszy publiki, tam się sam zaprzęga.
Krewności, obowiązki, bankiety i wina,
Największa na sejmikach zawsze mieszanina!
A ty chwalisz tak rząd? i wolnością zowiesz
Oczywistą niewolą? a na to co powiesz,
Gdy na takich sejmikach, jak bydło przy żłobie,
Do rządów całej ziemi obierają sobie
Moźniejszych senatorów?
. . . Godnych zarzuciwszy, takich w krzesła tkają,
Którzy rozumu mało, cnoty nie mają!
I chwalisz mi taki rząd Pospolitej Rzeczy,
Gdzie wszystko na moźniejszych zawisnę pieczy?
Wstyd mię za cię, że się tak w swym dyskursie mieszasz,
Jednego króla ganiąc, na dziesięć rozgrzeszasz!
Pytam: kędy większy plac i miejsce swobodzie,
Gdzie jeden, czy gdzie dziesięć panuje w narodzie?

Wolna
elekcja.

. . . Póki dawnych państwo ojcowiców plemię,
Choć obrane, rządziło, syn wstępował w strzemię
Rodzicielskie; i przyznam, że ptak białopióry
Całego prawie świata przeniósł Arktury³.
Zbytki wprzód, ambycja do tego obrzydła
Wypierzywać oboje poczęła mu skrzydła..
Bo tam, jako skoro się król z światem pożegna,
Otwierają swej woli wrota *interregna*:
Gdzie kto duźszy, ten lepszy! Nuż kaptury owe!
I odtąd stoją one kaptury bezgłowe!
Aż przyjdzie elekcja, kędy hurmem bieżą
Konkurenci i w sztuki Koronę porzeżą!
Jednych obietnicami, drugich gotowizną,
Korumpują⁴, a trzeci, ledwo kość oblizną,
Ledwie ją na bankiecie winem splucze mocnem,
Aż swym głosem każdemu gotów być pomocnym,

¹ zamieszanie.

² łaska, poparcie.

³ gwiazdy północne, kraje północne.

⁴ przekupować.

Aż się każdy o kreskę byle z obcym zgodzi,
Bowień się mu swojego i wspomnieć nie godzi...

Co się stąd krwi rozlało! co po dziś dzień leje!
Jakowa szarpanina! Niech czyta kto dzieje
Tych ziemi utrapionych, przyzna, że sto razy
Więcej na Pospolitą Rzecz przypada skazy,
Prędsza zguba daleko tedy państwa goni,
Niż kiedy u dziecięcia korona na skroni.

92. Najpiękniejszy dział poezji Potockiego stanowi poezja historyczna, a na jej czele stoi obszerny poemat rycerski w dziesięciu częściach, obejmujący blisko 12.000 wierszy: *Transakeyja Wojny Chocimskiej, gdzie Osman, cesarz turecki, wszystkie państwa swoich z Afryki, z Azji i z Europy na Polaki zgromadziwszy siły, za łaską Najwyższego Pana, roztropnością czułych i opatrznych wodzów a dzielnością rycerstwa polskiego, spadł z imprezy swojej i, straciwszy sto tysięcy ludzi, część w polu, część do naszych szturmując, część własnych broniąc obozów, starego z Koroną Polską potwierdziwszy przymierza, inglorius¹ wrócił do Konstantynopola,...* z różnych, jako manuskryptów i diaryjuszów, tak z relacyj ludzi starych... zebrano, ... z łacińskiego na polskie dostatecznie dla nieśmiertelnej narodu polskiego sławy wierszem przetłumaczona. Wykończył ten poemat Potocki w roku 1670, ale go nie wydał: ogłoszono go po raz pierwszy drukiem dopiero w roku 1850 pod tytułem *Wojna Chocimska*.

Najpiękniejszy to utwór rycerskiej poezji epickiej w literaturze niepodległej Polski. Pragnął w nim Potocki «własne ognie przelać w piersi» słuchaczów i «wskrziesić postaci zmarłej przeszłości»; pragnął «strzelać brzmieniami słowy do serca spółbraci», żeby ci, «kiedy ich piosnka ojczysta poruszy, uczuli w sobie dawne serca bicie, uczuli w sobie dawną wielkość duszy i chwilę jedną tak górnie przeżyli, jak ich przodkowie niegdyś całe życie». Innymi słowy, Potocki, z całego serca bolejąc nad tem, że współbracia zatracają ducha rycerskiego, że nie kochają wiary i ojczyzny tak gorąco, jak ich przodkowie, że wogóle są gorsi od swych ojców, postanowił przypomnieć im dla nauki cnotę i męstwo dawnych rycerzy; chciał wpoić w ich serca tę wiarę, że, póki się nie odrodzą moralnie, póki się nie staną na nowo rycerzami-obywatelami, których świętym obowiązkiem jest walka z pogaństwem w obronie własnej ojczyzny i całego chrześcijaństwa, — dopóty Bóg nie będzie Polsce błogosławił. Oto przewodnia myśl *Wojny chocimskiej*, która więc jest pobudką patriotyczną do męstwa i innych cnót rycersko-obywatelskich, oraz do wiary, że sam Bóg z pośród narodów europejskich wybrał i przeznaczył Polskę na przedmurze chrześcijaństwa.

Za treść swej «piosnki ojczystej» wziął Potocki jeden z najwspanialszych czynów dawnej Polski — wojnę chocimską r. 1621, kiedy to 65.000 wojska, składającego się z Polaków pod dowództwem Jana Karola Chodkiewicza i Kozaków zaporoskich pod wodzą Sahajdacznego, przez cztery tygodnie z nadludzkim męstwem i nadludzką wytrwałością zwycięsko odpierało wściekle szturmy 400.000 Turków pod wodzą pysznego Osmana;

¹ niesławny.

w chwili zawierania pokoju w obozie polskim pozostała jedna jedyna beczka prochu!

Twórczej fantazji niewiele się znajdzie w *Wojnie chocimskiej*; jest to (podobnie, jak poematy Twardowskiego) upoetyzowana kronika wojny, napisana głównie na podstawie łacińskich pamiętników Jakóba Sobieskiego (ojca króla Jana); od siebie dodał poeta wstęp, kilka szczegółów, przekazanych przez tradycję, kilka opisów natury. A pomimo to jest *Wojna chocimska* dziełem niepospolitej wartości.

W żadnym innym utworze poezji staropolskiej nie odbił się tak wyraziście charakter rycerzy polskich, w żadnym innym nie przemówiły tak pięknie ich męstwo i religijność, — owe dwa nierozłączne z sobą znamiona dawnych Polaków, walczących z bisurmanem. Przed bitwą «wspierają» ci bohaterowie chocimscy «świętym obrokiem swoje dusze», «chwałą Boga ze wszech sił i z pięci zmysłów», a potem lecą w ogień, «jak na wesele albo na taniec», z wiarą, że służą nietylko matce-ojczyźnie, ale Bogu i Najświętszej Pannie, że sam Bóg im za to nagrodę obmyśli, dając im na tym świecie nieśmiertelną sławę, a na tamtym «indygenat niebieski» (t. j. szlachectwo w niebie). Tacy to są ludzie w poemacie Potockiego. — i sędziwy Chodkiewicz, i Stanisław Lubomirski, który po śmierci Chodkiewicza objął naczelne dowództwo, i Jan Lipski, «stary rotmistrz usarskiej drużyny, czterema dorodnymi otoczony syny», i Zienowicz, kasztelan połocki, i Sahajdaczny, ataman kozacki, i wszyscy.

Chodkiewiczowi «Mars z oczu bije», a «choć starość go przygniata, serca wielkością sił ciała nadplata»; on ma jedną tylko «prywatę»: «życzyłby, nim ostatnie przyjdzie oczy zmrużyć, — Bogu się i kochanej ojczyźnie przysłużyć»; kiedy mu donoszą, że pyszny Osman zapowiedział, iż obiad jeść będzie w polskim obozie, on na to: «Tyłko niechaj nie mieszka¹, niech nie kwasi grochu, — będzie bigos gorący z ołowiu i prochu!» Lubomirski «Achillea w męstwie, — w wspaniałem Scypijona wyrównał zwycięstwie»; jest młody, pełen fantazji rycerskiej, a jednocześnie «godzien pochwały z roztropności»; kiedy wezyr turecki żąda, aby Polacy ich cesarza wiecznym haraczem ubłagali, odpowiada: «Rychlej mu włosy spadną z opleśniałej brody, — niż go takie na tem miejscu potkają gody;... jeśli nie tchórz, tu, na bliskiem błoni, — jeśli chce, pieszo, jeśli — czekam go — na koniu, — na ostrą li kopiją, na pałasz li goły». Jan Lipski, który «pięćdziesiąt lat bezmała... chustem lał krew za miłą ojczyznę», któremu «już żadnej rany — chyba by przez bliźnę — ani szabla turecka, ani szwedzka kula, — łuk tatarski i oszczep grubego Moskula... z przodu zadać nie mogła», poległ na polu chwały, «jak Leonidas drugi». Poległ i Zienowicz — od «dwudziestu kilku ran, ciętych i sztychowych», ale przed śmiercią, w ostatniej bitwie, «siekł, kogo mógł, z potem krew pijący napoły, — i uciekli poganie, a on między trupem — tak gęstym stał, sparszy się na pałaszu słupem, — w tureckiej krwi po kostki». Sahajdaczny, który się już zdawna wślawił męstwem, stawał i pod Chocimem, jako dobry syn ojczyzny, której dotrzymał wiary, «rzadkiej w kozackim narodzie, z trupów tureckich «groble robił» i w «jusze tureckiej się kąpał».

Lecz są w *Wojnie Chocimskiej* nietylko wskrzeszone «postaci zmarłej przeszłości», ale i «własne ognie» poety, który nie umiał i nie chciał się z nimi tać przed czytelnikiem. Więc wypowiada swoją własną mocną

¹ zwlekać.

wiare, że się rycerzami chocimskimi opiekował sam Bóg, który «przez mdłe ręce nasze — krwią pogańską żelazne napawa pałasze», który «każe Michałowi, co dyjabła wysadził, — żeby o rzeczach polskich pod Chocimem radził»; «wodzowie i boży hetmani — święte mają anioły, którzy, niewidziani, — w takowych raziech zdrowe dyktują im rady». Nie kryje się Potocki i ze swoją miłością ojczyzny, która przemawia, to jako duma patryjotyczna, to jako smutek patryjotyczny.

Dumny jest poeta i nie posiada się z radości na myśl, że «takie przedtem rodziła Sarmacyja syny»; «rzekłbyś, że to ci wstali z Bolesławem z trumny, — co żelazne po końcach ojczystych kolumny — stawiali». To też nietylko kocha, ale i czci tych rycerzów poeta i, kiedy się oni w ogień rzucają, woła: «O, chwalebna ochoto! o, kochana młodzi!» Kiedy opowiada, jak się Osman znęca nad jeńcami polskimi, dodaje od siebie, że ci biedacy «kończą śmiertelność, ale onymże zawodem — w niebie żyć poczynają, gdzie ich ani głodem, — ani żelazem więcej śmierć już nie namaca, — a na ziemi żaden wiek sławy ich nie skraca». Jak Malczewski w *Marji* uwielbia rycerzów polskich, rannych w boju z Tatarami, i woła: «Chodź, do stalowych piersi twój kaftan wełniany — przyciśnij z wdzięcznem sercem i całuj ich rany!», — tak i Potocki rany swoich bohaterów chocimskich czci, jako świętość, i pociesza rannego wojownika, że rana jego to najwspanialszy podarunek, jaki ojciec może dzieciom do domu przywieźć: «Żadnechy jarmarki — takiego specyjału, choćbyś wszystkie fraszki — zakupił, objechawszy Paryż i Damaszki, nie dały, jako gdybyś za miłą ojczyznę — podjętą na swem ciele synom przyniósł bliźnę». Kiedy umiera sędziwy Chodkiewicz, serce się pocie krwawi i wybucha jękiem: «Hetmanie, mój złoty! — przecze, przecz zostawujesz zaczęte roboty?» A kiedy umiera Zienowicz, woła poeta: «Nie umiera, nie w wiecznym śmierć go mroku kryje: — nie da mu cnota umrzeć, która wiecznie żyje!»

Ze zgrzyźliwością natomiast i ironją odzywa się Potocki o tych wyrodnakach, co się prochu boją, co radziby porzucić obóz i powrócić do domu, o perfumowanych «galantomach», którym «wojna mierźnie»: tacy, mówi poeta, są «Bogu obrzydli i światu szkaradzi». Z ironją również odzywa się o królewiczu Władysławie, który się rozchorował w obozie i niewielką miał ochotę «prześiąść się z żółwia na konia», oraz o Zygmuncie III, o którym chodziły plotki po obozie chocimskim, że, kiedy rycerstwo polskie krew za ojczyznę przelewa, on sobie najspokojniej w świecie poluje na zające pod Lwowem; to też szydzi z króla Potocki, mówiąc, że mu «psie ogony — milsze, niż sława dobra, niż całość Korony»; wogóle nie lubił poeta Wazów. jako cudzoziemców, bo król-cudzoziemiec, to «kaczka, wodząca kurczęta». Ale najsilniej piętnuje społeczne sobie pokolenie, które jego zdaniem nie warto rzemyka u obuwia rozwiązać bohaterom chocimskim, bo zniewieszczało, bo zatraciło ducha rycerskiego, bo się oddaje tylko wygodom i zbytkom, nie myśląc o matce-ojczyźnie; otóż ta świadomość przepelnia szlachetnym bólem patryjotycznym serce poety, który też raz po raz przeciwstawia dzisiejszych «pigmejczyków» (karłów) dawnym olbrzymom; tym sposobem *Wojna chocimska* jest nietylko obrazem dawnego bohaterstwa, ale i bolesną satyrą patryjotyczną na współczesnych, płynącą wprost z serca kochającego syna ojczyzny, który, jak prześlicznie mówi, pióro swe «omoczył we łzie orła białopiórego».

O Turkach nie może Potocki mówić z zimną krwią, nie cierpi ich bo-

wiem z całej duszy, nazywa ich okrutnikami, łotrami, głupcami. Pohulał sobie zwłaszcza nad Osmanem, o którym się zawsze wyraził pogardliwie, nienawistnie lub szyderczo: «Osman skacze jak głupi»; na tronie «siedzi jak bałwan, jakby sztukę balku — złoconego postawił kto na katafalku»; «trzy dni nie jadł, prócz że swą zjadłą pianę chlipał, — a ciało sam na sobie kąsał, targał, szczypał». Zwłaszcza szydzi Potocki z pychy głupiego sultana, któremu się zachciało «swój miesiąc naszego orła odziać pierzem», który, idąc na wojnę, obiecywał swemu dworzanie, że zrobi go «dożywotnim baszą na Krakowie», a który ostatecznie musiał zmykać jak pies z podtulonym ogonem.

Jednym słowem poemat jest nawskróś przesiąknięty własnym uczuciem autora — jego wiarą w Opatrzność, jego duchem rycerskim, jego miłością ojczyzny, jego nienawiścią względem zaklętych wrogów Polski i chrześcijaństwa. I ta właśnie uczuciowość, ten duch poety stanowi główną piękność *Wojny chocimskiej*. Wprawdzie i w *Wojnie domowej* Twardowskiego są własne uczucia i poglądy autora: ale Potocki umiał je wypowiedzieć bez porównania silniej i piękniej; *Wojna domowa* Twardowskiego jest przedewszystkiem rymowaną opowieścią o wypadkach dziejowych: *Wojna chocimska* to przedewszystkiem pobudka rycerska; Twardowski (w *Nadobnej Paskwalinie*) upatruje odrodzenie moralne narodu w życiu ascetycznym: Potocki w życiu rycerskim. A jak duchem i nastrojem, tak językiem i stylem jest *Wojna chocimska* utworem bez porównania lepszym od napuszonych poematów Twardowskiego: wprawdzie i Potocki użyje czasem takiego wyrażenia jak np. «Już Tytan na pół nieba wygnał kwadrygi»¹ (zam. o południu), lecz wogóle język jest wprawdzie szorstki, czasem rubaszny, ale jedrny, dobitny, malowniczy, dostrojony do przedmiotu, — pachnący siarką i prochem.

Inwokacja.

Wprzód, niżli sarmackiego Marsa krwawe dzieje
Potomnym wiekom Muza na papier wyleje,
Niż durnego Turczyzna propożyt² szkarady³
Pisać pocznę w pamiętne Polakom przykłady,
(Który, z nimi zuchwa'le mir zrzuciwszy stary,
Chciał ich przykryć haraczem z Węgry i Bulgary) —
Boże, którego nieba, ziemie, morza chwala,
Co tak mdłem piórem, jako władniesz grozną stałą,
Co się mścisz nad ostatnim domu tego węglem,
Gdzie kto usta przysięga sercem nieprzysięgiem⁴, —
Ciebie proszę, abyś to, co ku Twojej wdzięce⁵
W tem królestwie śmiertelne chcą wspominać ręce,
Szczęście raczył! Boć to jest dzieło Twej prawice:
Hardych tyranów dumy wywracać na nice,
Mieszać pysznych i z błotem górne równać myśli
Przez tych, którzy swą siłą od Ciebie zawiśli!

Potęga turecka.

Zabielaly się góry i Dniestrowe brzegi,
(Rzekłby kto, że na ziemię świeże spadły śniegi),
Skoro Turcy stanęli, skoro swoje w loty⁶
Okiem nieprzemierzone rozbili namioty...

¹ powóz czworokonny. ² zamiar. ³ szkaradny. ⁴ t. j. kto krzywoprzysięga. ⁵ wdzięka = dzięka. ⁶ wlot, szybko.

Skoro Osman zobaczył nasze szanice z góry,
Jako lew, krwie pragnący, wyciąga pazury,
Jeży grzywę, po bokach maca się ogonem,
Jeżeli żubra w polu obaczy przestronem:
Chce się i on zaraz bić, zaraz chce na nasze
Wsieć obozy; hetmany zwoławszy i basze,
Każe wojska szykować, choć już i niesprawą¹
Dla pola cieńszego, iść na nas oblawa.
Kto mu wspomni nie w polskim wieszczą obozie,
Choć najwierniejszy sługa, będzie na powrozie;
Tedy, o tak haniebnej usłyszawszy karze,
Biednego ognia składać nie śmieli kucharze...
Teraz, gdy Osmań każe, lub zysk, lubo strata,
Walą się wojska, idzie i groźna armata,
Straszne się bisurmańskie z góry garną roje,
A białe jako gęsi migocą zawoje.

Janczar-aga² we środku, ustrzmiwszy³ w puch pawł,
Ogniste swoje pułki na czele postawi;
Sam, dosiadszy białego arabina grzbieta,
Jako między gwiazdami iskrzy się kometa,
W barwistym złotogłowie pod żorawią wiechą,
Buńczuk nad nim z miesiącem, otomańską cechą...

W prawo i w lewo janczar⁴ na widoku stały
Nieznane oczom naszym dotąd specyjały:
Straszne słonie, co trąby okrom mają kielców;
Każdy swą wieżą dźwiga, każda wieża strzelców
Po trzydziestu zawiera; tak, gdzie tylko chodzą
Rozdrażnione bestyje, nieprzyjaciół szkodzą.

Konne wojska po skrzydłach, wyniósłszy swe dzidy,
Patrzą, rychło się do nich sunie gjaur gidy...⁵
Wszyscy siedzą, od złota, od rzędów, od pukli
(I nie jako na wojnę daleką) wysmukli;
Nie widziałeś kirysów, nie widział pancerzy:
Każdy się złotogłowi, jedwabi i pierzy;
Ogromne skrzydła sępie, forgi⁶, kity, czuby
Trzęsą się im nade łby. A ono nie tuby
Te prezentować. cienie i nikle ozdoby,
Kiedy wróble takimi z prosa straszą boby!⁷
Wszystko znieśli, wszystko to dziś na się włożyli,
Z czego świat przez lat tyle zdarli i złupili...

W tymże obloku stali Murzyni cudowni;
Jako się bleszczy iskra w opalanej głowni,
Tak i tym z warg napuchłych, z czerniejszej na szmelce⁸
Paszczeki bielsze niż śnieg wyglądały kielce.

Tu się w szeroko białej na wierzchu koszuli

¹ nie w porządku należywym (z powodu ciasnoty). ² dowódca janczarów.
³ ustrzmić (się) = ustrześcić. ⁴ drugi przyp. liczby mn. ⁵ obmierzły. ⁶ pióropusze.
⁷ bobo = straszydło. ⁸ szmelc = emalja.

Po polach Mamalucy przestronych rozsuli,
Jakoby przy labęciach kto postawił kruki!
A gęste się nad nimi wieszają bończuki.
Tamże wszystkie narody, które, jako sznuru.
Długiego, się z obu stron trzymają Tauru,...
Toż Wołosza z Multany, co przedtem sąsiedzi,
Dziś nam nieprzyjaciele. Tam się wszytka scedzi
Zgraja ona niezmierna, niezliczona gęstwa,
Z której Polska ma świadka, póki świata, męstwa.

Cóż pisać o armacie? gdy samemi działą
Obóz swój osnowali za szańce, za wały,
Z takim grzmiotem, że ledwie podobny do wiary:
Sam to przyznał Chodkiewicz, wódz i żołnierz stary,
Który, jak się Marsowym począł bawić cechem,
Sztuk ognistych nie widział, które ziemię z gruntów
Trzęsły, rzygając kule o sześćdziesiąt funtów...

Drażą się trąby i surmy i w tyle, i w przedzie,
Ale po lepszych w Wilnie tańczą niedźwiedzie!
Takie wilcy w gromniczny czas, mrozem przejęty,
Takie wydają świnie zawarte koncenty!¹
Łagodną symfonią tak ślosarz pilnikiem,
Tak osieł swoim cieszy ludzkie ucho rykiem!...
Przyznałby mi to pewnie Febus złotowłosa,
Że, jako rozpostarto nad ziemią niebiosy,
Jako on dawno snuje swojej sfery wydział,
Takiej liczby stad i trzód w gromadzie nie widział!
Mułów naprzód i osłów z różnemi ciężary,
Potem cielców ćma sroga, zaprzężonych w kary²,
Nuż tak straszna armata, gdzie i po stu wołów
Jedną sztukę ciągnęło! Cóż kule? cóż olów?
Wszystko to swym taborem, jako się już rzekło,
Kilka mil za wojskami powoli się wlekło.
Porożyste bawoły, barany i kozły,
Krowy, których cielęta na wozach się wiozły...
Nuż maży³, które rzeczy, potrzebne do żydła⁴,
Wiozły, co miały w jarzmach robotnego bydła,...
Gdzie faryna⁵ i szorbet i kawa, co spumy⁶
Trawi w czleku, i we pstrych farfurach perfumy.
Tak się Osman opatrzy, prowijantem sporem,
Bojąc się, żeby Polska pospołu go z dworem
Głodem nie umorzyła! Czyli słyszał, że tu
Ryż się nie rodzi, niemasz kawy i sorbetu?

Niegdyś a dzisiaj. Chleb a piwo — to żywioł; tłuste mięso z chrzanem,
Gdy zdrowie jest, bez pieprzu, bez cymentu⁷ — panem!
Jakoż, byśmy się chcieli rozgarnąć w tej mierze,

¹ koncent = harmonja, zespół.

² kara = wóz.

³ maża = wóz łubiany.

⁴ żydło = sposób do życia, żywność.

⁵ mąka.

⁶ spuma = piana, szumowiny.

⁷ cyment = cynamon.

A na wieki z tem wszytkiem uczynić przymierze¹,
Czego nam niebo i ta ziemia, co nas rodzi,
Nie dala, dłużejbyśmy — i starzy i młodzi —
Żyli, i każdyby z nas trzech Węgrów przesiedział!...

Nie znanoż dawniej pieprzu, kanaru², cymentu,
Apetyt był każdemu miasto kondymentu³;
Patrzmyż też, co za ludzi miały tamte wieki,
Którzy nam tę ojczyznę dali do opieki!

Ale, że ich mały ślad, i tylko w żelezie,
Ledwie że nie z nogami druga dzisiaj wlezie
W szyszak przodka swojego, puklerza nie dźwignie,
Pod mieczem jako wyżeł do ziemię się przygnie,
Ledwieby i ostrogę uniósł na ramieniu,
A jako w wczesnem⁴ krześle usiedzie w strzemieniu...

Przebóg! Cóż nas w tak drobne przerobiło mrówki?
Zbyt kami nieszczęsnymi, łakomymi gardły
Samiśmy się w Pigmejów postrzygli i karły!
Co żywo, na nas jeździ, i wszyscy nas lubią,
Wszyscy nas, jako własne gąski swoje, skubią!...

Jest co widzieć w Krakowie, kiedy na trzy zbyty
Drogiemi poobija ściany aksamity,
Ubrawszy ono łoże nakształt katafalku,
Śród pokoju postawi od samego balku⁵;
Wkoło fraszki rozliczne od szkła i kamieni:
Tem pompa większa, im się która drożej ceni.
Chorągiewby zaciągnął za każde z tych czaczek
I, z większą stokroć sławą, choć przynajmniej znaczek
Wyprawił w Ukrainę, gdzie, jako doroczy
Haracz, lud chrześcijański pies pogański troczy...
. . . Żaden z królów polskich, aże do trzeciego
Zygmunta, nie miał pompy, nie miał fastu⁶ tego,
Jaki dziś ma starosta! Cóż o senatorze
Rozumieć, w jakiej bucie żyje i splendorze!

Nie łożę, nie łabędzie mchy, nie miękkie szaty
Przodki nasze a stare zdobyły Sarmaty:
Ziemia — łożko, barłóg — mech, falandysz⁷ od festu⁸,
Zwyczajnie karazyi albo też breklestu⁹
Na kurty zażywano! Co więcej, obok cię
Posadził, choć-eś oszył safijanem łokcie,
Największy pan: gdzie cnota rycerska nas braci,
Ani złotogłów, ani tam aksamit płaci...

Patrzcież na świątobliwe ojców swych obrazy,
Które, dokąd świat stoi, nie uznają skazy!
Patrzcie, a kinąwszy¹⁰ cień marnych ozdób płony,
Ich się imcie przykładem sarmackiej Bellony:
Bo ci, nie mając chleba królewskiego bulki,

¹ zawrzeć rozejm, zawieszenie broni (wziąć rozbrat). ² słodycz. ³ przy-
prawa. ⁴ wygodny. ⁵ belka, pułap. ⁶ pycha. ⁷ cienkie sukno zagraniczne.
⁸ od święta. ⁹ karazja, breklest — proste sukno grube. ¹⁰ kinąć = rzucić,
porzucić.

Nierzkąc¹ rotę usarskie, lecz stawiali pułki
Nie szarków², nie Rusnaczków, owych skotopasów, —
Żołnierza ćwiczonego: Węgrów, Szwedów, Sasów,
Co się rodził w obozie, we krwi go kąpała,
A trzaskiem muszkietowym matka usypiała,
Co mu nie zadrzy czoło, choć w ogniu, choć w kurzu,
Za którego piersiami staniesz, jak w zamurzu!

**Mowa
Chodkie-
wicza do
rycerstwa.**

Ani mnie ust natura formowała z miodu,
Ani też tam oracyj trzeba i wywodu,
Gdzie Bóg, ojczyzna i pan³ swoje składy święte
W archiwie piersi waszych chowają zamknięte;
Dziś wam się Bóg swej chwały, dziś oltarzów zwierza
Nowego, które stwierdził krwią własną, przymierza,...
Wam ojczyzna, rodzice, krewne, dzieci małe,
Płeć niewojenną, dziewczki oddaje dojrzałe;...
Wam ubogich poddanych chrześcijańskie gminy,
Ojczyste naostatek ściany i kominy
Pokazuje zdaleka matka utrapiona,
Pod wasze się z tem wszystkim dziś kryje ramiona!
Do was obie wyciąga ręce wolność złota!
Niech się sam w swych poganin obierzach⁴ umota!
W te ręce król ozdoby swej dostojnej skroni,
Kiedy mu hardy Osman śmie osiągnąć do niej,
Porucza, z których je ma; nadzieje nie traci,
Że tyran posiężnego⁵ sowicie przyplaci.
Ja uniżone Bogu czynię dzięki, że mi
Dał żyć na niskiej do dnia dzisiejszego ziemi,
Dał na tem stanąć miejscu, skąd jeżeli żywo
Wrócę, czeka mnie żyzne wiecznej sławy żniwo;
Jeśli też tu Bóg schyłki wieku mego scedzi,
I to zysk liczę, gdy mnie nie doma sąsiedzi,
Lecz tak wiele chrześcijan pod tureckiem niebem
I moje martwe kości ozdobi pogrzebem!
Więc, o kawalerowie, w których serce żywe
I krew igra, przyczyny mając sprawiedliwie
Tak koniecznej potrzeby, Litwa i Polanie,
Osiądźcie Turkom karki i nastąpcie na nie!
Niechaj was to nie stracha, niech oczu nie mydli,
Że się poganin upstry, uzłoci, uskrzydli:
Namioty, słonie, muły, wielbłądy i osły —
To nie bije; stąd serca przodkom waszym rosły
Do szczęśliwych triumfów: i mięso, i pierze,
Lubią sławę i złoto przy sławie żołnierze.
Mało co tam wojennych: dziady, kupce, żydy,
Martaury⁶ postroili i dali im dzidy;

¹ nie mówiąc już, nietylko.

² szarek = obszarpaniec.

³ t. j. król.

⁴ obierz = sieć, sidło. ⁵ posiężne = oplata od tego, po co kto sięga.

⁶ mar-
taury = kradnący i zaprzędający ludzi w niewolę.

Co człek, to tam rzemieślnik: cień ich tylko ma tu
Osman, — każdy zostawił serce u warstata!...
Tedy do tak nikczemnej, marnej szewskiej smoly
Sarmatów będę równał? — naród, który z szkoły
Marsowej pierwsze przodki, stare dziady liczy?
Który wprzód w szabli, niżli w zagonach dziedziczy?
Którym Chrobry Bolesław, gdy Rusina zeprze,
Żelazne za granicę postawił na Dnieprze,
Gdy Niemca, co w fortcach i w swej ufał strzelbie,
Takież kazał kolumny kopać i na Elbie?...
Dobądźmy na dzisiejszy dzień chowanej broni,
A skoro hasło JEZUS po wojsku zadzwoni,
Nie szczędząc bisurmańskiej nikczemnej posoki,
Odbierzmy należyte szablom swym obroki!
Jeżeli się kto boi, jeśli ufa w nogi,
Niech patrzy na bystry Dniestr, tatarskie załogi
(O czem wątpię!), a mężnym bohatera cnota
Niechaj do wiecznej sławy pootwiera wrota!
A Ty, o wielki Boże, który jednym słowem
Wodzisz wojsk miliony, przeto obozowym
Panem się słusznie zowiesz, Ty sadzasz na trony,
Ty królom z głów niewdzięcznych odbierasz korony, —
Pokaż swoją moc w naszej niedoładze¹ lichej,
Zepchni nieprzyjacioły swoje dzisiaj z pychy!
Oni liczbie tak wielkiej, wozom, koniom, a my
W Tobie tylko, jedyny Boże nasz, ufamy.
Racz podrzeć wielkich grzechów naszych katalogi,
Weź im serca, a daj nam! pokrusz im ostrogi!
Niech się im łuki łomią, niech ich szabla stępie!
Daj cześć swemu imieniu w tym ludzi zastępie!

**Szturm
Turków
do obozu
kozackiego.**

Ledwo się słońce jęło nad ziemią podnosić,
Każe² wojsku wychodzić, szturm ogłosić
Do kozackich taborów, — lub zysk, lubo strata:
Tak mu pomsta, tak mu gniew serce w piersiach płata,
Choćby wszystkim Turkom być dzisiaj na przedpieklu,
Byle dobyć Kozaków
«Idźcież — rzecze — wielkiego świata króćciciele,
«Wytnicie i z korzeniem to szkodliwe ziele,
«Idźcie śmie! Ja na was będę patrzył zbliska,
«A kto najpierwszy wpadnie do tych psów łożyska,
«Dziś weźmie Sylistryją; a kto drugi po niem,
«Juki złota z ubranym daruję mu koniem;
«Tak aż do dziesiątego: każdy swej odwagi
«I męstwa należyte odniesie posagi».

Kiedy się do wygranej hardy Turczyn bierze,
Sześćdziesiąt dział burzących przeciwko kwaterze
Kozackiej wyrychtuje

¹ niedoładność, bieda.

² mowa o Osmanie.

Widzi dobrze Chodkiewicz, na co Turczyn godzi,
Więc w pole sześć usarskich chorągwi wywodzi,
Kędy i sam w tysiącu swojego wyboru
Czołem do kozackiego obróci taboru,
A oraz i lisowskie z szańcu ruszy rotę;
Tak stał w miejscu, czekając Marsowej roboty...

Wtem Osman niecierpliwie każe palić działa:
Zaćmi słońce gęsty dym, ziemia z gruntu grzmiała,
Rozlegają się góry i przyległe lasy
Niewytrzymałym trzaskiem, straszniemi hałasą.
Tak twierdzą (jam tam nie był), że z onego grzmotu
Kilka ptaków na ziemię spadło, zbywszy lotu;
Dzieli się Dniestr na dwoje, że mógł każdy snadnie
Obaczyć mokry piasek i kamyki na dnie...
Grom słuch odjął, a oddech — siarczyste otręby,
Wzrok — dym, że sobie ludzie palce kładli w gęby.
Twierdził to i Chodkiewicz, że, jak począł zmlodu
Wojnę służyć, takiego huku, dymu, smrodu
Nie uznał, jakim nas dziś gluszy, ślepi, dusi,
Kiedy się zwawy Osman o Kozaków kusi.
Tylko też¹ było szkody z onej srogiej burze!
Bowiem ci, w swoich szańcach siedząc, jako w murze,
Tak szkaradą kul gęstwą, która się tam zwała,
Jednego tylko z swoich junaków stradali.
A skoro kilka godzin bez wszelkiego skutku
Grzmi Osman, każe się swym zmykać² pomalutku:
«Jeśli się tam jeszcze kto morduje z tym światem,
«Dorżnąć go, a te działa wszystkie z aparatem
«Wprowadzić do taboru, wygnać niedobitki,
«A tak podciąć giaurom twardoustym łydki!»

Już umilknęły działa, już nie ryczą smoczy³,
Kiedy tyran zajadły wszystkie wyrzże mocy,
Żeby, obóz kozacki ze czterech stron prawie
Obegnawszy, w tak strasznej wziąć go mógł kurzawie.
Dopieroż Turcy wałem ruszą z góry ku nam,
Tusząc, że się Kozacy, tak gęstym piorunom
Oprzeć nie mogąc, albo zginęli do nogi,
Albo swoich taborów opuścili progi...

Długo leżą Kozacy. Jako więc zwykł łowiec
Na lisa i wilk, kiedy widzi stado owiec,
Nie pierwaj ten wypada, tamten zmyka z smyczy⁴,
Aż się zbliżą, aż będą pewni swej zdobyczy:
Tak Kozacy, swego się trzymając fortelu,
Nie pierwaj się objawiają, dokąd im na celu
Nie stanie nieprzyjacieli; toż mu ogień w oczy
I z dział, i z ręcznej strzelby sypą, a z uboczy
Zawadzi w nich Chodkiewicz i, o gołe brzuchy

¹ tyle też tylko.

² zewrzeć się, skupić szeregi.

³ wielkie armaty.

⁴ t. j. spuszcza psa ze smyczy.

Skruszywszy drzewa¹, sroższej doda zawieruchy,
Gdy, dobywszy pałaszów, jako lew z przemoru²,
Pierwszego bisurmanom przygasza humoru.

Zapomni się pogaństwo i strasznie się zdziwi,
Ze Kozacy strzelają i są jeszcze żywi,
Ze ich wszystkich burzące nie pogmiotły działa;
Smutnie przeto zawywszy swoje *halla, halla*,
Skoro ci jeszcze do nich wysypą się gradem,
Naprzód im czoła strachem podchodziły bladem,
Potem, kiedy Chodkiewicz wsiędzie na ich roje,
Ze łby im ostrą szablą zdejmując zawoje, —
Zwątpiwszy o posiłkach, zwyczajnego toru
Dzierżąc się, uciekali do swego taboru!
Nie pomoże Mahomet i carska powaga,
Gdy śmierć chwyta za gardło, gdy się serce strwaga...

Targa włosy na głowie, gryzie sobie palce
Zjadły Osman, żurzy się³ na swoje ospalce,
Już nie wierzy, żeby był Mahomet na niebie,
I swych, i nieprzyjaciół, i znowu klnie siebie!
Potem, się zapomniawszy, kiwa tylko głową,
Kiedy Turcy, osobą gardząc cesarzową,
O jego się tak blisko ocierając strzemie,
Uciekają; nakoniec, pięścią tłukąc w ciemie
Od gniewu, i samemu przyjdzie się rozgrzeszyć,
Przyjdzie i nieprzyjaciół, niestetyż, rozśmieszyć,
A uchylwszy one prześwieatnej grandece⁴,
Uciec z pola!
Ale póki w polu stał, jeszcze się wstydałi,
Jeszcze się jakokolwiek⁵ Turcy opierali;
Skoro uciekł, skoro się do namiotu schował,
Wszystkich w drogę rozgrzeszył i licencjonował⁶.

Zakończenie.

Tobie, Tobie, Monarcho szerokiego świata,
Aczci Cię żadna potkać nie może odpłata,...
Niesiemy hold powinny i wieczne trybuty!
Pełne usta Twej chwały i serce — pokuty!
Tobie w piersiach, podniósszy triumfalne palmy,
Święty pean przez hymny głosimy i psalmy!
Twoja to wiktoryja, Twój fest, Twoje dziwy,
Ze Turczyn, który samym strachem końskiej grzywy
Wielkie kruszył fortece i narody gładził,
Pierwszy raz, jako kosa o kamień, zawadził
O szczyptę Twoich ludzi, których wzgardził przodem
I zamierzać nad nimi śmiał zwycięstwo głodem! . . .
Twojej to, Twojej dzieło wszechmogącej ręki,
Za coć wszyscy pokorne oddajemy dzięki,

¹ włócznie. ² straszny głód. ³ gniewać się. ⁴ wielkość, powaga, majestat. ⁵ jako tako. ⁶ pozwolić (na ucieczkę — własnym przykładem).

Ofiaręć na czystych serc kładziemy ognisko,
 Ześmy na łup poganom, na urągowisko
 Pokrytym¹ przyjaciółom i naszym sąsiadom
 Nie przyszli: wszakeś serca człowieczego wiadom².
 Chciejże, wszechmocny Stwórco wszystkich rzeczy, zdarzyć,
 Aby pokój, któryś nam dziś raczył skojarzyć,
 W tej Koronie wiekował ku Twej chwale świętej,
 A z nas grzechu wszelakie wykorzeń ponęty!
 Pobożność, mądrość, miłość i insze pożytki
 Rozmnoż Świętego Ducha! A przemierzłe zbytki —
 Wstręć³ na niebie i ziemi (byle zaś nie w gniewie!)
 Do żywota — niech z nas Twa prawica wyplewie!
 Daj w ojczystej swobodzie, w rządzie, dobrej sile
 Wżyć tej śmiertelności zamierzone chwile!

93. Prócz utworów większych pozostawił po sobie Potocki nieprzebrane mnóstwo drobnych, które pisywał od młodu aż do późnej starości. Większą ich część zgromadził w dwóch olbrzymich zbiorach, obejmujących przeszło 100.000 wierszy. Pierwszy (wykończony przez autora w roku 1688, ale ogłoszony drukiem dopiero w r. 1915—1918) ma tytuł: *Moralia, abo rzeczy do obyczajów, nauk i przestróg w każdym stanie żywota ludzkiego, z łacińskich i polskich przypowieści, ojczystym krótko napisane wierszem*. Przypowieściami łacińskimi, które wymienia tutaj Potocki, są *Adagia* (przysłowia i wyrażenia przysłowiowe) wielkiego humanisty holenderskiego, znakomitego pisarza łacińskiego, Erazma z Rotterdamu († 1536); w dziele tem wyjaśnia Erazm (a często samodzielnie rozwija) myśli przewodnie przysłów. Otóż Potocki bierze od Erazma gotowe tematy (np. «Z dwojga złego mniejsze obierać», «W złotej pochwie ołowiana szabla»), a rozwija je czasem według Erazma, czasem — samodzielnie; są także tematy, wzięte nie od Erazma, tylko z przysłów i wyrażeń, które weszły już w Polsce w obyczaj powszechny (np. «Prośba przyjacielska stanie za rozbój»). Drugi zbiór (wykończony przez autora około roku 1690, ale ogłoszony drukiem dopiero w r. 1907) ma tytuł: *Ogród, ale nieplewiony; bróg, ale co krok, to inszego zboża; kram rozlicznego gatunku... rzeczy, powieści, przygody, podobieństwa, przykłady, które, jeśli nie były, być mogły w obojej płci, w różnych stanach i wieku żywota ludzkiego... są i żarty z podufałyimi bez sarkazmów przyjacioły*.

Ten dziwaczny tytuł jest bardzo odpowiedni dla obydwóch zbiorów: obydwa są rzeczywiście kramami rozlicznego gatunku — dobrego i złego; obydwa są ogrodami niewyplewionemi, autor bowiem nie przeznaczał ich do druku; obydwa wreszcie są snopami różnego zboża, bo ich treść jest bardzo rozmaita.

A więc najprzód są tu krótkie dykteryjki — w rodzaju tych, jakie pisywał Rej, zwykle niewybredne, a często bardzo swawolne, tak dalece, że się autor (jak sam żartobliwie mówi), spowiadał z nich, jak z grzechu, i postanowił je spalić; jeden bowiem ksiądz groził mu za nie «czyścem długim», a drugi nawet piekłem! Ale nie spalił i tym sposobem pozostawił po sobie ciekawe świadectwo obyczajowe (choć niebardzo obyczajne), mia-

¹ obłudny. ² t. j. Ty, Boże, wiesz, jakie to zamysły mieli nasi wrogowie.

³ przeszkoda.

nowicie świadectwo rubasznego humoru ówczesnej szlachty. Lecz nie brak dykteryjek zupełnie niewinnych, a naprawdę zabawnych.

Oprócz dykteryjek pełno w *Ogrodzie* i *Moraliach* opowiadań dłuższych, mianowicie obrazków rodzajowych z życia szlachty, zwłaszcza towarzyskiego. Za przykład może służyć opowiadanie *Prośba przyjacielska stanie za rozbój* — doskonała charakterystyka jednego z głównych rysów obyczajowości staropolskiej, mianowicie gościnności, która często bywała prawdziwym utrapieniem dla gościa, kiedy gospodarz w żaden sposób nie chciał go wypuścić z domu. Ale czasem i gospodarz miał za swoje — kiedy nawiedził go nudny gość i ani się myślał wynosić, nie widząc, czy też udając, że nie widzi, jak się gospodarz niecierpliwi. Raz np., opowiada Potocki, dano mu znać, że przyjechał jakiś gość nieznanymi: przyjmuje go gościnnie, daje mu jeść i pić, myśląc, że pojedzie sobie niebawem; ale gość się nie śpieszy, popija wódkę i skarży się na złą drogę; podano obiad, gość najadł się, gada i gada; gospodarz skarży się na nawal roboty, gość zaczyna mu opowiadać o bitwie pod Wiedniem; słońce zaszło — gość siedzi i gada; gospodarz zaczyna odmawiać pacierze — gość wciąż siedzi i gada; wreszcie gospodarz zrozpaczony, wybiera się w drogę przy «dobrej nocy» i pozbywa się nakoniec natręta. I takich obrazków jest całe mnóstwo, a odzwierciedlają się w nich obyczaje szlacheckie tak wiernie i dokładnie, jak w ani jednym zresztą utworze poezji staropolskiej.

W kościele gwizdać.

«Łżesz!» chłopu w karczmie rzekł chłop. A na teźje ławie

Siedząc, ksiądz: «Aż to mówią tak plugawie?

«Jakoż, kiedy nieprawda, tylko — rzecze — gwizni!

«Tak wszetecznych słów słuchać nie powinien bliźni!»

Wrychle potem ksiądz kazał: «Kiedy Pan Bóg z błota

«Stworzył człeka zdrowego, postawił u płota,

«Żeby usechł; jako się chytry szatan skradzie,

«Ospy, odry i różnych wrzodów weń nakładzie».

A tu chłop, znajdujący się na tej robociźnie,

W ławce siedząc z drugimi, co ma pary, gwiznie.

Tu ksiądz: «Cóż? czy nieprawda?» — «Tylko, ojczu, rzekę,

«Kiedy człeka nie było, któż grodził pasiekę?»

Stądci miejsce przypowieść staroświecka ściele:

Dajże pokój, nauczę gwizdać cię w kościele!

Wet za wet.

Ktoś, przyniósszy w zanadru cytrynę umyślnie,

Dając królowi, prosi o starostwo Wiśnie¹,

A król, że żył starosta, odpowie, jak z proce:

«Bardzo słuszna owocem nagradzać owoce:

«Jednak, że Wiśnie nie masz, natenczas się figą

«Kontentujcie!» Zrozumiał i poszedł za dygą².

Nienadana ceremonia.

Spragnawszy, król Kazimierz, goniąc zwierza w boru,

Wstąpił do szlacheckiego, chcąc się napić, dworu.

Rad był szlachcic ubogi, że go pan nawiedził:

Skoro z bębna³ ostatek piwa w szkleńcu sczedził,

¹ Wiśnia, Wisznia = Sądowa Wisznia (w powiecie mościskim).

² dygnawszy, ukloniwszy się.

³ dzban, butel.

Przyniesie mu do konia. A król: «Pijcież! — mówi —
«Wszak zawsze kredensować¹ należy królowi». Skosztowawszy, ów znowu z ukłonem mu poda.
«Wypijcież do dna — rzecze — tak niesie ta moda». Wypił ów do kropelki. «Kaźcie nalać teraz!»
Szlachcic, złożywszy ręce: «Przysięgłbym i nie raz,
«Choćby pod sercem było, choćby szczerozłote,
«Dałbym, gdybym miał; widzisz wszak moją ochotę». Śmieją się wszyscy, a król, zostawszy na koszu:
«Nie trzebaż ceremonii zażywać w Mazoszu!»

Biało ? «Młynarzu, są tu ryby?» — «Są, panie łaskawy!»
biało. «Ejże, podobno niemasz?» — «Próżne stoją stawy!»

Posłuszny Często pan mawiał, chcąc to chłopcu w głowę wlepić,
chłopiec. «Jak tylko *w gębę wezmę*, zaraz mi się chce pić»...
Trafiło się, że mu kto, nim uchylił gęby,
Straszny wyciął policzek, aż się zwinął w kłęby.
A chłopiec leci z piwem. — «Cóż mi po niem, człeczko?»
«Wždy waćpan zawždy pijesz, *wziąwszy w gębę*» — rzecze!
«Przepadnij choć do piekła z twojem piwem, djable!
«Raczej mi daj na pomstę co najrychlej szablę!»

Golono, Idący gdzieś z żoną po ławie² przez wodę,
strzyżono. Ujrzą chłopca bez brody, co ongi miał brodę.
«Ba, wej³, jak się nasz sąsiad wygolił», — mąż powie.
A żona: «Wždyć to ostrzygł, oto znać po głowie!»
Znowu ten: «Ba, ogolił». Owa: «Ostrzygł», — rzecze.
Tak długo między nimi było owej sprzeczce,
Aż z słowa przyszło do rąk, aż ją zepchnął z ławy.
Już tonie, już się baba napiła Rudawy,
Już i z głową pod wodą baba łowi śliże⁴,
Przecie palcami, rękę ukazawszy, strzyże.

Gdy się o tej sąsiedzi dowiedzą przygodzie,
Bieżą na dziw, a widząc, że przeciwko wodzie
Mąż jej szuka, a ci w śmiech. On też rzecze: «Szkoda
«Dziwić się: wszystko, prawda, nadół niesie woda,
«Lecz niewiasta, tak sprzeczna we wszystkim z natury,
«I po śmierci, rozumiem, płynęła do góry».

Z kmiotki Szlachcionka jedna, panny nie miawszy służebnej,
panna Kmiotkę, w lnianą koszulę ubrawszy ze zgrzebny⁵,
służebna. Bierze z sobą w gościnę. Ale wprzód napomni,
Żeby jak najprzystojniej, wszystko jak najskromniej
Czyniła, co jej każą, waszmościąla wszystkim

¹ służyć (przepijać do kogo).
(plotka). ⁵ płótno grube.

² kładka.

³ patrz.

⁴ mała rybka

I odwykała wiejskim obyczajom brzydkim:
Mianowicie u stołu patrzyła, jeśli ją
Posadzą, jako panny jedzą, jako piją;
Milczeć; spyta kto, — cicho odpowiedzieć, słuchać;
Na łyżkę całą gębą po wiejsku nie dmuchać,
Nie rządzić, nie przestawiać, żeby nie znać na niej;
Ręce założyć, skoro na nią pojrzy pani;
Pokrajawszy, na nożu w gębę kłaść z talerza!
Uczy tańca wielbłąda i wilka pacierza ¹.

Siedzą panie. W niezwyklej stoi czuba ² szacie
Przed niemi, aż się hałas jakiś stał w komnacie.
Prosi jej gospodyni, nie żalując prace,
Żeby zajrzała, kto tam tak barzo kołace;
A ta z niskim ukłonem: «Jegomość pan kurek
«Stłukł pannę maglownicę, wleciawszy na murek».
Śmiejąc się, gospodyni: «Daj zdrowie Ichmościom!
«Wielcem rada w domu swym niebywałym gościom».
Stąd przypowieść: *Pan Kurek z Panną Maglownicą*,
Kiedy się waszmościami pacholek z woźnicą.

A że już skończę bajkę z przypowieścią społu,
Posadzono też czubę z inszymi do stołu.
Był na półmisku kapłon pieczony; wzięwszy ta
Kolano, z apetytem zębami go chwyta,
Ciągnie garścią jako pies, przystąpiwszy nogą:
W tym razie pojrzy pani twarzą na nią srogą;
A moja czuba ręce, jako jej kazano,
Wskok złoży, zostawiwszy w paszczęce kolano.
Wszytcy w śmiech, pani tylko od wstydu nie zgore:
«Nie wezmęz ja cię, dragu, w gościnę powtóre!»
Dano kaszę na koniec; jeść się jej chce srodze,
Aż owa: «Dmąć haw ³ — głosem zawoła — gospodze!
«Będę ja też!» — «Dmi! bodaj rozpukła! Do bydła
«Nie do ludzi, do świni, maszkaro obrzydła!
«Prawiemci się uczciła ⁴, od widel od gnoju
«W panińskim koczkodona, czopa wożąc stroju!
«Niechaj wszystkie ziemianki mną się karzą dzisiaj,
«Że pstre cynki ⁵ kondysa nie przerobią w rysia!»

**Prośba
przyjaciel-
ska stanie
za rozbój.**

Do omycia w kościele pierworodnej winy
Przyjaciel i krewny mój prosił mnie na krzciny.
Ze prośba przyjacielska gorsza od rozboju,
Choć i starość, i zdrowie swego chce pokoju,
Nie mogąc się wymówić, obojga uchylę ⁶.
Jadę w niepogodny dzień, złą drogą, o milę;

¹ t. j. cała ta nauka miała taki skutek, jakgdyby kto uczył wielbłąda tańczyć, a wilka modlić się. ² czubatka (t. j. owa dziewczka). ³ tu. ⁴ a tom się urządziła! ⁵ cynek = cętka. ⁶ t. j. nie zwracam już uwagi ani na starość, ani na zdrowie.

Z kościoła, choć już słońce z południa się kloni,
 Po długiej na krótkim dniu, do wsi, ceremonji...
 Mrok pada. Nie chcą naprzód puścić mię z zastola;
 Jeszcze były poważne białogłowy ze mną:
 W domu dziś być koniecznie, choćby przez noc ciemną!
 Klękam, przysięgam, że już wina nie mam gdzie lać;
 Stać na nogach nie mogę, pijana i czeladź;
 Oknem trudno wyskoczyć, a izba zamknięta,
 I tego tylko czekam, że każe kłaść pęta!

Przecież, jakbym co ukradł, gospodarską zrzęde
 Przelomiwszy, ucieknę i w karetę wsiedę:
 I tu pić! Końmi ruszyć nie widzę sposobu,
 Kiedy ją z kielichami zalegą z stron obu.
 Wylazszy, idę pieszo o kiju za wrota:
 Toż wino, taż muzyka, taż i tam ochota!
 Nie gorzej na praszczętach¹, odbierając plagi,
 Przez różgi przepuszczony dragon biega nagi;
 I nie pierwiej się wydrę z tak gorącej łaźni,
 Aż i palca nie widać. Gdzie w srogiej bojaźni
 Wlecjemy się omacką, w srogim strachu, żeby
 Szyj, rąk, nóg nie połamać przez dzikie wertebę².
 Stangret — ślepy, forytarz³ — drogi niewiadomy:
 Chybiwszy jej, od samej zaraz zbłądził bromy⁴.
 Wsiadamy, gdzie konni namacają dołek,
 Aż naprzód spadł pod koła pijany pacholek,
 W którym wszystkie nadzieja, aż — woźnica z kozła!
 Nikt nie postrzegł, i długo za końmi się wiozła
 Karetą sama, póki tego sługa któryś,
 Czy trzeźwiejszy, niż owi, nie obaczy foryś.
 Stoimy. Konni w różne strony się rozbiega,
 Nim po świetle zdaleka chalupy postrzeżę.
 Toż, sprowadziwszy chłopów nie bez munsztuluku⁵,
 Dochrapimy się domu prawie na bałuku⁶,
 Nabrawszy — za zgubionych siłę rzeczy — błota.
 Takić pożytek zbytnia przynosi ochota!

Lecz nietylko do poznania obyczajowości szlachty polskiej są drobne wiersze Potockiego nieocenionym skarbem: poznajemy z nich w najdrobniejszych szczegółach własne dzieje poety, opowiada on bowiem drobiazgowo o swoim trybie życia, o swoim gospodarstwie, o swoich kłopotach i t. d. Ani jeden z poetów staropolskich nie pozostawił po sobie tylu osobistych zwierzeń, co Potocki. Przedmiotem zaś tych zwierzeń są nietylko jego własne sprawy, ale i sprawy całej Polski, które go zawsze żywo obchodziły: stąd wypłynął cały szereg satyr i elegij patryjotycznych; i w tych to właśnie utworach najpiękniej przemówił rozum Potockiego i jego szlachetne, kochające ojczyznę serce. Wszystkie współczesne nieszczęścia Polski, czy to

¹ różgi do bicia, pręty; męka. ² manowiec. ³ foryś. ⁴ brama. ⁵ podarek. ⁶ na czworakach.

hańba piławiecka, czy traktat buczacki, odbiły się tutaj bolesnem echem. Żali się Potocki, że wróg na wszystkie strony szarpie potężną niegdys Rzeczpospolitą, że «ten płaszcz, przez Bolesławów z różnych płatów tkany, — rozporą i rozbiorą każdy do swej ściany»; wyrzeka gorzko na anarchję i złotą wolność, która do zguby popycha Polskę: «Apetytem wolności zbytniej oślepieni, — lecą w ubóstwo, leżą w niewolą, szaleni». Sejmiki i sejmy nie zbawią, nie mogą zbawić Polski: «Dla pijatyki — większa nas połowica jeździ na sejmiki; — kto trąbi, karmi, poi,... królem może zostać»; «jakoż zabiegać, kiedy rwą sejm po sejmie? — kogo chce skarać, wprzód mu Bóg rozum odejmie!» Jedynym ratunkiem dla Polski byłaby silna władza dziedzicznego króla; ale cóż, kiedy tego nie rozumie szlachta, która «na majestat się, jako pies na kamień, miece», — «szczyre głowy kapustne w ludzkiej maszkaradzie»; «wspomniesz im dziedzicznego, żeby nie obierać — co raz nowego króla, — raczej chcą umierać!»

Oprócz anarchji, piętnuje Potocki ucisk chłopów — tak silnie, jak nikt za jego czasów: «Nie jeden się też wiesi; woli na powrozie, — niż umrzeć z bicia albo w gąsiorze¹ na mrozie». Jak śmiesz — woła poeta do okrutnego pana — chodź do kościoła, «pełne oczy krwie, pełne krzyku mając uszy? — Hycel psa do jednego razu bije w mieście, — jemu trzeba tysiąca, mało kijów dwieście, — na człeka, na bliźniego, co mu winien tyle, — że mu go wolno zabić»; przecie chłopci są «bliźnimi, bo są ludzie, wedle apostoła, — bracia, jednego z nami członkami Kościoła! — czemuż się katolicy dziś na to odważą — swoją handlować bracią pogańską przedają, — z bydłem wraz inwentując² katolików kmieci, — gdzie mu wszystko, począwszy od żony, od dzieci, — dusze nawet wolno wziąć z gardła!»

Nie ukrywa Potocki i tej gorzkiej prawdy, że nietylko ludzie świeccy, ale i księża uciskali i obdzierali chłopów: «Samże ksiądz na śmiertelnej pościeli przy chorem — pisarzem testamentu, sam egzekutorem; — choć więcej nie zostało, tylko jedna krowa, — niech dzieci głodem pomrą: na kościół połował — Trzeba naprzód zapłacić temu, kto zadzwoni, — ziemię kupić na grób, choć ksiądz nic nie ma do niej: — drożej, jeśli w kościele abo przy oltarzu, — taniej, jeśli pod niebem będzie na cmentarzu!» Wogóle Potocki w myśl swej zasady: «Podobnoć na się księży Ichmości obrażę, — ale więcej ojczyzny, niż ich, łaskę ważę» — nie oszczędzał duchowieństwa, wyrzucając mu niemoralne życie, ciemnotę, a nadewszystko chciwość grosza («Wszyscy księża łakomi, jąwszy od biskupa»), — bo rozumiał, że co innego religja i wiara, a co innego duchowieństwo. Jako człowiek głęboko religijny, brak wiary poczytywał za nieszczęście i źródło niemoralności: «wszystkie grzechy z pokrytym dziś do Polski weszły ateizmem»; ale odróżniał prawdziwą religijność od fałszywej, istotę wiary — od jej pozorów, pobożność — od nabożnisiostwa:

Miłość boska złotym jest do nieba powrozem,
Wiara i cnota — koźmi, grzech — błotem, człek — wozem...
Wszystkie wymysły ludzkie, powierzchowne fochy —
Łykiem, mizernem łykiem są z lipowej sochy:
Niech się dyscyplinuje, niech trzodzi, niech suszy,
Niechaj od stopy złoci obrazy po uszy,

¹ dyby. ² zapisywać do inwentarza.

Niech dźwiga relikwije worem, niech je liże,
Świec stem tysięcy stawia, czci drewniane krzyże, —
Jeśli w grzechowem błocie wóz uwiązał i konie,
Łyka to, — serdecznejby liny trzeba po nie!...

Ale co najwięcej bolało Potockiego, to nietolerancja religijna, którą słusznie poczytywał za jedno z największych nieszczęść Polski.

**Summum
jus summa
injuria¹.**

Rozkazano synowi matkę, że źle wierzy,
Związawszy, przywieść na sąd katu do obierzy²,
Inaczej — sam iść musi. Uzaliwszy syna,
Odmienia matka wiarę, zaprzawszy Socyna³.
I to mu niepomogło: żeby zdrowie zbawić,
Na okup, jedną miawszy, musiał wieś zastawić.
Więc kiedy o przyczynę dekretu się pyta,
Prawo na aryjany sędzia mu przeczyta.
«Alem ja nie aryjan». — «Ale twoja matka
Długo w Polsce nią⁴ żyła, aktor⁵ stawia świadka».
«Żyłać nie ze mną, z moim ojcem nieboszczykiem:
Ojcaż było i sądzić; ja, bywszy młodzikiem,
Wojnę służył». A sędzia: «Kiedy nie masz ojca,
Idźże sam, panie synu, do wieże, do kojca,
Na rok i na sześć niedziel — prosto z trybunału,
Dawszy kilka tysięcy sędziom do podziału;
Tyleż — delatorowi⁶, który przed biskupem
Niedawno rewokował⁷, a tyleż okupem
Na więźniów kamienieckich, tyleż dać we Lwowie;
Od dekretu zapłacić, aby dał Bóg zdrowie».
«Apeluję», rzecze ów. «Dokądże?» «Do Boga,
Że gwałt mandatom Jego i naturze sroga
Krzywda dzieje⁸: czcic kazał (nie bez obietnice)
Nie wiązać na katowską śmierć dzieciom rodzice».

**Kto moc-
niejszy,
ten lepszy.**

«Temu nieborakowi wsi wzięły kaduki»⁹.
Czemu to? — «Bo źle wierzył». — Takowej nauki
W żadnym piśmie nie czytał; onby sam dla siebie
Co najlepiej chciał wierzyć, żeby mógł być w niebie.
«Z Kościołem trzeba wierzyć bez wszelkiego swaru!»
Wzdyc wiara jest dar boży: a nuż tego daru
Temu nieborakowi nie chciał Bóg dać? To mu
Wioskę wziąć? to go wygnąć na tułactwo z domu?
Nie jedenże katolik nie wierzy z Kościołem, —
Czemuż mu wsi nie biorą z aryjany spolem?
«Každy wierzy, w co Kościół, chyba, że nie czyni».

¹ największe (t. j. zbyt ściśle stosowane) prawo bywa największem bezprawiem. ² powróż. ³ zaparłszy się Socyna, teologa arjańskiego. ⁴ t. j. wiarą arjańską. ⁵ oskarżyciel. ⁶ donosiciel. ⁷ wyparł się świeżo arjanizmu. ⁸ dzieje się. ⁹ t. j. temu nieborakowi skonfiskowano wieś (prawem kaduka, t. j. jakby właściciel umarł, nie pozostawiwszy po sobie spadkobiercy; kaduk = prawo dziedziczenia takich dóbr).

To taki gorzej, niżeli aryjan, przewini!
«Przeczyć ten nabożeństwa dla wsi nie odmienił?»
Bo drożej, niżeli wieś, swoją wiarę cenil!
Nacóż mu ją wydzierać gwałtem chcą ci sędzie,
Kiedy on mocno ufa, że w niej zbawion będzie?
Toć już Bóg nie dla sądu, lecz przyjdzie dla kary,
Kiedy Go uprzedzają, sądząc ludzie z wiary.
Jeśli, jako o rozbój albo insze brzydy,
O wiarę karzą, czemuż opuścili Żydy?
«Bo się nam okupują!» Pewnieć temi, co są
W Polsce pieniądźmi, — inszych do Polski nie niosą.
A kędyż sprawiedliwość za pieniądze chodzi?
Godne prawo nagany, ani się to godzi!
A o naszej co mówią aryjani wierze?
«To, co my o ich: że w niej nie ważne pacierze».
Czemuż my ich, nie oni z ojczyzny nas ruszą?
Wždy szlachta! o równą się z nami wolność kuszą!
«Bo nas więcej, niżli ich!» Już teraz pomału
Przychodzę do rozumu: lis ze lwem do działu!
Nie, żeby oni jaką zasłużyli winę,
Tylko, że słabszy, przeto z nimi za drabinę!
Bać się, żebyśmy, karząc złą wiarę w ich zborze,
Barziej nie utwierdzili tym sądem w errorze¹:
Rzadko kiedy gwałtowna rada dobra bywa;
Nie wadziło poczekać z tem plewidłem żniwa.
I kalwinić nie wierzą kościelnej nauki:
Czemuż na nich takiejże nie zażyjem sztuki?
«I ci w Polsce nie wieczni: skoro się przersedzą,
«Upewniam, że Angliją z Holendry nawiedzą!»²

Jeden to z najlepszych drobnych utworów Potockiego, jedna z najboleśniejszych satyr w całej poezji staropolskiej, a zarazem najpiękniejsze w całej literaturze XVII w. słowo, wypowiedziane w obronie wolności wiary i sumienia.

Wszystkie swoje smutki patryjotyczne zebrał Potocki w satyrze p. t. *Czuj! Stary pies szczeka*. «Stary pies (gospodarzu, czuj o sobie!) szczeka; — dosypiasz li, szkoda cię, ba, zginienie czeka! — Podkopują złodzieje, zbójcy naprzemiany, — do komór domu twego rozbierają ściany. — Porwi się, biały orle! radź o sobie, Lachu!» Tymi zaś złodziejami i zbójcami, którzy kradną komorę (t. j. Polskę), są nietylko źli sąsiedzi, szarpiący granice Rzeczypospolitej, ale i domowi: panowie i urzędnicy, ciemiężący chłopą; chciwi i niemoralni księża; mieszczenie, wstydzący się swego pochodzenia i gwałtem wdzierający się w szeregi szlacheckie; kupcy, wywożący z biednej Polski srebro zagranicę; żołnierze, obdzierający biednego kmiotka; sędziowie niesprawiedliwi i krzywoprzysiężni: na nich to wszystkich szczeka stary pies, t. j. poeta; ale cóż z tego, kiedy «darmo szczeka stary pies: to będzie miał zyskiem, — że mu się wręcz abo też dostanie pociskiem. — Śpią wszyscy

¹ błąd. ² t. j. jestem pewny, że i kalwini będą wypędzeni z Polski.

na obiedwie uszy, jako w lesie, — nikt nie wyndzie, nie wyjrzy: pies szczeka, wiatr niesie!...»

Jeszcze silniej przemówił ból patryjotyczny Potockiego, spotęgowany świadomością, że Polska leci w przepaść bezdenną, bo zatyka sobie uszy na głos ostrzeżenia, w rozdzierającej skardze p. t. Niechaj śpi pijany:

Śpi świat pijany... Djabeł na warcie, żeby nikt nie budził, stoi,
Grozi palcem zdaleka, psów nawet popoi,
Najpierwej im to wino postawiwszy w wierdze,
Żeby spali. Nie szczeka żaden na katedrze,
Abo niezrozumiałym głosem! Chce li pyska
Uchylić który, chleba po kawalku ciska.
Niechżeby który krzyknął, jako ogar w borze, —
«Heretyk! Zamurować na śmierć go w klasztorze,
«Abo ściąć, abo spalić! Tak smaczny sen światu
«Przerywać? niech paszczyki swej sprawi się katu!»

Niema w tej skardze żadnej przesady: życie swoje narażał ten, kto się ośmielał budzić szlachtę, śpiącą snem złotej wolności; mianem heretyka albo zdrajcy piętnowano tego, kto śmiał przemawiać za tolerancją religijną, albo za reformą polityczną. Prawdziwie, jakiś djabeł stanął w Polsce przy końcu XVII w. na warcie, nie pozwalając szczekać «starym psom» — mądrym i wiernym stróżom Rzeczypospolitej, których było coraz to mniej, a do których należał Wacław Potocki! To już nie smutek, to rozpacz odezwała się w tej skardze, — rozpacz patryjotyczna stojącego nad grobem starca, który, widząc, że «gore Polska, gore dom,... już dach spadł, ściany lecą», nie potrzebował być prorokiem, aby wróżyć, że Polska «nierządem zginie, — rozlezie się abo między sąsiadów rozplynie», i tę już tylko jedną miał pociechę: «I ci szczęśliwi, których pecha starość do dołów, — że nie obaczą miłej ojczyzny popiołów...»

94. Jak *Wojna Chocimska* stanowi najpiękniejszą ozdobę epiki XVII wieku, tak ozdobą najpiękniejszą jego liryki jest *Psalmodyja Polska*. Jej autorem jest sandomierzanin **Wespazjan Kochowski** (1633—1700). Poprzestał na ukończeniu szkół średnich, skąd wyniósł znajomość łaciny, oraz poezji, mitologii i historii starożytnej; zresztą zbyt biegłym starożytnikiem nie był: jak Bartłomiej Zimorowicz nie widział różnicy pomiędzy Syreną a Charybdą, tak on nie odróżniał Peryklesa od Temistoklesa, a Herkulesa od Hanibala. Ale więcej, niż szkołom, zawdzięczał, podobnie jak Twardowski, samemu życiu: przez cały «lat dziesiątek władał kopiją», walczył z Kozakami (pod Beresteczkiem), z Moskwą, ze Szwedami. Później zamienił szablę na lemieś i gospodarował najprzód w sandomierskiem, później w krakowskiem, otoczony powszechną przyjaźnią; ale kiedy Jan III szedł pod Wiedeń, znowu miecz do boku przypasał, aby walczyć w obronie Europy i chrześcijaństwa. Bo grała w nim mocno krew rycerska, która się jednak doskonale godziła z przyrodzoną dobrocią i pogodą ducha.

Ojczyznę kochał gorąco: chętnie krew dla niej przelewał, radował się z jej triumfów, oplakiwał klęski; rozumiał, że ucisk chłopów (mniejszy zresztą w Polsce, niż gdzie indziej) woła o pomstę do Boga, i smucił się, że ktoś nazwał Polskę piekłem chłopskiem (*infernum rusticorum*); biadał nad

rozrywaniem sejmów, co nie przeszkadzało, że i on, jak tylu innych, po-
czytywał *liberum veto* za «balsam», za «diament kosztowny wolności», by-
leby się tylko nie posługiwano nim dla prywaty; tego, że *liberum veto* jest
bez względu nie szkodliwe, nie rozumiał. Wogóle nie rozróżniał jasno
sprawy publicznej od prywaty, skoro, idąc za oczywim pędem, uwierzył
w Lubomirskiego, jako w zbawiciela Polski, i nie tylko stanął po stronie ma-
gnata, ale cały poemat w jego obronie napisał, chociaż sumienie ostrzegało
go, że magnat walczy przeciwko «zwierzchności najwyższej i pomazańcowi
bożemu». Dumny był także Kochowski z obieralnego tronu w Polsce i z po-
psolitego ruszenia, które nazywał «świętą kotwicą» i «portem bezpieczeń-
stwa» dla Polski; na stałe wojsko patrzył równie krzywem okiem, jak na
fortece: poco je budować? czy nie lepiej i szlachetniej «piersiami naszymi
zasłaniać ojczyznę», «obyczajem przodków naszych tę spólną matkę naszą
opasać ciałami naszymi?» Słowem, był to patryjota gorący, ale bez szerszego
i głębszego poglądu na sprawy państwowe.

Religijny był nawskróś, po staropolsku, nabożny aż do dewocji. Całym
sercem kochał Boga, wierzył ślepo w Opatrzność, miał szczególne nabożeń-
stwo do Najświętszej Panny, jako do Królowej Polski; wierzył w cudowne
uzdrowienia, wielbił cudowne obrazy; wierzył, że wizerunek Chrystusa może
płakać krwawymi łzami, że Matka Boska uratowała mu życie, kiedy raz,
kąpiąc się w Pilicy, już już miał utonąć, a i w to wierzył, że rana, którą
otrzymał w bitwie ze Szwedami pod Gnieznem, była mu zasłużoną karą za
to, że nie chciał uwierzyć, iż w przeddzień bitwy z boku figury ukrzyżo-
wanego Chrystusa trysnęła krew. Silna wiara w Opatrzność bożą nie ustrze-
gła go jednak od różnych zabobonów: wierzył np. w «lata klimakteryczne»,
to jest w to, że się co lat siedem musi zdarzyć w życiu narodu jakiś ważny
wypadek; a do tego (inaczej, niż Potocki) był fanatykiem i nietolerantem:
poczylując różnowierstwo za główną przyczynę nieszczęść Polski, nie cier-
piał protestantów, nadewszystko zaś arjan, z których wypędzenia serdecznie
się cieszył, nie szczędząc im zelżywych przezwisk, nazywając ich «ojczyzny
wieczną hańbą», «ciemniami z przedpiekła sowami», «wnukami Belzebuba»,
«lucyferowymi siostrzeńcami» i t. p. Tę niechęć względem różnowierców
podzielał Kochowski z całym niemal społeczeństwem ówczesnem. I wogóle
przez rodzaj swego patryjotyzmu i religijności, przez swą pogodę ducha, przez
to dalej, że w jednej osobie był rycerzem i ziemianinem, przywiązany do
kawalka roli i rozkochany w powabach życia wiejskiego, jest Kochowski
postacią typową, w której się odzwierciedlają poglądy i uczucia przecięt-
nego szlachcica, z tem jednak bardzo ważnem zastrzeżeniem, że dobre strony
natury polskiej miały w nim przewagę nad złemi: nie był on np. tak kłó-
tliwy, nie procesował się tak zawzięcie o byle co, jak większość ówczesnej
szlachty. Wogóle jest to postać bardzo miła, o głowie nie szerokiej, ale o do-
brem, uczciwym, miękkim, jak wosk, sercu.

Jako poeta, cieszył się niemałym uznaniem współczesnych, którzy na-
zywali go Kochanowskim swego czasu. Współcześni przesadzili: miał Ko-
chowski niewątpliwie talent, mianowicie liryczny; uprawiał te same mniej
więcej rodzaje poezji, co Kochanowski, w którym się pilnie rozczytywał i któ-
rego «hetmanem poetów polskich» nazywał; a więc i on pisywał pieśni pa-
trjotyczne, religijne, refleksyjne, fraszki wesołe i poważne, psalmy, treny;
jak Kochanowski, tak i on opiewał rozkosze życia wiejskiego; i on miał
poczucie piękna i miłą szczerłość uczucia; i on umiał przyoblekać swe po-

mysły w odpowiednią formę: wszystko to prawda, ale i to prawda, że te zalety posiadał w bez porównania mniejszym stopniu, niż Kochanowski, że talent miał prawdziwy, ale w porównaniu z talentem Kochanowskiego małe; a zmysłu piękna posiadał niedosyć, aby się uchronić od nienaturalnego często porządku wyrazów, od słów zbyt pospolitych, lub od wyrażań wyszukanych (św. Józefa np. nazywa Słowa wcielonego komisarzem); szpeci również jego poezję zbyt częste posługiwanie się mitologją. Z tem wszystkiem posiada jego poezja niezaprzeczonego wdzięk, tak rzadki w XVII stuleciu, i wśród współczesnych sobie liryków zajmuje Kochowski miejsce naczelne; jego pieśni nie są tak kunsztowne, jak wiersze Andrzeja Morsztyna, ale zato szczerze, naturalniejsze i przez to właśnie piękniejsze; różnorodność strof lirycznych — ogromna, muzykalność wiersza — niemała.

Pieśni Kochowskiego, pisane poczęści na wzór Horacjusza i Kochanowskiego, wyszły, razem z fraszkami, p. t. *Lyrice polskie, w niepróżnym próżnowaniu napisane*, czyli, jak opiewa drugi tytuł: *Niepróżniące próżnowanie, ojczytym rymem na Lyrice i Epigrammata polskie rozdzielone i wydane* (1674).

W dziale pierwszym, obejmującym pieśni, są najprzód pieśni religijne — owoc szczerzej i głębokiej wiary poety. Najudatniejszą jest *Uciezka Korony Polskiej do N. P. Maryi*, znamienna, jako wyraz tej czci, jaką otaczał Matkę Boską nie tylko poeta, ale wogóle naród polski, który Ją sobie za Królowę Niebieską obrał.

Dużo jest pieśni patriotycznych; ich przedmiotem są niemal wszystkie ważniejsze współczesne wypadki dziejowe, począwszy od śmierci Władysława IV aż do elekcji Sobieskiego, które napełniały serce poety to radością, to, bez porównania częściej, smutkiem, a więc hańba pilawiecka, klęska korsuńska, zwycięstwo pod Beresteczkiem, wojny szwedzkie, triumfy hetmana Sobieskiego i t. d. Jedną z najlepszych jest pieśń p. t. *Dawna kannańska odnowiona*, pełna smutku patriotycznego i oburzenia na ucieczkę z pod Pilawiec, którą poczytywał poeta za równie dotkliwą klęskę dla Polski, jaką dla Rzymu była straszna bitwa pod Kannami, zapominając jednak o tem, że bitwa kannańska była klęską, nie hańbą, jak Pilawce; ale pieśń jest piękna, miejscami wcale silna, a zawiera w sobie bolesną skargę na zniewieściałość, na ucisk ubogich, na zbytki obozowe, na samochwalstwo.

I inne grzechy swego społeczeństwa śmiało piętnował Kochowski, miotając np. *Przekleństwo na synów koronnych, sejmy zrywających*: «Bodaj źle zginął, bodaj zabit marnie, — kto dla prywaty swej sejmy rozrywa! — Niech głowa jego przepada niekarnie, niech wymazany z ksiąg żywota bywa! — Żyw li też, niech go nieszczęście ogarnie, — a sztuki chleba niechaj mu ubywa! — Niż MATKA zginie, niechaj zły syn pierwu, zwierzom potrawę dawszy z swego ścierwu!»

Miłe są pieśni sielskie, w których poeta to unosi się nad pięknością swoich stron rodzinnych, nad «miłemi gór świętokrzyskich kniejami, na których wiecznie liś się zielenieje»; to opiewa powaby wiosny, która «wsztykiemu czołem; ona śniegi zbiera — i na przemarzłej ziemi ona rozpościera — różnych kwiatków szpalery:... Sam się róża czerwieni rumieńcem purpury, — w drugim krzaku zaś biała na słoneczne przyście. — przyjemną czyniąc wonią, swe rozwija liście»; to wyraża swoją radość i zadowolenie z gospodarstwa na kawalku ziemi, niewielkim wprawdzie, ale własnym i urodzajnym:

to opisuje zajęcia i rozrywki wiejskie, zwłaszcza ulubione dawnym Polakom *Mysłistwo* — w pieśni, pełnej ruchu i hałasu.

Najwięcej jednak talentu widać w pieśniach wesołych, żartobliwych, będących wyrazem pogody ducha poety, który przepadał za życiem towarzyskiem i wesołością i, jak się sam przyznaje, wolał taniec od wojny: «Weselsza chwila — widzieć Achilla — w tańcu z Bryzeidą, — niż gdy z Parysem, — kryci kirysem, — za łeb mściwo idą»; przy wesołej uczcie, w grodzie przyjaciół, nie lubił myśleć o rzeczach poważnych: «Fraszki mądre Muzy; — to grunt, co frasunek przerwie, — puhar jaki duży! — Niechaj kto chce tam z fizyki — mądry dyskurs wiedzie: — my zaś wolem ssać kufliki — przy długim obiedzie... Kto zwyciężył nieprzyjaciół, — stawiaj obeliski: — ja się wolę cisnąć za stół, — gdzie gęste kieliszki!... A chociażem człek ubogi, — gdy między puhary, — sam mi krymski chan nie srogi — z swoimi Tatary! — Chociaż leży tam pod Wilnem — Moskal o tej dobie, — wnetże mu ja będę silnem, — jak podpiję sobie! — Iże Szwedzi, twierdzą naszy, — wysiedli pod Ryge: — ja, przy pełnej siadzy — flaszy, pokażę im figę!» Tak to opiewa Kochowski uczył i tańce, żartuje sobie z towarzyszków, prawi komplementy kobietom, ale tylko młodym i pięknym: starych i brzydkich nie lubi, tych zwłaszcza, które, pragnąc się odmłodzić i upiększyć, malują sobie twarz i czernią brwi; z takich szydzi niemiłosiernie: «Twoja li to twarz, czyli kobyła? — Niech mię uroda ta nie omyła! — Tważ to postawa? twojeż to lice, — czy w dziesięci lat młodej żrebice?... Brwiczki przyprawne — przyjemna sztuka! — ale tak wdzięczna, jak u borsuka! — Nos jako siekacz, a płeć tej barwy, — jako malarze malują larwy!¹ — Zębki z hebanu — wiedz, który kędy! — nadpustoszały obadwa rzędy; — ten defekt tając, wargi zatyka — i już nie mówi, leć² cale krzyka!» Żartobliwie również mówi poeta o swojej miłości; w pieśni np. *Melancholija* nie bardzo się smuci, że dostał odkosza: nie będzie ta, będzie inna; a w pełnej wdzięku pieśni *Zielone* zaręcza, że swoją ukochaną Marysię (żonę, Marjannę z Misiowskich) wygrał w zielone; jedna to perełek liryki staropolskiej.

Wesołość Kochowskiego odbiła się i w drugiej części *Niepróżnującego próżnowania*, zawierającej *Epigrammata polskie, po naszymu Fraszkis*. Nie wszystkie są oryginalne: zasilał się autor obficie pomysłami fraszkopisarzy starożytnych i nowoczesnych (zwłaszcza epigramatami łacińskimi poety angielskiego Jana Owena). Lecz pomysły zapożyczone umiał zgrabnie przetwarzać; tak np. złośliwy epigramat grecki («Raz Kappadoka złośliwy ukąsił gad i na miejscu — Ducha wyzionął wnet sam, jadu napiwszy się z krwi») Kochowski przypiął Mazurowi. Jak wesołe fraszki Kochanowskiego są odbiciem wesołych zabaw poety w Krakowie, tak w wesołych fraszkach Kochowskiego odbiło się wesołe życie sąsiedzkie szlachty sandomierskiej. Lecz, za przykładem Kochanowskiego, pisywał Kochowski także fraszki poważne, w których wyrażał swoje poglądy na życie wogóle, a na życie polskie w szczególności.

Pierwsza i ostatnia ucieczka Korony polskiej do N. P. Maryje.

Jak się owo dziecko bierze
Rozkwilone od macierze,
Kiedy, swawolne, bojąc się chabiny³,

Gniewnemu ojcu czyni przeprosiny;
Więc do matki ręce wznosi
I ratunku od niej prosi,

¹ maski. ² lecz. ³ różga

Pod nie się tuli, jej zakrywa szatą,
Aż je pojedna z rozgniewanym tatą:
Polsko moja! w tak zlej toni
Któż cię dźwignie, kto obroni?
Skąd ci tak wcześniej suppecyje¹ przyjdą,
Któraż cię Pallas zasłoni egidą?
Apollo swej bronil Troi,
Mars przy Rzymie mocno stoi,
Jupiter swemi opiekął się Greki,
Jako wierzyły dawno błędne wieki:
A my dokąd, bliżsi zguby,
Udamy się z swemi śluby,
Kiedy Niebieski Ociec rozgniewany
Przypuścił gorsze Szwedy, niż pogany?

**Dawna kanneń-
ska rozprosze-
niem wojska
pod Pilawcami
odnowiona
r. 1648.**

(w skroceniu).

Nie laj, nie fukaj, który chcesz ojczyzny,
By w niepamięć szły mniej uczciwe bliźni!
Nie klniej, nie złorzecz! Jako chwalne dzieła,
Tak trzeba, hańba by pamiętną była!...

Jako do wieku Polska tu osiadła,

Na nią takowa obelga nie padła:

Umierać raczej poczciwie woleli
Polacy, niżby z placu zbiegać mieli!

Wspomnieć Chojnicką, wspomnieć Bukowinę,
Rzadką niesławy w kronikach nowinę:
Choć nieprzyjaciel otrzymał zwycięstwo,
Krwia je swą płacił przez Polaków męstwo...

Na nim⁴ nie droga ode złota gaza,

Leć od rzemienia tylko a żelaza,

Na panu serdak z prostej tkany wełny,
Suchar a woda — bankiet mu zupełny.

W ciągnięciu się nań nie poskarży chłopak,
Na podwodę mu nie wzięto świerzopek⁵,
W stacyj⁶ sierot nędznych nie ciemięży,
Na sumnieniu mu ludzki płacz nie cięży.

Za wami zasię skwierk⁷ ubogich bieży,
Pełniście zdzierstwa, pełniście grabieży!...

Bo pociście wy do obozu przyszli?
Snadź dla bankietów, biesiad, dobrej myśli!
Poranek gnuśny, a wieczór pijany:
Także to Kozak będzie zwojowany?

Szańców nie sypią, nie ćwiczą piechoty,
W pole na monstrę nie wynidą roty.
To kunszt — harcować pod wieczór wesoły
I Chmielnickiego wojować za stoły!⁸

Ospale strażę, rzadko kiedy rady,
Leć i te raptem, bo długie obiady
Wszystek czas wezmą: gorące pasztety

Późdzmy Boskiej prosić Matki:
Aza² Polski te ostatki
Pożarte wydrze z łakomej paszczeki
I nie da zginąć Sarmatom na wieki!
Pokaż się nam Matką, Pani!
Prosim, upadli poddani:
Broń nas zaszczytem³, o Królowa, czu-
[lem, —
Tym Cię na wieki Polska czci tytułem!
Ukój Ojca w gniewie srogim,
Przeproś winy nam, ubogim,
Aby pamiątka w polskim była państwie:
Nie zginie, kto jest w Maryjej poddań-
[stwie.

¹ posiłki, pomoc. ² może, a nuż. ³ broń, obrona. ⁴ t. j. na starożytnym Polaku. ⁵ świerzopa = klacz. ⁶ stacja = postój. ⁷ pisk, jęk. ⁸ za stołami.

I genueńskie, od kanarów¹ wety!

Potem, w okropne jak należą czary
Mocnych cekubów², pstryknem na Tatory,
Lub tej od wina śmiałość nawykniem,
Iżę Kozaków kańczugami wytniem!...

Myślistwo (w skróceniu).

Wstawajcie, bracia, bo już słońce wstaje,
Nam pogodę piękną daje;
Konie dawno posiadłane,
Łowczy otrąbił na szczwaczów, wsia-

[dane...

To byt na świecie, byt nieporównany
Być jednym z cechu Diany!

I, jeżeli nie myśliwy,

To nie jest żywot na świecie szczęśliwy!

Jako niezwyklej uciechy przybywa!

Łowczy: *Pojedź!* wytrębywa;

Pódź za nim! myśliwcyk krzyczy;

Ogary w sforach, a charty na smyczy.

Tam, gdzie obierzna knieja³, z niemi

Wywiera ogarów zgraje, [staje,

A szczwacze, pełni nadzieje,

Z postrzemiennemi⁴ jadą wkoło knieje.

Nie tak labęcie głośno na Strymonie⁵

Nuca przy ostatnim zgonie,

Erytrejskie⁶ nie tak dzwoni

Wdzięczne, jak krzyk psi nieutulony!

Fraszka w Narbonie⁷ organy misterne,

Głosy wydając niezmierne:

Gdy ogary skulą⁸ w lesie,

Daleko huczniej echo odgłos niesie!!

Już się na liszkę otrąbił i wilka

W trąbę łowczy razy kilka;

Idą psi; *pąda!*⁹ on krzyczy,

Żeby pilnować pewnej już zdobyczy.

Ha, ha po lesie, wszedłszy, się rozlega:

Już sam¹⁰ bury wilk wybiega,

A ten zraził zwierza marnie,

Leć nań przesmykiem dwie wypadły
[sarnie.

Na tego wypadł dzik impetem wściekłem

I rozciął mu charcicę kłem,

Aleć przecię za tę szkodę

Położon kulą: zwierzyna w nagrodę!

Skończywszy dzieło, w kupę obłów zno-
[szą,

Zaraz jedni zwierz patroszą,

Ci zaciekle psy strębują,

Wszyscy wesoly triumf odprawują.

Nie tak Herkules, kiedy nemejskiego

Zabił mężnie lwa srogiego,

Ale Meleager, dzika

Mężnym obłowem ucieszon, wykrzyka,

Jak oni chwałą, jako skromny¹¹ zając.

Drugi, chartom swym dank dając,¹²

Anatomizuje¹³ sobie

Wilka, o jego rokując wątrobie¹⁴.

Temu wwiązana chytra liszka w troki¹⁵

Konia szczypie mu za boki,

Ów sarny na wozie kładzie,

Ten skok¹⁶ podziela ogarów gromadzie.

Dopieroż, kiedy myśliwa drużyna

W domu siedzie u komina,

Triumfują wszyscy bardziej,

Niżli kiedy Rzym wzięli Longobardzi!

Wtem z różnów niosą dżeczny okroje

I z piwnice wtań¹⁸ napoje;

Jak zamroczą łeb kieliszki,

Samiz pojedzą i wilki, i liszki.

Zielone.

Maj wesoly nam nastaje,
Zielenią się sady, gaje,

Wiosna zimie gnuśnej laje,
A zielone w rękę daje.

¹ kanar = słodycz. ² cekuby = wina włoskie. ³ knieja, otoczona obierzami, to jest sieciami. ⁴ pies, przywiązany do strzemięcia. ⁵ rzeka w Tracji. ⁶ Erythrae — miasto w Azji Mniejszej ze świątyniami Terkulesa i Ateny. ⁷ Narbona — miasto w Galji. ⁸ skuleć = skomleć. ⁹ okrzyk na psa. ¹⁰ tu. ¹¹ tłusty. ¹² nagradzając swoje charty ochłapami z upolowanej zwierzyny. ¹³ anatomizować = rozbierać, ćwiartować. ¹⁴ spodziewając się, że wilk ma ogromną wątrobę (która uchodziła za cudowne lekarstwo). ¹⁵ chytry lis (udający tylko zabitego), przywiązany do torby myśliwskiej. ¹⁶ skok = noga zająca. ¹⁷ znów.

Zakwitły piękne dziardyny¹,
Zgoła wszytek świat jak iny;
Ogrodów Flora bogini
W oczach ludzkich cuda czyni.

Patrz, jako jawór wyniosły
Już gęstem liściem porosły;
Kochaneczek wawrzyn Feba
Ma odzieży, co potrzeba.

Jabłoń w porosłe gałęzi
Sama siebie, kryjąc, więzi;
Na cytryny, gruszki, wiśnie
Gęsty przez gwałt list się ciśnie.

I wszytek rodzaj skołoźrzy²,
Wierzchołka z pniaku nie doźrzy.
Wraz wzgardzone swym nieplodem
Zielenią się wierzby przodem.

Więc z nich zrywam latorośle,
Te Marynie pięknej pośle:
Zielonem się niech zabawi,
A niech słuszny zakład stawi.

Ta gra tem się prawem chlubi:
Komu zwiędnie, kto je zgubi

Lub go zbędzie inszym kształtem,
Oplaca zakład ryczałtem³.

Więc ja stawiam łańcuch złoty
W grochowe ziarnka roboty,
Choć nie kanak, nie halzbant⁴,
Na jakim się zdobył fanty.

A zaś moja stawi dama
Już nie kruszec — siebie sama!
Droższy zakład jej osoby;
Niż złoto węgierskiej próby.

Przyjmie prawo — i gałązki
Pięknemi zwięzuje wstążki;
Pokrowczyk z skóry wierzbowej
Kładzie, by nie wiał list płowy.

Gdy już długo na nią schodzę
I podejść ją we grze chodzę...
«Dobry dzień, panno! Zielone?»
Ta trze snem oczy zmorzone...

Ja znowu: «Maryś! Zielone?»
«Darmo się przysz⁵, bo stracone!»
Potem się sama przyznała,
A w zakładzie fawor⁶ dała.

O panach Mazurach. Komar, nim żądłem utnie, brzęczy koło uszu;
Tegoż i Mazurowie, widzę, animuszu:
Pierwej się swarzą, niż się biją, z tej przyczyny:
Lepsza, niż się kwadrans bić, swarzyć trzy godziny.

Komuś. Mówisz, żeś błazna widział, czegoś zdawna żądał:
Pono u cyrulika, kiedyś się przeglądał!

Tak ma być. Czemu łuskę z ryb skrobiją? Mniemam, temu pono,
Że, gdyby pierze miały, toby je skubiono!

Kolęda pannom. Wenus na żółwiu stoi. Naco? Łatwo wiedzieć:
Że panna nie ma biegać, ale w domu siedzieć!

O pannach. Panna, gdy panna, niewa anielską naturę;
Szedszy zamąż, jeżową wdziewa na się skórę.

Dziwna. Bóg człeka z gliny stworzył, piszą historyje:
Jakoż on nie rozmoknie, gdy ustawnie pije?

Staroświecka moda. W kościele bądź nabożny, a pokorny w szkole,
W polu bitny, w grze wesół, żartowny przy stole.

¹ dziardyn = ogród. ² wcześniej dojrzewający. ³ ogółem, hurtem, t. j. przegrywa cały zakład. ⁴ kanak, halzbant = naszyjnik. ⁵ przec się = zapierać się, przeczyć. ⁶ życzliwość, miłość.

Pamięć walecznemu wojewodzie. Umarłych próżno płakać, próżno i żalować,
Których sława pod niebo zwykła wylatować;
Lecz stratę uważwszy, słuszną przy twym grobie,
Cny Czarniecki, wyplakać Polsce oczy obie.

Na obraz Scewoli. Pali rękę Scewola dla ojczyzny: a my
I w zimną wodę onej włożyć się wzdrygamy?
Nie cierpieć nic, czynić nic — własne polskie dzelo;
Bodajże się o takim Polaku nie śniło!

Na pedogryka. Na krzesle cię drażnicy dźwigają, plugawcze!
Toś ty chory na nogi? Nie świadczą Piławce...

O tych wierszach (to jest o fraszkach). Jako na dworach pańskich, choć się różnie rodzą
Słudzy, przecie w jednakiej wszyscy barwie chodzą:
Będą Słowacy, Włoszy, Węgrowie i Niemcy,
Wszyscy pana jednego, chociaż cudzoziemcy:
Tak i ja, jak z autora którego wiersz zarwę,
Za swój go już mam, jeno mu dam barwę.

O Mazu ze od ciemnej gwiazdy. Kto tu lepszy i czyja wolniejsza natura?
Złego od ciemnej gwiazdy ukąsił Mazura
Wąż w nogę; z niej łakomie gdy się krwie napije,
Wąż zdycha od posoki, Mazur przecie żyje.

O wolności polskiej. Wielec my mamy swobód w tej polskiej Koronie:
Cóż, gdy się nie staramy i nie dbamy o nie!
Przeważają prywatnych pożytków chciwości:
Bardziej dbamy o włości, aniż o wolności.
Słobody¹, niż swobody, głowę nam mozołą,
Niż złotą wolność, bardziej samo złoto wołą.

O Samuelu Twarjowskim. Tyle powinna Polska Wielka Twardowskiemu,
Ile mnie moja Mała, poecie małemu.
Trudno winić fortuny los niesfalszowany:
Wielkiej — wielki poeta, Małej mały dany.

95. Z biegiem czasu Kochowski, chociaż nie tracił przyrodzonej pogody ducha, stawał się jednak człowiekiem coraz poważniejszym; poniechał żartobliwych pieśni i fraszek i uprawiał jedynie poezję poważną, głównie religijną: napisał całe mnóstwo pobożnych wierszy na cześć Chrystusa i Najświętszej Panny, lecz one nie posiadają wartości; świadcza tylko o tem, że w Polsce wzrastała pobożność, przechodząca jednak w chłodną formalistykę dogmatyczną i obrzędową. Pracował nadto Kochowski nad historją ojczyzną w języku łacińskim: *Annalium Poloniae ab obitu Vladislai IV Climacter primus* (1683),... *secundus* (1688),... *tertius* (1698), (t. j. *Roczników polskich od śmierci Władysława IV klimakter pierwszy*,... *drugi*,... *trzeci*; czwarty wydano, w przekładzie polskim, dopiero w r. 1853). Doprowadził tutaj autor dzieje

¹ wielkie wsi.

Polski do śmierci króla Michała; nazwał je klimakterami, bo wierzył w lata «klimakteryczne». Kronika ta jest przez swoją szczegółowość i dokładność bardzo cennym źródłem do poznania tych czasów, a przez naiwne sądy autora, przez jego przesadność i zabobonność, brak wyrobionego zdania o wypadkach współczesnych (np. o rokoszu Lubomirskiego) jest wiernym wyrazem przeciętnej opinii szlacheckiej.

Lecz nietylko na polu prozy łacińskiej chlubnie się zaznaczył Kochowski w latach starości. Miłość Boga i miłość ojczyzny zawsze należały, należą i należeć będą nietylko do najpiękniejszych, ale i do najsilniejszych pierwiastków natchnienia poetyckiego; otóż dwa te uczucia, które mieszały w sercu Kochowskiego już w młodości, na starość coraz to wzrastały, zlewając się w jedną nierozdzielalną całość, i one to natchnęły go do wyśpicwania trzydziestu sześciu podniosłych, pisanych, na wzór pasłterza Dawidowego, majestatyczną prozą biblijną, psalmów: *Trybut należyty wdzięczności wszystkiego dobrego Dawcy, Panu i Bogu, albo Psalmodyja polska, za dobrodziejstwa boskie dziękująca. Przez jedną najbliższą kreaturę roku Pańskiego 1693 napisana, a do druku podana roku Pańskiego 1695*. Jeden to z najpiękniejszych utworów całej poezji staropolskiej, wspaniała ozdoba poezji religijno-patrjotycznej XVII stulecia, a zarazem śliczny pomnik serca człowieka, który, choć zawsze był dobry i szlachetny, ale na starość jeszcze bardziej szlachetniał, do tego stopnia, że nawet dla innowierców miał tylko słowa gorzkiego wyrzutu, ale już nie nienawiści i nie przekleństwa, jak dawniej.

Psalmodyja to serdeczna spowiedź starca, który, stojąc nad grobem, zapatrzył się w niebo, tam posyłał swoje myśli i pragnienia, stamtąd tylko oczekiwał ratunku dla siebie i dla swej ukochanej ojczyzny.

Psalmy, zawarte w *Psalmodyji polskiej*, można podzielić na dwie grupy: religijną i patrjotyczno-religijną; na pierwszą składa się czternaście psalmów, na drugą — dwadzieścia dwa.

W psalmach pierwszej grupy rozmyśla poeta nad mądrością i wszechmocą Boga, który, sam odwieczny, stworzył świat z niczego; korzy się przed Jego majestatem, ze skrucą wyznaje swoje grzechy i nawołuje samego siebie do pokuty; uwielbia nieprzebrane miłosierdzie Boga; prosi Go o śmierć pobożną i o zmiłowanie; czyni akt wiary w triumf ostateczny cnoty i sprawiedliwości nad grzechem i nieprawością, w moc cudowną ofiary Chrystusa i w skuteczność jałmużny chrześcijańskiej. Te wyznania, rozmyślenia i modlitwy mają po większej części charakter ogólnoreligijny, tak że każdy wierzący chrześcijanin (nietylko katolik) zobaczy w nich swoją duszę. Czasem tylko psalmy mają charakter osobisto-religijny, czy to kiedy poeta mówi o swej starości i swych zmartwieniach, czy kiedy składa Bogu «dziękę prywatną» za «domowe dobrodziejstwa», a więc za to, że się nigdy nie dopuścił zbrodni, że nie zasnął w życiu ubóstwa, że się po długim oczekiwaniu doczekał upragnionego syna, że się pocieszył po śmierci żony. Ze wszystkich tych psalmów bije mocna, jak śmierć, wiara w nieprzebraną dobroć Boga, bezmierny podziw dla Jego wszechmocnej potęgi, oraz tak wielka pokora chrześcijańska na myśl o małości człowieka, jak z żadnego innego utworu staropolskiej liryki religijnej. Ale bo też psalmy religijne Kochowskiego są — narówni z poezją Szarzyńskiego — koroną tej liryki; tylko że religijność Kochowskiego jest inna, niż Szarzyńskiego: w *Psalmodyji polskiej* niema tej pogardy dla dóbr ziemskich, która jest w sonetach Szarzyńskiego; przeciwnie, Kochowski ceni dobra ziemskie wysoko, poczytując

je za dar (czasem niezasłużony) tego samego Boga, który po śmierci człowieka obdaruje go, o ile sobie na to zasłuży, wiekuisiem dobrem i szczęściem. Jest zato w *Psalmódji polskiej*, podobnie jak w poezji Szarzyńskiego, tylko znacznie głośniejsza, nuta patryjotyczna.

Przedmiotem psalmów patryjotyczno-religijnych są rozmyślenia poety już nie nad sobą samym i nie nad własnym życiem, tylko nad Polską i jej dziejami. Kochowski mocno wierzy, że Polska jest «winnicą Chrystusową», że Polacy to naród, wybrany przez Boga, naród, którym się Bóg szczególnie opiekował i opiekuje, nagradzając go za to, że przez całe wieki dotrzymywał wiary Jego nauce, że nawet, łącząc się z Litwą i wzywając na tron Jagiellę, wolał «się poddać w obcą rękę, żeby tylko przyczynić poddaństwa Chrystusowi». Czasem wprawdzie Bóg ciężko doświadczał Polskę, ale w gniewie swoim nie był zapalczywy. Oto za Jana Kazimierza straszliwe nieszczęścia spadły na Polskę: «z królewskiej diademy wypadł kosztowny kamień, i potem sama korona z głowy naszej zrzuciona; zaraz się nagle zaćmiło słońce estymy¹ Polski, i ona, uwielmożona dopiero tak wielu narodów pani, grubą się odziała żalobą»: «gdyśmy zaś do Boga w tych paroksyzmach się obrócili, nietylko miłościwie nas wysłuchał, ale też nicodwłocznie stał się pomocnikiem naszym; przez wojnę ukarał, przez wojnę pocieszył, kiedyśmy wszystkich nieprzyjaciół startych przed sobą widzieli». Ale większą jeszcze wdzięcznością względem Boga natchnęło poetę świetne zwycięstwo wiedeńskie, przez które Polska, jak mówi, jest Dawidem narodów; kiedy król Jan wyrusza na wyprawę, poeta mu błogosławi i modli się do Boga, by pomagał rycerstwu polskiemu; a kiedy Turcy poszli w rozsypkę, nie posiada się z radości i uderza w ton triumfalny — we wspaniałym psalmie dwudziestym szóstym. W Sobieskiego wierzy Kochowski, jako w człowieka, powołanego przez Boga do wywyższenia i uszczęśliwienia Polski:

Myśl, że Polska to naród wybrany, nie jest pomysłem Kochowskiego; (głoszono ją już przed nim, np. Starowolski w *Lamencie*); ale Kochowski wypowiada ją silniej i dobitniej, przez co przypomina Woronicza. Wiara jednak, że sobie Pan Bóg Polskę szczególnie upodobał, nie zamknęła Kochowskiemu oczów na ciężkie jej grzechy. Wprawdzie pyta raz Kochowski żałośnie (podobnie jak Starowolski): «Cóż, prze Bóg, zawiniła, że tak sromotną odnosi plagę?» i odpowiada: «Sekret samemu niebu wiadomy». Ale sekret był wiadomy i poecie: on miał oczy otwarte na winy, na wielkie winy swej ojczyzny i nie wahał się ich szczerze i surowo napiętnować. Niegodziwe wichrzycielstwa podczas elekcij; zrywanie sejmów dla prywaty; brak sprawiedliwości: «sędziowie odstąpili ścieżek prawdy, a udawczy się za mizernym wziętkiem, wspank wywrócili sprawiedliwość» (takiego sędziego «ze skóry obłupić, a krzesło nią ubiwszy, syn na niem niech usiędzie!»); «rada i senat — cymbał głośny i spiża brzęcząca, ... mówią, żeby swoje² przewieść»; rycerstwo znikczemniało, «męża walecznego nie pytaj»; «kto sfalszował monetę? kto podatki nienależycie zbiera i tą krwią, z ubogich wyciśnioną, siebie i dom swój bogaci?»: oto są grzechy Polski, oto za co Pan Bóg ją karze. Polska więc cierpi za swoje własne winy; Bóg wprawdzie jest miłosierny, przebaczy jej zatem wszystko, ale wtedy dopiero, gdy się Polska poprawi. Oto myśl przewodnia *Psalmódji*, zupełnie ta sama, co *Lamentu* Starowolskiego i *Hymnu do Boga* Woronicza.

¹ szacunek, sława. ² t. j. prywatę.

★ Psalm 28. Za domowe dobrodziejstwa dzięka. Ukochałem, iż wysłuchał Pan głos płaczu mego i nie odwrócił oblicza swego przed żebrzącym. — I nakłonił ucha swego ku mnie, a suplikę uniżonego miłościwie przyjąwszy, dał, o com Go pokornie żądał. — Albowiem ogarnęły mnie były zewsząd dolegliwości, a dla ciężkiego utrapienia w żalu miary nie miałem, — gdy mi odjęta była połowica dusze mojej¹, i wszystkie ozdoby życia i fortun z głowy mojej spadły. — Nie wiedziałem w takiej przygodzie, gdzie się obrócić, a przez zamieszanie zmysłów wewnętrznych zaponniałem o lekarstwie z nieba. — Aż ci mi kiedy niekiedy dobry przyjaciel powie: «Zdaj na Pana żądanie twoje, a On cię pocieszy». — Jenom pomyślił, westchnął i wymówił, aż zaraz z nieba pomoc, gdyż Bóg nasz dobry i Pan wielce litościwy. — Szczodra ręka Jego sypie dobrodziejstwa na niegodnych i niewdzięcznych, a często i niewiadomych². — Nie chce dać człowiek, albo nie umie, albo się datkiem zubożyć boi, Bóg zaś, jako morze, i małe, i wielkie rzeki napelnia wodami łask nieprzebranych. — Dziwna tego Pana szczodroto! Który, mając wszystko, tak siłę³ daje, a dawszy siłę, i sam się dał ludziom na zbawienie w przydatku. — Doznałem⁴, wyznawam, uniżyłem się, a Pan mi dobrze uczynił, nie patrząc na podłość moją, żem niegodny, ale na wszechmocność swoją, iż jest dobroczynny. — Bo zrzuciwszy ze mnie wór utrapienia, odział mię płaszczem weselnym i, nagrodziwszy stratę, osuszył oczy moje od płaczu⁵. — Dawszy mi ratunek podobny, dał hamulec w upadku i podźwignienie, a tak wyrwał duszę moją od śmierci. — Udzieliwszy łaskę do podparcia w przygodzie, dał warunek⁶ nogom od usterku⁷, Majestat wieczny obrażającego. — Za tę tedy łaskę Panu z niskim upadnięciem dziękuję, dziękuję za nagrodę utraty, a oraz i w pewnej nadziei zostaje, że mu się podobać będę w krainie żyjących. — Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi świętemu, jako była na początku, tak i teraz, i zawsze, i na wieki wieków. Amen. ★

★ Psalm 11. Na mięszania i rozrywania sejmów. Rzekł niesprawiedliwy sam w sobie, aby grzeszył, a zmrużywszy oczy, nie chciał się oglądać na bojaźń bożą. — Nie chciał zrozumieć przewrotności umysłu swego, ani uważał, że w zgubie ojczyzny i samemu zginąć przyjdzie. — I tak zdradliwie mówił przeciwko Matce własnej, a gorszy pasierba, piersi te lżył, które go karmiły. — Głowa jego nie myślała o dobru pospolitem, ale żeby się dobrze mieć, by⁸ i złe czyniąc; a nienasycona podwyższenia chciwość nie chciała się obejrzeć na prawo przystojności. — Ojczyzna w uścieh i obrona jej, a w sercu kończyste żądło, jak węda⁹ u hipokryty. — Stąd uczynił się rzecznikiem wrzкомо na obronę dobra pospolitego, a pod pokrywką publiki tai zawziętość sejmu rozerwania — mówiąc skrycie sam w sobie: «Cóż mi za to pieczołowanie o Ojczyźnie, kiedy inszą drogą pomogę sobie do dobrego mienia? — Droga cnoty przykra, nagroda zasług niepewna, wdzięczność za odwagi omyła; a gdy występków nie karzą, grzeszyłyby, ktoby dobrze czynił!» — I tak udaje się przeciwną od gościńca ścieżką, a między sobie podobnymi rozsiewa ducha przeciwieństwa. — Ród jaszczurczy i właściwe Judasza pokolenie! Bo i ten, Pana w rękę całując, dla błahego kwestu¹⁰ ojczyznę własną

¹ pierwsza żona poety, zmarła w r. 1677. ² t. j. nie uświadomionych sobie tych dobrodziejstw. ³ wiele. ⁴ t. j. doznałem cierpienia (dopustu bożego).
⁵ w r. 1680 Kochowski ożenił się powtórnie. ⁶ obrona, zabezpieczenie. ⁷ od fałszywego kroku (t. j. od grzechu). ⁸ chociażby nawet. ⁹ przynęta, wabik, obłuda. ¹⁰ zysk.

przedaje. — Psia natura, która węchem pożywienia śledzi, a znalazszy, na plugawem ścierwie opada! — Widzisz to, BOŻE, czuły wolności naszej stróżu, i grozisz pomstą zdrajcy, któryś tego balsamu wolności przez *Nie pozwalam* w truciznę obracać nie kazał... — Upadną, upadną ci, którzy Ojczyźnie źle służą, a plemię cnotliwego na to miejsce dziedziczyć będzie!... — Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi św. etc. ★

★ **Psalm 14. Korona polska uwziętość¹ na się nieprzyjaciół wylicza.** Panie! Czemuż się namnożyło tych, co mię trapią, a bez dania okazyjej codzienn mi nieprzyjaciół przybywa? — Bliscy moi i przyjaciele przeciwko mnie zbliżający się stoją. — Cytra moja obróciła się w smutek, napój mój w truciznę, kiedy w przyjaźni sąsiedzkiej widzę na zgubę odpowiedź² i nieubłagane zajątrzenie. — Jeżeli przymierza nie strzymała, umowę zламаła albo na zdradzie komu była, sama się sędzę, że sama tę zawziętość ponoszę. — Ale jeżeli cudzego nie pragnęła, pokoju nie wzruszyła, do wojny nie dała okazyjej, czemużby mnie te stopy³ potykać miały? — Ty wiesz, mój Panie, żem spokojny żywot i zgodne obejście z każdym zawsze kochała, a zato mię teraz te kłótnie zewsząd ogarnęły, gdy oto swywolny Zaporoziec, pótargawszy obowiązki poddaństwa, z krymskiem pogaństwem nastąpili na mnie uciążliwie. — Oraz upatrzył w nieszczęściu mojem czas przedtem ode mnie gromiony Moskal i nie chciał zaspać pogody⁴ w odbieraniu zawojowanych derewni⁵. — Poszła za wiatrem i borealna⁶ Szwecyja, a w temże zamieszaniu łatwiejszego próbowała połowu. — Aż też honorowany ode mnie Transylwańczyk, przeważwszy się przez Krępak, bez opowiedzenia wojny kraje mi pustoszył. — Wszyscy ci mówili i urągali wszetecznie: «Nie ma Polska zbawienia w Bogu swoim». — A ono Ty, Panie, jesteś obrońca mój i puklerz nieprzebity, siła moja, która, chociaż poniży, znowu podniesie głowę moję. — Bo cóż wskórali i co za korzyść odnieśli, którzy się na zgubę moję sforcowali?⁷ Mało co mię umartwiwszy, sami w oczach moich marnie przepadli. — Rozmarzył chmielny trunek ukraińskiego Spartaka⁸, że i Rzymowi groził. Kędyż jest? Wycięto drzewo, usechł pniak, pokruszyły się gałęzie! — Kędyż jest Ukraina, która po trzykroć sto tysięcy ludu schyzmatycznego wyprowadziła na wojnę, a teraz i na zupełną sotińią zdobyć się nie może?... — Boś Ty, Panie mój, wygubił wszystkie, przeciwiające mi się bez przyczyny, i pokruszyłeś zęby grzeszników. — Ufam i dalej, że mię z paszczęki żarłoka wybawisz, a nad ludem swoim pokażesz miłosierdzie swoje. — Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi św. etc. ★

★ **Psalm 26. Pienie wdzięczności za zwycięstwo wiedeńskie.** BOŻE! Cośmy uszyma naszemi słyszeli, co nam ojcowie nasi powiadali, tego się teraz oczy ludu Twego z pociechą napatrzyły. — Dzieło mocy Twej, któreś za dni ich uczynił z Faraonem, — toż i teraz nieskrócona w cudach ani osłabiała w potęgę wykonała ręka Twoja. — Ręka Twoja, Panie, nie ludzka, pogany starła; przed nią pyszny Asur sromotnie uciekał, który z hardości serca na zgubę naszą przyszedł. — Z nim gruby Edomeczyk w lot biegał, a oba, strachem zjęci, z bystrego Dunaju wodami na wyścigi lecieli. — Nie obejrzał się Part, który w odwodzie potyczkę daje, ani Bisurmanin wspomniął,

¹ zawziętość.² zapowiedź zemsty.³ cios.⁴ sposobność.⁵ wieś.⁶ północny.⁷ wysilać się, sprzysięgać się.⁸ t. j. Chmielnickiego.

że się wnukiem bożym nazywa. — Wydarł miecze z rąk ich Zwycięzca, w Imieniu Twojem silniejszy; prysnęły łuki, i strzały z kołczana posypały się po ziemi. — Patrzało na hardość ich wschodzące słońce, a toż na odwiecznym widziało sromotnie rozgromionych. — Wstydził się miesiąc piętna swego, a żeby sromotę zakrył, nie chciał świecić w nocy uciekającym. — Nie pomógł w trwodze fałszywy prorok, ani częste umywanie nie oczyściło wszelecnych z grzechu. — Leżeli w polu, jako bycy tłusci po rzezi, a plugawe ścierwy kazał Zwycięzca ziemią nakryć z politowania. — Jeńcy w zatrzymaniu żywi zostali, a miecz po zwycięstwie ochłodnął, w pochwy włożony. — Tyś tak kazał, BOŻE nasz, cuda czyniący, aby którzy po cudze zdrowie przyszli, swoim nałożyli; — aby chleb od gęby niewinnym wydzierający nie pożyli go, a słabszy z mocniejszego zagarnął lupy. — Mało trzy dni było do zbierania korzyści; brali nietylko żołnierze odbieżane dostatki, ale i dzieci małe z pospolitym gminem. — One pyszne w Sydonie czy w Dziarbecie złotem tkane namioty, odbieżane, stały, jako buda w sadzie, w której jabłek pilnowano. — Konie ich poosiadał mocniejszy, dzidy ich o nichże skruszył i kulami do grzbietu uciekających strzelał. — Przepadli wszyscy purpuraci ich, którzy mówili: «Posiádmny ziemię chrześcijańską!» — Zginął wezyr niemęsko, powrozem uduszony, a onemu kościółów Pańskich burzycielowi niedługo w skronie młotem Jachel gwóźdz wbiła. — I stało się im tak, jako Madyjanitom i jako Jabinowi u rzeki Cisson. — Położyłeś ich, Panie, jako koło na odwrocie, i, jako źdźbło przed wiatrem, tak pyszni zniknęli. — Jako ogień, który pali lasy, nikomu nie przepuszczając, tak napelniona jest twarz ich sromotą. — Stąd niech poznają, że Pan imię Twoje, o JEHOWA, boś się wielmożnie wslawił, konia i jeźdźca wrzuciwszy w morze. — Tenci jest Pan, którego wielbić trzeba: BÓG ojców naszych, którego wywyższać będziemy! — Pan, jako mąż waleczny, triumfujący, Imię Jego, przed którym wojska i wozy Faraonowe w Czerwonem morzu na dnie zostały. — Prawica Twoja, Panie, za nas wojowała; ręka Twoja, Najwyższy, nieprzyjaciół zbiła, a w mocy Twojej, o Wszchemocny, poraziłeś przeciwniki nasze! — Któż podobny Tobie między mocarzami, Panie? tak wielmożny w potędze, jako straszny i chwalebny, i czyniący dziwy! — Nie nam tedy, Panie, podłemu gminowi, ale Imieniowi Twemu świętemu, które cudowne jest, niech będzie od nas chwała, wdzięczność i poszanowanie na nieprzeżyte wieki. Amen.

96. Ani jeden pisarz XVII wieku, nie wyłączając Krzysztofa Opalińskiego i Fredry, nie cieszył się taką poczytnością i sławą za życia i długo jeszcze po śmierci, jak marszałek wielki koronny **Stanisław Herakljusz Lubomirski** (1642—1702), autor wielu pism polskich i łacińskich, prozą i wierszem, «Salomon polski» i «mądry marszałek», jak go nazywali wielbiciele jego mądrości. Jakoż był to człowiek mądry, a przynajmniej wchłonął w siebie dużo mądrości — zarówno z książek, które chciwie polykał, jak z życia, któremu się pilnie przypatrywał i nad którym lubił rozmyślać.

Swoją mądrość książkową zawdzięczał nietylko nauce szkolnej (u jezuitów w Brunsberdze), ile późniejszej obfitej i różnorodnej lekturze. Pociągały go zwłaszcza dzieła historyczne i filozoficzne; z historyków rzymskich najbardziej lubił Tacyta (na którego cześć napisał nawet sonet, zresztą bardzo nieszczególny), z myślicieli rzymskich — Senekę, z autorów greckich — Plutarcha, którego dzieła poznał w przekładach łacińskich, bo po

grecku, jak się zdaje, nie umiał. Czytywał także uczone pisma nowszych autorów francuskich, angielskich, włoskich, hiszpańskich i holenderskich; szczególnie przypadł mu do gustu słynny myśliciel francuski, autor *Prób (Essais)*, Montaigne (1533—1592). Znał i literaturę ojczystą, nietylko współczesną, ale i dawniejszą, np. Kromera i Orzechowskiego. To wszystko nie wystarczało mu jednak, zaspokajało bowiem tylko jego żądze wiedzy: dla uczucia i wyobraźni szukał pokarmu w poezji, starożytnej zarówno, jak nowocześnie: jego ulubionymi poetami starożytnymi byli Owidjusz i Lukan, nowoczesnymi — Ariosto, Tasso i Marino. Kochanowskiego znał dobrze. Żywo także odczuwał piękno Starego Testamentu, zwłaszcza ksiąg Salomona.

Wogóle czytaniem i wiedzą górował «Salomon polski» nad swoim społeczeństwem i w pismach swoich lubił się chwalić tą swoją wyższością, sypiąc, jak z rękawa, cytatami (czasem z tych nawet autorów, których pism sam nigdy na oczy nie oglądał!). Ale cóż z tego, kiedy tej swojej wiedzy nie umiał jakoś w głowie uporządkować, skoro nieraz głosił poglądy, które się zawzięcie z sobą kłóciły, a których on, nie mając umysłu filozoficznego, nie umiał doprowadzić do zgody! Nieraz przytem wątpił, czy wiedza ludzka prowadzi do poznania prawdy, czy choćby najuczestszy człowiek może coś wiedzieć *n a p e w n o*: dlatego to właśnie tak bardzo lubił Montaigne'a, który ciągle zadawał sobie pytanie: «Cóż ja wiem?» A jakby mało było wątpliwości, co jest prawdą, a co ułudą lub fałszem, dręczył mu duszę inny jeszcze, o wiele gorszy, robak zwątpienia: oto nie wiedział czasami, zwłaszcza pod koniec życia, co dobre, a co złe, co uczciwe, a co niegodziwe dla człowieka, co skuteczne, a co bezskuteczne, co pożyteczne, a co szkodliwe — dla ojczyzny.

Ten robak zwątpienia wkraól się w duszę Lubomirskiego nie z ksiązek, tylko z życia. A było to życie bardzo bogate.

W młodych lata wiele podróżował; zwiedził Niemcy, Włochy, Francję, a wszędzie, jako magnat polski, a do tego ksiąkę cesarstwa rzymskiego, miał dostęp do najwyższych i najwykształceńszych sfer towarzyskich; potem, już w kraju, brał czynny udział w życiu publicznem, był podstolim koronnym, starostą spiskim, w r. 1670 na sejmie (we wrześniu) piastował łaskę marszałkowską, a w sześć lat później Sobieski mianował go marszałkiem wielkim koronnym. Nie brakowało mu więc sposobności do poznania ludzi i życia, ale cóż z tego, kiedy nad jego własnem życiem ciążyła jedna straszliwa kłątwa, która mu okaleczała duszę: oto jego rodzonym ojcem był Jerzy Lubomirski, ów dumny i niegodziwy magnat, który, dbając więcej o splendor swego świeżo upieczonego wielkopaństwa, aniżeli o Polskę, podwakroć ją zdradził, raz spiskując z Austryjakami przeciwko Janowi Kazimierzowi, drugi raz burząc przeciwko niemu szlachtę, i który na wyrok sądu sejmowego, skazujący go na utratę urzędów, infamję i banicję, odpowiedział rokoszem. Syn, chowany, jak często bywa w naszych rodzinach magnackich, w psiem posłuszeństwie dla ojca, w ślepej wierze w jego dobrą wolę, w atmosferze bezmiernej pychy magnackiej i magnackiego egoizmu, wyrastał na typowego magnata polskiego, to znaczy, że z samym djabłem wejść gotów był w konszachty, byleby tylko wywyższyć swój dom i ród; jakoż już w młodości zaprzedał duszę djabłu: brał udział w rokoszu ojca, a później, kiedy udało mu się, już po śmierci ojca, znieść z niego infamję, a samemu osiągnąć najwyższą godność — marszałka wielkiego koronnego, stanął na czele spisku, mającego na celu nie mniej ani więcej, tylko detronizację So-

bieskiego. Tak oto zbrodnia ojca pomściła się na duszy syna: stracił on kręgosłup moralny, a i umysłowy także. Miał przecie za dużo zdrowego rozsądku, aby nie rozumieć, że zdrada, rokosz i spiski przeciwko własnemu królowi to zbrodnia; sumienie mówiło mu to samo: chciał zagłuszyć w sobie jego głos różnemi sofizmatami, chciał opędzić się przed tą oczywistą prawdą, że ojciec popełnił zbrodnię, i nie mógł; sprawił tylko tyle, że to ciągle oszukiwanie samego siebie osłabiało w nim logikę umysłu i rodziło czasem w duszy różne wątpliwości, nietylko co do sensu życia i nietylko co do wolności woli, ale nawet, jak wieść niesie, co do nieśmiertelności duszy. Lecz dusza broniła się: i oto ten sceptyk, nurzający się w kale rozpusty, sypał pieniędzmi na szkoły zakonne, fundował kościoły i klasztory, a w swych pismach głosił zasadę, że niema nic wyższego nad cnotę, i nawoływał ludzi do pokuty za grzechy; ten dumny i pyszny magnat, który strzelał tak wysoko myślami, że kiedyś zamarzył o koronie węgierskiej, uderzał w pokorę i kajał się przed Bogiem, błagając o litość, a może i... o wiarę. Tak rozdwojonej duszy nie miał przed Lubomirskim ani jeden pisarz polski, a rozdziwiło mu ją nie co innego, tylko właśnie owa klątwa, że miał ojca zdrajcę i rokoszanina. Otóż to rozdwojenie duszy wycisnęło wyraźne piętno na jego twórczości literackiej.

97. Rozpoczął ją Lubomirski, mając niewiele więcej nad dwadzieścia lat, od swawolnych komedyj pasterskich, czułych sielanek i innych wierszowanych utworów; drukiem jednak tych swoich prób młodzieńczych nie ogłaszał — bez żadnej szkody dla poezji polskiej.

Niebawem jego twórczość spoważniała, a to pod wpływem wypadków życiowych. Ojciec pobił wprawdzie wojska królewskie pod Mławami, ale wkrótce potem, w lipcu w r. 1666, ukorzył się przed królem w Łęgonicach, przypisując, jak się wyraził, swój upadek «nieszczęśliwości losu»; w pół roku później umarł, rażony apopleksją, nie doczekawszy się zdjęcia infamji. To wszystko dało synowi dużo do myślenia, i z tych to myśli wyrosło pisemko łacińskie, z którego ogłoszeniem nie śpieszył się jednak autor: wyszło dopiero w r. 1688 p. t. *Adverbiorum moralium, sive de virtute et fortuna libellus*; przekład polski ukazał się już po śmierci autora: *Adverbia moralne, abo o cnocie i fortunie książeczka, z łacińskiego na ojczysty język przeformowana* (1714). Składa się ta książeczka z piętnastu krótkich rozdziałów. Mając w świeżej pamięci zmienną dolę ojca, doznawszy, że «fortuna kołem się toczy», zastanawia się Lubomirski nad zagadnieniem, co uszczęśliwia człowieka: czy fortuna, czy cnota? Odpowiada na to pytanie, że nie fortuna, ale jedynie cnota; cnoty zaś są różne, np. pobożność, pokora, skromność, mądrość, roztropność, umiarkowanie, sprawiedliwość, miłość bliźniego (nie wyłączając nieprzyjaciela), stałość, cierpliwość, ale one wszystkie skupiają się w jednej naczelnej cnocie: w kulturze duszy nieśmiertelnej; a ponieważ dusza jest częścią bóstwa w człowieku, więc, kto pielęgnuje duszę, nie przywiązując wagi do bogactwa, do honorów i wogóle do niczego, co znikome, ten staje się podobnym Bogu i zbliża się do Niego, nie mówiąc już o tem, że w tej pracy duchowej nad sobą znajdzie ukojenie we wszystkich nieszczęściach. Czy jednak ten ideał człowiek może osiągnąć? Na to niema bezpośredniej i stanowczej odpowiedzi w książeczce Lubomirskiego, ale nietrudno spojrzeć, że autor o tem wątpi: z książeczki wieje smutek na myśl o niedo-
skonałości natury ludzkiej.

Większość swoich myśli o cnocie i fortunie zawdzięcza Lubomirski filozofji stoickiej Seneki, ale niejedna z nich jest owocem własnego umysłu, a nadewszystko własnego serca, które boleśnie odczuło tę prawdę, że fortuna jest zmienna i że nie daje prawdziwego szczęścia. Oto np. co czytamy w rozdziale VIII: «Będą cię nadymały, jako góry, wyniosła pycha i ambicyja,... które cię wywyższą, wyniosą, strącają na łeb wkrótce, w proch i perzynę obrócają. Gdziekolwiek zaś stąpisz w tak wątpliwej i niebezpiecznej podróży,... jak mało tych się rzeczy ukaże, któreby prawdziwą i nieomylną do chwalebnej cnoty objawić i pokazać drogę miały! Między tedy tak nieznosnemi ciemnościami i wątpliwościami,... między tak... utajonemi niebezpieczeństwami abyś zaślepiony nie zbłądził,... niechaj cię mądrość oświeca!» A w rozdziale X: «Pycha, nadętość jest śmierć honoru;... pycha wynosi, wywyższa, aby głębiej strąciła,... złodziejem jest, który tobie potajemnie, kryjomo odbiera honor, grobowcem, który twoją chwałę w niepamięci grzebie». Nie potrzebował Lubomirski dowiadywać się od Seneki, co to jest pycha. Nie od Seneki także, tylko z własnego doświadczenia nauczył się, że fortuna jest «nikczemna i niestateczna», że, «ledwo co się pokaże, w momencie znika i ustaje, ledwo co błysnie, wnet o ziemię ciśnie, ledwie co wyniesie, wnet strąca».

98. Lecz niebawem fortuna zaczęła się Lubomirskiemu uśmiechać. Polska miała zawsze i ma dotychczas krótką pamięć, więc zapomniała mu jego sprawek i nie tylko obsypywała go zaszczytami (którymi on niby to gardził), ale nadto ofiarowała mu przytykającą do Warszawy wieś Ujazdów; tutaj zbudował sobie dumny magnat wspaniałą pałac, w którym liczni goście z kraju i zagranicy nieraz rozmawiali o rzeczach bardzo poważnych (podobnie jak na dworze Sobieskiego — na zamku w Warszawie). Olóż rozmowy te dały Lubomirskiemu pochop do napisania dzieła (w języku polskim), p. t. *Rozmowy Artaxesa i Ewandra, w których polityczne, moralne i naturalne uwagi zawarte, wedle podanych okazji, tak jako mówione właśnie były, prawdziwie wyrażone są* (1683). Czy rzeczywiście spisał Lubomirski rozmowy, prowadzone na zamku królewskim i w Ujazdowie, «tak jako mówione właśnie były», wolno wątpić: tak znów uczeni nie byli owi rozmówcy, żeby sypać napamięć czytającami z różnych autorów starych i nowych i żeby mówić tak płynnie i z takim planem, jak Artaxes i Ewander; ale nie ulega wątpliwości, że o tem, o czem mówią ci dwaj dworzanie, naprawdę rozmawiali nieraz prawdziwi goście Jana III i jego marszałka.

W dziele swoim poszedł Lubomirski śladami Górnickiego. Jak w *Dworzaninie* zgromadza się dla rozmowy kilku wykwintnych dworzan w willi biskupa Maciejowskiego, tak tutaj spotykają się raz po raz dwaj wykwintni dworzanie, Artaxes i Ewander, to w ogrodzie zamkowym, to w «antykameryze» królewskiej, to w mieszkaniu Ewandra, to na statku, którym płyną do Bielana, to w karecie, którą jadą raz na polowanie królewskie, a drugi raz do obozu. Spotykają się trzynaście razy, więc i rozmów jest trzynaście. A jak Górnicki opisuje na wstępie willę Maciejowskiego pod Krakowem, tak Lubomirski opisuje na wstępie do każdej rozmowy i miejsce spotkania, i samo spotkanie.

Lecz są i różnice pomiędzy *Dworzaninem* a *Rozmowami* Lubomirskiego. Główny temat rozmów w dziele Górnickiego jest tylko jeden: przymioty idealnego dworzanina (i «dwornej pani»); przedmiotem zaś rozmów w dziele

Lubomirskiego są bardzo różnorodne «sprawy»: «polityczne, moralne i naturalne». Jak zawierać z sąsiednimi państwami układy i traktaty? jak radzić nad sprawami państwa? jaką siłę zbrojną powinno mieć państwo i jaką ją organizować? — to zagadnienia «polityczne»; jaką wartość ma cnota? na czym polega różnica pomiędzy chwałą a sławą? czym się dzieje, że dusze ludzkie są tak niepodobne do siebie, i dlaczego tak jest? — to «sprawy moralne»; czym się dzieje, że jest porządek i ład na świecie? — to zagadnienie «naturalne». Są jeszcze «sprawy» towarzyskie: jak żyć z ludźmi? jak sobie zjednać wśród nich powagę? jak się ma wysoki dygnitarz wykręcać, kiedy go natręci proszą o coś, np. o protekcję? Jest nadto cała jedna *Rozmowa* «o stylu albo sposobie mówienia i pisania».

Zachodzi inna jeszcze różnica pomiędzy dwoma dziełami. W *Dworzaniu* jest dyspuła: jeden rozmówca ma takie zdanie, inny — takie; tymczasem Artaxes i Ewander mówią z sobą trochę tylko we wstępach do «rozmów», a w samych «rozmowach» już nie rozmawiają, tylko jeden słucha w milczeniu wykładu drugiego, poczem nie wyraża odmiennego zdania, tylko komplementuje prelegenta, zgadzając się na wszystko, co wygłosił. Raz tylko, w *Rozmowie* dziesiątej, Artaxes nie zgadza się z Ewandrem: w poglądach na istotę duszy i jej stosunek do ciała; dają tedy «okazyją ojcu Elizeuszowi», kamedule na Bielanych, «aby się był obszerniej ozwał». I oto zakonnik prawi długo i szeroko «o umyśle, to jest duchu albo duszy ludzkiej», poczem, «pochwaliwszy Artaxes i Ewander racyje i rozsądek ojcu Elizeusza i zostawszy niewymownie obaj ukontentowani z wymowy jego», już nie dysputują o duszy, wsiadają do karety i wracają do Warszawy.

Ta zgoda poglądów Artaxesa i Ewandra tłumaczy się tem, że przez usta obydwóch autor wygłasza swoje własne poglądy; jeżeli zaś wykład o duszy kazał wygłosić księdzu katolickiemu, to prawdopodobnie dlatego, że chciał przemycić chytrze poglądy, wprowadzić także swoje własne, ale (niektóre przynajmniej) z nauką katolicką niekoniecznie zgodne.

Najciekawsza to ze wszystkich *Rozmów*. Powtarza tu Lubomirski (przez usta ojca Elizeusza) swój dawny pogląd, że dusza jest cząstką bóstwa, że więc człowiek, który troszczy się o «uprawę umysłu» («co łacinnicy nazywają *culturam animi*»), zbliża się do Boga. Ale co skłania człowieka do tej «uprawy», której najpiękniejszym owocem jest cnota? «Trudno zaprawdę umysł i duszę swoją do cnoty i doskonałości gwałtem przywieść i nakłonić, chyba za osobliwą łaską bożą: są dusze i umysły, które do złego bardziej, niż do cnoty, skłonne naturą swoją i które żadną miarą do mądrości i doskonałości przywieść się nie dają. Są zaś drugie, które jakoby do samej cnoty i mądrości, perfekcyi wszelakiej urodzone były», które «wnet bez wielkiej pracy i trudności stają się doskonałemi; i te są najszczęśliwsze dusze, które sympatją i miłością jakąś osobliwą do cnoty mają i które bez prace i wielkiej uprawy owoc swój, to jest prawdziwą cnotę, wydają»... «Są umysły i duchy pospolite, co to, nic nad przyrodzoną drogę i potrzebę w cnotę nie wciągnawszy, mało co nad zwierząt godności i szczęśliwości mają, jednym słowem, umysły podłe i liche...» «Co człowiek, to umysł; co umysł, to osobliwy występek albo osobliwa doskonałość...» Takie to już są wyroki samego Boga: «Ile gwiazd na niebie, tyle rozlicznych umysłów, tyle dusz... losem ręki i wyroku boskiego uciśnionych, znajduję się na świecie...» «Dziwna, zaprawdę, nieskończonej ręki boskiej obfitość, że tak wiele umysłów, w przyrodzeniu ludzkim zawartych, do chwały i nieśmiertelności, albo do potępie-

nia przeznaczonych, stworzył...» «Najwyższy umysł, którym jest Bóg, wszystkie inne duchy albo umysły waży i taksuje...: niegodne w kącie i śmieciach, jako garki i skorupy liche i daremne zostawuje, godne na pomnożenie chwały, cnoty i doskonałości wybiera;... wspaniałe dla powagi i ozdoby cnoty przybiera;... sprawiedliwe na tronie i władzy dla zachowania narodów zaszadza;... pyszne i wyniosłe na próbę doskonałości i pokory cudzej zachowuje...» Krótko mówiąc, w usta ojca Elizeusza wkłada Lubomirski swoją własną wiarę w predestynację czyli przeznaczenie, to znaczy wiarę, że jednych ludzi Pan Bóg zgóry przeznaczył do cnoty i mądrości na ziemi i, co zatem idzie, do zbawienia, a innych — do występku i głupoty i, co zatem idzie, do potępienia. Ta jednak doktryna, którą się Lubomirski podczas swego pobytu we Francji zaraził, prawdopodobnie od jansenistów, nie przeszkadza mu do wypowiedzenia poglądu, że «umysł nasz jest taka rzecz przednia i doskonała, że, czegokolwiek drogą, od cnoty sobie opisaną, pragnie i żąda, stać mu się wszystko i posłusznym być musi»; no, dobrze! ale jeżeli kto nie dostał od Boga «przedniego i doskonałego» umysłu, to co? Uwikłał się więc Lubomirski w sprzeczność, która się tem tłumaczy, że pragnął usprawiedliwić postępowanie ojca i swoje własne, że wmawiał w siebie: nie nasza to wina, żeśmy tacy, bo takimi nas, magnatów, Pan Bóg stworzył — dał nam umysły «wspaniałe», wobec nas szlachta to «śmiecie» i «skorupy liche», wolno więc ją nam za nos wodzić i czynić wszystko, co do tego celu prowadzi, choćby nawet miało dojść do rokoszu, do spisku przeciwko prawowitej władzy królewskiej, a nawet do ruiny Rzeczypospolitej!

Bardzo ciekawa jest *Rozmowa* piąta o «sprawach naturalnych»; zawarte w niej poglądy wydają się nam dzisiaj wręcz śmiesznymi, ale wówczas pokutowały jeszcze w nauce, i to nietylko w Polsce, ale i zagranicą. Poucza tutaj Artaxes Ewandra, że, jeśli na świecie jest ład, to dzięki temu, że «rzeczy stworzone» mają ku sobie bądź sympatję, bądź antypatję: «bez sympatyj nie miałyby była natura nic w kupie i nic zjednoczonego, bez antypatyj zaś nic osobno i nic podzielonego»; w jednoczesnem działaniu tych sprzecznych sił objawia się wszechmoc Pana Boga. A więc np. wzajemną sympatję żywią ku sobie: gwiazdy i ziemia, dusza i ciało, księżyc i ostrygi (które mają to gorszy, to lepszy smak, stosownie do zmian księżycy) i t. d.; wzajemną zaś antypatję mają ku sobie różne planety, lew niecierpi i boi się koguta, diament niecierpi magnesu i, «trzymany z nim długo w kupie», zabija w nim jego sympatję do żelaza i t. d.

Z innych *Rozmów* na szczególną uwagę zasługuje trzecia, «O stylu albo sposobie mówienia i pisania», świadcząca, że autor zdawał sobie doskonale sprawę z zepsucia smaku estetycznego; nikt inny nie rozumiał tak jasno, jak on, że niema prawdziwie pięknego stylu bez prostoty i naturalności — w prozie zarówno, jak w poezji. Lecz i w tej *Rozmowie* są pewne sprzeczności: mówi np. autor, że trzeba «być samemu autorem», to jest nikogo nie naśladować, tuż potem jednak radzi naśladować pisarzy starożytnych; gani nadmiar sentencyj, któremi się niektórzy autorowie popisują, a sam nie jest wolny od tego grzechu: nietylko w tej, ale we wszystkich *Rozmowach* pełno różnych sentencyj i cytat, zwłaszcza z autorów rzymskich, i to najczęściej nie w przekładzie polskim, tylko w oryginale łacińskim. Pozatem jednak styl *Rozmów* posiada niemałe zalety: daleko mu wprawdzie do piękności i szlachetności prozy Górnickiego, posiada jednak, prócz jasności, to, czego prozie XVII wieku najczęściej brakuje: prostotę; niepotrzebne wyrazy cudzo-

ziemskie, zwłaszcza łacińskie, są (np. alterować, ekskuzacyja), ale, naogół biorąc, styl jest czysty, a do tego obfitujący w takie zwroty rodzime, jak np. «na swoje kopyto przerabiać», «dojść po nici do kłębka», «podbić bębenka» i t. d.

Jak *Dworzanin*, tak *Rozmowy Artaxesa z Ewandrem* nie są dziełem oryginalnem. Prawda, że nie brak w niem własnych poglądów autora (zwłaszcza politycznych); przeważnie jednak zasilał się on myślą cudzą: z pisarzy starożytnych Cyceron, Seneka i Plutarch, z nowożytnych «wielki w nauce człowiek» «Montanus» (t. j. Montaigne), myśliciel angielski Bacon (1561—1626), myśliciel i historyk hiszpański Saavedra (1584—1648), słynny filolog i myśliciel holenderski Justus Lipsius (1547—1606) — oto główne źródła mądrości Lubomirskiego; nie stanie się jego *Rozmowom* krzywda, jeśli się je nazwie kompilacją, jasno i przejrzyście ułożoną, chociaż nie wolną od sprzeczności. Lecz na bezrybiu i rak ryba: literatura nasza drugiej połowy XVII wieku tak mało posiada dzieł poważnych, pisanych po polsku, nie po łacinie, że ta kompilacja przez lat przeszło sześćdziesiąt była u nas studnią rozmaitych wiadomości naukowych i poglądów na życie. ★

★ **Początek rozmowy pierwszej.** Przy pałacu królewskim, tam, kędy tylny prospekt najpiękniejszy rząd okien ku Wiśle podaje, jest jedno wesole wyjście, co, chociaż do ogrodu przyłączone, a przecie niejako oddalone, bokiem od ogrodu, miłą osobność sprawuje; to bukszpanowym parterem¹ i sawinami², nakształt cyprysów wyniosłemi, wysadzone; kamienna balustrata wokoło ogrodu, że, kto się na niej wesprze, ten z góry pochodzistej³ nakształt skarpy⁴ oschłe od wiślanych wód piaski daleko okiem odkrywa. Tam niejeden z przedniejszych ludzi Królestwa często lubo, sprawami zaprzątniony, spoczywa, lubo też, nietylko widzeniem oko pasąc, ale i myślom pokarm dając, albo z towarzyszem rozmową bawi się, albo, dworskich napaści syty, krótkiej sposobności, póki mu jej albo czas, albo potrzeba, albo importun⁵ nie przerwie, łagodnie zażywa. To miejsce, nie prostego gminu retyrata⁶, gdyby mówić wprzód mogło, a potem chciało, o! jako wiele powiedziałyby, co tam odchodzących i przechadzających napilo w się dyskursów! Tam bowiem i interesa Królestwa nieraz namówione⁷, i poselstwa i instrukcyje często stanowione, i wojny i pokoje traktowane, i rady i namowy, i fakcyje⁸, i mądre rozmowy, i rzadkich nauk ciekawe powieści, krótko mówiąc, co kilka królów i królowych, niepospolitych w Europie dworów, z obojga płci osób znaczne zebranie namówić, naprawić, nagadać mogło dotychczas rzadkiego, mądrego, skrytego, ciekawego, dowcipnego w naukach, przyrodzeniu, komplementach, żartach, powieściach politycznych i moralnych, inwencyjach, sekretach i wszelakich roztropnych zabawach, — to wszystko tam zostaje schowane i złożone, że o tem miejscu bezpiecznie się może powiedzieć: «*Hic locus est, quem, si verbis audacia detur, — haud timeam magni dixisse palatia coeli*»⁹. («To prawdziwie jest miejsce, o którym się godzi — rzec śmieje, że o lepszą z samem niebem chodzi»). Tam tedy, zszedłszy się z sobą dwie znacznego urodzenia osoby, Artaxes i Ewander, a do tego osobliwą przyjaźnią będąc obowiązani, upodobawszy sobie wesołość miejsca i osobność, do poufalej rozmowy sposobną, jako często

¹ kwatery ogrodowa. ² sawina = jałowiec. ³ spadzisty. ⁴ stok, pochyla ściana nasypu (albo wysokiego muru). ⁵ natręt. ⁶ schronisko, miejsce spotkania. ⁷ omówione. ⁸ układy. ⁹ cytata z Owidjusza.

w różnych innych materyjach mądrze i dowcipnie zawsze dyszkuruować z sobą zwykli byli, tak i tam, chcąc się lepiej jeszcze ucieszyć, a przypatrując się damom i kawalerom przechodzącym się i różnej kondycyi ludziom, po ogrodzie chodzącym, rozmawiać z sobą wzięli się. ★

★ **Z rozmowy trzeciej, O stylu.** Artaxes... zastał... Ewandra siedzącego w pokoju u stołu, a związującego do kupy siłę skryptów, rozsypanych po stole... Rzecze: «Owo zda mi się, że respons¹ na owę instrukcyję, co w ostatniej radzie była czytana; dziwna rzecz, że tak prędko przyszedł ten respons». Odpowie Ewander: «Dziś też dopiero doszedł mię przez tę pocztę, i jeszcze go dobrze nie uważyl, ale przeczytajmy go jedno i uważmy z tobą lepiej». Począł tedy Ewander czytać go, a Artaxes pilno słuchał: do każdego niemal punktu przymówił się. Przeczytawszy wszystko, rzekł Artaxes: «Cudowna to rzecz, że ci ludzie nie mogą żadną miarą przestać tego stylu szkolnego, tych makaronijuszów niepotrzebnych; mogłoby się to było pół arkuszem wszystko sprawić, co tu nieledwie pół godziny czytaliśmy... Ludzie godni nie mieliby takich spampanat² ani pisać, ani mówić. Bo oto widzimy, że wszystkie grube narody, co do nas albo od Wschodu, albo od Północy przyjeżdżają, przynoszą ramoty, nadziane takimi peryjodami, że ledwo zostają się na papierze. Tylko tego czekać, żeby litery, wzięwsze dusze, albo skakały jeszcze po arkuszu, albo z tym w tykwy poszły³, co je czyła». «To prawda — rzecze Ewander — dobra to bardzo refleksyja, że wszystkie pogańskie narody najdumniej zwykli mówić. Owo słyszemy nieraz listy, co od Porty⁴ przychodzą albo arabskie, albo perskie.. To w nich one epitety foremne, podobieństwa zaś niepodobne; jeśli wpadną w słońce albo w gwiazdy, to już ledwie w piętnastym wierszu z jasności się wyciemniają; jeśli w ogród, to tam i róże, i lilije... i cyprysy, i cedry, ledwo nie od palmy aż samego czosnku w tej deskrypcyi nawącham się; jeżeli zaś w przykłady, to tam i błazen stanie się Cyceronem, i Seneka żołnierzem, i Aleksander arcykapłanem, i Sandanapalus filozofem... Już nasz wiek i ludzie dosyć wypolerowali dowcip, że się tego ustrzec mogą». «Pozwalam — na to rzecze Artaxes — ale przecię siłę jeszcze potrzeba do doskonałości stylu. Niedosyć to imitować autorów: lepiej być samemu autorem; a starsi kogo naśladowali? Rozum ich a rozsądek służył im za autorów. Teraz zaś rozumieją, że ten lepiej mówi, co cytuje autora, choćby lada co mówił, niż ten, co rozsądną i wezłową rzecz powie, a nie cytuje nikogo. Tacyt z nikogo tekstów nie cytował, a przecię my go cytujemy. Ba, więcej powiem, że siłę godnych ludzi już nie śmie wypaść z sentencyją, bo już tak są niemal wszystkie potoczne, że lada kto to powie, coby potem największemu człowiekowi wstyd było po nim wymówić. Ale przecię, żeby dlatego autorów nie czytać i od nich dobrego przykładu nie brać, nie jestem tego zdania: byli ludzie wielcy — przyznać im to; tylko wiedzieć, czego z nich i jako zażyć i styl sobie umieć bez afektacyi obrać wedle potrzeby... Tą drogą idąc, którą nam starożytność pierwszej okryśliła, nie możemy mieć nagany, i jest jakaś powaga i poszanowanie nadane dawnym pismom i autorom... Tak nam ten słuszny respekt przeciwko dawniejszym rozumom jeszcze pierwsze lata prawie jak z ręki do ręki podaly,

¹ zdaje mi się, że wśród tych papierów widzę odpowiedź. ² spampanata (wyraz włoski) — mowa, świadoma w swojej ciemności, przesadzie i nienaturalności, płynąca z chęci mówcy pochwalenia się swoją rzekomą uczonością. ³ iść z kim w tykwy = iść z kim za łeb, wodzić się z kim za lby. ⁴ Turcja.

żeśmy im winni jakieś poszanowanie, i owszem¹ naśladowanie... Nic nie mamy sami z siebie, i dawniejsze pisma są nam zwierciadłem, wizerunkiem terażniejszych. Z nich się uczymy... podobieństwem, energiją, która się po polsku jakąś piśmienną żywością, raczej pióra każdego duszą nazwać może, sens tak miarkując, że ani krótkością, ani rozwlekłością oddalić się powinien od przedsięwziętego stylu, ale w równej mierze niepożyczanemi słowy, ale własnymi swemi idzie torem autora tego, którego naśladuje: jeśli poważny, poważnie, — jeśli zwięzły, zwięzłe, — jeśli obfity, obficie, — jeżeli łagodny, łagodnie, — jeśli śmiały, śmieje. A to idzie wedle upodobania, z przyrodzenia dowcipu² każdego człowieka; jaki ma geniusz³ albo humor, taki i styl lubi. Nie może się tedy rzec, żeby jeden styl był lepszy nad drugi, bo każdy jest dobry, kiedy jest sposobny do wyrażenia tej materji, o której się rzecz traktuje albo wypisuje. Kto zaś niezgodnym do swej materji stylem pisze, grzeszy przeciw rozsądkowi, który jest duszą, żywiołem i temperamentem⁴ każdego pisma. Jako to byłoby, kiedyby kto, chcąc gospodarzką albo wiejską, lubo ogrodniczą pisać rzecz, wyborynym⁵ i krasomowstwu, nie gospodarstwu, służącym stylem opisał ją?...

Jako każda rzecz, tak i styl powinien mieć swoją zwięzłość, nie tak, jako czynią owi, co owo jeden peryjod albo sens rozciągnawszy na dwadzieścia wierszów, a potem, ściskawszy go, nie wycisnie z niego i jednej kropelki erudycji i nauki; w takim stylu tyle jest słów wyszukanych, właśnie jako owo w lesie gęstym siłę dREW drobnych i gałęzistych, z których i jedno nie znidzie⁶ do budynku, choć ich powierzchownie siłę się widzi. A cóż po takich stylach, które więcej słów, niż rzeczy, zamykają, zdobią ich wrzкомо słowa, a sens i nierozsądne prowadzenie⁷ szpeci je... Są nie inaczej, jako szpetna postać w pięknym odzieniu. A to wszystko sprawuje, że tacy pierwszej dowcipu, niż rozsądku, poradziwszy się, porywczo mają się do pióra i, choć nie ważno⁸, byle często i siłę mówili albo pisali, kontentują się. Rozsądek wszystkim naukom panuje, którego dowcip jest służką; jeśli mu tamten źle ordynuje, nie dziw, że i ten źle sprawi...

Nie mogę pominąć i poetów, bo jeżeli do których, tedy do tych styl należy, którzy do składu miary i symetrii⁹ niewolić dowcip muszą, tak jednak, aby... nie odstępowali od wolnego i nieprzymuszonego stylu, ale rzecz przyrodzonym sposobem w klubie¹⁰ zawieszanej słów liczby wiedli i zdobili, coś muzyce podobnego mając... Wszystka tedy stylu poetycznego... chwala na tem się zasadza, aby misternej poezji kunsztem jako najprzyrodzeniej¹¹, bez afektacyi, a uczenie i krótko zamierzonego konceptu treść, własności i istotę wyrazić.¹² ★

*** Z rozmowy szóstej. O powadze albo imieniu między ludźmi.** Są niektórzy, co rozumieją, że wszystko powaga na twarzy i okazałem ciała złożeniu najbardziej zawisła; stąd bywa, że więć do rządów ludzi postacią bardziej, niż przymiotami, wielkich przybierają, przez co pospólstwa lekkomyślnego obłudne i nierozsądne oczy mamią i oszukiwają, aby się im ci, których nad nimi starszymi czynią, bałwanami raczej jakiemis, aniżeli ludźmi, widzieli.

¹ a nawet. ² talent. ³ duchowość. ⁴ natura, przyrodzenie. ⁵ wykwintny. ⁶ nie przysięga się. ⁷ tok myśli. ⁸ poważnie. ⁹ do wymagań rytmu, oraz rymu i strofy. ¹⁰ klubu, kłoba = porządek, karby, granice. ¹¹ jak najnaturalniej. ¹² Lubomirski domaga się, żeby artystyczna budowa wiersza (t. j. rymu, rytmu i strofy) nie odbywała się kosztem zrozumiałości i naturalności języka.

I znajdują się ludzie tak prości i szaleni, że się czasem bardziej boją ogromnych, niż rozumnych, bardziej się pytają, jeżeli kto osobisty¹, niż jeżeli kto godny, albo pozorny... Ale daleko różna rzecz jest powaga a osobistość, bo tę natura oślepi, przypadkiem jakimś niedoskonałym uformowała, tamtę cnota, godność i doskonałość za cel i wizerunek pospolitego poszanowania obrała. Czego tedy respekt i powaga na ludziach nie wymoże, tego zmyślonej postaci próżny postrach nie wymierzy... Wróble to więc tylko i głupie ptaszęta zmyśloną jakąś postacią ustraszają, a i te nawet tak już teraz zmeżdżały, że poznają, co chłop, a co snop. Potrzeba czegoś więcej, niż osobistej twarzy i wzwyż sążenistej statury, aby światem i głowami władać cudzemi. Ani bojaźnią, ani respektem, ani okazałością powagi sobie żadnej nie zjednasz, jeżeli wprzód cnoty i godności mieć nie będziesz. Dlatego ludziom i panom wielkim o nic dbać nie trzeba, tylko o jedną z cnoty sławę, za którą i powaga idzie; bo wszystkie inne rzeczy snadnie im przez się przychodzą, sława jedna i powaga z potem i pracowitem nabyciem ledwie się zdobędzie, a kto gardzi sławą, musi gardzić i cnotą, za którą zaraz i sława idzie. ★

99. Większą jeszcze sławę, niż *Rozmowy Artaxesa i Ewandra*, przyniosło Lubomirskiemu jego pismo łacińskie, wydane po raz pierwszy w r. 1699: *De vanitate Consiliorum liber unus, in quo vanitas et veritas rerum humanarum politicis et moralibus rationibus clare demonstratur et dialogice exhibitur* (O uludzie rad księga jedna, w której uludę i prawdę spraw ludzkich jasno udowadnia się racjami politycznymi i moralnymi i wyklada się pod postacią dialogu). O niezmiernej poczytności tej niewielkiej książki świadczy to, że jeszcze za życia autora rozchwytno sześc (czy nawet siedem) wydań, a i po śmierci Lubomirskiego przez czas długi czytano ją bądź w oryginale łacińskim, bądź w przekładach polskich.

W całej literaturze staropolskiej niema nic, coby na dzisiejszego czytelnika sprawiało tak przygnębiające, tak straszne wrażenie, jak ta książka: na jej czele możnaby śmiało umieścić te słowa, które fantazja Dantego wypisała na bramie piekielnej: «Kto wchodzi do mnie, żegna się z nadzieją». Uosobiona Uluda (*Vanitas*) rozmawia z uosobioną Prawdą (*Veritas*) o różnych sprawach politycznych, a więc o sejmach i sejmikach, o przymierzach i związkach, o skarbie i wojsku, o pokoju i wojnie i t. d.; autor nie mówi wprawdzie nic, że te wszystkie sprawy dotyczą Polski, ale nietrudno dostrzec, że wszędzie ma na myśli swój własny kraj. Każdą rozmowę zaczyna Uluda, dzieląc się z Prawdą swemi «radami», to jest pomysłami, zmierzającymi do uzdrowienia kraju z różnych chorób i do zapewnienia mu potęgi politycznej; na to odpowiada Prawda, że się te pomysły na nic nie przydadzą, każdy z nich bowiem ma wprawdzie dobre strony, ale jeszcze więcej złych. Oto np. początek rozmowy trzynastej, *O sejmie walnym koronnym*².

★ *Uluda*. Jutro za boską pomocą zaczniesz się sejm. — *Prawda*. Jutro też zaraz masz myśleć, jako się ma skończyć. Dobrze zaczniesz, jeżeli go od końca zaczniesz. Żadna sprawa nie jest dobrze poczęta w samej rzeczy, która wprzód nie jest dokończona w myśli. Jutroć wprawdzie zaczniesz się, jeśli Bóg da, ale dobrze się nie skończy, jeśli ty nie dasz. — *Uluda*. Posłowie

¹ postawny, pokąźny. ² mający pozory powagi. ³ przekład Franciszka Bohomolca; (wyraz *Z n i k o m o ś ć* zastąpiono wyrazem *U l u d a*).

ziemscy już się zeszli do Izby. — *Prawda*. Winszuje: będą niebiescy, jeżeli zgodni. — *Uluda*. Wszyscy wprzód słuchali Mszy Wielkiej o Świętym Duchu. — *Prawda*. A przecie nie widzę, żeby co odebrali z darów Ducha Świętego oprócz różności języków... — *Uluda*. ...Senat poda środki, wielce potrzebne do bezpieczeństwa i potęgi Rzeczypospolitej. — *Prawda*. Wiele radził Maryjusz, Fabijusz, Kato i Brutus, mężowie doskonali, nader roztropnie i potrzebnie, ale skutek to zgañił... I wojsko, które Rzymianie przeciwko Antonijuszowi wygotowali, na Rzeczpospolitą obróciło się. — *Uluda*. Znajdzie się sposób, i stanie zgoda na trzymanie jak najpotężniejszego wojska i na punktualne jemu płacenie. — *Prawda*. I w tej materji, tak potrzebnej Rzeczypospolitej niepewny znajdziesz pożytek. Bo jeżeli przyczynisz wojska, będziesz podejrzany obywatelom; jeżeli nie, w pogardzie będziesz u nieprzyjaciół; trzebać będzie uważać, jaki postrach mieć wolisz, zagraniczny, czy domowy. Nadto największa będzie przeszkoda w tej rzeczy od samej Rzeczypospolitej, aby ci punktualnie mieli płacić, których wolność do niczego ściśle nie obowiązuje z przymusu... *Uluda*. Po odprawionych wotach Senatu posłowie z powiatów powrócą do swojej Poselskiej Izby, aby tam układali konstytucyje, potrzebne Rzeczypospolitej, według żądania, od powiatów sobie w instrukcyjach danego, i te znowu odesłają do Senatu, aby za zgodą wszystkich utwierdzone były. — *Prawda*. Powrócą do swojej Izby posłowie, nie wątpię; ale powracają się do morza wody słodkie — i stają się słone; powracają i mgły na ziemię, ale spuszcza ją deszcze i grady; powraca się wiosna z fijołkami, ale kwitną razem ciernie. Tak mnóstwo rady, w przeciągu czasu odradzają się w żądaniu¹; z żądania przychodzi chciwość, wracają się pasyje, z pasyj — niezgody, z niezgód — w radach przeszkody; i często ci, którzy ustępują dla ułatwienia rady, przystępują do przeszkody.*

I tak jest ciągle: ilekroć *Uluda* wystąpi z jakimś pomysłem zaprowadzenia ładu w państwie, tylekroć *Prawda* wylewa na nią strumień zimnej wody. Wprawdzie to, co mówi *Prawda*, nieraz jest słuszne i mądre (np. zdanie, że «nigdy bardziej obawiać się nie mamy nieprzyjaciela, jako podczas pokoju»), ale główna jej rola polega na przeczeniu, a nadewszystko na wątpieniu, czy warto się trudzić myślą, a cóż dopiero czynem, nad «radami», mającemi na celu dobro państwa, skoro wszystkie są bezskuteczne. Można być pewnym, że niejedyn szlachecic, przeczytawszy pismo *De vanitate consiliorum*, zbaraniał do reszty i mówił sobie: «Jeśli tak, jeśli wszystko na nic, to po djabła mamy sobie łamać głowę nad polityką? czy nie lepiej jeść, pić i popuszczać pasa?» Przez sceptycyzm beznadziejny, wiejący z tego pisma, było ono dla dusz polskich straszliwą trucizną, usypiało je i obezwładniało. Z żadnego innego dzieła «Salomona polskiego» nie okazało się tak jasno, że stracił on kręgosłup umysłowy i moralny: umysłowy, bo zwątpił o zdrowym rozsądku, a moralny, bo nie rozumiał już tej prawdy, że miłość ojczyzny jest tak wielką potęgą, iż zmusza rozum nietylko do szukania, ale i do znalezienia skutecznych środków do ratowania ojczyzny choćby z samego dna przepaści. «Gdy serce nie chce, rozum nie pomoże... a gdy się w serce co potężnie wpije, — ni gwałt, ni rozum tego nie wybije»: są to własne słowa Lubomirskiego; ale cóż po tem, kiedy mu się miłość ojczyzny nie wpiła potężnie w serce, i właśnie dlatego jego rozum nie pomógł.

¹ t. zn., że posłowie przestaną radzić o Rzeczypospolitej i będą żądali własnych korzyści.

100. Z utworów poetyckich Lubomirskiego największą wartość mają poezje religijne, oparte na tekstach Pisma Świętego, po części Nowego, ale głównie Starego Testamentu.

Upodobał on sobie zwłaszcza księgę Salomona p. t. *Kaznodzieja* (*Ekklesiastes*), ujrzał w niej bowiem częściowe zwierciadło własnej duszy, mianowicie własnych wątpliwości, czy życie ludzkie ma prawdziwą wartość. To też całą tę księgę przetopił na wiersz polski, i to bardzo udatnie. «Marność marności wszystko jest na świecie, — marności marą, co jedno świat plecie! — Niemasz pod słońcem nic doskonałego! — I coli, proszę, jest tak szczęśliwego, — coby człek z prace i krwawego znoju — zyskał pod słońcem i użył w pokoju?... Są sprawiedliwi, którym nieszczęśliwie — wszystko się dzieje, jakoby złośliwie — wiek prowadzili, a zaś są niezbożni, — w wszelkich dostatkach i szczęściu tak możni, — jakby najbardziej sprawiedliwi byli, — choć tego nigdy i nie zasłużyli. — I możeż większy być dowód marności? — Przeto chwaliłem wszystkie wesołości, — przyznając, że nic pod słońcem lepszego — niemasz, jak zażyć czasu wesołego, — i, niezmarszczone pokazując czoło, — cieszyć się, jedząc i pijąc wesoło».

Swoją własną duszę otworzył Lubomirski także w dziesięciu elegjach, objętych jednym tytułem (*Myśli o wieczności* czyli *Decymka myśli świętych*); myśli te brał z Pisma Świętego, ale rozwijał je samodzielnie, rozpamiętując swoje własne życie, modląc się o zbawienie swej duszy i pocieszając się, że Bóg tej modlitwy wysłucha. «Sam się uznaję, teraz oplakując, — co mnie cieszyło, marność w sercu czując. — Chwalił mnie wprzód świat, zem na jego drogi, — nie na krzyżowe, puścił próżne nogi... Chwalił to ciało, choć mnie rozum uczył, — zem go¹, nie duszę, jako wieprza, tuczył — i, com za sługę mieć go był powinien², — ochraniał, jakbym wieczność mu był wniён. — Chwalił mnie pijak, zem strychem wypijał³, — chwaliły panny, zem się oń⁴ zabijał, — chwaliło piekło, zem na nie zarabiał, — chwaliły gzechy, że je na się zwabiał... Panie mój święty! pokutę mem ciałem, a nie żywotem dobrym wyrażałem: — i zdało mi się, zem polepszył duszę, — kiedy z olejem jem, albo też suszę, — a Tyś, mój Panie, lez mych potrzebował — i skruchy serca, którembym żalował... Siłam ja razy najświętsze przysięgi zламаł, i liczne nie znotują księgi... Siłam Ci, Boże, nie wierzył samemu — światu oddawszy wiarę obłudnemu, — siła Twe prawdy traktowałem bajką, — Twe gniewy żartem, twe łańcuchy krajką, — a Tyś to liczył i partryłeś na to — i, choć-eś uznał, jako wiara zła to, — przecieś mi wierzył, że się z nią nie minę — i, choćym tonął, to przecieś nie zginę... Azaż ja nie wiem, mój święty Medyku, — żeś przyszedł tylko dla mojego léku? — azaż ja nie wiem, że moje niecnoty — zniosłeś wcieleniem i Twemi kłopoty? — azaż ja nie wiem, żeś Ty poty moje — zmył przez cudowne poty krwawe Twoje?... Ale Bóg do mnie jako piorun leci — i lody topi, i ogień mój nieci, — i noc rozpędza, a mnie w światło stroi, — już serce kocha i nie się nie boi».

Te i jeszcze inne wyznania w *Myślach o wieczności* tak ujmują swoją szczerością i, z niewielu wyjątkami, swoją prostotą, że godne są stanąć niedaleko *Psalmodji* Kochowskiego.

Niemalą wartość posiada także poemat epicki: *Tobijasz wyzwolony, to*

¹ t. j. ciało. ² zamiast mieć ciało za sługę. ³ zem, nie odykając ust, wypijał pełne kielichy. ⁴ o nie.

jest księgi *Tobijaszowe z Pisma Świętego, na wiersz polski przełożone i dwunastą ośmiorymowych pieśni wyrażone*¹ (1683). Treści, jak to już widać z tytułu, dostarczyła Lubomirskiemu *Księga Tobijasza*, jedna z najpiękniejszych legend starotestamentowych.. A więc ukoronowane utratą wzroku nieszczęścia starego Tobjasza, które on znosi z niewysłowioną pokorą; opowieść o córce Raguela Sarze, która siedemkroć wychodziła zamąż i siedemkroć tuż po ślubie traciła męża dzięki sztuczkom szatana; przestrogi moralne starego Tobjasza, udzielane synowi; podróż młodego Tobjasza w towarzystwie Anioła; złowienie w rzece Tygrys cudownej ryby; ślub młodego Tobjasza z Sarą i wypędzenie szatana, który nie mógł znieść zapachu położonej na «węglu palającym» rybiej włtroby; powrót młodego Tobjasza z żoną do stęsknionych rodziców; radość niewymowna w całym domu na widok, że stary Tobjasz przewidział, kiedy mu syn, na rozkaz nieodstępnego Anioła, posmarował oczy rybią żółcią: wszystko to opowiedział Lubomirski, idąc krok w krok za Pismem Świętem. Z tego źródła wziął i morał całej opowieści, zamknięty w tych słowach: «Patrzcież, modlitwa i post z jałmużnami — co mogą sprawić, jak są Bogu wdzięczne; — ani tak złoto z drogiemi skarbami, — jako te, mogą dać bogactwa wieczne; — jałmużna bowiem górę nad grzechami — i śmiercią trzyma, i na tej bezpieczne — nadzieje każdy może grzeszny sadzić, — tą łaski dopiąć i tą grzechy zgładzić». (Kto wie, może tę strofę pisał Lubomirski z myślą... o sobie).

Pomimo jednak, że treść jest wzięta z Pisma Świętego, poemat nie jest przekładem, ani nawet przeróbką: nie mówiąc już o tem, że cały początek pieśni szóstej jest owocem przeważnie własnej fantazji autora, samo ujęcie treści jest inne, niż w *Księdze Tobjasza*: nie na tej księdze wzorował się Lubomirski, tylko na *Orlandzie szalonym* Ariosta, za którego przykładem nie tylko posługuje się oktawą, ale nadto każdą niemal pieśń zaczyna od jakiejś sentencji moralnej, co więcej, w sam tok opowieści wtrąca różne uwagi osobiste czyli dygresje liryczne, np. «Na tym padole, w którym utrapienia — równo doznawa tak złość, jak i cnota, — gdzie światło nie jest i słońce bez cienia, — perła bez mułu i krzyszał bez błota, — kędy rozkoszy niemasz bez cierpienia, — ani żadnego bez troski żywota, — wszystkich nas zgola jednak bieda lechce, — a przecię umrzeć nikomu się nie chce...» «Jest jakiś magnes, co go przyrodzenie — w synowskie serca nieznaczenie wlepiło, — że do rodziców mają utęsknienie, — by² się najlepiej im gdzie powodziło. — Taką miłością boskie Opatrznie — rodzice z dziećmi bacznie zjednoczyło, — że włos do domu by³ najslabszy ciągnie, — z domu i łańcuch z trudnością wyciągnie...» «O, jako teraz między ludźmi mało — szczerzej przyjaźni i prawdziwej cnoty! — Chytrej obłudy zewsząd się nasiąło, — niemasz wdzięczności i dawnej prostoty, i, — byle nam się samym dobrze działo, — choćby przyjaciel wpadł w szczęścia obroty, — a nieprzyjaciel byle brząknął złotem, — będzie za brata mian, a brat za płotem... Nie tak więc nasi pobożni przodkowie — a sławni w cnotę ludzie pierworodni: — żyli w przyjaźniach, nieodmienni słowie, — w ofertach⁴ szczerzy i w miłości zgodni; — gdy się witali: «Boże ci daj zdrowie», — odkrytem sercem i myślą swobodni; — wprawdzie słowami szczupli przyjaciele, — mówili mało, ale sercem wiele». Za przykładem też Ariosta kończy Lubomirski niektóre pieśni poematu w taki

¹ t. j. poemat, pisany oktawami, w dwunastu pieśniach. ² choćby nawet.
³ nawet. ⁴ obietnica.

np. spoób: «Bóg zsyła z niebios wielkiego Anioła, — imię mu Rafał, na które ustawa — zdumiała Muza i tu z pieśnią stawa»; albo: «A wtem pan młody do niej¹ idzie właśnie, — ja też spać z pieśnią, bo mi świeca gaśnie».

Tu i owdzie są w poemacie ujemne cechy stylu barokowego (np. zbytek ozdób i porównań); ale, naogół biorąc, umiał Lubomirski połączyć sztukę z prostotą, a nawet z wdziękiem. Piękniejszego poematu religijnego poezja staropolska nie ma.

**Początek
pieśni
szóstej.**

Poglądał na świat okiem jasnościelnym,
Nad podziwienie, Febus złotowłosy,
A obłok, suty swym promieniem liczny²,
Z szafirowemi przeplatał³ niebiosy;
Lśniła się ziemia szmaragdem rozlicznym
Od przeszlorannej ożywiona rosy;
Wiał zefir, i ptak krzyczał głosem różnym:
Któżby był wtenczas nie chciał być podróżnym?

Kiedy Tobijasz z swym przewodcą świętym⁴
Szedł w drogę pieszy, lecz nie opieszały,
I, coraz dalej gościńcem zaczętym
Pędząc wesoło, trawił on dzień cały,
Nie tęsknił najmniej z mężem, z nieba wziętym,
Z którym godziny minutą się zdały;
Nikt za nim nie szedł, tylko pies, w też tropy,
Świadomy pańskiej nie dopiero⁵ stopy.

Tak idąc długo i nieuprzykrzenie,
Póki mu tylko dnia jasnego staje,
Patrzy, przez mile przebiegając cienie,
Na cudze miejsca i rozliczne kraje:
Widzi miast i wsi różne położenie,
Mija padole, rzeki, góry, gaje;
Aż naostatek nad wody przychodzi,
Gdzie się skałami bystry Tygrys grodzi...

Zaraz się obom miejsce spodobalo
Na odpoczynek z podróżnego biegu;
Słońce też nadół koła nachylało,
Wykierowane do morskiego brzegu.
Skąd gdy się w dalszą drogę iść nie chciało,
Wygodniejszego nie czując noclegu,
Wnet się zgodzili nogom popoľgować
I na obranem miejscu przenocować...

Był tam brzeg rzeczny, przyległy domowi,
Między gęstwina, zlekka pochodzisty⁶,
I szedł Tobijasz z góry ku dołowi,

¹ t. j. do panny młodej. ² bogato prześwietlony promieniami słonecznemi.
³ przeplatał się. ⁴ t. j. z aniołem. ⁵ nie od dziś, od dawien dawna. ⁶ spadzisty.

Kędy potoczek płynął przezroczysty;
Ten w rzekę wpadał prosto ku nurtowi,
A wir na głębi wykręcał pienisty;
Tam na leżącej blisko siadłszy kłodzie,
Nogi w Tygrowej plukać począł wodzie.

Alić w głębinie, z pod bliskiego krzaka,
Wycibia ryba łeb, równy smokowi,
Ostre ma zęby, jako u szczupaka,
Pysk płaski i wąs podobny sumowi:
Więc dziwna postać straszy nieboraka
I polecać się każe Aniołowi.
Anioł to widzi, woła: «Śmieie sięgnij,
«A rybę, nic się nie bojąc, wyciągnij!»

Ślucha Anioła, nie lęka się wasa
I za skrzele ją na brzeg z wody wlecze,
Ani go ryba, jak rozumiał, kąsa,
Ale mdła leży, a woda z niej ciecze.
I, chociaż jeszcze ogonem wytrząsa,
Wie jednak pewnie, że mu nie uciecze,
Bo się nie rusza pod jego nogami,
Tylko drga pluskiem¹ i kiwa skrzelami.

I rzekł mu Anioł: «Otwórz jej wnętrzości
«A dobądź serca, żółci i wątroby,
«Te bowiem rzeczy rzadkiej są własności,
«Dziwnie potrzebne na różne choroby;
«Schowaj je sobie, będąc tej pewności,
«Iże z pociechą doznasz tego próby».
Ślucha i rybę porze, póki żywa,
Wątroby, serca i żółci dobywa.

Samę zaś rybę wnet na pożywienie
I w różne dzwona kraje (ile zwłaszcza
W tak długą drogę chcąc mieć opatrzenie),
Zbiera, przynosi, dobywa z pod płaszcz²
I część jej piecze, a część na solenie
Dzieląc, gotuje i kładzie do jaszcz³,
A sposobiwszy wszystko, jak się godzi,
Spać idzie, wstaje i świtem wychodzi...

A gdy, tak idąc, siłą przebieżeli
Różnego kraju i ku wieczorowi
Już się zbliżało, myśląc, gdzieby chcieli
Odprawić nocleg, rzeknie Aniołowi:
«Coli rozumiesz, gdziebyśmy też mieli
«Dziś przenocować?» A Anioł odpowie:

¹ ogon.

² obrzyna ze skóry.

³ naczynie drewniane, pudełko.

«Mieszka tu blisko mąż Raguel z imienia,
«Wiem, że jednegoż z tobą pokolenia.

«A ten ma córkę, która się nazywa
 «Sara, ojcowskiej dziedziczka własności;
«Ociec w bogactwach i cnocie opływa,
 «Córka w przymiotach równa się piękności.
«Do tej ci Niebo gościniec odkrywa:
 «Ty masz dziedzicem być jej majątności;
«Proś o nią ojca dać ją bez odwłoki:
«Tak chcą i każą niebieskie wyroki».

101. Jak chwałę poezji XVII wieku stanowi epika, tak prozy — pamiętniki. Najlepsze pozostawił po sobie szlachcic z rawskiego, **Jan Pasek** (urodzony około r. 1636, zmarły 1701), wychowanek szkół jezuickich. W młodym wieku zaciągnął się do wojska, jako towarzysz pancerny chorągwi Stefana Czarnieckiego; bił się z wojskami Rakoczego, brał udział w wyprawie do Danji, oraz w wojnie z Moskwą (1661); do rokoszu Lubomirskiego nie należał i w bitwie pod Mławami walczył w szeregach królewskich. Po kilku latach służby wojskowej osiadł na roli, w krakowskiem, gospodarował, jeździł ze zbożem do Gdańska, polował, procesował się z sąsiadami, tłukł się po sejmach i sejmikach, po weselach i pogrzebach, awanturował się, hułał i pił nazabój.

Bo też był to człowiek żywy i ruchliwy, porywczy i gwałtowny, w gorącej wodzie kąpany; wesoły, jowjalny, gadalliwy, pełny animuszu rycerskiego i fantazji, ale o głowie ciasnej i sercu małym; piniacz, chciwy grosza i procesujący się o byle co po całych latach, choćby o jedną głupią krowę; do tego pijak, awanturnik, zawadzaka, kłótnik. Wogóle jest Pasek postacią lichą, a (niestety!) typową, bo skupiającą w sobie prawie wszystkie ujemne cechy ówczesnej szlachty; jest doskonałym przedstawicielem sarmatyzmu w ujemnym znaczeniu tego wyrazu, jak Potocki — w dodatkiem.

Religijny był bardzo, ale religijność to taka, o jakiej mówi przysłowie: «Modli się pod figurą, a nosi djabła za skórą». Wierzył, że bez woli bożej włos mu z głowy nie spadnie, że Bóg jest tak dobry, iż szlachcicowi polskiemu nawet w pojedynkach sekunduje; wierzył, że, kiedy raz, upiwszy się, jak bela, zapadł w ciężką gorączkę, umarłby z pewnością, gdyby nie pomoc ś. Antoniego; ale i w to wierzył, że, kiedy się koń potknie, będzie nieszcześnie, a cóż dopiero, kiedy się kometa ogoniasta na niebie ukaże! Modlił się klepał pilnie, śpiewał godzinki, w niebezpieczeństwie «odlawał się boskiej i Jego Najświętszej Matki protekcji»; w zmartwieniach, kiedy tylko «ściskał nóżki Panu Jezusowi, którego nosił na obrazie z Najświętszą Panną, to zaraz jako plastr przyłożył»; uczęszczał przykładnie do kościoła, spowiadał się, odbywał pielgrzymki do Częstochowy; postu, zwłaszcza w wigilję do Matki Boskiej, nie zламаłby za nic w świecie: cóż z tego, kiedy ta pobożność i religijność dziwnie się jakoś godziła z czynami wręcz haniebnymi! Mniejsza o to, że się Pasek często upijał (mówił sobie, że taka to już moda w Polsce); i o to mniejsza, że się pojedynkował przy każdej sposobności i urządził zajazdy na cudze domy (i to było modą w Polsce): to wszystko jeszcze fraszka w porównaniu z innymi sprawkami. Raz np. dano mu znać, że jacyś ludzie polują na jego gruntach: zaczął się, dopadł, powalił my-

śliwych na ziemię, związał, skopał, zbił, wreszcie zmusił jednego ze schwy-
tanych do zjedzenia na surowo upolowanego zająca! Wogóle względem
tych, co mu wchodzili w drogę, był niehumaniczny i okrutny, zwłaszcza dla swoich
poddanych. Raz np. skatował chłopą, zarzucił mu powróż na szyję, przytro-
czył go do konia, zaciągnął do miasta, wrzucił do lochu i przez cały ty-
dzień morzył głodem; innym razem kazał sieć różgami kowala, zakął go
w kajdany i wraz z nieletnim synem wtrącił do więzienia; albo jeszcze,
podejrzewając o coś karbowego, wziął go na tortury i t. p.

Już to wogóle miłością bliźniego ani drażliwością sumienia nie od-
znaczał się Pasek. Nie grzeszył i tkliwością uczuć. W Danji zakochała się
w nim na śmierć (jeśli tylko Pasek nie kłamie, bo to mu się zdarza bar-
dzo często) jakaś piękna Dunka, która i jemu «jakoby kajdany włożyła na
serce»; chciał pozostać w Danji, chciał się żenić, ale nie pozostał, nie ożenił
się, wrócił do domu i... po drodze zapomniał. Po powrocie z Danji znajomi
swatali go odrazu z dwiema pannami, Radoszowską i Śladkowską; on «tych
rzeczy słuchał właśnie, jako kiedy owo na dwa chóry muzyka gra: i ta
pięknie, i ta pięknie, bardziej mi się jednak serce chwyciło Śladkowskiej»,
bo chociaż złe języki mówiły, że panna jest «zła jako jaszczurka i bez mała
nie podpija», ale wiedział, że ma siedemdziesiąt tysięcy posagu, oraz wio-
skę, na której «nietylko pszenica, ale cebula w polu na każdym zagonie,
gdzie ją wsiewiesz, urodzi się». Ostatecznie jednak pojął w małżeństwo nie
pannę Śladkowską, tylko starą babę, panią Annę Łacką, wdowę, szczęśliwą
matkę pięciorga aniołków, liczącą sobie czterdzieści sześć wiosen, ale gospo-
darną i majątną. Dzieci nie miał, co przypisywał czarom.

Ojczyznę kochał — po swojemu. Polskę poczytywał za naród wybrany,
którym się szczególnie opiekują Bóg i aniołowie. Na narody obce patrzył
z góry: Szwedzi to, jego zdaniem, «naród świński», Moskwa — «naród ja-
szczurczy». Ale osobliwie nienawidził Francuzów, bawiących na dworze Lu-
dwiki Marji, jak nie cierpiał ich cały wogóle motłoch szlachecki, drżący
na samą myśl, że król pod ich wpływem gotów pomyśleć o ukróceniu zło-
tej wolności i o tronie dziedzicznym. Jakoż myśleli o tem nietylko oboje
królestwo, ale i całe stronnictwo «francuskie», do którego, między innymi,
należał prymas Prażmowski. Otóż Pasek nienawidził, jak całego stronnictwa,
tak szczególnie prymasa, z którego kalectwa szydził, którego nazywał
ślepcem jednookim, któremu po śmierci nawet nie darował: «Prażmowski
snein śmiertelnym zawarł oko, bo nie miał, tylko jedno, które siła widziało
i siła złego robiło». Bo poco i naco, myślał sobie Pasek, reformować Polskę,
kiedy w niej pocziwiej szlachcie tak dobrze, jak u Pana Boga za piecem?
To też cieszył się serdecznie, kiedy po abdykacji Jana Kazimierza obrano,
wbrew stronnictwu francuskiemu, «Piasta» — Wiśniowieckiego, i szcze-
gółowo opisał w swych pamiętnikach ten triumf szlachty, tę bezmyślną elek-
cję, podczas której szlachta znieważyla senatorów, co mądrego Paska
w pyszny humor wprawilo, chociaż raczej płakać, aniżeli śmiaćby się na-
leżało! Wogóle patryjotyzm Paska był, co się nazywa, z a s c i a n k o w y, jego
poglądy polityczne rozpaczliwie ciasne. W prostocie ducha wierzył, że, by-
leby się tylko Polska broniła od sąsiadów, wszystko pójdzie jak po maśle.
Jakoż sam mężnie bronił ojczyzny, nie szcędząc dla niej własnej krwi:
w bitwach walczył jak lew, zwłaszcza, gdy onosily go zapał i fantazja ry-
cerska, oraz... nadzieja łupu, bo o tem nie zapominał nigdy (podobnie jak
Rzędzian w *Ogniem i mieczem*), w myśl swej zasady: «Nie żal i skóry szcze-

rze nadstawić, kiedy wiem, że, zwyciężywszy, będzie za co plasterek kupić i czem ranę zawiązać». Poczucie honoru rycerskiego miał niewątpliwie, i ono to dwukrotnie ocaliło go od zdrady: miał duszną ochotę przyłączyć się do Związku Święconego (który zawiązano z powodu niewypłacania żołdu na wojnie z Moskwą r. 1661) i do rokoshu Lubomirskiego, bo się i tu, i tam dopatrywał dla siebie korzyści; ale ostatecznie poczucie honoru przemogło, i dochował wierności królowi. Służyć jednak królowi i ojczyźnie bezinteresownie ani mu się śniło, i upominał się ustawicznie, by mu za służbę publiczną płacono. Czasem też sam zapłatę sobie obmyślał. Raz np. polecono mu wyruszyć na granicę Moskwy, aby przeprowadzić jadących do Warszawy dla zawarcia pokoju posłów moskiewskich; Pasek chętnie podjął się tej misji, bo wiedział, że to rzecz zyskowna; jakoż po drodze wymuszał pieniądze od mieszczan, którzy mu się okupywać musieli, by w miastach z posłami gospodą nie stawał, — i zebrał sobie sporo grosików, do czego się sam otwarcie przyznaje: «Posłów prowadząc, wziąłem 17.000».

Głosił Pasek piękną zasadę: «Nie wiem, jakoby się ten miał nazwać synem ojczyzny, ktoby dla swojej prywaty publicznych jej miał zapomnieć interesów»; ale czynem zasady tej bynajmniej nie stwierdzał. Raz posłał go Jan Kazimierz z pilnym listem do Czarnieckiego, ale Pasek nie śpieszył się: utknął po drodze u znajomych i całe dwa tygodnie hulał i pił. Innym razem, gdy go pomówiono o udział w Związku Święconym, oburzony do żywego niesłusznem posądzeniem, zawołał: «Przed niebem i ziemią *protestor* w krzywdzie¹ mojej i tego, com dla ojczyzny uczynił, szczerem żałuję sercem!» Wstyd!

Takim to człowiekiem był Pasek. Ujmuje on nas swoją fantazją rycerską, walecznością, poczuciem honoru, swoją żywością i wesołością; w towarzystwie, przy kieliszku, był to z pewnością jeden z najsympatyczniejszych ludzi na świecie, umiejący każdego rozweselić «gębą i conceptem»: ale pod względem moralnym był figurą marną, a jako Polak, jako obywatel, nie mający należytego pojęcia o obowiązkach względem ojczyzny i nie chcący służyć jej bezinteresownie, był jednostką raczej szkodliwą, niż pożyteczną — jak ogół ciemnej szlachty współczesnej.

Otóż ten lichy człowiek jest autorem najlepszych w całej literaturze staropolskiej pamiętników (wydanych po raz pierwszy dopiero w roku 1836), obejmujących lata 1656—1688, a pisanych w starości, kiedy pamięć trochę już nie dopisywała. Ze spraw publicznych opowiedział tu Pasek prawie wyłącznie te tylko, w których sam brał udział, lub na które patrzył własnymi oczami, a więc wyprawę duńską, wojnę na Litwie z wojskami Chowańskiego (bitwy pod Lachowiczami i nad rzeką Basią), Związek Święcony i rokosh Lubomirskiego, elekcję Wiśniowieckiego, konfederację gołębską; z wypadków, w których udziału nie brał, najszczegółowiej opisał odsiecz Wiednia. Pozatem opowiada głównie o swojej własnej doli i niedoli, na obczyźnie i w kraju, czasu wojny i pokoju; bitwy i sejmiki, burdy i pojedynki, przyjaźnie i kłótnie, konkury i wesele, stosunki sąsiedzkie i rodzinne, uczył i zjadł, kłopoty gospodarskie i tarapaty sądowe, myślistwo (ukochana wydra, którą z bólem serca podarował Janowi III!), słowem, całe życie szlachcica-rycerza, szlachcica-obywatela i szlachcica-ziemianina — oto co stanowi treść i zarazem ogromną wartość pamiętników Paska, jako przepyszego źródła

¹ protestuję przeciwko krzywdzie.

do poznania obyczajowości i charakteru szlachcica polskiego; pod tym względem ani jeden utwór prozy polskiej XVII wieku równać się z niemi nie może. Oto dlaczego Mickiewicz nazwał te pamiętniki romansem historycznym.

Niedosyć na tem. Pamiętniki Paska to przepyszny okaz żywej mowy polskiej XVII w. i niezrównane arcydzieło stylu gawędziarskiego. Mistrz z Paska nad mistrzami nietylko w rąbaniu ręką, ale i w obracaniu językiem: rękę wyćwiczył sobie w bitwach i pojedynkach, a język — przy butelkach i gąsiorach, w wesołym gronie znajomych i przyjaciół, którym chętnie opowiadał o swoich «okazyjach», nie dbając naturalnie o poprawną budowę zdania i «koloryzując» często, t. j. kłamiąc jak najęty; i tak, jak opowiadał te «okazyje», przekazał je piórem potomności. Tak żywo i barwnie, tak naturalnie i zamaszyście, z takim humorem, błaznowatym, ale szczerym i naprawdę ogromnie zabawnym — nie umiał opowiadać nikt, chyba... jeden tylko Zagłoba. Ale bo też Sienkiewicz uformował styl Zagłoby (i nietylko Zagłoby) na stylu Paska. Cała literatura staropolska nie zna lepszego gawędziarza. «Gdybyśmy więcej takich Pasków mieli — powiedział Krasieński — mielibyśmy oryginalną literaturę, różną od wszystkich europejskich».

LITERATURA WIEKU XVIII

ROZDZIAŁ VI

Czasy saskie

Zdziczenie literatury — początki odrodzenia

102. W całej historii Polski niema okropniejszej, bardziej upokarzającej epoki, jak czasy panowania dwóch Sasów, Augusta II i jego syna, Augusta III. Już w wieku XVII było źle, już triumfowała anarchja i złota wolność, ale przynajmniej gospodarzami Polski byli Polacy, a jeśli chcieli gospodarować cudzoziemcy, to się naród zrywał i wyganiał ich z domu. W wieku XVIII — inaczej. Mniejsza o to, że na tronie polskim zasiadali dwaj cudzoziemcy: i Batory był cudzoziemcem, ale Batory pokochał Polskę i dbał o nią, jak o rodzoną ojczyznę; tymczasem August II Polski nie kochał, August III zaś nie mógł jej kochać, jako istota bez serca i bez mózgu. Bądź co bądź byli to królowie polscy, nie obcy: stokroć gorszą jest rzeczą, że nie oni gospodarowali, tylko obcy królowie, którzy się rzadzili w Polsce, jak głodne gęsi w stodole, zwalczając wszelki opór podstępem, groźbą lub orężem. Karol XII, król szwedzki, złożył z tronu Augusta II i wprowadził nań Stanisława Leszczyńskiego, a Piotr Wielki, car rosyjski, złożył z tronu Leszczyńskiego i przywrócił go Augustowi; po śmierci Augusta II obrano Augusta III — pod naciskiem wojsk rosyjskich. Podobnej hańby nigdy jeszcze nie zaznała Polska, i ona, o której względy niegdyś ubiegała się Europa, teraz stała się jej pośmiewiskiem. O naprawie zaś Rzeczypospolitej nawet mowy być nie mogło; przecie naprawić ją mogły tylko sejmy, a sejmy zrywano za pieniądze cudzoziemskie: za Augusta II zerwano sejmów siedemnaście, a za jego następcy nie doszedł do skutku ani jeden sejm zwyczajny! Zresztą o naprawie nie myślano: społeczeństwo miało wprawdzie oczy, ale nie widziało i po dawnemu twierdziło, że «Polska nierządem stoi», z tym jeszcze dodatkiem, że nietylko nierząd, ale i słabość Polski jest jej siłą, bo słabej Polski potrzebują sąsiedzi, a tego, kogo się potrzebuje, oszczędza się przecie!... Oglupienie polityczne szlachty doszło do szczytu! Jednostki tylko nie podzielały tych potwornych poglądów, tylko jednostki widziały, na co się zanosi, i chciały ratować Rzeczpospolitą, ale wobec oglupienia ogółu i bezsilności sejmów, narazie nic sprawić nie mogły; a kiedy wreszcie,

za panowania Stanisława Augusta, mogły, kiedy ogół przejrzał, a sejmy odzyskiwały siłę — było już za późno: nie pozwolili na ratunek podli sąsiedzi.

Ogłupieniu politycznemu towarzyszył straszliwy upadek moralny społeczeństwa, nieodłączny od ciemnoty. Rozpusta i zbytki doszły do zastraszających rozmiarów — «za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa»; miłość ojczyzny skurczyła się zupełnie w «domach i pojedynkowych pożytkach» (przed czem ostrzegał niegdyś Skarga); łapownictwo senatorów, posłów, sędziów, urzędników stało się chlebem powszednim; religijność, krzewiona po kościołach, szkołach i domach przez ciemne i niemoralne duchowieństwo, wyradzała się, schodziła coraz to wyłącznie na bezduszną dewocję, na posty i dyscyplinowanie się, na pielgrzymki, na koronowanie cudownych obrazów Matki Boskiej, na uczęszczanie do kościoła nie dla prawdziwego nabożeństwa, tylko dla zwyczaju lub ciekawości. Resztki tolerancji religijnej zanikły; sprawdziły się obawy Wacława Potockiego: z arjanami załatwiono się już w wieku XVII, teraz wzięto się do wszystkich wogóle innowierców, których prześladowano, usuwano z izby poselskiej, nie dopuszczano do urzędów: nie poszła w las nauka jezuicka, niedarmo uczyli księża, że Bóg za to tylko Polskę karze, iż cierpi u siebie protestantów!

Co i jak się działo w Polsce, o tem najlepsze dają pojęcie pamiętniki kasztelana brzeskiego **Marcina Matuszewicza** (zm. w r. 1784), spisane za Augusta III (wydane dopiero w r. 1876); odsłaniają nam one w całej nagości okropną zgniliznę polityczną, umysłową, moralną i religijną społeczeństwa w pierwszej połowie XVIII w. Autor, sam człowiek nikczemny, bez Boga w sercu, do tego stopnia zatracił czy zapisał sumienie i wszelki zmysł moralny, że o prywacie szlachty, o zrywaniu sejmów, o sprzedajności sędziów, o rozpuszcie, o pijaństwie i t. d. opowiada z takim spokojem, czasem nawet z uśmiechem, jakby o rzeczach nietylko najzwyczajniejszych, ale zupełnie godziwych, które nikogo razić nie powinny. Ze **d z i w i e n i e m** np. opowiada Matuszewicz, że mieszka w Polsce jeden szczególniejszy magnat (Jan Klemens Branicki), chyba niespełna rozumu, skoro... nie chce tykać pięniędzy zagranicznych!

Takie to były czasy! Próby ich obrony, podejmowane obecnie przez niektórych młodych historyków, na nic się nie przydadzą: nikt nie obali tego faktu, że Polska leciała w przepaść, że ogół społeczeństwa był zdemoralizowany i ogłupiały, że jednostki tylko zdawały sobie sprawę ze strasznego położenia ojczyzny i usiłowały ją ratować.

Literatura czasów saskich jest wiernym obrazem społeczeństwa: społeczeństwo zdziczało, więc zdziczała i literatura, tracąc niemal już doszczętnie mądrą myśl i piękno formy. Książki poważniejsze ukazują się niezmiernie rzadko. Do tych wyjątków należy olbrzymie dzieło jezuitę **Kaspra Niesleckiego** (1684—1744) p. t. *Korona polska, przy złotej wolności starożytnemi wszystkich katedr, prowincyj i rycerstwa klejnotami, heroicznem męstwem i odwagą, najwyższemi honorami, a najpierwej cnotą, pobożnością i świętobliwością ozdobiona, potomnym zaś wiekom na zaszczyt i nieśmiertelną sławę pamiętnych w tej ojczyźnie synów podana* (1728). Jest to najobszerniejszy w literaturze staropolskiej herbarz, zawierający w sobie starannie zebrane wiadomości historyczne nietylko o rodach szlacheckich, ale i poszczególnych «pamiętnych w tej ojczyźnie synach», a przez to będący ważnym źródłem do ich biografji. Pożywi się tem dziełem i historyk literatury,

nie zapomniał bowiem Niesiecki o wybitnych pisarzach. Oto np. biografia Lubomirskiego:

★Stanisław Heraklijusz, marszałek wielki koronny, starosta spiski, syn Jerzego, marszałka wielkiego i hetmana polnego koronnego, z Ligęzanki, i w ojczyźnie, i w cudzych krajach młodsze lata naukami wyzwolonemi pólując, tyle w nich postąpił, że sobie w dalszym życia swego wieku na mądrego marszałka imię zasłużył. Jakoż są w druku jego dowcipu i umiejętności ślady niektóre, wydał albowiem... (*tu następuje poczet jego dzieł*)... Umiejętnością i wymowy gładkością, gdy mu, natenczas podstolemu koronnemu, posłowi na walny sejm w roku 1670, łaskę Izby poselskiej braterskie afekta konferowały, tak ją piastował, że, lubo przed nim dwa sejmy albo się rozeszły bez żadnego skutku, albo nieszczęśliwym losem porwały się, on jednak swym przezorem tego dokazał, że publiczne obrady do pożądanego końca doprowadził. Król Jan, szacując w sobie w nim mądrą radę, najprzód mu łaskę nadworną, a potem wielką oddał, Rzeczpospolita zaś dla zasług jego grunta wsi królewskiej Ujazdów na sejmie 1683 puściła, tak żeby mu napotem cała ta wieś dziedzicznym prawem hołdowała... Tam on pałac modną strukturą i wielkim nakładem wystawił; blisko zaś Ujazdowa, to jest w Czerniakowie, kościół na cześć ś. Bonifacego i klasztor wymurował, przy którym ojców bernardynów osadził; sam tamże po śmierci, która przypała na rok 1702, solennie złożony, z tą od siebie inskrypcją nakazaną: *Hic jacet peccator, huius loci fundator*¹. Podoleckie także kollegijum ojców *Scholarum piarum*² corocznie kilką tysiącami prowidował. Na Spizu, kościoły heretykom odebrawszy, kapłanów katolickich przy nich osadził... W drodze raz będąc ten Stanisław marszałek za granicą polską, obaczył dwóch trupów niepochowanych, przy kościele leżących; pyta się, czemu by ich nie grzebiono w ziemi; gdy mu doniesiono, że prawie niemasz za co pogrzebu im sprawić, on, jak był pobożnie miłosierny, rozkazał swemu podskarbiemu, aby nieodwłocznie, ile trzeba było, wyliczył na przystojne, podług katolickich obrządków, ciał onych do grobu złożenie. W kilka czasów do domu swego powróciwszy, gdy się po swoim *eremitorium*³ sam jeden przechodzi (tam więc zwyczajnie od zgiełku interesów, dla większego pokoju, z Bogiem złączenia i ksiąg czytania, zwykł się był uchroniać), obaczył dwoje ludzi, męża i niewiastę, w bieli ku sobie idących. Gniewał się zrazu na ludzi swoich, że mu importunów⁴ do niego wpuszczono, potem jednak, zbliżywszy się ku nim, pyta się, coby zacz ludzie byli i czegoby od niego chcieli. «Myśmy są — prawi — ci, którymes ty na tem a na tem miejscu łaskę wyświadczył, gdyś na pochowanie ciał naszych szkatuły swojej nie żałował; przyszlismy tu poto, abyśmy ci za tę uczynność podziękowali, a oraz upewnili cię o nieśmiertelności dusz ludzkich». Co wymówiwszy, zniknęli. ★

Lecz nie dzieło Niesieckiego jest miarą umysłowości czasów saskich; najlepiej charakteryzuje ich ciemnotę czterotomowa księga księdza **Benedykta Chmielowskiego** (zm. r. 1763) pod następującym wdzięcznym i króciutkim tytułem: *Nowe Ateny albo Akademia, wszelkich scyjencyj⁵ pełna, na różne tytuły, jak na classes⁶ podzielona, mądrym dla memoryjału,*

¹ tu leży grzeszyciel, tego miejsca założyciel. ² pijarzy. ³ pustelnia.
⁴ natręt. ⁵ wiedza. ⁶ klasy.

idyjotom dla nauki, politykom dla praktyki, melankolikom dla rozrywki erygowana¹ (1756). Co zawiera w sobie ta księga, o tem poucza ciąg dalszy tytułu: *O Bogu, bożków mnóstwie, słów pięknych wyborze, kwestyj cudnych wiele, o Sybillów zbiorze, o zwierzach, rybach, ptakach, o matematyce, o cudach świata, ludzi rządach, polityce, o językach i drzewach, o żywiołach, wierze, hieroglifikach, gadkach, narodów manjerze; co kraj który ma w sobie dziwnych ciekawości, cały świat opisany z gruntu, w słów krótkości. Co wszystko stało się wielką pracą i własnym kosztem autora, tu aenigmatice² wyłożonego: Imię wiosna zaczyna³, Wielkiej Nocy blisko, Głowę w piwie i w miodzie zawraca nazwisko⁴.*

Jest to encyklopedja — zbiór wiadomości z zakresu teologii, historii, geografji, polityki, matematyki, zoologii, botaniki, mineralogji i t. d. Pomiedzy innemi autor odsłania czytelnikowi różne «osobliwe sekrety», np. skuteczne lekarstwo na ból zębów: «Kość wyjąć z uda żaby, tą kością zębów się dotykać, przestaną boleć». «Oko jaskółcze włożywszy do pościeli czyjej, sen mu odbierzesz:... dobry sposób na śpiochów». Jak grad odwrócić? «Chmurze gradowej pokazać wielkie zwierciadło i przeciwko niej wystawić, — kędy inędy obróci się». Ciekawe są również wskazówki dla szlachcica, wybierającego się zagranicę: powinien się on, jeśli nie chce «z ojczyzny swej wyjechać ciołkiem, a powrócić wołem», przypatrywać bacznie temu wszystkiemu, co się w obcych krajach dzieje, a więc pomiędzy innemi zwiedzać rozmaite osobliwości, zwłaszcza kościoły i kaplice, aby wiedzieć, «których tam Świętych deponowano relikwije, jakie obrazy, cuda»; a jest tego zagranicą coniemiarą: w jednym np. mieście włoskiem «jest wielkiego walaru⁵ skarb, t. j. pierścień Królowej nieba i ziemi, którym św. Józefowi zaślubiona była»; gdzie indziej znów «jest za szkłem sukienka Matki Najświętszej, kominek, na którym Chrystusowi Panu, sobie i Józefowi ś. jeść gotowała, jest i miseczka gliniana, z której karmiła». Zanim się z domu wyruszy, trzeba przystąpić do spowiedzi i «wziąć sobie za przewodniczkę Matkę Najświętszą, idącą do Egiptu, ś. Rafała, ś. Trzech Królów, ś. Expedita za patronów». Wogóle dzieło Chmielowskiego jest przesiąknięte duchem bigoterji i fanatyzmu: autor radzi np. Polakom, aby «tak z innymi uczynić heretykami, jak z aryjanami uczynili, a jeśli nie można, tedy pod jarzmem praw duchownych i świeckich ich utrzymać należy». Bardzo znamienne są poglądy polityczne Chmielowskiego: «brylant nieoszacowany Korony polskiej — wolność złota»; «drugi diamentowy fundament wolności polskiej — *libera regum electio*»⁶; «trzeci fundament — *liberum veto*, gdyż to wolne mówienie na sejmikach i sejmach jest matką i duchem wolności, jest nie konającej ojczyzny znak, gdy jeszcze gada». I o języku ojczystym nie zapomniął uczony autor: jego zdaniem, szanujący się pisarz, a zwłaszcza mówca, powinien gęsto przetykać mowę rodzinną makaronizmami i wogóle wyrazami cudzoziemskimi, bo te są od polskich «polityczniejsze»; niepolityczne np. będą takie wyrazy, jak przeciwnik, donosiciel, uczeń, prostack, widok; polityczne natomiast: adwersarz, delator, dyscypuł, symplak, theatrum. «Czyliż to jest gładko: Zalecam się W Pana baczności? Ładniej po-

¹ erigere = wznosić. ² zagadkowo, zapomocą następującej zagadki. ³ pierwszy dzień wiosny (21 marca) jest dniem św. Benedykta. ⁴ nie znaczy to, że autor, pisząc swoje dzieło, był pijany (choć i to możliwe), ale że do wyrabiania piwa i miodu używa się chmielu (Chmielowski). ⁵ wartość. ⁶ wolny obiór królów.

dobno: Rekomenduję mię WPana respektowi». A tak pod każdym względem *Nowe Ateny* Chmielowskiego są książką wysoce znamioną, dają bowiem wyborne pojęcie o upadku zarówno zdrowej myśli, jak poczucia piękna.

Lecz pisać i mówić uczono się nie z *Nowych Aten* Chmielowskiego, tylko z różnych specjalnych podręczników. Najpopularniejszy napisał jezuita **Wojciech Bystrzonowski**: *Polak, sensat¹ w liście, humanista w dyskursie, w mowach statysta, na przykład dany szkolnej młodzi (1730)*. W książce tej, która w ciągu lat dwudziestu siedmiu miała trzynaście wydań, podaje autor wzory różnego rodzaju listów, dysput i mów, zarówno prywatnych, jak politycznych. Wszystkie te wzory są nienaturalne, napuszone, naszpikowane makaronizmami i barbaryzmami, a do tego najczęściej bezsensowne. Oto np. początek listu, w którym *Pan młody zaprasza krewnych na wesele*:

★ Już dalej *in labyrintho*² afektów błąkać się przestaje Tezeusz, gdym znalazł (a rozumiem, że *ex filo*³ boskich predestynacyj) Aryjadnę; i stanąłem *tandem in meta votorum*⁴ konkurencyi mojej, albowiem mam zaślubione słowo Jej MCI panny N. N., które tylko *publico* zostaje potwierdzić *Sacramento*... Nie chcąc zaś to dożywotnie *vinculum adstringere*⁵, tylko przy prezencyi kolligacyi⁶ mojej, upraszam W. M. W. M. Pana⁷, aby, jako się *nexu sanguinis*⁸ zjednoczył i mnie znasz się być bliskim, tak się i prezencyją swoją w tej okoliczności nie oddalał, lecz wesela tego chciał *cumulare solatia*⁹ osobą swoją»... ★

A oto jeszcze początek *Powitania gościa*.

★ *Gospodarz*: «Wielkie *numen intra domesticos lares*¹⁰, osobę W. M. pana, jako z najniższą witam weneracyją, *debitum* Jemu oddając *cultum*¹¹, że braterskie progi godną prezencyi swojej chciał *consecrare*¹² bytnością». *Gość*: «I owszem mam to sobie za szczęście, że mi się dostaje *inter Penates*¹³ domu tego godne *numen*¹⁴ Gospodarza nietylko oglądać, ale *cum omni sensu*¹⁵ powinnej adoracyi oddać honor, który sam *in persona*¹⁶ składam w progach jęgo». ★

Wygłaszać tak napuszone i głupie mowy uczono już w XVII wieku, ale za czasów saskich zwyczaj ten doszedł do szczytu zwyrodnienia; zwłaszcza w panegiryzmie przebierano wszelką już miarę, nie dziw tedy, że panegiryki należały do ulubionej lektury.

Ukazywało się także mnóstwo pism religijnych, albo raczej dewocyjnych, jak np. książeczki o cudownych uzdrowieniach, o koronacji cudownych obrazów, i t. p. W kazaniach bezmyślność walczy często o lepsze z dzikością smaku estetycznego. Jako przykład mogą służyć kazania jezuita Franciszka Kowalickiego, który (jak to było powszechnym wówczas zwyczajem) raz po raz przeplata nauki moralne dykteryjkami i historyjkami,

¹ czuły. ² w labiryncie. ³ z przędzy. ⁴ nakoniec u kresu swych życzeń. ⁵ węzeł zawiązać. ⁶ w obecności swoich kolligatów (powinowatych).
⁷ Waszą Mość Wielce Miłościwego Pana. ⁸ węzłem krwi. ⁹ pomnożyć radości.
¹⁰ bóstwo między bogami domowemi. ¹¹ powinną cześć. ¹² uświęcić. ¹³ Przeciwnie, to ja powinienem sobie poczytać za szczęście, że... między bogami domowemi. ¹⁴ bóstwo. ¹⁵ w całym znaczeniu tego wyrazu. ¹⁶ osobiście.

ubliżającymi powadze kazalnicy; prawi np., że «w Monachijum na weselu książećcia bawarskiego pasztet dano, w pasztecie karła, który po odkrytym pasztecie z szpada wyskoczył, między półmiskami tańcował z uśmiechem gości zgromadzonych». Dla zbudowania słuchaczów opowiadał im raz Kowalicki, że «na błoniach poznańskich pokazały się dwie Przenajświętsze Hostyje w jasności na powietrzu (od Żydów pokłute tam wyrzucone były); gromadne bydłat trzody na kolana padły, głowami o ziemię biły i swoje *Te Deum* mruźliwym rykiem śpiewały». Inny jezuita opowiadał kiedyś we Lwowie na kazaniu o tem, jak Lucyfer latał ponad ziemią, i t. p.

Ulubionemi książkami do czytania były dalej kalendarze, bez których się szlachcic obejść nie mógł i którym zawdzięczał często całą niemal swoją wiedzę, dowiadując się z nich nietylko o tem, co się dzieje na świecie i w Polsce, kto jaki urząd piastuje, gdzie i kiedy będzie jarmark i t. d., ale i o tem jeszcze, jaki wpływ wywierają planety na życie ludzkie, które dni będą feralne, które pogodne, a które pochmurne i dżdżyste, «jak daleko jest do piekła», «z której strony świat jest okrągły», «czemu podziemne ludzie, do nas nogami chodzący, nie patrzą na niebo» i t. p.

Jak proza, tak i poezja czasów saskich jest obrazem nędzy i rozpaczy. Rozwlekłe wiersze historyczne (polskie i łacińskie), oraz powieści fantastyczne są po większej części tak samo niezdarne, jak poezja religijna, np. wierszowane legendy i żywoty świętych. Jak bardzo zdziaczała poezja, o tem dać może pojęcie książeczka p. t. *Uwagi śmierci niechybnej, wszystkim pospolitej, wierszem wyrażone, a sumptem¹ Jmć Pana Xawerego Stephaniego, obywatela miasta J. K. M. Wilna do druku na pożytek duchowny podane roku 1766*. Czy istotnie autorem tego dziwoląga jest ksiądz **Józef Baka**, jezuita, niewiadomo napewno, bo na karcie tytułowej pierwodruku nazwisko to nie figuruje; wymienił je dopiero Rajmund Korsak (poeta-humorysta) na karcie tytułowej sporządzonego przez siebie przedruku (1807). Dosyć, że nazwisko Baki przeszło w przysłowie: wiersze *à la Baka* oznaczają głupie wiersze, i słusznie, jak pokazuje choćby następujący urywek *Uwag*.

Młodym Cny młodziku, Migdaliku,
dym Czerstwy rydzu, Ślepowidzu!
uwaga. Kwiat mdleje, Więdnieje...
Śliczny Jasiu, Mowny szpasiu,
Mój słowiku, będzie zyku!
Szpaczkujesz, Nie czujesz:
Śmierć, jak kot, Wpadnie w lot!
Aza nie wiesz, Ze śmierć, jak jeź
Ma swe głogi, W szpilkach rogi?
Ukoli Dowoli,
Aż jękniesz i pękiesz...

Czy ty głuszec, czy ty wrona,
Dusznym sępów chwyci szpona.
Twa główka Makówka
W swawoli Nie boli;
Tobie w głowie skoki, tany,
Charty, żarty na przemiany:
Śmierć kroczy, Utroczy,
Jak patoszka, —
Nie fraszka!
W ślepi mamkę gdy śmierć skacze,
O, czy jeden młodzik płacze?

102. Na szczęście wśród tych straszliwych ciemności zaczynają, już za Sasów, migotać światelka. Zwłaszcza niektórzy magnaci, górujący oświatą i oglądają ponad ciemnym motłochem szlacheckim, posiadający mniejszą lub większą znajomość tego, co się działo zagranicą, zdawali sobie sprawę z upadku oświaty i ze zdziczenia literatury w Polsce. Takim był przede-

¹ nakładem.

wszystkiem biskup kijowski **Józef Andrzej Załuski** (1701—1774) nieudolny wprawdzie, a nawet śmieszny, jako wierszopis, ale, jako krzewiciel światła, mąż ogromnej zasługi: rozkochany do namiętności w dziejach literatury ojczystej i w książkach, zgromadził olbrzymią, składającą się przeszło z 200.000 tomów i z mnóstwa rękopisów bibliotekę (której katalog ułożył — wierszem!); w roku 1748 oddał ją na własność Rzeczypospolitej. Ten księgozbiór, wywieziony do Petersburga, powraca obecnie do kraju, ale bardzo powoli: w całości oddać go nam bolszewicy nie chcą. Załuskiemu zawdzięcza literatura polska pomiędzy innymi pierwsze satyry, wzorowane na satyrach francuskich: mistrzem był mu Boileau.

Inny magnat, hetman polny koronny, **Wacław Rzewuski** (1706—1779), człowiek prawy i zacny, znał także literaturę francuską i naśladował jej utwory: napisał dwie tragedje historyczne (1758—60) na wzór Corneille'a i Racine'a i dwie komedje (1759—60) na wzór Moljera. Wywieziony wraz z Sołtykiem i Załuskim do Kaługi z rozkazu Repnina (1767), pisał Rzewuski na wygnaniu *Psalmę pokutną*, poprzedzone przedmową — *Do ukochanej ojczyzny*:

W okropnych czasach, pośrodku dni smutnych,
Bierz się, Ojczyzno, do psalmów pokutnych,
A gdy Cię gniewny Bóg chłosta swym biczem,
Płacz, jęcz, upadaj przed Jego obliczem!

Wszak Bóg, jak ociec, gdy dziecię swe otnie,
Cieszy je potem i głaszcze stokrotnie:
Po srogich klęskach, po morze, po bitwie
Da Bóg szczęśliwy los Polsce i Litwie.

Mnie w pięcioletniej przeciągu niewoli
Nie ma niedola, ale Twoja boli;
Niech mój surowszy los będzie, — Twój miększy!
Niech me nieszczęście, — Twe szczęście się zwiąże!

Wychowanie na dworach magnackich było bez porównania staranniejsze, niż we dworkach szlacheckich; nauki pobierali nietylko chłopcy, ale i dziewczęta: prócz gospodarstwa, uczono je historii, geografji, muzyki, rysunków, tańca, a nadto języków obcych, zwłaszcza francuskiego (czasem nawet łaciny). Otóż pod wpływem tej oświaty rozszerzał się nieco widnokrąg umysłowy kobiet z domów wielkopańskich, a jednocześnie budziła się w nich ochota do pióra: stąd literatura czasów saskich posiada kilka autorek, a z tych najznakomitszą jest **Elżbieta Drużbacka** z Wielkopolski (ur. około r. 1695, zm. 1765), uboga szlachcianka, która jednak przez czas dłuższy przebywała na różnych dworach wielkopańskich i dzięki temu poduczyła się trochę i przetarła między ludźmi. Jako poetka, cieszyła się niemałym uznaniem współczesnych; cenił ją wysoko sam Krasicki, który chwalił jej «moc i dzielność umysłu», «żywość imaginacyi i wdzięk wyrazów»; inni posuwali się jeszcze dalej, nazywając ją *Minerwą* i «dziesiątą *Muzą*» (może za przykładem Francuzów, którzy dziesiątą *Muzę* nazwali panią *Deshoulières*, tak byli zachwyceni jej sielankami).

Minerwa Drużbacka nie była; posiadała wprawdzie, jak na owe opłakane czasy, dosyć znaczne wykształcenie: znała *Pismo Święte*, umiała trochę historii i mitologii; rozsądku miała tyle, że nie wierzyła już ani w upiory,

ani w opętanych przez diabła; rozumiała, że ciemnota jest dla narodu kłęską, a oświata dobrodziejstwem, to też wielbiła biskupa Żaluskiego, jako założyciela biblioteki publicznej; ale gruntownie nie umiała nic, a wyjątkowym rozumem ani bystrością umysłu nie grzeszyła wcale, owszem, jaśniała naiwnością do tego stopnia, że była zapaloną wielbicieleką *Nowych Aten*; świadczy o tem jej ośmiowiersz, który popelnila na pochwałę ich autora: «Znać, że godny Chmielowski, nie podchmiela głowy, — gdy go i w nocy budzą sławnych Aten sowy; — chętniebym podsunęła głowę za wezglowie, — żeby część swej mądrości podarował wdowie; — przeczytałam dwa tomy prac jego nakładem, — trzeci czytać zaczynam, ale trudnym śladem — nie pójdę, ani myślę webrnąć w bystrą rzekę: — za Chmielowskim Drużbacka niechaj nosi tekę!»

Nie była też wielbicieleką *Nowych Aten* ani dziesiątą, ani wogóle żadną Muzą: pewien przyrodzony talent miała niewątpliwie, ale wskutek braku gruntowniejszego wykształcenia nie mogła go rozwinąć i uszlachetnić; jej fantazja, chociaż ciągle coś roila, nie była wcale bujna, a i poczucie piękna, urobione nie na poetach wieku złotego, tylko na poezji w. XVII, także nie było zbyt wielkie, czego dowodzą, prócz wyrażeń rubasznych i trywjalnych, same już tytuły jej poematów, np. *Forteca, od Boga wystawiona, pięci bram zamknięta, to jest dusza ludzka z pięcią zmysłami*. Pochwały więc współczesnych są przesadne, ale stwierdzają prawdę przysłowia: «Kiedy niema ryb, dobry i grzyb». Rzeczywiście: w porównaniu z dziwolągami wierszowanymi czasów saskich, wiersze Drużbackiej posiadają pewien wdzięk, a to głównie dzięki szczerości autorki, która wprawdzie, ulegając powszechnemu zepsuciu smaku, pisała często nienaturalnie, ale się umyślnie na nienaturalność nie sadziła: stąd jej styl nie jest wprawdzie wykwinny, ale też nie napuszony, a często nawet posiada miłą prostotę: słusznie powiedział jeden z pisarzy XVIII wieku, że Drużbacka «przyczyniła się do ożywienia gustu w poezji», i na tem właśnie polega jej stanowisko w historii literatury: jej wiersze są już zapowiedzią lepszych czasów. Ujmuje w niej także skromność, poczciwość, dobra wola i miłość ojczyzny; jeżeli pisała wiersze, to głównie dlatego, że pragnęła, aby one, jak sama mówi, «zawstydziły — mylne mniemanie o tych, co w Polsce mieszkają, — że damy tylko kądziel, mężę woły znają». O rozgłos nie chodziło jej zupełnie: to też sama nie ogłaszała swych utworów drukiem; wyręczył ją biskup Żaluski, który wybrał z jej poezyj co lepsze i wydał p. t. *Zbiór rytmów duchownych, panegirycznych, moralnych i światowych* (1752).

Owoce pobożności Drużbackiej (która pod koniec życia zamieszkała w klasztorze!) są wiersze i poematy religijne, np. o królu Dawidzie, o Marji Magdalenie, o djabłach, szlurmujących do owej «fortecy», pięci bram zamkniętej i t. d. Utwory te nie posiadają wartości.

O wiele lepsze są wierszowane powieści fantastyczne czyli romanje, zwłaszcza *Fabula o księżęciu Adolfie, dziedzicu Roxolanii, którego Czas przez trzysta lat szukając, znaleźć nie mógł; przypadkiem, powracając z wyspy szczęśliwości, od tegoż Czasu złapany, śmierci prawom zadosyć uczynić musiał, które dla wszystkich najdłużej żyjących ludzi postanowione*. Jest to parafraza (przeróbka) wierszowana przekładu polskiego nowelki francuskiej pani d'Aulnoy. Adolf jest dziedzicem «Roksolanji» (tak nazywa Drużbacka Białą Ruś); kraj to dziki i barbarzyński, co nie przeszkadza, że młody książę jest tak wykształcony, iż «akademija w nim miała mieszkanie»; pragnie więc

wyszukać sobie równie cywilizowaną małżonkę. Los mu sprzyja: raz, na polowaniu, zabłąkał się w puszczy i podczas burzy natrafił na jakąś jaskinię, która, jak się okazało, była stolicą Eola, boga wiatrów. Jeden z wiatrów, Zefir, opowiada Adolfowi, że istnieje gdzieś na świecie jakaś wyspa szczęśliwości, gdzie panuje cudownej piękności bogini. Na prośbę Adolfa znosi go Zefir na ową wyspę; roślinność tu wspaniała: cytryny, pomarańcze, kaształy, cyprysy, rozmaryny, róże, fiołki. Paw wskazuje Adolfowi drogę do pałacu «przepysznej struktury»: «gdzie ma być kamień, tam dyjament siedzi, — szmaragd z rubinem, w tafle układane, — nie widać nigdzie żelaza ni miedzi, — wszystko na szczerem złocie osadzone; — okna z kryształów, co je w skałach kopią, — drzwi hebanowe, jak zwierciadła czyste,... nakoniec, ktoby chciał opisać piórem — tę doskonałość, co zamyka w sobie, — z zdumienia staćby się musiał marmurem». Z okna pałacu wychyla się przez okno jakaś «młodziuchna panna» i spuszcza na ziemię koszyk, w który «ładna ogrodniczka» nakłada kwiatów; Adolf, otulony w «płaszcz niewidomy», «wskoczył na koszyk, kwiatami usłany»; «ciągnie kosz dama, sznurowany wstęga, — ciężar niezwykły z fatygą winduje». Dostał się więc Adolf do pałacu i pojął za małżonkę jego właścicielkę, cudownej piękności boginię. Po trzystu latach szczęśliwego pożycia (które mu się wydały trzema tygodniami), zateśkniwszy do ojczyzny, znosi prośbę do bogini, by mu pozwoliła odwiedzić kraj rodzinny; bogini, wydasawszy się, zezwała. Wyjechał Adolf, ale po drodze spotkał jakiegoś starca (imieniem C z a s), który go udusił. Stąd płynie sens moralny, że «nikt, póki żywy, nie bywa niezmiennie szczęśliwy», taką to już bowiem naturę ma człowiek, że nie chce na swem szczęściu poprzestać i, chociaż mu dobrze, «polepszenia szuka».

Wogóle prawie wszystkie utwory Drużbackiej mają na celu zbudowanie czytelnika, i ze wszystkich sama autorka wyprowadza naukę moralną. Ten cel pouczający widoczny jest np. w pisanim sestynami poemacie opisowym, p. 1. *Opisanie czterech części roku*, który należy do najudatniejszych utworów Drużbackiej; tutaj to właśnie, jak mówi Krasicki, «osobliwie wydaje się żywość imaginacyi» poetki «i wdzięk wyrazów». Myśl przewodnią poematu zawierają dwie pierwsze strofy:

Bogdajżeś przepadł w piekło z ateistą,
Ty, który mówisz, że Bóg nie jest Panem
Ni Stwórcą rzeczy! A któż oczywistą
Maszynę świata oblał oceanem?
Kto słońce, miesiąc, planety w swym biegu
Komenderował, kto gwiazdy w szeregu?

Powiedz: kto słońcu wschód ranny naznaczył?
Kto czas wieczorny w zachodzie zamierzył?
Kto księżyc pełny w części przeinaczył?
Kto osiom mile gwiazdecznym wymierzył?
Kto mleczną drogę, kto czystą jutrzeńkę,
Kto w świetną przybrał firmament sukienkę?

Tak więc prawidłowość «machiny świata», oraz piękność stworzenia przekonywa człowieka, że jest Bóg, który to wszystko stworzył: i tę właśnie wiarę pragnie wpoić autorka w serca swoich czytelników. W tym celu opisuje kolejno piękności natury na wiosnę, w lecie, na jesieni, w zimie, a przy spo-

sobności — i zajęcia ludzkie w każdej porze roku. Utwór ten jest nowością w poezji naszej, jako pierwszy poemat opisowy, miejscami nie pozbawiony wdzięku, np. w opisie wiosny.

O! złoty wieku w postaci dziecinnej,
Wiosno wesola! toć się pięknie śmiesz.
Wszystko twej ujdzie płocności niewinnej,
Czy chłodem dmuchasz, czyli ciepłem grzejesz;
Wolność, jak dziecku dla swojej zabawki,
Dziś urodzone straszyc śniegiem trawki.

Przecię, choć straszysz, nie uczynisz szkody,
Ni skrzepłem zimnem, ni przykrem gorącym:
Przyjemna pora, czas miły, czas młody,
Ma swą umowę z powietrzem i słońcem;
Wie, kiedy zagrzać, wie, kiedy ochłodzić,
Ma sposób starość orzeźwić, odmłodzić.

Zielone lasy w cieniach rozmaitych
Z pięknych kolorów liberyje mają:
Insze na brzozach, insze w gajach krytych,
Insze na drzewkach niskich gust wydają,
Insze na buku, grabinie i sośnie,
Insze na dębie, który sto lat rośnie...

Ptasząt rozlicznych głosy słyhać w gajach,
Te gniazdo ścielą, te miejsca szukają,
Te już spokojne, co siedzą na jajach,
Te zaś, choć ślepe, z domków wyglądają:
Temu miód niesie, muszkę, temu mrówkę,
To pyszczkiem prosi, to nachyla główkę...

Tu słowik wdzięczne przemiany w swym głosie
Posyła echu, które chętnie niesie
Przyjemny koncert porankowej rosie:
Słyhać go w łożach, słyhać w ciemnym lesie;
A gdzie strumyczek, szemrząc, płynie wąski,
Pleszcze skrzydelka, skoczywszy z gałązki.

Lecz najlepszymi utworami Drużbackiej są satyry, bądź rozproszone po powieściach fantastycznych, w których Drużbacka, na wzór romansów Potockiego, przeplata opowiadanie różnemi uwagami, bądź stanowiące utwory samoistne. W satyrach gniewa się autorka na zbyt światowe życie zamożnego duchowieństwa, na młodzież, polującą na posagi, lecz nadewszystko napada na różne wady i zdrożności dworów wielkopańskich, którym się własnymi oczami przyglądała, jako to na nieszczerłość i przesadną grzeczność, na plotkarstwo i obmowy, a zwłaszcza na rozluźnienie obyczajów. Najudatniejszą jest satyra p. t. *Skargi kilku dam w wspólnej kompanii będących, dla jakich racyj z mężami swoimi żyć nie chcą*, będąca ciekawem świadectwem obyczajowem, a wymierzona przeciwko rozwodom, w dawnej Polsce rzadkim, lecz w XVIII wieku coraz to częstszym.

W pewnym ogrodzie, pomiędzy szpalery
W czas ranny chodząc, szeptałam pacierze;
Słucham ciekawie, że jakieś afery
Sekretne mają damy przy kwaterze;
Siedząc na darniu w figurę kanapy,
Coraz z tabakier zażywają rapy¹.

Nadstawiam ucha przez grabiny gęste,
Liście mnie swoim zasloniło cieniem;
Widzę lzy z oczu, a wzdychania częste
Uważam i mam litość nad stworzeniem
Płci mojej: ledwie wraz z niemi nie kwilę
Nie wiedząc, że to płaczą krokodyle.

Pierwsza zaczyna żal do męża prawić,
Że, «jak smok siedzi na łańcuchu w domu;
«Nic nie dba, bym się czem miała zabawić,
«Sługi nie pytaj, zagrać nie masz komu,
«Ani takiego, żeby mnie zrozumiał,
«W mądrych dyskursach rezonować umiał.

«Jakże tu mieszkać z takim domatorem,
«Co tylko wołam karmnym krzyżów maca,
«Zboże na targi wyprawuje worem?
«Prostych to osób z taką zrzędą praca!
«Kafy² w mym domu nie znajdzie trzech ziarenek:
«Piwa mi z serem zagrzać każe garnek!»

Druga głos bierze: «Ach! miła sąsiadko!
«Więcej ja cierpię z moim skąpcem męki;
«Kaszki na wieczór nagotuję rzadko,
«Kluczy z za pasa nie da mi do ręki.
«Muszek, wstąg, szpilek z marsem³ kiedy kupi, —
«Jak z nim żyć, kiedy i skąpy, i głupi?»

Od trzeciej skarga zachodzi osoby,
Mówiąc: «Fraszka to, godna śmiechu sprawa!
«Mnieby zapłakać, gdy nie znam, co roby⁴,
«Sejmów nie widzę, nie wiem, gdzie Warszawa:
«Choćby mi boków nastursano⁵ w ciżbie,
«Byłem z raz była w Senatorskiej Izbie!

«Nie wiem, co jest bal, asamble, reduty:
«Mój mnie jegomość osadził przy kurach;
«Paż do ogona⁶ ma łatane buty,
«O blondynowych⁷ nie chce garniturach
«Wiedzieć, żebym je mieć mogła na modę.
«Otóż z tych racyj z gapiem się rozwiodę!»

.

¹ gatunek tabaki. ² kawa. ³ mina groźna, niechętna, ponura. ⁴ suknia.
⁵ szturkać, szturgać. ⁶ paż, który niesie mi ogon (sukni). ⁷ cienka koronka
z jedwabiu surowego.

Ostatnia mówi: «Ja się w wachlarzyku
«Pięknym kochała, gdzie minijatura
«Postać Kupida niby w ołtarzyku,
«Wstawiła, co mu dać mogła natura,
«Wszystko wyraźne w tak subtelnej sztuce
«Było... A resztę dla żalu ukróć!
«Mój Satyr, wziąwszy wachlarz w grube ręce,
«Jak jął wachlować, niby kowal miechem,
«Nie uważając na członki chłopięce,
«Rozumiał, że to z pacholkiem Wojciechem
«Za pasy chodzi, — złamał kość słoniową.
«Rura!... Za rurę osądził wołową!
«Ja, pełna będąc cholery i żalu,
«Odjeżdżam z domu, porzuciwszy dzieci;
«Na pożegnaniu powiem mu: «Brutalu!
«Już z tobą żyję rok dziesiąty trzeci, —
«Dłużej nie myślę, intencji nie kryję:
«Wiedz, w jakiej cenie są galanteryje!»

.....
Milczałam dotąd, chcąc sekret zachować
Dla wstydu, żem też i ja białogłową;
Odtąd zaczynam mężatki rachować,
Zamiast pięć panien głupich, co je zowią
W ewangelii, że w lampach nie miały
Oleju, od drzwi precz odejść musiały.

.....
Jeśli dla racyj, wyżej wyrażonych,
Kochane panie! szukacie rozvodu,
Nie miejcie za złe, że was, rozpuszczonych
W swywoli, sądzę: polskiemu narodu
Krzywdę czynicie, z siebie — śmiechy, żarty;
Honor wasz płacze, że goły, wytarty!
Czy słuszna, żeby Rzym, nuncyjatwę,
Konsystorz kłócić niegodziwą sprawą?
Bóg dobry, iż piorunową chmurę
Nie ześle, w piekło nie wyprawi nawą¹;
Przyjdzie kres, kiedy z życiem was rozwidzie:
Będzie wiedziała każda, dokąd jedzie!...

104. Jak poezje Rzewuskiego i Drużbackiej są jakby zapowiedzią odradzania się piękna, tak ukazują się, już pod koniec panowania Augusta II, pisma prozą, będące już nie tylko zapowiedzią, ale objawem i dowodem odradzania się mądrości myśli. Tak np. wojewoda ruski, **Jan Stanisław Jabłonowski** ogłosił pisemko p. t. *Skrupuł bez skrupułu w Polsce, albo oświecenie grzechów, narodowi naszemu polskiemu zwyczajniejszych, a za grzechy nie mianych. Traktat, poprostu te grzechy roztrząsający, na rozdziały podzielony, przez pewnego Polaka, temż grzechami grzesznego, ale żalu-*

¹ Iódź (którą Charon przewozi dusze umarłych przez Styks).

jącego, na poprawę swoją i ludzką podany (1730). Odsłania tutaj autor i piętnuje bez żadnego skrupułu różne grzechy, jakich się Polacy bez skrupułu dopuszczają, jako to: kłamstwo i plotkarstwo, kradzież grosza publicznego, przekupstwa, nadużywanie *liberum veto*, próżniactwo, brak miłości ojczyzny i godności w wojsku i t. d. Słowem, jest ta książeczka bolesnym, ale zasłużonym rachunkiem sumienia narodowego.

Inny pisarz, bezimienny, (jak się zdaje **Jan Lipski**, podkanclerzy koronny) wydał broszurę p. t. *Wolność polska, rozmową Polaka z Francuzem roztrząsnioną* (1732): Francuz usiłuje przekonać Polaka, że *liberum veto* jest szkodliwe i że tron dziedziczny jest lepszy od obieralnego. Tak więc nie brakło już ludzi, którzy zdawali sobie jasno sprawę z tego, co się w Polsce dzieje.

A niebawem znaleźli się i tacy, którzy nietylko widzieli złe, ale myśleli już o środkach zapobiegawczych, o lekarstwach. Takim lekarzem był, pomiędzy innymi, człowiek małej energii, ale dużego rozumu i rozległej wiedzy, znacznego doświadczenia i złotego serca, szlachetny i mądry patriota, król **Stanisław Leszczyński** (1677—1766), który się, pozbawiony tronu polskiego, długo tułał po świecie, mieszkał w Lunevilu, jako książę Lotaryngji, to we Francji, jako teść króla Ludwika XV, a nigdzie i nigdzie o kraju rodzinnym nie zapominał. Zagranicą poznał urzędzenia państwowe różnych krajów, przestawał też wiele z uczonymi ludźmi, znajdującymi się na sprawach państwa i piszącymi o nich, i coraz jaśniej rozumiał, że się, w porównaniu z innymi państwami, w Polsce dzieje złe; więc pragnął ratować ojczyznę, pragnął wskazać jej drogę do naprawy, i w tym to celu napisał najznakomitsze swe dzieło, p. t. *Głos wolny, wolność ubezpieczający*, które naprzód obiegiło Polskę w odpisach, a potem ukazało się (zagranicą) w druku (1749).

Tego, że Polskę trzeba gruntownie przekształcić, zaprowadzić w niej tron dziedziczny, znieść *liberum veto* i t. d., nie rozumiał Leszczyński; a zresztą może i rozumiał, tylko nie chciał umyślnie swoich poglądów otwarcie wypowiadać, bo, znając swój naród, bojący się jak ognia wszelkich nowości, wiedział, że projekty gruntownych zmian żadnego nie odniosą skutku: przecie szlachcicowi polskiemu nie tak łatwo było ćwieka z twardego łba wybić, że *liberum veto* jest nieodzownym warunkiem istnienia Polski. Oto dlatego Leszczyński jest w swych projektach nieśmiały, a raczej ostrożny. Tak np. nie mówi, że trzeba znieść ze szczyttem *liberum veto*, tylko radzi je, o ile możliwości, ograniczyć: jeżeli np. na sejmie zapadła jaka uchwała, to, choćby potem sejm zerwano, uchwała powinna już obowiązywać. O zniesieniu wolnej elekcji nie myśli nawet Leszczyński: owszem, kocha ją i podziwia, jako największy przywilej na świecie; ale, po pierwsze, doradza, by króla obierał nie cały naród szlachecki, tylko sejm — z pośród kandydatów, obranych na sejmikach, a po drugie, domaga się, aby cudzoziemców na tron nie powoływać.

Najwięcej jednak światła na rozum i szlachetność Leszczyńskiego rzuca to, co mówi o chłopach. Chociaż chłopci są wzgardą powszechną okryci, nie godzi się i nie wolno ich lekceważyć: przecie oni są karmicielami i podporą całego państwa, «oni ciężar podatków znoszą, oni wojska rekrutują, oni nas naostatek we wszystkich pracach zastępują, tak dalece, że, gdyby chłopstwa nie było, musielibyśmy się sami stać rolnikami i, jeżeli, kogo wynosząc, mówimy: pan z panów, słuszniejby mówić: pan z chłopów!» A za to wszystko jakąż mają chłopci nagrodę? Taką, że jęczą w niewoli u panów, co jest bez-

prawiem i pogwałceniem prawa bożego: «Nie wiem, jakim sumnieniem w państwie chrześcijańskim lud pospolity traktujemy jako niewolników, nie kontentując się tem, że są poddani;... Pan Bóg człowiekowi *sine distinctione*¹ kondycyi² dał wolność: jakim prawem mu ją może kto odbierać?» Niedosyć na tem: niewola chłopów jest niepoważowaną szkodą dla państwa, bo niewola tłumi chęć do pracy i zmniejsza jej wydajność: «Jako wolność *excitat generositatem animi*³, tak niewola *generat*⁴ gnuśną nikczemność, która się wyjada w prostocie naszego pospólstwa, nie myśli bowiem przy swej biedzie sposobić się do żadnej przemysłowości w ekonomii⁵, ani do żadnych kunsztów w rzemiosłach; pracując ustawicznie pod kijem, nie robi nic z ochotą, będąc zwłaszcza pewien, że i to, coby zarobił, nie jego; i, choćby który miał z natury jakie talenta, nie ma ani serca, ani czasu zażyć ich;... w każdej akcji przy wolności znajduje się ochota, przy ochocie emulacyja⁶, przy emulacyi doskonałość; dlatego też nie mamy ani manufaktur, bogacących państwo, ani rzemiosł rozmaitych do powszechnego zażywania i wygody życia; trzeba to wszystko z cudzych krajów sprowadzić, siebie ubożąc». Z tego zaś wyprowadza Leszczyński wniosek, że, nie znosząc poddaństwa chłopów, trzeba przynajmniej znieść ich niewolę, t. j. znieść prawo o przykuciu chłopca do ziemi, dać mu na własność kawałek gruntu, z którego pan będzie czynsz pobierał, oraz pozwolić mu się odwoływać od sądu pańskiego do sądów wyższych. Jeden to z najmądrszych i najszlachetniejszych pomysłów całej literatury europejskiej w pierwszej połowie XVIII wieku. Prawda, że już dawno domagał się tego samego Modrzewski, ale wielka myśl jego poszła w zapomnienie, to też niemałą jest zasługą Leszczyńskiego, że ją przypomniał.

105. Aby jednak odradzająca się dzięki rozumnym jednostkom mądrość literatury mogła wyrwać wpływ na życie społeczeństwa, należało przede wszystkim wyrwać je z ciemnoty, której głównym źródłem był oplakany stan oświaty; innemi słowy, że wszystkich potrzeb ówczesnej Polski najbardziej palącą była reforma szkoły; bez niej nawet mowy być nie mogło o ratunku Polski, już nietylko jako państwa, ale jako społeczeństwa i narodu. Otóż na szczęście znalazł się człowiek, który to zrozumiał, który o reformie oświaty nietylko pomyślał, ale i sam jej częściowo dokonał; to też złotemi głoskami zapisało się w dziejach naszych imię tego człowieka, jako jednego z największych ludzi, jakich miała Polska, jako jednego z jej duchów opiekuńczych. Był nim ksiądz **Stanisław Konarski**, pijar, urodzony w Żarezcach Większych, w województwie sandomierskiem (1700—1773), reformator oświaty, reformator smaku estetycznego, autor znakomitego dzieła p. t. *O skutecznym rad sposobie*, wymierzonego przeciwko *liberum veto*. Jego olbrzymie zasługi uczcili już współcześni: król Stanisław August kazał bić na jego cześć medale z krótkim, ale wymownym napisem: *Sapere auso* (t. j. temu, co się ośmielił być mądrym); bo Konarski nietylko sam był mądry, ale się ośmielił innych mądrości uczyć, i ta jego śmiałość wydała błogosławione owoce.

Mądrość zaś swoją zawdzięczał nietylko przyrodzonym zdolnościom i wrodzonej trzeźwości umysłu, lecz i własnej usilnej pracy: nie poprzestał na ukończeniu szkół pijarskich w kraju (które były równie liche, jak je-

¹ bez różnicy. ² stan. ³ pobudza siłę ducha. ⁴ rodzi. ⁵ t. j. do przemysłowości w gospodarstwie. ⁶ współzawodnictwo.

zuickie), ale wyjechał zagranicę i uczył się całe cztery lata w Rzymie, a dwa w Paryżu; zagranicą dopiero rozjaśniło mu się w głowie, a jednocześnie serce ścisnęło mu się na myśl, jak bardzo nieszczęśliwa jest jego ojczyzna, nie mająca ani oświaty rzetelnej, ani rządu dobrego. A ponieważ kochał ojczyznę całą siłą swej wspaniałej duszy, więc już zagranicą przysiągł sobie, że ją będzie ratował. I prysięgi dotrzymał, miał bowiem nietylko wielki rozum i serce gorące, ale nadto tak rzadką, tak wyjątkową w Polsce żelazną wolę. Konarski to nietylko człowiek mądry i zacnego serca, ale i człowiek czynu, dążący do celu krokiem wolnym, ale śmiałym i pewnym, nie zrażający się żadnymi trudnościami, zbrojny w mądrą, świętą zasadę, którą wypowiedział w słowach: «Aleć i grzech jest wielki, i nigdy nie godzi się desperować». A w czynach swoich nie myślał o sobie: on, pochodzący ze starożytnego i znakomitego rodu, stłumił w sobie odziedziczoną po przodkach ambicję, nie piał się do zaszczytów, trzykrotnie nie przyjął ofiarowanego sobie biskupstwa i wogóle nietylko o nagrodę, ale nawet o wdzięczność ludzką nie dobijał się nigdy, w przekonaniu, że ten, kto wiernie służy ojczyźnie, nie pokłada żadnych zasług, tylko splanca jej zaciągnięty dług. Oto jego własne słowa: «Sprawiedliwości nie chcę! Nikt mi nic nie winien: — uczynilem, co byłem uczynić powinien; — czyż słusznie o nagrodę taki się odzywa, który tylko powinność swoją wykonywa? — Nie masz zasług: to, co my zowiemy zasługi, — są tylko ku Ojczyźnie wypłacone długi. — Ojczyzna nic nam nie jest winna: Ona — pani, — my — jej więźnie, jej sługi, jej obowiązani!... Jej więc wolno krwi, ozdób, fortun naszych zażyć, — my powinniśmy dla niej wszystko z życia ważyć, — nie żebyśmy od niej dopominać nowych — wdzięczności mieli, lub nagród jakowych». Takim to człowiekiem był Konarski, — jeden z najszlachetniejszych ludzi i największych patrijotów, jakich kiedykolwiek słońce na ziemi polskiej oglądało.

Pierwszym «długiem», spłaconym przez Konarskiego ojczyźnie, jest reforma szkół pijarskich, a pośrednio oświaty polskiej wogóle. W Rzymie uczył się Konarski we wzorowej szkole (w t. zw. Kolegium Nazareńskim) a w Paryżu pilnie badał zarówno szkolnictwo, jak naukę o wychowaniu, która miała wówczas we Francji wybitnych przedstawicieli. Otóż na wzór szkół włoskich i francuskich zreformował szkoły pijarskie w Polsce, a miał możność po temu, piastując godność prowincjała (zwierzchnika) pijarów polskich. Zaczął od Warszawy. W pamiętnym dla oświaty polskiej roku 1740 utworzył w Warszawie swoje *Collegium nobilium* (kolegium szlacheckie) — szkołę i konwikt (pensjonat) dla szlachty, — tylko dla szlachty, i to przeważnie z możnych rodów; miała więc szkoła charakter arystokratyczny; ale Konarski wiedział, co robi: reformę oświaty poczytywał za wstęp i środek do reformy państwa, a państwo, przy ówczesnym ustroju politycznym Polski, mogła zreformować tylko szlachta, nadewszystko z możnych rodów. I nie zawiódł się Konarski; wychowańcem jego szkoły był, pomiędzy innymi, Ignacy Potocki, jeden z twórców Konstytucji 3 maja!

Wielka reforma Konarskiego polega zarówno na rozszerzeniu zakresu nauki szkolnej, jak na ulepszeniu sposobu nauczania. Dawna szkoła uczyła prawie wyłącznie religji, teologii wraz ze scholastyką, a nadewszystko łaciny. Konarski pozostawił naturalnie naukę religji, pozostawił i teologję, ale nie pozwolił na zamęczenie umysłów młodzieńczych zbyt zawiłymi zagadnieniami: scholastykę natomiast usunął i wprowadził do szkoły nową naukę o świecie, stworzoną przez najznakomitszych, nie średniowiecznych, tylko

nowoczesnych myślicieli angielskich, francuskich i niemieckich; a ponieważ ta nowa nauka o świecie opierała się już nietylko na samym rozumowaniu, ale i na naukach przyrodniczych (a zatem na doświadczeniu), więc i nauk przyrodniczych (zwłaszcza fizyki) uczono w szkole Konarskiego. Łacina pozostała po dawnemu i głównym przedmiotem, i językiem wykładowym; ale uczono jej lepiej, według nowych podręczników, a nadto ograniczono jej rolę, jako języka wykładowego: początkowo uczyła się młodzież po polsku, a po łacinie wówczas dopiero, kiedy tym językiem należycie opanowała; przy takiej metodzie rozwój umysłowy ucznia był zupełnie możliwy, kiedy tymczasem dawniej uczeń bezmyślnie kuł lekcję napamięć, nie rozumiejąc języka. Niedosyć na tem. Wraz z nauką łaciny odbywała się nauka języka ojczystego; nie stanowiła ona wprawdzie samoistnego przedmiotu, ale bądź co bądź uczyła się młodzież gramatyki polskiej równoległe z łacińską, pisała obok wypracowań łacińskich polskie, czytała prócz pisarzy rzymskich autorów polskich: Górnickiego, Kochanowskiego, Skargę, Twardowskiego, Potockiego i innych. Baczną uwagę zwrócił również Konarski na naukę geografji i historii (powszechnej i ojczystej), naukę prawa i matematykę. Ale to jeszcze nie wszystko. Rozumiał Konarski, że jednym z największych nieszczęść Polski jest zerwanie związku z umysłowością zachodnioeuropejską: aby go napowrót nawiązać, wprowadził do szkoły naukę języków obcych, zwłaszcza francuskiego, i tym sposobem umożliwił młodzieży poznanie literatury i wogóle cywilizacji francuskiej, która wówczas (wraz z angielską) stała na czele cywilizacji całej Europy.

Lecz nietylko umysły, ale i serca młodzieży kształcono w szkole: wpajano w uczniów uczucia miłości Boga, człowieka i Ojczyzny, zasady moralności wogóle, a patriotycznej w szczególności, wykorzeniając te zwłaszcza wady, któremi grzeszyło ówczesne społeczeństwo polskie, jako to: prywatę, lekceważenie władzy i praw, butę szlachecką, dumę względem niższych, próżniactwo, życie nad stan, przewrotny pogląd na równość szlachecką. Bo Konarski wyznawał rozumną zasadę: szkoła nie dla szkoły, lecz dla życia, — wychowywał więc młodzież na dobrych ludzi i dobrych Polaków.

W tym samym zupełnie duchu reformował Konarski inne szkoły pijarskie, za przykładem zaś pijarów poszli jezuita i inni zakonnicy; tym sposobem po całej Polsce zaczęła się powoli rozpowszechniać rzetelna oświata. I to jego pierwsza, wielka, nieśmiertelna zasługa.

A druga, pozostająca w ścisłym związku z pierwszą, jest reforma smaku estetycznego. Teoretycznie zwalczał zły smak, mianowicie zepsucie stylu, w piśmie łacińskim (mającem postać rozmowy pomiędzy trzema osobami) *De emendandis eloquentiae vitiis* (t. j. *O poprawie wad wymowy*, 1741). Poddał tutaj surowej krytyce różne rodzaje zepsutej prozy, jakie się w literaturze polskiej utrwały, zwłaszcza mowy pochwalne (panegiryki) i listy, nie oszczędzając swoich własnych młodzieńczych utworów: uderza na ich wybujały styl barokowy i wogóle na wszystko, co zbyt sztuczne i nienaturalne; tej zepsutej wymowie przeciwstawia wymowę wieku złotego i wykazuje, że najpiękniejszą zaletą stylu jest jasność, prostota, naturalność, oraz czystość języka; wypowiedział więc Konarski walkę napuszonemu stylowi i makaronizmom.

Praktycznie zaś przyczynił się do odrodzenia smaku estetycznego już przez to jedno, że wprowadził do szkół czytanie i objaśnianie znakomych

autorów wieku złotego. Niedosyć na tem. Istniał w szkołach zwyczaj (wprowadzony jeszcze przez jezuitów w w. XVI), że uczniowie podczas mięsopustu grywali pod kierunkiem nauczycieli teatr amatorski zarówno dla rozrywki, jak dla zbudowania, sztuki bowiem szkolne miały dążność bądź religijną, bądź wogóle moralną (a często panegiryczną — dla uczczenia jakiej znakomitej osobistości, np. dobrodziejstwa szkoły); otóż przez ciąg wieku XVII i te sztuki, jak cała literatura, uległy skażeniu smaku, a czasem nie posiadały sensu. Konarski pierwszy temu zaradził: uczniowie *Collegium nobilium* grywali sztuki francuskie (Corneille'a, Racine'a, Woltera) w przekładzie polskim samego Konarskiego, i tym sposobem szerzyła się znajomość pięknej literatury francuskiej, a jednocześnie uszlachetniał się w młodzieży zmysł piękna. A nie poprzestając na przekładach, napisał Konarski dla teatru szkolnego sztukę własną wierszem p. t. *Tragedyja Epaminondy* (1756), która jest pierwszą w literaturze naszej oryginalną tragedją, napisaną na wzór tragedji francuskich, *Cid* bowiem Andrzeja Morsztyna jest tylko przekładem z Corneille'a, a tragedje Wacława Rzewuskiego powstały nieco później. Zresztą *Tragedyja Epaminondy* jest utworem słabym, ale odznacza się prostotą języka i mądrą myślą przewodnią. Bohaterem tragedji jest znakomity, nad życie kochający ojczyznę, wódz tebański Epaminondas, który w wojnie z Lacedemończykami samowolnie, wbrew prawu, przedłuża sobie termin sprawowania naczelnego dowództwa nad wojskami o całe cztery miesiące: on wie wprawdzie, że za to grozi mu kara śmierci, ale i to wie, że, gdyby dowództwo przeszło w ręce nowych, niedoświadczonych wodzów, wojna byłaby przegrana; po świetnym zwycięstwie nad Lacedemończykami (w bitwie pod Leuktrą r. 371) wraca do ojczyzny i oddaje się w ręce sprawiedliwości; oskarżyciele, ludzie zawistni, ciemni i przewrotni, trzymając się ściśle litery prawa, żądają, by go śmiercią ukarano, ale nie pozwala na to lud tebański, wdzięczny mu za ocalenie ojczyzny. Jakaż więc jest myśl przewodnia sztuki? Taka, że, chociaż prawa należy szanować, ale «prawo, choćby najświętsze, prawem być przestaje, — kiedy szczęściu ojczyzny przeciwnem się staje». Innemi słowy, pragnął Konarski wpoić zapomocą swej tragedji w umysły młodego pokolenia przekonanie, że wszelkie prawo, choćby uchodziło nawet za świętość narodową, jeżeli jest dla państwa szkodliwe lub zgubne, powinno być zniesione. Poszedł tu Konarski, być może, śladami Woltera, który w tragedji *Prawa Minosa* dowodzi, że, kiedy prawo jest niesprawiedliwe, to trzeba je znieść.

106. A cóż ogół szlachty polskiej poczytywał za największą świętość narodową? Złotą wolność i jej «zrenicę» — *liberum veto*. Otóż Konarski postanowił przekonać szlachtę, że *liberum veto* jest «szczęściu ojczyzny przeciwnie». I ta walka z *liberum veto* stanowi trzeci jego czyn wiekopomny. Pomyślał o niej po raz pierwszy w roku 1732, kiedy to na sejmie August II miał rozdawać buławy hetmańskie; ale sejm nie doszedł do skutku: zerwano go jeszcze przed obiorem marszałka, za powodem Potockich, których przy rozdawnictwie buław miano pominąć. Przerażony i oburzony tem bezprawiem, już wtedy powiedział sobie Konarski, że spisze swoje uwagi «nad nędznymi naszymi sejmami» i że ogłosi je drukiem «za Pana Boga łaską i pomocą». Ale nie śpieszył się, wiedząc, że głos jego długo jeszcze, wobec ciemnoty społeczeństwa, będzie głosem wołającego na puszczy; dopiero po latach blisko trzydziestu, kiedy widział, że jego reforma oświaty zaczyna już

wydawać owoce, poważił się ogłosić drukiem swoje dzieło pomnikowe *O skutecznym rad sposobie albo o utrzymywaniu ordynaryjnych¹ sejmów*; wydał najprzód część pierwszą (1760), a po niej, w rocznych odstępach, części dalsze: drugą (1761), trzecią (1762) i czwartą (1763). Tytuł tego dzieła jest najwyraźniej odpowiedzią na tytuł dzieła Stanisława Herakliusza Lubomirskiego *O uludzie rad*: Lubomirski wygłasza fałszywy i zbrodniczy pogląd, że wszystkie «rady», zmierzające ku uleczeniu państwa, są uludne, bezskuteczne, a na to odpowiada Konarski: kłamiesz, jest «skuteczny sposób rad», — znieść *liberum velo*. Tę naczelną myśl swego dzieła rozwija w sposób następujący.

W Polsce panuje straszliwa anarchja i okropny upadek moralny: «Trybunały i sądy niesprawiedliwe i często bez wstydu przedajne, krzywoprzysięstwo,... obrócone już prawie w nałóg i w naturę;... wojska zbyt mało;... bojaźń jakaś, lichota umysłów i podłość generalna opanowała wszystko;... interesów prywatnych, ambicji, emulacji, łakomstwa taka moc jest, iż zda się, iż w nas pamięć o Rzeczypospolitej i ojczyźnie wygasta, jakby każdy obywatel kraju o niczem więcej myśleć nie powinien, tylko, żeby jemu dobrze było, choćby wszyscy zginęli;... skarb koronny od wielu miastek cudzoziemskich publicznej kasy uboższy i gorzej rządzony;... handel w kraju cale upadłe;... poddaństwa niezmierne ubóstwo;... miast i miasteczek ruina;... opresyje od sądów nieczorność, zewsząd granic uszczerbki i gwałty;... w domach własnych bezpieczeństwo fortun, żon i życia od domowych i od obcych najazdów i kup swawolnych stracone; nieugaszone między panami niesnaski; elekcye urzędów, posłów, sędziów tak zakłócone i niepodobne, że chyba ukradkiem z wielką wszystkich praw wiolencyją² udać się gdzie mogą; sejmy, sejmiki niegodziwe bezustanku rwane, że od 70 lat jeden tylko ordynaryjny sejm rachować się może;... niesława, hańba, słabość, sromota, upadek na wszystkim całego narodu... Rozpacze wielkie po całym kraju, że już nigdy lepiej nie będzie i być nie może». Jednem słowem, «Rzeczpospolita jest jak dom stary i wielki okręt, ale dawno lub nie opatrzony, lub zwierzechu tylko gdzie niegdzie latany, do ruiny zaś i zniszczenia dążący, jeżeli gruntownie zreparowany nie będzie». Są wprawdzie tacy, których zdaniem, naprawa okrętu byłaby jego zgubą, bo przecie «Polska nierządem i nieporządkiem stoi». «Trzeba być — mówi na to Konarski — nad wyrażenie wszelkie niczemnego rozumu, trzeba najprzód postradać cale naturalnego rozsądku, trzeba być srogiego nad takimi ojczyzny nieszczęściami serca, nad które być większe nie mogą, trzeba być tej Matki wyrodkiem, ktoby takim wierzył maksymom». Nie, nie stoi Polska, ale ginie nierządem! A jeżeli tak, to trzeba ją nagwałt naprawiać. Ale od czego zacząć naprawę? Od tego oczywiście, bez czego o naprawie mowy być nie może. A bez czego naprawa jest niemożliwa? Bez sejmu, bo tylko sejm może ją podjąć: «gdy sejmy niszczeją, wszystko niszczyć musi i niszczeje; co w ciele dusza, to są w Rzeczypospolitej sejmy, co ciało bez duszy, to Rzeczpospolita bez sejmów». Tymczasem sejmy nie dochodzą do skutku, bo je zrywają. A więc, żeby naprawić Polskę, trzeba nasamprzód pomyśleć o tem, aby sejmy dochodziły do skutku, t. j. o skutecznym rad sposobie. Myślą o tem, mówi Konarski, różni i różne podają sposoby; jedni np. radzą, żeby niewolno było zrywać sejmów «z prywatnej przyczyny», tylko «z publicznych racyj»; a na to Konarski: głupstwo! Żaden jeszcze sejm nie był nigdy zerwany z interesu ojczyzny, ale zawsze z przy-

¹ zwyczajny. ² pogwałcenie.

watnych interesów i partyj, powleczonej dobra ojczystego kolorem». Wogóle wszystkie sposoby, jakie różni wymyślają na to, by sejmy dochodziły do skutku, są albo wręcz głupie, albo połowiczne, «nie w cel, lecz koło celu biją», — «są to jak śmiertelnie choremu liczne, a nieskuteczne lekarstwa, póki się na własne przeciw tej chorobie i na prawdziwe nie trafi»; jeden jest tylko skuteczny sposób — nie pozwolić na zrywanie sejmów, które «większy i cięższy grzech jest, niż największe kryminaly w świecie: rabowania, palenia, świętokradztwa, zabójstwa, bo ten, co sejmy rwie, wszystkim szkodzi, kraj cały przyprowadza do klęski, miliony ludzi bez rządu nie-szczęśliwymi czyni; jest grzech, który zemsty woła na osobę i pokolenie takiego od sprawiedliwego Boga!» Aby zaś nie pozwolić na ten grzech, trzeba usunąć możliwość jego popełnienia, to jest znieść raz na zawsze, na sejmach zarówno, jak na sejmikach, *liberum veto*, tem więcej, że ono nie jest i nigdy a nigdy nie było prawem, tylko «wprowadzonym zwyczajem». A skąd powstał ten zwyczaj? Stąd, że już w w. XVI obowiązywała obrady sejmowe zasada jednomyślności, t. j. zasada, że te tylko uchwały są ważne, na które się wszyscy posłowie zgodzą: *liberum veto* nie jest niczem innym, tylko parodią tej zasady. A zasada to fałszywa i zgubna, ludzie bowiem są ludźmi, nie aniołami, i nie mogą się zawsze na jedno zgodzić; a jeżeli tak, to wraz z *liberum veto* należy znieść zasadę jednomyślności i wprowadzić, zamiast niej, zasadę rozstrzygania wszystkich spraw większością głosów — na wzór innych krajów zachodnio-europejskich.

Całe więc dowodzenie Konarskiego możnaby streścić tak: Polska ginie nierządem, a zatem, żeby nie zginęła, potrzebuje rządu; rządu bez sejmów być nie może, bo tylko one rządzą Polską, a zatem sejmy muszą dochodzić do skutku; póki istnieje *liberum veto*, sejmy do skutku dochodzić nie mogą. A zatem trzeba znieść *liberum veto*. Wszystko to tak proste, że, zdawałoby się, nie potrzebuje dowodzenia, bo chyba tylko człowiek, obrany z rozumu, może wątpić, że się państwo bez rządu ostać nie może. Otóż to właśnie, że ogół społeczeństwa ówczesnego był obrany z rozumu, skoro wierzył w potworną zasadę: «Polska nierządem stoi», a *liberum veto* poczytywał za największą mądrość. Wiedział o tem doskonale Konarski i dlatego to uzasadnieniu prawdy, jasnej, jak słońce, poświęcił aż całą książkę w czterech dużych częściach, umyślnie powtarzając każdą niemal myśl raz, drugi i trzeci (bo jak mówi, «miljon razy toż samo nie zawadzi i trzeba powtórzyć») i każdą myśl szczegółowo uzasadniając zapomocą rozumowania; a rozumowanie jego jest nietylko logiczne, ale niezwykle jasne i przystępne, jak przystało na książkę, przeznaczoną dla starych... dzieci, a do tego poparte całym szeregiem faktów historycznych; tak np. wyklada Konarski historję wszystkich zerwanych sejmów polskich, aby przekonać czytelnika, że wszystkie bez wyjątku zerwano dla prywaty i ze szkodą dla kraju; opisuje też szczegółowo ustrój państwowy krajów zachodnio-europejskich, w których się wszystkie sprawy w parlamencie rozstrzyga większością głosów. Wogóle dzieło *O skutecznym rad sposobie* jest arcydziełem logiczności rozumowania, gruntowności, jasności i przystępności wykładu. To też zrobiło swoje: przekonało, jeżeli nie wszystkich, to bardzo wielu, że *liberum veto* jest zgubą dla Polski i zbrodnią, i wogóle przyczyniło się niemało do uleczenia społeczeństwa ze ślepoty. A tak nietylko na polu szkoły i literatury, ale i na polu mądrości politycznej jest Konarski poprzednikiem i w znacznej mierze sprawcą tego odrodzenia duchowego, które przypada na czasy Stanisława

Augusta; on to pierwszy, zwalczając *liberum veto* nietylko jako głupotę tłumów szlacheckich, ale jako prywatę magnatów, szczepił w Polsce myśl, która później, za Stanisława Augusta, będzie coraz głośniej w literaturze dźwięczała, — że interesy jednostki powinny być zawsze zgodne z interesami całego społeczeństwa i całego państwa.

★ Relacja¹ prawdziwa, jakim sposobem i z jakiej przyczyny sejm warszawski r. 1732 był zerwany. Był to sejm trzeci, na konkurencyi do buław rwany przez marszałka elekcyją; bo ponieważ, według prawa, po obranym marszałku dystrybuta² powinna nastąpić wakansów, tym trzeba było nie dopuszczać marszałka elekcyi, którzy z rozdania buław być nie mogli kontenci. Przyjaciel tedy mój, człek godny (bo go nie wymieniam), bijąc się w piersi, łaką czynił mi relacyją, którą słowami jego i ja, choć nadto potocznie, uczynię.

«Już się całe po kilku niedzielach sejmu zaniosło na marszałka elekcyją, i już stanąć miała zapewne nazajutrz, ci więc, którzy rozdania buław, komu król chciał, nie chcieli, zjachali się na radę, po której, włożywszy mi w kieszenie po pięćset czerwonych złotych, obligowali³ mnie, abym szukał między posłami i znalazł koniecznie, któryby sejm ten podjął się zerwać i nie dopuścić obrania marszałka. Noc całą po Nowym Świecie, po Solcu, po Wielopolu, po Nalewkach, po Pradze jeździłem; nikt lepiej, jak ja, wtenczas esencyi warszawskiego nie skoształw błota: po najbliotniejszych ulicach, kącikach i chatkach *capax subjectum*⁴ szukałem, któryby się tak wielkiego mógł podjąć dzieła. Mówiłem przeszło ze trzydziestą, którzy mi się zdawali potrzebniejszymi, posłami, dawałem czerwonych złotych tysiąc, którym z kieszeni chciał liczyć; asekurowałem⁵ aż do trzech tysięcy czerwonych złotych, bom miał plenipotencyją na to, że je za dwie godziny doliczę. Cnota niepotrzebna tych Ichmościów i nadto poczciwości (jak mi się natenczas zdawało) do desperacyi mnie przyprowadzała; kłałem ich, lajałem, beształem. Piąta godzina zrana bije, biegnę do cudownej *Crucifixi*⁶ kaplicy, daję taler na msza świętą, aby mi niebiosa pobłogosławiły znaleźć aby jednego poczciwego, któryby wziął pieniądze i ten sejm kańczuczny⁷ zerwał. Bardzo modliłem się gorąco: szło mi o punkt honoru i o mój kredyt: wiedzieli, że mam przyjaciół, — pokazałoby się było, żeżem nic nie wart. Jeszcze trzy godziny nabłakałem się po błotach, pot się leje ze mnie, jeszcze z kilkunastu posłami mówię, ofiaruję, perswaduję, płaczę, aby mieli nade mną kompasyją⁸, a sejm ten który z nich podjął się zerwać. Darmo! Pocałem skarżyć się na moje nieszczesne wyroki. Pół do dziesiątej bije. O, ja nieszczesliwy! jużże ten sejm przekłety dojdzie! jużże stanie marszałek! Gdym był znowu przed Farą, w takowych rozpaczach postrzegam wysmukłego panicza; para za nim czeladzi; zda mi się, żeżem go widział w Izbie. A do tego wszyscy mi się natenczas zdawali posłami. Pytam się z komplementem, czy poseł. Odpowiada: «Do usług WMć Pana poseł». — «Przepraszam najuniżeniej, bom dosyć widział *summam activitatem*⁹ w Izbie WMMć Pana, alem teraz tak zakłócony, tak zmęczony, że sam pojąć się i, co gadam, nie mogę. Proszę tu, do Kamzeta, posłę po gdańską

¹ sprawozdanie. ² rozdawanie. ³ zobowiązywać. ⁴ odpowiedniej osobistości. ⁵ ubezpieczać, obiecywać. ⁶ Ukrzyżowanego. ⁷ djabelski, przekłety.
⁸ współzucie. ⁹ ogromną ruchliwość.

«wódeczkę». — Weszliśmy... Niosą gdańską cynamonkę ze złotem. Zapijamy «po kieliszku kieliszek, zaczynam perorę¹: «Idzie o zgubę ojczyzny, idzie «o salwowanie² nas wszystkich etc., trzeba ten sejm niegodziwy i niebezpieczny koniecznie zerwać; niemasz czteka, któryby tej nie widział potrzeby, «ale bojaźń jakaś wszystkich obleciała posłów. Ja w WMMci Pana fizyjo-«gnomii za pierwszym razem, jakim tylko miał honor widzieć go w Izbie, «w oczach i na jego czole coś heroicznego postrzegłem i przysięgam, że mi «ta myśl o WMMci Panu przypadła: ten będzie Achillesem, ten jeden może «swego czasu w największej potrzebie salwować ojczyznę». Widziałem, że «mój jegomość to moje proroctwo z dobrą gracyją przyjął. «To pewna — od-«powiedział — że mi na sercu nie zbywał!» I rwał się do fordymentu³. — ««Niemasz czasu — mówię — oto moment zbawienia ojczyzny, już się sesyja «podobno zaczyna: zmiłuj się nad tą Matką strapioną i pocziwymi wszyst-«kimi! Za falgę WMMci Panu, ile musisz się podobno od tunultu⁴ schro-«nić, *in omen casum*⁵ jaką chcesz sumę mam przy sobie; a jeżeli mało, mam «plenipotencyją, na ile zechcesz». Niepyszny pacholek i dosyć tani, lubo skóra «na mnie drżała, jak on tu sumą kilku tysięcy czerwieńców zabrząknął! Ale «galantom pocziwy tak mi mówi krótko: «To prawda, że czasu niemasz, lecz «panowie obiecują wiele, aby chudego pacholka narazić, a potem, jak mó-«wiemy, każą wyszczuć albo wypchnąć z pokoju. Ja sam widzę rzetelnie «nieuchybną⁶ potrzebę i sto tysięcy racyj tego sejmu zerwania, ale potem, «wiesz WMé Pan, co za sekwele⁷ idą za takim azardem⁸. Przerzywam: «Pięć-«dziesiąt nas, a ja zaraz na czole z nimi w tyle WMci Panu z gotowemi «szablami będziemy: nie masz cale czego się obawiać, pieklu samemu z gar-«dła WMci Pana wydrzemy!» — «To dobrze — mówi, ale, jeżeli mi WMé «Pan tu zaraz trzechset czerwonych złotych nie wyliczysz, nic z niczego nie «będzie». Tu jakby mnie niebieska ogarnęła jasność: «A, dobrodzieju! — wy-«krzyknę — a, salwatorze ojczyzny! a, podpora i filarze wolności! a, panie «mój!...» Nagle do kieszeni sięgnąwszy, cztery mi się razem wymknęły la-«dunki i zaraz mój kochanek bystrooki postrzegł; trudno cofnąć się było: ««Nę, nę — mówię — ojcie ojczyzny i dobrodzieju mój! nę i więcej, wartes «milionów kroćstatysięcy za tak piękną odwagę!» I dałem mu czerwonych «złotych czterysta. Tylko ładunki rozerwał, żeby widział, że nie miedź, i w kie-«szenie wsypał, a przysięgłszy mi na etc. i na wszystkę swoją pocziwość i na «cnotę, że sejm ten bezbożny zerwie i nie dopuści marszałka, on do Izby «pobiegł, a ja mojej ekspedycyi raport sunąłem się uczynić. Aż on mnie «znowu pod Zygmuntem zaziąjały napada. Włosy na mnie stanęły, i zmar-«twiąłem cały. O, nieszczęście moje, jużże po wszystkim! Aż on mnie do «ucha mówi: «A jakąż dam racyją protestacyi mojej?» — «A, Mci Panie «bracie, sto tysięcy racyj! wszak sam mówiłeś, że widzisz wielką tego sejmu «zerwania potrzebę!» A mnie samemu tymczasem nic na pamięć przyjść nie «mogło naprędce. Uderzył się w ciemię, i przyszła mi, jak może być, najcel-«niejsza i najsprawiedliwsza racyja. Więc, nie bawiąc, mówię: «Mów WMé «Pan tak: ponieważ prawo każe na pierwszym dniu marszałka obrać, a my «już, przeciw oczywistemu prawu, kilka niedziel na tej trawimy elekcyi, «zatem, *solenissime*⁹ o zgwalcenie prawa tego protestując się, wychodzę».

¹ przemowa. ² zbawienie. ³ kord za pasem. ⁴ zamieszanie. ⁵ na wszelki wypadek.
⁶ nieodzowny. ⁷ sekwele = następstwo. ⁸ hazard, odważny czyn. ⁹ najsoleńniej, najuroczyściej.

«Repetował¹ mój molojce kilka razy me słowa, ale nigdy nie mógł trafić do końca i powiedział, że to jest przydłuższa oracyja, trzebaby ją skrócić. Takem musiał swego dyscypuła² blisko do pana Rojkiewicza prowadzić i tam «łę tak straszliwą cycerońską mowę musiałem mu napisać etc.».

Dalszą opuszczam relacyją: wszak pomniemy, że ten sejm na tej racyi i protestacyi był w czasach naszych zerwany.*

*** O jednym nietykanym i strasznym bałwanie, tudzież o drugim bożyszczu, i czy szlachectwo i wolność być może bez niego?** Było takie za bałwochwalczych jeszcze czasów (jak piszą) stare, bardzo wielkie i rozłożyste, bogom, osobiwie bożyszczu, nazwanemu Perkun, poświęcone pod Wilnem drzewo, i taka była przeciw temu *idolum*³ religija i o niem opinija, iż, ktoby ważył się rękę lub siekiere na to drzewo podnieść, i on sam i z całą familiją, i ze swoim miał zniszczyć potomstwem. Jak się zaś chrześcijańska w Litwie wiara szerzyć poczęła, długi czas, jeszcze i za chrześcijan, na ów dąb starożytny nikt się nie śmiał odważyć. Naostatek, wiarą dobrą wsparty, kapłan jeden bałwanu tego, tak od wszystkich czczonego, między chrześcijanami więcej cierpieć nie mogąc, porwawszy siekiere, jeden, drugi, dzieściły i setne ciosy dał staremu dębowi. Lud, to widząc, do siekier się rzucił i pracy dopomógł, bałwan się obalił i, z wielką ludu chrześcijańskiego radością i śmiechem zrąbany i zapalony, w popiół się obrócił, a za to nikomu żadnego nie stało się nieszczęścia, wszyscy zdrowi i w całości zostali...

W oczach i u nas jest teraz każdemu drugie, nie tak starożytne, bożyszczce, o którym też sama opinija, że kto pierwszy na niego się miotnie, i sam ze swoim zginie zapewne plemieniem. Aleć przykładem heroicznym tej chrześcijańskiej Litwy odważyć się raz na to straszne *idolum* i z dobrą wiarą spróbować nie wadzi, czy można bez swej zguby dać mu dobry cios, gdyby można, i cale śmiertelny... Ale mówmy wyraźniej!

Za skaranie boskie... poczytać potrzeba, że powszechnie nacyja... dała się powoli przez zwyczaj wciągnąć w tę opiniją, że to jakiś osobliwszy jest szlachectwa przywilej i najdroższy ze wszystkich klejnotów — moc rwać sejmy i publiczne obrady. Jest wprawdzie tysiącami... godnych panów i szlachty, którzy nikczemność tego przywileju, a ruinę przezeń ojczyzny doskonale widzą, ale publicznie przeciw niemu odezwać się nie wążą, bo jest wiele takowych, co mniemają, iż jużby było po szlachectwie polskiem, gdyby szlachcic nie miał mocy zerwania sejmiku i sejmu. Jeżeli to prawda, toć takim sposobem od początku Polski aż do Jana Kazimierza, to jest do roku 1652, musielibyśmy w narodzie naszym nie mieć żadnego prawdziwego szlachcica, bo do tego tam czasu nikt jeszcze o tym szlachectwa przywileju nie wiedział, żeby szlachcic jeden i każdy miał moc zupełną zerwania sejmów; dopiero Siciński odkrył ten nieszczęśliwy szlachectwa zaszczyt!...

Czy nie widzimy, że to chimera jest tylko, którą nam obcy ludzie i nienawistni sąsiedzi, i niektórzy podobno nas możniejsi panowie wbijają, prywatę swoją nad publiczny przekładający interes, perswadując nam, że coś tak wielkiego sobie na tym przywileju, od przodków naszych nieznanym, zakładamy? Potencyje obce i niektórzy z nas samych mają swe interesa własne, które chcą czyli na Rzeczypospolitej, czyli na królu wymusić, aby dobremu naszej przeszkodzić ojczyzny. Ci to są, którzy nam ten klej-

¹ powtarzać. ² uczeń. ³ bałwan.

not rwania sejmów tak wysoko szacują; ci są, którzy — przez nasze usta szlacheckie — publiczne u nas różnemi pretekstami tamują i w niwecz obracają rady;... im to jest dla każdego szlacheica polskiego przywilej rwania sejmów potrzebny, aby swoje łatwiej przez tyłu posłów wyrabiać, czy nasze psować interesa mogli, ale szlachcicowi żadnemu, ale szlacheckiemu naszemu całe nie jest potrzebny stanowi, ani niezliczonym do b r y m panom polskim...

Wątpić nie trzeba, iż szlachecki stan cały, dopieroż mądry senat, łatwo sobie wyperswaduje, że, kiedy ten, przed lat blisko stem u przodków naszych niesłychany, przywilej ojczyznę tak gubi, a im całe jest niepotrzebny, toć dla ojczyzny sakryfikować¹ go trzeba. Ale tu cała jest trudność — niektórych z panów, mających w tem nie żaden publiczny, ale swój własny interes, od utrzymania tego przywileju odwrócić, ludzie obcych, potajemnych nieprzyjaciół naszych. Lecz to nie są niezwykłe trudności, kiedy senat, szlachecki stan żadne swoje, a wielkie ojczyzny w tem dobro postrzeże, kiedy i uzna, że z tego nieszczęśliwego źródła wszystkie na naród spływają nieszczęścia.

A jakże nie z tego jednego źródła? O czem tu zdrowym wątpić rozumem? naco palcem noc pokazywać w północy albo dzień w samo południe? Stać bez rady niepodobna królestwu; rady na sejmach zawisły; sejmy się ustawicznie rwą... Cóż zaś rwie sejmy? Moc w każdego dobrego i złego rękę, zwyczajowem b e z p r a w i e m wprowadzona, rwania sejmów i obrad. Nie idę dalej, słów darmo nie psuję. To nas jedno rujnuje, to gubi, to jedno nie da nam nigdy przyjsć do rządu i ladu. ★

★ Aby poprawić złą rad formę, zważyć wprzód trzeba, że rzecz nigdy niepodobna jest, aby zawsze i aby wszyscy zgodzić się mogli na jedno w interesach Rzeczypospolitej. Gdyby ludzie... zawsze rozumieli jedno, zawsze zgodzili się na jedno wszyscy... toby ludzie być ludźmi przestali. Taka bowiem jednomyślność i zgoda jest całe nad ludzką naturę. Z jednej strony albowiem... ludzie na świecie o wszystkim między sobą dysputują i według pozorów, jak im się rzeczy zdają, nie jak w sobie są, różnemi o nich zdaniem między sobą walczą. Z drugiej zaś strony, ludzie — z przyrodzenia swego i z różności czy temperamentów, czy rozumów, czy własnych ich inklinacyj², jednych drugim przeciwnych, czy z edukacji i przewency³, osobliwie zaś z własnego interesu i prywatnego dobra, — tak są różnych między sobą zdań, woli i opinij, żeby to był niepojęty cud, gdyby zawsze a zawsze w wielkiej liczbie na jedno się zgodzili. Nie o wielkiego ludzi zgromadzenia, ale o dwóch tylko osób zgodę jak jest trudno, mamy to od Chrystusa Pana upewnienie, gdy tak powiedział, że «jeżeli dwóch na świecie się zgodzą, cuda czynić⁴ góry przenosić będą, wszystko im się na ich prośbę stanie...» A my chcemy, żeby na sejmie kilkuset, albo kilka tysięcy ludzi różnych rozumów, różnych charakterów, a osobliwie różnych i przeciwnych interesów, na jedno się zawsze koniecznie zgodzili! Nie jest to imaginacja, niepodobna do praktyki? Podobnaż to jest, aby całe królestwo, stan cały szlachecki jednostajnie zawsze myślał we wszystkim? Bo, niż w Warszawie jaka się prawem ustanowi rzecz, niż na sejmie interes rezolwowany⁴ będzie, trzeba teraz wprzód, aby się wszystkie sejmiki, wszystkie województwa, wszystkie szlachta na to, co

¹ poświęcić.

² skłonność.

³ uprzedzenie.

⁴ rozwiązać, załatwić.

na sejmie skonkludowane¹ ma być, jednostajnie zgodzili. A cóż to za cudowne państwo! cóż za błogosławieni ludzie! cóż to za anieli! cóż to za niebo!... Gdyby na sejmikach i sejmach wszyscy jedno zawsze myśleli, na jedno się zgodzali, żaden swego nie miał uporu przy przeciwej racyi, cóżby nam braknęło, abyśmy ojczyznę naszą niebem nazwać nie mogli, w któremby tak anielskie, nadnaturalne to znajdowało się między wszystkimi poźycie?

A jeżeli to być nie może — jak być całe naturalnie nie może, i podobniej słońce głosem ludzkim drugi raz cofnąć, niż żeby kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy zawsze we wszystkich interesach i okolicznościach tę niebian błogosławionych zgodę i jednakowe zawsze o wszystkich interesach ojczystrych mieli zdanie, — jeżeli to, mówię, jest niepodobieństwo nad niepodobieństwa wszystkie, cóż to za kara boska, cóż to za przepuszczenie z nieba na cały naród, że nasz rząd cały, stałość i całe szczęście Rzeczypospolitej, nasze życie i fortuny na tej jednej jednomyślenia wszystkich chimerze... zakładamy?...

Dystyngujemy² tu więc w Bogu naszym wszechmogącym moc boską, jak ją dystyngują mędrycy, na moc ordynaryjną³, którą światem według natury, Jemu danej, rządzi, i na moc ekstraordynaryjną⁴, którą nietylko wszystko nad rzeczy przyrodzenie może, ale i świat sam, i naturę jednem zniszczyć może skinieniem. Bóg sam tedy (śmieje mówić mogę) mocą swoją ordynaryjną, którą światem rządzi, tego uczynić nie może, aby wszyscy ludzie zawsze byli zdania jednego i jednej woli; bo, ponieważ każdemu dał wolność, toć wolne oraz każdemu dał zdanie; musiałby więc wprzód znieść ludziom wrodzoną im własność, niżby ich do jednostajnego zawsze, bez nadwrodzonego cudu, przyprowadził chcenia. Może to, ale cudem wszechmocności swojej, nie, jakom rzekł, ordynaryjną mocą. Co więc Bóg sam nie może zrobić ordynaryjną mocą, to my na każdym sejmie ordynaryjnym i sejmiku dokazać, Polacy, chcemy? Czyż chcemy, żeby Bóg nadnaturalnie z nami czynił zawsze cuda, ile razy na nasze zjeżdżamy się narady?... Czy trzeba, żeby Bóg nas, Polaków, inaczej, a inaczej wszystkie inne państwa i Rzeczypospolite rządził?... żeby coś więcej z nami, jak z aniołami uczynił, którzy po kreacyi swojej w oczach boskich na jedno zgodzić się nie mogli?...

Jeżeli zaś rzecze mi kto: «A wszakże tyle sejmów i sejmików przecież doszło, toć się wszyscy na jedno zgodzili», — odpowiadam, że naprzód nie mówiłem ja dotąd, aby nigdy trafić się nie mogło, że się wielu na co zgodzą, bo się i to trafia: lecz moja ta prawda jest, że to rzecz niepodobna jest, aby zawsze wszyscy na każdą, by najlepszą, rzecz na każdym zgodzili się sejmie. Ale to samo dochodzenie tak mało sejmów i sejmików pokazuje jawnie, że ludzi wielu, lub insze zdania, lub przeciwne interesa mających, zawsze na każdą rzecz zgodzić się i mieć jednego zdania, jednej woli nie mogą; inaczej gdyby było, toby wszystkie dochodziły sejmiki i sejmy!...

Panowie polscy! Rączcie to zauważyć, czyli godzi się, aby dla prywat waszych utrzymywać nacyją w tym tak szkodliwym i niebezpiecznym błędzie, żeby perswadować szlachcie..., aby się tak upierali i tak w ludzkiej naturze niepodobnej rzeczy na swoich domagali się radach, t. j., aby tej zawsze precudownej jednomyślności we wszystkim wyciągali⁵ po sobie,

¹ postanowić, uchwalić.

² rozróżniać, rozkładać.

³ zwyczajny.

⁴ nadzwyczajny.

⁵ wymagać.

która być z a w s z e naturalnie nie może?... Trzeba wielkiego zapamiętania na ojczyznę, zaćmienia interesem prywatnym, ktoby... nie życzył nacyi skłonić ją o niepodobieństwie w radach tej całej nadnaturalnej i nadludzkiej z a w s z e w s z y s t k i m harmonii, dla której sejmów rwania daje się pretekst i rady żadne dochodzić u nas żadną miarą nie mogą. Tę zaś sobie dobrze wyperswadowawszy prawdę, że ta niebieska zgoda między ludźmi niepodobna jest, gdy po ludzku radzić na sejmach zaczniemy, po ludzku będą stawać sejmy.

ROZDZIAŁ VII

Czasy Stanisława Augusta

Epoka oświecenia i klasycyzmu. Odrodzenie mądrości i piękna.

107. Święte hasło Konarskiego: «Aleć i grzech jest wielki, i nigdy nie godzi się desperować o Rzeczypospolitą», nie przebrzmiało bez echa, a jego błogosławiona działalność na polu myśli politycznej i oświaty nie poszła na marne: co tylko było w Polsce dzielnego i mądrego, nie desperowało, ale rzuciło się do ratowania ojczyzny. Ratunek podupadłego państwa i ratunek zdziczałego moralnie i umysłowo społeczeństwa — oto dwa główne hasła, przyświecające za panowania ostatniego króla polskiego działalności rozumnych i szlachetnych jednostek.

Lecz uratować Polski, jako państwa, pomimo największych wysiłków, które się wzmogły zwłaszcza po pierwszym rozbiorze, już nie zdołano: przeszkody, zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz kraju, były nie do pokonania.

Na tronie polskim zasiadł człowiek wcale niepospolity, bo wyjątkowo zdolny i bardzo światły, rozumiejący doskonale potrzebę reformy państwa i narodu i pragnący jej szczerze, ale słaby i chwiejny, mający dużo dobrych chęci, ale mało dobrej woli, i wogóle bez hartu duszy. «Znać w nim było człowieka, co musiał walczyć, nie będąc do walki stworzony, cierpieć, nie umiając znosić boleści, milczeć, gdy usta pragnęły szczerze się otworzyć; człowieka, który nie wierzył w żadną przyszłość i żył dodniową egzystencją, z bojaźnią przewidując, rychłoli na piąty akt dramatu zapadnie zasłona»¹. Taki król nie mógł się cieszyć ani miłością, ani szacunkiem, ani zaufaniem społeczeństwa, tem więcej, że ogół szlachecki nie mógł mu zapomnieć, że jest nie królewskim synem, ale jakimś tam stołnikiem litewskim, że zawdzięcza tron Piastów i Jagiellonów nie świetności przodków, nie własnym zasługom, nie woli narodu, tylko zbiegowi okoliczności, własnym wdziękom i przemocy moskiewskiej. A zresztą rozbijały się dobre chęci króla i jego mądre zamiary o ciemnotę ogółu, któremu się bardzo powoli otwierały oczy, który się z trudem wyrzekał wiekowych przesądów politycznych i przywilejów szlacheckich — owych klejnotów złotej wolności: *liberum veto* i wolnej elekcji. Obok ciemnoty była i podłość — podłość magnatów, którzy kochali nie ojczyznę, tylko siebie, którzy też za pieniądze zaprzędawali ją wrogowi. A wróg nie spał: dopuszczał się gwałtów, sypał pieniędzmi, groził wojną, poduszczał braci

¹ słowa Kraszewskiego (w powieści «Djabeł»).

przeciwko braciom, poddanych przeciwko królowi, byleby tylko nie pozwolić ratować tonącej ojczyzny, a wszystko to — pod pozorem jej dobra i wolności. I ta właśnie przemoc, ta niemająca sobie równej w dziejach całego świata piekielna polityka Rosji, Austrii i Prus — to główna, najsilniejsza przeszkoda, której pokonać nie było można. Bo z przeszkodami wewnętrznymi uporano się koniec końcem — na sejmie czteroletnim: Konstytucja 3 maja — to zwycięstwo mądrości nad ciemnotą, szlachetności i patryjotyzmu nad podłością i prywatą, to zarazem świadectwo, jakie Polska wystawiła sobie przed Bogiem i ludźmi, że mogłaby istnieć nadal, jako niepodległe państwo, że więc jej upadek był nie samobójstwem, tylko morderstwem, popełnionem przez trzech rozbójników! Konstytucja 3 maja, oraz powstanie Kościuszki ocaliły honor państwa, narodu i imienia polskiego.

Jeżeli się tedy reforma polityczna powiodła, ale tylko teoretycznie, jeżeli nie ocaliła państwa, to reforma *duchowa* nie tylko się powiodła, ale wydała trwale owoce: ocaliła naród! Dokonano zaś tej reformy, wstępując w ślady Konarskiego, t. j. krzewiąc i ulepszając oświatę. Niemalą zasługę pod tym względem położył król, który, urzeczywistniając myśl Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, założył w Warszawie Szkołę rycerską (1766). Była to pierwsza świecka i pierwsza państwowa szkoła w Polsce. Uczono w niej nie tylko wojskowości, ale i miłości ojczyzny, to też jej wychowawcy wykształcili się nie tylko na dobrych oficerów, ale i na gorących patryjotów: tutaj to pobierali nauki Kościuszko, Jasiński, Kniaziewicz, Niemcewicz, Fiszler, Sowiński, Mokronowski i inni bojownicy wolności.

Lecz epoką w historii oświaty polskiej jest rok 1773, kiedy to papież Klemens XIV skasował (nareszcie!) zakon jezuitów: wraz z zakonem przestały istnieć szkoły jezuickie; trzeba je było zastąpić nowymi. I oto szkolnictwem, które się dawniej znajdowało w rękach duchowieństwa, teraz zajęło się państwo: na tym samym przekłętym sejmie (1773), który, pod laską zdrajcy Ponińskiego, podpisał pierwszy rozbiór Polski, stworzono instytucję, która odegrała błogosławioną rolę w historii narodu polskiego: podkanclerzy litewski, Joachim Chreptowicz, wystąpił z wnioskiem, aby wszystkie wogóle szkoły sekularyzować, t. j. odebrać zarząd nad niemi duchowieństwu, a oddać go państwu, poświęcając na ich utrzymanie część funduszów pojezuickich; wniosek przyjęto i wykonano, przyczem obficie korzystano z tych planów reformy szkolnej, które powstały we Francji o lat dziesięć wcześniej, lecz których Francja w całej pełni nie urzeczywistniła. Polska urzeczywistniła, i tym sposobem w Polsce, nie we Francji, powstało pierwsze na całym świecie ministerjum oświaty: *Komisja Edukacji Narodowej* (zwana pospolicie Komisją Edukacyjną), instytucja, która miała najwyższą władzę nad wszystkimi szkołami i wogóle nad całym wychowaniem publicznem we wszystkich ziemiach polskich, ocalalych od pierwszego rozbioru. A sprawowała tę władzę znakomicie, bo też jej członkami byli (pomiędzy innymi) tacy ludzie, jak Andrzej Zamoyski, Ignacy Potocki, Adam Czartoryski, Hugo Kollątaj, Julian Niemcewicz, Grzegorz Piramowicz (były jezuita), najznakomitszy pedagog polski XVIII w.

Przyświecała Komisji mądra zasada Konarskiego: «Przez reformę wychowania do odrodzenia ojczyzny»; reformowano więc szkoły w tym samym wogóle duchu mądrości, moralności i patryjotyzmu, co Konarski, tylko że była to reforma i śmielsza, i bez porównania szersza: śmielsza, albowiem, kierując się słuszną zasadą, że «umiejętność języka polskiego jest sama przez się dla

Polaka celem nauki jego», a łacina — tylko «środkiem i drogą», wprowadziła Komisja do wszystkich szkół język ojczysty, jako wykładowy; szersza zaś — nietylko dlatego, że objęła wszystkie szkoły, niższe i wyższe, ale i dlatego, że ogarnęła wszystkie warstwy społeczeństwa w myśl zasady: «Nie całość jednego stanu, ale całość narodu całego jest prawem najwyższem». Zajęła się więc Komisja wychowaniem zarówno mężczyzn, jak kobiet (po raz pierwszy w Polsce!); wprowadziła własnych szkół żeńskich nie zdolala założyć, ale organizowała pensjonaty prywatne, w których uczono religii i moralności, języka polskiego, arytmetyki, geografji i historji, zwłaszcza ojczystej. Zajęła się również (znowu po raz pierwszy w Polsce!) oświatą ludu, bo rozumiała, że, jak opiewa jej ustawa, «niemasz innego sposobu wyprowadzenia ludu z ciemności i błędu, z pochodzących najwięcej z tego źródła wad i występków, jako nowe pokolenia zaraz w początkach ich życia oświecać, drogę im cnoty ukazywać, a czynną edukacją serca do zamiłowania powinności kształcać i do wykonywania obowiązków samym skutkiem i zwyczajem wprawiać». Uczono więc w szkołach ludowych religji, obyczajności, czytania i pisania, rachunków, a nadto udzielano różnych wiadomości praktycznych, np. o miarach i wagach, o gospodarstwie. Wogóle bowiem zadaniem szkół Komisji było, obok kształcenia umysłów i uszlachetnienia serc, wychowanie praktyczne. Dlatego to i w szkołach średnich uczono nietylko religji i nauki moralnej, języków, historji i geografji, matematyki i nauk przyrodniczych, ale nadto: prawa, rolnictwa, ogrodnictwa, miernictwa; nie zaniedbywano też higieny, ze względu, że «zdrowie jest rzeczą najdroższą i najpotrzebniejszą na świecie». Przystąpiła wreszcie Komisja do reformy Akademji wileńskiej i krakowskiej. Warto pamiętać, że reformatorem Akademji krakowskiej był Hugo Kollataj, który usunął z niej scholastykę, a wprowadził naukę nowoczesną; i była to uroczysta chwila, kiedy (r. 1781) znakomity uczony, Jan Śniadecki, wygłosił w Akademji publiczną pochwałę Kopernika (który dawniej uchodził za heretyka), i to już po polsku, nie po łacinie!

Pomimo przeszkód, napotykanych w swej działalności (zwłaszcza ze strony byłych jezuitów i ciemnej szlachty, która lamentowała, że łacina przestaje być językiem wykładowym), Komisja Edukacyjna dokonała wielkiego dzieła: zreformowane przez nią szkoły, szerząc rzetelną oświatę, były potężną dźwignią duchowego odradzania się narodu, które też, zapoczęte jeszcze przez Konarskiego, postępowało, choć powoli, za St. Augusta, a po upadku Polski nietylko że nie utknęło, ale szło dalej i zaczęło wydawać wspaniałe owoce, zwłaszcza w literaturze. Pięknie i słusznie powiedział Brodziński, że «Komisja Edukacyjna była kotwicą, która okręt ojczyzny nad przepaścią utrzymała».

108. Lecz była jeszcze inna potężna dźwignia odrodzenia duchowego narodu: zreformowana przez wybitne jednostki literatura. Dokonano zaś tej reformy, podobnie jak reformy oświaty, przy pomocy literatury i wogóle umysłowości zachodnio-europejskiej, z którą Polska znowu nawiązała nici, zerwane w drugiej połowie XVII stulecia. I oto, podobnie jak w XVI wieku krzewił się w Polsce humanizm, tak w drugiej połowie wieku XVIII, zwłaszcza za Stanisława Augusta, napływają do Polski fale tego prądu życia duchowego Europy zachodniej, który się nazywa oświeceniem.

Już w epoce humanizmu wypowiedziano walkę różnym powagom tradycyjnym: zaczęto się burzyć przeciwko nauce Kościoła średniowiecznego, poczytującej życie ziemskie jedynie za środek do zbawienia duszy, domagano się wolności myśli i czynów; niedosyć na tem: odzywały się głosy, że nieograniczona władza panującego nad narodem jest czemś głupiem i niegodziwem, że swoją władzę panujący zawdzięcza wcale nie bożej łasce, jak uczył Kościół, tylko dobrowolnej umowie z narodem; domagano się także równouprawnienia wszystkich warstw społecznych wobec prawa karnego, a niektórzy co szlachetniejsi myśliciele zdawali sobie już sprawę z tej krzywdy, jaka się dzieje «niższym» warstwom społecznym, że nie mają prawie nic własnego i że muszą praecować na «panów». Lecz ta walka z niewolą, nałożoną przez Kościół na człowieka, oraz z krzywdą polityczną i społeczną nie była jeszcze w epoce humanizmu ani powszechną, ani zaciętą, a nadto była raczej odruchową, aniżeli wyrozumowaną; rozum bowiem człowieka nie czuł się jeszcze na siłach, żeby uzasadnić jego roszczenia do nowego życia i jego żale do starego świata.

Ale przyszedł czas i na to: w wieku XVII ukazał się w Europie zachodniej, zwłaszcza we Francji i w Anglii, cały szereg znakomitych myślicieli, którzy potęgą swego rozumu wprowadzili świat na nową drogę życia duchowego. Na ich czele stoi genialny myśliciel francuski, Descartes, czyli (z łacińska) Kartezjusz (1596—1650): nikt inny w XVII wieku nie przychylił się tak bardzo do wzbudzenia w ludziach ufności w potęgę r o z u m u i, co zatem idzie, do umocnienia poglądu, że człowiek ma prawo i obowiązek kierować się w życiu nadewszystko rozumem, to znaczy za prawdę i za dobro uznawać jedynie to, co mu każe uznawać rozum, a nie tradycja, choćby całemi wiekami uświęcona, i nie powaga, wszystko jedno jaka — kościelna czy świecka. Ten pogląd, oparty na wierze w potęgę rozumu ludzkiego, rozpowszechnił się dopiero w wieku XVIII, ogarniając umysły nie tylko uczonych myślicieli, ale wogóle myślących ludzi. Otóż oświeceniem nazywa historja cywilizacji europejskiej ten prąd życia i kultury duchowej, którego zarodki przypadają na wiek XVI, wzrost — na XVII, a pełny rozkwit — na XVIII, a którego istotę stanowi dążność, z jednej strony, do zburzenia — zapomocą rozumu — dawniejszych pojęć religijno-moralnych, politycznych i społecznych, a z drugiej do budowy nowej nauki i nowego życia — także na podstawie wyłącznie rozumowej.

W dziedzinie pojęć religijno-moralnych nie odrzucało oświecenie wiary w Boga; przeciwnie: starało się uzasadnić je rozumowo; ale odrzucało naukę kościelną o Bogu, jako o Istocie jednej ze trzech osobach, rządzącej bezpośrednio światem i ludźmi, i głosiło naukę, że Bóg, stworzywszy raz na zawsze niezmiennie prawa, rządzące światem, nie potrzebuje się mieszać ani do spraw natury, ani do życia ludzkiego. Nauka ta, która się rozwinęła szczególnie w Anglii, nazywa się deizmem. Logicznym wnioskiem, który wypłynął z deizmu, była nauka, że, skoro Pan Bóg, raz stworzywszy świat, już nie miesza się do niego, to nie było i niema żadnej religji o b j a w i o n e j: jest tylko religja n a t u r a l n a, stworzona przez samych ludzi, podobnie, jak jest moralność n a t u r a l n a, oparta na prawdach, do których rozum ludzki doszedł sam, o własnych siłach, bez pomocy Objawienia.

We Francji deizm niejednokrotnie zamieniał się na ateizm, na zupełną niewiarę w Boga i w nieśmiertelność duszy, a nawet w samo jej istnienie. Wolter (1694—1778), najznakomitszy krzewiciel oświecenia, jeden z naj-

większych i najpopularniejszych w całej Europie pisarzów francuskich, wierzył wprawdzie w Boga (powiedział nawet, że, gdyby Go nie było, toby Go trzeba było stworzyć), ale odmawiał Mu wszechmocy i dobroci, a religję objawioną poczytywał za głupi przesąd i za świadome oszustwo, jakiego się chytrzy kapłani dopuścili i dopuszczają na głupich ludziach, żeby zapanować nad nimi i ciągnąć z nich pieniądze. Ulubioną i prawie jedyną bronią Woltera w burzeniu tradycji religijnej były drwiny, śmiech, sarkazm, często niegodziwe szyderstwo. Nie rozumiał Wolter, jak nie rozumiało wielu przedstawicieli oświecenia, że religja jest owocem najgłębszych i najszlachetniejszych potrzeb duszy ludzkiej, że jedynie religja daje człowiekowi wiarę w prawdziwą wartość życia, a zatem i siły do życia; nie rozumiało także oświecenie, że religja może być wprawdzie przedmiotem rozumowania, ale nie może być owocem rozumowania, że jest wytworem serca, które może, chce i ma prawo wierzyć nieraz w to nawet, czego największy rozum nigdy nie dowiedzie. A i wtedy jeszcze myliło się oświecenie, kiedy uczyło, że i moralność, jak religja, jest wytworem jedynie rozumu, i że wystarczy być rozumnym, aby być moralnym, że więc sama jedna oświata wykorzeni ze świata niemoralność: jak na innych polach, tak i tutaj przeceniło oświecenie potęgę rozumu ludzkiego, zapominając o tych dwóch niewątpliwych prawdach, że, po pierwsze, do tego, aby się stać moralnym, nie wystarczy zrozumieć prawdy moralne, — że trzeba je nadto ukochać sercem, a po drugie, że do dziś dnia dla ogromnej większości ludzi najsilniejszą podstawą i nieodzownym warunkiem moralności jest religja dogmatyczna, że nie zawsze wprawdzie, ale bardzo często wraz z utratą wiary chwieją się w człowieku zasady moralne. Wogóle w dziedzinie pojęć religijno-moralnych było oświecenie prądem jednostronnym i ciasnym.

Lecz z drugiej strony położyło na tem polu (jak na każdym innym) wręcz nieśmiertelne zasługi: oto głosiło hasła tolerancji religijnej i przyczyniło się niem mało do jej wywalczenia, to znaczy do uwolnienia ludzkości od jednej z największych hańb i jednego z największych nieszczęść dawnych czasów — od przesładowania za wiarę; dzięki oświeceniu przestano dręczyć i palić czarownice; dzięki oświeceniu pozbawiono duchowieństwo różnych szczególnych, a niezem nieuzasadnionych, przywilejów, np. wolności od podatków; dzięki oświeceniu zaczęły się ułatwiać z głów ludzkich różne przesady i zabobony, nie mające wprawdzie nic wspólnego z właściwą wiarą religijną, niemniej przeto mocno związane z życiem religijnem dawnych wieków, jak np. wiara w rozmaite wróżby, prognostyki i czary, oraz w opętanie przez djabła, którego wyganiano z ciała zapomocą różnych pobożnych praktyk, nie mówiąc już o takich np. przesadach, że rozsypanie soli przy obiedzie albo spotkanie zająca, przebiegającego przez drogę, a cóż dopiero starej baby z pustem wiadrem, niechybnie wróży coś złego.

W dziedzinie pojęć politycznych oświecenie dokonało zmian niezmierniej wagi, snując dalej wnioski z nauki, która zaczęła powstawać już w epoce humanizmu, że władza królewska nie pochodzi z bożej łaski, tylko że jej źródłem jest dobrowolna umowa z narodem. Jest to wprawdzie nauka fałszywa, pierwotnem bowiem źródłem władzy panującego była nie żadna umowa, tylko siła; pomimo to z tej fałszywej nauki wyprowadzono słuszne wnioski, że nie poddani są dla panującego, tylko panujący dla poddanych, że władza panującego nie powinna być nieograniczona, że poddani mają prawo uczestniczyć w prawodawstwie i wogóle w rządach. Znakomity my-

śliciel angielski XVII wieku, Locke (1632—1704), gorliwy i wymowny obrońca tolerancji religijnej, był jednocześnie rzecznikiem liberalizmu, to jest nauki, że głównym celem państwa jest nie potęga polityczna, tylko wolność obywateli, mianowicie zapewnienie każdemu z nich swobody i możności pełnego rozwoju swoich zasobów duchowych i fizycznych, że więc panujący tylko wtedy ma prawo do panowania, kiedy rządzi tak, żeby poddani byli wolni i szczęśliwi. Lecz te i tym podobne liberalne pojęcia o państwie bardzo nieprędko jeszcze zrobiły swoje: pomimo rewolucji angielskiej (1649), właśnie na wiek XVII przypada w Europie zachodniej najbuźniejszy rozkwit absolutyzmu władzy królewskiej, nadewszystko we Francji — za panowania Ludwika XIV, którego niedarmo nazywano «królem-słońcem»; jak bowiem ziemia obraca się około słońca i od niego otrzymuje światło, tak wszystko we Francji musiało ślepo słuchać króla, i on tylko był źródłem wszelkiej władzy państwowej. Najwymowniejszym rzecznikiem tego absolutyzmu był znakomity kaznodzieja francuski, Bossuet, który uczył, że, choćby nawet panujący był tyranem i okrutnikiem, to i wtedy jeszcze poddani winni mu ślepe posłuszeństwo.

Ale w XVIII wieku oświecenie zatriumfowało. Krytyka dawnych pojęć politycznych stawała się coraz śmielszą, a jednocześnie rozwijała się krytyka dawnych pojęć społecznych: coraz jaśniej uświadamiano sobie ohydę niewolnictwa, przeciwko któremu nawet Locke występował bardzo jeszcze nieśmiało, coraz lepiej rozumiano krzywdę, jaka się działa «niższym» warstwom społecznym, oraz bezzasadność przywilejów warstw «wyższych», coraz natarczywiej domagano się równouprawnienia ludzi, i to już nietylko, jak dawniej, wobec prawa karnego: głoszono zasadę, że każdy ma prawo do własności, do pracy na samego siebie, nie na «panów», a nawet do czynnego udziału w życiu publicznym; jednym słowem, walczono o «prawa człowieka». Najznakomitszymi zaś wodzami w tej walce byli trzej wielcy pisarze francuscy XVIII wieku. Pierwszy, Montesquieu, (1689—1755), dążył w swoich pismach, ożywionych szlachetnem i głębokiem współczuciem względem niedoli ludzkiej, do trzech głównych celów: do równouprawnienia wszystkich wobec prawa karnego, które powinno nakoniec wyzbyć się okrucieństwa (zwłaszcza tortur), do zniesienia niewolnictwa i do tolerancji religijnej. Drugi, Wolter, figura pod względem moralnym bardzo marna, płałym językiem sławiąca Wielkiego Fryderyka i Wielką Katarzynę, szyderca i cynik, dla którego nie było nic świętego, kochający tylko siebie, swoje wygody i swoje myśli, odegrał w historii oświecenia i wogóle cywilizacji rolę olbrzymią, jako zakłęty wróg ciemnoty, jako bicz boży na okrucieństwo prawa karnego, na pohańbienie kobiety, na absolutyzm i despotyzm, na fanatyzm i obłudę religijną, jako rzecznik zniesienia nie wszystkich wprawdzie, ale wielu przywilejów politycznych i społecznych, jako obrońca wolności wszelkiej pracy, a przede-wszystkiem wolności sumienia, myśli i słowa. Trzeci, Jan Jakób Rousseau (1712—1778), szalona pałka, pełna sprzeczności głowa, w której było miejsce na wszystko — od genialnych pomysłów do wierutnych bredni, był najwymowniejszym ze wszystkich apostołów «praw człowieka», jakich wydała Francja XVIII wieku; żądał zaś dla człowieka nietylko praw człowieka, ale i praw obywatela; nikt inny nie bronił tak porywająco poglądu, że rząd w państwie jest poto, aby spełniać «wołę powszechną» ludności; nikt przed nim nie odczuwał tak głęboko tej prawdy, że, jak mówi, «wyrzekać się wolności to wyrzekać się swego człowieczeństwa, swoich nietylko praw, ale i obo-

wiązków», że «takie wyrzeczenie się jest sprzeczne z naturą ludzką i odbiera czynom ludzkim wszystkie cechy moralności».

Te i inne myśli pisarzy francuskich XVIII wieku szybko rozpowszechniały się wśród społeczeństwa i wywarły olbrzymi wpływ na życie: wielka rewolucja francuska była w znacznej mierze owocem oświecenia. Dwa hasła naczelne *Deklaracji praw człowieka i obywatela*, uchwalonej przez konstytuante francuską dnia 27 sierpnia roku 1789, opiewają: «Wolność polega na możliwości robienia wszystkiego, co nie szkodzi innemu, to znaczy, że korzystanie z praw naturalnych każdego człowieka nie ma innych granic, prócz tych, które zapewniają innym członkom społeczeństwa możliwość korzystania z tych samych praw, przyczem granice te określa jedynie prawodawstwo... Ludzie rodzą się i pozostają wolnymi, oraz równymi w prawach; nie wolno opierać różnic społecznych na niczem innym, tylko na pożytku pospolitym». Otóż obydwie te hasła, które, począwszy od rewolucji francuskiej, przyświecały powolnemu rozwojowi demokracji zachodnio-europejskiej, były nie czem innym, tylko wnioskiem, płynącym z nauki oświecenia.

Miało oświecenie, jak każdy bez wyjątku wielki prąd kultury, swoje złe strony, z których najgorszą było to, że nieraz, nadewszystko w dziedzinie pojęć religijnych, zbyt brutalnie zrywało z przeszłością, burząc ją, zamiast przebudowywać; ale, z drugiej strony, walcząc o prawa człowieka, bez względu na jego ród, majątek i zajęcie, uzasadniając i krzewiąc ideję wolności, sprawiedliwości i równości społecznej, stało się potężną i błogosławioną dźwignią postępu społecznego w duchu demokratycznym; a wielbiąc rozum, jako najwyższą potęgę człowieka, głosząc hasła oświaty, nauki i krytycyzmu, domagając się wolności sumienia, słowa i druku, burząc odwieczne przesady i zabobony, było potężnym i błogosławionym czynnikiem postępu umysłowego ludzkości. I słusznie nazwano wiek XVIII, na który przypada najwspanialszy rozkwit oświecenia, wiekiem oświeconym. Cięży na nim wprawdzie straszna zbrodnia, a jest nią nie rewolucja francuska, tylko rozbiory Polski: ale za tę zbrodnię odpowiada nie oświecenie, tylko nikczemna i głupia polityka dynastyczna, której kierownicy ustami tylko, nie sercem i czynem, byli wyznawcami nauki oświecenia.

Polska kultura oświecenia zawdzięcza prawie wyłącznie Francji; zasilala się wprawdzie potrosze myślą angielską, zwłaszcza nauką Locke'a, ale poznawała ją nie z oryginałów angielskich, tylko z przekładów francuskich. Już w wieku XVII, od czasów Władysława IV, zaczyna napływać do Polski cywilizacja francuska, ogarniając jednak zrazu tylko dwory wielkopańskie; za Sasów jej napływ staje się coraz to silniejszym i szerszym; dopiero jednak czasy Stanisława Augusta są dla Polski wiekiem oświeconym. Dzięki coraz częstszemu wyjazdom młodzieży polskiej do Francji (oraz napływowi do Polski nauczycieli-Francuzów), szerzy się znajomość języka francuskiego, a wraz z nią — znajomość literatury francuskiej; ukazują się przekłady dzieł francuskich, coraz głośniej rozbrzmiewają hasła oświecenia, coraz częściej słychać, że największą klęską Polski jest ciemnota, że więc «trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty!» Otóż krzewicielką hasel oświaty i postępu staje się, oprócz zreformowanej szkoły, literatura.

Na jej rozkwit wpłynął ogromnie Stanisław August. Rozumiejąc, że literatura jest potęgą, bo urabia opinię publiczną, wystąpił on nie tylko jako mecenas literatów i uczonych, zachęcając ich do pisania słowem, podarun-

kami i pieniędzmi, ale nadto jako ich kierownik. Co czwartek odbywały się u króla uczty («obiady czwartkowe»), na których rozmawiano o różnych ważnych sprawach literackich, naukowych, społecznych, politycznych; a wśród rozmowy zwracał król uwagę swych gości na ten lub ów przedmiot, który w literaturze poruszyć należało, np. na potrzebę równouprawnienia mieszczan ze szlachtą; za inicjatywą to króla powstało jedno z najznakomitszych dzieł literatury polskiej XVIII wieku: *Historyja narodu polskiego* Naruszewicza. Niedosyć na tem. W r. 1765 otworzył król w Warszawie (na placu Krasińskich) pierwszy w Polsce teatr publiczny, który się niemało przyczyniał do krzewienia oświaty, a to przez ośmieszające wsteczństwo i ciemnotę komedje satyryczne. Miała więc literatura stanisławowska, głównie dzięki królowi, pewien ścisły, określony kierunek: pisarze już nie błakają się samopas, jak to było w wieku XVII, ale, jak żołnierze, zwartą ławą kroczą ku wyraźnie wytkniętemu celowi: ku oświecaniu społeczeństwa.

Czegóż uczyli pisarze stanisławowscy? Jak pisarze francuscy, tak i oni wypowiedzieli, w imię rozumu i postępu, wojnę przeszłości: ciemnocie i wsteczństwu. Ale u nas walka ta nie doszła do takich ostateczności, jak we Francji; ateizm np. był u nas rzadkiem zjawiskiem. Oświecenie polskie miało charakter umiarkowany; jak Komisja Edukacyjna, reformując szkoły, «szła środkiem pomiędzy ślepem do starych obyczajów przywiązaniem a niebezpiecznym nowości chwytaniem», tak literatura umiała zachować rozumną miarę w walce z przeszłością: głosiła hasła postępowe, ale okazywała należyty szacunek tradycji, o ile jej pierwiastki nie były złe albo głupie, a przynajmniej nieszkodliwe, pierwiastki zaś szkodliwe starała się wykorzeniać, wydając walkę t. zw. sarmatyzmowi w ujemnem tego słowa znaczeniu. A więc walczone pod względem społecznym — z przekonaniem o nierówności ludzi, z przywilejami szlacheckimi, z pychą rodową, z uciskiem ludu wiejskiego i upośledzeniem mieszczan; pod względem politycznym — z prywatą i nierządem (np. z *liberum veto*, tronem obieralnym i t. d.); pod względem naukowym — z nieuctwem, łatwowiernością, brakiem krytycyzmu (np. z wiarą w istnienie Wandy, Lecha, Popiela); w zakresie obyczajów — z niechlujstwem, z pijaństwem, z «junactwem» (t. j. zawadjectwem), z panegiryzmem. Z drugiej zaś strony walczone z «wiekiem zepsutym», a więc z mędrkowaniem w rzeczach religijnych, błagą i zarozumiałością, rozpustą i karciarstwem i wogóle z rozluźnieniem obyczajów, z niemoralnością, słowem, z ujemnymi stronami płynącej do Polski cywilizacji francuskiej. Krótko mówiąc, usiłowano odrodzić i przekształcić naród zarówno pod względem umysłowym, jak moralnym, zarówno politycznym, jak społecznym. I ta właśnie dążność do uczenia i reformowania, do skierowania narodu na drogę prawdziwego, bo nietylko umysłowego, ale i moralnego postępu stanowi główną cechę i nieśmiertelną zasługę naszej literatury stanisławowskiej. Jak *Deklaracja praw człowieka i obywatela* we Francji, tak u nas *Ustawa rządowa* z dnia 3 maja była owocem i zarazem uwieńczeniem literatury, przesiąkniętej duchem oświecenia. Wogóle była literatura stanisławowska mądrą i szlachetną mistrzynią życia, odzyskała tego ducha obywatelskości i patriotyzmu, jakim jaśniała literatura wieku złotego; i, jak w wieku złotym Modrzewski, Górnicki, Kochanowski, Skarga, tak w wieku oświeconym Naruszewicz, Krasiński, Kollątaj, Staszic są nietylko znakomitymi pisarzami, ale także szlachetnymi nauczycielami swego narodu.

109. Lecz odzyskała literatura polska za Stanisława Augusta nietylko mądrość treści, ale i piękno formy, co zawdzięcza głównie także literaturze francuskiej XVII i XVIII wieku, nadewszystko tak zwanej literaturze klasycznej, która rozkwitła za panowania Ludwika XIV (1645—1715), a która się szczyli tak znakomitymi poetami, jak dwaj tragicy: Corneille (1606—1684) i Racine (1639—1699), komedjopisarz Molière (1622—1673), bajkopisarz LaFontaine (1621—1695), satyryk Boileau (1636—1711), i tak znakomitymi prozaikami, jak myśliciel Pascal (1623—1662), dwaj kaznodzieje i moralisci: Bossuet (1627—1704) i Fénelon (1651—1715) i wielu, wielu innych. Ta literatura, jedno z najwspanialszych zjawisk w literaturze całego świata, powstała i rozwijała się pod wpływem literatury starożytnej (zarówno rzymskiej, jak greckiej), w której pisarze francuscy, poczynając ją za szczyt doskonałości, szukali natchnienia i której piękną formę naśladowali, nie tracąc jednak samodzielności: dlatego to jest klasyczna literatura francuska literaturą narodową w całym znaczeniu tego wyrazu, jest wiernym zwierciadłem duszy swoich twórców i wogóle wiernym odbiciem życia francuskiego w y ż s z y c h warstw społeczeństwa. Odznacza się genialną jasnością i logiką myśli, wspaniałą przejrzystością w budowie utworów (zarówno krótszych, jak dłuższych, zarówno poetyckich, jak prozaicznych), ozdobnością stylu, często wpadającą w uroczystość, ale nigdy nie wykluczającą jasności. Wogóle jaśnieje klasyczna literatura francuska wszystkimi przymiotami, jakie talentowi twórczemu może dać rozum (jak przystało na wiek, który wydał Kartezjusza). Natomiast pierwiastku uczuciowego jest w niej mało: duch czasu nie pozwolił pisarzom wypowiadać swych własnych uczuć, zwłaszcza w poezji, którą też słusznie nazwano bezosobistą; jest wprawdzie wyjątek — poezja Lafontaine'a, ale, naogół biorąc, osobistych uczuć jest więcej w prozie, niż w poezji, i to nietylko w listach i pamiętnikach, które stanowią nie najmniejszą chwałę literatury francuskiej XVII wieku, ale i w wymowie, mianowicie w kazaniach, zwłaszcza Bossueta. A jak osobistego uczucia, tak i fantazji niewiele znajdzie w poezji francuskiej tego stulecia: jest jej natomiast niemało w powieściach.

Jedną jeszcze bardzo ważną cechą znamionuje klasycyzm francuski: oto pisarze (po większej części) świadomie ograniczają wolność swej twórczości, przestrzegając zasad tej teorii sztuki pisarskiej, którą przekazała starożytność — zwłaszcza w *Poetyce* i *Retoryce* Arystotelesa, w *Liście do Pizonów* Horacego, oraz w pismach Kwintyljana. A i w samej Francji znalazł się pisarz, który, opierając się na teorii starożytnej, oraz badając arcydzieła klasycznej poezji francuskiej, ustalił i wyłożył wierszem niewzruszone jakoby «prawidła» poezji — w poemacie dydaktycznym *Art poétique* (*Sztuka poetycka*), oraz w kilku pismach prozą. Pisarzem tym jest Boileau, który umyślił sobie, jak sam powiada, «wdrożyć Muzę w karby obowiązku».

Niektóre z tych karbów czyli «prawideł» są bardzo słuszne i do sądnego dnia powinny obowiązywać piszących, jak ten zwłaszcza, że się język winien odznaczać czystością, a styl — szlachetną prostotą, naturalnością i jasnością («Gdy nad pojęciem sensu potrzeba się trudzić, — czytelnik takim wierszem zaczyna się nudzić»). Ale niesłuszny jest np. pogląd, że poeta winien, jak ognia, unikać wyrazów pospolitych, często bowiem wyraz pospolity, byleby nie nadto pospolity, plugawy, maluje rzecz tak obrazowo, że go innym zastąpić nie można; przesadne unikanie wyrazów pospolitych jest

bitą drogą do nienaturalności stylu, przed którą przecie Boileau przestrzegał! Poezji i wogóle piękna — uczył dalej — niema bez prawdy, a jeżeli tak, to poezja powinna naśladować «naturę», t. j. rzeczywistość, ale nie każdą, tylko cywilizowaną, kulturalną: a więc np. przedmiotem, najgodniejszym wielkiej poezji, będzie życie królów, dworzan, bohaterów i wogóle ludzi nie prostych, nie żyjących na łonie natury, tylko ucywilizowanych i posiadających oglądę towarzyską; natomiast życie ludzi pospolitych, np. ludu wiejskiego, nie nadaje się do poezji. Nakładał więc Boileau pęta na treść poezji, wykluczając z niej cały szereg tematów, które, jak się później okazało, mogą się doskonale do poezji nadawać (np. życie drobnego mieszczaństwa i ludu wiejskiego). Niedosyć na tem: i d u c h a poezji zakuwał Boileau w kajdany; wymagał wprawdzie od poety natchnienia i ciepłego uczucia, któreby czytelnika «ogrzewało i wzruszało», ale za główne zalety poezji poczytywał rozum i zdrowy rozsądek (*la raison et le bon sens*), w przekonaniu, że się poezja nie może podobać, jeśli nie przemawia do rozumu, że ideałem poezji jest, aby była piękną prozą. Wyrzucał więc Boileau z poezji fantazję, to też nie uznawał Ariosta za wielkiego poetę. Nakoniec i formę poezji ujmował w ścisłe karby: radził poetom, żeby naśladowali arcydziela starożytne, bo nie piękniejszego nikt nigdy nie wymyślił; dla każdego rodzaju poezji ustanawiał osobne prawidła, od których nie wolno ani na krok odstępować; w tragedji i komedji np. powinno się przestrzegać t. zw. trzech jedności, to znaczy: akcja sztuki ma się odbywać w jednym i tem samym miejscu (jedność miejsca), nie obejmować zdarzeń, dla których przebiegu trzeba w rzeczywistości więcej, niż jeden dzień (jedność czasu), i mieć jeden tylko główny wątek (jedność akcji): biedny Szekspir! biedny Słowacki! biedny Krasieński! Niektóre rodzaje poezji poczytywał Boileau za niegodne wielkiej sztuki, np. bajkę, o której nie raczył nawet wspomnieć: biedny Lafontaine, ten «najpoetyczniejszy» ze wszystkich klasyków francuskich! biedny Krasiecki! biedny Mickiewicz!

Na dnie całej tej teorji poezji spoczywają dwa grzechy śmiertelne. Prawda, że każdy prawdziwy, nawet największy, nawet genialny poeta, tworząc, przestrzega zupełnie mimowolnie, nieświadomie, pewnych ogólnych zasad sztuki (t. zw. norm estetycznych), ale nie wolno od poety wymagać, żeby się trzymał s w i a d o m i e różnych szczegółowych p r a w i d e ł, choćy one nawet były ukute na podstawie poezji tak pięknej, jak starożytna; przecie nie wszystko, co było dobre dla poezji starożytnej, jest dobre dla nowoczesnej (np. mitologja, którą się Boileau radził posługiwać poetom!); przecie i poezja, jak wszystko na świecie, ulega zmianom i rozwija się zarówno pod względem treści i ducha, jak pod względem formy; przecie nie wolno wymagać od poety, żeby dobrowolnie kępował swobodę swojej twórczości. To jeden grzech. A drugim jest ciasne pojmowanie owej natury czyli rzeczywistości, którą poeta powinien naśladować, to jest odtwarzać (a raczej przetwarzać). Boileau poczytywał ją za coś niezmiennego, wiekuistego: tymczasem rzeczywistość, to jest życie ludzkie, będące nietylko głównym, ale niemal wyłącznym przedmiotem poezji, zmienia się ustawicznie, nie w tem znaczeniu, żeby się zmieniała tak dalece sama istota myśli, uczuć, upodobań, pożądań i czynów ludzkich, ale że się one różniczkują i coraz inaczej uzewnętrzniają: otóż poezja (i wogóle sztuka) ma prawo zasiłać się tą coraz inną treścią. Tego Boileau nie rozumiał. I oto jego teorja

musiała się zestarzyć; nastąpiło to jednak nieprędko. Długo, bo nawet jeszcze na początku XIX wieku, cieszyła się wielkiem uznaniem: niektórzy poeci o ciasnych głowach i małym talencie poczytywali ją za nieomylną i według niej wysmażali swoje poematy i tragedje, ody i sielanki, w tem miłym złudzeniu, że brak wielkiego talentu i natchnienia można zastąpić pilnem siedzeniem przy stole, drapaniem się w głowę i gryzieniem pióra, byleby tylko naśladować starożytnych czyli (co jest, jak mniemali, jedno i to samo) pisać ściśle według «nieomylnych» i «wiecznotrwałych» przepisów. Takim poetą był np. we Francji XVIII wieku Jan Chrzyciel Rousseau, jako autor szumnych, a bezdusznych ód, albo i Wolter, jako autor sztucznego i śmiertelnie nudnego poematu o Henryku IV i znacznie mniej nudnych tragedyj. W Polsce takimi poetami będą np. Osipiński i Kajetan Koźmian. Są to już nie klasycy, tylko pseudoklasycy, którzy mówili sobie tak: «Ponieważ poezja powinna «naśladować naturę», a nikt jej tak pięknie i wiernie nie naśladował, jak poeci starożytni, więc, jeżeli będziemy naśladowali starożytnych, to będziemy pięknie i wiernie «naśladowali naturę», czyli będziemy wielkimi poetami». Ani rusz nie mogli pseudoklasycy zrozumieć tej prostej prawdy, że nie ten dobrze naśladuje wielkich twórców starożytnych, kto zapożycza od nich pomysły, wzoruje się na ich stylu i języku, uprawia tylko te rodzaje literackie, które oni uprawiali, szpikuje utwory swoje mitologją i t. d., tylko ten, kto tak tworzy, jak oni tworzyli, to znaczy nie krępując się żadnemi przepisami, idąc za głosem własnego natchnienia i własnego poczucia piękna, czerpiąc treść dla poezji bądź z głębi własnych dusz, bądź z życia własnego narodu — życia nie tylko przeszłego, ale i współczesnego, mającego inne, niż dawniej, potrzeby duchowe i wogóle inny, niż dawniej, charakter. Ponieważ pseudoklasycy tej prawdy nie rozumieli, więc nie dziw, że ich utwory sprawiają wrażenie czegoś, co jest robione na obstalunek, czegoś, co poeta napisał nie dlatego, że napisać m u s i a ł (pod ciśnieniem wzbierającej mu w duszy przemożnej siły twórczej, której się nie mógł i nie chciał oprzeć), ale jedynie dlatego, że napisać sobie p o s t a n o w i ł — zupełnie na chłodno.

Na szczęście nie wszyscy pisarze rozumowali tak fałszywie, jak pseudoklasycy, i dlatego to w całej Europie zachodniej zdobył się wiek XVIII, przy całym swoim szacunku dla tradycji klasycyzmu francuskiego, na literaturę, tchnącą już nowym duchem. Na czele zaś tego ruchu stanęła nie Francja, tylko Anglja. Wprawdzie na pierwszą połowę wieku XVIII przypada twórczość najznakomitszego klasyka angielskiego, znanego dobrze i w Polsce, Aleksandra Pope'a (1688—1744), a i po jego śmierci kult klasycznej poezji francuskiej i starożytnej bynajmniej nie ustaje; ale nowe hasła rozbrzmiewają coraz częściej i coraz śmieiej, a przedewszystkiem hasło oryginalności: poeta Young (1683—1765) głosi (w rozprawce p. t. *Pomysły o oryginalności utworów*, 1759) pogląd, że wskutek zbyt gorliwego naśladowania poetów starożytnych poezja nowoczesna upada, że poeta, im mniej ich naśladuje, tem staje się do nich podobniejszy, że prawidła poezji potrzebne są dla kulawych, ale nie dla atletów! Odzywają się też głosy, że poezja powinna wprawdzie być «naśladowaniem natury», lecz nie tylko cywilizowanej, ale także i prostej, a nawet dzikiej. Te i tym podobne hasła nie przebrzmiały bez echa, i poezja wchodzi powoli na nowe tory; powstaje prąd, zwany p r e r o m a n t y z m e m, to jest prąd, w którym są już niektóre znamiona późniejszego romantyzmu: poeci coraz śmieiej wypowiadają swoje własne uczucia, puszczają coraz wolniejsze wodze swojej wyobraźni, coraz mniej liczą

się z «prawidłami», które ukuł rozum klasyków, woła bowiem słuchać podszepłów własnego serca. Królowała zaś w sercach tych poetów jakaś tęskna, melancholijna zaduma nad życiem ludzkim, nad śmiercią, nad tem wszystkim, co minęło i już nie wróci; a do tych dumań pobudzały ich ruiny starożytnych zamków, groby i cmentarze; rozmarzała ich smętna natura jesienna, jasna noc księżycowa, albo i mrok nocny; budziły rozkoszny dreszcz w ich sercach dzikie pasma górskie, gąszcz leśny, poszarpane obłoki i ciemne chmury, grzmoty i pioruny; nasycały ich wyobraźnię straszliwe i niesamowite wypadki fantastyczne, tajemnicze głosy w podziemiach zamków, duchy, upiory i zjawy, które nie były dla nich, jak dla klasyków, «karczemnej tworem gawiedzi, w głupstwa wywarzone kuźni»; żywo także przemawiała im do serca bohatera przeszłość narodowa, oraz stare podania, legendy i pieśni ludowe. Wszystko to wycisnęło na preromantyzmie piętno elegijne nietylko zresztą uczuciowe, ile czułościowe czyli sentymentalne: ten sentymentalizm (to jest pieszczenie się z własnym uczuciem, np. nadmierne roztkliwianie się, dochodzące aż do podziwu własnych uczuć, zwłaszcza smutku, co więcej, szukanie jakiegoś upodobania w ronieniu własnych łez i w rozdrapywaniu ran własnego serca) stanowi jedną z najznamienniejszych cech poezji preromantycznej. Taki charakter np. mają elegje Younga p. t. *Myśli nocne o życiu, śmierci i nieśmiertelności* (1742—1745), napisane z powodu bolesnych strat rodzinnych poety, a podziwiane, uwielbiane, obławane łzami rozrzewnienia nietylko w Anglii, ale w całej Europie. Większym jeszcze rozgłosem cieszyły się t. zw. *Pieśni Osjana* (1761—1765). Jest to utwór młodego poety szkockiego Macpherson'a (1736-1796), który ludził czytelników, że to nie on jest ich autorem, że on je tylko przetłumaczył z języka celtyckiego na angielski, że autorem jest stary bard Osjan, który żył w III w. po Chrystusie, a był synem Fingala, bohatera króla Kaledończyków. Na treść *Pieśni Osjana* (pisanych prozą rytmiczną) składają się bohaterskie walki Fingala i jego towarzyszy; ludzie to prości, pierwotni, silni, w walce nieugięci, a jednak o sercu niezmiernie czulem: płakać umieją nie gorzej, niż walczyć; umieją też kochać wybranki swego serca: miłość to drugi główny pierwiastek treści tych pieśni, i odłąd nadługo utrwalił się w poezji pomysł, że męstwo i bohaterstwo jest nieodłączne od miłości, co więcej, że w jej blasku dopiero nabiera prawdziwej poezji; a i kobiety opromienia w *Pieśniach Osjana* aureola nietylko miłości, ale i męstwa: przebrane za rycerzy, walczą przy boku swoich ukochanych. Oprócz tego świata rzeczywistego (albo raczej prawdopodobnego) jest w tej poezji świat fantastyczny: są dobre i złe duchy, to ukazujące się ludziom pod postacią mglistych widm, to dające tylko znać o sobie, że są blisko, jakiemiś tajemniczymi krzykami albo dźwiękami strun harfy; są to duchy przodków, albo i świeżo poległych rycerzy. Nastrój tajemniczy tej fantastyczności większa jeszcze tło, na jakim odbywa się akcja: noc księżycowa, latające po zboczach stromych gór cienie i światła, głębokie jary, rwące strumienie, wyjący wichry, chmurne, ciemne albo zaczerwienione, krwawe niebo. A wszystko to, zarówno ludzie i duchy, jak natura, jest spowite w mgłę osobistej zadumy starego barda Osjana, który tęskni do dawnej chwały rycerskiej, do dawnej potęgi ojczyzny, płacze na widok marnej teraźniejszości, czasem zlorzeczy nawet losowi, ale który jednocześnie lubuje się w tym swoim smutku. Żaden inny utwór poezji XVIII wieku nie daje tak wybornego pojęcia, co to jest preromantyzm, i mało który wywierał przez lat kilkadziesiąt tak wielki wpływ na poezję całej Europy.

Oprócz *Pieśni Osjana* (i jeszcze tak innych utworów angielskiej poezji pre-

romantycznej), obfitego pokarmu dostarczały czułym sercom XVIII wieku powieści sentymentalne, których autorowie mieli na celu nie tylko wzruszać swoich czytelników (opowieścią o miłości i o różnych nieszczęściach, płynących z jej źródła), ale także umoralniać: wynosili pod niebiosa cnotę, która zawsze odnosiła triumf, choćby nawet okupiony nieszczęściem tych, co ją pełnią, występki natomiast wyznaczali surową karę. Na czele tych sentymentalnych powieści, od których aż się rola literatura XVIII wieku, stoją dwie powieści angielskie Richardsona: *Pamela czyli cnota nagrodzona* (1740) i *Klaryssa* (1748), oraz jedna francuska: *Julja czyli Nowa Heloiza* (1761), tak dyszająca cnotą, okupująca występki, że się nią udusić można. Autorem tej powieści jest Rousseau, który w historii preromantyzmu odegrał nieminiejszą rolę, niż w historii oświecenia, a to nie tylko przez *Nową Heloizę*, ale i przez *Wyznania* (wydane dopiero w roku 1782, już po śmierci autora), oraz jeszcze inne pisma: przemówiło tu jego czule serce, rozkochane przede wszystkim w nim samym, jego wrażliwość na piękno natury, jego bujna wyobraźnia, pozwalająca mu wyolbrzymiać i podziwiać samego siebie, jego mocne i słuszne przeświadczenie, że serce jest od rozumu niemniejszą potęgą, że ma swoje prawa i takie swoje prawdy, których rozum nigdy nie dowiedzie (nadewszystko prawdy religijne), a wreszcie jego pogląd, że nowoczesna cywilizacja raczej unieszczęśliwia, niż uszczęśliwia, raczej demoralizuje, niż umoralnia.

Ten pogląd Rousseau'a na cywilizację podzielało wielu preromantyków, którzy też wyimaginowali sobie, że ludzie, żyjący na łonie natury, nieknięci cywilizacją, są nie tylko szczęśliwi, ale i lepsi; a ci nawet, którzy nie wierzyli w tę bardzo modną w XVIII wieku mrzonkę, posługiwali się nią, jako pomysłem literackim — w sentymentalnych sielankach, które należały do najulubieńszych rodzajów literackich tego stulecia, a które były niby obrazem szczęścia na łonie natury i nieodłącznej od niego cnoty; występują w tych sielankach pasterze i pasterki — gruchające pary o sercach okropnie czułych, wypełnionych po same brzegi nie tylko cnotliwą miłością, ale także dobrocią dla ludzi i życzliwością dla zwierząt, oraz zachwytem nad piękną naturą (tudzież nad owcami i baranami, które pasą). Wszystko to do prawdziwego świata ludowego tak podobne, jak pięść do nosa. Najznakomitszym autorem takich utworów był Niemiec (ze Szwajcarii) Salomon Gessner (1730—1788), który w swoich sielankach, pisanych prozą rytmiczną (1756), odmalował jakiś nigdy nieistniejący wiek złoty, wiek cnotliwości zarazem i szczęście na łonie cudownie pięknej natury, a to w tym celu, żeby w sercach czytelników zbudzić tęsknotę do cnoty i szczęścia. Sielanki te, tłumaczone na różne języki, wywołały zachwyt w całej Europie; podziwiał je sam Goethe.

110. Poetów francuskich naśladowano u nas już za czasów saskich, ale dopiero za Stanisława Augusta naśladownictwo to stało się powszechne, przyczem jednak nie zapominano i o wzorach starożytnych, które po dawnemu uchodziły za powagę. Teorię Boileau'a znano dobrze, ale bynajmniej nie poczytywano jej za nieomylną: **Franciszek Ksawery Dmochowski** (1762—1808) w poemacie *Sztuka rymotwórcza* (1788), który jest poczęści przekładem, a poczęści przeróbką *Sztuki poetyckiej* Boileau'a, wygłasza tu i owdzie zasady inne, niż w poemacie francuskim. Tak np. słusznie twierdzi, że wymaganie jedności czasu i miejsca w dramacie jest nieuzasadnione, a co większa, rozumie, że nie wszystko jest doskonałe «co pisze starożytność», że się

wogóle poeta nie powinien trzymać dawnej sztuki, «jak pijany płota», bo «sztuka, wzięta z przykładów, ścieśnia ludzkie dzieła;... górny genijusz, lotne rozpuściwszy skrzydła, — za nieprzestępne sztuki wyleci prawidła; — pójdzie, gdzie zapęd myśli niesie go wysoki. — nowe stworzy rodzaje, nowe da widoki;... godni naśladowania dawni autorowie, — oni są nasze wzory, oni sztuk twórcowie, — z ich dzieł się urodziła dla nas trudna sztuka: — lecz maźli to być grzechem, że nowych dróg szuka — genijusz twórczy, nie chcąc gościńcem isć bitym?» Większość jednak pisarzy stanisławowskich szła jeszcze bitym gościńcem: satyrycy naśladowali Horacego, Juwenalisa, Boileau'a, Woltera; bajkopisarze — Ezopa, Fedra i Lafontaine'a, komedjopisarze — Moljera i komedjopisarzów francuskich XVIII wieku, lirycy — Pindara, Anakreonta, Horacego i liryków francuskich XVIII wieku, historycy — Tacyta i Woltera i t. d. Podobnie jednak jak klasycy francuscy nie naśladowali niewolniczo pisarzy starożytnych, tak nasi klasycy stanisławowscy nie naśladowali niewolniczo ani pisarzy starożytnych, ani francuskich: jak klasycyzm francuski, tak i polski jest narodowy, bo wypełniony prawie wyłącznie treścią, wziętą z życia polskiego i dążnością do jego rozumnej przebudowy.

Ta zaś treść jest ujęta w piękną formę, którą kształtowano nietylko na wzorach francuskich i starożytnych, ale także na staropolskich. Czasy saskie zapomniały o Kochanowskim; za Stanisława Augusta przypominiano go sobie i wznowiono jego od wieku przeszło (!) nie drukowane dzieła: *Rymy wszystkie, w jedno zebrane, prócz tych, które wolniejszemi żartami uczciwych czytelników odrażały* (1767). Ukazał się także przedruk *Jerozolimy Wyzwolonej* Tassa w ślicznym przekładzie Piotra Kochanowskiego (1772) i przedruk dzieła Modrzewskiego *O naprawie Rzeczypospolitej* w pięknym tłumaczeniu Bazylika (1770); a podczas sejmu czteroletniego wydano osobno *Kazania Sejmowe* Skargi (1792).

W swej trosce o piękną formę literatury pisarze stanisławowscy wydali wojnę nietylko, za przykładem Konarskiego, makaronizmowi, ale wielu wyrazom pochodzenia łacińskiego, usiłując je zastąpić czysto polskimi; w tym celu tworzone neologizmy, i to nieraz bardzo szczęśliwie: Krasicki np. wymyślił wyraz *s a m o l u b s t w o* (zam. *e g o i z m*), Jacek Przybylski — *w s z e c h n i c a* (zam. *u n i w e r s y t e t*), *p o m n i k* (zam. *m o n u m e n t*), ktoś inny — *p o s i e d z e n i e* (zam. *s e s j a*). Usuwano dalej z języka literackiego wyrazy nadto rubaszne i pospolite; ale nie przebierano jeszcze miary w tem poczynaniu (jak to będzie na początku XIX wieku, w epoce pseudoklasycyzmu); owszem, czasami zasilano język literacki wyrazami ludowymi. A jednocześnie zwalczano napuszoność, nienaturalność i wogóle ujemne cechy stylu barokowego. Świadczą o tem już same tytuły książek. W pierwszych latach panowania Stanisława Augusta szumne tytuły były jeszcze modne, np. *Drzewo żywota, ręką Wszzechmocności Boskiej na ziemi zaszczerpione, od pierworodnej w ogrodzie rajskim korrupcyi i piekielnego robaka zębów zachowane, błogosławionym owocem swoim świat cały ożywiające. To jest Officium albo Godzinki o Najświętszej Maryi Pannie, w wizerunku swoim Rzeszowskim cudami codziennemi słynącej, a od Stolicy Apostolskiej koronami ozdobionej z samych cudów, przez jednego kapłana, poprzedzającego tej Pani sługę i niewolnika, złożone roku, którego Chrystus drzewem łeb szalana kruszy, toż czyni Matka Jego, złożona na gruszy, 1766.* Modzie tej ulegał w młodości ten nawet poeta, który najwięcej się przyczynił do odrodzenia piękna w literaturze, jak o tem świadczy tytuł jego ka-

zania: *Trojaka korona świętobliwości, czci i godności, wielowładności i mocy, za hołd i odwdzięczenie Królowej nieba i ziemie w obrazie berdyczowskim, kazaniem koronacyjnem przez JW. Jmci X. Ignacego hrabię Krasickiego oddana*. Lecz mniej więcej od roku 1770 takie szumne tytuły już znikają i ustępują miejsca prostym: *Bajki i przypowieści, — Satyry, — Pieśni nabożne, — Przestrogi dla Polski, z terażniejszych politycznych związków wypadające, — Pourót posła, komedyja, i t. d.* Napuszony styl staje się przedmiotem satyry, a nawet parodji. Oto np. jak pewien drugorzędny autor (ksiądz Krajewski) sparodjował (w powieści *Podolanka*) manję tworzenia niezgodnych z duchem języka polskiego wyrazów złożonych, zwłaszcza epitetów: «Rymopisowie siebielubni słodkopłodnymi rymoplotami wielbią krasnotwarze boginie; nie jestem skrzydloruchy, abym, wzbiwszy się w szumnodumne wyrazy, kwiatorodny uwił ci bukiet; ale czytałem w księgopisach nowożywych, iż ludzkolubność daje przytułek cnotorodnej wolnomyślności; niech podłomyślni żyją księgokradztwem, ja w zaciszku, sercowędną oddając czołobitność, na spżokutym i niebotycznym ostrosłupie pamiętnika twego umieszczę».

Lecz na ośmieszaniu napuszonego stylu nie ograniczali się pisarze stanisławowscy: najwybitniejsi z nich sami pisali stylem prostym a pięknym, nadewszystko — «książę poetów stanisławowskich», Krasicki, jeden z największych mistrzów słowa, jakimi się szczyci literatura polska wszystkich wieków.

I wogóle stała się za Stanisława Augusta literatura nasza, po wiekowym przeszło upadku mądrości zarówno, jak piękna, na nowo godną narodu cywilizowanego, europejskiego, świadczącą wymownie, że Polska zpowrotem nawiązała związek z umysłowością i sztuką Europy zachodniej, tak mocny w epoce humanizmu, a tak bardzo rozluźniony już w drugiej połowie XVII wieku, a cóż dopiero za Sasów!

Czego jednak brakuje, naogół biorąc, naszej literaturze wieku oświeconego, to gorącego uczucia, serdecznego ciepła. Ale i pod tym względem zachodzi już zmiana na lepsze: budzi się w literaturze serce, a to przede wszystkim pod wpływem samego życia.

Konfederacja Barska, ten ostatni, może w skutkach nieszczęsny, ale zdrowy i wspaniały w swojej odruchowości poryw szlacheckiej Polski; a potem pierwszy rozbiór kraju, haniebny czyn Ponińskiego i bohaterstwo Rejtana; jeszcze później sejm czteroletni, Konstytucja 3 maja, Konfederacja Targowicka, drugi i trzeci rozbiór i powstanie Kościuszki: to wszystko musiało przyspieszać bicie serca polskiego, napełniając je z jednej strony niepokojem, smutkiem, upokorzeniem, rozpaczą, a z drugiej — nadzieją i wiarą w miłosierdzie boże.

Obydwa te uczucia, patryjotyczne i religijne, odzywają się w pieśniach konfederatów barskich. Pieśni to (nie wiedzieć najczęściej, przez kogo ułożone) nie wykwintne, czasem nawet rubaszne, proste, naiwne, ale dlatego właśnie tak mile, wzruszające miłością nieszczęśliwej ojczyzny, rozrzuwające wiarą w Boga, w pomoc Najświętszej Panny, jako «heroiny częstochowskiej» i Królowej Korony polskiej, oraz w pomoc Świętych polskich, pełne poczucia słuszności dobrej sprawy, ducha rycerskiego i poświęcenia za wiarę i ojczyznę. Oto np. pieśń z roku 1769:

Marsz, marsz, me serce, w pobudkę biją,
Czytaj modlitwy, a chwał Maryją,

Bo u Maryi jesteś w komendzie,
Mocniejszy nad Nią w świecie nie będzie.
Fergadron biją¹, stawaj do tropu!²
zadnemu Pani nie da urlopu,
Bo urlop życia, sam nie wiem, długo³.
Jednak tej Pani na wieki słuگو,
Stań do parolu⁴, odbierz go śmiało,
By to w mem sercu na wieki trwało;
Parol jest JEZUS, hasło MARYJA,
Niech to w mem sercu na wieki sprzyja!
Wierz w artykuły mocno w tej mierze,
Byś powinności pilnował szczerze!
Jak wzgardzisz Panią, będziesz w areszcie,
Wspomnisz o życia swojego reszcie.
Jak sobie wspomnę, żem w Jej rejmcencie,
Mógłbym ja stanąć w niebie w momencie.
Dezertrować od Niej nie mogę,
Bo w mojem sercu uczyni trwogę.
Capstrzyk już biją, zamknij fortecę,
Idź do kwatery z wojska, człowiecze:
Tam ci należy, tam ci iść każą,
A jak nie pójdziesz, z rangi wymażą.

Najpopularniejszą ze wszystkich pieśni konfederackich była następująca:

Stawam na placu z Boga ordynansu,
Rangę porzucam dla nieba wakansu⁵,
Dla wolności ginę, — Wiary swej nie minę:
Ten jest mój azard!⁶
Krzyż mi jest tarczą, a zbawienie łupem;
W marszu zostaję; choć upadnę trupem,
Nie zważam, bo w boju! — Dla duszy pokoju
Szukam w Ojczyźnie!
Krew, z ran wylana dla mego zbawienia,
Utwierdza żądze, ukaja pragnienia,
Jako katolika — Wskroś serce przenika —
Prawego w wierze.
Śmierć Zbawcy stoi za pobudki hasło,
Aby wzniesienie złych czynności zgasło:
Wolności przywary⁷, — Gwałty świętej wiary
Zniesione były.
Wyroku Twego, wiem, że nie zapłacę⁸,
Niech choć przed czasem życie moje tracę,
Aby nie w upadku, — Tylko w swoim statku⁹
Wiara słygnęła.

¹ uderzać na alarm. ² zbiórka. ³ bo sam nie wiem, czy długo będę żył, więc niema czasu na urlop. ⁴ apel, wezwanie. ⁵ nie dbam o rangę wojskową, bo wiem, że za służbę w szeregach konfederackich będę w niebie. ⁶ hazard, t. j. narażanie się na niebezpieczeństwa. ⁷ uszczuplenia wolności (na którą król rzekomo zamachy robił). ⁸ wiem, że nie wszystko, czego Ty (Chryste) żadasz ode mnie, spełnię. ⁹ w swojej stateczności (niewzruszoności).

Nie obawiam się przeciwników zdrady:
Wiem, że mi dodasz swej zbawiennej rady
W zamysłach obrotu, — Dla praw swych powrotu,
Jak rekrutowi¹.

Matka² laskawą, tuszę, że się stawi,
Dzielnością swoich rąk poblogosławi,
A że, gdy przybraną, — Będę miał wygraną,
Wiary obrońca.

Boć nie nowina Maryi puklerzem
Zastawiać Polskę, wojować z rycerzem,
Przybywać w osobie³, — Sukurs⁴ dawać tobie,
Miła Ojczyzno!

W polskich patronach niepłonne nadzieje:
Zelantów⁵ serce niechaj się nie chwieje,
Gdy ci⁶ przy swej pieczy — Miecze do odsieczy
Dadzą Polakom.

Niech nas nie ślepią światowe ponęty:
Dla Boga brońmy wiary Jego świętej.
A za naszą pracą — Będzie wszystką płacą
Żyć z Bogiem w niebie.

Utwór ten natchnął Słowackiego do wyśpiewania wspaniałej *Pieśni konfederatów*: «Nigdy z wrogami nie będziem w aljansach».

Szkoda, że, wśród czystych i szlachetnych uczuć, raz po raz słyhać w poezji konfederackiej przykre zgrzyty fanatycznej nienawiści ku dysydemtom, oraz brzydkie, a niezasłużone obelgi, miotane na Stanisława Augusta.

Im dalej w czas, tem częściej i silniej odzywa się w literaturze już nie sam rozum, ale i serce, np. w niektórych satyrach Naruszewicza i Krasickiego, w pieśniach religijno-patriotycznych Karpińskiego i Książnina, w paszkwilach Zablockiego, w poezjach Niemcewicza i w mowach, wygłoszonych na sejmie czteroletnim, w przepojonych miłością ojczyzny, krwią i łzami pisanych dziełach Staszica, w *Bardzie polskim* Czartoryskiego.

Ból patriotyczny na widok smutnej rzeczywistości: zepsucia obyczajów, zaniku ducha rycerskiego i niemocy politycznej, budzi w sercach poetów stanisławowskich tęsknotę do przeszłości narodowej, w której upatrywali te wszystkie cnoty i blaski, jakich nie widzieli około siebie. Z tego to źródła płynęły utwory, idealizujące przeszłość narodową, jak np. poemat Krasickiego *Wojna chocimska*, albo liryki Karpińskiego i Książnina. Ten tęskny zwrot do przeszłości narodowej, który będzie jedną z najwybitniejszych cech naszej poezji romantycznej XIX wieku, już za Stanisława Augusta zaznacza się bardzo wyraźnie, a jest owocem nie tylko samorzutnego rozwoju uczuć patriotycznych, ale także wpływu preromantyzmu europejskiego, zwłaszcza *Pieśni Ósjana*, które u nas czytowano w przekładzie francuskim; (przekłady polskie, dokonane zresztą także z tłumaczeń francuskich, pochodzą dopiero z końca XVIII wieku; tłumaczami byli: Krasiecki, Książnin i Tyminiecki).

¹ wiem, że, jako swemu rekrutowi, dodasz mi (Chryste) swej zbawiennej rady we wszystkich moich krokach wojennych, mających na celu powrót moich (szlacheckich) praw (które król rzekomo szlachcie odbiera). ² Matka Boska. ³ osobicie, widocznie. ⁴ pomoc. ⁵ człowiek żarliwie wierzący. ⁶ t. j. święci patronowie polscy.

Pod częściowym wpływem preromantyzmu europejskiego, zwłaszcza Rousseau'a, Younga i kilku ponniejszych liryków francuskich, a także odrodzonej poezji Kochanowskiego, dźwięczą w poezji stanisławowskiej inne jeszcze uczucia: chociaż znaczna większość jej utworów posiada, podobnie jak w klasycyzmie francuskim, charakter bezosobisty, są jednak poeci, którzy wypowiadają swoje własne uczucia: to miłości, to przyjaźni, to radości, to smutku i rozczarowania, i wogóle wtajemniczają czytelnika w swoje własne życie. Nie brak i takich utworów lirycznych, w których (jak Kochanowski w *Sobótce*, a Zimorowicz w *Roksolankach*) poeci wypowiadają uczucia cudze, zwłaszcza ludzi biednych i nieszczęśliwych. Wszystko to także już objawy preromantyzmu. Nie brak również czułych, albo raczej czułościowych sielanek, pisanych pod wpływem Gessnera, którego, podobnie jak Osjana (a także Younga), znano u nas z przekładów francuskich. Sielanki te są niby ludowe, bo występują w nich pasterze i pasterki; ale ludowość to fałszywa, jak w sielankach Gessnera i jego naśladowców francuskich. Jest jednak w poezji stanisławowskiej kilka utworów, odtwarzających życie ludu bez przymieszki czułościowości i nienaturalności, mniej więcej zgodnie z prawdą; trafiają się i pieśni, wzorowane na pieśniach ludowych. Wszystkie te pierwiastki preromantyczne są w porównaniu z klasycznymi jeszcze słabe, ale dosyć, że są, i świadczą o tem, że już za Stanisława Augusta literatura polska zaczęła wchłaniać w siebie nowe prądy, które zczasem, w pierwszej ćwierci XIX wieku, wzmagając się i rozwijając, odniosą zwycięstwo nad klasycznymi i przyczynią się do nowego i wspaniałego rozkwitu poezji.

Tak więc literatura stanisławowska, z jednej strony, odzyskując, dzięki nadewszystko literaturze francuskiej, mądrość i piękno, odkupiła winy, popelnione przez zdziczałą literaturę czasów saskich, i stała się potężną dźwignią odrodzenia duchowego narodu, a z drugiej, we wzmagającym się uczuciu patriotycznym i w kielkujących prądach preromantycznych, zawiera w sobie zarodki przyszłego rozwoju.

111. Ważną rolę w historii oświaty i literatury stanisławowskiej odegrały czasopisma. Pierwsze polskie pismo perjodyczne powstało jeszcze za Jana Kazimierza: w r. 1661 zaczął się ukazywać w Krakowie *Merkuryjusz¹ polski ordynaryjny, dzieje wszystkiego świata w sobie zawierający dla informacyi pospolitej*. Ale rozkwit czasopism przypada dopiero na panowanie Stanisława Augusta, kiedy to było ich ogółem w Polsce 90 (a z tych blisko 60 — w samej Warszawie). Oprócz politycznych, naukowych i in., wychodziły, za przykładem Anglii i Francji, t. zw. czasopisma moralne, których głównym celem było szerzenie w społeczeństwie cywilizacji wogóle i walka z ciemnotą. Na ich czele kroczył *Monitor²*, którego redaktorem był jezuita **Franciszek Bohomolec** z Białej Rusi (1720—1784), człowiek światły (kształcił się w Rzymie) i zacny, a jednocześnie bardzo wesoły, — on to jest autorem *Kurdesza*, dawniej znanej powszechnie, dziś prawie już zapomnianej piosenki przy kielichu:

Kaź przynieść wina, mój Grzegorzu miły,
Bodaj się troski nigdy nam nie śniły!

¹ Goniec. ² upominacz.

Niech i Anulka tu zasiędzie z nami!
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!¹

Skoro się przytknie ręka do butelki,
Znika natychmiast smutek z serca wszelki:
Wołajmyż tedy, dzwoniąc kieliszkami:
Kurdesz i t. d.

Nieźle to wino! Do ciebie, mój Grzelu:
Cieszymy się, póki możem, przyjacielu!
Niech stąd ustąpi nudna myśl z troskami!
Kurdesz i t. d.

Patrzcie, jak dzielny skutek tego wina:
Już się me serce weselić poczyna.
Pod stół kieliszki! pijmy szklenicami!
Kurdesz i t. d.

I ty, Anulko, połowico Grzela,
Bądź uczestniczką naszego wesela:
Pofolguj sobie i chciej wypić z nami!
Kurdesz i t. d.

Już po butelce: niech tu stanie flaszka!
Vivat ta cała kompanija nasza,
Vivat z Maciusiem i z przyjaciółami!
Kurdesz i t. d.

Maciuś jest partacz, pić nie lubi wina,
Myśli, że jemu złotem jest dziewczyna:
Dajmyż mu pokój, pijmy sobie sami!
Kurdesz i t. d.

Odnówmy przodków ślady wiekopomne,
Precz stąd szklenice, naczynie ułomne:
Po staroświecku pijmy puharami!
Kurdesz i t. d.

Już też to, Grzelu, przewyższasz nas wiekiem
I wiesz, że wino dla starych jest mlekiem;
Lyknij, a będziesz śpiewał z młodzikami:
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami

Jako nauczyciel szkoły jezuickiej w Warszawie, przekształcał w niej Bohomolec sposób nauczania — za przykładem Konarskiego; i on więc, dbały o czystość mowy rodzinnej wypowiedział walkę makaronizmom: jeszcze w roku 1752 wydał pisemko p. t. *De lingua polonica colloquium (Rozmowa o języku polskim)*; toczy się tutaj rozmowa pomiędzy zmartwychwstałymi Kochanowskiim i Twardowskim, jako przedstawicielami czystego języka i prostego stylu, a panem Makarońskim, który broni makaronizmów i przesadnej kwiecistości stylu; pierwsi odnoszą oczywiście zwycięstwo. Że ta praca Bohomolca nie szła na marne, o tem świadczą wypracowania jego uczniów (prozą i wierszem), poprawne pod względem językowym, a jednocześnie świadczące o rozumie i duchu obywatelskim nauczyciela, który zadawał uczniom takie tematy, jak np. «Handel nie uwłacza honorowi szlachcica».

¹ Kurdesz, a właściwie kierdasz albo kierdesz, — wyraz tatarski, znaczy tyle, co brat albo braterstwo; przenośnie: piosnka przy kielichu, a także: taniec.

Niektóre z tych wypracowań ogłosił Bohomolec drukiem: *Zabawki poetyckie niektórych kawalerów* i *Zabawki oratorskie niektórych kawalerów*. Pisywał też dla swoich wychowanków podręczniki szkolne, dla nich także wydawał *Rozrywki ucieszne i dowcipne*, zawierające w sobie różne anegdoty historyczne i wierszyki.

Lecz był Bohomolec nauczycielem nie tylko młodzieży, ale i dorosłych: dla nich to, nie dla dzieci, wydał *Rymy wszystkie* Kochanowskiego, oraz pisma dawnych historyków polskich: kronikę polską Marcina Bielskiego (przerobioną i uzupełnioną przez jego syna, Joachima), kronikę Kromera (w przekładzie Błażowskiego), kronikę Strykowskię i kilka jeszcze innych dzieł historycznych.

Największą jednak zasługą Bohomolca, jako wydawcy i redaktora, jest *Monitor*. Pismo to, którego współpracownikami byli najznakomitsi pisarze XVIII wieku (np. Konarski i Krasicki), przez całe dwadzieścia lat (1765—1784) krzewiło oświatę w duchu umiarkowanego postępu; przyświecało mu w tej pracy obywatelskiej piękne hasło: «Jeżeli umrzeć za ojczyznę rzecz słodka, cóż pożądanszego być może, jak żyć dla niej?» Z jednej strony stał *Monitor* na straży religji, moralności, rozumnego poszanowania przeszłości; ale z drugiej ganił lub ośmieszał wszystko, cokolwiek w przeszłości było złego, a więc prywatę, wyłączność szlachecką, ucisk chłopów, przesady i zabobony, wstręt do poważnych ksiązek i wogóle — ciemnotę. Równie rozumne stanowisko zajął *Monitor* względem nowych prądów: z jednej strony namawiał do podjęcia reform politycznych i społecznych, upominał się o prawa dla mieszczan i ludu i wogóle walczył o prawa człowieka; zachęcał do nauki, streszczał francuskie książki pedagogiczne (np. znakomite dzieło Rousseau'a p. t. *Emil czyli o wychowaniu*), aby nauczyć, jak wychowywać dzieci, wykladał zasady sztuki: słowem, krzewił oświatę; ale, z drugiej strony, karcił zepsucie obyczajów i bezmyślne malpowanie francuszczyzny, ośmieszał złotą młodzież, fircyków i karciarzy, blagierów, mędrków i niedowiarków, próżniaków i darmozjadów; nie darował i kobietom, zwłaszcza «żonom modnym», wyszydając ich wstręt do pracy, zamiłowanie do zabaw, strojów i plotek, przewracanie oczami i t. d. Nie przeoczył *Monitor* ani jednej potrzeby społeczeństwa polskiego, nie pominął ani jednej wady: słowem, odegrał niezmiernie doniosłą rolę w cywilizowaniu narodu. O wszystkim zaś pisał to poważnie, to żartobliwie, a zawsze przystępnie i powabnie, posługując się to rozprawką popularną, to satyrą, to powiastką, to czymś niby dziennikiem, to listem, nibyto nadesłanym do redakcji, to opisem zmysłowej podróży cudzoziemca po Polsce i t. d. Treść i pomysły artykułów czerpał *Monitor* głównie ze słynnego tygodnika angielskiego *The Spectator*¹ (1711—1712) w przekładzie francuskim, dostrajając jednak wszystko do stosunków i obyczajów polskich. Te artykuły, pisane stylem lekkim, to pierwsze feljetyony polskie; ich autorów po większej części nie znamy.

*** Z Monitora na R. P. 1765. Nro XVI.** Zaproszony na obiad do dobrego przyjaciela, zastaje dom cały w zamieszaniu; pytam się o przyczynę, powiadają mi do ucha: «Śniło się Jejmości, że jej ząb wypadł. Ledwom się z śmiechu strzymał na taką powieść, nie chcąc jednak rozgniewać gospodarstwo, jakim mógł, takem się ułożył, żebym się pokazał uczestnikiem frasunku po-

¹ po polsku: dostrzegacz.

wszechnego. Wchodzi Jejmość; jak mnie tylko obaczyła w czarnej sukni, w krzyk zawoła: «Wszakem mówiła, że nas jakie nieszczęście czeka». Sia dany do stołu, zaczyna gospodarz, że w poniedziałek syna do szkół odwie dzie. «Ach! uchwaj Boże! — odezwie się sama — czyżec zapomniał, mężu, że to dzień Młodziankowy?» Siedzę jak na szpilkach z móją czarną suknią; proszą mnie o podanie potrawy, porwałem się prędko i wywróciłem sol niczkę. Jęknęła na to Jejmość, już ledwie przy zmysłach zostając, do męża rzecze: «Pamiętasz, moje serce, tak dwa roki, w wigiliją ś. Bartłomieja nasz sąsiad także był rozsypał, tego samego dnia odebraliśmy wiadomość, że szarańcza na Podolu, a potem we dwie niedziele gumno zapalił piorun. Nie boszczyk nasz stryj na dwa dni właśnie przed śmiercią solniczkę wywrócił: jam zaraz mówiła, że umrze, i tak się stało. Panie, uchwaj nas od tego, ale wszystko mi się widzi, że będziemy płakać niezadługo». Wśród tak fatal nych proroctw ledwom wysiedział, ile że miarkowałem, że Jej Mość na mnie patrzyła krzywem okiem, a Jegomość, dogadzając Jejmości, zaczynał się krzywić; wymknąłem się bez pożegnania z tak fatalnego domu, pełen polito wania nad słabością umysłu żony i szkodliwym męża pobleżaniem. (A u t o r — B o h o m o l e c).★

***Z Monitora na R. P. 1765. Nro LIX.¹ Opisanie Polski przez Chińczyka** ...Nie przestają Polacy na tem, co się w kraju znajduje i co ziemia przynosi, ale kto między nimi chce uchodzić za uczonego, zarzuca swój ojczysty język, a belkocze coś językiem obcym. Ze sami działkom swym dobrego wychowa nia dać nie umieją, albo nie chcą, posyłają je z wielkim kosztem do Paryża, skąd wielu i z ciężką chorobą, i z nadruszoną powraca głową. Im zaciejszy kto jest między nimi, tem bardziej mu potrawy nie smakują, kiedy od ku charza Francuza nie są zgotowane. Niewiasty zaś rozumieją, iż przystojnie ubrane być nie mogą, jeśli wzoru strojów z Paryża nie sprowadzą. Okła dają twarz niejakiemiś plastrami¹, a za znaczne pieniądze jakieś białe pa jęczyny zdaleka sprowadzają, które koronkami zowią. To przedziwo i jakieś cudzoziemskie kamyczki, które krom blasku nic osobliwszego nie mają, za największą białychgłów ozdobę za mego bycia uznane były. Czasem postrze gałem niektóre śród zimy z odkrytymi piersiami, a ręce w jakimśi pokrowcu futrzanym trzymające. Które z nich chcą się wdzięczyć, ściskają się tak mocno w stanie, że prawie jak wpół przecięte robaki wyglądają, do tego zaś zaży wają jakiegoś narzędzia, zdrowiu, mojem zdaniem, wielce szkodliwego, który sznurówką zowią... (A u t o r n i e z n a n y).★

***Z Monitora na R. P. 1767. Nro V. Tydzień modnego kawalera...** W t o r e k. Podług zwyczaju wstałem o godzinie dziewiątej. O dziesiątej golilem się, a potem fryzowałem się aż do jedenastej. O jedenastej wzięłem mun dur na siebie, chustkę uperfumowałem i pojechałem na kawę do mojej przy jaciółki Imć Pani B. NB. Mleko nie było dobre. Stamtąd o dwunastej po jechałem do dworu. O godzinie drugiej jadłem obiad bardzo dobry u Imć Pana N. NB. Żeby można mu kucharza odmówić! Po obiedzie, jakeśmy usiedli, to aż do północy w karty graliśmy. NB. Przegrałem czerwonych złotych 15. Trzeba będzie odegrać. O północy poszedłem do domu, hajdukowi² dałem w pysk, bo byłem złego humoru po przegranej, a potem spać poszedłem...

¹ muszki. ² służący, po węgiersku ubrany.

S o b o t a. Wstałem o godzinie dziewiątej, herbatę piłem, od dziesiątej do jedenastej fryzowałem się i ubierałem się. Od jedenastej aż do pierwszej stałem w oknie i patrzyłem się na jadących przez ulicę ludzi. *NB.* Trzeba się dowiedzieć, jak się ta osoba nazywa, która, przechodząc ulicą, spojrziała na mnie. O pierwszej pojechałem na obiad do pewnego pana. Stamtąd o czwartej nawiedziłem przyjaciela i aż do północy w karty grałem. Potem powróciłem do domu. *NB.* Wygrałem 2 czerwone złote. (A u t o r n i e z n a n y). ★

★ **Z Monitora na R. P. 1767. Nro XXXVI.** *Diaryjusz damy...* P o n i e d z i a ł e k. O godzinie ósmej ocknęłam się. Leżąc w łóżku, wypilałam kawę trzy filiżanki i znowum szczęśliwie usnęłam... Nawiedził mnie potem przy gotowaniu¹ Imć Pan Modnicki i bawił u mnie aż do godziny jedenastej; szkoda, że żonaty! Kończyłam potem ubieranie moje. *NB.* Postrzegłam, że kolor niebieski lepiej mi przystoi, niż inne. Wpół do dwunastej przyjechał podług umowy wczorajszej pan Gachowski, z którym jeździłam do Ujazdowa na spacer. Powróciwszy, jadłam u siebie. *NB.* Imć Pan Fadon, Francuz, przechodził koło moich okien, był gustownie ufryzowany. O godzinie piątej pojechałam z wizytą do Imć Pani Staruszkiewiczowej. Nie mogłam znieść jej wykwintów², ale, że była tam piękna kompanija, bawiłam się aż do ósmej. Powróciłam do domu. Wieczera. Grałam w karty do północy. Udawszy się potem do spoczynku, nie mogłam zasnąć. Wykwinty Staruszkiewiczowej wprawiły mnie w zły humor. Sfułałam Lizetkę... C z w a r t e k. Od dziesiątej do jedenastej przesadzałam muszkę z miejsca na miejsce; nakoniec determinowałam się³ przylepić ją nad lewem okiem. Przypominałam sobie sen dzisiejszy, w którym zdało mi się, jakoby Imć Pan Fadon klęczał przede mną. Od jedenastej do pierwszej ubierałam się. Trzy razy insze suknie brałam na siebie. *NB.* Niebieski kolor nie bardzo mi służy, trzeba wyrozumieć z Imć Pana Fadona, który kolor on lubi. Po obiedzie Imć pani Zacniewska wzięła mnie z sobą na operę. Imć Pan Fadon na początku drugiego aktu przyszedł do mnie, nakoncu prowadził mnie do karety: zdawało mi się, iż mię ścisnął za rękę. Powróciwszy do siebie, zwyczajnie miałam zabawy. Układłam się wcześniej, ale miałam sen straszny, jakoby Imć Pan Fadon mocno akkomodował się Staruszkiewiczowej⁴. (A u t o r n i e z n a n y). ★

★ **Z Monitora na R. P. 1768. Nro XVIII.** Wiedząc, iż niniejszych czasów najchętniej nowiny czytają, postanowiłem dla przysługi moich czytelników donosić im niektóre ciekawości. Zaczynam.

Z Warszawy. Niedawnemi czasy hajduk jakiegoś pana, stargowawszy u chłopca furę siana za zł. 10 i złożywszy je w wozowni, nie zapłacił więcej, jak tylko zł. 8. Chłop dopomina się reszty z pokorą, upewnia go, iż to siano było pańskie, a zatem musiałby mu (t. j. panu) swojemi pieniędzmi tę resztę dołożyć; hajduk nie uważa nic na to: wypycha chłopca z wózkiem próżnym na ulicę. Chłop biedny nie przestaje dopraszać się swego; hajduk każe mu milczeć i kijem grozi. Zbiegło się pospólstwo na ten hałas i słucha owego chłopka, ze łzami krzywdę swoją przekładającego. Nie podobało się to imci panu hajdukowi, ile gdy widział, że lud chłopca stronę utrzymywał, przetoż, sądząc przez to swój honor obrażony, zbił mocno kijem swego nieprzyja-

¹ przy tualecie (przy czesaniu się i fryzowaniu). ² pańskie tony. ³ zdecydować się. ⁴ unizgać się do...

ciela i z triumfem zszedł z placu. Wszyscy ludzie są tego rozumienia, iż się to stało bez woli pańskiej, jeśli ów pan miał cokolwiek sprawiedliwości nad swego hajduka. Jakoż to pewna rzecz, że pan nie musi o tem wiedzieć, ponieważ się to stało o godzinie dziewiątej, o której on jeszcze łóżkiem zwykł się bawić.

Jejmość pani Pieścicka ciężko na zdrowiu zapadła. Przyczyną jej choroby była śmierć niespodziana Szarmentki, która pomienionej pani największą w całym jej dworze była faworytką: z nią jadała, z nią kawę piła, z nią sypiała, z nią wizyty oddawała, z nią i na nabożeństwo do kościoła jeździła. Już drugi raz tej pani krew puszczono, a poprawy zdrowia nie widać. Pomieniona Szarmentka była rodem z Bononii, żyła lat 9, wzrostu była małego, maści białej, ale na jednym uszku czarność się przebijała; umiała służyć, tańcować, warować i szczekać. Powiadają, iż przyczyną jej śmierci była służąca, która ją śpiącą nagle obudziła; za tę nieostrożność pomieniona służąca dobrze jest skarana i odprawiona.

Podaje się do wiadomości, iż za bardzo mierną cenę, to jest za czerw. zł. 200, znajduje się do przedania papuga bardzo piękna, która umie kilka naście słów po francusku; koby ją chciał nabyć, niech się uda do kamienicy niedaleko szpitala, w którym jest 12 ubogich, nie mających więcej na dzień na wyżywienie całego zgromadzenia, jak złotych dwa. (A u t o r — B o h o m o l e c.

112. Niemale także zasługi położył Bohomolec około poezji dramatycznej. Jeszcze za czasów saskich pisywał komedje dla teatru szkolnego: grali je uczniowie warszawskiej szkoły jezuickiej w obecności zaproszonych gości. Wyszły te *Komedyje* szkolne w pięciu tomach (1755—1760), a jest ich razem dwadzieścia pięć. Prawie wszystkie ich intrygi i wogóle pomysły są zapożyczone: potrosze z komedji rzymskiej, potrosze — z włoskiej, ale głównie — z francuskiej, zwłaszcza z komedji Moljera i jego licznych uczniów. Zapożyczone jednak pomysły opracowywał Bohomolec wcale samodzielnie, do czego zresztą zmuszały go wymaganja szkolne: reguła szkół jezuickich usuwała z komedyj szkolnych role kobiece; trzeba było więc z tych komedyj, z których się czerpało pomysły, pomijać te role i, co zatem idzie, wprowadzać zmiany do samej instrygi, bo przecie intrygą ogromnej większości komedyj była (i dotychczas jest) miłość. I oto biedny Bohomolec, jak sam wyznaje, musiał «łatać i kleić», żeby «i komedyi sztukę zachować, i płci niewieściej do niej nie przypuścić»; wołał «ustąpić wszystkich tych powabów i ozdób, których inni od słabszej płci pożyczają, niż młódz polską, do męskich i rycerskich dzieł urodzoną, w niewieście zmlodu wprawiać obyczaje i do tego przyczucać, do czego ich wiek jeszcze daleki być powinien».

Więc np. w jednej komedji Bohomolca młodzieniec spotyka się nie z ukochaną panienką (jak w komedji francuskiej, z której pochodzi pomysł), tylko... ze starym stryjem; a w innej komedji jest zamiast panienki... pies (choć «młódz polska, do męskich i rycerskich dzieł urodzona», kto wie, czy z dwójga złego nie wolałaby panienki).

Rozumie się, że komedje szkolne Bohomolca mają tendencję moralną: «Koniec komedyj i cel właściwy jest, na śmiech podając, poprawiać złe obyczaje», mówi autor; to znaczy, że środkiem do urzeczywistnienia głównego celu, poprawy obyczajów, jest w komedjach szkolnych Bohomolca satyra. Niektóre z nich ośmieszają wady powszechnie (np. kłamstwo, samo

chwałstwo, marnotrawstwo, upór, zarozumiałość), niektóre — wady polskie, przyczem głównie nastaje Bohomolec nie na wady staroświeckie, tylko na nowoczesne. Z wad starych ośmieszają tylko makaronizmy i napszystość stylu, z nowych natomiast — wolnomyślność religijną, mędrkowanie w rzeczach wiary, lekceważenie praktyk religijnych, karciarstwo, stroje, niewolnicze posłuszeństwo modzie, manję pojedynków, oraz cudzoziemszczyznę, mianowicie bezmyślne małpowanie wszystkiego, co francuskie.

Pomimo bardzo małej wartości artystycznej, komedje szkolne Bohomolca (wcześniejsze od komedyj Rzewuskiego) zajmują ważne stanowisko w historii dramatu i teatru polskiego, a to jako pierwsze polskie komedje satyryczne, z których niejednokrotnie korzystali komedjopisarze późniejsi, a przedewszystkiem sam Bohomolec — w komedjach, przeznaczonych już nie dla szkoły, tylko «na theatrum Jego Królewskiej Mości wypracowanych» (1766—1781).

113. Tych komedyj jest dwanaście; dwie są wolnymi przekładami komedyj francuskich, dziesięć jest oryginalnych, ale wzorowanych także na komedjach francuskich — Moljera i jego uczniów: trzy jedności zachowane ściśle; akcja polega na tem, że dwojgu zakochanym staje na drodze do szczęścia ta lub owa wyolbrzymiona, czasem nawet wpadająca w karykaturę wada moralna lub umysłowa głównego bohatera komedji; ta wada jest głównym przedmiotem satyry. Bo i te komedje są satyryczne, i one mają na celu naukę moralną (o której się Moljerowi nawet nie śniło): «Ten jest — mówi Bohomolec — jedyny cel komedji, aby, żartując z tego, co jest naganne, odrażało drugich od tego umysły». Chciał zaś autor odrażać umysły polskie nietyle, jak w komedjach szkolnych, od wad nowych — od wolnomyślności religijnej i rozluźnienia obyczajów, ile od wad staroświeckich, nieodłącznych od ciemnoty, której cała wogóle literatura stanisławowska wypowiedziała walkę. Komedje Bohomolca są jakby pierwszym aktem tej walki, i na tem polega ich ważne znaczenie w literaturze XVIII wieku, tem ważniejsze, że, jako utwory dramatyczne, wykazują, w porównaniu z komedjami szkolnemi, niewątpliwy postęp: akcja wprawdzie jest jeszcze uboga, ale znacznie bogatsza, bardziej zajmująca i naturalniejsza, niż w komedjach szkolnych, a to dzięki temu, że, pisząc dla teatru publicznego, nie potrzebował już Bohomolec pomijać ról kobiecych i wysilać się na sztuczne w swej nadmiernej naiwności intrygi. Nie można mu odmówić i pewnego talentu komicznego: główne postaci jego komedyj są prawdziwie śmieszne, a przynajmniej były śmieszne dla ówczesnej publiczności.

Oto np. komedja *Czary* (1775). Rzecz dzieje się we wsi Raugieliszki, naprawdę istniejącej (w powiecie wilkomierskim). Konstancja, córka państwa Dziwomirów, radaby oddać rękę Lubisławowi; cóż, kiedy rodzice każą jej zaręczyć się, i to natychmiast, z nienawistnym jej panem Drągajłą. Sytuację ratuje (jak w komedjach francuskich) sprytna służąca. Nastka: oznajmia panu Drągajle, który okropnie boi się czarów, że Konstancja jest czarownicą. Pan Drągajło wierzy tem łatwiej, że sam zauważył, iż panna «wtenczas, kiedy ją szcawką napadła, miała jakieś dziwne spojrzenie i z takiemi wyszła grymasami, jakby... była opanowana». Kończy się na tem, że Drągajło ucieka, a Konstancja zaręcza się z Lubisławem, który, przebrany za guwernera, zaraz na początku komedji przyjeżdża do Raugieliszek. Główną postacią *Czarów* jest Drągajło, zacofany hreczkosiej, wściekający się na War-

szawę, że już nie wierzy w czary: «Mówić tam co o upiorkach, o czarach, to się śmieją, a sami publicznie czarują... Sam na swoje oczy widziałem, jako głowa Cycerona bez ciała gadała, jako djabełki małe tańczą, jako gołąbek z głową uciętą ożył i latał, jako koń liczby składał, jako kwiatki, na rękę posiane, zaraz wschodziły i rosły. A najbardziej jeden — chodził od domu do domu z banią szklaną, w której miał złego zakłętego — co też ten wyrabiał! ktokolwiek jego drutu dotknął się, to palcem swoim wódkę zapalał... ale kto wylczy wszystkie jego czary? Żegnałem, zaklinałem, ale tak mocne były, że nic nie wskórał!» Widział także pan Drągajło akrobatę w Warszawie, który «musiał... zapewne mieć złego w sobie: jak wypadnie z kąta, jak polecą w górę, jak wpadnie na drabinę, z drabiny na ziemię, potem wleciał na górę, z góry na dół; jam rozumiał, że on sobie kark albo nogę przynajmniej złamie, — jako żywo, nie! musi to być jeden z tych czarowników, co na Łysą Górę latają». W majątku swym kazał kiedyś pan Drągajło utopić babę, że to «miała z złym duchem konszachty; sąsiedzi, którzy się z nią kłócili, dociekli, iż u niej, z przeproszeniem, djabeł bywa w nocy, bo, *inter nos dicendo*¹, bywają djabli *incubi et succubi*². Ja, chcąc doświadczyć, czy to prawda, puściłem ją na wodę; patrzę, aż ona nie chce tonąć. Czy tak, dobroduszko? poczekajże! Djabeł się boi kamienia, przywiążcie jej kamień do szyi! Jak to uczyniono, aż moja babuleńka na dno i tam dotychczas odpoczywa».

Najlepsza komedja Bohomolca ma tytuł: *Małżeństwo z kalendarza* (1766). Główną postacią jest szlachcic Staruszkiewicz, który swój rozum zawdzięcza głównie jakiemuś staremu kalendarzowi i odwiecznemu sennikowi; za ludzi poczytuje tylko szlachtę, i to polską szlachtę, bo cudzoziemiec, jego zdaniem, nie może być prawdziwym szlachcicem. Wogóle nie cierpi Staruszkiewicz cudzoziemców i piorunuje na nich, że Polskę gubią i oglupiają: dosyć powiedzieć, że «snom już wierzyć nie chcą!» Napróżno pani Bywalska, siostra Staruszkiewicza, przekłada mu, że Polska dużo zawdzięcza cudzoziemcom: polar towarzyski, lepszą uprawę roli, przemysł, sztukę rycerską, a nawet wiarę katolicką, bo przecie święty Wojciech był cudzoziemcem. Kłamstwo, odpowiada Staruszkiewicz: cudzoziemiec, jak nie może być szlachcicem, tak nie może być i świętym; a zresztą Niemiec nie może być katolikiem: «inna jest wiara katolicka, inna niemiecka». Wobec takich poglądów, Staruszkiewicz nie chce ani słyszeć o małżeństwie swej córki Elizy z nobilitowanym cudzoziemcem, Ernestem, i pragnie ją wydać za Marnotrawskiego, który jest wprawdzie głupi, jak but, ale zato Polak i szlachcic. — i to natychmiast: «Patrz — mówi do córki — co o dniu dzisiejszym kalendarz pisze: dziś dobrze jest brać ślub, kto chce mieć małżeństwo pomyślne i dzieci piękne: widzisz, drugiego dnia w całym kalendarzu nie znajdziesz!» W tem postanowieniu umacnia go jeszcze sen: «Śniło mi się, jakoby jedna moja owieczka wybiegła z owczarni; jak wybiegła, tak chodzi sobie i buja po pięknej łące; wtem dwóch wilków do niej się zbliża, jeden dobry, a drugi zły, bo i między wilkami nie każdy zły bywa. Z tych jeden wilk, który był zły, pomknie się do owieczki owej i chwycił ją za kark. Owieczka biedna nic nie mówi. Wtem przypada do niej wilk dobry, odbiera owieczkę złemu wilkowi i dalej z nią w nogi!... Owa owieczka ty jesteś, Elizo, która z domu mojego, jak z owczarni, oddaliwszy się, bujałaś sobie po Warszawie. Skradało się do ciebie dwóch kawalerów, niby wilków: Ernest i ImćPan Marnotrawski; Ernest

¹ mówiąc między nami. ² djably wszeteczne i nierządne.

jest to zły wilk, który już ciebie prawie był pochwylił, bo cię ciotka twoja już mu była obiecała; wtem przypada dobry wilk, to jest ImćPan Marnotrawski, i odbiera cię Ernestowi». A dlaczegoż to złym wilkiem jest Ernest? Bo cudzoziemiec, a to złe najgorsze! Dopiero, gdy się okazuje, że Marnotrawski to hultaj skończony, wyrozumiał Staruszkiewicz, że jednak dobrym wilkiem jest Ernest, i oddaje mu uszczęśliwioną córkę za wilczycę.

Lecz nie poprzestaje Bohomolec w *Małżeństwie z kalendarza* na ośmieszeniu przesądów szlacheckich względem nobilitowanych cudzoziemców: jest w tej komedji inna jeszcze tendencja. Oto Agatka, służąca Elizy, pragnie wyjść za Johana, służącego Ernesta. I na to jednak nie chce zezwolić Staruszkiewicz, przeznaczając dziewczynę dla zubożalego szlachcica Chudeckiego, który jest masztalierzem (to jest starszym stajennym) u Marnotrawskiego. Kiedy Agatka przekłada Staruszkiewiczowi, że przecie i Johan nie chłop, pan na to: «Jakże, to on szlachcic?» — «Ani chłop, ani szlachcic: może być co średniego». — «Cóż to takiego średniego?» — «Mieszczanie, lud uczciwy, którzy nie są wprawdzie szlachtą, ale też nie są i chłopami». Tego jednak twardego łeb Staruszkiewicza ani w ząb nie może zrozumieć, dla niego bowiem istnieją na bożym świecie tylko dwie kategorie ludzi: szlachta polska i nieszlachta, do której należą wszyscy chłopci, wszyscy mieszczanie i wszyscy cudzoziemcy. Słusznie mówi Agatka o Staruszkiewiczzu: «U nich kto nie szlachcic, to gorszy od psa, jakby to nie było ludzi uczciwych i w naszym stanie». W żadnej innej komedji Bohomoleca satyra na ciemnotę szlachty nie jest tak wyraźna i ostra, jak w *Małżeństwie z kalendarza*. Miał też autor za swoje: po przedstawieniu tej komedji na scenie warszawskiej pomówiono go, nie mniej ni więcej, tylko o zelzenie honoru narodowego i oszczerstwo...

Ale to go nie zniechęciło: w rok później ujął się za chłopami — w komedji *Pan Dobry* (1767), w której poucza, że «nie może chłop panu sprzyjać, jeśli go pan skrzywdzi», że «niesprawiedliwość panów jest matką tej nienawiści, którą poddani ku nim miewają». Oto pan Halaśnicki, «człowiek na utrapienie drugich urodzony», jest tyranem dla służby i chłopów: «ustawiczne hałasy, łajania, przekleństwa, bicie, mordowanie»; tymczasem pan Dobrotliwski jest dla chłopów «więcej, niż ojcem», «w smutku cieszy, w potrzebie ratuje, w chorobie nawiedza i wszelkie każe czynić wygody»; to też Halaśnickiego chłopci nienawidzą, Dobrotliwskiego ubóstwiają i, kiedy się syn jego żeni, składają się dla państwa młodych na podarunek; przynoszą go w imieniu całej gromady Wawrek i Maciek, który tak do pana przemawia: «Stach, sąsiad mój, powróciwszy z Warszawy, powiedział nam, że pan starosta, syn Wpana, ma się zenić; skoro to gruchnęło po wsi nasej taka radość... powstała, żeśmy i o robocie, i o sobie samych zapomnieli; B a r t o s n a s stary, to widząc, zawołał «Ej, dziatki, uczynimy s k ł a d a n k ę na wesele n a s e g o p a n i c a!» A Wawrek, ujrzawszy pannę młodą, woła: «Przysiągśy ładna, kieby owo lilija!» A tak wyprowadza Bohomolec na scenę lud wiejski — Mazurów i każe im przemawiać ich własnym, ludowym językiem.

Jedna jeszcze komedja Bohomolca zasługuje na uwagę — *Wdowa* (1768), a to z dwóch względów. Po pierwsze, jest tutaj, po raz pierwszy w literaturze polskiej, tak ulubiony później, w XIX wieku, typ starego i wiernego sługi; a po drugie, jest wdzięczny pomysł, który się wkrótce ukaże w *Sarmatyzmie* Zabłockiego i w *Powrocie posła* Niemcewicza, a który w wieku XIX będzie niezmiernie popularny, zarówno w poezji, jak w powieści (np. w *Panu*

Tadeuszu Mickiewicza i w *Listopadzie* Rzewuskiego). W komedji Bohomolca pomysł ten jest dopiero w zarodku, ale jest: przedstawicielem pokolenia starszego jest pan Rzetelnicki, stary sługa młodej wdowy, pani Umizgalskiej, który z jej ojcem chodził do szkół, szlachcic-konserwatysta, uparty, ale rozsądny i uczciwy; przedstawicielami pokolenia młodszego są: pani Umizgalska, gaska, myśląca nadewszystko o strojach, wyszukiwana przez panią Modnicką, która ją oszukuje na różu i modnych «rubanach» (t. j. wstążkach), i pan Wszędobyłski, modny kawaler warszawski, karciarz, siedzący po same uszy w długach, bezczelny, a głupi blagier, plotący kosałki-opałki w tym np. rodzaju, że, służąc w wojsku francuskim, bombardował miasto Archipelag, albo że był kiedyś w pewnym kraju lodowatym, w którym «ludzie od mrozu prawie kościeją, i, jak kto stał, tak zmarzły stoi, a u każdego sople lodu od nosa aż do ziemi wiszą; jeśli kto z przypadku któremu z nich ten sople utraci, ten zaraz pada i umiera, a drudzy na wiosnę, gdy się ciepło zaczyna, przychodzą do dawnego stanu».

114. Oprócz *Monitora*, wychodziło za Stanisława Augusta inne jeszcze «czasopismo moralne»: *Zabawy przyjemne i pożyteczne* (1770—1777). I ono także krzewiło ideje oświecenia w duchu umiarkowanego postępu, i ono walczyło zarówno ze starodawną ciemnotą, jak z nowoczesną wolnomyślnością religijną i upadkiem obyczajów. Nadewszystko jednak miało to czasopismo charakter literacki: drukowało poezję i wogóle utwory beletrystyczne w duchu francuskim, przez co przyczyniło się niemało do odrodzenia piękna w literaturze. Nie unikało także polityki o tyle, że nawoływało do posłuszeństwa królowi i okadzało go przesadnymi często pochwałami. Kadziła te palił najgorliwiej sam redaktor, jezuita, **Adam Naruszewicz** (1733—1796), rodem z Pińska, biskup smoleński, autor *Historji narodu polskiego*.

Pochodził ze znakomitego, lecz zubożalego rodu; party ambicją, mając, jak sam mówi, «wrodzoną miłość sławy», pragnął ród swój podźwignąć i uświetnić. Okoliczności mu sprzyjały; po ukończeniu studjów zagranicą, po zwiedzeniu Francji, Włoch i Niemiec, osiadł w Warszawie i tutaj pozyskał sobie nietylko względy i uznanie, ale i przyjaźń króla, z którego ręki niejedno dobrodzieństwo i niejeden zaszczyt spłynął na «kochanego Narucha». Ale, oprócz ambicji «podobania się kochającemu i krzewiącemu nauki panu», do którego się naprawdę szczerze przywiązał, miał inną jeszcze, prawdziwie piękną: oto, będąc gorącym patriotą i jedynie zbawienie dla ojczyzny widząc w zerwaniu z anarchją, złotą wolnością, fanatyzmem i ciemnotą, pragnął otwierać oczy rodakom na te wszystkie grzechy i wogóle pracować dla kraju. Jakoż przez całe swoje życie pracował tak usilnie, jak mało kto za jego czasów; nie był to bowiem, jak słusznie sam sobie świadczy, «tego gatunku człowiek, żeby, ujawszy się raz oburącz pluga, folgować sobie umiał». I miał zupełne prawo mówić o sobie: «Nie zna spoczynków miękkih duch szlachetny, — chciwy niezwydłej sławy przed narodem, — i, choć otrzyma w darze wieniec świetny, — śpieszy po nowy nieścigłym zawodem, — ani ociekłej z potu otrze skroni, — aż go w tym biegu chyba śmierć dogoni».

Ta wręcz nadzwyczajna (zwłaszcza w Polsce) pracowitość Naruszewicza, szlachetna ambicja i szczerzy, gorący, a rozumny patriotyzm, to trzy najpiękniejsze cechy jego charakteru; ale nie wyczerpują jeszcze jego całej zasługi: niedarmo nazywał go król *advocatus miserorum* (obrońcą biednych), albowiem był to człowiek bardzo miłosierny, wspierający ubogich to z własnej

niebogatej kieszeni, to z bogatej (dzięki zaciąganym długom) szkatuły królewskiej, do której gorliwie i skutecznie pukał, ilekroć pragnął kogoś wesprzeć, a własna kieszeń była pusta. Szturmował zresztą do hojności i rozrzutności królewskiej wtedy także, kiedy mu brakowało pieniędzy na własne wydatki, na własne wesołe życie. Katonem bowiem, a cóż dopiero czystym Józefem, nie był biskup smoleński: nie odznaczał się ani surowością, ani nawet nadmierną czystością obyczajów, nie będąc zresztą pod tym względem ani lepszym, ani gorszym od ogromnej większości owoczesnych dostojników kościelnych. A i język miewał często zbyt swawolny: komponował dla uciechy «dobrych towarzyszków», mało przystojne, albo raczej, nazywając rzecz po imieniu, plugawe wiersze (jak prawie wszyscy pisarze stanisławowscy, nie wyłączając duchownych). Czasem pozwalał sobie nawet, przy całej swojej prawowierności i szczerzej religijności, na drwiny z niektórych praktyk i obyczajów kościelnych, np. z odpustów, a na wolnomyślność religijną pomstował tak wesoło, jakgdyby się raczej cieszył, że dzięki niej znikają niektóre objawy dawnej pobożności, np.: «Bodaj w bezdennem piekle na wieki osiedli — i wrzącą smołę pili, i padalce jedli — farmazoni¹, janseniści, — nieprzyjaciele wiary i cnoty nieczyści... Ich ci to beczoną sprawą — leżą zdeplane świętości pod ławą: — paski, szkaplerze, jako rzeczy bałamutne; — ustali biczownicy i kapy pokutne, — niemasz świąt, jako żywo, — gdzie pobożny katolik łykał dobre piwo, — nic w domu nie robił, — a nieraz się ku chwale bożej w karczynie pobiał. — Owo zgoła wiara upadła — i tak złość serca osiadła, — że, gdybyś wszystkie mnichy spędził na szarwarek², — gdyby i ksiądz Meter, i ksiądz Marek, — i ksiądz Enoch kazanie prawil wpośród rynku, — możeby jedna baba różańcowa w szynku, — albo szewc w grzeszne piersi się uderzył — i w gorące piekło uwierzył».

Lecz takiego rodzaju wierszyki były tylko rzadkimi wybrykami dobrego humoru Naruszewicza, tem rzadszemi, że w gruncie rzeczy był to człowiek raczej smutny, niż wesoły, a nawet zgryźliwy i mrukliwy, jak niedźwiedź litewski (a i niezgrabny, jak niedźwiedź, z czego się też ludzie śmieli). Głównym zaś przedmiotem jego smutków były nieszczęścia ojczyzny, które wtrąciły go pod koniec życia w czarną melancholję i w grób.

Wogóle był Naruszewicz człowiekiem niemałej wartości moralnej, nie mówiąc już o tem, że należał do najwyższtańców i najmędrszych ludzi swego czasu. Znał i kochał literaturę starożytną, znał także myślicieli francuskich; Wolterowi i Rousseau'owi zawdzięczał wiele, ale nie przejął się ślepo wszystkimi ich myślami, starając się pilnie (choć nie zawsze szczęśliwie) zachować, zgodnie ze swem rozważnym, spokojnem usposobieniem i ze swoim przywiązaniem do tradycji, «złoty środek» pomiędzy postępem a konserwatyzmem.

115. Działalność literacką rozpoczął Naruszewicz od poezji, chociaż nie urodził się poetą, jak Kochanowski albo Krasicki: on się poetą raczej stał. W szkole jezuickiej uczył poetyki, obowiązkami zaś profesora tego przedmiotu było nie tylko wykładać teorię poezji, ale i samemu pisać wiersze, żeby dać dobry przykład uczniom. I oto Naruszewicz zaczął je smażyć, a kiedy raz zaczął, to smażył je dalej... w pocie czoła, do czego się, biedak, sam później przyznał królowi: «Lecz wiek na czole piąty krzyżyk pisze, — Febowe

¹ t. j. wolnomularze czyli masoni. ² pańszczyzna, przymusowa praca.

dziewki nie chcą bawić ze mną, — długo się człowiek głową nakołysze, — nim mu myśl zrządą do rymu przyjemną». Owoców tego kołysania głową jest aż cztery tomy, które wyszły w roku 1778 p. t. *Dzieła Naruszewicza*; tom czwarty zawiera w sobie przekłady (Anakreonta, Horacego i innych poetów rzymskich, tudzież Sarbiewskiego), trzy pierwsze — utwory mniej lub więcej oryginalne: ody i wogóle poezje liryczne (jako to pieśni, wierszyki ulotne, epigramaty), oraz bajki, sielanki i satyry.

Liryką Naruszewicza zachwycali się współcześni, jedni może tylko przez grzeczność dla czcigodnego autora, ale inni szczerze: podobała się im uroczystość i sztuczność stylu, która znamionuje nadewszystko ody. Wzorował się w nich Naruszewicz po części na odach Pindara i Horacego, a tu i owdzie — na pieśniach Kochanowskiego; naśladował także pseudoklasyka francuskiego Jana Chrzciciela Rousseau'a. Są w tych odach bogowie olimpijscy, są epitety złożone (np. siebielubna pycha, sercokolomne troski, śmiercioskrzydły olów), są takie omówienia czyli peryfrazy, jak kastalska panienka (zam. Muza), spiżowe potwory (zam. działa); rzeka «wchodzi licznemi wroty w oceanские ściany» (t. j. wpada do morza); albo jeszcze: «Szumny Akwilon, gdzieś między Lapony — pierzchnąwszy, sypie z pyska ostre śrzony» (t. j. skończyła się zima) i t. p. Ta napuszystość stylu cechuje nadewszystko ody pochwalne czyli panegiryczne. W pochlebstwach przebiera tu Naruszewicz wszelką już miarę. «Placem mu całe życie, orężem myśl dzielna, — celem przykład, a zyskiem — sława nieśmiertelna»; słowa te są wyraźnie echem słów Kochanowskiego: «Grób jego jest Europa, słup śnieżne Balkany, — napis wieczna pamiątka między krześcijany», tylko że Kochanowski uwielbił tutaj bohaterskiego wojownika, Władysława Warneńczyka, a Naruszewicz — głupiego i opasłego leniwa, Augusta III, tuż po jego śmierci. Kadził i żywym, np. Czartoryskim, ale nadewszystko panu swemu i protektorowi, Stanisławowi Augustowi. Raz np. porównywa króla, zwiedzającego szkołę, z Tytanem (słońcem), udzielającym swych promieni Arktom (krajom północnym); innym razem zaręcza, że w dniu urodzin króla «Styczeń wodokowy — nad bieg przyrodni zelżył gniew surowy». O stylu tych ód może dać pojęcie początek *Dyktambu z powodu zupełnego ozdrowienia Jego Królewskiej Mości*: «O, ty, co wiecznie krążąc wkoło płodnej ziemi, — otaczasz ląd i wody lejcy ognistemi, — a nieupracowany tocząc wieki ruchem, — rzeźwisz gnuśne żywioły wszystkożywnym duchem, — mignij, o złote słońce, dzielniejszym promykiem! — Niech twe bystre dzianety, rączym sprzęgłe szykiem, — promienne zjeżą grzywy, a trakt gwiazdolity — lotniejszemi, dzień niosąc, przemierzają kopyty».

Nie wszystkie jednak utwory liryczne Naruszewicza są tak górnolotne: trafiają się, chociaż bardzo rzadko, wolne od napuszoności, np. wierszyk *Dziecięciu nowourodzonemu*:

Po tylu kwiatkach, które los zazdrośny
W samych pierwiastkach milej zawarzył wiosny,
Nowy się rodzisz, fijołeczku, światu
Na rozkosz ojeu i matce, i bratu.
Wróżyć nie umiem, ukochane dziecię,
Jaka cię dola ma spotkać na świecie,

Wiele lat jeszcze porwie wiek skwapliwy,
Nim powiem, żeś jest grzeczny i cnotliwy.

To jednak śmieie mogą ci rokować:

Jeśli rodziców będziesz naśladować,
Będziesz zapewne (łatwo tego dociec)
Piękny jak matka, poczciwy jak ociec.

Nie cała także liryka Naruszewicza jest wypełniona przesadnymi i niesmacznymi kadzidłami na cześć króla i możnowładców: nie brak utworów, których treść stanowią własne poglądy na życie ludzkie. Poszedł tu Naruszewicz za przykładem Kochanowskiego i tym sposobem wskrzesił stworzoną przezeń, a z biegiem czasu zaniedbaną polską lirykę refleksyjną. Filozofia Naruszewicza nie jest zbyt wesoła. Kiedy świat fizyczny rządzi się niezłomnymi i mądrymi prawami, które mu nadał Pan Bóg, ludzie rządzą się źle, słuchają bowiem głosu nie rozumu, tylko namiętności, które są ich największym wrogiem; liczą więcej na jakąś fortunę, niż na samych siebie, a stąd bardziej cenią powodzenie, niż zasługę, zazdroszczą ludziom szczęśliwym i rzucają na nich niegodziwe potwarze i t. d. Jakaż rada na to wszystko? Iść za głosem rozumu, a ten nauczy człowieka, że prawdziwe szczęście polega na umiarkowaniu («nic nadto!»), które osiągnąć można zapomocą opanowania namiętności; siłę zaś i sposoby do ich poskromienia daje nie co innego, tylko ten sam rozum: «Kochajmy mądrość: wszak to największa nauka — znać siebie i żyć z sobą; kto jej pilnie szuka — prowadzi wiek szczęśliwy...» «Płodny jest świat w występki, i, póki go stanie, — nie wypłewi ich nigdy najśrodsze karanie; — ty jednak, mój rozumie, ujmij mię w swe pęta, — by mię żaden błąd, żadna nie zwiodła poneta». Przez tę przesadną ufność w rozum, jako niezawodną pobudkę i najsilniejszy bodziec do moralnego życia, jest Naruszewicz nieodrodnym synem epoki oświecenia. Duchem oświecenia technicznie także inny utwór jego liryki refleksyjnej, wymownie świadczący o szlachetności jego duszy, utwór, którego tematem jest nie ślepa wiara wieku oświeconego w nieograniczoną potęgę rozumu ludzkiego, lecz humanitarne poglądy tej epoki na obowiązki jednostki wobec społeczeństwa: *O powinnościach człowieka w towarzystwie*¹. Potępia tu Naruszewicz, podobnie jak czasem będzie piętnował Mickiewicz w *Odzie do młodości*, niegodziwość i gnuśność samolubów, nie pracujących dla społeczeństwa: «Ocknij się, martwy leniu, o, ty, cząstko świata — dzielnego napót skrzepla! czemu próżne lata — w marnej grążysz gnuśności?...» «Ty, odludku, w ponurych gdzieś myślach zagrzezły, — żadnymi się ze światem nie chcesz łączyć węzły; — twa dusza, lodowałym zewsząd skrzepla głazem, — nie jestże żywym srogiej pustyni obrazem?... Ty śpisz, a wkóło nędza lży tysiączne roni, — ziemia na łup nieszczęściu w krwawej pływa toni, — nie masz końca złej doli, a głos, wytłoczony — z piersi, żalem ujętych, brzmi na wszystkie strony. — Patrz na ten smutny widok: nie krew-że to twoja? — Tu starzec o kęs chleba żebrze u podwoja, — tu płaczące sieroty, tu wybladłe matki — pędzą w głodzie łakomym nędznych dni ostatki. — Tu niewinny w tarasie², srogie wlekąc pęta, — stęka, że go nienawiść zgębila przeklęta; — stępiła sprawiedliwość, a umysł zbrodniczy, — cisnąc ubogi ludek, szuka z łez zdobyczy. — Ej! bój się, by cię niegdyś³, z podziemnej katusze — wy-

¹ t. j. w społeczeństwie. ² więzienie. ³ kiedyś.

mknąwszy się, posępne nie ścigały dusze, — a mordując sumnienie żalosiem i jęki, — nie wołały: ach! z twojej zginęliśmy ręki!» Te dusze posępne będą zczasem mordowały sumienie złego pana — w drugiej części *Dziadów* Mickiewicza.

Odrębne stanowisko zajmują w liryce Naruszewicza ody historyczno-patriotyczne, których treścią, obok ulubionych kadziel dla Stanisława Augusta, są poglądy na przeszłość i teraźniejszość Polski, przepojone uczuciem patriotycznym. Na czele tych ód stoi utwór, ogłoszony drukiem dopiero w ostatnim roku sejmku czteroletniego, ale napisany daleko wcześniej (w końcu listopada roku 1778): *Głos umarłych*. Jest to jakby elegja, która, jako poezja grobów, należy do pierwiosnków preromantyzmu polskiego. Lecz nie przez to jedno godna jest uwagi: nigdy przedtem i nigdy już potem uczucie Naruszewicza nie przemówiło tak szczerze i mocno, tak poważnie, podniosłe, a nienapuszenie, nie mówiąc już o tem, że jego pogląd na dzieje Polski jest wprawdzie (jak przystało na rachunek sumienia, który szuka przedewszystkiem grzechów, nie cnót), jednostronny, ale pełny prawdy — gorzkiej, bolesnej, ale zasłużonej. Szkoda tylko, że i tutaj nie wyzbył się Naruszewicz panegiryzmu względem Stanisława Augusta; zresztą niektóre pochwały, ta zwłaszcza, że za jego powodem «lustr nauk powrócił» są zupełnie słuszne.

**Głos
umarłych**

Z kwiecistych posad helikońskiej góry
Miedzy zamierzchle wtrącony cyprysy,
Gdy mchem porosłe przeglądam marmury,
Nad zatartemi jękając napisy, —
Łat waszych niemem świadectwem, królowie,
Taki się z mogił głos do mnie ozowie:

«Ty, co narodu mego piszesz dzieła
«I z umarłymi mieć rozumiesz sprawę!
«Nie tak nas twardym snem Kloto¹ ujęła,
«Zwłókłszy widzialną słabych ciał podstawę,
«Byśmy część lepszą życia utracili:
«Żyliśmy, żyjem i będziemy żyli.

«W wiecznego kręgu osadzeni świata,
«Patrzym na ziemne zwysoka mieszkańce;
«Głos żalów waszych i tu nas dolata,
«Gdzie, nieprzebyte usypawszy szańce
«Twórca na oddział błędu i istoty,
«Nam dał doznawać, wam dociekać cnoty.

«Czegoż się błędny uskarżasz narodzie,
«Zwalając los twój na obce uciski?
«Szukaj nieszczęścia w twej własnej swobodzie
«I bolej na jej oplakane zyski!
«Żaden kraj cudzej potęgi nie zwabił,
«Który sam siebie pierwej nie osłabił.

«Stargawszy węzeł pokoju i zgody,
«Niegdyś w najwyższej władzy osadzony,

¹ Kloto, Lachesis, Atropos — trzy Parki.

- «Rozbiegliście się, jako liche trzody,
«Bez wodza, rządu, rady i obrony.
«Ostygło dobra publicznego serce,
«Albo pochlebce, alboście oszczerce!
- «Cóż kiedy niesfor¹ głów tysiąca zrobił?
«Wiążąc bezczynne monarchów ramiona,
«Zdzierał publiczność, swe prywaty zdobył,
«Szerzył ze starostw dziedziczne imiona,
«A pod pozorem wolności mniemanej
«Określał² króla, rozmnażał tyrany³.
- «W niczem ojczyzna dotąd nie urosła,
«Jako się członki rozprzęgły od głowy:
«Stracił kmięć przemysł, upadły rzemiosła,
«Włożyła⁴ w pochwy Temis⁴ miecz surowy;
«Kapłan dla zbioru, pan został dla zwady,
«Król dla pozorów, żołnierz dla parady.
- «Święte Jagiellów i Piastowe zbiory,
«Na pastwę dumy nikczemnie zmienione,
«Gnuśne próżniaków uzłociły dwory,
«Albo w stołowych zbytkach ponurzone;
«Zginęły z królów odarte łupieżę,
«Wiatr ich roznosi i zamki, i wieże.
- «Zbrojnych zastępów ogromne szeregi
«Pod jednym berłem ledwo kto policzy;
«Drżały przed nimi oba morza brzegi,
«Gdzie im Dniepr z Wisłą pławi swe zdobyczy:
«Dziś ni rycerstwa, ni wojennej sławy,
«Chociaż się liczne podniosły buławy.
- «Pod jednej matki skrzydła rozpostarte
«Sierocych piskląt garnie się drużyna,
«Gdy na nie orlik, pazury otwarte
«Z góry podnosząc, uderzać zaczyna;
«Wyście ją z piórek obnażyli marnie:
«Czemże was w trwodze ta matka ogarnie?
- «Niemasz pod słońcem, jak świat stoi światem,
«Gdzieby się w rządzie większe działy cuda.
«Pocóż królewskim błyskać Majestatem,
«Jeśli bezczynna w nim tylko obluda?
«Poco ich szukać, łożąc kosztów wiele,
«Jeśli królowie są nieprzyjaciele?
- «Ociec król — czemuż dziecię mu nie wierzy?
«Pan — cóż poddaństwo w hołdzie mu oddawa?
«Wódz jest najwyższy — czemuż bez żołnierzy?
«Sędzia — gdzież w jego ręku miecz i prawa?

¹ niesforność, niezgoda. ² ograniczać. ³ możnowładcy. ⁴ bogini sprawiedliwości.

«Nędznaż to ziemia, dzika i szalona,
«Gdzie same tylko w rządzących imiona!

«O! błędna trzodo herbownej gołoty¹,
 «Co, na tve chytre patrząc przewodniki²,
«Nie znasz, jak z twojej żartują prostoty,
 «Klejąc, zrywając przedajne sejmiki!
«Dla swych cię oni prywat używają:
«Ty chcesz wolności — a oni ją mają!

«Dziedzicznych swobód twierdzą i obronę
 «Za kielich trunku, ukłon bałamutny,
«Wybierasz posły jaśnie oświecone,
 «Wrzeszcząc do chrypki na rząd absolutny.
«Nie tobie oni twoją łowią wędą:
«Ty pługiem orać — oni tobą będą!

«Kto tylko wielkim żył na waszym tronie,
 «Musiał za pasy chodzić z niewdzięczniki;
«Zwano go ojcem, ale już po zgonie,
 «W martwych popiołach między nieboszczyki!
«Wasz to obyczaj cierń w życia przeciagu
«Kłaść im na głowy, kwiat — aż na posągu.

«Dzielny Łokietek, co Polskę zjednoczył,
 «Trzykroć ojczystą musiał rzucać ziemię;
«I choć sto grodów murami otoczył,
 «Choć dzikie w kluby³ praw osadził plemię,
«Złość i Wielkiego Kazimierza przecie
«Czarnemi farby oćmiła na świecie.

«Tęsknił Jagiełło nieraz w tej koronie;
 «Syn⁴ jej nie pragnął, zwlekając czas długi;
«Zygmunt choć mówił, że śmiało na lonie
 «Poddanych spocznie za liczne usługi,
«Targnęliście się po dwakroć nań, dzicy:
«Buntem we Lwowie⁵, a kulą w stolicy!⁶

«Któż tve policzy przykrości, Stefanie,
 «O, ty, północnej siły mężny gromie?
«Kto trudy twoje, Kazimierzu Janie?
 «Los cię przymusił umrzeć w obcym domie;
«Uratowałeś ojczyznę w złej toni:
«Twoi się na cię porwali do broni!⁷

«I ty, choć pędzisz wiek w troskach i pracy,
 «Znosząc win cudzych ciężar, Stanisławie!
«Pewnie ci wdzięczni zostają Polacy,
 «Że im królujesz mądrze i laskawie?

¹ herbowna gołota (hołota) = szlachta. ² magnaci. ³ kluba, kluby =
karby, porządek. ⁴ Kazimierz Jagiellończyk. ⁵ wojna kokosza. * r. 1523
w Krakowie strzelił ktoś do Zygmunta Starego. ⁷ rokosz Lubomirskiego.

«Oto ci codzieln, w samej wieku wiosnie,
«Z smutku na głowie śnieżny włos urośnie.

«Tyś ciąglej rady duchem rząd ocucil,
«Co, śpiąc dwa roki, ocknął się i zasnął;
«Za twym powodem lustr nauk powręcił, —
«Już on był prawie w barbarzyństwie zgasnął;
«Łagodysz wrzawy, wprowadzasz porządki,
«Targasz zawisne na kraj losów wątki.

«Za miłość wierną króla-patryjoty,
«Wie świat, coś cierpiał od wzięcia korony;
«Więcej w twem sercu utaiły cnoty
«I do dobroci umysł urodzony.

«Nie wzdychasz na tve i szwanki, i szkody:
«Bardziej cię bolą ojczyste przygody.

«Czekaj tej słodkiej, lecz późnej zapłaty,
«Kiedy tve zwłoki zimny glaz przywali;
«Zapłacze naród tvej w czasie utraty —
«Cnota dopiero po zgonie się chwali —
«I, żeś był ojcem swej Ojczyzny, powie!»
Na tem się ziemny głos zakończył słowie.

116. W dziedzinie bajki i sielanki nie stworzył Naruszewicz nie godnego pamięci; okazał się natomiast utalentowanym satyrykiem. Nie on pierwszy za Stanisława Augusta pisał satyry: w roku 1773 ogłosił **Gracjan Piotrowski**, pijar (1735—1785) dwadzieścia pięć satyr pod tytułem: *Satyr przeciwko zdaniom i zgorzseniom wieku naszego, za powodem «Satyra» Jana Kochanowskiego, księżęcia naszych poetów, który się na końcu satyr kładzie*. Już ten długi i niezgrabny tytuł (opiewający, że Kochanowski położył się na końcu satyr Piotrowskiego) traci mocno zepsutym smakiem czasów saskich; o tem samem świadczą same satyry, wcale ciekawe, jako zwierciadło obyczajów, bardzo rozsądne w swojej myśli przewodniej (którą jest, że zarówno zepsucie, jak ciemnota w Polsce, płynie ze złego wychowania, zwłaszcza domowego), ale, jako utwory poezji, liche. Tymczasem *Satyr* Naruszewicza (jest ich tylko osiem) nietylko są zwierciadłem ujemnych stron życia polskiego za Stanisława Augusta, ale także, jako utwory poezji satyrycznej, posiadają rzetelną wartość — z wyjątkiem pierwszej (*Sekret*), która jest nudnem i rozwlekłym kazaniem.

Wzorował się Naruszewicz na satyrach poetów rzymskich i Boileau'a, a stąd wszystkie jego satyry mają postać bądź przemowy czyli monologu autora, bądź rozmowy autora z przyjacielem; jedna tylko satyra ma, podobnie jak *Sen Majowy* Marcina Bielskiego, postać wizji sennej: śni się autorowi jakaś fantastyczna kraina, a w niej «pałac pochlebstwa». A i w treści zadłużył się trochę Naruszewicz satyrom Boileau'a zawdzięcza pomyśły do trzech satyr: *O prawdziwym szlachectwie*, *Glupstwo* i *Małżeństwo*. Ale to nie przeszkadza, że wszystkie satyry mają charakter nawskroś polski: piętnuje w nich autor, ale tylko przelotnie, polskie grzechy polityczne (np. rozpędzanie sejmików przez możnych panów, brak silnego rządu, pełnego skarbu i stałego wojska), oraz grzechy społeczne (ucisk ludu więj-

skiego), głównie jednak ma co innego na myśli: «Ja w szczególności nikomu nie laję, — czołom biję osobom, ganię obyczaj, — życząc miłej Ojczyźnie, by, miasto firecyków, — miała pocziwych ziomeków, dzielnych wojowników». Są to więc satyry obyczajowe, ganiące lub ośmieszające zarówno sarmatyzm (jak wówczas nazywano ogół ujemnych cech starodawnego życia), jako też obyczaje nowomodne. Sarmatyzm, a mianowicie: gadulstwo, uniemożliwiające dochowanie tajemnicy, wstętny zwyczaj schlebiania umarłym i żywym, choćby nawet skończonym lotrom, byle tylko możliwym, oraz ciemnotę szlachecką i płynący z niej wstępn do czytania poważnych książek i wogóle do postępu, — ten sarmatyzm chłoscze Naruszewicz w czterech satyrach: *Sekret, O prawdziwym szlachectwie, Pałac pochlebstwa* i *Chudy literat*. W czterech pozostałych: *Glupstwo, Wiek zepsuty, Reduty* i *Małżeństwo* — piorunuje na nowy «wiek zepsuty», a więc na zanik dawnej cnoty, wolnomysłność i obłudę religijną, marnotrawstwo, zbytki, karciarstwo, błagę i dyletantyzm, rozluźnienie węzłów w rodzinach wielkopolskich i wogóle rozpusłe w stolicy.

Dowcipu w *Satyrach* niewiele, jest zato silna, złośliwa ironja, a niekiedy (zwłaszcza w satyrze *Wiek zepsuty*) szczere, głębokie oburzenie zagnętego obywatela i zgryźliwego człowieka na upadek obyczajów; jest nadto niezmiernie wyrazista, dosadna charakterystyka postaci, różnych typów satyrycznych, np. nabożnisia: «A ówże gryzipacierz, wilk w baraniej skórze, — co kościanemi gałki pobija na sznurzel — Już na wszystkich obrazach polizal pokosty, — podziurawił łysiną cerkiewne pomosty, — co się boi przestąpić krzyżyka ze słomy, — a on sam łgarz, pieczeniarsz i zdziernia łakomy;... czyliż się za świętego nie udaje czleka, — że każdego oczerni, każdego oszczeka?» Jeszcze dosadniej opisuje Naruszewicz «fireyka», t. j. modnego kawalera, posiadającego w sobie wszystkie główne wady «wieku zepsutego»; posiada on całe mnóstwo zalet: jest «najpierwszym woźnym bogini Świągotki», t. j. plotkarzem; jest pyszałkiem, który «coraz to w oczy swoją mitrą chluśnie» i przechwala się starożytnością swego rodu, «pawim się zalecając, jak kawka, ogonem»; jest obrzydliwym pochlebcą, wkradającym się w łaski kobiet; wreszcie jest próżniakiem i głupcem skończonym: «Fireyk, utrefiony cudnie, — legać mu tylko w betach¹, — nim minie południe, albo latać, czy błoto, czy kurz na ulicy, — jeśli który nie mignie kornet² z kamienicy, — aby tam, bies wie jakie, mowy rozpościerał, — a słuchającym gęby tęskliwe rozdzierał; — a przecie tak bezwstydną dumą upojony, — że, choć mu się w mózgowni lęgną ślepowrony, — choć ledwie trafi, biedny, sens z głowy wylać, — choć mu kozom ogony, nie rymom zaplatać, — choć mu wierzgać u fary na pniu między żaki³, — bierze pracownych piórek dzieła na przetaki⁴ — i tonem prawodawczym swoje głupstwo zdobi, — ganiąc w drugim, czego sam nie zna i nie robi».

Już to wogóle wybrednością stylu nie grzeszy Naruszewicz: «zagwoździć gębę», «wielomowność ozora», «nosy jak winograpy, brzuchy gdyby kłody», «odęty pysk», «wieloważny kałdun»⁵ — oto kilka kwiatków ze «słownika Naruszewicza» (jak on sam nazywa z uśmiechem zasób swojego słownictwa); niepowstydzili się ich ani Rej, ani Wacław Potocki: ale te kwiatki

¹ pierzyny. ² czepek kobiecy. ³ choć mu się uczyć w szkole parafjalnej («u fary»), brać na pieńku w skórę, wierzgając nogami z bólu. ⁴ krytykować.
⁵ brzuch.

są wyrazem mocnego o b u r z e n i a, które stanowi tak znamioną cechę *Satyr*. Niekiedy zdobywa się Naruszewicz, pomimo że nie miał bynajmniej wstrętu do gadulstwa, na niezmierną zwięzłość i jędrność stylu, np. w tej przepysznej, a bolesnej charakterystyce nierówności społecznej: «Bo w Polsce złota wolność pewnych reguł strzeże: — chłopa na pal, panu nic, szlachcica na wieże», albo w rozpaczliwym okrzyku: «Wszystkich chwalim, iż dobrzy, i świeccy, i księża, — jednak giniem bez skarbu, rządu i oręża».

Najlepszymi satyrami są *Reduty* i *Chudy literat*. W pierwszej autor oprowadza przyjaciela po ulicach Warszawy podczas karnawału, przypatruje się karetom, pędzącym na reduty¹ i łumaczy przyjacielowi, co to za «redulnicy», charakteryzując utracjusza zbankrutowanego, «bucznego² junaka», mocno podszytego tchórzem, «pierwszego ministra króla Faraona»³, dwóch obłudników i modną «madamę» z nieodstępnym «labusiem»⁴: w całej poezji staropolskiej niema charakterystyki typów satyrycznych, która byłaby jednocześnie tak dobitna w wyrazie, a tak szydercza i zgryźliwa w uczuciu, — z jednym chyba tylko wyjątkiem: charakterystyka ciemnego szlachcica w satyrze *Chudy literat* jest niemniej świetna, a może i świetniejsza, nie autor bowiem charakteryzuje jego głupotę, tylko on sam — w rozmowie z księgarzem, od którego, po długim przerzucaniu książek, «poniósł biblijotekę na ładunek głowy: — receptę do dryjakwi i kalendarz nowy».

**Z satyry
Reduty.**

Owóz masz! Jedzie w modnej jegomości karocy!
Ma parę takich na dzień, a jedną do nocy.
Co za przepych na koniach, co za szor⁵ i siatki!
Mógłby za nie wyżywić i żonę, i dziatki
Niejeden biedny rolnik, co się długo pocił,
By pan gnuśny z łez jego grzbiet szkapi ozłocił.
Wygląda, by święta kość z kryształowej skrzyni:
Po sukniach, ekwipażu i po hojnej minie
Powiedziałbyś, że to pan. Istna-ć to gołota
Kryje się wśród jedwabiu i jasnego złota.
Zostawił-ci mu ociec, smażywiecheć⁶ szczery
Jedząc chleb za pieczone, rzodkiew za selery,
Kilka włości obszernych, jak testament pisze;
Teraz się przy nim został tylko klucz⁷ *Hołysze*,
Wioseczka *Pożyczanka* z karczmą *Nieoddajem*.
Reszta poszła, chwalebny świstaków⁸ zwyczajem,
Na oferty miłosne, na smaczne obiady,
Na fabryki rozkoszne⁹ z podchlebców porady,
Na dwór, z łuszczycbochenków¹⁰ nikczemnych złożony.
Jeździł, nie wiedzieć poco, raz do Barcelony,
Dwukroć do Włoch, dwa razy i Londyn, i Bernę
Odwiedził, skąd nam jedną przywiózł ficygierne¹¹
Z kilką modnych wachlarzów. Wionęły pieniądze:

¹ bal maskowy. ² butny, chełpliwy. ³ t. j. karciarza: Faraon — gra w karty. ⁴ księżyk (l'abbé). ⁵ ozdoby zaprzęgowe na grzbiecie i na bokach konia. ⁶ sknera. ⁷ zespół folwarków (wsi). ⁸ lekkoduch. ⁹ niepraktyczne, niedające zysku fabryki, zakładane w XVIII wieku z porady cudzoziemskich wyżyźniaczy, były przyczyną ruiny majątkowej naiwnych właścicieli ziemskich. ¹⁰ darmozjad. ¹¹ kochańka.

Pycha tylko została i niesforne żądze,
Jakby dawną utrzymać, choć w nędzy, figurę.
Zaledwie mu dłużnicy nie obedną skórę,
Niemasz kupca, patrona¹ i klauzury mniszej²,
Lub kędy utajony kapitalik dyszy,
Żeby go nie wymodlił, wyplakał, wymęczył.
Czy mu kto lada lajdę³ i blazna nastreczył,
Że ma sumkę, z szachrajstwa długiego nabytą,
Czy piwkiem robi sobie zysk i akwawitą⁴,
Wnet doń posły wyprawia o jej pożyczzenie,
Zawinąwszy w papierek honor i sumnienie.
Teraz u kominiarza stu talerów szuka,
U stróża wziął dwanaście, dziesięć u hajduka,
Dziesięć z płaczem wycisnął, co pod świętym Janem⁵
Przedaje baba krupy, siedząc pod straganem...
Jeden sposób ratować nikczemne bankruty,
(Wszak w jednej chodzą sforze chciwość i rozrzuty⁶):
Mąć prawa, zniżaj lichwy⁷, zdzieraj wszystko gwałtem:
Przyjdą-ć z cudzej chudoby pieniądze ryczałtem;
Najlepiej kielby chwycić, pomąciwszy wody.
Łotr złotem, wilk polyska szercią⁸ z cudzej szkody.
Znowu się nadmiesz pierzem, gołoto obrzydła,
Wyrwawszy polskim ptakom i ogon, i skrzydła.
Najpewniejszy to sposób do wszystkiego mienia:
Chciwość, przemoc bez kary, rozum bez sumnienia.

**Chudy
literat.**

— A cóż to, mój uczony chudy mości panie?
Już to temu dwa roku, jak w jednym żupanie
I w jednej kurcie widzę literackie boki!
Sława twoja okryła ziemię i obłoki,
Że cię miały w kolebce Muzy mlekiem poić:
A z niej, widzę, że trudno i sukni wykroić.
Nie pytam, jak tam twój stół i mieszkanie ma się:
Podobno przy gnojowym blisko gdzieś Parnasie
Apollo ci swym duchem czczy żołądek puszy;
Szeląga nie masz w wacku⁹, a długów po uszy.
Z tem wszystkim pod pismami twemi prasy jęczą;
Ledwo cię pochwałami ludzie nie zamęczą,
Żeś ozdoba narodu, pszczołka, pełna plonu
Cukrowego, pieszczota, oczko Helikonu,
Kwiatek, perła, kanarek, słońce polskiej ziemi. —
— Przestań mię, miły bracie, szarpać żarty swemi!
Mam dosyć ukarania: wszystkom stracił marnie,
Żem się na mecenasy spuścił i drukarnie.
Te ostatni grosz za druk z kalety wygonią,
Tamci dość nadgrodzili, liedy się poklonią.

¹ fundator kościoła. ² klasztor. ³ lajdak. ⁴ okowita. ⁵ katedra warszawska. ⁶ rozrzutność. ⁷ płacć mniejsze procenty, niż obiecałeś. ⁸ sierść.
⁹ sakiewka.

Niepokupny dziś rozum: trzeba wszystko strawić,
Kto go chce na papierze przed światem objawić.
Pełno skarg, że się gnuśny Polak pisać leni,
A niemasz, ktoby ściągnął rękę do kieszeni,
Niemasz owych skutecznych ze złota pobudek!
Więcej szalbierz zyskuje albo lada dudek,
Co pankom nadskakiwa lub co śmiesznie powie:
Bo on za swe rzemiosło podarunki łowi,
A ty, biedny, swe pisma, opłaciwszy druki,
Albo spal, albo rozdaj gdzie między nieuki,
Żeby z nich mogła lmość, gdy przyjedzie Jacek
Ze szkoły, czem podłożyć z rodzynkami placek.
Wolałbym się był lepicj bawić maryjaszem:
Chodziłbym, jak pan Pamfil¹, — z oprawnym palaszem;
Kołpakby mi lysinę soboli nakrywał,
A ryś z pod brandebury² bujny polyskiwał.
To mi to kunszt zyskowy! Często w jednej chwili
Człowiek się pod pieniędzmi ledwie nie uchyli,
A czego nie wypisze przez rok, ni wyczyta,
Jedna mu da fortunę w kartach faworyta!
Mój zaś bożek, Apollo, za usługi krwawe
Dał mi w nadgrodeń szkapisko, Pegaza, włogawe³,
Który nie z jednym pono, jak się często zdarza,
Na popas do świętego zabłądził Łazarza⁴.
Ostatnie to rzemiosło, co, prócz sławy kęsa,
Nie nie daje autorom — ni chleba, ni mięsa,
I żyć każe sposobem prawdziwie uczonym:
Wodę lykać, a wiatrem żyć z chamaleonem⁵.
Gdybyć to kupowano księgi, toby przecie
Człowiek jaką lachmanę zawiesił na grzbiecie!...
Lecz w naszym kraju jeszcze ten dzień nie zawitał,
Żeby kto w domu pisma pożyteczne czytał.
Jeden drugiego gani, że czas darmo trawi;
Mówi szlachcic: «Czemu ksiądz księgą się nie bawi?
«Jemu każe powinność na to się wysilać,
«By nauką i pismem zdrowem lud zasilać...
«Alboż mu to o żonce z dziećmi myśleć trzeba?»
A ksiądz: «Toć szlachcic sobie sam nie robi chleba:
«Sto pługów na jednego pasibrzucha ryje;
«Pewnie się on za dobro pospolite bije?
«Nie uziębnie na mrozie, na deszczu nie zmoknie:
«Siedzi w zimie przy ogniu, a w lecie przy oknie,
«Gadając z panem Żydem, kto w karczmie nocował,
«Wiele śledzi wyprzedał, wódki wyszynkował...
«Mógłby też co przeczytać, a z odętym pyskiem
«Nie być tylko szlachcicem herbem i nazwiskiem,

¹ wyznik żołądny, walet treflowy. ² suknia zwierzchnia. ³ kulawy (na tylne nogi). ⁴ szpital w Warszawie. ⁵ kameleon (który, według podań średnio-wiecznych, żyje tylko powietrzem).

«Osobliwie, że mu się nie chce panem bratem
«Być prostym, ale posłem albo deputatem;
«Nie pięknie to, że sędzia nie zna prawa wcale,
«Chociaż jasnie wielmożnym bywa w trybunale;
«Ani ów poseł z wielką przyjeżdża zaletą,
«Co tylko na podatki głośnie ryknie *velo!*»

Tak się oni spierają; po staremu przecie
I ten, i ów nie wiedzą nic o bożym świecie;
Każdy mówi, iż nie ma czasu do czytania,
Każdy się swą zabawą od książki zasłania:
Chłop ma co robić w polu, a rzemieślnik w mieście;
Mnich zabawny¹ swym chórem lub chodzi po kweście;
Ksiądz... lecz ja nie chcę z takim państwem mieć poswarki;
Kupiec lokcia pilnuje lub zwiedza jarmarki;
Palestrant gmerze w kartach, co je strzygą mole;
Szlachcic pali tabakę lub lyka przy stole;
Dworaczek piętą wierci; żołnierz myśli, kędy
Karmnik² z wieprzem, ser w koszu, a z kurami grzędę;
Pan suszy mózg nad tuzem³ i wymyśla mody;
Kobieta u zwierciadła, póki służy młody
Wiek, siedzi, a gdy starsze przywędrują lata,
Cudzą sławę nabożnym językiem umiata;
Stary duma, jak mu grosz jeden sto urodzi;
Młokos wiatry ugania i białą pleć zwodzi.
A z tej liczby zabawnych można mówić śmieie,
Chłopi tylko a kupcy są obywatele.

Słyszałem ja, gdy pewny szlachcic do Warszawy
Przybył dla pewnej ze swym proboszczem rozprawy,
Który go za wytyczne⁴ wyklął z kazalnicy,
Ujrzał sklepik z księgami na Farskiej ulicy;
Dziad je jakiś przedawał. Spytał na przechodzie:
«A nie wyszło też jakie dzieło w nowej modzie,
«Bym je zawiózł dla dzieci? Dobrze to nawiasem
«I samemu przy piwku co poczytać czasem;
«Teraz jest świat uczony; daj Boże, pocziwy
«Żeby był, a poprzestał już wyrabiać dziwy!»
— «Mam — odpowie staruszek — i różnych i wiele:
«Są *Kazania* na święta i wszystkie niedziele.
— «Zachowajcie dla księży, mój bracie, boć lepiej
«Z karty dobrze powiedzieć, niż co drugi klepi,
«Djabel wie co, z pamięci na święconem drzewie,
«A tego, co powiada, sam i słuchacz nie wie». —
— «Mam wydanego teraz niedawno *Tacyta*.
«Niech go sobie sam miły pan autor przeczyta:
«Niemasz tam nic śmiesznego! To pisarz pogański!»
— «Więc waćpan racz dla śmiechu kupić *Sejm szatański*»⁵.

¹ zajęty. ² chlewek. ³ as. ⁴ dziesięcina. ⁵ *Sejm szatański* — satyra XVII wieku, której treść podaje autor niżej.

«To pewnie po radomskiej co nastąpił radzie?»¹
— «Ej, nie! Tu, w czarnej siedząc Lucyper gromadzie,
«Słucha biesów, aby mu rachunek oddali:
«Wiele ludzi po świecie pooszukiwali,
«Wiele niewierny patron² spraw wygra niesłusznych,
«Wiele ktoś nawyludza złotych zadusznych,
«Wiele lez pan wyciśnie z poddanych okrutny,
«Wiele biesów naliczy szuler bałamutny,
«Wiele plotek po mniszkach, próżności po damach,
«Obietnicy u panów, a łgarstwa po kramach». —
«To coś bardzo straszego...» — «Owoż arcysłiczna
«Książka, co tytuł *Przyjaźń* ma *patryjotyczna*»³. —
«Musi to być szalbierstwo: teraz patryjotą
«Ten tylko, co do siebie zewsząd garnie złoto;
«Miłość dobra ojczyzny w księgach tylko stoi;
«Każdy się w sobie kocha i o siebie stoi;
«Żeby mu kordon⁴ jakiej nie zagarnął wioski,
«Waląc wreszcie na króla i winy, i troski.
— «Są wiersze». — «To blażeństwo!» — «Są też *Polskie dzieje*.
«Bogdajbyście wisieli na haku, złodzieje,
«Żeście, w wieczne swój naród podając pośmiechy,
«Powyrzucali z kronik i Wandy, i Lechy!»
— «A o gospodarstwie też będzie wziąć co wola?» —
«I bez książek pszenicę rodzi moja rola!»
— «To o rządzie Europy?» — «A mnie bies co potem.
«Jakim się cudze sprawy wiją kołowrotem!
«Ja wiem, że u nas sejmik będzie na Gromnicę,
«A jarmark na Lucyją, świętą męczennicę!
«Nie baj, miły staruszk; trzeba dla mej pani
«Dryjakwi⁵, co od Złotej noszą Węgrzy Bani⁶:
«Dwa razy tylko była mi w Warszawie, alié
«Nie może, biedna, spazmów od siebie oddalić.
— «Takie rzeczy w aptekach». — «Więc przecie, mój bracie,
«Drukowane jej w sklepie opisanie macie». —
— «Cóż więcej?» — «Kalendarza!» — «A jakiego?» — «Coby
«Uczył, czy będą u nas i jakie choroby
«W tym roku, jeśli pokój, czy będziem mieć wojnę,
«Czy głód, czy urodzaje obaczymy hojne». —
— «Jest mały kalendarzyk». — Ten?... to zdrajca, który
«Poodzierał szlacheckie nazwiska ze skóry,
«Co nigdy nie napisał (aż mię serce boli!),

¹ radomska rada = konfederacja radomska; mowa tu o sejmie z roku 1767—8, upamiętnionym porwaniem senatorów przez Repnina. ² adwokat. ³ *Przyjaźń patryjotyczna* — książka A. Kamińskiego o miłości ojczyzny. ⁴ kordon — linja wojska na granicy; mowa tu o kordonach pruskich, austriackich i rosyjskich (po pierwszym rozbiorze). ⁵ driakiew — lekarstwo. ⁶ Złota Bania — miejscowość na Węgrzech.

«Lubom za przywilejem wendeński podstoli¹;
«Będę się, chyba że mię śmierć ze świata zdejmie,
«Publicznie protestował za wzdargę na sejmie,
«By mi go zerwać przyszło!...» Tak po targu sprzecznym,
Dawszy tynfa rudego² z mieczem obosiecznym,
Poniósł bibliotekę na ładunek głowy:
Receptę do dryjakwi i kalendarz nowy!...

Owóz masz literata! Niejeden to taki,
Co woli w domu czytać szpargał ladajaki
Lub zbijać tylko grosze, by je pan syn stracił,
Niż gdyby rozum pięknem czytaniem zбоgacił.
Więc, jako też kto czyta, tak potem i prawi:
Pali Euksyn³, na piaskach papierowe stawia
Okrety, bohaterów na powietrzne sadzi
Wozy i przez obłoki gryfami prowadzi;
Zamienia ludzi, w wilcze przyodziawszy skóry;
Nosi baby na Łyse przez kominy góry;
Widzi Abła z Kaimem na miesięcznej zorze
I solone Syreny prowadzi przez morze...

117. Jednym z najgłówniejszych warunków postępu i odrodzenia narodu jest znajomość dziejów ojczytych; tymczasem ogół społeczeństwa nie posiadał jej, co nie przeszkadzało, że się lubił na przeszłość powoływać, wtedy zwłaszcza, kiedy była mowa o reformach: «Niech djabli porwą reformy! póki wszystko było po staremu, Polska była potężna, a zatem i teraz wszystko po staremu niech pozostanie!» — oto jak rozumował przeciętny szlachcic. Ale, jak było po staremu, o tem pojęcia nie miał i dziwił się albo oburzał, gdy mu kto mówił, że np. w starożytnej Polsce nie szlachta, tylko król rządził państwem, i że wtedy właśnie Polska była potężna. Nie rozróżniał także prawdy od fałszu i ślepo wierzył we wszystko, co nabajali o dawnych dziejach kronikarze średniowieczni, zwłaszcza ukochany Kadłubek. Wszystko to doskonale rozumiał Stanisław August i postanowił sobie włożyć ciężki trud opracowania krytycznego historii ojczytwej na barki swojego «Narucha», który, jak wszyscy wiedzieli, był rozmiłowany w nauce historycznej: opracował był przecie krótki podręcznik historii starożytnej i, co ważniejsza, już w roku 1772 ogłosił był tom pierwszy swego przekładu dzieł Tacyta; (tom czwarty i ostatni wyszedł w r. 1783). W roku 1774 oznajmił tedy król wolę swoją Naruszewiczowi. Ten odpowiedział krótko: «Jam gotów», i tuż potem wziął się do pracy, jak sam sobie świadczy, «w krwawym pocie czoła, z ofiarą zdrowia i wolności», «dla nauki i pożytku spółziomków». Zaczął od najdawniejszych, przedhistorycznych dziejów Słowiańszczyzny, czyli, jak się wyraził Stanisław August, od «przedsionka, któryby zawierał obraz sarmackich dawności». Z tego przedsionka słowiańskiego ani rusz nie mógł wyjść Naruszewicz, co bardzo drażniło króla: «Gdy zbyt długo będziemy się nad przedsionkiem bawić, to samego pałacu i nie dożyjemy». Wówczas to, pragnąc króla uspokoić, posłał mu Naruszewicz w rękopisie swój *Głos umarłych*, jako

¹ Od pokoju w Oliwie miasto Wenden (w Inflantach) przestało należeć do Polski; a stąd godność «podstolego wendeńskiego» była już tylko tytułarną, i dlatego to pominął ją w spisie urzędników ów kalendarz. ² półzłotówka miedziana. ³ morze Czarne: mowa tu o bezsensownych powieściach fantastycznych.

dowód, że już jest w pałacu. Wymowniejszego dowodu złożyć nie mógł, bo przecie ten wiersz to owoc sumiennych badań i głębokich rozmyślań nad przeszłością Polski, wysnutych nietylko z rozumu, ale i z serca gorącego patrijoty, który, rozumiejąc, że przyczyni nieszczęście ojczyzny trzeba szukać nie w «obcych uciskach», tylko we własnych winach, nie wahał się tej bolesnej prawdy wypowiedzieć, słusznie upatrując źródło nieszczęścia Polski w osłabieniu silnej niegdyś władzy monarchicznej, oraz w płynącej ślad anarchji i złotej wolności.

Nareszcie, w lat sześć po rozpoczęciu pracy, wydał Naruszewicz tom pierwszy swego znakomitego dzieła: *Historija narodu polskiego od przyjęcia chrześcijaństwa* (1780); a w sześć lat później (1786) ukazał się tom szósty i, niestety, ostatni, doprowadzony tylko do ślubu Jagielly z Jadwigą. (Tom wstępny, obejmujący dzieje pierwotnej Słowiańszczyzny i Polski przedchrześcijańskiej, wydano dopiero po śmierci autora, w r. 1824).

Jeszcze przed rozpoczęciem pracy złożył Naruszewicz królowi *Memo-ryjał względem pisania historyi narodowej*, w którym wypowiedział swoje poglądy na zadania historyka i historii: dzieło historyczne posiadać winno cztery główne przymioty: «zebranie rzeczy pilne», «rozłożenie łatwe i porządne», «krytykę mądrą», oraz «ozdobienie, gładkością pióra powabne», t. j. styl «gładki, wspaniały, płynny i poważny».

Warunek pierwszy wypełnił Naruszewicz świetnie: «zebranie rzeczy» jest tak pilne, jakiego nie było w Polsce od czasów Długosza. Jak Długosz, tak i on zgromadził wszystkie możliwe źródła dziejowe: nietylko dawne kroniki i opracowania, drukowane i rękopiśmienne, polskie i niepolskie, ale i dokumenty — «zapełniałe po archiwach i bibliotekach papierów stopy»; nie pominął nawet źródeł, napozór mniej ważnych, np. opowieści o cudownych obrazach, słusznie mówiąc, że «i w tych pobożnych ramotach wielkie i ważne do oświaty ciemnych w historyi zakątków znaleźć można dowody». Bo rozumiał Naruszewicz, on pierwszy w Polsce (nauczył się tego od Woltera), że historyk winien badać nietylko sprawy państwa, ale i cywilizację, obyczaje i charakter narodu, i że na historję składają się nietylko dzieje zewnętrzne, ale i wewnętrzne. Szkoda jednak, że ten pogląd nowoczesny na zadania historii jest w dziele Naruszewicza tylko... teorią, że dzieło to (jak się słusznie wyraził najznakomitszy historyk polski, Joachim Lelewel), «lubo nosi tytuł historyi narodu polskiego, jest wszelako historją państwa polskiego i królów jego, jego polityki, zajęć i stosunków z mocarstwami okolicznymi, oraz spraw monarchów i książąt ich familji, wojen i traktatów». A i dzieje wewnętrzne traktuje Naruszewicz po macoszemu i bardzo nierównomiernie, a do tego wiadomości o nich umieszcza nie w samym toku opowieści, tylko, jakby coś podrzędne, w przypiskach (np. o organizacji Kościoła, o formie rządu, o sejmach i o początkach parlamentaryzmu, o niewoli ludu wiejskiego, o monecie, o wojskowości, o żupach solnych i t. d.).

Z warunkiem drugim, z «rozłożeniem łatwym i porządnym», nie umiał dać sobie rady Naruszewicz: jak Długosz, tak i on opowiada o wypadkach historycznych z roku na rok; a więc układ jest przestarzały, kronikarski i przez to wcale nie «łatwy», owszem utrudniający czytelnikowi wyrozumienie ciągłości przyczynowej wypadków.

Z trzeciego zaś zadania wywiązał się Naruszewicz, jak należy: umiał się zdobyć na «krytykę mądrą», i ona to właśnie stanowi najznakomiej-

szą cechę i zarazem najwyższą zaletę dzieła. Na czemże ma polegać ta «krytyka mądra»? Na tem przedewszystkiem, że historyk winien «wystędić przyczyny, ocenić skutki»: «mało na tem, że kto wygrał bitwę, jeżeli nie wiem, z jakich powodów wojnę zaczął, jakimi drogami prowadził, co za zysk wzięła wygrana». Otóż tej zasady pilnie przestrzega Naruszewicz, zapatrując się na dzieje, jako na jeden ciągły łańcuch przyczyn i skutków; innemi słowy, jego *Historja* jest pragmatyczna. Ale to nie wystarcza: głównem zadaniem krytyki jest rozróżnianie «pozoru od prawdy». Wiedział o tem wprawdzie już Długosz, ale cóż z tego, kiedy, jako człowiek średniowieczny, był nadto łatwowierny, wierząc np. ślepo baśniom o Popielu, Krakusie, Wandzie i t. p. Naruszewicz, jako syn wieku oświeconego, już nie wierzył; wiedział, że «nie wszystko to prawda, co starszy napisali», rozumiał, że, «jak czysta woda, odchodząc coraz dalej od swego źródła, przylewem obcych ścieków traci swą barwę, smak i istotę, traciła prawda w zamęczeniu swoim z baśniami pewność pierwiastkową; wprowadzone czasem pisma ugruntowały tem bardziej powagą pisarzy gminne podania; trudno już więc było co mówić przeciwko Lechowi, Wandzie i Popielom: niejeden się dąsał, zasłaniając się, jak tarczą, tradycją antenatów, a powagą Kadłubka; potrzeba było atoli odważyć się na tę pracę». Otóż on się na to odważył: poczytując Kadłubka za bazarza, drwił sobie z niego i z jego «przypiewków nadprzyrodzonych», nazywając je «głośnemi trąbami, donoszącemi o fałszu całej powieści»; historja Wandy np. byłaby jego zdaniem «piękną nader do bajecznego jakiego romansu albo do tragedji materyją», ale nie do nauki; więc wyrzucił dzieje bajeczne, w przekonaniu, że dopiero «Ziemowita panowanie na pewności historycznej gruntować można».

W tym swoim krytycyzmie posunął się Naruszewicz jeszcze dalej. Wierzył w Opatrzność i sprawiedliwość boską, która «występki ściga i karze», ale i w to wierzył, że Bóg, stwarzając świat, stworzył i niewzruszone prawa, które rządzić zarówno naturą, jak ludźmi, a jeżeli tak, to różne wypadki, które się wydają ludziom cudami, nie są nadprzyrodzone, bo się dadzą wyjaśnić właśnie owemi prawami, których znajomość zwiększa się z postępem wiedzy ludzkiej. Opowiada Długosz, że w r. 1241, gdy Tatarzy oblegali Wrocław, pewien zakonnik «modlitwą swoją uwolnił miasto od oblężenia: kiedy bowiem oddawał się modlitwom, słup ognisty z nieba spuścił się na jego głowę i miasto z całą jego okolicą cudownym blaskiem oświecił; to zjawisko takim strachem zdjęło Tatarów, że uciekli». I Naruszewicz mówi o tym słupie, ale dodaje: «Badacze natury i jej tajemnic, Twórczą ręką na użytki ludzkie sporządzanych, przypisują to zorzy północnej, której się dzicz lekkowierna spórządza, jako wpływów na ziemny okrąg nadpowietrznych nieświadoma, a Opatrzność też na prośby sługi swojego zrzadzić mogła, że ten przyrodzenia skutek stał się okrutnych umysłów kaźnią i rozgromem». Wogóle o wszelkich cudach mówi Naruszewicz nietylko ostrożnie, ale czasem z wyraźnym odcieniem niewiary albo niechęci, pisząc np.: «Wspomina Długosz o cudownem przez św. Stanisława wskrzeszeniu Piotrowina; dawniejsi od Długosza kronikarze o tem zamilczeli»; «cuda, zdarzone po śmierci męczennika, uwieńczyły cnoty jego i pamięć w potomności»: ale ponieważ cuda te są «od pisarzy narodowych i obcych po stokroć w druk podane», więc poco i naco o nich mówić? Po zabójstwie biskupa, opowiada Naruszewicz, papież odsądził Bolesława od korony; czyn ten nazywa bez ogródki bezprawnym, dodając, że wogóle mieszanie się pa-

piezów do spraw politycznych było «nieszczęśliwością, równie dla narodów, jak dla samej stolicy apostolskiej, szkodliwą». Nie szczędzi także Naruszewicz ostrych słów duchowieństwu polskiemu wieków średnich: przyznaje mu, oczywiście, wielkie zasługi około oświaty, ale nie tai jego późniejszego zepsucia; benedyktynów np. nazywa pierwszymi «zaszczepcami nauk», ale wyrzuca im, że czasem (już w połowie XI wieku) zgnuśniali w swoich dostatkach, co «podało osoby w pogardę, a dobra w rozszarpanie». A pod rokiem 1197 tak mówi o księżach: «Hańbilo się królestwo ostyglnością religii, a zepsutemi obyczajami duchowieństwa; przeszła do Polski ta zaraza z innych krajów, a mianowicie z Niemiec; ludzie, Bogu i bliźnim z powołania na usługi poświęceni, zostali gorszącym przykładem dla narodów; pierwiastkowa świątobliwość, zagłuszona bogatemi od książąt i prywatnych nadaniami, odmieniła się w dumę, chciwość, próżniactwo, zbytki i nierząd». Za ten właściwy wiekowi oświeconemu krytycyzm względem tradycji i Kościoła uchodził Naruszewicz w oczach współczesnych głupców i wsteczników za bezbożnika i bluźniercę. Ani jednym, ani drugim nie był; co więcej, niezawsze miał cywilną odwagę, żeby powiedzieć wszystko, co myślał. Słusznie zarzuca mu Lelewel, że czasem «zdaje się lękać prawdy, od siebie odkrytej; nieraz chwycie się w obliczu czytelnika i rzecz na jego zdaje przyzwolenie». Pewna połowiczność natury polskiej odbiła się wyraźnie na *Historji narodu polskiego*.

Lecz historyk powinien, zdaniem Naruszewicza, rozróżniać nie tylko prawdę od pozoru, ale i dobre od złego, «aby, powiadając, co się działo, oświecał rozum czytającego, jeśli się to dobrze, lub przeciwnie dobru popołitemu działo». Z tego prawa historyka do wydawania własnego sądu o wypadkach korzystał Naruszewicz skwapliwie, pragnął bowiem oświecać swych czytelników, nauczyć ich mianowicie mądrości politycznej. Poucza więc ich przy sposobności, że «duma możniejszych i uciemienie gminu przez nich», które były «od wieków fatalną narodu naszego przywarą», są dla państwa źródłem okropnych nieszczęść; że nie mniejszem nieszczęściem jest «swoboda, albo raczej swywola anarchiczna», «wierzganie na rząd i wszelką zwierzchność»; że «źródłem istoty i szczęśliwości narodów» jest posłuszeństwo prawom. Ale za główny warunek połegi państwa poczytuje silną władzę królewską i tron dziedziczny, tron obieralny bowiem pociąga za sobą bezkrólewia, te zaś są zawsze «hasłem do rozruchów i szkód krajowych». Z takiego to stanowiska wydaje sąd o dziejach Polski: wielbi więc Bolesława Chrobrego, którego dzielność, jak mówi, zamieniła nierząd w monarchję; przypomina, że po śmierci Bolesława Krzywoustego, «z osłabieniem rządu monarchicznego, dały się czuć natychmiast nieszczęśliwe podziału skutki»; chwali Przemysława, który «ojczyznę podźwignął, wlewając w jej rozszarpane ciało ducha rządu, jedności i subordynacyi pod jednym berłem»; za to samo nazywa Łokietka «jednym z największych królów na świecie»; przywileje koszyckie poczytuje za nieszczęście, od nich bowiem poczęły się rządy możnowładcze z uszczerbkiem władzy królewskiej. Otóż ten monarchizm Naruszewicza i krytyka anarchji stanowią główną tendencję i jakby myśl przewodnią całej jego *Historji*: pragnął on wpoić w społeczeństwo przekonanie, że nieodzownym środkiem do ratowania tonącej ojczyzny jest wzmocnienie władzy królewskiej i zaprowadzenie dziedziczności tronu.

Nakoniec, co do warunku czwartego, wypełnił go Naruszewicz dobrze: jego dzieło posiada naprawdę «ozdobienie gładkością pióra powabne», styl

bowiem, choć nie jest «wspaniały», ale jest gładki, jasny, płynny, naogół prosty, a nadto odznacza się powagą, godną dzieła naukowego.

Wogóle *Historija narodu polskiego* jest dziełem ogromnej na swój czas wartości, jest najznakomitszym pomnikiem polskiej literatury naukowej wieku oświeconego, jest u nas pierwszą od czasu Długosza historją Polski, stojącą niemal na wysokości współczesnej nauki europejskiej; a przez myśl przewodnią, przez dążność do podźwignięcia ojczyzny z nieładu jest nadto mądrym czynem patrijotycznym.

★ **O Leszku III.** Leszka III dziejopisowie nasi umieszczają na tronie polskim, synem Leszka II czynią. Najpierwszy z nich o nim Kadłubek, zwyczajem swoim niedokładne plotący baśnie, pisał. Mówi on, ... iż Julijusza Cezara we trzech stoczonych bitwach zwyciężył, Krassa u Partów o kłeskę i całego wojska zniszczenie przypisał, samemu zaś złoto roztopione w gardło lat, mówiąc: «Żądałeś złota, pijże je!» Takie nakoniec sny i baśnie, czyniąc go królem Getów, Partów i za Partami leżących krajów, plecie, iż choć w części nieznanomość krajów i narodów, przezeń okazaną, dowieść należy: za Getów albowiem poczytuje Prusaków, za Partów — Ruś!... Piśze o wojnach Leszka III z Julijuszem, o małżeństwie jego z Juliją, rzymskiego dyktatora córką, założeniu od niej Julina czyli Lublina: co tak czytawistym jest fałszem, że go i zbijać nie należy. Julijusz Cezar nigdy Elby rzeki, owszem i następni po nim cesarze rzymscy, lubo z Germanami wojowali, nie przeszli; dalekoż bardziej, aby ze Słowianami kiedy wojowali! Nie było też za Julijusza ani Polaków, ani Słowianów, a córka jego Julija komu była poślubioną, rzymskie dzieje świadczą. ★

★ **Bezkrólewie po śmierci Mieszka II. Rok 1035 i 1036.** Zostawiony bez rządu i głowy naród, nie mając ani zachętu do cnoty, ani powściągu od swywoli, otworzył smutne dla ludzkiej społeczności w okropnej anarchii widowisko. Póki była w domu Ryksa, lękali się nieco możniejsi jej surowości. Prywatne zajścia i dumne możniejszych zamiary ukrywały się tylko popularnem naówczas na bezprawia dworskie sarkaniem, a uciążliwość podanych... nagradzając się przynajmniej wewnętrznym pokojem, mniej znaczną krajowi szkodę przyniosła. Odjazd królowej z dziedzicem tronu, uchyliwszy zupełnie pastwę zapalonemu na przemoc dworską pożarowi, obrócił go na własnych ziomków. Były już zławna wrzucone pod gnuśnym Mieczysława rządem przyszej domowej wojny nasiona. Przewidział one Bolesław Chrobry: następca ich nie zallumił. Utworzyły się dwie przeciwne strony: jedna, królowej i Niemcom przychylna dla zysku i faworów, mianowicie młodzi; druga, ze starszych, nienawistna im dla zazdrości. Obfici w dobra i majątki hrabiowie, osobliwie którzy albo wojskami przywodzili, albo straż zamków królewskich trzymali, chcieli być udziałnymi na wzór Niemców. Pogranicznych wspierała nadzieja pomocy dla sąsiadów: Rusinów, Prusów, Jadźwingów i innego barbarzyństwa. Uciemężone chłopstwo czekało tylko pory i wodza na zemścić się srogiego od dziedziców jarzma. Zwolniałe w przykładowem życiu duchowieństwo, a bogatemi od królów i prywatnych pomnożone w dobrach i dziesięcinach dochodami, znajdowało wzgardę i niechęć z obelgi. A tak w powszechnem owem stanów i ludzi bez rządu zamieszaniu poczęła się okropna scena od wzajemnych między możniejszymi najazdów i bitew. Im kto w potęgę, przyjaciół i zuchwałosc większy, tem

liczniejsze zgromadziwszy ludzi swywolnych kupy, napadał na cudze osiadłości, wyganiał z domu dziedziców, a gdy ci, broniąc swego, albo wet za wet oddając, w podobne opatrują się łotrów drużyny, stawały w polu przeciwko sobie wojska gromadne i na wzajemną zagładę krwawe wydawały potyczki.

Pomnożyła domową nieszczęśliwość chłopska na panów rebelija. Pamiętni na przeszłe od niektórych uciemnienia, kmiecie, jedni przez zemstę, drudzy, zuchwalszych przykładem i niejakaś powszechną zarazą ozionieni, porzuciwszy plugi, udali się na rzeźbę uciążliwych dziedziców. Opanowali pańskie domy, zabijali dzieci i żony, w nich pozostałe, a gdy im to bez kary uchodziło, urósłszy przez łączenie się z sobą okolicznej czerni w liczne wojsko i hersztów sobie porobiwszy, zbrojnym panom stawić pole odważyli się. Jeśli się im udało zwyciężyć, natychmiast, wyrznąwszy pojmanyh lub w stan poddański i niewolniczy obróciwszy, dobra ich i majątki między siebie rozrywali, a których pokonać orężem nie mogli, podpalami dworów lub innym jakim złościństwem nad nimi zemsty szukali. Wielu było, którzy, pamiętając na dawne bałwochwalstwo, powracali do pogaństwa, że, w niem żyjąc, większą sobie wolność do wszelkiego rodzaju zbrodni, mianowicie zaś do łupienia kościołów, bogom swoim przeciwnych, być rozumieli. Zagęściły się wszędy rozboje, kradzieże i mężobójstwa. Nie były bezpieczne same świątynie od łupiestwa, a biskupi i kapłani od mordów, z których wielu żelazem gardła dali; drugich żywcem kamieniami przywalano, inni w lasach kryć się musieli. Wiele miast, wiosek i dworów rozhukana swywola w perzynę obróciła, że w krótkim czasie ledwo nie cała Polska ogromną stała pustynią... Bunt chłopski po śmierci Mieczysława powstał z uciemnienia i niewoli; prywatnych przewinienia i złe używanie mocy przyniosły klęskę publiczną.

Z okoliczności tego buntu zdaje mi się namienić krótko, skąd ta między ludźmi nierówność, a zatem i w Polsce naszej stan poddaństwa niewolniczy wziął początek. Natura ludzka uczyniła wszystkich równymi co do istoty; atoli w pierwiastkach samych, podzieliwszy nierównie między tychże ludzi dary przyrodzone, rzuciła w nich zaraz przyszej podległości bujne nasiona, kiedy, jednych zdobiąc znakomitszymi rozumu lub ciała przymiotami, drugich upośledzając, tamtym przodkować i rządzić, tym słuchać i podlegać rozkazała. Stąd pierwszy początek nierówności naturalnej za tych nawet złotemi nazwanych wieków, kiedy ludzki naród, w ściślejszej jeszcze płodności granicach zamknięty, pod ojcowskim najstarszych głów familij zostawał rządem. Za wzmożeniem się społeczności ludzkiej, gdy nastąpiła chciwość własności osobistej, jednych większa silność ciała, przemyśl, trefunek, szczęśliwość, nabyta pracą i dowcipem, drugich niepomyślne powodzenia, własnem niedoładem sprawione, naczyniły między ludźmi wiele bogactw i ubogich, dziedziców i poddanych. A tak ci, co w ojcowskim rządzie podlegali sobie po bratersku, nierówni tylko w przyrodzonych ciała i duszy przymiotach, tak potem, dla przemocy, bogactw lub innych przypadkowych darów, w rządzie cywilnym stali się służebnie podległymi. Nastąpiły z pomnożeniem się ludu podziały ziem między uformowanemi narodami; stanęli na czele narodów królowie i książęta; chciwość większego nabytku, dawniej prywatnym tylko znajoma, przeniosła się do narodów i monarchów. Powstały między nimi srogie bitwy, zjawilo się prawo dra pieżne wojny, a zebrani w bojach lub najechnani w dziedzinach własnych

mieszkańcy już nietylko, dla nierówności przymiotów i trefunkowych darów, podległymi, ale, dla niezdolnej oprzeć się gwałtowi mocy, stali się okrutnych zwycięzców podłymi niewolnikami. I te to są najglówniejsze źródła, z których naprzód nierówność naturalna, potem cywilna, nakoniec wojenna (a ta najgorsza) wypłynawszy, wprawila ludzi w poddaństwo i niewolę. Słowianie, ojcowie nasi, naród, obyczajem drugich, błędny, a rozprzestrzenienia się i wojny chciwy, mając na oku dwa tylko założone cele: zdobyć uslawiczną z cudzego, a uprawę roli na własnem, byli sami żołnierzami; a większą nierównie część obywatelów najechanych od siebie krajów do pluga poświęciwszy, tymże postrachem oręża, którym sąsiadów gromili, utrzymywali w uciążliwej około uprawy gruntów pracy i poddaństwie. Powszechnie w narodach wojowniczych mniemanie, że zaszczyt szlachectwa i swobody zawisł na szabli, a zapocone znojem rolniczym dłonie podłości i niewolstwa nosiły znamię, sprawiło w Słowianach pogardę wieśniaczego gminu. A tak, napadając na obce państwa, zabierając pojmańców i włościanów bezbronnych, nowem jeszcze zwycięstwa prawem pomnożyli liczbę niewolników, którymi wsie swoje i grunta osadzili. Powoli gmin ten nieoreźny, bez mocy, obyczajów i oświecienia, zapomniał na prerogatywy ludzkiej równości, a przechodząc w dziedzictwie od jednego do drugiego pana, już i przekonany został, że się do niewoli urodził. Za przykładem przodków Słowian idąc, potomkowie ich, Polacy, zwyczajem ich, długoletnią praktyką w prawo obrócone, ze krwią i dziedzictwem wzięte, dotąd utrzymujemy. ★

★ **Śmierć i charakterystyka Władysława Łokietka.** Wróciwszy się do Krakowa w jesieni (1332), słabiej na zdrowiu i upadać na siłach począł, nie wstając już z łóżka aż do zgonu, w chorobie dopełniając obowiązków chrześcijanina i króla, gdy się już bliskim śmierci był widział, zawoławszy do siebie Helijasza dominikanina, męża cnotliwego, spowiedź przed nim uczynił i należyte sakramenta z błogosławieństwem papieskiem pobożnie przyjął. Potem, w obecności Spicimira, kasztelana krakowskiego, i Jarosława archidiacona, dawszy nauki synowi, stosowne do jego stanu przyszłego i potrzeb królestwa, oraz poleciwszy go zgromadzonym licznie obywatelom koronnym, spokojnie życia dokonał w zamku krakowskim w Niedzielę trzecią w post, a d. 2 Marca, wieku swojego 73 roku (1333). Pogrzebiony w kościele katedralnym, gdzie dotąd nagrobek jego widzieć. Wieść niesie, iż ciało zmarłego, wystawione na widok, przez wiele dni, nim pogrzeb nastąpił, nieskazzone leżało. Panował po swojej koronacyi lat trzynaście. Wiek młodszy i swobodniejsza, mianowicie w wyższych stanach, ułomność naraziła go na wiele nagannych postępków. Grunt duszy szlachetnej ugładził zczasem te przywary; liczne przeciwności nauczyły go być dobrym i zahartowały cnotę cierpliwością. Żaden monarcha tyle nie zniósł, żaden go statkiem nie przewyższył. Wychowany i zrosły na wojnach, w obozach osiwił, z obozu prawie do grobu poszedł. Hojny, roztropny, przystępny, niemściwy, wyrównał przymiotami ludzkości walecznemu sercu, które, acz w drobnym nader ciała obrębie zamknięte, jednym go z największych w świecie królów uczyniło. ★

118. Niepowetowaną stratę, jaką poniosła literatura, nauka i umysłowość polska przez to, że Naruszewicz nie skończył *Historji narodu polskiego*, wynagradza w drobnej części inne jego dzieło, które powstało także z inicjatywy Stanisława Augusta, a które jest pierwszą u nas godną tego

imienia monografią historyczną: *Historija Jana Karola Chodkiewicza, wojewody wileńskiego, hetmana Wielkiego Księstwa Litewskiego (1781)*. Treść tego dzieła, które wartością pod żadnym względem nie ustępuje *Historji*, daje dużo więcej, niż obiecuje tytuł; życiorys bowiem Chodkiewicza osnuł Naruszewicz na tak szerokiem tle dziejowem, że, właściwie mówiąc, napisał historję panowania Zygmunta III, zewnętrzną zarówno, jak wewnętrzną. dając szczegółową opowieść i o tych wypadkach, w których Chodkiewicz nie brał udziału; nieraz sięgał nawet w dalszą przeszłość. Układ jest także kronikarski. Sąd swój o ludziach i wypadkach wypowiada Naruszewicz o wiele częściej, niż w *Historji*. Wielbi Chodkiewicza za jego pobożność, za skromność, za ludzkość wobec nieprzyjaciół, ale nadewszystko za jego patrijotyzm, za składanie prywaty na ołtarzu dobra pospolitego, oraz za ducha rycerskiego, to jest za te właśnie cnoty, których ogółowi narodu za Stanisława Augusta brakowało. Mówiąc np., że się Chodkiewicz ćwiczył od młodości w rzemiośle rycerskiem, że raz, «zgrupadziwszy poddanych, szturmować im do siebie i mocą dobywać kazał», dodaje: «Godna, zaiste, szlachetnej duszy zabawka, różna od wieku naszego próżniackich, a umysł miękczących rozrywek». A nie tylko Chodkiewicza, ale także Żółkiewskiego wynosi Naruszewicz (bardzo słusznie) pod niebiosa. Zamoyskiego natomiast nie lubi, nie może mu darować «ducha republikańskiego, z którego on zawsze równie, jak z dzieł wielkich, chluby szukał, aby się nim narodowi podobał». Lecz nierównie surowiej sądzi autor tych, co się w swych czynach kierowali nie miłością ojczyzny, tylko prywatą, jak np. prymasa Karnkowskiego, któremu słusznie zarzuca to «przestępstwo», «że się poważył prywatną władzą zwołać sejmiki wielkopolskie w Kole na skasowanie sejmowej ustawy o poborze». O nieszczęsnej wyprawie na Moskwę, przedsięwziętej przez rozmaitych, pękających od pychy magnackiej Mniszchów, słusznie pisze, że była ta wojna «prywatną bronią zaczęta, a publiczną nieszczęśliwie dokonana;... ambicyja z chciwością łupu onę zaczęła, intryga dworska i żądza korony carskiej w zazdrośnym synowi ojcu poparła, zawiść wodzów zmieszała, a niedostatek pieniędzy z opieszałością królewską, skaziwszy żołnierskie duchy niezmiernemi obietnicami do nieszczęśliwego kresu przywiodły; zadrzało rozległe carstwo i kłękało już prawie pod zebrany naprzód ledwo z siedmiu tysięcy walecznych awanturzystów orężem: nie dopuścił mu upaść własny Polaków zawrót¹, który dla niesforności swojej, dla ustawicznych zwad, dla niekarnych występków, tak ozdobne początki nikczemnym zakończyli zgonem; i to Europie pokazali, jak mało waży serce, od wszystkich narodów Polakom przyznawane, gdzie rządu, posłuszeństwa i sprawiedliwości nie-masz».

Jeszcze surowiej, a niemniej sprawiedliwie, jak wojnę moskiewską, w którą możnowładcy uwikłali Polskę, sądzi Naruszewicz rokosz Zebrzydowskiego: nie zataja błędów i win Zygmunta III, a i tego nie przemilcza, że nie wybuchłby, gdyby w Polsce była, zamiast nierządu, silna władza królewska, a zamiast różnowierstwa, jedna wiara katolicka; ale to mu nie przeszkadza do poczytania rokoszu za zbrodnię «moźniejszych», którym «wolność obywatelska, religija, obrona praw ojczyrstych, szacowne z istoty swojej rodzaju ludzkiego upominki», służyły tylko «za maskarę dumie, niewdzięczności i innym zdziaczałym niekarnością umysłów namiętnościom».

¹ zamieszczenie, kołowaczna.

Nie poprzestając zaś na tym sądzie o rokoszu, poprzedza Naruszewicz jego historję krótkim rzutem oka na dzieje Polski od Henryka Walezjusza aż do Stanisława Augusta, żeby pokazać, jak haniebną rolę odegrali w nich możnowładcy: «Przemoc możniejszych, szukając pastwy dla ambicyi, a słabszą, choć liczniejszą część narodu pozorem obywatelstwa i utrzymania wolności szlacheckiej ludząc, ustawicznie z berłem za pasy chodzili». A oto jeszcze ostatnie słowo Naruszewicza o rokoszu Zebrzydowskiego: «Poszedł kraj w ruinę, rozlało się krwi obywatelskiej wiele, interesa publiczne... zgola zaniedbane; panowie, zaburzywszy kraj, dali sobie dobre słowo, nie serce. A mądry pomyślił: naco było tyle zawodów, kiedy każdy przy swoim został?» Ani jeden historyk polski przed Naruszewiczem nie mówił tak odważnie swemu narodowi gorzkiej prawdy w oczy.

★ Porównanie Żółkiewskiego z Chodkiewiczem. W obu tych zacnych ludziach, lubo przy różnych natury przymiotach, równą widzieć było sławę i zasługi. Urodzenie, wiek dojrzały, dostatki i pokrewieństwa w obu równe. Znakomitość dzieł rycerskich, czułość i prace, za ojczyznę podjęte — na jednej szali. Chodkiewicz, ciąglem szczęściem i odwagą szwedzkie łamiąc siły, nie mógł mieć tyle zaszczytu w Moskwie dla zawrotu duchów konfederackich i nieposłuszeństwa wojskowego. Żółkiewskiego bitwa Kłuszyńska wpisała w księgi pamięci niezatarte. W obu wysoka rzeczy wojennych znajomość, lecz różne jej używanie. Chodkiewicz, choć porywczy w przedsięwzięciach, w skutku fortunny. Żółkiewski ostrożny bardziej, niżeli skwapliwy. Tamten, gardząc przeciwnościami i niebezpieczeństwem, pomnażał chwałę pracą i czynnością bez folgi. Ten, skąpiej szafując szczęściem, po zgromionych Moskalach piastował bacznie nabytą sławę, aby w czem napotem szwanku nie odniosła. Jeden na radzie i powolności¹ wszystko zaszadzał: drugi szabłą, zapędem a nieoddzielną w poskoku fortuną bitwy najtrudniejsze kończył. Chodkiewicz nic się nie wzdrygał dla bojaźni: Żółkiewski nic nie przedsiębrał dla pomysłnego trafunku. Litewskiego wodza zuchwałą częstokroć żartkość szczęśliwa odwaga w cnotę zamieniała: koronnego opatrzone² na wszystko względy w podejrzenie lenistwa lub bojaźni podawały. Stanisław powolny, litościwy i często prześlągany: Jan Karol ostry, popędliwy, a żołnierskiej rozputy mściciel nieprzejednany. Obu zardzośna nienawiść sięgając, trula serce królewskie. Chodkiewicza barziej się lękali jego nieprzyjaciele, a król uprzejmiej kochał. Wreszcie w obu lekka życia dla sławy cena, równa troskliwość o dobro publiczne, taż sama ku majestatowi wierność i równy prawie zgon za ojczyznę: ten z szabłą w rękę, a z chwalebniemi na twarzy ranami na placu poległ, tamten — w obozie, i ledwo nie we zbroi, śmiercią zwycięstwo zupełne nad zabójcami kolegi poprzedził³. A jako z wysokich i bohatyrskich przymiotów równą pamięć zachowali, tak w onych użyciu, oraz sprawowaniu urzędów barziej sobie równymi, niż podobnymi być zdawali się. ★

119. To, co Naruszewicz, wbrew własnym poglądom na zadania i zakres historii, pomiął w swoim pomnikowem dziele historycznem, mianowicie obyczajowość narodu, stanowi przedmiot niezmiernie cennego i cie-

¹ posłuszeństwo. ² przezorny. ³ po śmierci Chodkiewicza objął dowództwo Stanisław Lubomirski.

kawego dzieła księdza **Jędrzeja Kitowicza** (1728—1804). Pochodził z Wielkopolski. Prosto ze szkół (których zresztą nie ukończył), «udał się», jak sam opowiada w swoich *Pamiętnikach*, «w dworską służbę», później był konfederatem barskim, póki się nakoniec nie wyświęcił na księdza. Miejsca nigdy długo zagrzewać nie lubił, «połowę życia swego rozmaite z miejsca na miejsce odprawując przenosiny»: zjeździł całą Polskę i poznał doskonale jej obyczaje, bywał na wozie i pod wozem, na sejmikach i zjazdach, na polowaniach i ucztach, był doświadczonym gospodarzem, zawołanym myśliwcem, wielkim znawcą i amatorem koni i wina. Pomimo jednak że się pomiędzy ludźmi przecierał i często kąpał w życiu publicznym, niebardzo mu się jakoś w głowie rozjaśniło, — został, czem był: człowiekiem niczego sobie, ale o ciasnej głowie, szlachcicem starej daty, zwolennikiem *liberum veto* i tronu obieralnego, podejrzliwie i niechętnie patrzącym na Komisję Edukacyjną, na uprawnienie mieszczan, na Konstytucję 3 maja i wogóle na wszelkie reformy; powstanie Kościuszki było w jego oczach «rokoszem»; szkoły polskie «upadły» ze zniesieniem zakonu jezuitów; «Polska nie miała szczęśliwszych czasów i podobno mieć nie będzie, jak były pod słodkiem panowaniem Augusta III», — «z jego życiem skończyła się szczęśliwość Polski».

Od młodości myślał Kitowicz o pisaniu pamiętników i w tym celu na luźnych świstkach papieru notował sobie różne zdarzenia, ale dopiero w roku otwarcia sejmu czteroletniego zaczął notatki «w jedną książkę zbierać», i tak powstały jego *Pamiętniki* (wydane dopiero w r. 1840), w które «pokładał nietylko znaczne dzieje, ale i małe zdarzenia» od roku 1743 aż do upadku Polski. Z panowania Augusta III opisał kilka luźnych wypadków, szczegółowo zato opowiedział historję pierwszych lat St. Augusta, mianowicie dzieje konfederacji barskiej, przyczem tak się rozpędził, że jednym susem przeskoczył całe pięć lat po konfederacji, a i potem jeszcze skakał sobie z roku na rok, aż dopiero, kiedy doskoczył do roku otwarcia wielkiego sejmu, zatrzymał się, nabrał tchu i odtąd już do końca zaczął opowiadać szczegółowo — o czasach sejmu czteroletniego, o wojnie z Rosją, o powstaniu Kościuszki, o trzecim rozbiorze. O tem dziele swoim wydaje sam autor sąd taki: «Kto szuka wdzięku stylu i powabnego rzeczy układu, przepraszam, tego u siebie nie mam»; «rzeczy tylko same opisuje, jak się stały, nie podając im... ani przyczyn, z których, ani konsekwencyj, dla których zaszły»; ale «tę nagość i skromność zachowuję tylko w opisowaniu samych dziejów, gdzie piszę, jako świadek; bo gdzie piszę o jakich osobach,... tam piszę, sądząc, nietylko świadcząc»; «wszystko, com w tych pamiętnikach napisał, albom oczami na to patrzył, albom z ust wiarygodnych słyszał,... przeto pismu memu wiara bez bojaźni zawodu może być dana». Ten własny sąd autora jest poczęści słuszny. Prawdą jest, że *Pamiętniki* niewiele posiadają «wdzięku stylu» (choć i milej prostoty opowiadania odmówić im nie można), a układ jest nietylko niepowabny, ale często bardzo nieporządnym, a czasem — groch z kapustą; prawdą jest dalej, że Kitowicz opisuje tylko «rzeczy same», nie pytając ani o ich przyczyny, ani o skutki: o pragmatyzmie nie ma najmniejszego pojęcia; i to prawda, że o różnych osobach wydaje autor swój sąd, ale taki też to i sąd: był Kitowicz człowiekiem podejrzliwym (jak przystało na szlachetkę, który w ludziach, u steru rządu stojących, zawsze wie-trzył zamachy na wolność szlachecką), a do tego łatwowiernym i rozmilowanym w powtarzaniu plotek. Opowiada więc np., że Stanisław August ten

«odartus» obrzydliwy, otrul brata swego, prymasa, że książe Józef brał pieniądze od Prusaków, że Kościuszko stanął na czele powstania, aby się przypodobać księciu Czartoryskiemu, o którego córkę się starał, i t. p. Wszystko to słyszał, oczywiście, Kitowicz od ludzi bardzo niewiarogodnych, od plotkarzów takich samych, jak on, a przelo niezawsze jego *Pamiętnikom* «wiarą bez bojaźni zawodu może być dana». Z tem wszystkiem nie są one bez wartości: oto poznajemy z nich doskonale, jak na wypadki współczesne patrzal i jak sądził ludzi publicznych przeciętny szlachcic, podobny jeszcze trochę, pomimo że liźnal trochę nauki, do owego osła z bajki, co to wdział lwią skórę, ale mu z pod niej osłe uszy wylazily.

Ogromną natomiast wartość, już bez wszelkich zastrzeżeń, posiada inne obszerne dzieło Kitowicza (wydane także dopiero w r. 1840, ale z pominięciem wielu ustępów, a nawet całych rozdziałów): *Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III*. Dzieło to naprawdę niezrównane, jedyne w swoim rodzaju, jako prawdziwe i dokładne zwierciadło obyczajowości staropolskiej «pod słodkiem panowania Augusta III», t. j. w epoce, kiedy obyczaj polski był prawie jeszcze nietknięty przez napływającą już, ale jeszcze powoli, cywilizację francuską. Zaczyna autor od wyszczególnienia «wiar, jakie były w Polsce za Augusta III» (a do których, prócz wyznań religijnych, zalicza także wolnomularstwo i deizm), potem zaś przechodzi do «obyczajności duchownej» (t. j. do obrządków i zwyczajów kościelnych), poczem opisuje «obyczajność» (i nieobyczajność) «światową», t. j. świecką. Wychowanie dzieci od samej kolebki; życie szkolne; życie duchowieństwa, zakonnego zarówno, jak świeckiego; sądownictwo (szczegółowy opis tortur); stan żołnierski; życie dworskie; obyczaje i służba na dworach wielkopańskich, potrawy i trunki; uczty i pijatyki sejmikowe, zjazdy publiczne: stroje męskie i białogłowskie; dworki szlacheckie; łózka i pościelenia, sprzęty domowe, pojazdy i konie; rozrywki i zabawy: zapusty, kuligi, reduty (karnawał w Warszawie), gry szulerskie; obrządki obyczajowe: dyngus wielkanocny, sobótka świętojańska, i t. d., i t. d. — oto co stanowi treść *Opisu*, a wszystko to opisane już nietylko szczegółowo, ale drobiazgowo; miał bowiem Kitowicz pamięć wręcz nadzwyczajną i równie nadzwyczajny zmysł spostrzegawczy. W całej literaturze staropolskiej (nie wyłączając *Polski* Kromera) niema drugiego równie dokładnego i szczegółowego obrazu zwyczajów i obyczajów staropolskich. Warto dodać, że cały jeden rozdział poświęcił Kitowicz «obyczajom chłopskim»; niestety, dochował się jedynie początek tego rozdziału, poświęcony strojom chłopów ruskich, krakowskich i mazowieckich.

Barwy obrazu obyczajowego w dziele Kitowicza nieraz bywają bardzo jaskrawe; tak np. czytamy w rozdziale o ucztach, że «komu się nie dostało serwety, zasłonił się chustką od nosa, choć czasem utabaczoną, co nie gospodarza ani współników bankietu nie obchodziło; z jednej szklanki pili za koleją lub z jednego puhara, nie brzydząc się kroplami napoju, które z wąsów jednego spadały w puhar, podawany drugiemu; biała płeć nawet nie miała mierziączki¹ przytykać swoich ust delikatnych do puhara, w kolej idącego, po wąsach uszarganych...» «Trafiało się i to, że komu, trunku po dziurki (jak mówią) pełnemu, nagle gardło puściło, i postrzelił, jak z sikawki, naprzeciw siebie znajdującą się osobę, czasem damę po twarzy i gor-

¹ obrzydzenie.

sie oblał tym pachnącym spirytusem, co bynajmniej nie psuło dobrej kompanii; niezdrowy, z resztą ekshalacyj¹, uciekł co prędzej za drzwi albo gdzie w ką; dama także, ustąpiwszy nabok, jako tako się napędce ochędożyła, a reszłe w śmiech obrócono, i wszystko znowu do pierwszego ładu powrócilo...» Po uczcie pijani biesiadnicy kładli się pokodem na podłozie i chrapali; ten i ów jednak budził się i wstawał, a wtedy «wydarzały się przypadki, rażące powonienie i wstyd, kiedy jeden z przeladowanym żołądkiem, rozmarzony snem, nie mogąc trafić do drzwi, lada gdzie między śpiącymi złożył ciężar natury albo oblał niepachnącą wodą...» Już to wogóle, podobnie jak Rej, nie obwija Kitowicz w bawełnę; więc pisze np., że za jego czasów «dewotów niewiele bywało», ale «dewotek sto razy więcej, i, wyjąwszy niektóre prawdziwie pobożne, drugie były obłudnice, zwadliwe, plotuchy, oszczerzynie i pijaczki, jak zwyczajnie złe wszędzie się mięsza do dobrego». Nie tai także autor, owsem szczegółowo opisuje różne lajdactwa i zbrodnie, jakich się po pijanemu i po trzeźwemu dopuszczali rozwyrzeni magnaci; opowiada i o tem, jak raz w Toruniu poczubili się z sobą ojcowie reformaci — na kije i sandały, jak strasznie pili bernardyni-kwestarze i t. d. Czasem, znowu podobnie jak Rej, zabarwia Kitowicz swój opis obyczajów wesółym humorem, np.: «Zdarzało się, acz rzadko, że panny płochy-pobożne skrycie ubierały się w kapy, na suknią męską włożone, łączyły się z kapnikami i wraz z nimi publiczną czyniły dyscyplinę; jako jednak z natury są miłosierne, tak się też i nad swoim ciałem pastwić nie raczyły, głaszcząc się raczej miętką dyscypliną po plecach, niż bicząc, a ciałem delikatnem i koszulą cienką wizerunek miłosny, zamiast pokutnego, wystawując».

★O jasełkach. Mamy wiadomość z Ewangelii, że Chrystus, narodzony w stajni, złożony był *in praesepio*². *Praesepie*³ znaczy w polskiej mowie żłób; jasła zaś zowią się zagrody pod żłobem, gdzie słomę, na podściel pod konie służącą, kładą; mówią się też jasła, kiedy w oborach, w których bydło stawa, niemasz żłobów, tylko w takie zagrody, z deszczek zrobione, kładą dla bydła słomę i syją sieczkę. Ten, co pierwszy wymyślił jasełka, o których niżej będę pisał, rozumiał że jasła i żłób są imiona, jedną rzecz znaczące, tę samą, co słowo łacińskie *praesepe*, przeto lalkom swoim, trafikom⁴ dziecinny, któremi wyrażał narodzenie Chrystusowe, nadał imię jasełka.

Które kiedy nastaly do Polski, nie wiem; jak jednak pamięcią zasięgam, we wszystkich kościołach były używane. Obchodzono je tak, jak groby wielkopiątkowe, lubo mało co ludzie stateczni, tylko najwięcej matki, mamki i piastunki z dziećmi, studenci z dyrektorami⁵ i młodzież doroślejsza obojej płci, pospółstwo zaś drobne niemal wszystko.

Pomienione jasełka były to ruchomości małe, ustawione w jakim kącie kościoła, a czasem zajmujące cały ołtarz, niżej i wyżej po bokach, tylko jedną mense⁶ ołtarzową nie zaprzątniąoną sobą zostawując dla odprawienia Mszy świętej wolną. Była to wpośród szopka mała na czterech słupkach. daszek słomiany mająca, wielkości na szerz, dłuż i na wysokość łokciowej;

¹ wzyewy, wymioty. ² w żłobie. ³ albo: praesepium. ⁴ trafik = wyrób, fabrykacja. ⁵ t. j. uczniowie ze swymi opiekunami (także uczniowie klas wyższych). ⁶ wierzchnia deska ołtarza.

pod tą szopką zrobiony był żłobek, a czasem kolebka wielkości ćwierć łokciowej. W tej lub w tym osóbka Pana Jezusa z wosku, albo z papieru klejonego, albo z irchy lub płótna, konopiami wypchanego, uformowana, w pieluszki, z jakich płatków bławatnych i płóciennych zrobione, uwiniona. Przy żłobku z jednej strony wół i osiel z takiejż materji, jak i osóbka Pana Jezusa, ulane lub utworzone, klęczące i pachaniem¹ swoim Dziecinę Jezusa ogrzewające, z drugiej strony — Maryja i Józef, stojący przy kolebce, w postaci nachylonej, afekt natężonego kochania i podziwienia wyrażające. W górze szopki, pod dachem i nad dachem, aniołkowie, unoszący się na skrzydłach, jakoby śpiewający: *Gloria in excelsis Deo*. Toż dopiero w niejakięj odległości jednego od drugiego pasterze, padający na kolana przed narodzoną Dzieciną, ofiarujący Mu dary swoje, ten masła garnuszek, ów — serek, inny — baranka, inny — kozłę; dalej za szopą po obu stronach pastuszkowie i wieśniacy, jedni pasący trzody owiec i bydła, inni śpiący, inni do szopy spieszący, dźwigający na ramionach barany, kozły. Między któremi osóbki, rozmaity stan ludzi i ich zabawy wyrażające: panów, w karetach jadących, szlachtę i mieszczan, pieszo idących, chłopów, na targ wiozących drwa, zboże, siano, prowadzących woły, orzących pługami, sprzedających chleby, szynkarki, różne trunki szynkujące, niewiasty robiące masło, dojące krowy, Żydów różne towary do sprzedania na ręku trzymających, i tym podobne akcje ludzkie.

Gdy zaś nastąpiło święto Trzech Królów, tedy przystawiano do tych jasełek osóbki pomienionych świętych, klęczących przed narodziłym Chrystusem, ofiarujących Mu złoto, myrrhę i kadzidło, a za nimi orszaki ich dworzan i asystencyj rozmaitego gatunku: Persów, Arabów, Murzynów, laurów², masztalerzów³, prowadzących konie pod bogatemi siadzeniami, słoniów, wielbłądów. Toż dopiero wojska rozmaitego gatunku: jedne piesze, murzyńskie i białych ludzi, namioty porozbijane, nakoniec przez imaginacyją, za związek rzeczy występującą, regimenta uszykowane polskiej gwardyi, pruskie, moskiewskie, armaty, chorągwie jezdne, usarskie, pancerne, ułańskie, kozackie, rajtarskie⁴, węgierskie i inne rozmaite.

Na takie jasełka sadzili się jedni nad drugich, najbardziej zakonnicy. Celowali zaś innych wszystkich wielością i kształtnością kapucyni. A gdy te jasełka, rokrocznie w jednakowej postaci wystawiane, jako martwe posągi, nie wzniewały w ludziach stygnącej ciekawości; przeto reformaci, bernardyni i franciszkanie dla większego powabu ludu do swoich kościołów, jasełkom przydali ruchawości, między osóbki stojące mieszając chwilami ruszane, które przez szpary w ruszłowaniu, na ten koniec⁵ zrobione, wytykając na widok, braciszczkowie zakonni lub inni posługacze klasztorni rozmaite figle niemi wyrabiali. Tam Żyd wytrząsał futrem, pokazując go z obu stron, jakoby do sprzedania, które nadchodzący zniemacka żołnierz Żydowi porywał; Żyd futra z ręki wypuścić nie chciał, żołnierz Żyda bił, Żyd, porzuciwszy futro, uciekał, żołnierz wydarte futro Żydowi przedawał nadchodzącemu mieszczaninowi, a wtem Żyd skrzywdzony pokazał się z żołnierzami i instygatorem⁶, biorącym pod wartość żołnierza, sprzedającego futro, i mieszczanina kupującego. Gdy tak scena zniknęła, pokazała się druga, naprzykład: chłopów pijanych, bijących się pałkami, albo szynkarka tań-

¹ wachanie, oddech. ² chłopiec biegający. ³ stajenny. ⁴ konne, w uzbrojeniu niemieckiem. ⁵ w tym celu. ⁶ oskarżyciel sądowy (prokurator).

cująca z gachem, potem od dyjabła razem porwani, albo śmierć z dyjabłem, najprzód łańcujące, a potem się bijące z sobą i w bitwie znikające; to znowu musztrujący się żołnierze, tracze, drzewo trący, i inne tym podobne akcje ludzkie, do wyrażenia łatwiejsze, które to fraszki dziecinne tak się ludowi prostemu i młodzieży podobały, że kościoły napelnione bywały spektatorem, podnoszącym się na ławki i na ołtarze włączającym; a gdy ta zgraja, tłocząc się i przemykając jedna przed drugą, zbliżyła się nad metę założoną do jaselek, wypadła wtenczas z pod ruszlowania, na którym stały jasełka, jaki sługa kościelny z prętem i, kropiąc nim żywo bliżej nawinionych, nową czynił reprezentacją, dalszemu spektatorowi daleko śmieszniejszą od akcyj jasełkowych. ★

*** Z rozdziału o wychowaniu.** Lubo niektóre dzieci pojętniejszych zmysłów od pięciu lat zaczynało uczyć czytać w domu, nie oddawano ich atoli powszechnie do szkół, aż w roku siódmym zaczęłym lub skończonym... W szkole parochijalnej¹ uczono samych chłopców... Kara szkolna na tych, którzy się uczyć nie chcieli, albo swawolą jaką popelnili, była: niedopuszczenie jedzenia obiadu, klęczenie albo plagi. Instrumenta kary: placenta, t. j. skóra okrągła gruba, w kilkoro złożona, na dłoń ręki szeroka, na trzonku drewnianym obdłużnym² osadzona, którą za omyłki w czytaniu lub namięć tego, czego się nauczyćznaczono, odmawianiu, biło w rękę; za zupełne nienauczenie się wydziału swego lub za swawolę albo inne przestępstwo praw szkolnych instrument kary — różga brzoźowa albo dyscyplina, pospolicie rzemienna, u surowszych zaś nauczycieliów z sznurków nicianych tego spleciona, siedm lub dziewięć odnóg mająca, którą to różgą lub dyscypliną bito w tył obnażony, uderzając najmniej trzy, a najwięcej piętnaście razy, według przewinienia, według cierpliwości ciała i według surowości lub łagodności nauczyciela. Na sporszych chłopczaków, więcej nad lat siedm starszych, używano kańczuga; był to rzemień twardy, innym rzemieniem tego pleciony, w trzonku drewnianym osadzony, na łokieć długi, jak cepy chłopskie składany; a tym nie bito na ciało, któreby kaleczył, ale przez suknie, a przynajmniej przez spodnie, a i tak, silno przyłożony, dosyć bólu zadawał. Znajdowały się atoli tak twardego ciała dzieci, że kańczugowe plagi w gole ciała wytrzymowały bez naruszenia skóry, tylko sinemi dęgami³ się karbuujące; lecz te, które miały tak twarde ciało, były też pospolicie równie tępych zmysłów i małe w naukach czyniły postępy, nieukowie, niechlujowie, na wszystkie przykrości wytrzymali. Jeszcze był jeden rodzaj kary w szkole parochijalnej, a ten mało gdzie używany: kiedy który chłopiec poblizszym wedle siebie zapachem nieprzyjemnym poczęstował, tedy oskarżony musiał się sam dobrowolnie położyć na stołku, na środku szkoły wystawionym; tam każdy współstudent, zdjawszy but z nogi, uderzył go raz cholewą, i to była kara wstydzająca, nieboląca, występkiówna.

Przekrzesanych w szkole parochijalnej w pierwszych rudymentach⁴ łaciny oddawano do szkół publicznych, jezuickich lub pijarskich... Wszyscy panowie i szlachta, i panowie najwięksi oddawali dzieci swoje do szkół; edukacja i karność dla wszystkich była równa bez względu na panicza i chudego pacholka, na szlachcica i mieszcanka albo chłopka. Paniczowie, co do szkolnych obowiązków z najchudszymi zrównani, mieli jednak tę dla siebie

¹ parafjalny. ² przydłuższy. ³ pręga. ⁴ początki.

preferencyją¹, że zasiadali w szkole pierwsze ławy, chyba że się który źle uczył, to poszedł *ad scamnum asinorum*². Była to ława przy piecu, tak nazywana dla tych, którzy się uczyć nie chcieli; a jeżeli i taka degradacyja nie pomagała gnuśnemu, wdziewano mu na głowę słomianą koronę; na ostatni zaś bodziec do nauki oprowadzano go w takiej koronie po wszystkich szkołach³, wołając za nim: *asinus asinorum in saecula saeculorum*⁴, do której ostatniej, a nieznośnej hańby ledwo kiedy przychodziło; jeżeli który doszedł korony słomianej, już się tak pocił i mozolił z książką wszystkimi siłami, że oprowadzenia uniknął i wkrótce się z ławicy osłej wydobył, abdykowawszy⁵ słomianą koronę kołkowi, na którym ona zawsze wisiała, wiele razy głowy do niej nie było; zapatrywali się na nią leniwi do nauki, jak na straszdyło, chętni zaś, jak na figiel, dla śmiechu wymyślony...

Nie dosyć było przez kary przymusić gnuśnych, aby się koniecznie uczyli. Starali się jeszcze po wszystkich szkołach nauczyciele sztucznymi, a najskuteczniejszymi sposobami zapalić w studentach taką chęć do nauki, któraby ich nie dla bojaźni kary, ale dla punktu honoru do onejże pobudzała. Wymyślono tedy emulusów, po polsku zazdrośników⁶, dzieląc całą szkołę na pary, jednego przeciw jednemu, wyrzuciwszy ostatniego, jeżeli nie miał pary, który uniknął emulacyi, ale miał zato pilniejsze nad imych na siebie oko profesora. Ci tedy emulusowie przesadzali się we wszystkim jedni nad drugich, a który nad swoim przeciwnikiem bądź w leceyi, bądź w jakim zapytaniu zniecka zadaniem, bądź w pisaniu okupacyi⁷ otrzymał górę, za sądem profesora miał wolność karać zwyciężonego przeciwnika, co bardziej gniewało i wstydziło, niż bolało, zatem do oddania za swoje przez przesadzenie w nauce pobudzało.

Druga emulacyja była powszechna: jednej połowy szkoły przeciw drugiej połowie. Jedna strona szkoły nazywała się *pars romana*⁸, i ta była starsza; druga strona zwała się *pars graeca*⁹, i ta była młodsza... Nad każdą stroną na ścianie w tyle ławek wisiała tablica z napisem strony, której służyła, t. j. *pars graeca, pars romana*. Jeżeli jedna strona popisała się lepiej w leceyi szkolnej, niż druga, albo przeciwnej stronie zadała taką trudność, iż jej owa strona rozwiązać nie umiała, a zadająca strona rozwiązała ją sama z pochwałą profesora — tedy w takowym i tym podobnym razie profesor zwyciężającej stronie nadawał pochwały: *decem laudes, centum laudes, quinquaginta laudes, mille laudes*¹⁰. Otóż takie *laudes* strona od profesora biorąca zapisowała na swej tablicy, zbierając je przez cały tydzień lub miesiąc według obfitości lub niedostatku. Gdy przyszła sobota lub ostatni dzień miesiąca, rachowały się z sobą strony: mająca więcej rugowała z ławek mająca mniej, przesiadując się na jej miejsce, a swego stronie zwyciężonej ustępując... Która strona wygrała, zawsze się pisała *pars romana*, a która przegrała, musiał przyjmować imię *partis graecae*, chociażby przed przegraniem była *pars romana*... I to był cały zysk wygranej... a przecież ambicyja w studentach do pierwszeństwa podzęgało. ★

★ **Zapusty. Kulig.** Dwóch albo trzech sąsiadów zmówili się z sobą, zabrali z sobą żony, corki, synów, czeladź służącą i co tylko mieli w domu do-

¹ przywilej. ² na osłą ławkę. ³ t. j. klasach. ⁴ największy osiel ze wszystkich osłów na wieki wieków. ⁵ abdykować co = ustępować czego. ⁶ *aemulus* znaczy dosłownie: współzawodnik. ⁷ ćwiczenie. ⁸ część rzymska. ⁹ część grecka. ¹⁰ dziesięć pochwał, sto pochwał, pięćdziesiąt pochwał, tysiąc pochwał.

rosłego, nie zostawując w nim, tylko małe dzieci pod dozorem jakich dwojga osób, mężczyzny i niewiasty. Sami zaś, wpakowawszy się na sanki, albo, gdy sanny nie było, na kołaski, karety, wózki, na konie wierzchowe, jak kto mógł jechali do sąsiada poblizszego, ani proszeni od niego, ani przestrzegałszy go, żeby się nie skrył albo nie ujechał z domu. Tam go zaskoczywszy, rozkazywali sobie dawać jeść, pić, koniom i ludziom, bez wszelkiej ceremonii, właśnie jak żołnierze na egzekucyi, póty u niego deboszując¹, póki do szcztetu nie wypróżnili mu piwnicy, spiżarni i śpichlerza. Gdy już wyżarli i wypili wszystko, co było, brali owego nieboraka z sobą, z całą jego familiją, i ciągnęli dalej, aż póki w kolej do tych, którzy zaczęli kulig, nie doszli... Poczynaly się te kuligi zwyczajnie w przedostatni tydzień zapustny i trwały do wstępnej środy. Że takowe kuligi najwięcej bawiły się pijatyką i obżarstwem, przeto, mniej dbając o tańce, przestawali na jakim takim skrzytku, czasem z karczmy porwanym albo między służącą czeladzią wynalezionym; chyba że gospodarz miał swoją domową kapele, albo też, rozochocony, posłał po nią gdzie do miasta...

Tak na kuligu, jako też i bez niego, w kuse dni zapustne (tak bowiem nazywano ostatnie trzy dni zapustne) przestrajali się i przekształcali w różne figury: mężczyźni za Żydów, za Cyganów, za olejkarzów, za chłopów, za dziadów; niewiasty zaś podobnie — za Żydówki, za Cyganki, za wiejskie kobiety i dziewczki, udając mową i gestami takie osoby, jakich postać na siebie brali. W ostatni zaś wtorek jeden z między kompanii ubrał się za księdza, włożywszy na suknię, zamiast komży, koszulę, a zamiast stuły, pas na szyi zawiesiwszy, stanął w kącie pokoju na stolku, kobiercem, do ściany przyszytym, wpół pasa zasłoniony, wydając się jak w ambonie, miał kazanie z jakiejś śmiesznej materyi. I to było już po skończonych tańcach naksztall pożegnania zapustnego.

Po wieczery mięsnej w ostatni wtorek dawali około godziny dwunastej północnej mleko, jajca i śledzie, przygrywając niejako temi potrawami następującemu postowi i niby po stopniach od mięsa przez nabiał do niego przystępując. Ta maślana kolacyja zwała się podkurek; była wszędzie w użyciu, tak w wielkich domach, jako też w małych.

Po wielkich miastach w wstępną środę czeladź jakiego cechu, poubierawszy się za dziadów i Cyganów, a jednego z między siebie ustroiwszy za niedźwiedzia czarnym kozuchem, futrem, na wierzch wywróconem, okrytego i około nóg czysto, jak niedźwiedź, poobwiązywawanego, wodzili od domu do domu, różnych figlów z nim dokazując, któremi grosze i trunki z pospólstwa, chciwego na takie widoki, wydłużali...

Zaś przy kościołach, w wstępną środę, po miastach chłopcy, studenci-kowie czatowali na wchodzącą do kościoła białą płeć, której przypinali na plecach kurze nogi, skorupy od jajec, indycze szyje, rury wołowe i inne tym podobne materklasy²; tak zaś to sprawnie robili, że tego osoba dostająca nie czuła, bo to plugastwo było uwiązane na sznurku lub nici, do której końca była przyprawiona szpilka, zakrzywiona jak wędka; więc chłopiec, do takich figlów wyćwiczony, byle się dotknął ową szpilką sukni, wraz i figla na osobie zawiesił. A ta, nic o tem nie wiedząc, pięknie przybrana i częstokroć będąca dystyngwowaną, postępowała w kościół z dobrą miną, gdy tymczasem

¹ bawiąc się, pijąc i żrąc (dosłownie: oddając się rozpuście).

² graty.

wiszącym na plecach kawalcem pustym głowom śmiech z siebie czyniła, którym się i sama, nakoniec od kogo roztropnego uwolniona od wisielca, zarumienić musiała. ★

*** Z rozdziału o trunkach i pijatykach.** ...Nic to było u niego (u Karola Radziwiłła, wojewody wileńskiego) strzelić w łeb człowiekowi, jak psu. Lecz takie przypadki można poczytać za ordynaryjne¹ w domu i familii Radziwiłłów. Tak robili stryjowie i bracia jego, wyjąwszy ojca, hetmana Wielkiego Księstwa Litewskiego, który tak trzeźwy, jak pijany, był bardzo powolnej natury. Zabójstwa więc, w pijaństwie popełniane, nie jemu samemu (t. j. Karolowi) właściwe, nie dystyngwowały go², ale się dystyngwował najszkaradniejszymi akcjami, publicznie w największej kompanii popijaniu popełnianymi... Skropić kijem ztyłu nieznacznie, pijącemu przybić kielich do gęby aż do zachłystnienia, nalać ztyłu za kołnierz wino leniwo pijącemu, dwóm rozmawiającym z sobą zbliżka zetknąć głowy silnie aż do wytryśnienia guzów na czołach, wyrządzać figle sztuczne z obrazą wstydu białej płci — to było najmilszą zabawą Radziwiłła. Ztrudna kto z jego kompanii wyszedł bez podobnej wyżej wyrażonej obrywki. Ale, że tak był szczodry w podarunki, jak był obfity w psoty, nikt się na to nie skarżył. Rozdawał konie z rzędami, pasy bogate, pałasze, pistolety, zegarki, tabakierki i inne rozmaite bogate sprzęty tym, którzy go przyjmowaniem skwierkliwym³, ale nie gniewliwym bolących jego żartów bawić umieli. Wsie nawet dożywociem i całe klucze niskim kontraktem puszczał swego deboszu⁴ i rozpusty wiernym kolegom. Najgorszy i najokropniejszy żart zrobił z Paca, pisarza Wielkiego Księstwa Litewskiego, wielkiego swego faworyta i wszelkich rozpust swoich nieodstępного kolegi. Temu jednego razu grubjańskimi igraszkami swemi tak dokuczył Radziwiłł, że, nie mogąc ich ścierpieć dłużej, Pac pogroził mu pojedynkiem. Ale Radziwiłł, niechcąc z nim rozrywać przyjaźni, a chcąc go nastraszyć za ową groźbę, udał, jakby się o nią szalenie na Paca rozgniewał, kazał go natychmiast porwać, w kajdany okuć i wtrącić do więzienia. Nazajutrz kazał go ubrać w śmiertelną koszulę, wyprowadzić na plac w asystencyi kata i księdza i dysponować na śmierć. Wszyscy przyjaciele Paca i Radziwiłła struchleli na ten widok, rzucili się Radziwiłłowi do nóg za Pacem, który łzami i lamentami prosił go także o miłosierdzie; ale Radziwiłł, udając zapalczą cholere i czyniąc się głuchym na wszystkie prośby, naglił na Paca, aby klęknął pod miecz, z którym mistrz stał mu nad karkiem. Nareszcie, gdy Pac prosił jeszcze o moment do poprawienia spowiedzi, Radziwiłł, będąc już syt żartu, skoczył do Paca z miłym uśmiechem: «A widzisz, a widzisz, ja ciebie lepiej nastraszył, niż mię ty pojedynkiem!» Poprowadził tedy Paca na pokoje w śmiertelnej koszuli, tak, jak był na placu, tam mu zaraz ofiarował za ten żart wielki prezent, łoż dopiero gala wielka i pijatyka na cześć takiego konceptu. Pac, naturalnie, śmiercią zmieszany, a potem nagłą radością przejęty, przymuszony będąc w takiej rewolucyi krwi do pijatyki, wpadł w chorobę i trzeciego dnia umarł.

Zadziwi się mój czytelnik, jakim sposobem takie ekscesy kryminalne płazem uchodziły. Uwolnię go natychmiast z podziwienia przypomnieniem prawa polskiego, które zabójcy rozmyślnemu, szlachcicowi, okupić głowę za-

¹ zwykły. ² nie odróżniały go od innych Radziwiłłów. ³ piskliwy, płaczliwy. ⁴ zabawy, ucztę, pijatyki.

bitego szlachcica pozwalało. Cóż dopiero mówić o zabójstwach, w pijaństwie popelnionych! cóż dopiero o żartach, szkodliwych na czas, ale niekoniecznie śmierć przynoszących! Zapłacono, zagodzono familiją, i na tem się skończyło. Jeżeli zaś nieszlachcic stracił życie z ręki lub łaski pańskiej, próżna odezwa do prawa, które chłopską głowę nie drożej, jak na sto złotych, otaksowało. Każdy zaś, kto nie był szlachcicem, był poczytany za chłopa, chociażby był mieszczaninem albo najbogatszym plebejuszem. ★

120. Skarży się «chudy literal» Naruszewicza, że «w naszym kraju jeszcze ten dzień nie zawitał, — żeby kto w domu pisma pożyteczne czytał». Niebawem skarga ta przestała być prawdą: ukazał się pisarz, który o pożytecznych rzeczach pisał tak jasno, a zarazem tak powabnie, jak nie pisano w Polsce od czasów Kochanowskiego i Górnickiego; pisarz, który wdziękiem swego pióra oczarował i zmusił do czytania wszystkich; wierszy jego uczono się na pamięć, a niektóre jego wyrażenia przetrwały do dziś dnia, jako przysłowia lub zwroty potoczne, np.: «Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty»; «Dla was jest to igraszka, nam idzie o życie»; «Winszuję, ale nie zazdroszczę»; «Mimo tak wielkie plci naszej zalety, — my rządźm światem, a nami kobiety»; «Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły». Autorem tym jest «książę poetów stanisławowskich», najznakomitszy bajkopisarz i satyryk polski, krzewiciel światła i odrodziciel piękna w literaturze naszej, książę biskup warmiński (a później, od r. 1795, arcybiskup gnieźnieński), **Ignacy Krasicki**, urodzony dnia 3 lutego r. 1735 w Dubiecku nad Samem, zmarły 14 marca r. 1801 w Berlinie, gdzie do dziś dnia spoczywają jego prochy (w kościele św. Jadwigi).

Od dziecka odznaczał się wielkimi zdolnościami i ochotą do nauki, a nadto pociągami do pisania wierszy: układał pieśni pobożne, żeby sprawić radość matce, którą ubóstwiał i o której, kiedy go osierociła, mawiał, że «nie o nią, ale do niej modlić się należy». Rodzice (Jan, kasztelan chełmski, i Anna ze Starzechowskich), pochodzący oboje ze starych i znakomitych, ale majątkowo podupadłych rodów, aż czterech z pośród swoich pięciu synów przeznaczyli na księży, nietylko ku chwale bożej, ile w nadziei, że choć jeden, osiągnąwszy wysokie i zyskowne godności kościelne, nietylko podźwignie majątkowo liczną rodzinę, ale i cały ród okryje świetnością. Tym jednym był właśnie książę biskup warmiński. Szybko zrobił bajeczną karierę: ledwie ukończył nauki (na dworach wielkopańskich, we lwowskiej szkole jezuickiej i w seminarjum warszawskim), posypały się nań różne godności, a to dzięki poparciu możnych przyjaciół, na których temu dziecku szczęścia nigdy nie zbywało. Ale bo też był to mistrz nad mistrzami w jednaniu sobie ludzi — swą przyrodzoną łagodnością i dobrocią, uprzejmością i ogromną kulturą towarzyską, złotym humorem i, jak świadczy jego synowiec, «najprzyjemniejszym w społeczeństwie, od młodości najzabawniejszym» dowcipem, nie mówiąc już o «pięknej figurze i twarzy», o czarnych, błyszczących oczach i ustach, z których rzadko kiedy schodził uśmiech, napół złośliwy, napół łagodny. Uśmiech ten błakał się na jego ustach jeszcze w przeddzień śmierci. «Gdy w letarg wpadł i już sądzono, że się nie obudzi, ocknął się, a widząc wielu księży biskupów w pokoju, rzekł do nich: «Mości księża biskupi, prałaci, darujcie, żem dotąd nie umarł, nie bójcie się, niedługo wam będę zawadzał». Nie dziw, że nietylko rodzina, dla której był najlepszym synem i najczulszym bratem, ale i ludzie obcy, dla

których «chęć dobrze czynienia miał wrodzoną» kochali się w nim nazabój. Nosił go na rękach sam król, tem więcej, że wiele go węzłów z nim łączyło: i ogląda towarzyska, i wykształcenie, i miłość nauki, i znajomość charakteru narodowego, i subtelny zmysł estetyczny, i dobroć, i... słaby charakter. Otóż ze wszystkich przyjaciół Krasickiego najgorliwiej zajął się jego karierą Stanisław August: mianował go swoim kapelanem, kazał mu wygłosić kazanie podczas koronacji, potem zrobił go prezydentem trybunału lubelskiego, a wkrótce, pragnąc go mieć przy swoim boku, w senacie, — biskupem warmińskim (w trzydziestym drugim roku życia!). Marzenie rodziców się ziściło. Majątkowo nie dźwignął wprawdzie Krasicki swojego rodu: był bardzo hojny dla rodzeństwa (i wogóle dla ludzi), ale cóż z tego, kiedy, rozkochany w życiu wystawnem i zbytkownem, nieraz sam po uszy siedział w długach. Kościół niezbyt wielką miał z niego pociechę: prawda, że jako biskup warmiński, troszczył się pilnie o dobrobyt materialny swojej diecezji i czuwał nad moralnością podwładnego sobie duchowieństwa, ale sam ani czystością obyczajów, ani wogóle gorliwością w służbie bożej nie jaśniał. Złośliwy wierszyk, krążący w Warszawie podczas sejmu roku 1767, kiedy to Krasicki, jako świeżo upieczony biskup warmiński, zasiadł po raz pierwszy w senacie, krzywdził go posądzeniem o indyferentyzm religijny, ale nie był pozbawiony cząsteczki prawdy: «Biskup warmiński, gładysz, gładkich sentymentów, — nie lubi mieć za wiarę trudów i zakrętów; — czyli w tej, czyli w onej żyć dla niego jedno, — lepiej jednak w rozkoszy, niżby było biedno; — ten nowomodny galant mszy nigdy nie miewa, — tylko zawsze z damami *sursum corda* śpiewa». Nie majątkiem tedy i nie mitrą biskupią uświetnił Krasicki swój ród, tylko zasługą, jaką położył dla ojczyzny, zasługą takiego rodzaju i tak wielką, wręcz nieśmiertelną, o jakiej się z pewnością żadnemu z jego przodków, ani jego rodzicom nigdy nawet nie śniło.

A zasłużył się Krasicki ojczyźnie, nie jako mąż stanu i nie żeby jej całe swoje serce oddał. Mężem czynu nie był nigdy; w sprawach politycznych, chociaż go król gwałtem do nich ciągnął, żadnej roli nie odegrał i odegrać nie chciał, bo polityki nie cierpiał, nie dlatego, żeby się na niej nie znał (przeciwnie, znał się dobrze), ale że wiedział, iż działalność polityczna mąci człowiekowi pogodę ducha, nie pozwala mu zażywać wygody i swobody, a te kochał i cenił ponad wszystko. Bo mimo liczne i wielkie swe przymioty był to, nazywając rzecz po imieniu, samolub i wygodniś; bał się, jak ognia, wszelkich kłopotów, zajęcia obowiązkowe nazywał «zakłóceniami» (!!), lubił zato, jak sam powiada, «jeść dobrze, pić smaczno i bawić się w dobranem towarzystwie». Pioruny były w ojczyznę, świat się do góry nogami przewracał, — on nie tracił wrodzonej pogody ducha, która stanowi najznamienniejszą cechę jego usposobienia; zawsze wesóły, uśmiechnięty, powtarzał sobie swoją ulubioną maksymę Kochanowskiego: «Niech drudzy za lby chodzą, a ja się dziwuję». Kiedy wskutek pierwszego rozbioru Polski Warmja przeszła pod panowanie pruskie, kiedy i on przestał być obywatelem Rzeczypospolitej, i wtedy mu się nawet nie zakrwawiło serce; z łatwością zdobył się na rezygnację, mówiąc sobie: «Nietrwałość ludzkiej roboty znamieniem, — moment ją stawia i psuje. — Idą w łup czasu, za dzielnem wzruszeniem, — i gmach, i ten, co buduje; — i dąb stuletnim niemocem korzeniem: — przyjdzie grom, z ozdób wyzuje. — Pył śmiertelności, na piętno poddaństwa, — przysypał wianem moczarze i państwa». Czasem wprawdzie odzywało się serce, mó-

wiać: «Niech podły służy, niech zyska na panach! — Milsza śmierć wolna, niż życie w kajdanach!... Wspaniały umysł działać ma inaczej: — bronić ojczyznę i zginąć!» Lecz nie poszedł Krasicki za tym głosem. Nie zaprotestował nawet moralną powagą biskupa przeciwko zbrodni i nie tylko złożył, wraz ze swoją kapitułą, hołd Fryderykowi Wielkiemu, ale nadto służył mu czasem z większą uległością, niż biskupi-Niemcy: oto, kiedy Fryderyk, wbrew papieżowi, nie chciał kasować w swoim państwie zakonu jezuitów, Krasicki złożył najpoddanejsze oświadczenie, że się zgadza z wolą królewską, pomimo że dwaj biskupi-Niemcy odmówili jej posłuszeństwa. Niedosyć na tem. W swej rezydencji biskupiej, w Heilsbergu, po dawnemu bawił się i hulał, oddawał się z tym samym, co dawniej, zapalem ogrodnictwu, za którym przepadał, po dawnemu zaciągał długi na stare wina i smakołyki, którymi częstował swoich gości — oficerów i dostojników pruskich!... W Warszawie bywać przestał, bywał zato w Berlinie i Poczdamie, na dworze swego nowego monarchy, z którym był w jak najlepszej komitywie, bo i jego swym wdziękiem oczarował: nazywał go «staruszkciem wesołym, miłym, grzecznym»; raz, pisze do brata, «siedzieliśmy cztery godziny u stołu; tak się zdania rozkomośli i mnie tak rozchichotał, żeśmy się śmiali, jak dzieci, i napowiadaliśmy sobie bajek z półtorej kopy». Aż smutno pomyśleć! Podczas sejmku czteroletniego wpadł do Warszawy, ale nie zapalił się do jego pracy patriotycznej, owszem, nie wierząc w jej skuteczność, ledwie sobie z niej nie żartował; dla uczczenia pierwszej rocznicy Ustawy majowej napisał hymn, ale zimny, jak lód; podczas powstania Kościuszki nawoływał naród do ratowania honoru i ojczyzny: «Nuże, cnotliwa czeladko! albo ginny wszyscy, albo bądźmy wolnymi»; ale był to zapal nieszczery: nie wierzył Krasicki w powodzenie powstania, co go jednak o smutek, a cóż dopiero o rozpacz, nie przyprawiło: «My jednakże będziemy weseli na złość temu wszystkiemu, co się dziać będzie».

Takim to człowiekiem był książę biskup warmiński. Miał wprawdzie wielkie zalety nie tylko umysłowe, ale i moralne; prawdę powiedział o nim jeden z kanoników warmińskich: «Sławny przez rozum, przymioty, talenta, — żył z sługi, jak ojciec z syny; — pełen dobroci, pełen pobożania, — grzeczny pan, choć uczony, — był kochany i czczony». A prócz wielkiej dobroci dla ludzi posiadał jeszcze Krasicki tę, bardzo rzadką w XVIII wieku, zaletę, że ludziom nie schlebiał, i to nie tylko równym sobie, ale i możnym tego świata: nie szczędził im wprawdzie wytwornych komplementów, ale się przed nimi nie uniazał, i nie są kłamstwem te jego słowa w satyrze *Do króla*: «Nie mówię tu z pochlebstwa: gardzę tem rzemiosłem, — wiesz, Panie Miłościwy, iż niem nie urosłem». Człowiekiem jednak charakteru nie był Krasicki, albo, jeśli kto woli, był to charakter nie lichy wprawdzie, owszem, raczej szlachetny, ale słaby, bardzo słaby, brakło mu bowiem i silnej woli, i silnej uczuciowości, któraby woli nakazywała posłuch: było to serce dobre, ale nie gorące, niezdolne ani do nadmiernej radości, ani do głębokiego smutku, a tem mniej do poświęcenia. Pod tym względem był on nieodrodnym dzieckiem wieku oświeconego, wieku rozsądku, ale nie serca, rozumu, ale nie cnoty. A jednak byłoby wielką niesprawiedliwością mówić, że Krasicki nie kochał ojczyzny; kochał ją w miarę sił swoich: nie mógł jej dać gorącego serca, bo go nie miał, dał jej to, co miał: rozum i talent; a te pozwoliły mu spełnić wielki czyn patriotyczny: są nim jego pisma, w których ukazuje się on po

pierwsze, jako mądry i zacny nauczyciel narodu, a po drugie, jako utalentowany pisarz i wielki artysta.

120. Jego spuścizna literacka jest bogata i niezmiernie różnaita: artykuły dziennikarskie, feljetyony i rozprawki moralne, społeczne, estetyczne i t. p.; małe powiastki i duże powieści; encyklopedia powszechna, pierwsza poważna w Polsce, i, także pierwsza w Polsce, historia poezji powszechnej; opisy podróży i pisma historyczne; życiorysy znakomitych mężów i rozmowy zmarłych; sentencje i aforyzmy; bajki, satyry i listy poetyckie; drobne wiersze; poematy żartobliwe i poemat bohaterski; komedje i drobny urywek tragedji historycznej (o Zygmunście Auguście i Barbarze Radziwiłłównie)! Słowem, nie było niemal rodzaju literackiego, któregoby Krasicki nie uprawiał. A niemal zawsze przyświecała mu w twórczości jedna myśl przewodnia: kształcić swój naród; nie miał ambicji odgrywania roli politycznej, miał ogromną i szlachetną ambicję kształcenia narodu. I słusznie dziękował mu Stanisław August: «Lubo przemocą losy oderwany jesteś od ojczyzny, wkorzeniona miłość ku niej i chęć być jej użytecznym dyktuje ci książki». Pod tym względem był Krasicki patriotą, był jednym z najzasłuższych obywateli ziemi polskiej.

A czegoż on uczył? Tego przedewszystkiem, że oświata jest błogosławieństwem, a ciemnota czyli «dzikość» — klęską dla narodu: ona to, «jak pożar, gdziekolwiek swą moc rozpościera, — wszędzie niszczy, pustoszy, trawi i pożera: — fanatyzm jej towarzysz, czujny na wzburzenie, — punkt honoru nieprawy, płochę uprzedzenie; — zazdrość, zemsta, ślepotą nadchodzą w przydatek;...» «stąd liczne błędów mnóstwo, co państwo zgubiło, — stąd ono sławne hasło: niech będzie, jak było!» Więc zachęcał do oświaty, a ośmieszał wszelkiego rodzaju ciemnotę, tem gorliwiej, że poczytywał ją za główne źródło moralności. A rozumiejąc, że moralność jest, narówni z oświatą, nieodzownym warunkiem pomyślności społeczeństwa, że, «gdzie cnota w pogardzie, tam naród upadnie», uczył swój naród nietylko rozumu, ale i cnoty, której brak także poczytywał za dzikość». Wprawdzie ogarniały go wątpliwości, i to od wczesnego dzieciństwa, czy można człowieka nauczyć cnoty, a nade wszystko, czy cnota zatriumfuje z biegiem czasu nad grzechem i wogóle dobro nad złem, którego narazie jest na świecie więcej, niż dobra: «Że złe jest na świecie, doświadczenie uczy; że złe dobro przewyższa, i na to dowodów nie potrzeba». Ale takie smutne myśli odpędzał od siebie widocznie, skoro mimo wszystko nawoływał do walki ze złem: «W czem szczęście? to pytanie od stworzenia świata! — Złe się z dobrem łączy, dobre ze złem brata! — Moja rada: nie szperać, jak się rzeczy dzieją, — dać złemu z dobrem walkę, a wzmóc się nadzieją», — nadzieją, że jednak dobre zwycięży. Tę zaś nadzieję daje człowiekowi nie rozum, nie oświata, nie nauka, tylko serce, wiara, religja. Nie wierzył Krasicki, żeby bez wiary człowiek mógł być moralnym; stąd, nie przecząc bynajmniej, że nie we wszystko, w co wierzone dawniej, trzeba wierzyć i teraz, gromił tak powszechne za jego czasów płytkie mędrkowanie w rzeczach wiary, i to tem szczerzej, że, przy całej swojej trzeźwości i bystrości, nie miał tak dalece umysłu filozoficznego: nie lubił przynajmniej, a nawet nie cierpiał zaciekania się w tajemnice świata, mówiąc sobie, że «więcej warta ćwiartka doświadczenia, niż arkusz spekulacyi». A stąd głosił hasła: «Złe jest nadto dowierzać, gorzej nie wierzyć»; «Wierz, nie szperaj! Bądź raczej cnotliwym nieukiem, — niż mą-

drym a bezbożnym!»; «Rozum twój pod jarzmo wiary poddawaj; przewyższa określona¹ zdolność pojęcia naszego głębokość tajemnic boskich; wierz, bo, co Stwórcą stworzeniu swojemu objawić raczył, ze źródła istotnej prawdy pochodzi»; «Obowiązki religii pełń, bo są od Boga przykazane, z istoty swojej święte, z skutków szacowne,... pełń je wszystkiele!» Sam Krasicki niekoniecznie pełnił je wszystkie (nie zachowywał np. postów i drwił sobie z nich wesoło), niema jednak żadnego pewnego dowodu, żeby nie był wierzącym chrześcijaninem, nie mówiąc już o tem, że doskonale rozumiał, iż niedowiarstwo bardzo często podkopuje moralność, zwłaszcza w ludziach ciemnych. Wyznawał nadto pogląd, że Kościół, któremu, jak pisał, «straż nieskazitelna wyroków bożych do skończenia wieków jest poruczona», to nietylko, jako źródło wiary chrześcijańskiej, podstawa moralności, ale i ostoja narodowości; stąd drugie hasło: «Nie oddzielajmy Kościoła od ojczyzny». Ale od fanatyzmu był daleki, owszem, głosił tolerancję, a istotę Kościoła odróżniał od jego sług, bynajmniej nie tając, że są wśród nich, jak to wśród ludzi, mądrzy i dobrzy, ale są także głupi i źli: mądrych i dobrych chwalił, głupich i złych ganił i ośmieszał — nie bez widocznej przyjemności.

Lecz przez «dzikość» pojmował Krasicki nietylko ciemnotę i niemoralność, ale także brak ogłady towarzyskiej, rubasznosc i złe wychowanie, bezmyślną i nieszczerą ceremonjalność w towarzystwie, a dalej — niechlujstwo i niedbałość, czy to w gospodarstwie rolnem, czy w budowie domów, mostów, dróg i t. d. Więc ubolewał np., «iż najdostalniczy dziedzice żałują wydatku na wygodne mieszkanie, nie oszczędzając go na rzeczy mniej potrzebne, a czasem i zdrożne; zbutwiałe i spaczony, a w ziemię zalazły ściany i widok nikczemny i odrażający sprawują, i zdrowiu szkodzą; jedne oszczędzone imienniny zabiegłyby takowym zdrożnościom, a nie przeszkadzając nawet imiennom, można dogodzić w tej mierze i gustowi, i potrzebie».

Jednem słowem, «dzikość» to w oczach Krasickiego wogóle brak kultury — i umysłowej, i moralnej, i estetycznej, i towarzyskiej, i materjalnej; otóż jest on w pismach swoich zaklętym wrogiem dzikości, a nauczycielem kultury — największym, jakiego wydała literatura niepodległej Polski.

W tem zaś nauczycielstwie swoim, w tem nawoływaniu do wszechstronnego postępu umiał najczęściej zachować rozsądną miarę pomiędzy miłością tradycji narodowej, do której, jak przystało na człowieka tak wyjątkowo kulturalnego, jak on, był gorąco przywiązany, a przekonaniem o konieczności i obowiązku ciągłego udoskonalania życia. Widząc i kochając w przeszłości swojego narodu wiele stron jasnych, jako to głęboką religijność, męstwo, rycerskość, patriotyzm, rozumną miłość wolności, nawoływał społeczeństwo do zachowania tych cnót. Ale, z drugiej strony, zdając sobie sprawę, że Polska szlachecka ma na swoim sumieniu nie jeden ciężki grzech przeciwko ojczyźnie, z którego się otrząsać nie chce, nawoływał ją do poprawy: oburzał się na nieludzkość panów względem czeladzi i chłopów; groził szlachcie, co to mówiła o chłopie: «Urodzony do jarzma, trzeba, żeby jarzmo znał, inaczej się rozbryka, i, jeżeli go batóg nie nawróci, szubienica chyba reszty dokaże»; przypominał, że, «jeśli jest jaka między ludźmi różnica, sama ją tylko cnota sprawuje»; chłostał anarchję i swawolę, prywatę i zdradę, nieposzanowanie władzy i osoby królewskiej; nawoływał do stworzenia silnego rządu, do zgody i jedności narodu z królem, słowem —

¹ t. j. ograniczona.

do miłości ojczyzny i jej ratowania. A kiedy upadła Polska, był jednym z pierwszych, którzy, rozumiejąc, że jeszcze nie wszystko zginęło, przestrzegali ludzi przed rozpaczą («Podła rzecz rozpaczać!») i wskazywali im, jako niezawodny środek ocalenia narodowości, pracę kulturalną.

Oto czego uczył Krasicki! A ta jego nauka nie szła w las, bo go ludzie czytali tak chętnie, jak nikogo, i to zarówno w oświeconej Warszawie, jak na ciemnym partykularzu: Krasicki to nietylko najznakomitszy, ale i najpopularniejszy pisarz XVIII w.; miał słuszość król, pisząc do niego: «Jeśli gust do czytania po w s i a c h rozszerzył się, przyznać trzeba sprawiedliwie, że Waszej Książęcej Mości dziełem ledwie nie najbardziej dziękować za to potrzeba». I to jego pierwsza nieśmiertelna zasługa: szerzenie światła w narodzie.

122. Lecz jest i druga, także nieśmiertelna, na której się również poznał Stanisław August, posyłając swemu ulubieńcowi biust gipsowy Kochanowskiego, «jako wskrzesicielowi jego dzieł». Znaczyło to, że król poczytywał Krasickiego za wielkiego poetę, za pierwszego wielkiego, jakiego Polska od czasów Kochanowskiego wydała. I miał słuszość: Krasicki, jak Kochanowski, urodził się poetą i był, jak Kochanowski, poetą wielkim, tylko że, naturalnie, zupełnie innym. Do tak podniosłego natchnienia, jak Kochanowski w pieśni «Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary», do tego namaszczenia, co Kochanowski w *Psalterzu*, nie był Krasicki zdolny, chociaż i on umiał uderzać w ton wzniosły, mianowicie w satyrach, w których czuć tu i owdzie, jak powiedział Asnyk, «natchnionego poetę, porywającego czytelników swoją wymową i świętym ogniem oburzenia»; zwłaszcza w satyrze *Świat zepsuty* krzyk boleści patryjotycznej jest niemniej rozzdzierający, jak w pieśni Kochanowskiego «Wieczna sromota i nienagrodzona szkoda, Polaku!» Ale to wyjątki. Naogół biorąc, niema w poezji Krasickiego wzniosłości. Brak jej także serdecznej rzewności, która jest tajemnicą piękna *Trenów*. Ale bo też Krasicki nie był lirykiem, a to w tem znaczeniu, że prawie nigdy nie opiewał własnych uczuć (i wogóle własnego życia), jak Kochanowski. Jest wprawdzie i w jego poezji uczucie, ale ujawnia się ono nie bezpośrednio, tylko pośrednio, a przemawia najczęściej nie jako rzewność, ani jako smutek, ale raczej jako beztroska wesołość, jako h u m o r, nie zgryźliwy, chociaż zabarwiony czasem ostrą, częściej łagodną, a zawsze dowcipną ironją, humor, nie mający nic wspólnego ani z rubasznym humorem Reja, Potockiego i Paska, ani ze zgryźliwą sarkastycznością Naruszewicza, humor subtelny i wykwiintny: jest Krasicki największym humorystą polskim przed Fredrą, a to jako autor poematów komicznych, satyr, a po części i bajek; w komedjach (które należą do jego najslabszych utworów) humoru jest, rzecz dziwna, bardzo niewiele.

Fantazja Krasickiego nie była bujna (jak wszystkich wogóle poetów stanisławowskich), ale w każdym razie bujniejsza, niż Kochanowskiego: umiał on wymyślać różne sytuacje, zwłaszcza śmieszne, zasilając się najczęściej własną, niezmiernie bystrą obserwacją ujemnych objawów życia ludzkiego; był także utalentowanym portrecistą: w jego poematach komicznych, satyrach i powieściach ludzie źli, a zwłaszcza głupi i w tej głupocie śmieszni, wyglądają jak żywi, nietylko bowiem żywo się ruszają, ale i mówią żywo, odsłaniając swoje odrębne oblicze duchowe, które nadto sam autor bardzo żywo charakteryzuje od siebie.

Jak Kochanowski, tak i Krasicki miał wrodzone poczucie piękna; rozwinął je sobie i ukształcił poczęści dzięki podróżom zagranicznym, zwłaszcza po Włoszech, gdzie (jak opowiada jego synowiec), «przez dwa blisko lata bawiąc, gustu do dzieł pięknych, niemniej do nauk najwięcej nabrał», ale nadewszystko dzięki niezmiernie rozległemu czytaniu w arcydziełach literatury światowej. Znał Krasicki (prawdopodobnie w przekładach łacińskich albo francuskich) poetów greckich, nie mówiąc już o rzymskich, których, władając biegle językiem łacińskim, czytywał w oryginale; najwięcej przypadł mu do gustu pokrewny mu oglądą i kulturą towarzyską, oraz wykwićnością formy, Horacy, «którego czytaniem (jak mówił) nasycić się nie można». Lubił i Wirgiljusza, ale (co mu się bardzo chwali i co go odróżnia od późniejszych naszych pseudoklasyków) wołał Homera: Wirgiljusz wprawdzie «godzien porównania z tym, którego naśladował» (t. j. z Homerem), co więcej «w niektórych częściach¹, osobliwie w ułożeniu i gładkości stylu, zdaje się go przewyższać, ale w wystawieniu rzeczy i żywości wyrazów takowa między nimi różnica, jakowa jest między ostatniem kunszlu wysileniem a ciągłą natury prostotą». Z upodobaniem czytywał Krasicki historyków starożytnych, zwłaszcza *Życiorisy* Plutarcha²; lubił bardzo Lucjana³, do którego był troszkę podobny przez swój wesóły, a złośliwy języzek. Z literatur nowożytnych najlepiej, oczywiście, znał polską i francuską. Kochanowskiego wręcz uwielbiał; Rej był dla niego za rubaszny, to też znał go piąte przez dziesiąte; znał zato dobrze Górnickiego, bardzo lubił sielanki Szymonowicza, *Gofreda* Piotra Kochanowskiego, poezje Sarbiewskiego i Lubomirskiego. Z poetów francuskich przypadali mu do smaku nadewszystko Moljer, Lafontaine i Wolter. Z włoskich upodobał sobie Ariosta, który (jak mówił) «lubo w *Orlandzie* swoim żadnego się porządku nie trzyma, a w niepohamowanych zapędach z miejsca się na miejsce ustawicznie przenosząc, zdaje się nie mieć żadnego celu, z tem wszystkiem tak powabnym jest w wyrazach, opisaniach, a nadewszystko w żywości płodnej imaginacji, iż, mimo wielokrotne przywary, nietylko daje się czytać, ale, raz przeczytany, jeszcze do potwórnego czytania wabi». Nie poznał się natomiast na wielkości Dantego: «Wiersz jego zwięzły, myśl wzniosła, ponurością technie i czytającego zbyt tkliwem uczuciem przeraża i smuci». Nie docenił także dwóch największych poetów angielskich, Szekspira i Milтона⁴: «Szekspir zawiera w sobie niekiedy godne największego zadziwienia i uczucia wyrazy; ale, nierówny w locie, częstokroć przesadza zbyt wysileniem, niekiedy zaś tak się zniża i upodla, iż pojąć prawie nie można, aby takie różnice jednego pisarza były dziełem»; Milton: «Myśl głęboko ponura, niekiedy wdzięczne stawia widoki; w pisaniu i uczuciu częstokroć zadziwia, niekiedy jednak tak się zniża, iż z tego powodu godzien zadziwienia». Pope'a natomiast chwali bez żadnych zastrzeżeń.

I nie dziw: przecie Pope to największy k l a s y k angielski XVIII wieku, a Krasicki to także klasyk, największy, obok Fredry, klasyk polski. I jego poczja, podobnie jak wielkich klasyków francuskich, nie porywa czytelnika ani wysokimi lotami fantazji, ani potężnymi wybuchami uczucia, a cóż dopiero namiętności; jest to poezja spokojna, zrównoważona, ujęta w karby

¹ t. j. pod niektórymi względami. ² Plutarch (I wiek po Chrystusie), znakomity pisarz grecki, autor słynnych «Żywotów» (które u nas tłumaczył, prócz Krasickiego, Golański) i «Pism moralnych». ³ Lucjan (II wiek po Chrystusie), znakomity pisarz grecki, narówni z Plutarchem, bardzo w XVIII wieku popularny. ⁴ autor poematu «Raj utracony» (1608—1674).

przez myślącą głowę wielkiego artysty, który długo i usilnie pracował nad przybraniem swoich pomysłów w odpowiednią formę. Nigdy bowiem nie spuszczał się Krasicki w swej twórczości na sam «pierwszy zapal», to jest na samo natchnienie, nie wierzył bowiem, żeby ono mogło utworzyć coś prawdziwie pięknego bez świadomej pracy artystycznej: «Nie dosyć... opłonąć¹ na czas, żeby następnie nie zagorzeć; trzeba trwałej, a więc dzielnej umysłu mocy, iżby nas stawiała obojętnymi czytelnikami własnego dzieła, a dopiero sprawiedliwy wyrok na siebie dać możemy. Zdać się to może rzeczą osobliwą i niepodobną ku uwierzeniu, co powiem, ma jednak w sobie prawdę: najlepszą rekojmią dobrego dzieła jest to, gdy pisarz, mimo usilność, mimo pracę, mimo poprawę, z dzieła swojego niekontent... Nie jest myśl moja oznaczać ściśle czasów rozmiary; i Horacyjusz, gdy mówił: *nonumque prematur in annum*², przeciąg wprawdzie dziewięcioletni kładąc, do tego jedynie zmierzał, iżby dał uczuć, że z dziełem dokonaniem śpieszyć się nie należy, ale czekać póty, póki pierwsze wzruszenie działacza³ nie uśmierzy się i nie przejdzie, a dopiero używać drugim własności swojej». Złote słowa! Pierwszy rzut utworu poetyckiego jest zawsze owocem «wzruszenia», ale prawdziwie pięknym staje się ten utwór dopiero dzięki świadomej pracy artystycznej nad jego formą. Otóż piękno poezji Krasickiego jego owocem nie tylko wzruszenia, ale nadewszystko tej pracy. Wzorował się on w niej na znakomitych pisarzach starożytnych i nowożytnych, biorąc od nich np. gotowe rodzaje literackie (satyry, bajki, listy poetyckie, powieści i t. d.); ale nie kępował się niewolniczo «prawidłami»: «Umysł wzniesiony⁴ regułami nie gardzi, ale się niemi nie zacieśnia»; «przepisywać... prawidła... zdaje mi się być rzeczą i niepotrzebną, i nieprzyzwoitą; jeżeli jakie być mają, to takowe niech będą, iżby żadnych nie używać, ale czuć żywo i to czucie bez przesady obwieszzać». Oto hasła Krasickiego. A jeżeli pomimo to z jego utworów poetyckich dałyby się wysnuć te same «prawidła», co z klasycznej poezji starożytnej i francuskiej, to wcale nie dlatego, żeby, tworząc, o nich myślał, ale dlatego, że się klasyczną poezją mocno przejął, że ją «czuł żywo». I właśnie dlatego, że «czuł żywo», był poetą oryginalnym i chciał nim być, rozumiejąc, że «kopija, choć i dobra, nie dostarczy⁵ oryginałowi, a choćby go i przeniósła, zawsze pośledniejsze trzymać musi miejsce od rzeczy i działań oryginalnych».

Jednym z głównych celów pracy artystycznej Krasickiego była piękność wiersza. Chodziło mu o to, żeby wiersz był w doskonałej zgodzie z treścią, żeby (jak mówi Słowacki) był «taktem nie wędzidłem». Takim jest właśnie wiersz Krasickiego. Jego rymy mają nie tylko doskonałość formalną, ale niejednokrotnie służą do lepszego uwydatnienia treści, np. w bajce *Doktór*: «Doktór, widząc, że mu się lekarstwo udało, — chciał go często powtarzać. Cóż się z chorym stało? — Za drugim, trzecim razem bardzo go osłabił, — za czwartym jeszcze bardziej,... a za piątym zabił». Główną myślą tej bajki jest, że głupi doktor chorego nie tylko nie leczy, tylko, przeciwnie, osłabia, a czasem i zabija, — i właśnie te wyrazy (osłabił — zabił) rymują się z sobą; niech się nie rymują, niech te wyrazy będą w środku wiersza, a sens bajki nie będzie tak mocno uwydatniony. A jak rym, tak i rytm nieraz służy w poezji Krasickiego do uplastycznienia treści. Więc np. nie przestrzega on

¹ ochłonać z pierwszego zapalu. ² dziewięć lat niech poeta dusi swój utwór (zanim go ogłosi). ³ t. j. autora. ⁴ t. j. wyższy. ⁵ t. j. nie dotrzyma kroku.

tak pedantycznie, jak pseudoklasycy, żeby wszystkie wiersze równozgłoskowe utworu miały koniecznie średniówkę po tej samej zgłosce. Oto np. bajka *Pan i pies*: «Pies szczekał na złodzieja, // całą noc się trudił, — obili go nazajutrz, // że pana obudził. — Spał smaczno drugiej nocy, // złodzieja nie czekał: — ten dom skradł¹; // psa obili za to, że nie szczekał». W pierwszych trzech wierszach średniówka przypada po siódmej zgłosce, ale w ostatnim — po trzeciej, a nadto część pierwsza tego ostatniego wiersza kończy się zgłoską akcentowaną, t. j. wyrazem jednozgłoskowym («skradł»), dzięki czemu uwypukla się bardzo mocno ostateczny wynik głupoty, a poczęści i złości ludzkiej, którym jest to właśnie, że złodziej okradł dom.

Jeszcze pilniej, niż o piękny i wyrazisty wiersz, troszczył się Krasicki o język i styl swoich utworów (zwłaszcza poetyckich). Był on wielkim miłośnikiem mowy ojczystej, więc gniewało go, że ten język, który w wieku XVI, pod piórem Kochanowskiego, Górnickiego, Skargi, doszedł do takiej doskonałości, później zepsuł się do tego stopnia, że «pospolicie mowy i pisma polskie całe były nie po polsku»; «język, zamiast wykształcenia² z cudzoziemskich i z własnych dziwacznych wyrazów, coraz się bardziej od dawnej wytwórczości oddalał i, z istoty będąc jasnym i wdzięcznym, zdziczał i zasępił się nieprzyzwoitą wcale przesadą». Wyrwać język literacki ojczysty z tego zdziczenia i «nieprzyzwoitej przesady» — oto hasło, które przyświecało Krasickiemu, i jako poecie, i jako prozaikowi. Szukając «prawdziwej treści języka rodzowitego» «w dawnych pisarzach swojego narodu» (głównie XVI wieku), pilnie się w nich rozczytywał i pod niejednym względem kształcił na nich swój własny język. Wypowiedział walkę wielu wyrazom cudzoziemskim, posługując się, zamiast nich, wyrazami to starymi, to utworzonymi przez samego siebie, nieraz bardzo szczęśliwie, jak np. *samolub*, albo *działacz*³.

Nietylko jednak czystość języka, ale i jego «wdzięk» leżał Krasickiemu na sercu: raziły go w języku literackim wyrazy zbyt pospolite, a cóż dopiero rubaszne, które tak lubił jeszcze Naruszewicz; więc zabrał się i do nich, a w tej walce umiał zachować właściwą miarę, odróżniając od wyrazów rubasznych dobitne — tych nigdy się nie lękał; nie bał się np. powiedzieć, że w walce mnichów ojciec Gaudenty «ryknął», ojciec Łukasz «zwinął się w trzy kłęby», ojciec Kapistran «wziął w łeb... obręczem od faski». Modnych zaś w literaturze stanisławowskiej omówień (peryfraz) unikał i nazywał rzeczy po imieniu. Wogóle, sam łącząc w sobie wyjątkową wykwinność i kulturę z niezbyt częstą u literatów prostotą i naturalnością (podobny w tem do Sienkiewicza), za ideał stylu literackiego poczytywał zespolenie piękna z naturalnością, czyli, jak za jego czasów mawiano, kunsztu z naturą; innemi słowy, wyznawał mądrą zasadę, że «piękność prawdziwa nie potrzebuje przysad»⁴. Nie dziw, że się zachwycił «wspaniałą prostotą» pisarzy polskich XVI wieku, że wołał Homera od Wirgiljusza, że nie lubił poezji, w której «nadto się... kunszt wydaje» (to jest w której forma jest nadmiernie sztuczna), a cóż dopiero poezji, mającej więcej słów, niż potrzeba (to jest takiej, w której forma ma przewagę nad treścią). Poczytując prostotę za przyjaściółkę» nietylko prawdy, ale i piękna, śmiał się z «wyrazów brzęczących»

¹ t. j. okradł. ² t. j. z wyzbycia się. ³ Obydwa te wyrazy, jak wiadomo, pozostały w języku naszym, ale wyraz *działacz* — nie w tem znaczeniu, w którym go używał Krasicki, t. j. nie w znaczeniu autora. ⁴ sztuczne ozdoby.

— w filozofii; a i z napuszoneści, i wogóle ze wszystkich ujemnych stron stylu barokowego w poezji i wymowie, drwił sobie złośliwie — czy to w *Myszei-dzie*, czy w *Monachomachji*, czy w żartobliwym liście *Do wojewody ruskiego*; w poważnej zaś rozprawce p. t. *Listy* chwali Cycerona za to, że w listach swoich «kunszt ukrył». Otóż to właśnie: jedną z największych piękności stylu Krasickiego jest, że, przy całej usilnej pracy nad formą, umiał ukryć kunszt: styl jego odznacza się, nie mówiąc już o klasycznej jasności, klasyczną prostotą i naturalnością, a dotego nieznaną dawniej w Polsce lekkością i swobodą; poznał się na tem Mickiewicz, mówiąc, że ma on «tok leciuchny, styl podobny do śpiewu, do szczebiotania ptasiego, przytem pełen wykończenia i precyzji prozy francuskiej».

Dodać trzeba, że i prozę Krasickiego znamionuje niejedna z zalet, któremi jaśniej jego poezja; niema w niej wprawdzie tego wdzięku, co w poezji, ale prostota i jasność — ta sama; co więcej, w prozie zdobywa się niekiedy Krasicki na większą obrazowość, niż w poezji, np. «Nauka jest to chleb wyborny i tuczny, ale mąka, z której się ten chleb robi, iżby go wytwornym uczyniła, czystą i subtelną być mając, przez wielokrotne, że tak rzeknę, pytle i siłta przechodzić musi»; «Cechą jest tak cnoty, jako i nauki, skromność; po tem najlepiej doskonałego człowieka poznać można; że zaś skromność z góry nie patrzy, brwi nie zasepia, krzykliwością nie głuszy i na kanapach się nie rozwała, niech stąd każdy miarę bierze, jak i z pierwszego wrażenia o ludziach sądzić można».

I oto dzięki talentowi i pracy Krasickiego powróciło do literatury polskiej piękno, i to najwyższe piękno, bo połączone z prostotą! Śmiało można powiedzieć, że on to nietylko podniósł na nowo literaturę naszą do godności literatury europejskiej, ale nadto utorował jej tak skutecznie, jak żaden inny pisarz stanisławowski, drogę na te wyżyny, na które się wzbije w wieku XIX.

*** Do Pana Wojewody Ruskiego**¹. Kiedy też ów piękny, rzadki, szacowny wilk, wyprawiony w styczniu, dopiero w lipcu do mnie zawitał wraz z listem dawcy, nie moja więc wina, żem się z podziękowaniem opóźnił.

A jak to nie dziękować, zwłaszcza gdy jest za co?

Drugiego wiersza nie dokładam, boby w brzmieniu był, prawda, do składu, ale dla kadencji musiałyby się położyć *a* zamiast *o*². Że mi się więc (jak to mówią, na pierwszym podskoku) nie powiodło, ja przeto fantazyi nie tracę:

Choć się myśl rymotwórska nie nadała piersza, (!)
Przecież w nowym zawodzie powracam do wiersza.

¹ Stanisław Szczęsny Potocki, pan na Tulczynie, późniejszy marszałek Konfederacji Targowickiej, został wojewodą ruskim w roku 1782.

² W dawnych drukach był zwyczaj naginania ortografii do rymów; tak np. w «Argenidzie» Wacława Potockiego wydrukowano: «Gdy tak Radyrobanes w przedsięwzięciu stoi, — Niechże się dosyć stanie, rzecze, woli twoi» (zam. twojej); albo: «Jeśli kogo ukradkiem wybić się z darzyło, — Zaraz i koniec wojny i największe dziło» (zam. dzieło). Otóż Krasicki żartuje sobie z tego zwyczaju: za co miało się rymować może z płacą albo z pracą; otóż tego drugiego wiersza nie dodał, chcąc nabyto drukować w pierwszym wierszu za cą, poczem w dalszym ciągu wydrukował... piersza, zam. pierwszą, «dla kadencji» — do rymu z wiersza.

Najeżywszy się więc tak, jak moi współbracia umieją,

Będę ci dziękował Oda,
Zacny Ruski Wojewodo!
Brzmij, Kalliopo, a wspaniałym ruchem,
Kastalskich bełtów¹ napuszona duchem,
W grzmotliwym górnych prawideł oddechu,
Pędź w swym pośpiechu!

Co widzę! oto zzymają się skały,
Kręty² Eurypu³ huczno się wezbrały,
Nurty się mąca, a zdroje w zawody
Pienią swe wody.

Gdzieżeś, Pindarze?...

Ale że się Pindar nie odzywa, więc i ja z górnego tonu spuszczam:

A potknąwszy się już to razy kilka,
Wracam do wilka⁴.

I powiadam:

Iż to prawnuk tej wilczycy,
Której owi ludzie dzicy
Dali karmić Romulusa
I brata jego Remusa.

Prawda, iż daleko z Rzymu do Tulczyna: ależ czyliż w przeciągu dwóch tysięcy lat nie mógłby który wilk włoski zawędrować na Ukrainę? a wreszcie, czy zawędrował, czy nie zawędrował,

Czy on z północy rodem, czyli z wschodu,
Wart być potomkiem tak zacnego rodu.

Dość to na jego pochwałę, a ja za szacowny podarunek i za miłą odezwę z wdzięcznością dziękuję. ★

★ **Listy.** ...Ile sposobów jest obwieszczenia myśli naszej, tyle, według stonków do okoliczności, rodzajów wymowy: ma swoją własną pisanie listów. Że zaś najwięcej zasadza się na powieściach, zbliża się do dziejopisów, z tą jednak różnicą, iż, będąc poufalej rozmowy wyobrażeniem, wznosić się nad nie powinno; lecz chociaż niekiedy z granic swoich wychodzi, zawsze jednak pierwiastkową prostotę ma zachowywać. Użyłem wyrazu *prostota* nie przeto, iżby listy miały być grubym i nieokrzesanym, jak to mówią, sposobem kreślone, ale iżby miały w sobie ów ciąg naturalny i łatwość niby to zwyczajnej rozmowy, która się w posiedzeniu⁵ używać zwykła.

Czytamy listy Cycerona statystyczne⁶, moralne, uczone, żartobliwe: znać jednak, mimo różnicę celu, do którego zmierzał, iż nie dzieła uczone, nie księgi,

¹ męty, nurty. ² prądy. ³ cieśnina pomiędzy Attyką, Beocją a Eubeją.
⁴ t. j. wilczury. ⁵ towarzystwo. ⁶ polityczny.

Jecz list pisał. Skrócone są dla tej przyczyny, w zwięzłości dosadnej, wyrazy i zdania jego, jakgdyby z niechcenia wychodziły, niższe częstokroć według pojęcia tych, do których pisał: zgoła tak pisane, iż poznać trudno, aby zbytecznie się nad nimi zastanawiał. Co gdy tak jest, przyznać należy, iż w taki sposób kunszt ukrył, o jakim ledwo domyślać się można.

Powszechna, przyzwoita¹ i dobrze rzecz wyluszczająca jest listu deficycja, iż jest rozmową nieprzytomnych². To więc za ich cel pisania brać należy, że rozmowa pospolicie łatwych do wzajemnego porozumienia wyrazów używa: toż samo w listach zachowywać należy, ażeby dosyć uczyniły zamiarowi swojemu.

Pisać listy umyślnie dlatego, żeby wytworność stylu okazać, jest to przedsięwzięcie wielce zawodne: choćby był wytwornych rzeczy pełen, będzie mu brakło na owej przyrodzonej żywości i wdzięku, który nie z zamysłu, ale z rzeczy wypada, a to dla tej przyczyny, iż pisarz nie był zajęty rzeczą, ale się silił na onej udatne określenie, a zatem nie miał celu takowego, jaki list każdy mieć powinien, iżby z nieprzytomnym poufale rozmawiał. Wychodzi to właśnie na owe miłosne wiersze, które dla drukarzy głodne poety piszą, a nie mając istotnej, urojone w płodnej, a nieczulej³ imaginacyi Irydy, Filidy, Lucyndy wielbią! znać z Horacyjuszowych rytmów, iż mu Lidyja nie była obojętną, ani Katullowi Lesbija.

Ci, którzy zbyt niemi na prawidłach zasadzeniem⁴ psują osnowę rzeczy i smak wyrazów, nie czynią posługi uczniom lub czytelnikom swoim. Jest wiele prawideł, jak listy pisać: a ci, którzy je składali, podobnymi są do owych gospodarzów gabinetowych, co to sami ledwo wiedzą różnicę między ziarnem a ziarnem, a chcą innych uczyć, jak i kiedy siać i zbierać zboże należy.

Pisanie listów zarywa nieco na przymiot rymotwórstwa; darem go raczej przyrodzenia, niżeli skutkiem kunsztownej pracy nazwać można. Jest zawsze w pracowitem pisaniu jakowaś przesada, która daje poznać, iż rzecz, jak mówią, nie z pióra płynęła. Bierzmy przykład z Plinijusza⁵ i Cycerona: z tym, zdaje się, mówimy, tamtego widzimy, jak pisze. Przepisywać więc prawidła, jak list pisać, zdaje mi się być rzeczą i niepotrzebną, i nieprzyzwoitą. Jeśli jakie być mają, to takowe niech będą, iżby żadnych nie używać, ale czuć żywo i to czucie bez przesady⁶ obwieszczać... ★

123. Na widownię literacką wystąpił Krasicki dosyć późno, już po trzydziestce: pierwsze jego drukowane utwory ukazały się (bezimiennie) w *Monitorze*; są to artykuły i rozprawki z dziedziny moralności i estetyki, tudzież powiastki i satyry prozą. Pierwszy drukowany wiersz Krasickiego ukazał się nie w *Monitorze*, tylko w *Zabawach przyjemnych i pożytecznych*, w roku 1774; jest nim *Apostrofa do miłości ojczyzny*:

Święta miłości kochanej ojczyzny!
Czują cię tylko umysły pocziwe;
Dla ciebie zjadł smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta niezeliływe;

¹ właściwy. ² nieobecny. ³ t. j. bez miłości. ⁴ opieranie się, posłuszeństwo. ⁵ Plinusz Młodszy (62—113), autor panegiryku na cześć Tracjana i «Listów».
⁶ t. j. naturalnie.

Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkoszy prawdziwe.
Byle cię można wspomóc, byle wspierać,
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać!

Przez swoją myśl przewodnią, którą jest złożenie wszystkiego, nie wyłączając szczęścia i życia, na ołtarzu świętej cnoty, żywo przypomina ta apostrofa grecki *Hymn do cnoty*. Napisał go Arystoteles na cześć swego przyjaciela Hermjasa (rządcy miasta Atarneus w Azji Mniejszej), który położył głowę, wydany zdradliwie w ręce króla perskiego: «O, cnoto, celu trudów śmiertelnych ludzi, ty, najpiękniejsza zdobyczy życia, ty, dziewico, dla której piękności Grecy idą z ochotą na śmierć i podejmują bez wytchnienia najcięższe trudy: tak wielką wpajasz w ich serca miłość nieśmiertelnej sławy, droższej nad wszystko — nad złoto, nad rodziców, nad słodkie wywczasy! W pościgu to za twoją pięknnością Herakles, syn Zeusa, i synowie Ledy¹ tyle się nacierpieli; z tęsknoty to ku tobie Achilles i Ajaks zstąpili do Hadesu; twojego to wdzięcznego oblicza syn miasta Atarneus opuścił jasność słoneczną, i dlatego ludzie sławią jego czyny, a Muzy, córy pamięci, dadzą mu nieśmiertelność...»

Krasicki znał niezawodnie ten *Hymn do cnoty*, i on to prawdopodobnie natchnął go do napisania apostrofy. Przez długie lata była ona na ustach wszystkich, stała się, rzecz można, hymnem narodowym, którym pieśń *Bogurodzica* już dawno być przestała, a którym *Pieśń Legionów* Wybickiego, pomimo że powstała w roku 1797, stanie się dopiero podczas powstania listopadowego. Śpiewali apostrofe Krasickiego codziennie uczniowie Szkoły rycerskiej w Warszawie; umiano ją napamięć nietylko za Stanisława Augusta, ale i w Polsce porozbiorowej; drukowano ją w podręcznikach szkolnych do nauki mowy ojczystej, i nie za co innego, tylko za nią konfiskowali w Wilnie Moskale, podczas prześladowania młodzieży, *Gramatykę* Kopczyńskiego. Otóż, jeśli naprawdę do napisania tej apostrofy (w której, pamiętajmy o tem, po raz pierwszy w Polsce — i na lat dwadzieścia dwa przed *Marsyljanką* — miłość ojczyzny nazwano świętą) natchnął Krasickiego *Hymn do cnoty* Arystotelesa, to miło pomyśleć, że u kolebki polskiego hymnu narodowego stoi Grecja, i to w osobie swojego największego myśliciela.

124. W roku 1775 ukazał się w druku pierwszy większy utwór poetycki Krasickiego: *Myszeidos*² pieśni X. Krótka treść jest taka. W Kruszwicy panuje król Popiel, zniewieściało pijak, «w dziwactwie swoim niestateczny»: najprzód kochał myszy, którym się też dobrze działo w jego państwie, później «Mruczysław kotek został faworytem», i biedne myszy muszą uciekać. Chronią się do Gniezna, gdzie w klasztorze, «wśród serów, szynek i ozorów», zastępujących mnichom książki, «król mysz, Gryzomir, przebywał spokojnie». Na wieść o prześladowaniu myszy kruszwickich, Gryzomir zwołuje radę, ale na radzie myszy pokłóciły się ze szczurami, i nic nie uchwalono. Wówczas Gryzomir posyła zagranicę o pomoc i zwołuje ruszenie pospolite;

¹ Kastor i Polluks. ² *Myszeidos* jest to drugi przypadek od rzeczownika niby-greckiego *Myszeis*; uformował go Krasicki na wzór poematu Wirgiljusza *Aeneis* — o czynach Aeneasa; a więc *Myszeis* = poemat o czynach myszy. A podobnie, jak zamiast *Aeneis* mówimy *Eneida*, tak zam. *Myszeis* mówimy pospolicie *Myszeida*.

posiłki nadciągają, wybuch wojna: w walnej bitwie koty pod wodzą Mruczysława zadają myszom i szczurom kłeskę straszliwą: Gryzomir «sam do ucieczki najpierwszym przykładem; — skoro król uciekł, wszyscy za nim w nogi». Lecz to dopiero początek wojny. Nieszczęście chciało, że w bitwie poległ Filuś, ukochany kotek córki Popiela, Duchny; bólu jej nie, nawet wspomniały pogrzeb kociaka, utulić nie może, «lecz żal o zemście myśleć nie przeskadza»: błaga ojca, żeby «cały rodzaj myszy wykorzenił». Popiel zwołuje radę senatorów, na której po wielu kłótniach staje na tem, że «niech pan to robi, co mu się podoba». Pan «śmieje się w duchu z kota straty», ale, ponieważ «my rządym światem, a nami kobiety», więc Duchna wygrała sprawę: «wojnę formalną myszom ogłoszono». Tymczasem Gryzomir w ucieczce swojej dostał się wśród nocy do jakiejś lepianki i wpadł w pułapkę; nagle «wchodzi dziwotwór, baba przestarzała, — zsiniałe usta, twarz zmarszczona cała, — oczy zapadłe we łbie jej się świecą, — półtora tylko zęba w gębie miała». Szczur zdrętwiał, lecz baba zmiękła, darowała mu życie, a nadto obiecała swą pomoc i łaskę; poczem oboje siadają na łopatę i myk przez komin. Po drodze «król myszów¹, aby nie zaginął marnie, — przedarł się jakoś do babbiej latarni» i z głodu zaczął obrabiać świeczkę lojową; świeczka zgasła, baba puściła latarnię, a ta wraz z «wpół umarłym» szczurem spadła nad ranem... na grób Filusia; i oto szczur dostał się w ręce dyszącej zemstą Duchny. Ale czarownica wybawiła go z niewoli, poczem Gryzomir, zgromadziwszy przy pomocy baby liczne wojska zagraniczne, powrócił do ojczyzny i pobił na głowę nieszczęśliwe koty; dzielny Mruczysław poległ, a Popiel uciekł na wyspę, ale go myszy dopadły i zjadły.

«Szczęśliwy, kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył», mówi Krasicki przy końcu *Myszeidy*, mając na myśli te dwa główne cele poezji, które przyświecały jego całej wogóle twórczości: poezja powinna czytelnika bawić (to jest sprawiać mu rozkosz estetyczną), a jednocześnie uczyć (nie tej lub owej nauki szkolnej, tylko — życia). Otóż *Myszeida* niosła swoim czytelnikom i wdzięk, i pożytek.

Wdzięk polega nietylko na tak pięknej formie, jakiej już oddawna, bo od czasu *Tobjasza wyzwolonego* w Polsce nie było, ale nadewszystko na tem, że się czytelnicy wesoło bawili: poemat jest zabawny, należy mianowicie do tak zwanych poematów heroikomicznych, to jest bohaterkośmiesznych, będących parodią poważnych poematów bohaterkich, *Iljady* np. albo *Eneidy*. Parodje takie znała już poezja grecka: najznakomitszą jest fałszywie przypisywana Homerowi *Batrachomyomachja* czyli *Zabomysza wojna* (jak zatytułował swój przekład jej polski tłumacz XVI wieku, Paweł Zaborowski). Poważne wieki średnie zapomniały o tym rodzaju, ale wskrzeszono go w epoce odrodzenia, kiedy to ludzie woleli się śmiać, niż modlić, a w epoce oświecenia, kiedy ludzie tak bardzo lubili żarty i drwiny z tego wszystkiego, co dawniej uchodziło nietylko za piękne i dobre, ale nawet i za święte, rodzaj ten wywalczył sobie w poezji mocne stanowisko. Do najgłośniejszych poematów heroikomicznych należą: *Wiadro porwane* poety włoskiego Tassoni'ego (1614), *Pulpit Boileau'a* (1674) i *Pukiel włosów ucięty* Pope'a (1712). Komizm tych wszystkich i wielu innych poematów heroikomicznych polega na umyślnym rozdźwięku pomiędzy treścią a formą, to

¹ Dopelniać na -ów od rzeczowników żeńskich i nijakich zachwałcił język polski za Sasów i błakał się jeszcze w pierwszych latach XIX wieku.

jest na tem, że o nic nie znaczących zdarzeniach opowiada się tak, jakgdyby to były zdarzenia ogromnej doniosłości, a o marnych ludziskach, o małych człowieczkach, albo też zwierzętach — tak, jakgdyby to byli wielcy bohaterowie, to znaczy w takim stylu, w jakim są pisane poważne epepeje rycerskie i bohaterskie; innemi słowy, poematy heroikomiczne są parodią epepej (nadewszystko parodią Homera). W tym to właśnie stylu «nucił» Krasicki walkę kotów z myszami i szczurami, którą, dla większego jeszcze śmiechu, umieścił na tle niby-historycznem, korzystając z opowieści Kadłubka o Popielu, zjedzonym przez myszy. A wzorował się nietylko na *Batrachomyomachji* i nowszych poematach tego rodzaju, ale także, i to jeszcze w większej mierze, na swoim ulubionym Ariosćie: za jego to przykładem pisał oktawę, pieśń pierwszą zaczął od inwokacji, a wszystkie pozostałe od sentencyj moralnych; za jego także przykładem przenosił akcję z miejsca na miejsce i wprowadził do niej czary i czarownicę; a co najważniejsza, tak się przejął duchem Ariosta, że podżartowywał sobie wesoło z tego wszystkiego, co «nucił», troszkę podobnie, jak Słowacki w *Balladynie*. I właśnie przez tę swoją wesołość, podaną w wykwintnej formie, *Myszeida* oczarowała czytelników.

Lecz nietylko oczarowała: dała im także do myślenia, pod wesołością bowiem wyczuwano powagę; i nie mogło być inaczej: przecie do poematu swego wcielił Krasicki (w pieśni dziewiątej) ową *Apostrofę do miłości ojczyzny!* Szukano tedy ukrytych myśli w *Myszeidzie*, i kto wie, czy nie miano słusności, skoro Dmochowski (autor *Sztuki rymotwórczej*, który nietylko był dobrym znajomym Krasickiego, ale się nadto cieszył jego zaufaniem), wyraźnie świadczy, że «poema to było w początku pisane w celu satyrycznym». Szczegółowiej nie określa tego celu Dmochowski, zdaje się jednak, że pierwotnie miała być *Myszeida* alegorją polityczną — ale czego, jakich wypadków, tego domyślić się tem trudniej, że nie znamy pierwszej redakcji poematu, którą prawdopodobnie Krasicki zniszczył. Przystępując zaś do pisania po raz drugi, zacierał, jak mówi Dmochowski, «ślady pierwotnego zamiaru», pragnąc, żeby poemat był «czystą igraszką wesołego dowcipu». Dodaje Dmochowski, że współcześni odnajdywali jednak zatarte ślady i zgadywali, kogo Krasicki rozumiał «przez Popiela, kogo przez myszy i szczury, kogo przez koty i naczelnika ich Mruczysława». Dla nas dzisiaj te ślady są już całkiem niejasne; napewno wiemy tylko jedno: *Myszeida* w tej postaci, w jakiej ją Krasicki wydrukował, nie będąc, jako całość, alegorją polityczną, zawiera w sobie jednak dużo pierwiastku satyrycznego.

Już w tem jednym, że w poemacie siedzi na tronie król Popiel, i że go zjadają myszy, tkwi satyra. Za czasów Krasickiego wiara w Kadłubka, który o tem wszystkim nabajał, była jeszcze żywa: otóż Krasicki żartuje sobie i z Kadłubka (przy końcu poematu), i z tej łatwowierności ciemnego społeczeństwa, mówiąc niby to poważnie, a właściwie z drwiącą ironją: «Ze wieść prawdziwa i dowodne cuda, — nikomu o tem wątpić się nie godzi: — jakże ma w druku znaleźć się obłuda? — z ksiąg starożytnych wszak prawda wychodzi». A nie jedynie to w *Myszeidzie* przykład takiej ironji, to jest ironji, polegającej na przytaczaniu cudzych poglądów, niby jako swoich własnych: «Trucizną kraju są grzechy monarsze»; «Dwór pański źródłem występków lub cnoty»; «Pan wszystkim winien, wszystkim w odpowiedzi¹: —

¹ za wszystko jest odpowiedzialny.

dla czegoż winien? bo najwyżej siedzi». Jest to gorzka ironja względem społeczeństwa, które, jak się na to już Konarski skarżył, wszystkie nieszczęścia kraju zwałało na króla i jego dwór.

Oprócz takiej ironji pełno w *Myszeidzie* innych przytyków satyrycznych: tak np. opis rady szczurów i myszy jest aluzją do kłótniowych sejmów polskich, mianowicie do kłótni senatu z izbą poselską; satyrą na sejmy polskie jest także opis rady króla Popiela, a przemowa, którą ktoś tę radę zagaił, jest parodią panegirycznej wymowy sejmowej; napis na grobie Filusia jest satyrą na panegiryczne mowy pogrzebowe i t. d.

Tak więc miał Krasicki prawo zaświadczyć sobie, że «wdzięk z pożytkiem złączył».

Rada myszy i szczurów Zgiełk powstał wielki, gdy przyszło wotować¹,
(z pieśni II) Która ma strona głos pierwszy podnosić.

Orator szczurów przedsięwziął probować,
Ze oni mają pierwsze zdania głosić:
«Do nas należy wszystko rezolwować²,
«Prawa stanowić dobre, a złe znosić;
«I, jeśli cierpiem mysz stowarzyszenie,
«W większej być od nich powinniśmy cenie».

Nie w moc szczególną, lecz w wielość znaczniejsze

Myszy brać prymu³ nie chcą sobie dawać:

«Lubo się zdajem być w postaci mniejsze,

«Nie stąd o zdaniu trzeba rozeznawać», —

Rzekły — «a kiedy o rzeczy ważniejsze

«Zachodzi sprawa, natenczas poznawać

«Każdemu można będzie, która strona

«Lepiej w rozsądek, w dzielność obdarzona».

Wzmaga się hałas: zamiast rady wrzawa;

Gryzomir ledwo usiedzi na tronie,

Powagę swoją nadaremnie wdawa:

Każdy jak żęby przysiągł swojej stronie.

Nakoniec z miejsca pierwszego powstawa:

«Ratujcie — woła — ojczyznę przy zgonie!»

Krzyknęli: «Niechaj ginie wolność przeszła!»

I tak się rada senatu rozeszła.

Walka wodza kotów z wodzem szczurów Po stadach trupów z obu stron pobitych
(z pieśni III) Śpieszą ku sobie wielcy adwersarze⁴.
Mniejszy — szczur, przecież w dziełach znamienitych
Godzien, z walecznym kotem by był w parze;
Nowy laur przydać do innych obfitych
Kot myśli, szczura gdy zuchwałość karze.
Pierzchają z pułków rycerze zmieszani,
Sami na placu zostają hetmani.

Jeden drugiego bystrem okiem mierzy:

Widzi kot szczura niezmiernej postaci,

¹ głosować.

² o wszystkim stanowić.

³ pierwszeństwo.

⁴ przeciwnicy.

Wprzód się do zwykłych udaje pacierzy,
Szczur, mniej nabożny, nic serca nie traci;
Wtem tak go nagle z impetem uderzy,
Iż ledwo życiem walki nie przyplaci.
Kot, zagłuszony ciosem, ledwo lézie,
Szczur go tymczasem, jak gryzie, tak gryzie.

Bólem nieznośnym zbyt srodze przejęty,
Chce go przygarnąć, lecz chyżo odskoczył.
Przypadnie z boku, urwał mu pół pięty:
Kot z miejsca umknął i trochę wyboczył.
Leci szczur obces, lecz zagnała przejęty
Pazurmi za kark tak, aż się zamroczył.
Gdy się raz jeszcze miotać żwawie kusił,
Kot go, za szyję porwawszy, uduślił.

**Pogrzeb
Filusia**
(z pieśni IV)

Idą porządkiem szykowane roty,
Wszyscy w ponurej i smutnej postaci.
Najpierwsze w marszu idą dzikie koty,
Wyborne czoło od innych współbraci.
Sztandar niósł jeden przedziwnej roboty,
Nieboszczykowsy za tym koligaci,
W żałobne flory¹ ich łapki uwite,
Ostre pazury wciągnione i skryte...

Niesie Minetka obróż centkowaną,
Hektorek — grzebień ze słoniowej kości,
Irys — kolderkę, złotem haftowaną,
Bebe — manelki² dziwnej wspaniałości,
Miledy — czarkę, wewnątrz wyziacaną,
Z której zwykł jadać i częstować gości.
Sprzęty szacowne od łapek i szyje!
Już was kochany Filuś nie użyje!

Leżą na złotych marach położone
Ulubionego faworyta zwłoki;
Po wszystkich stronach kwiaty rozrzucone,
A całun mary okrywa szeroki;
Bujają w puchu członeczki pieszczone,
Dym się z kadzidla wznosi pod obłoki;
Niosą trumienkę³ nakształt kolebeczki
Najukochańsze księżniczki małpeczki.

Już się do stosu zwłoki znamienite
Zbliżyły; w kiry przybrani rycerze,
Cyfry z posepnych cyprysów uwite.
Mruczysław długie zaczyna pacierze,
Dalej obrządki czyni należyte,
A w drżące łapki gdy pochodnią bierze,

¹ kir. ² bansoletka. ³ trumienka.

I stos, i Filuś spłonęły pospołu,
Garstka się tylko została popiołu.

Smutne ostatki wybornego kota
Skrzętnie przytomni do kupy zbierają;
A że największych wielbień godna cnota,
Wszyscy Filusia pochwały śpiewają.
Już sporządzona puszka szczerolota,
W niej resztę drogich popiołów składają.
Gmach zaraz stanął wyborny w strukturze,
A taki napis ryty na marmurze:

«Tu leży Filuś, swej pani kochanie,
«Ten, co w przymiotach przeszedł wszystkie koty.
«Ucieszne jego i mile igranie,
«Skoki przyjemne, uprzejme pieśczęty
«Nic nie pomogły: smutne narzekanie
«Zostawił tylko i wieść swojej cnoty.
«Chwalebna, prawda, lecz śmiertelną bliźnę
«Poniósł za naród i miłą ojczyznę.

«Płaczcie tak wielki zaszczyt utracony
«I wspólną waszą ozdobę, zwierzątka!
«Dziatki młodziuchne, owdowiałe żony,
«Płaczcie, sieroty teraz, niebożątka!
«Niewcześnie Filuś ze świata sprzątniony,
«Przecięła nagle pasmo życia Prządka.
«Koło mogiłki kto tylko przebieży,
«Westchnij: tu Filuś najmilejszy leży!»

Nieutulona Duchna rzewnie szlocha,
Lecz żal o zemście myśleć nie przeszkadza:
Pleć ta, z pozoru choć zdaje się płocha,
Przecież, kiedy jej cokolwiek zawadza,
Tak nienawidzi zbytecznie, jak kocha;
Nie zna, co wiara, we wszystkim przesadza,
Staje się zradna, okrutna lub podła,
Byle, co zechce, do skutku przywiodła.

Przebacz, pści piękna, zbyt śmiałym wyrazom!
Nasz obowiązek wam zawsze dogadzać;
Macie nas swoim podległych rozkazom,
Lecz respekt prawdzie nie może przeszkadzać!
Powolność każe przepuszczać urazom;
Chwalić defekta jest więcej, niż zdradzać.
Jeśli was prawda niemiła obchodzi,
Mówcie, że zmyślać poetom się godzi!

Niedosyć na tem, że gardłem skarani
Mysze go wojska wszystkie niewolniki;
Niedość, że, będąc z ojczyzny wygnani,
Świat żalonymi napęlniają krzyki:

Nieutulona w żalach swoich pani
Ustawne ojcu podaje supliki¹,
Żeby się w zemście powziętej nie lenił
I cały rodzaj myszy wykorzenił.

Obstaje² takim prośbom państwa rada,
Twierdząc, iż płochość sławę królów maże.
Insza myśl jednak w Popielu osiada:
Ci myszy bronią, on je gubić każe.
Gdzie miętkie serce, tam rozum nie nada:
Czegóż plec piękna kiedy nie dokaże?
Mimo tak wielkie plci naszej zalety,
My rządźim światem, a nami kobiety!

Zakończenie.

Wielki Kadlubku! Któż cię wielbić zdola?
Tyśto nam pierwszy te dziwy objawił.
Iżes pracował w pocie twego czoła,
Wiek cię potomny będzie błogosławił.
Przebacz, jeżeli Muza zbyt wesola:
Niedość nauczyć, trzeba, żebyś bawił!
Czyś bajki pisał, czyś prawdę określił,
Wiem, żeś w prostocie ducha swego myślił.
A my, którzy te powieści słyszemy,
Dobrego męża wszyscy wychwalajmy!
Sławmy autora, z którego bierzemy:
Gdy wodę pijem, źródło uwieńczajmy!
Niesłusznie wielcy małymi gardzimy.
To za duchowny obrok wszystkim dajmy:
Szczęśliwy, kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył,
Bądźcie laskawi, jam pracy dokończył.

125. Drugi poemat heroi-komiczny Krasickiego, *Monachomachija czyli Wojna Mnichów* (w sześciu pieśniach, 1778), należy do jego arcydzieł.

«W mieście, którego nazwiska nie powiem, — nic to albowiem do rzeczy nie przyda; — w mieście, ponieważ zbiór pustek tak zowiem, — w godnem siedlisku i chłopa, i Żyda; — w mieście (gród, ziemstwo³ trzymało albowiem — stare zamczysko, pustoty ohyda), — było trzy karczmy, bram cztery ułomki, — klasztorów dziewięć i gdzie niedzie domki. — W tej zawałonej ziemiańskiej stolicy — wielebne głupstwo⁴ od wieków siedziało; — pod starożytnem schronieniem świątynicy — prawych czcicieliw swoich utuczało. — Zbiegał się wierny lud, a w okolicy — wszystko odgłosem uwielbienia brzmiało. — Święta prostoto! ach! któż cię wychwali? — Wiekuj szczęśliwie!... Ale mówmy dalej». Przez długie lata nic nie mąciło słodkiego spokoju «świętym próżniakom», ale wreszcie pozazdrościła go im Jędza niezgody, która też, przelatując kiedyś w nocy nad miastem, wznieciła jakiś rozruch w klasztorze dominikańskim. «Wtenczas, nie mogąc znieść tego rozruchu, — ociec Hilary obudzić się raczył; — wtenczas ksiądz Przeor, porwawszy się z puchu, —

¹ prośby.

² sprzeciwiać się.

³ kancelarja sądów grodzkich i ziemskich.

⁴ wielebni głupcy, t. j. mnisi.

pierwszy raz w życiu jutrzeńkę obaczył; — kłął ociec Doktor czulość swego sluchu, — wstał i widokiem swym ojców uraczył; — i, co się rzadko w zgromadzeniu zdarza, — pędem niezwykłym wpadł do refektarza. — Na taki widok zbiegłe braci trzody — pod rzedem kuflów garcowych ukłękły; — biegli ojcowie za mistrzem w zawody; — ten, strachem zdjęty i srodze przełękły, — wprzód otarł z potu mięsiste jagody, — siadł: ławy pod nim dubeltowe jękły, — siadł, strząsnął mycką, kaptura poprawił — i tak wspólnie wyroki objawił: — «Bracia najmiłsi! Ach! cóż się to dzieje? — cóż to za rozruch u nas niesłychany? — czy do piwnicy wkradli się złodzieje? — czy wyschły kufle, gęsiory i dzbany? — Mówcie!... cóżkolwiek bądź, srodze boleje; — trzeba wam wrócić pokój pożądany!» — Wtem się zakrzuszył, jęknął, łzami zalał; — przeor tymczasem pełny kubek nalał». Raczył się ojciec Doktor napić «raz, drugi i trzeci... odchrząknął żwawo, niby się uśmiechnął, — przymrużył oczy, nadął się i kichnął». Za przykładem ojca Doktora pokrzepili się i inni, i odrazu rozjaśniło się im w głowach: odgadli, że przyczyną rozruchu jest zazdrość karmelitów, których też postanawiają wyzwać na dysputę; poczem wrócili do łóżek. Tymczasem i w klasztorze karmelitów coś niedobrze słyhać: «Już wschodzącego słońca pierwsze zorze — opowiadały wrzaskliwe grzegotki; — już się krzatali bracia po klasztorze, — już koło furty stękały dewotki; — już ociec Rajmund w pierwiastkowej porze¹ — wychodził słyhać świątobliwe plotki, — gdy (myśląc, kto wie, czy o Panu Bogu?) — zgubił pantofel i upadł na progę»; jako człek uczony, «fatalną wroźbę w tej przygodzie znaczy»: jako niehawem przychodzi do klasztoru posłowie dominikańscy i wyzywają karmelitów na dysputę. Ci kłócą się i wrzeszczą, ale nakoniec przystają na dysputę; «wtem brat Kleofas na obiad zadzwonił:—wypadli, wszyscy, jakby ich kto gonił.». Po obiedzie znowu w radę: jeden radzi, by się zmierzyć z dominikanami na kufle, lecz inny odradza, bo «pijemy dobrze, ale lepiej oni»; staje na tem, że się odbędzie uczona dysputa: «trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty»; odnaleziono gdzieś w starym lamusie starą bibliotekę, i ojcowie na gwałt zaczynają się uczyć. Kiedy się już nauczyli, «schodzą się mędry na dysputę; poprzedza ją ojciec *defendens*² szumną, a bezmyślną mową. Niehawem jednak dysputa, prowadzona ściśle według reguł scholastycznych, zamienia się na bójkę. Nie wiedzieć, na czymby się to wszystko skończyło, gdyby nie ksiądz Prałat, który, «biorąc w głąb rzeczy przez swój wielki rozum, — rozkazał przynieść *vitrum gloriosum*», to jest sławny puhar. Brat Czesław «rumiany i tłusty» wlał weń cały garniec wina: na ten słodki i wonny widok serca rozjuszzone zaczęły mięknać, i nastąpiła zgoda.

Jak *Myszeida*, tak i *Monachomachja* jest nietylko «igraszką wesołego dowcipu», ale i satyrą — na rozluźnienie życia klasztornego i na ciemnotę zakonników, a więc, z jednej strony, na ich próżniactwo, pijaństwo, plotkarstwo, zanik prawdziwego ducha religijnego, zarozumiałość i pychę, a z drugiej — na ich zabobonność, bezmyślność i straszliwe nieuctwo (objawiające się, pomiędzy innymi, w zniekształcaniu filozofji Arystotelesa). Wiedział wprawdzie Krasicki, że niektóre zakony, nadewszystko pijarów, już się otrząsnęły z próżniactwa i ciemnoty, ale i to wiedział, że są takie, które, wiódąc żywot gnuśny i siedząc po same uszy w ciemnocie, przynoszą społeczeń-

¹ rankiem. ² obrońca (t. j. broniący pewnych założeń w dyspacie przeciwko tym, którzy je zbijają).

stwu, a zwłaszcza swoim wychowańcom, ogromną szkodę. Mało kto w ówczesnej Polsce rozumiał tak jasno, jak Krasicki, że szczęśliwa przyszłość narodu zależy nadewszystko od dobrej szkoły; a tymczasem widział, że ciemna szlachta woli oddawać dzieci na naukę do klasztorów, aniżeli do szkół, zreformowanych przez Komisję Edukacyjną. I ten wzgląd właśnie, a nie sam tylko śmiech dla śmiechu, skłonił go do napisania satyry na zakony, a raczej na zakonników (bo przeciwko instytucji klasztorów Krasicki nigdy nie występował). Bronią zaś tej satyry jest ironja, która «bez zółci łaje, przystojnie się dąsa», a więc ironja pogodna, wesoła, bez sarkazmu. Sarkazm płynnie albo z jadowitej nienawiści, albo z wielkiego cierpienia: a tymczasem Krasicki, między Bogiem a prawdą, nie cierpał tak dalece nad ciemnotą zakonników, ani ich nie nienawdził; owszem, był im raczej wdzięczny za to, że się może z nich śmiać. I ten śmiech zrobił swoje: Jan Śniadecki świadczy, że «*Monachomachja* Krasickiego wyszła w najlepszej porze i najwięcej pomogła usiłowaniom Komisji» — przez to właśnie, że, ośmieszając zakonników, ośmieszyła starą szkołę, ludzie bowiem «w swoich zastarzałych uprzedzeniach i nałogach nie tak się lękają dowodów i przekonania, jak szyderstwa i wstydu, gdzie dowcip więcej może, niż rozum».

**Parodja
Apostrofy
do miłości
ojczyzny
(z pieśni III)**

Wdzięczna miłości kochanej szklenice!
Czuje cię każdy: i słaby, i zdrowy;
Dla ciebie miłe są ciemne piwnice,
Dla ciebie znośna duszność i ból głowy;
Słodzisz frasunki, uśmierzasz tęsknice,
W tobie pociecha, w tobie zysk gotowy.
Byle cię można znaleźć, byle kupić,
Nie żal skosztować, nie żal się i upić.

**Początek
pieśni IV**

O! ty, którego żaden nie zrozumiał,
Gdy w twoich pismach błakał się, jak w lesie,
O! ty, nad którym nieraz się świat zdumiał
I dotąd sławi, wielbi, dziwuje się!
O! ty, coś głowy pozawracać umiał,
Bądź pozdrowiony, Arystotelesie!
Bożku łbów twardych i próżnej mozoly,
Witaj, ozdobo starodawnej szkoły!

Osiel w lwiej skórze nieostrożnych zwodził,
Często niezgrabny płód, choć matka hoża,
Nieraz cedr słabą latorośl urodził,
Nieraz się zakradł kąkol wpośród zboża:
Nie twoja wina, żeś głupich napłodził:
Są to potomki nieprawego łoża.
Jeśli się śmiejesz, patrząc na te fraszki,
Rzuć jeszcze okiem dla nowej igraszki!

Schodzą się mędrycy: i biali, i szarzy,
Czarni, kafowi¹, w trzewikach i bosy;

¹ kafa = kawa.

Rumiana dzielność błyszczy się na twarzy,
Tuman mądrości nad łbami się wznosi,
Zazdrość i pycha zjadłe oczy żarzy.

(Jeden się tylko zakon nie wynosi¹).

Pokorę świętą zachowując wszędzie,
Siedli przy końcu, jednakże nie w rzędzie.

Powstali wszyscy, póki nie usiedzie
Pan Wicesgerent², mecenas dysputy.

Sławny to mędrzec i pilny w urzędzie;
Wziął kunia szubę i czerwone buty;
Dalej ksiądz proboszcz w rysiej rewerendzie³,
Dalej ojcowie, co czynią zarzuty.

Defendens zatem, uchylwszy głowę,
Do mecenasa zaczął tak przemowę:

«Na płytkim gruncie rozbujających fluktów⁴
«Korab mądrości chwieje się i wznosi,
«A pełen szczepu wybornego fruktów⁵,
«Niewysławioną kiedy korzyść nosi,
«Twoich, przezacny mężu, akweduktów⁶
«Żąda; a pewien, że względy uprosi,
«Płynię pod wielkiem hasłem, głosząc światu,
«Żeś ty jest perłą konchy Perypatu⁷.

«Słońce, co światłość znikłą wydobywa,
«Planety, które różne chwile dzielą,
«Księżyc, co równie wzrasta i ubywa,
«Gwiazdy, co nocną posepność weselą:
«Wszystko to w sobie zawiera Leliwa⁸
«I dom, szacowną wsparty parentelą⁹,
«Ostrogskich książąt, Pińczowskich margrabiów,
«Górków, Tarnowskich i Krasickich hrabiów¹⁰.

«Milczcie, Burbony, lub w koncentach¹¹ nowych
«Głoście szczęśliwość sarmackiej krainy!
«I wy, potomki synów Jagiellowych,
«I wy, auzońskie¹² Gwelfy, Gibelliny,
«Znoście wielbienia, a w pieniąch gotowych
«Dziś uwielbiajcie heroiczne czyny!
«Niechaj najdalsza potomność pamięta
«Wielkość dzieł. nauk, cnót Wicesgerenta.

¹ Oczywiście, ma tutaj Krasicki na myśli zakon pijarów, któremu inne zakony zazdrościły dobrych szkół. ² zastępca przełożonego klasztoru (opata). ³ su-tanna, habit. ⁴ bałwany. ⁵ owoce. ⁶ wodociągi, kanały. ⁷ szkoła perypatetyczna, t. j. szkoła Arystotelesa. ⁸ Leliwa — herb: w polu błękitnem, nad złotym półksiężycem złota gwiazda sześcioramienna; u szczytu na ognie pawim (albo na piórach strusich) — półksiężyc złoty z gwiazdą. ⁹ krewni, ród, familja, koligacja. ¹⁰ Krasiccy już w XVII wieku mieli hrabiostwo rzymskie. ¹¹ koncent — harmonja, okrzyk jednogłośny. ¹² włoski.

«Niechaj się Zoil¹ od zazdrości puka,
«Niechaj się Syrty² i Charybdy³ kruszą,
«Niechaj i Paktol⁴ nowych źródeł szuka,
«Niechaj się Olimpy i Parnasy wzruszą, —
«W tobie firmament znajduje nauka!
«Tyś kraju zaszczyt! Tyś ojczyzny dusza!
«Przeniosłeś w sławie sfinksy i feniksy,
«W dziełach — Euryppy⁵, Bucentaury⁶. Dixi⁷?»

Bitwa
(Początek
pieśni V)

I śmiech niekiedy może być nauką,
Kędy się z przywar, nie z osób natrzasa;
I żart, dowcipną przyprawiony sztuką,
Zbawienny, kiedy szczypie, a nie kąsa.
I krytyk zda się, kiedy nie z przynuką⁸,
Bez zółci łaje, przystojnie się dąsa.
Szanujmy mądrych, przykładowych, chwalebnych,
Śmiejemy się z głupich, choć i przewielebnych!

Wpada Hiacynt, — nowa postać rzeczy:
Miejsce dysputy zastał placem wojny;
Jeden drugiego rani i kaleczy!
Dostał po uszu nasz rycerz spokojny:
Widzi, że skromność już nie ubezpieczy;
Więc, dzielny w męstwo, w oddawaniu hojny,
Jak się zawinął i zboku, i zgóry,
Za jednym razem urwał dwa kaptury.

Lecą sandały i trepki, i pasy,
Wrzawa powszechna przeraża i głuzy.
Zdrętwiał Hiacynt na takie hałasy,
Chciałby uniknąć bitwy z całej duszy,
A przeklinając nieszczęśliwe czasy,
Resztę kaptura nasadził na uszy;
Już się wymykał, wtem kuflem od wina
Legł z sławnej ręki ojca Zefiry na.

Ryknął Gaudenty, jak lew rozjuszony,
Gdy Hiacynta na ziemi zobaczył;
Nową więc złością zagnała zapalony,
Żadnemu z ojców, z braci nie przebaczył:

¹ Krytyk grecki III wieku po Chrystusie, który się wslawił surową krytyką Homera i przez to poszedł w przysłowie: Zoil = zjadliwy i zazdrosny krytyk.
² dwie zatoki morza Śródziemnego. ³ Charybda — wir morski w cieśninie sycylijskiej (opisany w XII pieśni «Odysei»). ⁴ Paktol — rzeka w Lidji.
⁵ Euryp — cieśnina pomiędzy wyspą Eubeją a lądem Hellady. ⁶ Bucentaur — statek wenecki. ⁷ («Taki — dodaje w przypisku Krasicki — bywa pospolicie tok panegiryków. Niebo, ziemia, powietrze, morze, wszystkie zgola żywioly muszą wejść w pochwały mecenasa. Nasz panegirysta porównał pana Wicesgerenta, w sławie, w dziełach, w naukach, w enotach — do ptaka, do dziwotwora i do statku weneckiego, ale to przez niewiadomość: on przez to wszystko chciał rozumieć bohaterów»).

⁸ przymuszanie, dokuczliwość.

Padł i mecenas, z krzesłem przewrócony,
Definitora za kaptur zahaczył;
Łukasz raniony zwinął się w trzy klęby,
Stracił Kleofas ostatnie dwa zęby.

Coraz się mnożą i krzyki, i wrzaski,
Hałas powstaje i wrzawa, aż zgroza!
Ojciec Remigi sążnisty, a płaski,
Używa żwawo zgrzebnego¹ powroza;
Wziął w łeb Kapistran obręczem od faski,
Dydak półgarncem ranił Symforoza.
Skacze Regulat do oczów, jak zmija,
Longin się z różnem walecznie uwija.

Już był wyciskał talerze i szklanki,
Pękły i kufle na łbach hartowanych,
Porwał natychmiast książkę z za firanki:
*Wojsko afektów zarekrutowanych*²,
Nią się zakłada, pędzi poza szranki
Rycerzów, długą bitwą zmordowanych.
Tak niegdyś sławny mocarz z Palestyny³
Oślą paszczką gromił Filistyny.

Widzi to Rajmund, ozdoba Karmelu,
Widzi w triumfie syna Dominika,
Wyjeżdża na harc i wpada wśród wielu,
Godnego sobie szuka przeciwnika.
Rafał z nim obok: «Ratuj, przyjacielu!»
Rzekł, seraficzna⁴ w tym punkcie kronika
Padła nań z góry: legł i ręką kiwnął,
Dwa razy jęknął, cztery razy ziewnął.

Zapłakał Rafał, a mądry po szkodzie,
Wtenczas błąd poznał, że wróżkom nie wierzył;
Dotrzymał jednak kroku na odwodzie,
A gdy Gaudenty na niego się mierzyl
Z mokrem kropidłem w poświęconej wodzie,
Oczy mu zalał, trzonkiem w łeb uderzył:
Nie spodziewając się takowej wanny,
Stanął Gaudenty i mokry, i ranny.

Otrząsł się wkrótce, a nabrawszy ducha,
W dwójnasób czyny heroiczne mnożył.
Ojcze Barnabo! Lepiej było w puchu!
Pocoś szedł w wojnę? pocoś się tak srożył?

¹ konopny. ² tytuł książki nabożnej, napisanej przez Hilarjona Fałęckiego (1739). W przypisku dodaje Krasicki: «Ta książka nabożna, pełna świątobliwych głupstw, a poczęści i zgorzenia, osobiwie dla młodzieży, wartaby była zakazania».

³ Samson. ⁴ pobożna.

I ty, Pafnucy, ległeś w tym rozruchu!
I ty, Gerwazy, słuszniesz się zatrwożyć!
Nikt go nie wstrzyma w zemście przedsięwziętej,
Na waszą zgubę odetchnął Gaudenty.

**Vitrum
gloriosum**

Postawion puhar na miejscu osobnem;
Odkrył go prałat, aby był widziany.
Zadziwił oczy widokiem ozdobnym,
Sklni się w nim kruszec srebrno pozłacany.
Wiele pomieścić trunku był sposobnym,
Miara oznacza: był to dzban nad dzbany!
Rzeźba wyborna na górze, a zboku
Wryte były cztery części roku.

O! wdzięczna wiosno, twoje tam zaszczyty
Kunszt cudny wydał: tu w plugu zziąbane
Ustają woły, oracz pracowity
Nagli; już niwy napół zaorane.
Śpiewa pastuszek w chłodniku¹ ukryty,
Skaczą pasterki, w wieńce przyodziane.
Pękają listki, krzewią młode trawki;
Echo głos niesie niewinnej zabawki.

Gospodarz z domu do wiernej czeladzi
Na oglądanie roli swojej śpieszy;
Małe wnuczęta ze sobą prowadzi,
Widok go zboża już weszłego cieszy.
Niesie posiłek, czeladź się gromadzi,
Porzuca brony, odbiega lemieszcy.
Kmotry² śpiewają, skaczą, lud się mnoży.
Pleban wesoly uznaje³ dar boży.

Już kłos dojrzały do ziemi się zgina,
Już wypróżnione są gniazdeczka ptasze,
Lato swych darów używać zaczyna;
Parafijanie jadą na kiermasze⁴.
Pije ksiądz Wojciech do księdza Marcina,
Piją dzwonniki, Piotry i Łukasze;
Gromady, odpust, wesela, jarmarki,
Skrzętne po domach biegają kucharki.

Jesień plon niesie, korzyści zupełne,
Jesień radości pomnaża przyczyny:
Sklada gospodarz z owiec miętka wełnę,
Tłoczy na zimę wyborne jarzyny;
Cieszy się, patrząc, że stodoły pełne,
Śmieje się pleban, kontent z dziesięciny,

¹ pod cieniem drzew lub krzaków. ² kum. ³ dziękuję za... ⁴ święto kościelne, odpust.

Codzień odbiera nowiny pocieszne,
Codzień rachuje wytyczne¹ i meszne².

Mróz rolę ścisnął, śnieg osiadł na grzędzie:
Zima posepna przyszła po jesieni;
Wrzaski po karczmach, radość słychać wszędzie,
Trunek myśl rzeźwi i twarze rumieni.
Idzie z wikarym pleban po kolędzie,
Żaki śpiewanie zaczynają w sieni.
Gospodarz z dziećmi gospodarza wita,
Kończy się kuflem pobożna wizyta.

Wierzchołek dzbana przedziwnej roboty
Grono prałatów w kapitule stawił:
Ogromne barki kształci³ łańcuch złoty.
Dalej — wspaniała ucztę proboszcz sprawił.
Znużonej trzodzie z przykładowej roboty
Pulchnokarczysty pasterz błogosławił.
Śmierć była na dnie, za nią w ściślejszej parze
Obfite stypy i anniwersarze⁴.

126. W zakończeniu *Monachomachji* wyraża Krasicki «pewną nadzieję», że się nikt nie zgorszy jego utworem i mówi do czytelnika: «Przeczytaj, osądź, nie pochwalisz, spałę». Nadzieja zawiodła Krasickiego, a on — czytelnika: ludzie gorszyli się *Monachomachją*, a on jej nie spalił. Nie wszyscy się zresztą gorszyli: niektórzy bardzo byli radzi, że się «klechom» dostało, i boki zrywali ze śmiechu. Ale inni nie posiadali się z oburzenia i zgromy: jakto? biskup i takie rzeczy pisze?! Posądzano Krasickiego, nie mniej ani więcej, tylko o herezję, o zbeszczeszczenie Kościoła, o znieważenie religji, o bluźnierstwo. I oto znalazł się książę biskup warmiński w podobnym położeniu, jak Moljer po napisaniu *Świętoszka*: musiał się usprawiedliwiać; i, jak Moljer dopisał do swojej komedji całe dwie tyrady, w których stwierdził, że godził nie w religję i nie w pobożność, tylko w obłudnych świętoszków, tak i Krasicki postanowił się usprawiedliwić i w tym celu napisał cały poemat w sześciu pieśniach, także heroikomiczny, pod tytułem: *Antimonachomachja* (1780). Jędza niezgody podrzuca w klasztorze dominikanów *Monachomachję*; czytają dominikanie, potem — karmelici: jedni się śmieją, inni się pienią ze złości, a wszyscy radzą, co robić: czy zbić autora na kwaśne jabłko, jeśli chłop, czy pozwać do sądu, jeśli szlachcic? Rozsądny proboszcz łagodzi rozjuszone umysły: każe przynieść «dzban czworogarncowy», a gdy go ojcowie wypróżnili, z dna wynurzyła się Prawda, stanęła widomie przed ojcami, palnęła im naukę moralną i znikła.

Jako poezja, *Antimonachomachja* jest, w porównaniu z *Monachomachją*, utworem słabym: akcja bardzo uboga, ruchu i humoru daleko mniej. Ale bo też chodziło Krasickiemu nietyle o «igraszkę wesołego dowcipu», ile o to, żeby odeprzeć zarzuty, jakie mu czyniono z powodu *Monachomachji*. Jakiego zaś rodzaju były te zarzuty, to widać doskonale z *Antimonachomachji*, bo je Kra-

¹ pobór z dziesięciny. ² opłata za odprawienie mszy na czyjaś intencję.
³ zdobić. ⁴ rocznice.

sicki wkłada w usta oburzonych zakonników. Oto np. co ojciec Honorat, rzuciwszy okiem na *Monachomachję*, mówi o jej autorze: «Heretyk sprośny, Turczyn, jansenista, — ateusz, piekła zarażony jadem, — oszczerca, z cudzych defektów korzysta, — godzien największej być kary przykładem! — Niechaj go hańba ogarnie wieczysta — i wszystkich, którzy tym będą iść śladem! — Niech go... Dech ustał ojcowi żarliwemu». A ojciec Gerwazy dowiedział się od pobożnej i wymownej panny Doroty mnóstwa niezmiernie ciekawych rzeczy: «Usłyszał, jako autor złego dzieła — od bezbożników na to namówiony, — jako go zysków nadzieja ujęła; — i nawet o tem został upewniony, — jakie bezbożność ukaranie wzięła: — jak w świętej ziemi nie był pogrzebiony, — jak panna Anna na rozstajnej drodze — widziała w ogniu jęczącego srodze». «Wszystko to było powiedziano różnie, — żwawo, dokładnie, zwięźle i pobożnie».

Cóż na to wszystko Krasicki? Przez usta tych rozsądniejszych zakonników, którzy się na *Monachomachję* nie oburzyli, odpowiada, że mu się ani nie śniło «kłaść zakonności w równej szali z wiarą», a cóż dopiero bluźnić, że ośmieszyl nie religję, nie Kościół, tylko jego niegodnych, ciemnych służebników. Z tych zaś służebników drwi sobie podawnemu Krasicki, i to daleko złośliwiej, niż w *Monachomachji*. Oto np. jak ojciec Bonifacy pociesza ojca Honorata, kiedy się ten żali, że go autor wydrwił: «W myśli to jego może nie postać — osławiać, szydzić z ojca Honorata: — co tam wyraził, u nas się nie działo; — jakąż stąd sławy być może utrata? — Nigdy się, ojcze, taki nie frasuje, — który zarzutu przyczyny nie czuje. — Hazard¹ nadarzył twe imię w pisaniu, — ale opisał nie tem, czem cię znają: — alboż uparty jesteś w twojem zdaniu? — alboż cię bracia o złość posądzają? — alboż nie trawisz dni, nocy w czytaniu? — alboż cię flaszki przyjaciela mają? — Dobrzyście, mądrzy, na książkach się znacie: — to nie o tobie, ojcze Honoracie!» Słowem, Krasicki, powiedziawszy jasno i wyraźnie, że nie pisał satyry na Kościół, a cóż dopiero na religję, nietylko że nie cofnął swojej satyry na «świętych próżniaków», ale im jeszcze dosolił, wierny swej zasadzie: «Szacunijmy mądrych, przykładowych, chwalebnych, — śmieijmy się z głupich, choć i przewielebnych!»

127. Najwyżej wzniosł się talent poetycki Krasickiego w satyrach i w bajkach; są one koroną poezji stanisławowskiej.

Dziesięć satyr, poprzedzonych wierszem *Do króla*, wyszło w roku 1779 p. t. *Satyry*; w roku 1784 ukazały się *Wiersze X. B. W.*², a wśród nich — znowu dziesięć satyr. Po śmierci Krasickiego, w wydaniu zbiorowem jego pism, jest jeszcze jedna satyra (*Podróż*). Tym sposobem wszystkich satyr jest dwadzieścia jeden, albo raczej dwadzieścia dwie, bo wiersz *Do króla* jest także satyrą, i to jedną z najświetniejszych. A jest to satyra nie na króla, tylko na społeczeństwo: nie Stanisława Augusta gromi tutaj Krasicki (przeciwnie, chwali go, i to tak zrecznie, jak nikt w XVIII w.), tylko społeczeństwo, które nie chciało darować stolnikowi litewskiemu jego wyniesienia, które też obrzucało go szeregiem głupich, a czasem i nikczemnych zarzutów. Otóż Krasicki, pomijając zarzuty nikczemne, niemal dosłownie powtarza i ośmiesza głupie: «Jesteś królem, a czemu nie królewskim synem?... Jesteś królem, a byłeś przedtem mościpanem! — To grzech nieodpuszczony!...

¹ przypadek.

² t. j. księcia biskupa warmińskiego.

Tys królem, czemu nie ja?... Oto młodyś jeszcze!...» Od siebie zaś dodaje dwa jeszcze niby to zarzuty, w istocie dwie pochwały: 1) zanadto jesteś człowiekiem, boś zbyt łagodny; pamiętaj, że «król nie człowiek»; «poco tobie przyjaciół? niech cię wielbią słudzy! — Chcesz, aby cię kochali? niech się raczej boją! — cóżes zyskał dobrocią, łagodnością twoją? — zdzieraj, a będziesz możliwym! gnęb, a będziesz wielkim!» 2) «Księgi lubisz i w ludziach kochasz się uczonych? — I to źle! porzuć mędrków zabałamuconych! — Żaden się naród księgą w moc nie przysposobił: — mądry przedysputował, ale głupi pobił». Wogóle cała ta satyra jest arcydziełem subtelnej ironji względem społeczeństwa, które suchej nitki na Stanisławie Augustcie nie zostawiało, nie umiając i nie chcąc ocenić ani jego rozumu, ani ogromnych zasług około oświaty, i niemniejszym arcydziełem dworskiej zręczności w pochwałach dla króla, na które sobie zresztą Stanisław August w zupełności zasłużył. Roi się literatura stanisławowska od niesmacznych wierszydeł dworackich, ale ze smakiem i z godnością pochwalił króla jeden jedyny Krasicki.

Wszystkie bez wyjątku satyry pisane są pod hasłem: «Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka: — wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka;...» «nie dba, kto w jakiej zostaje maszkarze, — odrzuca czczą wielmożność, a gdy z chłostą czeka, — nie szlachcica, nie chłopca ściga, lecz człowieka». Temu hasłu nie sprzeniewierzył się Krasicki: jego satyry nigdy nie są paszkwilami, ale bądź karzą, bądź ośmieszają ułomności ludzkie wogóle, a w szczególności ujemne cechy epoki oświecenia i społeczeństwa polskiego.

Najwięcej charakteru ogólnoludzkiego ma satyra *Człowiek i zwierze* (której zasadniczy pomysł zawdzięcza Krasicki dialogowi Plutarcha *O tem, że bezrozumne zwierzęta posługują się rozumem*): «Koń głupi. — Nie koń. — Osieł. — Nie osieł, mój bracie! — Któreż więc zwierzę od nich głupsze jeszcze macie? — Człowiek...» Dlaczegoż to człowiek jest głupszy, a nietylko głupszy, ale i gorszy od zwierzęcia? Bo ma rozum, a zwierzę — tylko instynkt, który jest od rozumu... rozumniejszy i szlachetniejszy; człowiek ten instynkt miał, ale zatracił. Czy z tego wynika, żeby (jak to z Rousseau'em głoszone często w XVIII wieku) człowiek miał zerwać z kulturą, a wrócić do stanu natury? Za mądry był Krasicki — on, który był najdoskonalszym, jakie sobie można wymarzyć, wcieleniem kultury — żeby podzielać ten pogląd: «Nie na tem się zasadza człeczka doskonałość: — towarzystwo¹ cel jego, do niego stworzony: — rodzice, dzieci, bracia i męże, i żony — święte węzły natury², które błąd nasz targa»; to znaczy: człowiek jest przeznaczony przez samą naturę do współżycia z ludźmi, a więc i do pracy nad kulturą, ale nietylko materialną i umysłową, lecz także moralną: «Niechaj człowiek pamięta na to, że człowiekiem. — wzniesie się nad zwierzęta lotem siebie godnym», a wtedy powróci na ziemię ów «złoty wiek», który nie jest może bajką, ale który tam tylko być może, «gdzie siedlisko cnoty; — w naszej mocy świat równym³ uszczęśliwić wiekiem».

Lecz zdawał sobie Krasicki sprawę, że do tego, aby nastał na świecie wiek złoty, bardzo jeszcze daleko, ponieważ ludzie nie myślą jakoś o tem, żeby uczynić ze świata «siedlisko cnoty»; temu, że «wiek oświecony» dokonał ogromnego postępu w dziedzinie kultury umysłowej, nie przeczył, ale myślał, że ten postęp został okupiony utratą niejednego skarbu. Myśl tę wypowiedział w satyrze *Pochwała wieku* (to jest wieku XVIII). Jej tematem

¹ t. j. społeczeństwo. ² to są święte węzły natury. ³ t. j. złotym.

jest to samo «zagadnienie kultury», które tak żywo zajmowało umysł Rousseau'a: czy świat zyskał na tem, że się nauki i sztuki tak bardzo rozwinęły? «Lepiej teraz, niż przedtem... Świat się coraz krzepi, — nabrał z laty rozumu, a im bardziej stary, tem dzielniej zeszyły, co go szpeciły przywary... Człowiek przedtem był prosty i dziki, jak zwierzę: — dziś jest istotność rozumna, ale jak rozumna!... Wszystko tchnie wytwornością, wszystko się zwiększyło, — zgoła zawždy dziś lepiej, niżli wczoraj było»; nauka postąpiła, człowiek już wydarł naturze wszystkie jej tajemnice, ludzie wyzbyli się różnych przesądów i zabobonów, nie wierzą już w djabłów i w czarownice i t. d. Lecz, obok tej «pochwały wieku», jest i jego nagana. Oto jego zdobycze naukowe nie są tak trwałe, jak się niektórym zdaje: «A te nasze światelka, co błyszczą dość jasno, — jak się w punkcie¹ rozświecą, tak w punkcie i zgasną». Niedosyć na tem: «co się wszere zyskało, wzdłgłysz się utraciło»: słuszną to skargą na dyletantyzm XVIII wieku! Lecz są jeszcze gorsze rzeczy: «Co zbyt niemię dowierzaniem upłodził wiek przeszły, — w terażniejszym podłace te przywary zeszyły, — ale też, zbyt porywczym zacieklszy się pędem, — częsło, gdy błąd poprawia, śmie prawdę zwać błędem... Złe jest nadto dowierzać, gorzej nic nie wierzyć... Jest granica, za którą przechodzić nie wolno». Ma tutaj Krasicki na myśli utratę dawnej żywej wiary religijnej i tak modną w XVIII wieku, a bardzo powierzchowną krytykę dogmatów chrześcijańskich. Wyrażnej jednak odpowiedzi na pytanie, czy «lepiej teraz, niż przedtem», nie daje Krasicki w *Pochwale wieku*: «Sądz, jak chcesz, może lepiej, może też i gorzej».

Lecz jest odpowiedź bardzo wyraźna w innej satyrze: *Świat zepsuty*. Jest to, z jednej strony, tak gorąca pochwała czasów dawnych, a z drugiej, tak jaskrawa charakterystyka tego zepsucia moralnego w XVIII wieku, za które Krasicki pociąga do odpowiedzialności wolnomyślność religijną, że odpowiedź jest niewątpliwa: dzisiaj jest gorzej. A ma tutaj Krasicki na myśli własną ojczyznę: gubi ją nie co innego, tylko upadek dawnej cnoty: «Płodzie, szacownych ojców naszący nazwiska! — Zewsząd cię zaśluzona dolegliwość ścisła, — sameś sprawcą swych losów. Zdrożne obyczaje, — krnąbrność, nierząd, rozpusta, zbytki gubią kraje. — Próżno się stan² mniemaną potęgą nasrożył, — który na gruncie cnoty rządów nie założył; — próżno sobie podchlebia. Ten, co niegdys słynał, — Rzym cnotliwy zwyciężył, Rzym występny zginał. — Nie Goty i Alany do szcztetu go zniosły: — zbrodnie, klęskę poprzędni i upadków pośły, — te go w jarzmo wprawiły; skoro w enocie stygnał, — upadł i już się więcej odtąd nie podźwignął».

Te dwie satyry (do których napisania mógł pobudzić Krasickiego współczesny mu poeta francuski Gilbert, jako autor satyry p. t. *Wiek osiemnasty*), wyjaśniają stanowisko, jakie zajął Krasicki wobec swoich czasów: ciemnota się zmniejszyła, ale moralność upadła. A ponieważ upadek moralności poczytywał za równie wielkie nieszczęście dla narodu, jak ciemnotę, więc, wychłostawszy w poematach heroikomicznych (i w innych jeszcze utworach) ciemnotę, w satyrach zwraca się nadewszystko przeciwko upadkowi obyczajów, przeciwstawiając nieraz czasy nowe dawnym, kiedy to kwitła staropolska religijność i staropolska cnota. Zanik żywej wiary tradycyjnej, płytkie i głupie mędrkowanie w rzeczach wiary, obłuda religijna i świętoszkostwo; samolubstwo i brak miłości ojczyzny, karjerowiczostwo i łapownictwo, kradzież grosza

¹ szybko, nagle, odrazu. ² państwo.

publicznego i jawna zdrada kraju; okrucieństwo panów względem sług; chciwość grosza, sknerstwo i lichwiarstwo; życie nad stan, marnotrawstwo, dorobkiewiczostwo, rozpusta, karcjarstwo, pijaństwo; rozluźnienie węzłów małżeńskich: oto nie wszystkie jeszcze, ale główne grzechy wieku oświeconego, jakich się Krasicki dopatrywał; one też stanowią tematy jego satyr, w których, mając na względzie nadewszystko własną ojczyznę, nadawał tym grzechom barwę krajową.

Forma satyr Krasickiego jest taka sama, jak satyr rzymskich i francuskich: bądź dialog pomiędzy dwoma znajomymi, z których jednym jest czasem sam autor, bądź opowiadanie albo przemowa samego autora — czy to do znajomego, czy to do «braci», to jest do całego narodu; dialog ma nad monologiem przewagę ogromną, przez co satyra zyskuje na żywości. W ramach dialogów mieszczą się niekiedy małe powiastki o jakichś zmyślonych zdarzeniach, np. o marnotrawstwie Konstantyna (w znakomitej satyrze *Marnotrawstwo*). Czasem taka powiastka wypełnia całą satyrę: są to jakby nowelki satyryczne. Taką np. jest satyra *Pijaństwo*: pijak, opowiedziawszy przyjacielowi, jakto się onegdaj upił «dla imienin żony», a wczoraj, wybierając klin klinem, także się upił i w kłótni z gośćmi wziął «w łeb butelką», — z pokorą słucha perory przyjaciela — poto, żeby na pytanie: «Gdziez idziesz?» odpowiedzieć: «Napiję się wódki». Lecz największem arcydziełem nowelki satyrycznej jest *Żona modna*, świetny obrazek obyczajowy, przedziwnie uwydatniający kilka rysów przeciwieństwa dwóch światów, które się z sobą długo zrozumieć nie mogły: dawnego, staropolskiego, i nowego, wytworzonego przez napływającą do Polski obyczajowość francuską; świat pierwszy uosabia poczciwy hreczkosiej, «wpisany w bractwo braci żalujących», t. j. osiodłany wnet po ślubie przez swoją magnifikę, a drugi — «żona modna», sentymentalna, sfrancuziała geś warszawska z przewróconym łbem, przewracająca też mężowi do góry nogami i dom staroświecki, i ogród staropolski.

Te dwie satyry są wymownem świadectwem, jak wielki talent miał Krasicki do krótkiej charakterystyki ludzi zapomocą ich własnych słów i czynów: jest to charakterystyka pośrednia. Nieraz uciekał się także do charakterystyki bezpośredniej: to jest różne postaci, będące przedstawicielami różnych wad, czyli tak zwane typy satyryczne, charakteryzował czy to swojemi własnemi słowami, czy to słowami tych, którzy w satyrze rozmawiają z sobą. Oto np. charakterystyka Wojciecha i jego smutnych losów w satyrze *Marnotrawstwo*: «Znałeś dawniej Wojciecha? — Któż nie znał! co teraz — bez sług, ledwo w opończy brnie po błocie nieraz; — niegdyś w karecie, z której dał się i umizgał, — takich, jakim jest dzisiaj, roztrącał i bryzgał. — Ustępowali z drogi wielmożnemu panu — lepsi i urodzeniem, i powagą stanu; — nieraz ten, który przedtem od filuta stronił, — westchnął skrycie natenczas, gdy mu się uklonił, — musiał czcić: czegoż złoto nie potrafi dzielne? — Niedługo przecież trwały te czasy weselne, — na zle wysłała wspaniałość. Przyjaciele kuchni, — junacy heroiczni, wzdychacze miluchni, — filozofi nakoniec, jak pustki postrzegli, — z maksymami, z wdziękami, z junactwem odbiegli. — Został się niedostatek, z nim wstyd dawnej pychy. — A co niegdyś wytrząsał kufle i kielichy, — co szampańskiem, węgierskiem pyszne stoły krasił, — wiadrem potem u studni pragnienie ugasił. — Jak to przyszło? — Nieznacznie. Łakome są żądze, — pełen jest świat oszustów, toczą się pieniądze: — zyskał Wojciech szalbierstwem, stracił wszystko zbytkiem, a niedługo się ciesząc niecnoty pożytkiem, — nawet tego nie doznał, gdy nic nie

dochowal¹, — żeby zdrajcę, bankruta któżkolwiek żałował». W satyrze *Złość ukryta i jawna* jest cały szereg typów satyrycznych: obłudny Wojciech, lotr Konstanty, świętoszek Paweł, cynik Jędrzej, pyszny magnat Jan, lichwiarz Mikołaj, oszust Piotr, chciwy złota Franciszek. Oto jak krótko, a mocno charakteryzuje Krasicki świętoszka: «Paweł trzech mszów słuchał, — zmówił cztery różańce, na gromnice dmuchał, — wpisał się w wszystkie bractwa, dwie godziny kłęczał, — krzywił się, szeptał, mrugał i wzdychał, i jęczał, — a pieniądze dał w lichwę». Do tej charakterystyki dodaje Krasicki: «...Próżne, Pawle, ofiary, gdzie skażone serce! — Krzyw się, mrugaj, bij czołem, kłęcz, szep taj i dmuchaj, — zmów różańców bez liku, bez liku mszów słuchaj: — jeśliś zdrajca, obłudnik, darmo kunsztu szukasz, — możesz ludzi omamić, Boga nie oszukasz!»

Lecz nietylko tutaj, ale na każdym kroku Krasicki bądź wyraźnie zaznacza, bądź daje poznać między wierszami swój sąd i swój uczuciowy stosunek względem różnych zdrożności i tych, co je popełniają. Bardzo często śmieje się z nich wesoło: taka np. *Modna żona* albo *Pijaństwo* to arcydzieła pogodnego humoru, zlekka tylko zaprawnego ironją.

Ale nie zawsze ironja bywa tak łagodna i wesoła, niektóre bowiem zdrożności nie bawiły Krasickiego, ale go bolały lub gniewały, a czasem oburzały. Stąd ironja nieraz bywa złośliwa, a nawet przechodzi w sarkazm. Tak np. w satyrze *Palinodia* (czyli *Odwołanie*) Krasicki niby to odwołuje wszystkie swoje zarzuty względem złych ludzi i chwali ich, zamiast łajając: «Naco pisać satyry? Choć się źle zbyt wzniosło, — przestańmy! Świat poprawiać — zuchwałę rzemiosło: — na złe szczerotę wychodzi, prawda w oczy kole, — więc już łajać przestanę, a podchlebiać wolę... Ciesz się, Pawle! Oszukać — to kunszt doskonały, — tyś mistrz w kunszcie, więc winne odbieraj pochwały! — Fraszka Machiawelów wykręty i sztuki: — przeniosłeś głębokością tak zacnej nauki — wytworność przeszłych wieków. Uczniów ci przybywa... Winszuję ci, ojczyzno moja, bądź szczęśliwa!» Podobnie w satyrze *Szczęśliwość filutów* niema ani ździebełka wesołości, jest natomiast sarkazm względem różnych lotrów, którzy nie przebiegają w środkach, wiodących do osobistej kariery, choćby z krzywdą innych i ku szkodzie ojczyzny: «Stary się rok zakończył, a nowy zaczyna. — Cóż mam dobrym powiedzieć? W starym ucierpeli — i w przyszłym cierpieć będą zapewne musieli... Do was więc mowę zwracam, szluczni a ostrożni, — filuty oświecone i jasnie wielmożni, — wielmożni i szlachetni z zgrają waszą całą, — winszuję, że w tym roku dobrze się udało: — coście tylko pragnęli, wszystko wam los zdarzył, — wyście się tam ogrzali, gdzie się drugi sparzył. — Fortuna, której koło ustawnie się toczy, — była ślepa dla innych, dla was miała oczy. — Więc winszuję wszem wobec, każdemu z osobna...» «Winszuję ci. A najprzód, żeś ocalał zdrowo; — wieluż za mniejsze² los srogiej ukarał surowo, a bardziej³ — sprawiedliwość, której wiek zepsuty — nie zna teraz, a przeto szczęśliwe filuty. — Winszuję, jak ty inszym, że tobie nie mierzy⁴; — winszuję, żeś, choć zdradził, przecież jeszcze wierzą, — winszuję, żeś, choć okradł, nie każą ci wracać, — możesz łupu zdartego, na co chcesz, obracać. — Jest więc czego winszować...»

Bywa i tak, że oburzenie przemawia nie pośrednio, nie jako sarkazm, ale bezpośrednio, jako wybuch gniewu. Tak jest w satyrze *Pan nie wart usługi*,

¹ gdy mu nic nie zostało. ² za mniejsze lotrostwo. ³ jeszcze surowiej.

⁴ nie wymierzają sprawiedliwości.

wymierzonej przeciwko okrutnemu obchodzeniu się panów ze służbą: «I wziął tylko pięćdziesiąt. — Wieleż miał wziąć? — Trzysta: — tak to z dobrego pana zły sługa korzysta. — A za cóż te pięćdziesiąt? — Psa trącił. — Cóż z tego? — Ale psa-faworyta jegomościę. — Prawda, wielki kryminał, ale i plag wiele. — To łaska, że pięćdziesiąt. — I nieprzyjaciele — taką łaskę wyświadczą. — On najlepszy z panów, — on sto plag nigdy nie dał. — Mów lepiej: z tyranów, — co dom czynią katownią, a na placz nieczuli, — z wewnętrżności się człowieczych ku sługom wyzuli... Katów waszych, nie panów zjadłości igrzyska! ¹ — Nędzni! bydłęta z pracy, a sługi z nazwiska, — i płakać wam nie wolno, mówić jeszcze gorzej: — przyjdzie kara za słowem okrutna tem spórzaj!» Tak samo jest w satyrze *Pochwała milczenia*, w której, stwierdziwszy najprzód sarkastycznie, że milczenie «jest rzeczą dobrą, zdatną, pożyteczną», piętnuje, nie szczędząc mocnych słów, «pisarzów i gadaczów», którzy przemilczają prawdę (niemniej tchórzliwie i podle, jak dzisiejsi dziennikarze): «Wy, szalbiarze z rzemiosła, wy, zdrajcy z urzędu, — profesy ² dzieł nieprawych, wy, niegodni względu, — wy, co słowem, co piórem umiecie kaleczyć, — wy, których dziełem, trudem: łgać, zdradzać, złorzeczyć, — zbyt poznani, milczycie, a głupi wam wierzy. — Hipokryty! Wśród waszych wzdychań i paciery — zradne milczenie wtenczas, gdy cnota nie milczy, — pod jagnięcym pozorem ukrywa jad wilczy. — Szarpacze cudzej sławy, dzielni błąd dociekać ³, — wiecie, jak zdradniej milczeć, niżli jawnie szczełkać; — wiecie, a cnota jęczy; stąd zasługi tajne ⁴, — stąd talenta w pogardzie, stąd dusze sprzedajne, — stąd nieszczeście poczywych, a przeciw naturze — cnota w podłej siermiędze, występek w purpurze». Tutaj oburzenie Krasickiego wznosi się do godności świętego gniewu, podobnie jak w satyrze *Wzięłość*, wymierzonej przeciwko zdrajcom i złodziejom ojczyzny, którzy (jak np. Poniński), zamiast ziemię gryźć w lochach albo wisieć, siedzieli sobie spokojnie w domu: «Mały złodziej wart chłosty; lecz ten, co kraj zdradza, — lubo tyle za sobą hańb, sromot sprowadza, — iż owe sławne sosny z nadbrzeża Pilicy — jeszcze małe do składu jego szubienicy, przecie filut, wisielec, na co patrzeć zgroza, — wstęgi nosi na szyi, co warta powroza». I dodaje Krasicki z bolesną ironją: «Chciałbym i ja też urosć: cóż, kiedy nie krađeł!»

Jeszcze inaczej przemówiło uczucie poety w satyrze *Świat zepsuty*, która stoi na pograniczu satyry i elegji; widok bowiem zepsucia moralnego społeczeństwa napelniał serce Krasickiego smutkiem, a nawet bólem patriotycznym, potęgującym się jeszcze na myśl (wszystko jedno, czy słuszną, czy niesłuszną) o dawnej cnotcie: «Gdzieżeś, cnoto? Gdzieś, prawdo? Gdzieście się podziały? — Tuście niegdyś najmilsze przytulenie miały. — Czciły was dobre nasze ojcy i pradziady, — a synowie, co w bite wstąpić mieli ślady, — szydząc z świętej poczywych swych przodków prostoty, — za blask czczego poloru zamienili cnoty... Duchy przodków, nadgrody cnot co używacie! — Na wasze gniazdo okiem jeżeli rzucacie, — jeśli odgłos dzieł naszych was kiedy doleci, — czyż możecie z nas poznać, żeśmy wasze dzieci? — Jesteśmy, ale z gruntu skażeni, wyrodni, — jesteśmy, ależ tego nazwiska niegodni!»

Nietylko wielki talent poetycki Krasickiego, ale i jego serce przemó-

¹ ofiary zjadłości. ² profes — dosłownie: zakonnik, który złożył uroczyste śluby; przenośnie: zwolennik, obrońca. ³ mistrze w wytykaniu cudzych błędów. ⁴ zasługi przemilcza się.

wiło w *Satyrach*; i wogóle w żadnym innym utworze szlachetne strony jego natury nie zajaśniały w tak pięknym blasku.

128. Jak w satyrach, tak i w listach poetyckich (1784 i 1788), poszedł Krasicki torem poetów rzymskich i francuskich, zwłaszcza Horacego, Boileau'a i Woltera: lecz zawdzięcza im tylko formę — sam rodzaj poetycki; treść bowiem, poza kilku bardzo drobnymi pomysłami, jest niezaprzeczoną własnością jego dużego rozumu i jego dobrego serca. Listów tych, które są pierwszymi listami poetyckimi w naszej poezji, jest (jeśli pominąć trzy króciutkie liściki: do wojewody, do księdza plebana i do kasztelana) bardzo mało — tylko osiem, ale treści w nich ogromnie dużo. Niektóre listy łączą bliskie pokrewieństwo z satyrami: list p. t. *Podróż pańska, Do księcia Stanisława Poniatowskiego* można nawet nazwać satyrą na bezmyślne podróże zagraniczne Polaków, oraz głupią pompę dworską zwiedzających swoje dobra jasnie wielmożnych panów i na ich fantastyczne pomysły gospodarskie; list *Do pana Rodkiewicza*, w którym Krasicki dziękuje mu za wierne przepisanie jego utworów do druku, przypomina niektóre satyry swoim tonem żartobliwym. Lecz inne listy mają charakter odrębny. Są to wierszowane rozprawki o przedmiotach poważnych: czy król może i czy powinien mieć szczerych przyjaciół? jak oplakane skutki pociąga za sobą dla kraju «dzikość» ogółu społeczeństwa? jak poznawać i jak sądzić ludzi? jakie są obowiązki obywatela-patrjoty? jak trzeba pisać historję swego narodu? naco pić zagraniczne wino, kiedy jest polski miód i polskie piwo? — oto nad czem zastanawia się Krasicki w tych rozprawkach, będących arcydziełami porządneho, zgóry obmyślanego układu i logicznego powiązania myśli; a powaga w nich taka, że, gdyby się nie wiedziało, toby się było trudno domyślić, że pisał je autor *Monachomachji* i *Zony modnej*; czasem tylko, np. w liście do Naruszewicza, jak szydło z worka, wychodzi najaw uśmieszek ironiczny. A nietylko powaga znamionuje te utwory Krasickiego, ale także serce: przywiązanie do ojczyzny, do tradycji, do starodawnego obyczaju, oraz życzliwość i pobłażliwość dla ludzi: «Poznać ludzi — istotna, najpierwsza nauka; — lecz kto ją zacznie, w dobroć niechaj się uzbroi: — ta wątpliwość uśmierzy, trwożę uspokoi, — ta, jeżeli maluje, nieprzykre ma farby... Zli ludzie, lecz nie rodzaj: jest w sercu grunt cnoty. — Czy więc godni nagany z dzieła, czy z ochoty, — nad słabością się godnych nagany uzalmy, — mniej dzielnych oszczędzajmy, więcej dzielnych chwalmy!... Więc jest lepiej dowierzać, niżli zbyt nie wierzyć; — strzegąc się, by nie ująć, lepiej i nadmierzyć: — mała szkoda, a cudzej krzywdzie się zabiega. — Niebezpieczny wzrok taki, co nadto postrzeżga: — bystrością się osłabia, a wreszcie utraci! — Ten, co w współludziach swoich uznaje współbraci, — choćby go z ich przyczyny dotknęła i nędza, — im więcej ich poznaje, tem bardziej oszczędza». Jakże to niepodobne do «śmiejmy się z głupich, choć i przewielebnych!...»

Do Krzysztofa Szembeka, koadjutora płockiego.

Dzikość, zacny Krzysztofie, kto dobrze tłumaczy,
Nie samo okrucieństwo lub niezgrabność znaczy.
Jest wiele jej rodzajów. Odmienna i zradna,
Najgorsza, gdy umysłów pani wielowładna.

W narodach nieraz władzę swoją rozpostarła,
Niemasz twierdzy takowej, gdzieby się nie wdarła.
Odpór jej niebezpieczny, bo ma wojska liczne:

Osiada wstępny bojem miejsca okoliczne,
A jak pożar, gdziekolwiek swą moc rozpościera,
Wszędzie niszczy, pustoszy, trawi i pożera.

Fanatyzm jej towarzysz, czujny na wzburzenie,
Punkt honoru nieprawy, płocze uprzedzenie,
Zazdrość, zemsta, ślepotą nadchodzą w przydatek,
A za niemi w odwodzie glupstwo naostatek!
Harda takim orszakiem, we wszystko się miesza,
A gdy jej ulubiona dopomaga rzesza,
Choć z siebie mało-dzielna, choć słaba z oręża,
Zuchwałością zastrasza, natręctwem zwycięża.

Gmin u niej tylko w lasce, albo gminne dusze;
Wtenczas, kiedy wspaniale zoczy animusze,
Z poczem się swoich na nie zapalczywie miota.

Nie ustrzegła się przed nią i mądrość, i cnota:
Ściga je, a gdy w biegu nie potrafi dostać,
Żeby lepiej złudziła, bierze onych postać.
W tej dopiero zakryła zdradliwej maszkarze,
Nieprawnie chwali, gani, nadgradza i karze,
A ślepym się instynktem rządząc, nie rozumem,
Pyszni się tym, co zwiódła, uprzedzonym tłumem.
Stąd liczne błędów mnóstwo, co państwo zgubiło,
Stąd owe sławne hasło: niech będzie, jak było;
Stąd przywary w zaszczycie¹, a rady, choć zdrowe,
Nie, że złe, odrzucone, ale, że są nowe.

Walczyć z gminem należy, kto go chce oświecać;
Umie błąd coraz nowe uprzedzenia wzniecać,
Umie winę poświęcić, dać pozór niecnocie;
A zbawiennej kiedy się sprzeciwia robocie,
Sili się dzieło skazić, upośledzić sprawcę.
Rządzący, wodze, sędziowie, starsi prawodawce
Smutnym swoim wspierają tę prawdę przykładem.

Ktokolwiek więc tak przykrym następuje śladem,
Nim się o dobro, szczęście dla drugich pokusi,
Niech zawczasu przewidzi, co ucierpieć musi!

Likurg za to, że prawa swej ojczyźnie nadał,
Szczęśliwy, zamiast życia że oko postradał.
Sokrates, co występki Ateńczyków hydzył,
Cóż miał w zysku? Lud z niego na teatrach szydził.
Stratą życia nakoniec wziął zasług nadgrode.

Do rozpaczcy w tej mierze cnotliwych nie wiodę:
Miło służyć ojczyźnie, miło dla niej ginąć;
Ale cierpieć bez zysku i nieszczęściem słynać,
Ale czuć się niewinnym, a być w złej maszkarze²,
Ale służyć niewdzięcznym i znosić potwarze —
To heroizm prawdziwy! Co kryśle w tej strofie,
Czujesz. Możeś i doznał, szacowny Krzysztofie!

¹ przeciętna szlachta, której «dzikość» charakteryzuje tutaj Krasicki, z zazdrością i niedowierzaniem patrzyła na ludzi rozumnych, odznaczonych wysokim urzędem, albo innym zaszczytem. ² a mieć złą opinię.

Do ks. Ada-
ma Naru-
szewicza

Dzieje ludzkie złe, dobre, mądre albo głupie,
A dziejopis jak echo, uczony biskupie!
Kronika jest zwierciadłem: kto w nie wejrzeć raczy,
Tak każdego, jak godzien być znany, obaczy.
A co za życia tai przywary i zbrodnie
I pozwala niekiedy wykraczać swobodnie:
Bojaźń względ, zysk, — nadzieja — ustawają z laty¹;
Choć zacny, znamienity, mocny i bogaty,
Gdy te blaski powierzchne coraz gasną z wiekiem,
Złym się tylko pokaże lub dobrym człowiekiem.

Nie łatwe to jest dzieło dzieje ludzkie głosić,
Poniżyć, gdzie należy, gdzie trzeba, wynosić,
Dać poznać, jak się rzeczy na świecie kojarzą,
Szrodek między podchlebstwem trzymać a potwarzą,
Czerpać rzeczy istotę w ich właściwym źródle,
Obwieszczać bez przysady, prosto, a niepodle²,
Co godne wiadomości, to tylko okryślać,
Dla miłości ojczyzny nie taić, nie zmyślać,
Nie koligaci³ przodków z Turnem lub Ewandrem⁴,
Lub, jak dobry Kadłubek, bić się z Aleksandrem,
Wawelskiego się smoka paszczęki wystrzegać
I z Leszkim prędkonogim po ewieczkach nie biegać.
Nasze ojcy poczciwe dobre mieli serce:
Nie chcieli nawet bajek trzymać w poniewierce
Stąd też, jeden za drugim owczym biejąc pędem,
Skoro zelgał najpierwszy, wszyscy łgali rzędem.
Z ich łaski poza morze granic naszych meta,
Z ich łaski ród Magoga, Tubala, Jafeta⁵,
A tak dobrze ułożon, iż za pilnym składem
Wiemy, kto naszym przodkiem, dziadem, prapradziadem.

Niech Pan Bóg temu płaci, kto nam dobrze życzy,
Ale gdy, chcąc podchlebiać, bajki tylko liczy,
Mimo serce uprzejme, kiedy zmyśla w oczy,
Chcąc podwyższyć uniżać, chcąc wielbić, uwłoczy.
Bądźmy i z zbójców rodu, bylebyśmy byli
Takimi, byśmy nasz ród cnotą uszlachcili:
Wtenczas, im mniej poważni, im z pierwiastków⁶ mniejsi,
Tem bardziej w oczach ludzkich będziem szacowniejsi.
Každy kraj miał bojarów: czasy heroiczne
Cóż innego w istocie nad bajki rozliczne?
Nie pierwsi my to łgali, łgali poprzednicy:
Grecy szli z zębów smoczyc, Rzymianie z wilezycy.

¹ to wszystko, co nieraz zniewala dziejopisa do utajenia prawdy o tej lub owej postaci historycznej za jej życia (t. j. bojaźń, liczenie się z jej stanowiskiem, nadzieja zysku lub odznaczenia), po śmierci jej ustaje — i dziejopis może już mówić całą prawdę. ² styl historii powinien być bez wyszukanych ozdób, prosty, ale szlachetny. ³ spokrewniać. ⁴ Turnus, król Rutulów, z którym — w poemacie Wirgilijusa — walczy Eneas; Ewander, król arkadyjski, był w tej walce sojusznikiem Eneasza. ⁵ Magog i Tubal (czyli Tubol) — dwaj spośród siedmiu synów Jafeta; wspomina o nich Długosz (a za nim inni kronikarze) w swoim fantastycznym rodowodzie Słowian. ⁶ początkowo, w zaraniu dziejów.

A dopieroż po radzie szło wszystko cudownie:
Bajarz, choć sam nie wierzył, plół bajki wymownie.

Dość ciemna zawsze przeszłość: pocóż ją kunszt¹ ciemni?

Naco pisać, jeśli się zmyślać zda przyjemniej?²

Wielkie pole romansów, — i te kryślić sztuka.

Niech niejsce naszej Wandy zajmie Banialuka,

Krakusa — Koloander³, a dopiero pięknie

Pod hasły zwycięskimi nieprzyjacieli stęknie.

Zbijemy Niemce, Turki, Francuzy, Hiszpany;

Ów zwycięzca narodów, król Lech zawołany,

Pójdzie poza Ocean, morze Białe, Czarne,

A puszczać się żwawo w żeglugi niemarne,

Przejdziemy Argonautów, — o których też łgano.

Dość już bajek, uczony biskupie, pisano.

Ty bierzesz pióro w rękę, — w rękę, co na straży

Prawdę mając rzetelną, ściśle rzeczy waży:

Pisz śmiało, bo tak dzieje państw pisać należy.

Czas znika, mija przeszłość, wiek niezwrotnie bieży,

A występków szkaradność lub cnoty przykłady —

Te obrzydłe, te święte zostawują ślady.

Ścigaj je i okazuj, a gardź podłą rzeszą,

Niech się wstydzą bezbożni, a poczciwi cieszą!

Niech wiedzą, iż, choć podstęp dobrych uciemieża,

Wyjdzie cnota na swoje i wieki zwycięża.

Ten cel dziejów! inaczej pozioma robota:

Ciekawość czeza pobudka, grunt wszystkiego cnota.

Co mi po tem to wiedzieć, w jakim dzieło roku?

Nie rok służy do dzieła prawego wyroku,

Nie dzień czyni treść rzeczy, lecz ten, co weń czynił.

Kto pisze, czy utaił, zmniejszył, czy przyczynił,

Stal się dzieła niegodnym. Prawda treścią rzeczy,

Wdzięk stylu nie pomoże, kunszt nie ubezpieczy.

Wzgardą jest potomności zwodziciel zachwały,

Odbierze sposób pisma właściwe pochwały,

Ale rzecz, gdy opaczna, upodli autora.

Pierwiastkowa narodów rozmaitych pora,

Mgłą niewyszlakowanej⁴ okryta ciemności,

Cienie ledwie w dojrżanej stawia odległości;

Te zgadywać, tłumaczyć dowcipnie⁵, a skromnie —

Przymiot tobie podobnych, trwałych wiekopomnie.

Wszystkie czasów odmiany są losu igrzyska,

Wzrok prawy, czy zdaleka widzi je, czy zbliżka,

Tem sądzi, czem są istnie⁶. Tłum idzie za kształtem⁷,

Sławi wielkość, nabytą niecnotą i gwałtem:

Wielki ten, co pognębiał, wielki, co ciemieżył,

Wielki ten, co przemocą niezdolnych zwyciężył,

¹ sztuka dziejopisarska. ² naco pisać historję — czy nie lepiej romanse?

³ «Koloander wierny, Leonildzie przyjaźni dotrzymujący» — bardzo poczytny romans; autorem jest Marino; przekład polski (z przekładu francuskiego) ukazał się w r. 1762. ⁴ niezbadany. ⁵ mądrze. ⁶ naprawdę. ⁷ pozory, zewnętrżność.

Wielki, który tysiącami nieszczęśliwych robił.
I, jakby mnóstwem zbrodni na chwałę zarobił.
Stawia go błąd poziomy w znacznych mężów szyku.

Prawda umie rozdzielać przymiot w wojowniku:
Chwali męstwo, lecz cnotę nad męstwo przenosi,
Triumf wielbi, moc zważa, ale ludzkość głosi.
Wielki u niej, kto przemoc z dobrocią połączył,
Wielki, kto zaczął męstwem, ludzkością dokończył.
Nie stąd ją Aleksandra przemożność porusza,
Iż z małą garstką mężnych przemógł Daryjusza,
Lecz gdy młody wstrzymał się, płakał nad zgębionym:
Nie zwycięzca, lecz skromny godzien być chwalonym.

Bohater — zręczny zdzierca, rozbójnik szczęśliwy;
Lecz gdy cnoty miłośnik, dobrej sławy chciwy,
Obrońca, nie zaczepnik, — wtenczas zawołany¹,
Wtenczas w poczet rycerzów godzien być wpisany.
Lecz te sławne potwory bez serca, bez duszy,
Których cnota nie wzmaga, ludzkość nie porusza,
Sławne zdzierstwa wielkości, które tytuł podła,
Chociaż niekiedy aplauz przedawczy² wymodlą,
Spełnie niekiedy podła, jak mgła, co wiatr znosi.
Możność dzielna niekiedy fałsz zyskiem uprosi³,
Lecz się chwala nabyta nie utrzyma snadnie:
Czem kto jest, tem się wyda, czasem maszka⁴ spadnie.

O, wieki! nie wśród laurów, ale pośród snopków
Ogłoście Kazimierza, głoście króla chłopków!
Błąd gruby mniemał, iż to przydomek był podły:
Stąd się jego zaszczyty w potomność rozwiodył;
Pamięć jego szacowna i wziętość stateczna
Bardziej rzewni, niż dziwi, a stąd chwala wieczna,
Stąd przykład dla następców. Przeszły dobre chwile:
W zuchwałości zbyt krnąbrny, zaufany w sile,
Coraz naród nasz słabiał; wzmogły się sąsiady.
Przyszł czas, gdy bez rządu, bez mocy, bez rady,
Stał się lupem postronnych, a gdy istność traci,
Te, co niegdyś zwyciężał, narody bogaci.

Wypada pióro z ręki na myśli takowe ..
Niech syny ojców nieszczęść czytają osnowę,
Niech wiedzą, sprawy nasze poznawszy dokładnie,
Iż, gdzie cnota w pogardzie, tam naród upadnie.
Niech wiedzą... Ale poco rzewnością wykraczać?
Błąd uznać — krok do cnoty, podła rzecz rozpaczać.
Zdruzgotane wiatrami choć maszty się chwieją,
Sternik dobry, pracując, zasila nadzieją.

Ogłaszaj potomności, jak los cnotę nęka,
Pisz, coś widział: poczciwość prawdy się nie lęka!

¹ prawdziwie sławny. ² okłask kupny. ³ za pieniądze (lub za nagrodę)
można kupić klamliwą pochwałę. ⁴ maska.

129. Zupełnie inny ^{li} charakter, niż listy poetyckie, mają listy, pisane napoly prozą, a napoly wierszem: jest to tak zwana forma menipejska, posłużył się nią bowiem w swoich satyrach Menippos, poeta grecki III wieku po Chrystusie. W Polsce ta forma ukazuje się po raz pierwszy już w XVII wieku — w satyrze Łukasza Opalińskiego; w XVIII w. upodobał ją sobie, pomiędzy innymi, Wolter, i za jego to przykładem poszedł Krasicki. Część tych jego listów ukazała się w dwutomowym zbiorze drobnych utworów p. t. *Listy i pisma różne X. B. W.* (tom pierwszy w roku 1786, drugi — 1788, całość — dopiero po jego śmierci). Ich treść jest bardzo różnorodna, ale, w porównaniu z listami poetyckimi, blaha; niemniej przeto zasługują one na uwagę, jako arcydzieła nieznaney dawniej w Polsce lekkości stylu, w której wywyczył się Krasicki, pisując artykuły do *Monitora*, a w której prześcignie go dopiero w swoich feljetonach Sienkiewicz i Prus. Listy te mają charakter osobisty: donosi Krasicki przyjaciółom i znajomym (których imiona i nazwiska zaznacza zwykle początkowemi literami), co porabia i w jakim jest humorze; dzieli się z nimi swemi spostrzeżeniami, dotyczącemi różnych książek i różnych wypadków; opisuje polowanie, na którym był; zapuszcza się (ale nie głęboko) w refleksje nad życiem, w tym np. rodzaju, że «nadzieje myślą», że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej, że «nie należy się dobrowolnie na niebezpieczeństwo podawać i narażać, a miawszy już doświadczenie po szkodzie, trzeba mieć rozum przed szkodą». Jest i taka refleksja: «Nieraz myślałem o przywarach każdego stanu, i skutek mojego myślenia był ten, iż niemasz na świecie sytuacji takowej, któraby nie miała w sobie jakowej zdrożności... Być księdzem — praca, kłopot, i biskup, i sądy; — być młodzianem — czeza pora, złe chwile, złe rządy; — być żonatym — staranie o dzieciach i żonie; — być wdowcem — żal lat przeszłych, tęsknić w każdej stronie; — być dworakiem — niewola w powabnej postaci; — być żołnierzem — zysk trudny i życie się traci; — być w domu gospodarzem — i tam złe znajdziemy. — Czemże być? Wszędzie przykrość. Żyjmy, jak możemy». Są, naturalnie, i listy z powinszowaniem, np. «Żyj lata Matuzalowe¹, — albo przynajmniej połowę, — a choćby ćwierć dla igraszki: — dwieście lat — i to nie fraszki!»

W dwóch najdłuższych listach, *Do Księcia Stanisława Poniatowskiego*, opisuje Krasicki swoją podróż po kraju: w pierwszym — *Wyjazd z Warszawy do Dubiecka*; w drugim — *Powrót do Warszawy*. Jest to więc jakby «pieśń o ziemi naszej», ale w zupełnie innym rodzaju, niż Pola: niema, oprócz kilku ogólnikowych wzmianek, opisów natury, niema i charakterystyk mieszkańców; są zato (czego u Pola niema) wspomnienia historyczne, które zawsze niezmiernie żywo zajmowały Krasickiego, np. o Janie III, o Kochanowskim, o Szymonowiczu, o Żółkiewskim, o Zamoyskim: umyślnie jechał Krasicki tak, żeby móc zwiedzić miejscowości, wślawione czy to jakimś ważnym wypadkiem historycznym, czy byłym albo grobem jakiejś wielkiej postaci, i wszędzie, na widok albo na wspomnienie pamiątek narodowych, biło mu żywiej serce: «Dzielny radą, pismy, wojski, — nieśmiertelny Jan Zamoyski!... Grób jego nawiedzałem, jak świętość niezwykłą, — a choć, co było znikłe, zniszczało i znikło, — ostatki, które trawia zbyt dzielne żywioły², — czytałem i łzami wielkie skrapiałem popioły». Przeważa jednak

¹ Matuzal — jeden z patriarchów biblijnych, żył podobno 969 lat. ² t. j. wszystko niszczący czas.

w tych pierwszych w naszej literaturze listach z podróży wesołość: żartuje sobie Krasicki z doznawanych na każdym kroku niewygód, — ale dopiero powróciwszy do domu, bo podczas podróży kłął je, na czym świat stoi, np. w okolicach Biłgoraja: «Bodaj się człowiek dobry w tych stronach nie gnieździł! — Bodaj tylko wygnaniec temi ścieżki jeździł! — Bodaj ludzi nie kryły te dzikie szalasze! — A gdy chłopci na targach, albo na kiermasze — do tych miejsc jeździć będą, pielgrzymując wzajem, — niech klną tak, jak ja dzisiaj Goraj z Biłgorajem». Czasem wesołość łączy się z ironją: «Stanęliśmy w Ryczywole, — o którym zamilczeć wolę. — A jeżeliby się kto koniecznie przyczyny milczenia mojego domagał, ta jest, a nie insza, że najlepiej tam milczeć, gdzie niema co powiedzieć...» «Jechało się dalej — przez gościniec niezbyt prosty, — przez niemurowane mosty, — przez manowce dosyć kręte, — przez lasy dosyć wycięte»; w Górze Kalwarji — «domki dosyć szczupłe; tych niewiele, — a zaś kościół przy kościele; — zamiast miejsca, gdzie gospoda, — dom Piłata, dom Heroda, — Kaifaszowe piwniczki, — porozrzućane kapliczki, — miejsce Piotrowej ucieczki, — most przez Cedron, a bez rzeczki. Zgola wszystko niezamożnie, — pusto, głodno, lecz pobożnie. — Rozwalone przez połowę, — o miasto wielkopiątkowe! — Życzę ci jak najgoręcej — mniej kapliczek, karczem¹ więcej!» Przejeżdżając przez Lublin, przypomina sobie Krasicki trybunał (którego był prezydentem) i ze smutkiem mówi o niegodziwych praktykach sądowych. Ale po smutku — znowu spokój i wesołość: «Późno w noc wyjechaliśmy z Lublina, stanęliśmy na nocleg we wsi, a że i potoczne okoliczności wypisać nie zawadzi, zastaliśmy w karczmie wesele chłopskie: — Miły to widok, kto ma czułe serce, — gdy rodzaj ludzki, miány w poniewierce, — rodzaj szacowny prostej kmiotków rzeszy — po dziennej pracy wieczorem się cieszy. — Tam radość szczerą, uprzejmą, prawdziwą — to, co jest w sercu, na widok odkrywa; — niemasz obłudy, zazdrości i plotek, — śpiewa piosneckę wpośród tańca kmiotek; — niefrasobliwe o przyszłe dorobki — skaczą wesoło ochocze parobki; — fałszywym tonem skrzypiciel rzępoli, — a młodzież wiejska wóród płochy swywoli, — skoczne holupce wybijając pięty, — tańcuje żywo z różnemi dziewczęty. — Miły to wprawdzie widok, przejeżdżającym jednak i snem zmorzonym nienajpożądany, zwłaszcza iż się ochota przez całą noc przewlekła. — Więc, wdzięk skrzypków w uczach mając, — jechaliśmy poziewając».

A tak ciągle w tych listach zmieniają się widoki, a wraz z niemi uczucia i wrażenia: nic podobnego nie było przedtem w naszej literaturze.

130. Drugim, obok satyr, głównym filarem nieśmiertelnej sławy Krasickiego, jako poety, są jego bajki: jest on nietylko najznakomitszym satyrykiem, ale i najznakomitszym bajkopisarzem polskim. Pierwszy zbiór, obejmujący sto sześć bajek, wyszedł w roku 1779: *Bajki i przypowieści, na cztery części podzielone*; (bajki od przypowieści Krasicki nie odróżniał). Zbiór drugi (siedemdziesiąt dwie bajki) ukazał się już po śmierci Krasickiego, w zbiorowym wydaniu jego pism, w roku 1802, p. t. *Bajki nowe*. Później, w pozostałych po nim papierach, znalazło się jeszcze dziesięć bajek, które ogłoszono w roku 1906. Razem tedy jest bajek sto osiemdziesiąt osiem.

Ich właściwymi bohaterami są ludzie, którzy jednak rzadko wystę-

¹ t. j. zajazdów, gdzieby można wygodnie odpocząć.

pują we własnej osobie, nierównie zaś częściej — pod pokrywką zwierząt, czasem — roślin, albo żywiołów natury nieorganicznej (np. rzek), albo i martwych przedmiotów. Jak wszyscy nowocześni bajkopisarze, tak i Krasicki pomysł niejednej swojej bajki zawdzięcza bajkopisarzom dawniejszym — greckim, rzymskim, francuskim, niemieckim, angielskim; lecz są i bajki w pomysłach oryginalne, nie mówiąc już o tem, że piękno formy wszystkich bez wyjątku jest wyłączną własnością Krasickiego.

«Bajki wam niosę: posłuchajcie, dzieci!» — mówi autor w wierszu *Do dzieci*, umieszczonym na czele *Bajek i przypowieści*. W istocie jednak pisał je nie dla dzieci, tylko dla ludzi dorosłych, przede wszystkim zaś — dla samego siebie. Bajki bowiem były dla niego tem samem, czem dla Kochanowskiego «nieprzeplacone» fraszki: jak Kochanowski «kłał» we fraszki «wszyscy tajemnice swoje», tak i Krasicki zamknął w bajkach — wprawdzie nie tajemnice swojego życia, ale tajemnice swoich poglądów na życie. Jest w bajkach albo wypowiedziana wprost, albo tylko domyślna nauka moralna; ale zaliczać je do poezji dydaktycznej byłoby dla Krasickiego wielką krzywdą, więcej bowiem, niż w jakimkolwiek bądź innym swoim utworze, chodziło mu nietylko o pouczenie ludzi, jak żyć, ile (jak przystało na tej miary, co on, poeetę) o zaspokojenie swojej własnej potrzeby duchowej, mianowicie o wyraz poetycki swojej filozofji życia.

A filozofja to (kto sobie zada trud «wyczerpać umysł zakryty» bajek) niezbyt wesola. Miał Krasicki lat dziewięć, kiedy sentencję: *Nescio, cur me natura magis, quam disciplina, trahit*¹, tak mu przetłumaczył jego nauczyciel domowy: «Natura bardziej mnie ciągnie ku złemu, — niżli nauka wlecze ku dobremu». Z wiekiem ten pogląd utrwalał się raczej, niż ulatniał. Zgadzał się Krasicki z Kochanowskim, że «wszystko się dziwnie plecie — na tym tu biednym świecie, — a kto by chciał rozumem wszystkiego dochodzić, — i zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić». Więc nie dochodził rozumem, dlaczego «wszystko się dziwnie plecie»; on tylko pilnie przypatrywał się światu i zobaczył, że, jak się wyraził w jednym z ulotnych wierszyków, «złych jest mnóstwo, a głupich liczba bez rachuby»; widział, że ludzie, chociaż się tak chępią swoim rozumem i jego zdobyczami, chociaż głoszą tak piękne hasła miłości bliźniego i wogóle cnoty, czynami jednak zadają kłam swoim poglądom, że więcej jest «na tym tu biednym świecie» głupoty i naiwności, niż rozumu i rozsądku, więcej pozorów i chępliwości, niż istotnej wartości i jej słusznej oceny, więcej chciwości i głupiej ambicji, niż umiarkowania i poprzesztawiania na swoim; widział jeszcze, że wprawdzie głupota sama się najczęściej karze, ale że i rozum nie zawsze otrzymuje nagrodę, i że potęga jego nieraz bywa bardzo, bardzo uludna; a przede wszystkim to widział, że na świecie tak często panuje siła przed prawem, fałsz przed prawdą, spryt przed uczciwością, i że jeden człowiek wyzyskuje drugiego, zwłaszcza słabszego i głupszego od siebie. Otóż te wszystkie swoje smutne spostrzeżenia i doświadczenia życiowe włożył Krasicki w bajki, które tym sposobem są stwierdzeniem tego, że «wszystko się dziwnie plecie na tym tu biednym świecie», że «złych jest mnóstwo, a głupich liczba bez rachuby». Stwierdza zaś Krasicki ten smutek życia najczęściej bez żadnych komentarzy, z istic olimpijskim spokojem; a jeżeli się czasem zdradza z jakim uczuciem, to nie z litością dla biednych ofiar własnej głupoty i cudzej złości (broń Boże!), tylko... z ironicz-

¹ Nie wiem, dlaczego natura bardziej mnie ciągnie, niż nauka (życia).

nym uśmiechem, dzięki któremu niektóre bajki, nie mówiąc już o dowcipnym *Wstępie do bajek*, mają cechę wyraźnie satyryczną.

Z pesymistycznego charakteru filozofji, wyrażonej w bajkach, wynika, że płynący z nich «morał» jest nietylko nauką moralną, któraby zachęcała do walki ze złem w imię ideału albo do płacenia dobrem za złe, tylko praktyczną mądrością życiową: nie bądź zarozumiały, pracuj, oszczędzaj, nie skarż się na swój los (bo to się na nic nie przyda), nie wierz łatwo ludziom, bądź z nimi ostrożny, nie narażaj ich sobie zbytnią prawdomównością i t. p. Cała zaś ta praktyczna mądrość życiowa streszcza się w przestrodze: nie bądź głupi, czyli: miej rozum, który «dobry... po szkodzie», ale jeszcze «lepszy... przed szkodą».

Jako wyraz trzeźwych poglądów na ludzi i ich naturę, bajki Krasickiego posiadają wartość nie przelotną, tylko długotrwałą (natura bowiem człowieka zmienia się bardzo wolno), i charakter nie narodowy, tylko ogólnoludzki.

Rozumie się, że czas, w którym żył Krasicki, to jest wiek oświecony, musiał wycisnąć swoje piętno na treści niektórych bajek; ze szczególną lubością np. ośmieszano w tym wieku lekarzy i nabożnisiów: ośmieszano ich i Krasicki; filozofowie tego stulecia wierzyli naiwnie w nieograniczoną potęgę rozumu: Krasicki żartuje sobie z tej ich zarozumiałości i t. d. Ale i takie bajki do dziś dnia się nie przestarzały, bo i dzisiaj lekarze nieraz leczą chorobę, nie chorego, nabożnisię, jak byli, tak są, a filozofowie, jak nie grzeszyli, tak nie grzeszą nadmierną skromnością. Są i takie bajki, w których Krasicki, zdawałoby się, miał na myśli sprawy nie ogólnoludzkie, tylko polskie. Bajkę np. *Przyjaciele* (o młodym zającu, którego wśród serdecznych przyjaciół zjadły psy) pisał, być może, Krasicki z myślą o rozbiorach Polski: niemniej przeto i ta bajka ma charakter ogólnoludzki, bo wyraża tę smutną prawdę, że ludzie są samolubni, że dla nieszcześćcia bliźniego mają współczucie — czasem w sercach, częściej w słowach, ale rzadko albo nigdy w czynach. Inna jeszcze bajka, *Plaszki w klatce*, powstała, według wszelkiego prawdopodobieństwa, po pierwszym rozbiorze Polski, kiedy to Krasicki przestał być obywatelem Rzeczypospolitej: ale i ta bajka niema charakteru wyłącznie polskiego, każdy bowiem człowiek (o ile nie przestał być człowiekiem) jest smutny w niewoli. Bajka *Myszy*, w której stary szczur radzi myszom «ani być z kotem, ani przeciw kotu», tylko cicho siedzieć w jamie, zawierała w sobie, być może, przestrogę pod adresem sejmu czteroletniego, żeby się Moskwie nie narażać: ale przecie ostrożność i oportunizm do dziś dnia nie znikły z polityki, więc i ta bajka nie przestała być aktualną.

Lecz niespożyłą wartość zapewnia bajkom nietylko ich treść, ale także piękno ich formy. Są dwa typy bajek: bajki narracyjne, to jest opowiadające szczegółowo jakieś zdarzenie i charakteryzujące jego aktorów, i bajki krótkie, to jest dające tylko ogólny zarys zdarzenia i nie charakteryzujące aktorów. Najznakomitszymi w literaturze wszechświatowej autorami bajek pierwszego typu są: Francuz Lafontaine (1621—1695) i Rosjanin Kryłow (1768—1844), najznakomitszym na świecie autorem bajek drugiego typu jest Polak — Ignacy Krasicki. Wszystkie bajki, wydane za jego życia (t. j. *Bajki i Przypowieści*), są krótkie: najdłuższa (*Wilk i owce*) ma osiemnaście wierszy; znaczną większość stanowią bajki sześć- i czterowerszowe; wszystkie są pisane wierszem jednostajnym, trzynastozgłoskowym. Wśród bajek, które Krasicki odumarł w rękopisie, krótkich jest bardzo mało (tylko dziewięć

sześciowerszowych, tylko pięć czterowerszowych i jedna dwuwierszowa); znaczną przewagę mają bajki dłuższe, narracyjne, pisane wierszem różnym, mieszanym (od czternastu do dwóch zgłosek); dwie najdłuższe (*Dwa gołębie* i *Kuglarze*) liczą po osiemdziesiąt cztery wiersze.

W bajkach narracyjnych wzorował się Krasicki na Lafontaine'ie, ale mu nie dorównał szczegółowością opowiadania, ani obrazowością stylu, ani umiejętnością wyrazistej charakterystyki zwierząt (ich wyglądu i natury). Pomimo to i te bajki mają ogromną wartość, a to przez wdzięczną swobodę i ujmującą lekkość opowiadania, nie mówiąc już o tak wielkiej prostocie stylu, jakiej nie posiadają nawet bajki Mickiewicza. Są wprawdzie wśród bajek narracyjnych niektóre słabe, trzeba jednak pamiętać o tem, że wielu z nich nie zdażył Krasicki artystycznie wykończyć; ale te, które wykończył (jak np. *Przyjaciele* i *Puhaćce*), są arcydziełami.

Wśród bajek krótkich — co krok, to arcydzieło: arcydzieło niesłychanej u nas przed Krasickim, iście bajecznej treściwości i zwięzłości, bez najmniejszej ujmy ani dla klasycznej jasności i prostoty, ani dla przejrzystości sensu moralnego, który się narzuca umysłowi czytelnika nawet wtedy, kiedy go autor nie wypowiada. Do uczucia i do wyobraźni bajki te nie przemawiają, ale też tego Krasicki nie chciał; chciał natomiast, ażeby przemawiały mocno i wyraziście do myśli, i ten swój cel osiągnął, jak nie można lepiej: pomimo że w tych bajkach słów jest tylko tyle, ile koniecznie potrzeba do wyrażenia treści, narzuca się ona mocno umysłowi czytelnika, a to dzięki wielkiej sztuce autora, która polega nietylko na mistrzowskiem dostrajaniu rymu i rytmu do treści, na mistrzowskiej oszczędności słowa (to jest na posługiwaniu się w ł a ś c i w e m i wyrazami z pominięciem ozdób stylistycznych), ale także na mistrzowskiej budowie. Jest to — w najlepszych bajkach — budowa dramatyczna: krótką ekspozycja (czyli wdrożenie akcji), potem — akcja, bądź postawiona czytelnikowi przed oczy, bądź króciutko streszczona, wreszcie — katastrofa (czyli rozwiązanie). Budowę taką mają np. bajki: *Kulawy i ślepy*, *Szczur i kot*, *Mysz i kot* i bardzo wiele innych. Wiedząc zaś, że najmocniej i najgłębiej wrażają się w myśl człowieka różne przeciwieństwa, często posługiwał się niemi Krasicki, przeciwstawiając np. mądrego głupiemu, słabe jagnię — silnemu wilkowi, naiwne i potulne zwierzęta — mądrymu i żarłocznemu lwu, doktora — zdrowiu, mędrka zdrowego — temuż mędrkowi w chorobie i t. d.

Wstęp do bajek. Był młody, który życie wstrzemięźliwie pędził;
Był stary, który nigdy nie lajał, nie zrzędził;
Był bogacz, który zbiorów potrzebnym udzielał;
Był autor, co się z cudzej sławy rozweselał;
Był celnik, który nie kradł, szewc, który nie pijał;
Żołnierz, co się nie chwalił, łotr, co nie rozbijał;
Był minister rzetelny, o sobie nie myślał;
Był nakoniec poeta, co nigdy nie zmyślał.
«A cóż to jest za bajka? Wszystko to być może».
Prawda; jednakże ja to między bajki włożę.

Kulawy i ślepy. Niósł ślepy kulawego, dobrze im się działo;
Ale, że to ślepemu niecznością się zdało,
Iż musiał zawdy słuchać, co kulawy prawi,

Wziął kij w rękę: «Ten — rzecz — z szwanku nas wybawi».
Idą — a wtem kulawy krzyknie: «Umknij w lewo!»
Ślepy wprost i, choć z kijem, uderzył lbem w drzewo.
Idą dalej; kulawy przestrzega od wody —
Ślepy w bród: sakwy zmaczał, nie wyszli bez szkody.
Nakoniec, przestrzeżony gdy nie mijał dołu,
I ślepy, i kulawy zginęli pospołu.

I ten winien, co kijem bezpieczeństwo mierzył,
I ten, co bezpieczeństwa głupiemu powierzył.

Szczur i Kot. «Mnie to kadzą», rzekł hardzie do swego rodzeństwa,
Siedząc szczur na ołtarzu podczas nabożeństwa.
Wtem, gdy się dymem kadzidl zbytecznych zakrzusil.
Wpadł kot zboku na niego, porwał i udusił.

Dwa Żółwie. Nie żałując sił własnych i ciężkiej fatygi,
Dwa żółwie pod zakładem poszli na wyścigi.
Nim połowę do mety drogi ubieźeli,
Spektatorowie poszli, sędziowie zasnęli.
Więc rzekła im jaskółka: «Lepiej się pogodzić:
«Pierwej, niżeli biegać, nauczcie się chodzić!»

Mysz i Kot. Mysz dlatego, że niegdyś całą książkę zjadła,
Rozumiała, iż wszystkie rozумы posiada;
Rzekła więc towarzyszkom: «Nędzę waszę skrócę;
«Spuście się tylko na mnie, ja kota nawrócę!»
Posłano więc po kota. Kot, zawždy gotowy.
Nie uchybił minuty, stanął do rozmowy.
Zaczęła mysz egzortę¹: kot jej pilnie słuchał,
Wzdychał, płakał!... Ta, widząc, iż się udobruchał.
Jeszcze bardziej wpadała w kaznodziejski zapal.
Wysunęła się z dziury... A wtem ją kot złapał.

Ptaszki w klatce. «Czegoż płaczesz? — staremu mówił czyżyk młody —
«Masz teraz lepsze w klatce, niż w polu, wygody».
«Tyś w niej zrodzon — rzekł stary — przeto ci wybaczę:
«Jam był wolny, dziś w klatce i dlatego płaczę».

Filozof. Zaufany filozof w zdaniach przedsięwziętych²,
Nie wierzył w Pana Boga, śmiał się z wszystkich świętych.
Przyszła słabość. Aż mędrzec, co firmament mierzył.
Nietylko w Pana Boga i w upiry³ wierzył.

Małżeństwo. Chwalaż Bogu, widziałem małżeństwo niemodne,
Stadło wielce szczęśliwe, uprzejme i zgodne;
Stateczna była miłość z podziwieniem wielu...
To szkoda, że mąż umarł w tydzień po weselu!

¹ przemowa. ² t. j. w poglądach uprzedzonych (względem religji), ciasnych, doktrynerskich. ³ upiory.

Przyjaciel. «Uciekam się — rzekł Damon — Aryście, do ciebie:
«Ratuj mnie, przyjacielu, w ostatniej potrzebie:
«Kocham piękną Irenę; rodzice i ona
«Jeszcze na moje prośby nie jest nakłoniona». Aryszt na to: «Wiesz dobrze, wybrany z wśród wielu,
«Jak tobie z duszy sprzyjam, miły przyjacielu:
«Pójdę do nich za tobą». Jakoż się nie lenił:
Poszedł, poznał Irenę i — sam się ożenił.

Konie i furman. Koniom, co szły przy dyszlu, powtarzał woźnica:
«Nie dajcie się wyprzedzić tym, co są u lica!»¹
Goniły się pod wieczór, zacząwszy od rana.
Wtem jeden z przechodzących rzecze do furmana:
«Cóż ci stąd, że cię słucha głupich bydłał rzesza?»
A furman: «Konie głupie, ale wóz pośpiesza».

Dewotka. Dewotce służebnica w czemsiś przewiniła
Właśnie natenczas, kiedy pacierze kończyła;
Obróciwszy się przeto z gniewem do dziewczyny,
Mówiąc właśnie te słowa: «I odpuść nam winy,
«Jak i my odpuszczamy!» — biła bez litości.
Uchowaj, Panie Boże, takiej pobożności!

Wino i Woda. Przymawiało jednego czasu wino wodzie:
«Ja panom, a ty chłopom jesteś ku wygodzie». —
«Nie piłoby cię państwo — rzecze woda skromnie —
Gdyby nie chłop dał na cię, co chodzi pić do mnie».

Jagnię i wilcy. Zawzdy znajdzie przyczynę, kto zdobyczy pragnie:
Dwóch wilków jedno w lesie nadybali jagnię.
Już go mieli rozerwać; rzekło: «Jakiem prawem?»
«Smacznyś, słaby, i w lesie...» — Zjedli niezabawem.

Doktor i Zdrowie. Rzecz ciekawą, lecz trudną do wierzenia, powiem.
Jednego razu doktor potkał się ze zdrowiem;
On do miasta, a zdrowie z miasta wychodziło:
Przelał się, gdy go postrzegł, lecz, że blisko było,
Spytał go: «Dlaczegoż to tak śpieszno uchodzisz?»
«Gdzie idziesz?» — Zdrowie rzekło: «Tam, gdzie ty nie chodzisz».

Wilki pokutujący. Wzięły wilka skrupuły: wiódł łotrowskie życie.
Więc, ażeby pokutę zaczął należycie,
Rzekł się mięsa. Jarzyną żyjąc przez dni kilka,
Znalazł na polowaniu znajomego wilka:
«Trzeba pomóc bliźniemu!» Za pracę usłużną
Zjadł kawał mięsa: «Gardzić nie można jałmużną».
Spotkał jagnię nazajutrz samopas idącą,

¹ na przedzie (mowa o czwórce koni, zaprzężniętych nie «w poręcz», tylko «w lejce»).

Chciał upomnieć, nastraszyć, zabił go niechcący.
Nazajutrz, widząc ciełą, że z krową nie chodzi,
Zabił go: «Takich grzechów cierpieć się nie godzi».
Nazajutrz, gdy się pasły z krowami pospołu:
«Niech się (dłużej nie męczy», — zjadł starego wołu.
I tak cierpiąc przykładne z dóbr świata wyzucie,
Chudy, gdy był grzesznikiem, utył na pokucie.

Atlas i kitaj¹. Atlas w sklepie z kitaju żartował dowoli;
Kupił atlas pan sędzic, kitaj pan podstoli.
A że trzeba pieniędzy dać było kupcowi,
Kłaniał się bardzo nisko atlas² kitajowi.
Gdy przyszło dług zapłacić, a dłużnik się wzbraniał,
Co rok się potem kitaj atlasowi kłaniał.

Mądry i Głupi. Pytał głupi mądrego: «Naco rozum zda się?»
Mądry milczał; gdy coraz bardziej naprzykrza się,
Rzekł mu: «Nato się przyda według mego zdania,
Żeby nie odpowiadać na głupie pytania».

Wilk i owce. Wilk, chociażo ostrożny, przecie że żarłoczny,
Postrzegł ścierwo, chciał dostać i wpadł w dół poboczny.
Siedzi w jamie, a wzdycha; wtem owieczki słyszy:
Patrzą w dół, aż wilk w jamie siedzi, ledwo dyszy.
Odezwał się nakoniec, rzekł do nich powolnie:
«Nie wpadłem; za pokutę siedzę dobrowolnie:
Trzeba czynić pokutę za boje, za groźby,
Za to, żem was pożerał...» Owce zatem w prośby:
«Wynijdz z dołu!...» — «Nie wyjdę...» — «My będziemy podnosić...»
Droży się wilk, nakoniec dał się im uprosić.
Jęły się więc roboty i tak pracowały,
Że go ze dna samego jamy wydostały.
Wyszedł, a zawdzięczając nierozumnej kupie,
Pojadł, pogryzł, podusił wszystkie owce głupie

Pijak. Trawiąc niegdyś nad flaszką nocy i poranki,
Chory pijak stłukł wszystkie kieliszki i szlanki,
Klął miód, piwo znieważał, wino zwał tyranem.
Przyszedł potem do zdrowia i odtąd pił dzbanem.

Drzewo. Wielbił drzewo, grzejąc się człowiek przy kominie,
Rzekło drzewo: «Cóż po tem? Grzeje, ale ginie!»

Puhacze. Malżonka puhaczowa, męża swego godna,
A więc płodna,
Urodziła sześć sowiąt, puhaczków też nieco;
Zrazu słabe, dalej lecą.

¹ tkanina bawelniana (w przeciwstawieniu do jedwabnej, t. j. do atlasu).
² t. j. pan sędzic panu podstolemu.

Raz, gdy na zwykle igrzyska,
Ponad puste stanowiska,
Nabujawszy się dosytu,
Wróciły do swego bytu.
To jest w dziurę przy kominie —
Pani matka w córce, w synie,
Wnukach, wnuczkach spowaźniona,
Przyjmując do swego łona,
Jak to zawsze panie matki,
Rzekła: «Cóż tam, moje dziatki?

Cóż tam słyhać?»

A więc wzdychać:

«Za naszych czasów wszystko coś szło sporzej,

«Teraz raz wraz wszystko gorzej».

W tej tak wielkiej troskliwości,

Najmlodsze puhaczętko, faworyt jejmości,

Ozwał się: «Jakośmy tylko wylecieli,

«Wszystkie ptaki zaniemieli;

«W kąty każdy jął się cisnąć,

«Żaden nie śmiał pisnąć,

«My tylko same bujały.

«Coś tam w krzaczkach ptaszek mały,

«Co go to zowią słowikiem,

«Odzywał się smutnym krzykiem,

«Ale i ten nie śmiał mruczeć.

Skoro my zaczęły huczeć».

Po sercu, jak to mówią, matkę pogłaskało.

Że się tak pięknie udało,

Najbardziej, iż piścioszek tak dzielnie wymowny.

Myśląc jednak, iż trzeba dać obrok duchowny,

Rzekła: «Choć wasz głos piękny, chociaż lot tak skory,

«Uczcie się, miłe dziatki, i z tego pokory!

«Dobrze to jest, iż cudzą ułomność przebaczem:

«Nie każdemu dał Pan Bóg rodzić się puhaczem».

Przyjaciele.

Zajączek jeden młody,

Korzystając z swobody,

Paśł się trawką, ziółkami w polu i ogrodzie,

Z każdym w zgodzie.

A że był bardzo grzeczny, rozkoszny i miły,

Bardzo go tam zwierzęta lubiły;

I on też, używając wszystkiego z weselem,

Wszystkich był przyjacielem.

Raz, gdy wyszedł w świtanu i bujał po łące,

Słszy przerażające

Głosy trąb, psów szczekania, trzask wielki po lesie.

Staął — słucha — dziwuje się...

A gdy się coraz zbliżał ów hałas, wrzask srogi,

Zając w nogi.

Spojrzy się poza siebie, aż dwa psy i strzelce.

Strwożon wielce,

Przecież wypadł na drogę, od psów się oddalił.

Spotkał konia, prosi go, iżby się uzałił:

«Weź mnie na grzbiet i unieś!» — Koń na to: «Nie mogę,

«Ale od innych pewną będziesz miał załogę».

Jakoż wół się nadarzył. — «Ratuj, przyjacielu!»

Wół na to: «Takich, jak ja, zapewne niewielu
«Znajdziesz, ale poczekaj i ukryj się w trawie —

«Jałowica mnie czeka, niedługo zabawię.

«A tymczasem masz kozła, co ci dopomoże».

Koziel: «Żal mi cię, nieboże,

«Ale ci grzbietu nie dam: twardy, nie dogodzi;

«Oto wełniasta owca niedaleko chodzi,

«Będzie ci miękko siedzieć...» Owca rzecze:

«Ja nie przeczę,

«Ale, choć cię uniosę pomiędzy manowce,

«Psy dogonią i zjedzą zająca i owcę;

«Udaj się do cielęcia, które się tu pasie».

«Jak ja ciebie mam wziąć na się,

«Kiedy starsi nie wzięli» — cielę na to rzekło

I uciekło.

Gdy więc wszystkie sposoby ratunku upadły,

Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.

**Koniec
bajek.**

Zmordował się nakoniec ten, co bajki prawil,

Żeby więc do ostatka słuchaczów zabawił,

Rzekł: «Powiem jeszcze jedną, o której nie wiecie.

«Bajka poszła w wędrówkę. Wędrując po świecie,

«Zaszła w lasy głębokie. Okrutni i dzicy

«Napadli ją z hałasem wielkim rozbójnicy;

«A widząc, że ubrana bardzo podle była,

«Zdarli suknie: aż z Bajki Prawda się odkryła».

131. Raz jeden w życiu spróbował Krasicki swoich sił na polu epiki bohaterskiej — i potknął się, czego bowiem jak czego, ale bohaterstwa nie było w jego duszy ani źdźbła. A jednak jego *Wojna Chocimska* (1780), pisana oktawą, na wzór *Jerozolimy Wyzwolonej* Tassa, nie jest bez znaczenia w historii poezji polskiej. *Wojny Chocimskiej* Potockiego Krasicki nie znał, a gdyby ją nawet znał, to można być pewnym, żeby jej całej nie przeczytał: raziłaby go swoim stylem barokowym i brakiem układu artystycznego. Znał natomiast, oprócz poematu Tassa i *Eneidy* Wirgiljusza, *Henrjadę* Woltera i wzorował się głównie na tych trzech w poematach.

Wojna Chocimska obejmuje przeszło dwa tysiące dwieście wierszy; na jej treść składają się nietylko sprawy wojenne i z wojną związane, a więc: posiedzenie przybranej rady Osmana, na którym uchwalono wypowiedzieć Polsce wojnę, obrady sejmu polskiego, obustronne narady wojenne wodzów, przeglądy wojsk, harce, bitwy, potyczki, szturm, przemowy wodzów do wojska, pogrzeby poległych rycerzy, — ale także epizody, jak np. ślub starego Chodkiewicza z młodą Anną Ostrogską, spotkanie się Jakóba Sobieskiego

i Żorawińskiego z pobożnym pustelnikiem, zamieszkałym w puszczy pod Chocimem, sen Chodkiewicza, który, «uniesiony od ducha Władysława Jagiellończyka od świątyn niebieskich, widzi z tych wysokości układ świata i marności rzeczy ziemskich». Oprócz epizodów, są różne refleksje i wylewy uczuć autora, np. oburzenie na... wojny: «Ty, coś z przepaści piekieł wyzioniona, — na ziemny okrąg nieszczęśliwie padła; — ty, co rwiesz dzieci z nędznych matek łona — i osierocaszą zgodne małżeństw stadła, — głucha na jęki, płaczem niewzruszona, — wojno okrutna, bezbożna, zajadła! — Niesyła klęski, nędzą i ruiną, — tobą narody, tobą państwa giną!» Obok świata ziemskiego — ludzi i zdarzeń — jest, za przykładem Tassa, świat nadprzyrodzony: z jednej strony Pan Bóg i Jego aniołowie, opiekujący się Polską, oraz mieszkające już w niebie «wielkie ojców dusze», które «patrzą z weselem na plód nicodrodny», to jest na męzne rycerstwo polskie XVII wieku, a z drugiej — zły duch w postaci Mahometa, namawiający Osmana do wojny, poczwary piekielne, mieszkające w puszczy bukowińskiej i obiecujące Osmanowi swoją pomoc w bitwie. Wszystkie te części składowe poematu umiał Krasicki połączyć w dosyć kształtną całość: cóż z tego, kiedy nie miał talentu epickiego! Wszystkie opowiedziane zdarzenia nie mają życia, a ludzie — duszy. Co za porównanie z *Wojną Chocimską* Potockiego! Zwłaszcza bezbarwne są w poemacie księcia biskupa opisy... bitew! Dosyć powiedzieć, że na pięć bitew, które opisał, w czterech zapomniał na śmierć o bronii palnej; w jednej jedynej tylko (w pieśni VII) «grzmotnym się hukiem działa odezwały, — bomby, kartacze razem wypuszczono!» A wszyscy ludzie, Osman czy Chodkiewicz, nawet kichnąć nie umieją bez pozwolenia autora, a do ludzi XVII wieku są tak podobni, jak lewa pięta do prawego oka. O świecie nadprzyrodzonym niema co nawet mówić, — szkoda, że Krasicki zapomniał o własnej sentencji: «Piękna rzecz latać, gdy się komu godzi, — bezpieczniej jednak, kto po ziemi chodzi»; on nie umiał nawet chodzić po ziemi polskiej XVII wieku (tę sztukę posiędzie dopiero Sienkiewicz), a cóż dopiero latać po niebie!

Krótko mówiąc, *Wojna Chocimska* jest utworem bardzo, nieraz aż do śmieszności, słabym, i nie dziw, że nie mogła spełnić tego zadania, które, jak się zdaje, wyznaczył jej Krasicki: nie przyczyniła się ani do obudzenia w społeczeństwie zanikającego ducha rycerskiego, ani do umocnienia wiary, że Pan Bóg, z którego łaski rycerstwo polskie odniosło tak świetne zwycięstwo pod Chocimem, i teraz, po pierwszym rozbiorze, nie opuści Polski i «potrafi» ją «wrócić do pierwszego stanu». A pomimo to wszystko zasługuje ten utwór na zaszczytną wzmiankę w historii *pseudoklasyk* i *poezji polskiej*, a to jako pierwsza u nas próba epopei narodowej (jako pierwsze ogniwo w tym krótkim na szczęście łańcuchu, którego ogniwem ostatniem będzie *Stefan Czarniecki* Kajetana Koźmiana): jako satyryk, jako bajkopisarz, a nawet jako autor poematów heroikomicznych, jest Krasicki znakomitym klasykiem, ale w poemacie bohaterskim jest pseudoklasykiem, wszedł bowiem (ten jeden raz) na nieswoje podwórko.

132. Pism prozą zostawił po sobie Krasicki znacznie więcej, niż poezyj. Warto pamiętać, że jemu to zawdzięcza Polska pierwszą poważną i godną tego imienia encyklopedję powszechną w dwóch wielkich tomach p. t. *Zbiór potrzebniejszych wiadomości, porządkiem alfabety ułożonych* (1781); większość artykułów wyszła z pod pióra samego Krasickiego. Napisał także duże

dzieło *O rymotwórstwie i rymotwórcach*. Pierwsza to w naszej literaturze próba historii poezji powszechnej: greckiej, rzymskiej, polskiej, włoskiej, francuskiej, niemieckiej, angielskiej i hiszpańskiej, oraz narodów wschodnich (z dodaniem bogatych wypisów w przekładach własnych i cudzych).

Troska o wychowanie młodzieży skłoniła Krasickiego do przekładu na język ojczysty *Życiorysów porównawczych* Plutarcha, które się w XVIII wieku cieszyły w całym cywilizowanym świecie niemniejszą popularnością, aniżeli w wiekach średnich żywoty świętych. Te *Życia zacnych mężów z Plutarcha* wyszły, podobnie jak dzieło *O rymotwórstwie*, dopiero po śmierci Krasickiego, w zbiorowym wydaniu jego pism, w roku 1804, to jest w rok po ukazaniu się czwartego i ostatniego tomiku tego samego dzieła Plutarcha w przekładzie księdza Filipa Nerjusza Golańskiego (*Sławni ludzie i onych porównania, Plutarcha dzieło historyczne, moralne i filozoficzne*). Kiedy jednak Golański przełożył tylko wybrane życiorysy (nie z oryginału, tylko z przekładu łacińskiego), Krasicki przetłumaczył je wszystkie, ale także nie z oryginału, tylko z przekładów francuskich i łacińskich. Napisał nadto, na wzór Plutarcha, kilka żywotów oryginalnych, a w ich liczbie życiorys Kazimierza Wielkiego, którego porównał z Alfredem Wielkim, królem angielskim.

Niemniej poczytne od *Życiorysów* Plutarcha były w XVIII wieku *Rozmowy Zmarłych* Lucjana: Krasicki i to dzieło przełożył (także z przekładów łacińskich i francuskich), a i sam, na wzór Lucjana, napisał blisko trzydzieści takich rozmów, np. Filipa Macedońskiego z Markiem Aureljuszem, Horacego z Sarbiewskim, Bolesława Chrobrego z Kazimierzem Wielkim. W rozmowach tych, przez usta jednego z rozmawiających, wypowiada swoje własne poglądy — moralne, polityczne, literackie i t. d. Tak np. myślą przewodnią rozmowy Bolesława z Kazimierzem jest ulubiony pogląd Krasickiego, że wielkość panującego polega nietylko na czynach wojennych, ile na pokojowej pracy kulturalnej. A w rozmowie Homera z Wirgiljuszem tak się odzywa poeta grecki do rzymskiego: «Mówisz, że dał prawa rymotwórcom: jedynym mojem było przyrodzenie... Wierz mi, iż prawidła są to więzy, naśladowanie — ciemną zwierchnością. Upadła się umysł widokiem niewoli, trwoży się musem; swobodny buja i sam sobie to stwarza, co, mniej sposobnym¹ lub mniej bacznym stawając się prawidłem, podłącem piętnem ich dzieła szpeci».

Szkoda jednak, że zapomniał Krasicki o tej prawdzie, pisząc komedje. Jest ich osiem, z których tylko trzy (*Lgarz, Solenizant i Statysta*) ukazały się w druku za życia autora (1780), cztery (*Frant, Mędrzec, Krosienka i Pieniacz*) dopiero w lat kilkanaście po jego śmierci (1822 i 1823), ósma zaś (*Satyryk*) do dziś dnia zalega w rękopiśmie. Przeznaczał je Krasicki dla swojego teatru prywatnego w Heilsbergu, niektóre wszakże grano i w Warszawie, ale, jak się zdaje bez powodzenia. Otóż te komedje są bardzo mocnem, a niezbyt szczęśliwem, naśladowaniem Moljera i jego naśladowców. Wszystkie są komedjami satyrycznemi.

W porównaniu ze sztukami Bohomolca stanowią one niewątpliwie pewien postęp: akcja jest nieco bogatsza, ruchu na scenie więcej, dialog bez porównania żywszy, jak np. rozmowa *Pieniacza* Anzelma z panem Repertowiczem (której echo słyhać w rozmowie Rejenta z mularzami — w *Zemście* Fredry). Żywsze także, niż u Bohomolca, są opowiadania, wplatanie w dialog, jak np.

¹ zdolny.

opowieść pana Rubasiewicza o polowaniu (w *Krosienkach*): «Nie wiesz, co to mi się stało — nie mogłem się doczekać, nim się moja żona wybierze, ka-
załem więc konia okulbaczyć i, wzięwszy parę chartów na smycz, dalej —
tylkom co za wrota wyjechał, aż tu lis, ja hajże! — Dolot z jednej strony —
Frazia z drugiej — ja z konia — lis w bok — Frazia tuż — a Dolot w onę —
a ja naprzelał — lis frant, mości panie, zapewne już szczwany kominka ¹. —
Frazia patrzy — lisa niemasz, a ja hajże! — hajże! — Dolot tuż — tuż tuż —
ja lecę — hajże! hajże! — jakże się posunie Frazia, gdyby strzała — już też
myślę sobie: po lisie! — cóż on, mości panie, na to? — jak zacznie ogonem
merdać to w lewo, to w prawo, zbałamucił Frazie — a tymczasem jak się po-
sunie ku krzakom — jak pójdzie ponad krzaki poza mogiłę, pomiędzy pa-
rowy, z oczu nam zniknął. — Patrzę: źle! — wołam, krzyczę, Dolot stanął —
Frazie, ja nie wiem, czy kto w tym punkcie oczarował — siadła na kępinie
i nuż wyć — o! już też jakim to usłyszał, taka mnie pasyja wzięła, żebym
jej był w łeb strzelił. Porzuciłem lisa, dalej do niej z harapem ² — frant ³
w nogi, ja za nią, a tymczasem i Dolota gdzieś kaci wzięli — Frazia uciekła,
a ja i lisa nie dostał, i konia zmachał w niwecz, i ledwom sobie piersi nie
zerwał — powiadają to, panie Jędrzeju, na frasunek dobry trunek — każ-no
przynieść tego to zielonkowatego, cośmy go pili ostatnią razą».

Tę jeszcze wyższość mają komedje Krasickiego nad komedjami Boho-
molca, że charakterystyka postaci żeńskich jest w nich daleko lepsza;
(widocznie miał książę biskup warmiński z niewiastami więcej do czynienia,
niż cnotliwy jezuita). Oto np. (w komedji *Lgarz*) taka ciocia Grujska, wpa-
dająca, jak bomba, na wieś do państwa Anzelmów, zadająca jednym tchem
dwadzieścia cztery pytania — o zdrowie wszystkich, o matkę, o papę, o córkę
(«czy biała, czy czarna, czy wysoka, czy niska, czy piękna, czy szpetna, czy
dobrze mówi, czy śpiewa»), i gniewająca się, że pan Filutowicz nie odpo-
wiada odrazu na te wszystkie pytania — to postać z życia wzięta (choćaż,
jak to najczęściej bywa w komedjach staropolskich, trochę skarykaturo-
wana).

Z tem wszystkim nie są komedje Krasickiego tak starannie obmyśla-
nemi satyrami, jak komedje Bohomolca, a co gorsza, nie są, pomimo że je
pisał Krasicki, zabawne. Wogóle utwory to słabe i nie odegrały w historii
teatru polskiego tej ważnej roli, co komedje Bohomolca, które, choć jeszcze
słabsze, były jednak pierwszymi godnymi tej nazwy komedjami pol-
skimi.

133. Natomiast powieści Krasickiego odegrały w historii powieści pol-
skiej rolę bardzo ważną, i to nie tylko dlatego, że są pierwszymi u nas nowo-
czesnymi powieściami, ale i dla swojej rzetelnej wartości.

Pierwsza pochodzi z wczesnej epoki twórczości Krasickiego, kiedy to
walczył on jeszcze nietyle ze «światem zepsutym», ile nadewszystko z ciemnotą.
Za najskuteczniejszy zaś środek przeciwko ciemnocie poczytywał dobre wy-
chowanie, które też, jak mówi, «najistotniejszym jest rodziców obowiązkiem
i być powinno jedną z pierwszych usilności całego kraju», a którego celem
jest przysposobić wychowanka na «człowieka prawego, obywatela zdolnego,
chrześcijanina przykładowego». W tym duchu właśnie wychowywała młodzież
szkolną Komisja Edukacyjna; natomiast wychowanie domowe, które

¹ t. j. wywinął kominka — dał susa w bok. ² bicz. ³ t. j. chytry lis.

ciemna szlachta, nie ufając Komisji, przekładała nad szkolne, odbywało się w duchu zacofanego sarmatyzmu; biadała też na nie literatura, a Gracjan Piotrowski wyraził się nawet, że «domowa edukacja» i jej skutki «gubią Polskę gorzej, niżli miecze, niżli nieprzyjacielskie ognie i najazdy». Otóż i Krasicki, zawsze czujny na potrzeby kulturalne społeczeństwa, przemówił w tej niesłychanie doniosłej sprawie — w powieści: *Nikołaja Doświadczyńskiego przypadki, przez niegoż samego opisane, na trzy księgi rozdzielone* (1776). Sam tedy Doświadczyński opowiada o swoich «przypadkach», podobnie jak Robinson Cruzoe — w nieśmiertelnej powieści angielskiej Daniela Defoe (1719).

★ Urodziłem się w domu uczciwym, szlacheckim... Nim zacznę mówić o mojem wychowaniu, nie od rzeczy zda mi się namienić cokolwiek o tych, od których życie powzięłem, to jest, poprostu, o moim ojcu i o mojej matce. Ojciec mój, po stopniach skarbnik, wojski, miecznik, łowczy, cześnik, podstoli, sześćdziesiątletnie ziemi swojej i województwa usługi, a uslawiczne na sejmiki elekcyjne i gospodarskie peregrynacje, przy kresie życia szczęśliwie nadgrozione i ukoronowane zobaczył: został stolnikiem. Do tego nawet stopnia konsyderacy¹ już był przyszedł, że go podano ostatnim kandydatem do podśędkostwa; ale przeciwna cnotcie fortuna nie pozwoliła dojść do tego stopnia; prędko się jednak uspokoił zwyczajną nieszczęśliwym refleksyją nad marnościami świata tego. Dopomogła do takowej rezolucyi² nader szczęśliwa natura: był albowiem z tego rodzaju ludzi, których to pospolicie nazywają *dobra dusza*. Nic on o tem nie wiedział, co robili Grecy i Rzymianie, i, jeżeli co zasłyszał o Czechu i Lechu, to chyba w parafii na kazanium. Co mu powiedział niegdyś jego ojciec (a jak starzy twierdzili, jeszcze lepsza dusza, niż on), to też samo on nam ustawicznie powiadał, tak dalece, iż u nas nietylko wieś, ale i sposoby mówienia i myślenia były dziedziczne. Wreszcie był to człowiek rzetelny, szczerzy, przyjacielski i, choć nie umiał cnot definijować³, umiał je pełnić. Z tej jednak nieumiejętności definijowania pochodziło, iż się był względem ludzkości⁴ nieco pomylił: rozumiał albowiem, iż dobrze w dom gościa przyjąć jest toż samo, co się z nim upić. Stąd poszło, że się i inwentarz zmniejszył, i zdrowie nadweryżyło; znosił jednak pedogę sercem heroicznem i, kiedy mu czasem pofolgowała, często natenczas powtarzał, iż miło cierpieć dla ukochanej ojczyzny.

Matka moja, z dzieciństwa wychowana na wsi, dla odpustu chyba niewiedzała poblizsze miasta: skąd każdy łatwo wnieść sobie może, że jej na wielu terazniejszych talentach brakło. Nie obchodziło ją to bynajmniej, i, gdy raz strofowana była od jednego modnego kawalera, iż zdawała się mieć zbyt surowe maksymy i dzikość niejaką, obrażającą oczy wielkiego świata, rzekła mu w szczerości ducha, że woli prostacką cnotę, niż grzeczne występki.

Pierwsze lata niemowlęctwa mojego przepędzone były w orszaku niewiast; niedobrze jeszcze artykułowane⁵ słowa tłumaczyły piastunki i nianki za dziwnie roztropne odpowiedzi: te z niesłychaną skwapliwością zaraz opowiadano matce mojej, która zwyczajnie od tego punktu zaczynała dyskursa w każdym posiedzeniu. Potakiwali, ziewając, sąsiedzi, a niejeden byłby może nakoniec i zasnął, gdyby nie budził ich ojciec częstemi kielichy. Orzeźwieni

¹ poważanie. ² postanowienie, pogodzenie się z losem. ³ określać. ⁴ gościnność. ⁵ wymawiać.

naówczas wynurzali koleją obfite życzenia, aprekacje¹ i prorocstwa, a mój ojciec płakał.

W dalszym czasów przeciągu nieraz mi na myśl przychodziły zdrożności pierwiastkowej edukacyi, i zastanawiałem się nad tem, jako jest rzecz zła i szkodliwa, w niemowlęcym nawet wieku, poruczać dzieci osobom, nie mającym żadnego oświecenia. Tkwią mi do tego czasu w głowie bajki i straszne powieści, którychem się aż nadto nasłuchał; i częstokroć, mimo rozumną konwikcyją², muszę się z sobą pasować, żebym gustom i zabobonom nie wierzył lub wykorzenił bojaźń jakowąś i wstręt, gdy zostają bez światła albo na osobności. Nadto wkradał się nieznaczenie gust obmowy; słysząc albowiem, jako każdego z dworskich obyczaje niewiasty krytykowały, te zaś powieści mile przyjmowane przed starszymi bywały — wzięłem to sobie za punkt pozyskania łaski matki lub ochmistrzyni cokolwiek też przed niemi na drugich mówić; a gdy brakło okazji, udawać się musiałem do kłamstwa. Uważałem i to, że, jak wieczorne rozmowy były zwyczajnie o upiorach, czarownicach i strachach, tak ranne o snach; jedna drugiej z kobiet opowiadała, co się jej śniło; a z ich tłumaczeń i wróżek nauczyłem się, iż, gdy się komu ogień marzy, gościa się w dom spodziewać trzeba; a gdy zęb wypadnie, zapewne natenczas ktoś z krewnych umrze.

Tak do lat siedmiu przebywszy w domu, trafiło się, iż przyjechał do nas brat matki mojej, człowiek, urzędem, nauką i wiadomością świata znamienny. Przypatrywałem się pilnie wujowi memu tem barziej, iż wiedziałem, że go rodzice moi barzo szanowali; dziwowałem się, iż, dwa dni u nas siedząc, jeszcze się był nie upił; księdzu lektorowi, mówiącemu o upiorach, wierzyć nie chciał. To mi wstręt od niego³ zaczęło czynić, iż się ze mną nie tak, jak drudzy, bawił; a co najgorsza, zapędzoną w pochwały moją matkę niepomału, mnie zaś niezmiernie zmieszał, gdy się spytał, czy ja umiem czytać, pisać i inne wiekowi przyzwoite mam wiadomości.

Pierwszy raz obili się o moje uszy natenczas takowe słowa. Matka z początku chciała o czem inszem dyskurs⁴ zacząć, ale, gdy coraz barziej nalegał, rzekła natenczas, i ledwo nie słowo w słowo jej dyskurs pamiętam: «Podobno się zdziwisz, braciszku, gdy ci powiem szczerze, że nasz Mikołajek dotąd ani pisać, ani czytać nie umie; ale nie będziesz nas z mężem moim winował, gdy ci opowiem przyczyny, dla których nie chcieliśmy się śpieszyć z jego nauką. Najprzód dziecię jest delikatne, słabe, mogłaby mu zaszkodzić zbytnia sedentaryja⁵, którą i nad alamentarzem mieć trzeba; potem, jak sam Wmć Pan widzisz, niezmiernie jest bojaźliwe; gdybyśmy mu dyrektora⁶ dali, straciłoby fantazyją, ta zaś, raz stracona, powetować się nie może; trudno też znaleźć doskonałego takiego człowieka, jakiegośmy chcieli mieć do jego edukacyi; a nakoniec, już to ostatnia rzecz, jak mówią, młode źrebie łamać». «Dobrze mówisz, moja panno, — odezwał się Jegomość — świętej pamięci nieboszczyk mój ociec (Panie, świeć nad duszą jego!) toż samo o mnie mówił: ale jednakowo, kiedy jegomość tak mówi, podobno lepiej dać Mikołajka do szkół; opatrz z łaski swojej i miejsce, i człowieka, a tymczasem wypijemy za zdrowie Jegomości, mojego Mościwego Pana i kochanego dobrodzieja.

Z jaką radością moją, a może i matki, odjechał nazajutrz ten wspólny

¹ prośba do Boga. ² przekonanie. ³ dziś mówimy: wstręt do niego. ⁴ rozmowa. ⁵ ciągłe siedzenie. ⁶ młody guwerner (z pośród uczniów klas wyższych).

nasz nieprzyjaciół, wyrazić trudno; jednak jego dyskurs zostawił w umyśle ojcowskim fatalną impresyj¹: coraz dyskurs zaczynał o szkołach, nawet kupiono alamentarz i tablicę do pisania. Bolało to niezmiernie matkę; jednak, jako była bogobojna, gdy jej w tem uczyniono skrupuła, że mnie na zgubę moja pieści, uczyniła zapewne najheroiczniejszą w życiu swoim ofiarę, gdy zezwoliła na to, abym był wysłany do szkół publicznych... Po długich utarczках, troskach, pożegnaniach, błogosławieństwach, nakoniec w rzewliwym płaczu do szkół wyprawiony zostałem... Oddalałem się pierwszy raz od obecności rodziców, od pieszczot matki, od pochlebstw domowników; najbarziej jednak, jak zapamiętam, przerażał mnie cel, dla którego wysłany byłem: nauka! Nie mogłem ją mianować dobrem, bo mi nią grożono i obiecywano za karę; wnosiłem więc sobie, iż nie może być, tylko przykra i dolegliwa...

W wigilią wyjazdu, zawołany do ojca z panem dyrektorem, byłem świadkiem instrukcyi, onemu danej: najprzód... zlawszy na niego władzę swoją rodzicielską, zaklinał na wszystkie obowiązki, aby nie folgował; wchodził w wielkie pochwały plag, zdobył się podobno natenczas pierwszy raz na cytacyje, powtarzając owe wiersze z alamentarza: «Rószczką Duch Ś. dziateczki bić radzi» etc.;... nakoniec... dał mu w ręce kańczuczek², prawda, że mały i cienki, ale jakem sam potem sprobował, bardzo bolesny. Gdyśmy już z izby wychodzili, właśnie jak gdyby najpotrzebniejszej rzeczy zapomniał, uchyliwszy drzwi, zawołał na pana dyrektora: «Bijże, bo ja ci za to placę!» Co się ze mną działo, jakem truchlał, drżał, płakał, dorozumieć się każdy może. Pobiegłem natychmiast do matki i wszystko, co się działo, nie bez rzewnego płaczu opowiedziałem. Kazała więc zawołać dyrektora i w krótkości słów dała mu do wyrozumienia, iż, jeżeli się tknie dziecięcia, i służbę straci, i skórą odpowie. Pocieszyło mnie to trochę, i zaraz nazajutrz puściliśmy się w drogę, którą ją prawie całą przejęczał, pan dyrektor przemysłał — podobno nad tem, kogo miał słuchać, czy pana, czy pani.

Przyjechaliśmy bez żadnego przypadku, przyjęci z wielką radością. Pierwiastki szkolne szły trybem zwyczajnym. Pojętność miałem wielką, ale wstręt od nauk jeszcze większy. Pan dyrektor, pamiętniejszy na groźby pani, niż rozkaz pana, obchodził się zrazu ze mną dyskretnie, ale, wzięwszy sam w swojej szkole plagi od profesora, pełen zapalczywości, lubom był niewinien, oddał mi tylo dwoje. Od tego czasu czynił kolejno zadosyć obowiązkom rodziców moich: pieścił, gdzie nie było potrzeba, bił, kiedy nie należało. Wziąwszy nakoniec w dzień swoich imienin parę sukien od matki w podarunku, napisał przez pierwszą pocztę rodzicom, że Jmć Pan Mikołaj czasu swego w nauce samego nawet Herkulesa przejdzie». ★

Lecz szkół Doświadczyński nie skończył: «Jużem dochodził lat szesnastu, gdym odebrał wiadomość o śmierci ojca i zaraz rozkaz wracania do domu». I oto znów zaczęła się edukacja domowa — pod kierunkiem Francuza, przybłądy i oszusta, «pana markiza» Damona, który, chociaż był w sąsiedztwie kamerdynerem, «przecież, jak powiadał, uczynił to był umyślnie, chcąc ukryć wielkość imienia swojego: inaczej, poznany, byłby w odpowiedzi³ za zabicie w pojedynku pod samym bokiem królewskim w Wersalu pierwszego prezydenta parlamentu francuskiego». «Gdy go matka moja usilnie prosiła, aby nam awantury swoje opowiedział, z początku wielki od tego wstręt pokazywał, ale, uproszony nakoniec (nie bez wielu poprzedzających

¹ wrażenie.

² mały bicz rzemienny.

³ pod sądem.

darowizn), odkrył nam ledwo nie najjaśniejsze urodzenie swoje, przypadki ledwo słychane na morzu i lądzie, awantury miłosne, niektóre pomyślnie, niektóre z złym sukcesem; ta zaś najfatalniejsza, która go nakoniec przywiodła do owego pojedynku z pierwszym prezydentem parlamentu; kończył powieść, zaklinając na wszystkie obowiązki, aby go nie wydawać: gdyby się albowiem odkrył, życie jego zostawało w rękę naszych, a już się nawet dowiedział o tem od pewnego podufałego przyjaciela księcia, iż król francuski pisał do naszego z prośbą, aby go wszędzie po Polsce szukano». Swój program pedagogiczny streścił pan Damon w tych słowach: «Szkolna nauka żakom tylko przystoi, zacnego zaś panięcia dowcip, regułami zacieśniony, na toby się tylko przydał, żeby go palcem po Paryżu wskazowano... Edukacja dobra zaczyna się od nabierania prezencji i fantazyi, ciągnie się i kontynuuje probowaniem wspaniałości unyśtu, kończy się zaś doświadczeniem sentymentów serca... Nauka kawalerska zawisła na konwersacji z niewiastami; nie będziesz więc Wmć Pan miał inszych lekcyj nad ustawiczną ze mną konwersacją: z niej i wiadomości rzeczy będziesz nabierał, i w sentymentach kawalerskich będziesz się ćwiczył». Nauczył się więc Doświadczyński paplać po francusku, pochłaniał romanse francuskie i pod ich wpływem rzeczywiście postąpił w «sentymentach kawalerskich»: zakochał się w wychowawcy matki, pannie Juljannie; chciał ją poślubić, ale matka ani słyszeć o tem nie chciała, bo Juljanna nie miała majątku. Więc pannę zapakowano do klasztoru, a synalka wyprawiono «do jednego z najcelniejszych królestwa miast, oczywiście w towarzystwie «pana markiza» Damona.

I oto zaczyna pan Mikołaj żyć: hula i gra w karty, póki się nie zgrywa do nitki; «markiz», okradłszy swego pupila, czmycha, a pupil powraca do matki i «przez cały miesiąc wiedzie życie przykładne». Lecz jad, wsączony w duszę przez Damona, robi swoje: Doświadczyński tęskni do życia, więc jedzie do Warszawy i upada coraz niżej — w otoczeniu pijaków, hulaków i mędrków, którzy uczą go np., że filozofem zostać bardzo łatwo: «Chwal tylko, bo drudzy ganią! myśl, jako chcesz, hyleby osobliwie! kiedy niekiedy z religji zażartuj! decyduj śmieie, a gadaj głośno!» Wtem umiera matka: Doświadczyński jest już panem swojej osoby i majątku, więc hula, co się zmieści, wreszcie wybiera się zagranicę.

Lecz narazie musi jechać do Lublina, do trybunału, aby prowadzić proces z sąsiadem, którego, za namową swego plenipotentą, wygnał był z folwarku. Aby wygrać sprawę, trzeba było najprzód ująć sobie sędziów; zaczęły się więc «pracowite wizyty do każdego w szczególności z jaśnie wielmożnych». A właśnie przypadły imieniny jednego z nich: «Ten Jaśnie Wielmożny Jan, w Piotrkowie Ewangelista, był teraz w Lublinie Chrzcicielem»¹. «*In gratiam*»² tak wielkiej gali dawał bal mój adwersarz³: żeby się nie dać nietylko w sprawie, ale i w szczerobliwości przewyciężyć, karetą moja francuska z szorem⁴ mosiężnym wyzłacanym przeniosła się zaraz do wozowni Jaśnie Wielmożnego solenizanta, i nie bez skutku, uczulem albowiem nazajutrz dowód łaski jego: idąc na wschody ratuszowe, wsparł się na mnie, i miałem honor dźwigać go do samej Izby sądowej».

Zkolei trzeba było zjednać sobie adwokatów: «Zeszło się do mnie dzie-

¹ t. j. w Piotrkowie obchodził imieniny na św. Jana Ewangelistę, a w Lublinie na św. Jana Chrzciela. ² z powodu. ³ przeciwnik. ⁴ część uprzęży (na grzbiecie i na bokach konia).

sięciu poważnych i okazałych mecenasów... Postawiono kilka flasz na stole... Szły rześiste kielichy, gdy jeden z ichmościów pracowitszych odezwał się do mnie: «Mości dobrodzieju! sprawa sprawy nie tamuje: czas się wycieńcza, przystąpmy do poznania sprawy! przy czytaniu dokumentów, gdy nam którego braknie, kielich do miejsce zastąpi...» »Zgoda! zgoda!» zawołali wszyscy... Zaczął plenipotent mój informować ich o sprawie. Każdy z mecenasów notował sobie potrzebniejsze okoliczności». Wtem «młodzieniec jeden, wykwiłtynie ubrany, wchodzi z trzaskiem do pokoju; za nim kozaczek z zaplecionym czerwoną wstążką seledcem¹ i pokojowiec w zielonych sukniach z kordeląsem, strzelca nadwornego podobno reprezentujący; tych jeszcze poprzedził wyżeł młody, rozhuwany, który, rozumiejąc podobno, że jedzą u stolika, wspiął się nań łapami we wszystkim pędzie i kielich duży wywrócił pełen wina, wszystkie papiery moje złał i notata Ichmościów patronów, a co gorsza, kilka pięknych kontuszów i żupanów winem tem splamił... Prędko mi podszeptnął plenipotent do ucha, abym tego młodzieńca jak najgrzeczniej przyjął, «bo to siostrzeniec rodzony JW. Prezydenta, ma już deklarowaną² chorągiew; ten ma zwyczaj, a bardziej zlecenie, pod tytułem ćwiczenia się w prawie, przysłuchiwać się konferencyjom»... Przywitawszy więc z należytem uszanowaniem pożądanego gościa,... który żądał także przysłuchać się sprawie, zaszliśmy do kontynuowania informacji. Wprawdzie ten młodzieniec więcej się psem swoim bawił, jak słuchaniem sprawy: świstał, kazał warować, czapkę rzucaną podać, i, lubo to czyniło dystrakcją słuchaczom, chwaliłiśmy psa i pana, a tymczasem skończyła się informacja».

Wreszcie wygrał Doświadczyński sprawę — przy pomocy sfalszowanych dokumentów; poczem, zaciągnąwszy dług, wyjechał do Paryża, zatrzymując się tu i owdzie po drodze, np. w Kolonji, gdzie był w katedrze na odpuszcie i całował głowy śś. Kaspra, Majchra i Baltazara. W Paryżu poznał się z «hrabią» Fickiewiczem, oszustem, i wspólnie «ułożyli dla honoru narodu polskiego (!) wszelkimi sposobami o to się starać, żeby i w guście i w magnificencji³ przepisać⁴ kawalerów tamecznych». Jakoż okrył Doświadczyński chwałą imię polskie. «Wspaniała moja rozrzutność uczyniła mnie sławnym po całym Paryżu i zniewoliła serce ujęte wdziękami Ćmci Panny la Rose; z jej rozkazu nająłem mały domek na przedmieściu, z pięknym ogrodem, a że wpodłe miał takiż domek marszałek jeden francuski, tak mój wymeblowałem kształtnie, iż przewyciężyłem dotąd niezwycięzonego sąsiada». Nakoniec, przepuściwszy, przy pomocy Fickiewicza, którego długi musiał płacić, prawie wszystko, co miał, z ostatkami grosza i z duszą, już dość zepsuta, uciekł Doświadczyński przed wierzycielami do Amsterdamu, a stąd pożeglował do Batawji. Lecz nie dopłynął: wybuchła burza, i «wpełdzony na skały okręt rozbił się z nieznośnym trzaskiem». «Co się ze mną naówczas stało, opowiedzieć tego nie umiem; to wiem, iż, ocuciwszy się niejako, znalazłem się wśród morza; zalany falami, opojony morską wodą, zacząłem dobywać ostatnich sił; szczęściem zachwyciłem dość sporą deszczkę, porwałem ją i takim mocno trzymał, iż, mimo ustawiczne fluktami⁵ rzucania, podniesienia i spadki, na pół żywy wyrzucony byłem na piasek lądowy». I na tem kończy się część pierwsza powieści, najlepsza i najciekawsza.

W drugiej opowiada Doświadczyński o swoim pobycie na wyspie Nipu,

¹ warkoczyk.
⁵ balwany.

² obiecany.

³ wspaniałość, przepych.

⁴ przewyższyć.

na którą go fale wyrzuciły. Ustrój społeczeństwa nipuańskiego jest patryjarcalny: «niemasz żadnej innej zwierzchności politycznej, prócz naturalnej rodziców nad dziećmi»; zresztą wszyscy są równi: są wprawdzie «panowie» i «czeladź», ale «nie znać było najmniejszej podłości w czeladzi: panowie nie patrzyli się na nich surowem okiem, dopieroż kar cielesnych albo obelżywych podobieństwa nawet nie postrzegłem». Miast ani żadnych instytucyj państwowych, jako to: wojska, sądów, skarbu i t. d., niema, bo wogóle niema państwa, — jest tylko społeczeństwo. Co do religiji, wierzą Nipuańczycy w jednego Boga, który, «jest źródłem wszystkiej istności, początkiem wszystkiego dobra»: ale Kościoła nie mają. Trudnią się rolnictwem: każdy gospodarz ma dom, pole i ogród, «wszystko pod równym wmiarem»; «nie znając żadnych kruszców, zażywają do narzędzi rolniczych ości ryb wielkich, które morze częstokroć na brzeg wyrzuca; te tak zaostwiają tarciami jednych o drugie, iż drzewa niemi obrabiać i zboże żąć mogą». Czytać ani pisać nie umieją, bo liter i ksiązek nie znają, mają zato składne i wdzięczne pieśni, oraz powieści o wielkich przodkach. Są bardzo moralni: pielęgnują wstrzemięźliwość (mięsa nie jadają), szanują rodziców, kochają tradycję, nie kłamią, nie kradną, nie zdradzają, nie pochlebiają; to też «niemasz u Nipuanów słów, wyrażających kłamstwo, kradzież, zdradę, pochlebstwo; terminów prawnych nie znają; choroby nie mają szczególnych nazwisk, ale też ani dworaków, ani jurystów, ani doktorów niemasz».

Takim to ludziom przypatrywał się Doświadczyński, czasami «odchodząc prawie od siebie z radości i zadziwienia». Lecz musiał i pracować (po raz pierwszy w życiu), jako parobek u gospodarza imieniem Xaoo, i «ta praca, która z początku zdawała mi się nieznośna, stała się zczasem zabawą przyjemną; spazmy, wapory¹, reumatyzmy, z których mnie nie mogły wyprowadzić wody salcerskie i karlsbadzkie, ustąpiły dobrowolnie z rzęsim potem; apetyt, który soczystemi bulijonami musiał wzbudzać i krzepić z początku mój kucharz Chrystyjan, Niemiec, dalej imć pan Sosancourt, Francuz, sam się powrócił; a rzepa po pracy lepiej smakowała, niż przedtem podlaskie kuropatwy;... w niedostatku zwierciadła, gdym się w wodzie przezierał, postrzegłem płeć moją, prawda, przyczernioną, ale twarz pełną i rumieniec żywy; sen smaczny, a nieprzerwany orzeźwiał strudzone dzienną robotą członki, a czerstwość samą się pracą pomnażała». Słowem, odrodził się Doświadczyński fizycznie. A poczęści i umysłowo, słuchał bowiem z «gustem niewypowiedzianym» długich kazań mądrego Xaoo na temat cnoty i moralności, wychowania i nauczania młodzieży, miłości ojczyzny i języka ojczystego, skodliwosci podróży zagranicznych i t. p.

Trzy lata zgóra mieszkał Doświadczyński wśród Nipuańczyków; choć mu czas szybko płynął, tęsknił do kraju, bo «prawdę powiedzieli starzy, iż słodki dym ojczyzny». Więc, znalazłszy raz na brzegu łódkę z jakiegoś rozbitego okrętu, wskoczył i puścił się na morze, nie przeczuwając, że, zanim ujrzy dymy ojczyste, czekają go jeszcze różne przygody.

O tych «awanturach» opowiada księga trzecia i ostatnia. Czegoż nie doświadczył Doświadczyński! Jęczał w niewoli u hiszpańskiego handlarza niewolników, męczył się w kopalniach w Potosi (w Ameryce południowej), w Hiszpanji dostał się do więzienia, a nawet do szpitala warjatów! Lecz

¹ dosłownie — wyziewy; w XVIII wieku tak nazywano różne nerwowe niedyspozycje elegantów i próżniaków, pieszczących się ze swoim zdrowiem.

w tej twardej szkole życia odrodził się moralnie i później, w Paryżu, szukał towarzystwa już nie Fickiewiczów, ale «mędrców niedumnych, bogaczy niewyniosłych, panów przystępnych, bogobojnych, bez żółci, rycerzów bez samochwalstwa». Zaprzyjaźnił się z pewnym margrabią, który go namówił, by wracał do ojczyzny i pracował dla niej. Jakoż powrócił do swej wioski rodzinnej, do Szumina, i oto «w przeciągu lat dziesięciu, dworak w Warszawie, w Paryżu galant, oracz w Nipu, niewolnik w Potosi, szalony w Sewilli, został w Szuminiu filozofem». «Za punkt największy gospodarstwa wziął sobie szczęśliwość swoich poddanych», a pragnąc pozyskać szersze pole do pracy obywatelskiej, zaczął się ubiegać o godność poselską. «Przyjechawszy do miasta stołecznego, chciałem iść jak najprzystwoitszemi drogami do dostąpienia poselstwa; wysmiali dzikość moją sąsiedzi, gdy się dowiedzieli, że tylko jednego kucharza z sobą przywiózł, a gdy ich wieść doszła, że nie więcej miał z sobą nad dwa antały wina, sam Imé Pan Podkomorzy wręcz decydował, iż o mojem poselstwie nie tuszy; kupiłem więc czem prędzej w poblizszym klasztorze wina wybornego beczek kilka; kucharzów użyczyli sąsiedzi; że zaś było pieniędzy dostatkim, poszło wszystko i prędko, i dobrze», mimo niechętnych, którzy patrzyli krzywo na Doświadczyńskiego, że jeździł po rozum zagranicę, że więc wszystko będzie teraz «po modnemu, po francusku, po niemiecku, dyjabli wiedzą po jakimu»: obrano go na posła, pod warunkiem, że się na sejmie dopominać będzie o reparację ratusza lubelskiego i piotrkowskiego, o sumy neapolitańskie, o otwarcie kopalni w Olkuszku i o starania około kanonizacji dwóch błogosławionych. Pojechał więc pan Mikołaj do Warszawy, ale cóż, kiedy na trzeci dzień sejm zerwano! Więc wrócił na wieś i ponownie wziął się do cichej pracy na roli, a «pierwszy podobno z całej okolicy przeświadczony będąc, że poddani byli ludźmi, przyłożył do tego starania, aby ile możności uczynić ich stan znośniejszym». Niebawem, podczas podróży na Litwę, spotkał Juljanę (która zdążyła tymczasem już nietylko opuścić klasztor i wyjść za mąż, ale i owdowieć), ożenił się z nią, żył szczęśliwie i doczekał się synów i wnuków.

Taka jest treść powieści. A jej dążność i myśl przewodnia? Chciał Krasicki, po pierwsze, dać obraz satyryczny wychowania domowego; powtóre, chciał uwydatnić opłakane jego skutki, pokazać, jaką drogą dochodzi się do utraty czasu, majątku i honoru: gdyby Doświadczyńskiego inaczej wychowano, byłby odrazu pracował na pożytek i chwałę ojczyzny; słowem, Doświadczyński to ofiara złego wychowania, a stąd myśl przewodnia powieści: rodzice powinni dobrze wychowywać młodzież, co jest rzeczą możliwą, albowiem «niemasz takowej w dzieciach słabości, którejby miłość rodziców nie mogła przewyciężyć» — oczywiście, miłość w przymierzu z rozumem.

Lecz, jak zawsze, tak i tutaj chciał Krasicki nietylko uczyć, ale także bawić, i dlatego to napisał nie rozprawę o wychowaniu, tylko powieść, do czego pobudziła go nadto przyświecająca jego twórczości ambicja podniesienia zwyrodniałej literatury ojczystej do godności europejskiej.

A w Europie zachodniej wiek XVIII stanowi epokę w historii powieści. Odziedziczył on po dawniejszych wiekach fantastyczne albo napół fantastyczne powieści o różnych nadzwyczajnych przygodach (zwłaszcza w podróży), oraz tak zwane utopje, to jest opowieści o krainach, nigdzie nie istniejących, wymarzonych, które wyobrażnia, niezadowolona z rzeczywistości, zaludniała ludźmi lepszymi i szczęśliwszymi od prawdziwych. Otóż tych ro-

dzajów nie zarzucili powieściopisarze wieku XVIII, ale je zmienili i uszlachetnili: opowieści o przygodach i podróżach stawały się coraz prawdopodobniejsze (np. w *Robinsonie Cruzoe*), a nadto często szły w służbę jakiejś ważnej sprawy, zwłaszcza tej, która dla XVIII wieku była najważniejszą ze wszystkich — sprawy wychowania: wszystkie literatury zachodnio-europejskie mają mnóstwo «powieści wychowawczych»; we Francji taką powieścią są np. *Przygody Telemaka* Fenelona (1717), a i traktat Rousseau'a, *Emil czyli o wychowaniu* (1762), ma postać romansu. I utopje nieraz służyły w XVIII wieku sprawom wychowania; tak np. uczony archeolog francuski, Caylus, napisał ni to baśń, ni to powieść, w której czarodziejka zanosi złe wychowane dziecko do jakiegoś idealnego państwa, żeby się poprawiło.

Roi się także literatura XVIII wieku od dłuższych i krótszych «powieści moralnych» i «powieści filozoficznych», to znaczy takich, których zadaniem było stwierdzenie tej lub owej nauki moralnej, albo też myśli filozoficznej. Wielkim rozgłosem cieszył się np. *Kandyd czyli Optymizm* Woltera (1759), powieść przygód, mająca na celu dowieść, że się omylił wielki filozof niemiecki Leibnitz, poczytując świat, który Pan Bóg stworzył, za najlepszy ze wszystkich możliwych światów, że, przeciwnie, ten świat jest bardzo zły, skoro losy człowieka zależą tak często od ślepego przypadku. Jest i utopja w tej powieści Woltera, mianowicie opis krainy Eldorado.

Niedosyć na tem. Dawniejsza powieść czerpała niekiedy treść z rzeczywistego życia, ale go nie ogarniała w całości, poprzestając np. na życiu rozbójników, złoczyńców, złodziei, ladacznic. Dopiero w XVIII wieku zaczęto szukać treści w całym wogóle społeczeństwie, i tym sposobem powstała powieść obyczajowa; jej twórcą jest we Francji Lesage, autor dwóch powieści: *Djabeł kulawy* (1707) i *Gil Blas* (1735).

Ale i to jeszcze nie wszystko. Dawniejsze powieści opowiadały szczegółowo, co bohaterowie robili i co mówili, ale co i jak czuli i myśleli, nie opowiadały. Zwrot pod tym względem nastąpił już w końcu XVII wieku, a w wieku XVIII można już mówić o rozwoju powieści psychologicznej; początki jest taką powieścią nieśmiertelna (i śmiertelnie nudna) *Nowa Heloiza* Rousseau'a (1761), którą o lat dwadzieścia wyprzedziła znakomita powieść psychologiczna i jednocześnie obyczajowa: *Życie Marjanny* (1741); jej autorem jest utalentowany komedjopisarz francuski, Marivaux (1688—1763).

Jak we Francji, tak i w Anglii bujnie rozkwitła w XVIII wieku powieść, i to zarówno powieść przygód, jak obyczajowa i psychologiczna: cała Europa chętnie czytała nietylko nieśmiertelnego i niesłychanie zajmującego *Robinsona Crusoe*, ale także fantastyczno-satyryczne *Podróże Gulliwera* Swifta (1726), oraz obyczajowo-psychologiczne powieści Richardson'a i Fieldinga.

Krasicki znał doskonale te wszystkie i wiele jeszcze innych powieści. Żartował sobie z romansów «sentymetowo-miłosnych», mówiąc, że to «plód zbyt czulej imaginacyi, rozciąglejsze, najgadalliwsze, a zatem najnudniejsze od wszystkich,... skutki raczej łbów zagorzałych, niż serca rozrzuconego»; szydził sobie potrosze i ze starych powieści «bohaterskich», których autorowie «w zapale heroizmu płodzili rycerzów, a raczej napastników, pod nazwiskiem obrońców honoru niewieściego, opiekunów sierot... i t. d.». Lubił natomiast powieści obyczajowe, nadewszystko jednak cenił wychowawcze, a to dla pożytku, jaki przynoszą społeczeństwu. Otóż *Mikołaja Doświadczynskiego*

przypadki, jako całość, to, ze względu na swoją dążność i myśl przewodnią, powieść wychowawcza. Lecz w ramach całości są inne jeszcze rodzaje powieści, chciał bowiem Krasicki jednym zamachem wzbogacić literaturę ojczystą kilku rodzajami współczesnej powieści europejskiej: opowiadanie o wychowaniu Doświadczyńskiego, o trybunale lubelskim, o sejmiku — to powieść obyczajowa, jego pobyt na wyspie Nipu — to powieść fantastyczna, mianowicie utopja, a jego przygody w Paryżu, w Ameryce i Hiszpanji — to powieść przygód (czyli powieść awanturniczą); (powieści psychologicznej — niema w *Przypadkach*).

Ale nie wszystkie te powieści mają jednakową wartość. W opowiadaniu o awanturach pana Mikołaja zabrakło Krasickiemu bujnej fantazji. Utopja, także nie grzesząca nadmiarem wyobraźni, jest nudnawa, a co gorsza, stanowi pewną sprzeczność z dążnością wychowawczą całości. Wprawdzie przez usta mędrca Xaoo wypowiada Krasicki wiele mądrych myśli wychowawczych i mądrze krytykuje wadliwy system wychowania w Polsce; tak, ale te wszystkie myśli wypowiada mieszkaniec wyspy Nipu, obywającej się bez wielu zdobyczy cywilizacji, bez których Krasicki nie chciałby za nic w świecie, żeby się obywatela jego ojczyzna: Nipuanie przecie nie mają Kościoła, nie znają przemysłu, nie są obciążeni podatkami i t. d. Ogromną natomiast wartość posiadają te rozdziały *Przypadków*, które są powieścią obyczajową: tryskają życiem, prawdą i dowcipem satyrycznym. Dzięki tym właśnie rozdziałom jest Krasicki twórcą naszej powieści obyczajowej, albo raczej obyczajowo-satyrycznej.

134. Inny charakter, niż *Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadki*, ma druga, znacznie dłuższa, powieść Krasickiego: *Pan Podstoli*; jej część pierwsza wyszła w roku 1778, druga — 1784, trzecia — 1803. Niema w niej ani fantazyjności, ani awantur nadzwyczajnych; pierwiastek obyczajowy jest zato w obfitości i łączy się nie zawsze wprawdzie, ale często z satyrycznym. Najznamienniejszą jednak cechą tej powieści stanowi tak wielkie przeładowanie jej pierwiastkiem dydaktycznym, że pewien krytyk zaliczył ją — narówni z *Wojną Chocimską* — do utworów «chłodnych» i «poziwnych». Trochę słuszności w tym sądzie jest: dzisiaj niejeden czytelnik, wzięwszy do ręki *Pana Podstolego*, ziewa; jako powieść bowiem, jest to utwór, kto wie, czy nie równie nudny, jak *Przygody Telemaka* Fenelona i *Nowa Heloiza* Rousseau'a. Lecz, nie mówiąc już o tem, że współcześni, czytając *Pana Podstolego*, z pewnością nie ziewali, tylko się bardzo zaciekawiali, — i dzisiejszy czytelnik także nie będzie ziewał, jeżeli szukać będzie w tej powieści nie ciekawej fabuły, której nie znajdzie, i nietylko zwierciadła obyczajowego, które znajdzie, ale nadto obrazu tych myśli i uczuć, rad i przestroż, któremi najszlachetniejsi i najmędrsi Polacy XVIII wieku chcieli zapewnić swojemu narodowi trwałość i szczęście. «Jak Konstytucja 3 maja wienczyła powolną i długą pracę ludzką, zdążającą ku reformie politycznej, tak ten ideał obywatela-gospodarza polskiego», którym jest pan Podstoli, «wienczył powolną i długą pracę reformy obyczajowej, która wraz z polityczną nurtowała w Polsce od początków XVIII wieku»¹.

Posiadając umysł trzeźwy, daleki od marzycielstwa i niezdolny do zapалу, niebardzo wierzył Krasicki, zwłaszcza po pierwszym rozbiórce, żeby można było uratować Polskę, jako państwo; w tej niewierze mógł go je-

¹ Słowa Józefa Tretiaka.

szyce utwierdzić pisarz francuski Mably, który w piśmie p. t. *Polityczna sytuacja w Polsce* przepowiadał Polsce upadek i doradzał jej obywatelom, żeby, jak Cynceron po upadku Pompejusza, wycofali się z życia publicznego w zaciszne domowe. Nie wierząc jednak w przyszłość Polski, jako państwa, nie wątpił Krasicki o jej przyszłości, jako narodu. Otóż, pragnąc pouczyć ziemian polskich, jak mają pracować dla ojczyzny, choćby ona nawet miała utracić niepodległość, postawił im przed oczyma idealnego obywatela, którym jest właśnie bohater powieści — *Pan Podstoli*.

Pomysł stworzenia takiej idealnej postaci zawdzięcza Krasicki może trochę *Zywotowi człowieka poczciwego* Reja i *Dworzaninowi* Górnickiego, po części *Nowej Heloizie* Rousseau'a, w której jest idealny gospodarz, ale nade wszystko niewielkiej powieści angielskiej bezimiennego autora o idealnym gospodarzu i obywatelu, Rogerze de Covery. (Tę powieść, drukowaną w *Spectatorze* angielskim, Krasicki znał doskonale, skoro ją sam przerobił i wydrukował w *Monitorze* jeszcze w r. 1772). A i w jednej powieści Richardsona, dobrze Krasickiemu znanej, jest idealna postać: *Pan Karol Grandison*. I wogóle trzeba wiedzieć, że bardzo niecnolliwy wiek XVIII lubował się w bohaterach, będących wcieleniem cnoty.

Lecz pierwowzorem idealnej postaci pana Podstolego byli nietylko bohaterowie powieściowi, ale także jeden żywy człowiek: podstoli sanocki Antoni Starzeński, żonaty z Brygidą Krasicką, rodzoną siostrą księcia biskupa warmińskiego. Całej wogóle treści do *Pana Podstolego* dostarczyło Krasickiemu życie: to, co widział w Polsce na własne oczy, i to, czego dla Polski pragnął i o czem marzył we własnej duszy.

Zaczyna się *Pan Podstoli* tak:

★Gdym był raz w drodze około czasów zniwowych, trafiło mi się przejeżdżać przez wieś osiadłą i budowną. Widząc w niej karczmę porządną, lubo jeszcze było daleko do zachodu słońca, zajechałem tam na nocleg, a gdym się gospodarza pytał, kto tej wsi dziedzicem, odpowiedział mi: «Pan Podstoli». — «Kto tę karczmę zbudował?» — «Pan Podstoli». — «Kto tak dobrą groblę usypał?» — «Pan Podstoli». — «Kto most na rzece zmurował?» — «Pan Podstoli». Zgoła, kościół, dwór, folwark, śpichlerz, browar, chałupy nawet — wszystko to było dziełem jednego człowieka, a ten był pan Podstoli. Zdjęła mnie niezmierna ciekawość poznać go; bałem się być natrętem, ale mnie karczmarz upewnił, iż pan Podstoli rad był każdemu w swoim domu. Już było po zachodzie słońca, a wieczór piękny, gdy, przechadzając się po grobli, postrzegłem idącego ku sobie człowieka w żupanie białym; miał pas rzemienny, na głowie obszerny kapelusz z słomy, w ręku kij prosty. Gdy się zbliżał, a postrzegłem twarz poważną, rumieniec czerstwy, włosy siwe, domyśliłem się, iż to musiał być pan Podstoli. Przystąpiliśmy ku sobie, i po pierwszym przywitaniu rzekłem, iż «przypadkowe, jako mniemam, pana tu-tejszej wsi spotkanie nader jest pożadaną dla mnie okolicznością»: «nie mogę albowiem przed Wpanem zataić — rzekłem dalej — podziwienia z tego wszystkiego, co tu widzę; tem zaś bardziej to podziwienie zwiększyłem, gdym się dowiedział, iż wszystko jest skutkiem Wpana przemysłowości¹ i pracy». Podziękował za dobrą opinią, przyjął pochwałę bez fałszywego wstrętu; a żeśmy byli niedaleko wrót, zaprosił do dworu.

¹ przemysłowość.

Obszerny dziedziniec płot, z kołów wielkich sporządzony, otaczał; ten zewsząd obsadzony był wybujałemi do góry wierzbami, na środku cztery lipy rozłożyste stały, pod każdą z darnia siedzenie, w środku stół kamienny. Po prawej ręce była porządna oficyna kuchenna z izbami, jakem miarkował, dla czeladzi; po lewej szły stajnie, wozownie, na boku murowany lamus¹ z żelaznemi u okien kratami i okiennicami, naprzeciwko niego śpichlerz. Dwór sam był z drzewa na dobrem i znacznie od ziemi wzniesion podmurowaniu. Weszliśmy do izby; na środku stał stół, dywanem tureckim okryty, kredens był przy drzwiach, tacami, puhanami, dzbanami srebrnemi i złocistemi ozdobny; naprzeciwko drzwi wisiał portret króla Jana. W drugiej izbie, niemniej przystojnej, zastaliśmy jejmość nad krosienkami; haftowała, jakem się potem dowiedział, tuwalnią² do kościoła. Wstała natychmiast z krzesła i przywitała mnie; obróciła się potem do męża i, wzięwszy go za rękę z tym wdzięcznym uśmiechem, którego moda nauczyć nie może, rzekła, iż dzieci ze szkół dziś na noc przyjadą. Dano znać wkrótce o ich przybyciu; weszły do izby razem z dyrektorem; starszy nie mógł mieć więcej nad lat sześćnaście, młodszy różnił się w wieku od starszego. Nastąpiła niebawem wieczera; siedli gospodarstwo, dzieci, dyrektor i ja, panna służebna, matrona jakaś podeszła i dwóch ojców reformatów. Podczas stołu były dyskursa, jak zwyczajnie przy pierwszym poznaniu, obojętne. Gdyśmy wstali, rzekł do mnie gospodarz, iż zachowywał dawny zwyczaj modlić się po wieczery z czeladką; poszliśmy więc do kaplicy i po skończonych litanijach gdyśmy się wrócili nazad, bawiliśmy się dyskursami do godziny dziesiątej, o której odprowadził mnie gospodarz do mojej stancyi. Zastalem pokoiki dwa, małe, ale przystojne i czyste; na żadnej wygodzie nie brakowało. Przed odejściem prosił mnie pan Podstoli, abym, jeżeli interesu pilnego nie miał, chciał nieco wypocząć i odetchnąć w jego domu, zostawując zupełnie woli mojej czas bawienia. Interes, dla którego wybrałem się w drogę, nie był gwałtowny, dom — taki, jakiegom dawno pragnął: dałem się więc użyć³ łatwo i obiecałem, iż kilka dni zabawię».

Ale nie kilka dni, tylko kilka tygodni bawił autor u pana Podstolego — poto, aby, powróciwszy do siebie, znów go odwiedzić; pan Podstoli, nie chcąc być dłużnym, przyjeżdża do autora, poczem ten odwiedza go raz jeszcze.

Oto i cała treść powieści, a raczej nie treść, tylko dopiero ramy, w które oprawił autor treść niezmiernie bogatą, opowiadając wszystko, cokolwiek widział i słyszał w podróży i w domu pana Podstolego. A widział i słyszał mnóstwo: zwiedził cały dom i całe gospodarstwo pana Podstolego, oraz chałupy jego włościan; poznał jego domowników, dzieci i żonę, która pracuje od świtu do nocy, ucząc córki, lecząc włościan, «odwiedzając krowy, gęsi, kaczki, kury, zwierzęta nawet, niegodne wspomnienia pięknej damy»; poznał zacnego księdza plebana oraz sąsiadów i sąsiadki pana Podstolego; jeździł po okolicznych wsiach i miasteczkach, gdzie spotykały go różne przygody; był na imieninach pani podstoliny i na weselu panny podstolanki i t. d. Ale nade wszystko nagadał się za wszystkie czasy z panem Podstolim i nasłuchał się od niego wielu mądrych i ciekawych rzeczy: o Kościele i religji, o cnocie i moralności; o obowiązkach Polaka względem ojczyzny, pana względem służby i chłopów, rodziców względem dzieci, proboszcza względem parafjan; o etykiecie towarzyskiej; o wychowaniu szkolnem i domowem; o gospodar-

¹ skład.² obrus.³ namówić.

stwie, ogrodnictwie, budownictwie, handlu i przemyśle; o naukach i literaturze; o kawie, tabace i tytuniu i t. d., — i wszystko to w powieści swej powtórzył, pragnąc «wystawieniem dobrego przykładu użyzyć innym tego zbudowania, które sam uczył»: pan Podstoli bowiem to ideał polskiego ziemianina-obywatela, to «człowiek poczciwy» XVIII wieku, z tą jednak wielką różnicą, że o obowiązkach względem ojczyzny ma pojęcie nierównie szersze, aniżeli szlachcic Reja. Wprawdzie i on unika służby publicznej tak samo, jak «człowiek poczciwy»; był wprawdzie kiedyś posłem ziemskim, był i deputatem do trybunału, ale teraz siedzi już kamieniem na wsi, nie dlatego, żeby, jak «człowiek poczciwy» Reja, nie chciał poświęcić ojczyźnie swego «wolnego żywota», ale przeto, że za główny swój obowiązek patriotyczny poczytuje nie działalność polityczną, tylko pracę społeczną; bo «nie samą tylko radą lub orężem służyć krajowi można; czuły obywatel stara się, jak może i w czym może, być użytecznym ojczyźnie swojej».

W czymże jest pan Podstoli użyteczny ojczyźnie? W tem przede wszystkim, że, jako zabiegły i zdolny gospodarz, dbały o dobrobyt nietylko własny, ale i swoich włościan, pomnaża bogactwo materialne ojczyzny; w tem dalej, że, jako dobry chrześcijanin, jako rozumny i światły człowiek, jako idealny mąż i ojciec, wzorowo chowający dzieci, jako łagodny i sprawiedliwy pan dla służby i chłopów, — świeci przykładem całej okolicy i tym sposobem pomnaża moralne i umysłowe zasoby swego kraju. A zawsze i wszędzie, we wszystkich swych czynach i słowach, w poglądach i upodobaniach, umie zachować rozumny, złoty środek pomiędzy wymaganiem nowych czasów a miłością i poszanowaniem przeszłości. Na karcie tytułowej powieści wypisał Krasicki słowa: *Moribus antiquis*¹, t. j. dawnym obyczajem, pragnąc wpoić w czytelników poszanowanie tradycji i zarazem przekonać ich, że miłość przeszłości narodowej, o ile nie jest zaślepiona, wcale do postępu nie przeszkadza, że owszem jest jego niezbędnym warunkiem i pożądaną dźwignią. I miał zupełną słusność Krasicki, bez miłości bowiem tradycji niema patriotyzmu, a bez patriotyzmu niema i być nie może prawdziwego postępu.

Z jednej więc strony, jest pan Podstoli gorącym zwolennikiem i wymownym obrońcą tradycji narodowej. Nasanuprzód — pod względem religijnym: wierząc we wszystko, co Kościół do wierzenia podaje, pełni gorliwie wszystkie praktyki religijne, uczęszcza z całą rodziną do kościoła, słucha kazań, nie łamie postów i broni ich użyteczności, «zachowuje dawny ojców zwyczaj modlić się po wieczery z czeladką»; w podróży, «nie wstydząc się chwalebnych zwyczajów ojców naszych», którzy «wszystko od Pana Boga zaczęli», śpiewa psalm *Kto się w opiekę poda Panu swemu*; «zwyczaj był ściśle zachowany w domu pana Podstolego, iż i przed stołem, i po stole modlitwę każdy pocichu czynił, gdy zaś był duchowny, dawał błogosławieństwo». «Między wielu nieszczęściami — mówi pan Podstoli — które nam terazniejsze czasy przyniosły, to za największe sędzę, iżemy się uchylili od śladów poczciwych przodków naszych; cześć Pana Boga jawnie nietylko w kościele, ale w domu, w drodze i na każdym miejscu była rzeczą powszechną: teraz, gdy się kto starodawnych pobożnych zwyczajów trzyma, uznany jest za świętoszka». Lecz nietylko zanik religijności, ale wogóle od-

¹ Są to dwa pierwsze słowa wiersza poety rzymskiego Enjusza (II w. przed Chrystusem): *Moribus antiquis stat res romana virisque*, co tłumacz Modrzewskiego, Cyprjan Bazylík, tak przełożył: «Zwyczajem starożytnym a rycezmami cniemi — rzymska Rzeczpospolita trwa czasy dawnemi».

stępstwo od obyczaju staropolskiego poczytuje pan Podstoli za nieszczęście, z pogardy bowiem dawnych obyczajów «pomału rośnie obojętność, a nakoniec i wzgarda własnego kraju». Więc broni np. stroju staropolskiego, a nie cierpi peruk i fraków; broni i tańców staropolskich, a nie lubi francuskich, «nadto wymyślnych, wykwintnych» i «tak trudnych do wykonania, iż trzeba się ich pracowicie uczyć, a czasu szkoda», i t. p. Wogóle jest pan Podstoli zdania, że, «im się bardziej państwo ku zgubie nachyla, tem częściej obywatelom powtarzać należy: *Moribus antiquis*».

Przy całym jednak poszanowaniu dla tradycji nie jest pan Podstoli «ślepym uwielbiaczem starożytności», bo rozumie, że nie wszystko, co stare, to dobre. Więc, chociaż mówi raz, że mu «bolesno, iż się i w małych rzeczach od toru ojców naszych oddalamy», ale sam oddala się od niego często. «Ojcowie nasi nie kochali się w ogrodach, nie idzie za tem, żeby ogrodów mieć nie trzeba; ślepe naśladownictwo bydlęcym jest przymiotem»: więc jest pan Podstoli zawołanym ogrodnikiem; ojcowie nasi upijali się: on nie stroni od kieliszka, ale się nie upija; ojcowie przebierali często miarę w gościnności, więżąc gwałtem gości u siebie: on jest bardzo gościnny, ale nikogo nie gwałci; ojcowie kochali się w szumnych tytułach, adresując np. listy: «Wielmożnemu Jegomości Panu Cześniukowiczowi MWMościwemu Panu i Kochanemu Bratu»: on śmieje się (śmiałyby się i dzisiaj) z manji tytułów (choć woli już daleko takie adresy, niż: *à Monsieur Monsieur*, słusznie mówiąc, że «Mości Pan» znaczy tyle samiutko, co *Monsieur*) i t. d. Lecz nietylko w małych, ale i w dużych rzeczach często oddala się pan Podstoli od toru swoich ojców. Przewszystkiem jest to człowiek wykształcony, nie tak, jak jego przodkowie, którzy poprzestawali na czytaniu senników i kalendarzy; on tymczasem ma w domu bogatą bibliotekę, w której znajdują się najznakomitsi autorowie polscy, a wśród nich «nieśmiertelny Kopernik». Nie żywi też tego wstrętu, co jego przodkowie, do cudzoziemszczyzny, bo wie, że pod wielu względami cudzoziemcy przewyższają Polaków; więc np., choć sam po francusku nie umie, ale dzieci tego języka uczyć każe, a do majątku swego sprowadza uzdolnionego młynarza Niemca, nie bacząc na zgorzenie i drwiny sąsiadów, którzy mówili: «Poczekajcie tylko jesieni, zobaczycie, jak ten dziwacki młyn i z młynarzem Niemcem popłynie do Frankfortu; nie poprawi polskiego gospodarstwa niemiecki koncept: lepsze nasze Maćki, Bartosze za kilka złotych i szczupłą ordynaryją, niż te Frydrychy, których złocić potrzeba!» Najlepiej jednak postępowość pana Podstolego uwydatnia się w jego stosunku do służby i włościan. Ze służbą obchodzi się po ludzku, «nieuczciwemi słowy, miną pogardzającą, tyrańskimi męczarniami jarzma ich nie powiększa». Niedosyć na tem: «Gdy u mnie kilkanaście lat wiernie który z czeladzi służył, wyzwalam go od jarzma służebniczego, nadaję grunt, wystawiam dom; naznaczam dożywnią, a proporcjonalną do stanu jego pensyją». I z włościanami postępuje zupełnie inaczej, niż jego przodkowie: nie obdziera ich, ale przeciwnie, troszczy się o ich dobrobyt, materialny zarówno, jak moralny, budując im nowe chałupy, wykorzeniając wśród nich nałóg pijaństwa, zakładając własnym kosztem szkółkę dla dzieci włościańskich i t. d. Co więcej, chociaż nie zerwał z dawnym poglądem, że «rozdał Pan Bóg rozmaite stany między ludziami, rozporządził, co każdy stan działać ma, i każdego z nas w jednym z nich osadza wedle woli swojej świętej», — jednak poddaństwo chłopów nazywa «zastarzałą nieprawością». To nie przeszkadza, że jest przeciwnikiem natych-

miastowego zniesienia poddaństwa i gniewa się na «modnych mędrków», którzy się tego domagają: «Chcą im nadawać wolność, a nie przysposabiają ich wprzód do tego, iżby z danej wolności korzystać mogli; swoboda u dzikich jest miecz w ręku szalonego». Do wielkiego dzieła wyzwolenia włościan trzeba, zdaniem pana Podstolego, stopniowo przygotować grunt: ulżyć mianowicie włościanom «ciężaru jarzma, który dźwigają», oraz oświecać ich, inaczej bowiem nigdy nie wyjdą z «dzikości». Jak zawsze, tak i tutaj jest pan Podstoli umiarkowany, poczytując nagle przewroty za niebezpieczne i szkodliwe. Ale i tak niejeden z przodków pana Podstolego przewróciłby się w grobie, gdyby słyszał, jakie to herezje wygaduje ich wyrodny potomek, — że np. Żydów (których i on zresztą serdecznie nie lubi) trzeba zmusić do «powszechności pracy», tak żeby się zajmowali nie tylko handlem, ale także rolnictwem i rzemiosłem, a nawet pełnili służbę wojskową, inaczej bowiem zagarną w swoje ręce cały handel, który przecie «duszą jest kraju» i t. p.

Takiego to człowieka stawiał Krasicki współobywatelom za wzór do naśladowania: bądźcie takimi, jak on, kochajcie tradycję narodową, ale jednocześnie kroczcie drogą umiarkowanego postępu, poprawiając i przekształcając to, co w tradycji jest niemądrego albo złego, a naród polski nigdy nie zginie!

Lecz, jak w *Żywocie Reja*, tak i w *Panu Podstolim* jest nie tylko ideał, ale i rzeczywistość: oprócz idealnych i papierowych (jak zwykle ideały w powieściach) postaci pana Podstolego, jego cnotliwej małżonki i zacnego księdza plebana, są w powieści ludzie prawdziwi, z krwią i kośćmi, i nie tak nudni, jak tamci: gospodarze i myśliwi; piniacze i krzykacze trybunalscy; zawadzaki i hulaki; urzędnicy i dostojnicy okoliczni; zwolennicy obyczajów staroświeckich i wielbiciele nowych, francuskich; nie brak i kobiet: staroświeckich matron i modnych, sfrancuziałych eleganek; słowem, przed oczami czytelnika przewijają się cały rój postaci i typów obojga płci, różnego wieku i różnego gatunku, żywcem z rzeczywistości wziętych, scharakteryzowanych czasem krótko, ale zawsze wyraziście. Oto np. jakiś szlachcic, przez którego wieś autor przejeżdżał, mówi tylko kilka słów, ale tych dosyć, aby poznać, co to za figura: «Ś. p. ociec, dziad, a może i pradziad mój, bom go nie znał, tu się porodzili, tu całe życie swoje przepędzili, tu pomarli, a każdy z nich, tak jak ja, ledwo umiał sylabizować i tyle tylko piórem robić, żeby jako tako podpisać się, kiedy się Żydowi daje kontrakt na arendę; zdrowi byli i długo żyli. i ja jestem zdrów z łaski Pana Boga; będą i moje dzieci zdrowe bez szkoły; nie dam ja ich tam, bo im głowy pozawracają, i możeby mnie potem wypędzili; a choćby i nie wypędzili, to niedobrze, kiedy dzieci mają więcej rozumu, niż rodzice. Dajże mi Waćpan pokój — mówi do księdza — wszak ja dziesięcinę punktualnie daję, a kto wie, czy nie więcej, niżby się Waćpanu należało; każecie się uczyć, a powiadacie na ambonie: błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie». Paradną figurą jest i ciotka pana Podstolego, co to, dowiedziawszy się, że siostrzeniec buduje nowy dom, w tej chwili do niego przyfruwa (choć mieszka o trzydzieści mil) i prosi «ze łzami, żeby nie rozwałił domu, w którym nasi rodzice, dziadowie i pradziadowie mieszkali, w którym się i ona urodziła, i jam wychował. Któż wie — rzekła — jakie będzie założenie nowego? W sąsiedzkich dworach zawždy coś przeszkadza: w tym, z łaski bożej, raz tylko nie-

boszcza matka, i to w dobry sposób, widziała duszę nieboszczyka pana Wawrzyńca, który zginął pod Wiedniem; dano zaraz na trycezyne¹, pobenedykowali² ojcowie reformaci, i odtąd się już nic więcej nie pokazywało. O starym folwarku ja nie nie mówię: sam waćpan może paniętasz, że go nieboszczyk mój brat musiał kazać zrzucić dla ustawicznych przeszkód. W lamusie, chwala Bogu, że nikt nie mieszka: zawždy się tam odzywało; nieraz stróże widzieli Niemca na dachu, i, kiedym ja była z mojami siostrami jeszcze u rodziców, żeby nam złote góry dawano, żadnaby tam nie poszła, zwłaszcza pod wieczór».

A jak doskonale są charakterystyki różnorodnych ludzi, tak świetne są całe obrazy rodzajowe, w których ci ludzie występują: o najlepszych należy przyjazd pana sędziego do domu pana Podstolego, ale zwłaszcza przyjazd strancuziałego kasztelanica z «zokiejsem». Lecz i to jeszcze nie wszystko. Gospodarstwo i dom pana Podstolego to opisy idealne, ale prócz nich pełno w powieści opisów realistycznych, jako to opisy złych dróg, zepsutych grobli, dziurawych mostów, zapuszczonych pól, brudnych karczem, podupadłych miasteczek, dworów i dworków szlacheckich, «gdzie się ustawicznie w kuchni kurzy», i t. d. Królko mówiąc, *Pan Podstoli* to powieść nietylko dydaktyczna, ale i obyczajowa, to zwierciadło ziemiańskiej Polski XVIII w. Krasicki ukazuje się tutaj, nietylko jako nauczyciel swego narodu, ale i jako znakomity malarz życia polskiego, oraz wyborny znawca charakteru i obyczaju polskiego.

★ Goście u pana Podstolego. Jużem przeszło tydzień w domu pana Podstolego przebywał, gdy nam dano znać, że goście jadą. Był to pan sędzia ziemski z żoną, córką i zięciem, panem skarbnikiem. Wkrótce nadjachali synowie pana sędziego. Najstarszy był regentem ziemskim³, średni — porucznikiem w regimencie, najmłodszy, towarzysz pancerny, bawił się przy dworze tamecznego pana wojewody. Pan sędzia był to człowiek podeszły, wysoki, suchy, lisy. Czapka rogata, suknie długie, pikowany żupan i kłapcie⁴, u rękawów oznaczały człowieka, który się dawnych zwyczajów trzymał; jejmość w długich kornetach⁵, w czółku⁶ i mantoleciku⁷, felpą⁸ podszytym, prezentowała postać naszych prababek. Pan skarbnik, człowiek średniego wieku, ubrany był przystojnie; strój imci pani skarbnikowej wespół był modny, wespół ziemiański: jeszcze muszki z jej czoła nie zeszyły były, na skroniu prawem reprezentowały podobno Plejady⁹, a jedna z lewego boku pilnowała ust. Pan regent, bojąc się podobno ślinogorza¹⁰, bocianowatą nieco szyję swoją muszlinowym Halsztukiem obwinął. Wysmukłość jego wydawała się dokładnie w opiętym kontuszu papużym¹¹, różową kitajką¹² podszytym, i żupanie tegoż koloru; zastępowały miejsca mankietów szeroko podwijane na żupan odkszuli batystowe zarękawki. Pan porucznik był w kamizelce mundurowej i fraku angielskim; włosy z przodu miał nisko ostrzyżone, z tyłu zebrane na grzebień. Najmłodszy, towarzysz pancerny, w czerwonych safijanowych skrzypiących butach, opasany pod brzuch, podgolony zwyżoka, kuso, buchasto, dźwigał miecz u kolana, ustawicznie ręce zacierał, pluł w bok i po czu-prynie się gaskał.

¹ msza. ² błogosławić. ³ naczelnik kancelarji sądu ziemskiego. ⁴ wylogi. ⁵ czepek z długimi wstęgami. ⁶ kokarda aksamitna na czepku. ⁷ płaszczyk jedwabny. ⁸ tkanina jedwabno-welniana. ⁹ grupa gwiazd w konstelacji Byka. ¹⁰ zapalenie gardła (angina). ¹¹ zielony. ¹² materja jedwabna.

Po pierwszym przywitaniu prezentował pan sędzia naszemu gospodarzowi dwóch młodszych synów: porucznika i towarzysza. Tych lubo od lat kilku, gdy byli w szkołach, widział nieraz pan Podstoli, przy takich jednak odmianach, przyznał się, iżby mu poznać było trudno. Wzięli to za grzeczny komplement i ukłonili się obydwu po swojemu; pancerny zaś tak dobrze nogą wzad machnął, iż stolik wywrócił i szlanke stłukł. Postawiono na swoim miejscu stolik, zebrano szkła kawałki. Wtem nadeszli panowie podstolicowie, pokłonili się kompanii i udali się do panów sędziców, chcąc ich zabawić; ale, jakem uważał, byli przyjęci oziębłe: domyśliłem się, iż owi ryccerze gardzili studentami; zniknęli wkrótce z izby, a gdy przyszło do obiadu, znaleziono pana porucznika u panien, towarzysza — w stajni.

Konwersacyja pana sędziego nie była wyltorna: najwięcej mówił o interesach ziemiańskich, o sprawach obywatelów; doniósł panu Podstolemu, że pani podczaszyna zezwoliła na kompromis z panem podwojewodzym; pan wiceregent rzucił się z arendy wsi pana cześnika; prowincyjał franciszkański umarł; reszta dyskursów o urodzaju, targach na zboże, defluitacyi¹ do Gdańska, a co, widzę, najbardziej pana sędziego obchodziło, była wieść z Warszawy, że na przyszłym sejmie mają prowizyje² spaść do sześciu od sta.

Po obiedzie zniknęła młodzież; panie piły kawę, z niemi ja; ksiądz pleban, pan regent i pan sędzia, nasz pan Podstoli i ojcowie reformaci zabawiali się butelką: tak jednak kielichami zarządzał gospodarz, że można było miarkować, iż się ochota bez pijaństwa obejdzie. Już się butelka druga kończyła, gdy trzecią, którą niesiono z piwnicy, postrzegł ze stajni najmłodszy pan sędzic; przybył więc do kompanii, dogonił wkrótce drugich i, przerywając dyskurs, na który trafiał, zaczął chwalić człapaka³, cisawego⁴ białonóżkę, którego w stajni widział. Kazał go wyprowadzić pan Podstoli; wyszli wszyscy na podwórze, a gdy go kilka razy przeprowadzono, prosił pan sędzic, aby go po swojemu spróbował i zażył. Pozwolił gospodarz; natychmiast pan sędzic zawinął poly, dosiadł konia rażno, wypuszczał, zwracał, a że kilka kłód na podwórzu leżało, począł przez nie skakać. Udało się dwa razy, za trzecią koń się związał⁵, padł z nim pan sędzic. Skoczyliśmy ku niemu; szczęściem ani nogi, ani ręki nie złamał; głowę jednak rozciął. Zalamowano krew; rana nie była szkodliwa, a gdy mu konia pan Podstoli ofiarował, choć z zawiązaną głową, duszkiem wielki kielich wina wypił na podziękowanie. Gdy więc na ganku jeszcze podziękowania trwały, jam się zwrócił do dam i zastałem panią sędzinę już kończącą kronikę całej ziemi. Właśnie mówiła o pewnym domu pewnej szlachcianki, do której pewny jegomość w pewnym interesie bardzo skwapliwie i wielokrotnie uczęszczał, a nawet ostatnią razą był tam w wigiliją Najświętszej Panny Zielnej. Broniła, jak mogła, rodzaju ludzkiego nasza pani Podstolina: szczęściem, zaczął pan regent dyskurs o bluzgierach⁶, które już z mody zaczęły wychodzić. Weszła więc w obszerny dyskurs pani skarbnikowa, i dowiedzieliśmy się, kiedy ażusta⁷ nastąpi, palatynki⁸ zeszyły, jakie były rewolucyje salop z kapturkami i bez kapturków, jakie były odmiany rogówek, sposoby układania fontazjów⁹. Nie dała dokonczyć pani sędzina stara, i zaraz zaczęła się historyja o bawetach¹⁰, żuż-

¹ splawianie. ² procenty. ³ stępak (koń). ⁴ jasno-gniady. ⁵ nogi splatać, potykając się. ⁶ przyszywka na żupanie. ⁷ długa suknia zwierzchnia. ⁸ futerko na szyję. ⁹ krawat. ¹⁰ ozdoba na staniku damskim od szyi do pasa.

mantach, kabatach¹, pondelarach², szarpach³, czubach⁴; pamięć zaś dawnego, a daleko lepszego, niż teraz, wieku, tak ją rozrzewniła, iż byłoby się na obfitym placzu skończyło, gdyby szczęściem reszta kompanii nie nadeszła. Pan sędzia żegnać się począł, ruszyliśmy się z miejsc, i po wielu ceremoniach, ukłonach i oświadczeniach goście odjechali. ★

★ Zabobonne wróżby przy zaręczynach; uwagi nad zabobonami w ogólności.

«Muszę też waćpanu powiedzieć — mówił pan Podstoli — co mi się samemu przytrafiło podczas zaręczyn moich. Przyjęto mnie dobrze, dano deklaracyją⁵, czas zaręczyn za dni kilka był wyznaczony. Przyszedł dzień wyznaczony. Poszliśmy do stołu; uważałem, iż przy drugim zastawieniu potraw matka żony mojej niezmiernie była pomieszana, kazała kucharza zawołać, coś mu szepotała do ucha, i znać było, że go lajała. Nie obeszło mnie to bynajmniej, nie wchodziłem przeto w zgodnienie przyczyn tych trosków. Wstaliśmy od stołu, a gdy przyszło do samych zaręczyn, ojciec, oddając mi pierścień, upuścił go na ziemię. Matka mojej żony w płacz, sąsiadki dopomogły. Przyszło nakoniec do tego, iż z zbytniego rozrzewnienia omdlała, i ledwie się jej dotrzeźwiono. Nie wiedziałem zrazu, jakiej przyczynie tę mdłość przypisać, ale mnie wywiódł z błędu przyszły mój teść; przybliżywszy się albowiem do mnie, rzekł: «Niech to Waszmoścpana nie obchodzi, co widzisz; pomieszanie i słabość mojej żony skutkiem są gusłów; lubo ona sama wie, jaka jest płochosć tych zabobonów, powziętej jednak zmlodu przewencyi⁶ zwyciężyć żadnym sposobem nie może; ja z mojej strony, widząc w tej mierze wszystkie usiłowania moje nadaremne, przestałem na tem, że jej żałuję, kiedy poprawić nie mogłem. Przyczyna pierwszego pomieszania u stołu ta była, iż przed Waszmoścpanem postawiono gęś z czarnym sosem: u niej to fatalny prognostyk; powiększył się nieskończenie, gdym ja przy zaręczynach pierścień upuścił; niechże jeszcze pod wieczór świeca zgaśnie, wpadnie w rozpacz i gotowa się rozchorować». Szczęściem świeca nie zgasła, jam żony dostał, i mimo złe wróżki pobłogosławił nam Pan Bóg».

«Słabość ta wierzenia gustom tak jest przeciwna zdrowemu rozumowi, iż ledwoby można sądzić o jej istności, gdyby inaczej codzienne widoki nie przyświadczały... Są, którzy drżą na sól rozsypaną, albo łyżkę, wywróconą do góry, albo nóż, położony na krzyż z widelcami; co się boją, gdy im zajęć drogę przebieży, gdy świeca zgaśnie, albo sowa zakrzyczy. Cóż dopiero mówić o spotkaniu ciał umarłych, gdy je do grobu niosą? albo o krzywdzie, która się czyni świętym niewiniątkom, gdy dzień ich uroczystości uczynili fatalnym i, każdy poniedziałek zowiąc dniem Młodziankowym, ani weń z domu wyjeżdżać, ani weń żadnej roboty czynić nie chcą? Należą do nich i ci, którzy się w trzynastej liczbie Judasza boją». ★

★ Podróż. Obraz wsi, do której zajechał autor na nocleg, jej stan nędzny, karczmia nieporządna; zwyczajny stan dóbr sierot, postępowanie opiekunów. Gdy już zmierzchać począł, stanąłem na nocleg o mil ośm od domu pana Podstolego. Wjeżdżając w wieś, ściśnione miałem boleścią serce, patrząc na domy, a raczej na szafasze mizerynych mieszkańców: słomą pokryte były, a to pokrycie takowe, iż ani od śniegu w zimie, ani od deszczu w lecie bronić mo-

¹ żużmant, kabat — rodzaj sukni kobiecych. ² jakieś wisiorki u sukni damskiej (?). ³ szarfa. ⁴ ozdoba na głowie. ⁵ przyrzeczenie, słowo. ⁶ uprzedzenie.

gło, kominy nie wznosiły się nad dach; a po szerniałej ku brzegom słomie znać było, iż dym ustawiczny nieszczęśliwych mieszkańców zaślepił i dusił. Dziecka wynędzniałe, wpół nagie tulily się około domu, ze wszech stron wkleśłego w ziemię błotnistą. Grobla że świeżo przerwana była, domyślałem się po naprawie albo raczej zarzuceniu ziemi, wstrzymanej gdzie niedgde cienkimi palami drzewa nadpróchniałego. Młyn był o jednym kole, i ledwo się obracało dla złego umiarkowania spadku wody; most, na kilku kijach wsparty, trząsł się pod powozem, a skorom w wieś samą wjechał, lubo czasy były dość suche, wpadłem w kałużę głęboką, z której ledwo mnie konie wydźwignąć mogły.

Zajechałem przed karcznię, której nie możnaby było rozeznąć od innych lepianek, gdyby wrót wielkich nie miała; sień, albo raczej stajnia, tem się tylko od podwórza różniła, iż była niby przykryta dachem. Nie bez przyczyny dodają to *niby*: słoma albowiem po większej części z krokwiów była zdarta, tak dalece, iż gwiazdy z sieni wygodnie można było liczyć. Wyszedł naprzeciw mnie z kagankiem w skorupie gospodarz, Żyd, ledwo nagość galganami okrywający. Do izby wnieść nie można było dla błota, musiałem więc czekać na dworze, póki deszczki kawałka wpół zgnilej nie wyszukał: po tej dopiero przeszedłem do miejsca, gdzie miałem nocować. Jakże zaś było to miejsce, niech nikt nie rozumie, iż rzecz powiększam, odwołuję się albowiem na doświadczenie każdego, który w naszym kraju podróże odprowiał. Drzwi naprzód tak były niskie, iż, lubom się ledwo nie pół zgiął, wszedłem z guzem na czole. Podłogi żadnej nie było, a gęsi, koło drzwi siedzące, spoczywały w małej, wilgocią sporządzonej kałuży; kojce, pełne kaczek, otaczały piec gliniany, za którym świeżo urodzone cielę miało swoją stajenkę. Okienek w izbie było dwa: jedno wpół gontami przezroczystymi zabite, drugie bez trzech szyb, ale słomą zatłkane. Stało w kącie łóżko, barłogiem przytrząśnione, od którego z pierwszego wejrzenia z wstrętem oczy zwrócił. Dziecka wpół nagie siedziały na kojcach, a jedno kołysało niedawno urodzonego; ten płacz ustawiczny, świerczów wrzask, gęsi i kaczek geganie, cielecia ryk, dzieci gospodarza krzyczenia i zwady i jeszcze oprócz tego rozmarnych gorzałką kilku chłopów hałasy do tego mnie przywiodły, iż, lubo noc, ile w jesieni, prawie była mroźna, wołałem się poddać w niebezpieczeństwo kataru lub przeziębienia, śpiąc w odkrytej kolasce, niżeli się dusić w smrodliwej i pełnej dymu żydowskiej izbie.

Kazałem zawołać gospodarza i spytałem, czyja to była wieś tak mizerna i nieporządna. — «Zwyczajnie, sierocińska» — odpowiedział. Pytałem się, gdzie dwór. — «Był — rzekł — ale po śmierci nieboszczyka pana zgorzał, i odąd nowego nie postawiono; folwark, kilku słupami podparty, wywrócił się był przeszłego roku; natychmiast pan opiekun kazał chłopą jednego z chałupy wypędzić i tam podstarościę osadził». — Dowiedziałem się dalej, iż pięć jeszcze wsi do tej majątności należało, a wszystkie w podobnym stanie. Pan opiekun raz w rok przyjeżdżał: rachunków wysłuchawszy podstarościę, z pieniędzmi wracał, a że dobra jego własne o granicę z sierocińskimi były, bydło co najlepsze do jego folwarku pozapędzano; z lasów stodoły i gumna bardzo porządne sobie wystawił, nawet drzewa owocowe z ogrodu do siebie przeniósł; że zaś na przyszły rok wyjść miały dzieci z opieki, za prace, koszta i zabieg znaczne do ich substancyi¹ miał pretensyje. — Żyd, lubo mizerny

¹ majątek.

i ubogi, dość mi się zdawał oświecony. Wypytywałem się go więc o wszystkim, i, ile miarkować można było, zdawało mi się, iż ów miły pan opiekun miał wolą przyłączyć sierocińską majętność do swoich. Jakoż już do tego uczynił był nieklóre kroki: zostało się po śmierci rodziców córek dwie i syn; z tych jedną Panu Bogu w zakonie poślubił, drugą pomimo jej wolą za swego syna wydał, a brata trzymając w kancelaryi, coraz mu za kartami¹ pieniędzy używał, intraty² albowiem, jak twierdził, ledwie wystarczały na reparacyją dóbr. ★

*** Przybycie kasztelanica; jego pojazd i służący; rozmowa o jego przypadkach; bitwa; uwagi stąd pana Podstolego; chustka na szyi.** Jużśmy mieli do stołu siadać, gdy dano znać, iż goście jadą. Wpadł na dziedziniec z wielkim pędem i trzaskaniem powtórzonem huzar, za nim równie pędząca, przewyższająca wysokość sztachetów dworu mojego kolasa; i gdy z za powozu posuwistym lotem wyskoczył młody chłopiec, tak go bystrością skoku uniosła, iż, nie mogąc się utrzymać na nogach, padł na ganek i ledwie mnie nie wywrócił. Huzar natychmiast spuścił stopień nakształt drabinki, z której gdy zszedł imé pan kasztelanica, zaczął komplement, przepraszając za eturderyją³ żokiejsa swego. Zaprowadziłem gościa natychmiast do izby stołowej, i zasiadł wraz z nami miejsce, dla siebie przygotowane.

Pierwszy dyskurs pana kasztelanica stosowany był do jego podróży, i, zastanawiając się nad złemi drogami, a chwając francuskie proste, brukowne, osadzone krzewami, ubite, pełne zawsze przejeżdżających, na tem skończył, iż nato są sporządzone, iżby każdy w domu siedział. — «Jeżeli ten był zamiar przodków naszych — rzekł pan Podstoli — chwalisz ich waćpan, mości panie kasztelanicu!» — «Ganię ich, chociaż szacuję, bo z nich pochodzę» — odpowiedział kasztelanica. — «Więc nie szacowałbyś ich waćpan — rzekł pan Podstoli — żebyś od nich nie pochodził? Możeby nagana mniej była sprawiedliwa, ale względ na poprzedników szacowny, bo rzadki».

Opowiedział zatem przypadki podróży swojej, a między innemi ten ledwo nie największy, iż, choć sam się powoził, *wiski*⁴, roboty najprzedniejszego rzemieślnika w Londynie, tak w lesie o korzeń zawadził, iż tylko co się nie wywrócił. — «Byłbyś waćpan spadł zwysoka, — rzekł pan Podstoli — a takie spadki bardzo niebezpieczne; żeby zabezpieczyć takowym przypadkom, bo jak ja miarkuję, iż angielskie drzewa korzeni nie mają albo bardzo cienkie, nie możnaby to więc trochę zniżyć tych kolasek?» — «*Wisków?*» przerwał pan kasztelanica. — Tak jest, *wisków* — rzekł pan Podstoli — z przeproszeniem waćpana, mnie się zdaje, iż one są trochę nadto wysokie». — «Ale lekko noszą» — rzekł kasztelanica. — «Czyli nie dlatego, że latają?» — rzekł pan Podstoli — bo to prawda, że bardzo się wzbijają w górę; pomiarkował ja to, kiedyś waćpan przyjechał: wyżej siedziałeś, niż ganek jegomości, a waćpana chłopiec...» — «*Żokiejs?*» — przerwał kasztelanica. — «Tak jest, *żokiejs* — rzekł pan Podstoli — ten tedy waćpana *żokiejs*, wiesz to waćpan, iżby się był bardzo potłukł, gdyby padł był na kamienie; ale musiał się on podobno w Anglii uczyć, jak to spadać należy: bo kiedy oni tak wysokie powozy robią, to muszą razem dawać sposoby, a zatem uczyć, jak to do nich wchodzić, jak to na nich siedzieć i jak to przeszkadzać, żeby się nie wywróciły, a gdy się wywracają, jak się zachować, żeby się nie potłuc; a szkoda byłaby

¹ rewers.

² dochód.

³ roztrzępanie, nierozwaga.

⁴ powozik, kabriolet.

tego *żokiejsa* waćpana, bo to młode dziecię i ładnie ubrane, ale podobno trochę kuso, a u nas czasem chłodno. Może gorąco we Francyi albo Anglii, bo tam nie byłem: ale tu pewnieby nasze *żokiejsy* przeziębły, gdybyśmy im nie dali kożuszków na zimę, a przynajmniej sukienek trochę dłuższych; co nie wątpię, że i waćpan temu Angielczykowi albo Francuzowi uczynisz, jak zima przyjdzie». — «On z mojej wsi» — rzekł pan kasztelanic. — «Pojętny chłopiec — rzekł pan Podstoli — kiedy tak dobrze z powozu, jak Francuz i Angielczyk, skakać umie; prawda, że się potknął, ale się to trafia i tym, co na sznurze tańczą».

W dalszym ciągu dyskursu zaczął opowiadać pan kasztelanic przypadki podróży swojej w cudzych krajach tak wielkie, iż wielokrotnie w największem niebezpieczeństwie życia zostawał, osobliwie, gdy dla nasycenia ciekawości swojej, aby widział potykające się wojska, wmieszał się wśród bijących. — «Zapewne — rzekł pan Podstoli — iż niebezpieczno mieszać się w bitwę, zwłaszcza, gdy żadna potrzeba do tego nie wiedzie. Można i zdaleka ciekawość nasycić; gdyby albowiem jaka kula, nie ostrzeżona, iż waćpan tylko tam byłeś dla zabawy, niegrzecznie zawadziła o waćpana, nie mielibyśmy byli sposobności słyszeć o tak wielkiej batalii¹, jak nam się teraz zdarza. Trafia się niekiedy, iż bijący się opowiadają bitwy swoje, ale te zawsze podległe wątpliwości: jeżeli albowiem byli w liczbie pobitych, zmniejszają klęskę; jeżeli zwyciężyli, unoszą się w pochwalach. Cóżkolwiek bądź, jeśli się Waćpanu przytrafi jeszcze być w podobnych okolicznościach, racz usłuchać mojej rady, a patrzyć się na bijących zdaleka, ale tak zdaleka, aby armatnia kula Waćpana nie doszła. Najlepiej byłoby stanąć wówczas na górze wysokiej, a gdyby jej nie było, wnieść na dzwonicę; ale, jeżeliby jej brakło, naówczas dać pokój tym, co się biją, a powieść zostawić gazetom! Kiedy to jeszcze dwóch za lby pójdą, może trzeci między nich się wmieścić, żeby ich pogodził: ale się i to nie udaje, bo czasem i guza złapie, i bijących się nie rozwadzi. Wracając się teraz do batalii, jak tak sądzę, iż można i zdaleka jej się przypatrzeć albo, i nie widziawszy, wiedzieć, co na niej zaszło».

Nie pomogły zbawienne rady opowiadaczowi: z batalii przyszło do szturmowania nakoniec rzecz wytoczyła się na morze, a gdy coraz się imćpan kasztelanic, zwłaszcza starem winem, które przy końcu obiadu postawiono, zasilał, uważając, że się już miał ku czwartemu kieliszkowi, rzekł pan Podstoli: «To wino stare, mocne, boję się, iżby inflamacyi² nie powiększyło». Gdy upewnił pan kasztelanic, iż go gardło nie boli: «Przepraszam za moją troskliwość — rzekł — ale, widząc pod chustką ręcznikiem obwiązaną szyję, rozumiałem, iż byłeś chory». — «Tak teraz noszą we Francji» — rzekł pan kasztelanic. — «Nie mam ja na to co powiedzieć — odpowiedział pan Podstoli — jednakże, jeżeli się godzi co mówić przeciw modzie, mnichy się zdało, iż, chociaż ma ona skądinąd wielkie swoje zaszczyty, inaczejbyś albowiem Waćpan nie chciał z siebie czynić dziwowiska, — z tem wszystkiem nie jest wygodna, zwłaszcza w lecie. Podczas zimy i ja, kiedy jadę na koniu albo sankami, zawijam kark po francusku, alebym się w lecie uduślił». — Odjechał pan kasztelanic, a gdyśmy ku wieczorowi przechadzali się po ogrodzie, dziękowałem panu Podstolemu za jego z nim rozmowę, w której przy żarcie była nauka. ★

¹ bitwa. ² zapalenie.

*** Poglądy pana Podstolego na sprawę żydowską.** Ludność żydowska przez ich wczesne małżeństwa bardziej się nad wszystkie inne rozmnaża; sposób życia, nad miarę wstrzemięźliwy i nędzny, rękojmnią jest i najdostateczniejszym sposobem do z bogacenia. Jakoż, byleby się gdzie rozpostarli, natychmiast przeciągają do siebie handel, a z nim część wielką zbiorów, które, raz w ręce ich dostawszy się, nie insze mają ujścia nad te, które je coraz bardziej pomnożyć mogą.

Przesąd jest godzien nagany, brać wstręt od¹ całego narodu dlatego, iż szczególnie² mają zdrożności swoje, ale tu miejsca niema, gdy rzecz o żydostwie. Znaleźć się mogą między nimi takowi, których sposób myślenia różni się od powszechności³, ale przykład takowy, nader rzadki i ledwo kiedy znaleźć się mogący, tem bardziej powszechność obwinia. Gdziekolwiek się rozpostarli, nigdzie się ich użyteczność nie okazała; albo jeżeli się niekiedy wydadają użytecznymi (ująć im albowiem tego nie można, iż są zdolni do handlu), takowa z nich korzyść tylu szkodom, które czynią, towarzyszy, iż nigdy dobre złemu nie wyrówna.

Powszechność narodu tego ma swoje nieodmienne prawa i trzyma się ich stalecnie. Oszukanie pierwszym jest, i, byleby tylko zysk przyniosło, żadnej takiej przeszkody niemasz, którejby stateczną a natarczywą cierpliwością nie zwyciężyli. Handel duszą jest i jedynym ich celem, i dlatego się rolnictwa, kunszlów ledwo nie wszystkich i rękodzieł rzekli. Gdy więc ku temu jedynemu zamiarowi wszystka się ich usilność zwraca, niepodobna, iżby nie wygórowali w tej mierze nad wszystkich.

Okazuje to widocznie doświadczenie, najbardziej zaś u nas. Z ich jedynie przyczyny nazwisko się tylko mieszczan zostało. Wkradłszy się do miast pomału, przekupstwem, obrotem⁴, cierpliwością, bezczelnem nakoniec naprzykrzeniem, coraz się wzmagając i rozszerzając, nieznacznie wszystkie prawie posiadli; i, jeżeli się który z dawnych właścicieli utrzymał, przypadkowi raczej szczęsnemu, niżli staraniu i pracy, winien ocalenie swoje. Czuwa jednakże i na niego podstęp i szczęśliwej tylko pory oczekuje, aby to, na czem mu jeszcze brakuje, ochłonał⁵.

Widziemy ulomki miast naszych i domy nikczemne, gdzie niegdyś stały kamienice dostatnie i okazałe. Nie tak wojnom i pożarom, jako żydowskiemu rozplemieniu, przypisować upadek miast naszych powinniśmy. Jedynie na zysk czuwający ten naród nigdy się tem nie zatrudnia, co jakikolwiek wydalek bez sowitej korzyści sprawić może. Jak więc obrzydliwie i niechlujno się przyodziewa, tak i o mieszkanie uczciwe nie dba. Dość ma na czosnku, aby głód opędził, na gałganach, żeby się okrył; byleby dach miał i ścianę ku przytuleniu, o resztę nie dba. I dla tej przyczyny domy uczciwe, których po wypędzeniu mieszczan przywłaszczyli sobie własność, przez ich niedozór upadły albo, jeżeli się który zatrzymał, do upadku się skłaniają....

Gdy ludzkość⁶ zakazuje z szkodliwemi temi zgromadzenia⁷ częściami według ich wartości obchodzić się, a bez tego względu oddaliłoby je należało, nie postępując jednak z tem okrucieństwem, jak dawniej czyniono, zostaje więc i jest najściślejszym obowiązkiem każdego rządu ten zły rodzaj, jeżeli dobrym uczynić nie można, przynajmniej cokolwiek zdatnym i mniej szkodliwym sprawić.

¹ dziś mówimy: wstręt do kogo. ² jednostki. ³ ogół. ⁴ obrotność.
⁵ pochłonać. ⁶ humanitarność. ⁷ społeczeństwo.

Już się namieniło, iż, gdy baczna zwierzchność temu nie zabieży, podłta, a množna zgraja musi czasem osiąść wszystkie bogactwa kraju, niszczyć rękodzieła, kunszta i wszystkie rodzaje handlu posiadaniem a złem utrzymowaniem swoim. A że Filip, ojciec Aleksandra, powiedział, iż gotów był dostać najobronniejszej twierdzy, gdzie muł złotem ujuczony dojść może, na temże prawidle ja wspieram nadzieję zabezpiezenia złemu.

Naród ten chciwy umie być szczodrym, gdzie o całość jego i polepszenie losu idzie; nie będą przewodzić Żydzi, skoro osoby, mające zwierzchność, taką się twierdzą staną, gdzie nie już muł i osieł, ale prawy w szalbierstwie Izraelita, złotem juczony, nie dojdzie. Podłe dusze znają współbraci swoich, i dlatego w rozmaitych zwierzchności stopniach najcięższy z kruszców¹ sprawiedliwość przeważa. Nie inaczej więc oprzeć się tym nieprzyjaciółom skrytym, a zdradnym powszechności² można, jak strzegąc się przekupstwa, którem się wszędzie i utrzymywali, i utrzymują, i utrzymywać będą.

Następuje zagadnienie, jak ten natłok mnogi, podły, a szkodliwy zdolnym uczynić. Nie innym sposobem, tylko takim, jaki podłym właściwy: przymusem. Jeżeli chcą być cząstką rządowego zgromadzenia, niech wchodzą w powszechność pracy, a zatem niech będą tem, czem inni są: niech ziemię uprawują, niech kraj bronią, niech kunszta³ żywią⁴, a wówczas równie z innymi i handlem się wzmagają. Ale skoro za przewodnictwem złota, które zdarli, zdarci tak będą niebacznyimi, iż, im dalej zdzierać innych, a zatem i siebie pozwolą, naówczas nie zostanie nadzieja polepszenia losu uciemnionych przez nie obywatelów, a złe, coraz bardziej rozpościerając się, do tego stopnia dojdzie, iż mu zabieżeć nie będzie można. ★

135. Założony przez króla w r. 1765 teatr publiczny w Warszawie musiał ożywczo wpłynąć na twórczość dramatyczną, która się dawniej, przed St. Augustem, właśnie wskutek braku stałego teatru, rozwijała niezmiernie słabo. Ze wszystkich zaś rodzajów poezji dramatycznej najbujniej rozwinęła się komedja, mianowicie komedja satyryczna, która, jak w całej Europie, tak i u nas służyła w XVIII w. za ulubioną broń do walki z ciemnotą i niemoralnością. Oprócz Bohomolca i Krasickiego uprawiał także komedję satyryczną książę **Adam Czartoryski** (1734—1823), generał ziem podolskich. Zdaniem Czartoryskiego, komedja posiada niemalą doniosłość wychowawczą, bo, «pobudzając nas do śmiechu, zakłada sobie poprawić w nas defekta, które wystawia;... może obyczaje w nas polepszyć, zwabić do cnoty, od niecnoty odrazić;... uczynić kogo lepszym obywatelem, człkiem lepszym w cywilnych i prywatnych względach; czego napominania przyjacielskie, duchowne nauki, czytanie ksiąg moralnych dokonać nie mogły, często dokazały widowiska». Przywiązując do komedyj satyrycznych tak doniosłe znaczenie kształtujące i umoralniające, pragnął książę generał, aby literatura polska posiadała ich jak najwięcej; jemu samemu nie bardzo się na tem polu powodziło, ale położył tę niemalą zasługę, że zachęcał do pisania innych literatów, doradzając im, aby tłumaczyli, czyli raczej przerabiali sztuki francuskie, ale tak, żeby «osoby wszelkie miały podobieństwo z tym narodem, dla którego się pisze». Otóż komedja polska XVIII w. rozwijała się pod tem właśnie hasłem: tłumaczono albo przerabiano komedje francuskie.

¹ złoto. ² społeczeństwo. ³ rzemiosła. ⁴ pielęgnować.

Największe zasługi na tem polu położył chudy literat warszawski, **Fran-ciszek Zabłocki** (1754—1821) z Wołynia. Czystością charakteru i gorącą miłością ojczyzny zapisał się wdzięcznie w pamięci potomnych. Po ukończeniu szkół pijarskich wstąpił do zakonu jezuitów; ale po trzech latach rozmyślił się, nowicjatu nie skończył, zamienił habit na żupan i osiadł w Warszawie, gdzie pracował, jako protokółista Komisji Edukacyjnej, dorabiając na kawalek chleba piórem, jako literat, u którego, «oprócz smyka, — niema w worku ni fenika». Bieda nieraz świeciła mu w oczy, ale on wołał mrzeć głodem i sam sobie łątać ubranie, niż prosić ludzi o pomoc, bo za hardy był na to; szczycił się względami i Czartoryskiego, w którego domu bywał częstym gościem, i króla, który go zapraszał na obiady czwartkowe, ale się im nie naprzykrzał i nie pochlebiał; a jeżeli ich wychwalał, to dlatego, że księcia generała serdecznie kochał i szanował, jako zanego obywatela i patriotę, a królowi był wdzięczny i za zachętę do pisania, i nadewszystko za krzewienie oświaty w kraju. Z losu swego był zupełnie zadwolony: «Nie mam ja w swojej chatce obicia, — drogich kryształów, marmuru, złota: — ale mam zato spokojność życia, — którą mi jedna przyjaźń i cnota». Mimo różnych kłopotów i tarapatów pieniężnych, nie tracił dobrego humoru (podobny w tem do Syrokomi), lubił i pożartować, i pohulać, i potańczyć (choć «hasał, jak sroka spętana»), a czasem, kiedy do kieszeni «zawinęła flota», lubił się nawet wystrzoić szykownie. Ale przyrodzona wesołość nie przeszkadzała mu (jak Syrokomi) płakać nad niedolą ludzką: «Podejźmy pod ten pałac, gdzie tłum karet stoi: — co za piękna muzyka! co za ognie żywe! — jakże piękny lamp orszak wzniosłą bramę stroi! — tu pan musi prowadzić życie dość szczęśliwe. — Idźmy dalej! Dla Boga! co za widok smutny! — Pod murem bez ratunku ubogi umiera! — ach! — jak tu przełożonych niedozór okrutny: — dlatego, że nic nie miał, nie mógł mieć felczera!» Pierwsze to w poezji polskiej przeciwstawienie bogactwa ubóstwu. A jak ubogiego brata, tak i uboga ojczyznę całym sercem kochał Zabłocki: wymownem w tym względzie świadectwem jest ten smutek głęboki, jaki mu szarpał duszę po utracie niepodległości kraju i który go skłonił do odbycia studjów teologicznych i wyświęcenia się na księdza; żył jeszcze lat dwadzieścia pięć, ale smutek był mu już nieodstępnym towarzyszem.

Gorący patrijotyzm Zabłockiego z całą siłą przemówił w jego satyrach i paszkwilach politycznych, pisanych podczas sejmu czteroletniego. Jak wszyscy patrijoci, tak i on z radością i otuchą powitał sejm czteroletni: lecz kiedy się przekonał, że wśród jego uczestników nie brak wprawdzie ludzi mądrych i szlachetnych, ale są także głupcy, nikkzemnicy i zdrajcy, wybuchnął przeciwko nim oburzeniem, a pragnąc, aby ich nienawidzili wszyscy, aby ludzie nie dawali im posłuchu, rozrzucił na nich po mieście poszkwile bezimienne własnego pióra.

Doniesienie. Jestem teraz w robocie pisania żywotów
Wszystkich naszych łajdaków, szelmów i huncwotów.
Jeśli mi w chęci mojej Bóg pobłogosławi,
To dzieło, spodziewam się, ciekawych zabawi.
Przezacna powszechności! Życz mi w tem wytrwania,
Do czego miłość mojej ojczyzny mnie skłania;
Ja zaś wtenczas skuteczną pochłubię się pracą,
Gdy się z wstydu choć jeden obwiesi ladaco!...

Do Powszechności.

Przezacna powszechności! Nie sądz mnie zoilem!¹
Wiem, że paszkwil nie zdoła ucziwego pióra:
Ale kiedy ich całe życie jest paszkwilem,
Na które się prawdziwie otrząsa natura,
Kiedy widocznie idą na ojczyzny zgubę, —
Ostrzegać choć paszkwilem mam sobie za chlubę!»

I miał zupełną słusność Zabłocki, miał się prawo chlubić swemi paszkwilami, bo one płynęły z gorącej miłości ojczyzny, ze świętego gniewu na jej zdrajców; i dlatego właśnie są one tak strasznie zjadliwe, dlatego wszystko nazywają po imieniu: podłość podłością, zdradę zdradą, głupotę głupotą. Gryzł Zabłocki każdego, kto był w jego oczach złym Polakiem, a cóż dopiero łotrem i złodziejem; nie oszczędzał ani biskupów, ani kasztelanów, ani hetmanów, ani wojewodów — zrównał wszystkie godności, urzędy i stany. Z największą jednak furją napadał na hetmana Branickiego, przyszłego targowicianina, nazywając go także po imieniu, t. j. hulaką, hydrą, potworem, łajdakiem, «tworem moskiewskim», poczwara i t. p. A kiedy rozwścieczony magnat kazał szukać łączącego go śmiałka i obiecywał sutą nagrodę za jego znalezienie, odpowiedział mu Zabłocki tak:

Do Branickiego, obiecującego nagrodę za wydanie autora wiersza przeciwko niemu.

Zdrajco własnej ojczyzny, nie godziens tej ziemi,
Którą tak świętokradzko depcesz z pocziwymi!
Ty, krwie czystej Polaka niesyty rarogu!²
Przysięgam mej ojczyźnie i mych ojców Bogu,
Że twą głowę mieć muszę, a to nie za złoto,
Ale męstwem, odwagą i Polaków cnotą!
Straszdyło! Jak śmiesz rękę cnotliwego cenić,
Rękę, która cię chciała w Polaka odmienić?
Nie lękam ja się zdrady: Polak mnie nie zdradził!
Co tylko było zdrajców, to z twojej czeladzi!
Lecz żeby ci mniej zadać w dociekaniu pracy,
Wiedz, jako są szlachetni i mężni Polacy;
Powiem ci sam, kto jestem, lecz nie wprzód, aże
Sprawiedliwy miecz w serce zbójcze twoje wraże!

Potężne cięgi dostali również i ci zakamieniali wstecznicy, którzy pragnęli, aby wszystko w Polsce pozostało po staremu, i w książkach swoich dowodzili np., że wolna elekcja jest błogosławieństwem dla Polski, że tron dziedziczny byłby dla niej zgubny, że *liberum veto* jest źrenicą wolności, że chłopci i mieszczenie po dawnemu nie powinni mieć praw i t. d. Nie zapomniał także Zabłocki o tych wartogłowach i zaślepięcach, którym rewolucja francuska doareszty przewróciła w ciasnych lbach i dołata oliwy do ognia ich baraniego zapału, z jakim zwalczali nietylko dziedzicność tronu i władzę królewską, ale wogóle wszelką władzę i wszelki porządek w państwie. Tych natomiast, którzy, jak Kollątaj, domagali się rozumnej reformy państwa, obsypywał Zabłocki pochwałami. Te wszystkie swoje myśli i uczucia wyraził najlepiej w wierszu p. t. *Ioannes Sarcasmus*, w którym, pomiędzy innymi, napiętnował mocno, a zasłuzenie egoizm magnatów polskich i ich psychologję.

Z wyjątkiem paszkwilów Niemcewicza, niema nic w całej satyrze staro-

¹ niesprawiedliwy, stronniczy, zazdrosny krytyk. ² ptak drapieżny, sokół myśliwski.

polskiej, coby serdeczną siłą oburzenia i jadowitą złościwością szyderstwa mogło dorównać paszkwilom Zabłockiego; Mickiewicz dopiero, w wierszach o Rosji, dodanych do trzeciej części *Dziadów*, żrącą i palącą goryczą swojej mowy prześcignie i Zabłockiego, i Niemcewicza.

Ioannes
Sarcasmus.

*Arma virumque cano...*¹
*Nascitur ridiculus mus*².

Biorę przed się rządowe napisać systema:
Czy lepiej, kiedy jest król, czy kiedy go niema?
Lecz, nim to ustanowię, roztrząsnę najpierwej,
Czy lepiej w panowaniach mieć, czy nie mieć przerwy.
A że już pracowało wielu w tem przede mną,
Nie wstydzmy się nauką oświecić wzajemną!
Siądźmy, wszystko czytajmy! Dzieło Seweryna!³
«Uderzony o łóżko»...⁴ Dość źle się zaczyna!
Człek, choć hetman, kiedy śpi albo jest w chorobie,
Czy może dobrze myśleć, nieprzytomny sobie?
Wszak zgadłem: zagorzały ten entuzyjasta
Chce widzieć wsie w perzynach, w rozwalinach miasta⁵.
«Wtenczas szlachcic swe więzy poczuje dopiero,
«Gdy go chłop przed sąd pozwie». A cóż to za Nero?⁶
Mój Boże! jak się łącno człek ku złemu skłania!
Ojciec jego pobożne pisywał kazania⁷,
Radził miłość bliźniego, dobry chrześcijanin,
A syn nie chce go czytać, okrutnik, poganin!
A toż pismo? Następstwo królów radzi Morski:⁸
Bardzo pięknie i mocno, rzecz dobra, styl dworski!
Choć pospolicie garniarz nie lubi garniarza,
Chwałę pismo i radbym uściskać pisarza.
A toż kto? Referendarz litewski, ksiądz Hugo⁹.

¹ Tak się zaczyna «Eneida» Wirgilusza (Wojny śpiewam i mężę...). ² Z Horacego: «Parturiunt montes, nascetur ridiculus mus» (Rodzą góry, urodzi się śmieszna mysz) — mowa o poetach, którzy zapowiadają coś wielkiego, a piszą głupstwa; odpowiednie przysłowie polskie: Z wielkiej chmury mały deszcz. ³ Seweryn Rzewuski, hetman polny koronny (syn Waclawa, hetmana wielkiego koronnego), przyszedł targowiczanie, głowa zdolna, ale chaotyczna, serce, niby to kochające Polskę i polskość, ale zatrute jadem bezdennej pychy magnackiej i magnackiego egoizmu, zaciekle konserwatysta, fanatyczny obrońca *liberum veto* i wolnej elekcji, zaklęty przeciwnik wszelkich reform społecznych. ⁴ Tak dosłownie zaczyna się króciutka przedmowa Seweryna Rzewuskiego do jego broszury «O sukcesy tronu w Polsce rzecz krótka» (1789): «Uderzony o łóżko chorobą, gdy czynnym dla Ojczyzny mojej być nie mogę, szukam jej być przynajmniej pismem usługowym». ⁵ Rzewuski, broniąc wolnej elekcji, bronił i bezkrólewia, pomimo, że prowadził one nieraz do walk zbrojnych i, co za tem idzie, do zniszczenia kraju; oto własne słowa hetmana: «I cóż więc tak straszego w bezkrólewiu widzieć mogli... przodkowie nasi? jeżeli któremu z nich wieś w popiół poszła, wkrótce ona z popiołów powstała». ⁶ Twierdził Rzewuski, że król, jeśli się jego władze wzmocni, zniszczy swobody szlacheckie, że «poprzeciaga on powoli wszystkie władze Rzeczypospolitej do rąk swoich i niewolę tak dowiecpienie i tak nieznanie wprowadzi, iż szlachcic dopiero wtenczas odmianę rządu i swego stanu postrzeże, gdy własny poddany jego do sądu go ciągnąć zacznie»; (do «wolności» szlacheckich należały sądy patrymonjalne, t. j. sądy, w których chłopą sądził sam «pan»). ⁷ Ma tu Zabłocki na myśli psalmy pokutne Waclawa Rzewuskiego. ⁸ Tadeusz Morski bronił dziedzicznego tronu w broszurze «Uwagi nad pismem Seweryna Rzewuskiego... O sukcesy tronu w Polsce» (1790). ⁹ Hugo Kollątaj.

Jestem referendarskiej uprzejmości sługą.
Pewna jego, z urzędu idąca opieka
Będzie radzić nam chłopa kochać, jak człowieka¹,
Lub z niepotrzebnym jakim wypadnie wilkierzem²,
O czymby chciał pomówić wprzód z wielkim kanclerzem³.
Wreszcie nie wadzi czytać. Dalibóg-ci, a to
Co do serca Sokrates, co do myśli Plato!
Lecz czy to wszystko prawda? Bo dziś jest w zwyczaj
Często pisać marzenia, mości Kollątaj!
Trudno nie mówić prawdy, nie chybiasz na jota,
W całym piśmie tchnie rozum, miłość, ludzkość, cnota,
Krytyka, wzięte z dziejów krajowych dowody,
Korzyść ciągłych panowań, bezkrólewów szkody.
Wytknąłeś możliwych względem uboższych prawidło⁴:
Siebie cenić nad ludzi, drobiazg mniej, jak bydło,
Wybierać, strącać królów, łowić królewszczyzny.
O, wy, stróżo wolności! o, ojce ojczyzny!
Miałeś słuszość, hetmanie! Ona cię przywiodła,
Jak wielbić bezkrólewia, fortun waszych źródła.
Gdyby nie bezkrólewia, te dla was jarmarki,
Na których za tron starostw robicie frymarki.
Jeszczebyś i ty, co się dziś nazywasz panem,
Musiał dobrze zapocić nad dziadowskim łanem,
Jeszczebyś umiał cenić zaszczyt chleba drogi:
Na chlebie to tak wierzgasz, chleb to ci dał rogi.

A to kto? — Wojciech Turski. — Cóż na pisma czele?

O tem, o tem i o tem. — Nie żartem! coś wiele!⁵

«Bałwanie! ty, którego ten chce, ten się boi,

«Ten ucieka, ten goni, ten kłęczy, ten stoi,

«Temu się często z tobą zmiele, temu skrupi»⁶.

¹ Kollątaj lubił bardzo, za przykładem Francji, posługiwać się terminem «prawa człowieka»; jest ten termin i w tem jego piśmie, które Zablocki ma na myśli: «Uwagi nad pismem... Seweryna Rzewuskiego... O sukcesji tronu w Polsce». ² wilkierz, wielkierz = uchwała miejska, plebiscyt. Ma tutaj Zablocki na myśli owo odwołanie się wielkiego sejmu do sejmików w sprawie nadania miastom przywilejów i wolności, t. j. zrównania mieszczan ze szlachtą. Oczywiście Zablocki ten «wilkierz» poczytywał za bardzo potrzebny i zbawienny; a jeśli go nazywa «niepotrzebnym», to jedynie żartobliwie, albo raczej szyderczo względem tych wsteczników, którzy nie chcieli słyszeć o równouprawnieniu mieszczan ze szlachtą i o prawach dla ludu wiejskiego, i którzy tych, co się tego domagali, nazywali, jeśli nie zdrajcami ojczyzny, to przynajmniej marzycielami. ³ Jacek Małachowski. ⁴ zasada. ⁵ Szydzi tu Zablocki z broszury Wojciecha Turskiego p. t. «Myśli o królach, o sukcesji, o przeszłym i przyszłym rządzie». Autor zwalcza tutaj tron dziedziczny, pisząc, pomiędzy innymi, tak: «Wspomnienie dziedzicznego króla ten skutek powinno czynić dla oświeconego republikanta, jaki czyni skutek dla zdrowego człowieka podany mu do ust szarlatańską ręką mający go leczący proszek emetyku». ⁶ Te trzy wiersze (ujęte w cudzysłów) są jedrnm streszczeniem całego jednego okresu w broszurze, w którym Turski pomstuje na tron dziedziczny, nazywając go «bałwanem dusz niewolniczych», jako rzekomo prowadzący do tyranji: «Bałwanie dusz niewolniczych, podnieto srogich, wzgardo notliwych, poczwaro, z głupstwa i pychy poczęta gwałtem, zlepku okropności i sprzeciwiństwa, — która hańbisz, kogo głaszczesz, — która wstawiasz, kogo prześladujesz, — która posłuszeństwo wymuszasz, która do złości zapalasz» i t. d. (w okresie tym zaimek «która» figuruje tylko czterdzieści razy!).

W imię Ojca i Syna!... ten człek, widzę, głupi!
«Czemu straszny ekonom? Temu bez pochyby,
«że ma w swoim władaniu nahaj¹, gąsior², dyby»³.
W imię Ojca i Syna, i Świętego Ducha!
Niechże go kto rozumie i czyta, i słucha!
«Przypatrzmy się wszech rzeczy ogólnej naturze:
«W niej wszystkie muszą dobry mieć swój zamiar burze,
«Zbierze się czarny obłok, trzęsą gniewne nieba,
«Zachodzi brudną sadzą twarz płowego Feba,
«Tłuką grady plon roli, las przed wichrem pada,
«Mór liczne gubi trzody, idą w niwecz stada:
«Wtem słońce spojrzy na świat, wylata Fawoni⁴,
«Kwili słowik żal dawny⁵, skowroneczek dzwoni,
«Biega z czułym pasterzem pasterka po łączce.
«Tak właśnie bezkrólewie!»⁶ Wartogłów w gorączce! —
«Niech z córką bogatego ubogi się żeni,
«A tak się niebezpieczny ród panów wypieni»⁷.
Pozwalam⁸. — «Mamy ołów, wystrzelajmy królów
«I tyranów, i panów, a zrobmy konsulów»⁹. —
Tak właśnie i ja myślę, toż i moje czucie:
Witajże, polski Gonto!¹⁰ witaj, rzymski Brucie!¹¹
Tyś u mnie pierwszy konsul, a ja starym wzorem

¹ bat skórzany. ² kuna żelazna (dyby — kuna drewniana), t. j. kłoda z otworami, wkładana na ręce i nogi. ³ Turski pisze: «Dlaczego po rozległych pańskich włościach zawsze ekonom mocniejszy i straszniejszy jest co do wiejskiego rządu od samego pana? dlatego, że... w jego rękę są kańczug, gęsior i dyby... Jeżeli który ekonom cokolwiek ma rozumu w głowie... w przeciągu lat kilku tych rzeczy bez ochydy dokaże: pana oszuka, fortunę zbierze i kmiotków uciemieży». Podobnież, rozumuje Turski, król dziedzielnicy będzie ciemieżył swoich poddanych. (Racja — fizyka!). ⁴ wiatr południowy. ⁵ Wyraz dawny jest aluzją do Filomeli, zamienionej w słowika, ob. objaśnienie do «Sobótki» Kochanowskiego (str. 180). ⁶ Głupi Turski twierdzi, że bezkrólewia nie są szkodliwe, bo przecie po zamieszkach następuje pokój, jak po burzy — pogoda: «Wyzuwa się kiedy-niekiedy z łagodności swojej same (!) nawet łaskawe niebo, bierze na siebie groźną postać, łaje i trzęsie się od gniewu; latają wyzionione z łona jego przeraźliwe ognie, wzruszają powietrza spokojność przeciwnie wichry, spadają z smutną cnotą zabijające gromy, zasepione słońce nie patrzy na ziemię: aliści w chwilę potem nastaje zwyczajna i łagodna cisza, ukazuje się jasne słońce, uśmiecha się ludzkiemu oku do wesołej postaci wrócone przyrodzenie; zdołają go ziola i kwiaty wonnością zapachu i krasą liścia, a każdy żyjący czystem i przyjemnem oddechem powietrzem. Takie być zwykły, takie być powinny wolnego rządu burze». Styl tego ustępu nazwał ironicznie «kwiateczkowym» bezimienny autor broszury p. t. «Krótkie uwagi nad pismem pana Wojciecha Turskiego». Otóż Zabłocki sparodjował jeszcze tę kwiateczkowość Turskiego. ⁷ Turski oświadcza się za uszczuplenie fortun magnackich i doradza «ustanowić te (!) prawo i między kardynałne umieścić... iżby żaden syn bogaty nie żenił się z bogatą córką, i wzajemnie, iżby żadnemu bogatemu obywatelowi nie godziło się brać bogatej żony, iżby każda bogata obywatelka szła za ubogiego przyszłego męża, i wzajemnie». ⁸ t. j. zgadzam się na to. ⁹ Tutaj Zabłocki trochę przesadził: Turski stwierdza wprawdzie, że los królów jest «niepewny», że trafia się «jednych strącenie, drugich zgładzenie», ale nie mówi o wystrzelaniu królów, panów i tyranów. Natomiast o konsulach podczas bezkrólewia bredzi tak: «Jeżeli... już wszystkie sposoby» (obierania królów) «prowadzić nas mają do niewoli, cóż to szkodzić nam będzie, gdy spróbujemy kilkoletniego rządu czy to pod nazwiskiem konsulów, lub innym jakim? Uda się nam, to dobrze. Nie uda się, łatwo będziemy mogli wrócić się do niewoli...» ¹⁰ Gonta i Żeleźniak — «bohaterowie» rzezi humańskiej. ¹¹ zabójca Cezara.

Będę niósł przed waszmością pęk soszek¹ z toporem.
 Daj mi rękę, konsulu, czynny krok do sławy! —
 Gdzież mnie wiedziesz? — Gdzie trzeba: do domu poprawy!
 Tam za to, żeś zły i że w gębie nie masz smaku,
 Dadzą ci pięćset różeg, dobranych bez braku².
 A że i głupstwo ze złą połączyłeś wolą,
 Osadzą cię za kratą i głowę ogolą.

136. Jeszcze wybitniejsze stanowisko, niż paszkwile polityczne, zapewniają Zabłockiemu komedje. Nie od nich jednak zaczął. Zrazu pisywał ody, bajki, satyry obyczajowe, sielanki, pieśni miłosne; rwał się i do epiki bohaterskiej, ale «nigdy temu nie sprostął, a zamiast Alcyda³ — lutnia grała, jak na złość, miłości Kupida»; zresztą «poco wspominać lata, dawnością zartarte? — patrzmy raczej w czem teraz prosto, w czem co krzywo»; i oto «nie wiem, skąd mi się pisać komedje wzięło». A napisał ich (przeważnie wierszem) aż pięćdziesiąt cztery! Są wśród nich i opery komiczne, czyli operetki i dramaty «śmieszno-placziwo-sowizdrzalskie», to jest farsy czyli krotoczwile, i sztuki fantastyczne, i komedje psychologiczne, to jest takie, w których uczucie (mianowicie miłość) rozwija się dopiero w toku akcji, i komedje obyczajowo-satyryczne. Wszystkie te utwory są bądź przekładami, bądź przeróbkami komedj obcych — prawie wyłącznie francuskich. Na Moljera nie był jakoś Zabłocki łaskaw: przełożył tylko *Doktora z musu*⁴ i *Amfitrjona*; *Mizantropa* zaczął, ale nie skończył. Wołał komedjopisarzów francuskich XVIII wieku, i to nietylko uczniów Moljera, ale i tych, którzy poszli własnymi drogami: a jest wśród nich Marivaux, w którego komedjach miłość dwojga młodych przestała już być tem, czem była u Moljera, to jest jedynie środkiem do charakterystyki osób starszych, sprzeciwiających się tej miłości, a stała się ośrodkiem akcji, rozwijając się w jej przebiegu (*Matka konfidentka*, *Powtórne zakochanie się*, *Przysięgi miłosne*⁵); jest Destouches, którego komedje są nibyto satyrami na różne charaktery, a w rzeczywistości nudnymi kazaniami moralnymi (*Człowiek osobliwszy*, *Filozof żonaty*, *Przeszkoda nieprzewidziana*, *Dzień kłamstwa*⁶); jest La Chaussé, twórca tak zwanej «komedji placziwej»⁷, to znaczy mającej na celu nietyle rozweselenie, ile rozczulenie widza (*Pojednani małżonkowie*⁸), i Diderot, którego poważne (i nudne) komedje są raczej dramatami, niż komedjami (*Ojciec dobry*⁹), i Beaumarchais, utalentowany twórca komedji politycznej (*Wesele Figara*¹⁰). I oto dzięki Zabłockiemu ukazywały się na scenie warszawskiej niemal wszystkie rodzaje komedji, jakie wytworzyła literatura francuska od Moljera aż do ostatnich lat XVIII wieku. Przemówił także ze sceny, po raz pierwszy w języku polskim, Szekspir, chociaż dość mocno zmienionym głosem: około roku 1782 (a potem jeszcze w roku 1786) grano w teatrze warszawskim komedje Zabłockiego *Samochwał albo Amant-wilkolak*; otóż jest to przeróbka komedji francuskiej¹¹, której autorem — Collot d'Herbois, ta zaś komedja

¹ różgi (liktorskie). ² t. j. bez przebierania (duże czy małe, twarde czy miękkie). ³ t. j. Herkulesa. ⁴ Le Médecin malgré lui. ⁵ La Mère confidente — La Double inconstance — Les Serments indiscrets. ⁶ L'Homme singulier — Le Philosophe marié, ou le Mari honteux de l'être — L'Obstacle imprévu, ou l'Obstacle sans obstacle — L'Archimementeur ou le vieux fou dupé. ⁷ comédie larmoyante. ⁸ Le Préjugé à la mode. ⁹ Le Père de famille. ¹⁰ Le Mariage de Figaro. ¹¹ L'Amant loup-garou ou M. Radomont.

francuska jest przeróbką tłumaczenia francuskiego komedji Szekspira *Figle kobiet* czyli *Wesołe kumoszki z Windsoru*. Te i inne przekłady i przeróbki zasiliły znakomicie repertuar teatru warszawskiego za Stanisława Augusta. I to pierwsza ogromna zasługa Zabłockiego.

Lecz jest jeszcze druga — w historii już nie sceny polskiej, tylko polskiej poezji dramatycznej. Prawda, że jego komedje, bądź jako przekłady, bądź przeróbki komedyj obcych, nie są utworami oryginalnymi: nietylko pomysły główne, ale i większa część drugorzędnych, nietylko sam przebieg akcji, ale wogóle wszystkie sposoby jej wdrożenia, rozwinięcia i rozwiązania (słowem cała technika dramatyczna) — to własność nie Zabłockiego, tylko komedjopisarzów francuskich. A więc np. trzech jedności dramatycznych przestrzega Zabłocki pilnie; nie usuwa pomysłów, zabawnych wprawdzie, ale zbyt naiwnych, czasem wręcz nieprawdopodobnych; tu należą np. różne nieporozumienia (t. zw. *qui pro quo*), oparte na przebraniu się jednej osoby za drugą, na udawaniu, że się nie widzi czegoś, co by nawet ślepy zobaczył, lub że się czegoś nie słyszy, co by nawet pień usłyszał, i t. p. Do tych pomysłów nieprawdopodobnych należy i ten jeszcze, w owoczesnej komedji francuskiej pospolity i ulubiony, że największy wpływ na przebieg akcji wywiera dwoje (albo i więcej) sprytnych i przebiegłych służących, którzy nietylko pomagają swoim państwu do spełnienia ich życzeń i zamiarów, ułatwiając np. dwojgu młodym spotkanie się poza oczami rodziców, ale nadto każą im tak tańczyć, jak oni zagrają, tną im prawdę w oczy i wycinają bury; a państwo słuchają tego wszystkiego cierpliwie, często ze stulonemi uszami, bez pomocy służących nawet palcem ruszyć nie potrafią, a wierzą im tak, że się im zwierzają z najgłębszych tajemnic osobistych lub rodzinnych. Otóż wszystko to razem wzięte — francuskie, nie polskie.

Ale i cóż z tego, kiedy na wszystkim umiał Zabłocki wycisnąć piętno własnej oryginalności i — polskości! Słusznie mówi Brodziński, że, «choćby treść była wzięta z obcego języka, choćby charakter i układ dzieła mniej na uwagę zasługiwały, dla j ę z y k a samego będzie Zabłocki zawsze jednym z najszacowniejszych naszych pisarzów». Rzeczywiście. Nie mówiąc już o płynnym wierszu i o rzadkiej dawniej, a później uswieconej przez Słowackiego, śmiałości rymów, np. we łbie — kielbie; to mi — Bartłomiej; kto? ja? — moja; biedą — *credo*¹; ze sto — *del resto*², język Zabłockiego jest mistrzowski, niezwykle jedrny i dosadny, a nadewszystko szczeropolski, rojący się od rodzimych, energicznych zwrotów, np.: «dziedzicem jestem tylko w niebie»³; «wart czarnej kury»⁴; «utopić kogo w łyżce wody»; «wyciąć kominka» albo «nogi zdrzeć», albo jeszcze «na kwaśne piwo pójść do Abrahama»⁵; «chciałem udać ministra, lecz mam łeb cielecy»; «załęgły mu się we łbie ślepowrony»⁶; «smalić cholewki do panny Reginki»; «zaraz uderzę jak w dym⁷ do mej Kasi»; «dziewczyna jak malina»; «niech że się paniom szczęści nie z kija, to z pięści»; «chciałaby mi kochana Jejmość grać po nosie! — nic, nic, nic z tego! nie dam sobie mąci w sosie», i t. d. Chętnie także postuguje się Zabłocki przysłowiami, bo «tak w prostackim, jak w grzecznym są przysłowia świecie», np.: «potrzebny jak bies w Częstochowie»; «tłucze się jak Marek po piekle»; «rządzi się w domu jak szara gęś po niebie»; «komu się

¹ wierzę.

² wyraz włoski: zresztą.

³ t. j. gołym, jak święty turecki.

⁴ t. j. warjat: w dawnych czasach przykładano warjatom na głowę lekarstwo z rozdartej czarnej kury.

⁵ umrzeć.

⁶ głupi jak stołowe nogi.

⁷ obcesowo, śmiało.

zmiele, komu skrupi»; «gdzie djabeł nie może, tam nasadzi babę»; wspomniała babka lata, kiedy była panną»; «nie będziesz bił kobiety, siądzie ci na głowie»; «nie ciągnijcie wilka do lasu, bo na was zęby wyszczerzy»; «na pochyłe drzewo kozy skaczą»; «dziwna temu wątroba, co mięsa nie jadał».

Niedosyć na tem. Zarówno w tłumaczeniu, jak w przerabianiu komedyj francuskich Zabłocki nie zapomina nigdy, że pisze dla teatru polskiego i dla publiczności polskiej. Jak niegdyś Górnicki spolszczył dworzanina włoskiego i przeniósł go z Urbino pod Kraków, tak i Zabłocki, posłuszny zasadzie Czartoryskiego, że osoby komedji powinny «mieć podobieństwo z tym narodem, dla którego się pisze», spolszcza komedje francuskie tak zgrabnie i umiejętnie, że trzeba było dopiero mozolnych badań, aby wykazać, że ta lub owa komedja jest przekładem lub przeróbką z francuskiego. Napisał np. jeden z licznych naśladowców francuskich Moljera, Romagnési, komedję: *Fircyk zakochany*¹. Zabłocki przełożył ją i nieco rozszerzył; otóż jego *Fircyk w zalotach* jest tak doskonale dostrojony do stosunków polskich, że wygląda na sztukę oryginalną, z życia polskiego wziętą. A dokonał tego Zabłocki nietylko przez zamianę francuskich imion własnych na polskie (Parryza na Warszawę, Damona na Fircyka i t. d.), ale nadewszystko przez zamianę życia francuskiego (ludzi i stosunków) na polskie, a to bądź pomijając różne szczegóły, bądź też dodając od siebie szczegóły nowe, oryginalowi francuskiemu nieznanne. W komedji francuskiej np. Damon pyta Lizymona: «Lizymonie, nie masz ty czasem jakiej wdówki do najęcia, jakiej staruszki zamożnej, dzierżawczyni bogatej? Muszę nagwałt pieniędzy skądś wytrzasnąć: oto mól, co mnie gryzie; no, poszukajmy! pomóż mi, bo ja nie widzę nic takiego ani w Fauxbourg, ani w Marais; a ty?» «I ja nic» — odpowiada Lizymon. A na to Damon: «Ach, zakuta głowo! żeby też w tym wieku przeklętym nie można było znaleźć pieniędzy! To pyszne! Ale czekajno, czekaj, przypominam sobie jakąś niebogę, ona mnie ubóstwiać będzie! Pożycz mi tylko sto luidorów: ona ci odda». A oto jak wygląda ta rozmowa w przeróbce Zabłockiego:

Czy nie wiesz czasem jakiej wdówki do najęcia?
Mniejsza o to, czy stara, czy młoda, garbata,
Prosta, chroma, czy ślepa, byleby bogata!
Jednoby się znalazło. Wybierz sobie którą:
Mamy tu babsko ślepe, lat sześćdziesiąt zgóra,
Wszak ci takiej potrzeba?

Maż funduszu wiele?

Już lat kilka w szpitalu siedzi przy kościele;
Fundusz dobry i pewny, jeszcze Firlejowski:²
Baby mówią pacierze, pleban trzyma wioski.
Idźże waść do stu katów, nie praw mi ambai!³
Ja chcę baby bogatej, on mi ślepą rai!
Kiedy ludzie żyć dobrze umieliby, — goli!
Ciężkiż to teraz czasy — serce czleka boli! —
Złe w Polsce, zewsząd bieda: minery⁴ olkuskie

¹ Le Petit-maitre amoureux. ² t. j. zapisany jeszcze w wieku XVI przez prymasa Henryka Firleja, który hojną ręką wspierał ubogich. ³ głupstwa.

⁴ kopalnie.

Zalane, żupy wpadły w kordony rakuskie¹,
Zboże tanie, clo drogie; ociec znów mój — sknera,
Stary jak kruk, nie daje nic i nie umiera...
Przecie się niezła człeku upiekłaby grzanka:
Mógłbym jeszcze z rok szumieć i grać rolę panka;
Potembym się ożenił z jaką ciepłą babą,
*Notandum*² z babą statą, z babą dobrze słabą.
Ale cóż! bab do djabła, — ładuj niemi bryki! —
Są i bogate: cóż stąd? zdrowe gdyby byki!
Jeszczeby mię trup który mógł przeżyć, do licha!
Niejeden szczep zielony w starym pniu usycha.
Ale co też ja darmo trudzę sobie głowę?
Przypomniałem: znam jedną, cud piękności, wdowę.
Nieźleby się koło niej zawinać nareszcie!
Pożycz mi, przyjacielu, dukatów ze dwieście!

W komedji *Zabobonnik*, ośmieszającej zabobony, a będącej także prze-róbką komedji francuskiej pod tym samym tytułem³ (autorem jest tenże Romagnési), Zabłocki nietylko przerabia Chryzanta na Anzelma, Walentyna na Frantowicza, a Frontyna na Filulowicza, ale, co ważniejsza, dodaje do charakterystyki zabobonnika różne szczegóły, jakich w oryginale francuskim niema, czysto rodzime, polskie: «U niego nic z przypadku, lecz każde zda-żenie — albo djabł nasyla, albo przeznaczenie; — p s y, k r u k i, w r o n y, s o w y, p u h a c z e i s r o k i — wszystko są posły z piekła lub z nieba pro-roki, — i, co nas drugich światło rozumu przekona, — jego w y c i e p s ó w, s o w a, n i e t o p e r z l u b w r o n a». Tym sposobem stworzył Zabłocki po-stać zabobonnika polskiego. W komedji *Samochwał albo Amant-wilko-lak* jest Łysa Góra, na której się zbierają na sejm djabli, strzygi, czarownice i mary, a o której ani Szekspirowi, ani jego francuskim tłumaczom i przera-biaczom nigdy się nie śniło. I takich przykładów możnaby przytoczyć całe mnóstwo.

Nad zasługę nazywano dawniej Zabłockiego ojcem komedji polskiej: to imię zaszczytne należy się słusznie Bohomolcowi, i to nietylko dlatego, że jest autorem pierwszych komedji, na to miano zasługujących, ale i dlatego, że jest samodzielniejszy od Zabłockiego — nie w stylu i języku (bo pod tym względem nie może się z nim mierzyć), ale w pomysłach, a przynajmniej w składaniu całości z zapożyczonych pomysłów. Ostała się natomiast ta wielka zasługa Zabłockiego, że nikt inny w XVIII wieku nie przyczynił się w takim stopniu, jak on, do wywalczenia dla komedji polskiej trwałego, mocnego, niewzruszonego stanowiska na scenie zarówno, jak w literaturze.

137. Komedje Zabłockiego, dzięki jego umiejętności spolszczania obcych źródeł zapomocą przeróbek i uzupełnień, są wcale wiernym obrazem saty-rycznym społeczeństwa polskiego XVIII wieku, zarówno nowomodnego, jak starodawnego; czyli, innemi słowy, komedje Zabłockiego (podobnie jak sa-tyry Krasickiego, a zwłaszcza Naruszewicza) są, z jednej strony, satyrą na rozluźnienie obyczajów, a z drugiej — na ciemnotę i wogóle na «sarmatyzm».

¹ austriackie (po pierwszym rozbiórce). ² = notabene (t. j. uważ sobie do-brze). ³ Le Superstitieux.

Chłoszczę tedy Zabłocki wolnomyślność religijną, mówiąc, iż w nad przyrodzone rzeczy Bóg «każe tylko wierzyć, — nie zaś się nad ich określeniem szerzyć — śmiertelnym ludziom»; ponieważ gniazdem wolnomyślności religijnej i niemoralności była Warszawa, więc raz po raz sprawia jej Zabłocki ciągi: ośmiesza np. rozbawionych firecyków warszawskich, którzy myślą jedynie o sobie, a zapominają o kraju («Arwan tam djablu¹ mój kraj, skoro ja się bawię!»); narzeka, że «w tej Warszawie przeklętej — sama w młodzi rozpusta, same wiercipięty», że «marnem słowem jest honor i cnota», że «djabła schwycisz za rogi, gdyś mniemał anioła»; krótko mówiąc, Warszawa to istny «Babilon»: «Wszystko idzie na nice, wszystko na leb z góry:... w młodych chłopcach rozpusty dalekie zapędy, — w panienkach mała skromność, małe na wstyd względy; — małżeństwa kojarzone łakomstwem, niewiary — wzajemnej pełne;... przyjaciele niewierni: stolów parazyty², — wielbiciele fortuny póty, póki świeci: — słudzy nienawidzący swych panów, panowie — nieuczci, niewdzięczni, nierzetelni w słowie; — z dzieci często hultaje, zbrodnie, palogłowce³, — często też i z rodziców srodzy przysładowce; — w niższych podłość bez miary, w wyższych fum bez granic: — ci na tych patrzą zyzem, ci tych mają za nic».

Z tem wszystkiem nie jest Zabłocki w swoich komedjach satyrycznych bezwzględny przeciwnikiem nowych prądów: miał zbyt wiele rozumu i bystrości na to, aby nie widzieć, że z Francji napływają do Polski nie same męty, ale także zdrowe i czyste strumienie wielkiej kultury oświecenia, które zmywają z Polski wiekowy brud ciemnoty; i, przy całym swoim szacunku dla tradycji, rozumiał, że przyszłość należy do tych nowych prądów. To też był dla nich nieraz pobłażliwy — nawet dla wolnomyślności religijnej; śmiał się np. z tych księży, którzy na nią piorunowali z ambony, zaniedbując naukę moralności: «Czego on co niedziela na kazaniu płacze? — uroił sobie w głowie ten fantastyk czysty, — jakowychś libertynów, jakoweś deisty; — wrzeszczy na nich, z nimi się tylko zawsze bawi, — Pisma pełną ma gębę, cudami się dławi. — Poco to? Niech się raczej tem ozwą ambony: — «Mężowie, bądźcie lepsi! poprawcie się, żony! — Z uczciwością nasz honor nierozdzielnie spięty, — kto jest człowiek poczciwy, więcej jest, jak święty!» — Mojem zdaniem, tak mówić jest to mówić lepij, — jak to, że tam przed laty nie widzieli ślepi».

Te śmiałe słowa wkłada Zabłocki w usta nie żadnego warszawiaka, tylko wieśniaka, obywatela ziemskiego — w komedji *Firecyk w zalotach* (1781). Jasna i przejrzysta budowa, prawie zupełny brak scen niepotrzebnych do rozwoju głównego wątku (czyli jedność akcji), wyrazista charakterystyka osób, prawdziwy komizm zarówno postaci, jak sytuacji — wysuwają tę komedję pod względem artystycznym na samo czoło komedyj Zabłockiego.

Rzecz dzieje się pod Warszawą, «w domu wiejskim» Arysta, do którego siostry, młodej, pięknej i ciepłej wdówki, pani Podstoliny, przyjeżdża w konkursy młody, piękny i goły staroście imieniem Firecyk. Aryst przyjmuje go bardzo gościnnie, za co mu się Firecyk całym sercem odwdzięcza: ogrywa go niemilosiernie w karty. Rezolutny, śmiały, zepsuty w salonach warszawskich niebyszałem powodzeniem u kobiet, uderza Firecyk obcesowo o rękę pani Podstoliny, pewny, że ją odrazu zdobędzie. Doznaje zawodu: Podstolina, chociaż się na te zaloty wcale nie krzywi, zdaje sobie jednak sprawę z płochości

¹ niech djabli porwą.² pasorzyt, pasibrzuch.³ szaleniec, postrzelenniec.

Fireyka, więc odprawia go z kwitkiem. Ale Fireyk nie daje za wygraną, tem więcej, że, kiedy zrazu podobał mu się tylko posag Podstoliny, teraz coraz bardziej pociąga go ku sobie ona sama. Nawzajem Podstolina coraz chętniejszym okiem patrzy na Fireyka: «Co za bałamut z niego! co za trzpioł! lecz luby!... Daremnie! kocham starościca!» To uczucie rośnie w sercu Podstoliny, podsycane zazdrością o Fireyka, który nietylko płaci oziębłością za oziębłość, ale nadto rozpusza sprytnie wieść, że się stara o rękę jakiejś hrabiny Cnotliwskiej. Lecz i Fireyka nawiedza zazdrość: Podstolina zwraca się żonie Arysta, że jest zakochana, ale nie mówi, w kim; żona Arysta donosi o tem Fireykowi, który się nie domyśla, że w nim. Wreszcie wszystko się wydaje, i Numa wychodzi za Pompiljusza.

Główną postacią tej komedji jest, jak to widać już z tytułu, Fireyk — modny kawaler warszawski, lew salonowy. «Natura dobra w nim i szczerą. — Zacina, prawda, panicz trochę na szulera, — kocha młode kobietki, lubi winko stare... Lecz wreszcie każdy człowiek ma swoją przywarę». Tak charakteryzuje Fireyka jego nieodstępny służący, Świstak, i ma słusność: Fireyk ma naturę dobrą w gruncie rzeczy, jego zaś «przywary» mają swe główne źródło w duchu czasu, w wielkim świecie warszawskim, w którym on utopił niemalą część swego sumienia. A nie jest to bynajmniej głupi, jak but, fireyk Naruszewicza, umiejący się tylko uczesać i ubrać modnie: przeciwnie, jest bardzo sprytny, zdolny, ale straszny lekkoduch. Jego specjalnością jest, obok szulerki, zawracanie głowy kobietom, w którym to kunszcie poczynił tak znaczne postępy, że, kiedy opuszcza Warszawę, to całe «tuziny łon alabastrowych» wdychają po nim; on zaś wcale nie jęczy, ufny, że i na wsi będzie mógł zrywać tyle kwiatów, ile zechce, po to, żeby, nasyciwszy się ich wonią, odrzucić je — nie przez złość, ale przez lekkomyślność. Jeżeli grał w karty, to także raczej z lekkomyślności, niż z chciwości; wygra, to dobrze: będzie za co hulać; przegra, także dobrze: nie brak przecie głupich, którzy mu floty pożyczą! A i miłość jego ku pani Podstolinie jest lekkomyślna: on się niby to smuci, słysząc, że Podstolina jest w kimś zakochana, ale ten smutek jest bardzo płytki, jest nawet trochę poza: on przecie doskonale wie, że mu, co najwyżej po dwudziestu czterech godzinach, dawna wesołość wróci. A kiedy się już zaręczył z Podstoliną, to, znając swoją naturę, dyktuje prawnikowi taką intercyzę: «Wszem wobec i każdemu wiadomo to czynię, — że, lubo moje serce daję Podstolinie, — nie wkładam jednak na nią obowiązku, aby — dla mnie tylko chowała swój wdzięk i powaby: — owszem, wolno jej będzie, okrom¹ próżnych strachów, — ze wszelkiem bezpieczeństwem dwóch mieć sobie gachów, — jednego przez wzgląd serca, drugiego z intraty², — jeden żeby był zacny, a drugi bogaty. — Co, czyli będzie głośno, czyli potajemnie, — wolno to wiedzieć wszystkim, byle tylko nie mnie... Sama jedna na wszystkie widoki³, zabawy — jeździć będzie, nie dając mężowi ślad sprawy... Cóżby to jeszcze więcej włożyć? Ale, ale, — co mąż robi. Imości nic do tego wcale; — choćby jego niewiary była pewna nawet, — nie będzie na to sarkać, lecz odda wet za wet».

Zdawałoby się więc, że nie szczędził Zabłocki jaskrawych barw, żeby uwydatnić całą nicość moralną Fireyka: a jednak ten lekkoduch nietylko nie jest odpychający, ale raczej sympatyczny, a to dzięki swemu żywemu temperamentowi i swojej wesołości; nie bardzo się dziwimy, że go Podstolina

¹ bez. ² dla dochodu. ³ widowiska.

chciała (może zresztą w nadziei, że go po ślubie osiodła). Tak czy inaczej, jest rzeczą widoczną, że Zabłocki obszedł się ze swoim lekkoduchem bardzo łagodnie: bronią satyry w tej komedji jest wesoły śmiech, nie uszczypliwa ironja, oburzenia zaś na świat nowomodny — ani śladu.

Akt pierwszy, scena druga (Podstolina, Fircyk).

Podstolina, *niby dopiero postrzegając Fircyka.*

Jeszcześ tu, starościcu?

Fircyk.

Co za podziwienie!

To «jeszcze starościcu!» bawi nieskończenie;
I z tonu wymawiania, mniej kto świadom ludzi
Mniemałby, że starościec Podstolinę nudzi.

Podstolina z gniewem.

Nie inaczej — tak — nudzi.

Fircyk z uśmiechem trzpiotowskim.

Nie wierzę, nie wierzę.

Podstolina. Naprzykrzasz mi się waćpan.

Fircyk *tymże tonem.* Wszystko to nieszczerze.

Podstolina. To nawet niewierzenie biorę za urazę.

Fircyk. A ja taką oziębłość mam za smaku skazę.

Podstolina bez gustu! — chimera, chimera!

Przecież ujść za grzecznego mogę kawalera;
Znam ludzi, i mnie ludzcie. Żyjąc w wielkim świecie,
Wiem, jak czić piękność, jak się przymilić kobiecie.

Pani z domu wyjeżdża; ja za nią w te tropy,

Drugi wierny Ulisses dla swej Penelopy;

Z tą jedynie różnicą, że tamtego nawy¹,

Mnie mój Hektor angielczyk unosił cisawy.

Wielkaż to wada ogon! Dzielniejszy koń kusy.

Widziała pani jego korwety² i susy?

To lekkie nóg zbieranie, to zagięcie karku...

Nie w polskim też mój konik schował³ się folwarku.

Król Anglów siedział na nim, popisując szyki,

Mające na wyprawę iść do Ameryki.

Cóż mówisz, Podstolino? — Albo koń niesprawny? --

Ani pan jego nudny, jeśli niezabawny.

W drodze, jak cię bawiłem! Szemrzące strumyki,

Drzewa, liściem szumiące, kwilące słowiki,

Były to wielbiące cię natury odgłosy...

Komuż, jeśli nie tobie, klaniały się klosy?

Komu kwiaty balsamem lubej tchnęły woni?

Komu Zefir chłód czynił? komu wiał Fawoni?

Dla kogo wierne echa szły z gór na doliny?

Dochodziłem ich celu: hold to Podstolino.

Mając humor tak słodki, grzeczny, żartobliwy,

Żeby cię nudził, nadto byłbym nieszczęśliwy.

Podstolina *na stronie.* Co za bałamut z niego! co za trzpiot! — lecz luby!

¹ nawa = okręt. ² skoki. ³ wychować się.

(głośno) Starościcu! daremnej nie szukaj stąd chluby.
Atencyje i grzeczność tyle tylko cenię,
Ile w tem mieć kto może moje przyzwolenie.
Któż cię prosił przyjeżdżać do mnie na wieś? kto mu
Potuszył, że go mile przyjmę, sama w domu?
Aż nadto obowiązki znam mojego stanu.
Miałeś dowód, wszak bylam nierada Waćpanu,
Nie chciaeś tego poznać, nie chciaeś wyjechać,
Musiałam ja. — Proszęż mnie chociaż tu zaniechać.

Fircyk. Za cóż ta subiekcyjja? poco trudzić konie?...

Podstolina. O! mój ty, ostrej cnoty surowy Katonie!
Być z nim samej..

Fircyk. Nie będę grał roli stoika;
Młodym na to: lecz nie chcę ujść za rozpustnika,
I, jeśli mnie co kazi obyczaje czyste,
To to chyba, że nad wiek widzą mnie statystę¹.

Podstolina. I jak jeszcze!

Fircyk *uśmiechając się*. No, no, no! Już wiem, co się święci!
Domyślam się urazy i przyczyn niechęci.
Będzie to to zapewne, żem cię, moje złotko,
Choć słusznie, lecz za śmiało raz nazwał dewotką.
O! jeśli tak, to lekka w kochającym wina:
Raczy mi ją darować śliczna Podstolina!
Na co, żebym zasłużył, niechaj moją panie
Zniewoli to najżywsze rąk ucałowanie. (*bierze ją za rękę*)
Niech mi wolno ssać słodycz z tej śliczniuchnej dłoni.
(*całuje ją powielokrotnie*)

Podstolina, *wyrywając rękę*.
Starościcu!

Fircyk. Urażam? — Pani wstydem plonie?
Cóż to zlego? Uczciwe godzą się zaloty.

Podstolina, *udając rozgniewaną*.
Jest to płochość! Tak tylko postępują trzpioty!
Gniewam się!

Fircyk, *udając mocno zakochanego*.
Nie, nie trzpioty; nie trzpioty, ale ci,
Którym święte płomienie miłość w sercach nieci,
Którzy czują moc onej, jak jest wielowładna.

Podstolina *z podziwieniem nieufającej*.
Waćpan kochasz?

Fircyk. Ah! Kocham.

Podstolina. Cóż to za twarz ładna,
Albo raczej szczęśliwa? — Jakich wdzięków siła
Tyle sercem Waćpana władnąć potrafiła?

Fircyk *z entuzjazmem*.

Piękność, większa nad ziemskie, piękność jedna w świecie.

Podstolina. Ciekawabym ją poznać przynajmniej w portrecie.

¹ człowiek poważny (właściwie: polityk).

Proszę, spraw mi tę rozkosz. Kunszt w miłości rękę,
Tem samem jest piękniejszy, tem więcej ma wdzięku.

Fircyk *zawsze jednym tonem.*

Nie, nie! Ta piękność, której cudny urok krasy
Pozbawił mnie swobody, lube zatrul wczasy,
Razi serce, lecz nie tak, abym z przeświadczenia
Własnego nie znalazł cel mój być wartym wielbienia.
Wielu pierwszy pociąga impet, ale u mnie
Rzecz, zaczęta z rozsądkiem, kończy się rozumnie;
Miłość moja nie taka, jak są te fosfory,
Ten marny ogień, którym wzrok ludzą wieczory,
Nie mający istoty ognia, ni własności;
Ogień mój jest istotny, jest ogień miłości,
Tem trwalszy, że go żywi tyłu podniet mnóstwo:
Rozum, cnoty, wdzięk!... Słowem, ziemskie kocham bóstwo.

Podstolina. Śliczny portret.

Fircyk. Do żywa ciebie samą znaczy.

Podstolina. Toby miał być mój portret?

Fircyk. Tak jest, nie inaczej!

Twój własny; lecz przez respekt, powinny dla damy,
Wierna ręka dla wdzięków utaila plamy;
Jedną zwłaszcza, którą wiem, że ci się pochlebię:
Ta osobność¹, ten od nas wstręt, ta myśl o niebie.
Ten wreszcie okazanych dla mnie pochop wstrętów,
Są skromne utajenia czułych sentymentów.

Podstolina. Inaczejbym waćpana kochała?

Fircyk. Tak tuszę.

Podstolina. Mylisz się, Starościcu, inną ja mam duszę.

Żem do płochych zalotów nie nadto pochopna,
Nie tak jestem dewotka, jak raczej roztropna.

Fircyk. O! jeśli tak! już jestem szczęśliwy! Już moje

Uiszczone nadzieje! Już się nic nie boję!
Stałość ci się podoba? Nikt stałszy nade mnie.

Podstolina. Wątpię bardzo.

Fircyk. I wiem, że kochasz mnie wzajemnie,

Niechże cię... (*chce ją uściskać*).

Podstolina, *wstręt czując*. Starościcu!

Fircyk *zawsze obcesowo*. Poco ta obluda?

Kochasz mnie! — O! ja umiem często robić cuda!
Gdzie uderzę, wszędzie mi pleć zawiera śluby,
Wszędzie jestem żądany, wszędzie jestem luby.

Podstolina. Winszuję tego szczęścia. Jak widzę, w stolicy

Inszy sposób kochania, insi zalotnicy.
Miłość tam samej sercom udziela słodyczy,
Pierwej grzeczna nim prosi, nim kto sobie życzy.

Tam więzy romansowe, więzy wite z róży;
Śpiesz się do niej; szczęśliwej życzę mu podróży!
Właśnie w swym, Starościcu, będziesz tam żywiolen.
U nas są róże, ale jest i cierń, co kole.

¹ samotność.

- Fircyk. Pani cała w żartulach, lecz trochę za prędką.
Gdyby mię też doprawdy jechać wzięła chęćka?
Gdybym tak był posłuszny, jak jesteś zawzięta?
Czyż jedno tam się po mnie splakaly oczęta?
Czy jedna piękność nawpół martwa, nawpół żywa,
Śliczną pierś westchnieniami czułości obrywa?
Poopuszczałem wszystkie, wszystkie zaniechałem,
Do ciebie jednej przylgnąć chcę duszą i ciałem.
Ja pokorny, tyś przeto bardziej nieużyta.
Wzdaj się, daję ci pardon, lub z przyjaźni kwita.
- Podstolina. Cóż to znaczy? Proszę mi powiedzieć wyraźniej!
Z jakiej to chcesz mnie waćpan kwitować przyjaźni?
Nie miałam jej, zda mi się, w ściślejszym sposobie,
Prócz powinnej stanowi jego i osobie.
Jesteś wesół, zabawny, w żarciki obfity;
Lubią cię, bo to zawsze zabawi kobiety.
Ja sama, mówiąc prawdę, trzpiotów słucham rada:
Jest się zawsze dowiedzieć czegoś, gdy kto gada.
Lecz, żeby być kochanym, to rzecz inna zgoła!
Wesołej myśli myśl się podoba wesoła,
Dowcip szuka dowcipu, choć serce zdaleka.
Inna broń nas zwycięża; ta tylko urzeka.
- Fircyk. Dalej, moja bogini, mieszaj piolun z miodu,
Głaszcz, martw, rzucaj pioruny i przechodź w pogody,
Wszystko to gotów jestem z dziwnem znosić męstwem:
Stałość będzie mą bronią, pokora zwycięstwem.
Przebija ona mury, srogie koi zwierzę..
Złakł się Parys Pallady, przyznał dank Wenerze;
Jeden słodki rzut oka i westchnienie drżące
Zmogły oczy Junony, gniewem pałające.
Tyś dla mnie jest Wenera! — Jak piękności matka
Dla Parysa, tyś dla mnie jest tak piękność rzadka.
Jak Parys tamte dla niej porzucił niebianki,
Tak ja wszystkie dla ciebie rzucam Warszawianki.
Chcesz tego? rzeknij słowo, na wszystkim jest gotów!
- Podstolina. Szczęścia dla siebie z cudzych nie szukam kłopotów;
Żebym wdzięki stolicy w tę wdała ohyde..

138. Nierównie mocniej, niż rozluźnienie obyczajów i lekkomyślność «postępowej» Warszawy, raził Zabłockiego sarmatyzm zacofanej prowincji, zwłaszcza zaułków i zaścianków, zamieszkałych przez drobną szlachtę, której ciemnota i nieobyczajność, zawadactwo i warcholstwo, samowola i lekceważenie prawa przybierały tak wielkie rozmiary, że myślano nawet o jej usunięciu od życia publicznego, zanim się nie podniesie wśród niej oświata i nie polepszy stan ekonomiczny. Przeciwno tej to szlachcie zaściankowej wymierzył Zabłocki najoryginalniejszą ze swych komedyj — *Sarmatyzm* (1785); wprawdzie i ta komedja jest przeróbką komedji francuskiej — *Szlachta prowincjonalna*¹ Hauteroche'a — ale zawiera

¹ Les nobles de province.

w sobie obraz, wzięty bezpośrednio z własnych postrzeżeń Zabłockiego, bezpośrednio z życia polskiego; żadna inna jego komedia nie ma tak narodowego charakteru, jak ta.

Rzecz dzieje się «we wsi, osiadłej po większej części przez szlachtę», gdzie «z rozumem człowieka szukać na nasienie». Mieszkają tu pomiędzy innymi: Marek Guronos, «dumny i kłótlivy szlachcic, domator» (który, zapewne przez cześć dla nieortograficznej tradycji, pisze nazwisko swoje przez *u*, chociaż wywodzi je od Góry i Nosowa), i Jan Chrzyciel Żegota, «takiż kłótnik i pyszny, jak Guronos». Ci dwaj «odwieczni Sarmaci» kłócą się z sobą już oddawien dawna. I jak się nie mają kłócić, kiedy pani Żegocina ośmiela się panią Ryksę Guronosową «podsiadać»¹ w kościele! Guronos nie może puścić płazem tak straszliwej zniewagi, — tem więcej, że się boi, jak ognia, swojej połowicy: bo Ryksa to «lucyper-baba», trzymająca krótko swego «Marusia», którego nazywa tkliwie «capem starym», a do tego niewiasta «nieco trunkowa», zakrapiająca się obficie żytniówką i miodem. O zgodzie z Żegotami pani Ryksa nawet myśleć nie chce i grozi małżonkowi, nie mniej ani więcej, tylko kulą w łeb, jeżeli się ośmieli o pojednaniu pomyśleć; a ta groźba to nie przelewki, bo z rusznicy strzela ta malrona celnie i chętnie (raz chciała nawet trupem położyć... satyrę, będąc pewna, że to jakaś złośliwa białogłowa!). Ale jest jeszcze inny powód kłótni pomiędzy Guronosem a Żegotą, taki sam mniej więcej, jak pomiędzy Cześnikiem a Rejentem w *Zemście* Fredry. Oto przed laty Żegota, sąsiadujący o płot z Guronosem, przywłaszczył sobie prawem kaduka kawałek gruntu; sprawa toczyła się i w ziemstwie, i w grodzie, ale jej rozstrzygnąć nie umiano, więc kłótnia trwa wciąż. Naprawdę Skarbimir, «szlachcic rozsądny, dawniej trybunalczyk», usiłuje, w imieniu pana Podkomorzego, cieszącego się wielkim szacunkiem całego zaścianka (jak w *Panu Tadeuszu*), pojednać zwaśnione strony: Guronos postanawia urządzić na Żegotę z a j a z d, do czego podjudza go jeszcze jego krewny Burzywoj (podobny trochę do Papkina z *Zemsty*), stary wyga, wyjadacz i pijaczyna, «burda, zajazdowicz», «twarz pełna brózd, winogronów, szyszek», pozornie zuch, a w istocie mocno tchórzem podszyty, mający «nóg lepszy charakter, jak duszy», więcej ufający w «inkluzy»² swojej szabli, niżeli w jej ostrze. On to zwozi do domu Guronosa całe fury potrzebnej do urządzenia zajazdu «brudnej hołoty» szlacheckiej, która, jak szara gęś po niebie, rządzi się w ubogim, krytym w pół gontami, w pół słomą, domu Guronosa, a zwłaszcza w jego ubogiej kuchni, w której psy z głodu zdychają; krzyczą ci rycerze «jak krupne³ baby z za straganów», zarzynają, jak swoje, «oborne bydłeta» i drób (jak w *Panu Tadeuszu*); «kuchnia zawsze w trasku i rozgardzjaszu, jakgdyby na odpuszcie chłopy, na kiermaszu»⁴, «klamki, zawiasy, kłódki, zamki, skoble, haki, — wszystko poutrącanie»; «jeden kwiczy pod ławą, drugi w grubie⁵ wyje; — trzeci swych przeciwników przez sen na harc wzywa, — inny, marząc, że najazd, z zapieca się zrywa, — dopokąd usłużniejszy traf jakiejś krawędzi — lub progą, gdy się ten tłok ku sobie rozpędzi, — wszystkich wraz nie obali, wszystkiej nie uraczy, — kogo krwią, kogo sińcem, tłuszczy hajdamaczéj». Wreszcie wybucha walka, w której zresztą ci hołysze nie biorą jakoś udziału: biją się natomiast chłopci Żegoty z chłopami Guronosa ze swoimi wójtami na czele; ci krzyczą, że po-

¹ zasiadać na wyższym miejscu od kogo. ² moc czarodziejska. ³ sprzedające kaszę. ⁴ jarmark. ⁵ gruba = piwnica.

siadłości ich pana sięgają po rów, tamci, że — po miedzę. Nagle na polu walki ukazuje się Skarbimir z rejentem Widymusem, i udaje się im nakoniec, choć jeszcze nie bez trudu, pogodzić Guronosa z Żegotą, do czego się przyczynia nadto miłość wzajemna Radomira, syna Żegoty, i Anieli Guronosówny. Ojcowie podają sobie ręce i zezwalają na małżeństwo dzieci, a i pani Ryksa (podchmielona, jak zawsze) nie odmawia swego błogosławieństwa, bo «tak się podobało znać niebu: od nieba — wszystko poczynać i z niem wszystko kończyć trzeba», — podobnie jak Rejent w *Zemście* błogosławi Wacławowi i Klarze, mówiąc: «Niech się dzieje wola nieba, — z nią się zawsze zgadzać trzeba». A jak Papkin zwraca się do Cześnika: «Teraz wzywam waszmość pana, — każ nam przynieść roztruchana», tak Borzywoj woła do Guronosa: «Kiedyż koniec tych rozpraw? ni miodu, ni wina», i wszystko się kończy wesoło i szczęśliwie przy okrzykach: «Kochajmy się!»

Oto główny wątek *Sarmatyizmu* — z pominięciem licznych epizodów, których w tej komedji za wiele, co się też niekorzystnie odbija na jej budowie. Wogóle, jako dzieło sztuki, jest *Sarmatyizm* utworem nie tak wybitnym, jak *Fircyk w zalotach*, ale jako satyra, jest utworem znakomitym. A tę wysoką wartość nadaje mu głównie wyborna, dosadna charakterystyka szlachty zaściankowej, o której, przez usta Skarbimira, autor taki sąd wydadaje: «A to horda — tatarska te wieśniaki! Co słowo, do korda! — Obywatele tacy nie gorszą od dziczy: Besarabów, Nogajów, Hajdamaków, Siczy? — Głupstwo same i upór! Panie! nie karżże mię, — ale to djabłów z piekła, nie ludzi jest plemię! — Serca tak pojątrzone, tak mialkie rozумы, — tak mało szlachetności, a tak wiele dumy!» Najpełniejszym zaś wcieleniem tego dzikiego sarmatyizmu jest w komedji Guronos, postać typowa, bo skupiająca w sobie wszystkie ujemne strony ówczesnej szlachty zaściankowej: straszliwą ciemnotę i bezdenną pychę rodową, warcholstwo i pieniactwo, kłótlwość i upór, fałszywe pojęcie o równości szlacheckiej i płynące stąd nieposzanowanie władzy, obok przesadnej uniżoności towarzyskiej względem jej przedstawicieli, lekceważenie prawa i wreszcie (na co Zabłocki szczególnie kładzie nacisk) nieludzkność, nawet okrucieństwo względem chłopów, których ciemna szlachta poczytywała nie za ludzi, tylko za bydło robocze, za potomków Chama, stworzonych przez Boga jedynie na to, aby pracowali na szlachcica. Za najłżejsze przewinienie bez najmniejszej litości karze Guronos swoich chłopów: «A, chamy! a, siermięgi! na koła, na pale!... Po trzysta kijów w dymie!...¹ Niechaj znają chamy, — że, mogąc na śmierć, w dymie ich tylko wieszamy!» Kiedy Burzywoj oberwał od chłopów kijem po grzbiecie i kiedy się skarży na tę zniewagę, Guronos pociesza go, że chłop, jako nieczłowiek, nie może szlachcica znieważać: «Lecz psów wycie w czym szkodzi jasności księżycy? — To samo jest i chłopcy, gdy biją szlachcica!...» Wogóle *Sarmatyizm* Zabłockiego to w całej literaturze XVIII w. najostrzejsza satyra na sarmatyizm.

Ale na szczęście nie wszyscy w tej komedji są tacy, jak Guronos i Ryksa, Żegota i Burzywoj. Obok starych są i młodzi, inni od starych, lepsi i rozsądniejsi: nietylko wychowana w klasztorze Aniela, która, że to się trochę po świecie przetała (trzy miesiące bawiła w Lublinie), chętnie czytuje książki, bo rozumie, że, «jak treści² dźwigają ciało z paraliża, — tak czytanie, gdy mu smak, rozsądek przywodzi, — cieńszy grubość umyśtu, cierp-

¹ komin. ² lekarstwa.

kość serca słodzi», — ale i Radomir, który z bólem serca patrzy na dzikość starszych, bo się wychował w Warszawie, gdzie nabral rozumu i poloru, a nie zatracił uczciwości. Otóż, chłoszcząc biczem satyry pokolenie stare, Zabłocki przeciwstawia mu pokolenie młode, które korzystało już z dobrodziejstw rzetelnej oświaty, po którym się też autor spodziewał bardzo wiele: kiedy, przy końcu komedji, Ryksa wznosi toast: «Kochajmy się!», Skarbimir mówi: «To, to — narodową Polaków niegdyś było cnotą; — ona przewodniczyła ich męstwu, ich radom, — czas dalszy starł ją, nowym dawszy miejsce wadom; — lecz je przemilczam, abym serc tkliwych nie ranił... Chcę się raczej spodziewać (niebo, ziść nadzieje!), — że nam zamierzchłe słońce jeszcze zajaśnieje». I właśnie przez takie zakończenie (przypominające znowu *Zemstę* Fredry: «Zgoda, zgoda; tak jest, zgoda! — a Bóg wtedy rękę poda!») *Sarmatyzm* jest nietylko satyrą na starą Polskę, ale i pobudką patriotyczną, aby młodzież, krocząc drogą postępu, ale zarazem kochając to, co w przeszłości na ukochanie zasługuje, budowała, z Bogiem w sercu, Polskę młodą.

Akt pierwszy, scena pierwsza (*Guronos, Skarbimir*).

Guronos. Jakem Guronos, szlachcic, z naddziadów podczaszy,
Wkrótce dam znać Żegocie, że mnie nie zje w kaszy!
Dom mój miałby pierwszeństwo dać jego domowi?
Mnie djabli wezmą, albo tego, kto tak powie!

Skarbimir. Ależ...

Guronos. Niech każdy odda, co należy komu!
Ja pytam: ta impreza¹ skąd Żegotów domu?
Kościół, mówią, dla wszystkich... Niezawsze, nie wszędzie!
Czemuż prosty kanona² klerus³ nie podsiędzie?
Wszystko ma swoje szczeble, jest dalej, jest bliżej:
Niechże kto wart wzniesie się, kto niewart, niech zniży.
Przecież żona Żegoty, o co z nami zwada,
Zawsze mi moją imość w kościele podsiada!

Skarbimir. Czyż...

Guronos, *rwąc dyskurs.* Trzeba, abyśmy się lepiej zrozumieli.
Co stanowi lustr⁴ domów? Dawność parenteli⁵.
Co znowu jej dowodzi? Metryki, herbarze,
Mauzolea⁶. Dość naszych nie w jednej jest farze.
Daj sobie pracę: czytaj; wszędzie głośna sława
Domowi Guronosów aplauzy⁷ przyznawa!
Nie setnem, nie tysiącnem okażę to licem⁸.

Skarbimir. Któż wątpi? Jesteś waćpan, jak trzeba, szlachcicem,
Masz świetne antenaty⁹, jasne ich wywody,
Lecz czem to do sąsiedzkiej ma przeszkadzać zgody?
Czemu nie zważyć przyczyn?

Guronos. To też to, somsiedzie,
W tym kozyra¹⁰; kto z nas krwie świetniejszej dowiedzie,
Ten pierwszy!

¹ przedsięwzięcie, zamysł zuchwały. ² kanon = kanonik. ³ klerus = kleryk.
⁴ blask, świetność. ⁵ pochodzenie, powinowactwo. ⁶ grobowiec. ⁷ pokłask, pochwała. ⁸ dowód. ⁹ przodkowie. ¹⁰ powód, przyczyna (w tem sęk).

- Skarbimir. Dom waćpana w zacne mężę plenny,
Starożytny...
- Guronos. Dodajmy, dom wielki, wojenny,
A co najrzadsza, równie z kądzieli jak z miecza.
- Skarbimir. Wszystko to dawną jego świetność zabezpiecza.
- Guronos. Jeżeli sławne gdzieś tam imię Fabijuszów,
I naszych nam niemało Tatarzyn wziął uszów,
Nie pomnę, w którym roku, lecz rzecz oczywista,
Że w tej kłęsce poległo Guronosów trzysta!
- Skarbimir. Słyszałem tyle razy od waćpana...
- Guronos. To mi
Dom! — Szczęściem został jeden Guronos Bartłomiej,
Gdyż był *lactens*¹ w kolebce. Dorósłszy lat pory, —
Po naszym Sędziwojów wczas był dom który
I już schodził² — otóż w nim wziął *sociam vitae*:³
Dobrosławę-Gertrudę-Jadwigę-Brygitę,
Ostatnią z Sędziwojów, herbu Koziejgłowy.
Aluzyja, jak wiemy z kroniki domowej,
Twardych rogów do Marsa, a koziej osady...
- Skarbimir. I to słyszałem.
- Guronos. Otóż z tego Bartłomieja
I Brygity gasnąca dwóch domów nadzieja
Wskrzesała się na Mieszku, jedynym ich synie,
Który Mieszko, pojawiawszy Gryszkę na Myślinie,
Spłodził Andrzeja, Marka, Piotra, Matyjasza,
Protazego, Łukasza i Matatyjasza,
Z których jeden był tylko *sterilis*⁴ Protazy.
- Skarbimir. Już i o tem słyszałem po tylekroć razy.
Pocóż...
- Guronos, *rwąc mowę*. Aby się tamta dowiedziała strona,
Że dom mój nie wyleciał sroce z pod ogona,
I że żona Żegoty...
- Skarbimir *przerywa*. Może mniej roztropna.
- Guronos, *kończąc swoją genealogiją*.
Z tych Andrzej pierworodny wziął Różę z Konopna.
- Skarbimir, *znudzony i niecierpliwy*.
Zacny panie podczaszy, wiem w jakiej jest cenie,
A w jakiej być powinno domów pochodzenie.
Wiem, że i wasze w wiekach brały wzrost olbrzymi,
Lecz gdy, zdrobniawszy, ledwie że są dojrzanemi,
Gdy nas, małych i wielkich, nędza dziś przyciska,
Co z tego przodkowania? Rzecz do pośmiewiska!
- Guronos. Mój dom, lecz nie Żegotów! Proszę do kościołów,
Na popis monumentów, grobsztynów⁵, mauzoleów!⁶
Proszę do przywilejów!
- Skarbimir. A jabył chętniejszy
Wziął za sędziego rozum, nad wszystko dawniejszy,

¹ ssący mleko, niemowlę. ² wygasać. ³ *socia vitae* — towarzyska
życia. ⁴ bezdzietny. ⁵ grobsztyn (niem. *der Grabstein*) — kamień grobowy,
nagrobek. ⁶ grobowiec.

By przez te, śmiechu warte, domów waszych wojny
Nie cierpiał cały dotąd powiat nasz spokojny,
Ile kiedy nieszczęściem drobiazg naszej braci,
Nawykły służyć dumie, co swe zyski płaci,
Nie omieszka, jak nieraz, z małej dość iskierki
Wzniecić pożar ogólny, stronnictwa, rozterki.
Przystałoby to na dom waćpana tak stary,
Sławny jasyrem uszu, wziętych przez Tatary,
Ażbyś, je wetując w pokoleniu setnem,
Równą klęskę gotował swojskim i szlachetnym?

Guronos. Krwie niczyjej nie chciałbym.

Skarbimir.

Przecież...

Guronos.

Przecież, przecież,

Próżne mi waszeć jespan terefery¹ pleciesz!

Jeden jest dla Żegoty środek: mieć się skromniej,

A nie — to ten kord-cenzor² *mores*³ mu przypomni!

Skarbimir. Więc rada przyjacielska?...

Guronos *junacko*.

Przyjaciel i rada:

Ten kord, co, nie jak waćpan, bije, choć nie gada!

Skarbimir. A prawo na napastnych?

Guronos.

O! gdyby też nie te

Bałamutnie, te prawa! *Bassateremtete!*⁴

Do tysiąc set kop djabłów, albo jeszcze gorzej!

Skarbimir. Miałem honor już mówić: jespan podkomorzy

Tyle się tem zasmuca, wstydzi, gniewa wreszcie.

Guronos. Czyż dla nas podkomorzy to, co burmistrz w mieście?

Czy mnie na ratusz wsadzi? Szlachcie na zagrodzie...

Skarbimir, *rwąc dyskurs*. Wiem to, że dawniej bywał równy wojewodzie.

Ależ pan podkomorzy nie *imperative*,⁵

Lecz jak braterskie radzi, jak serce życzliwe,

Naszym się opiekując szczególniej powiatem,

Jako jest przodkującym starszym braci bratem.

Pisał do mnie dwa razy, znać w nadzieję laski

Waszeć jespana dla mnie, bym wszedł w ich niesnaski

I starał się je zgodzić, dając znać w przypisie,

Że już o tem stolica i wie, i gorszy się.

Wiadomo waszeć panu, jednakże u dworu

Takie burdy...

Guronos.

Burdaż to interes honoru?

To mnie będzie lada kto krzywdził, szarpał, a ja

Mam płakać, uniać się w pokorze mazgaja?

Skarbimir. Toż to jest rzecz honoru, aby z fraszki lada

Zbrojno brata brata, somsiad nachodził somsiada?

Ażeby chlubne męstwa miał czynić popisy

Przez szczyrby, drugim dane, albo wzięte krysy?⁶

Guronos. Otóż te polityzmy,⁷ te grzeczności wasze,

¹ głupstwo. ² cenzor — urzędnik rzymski, czuwający nad obyczajami.
³ obyczaj. ⁴ przekleństwo węgierskie. ⁵ rozkazująco. ⁶ znaki od cięcia szabli. ⁷ dworskość.

Modne rozumowania, sensa!¹ Na pałasze,
Dobrodzieju! To rozum był w dawnym Sarmacie!
Teraz tylko piszecie, pięknie rozprawiacie,
A gdy przyjdzie krzyżową machnąć kiedy sztuką:
Stary, popraw! Studenty, żaki z tą nauką!

Akt pierwszy, scena trzecia (Guronos, Skarbimir).

Guronos.

Być nie może,
Abym by też najmniejszy krok zrobił do zgody.
Najpierw, przed wszystkim, widzisz waćpan te ogrody?
Ten się nazywa Nosów, a ten drugi Gura:
Pytam, skąd się ta wzięła ich nomenklatura?²
Nie widocznaż, żeśmy się od nich mianowali?
Że tak jest, dokument mam *in originali*.³
Przecież się w nie Żegota wparł *iure caduco*!⁴
Patrz waćpan, te dwa łany z tą niziny sztuką
W mojem były imieniu; dziś je ma Żegota.
Oto mi i ten kawał wziął z tej strony płota.
Ale ja dzisiaj jeszcze, zegnawszy gromadę,
Gródź rozrzucam, jak moją właścizną zajadę!
Dopiero, jak się trafi, za łby czy za barki,
Na kordy, pistolety, nawet na jańczarki!⁵

Skarbimir. Nie lepiejżeby zgodą?

Guronos.

Tak, tak, zgodą, właśnie!

Skarbimir. Nareszcie prawem.

Guronos.

Prawem? Niech w nie piorun trzaśnie!

Wolałbym mieć nareszcie z djablem do czynienia,
Jak z ludźmi, Panie odpuść, prawnego sumnienia!⁶
Niechaj będzie interes mój, nie wiem jak czysty,
Wartogłowy, cygany, bezbożne jurysty⁷
Zgruntu mi go przerobią, wywrócą na nice.
Niechże się jeszcze wdadzą intrygi kobięce,
Dobrodzieju! wodzi mnie strona, od nich wsparta,
Od szatana do djabła, od djabła do czarta:
Dziad zacznie, wiek się ciągną mitręgi pieniacze,
Nim je w drugim czwartego stopnia wnuk oplacze.
A mnie co po tem? Arwan prawo wszystkim katóm!⁸
Ten pałasz — to mój proces, sąd i *ultimatum*!⁹

Skarbimir. Jakież skutki? Niesława, wieża, basarunki¹⁰.

Guronos. Niechże winny dla mojej będzie respekt żónki,
Niech mi moje powrócą łąki, chrusty, pola,
Wtenczas pójdzie do prawa, czyja będzie wola.
Ale pokąd nie...

Skarbimir.

Dzkie, zdaje się, żądanie.

Guronos *urazony*. Chyba, że sam dzik jesteś, mój mościwy panie!

¹ morały. ² nazwa. ³ w oryginalu. ⁴ prawem kaduka, bezprawnie.
⁵ posiadanie, majątek. ⁶ strzelba janczarska, turecka. ⁷ ludzie prawnego sumnienia = prawnicy. ⁸ prawnik. ⁹ niech prawo wszyscy kaci porwą! ¹⁰ ostatnie słowo, ostatnia instancja. ¹¹ odszkodowanie za krzywdę.

Albo i to daruję? Ongi moje konie
Z fornalki polapawszy na wspólnym wygonie,
Nie jak szlachcic, ale jak roztrucharz,¹ konował,²
Jednemu grzywę ostrzygł, dwóch poanglizował!³
Proszę, nie susz mi więcej głowy; na te baję,
Powtarzane tylekroć, flegmy mi nie staje
I cały się zapalam. Klaniem.

Akt piąty, scena dziesiąta (*Guronos, Burzywoj, Skarbimir, Rejent, Żegota, Radomir*).

Skarbimir. Gościa pożądanego!

Żegota *wkoło ukłon z parafjalną, niezgrabną nadętością.*

Najniższy, najniższy.

Skarbimir, *znudzony wielomowstwem i komplementami.*

Nie wspominając przyczyn waćpanów niechęci,

Wszystkim się trafić może...

Żegota. Ludzieśmy, nie święci.

Tkliwość, niezrozumienie, poszepty, złość, plotki,

Zdarza się, że nam trują pokój życia słodki.

Przyjaźń, obejrzenie się na własne stąd szkody,

Czas nakoniec, stęsknionych przywodzą do zgody.

Guronos *do Burzywoja unyślnie, aby był słyszany.*

Jak mądrze, pięknie mówi!

Burzywoj *ciszej odpowiada.* Lecz niezrozumianie

I coś górno.

Żegota *do Rejenta.* Marmuru, cedru godne zdanie.

Skarbimir. Zaczny nasz podkomorzy, z wiadomego względu

Braterstwa, uprzejmości, z pierwszeństwa urzędu,

Jako *nobilitatis princeps*,⁴ prymas ziemi,

Zasmucony wieściami, coraz zwiększonymi...

Żegota, *przeszkadzając.* Znamy my duszę pana tego popularną.⁵

Guronos *wtąż*⁶ *przeszkodny komplementista.*

Ale też nie na płonną rolę rzuca ziarno.

Skarbimir. Owoż pan podkomorzy, przyjmując najsmutniejszy

Tę wieść zdawna trwających we wsi naszej kłótni,

Ile że ona, biorąc polot coraz sporszy,

Lekkomyślących bawi, a rozsądnych gorszy,

Co się nie tak w pamięci ludzkiej łatwo zatrze,

Bo już nią i Warszawę bawią na teatrze...

Burzywoj *z junacka.* A to jak?

Guronos *nieukontentowany.* Czy podobna?

Żegota. To wcale nic po tem.

Jakżeto?

Skarbimir. Komedyją napisano o tem.

Burzywoj *do Guronosa z przegrózką.*

Wujaszku! gdybym wiedział, kto to pisze taki...

Guronos. Studenty, mój siostrzonku⁶, pacholeta, żaki.

¹ kupiec handlujący końmi. ² partacz, leczący konie. ³ podciąć koniom ogony.
⁴ naczelny wódz szlachty. ⁵ życzliwy dla wszystkich. ⁶ tak samo, ciągle.
⁷ siostrzeniec.

Burzywoj. Lecz w Warszawie, gdzie tyłu...
Guronos. W Warszawie, jak wszędzie;
Czy myślisz, że rozumny śmieszków bawić będzie?
Burzywoj. Cóż za uczciwość cudzą zabawiać się sławą?
Guronos. Otóż tak jest, idźże się z całą bij Warszawą!
Skarbimir. Najlepiej poprawmy się.
Burzywoj. Aby ta szkarada...
Skarbimir. Skoro się odmienimy, wstyd na nas nie pada.
Otóż pan podkomorzy jespana Rejenta
I mnie...
Żegota. Znamy waćpanów piękne sentymenta,
Obywatelstwo...
Skarbimir, *rwąc dyskurs*. Żąda, abym zawsze zwrotnie¹
Do woli waszeć panów...
Guronos. Z serca i ochotnie.
Skarbimir. Podawszy pierwej zgodne do tego projektu.
Guronos. Tak zacne, tak dostojne, tak górne subjekta...²
Skarbimir *przerzywa*. Gdy zobopólnym chęciom dogodzą waćpanów...
Żegota. Nie wątpię, że dogodzą.
Guronos. Pisz, wyrokuj, stanów!
Skarbimir. Poprzednie interesu przez strony objęcie
Mniemam, że go ulacni, mospanie Rejencie.
Racz nam przeczytać projekt, co w sobie zawiera.
Rejent, *dobycwszy kopii projektu*. Feria...³
Skarbimir. Opuść waćpan.
Rejent. Anno...⁴
Skarbimir *przerzywa*. *Et cetera*.⁵
Rejent. Między ichmość panami Chrzcicielem Żegotą
A...
Guronos *wrzaskliwie*. *Protestor*,⁶ rzecz cała rozbija się o to:
Ja mam być pierwej!...
Rejent. Zaraz...
Żegota do Guronosa. Skąd te przywileje?
Skąd masz prawo?
Guronos *junacko*. Pokażę!
Skarbimir, *łagodząc*. Mości dobrodzieje.
Rejent. Wszystko to się ułatwi, lecz sens nieskończony. *Czyta projekt*.
Między panem Żegotą Janem z jednej strony,
A wtaż naodwrot, między jegomością panem
Markiem Guronos z jednej, a z Żegotą Janem
Z drugiej strony czyniącym⁷, stroną i powodem.⁸
Skarbimir. Już więc każdy z waćpanów i górą, i spodem.
Burzywoj *rad temu*. Trudno mówić, zwrot piękny, szczęśliwego pióra.
W jakich formach te głowy odlewa natura,
Bo to chytro i mądrze, dowcipnie i składnie,
Jak kot, rzuc go łbem z góry, kot na nogi padnie.
Znać niedarmo jadł w szkołach pan Widymus kaszę.

¹ zgodnie. stosownie. ² osoby. ³ dnia. ⁴ roku. ⁵ i tak dalej. ⁶ pro-
testuje. ⁷ prawować się. ⁸ oskarżający.

Guronos *nieuspokojony*. Zacóż mają tę kolej mieć imiona nasze?

Żegota. Tak jest, jak być powinno.

Guronos *groźnie*.

Mylisz się, mospanie!

Żegota. Skądże to waszeć pana rodu przodkowanie?

Guronos. Stąd, skąd nie waszeć pana. Z naszych zasług źródła!

Żegota. A mojaż to krew ma być, mówisz waszmość, podła?

Nie ma swoich pamiątek?

Guronos.

Od dwóch, lub najwięcej

Lat trzechset!

Żegota.

Wasz zapewne ma od dwóch tysięcy!

Szkoda, że tej dawności archiwa przepadły,

Wonczas, gdy nam Popiela króla myszy zjadły!

Burzywoj. Wujaszku, nie znoś...

Guronos *podburzony do Żegoty*. Co? Jak?

Żegota *junacko*.

To, tak.

Guronos.

Słuchajże, ty!

Żegota. Ty sam: ty! ty!

Burzywoj, *przyskakując do Żegoty*. Rozumiesz?

Żegota, *uskakując*.

Burdy! Szerepety!¹

Nauczę was!

Rejent.

Panowie.

Guronos.

Kto to burda?

Burzywoj.

Kto to

Szerepeta? Komu to śmiesz mówić, hołoto?

Skarbimir. Panowie, po tak pięknym wstępie do przyjaźni...

Guronos. Niechże nas nie znieważa!

Żegota.

Niechże mnie nie drażni!

Burzywoj. Niech nam pod nos nie kiwa!

Skarbimir.

Jespan podkomorzy...

Guronos. Gdyby też nie przez ten wzgląd..

Żegota.

Jeśli co uczynię,

Nie z innego, lecz z tego powodu jedynie.

Burzywoj. Ani jaby'm darował; lecz że oba z wujem

I osobę kochamy, i urząd szanujem,

Więc i zemstę kielznamy, i króciemy męstwo.

Skarbimir. Tak, krócić namiętności największe zwycięstwo.

A gdy to pochop bierze szczególnie, ze względu

Miłości dla osoby, a czci dla urzędu,

Niech na uzupełnienie świadczonej mu łaski,

Padną dzisiaj ofiarą domów ich niesnaski. *Do Guronosa*.

Waszeć pan piękną córkę, (*do Żegoty*) jegomość ma syna:

Niechże dzieło przyjaźni związek ich zaczyna.

139. Gdyby prawdą było, że, jak uczył Boileau, ideałem poezji jest, aby była piękną prozą, to największym poetą polskim za Stanisława Augusta byłby jego szambelan i wierny sługa, **Stanisław Trembecki**, z ziemi proszowskiej (ur. około r. 1735, zm. 1812).

Figura to bardzo pod względem moralnym nieciekawa: umysł — wcale

¹ oberwańcy.

szeroki i niezmiernie chłonny, rozum — duży, ale serce — nikczemne; ideałów — żadnych; materialista i, jak świadczy Niemcewicz, który go znał do brze, «całą gębą epikurejczyk, — stół dobry, wino, kobiety to były bóstwa jego». On sam takie sobie wystawił świadectwo: «Byłem jeden z najzuchwal- szych burdów, jeden z najognistszych pijaków, jeden z najzapamięta- lanych miłośników... jeden z najpiękniejszych (jak zowią) graczków». Skąd inąd wiadomo, że nie skłamał: we Francji np., gdzie przez czas dłuższy wycierał kąty różnych salonów, podobno i królewskich, zasłynął burdami i pojedynkami, których miał coś trzydzieści, a wszystkie o kobiety. Dopiero w późniejszym wieku, kiedy życie hulaszce zjadło ojcowiznę i zdrowie, ustatkował się i wziął na wstrzemięźliwość: nie pijał już — za przykładem Pitagorasa — wina, nie jadał mięsa, (od fajki jednak, której Pitagoras podobno nie palił, nie odwykł); «leniwy — mówi Niemcewicz — pelen cynizmu i niedbalstwa koło siebie, nieumyły, rozczochrany, w tułubie baranim,... dni całe pędził u siebie». Tak dożył sędziwej starości. Lecz zatrutego serca nie już odrodzić nie zdołało. Brnąc w długi, a nie mając z czego ich płacić, łasił się królowi, jak pies, albo raczej gorzej, niż pies, — przynajmniej ten pies, z którym sam siebie porównał w wierszyku *Portret Kiopka, szpica faworytnego króla Stanisława Augusta*:

Czy dola szczęsna, czy skolatana
Przez dzikie ludów narowy,
Ten zawsze, strzegąc stóp swego pana,
Żywot dać przy nich gotowy.
Z równością myśli wszystko to znosi,
Co zdarza dola niebieska,
Służy najwierniej, o nic nie prosi:
Móże to obraz, czy pieska?

Otóż piesek był lepszy od Trembeckiego, bo o nic króla nie prosił, a Trembecki zamęczał go żebranią to o pieniądze, to o zyskowne posady: zachcie- wało mu się piastować godność to posła na sejm, to rektora uniwersytetu wileńskiego; chciał nawet kiedyś, mając oskomę na infułę biskupią, przy- wdziać, jak się cynicznie wyraził, «liberyją Jezu Chrysta», to jest zostać księ- dzem; «w tej nadziei kazał sobie środek głowy ogolić» i zapewniał króla, że na dowód swego «gorliwego katolicyzmu» «podjąłby się o wysoki zakład do tutejszego ludu powiedzieć kazanie, po wysłuchaniu którego zarazby tłu- szcza poszła burzyć kościół ewangelicki...» I kłął się jeszcze przed królem, «iż nietylko szanuje wszystkie prawdy, które Kościół ś. do wierzenia po- daje, ale też o żadnej z nich nigdy w życiu nie wątpił». Tym razem bez- czelnie kłamał: w głębi duszy żartował sobie z Kościoła katolickiego, mówiąc np.: «Choć złote nosi klucze do nieba, — równy mi papież z Turczy- nem». Szydził także z Objawienia, twierdząc, że «niektórzy za grunt wiary po świe- cie roznieśli, — co się kiedyś przyśniło Jusupowi¹ cieśli». Nie Syn cieśli był mu Bogiem, tylko Wolter, któremu, jak pisał, «wszystko wolno»: «on jest wyż- szy ponad prawo». Podzielał też Trembecki ciasny i głupi pogląd wielu zago- rzalców XVIII wieku, że Kościół katolicki to instytucja, stworzona przez zgrają podłych oszustów i samolubnych wyzyskiwaczy: «Mgła nas niewia-

¹ t. j. świętemu Józefowi.

domości zaćmiła obrzydła: — pasterze ją mnożyli dla pożytku z bydła; — tak zwykł czynić w zwierzęcej nauczyciel szkole: — chcąc mieć ucznia posłusznym, oczy mu wykole»; i dopiero «wiek osiemnasty ze wszech religij wygląda, — co się z danym od Boga rozumem nie zgadza». Nie zgadza się zaś, w oczach Trembeckiego, «z danym od Boga rozumem» cała wogóle nauka Kościoła, nie wyłączając wiary w opiekę Boga nad ludźmi: innymi słowy, był Trembecki deistą. W nieśmiertelność duszy, jak się zdaje, wierzył, a przynajmniej pociągało go «tułące¹ Pitagory zdanie, — że duch, nie znając zgonu, przemienia mieszkanie», to znaczy podobała mu się wiara w reinkarnację; (osobiście życzył sobie wcielić się po śmierci we... wróbla). O wiele pewniej i mocniej, niż w nieśmiertelność ducha, wierzył w niezniszczalność materji, którą poczytywał za «wątek» «wszystkich rzeczy»: «Ten końca mieć nie będzie, jak nie miał początku. — nigdy go nie przyrasta, nigdy nie ubywa, — ale się coraz inną postacią okrywa... Gdy ciała naszych budowla, niszczejaca zwolna, — niebieskiego brać ognia już nie będzie zdolna, — zwać to zwykliśmy skonem; a nasze ostatki — innym rozda żyjątkom wielkiej łono matki. — Tak na świecie najwyższym mądrości układem — nie przypadkiem, porządnym wszystko idzie ładem». Wiara Trembeckiego w «porządny ład» świata fizycznego czyli w mądrość natury była jednym z głównych pierwiastków «religji rozumu» w XVIII wieku, narówni z wiarą w nieograniczony postęp ludzkości: «Gdy inne żywota, pierwszemi tylko zatrudnione potrzebami, szczerpym kierują się instynktem, przedziwny człowieka przymiot, który godność duszy jego wytyka, jest doskonałość bez granic». Doskonałość zaś, a wraz z nią coraz większe szczęście, myślał sobie Trembecki, osiągnie człowiek nadewszystko dzięki kulturze rozumu i krzewieniu oświaty: kiedy «ludzie przestaną być ślepi», wówczas znikną ze świata różne przesady (to jest religja dogmatyczna), runie tyranja despotów, «miłość wspólna z ludzi robi braci», jednym słowem, «za przewodztwem rozumu, natury, — upewni sobie człek szczęśliwość płynną»². W pojęcie rozumu wierzył Trembecki ślepo: «Choć się natura troistym grodzi — ze stali murów opasem, — rozum człowieczy wszędzie przechodzi, — niezłomny pracą i czasem».

Wogóle był on fanatykiem «religji rozumu». I ten to fanatyzm, w połączeniu z niechęcią, jeżeli nawet nie z nienawiścią względem Kościoła, sprawił, że Trembecki, chociaż piorunował na nietolerancję wobec różnowierców, Żydów i Menonitów, sam niekoniecznie był tolerantem wobec wierzących chrześcijan, nie mówiąc już o tem, że się nie umiał zdobyć na odczucie ich żywej wiary. Więc np. szydził z «mistycznych ogniów» i «strzelistych westchnień» świętego Franciszka z Asyżu: «Jakież z cnót jego ludzkość miała zyski? — Żadne, bo do niej nie go nie wiazało». Trudno o większą jednostronność umysłu i większą ciasnotę serca! Nie odczuwał Trembecki wielkości duchowej i żywej wiary świętego Franciszka z Asyżu, więc nie rozumiał, że był to jeden z największych ludzi na bożym świecie, i to nie tylko przez ogrom swojej wiary w Boga, ale i przez ogrom miłości całego Jego stworzenia, a przedewszystkiem ludzi, którzy «z cnót jego» mieli ogromne «zyski» — duchowe. Ale czy mógł to zrozumieć ten, który głosił zasadę: «Rozkosz być sądę dobrem najwyższem człowieka»? Cóż dziwnego, że taki człowiek nie mógł także odczuć uniesień religijnych konfederatów barskich

¹ t. j. dodające człowiekowi otuchy. ² ciągle wzrastającą.

i że drwił sobie z ich kultu dla księdza Marka: «Młodek bez doświadczenia i lekliwych starek — zwodziciel, wsrzód stolicy uwija się Marek; — przed niedoleżną tłuszcą prorokiem się mieni, — oko ma w niebie, rękę w bliźniego kieszeni. — Uchodzi mu bez kary ludzi tak bezwstydnie; — z tych przyczyn, wyznam szczerze, Warszawa mi brzydnie». Krótko mówiąc, był Trembecki, przy całym swoim rozumie, wcielonom zaprzeczeniem hasła Mickiewicza: «Miej serce i patrzaj w serce».

To jednak nie przeszkadzało mu, że się swoim sercem przechwalał, wołając np. dumnie: «Serca zawsze polskiego nic mi nie odmieni». Kłamał, albo też nie zdawał sobie już sprawy, że przestał czuć po polsku. Czy to małpując Woltera, czy też podlizując się królowi, wynosił pod niebiosa «Minerwę, którą świat pod imieniem wielbi Katarzyny»: «Wyznaje cała ziemia, że w monarchii rzędzie — nad nią większej nie było i nigdy nie będzie! — Wtedy najfortunniejszą uczulem godzinę, — kiedy tę ujrzał Panią, przepłynawszy Dźwinę; — noszę wiecznie w umyśle jej konterfekt żywy; — niech ją raz jeszcze widzę, już umrę szczęśliwy!» Wielbił także Potemkina i Repnina. Był sługą konfederacji targowickiej, jako cenzor sztuk teatralnych i książek, sprowadzanych z zagranicy. Po trzecim rozbiorze powłókł się do Petersburga za Stanisławem Augustem, do którego był zresztą szczerze przywiązany; służył mu wiernie i zamknął mu oczy. Po zgonie króla zamieszkał w Tulczynie, u pokrewnego sobie podląd duszą Szczęsnego Potockiego, wielbił jego cnoty i wołał: «Niechaj tu za dni naszych nie nadchodzi pora, — gdy ma zniknąć ozdoba ziomeków i podpora! — Opatrzność, która ludziom wielkich ludzi skąpi, — czem równem szkodę tyłą nieprędko zastąpi!». Z upadkiem Polski pogodził się lekkim sercem, był nawet dumny, że jest poddany rosyjskim, i wynosił pod niebiosa Aleksandra I: «Wielki monarcha, losy dany nam szczęsnymi, — skinieniem zdolny ruszać część największą ziemi, — niedość, że doskonali marsowe rzemiosło, — które imię Rosyi między gwiazdy wzniosło: — któryż dziś lud i których silna królów ręka — naszych (!!) nie pragnie sprzyjań, gniewów się nie lęka?» A więc to, co rosyjskie, nazywa Trembecki naszym! Lecz jest coś jeszcze wstrętniejszego: *Wiersz do księcia Repnina*, napisany wkrótce po trzecim rozbiorze. Oto jego początek: «Już oko suche promieniem skromnym — w nową się dolę wpatruje, — już serce, szczęściem jełe przytomnem, — trosków w minionych nie czuje. — Już nam Fortuna ulepsza rzeczy, — dotąd jesteśmy jej mili, — tego nas baczej oddała pieczy, — kogośmy sobie życzyli». (Tym opiekunem był właśnie Repnin, który dozorował Stanisława Augusta, internowanego w Grodnie, po podpisaniu abdykacji). Wszystko jedno, czy ten wiersz napisał Trembecki z własnej ochoty, czy na życzenie zdetronizowanego króla: kto po trzecim rozbiorze miał oko suche i «trosków nie czuje», ten nie miał prawa mówić: «Serca zawsze polskiego nic mi nie odmieni».

Bezstronność jednak każe wyznać, że to uwielbienie Trembeckiego dla Rosji tłumaczy się w niemałej mierze jego «słowianofilstwem», to jest poglądem, że się wszystkie narody słowiańskie powinny pokochać i połączyć, i to pod egidą Rosji. Pogląd ten, któremu dopiero powstanie listopadowe zada kłam i śmierć, zaczął nurtować w Polsce już za Stanisława Augusta i łapał na swój lep nawet mądrych ludzi. Należał do nich i Trembecki, który w liście poetyckim do Krasickiego p. t. *Gość w Heilsbergu* (1784) pisał tak: «...Pomnieć się godzi, — iż Rusin z jednych z nami początków pochodzi: — jedna krew, jeden język, taż natura twarda, — taż śmiałość nieprzerwana

i śmierci pogarda. — Długo nam jędze wspólną sprawiały ślepotę, — że brodzić w krwi braterskiej mieliśmy za cnotę; — on na nas Niemce zwabiał, a my nań Tatary, — on nam brał senatory, a my jego cary... Niech w gruzie starych ruin niepamięć zawali — kłeski, któreśmy wzajem i wzięli, i dali! — My, odtąd przyjaźń tego utrzymując brała, — łatwo reszty potędze oprzemy się świata». A i to jeszcze pociągało Trembeckiego do Rosji, że był zaklętym wrogiem «rządów gminnych», które były w Polsce, a których nigdy nie było w Rosji. Jego bowiem ideałem politycznym był «oświecony absolutyzm», to jest sprawiedliwe i mądre rządy monarchiczne. W tym duchu postanowił, a nawet zaczął pisać historję Polski, unosząc się nad czasami piastowskiemi, kiedy to, jego zdaniem, była w Polsce monarchja absolutna i dziedziczna; chociaż bowiem do rady królewskiej należeli duchowni, ich rady jednak nie obowiązywały króla. Otóż w Rosji dopatrywał się Trembecki, czy też tylko, za przykładem Woltera, chciał się dopatrywać «oświeconego absolutyzmu» (w osobie Katarzyny II, a potem — Aleksandra I), pomimo że absolutyzm rosyjski nie był nigdy «oświecony», tylko zawsze dziki.

Ta sympatja Trembeckiego do Rosji tem bardziej dziwi i razi, że, prócz niewoli politycznej, była tam przecie okropna, daleko cięższa, niż w Polsce, niewola społeczna pod postacią ucisku ludu. Krzywdę zaś społeczną Trembecki, wierny humanitarnym hasłom oświecenia, ostro piętnował, np. w apostrofie do Warszawy (na początku poematu *Powązki*): «O, miasto! Cóż są twoje częstokroć pałace? — Łzami dobrych zlepiane ubogiego prace! — A gospodarze onych, najczęściej bez cudu. — Piją krew i żrą ciało jęczącego ludu»¹. A w innym poemacie, p. t. *Polanka*, chwali księcia Stanisława Poniatowskiego, bratanka królewskiego, że oczyszczował włościan w swoich dobrach:

W końcu szerokich równin, gdzie się woda sący,
Którą z odległych wiader Wisła z Narwą łączy,
Jest miejsce, któremu się uśmiecha Fortuna:
Owieczki tam wydają nadobniejsze runa,
Bydło przynosi z pola pełniejsze wymiona,
Ziemia z wysoką lichwą powraca nasiona,
Pszczoła obficie robi miód droższy, niż złoto,
Pasma rolnicze ciągnąć nie śpieszy się Kloto?;
A kmiotek, często indziej smutny i ponury,
Tu wszystkie wesołością przechodzi Mazury.

Nie z najlepszości gruntów ta pomyślność płynie:
Nie zawsze w tej wesele mieszkało dziedzicze;
Lecz wspaniałością możne przechodzący pany
Nowe tych dóbr właściciel uczynił przemiany.
On tu pierwszy, zwracając swą względność na chaty,
Do ludzkiej wznosił godności podłych zwierząt braty;
On im wolności, on im przemysłu udziela,
Nie tyrana, lecz mają w panu przyjaciela...

¹ słowa «najczęściej bez cudu» zawierają w sobie cyniczną aluzję do nauki katolickiej o cudownej przemianie chleba i wina w Ciało i Krew Pańską, t. j. do nauki o Eucharystji. ² t. j. inwentarz roboczy długo żyje, bo jest dobrze odżywiany.

Pragną pyszne umysły mieć zwycięskie wieńce,
Podbić miasta, prowadzić za swym wozem jeńce;
Ale czyściejszą sławę ten odniesie w zysku,
Kto słabość od możniejszych zasłania ucisku;
Dopieroż ten dobrymi wart sercami władać,
Kto swym raczy swobodę niewolnikom nadać.

Swobodo! jakże twoje władne są sprzężyny!
Bez ciebie nieszacowna płodność Ukrainy,
Przez twoje zaś powaby żyznemi się stały
Bagniste piaski Fryzów¹ i Helwetów² skały.
Już tu twojej dzielności widać skutek miły:
Słodzisz prace, — powiększasz pracujących siły;
Wolna ręka, dobitniej składając zagony,
Bujniejsze od sąsiedzkich ciągnie z roli plony,
Kędy nieużyteczne krzewiły się wrzosi,
Buja teraz murawa, lub wznoszą się kłosa;
I, kędy wprzód szkodliwe legły się potwory,
Wzrok i smak wabią dary Pomony i Flory.

A kiedy się tych rzeczy odgłos wszędy szerzył,
Pobiegłem tam, abym je własnym okiem mierzył.
Gdzie, gdym wszystko roztrząsał, o wszystko się badał.
Jeden z ojców sędziwszy tak mi odpowiadał:

«Ta radość, którą zważasz, odtąd jest poczęta,
«Jak nas uciążające pan rozerwał pęta,
«Z własnej robimy woli, nie muszeni gwałtem.
«Raz w rok lekki podatek oddawszy ryczałem³.
«Każdy dla siebie działa, jak go myśl uniosła,
«Czy się chwyci rolnictwa, handlu, czy rzemiosła.
«Jeśli jakim przestępstwom należy przyganić,
«Nie ma dozorca mocy grzbietów naszych ranić.
«Między nami i panem gdyby zaszła sprawa,
«Obcemu⁴ ją sądowi pobożnie oddawa.
«A w naszej społeczności jeśli kto poblądzi,
«On go sam, ale pełny miłosierdzia, sędzi.

«Surowy tu jest przykaz bronić nas od szkody,
«Młodych uczyć i chorym obmyślać wygody.
«Wzrasta mnogość mieszkańców, bo się każdy ciśnie,
«Gdy mu takiego szczęścia nadzieja zabłyśnie:
«Leczonych, oświeconych i pewnych majątków
«Więcej będzie set ludzi, niż dawnych dziesiątków.
«Krzepi nasze ramiona i zdrowia nam doda
«Rządność, dostatek, trwała na czołach pogoda.
«Do tej dziedzie tutejszy muzyki przywyknął,
«Żeby sobie z nas każdy choć raz w tydzień krzyknął.
«Swymby wolał wygodom ująć naostatku,
«Niżli od nas nowego wyciągać podatku.

¹ Fryzja czyli Fryslandia (prowincja w Niderlandach).
³ hurtem, masowo. ⁴ t. j. nie patrymonjalnemu.

² Szwajcarja.

«Tu żyć, tu będzie lubo naszym spocząć kościom!
«Co wasz August ojczyźnie, nasz pan jest swym włościom».

Te piękne poglądy Trembeckiego na sprawę włościańską sprawiałoby mu większy jeszcze zaszczyt, gdyby się nie miało słusznego podejrzenia, że napisał *Polankę* jedynie w tym celu, aby się przypodchlebić możnemu panu, i że nie serce, nie święte oburzenie na niewolę chłopa wołało o jej zniesienie, lecz chłodny rozum: przecie Trembecki jasno zdawał sobie sprawę z nieobliczalnych szkód materialnych, jakie przynosi państwu dawny ustrój społeczny, a w tem przekonaniu umacniała go jeszcze współczesna literatura francuska, coraz głośniejsz domagająca się zmiany tego ustroju.

Trzeba bowiem wiedzieć, że ten hulaka, rozpustnik, człowiek bez serca namiętnie pochłaniał książki. «Czemu rzadko wychodzę? — pisał kiedyś do kogoś — oto dlatego, że najczęściej jestem w dobranem towarzystwie: po obudzeniu widzę się z Platonem, Cyceronem i Montaignem,... resztę dnia spędzam z Monteszkjuszem, z Janem Jakóbem,... czasem Wirgiljusz przychodzi,... czasem Lafontaine,... a wreszcie w wieczór zasypiam w tem samym łóżku z szanownym Homerem; iluż wielkich ludzi, starających się mnie rozzerwać! gdzie znajdę lepsze towarzystwo?» A nie tylko myślicieli i poetów czytywał Trembecki: zaciekawiała go medycyna i higjena, fizyka i botanika, geografja i archeologia, filozofja i historia, obyczaje i języki: «wszystko — pisał — w moje wchodzi cele, nad tem wszystkim zosobna piszę, i jedno drugiemu zawadza». Ale w tem sęk właśnie: jedno drugiemu zawadzało! Pragnął Trembecki posiąść wszystkie nauki, nie posiadał gruntownie ani jednej: był to typowy dyletant. Nie wziął do serca własnej rady, jaką dał raz jakiemuś niefortunnemu kaznodziei: «Szewcze, patrzaj kopyta, niech krawiec nie zmierza — mieszać się w należące czyny do kanclerza! — Jeżeli się duchowni zechcą flintą bawić, — nawzajem my pójdziemy msze za nich odprawić, — a inni, korzystając z naszego przykładu, — wyjdą także z obrębów, i nie będzie ladu». Otóż Trembecki, pragnąc umieć wszystko, nie patrzył swego kopyta: zaniedbywał swój talent poetycki, — tem więcej, że o sławę poetycką nie dbał: często nie przyznawał się nawet do ojcostwa swoich utworów i mydlił czytelnikom oczy rozmaitemi pseudonimami. Jedyny swój większy utwór (poemat opisowy p. t. *Soffjówka*) napisał już w starości; pozatem zaś rozpraszał swój talent na rzeczy drobne.

A szkoda, bo talent był duży, ukształcony, podobnie jak talent Krasickiego, nie tylko na poezji francuskiej, ale i na starożytnej, której duchem przejął się Trembecki tak mocno, jak nikt ze współczesnych, oraz na poezji polskiej XVI w., zwłaszcza na Kochanowskim.

Stylem Trembeckiego zachwycali się już współcześni, a najbliższa potomność podzielała te zachwyty. Zachwycił się sam Mickiewicz i naśladował Trembeckiego w swoich utworach młodzieńczych, zwłaszcza w wierszu «Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna», w *Zimie miejskiej*, i nawet jeszcze w *Wierszu do Lelewela*; a w *Panu Tadeuszu*, w wierszach: «Wy, klasyczne Tyburu spadające wody — i straszne Pauzylipu skaliste wydroże», Mickiewicz jakby składał hołd Trembeckiemu, w którego *Soffjówce* czytamy: «Kto gajów tuskulańskich smakował ochłody, — kto uwieńczał Tyburu spadające wody, — kto straszne Pauzylipu przebywał wydroże, — jeszcze i Soffjówce zadziwiać się może». Nie stracił Mickiewicz swego upodobania do jego stylu i później, jak o tem świadczą *Prelekcje paryskie*: «Pisarz naj-

bieglejszy i najbardziej skończony, jaki kiedykolwiek był w Słowiańszczyźnie», «...był prawdziwym Grekiem z czasów Peryklesa albo łacinnikiem z epoki Augusta; Słowianie z jego dzieł mogą mieć dokładne wyobrażenie o stylu starożytnych».

Jakoż styl Trembeckiego posiada niemałe wartości. Wprawdzie są w nim wyrażenia, które nas dzisiaj rażą, mianowicie częste przekładnie, nade wszystko wyszukane parafrazy, trącające stylem barokowym XVII wieku, np. «na powietrzu mieszczono spiże» (zamiast dzwony), «znak skończenia naszego» (zam. krzyż), «Lechowy świat» (zam. Polska), «w ustawicznej pławie kąpieli swe oko» (zam. płakać), «rozum błotne błędów znułają nianoski» (zam. rozum błądzi): ale, po pierwsze, niektóre peryfrazy są udatne i bardzo śmiałe, np. «wyzywać kły wieków» (zam. posiadać wiekuiłą wartość), «żaby Helikonu» (zam. wierszokleci); powtóre, są utwory, zupełnie od omówień wolne, posługiwał się bowiem niemi Trembecki tylko wtedy, kiedy chciał, żeby styl był uroczysty. Kiedy chciał, żeby był prosty, nietylko unikał wszelkiej retoryki, ale nieraz uciekał się do wyrazów gminnych, np. chyc, dyrdać, poszkapić, koś (konik), tatlać się, mazurek (wróbel). Nie unikał także wyrażen bardzo dobitnych i mocnych, np. «Pieniądz wszystko szafuje i rządzi na świecie, — choćby łeb Salomona niebo komu dało, — musi łapy polizać¹, gdy ma w trzosie mało». Rozkochany w dawnych autorach, «staropolskiego śledził moc języka» i powoływał do życia (może za przykładem Lafontaine'a) zapomniane wyrazy, np. duższy (większy), miąszszy (łęższy), sędzioł (szron), czarny korzeń (rżysko), żywięta (zwierzęta), podpisek (rejent), pienia (przewód sądowy), wartoleb (wartogłów), marnik (marnotrawca). Oprócz archaizmów, nie brak neologizmów (podobnie jak u głośnego poety francuskiego Delille'a), np. Człeko-Bóg (Chrystus), żyjątko; są i neologizmy humorystyczne, np. wdówkołów, współtata (teść). Wogóle był Trembecki mistrzem w posługiwaniu się nieprzebranemi skarbami języka ojczystego, miał, jak mówi Mickiewicz, «samowolną, ale szczęśliwą władzę nad mową»; miał na swoje rozkazy różne style — od poważnego, uroczystego, wzniosłego aż do lekkiego, żartobliwego, pospolitego. Raz ułożył nawet pieśń w gwarze ludowej, mianowicie mazurskiej; zaśpiewali ją Krakowiacy królowi w dwudziestą czwartą rocznicę jego koronacji: «...Poto przybyli — ci Krakowianie, — by Was zoczyli, — królu i panie!... — Nikt Was nie gani, — kuzdy Was sławi, — zeście kochani, — zeście łaskawi. — Pieknie pod Wami — bydło sie pasie, — w polu z Jonkami płasają Kasie... — Chcecie nam, wiemy, — zycia przydłużyć, — Wam też będziemy — tem zyciem służyć... Cy we cce chwile — cy przy napitku, — zycie lat tyle, — ile dziur w siłku».

Pomimo jednak tych wszystkich i innych jeszcze wysokich zalet stylu Trembeckiego, byłoby przesadą nie do darowania nazwać go poetą większym od Krasickiego, a to dla trzech przyczyn. Przedewszystkiem był to poeta bardzo nierówny. Wprawdzie i w poezji Krasickiego (jak wogóle każdego poety) są utwory lepsze i gorsze, ale tak wielkiej nierówności, jak w poezji Trembeckiego, niema: jeden z wielu jego współczesnych wielbicieli (który na początku XIX wieku, w epoce pseudoklasycyzmu, będzie uchodził za najznakomitszego krytyka w Polsce), Stanisław Potocki, słusznie o nim powie-

¹ jak głodny niedźwiedź.

dział, że, «jeśli się wznosi wysoko, często zwysoka spada, i rzadkimi są jego wiersze, gdzieby wraz nie był wielkim i marnym». Powtóre, poezja Trembeckiego nie ma ani tej żywości, ani tego humoru, co poezja Krasickiego; ma czasem dostojną powagę (np. w wierszu *Do moich współziomków*): cóż z tego, kiedy ta powaga płynie nie z uczucia (jak w *Świecie zepsutym* Krasickiego), tylko z intelektu! Wogóle poezja Trembeckiego nie posiada ani odrobiny tego serdecznego ciepła, które w poezji Krasickiego nieraz jednak bywa, zwłaszcza w śmiechu. Trembecki tymczasem nawet roześmiać się serdecznie nie umiał, i nie dziw: z próżnego i Salomon nie należy! Po trzecie, był Trembecki artystą dużej miary, ale nie umiał, przynajmniej w swoich oryginalnych utworach, zdobyć się na tę wdzięczną prostotę, jaką jaśnieje styl Krasickiego, nie umiał tak dobrze, jak Krasicki, «ukryć kunsztu», to jest świadomej pracy nad piękną formą — zarówno nad stylem, jak nad wierszem, który bywa wprawdzie dźwięczny, odznacza się mocnym, jakby wyrąbanym rytmem, ale (znowu — w utworach oryginalnych) nie ma swobody. Poezję Trembeckiego nazwać można raczej «skutkiem kunsztownej pracy», aniżeli «darem przyrodzenia», i dlatego stanie się jej niewielka krzywda, kiedy się ją nazwie poezją bez poezji.

140. W pełnym swoim blasku zajaśniało władztwo Trembeckiego nad językiem i stylem w niektórych jego przekładach, zwłaszcza w tłumaczeniu komedji Woltera *Syn marnotrawny* (1780), oraz w bajkach. Napisał ich Trembecki niecałe piętnaście, ale stanowią one wspaniałą ozdobę poezji stanisławowskiej i bajkopisarstwa polskiego. Wszystkie są narracyjne. Największą wartość posiada osiem bajek, ogłoszonych w roku 1776 w *Zabawach przyjemnych i pożytecznych*. Są to wprawdzie przekłady z Lafontaine'a («Zdrojowicza», jak go żartobliwie nazwał Trembecki), tu i owdzie tylko uzupełnione własnymi dodatkami tłumacza: ale styl i język jest nawskroś oryginalny. Bajki te nie tylko odznaczają się, jak bajki narracyjne Krasickiego, prostotą i swobodą opowiadania, ale nadto są skończonymi arcydziełami tak rzadkiej w owoczesnej poezji obrazowości i niezmiernie wyrazistej charakterystyki zwierząt; tak np. w bajce *Myszka, kot i kogut* przepysznie odzwierciedlają się w postaci młodej myszki właściwe wiekowi dziecięcemu naiwność i niedoświadczenie. Szczęśliwe zaś posługiwanie się wyrazami, wziętymi z żywej mowy polskiej, i to z mowy zarówno warstw ukształconych, jak prostego ludu, nadaje bajkom Trembeckiego charakter wybitnie polski, którego bajki Krasickiego nie mają. To też Mickiewicz naśladował w swoich bajkach Trembeckiego, nie Krasickiego.

**Myszka, kot
i kogut.**

Coby to była za szkoda!

«O kasek nie zginęła jedna myszka młoda,
Szczera, prosta, niewinna! Przypadek ją zbawił.
To, co ona swej matce, ja wam będę prawił.
«Rzuciwszy naszych pieczarów głąbiny,
«Dopadłam jednej zielonej równiny,
«Dyrda ją c, jako szczurek, kiedy sadło śledzi;
«Patrzę, aliści dwoje żywiąt siedzi:
«Jeden z nich trochę dalej z milczeniem przystojnem,
«Łagodny i uniżony;
«Drugi zaś zdał mi się być burdą niespokojnym:
«W żółtym bucie z ostrogą chodził napuszony,

«Ogon zadarty do góry,
«Lśnięciami błyskotał pióry,
«Głos przeraźliwy, na lbie mięsa kawał,
«Jakby go kto powykrawał.
«Ręce miał, któremi się sam po bokach śmigał,
«Albo na powietrze dzwigał.
«Ja, lubo z łaski boskiej dosyć jestem śmiała,
«Ażem mu srodze nakłena,
«Bo mnie z strachu drżączka wzięna,
«Jak się wziął tłuc z tartasem obrzydły krzykała;
«Uciekłam tedy do jamy.
«Bez niego byłabym się z zwierzątkiem poznała,
«Co kożuszek z ogonkiem ma tak, jak my mamy.
«Minka jego nie nadęta,
«I, choć ma bystre ślipięta,
«Dziwnie mi się z skromnego wejźrzenia podobał.
«Jak nasze, taką samą robotą ma uszka.
«Mój duszka!
«Szłam go poiskać, lecz mi zabronił ten drugi
«Tej przyjacielskiej usługi,
«Kiedy nagłego narobił kłopotu,
«Wrzasnąwszy do mnie z fukiem: kto to tu! kto to tu?»
— «Stój — rzecze matka — córko moja luba!
«Aż mrowie przechodzi po mnie:
«Wiesz li, jak się ten zowie, co tak siedział skromnie?
«Kot bestyja, narodu naszego zaguba!
«Ten drugi był to kogut; groźba jego pusta.
«I przyjdą może te czasy,
«Że z jego ciała będziem jeść frykasy,
«A zaś kot nas może schrusta!
«Strzeż się tego skromnisia, proszę cię jedynie,
«I tę zdrową maksymę w swej pamięci zapisz;
«Nie sądź nikogo po minie,
Bo się w sądzeniu poszkapisz». —

Koń i wilk.

Onego czasu, gdy Zefir ciepawy
Sędzioly zmiatal i odmładzał trawy,
Gdy poczynało karmy brakować w stodole,
Poszły bydłeta żywić się na pole.
Pewny wilk także wtedy spacerem chodził,
Który się całą zimę rozmyślaniem bawił,
Wielki post wiernie odprawił,
Przez co się wielce wyglodził.
Po zejściu więc skorupy, bieżąc koło błonia,
Ujrzał na czarny korzeń puszczonego konia.
Co za radość! Lecz chudziak, bojąc się nie sprostać:
«Szczęśliwy — rzecze — ktoby ciebie schrupał!
«Ej! czemu ty nie baran? byłbym cię już łupał,
«A tak muszę frantować², ażeby cię dostać:

¹ hałas. ² szachrować.

«Frantujmyż!» Bierze zatem ułożoną minę,
«Stąpa z partesów¹, naksztalt karmnego prałata,
Powiada się być uczniem Hipokrata,
Ziółek szukanie kładzie za drogi przyczynę,

Których zna moc i własności.

I chce oddać usługę Jego Końskiej Mości,
Gdy paść się tak, nie będąc wiązany na linie,

Znaczy słabość w medycynie,

Lekarstwo tedy *gratis*² oświadcza mu z duszy.

Pan ogierowicz (nie w ciemiego bito!):

«Mam — rzecze — uczciwszy uszy,

«Sprośny wrzód, który mi się zakradł pod kopyto».

«Nie troszcz się, moje dziecię! — jeśpan medyk mówi —

«Z skutecznych leków wzrosła moja sława;

«Każemy się wnet ustąpić wrzodowi,

«I cyrulictwo bowiem jest moja zabawa».

Tymczasem ztyłu zachodzi

Rzkomo³ nogę oglądać, a do brzucha godzi.

Zwąchnął koś i nie chce tego czekać losu:

Podnosząc nogę ochotnie,

Z całej siły jak go grzmotnie,

Z paszczy narobił bigosu.

«A u! — zawył wilk — a u! jakżem głupszy jest od osła!

«Chciałem się bawić zielnikiem,

«Będąc z natury — rzeźnikiem...

«Niechby każdy pilnował swojego rzemiosła!»

**Wilk
i baranek.**

Racja mocniejsza z a w d y lepsza bywa.

Zaraz wam tego dowiodę!

Gdzie bieży krynica żywa,

Poszło jagniątko chlipać sobie wodę.

Wilk, tam naczczu nadszedłszy, szukając napaści,

Rzekł do baraniego syna: — «I kżóto zaśmielił waści,

«Że się tak wazysz mącić mój napitek?

«Nie ujdzie ci bez kary tak bezecna wina». —

Baranek odpowiada, drżąc z bojaźni wszytek:

«Ach, panie dobrodzieju! racz sądzić w tej sprawie

«Łaskawie!

«Obacz, że niżej ciebie, niżej stojąc zdroju,

«Nie mogę mącić pańskiego napoju».

— «Cóż! jeszcze mi zadajesz kłamstwo w żywe oczy?

«Poczekaj, języku smoczy!

«I tak rokeś⁴ mię zelżył paskudnemi słowy!» —

«Cysiam⁵ jeszcze... i na tom poprzysiąc gotowy,

«Że mnie przeszłego roku nie było na świecie».

— «Czy ty, czy twój brat, czy który twój krewny,

«Dość, że tego jestem pewny,

«Że wy mi honor szarpiecie:

«Psy, pasterze i z waszą archandyją⁶ całą

¹ poważnie. ² darmo. ³ rzekomo, nibyto. ⁴ przed rokiem. ⁵ ssać.
⁶ gawieź, zgraja.

«Szczekacie na mnie, gdzie tylko możecie:
«Muszę tedy wziąć zemstę okazałą».

Po tej skończonej perorze
L a p e s, jak swego, i zębami porze.

141. Z oryginalnych utworów Trembeckiego zasługują na wyróżnienie wierszyki ulotne, oraz listy i odezwy poetyckie.

Wierszyki ulotne należą przeważnie do poezji anakreontycznej, którą nazwano tak od poety greckiego Anakreonta (w VI wieku przed Chrystusem), śpiewaka radości życia: nadewszystko miłości i wina. Miał on już w czasach starożytnych wielu naśladowców, i w Grecji, i w Rzymie; w czasach nowszych naśladowano i jego samego, i jego naśladowców już w XVI wieku, czego najpiękniejszym dowodem w Polsce są niektóre fraszki Kochanowskiego. Lecz rozkwit poezji anakreontycznej czyli anakreontyków przypada dopiero na wiek XVIII, nasamprzód we Francji, a później, pod wpływem Francji, w całej Europie. Czar i potęga miłości, wdzięki kobiece, różne przygody Kupidynka, uczyty i zabawy — oto główne tematy tych piosenek i wierszyków, które przez swoją lekkość i żywość przyczyniły się niemało do udoskonalenia formy poezji, mianowicie do jej wyzwolenia z pod jarzma dawnej przesady barokowej i sztywnej, a sztucznej powagi pseudoklasycznej. Ołóż Trembecki, obdarzony bardzo giętkim talentem, umiał doskonale wyzbywać się sztuczności stylu i tworzył wdzięczne anakreontyki; można do nich, oprócz piosenek o Kupidynku, zaliczyć wierszyk na cześć pani Kossowskiej, głośnej piękności warszawskiej, w której się wszyscy nazabój kochali, z którą książę Józef wywijał kozaka, a poważni dyplomaci grywali w karty. Widywał ją tańczącą na pokojach królewskich mocno już podstarzały Trembecki, oblizywał się na ten widok i w strofach, pełnych ruchu i polotności, złożył w hołdzie uroczej damie swój zachwyt nad jej urodą i zgrabnością, oraz swoją mocno spóźnioną ciekawość.

Kupido pokorny.

«Wara, chłopcze, bo cię zranię,
«Strzałki do jednej połamę
«I na większe ukaranie
«Ugodzę cię w piersi same.
«Piórka z skrzydełek wyskubię,
«Sajdaczek na popiół spalę,
«Wreszcie samego oczubię
«I nawet się nie uzalę».
Takem łajał, takem fukał
Na chłopczyka, co, mnie zbliśka
Stojąc, czegoś w rzeczy szukał¹,
Ażebym ujęć pośmiewiska.
Rączki mu nadół opadły,
Nosek zwiesił, oczki spoił;

Jagodki mu obie zbladły,
I minę smutną nastroił.
Potem, wzroczek wznioślszy miły:
«Jeżelim ci jest na zdradzie,
«I jeżeli masz dość siły,
«Bij mnie». To rzekłszy, się kładzie.
Waham się, nie wiem, co robić,
Tak mię zmiększył, tak mię strwożył...
Jakże tu go było obić,
Kiedy mi się sam położył?
Wtem z krzaczka róż ułamalem
Gałązkę cienką i małą.
Tą bijąc, jeszcze się bałem,
Żeby go nie zabolalo.

¹ t. j. udawał, że czegoś szuka (tak był zakłopotany i strwożony).

Kupido.

Chłopczyk z rączką uzbrojoną
Skoczył mi był raz na łono
I, złapawszy mnie za szyję,
Ukazał strzałeczek dwoje:
«Wiesz, kogo niemi przeszyję?
«Temiry serce i twoje!»

«Na mnie nie potrzeba strzały:
«Dwie nadto, chłopczyku mały!
«Jest inny sposób w twej sile:
Oto bież do okrutnicy!
«Ja tam przybędę za chwilę:
«Czekaj mnie na jej żrzenicy!»

Do Kossowskiej w tańcu.

Cóż to za lube natury dzieło
Wdzięcznym się zrywa w tany podsko-
Cóż to za bóstwo igrać zaczęło [kiem?
I świat czarownym bawi widokiem?

Lud się zgromadza cały w zdumieniu,
Widząc piękności i wdzięków dziwy;
Kupid, wzdychając zdala w milczeniu,
Próżno zaostrza swoje cięciwy.

śliczna z postaci, żywa jak lania,
Oczki jak zorze, usta w rubinie,
Z rączym się wiatrem w tańcu ugania,
Chwyta za serce, kto się nawinie.

Nózki się ledwo widzieć pozwolą
I tylko czasem tykają ziemi,
Wszystkie w niej członki razem swawolą,
A Zefir igra z szaty wiotkiami.

Zefir, który sam godzien zazdrości,
Bo wszystkie jego chęci spełnione,
Najtajemniejsze widzi skrytości,
Całując zawsze usta pieszczone.

Gdy się na zwrocie nieco zawinie
Lotny fartuszek albo spódniczka,
Ledwo z chciwości oko nie zginie,
Żeby obaczyć chociaż trzewiczka.

Daremna chluba, Gracyje, wasza,
Że Olimp swemi pląsy dziwicie:
Ta to na ziemi Kossowska nasza
Umie śmiertelnych zabawić życie.

Do malowania widoku tego,
Jaka jest kształtność i wdzięk oblicza,
Pióro zostawiam dla Krasickiego,
Pędzel malarski dla Smuglewicza ¹.

Lecz, to im zdając, słuszną mam trwogę
I, ta robota nim jest skończona,
Uczynić muszę wczesną przestrożę:
Bójcie się losu Pigmalijona ².

Mistrzem był także Trembecki w pisaniu złośliwych, ciętych epigramatów, z których jeden zawiera w sobie myśl poważną a bolesną, wyrażoną zwięźle i mocno.

**Nagrobek
kmiotka.**

Tu leży ten, co karmił oświecone pany,
W prostej z darnia mogile, ubogi poddany.
Nie lże nad nim nagrobek, a następca dumny
Nie wsparł urny kruszcowej drogiemi kolumny;
Pochowany ubogo na wzór innych kmieci;
Oplakała go żona, oplakały dzieci;
Pamięć jego nazwiska zginęła zapewnie.
Gdyby był, jako pan, kradł, wisiałby na drewnie...

¹ Franciszek Smuglewicz (1745—1807), znakomity malarz za St. Augusta.
² Pigmaljon, mityczny król Cypru i znakomity rzeźbiarz, rozkochał się w wyrzeźbionym przez siebie posągu kobiety, który Afrodyta, na jego prośbę błagalną, zamieniła w żywą istotę; (opowiada o tem Owidjusz w «Metamorfozach»).

Znaczna część listów poetyckich Trembeckiego ma charakter poważny; listy żartobliwe, np. *Do Jasia o fryzowaniu* (o niezmiernej doniosłości tej sztuki dla ludzi i o jej wielkiej różnaitości) należą do wyjątków. Przez poważny ton podobne do listów poetyckich Krasickiego, pozatem różnią się od nich mocno. Krasicki często zabarwiał listy pierwiastkiem satyrycznym, Trembecki — bardzo rzadko, nie lubił bowiem satyr: w liście *Do Imć Pana Miera, mieszkającego na usi* (przeciwstawia tu proste rozkosze wiejskie wykwiom miejskim, co będzie naśladował Mickiewicz w *Zimie miejskiej*), mówi otwarcie, że nie lubi pisać satyr: «zamysł taki — mojej nie zdobi wesołej liry, — innym, gorzkawe lubiącym smaki, — zostawiam nudne pisać satyry». Wolał smaki słodkawe, więc kadził ludziom, ile wlało — i to druga różnica między listami jego a Krasickiego. W pochwałach i komplementach jest mistrzem: «Mam ja serce z kamienia, lecz ty masz z magnesu», pisał do jakiejś uroczej Irydy. A do Krasickiego: «Nie ty gonisz za sławą, lecz za tobą sława». Często jednak przebiera w kadzidłach wszelką już miarę, zapewniając np. króla, że «starzy i wiek wątpliwy, i młodzieży roje — podwójne życie biorą przez wejrzenie twoje»; albo: «Jedno miał takie serce Bóg, drugie dał tobie». Dalej chyba pochlebstwo pójść nie może.

W liście do Krasickiego p. t. *Gość w Heilsbergu* prawdę mówi Trembecki: «A cnej pisania sztuki z dowcipem i gustem — tyś pierwsze dał przykłady pod naszym Augustem»; ale kłamie, i to zupełnie świadomie, może nawet śmiejąc się w kułak, kiedy pisał: «Z ciebie miał Kościół polski podporę niezmierną, — z ciebie senat ozdobę i król radę wierną»; wiedział przecie doskonale, że to nieprawda! Jeszcze beczelniej brzmi pochlebstwo: «Gdy nasze dziela dobro sąsiedzkie narody, — ciebie wzięcie za czwarte rachujemy szkody», to znaczy, że przymusowe poddaństwo pruskie Krasickiego, jako biskupa ukradzonej przez Prusaków diecezji warmińskiej, jest dla Polski równie bolesnym ciosem, jak pierwszy rozbiór!! Może śmiał się także Trembecki, pisząc w zakończeniu: «A jeśli trąba Marsa w pole nas wywoła — krwią, potem i kurzawą zdobić chlubne czoła, — pójdziem chętnie na trudy, na najsrozsze boje, — o miłości ojczyzny nucąc hymny swoje». Słowa piękne, ale czy Trembecki w nie wierzył, a przedewszystkiem czy sam się wybierał «na trudy, na najsrozsze boje»? Nie można go natomiast posądzić ani o kłamstwo, ani o nieszczerłość, kiedy w liście do *Irydy* pisał: «Nie bądź nadto cnotliwa, będziesz doskonała!...»

Lecz obok pochlebstw jest w listach poetyckich Trembeckiego sporo rozumnych i pięknych myśli, np. w liście *Do Rybińskiego, biskupa kujawskiego*: «Dwojakim dostojeństwa ozdobiony znakiem, — siedzisz między pralaty, między senatory, — a gdy zajdą kościelne i ojczyzny spory, — pomnij, że, niż kapłanem, wprzód byłeś Polakiem!» A oto inna jeszcze rada, dana temuż biskupowi, żeby zakazał podwładnym sobie księżom bredzić na kazaniach: «A roztropnie zakażesz, niech pleban nie bredzi, — wiele dni spadał Anioł, z Olimpu strącony, — jakim kamieniem błyszczą empirejskie trony, — w co duchy patrzą, kiedy Bóg na główkach siedzi: — Chrystus swym uczniom o tem nie raczył powiedzieć, — ani nam Paweł w żadnym nie wspomina liście, — lubo był za żywota w niebie osobiście: — snadź takowych skrytości nie przystoi wiedzieć!» I jeszcze: «Nie ujrzy raj, kto jest złym obywatelem».

Nie brak także w listach poetyckich rozumu politycznego, co je także odróżnia od listów unikającego polityki Krasickiego. Zwłaszcza rozumne są

listy, pisane podczas wielkiego sejmu, a popierające politykę królewską i mądrze ostrzegające naród przed przymierzem z Prusami. Szlachetnością i siłą wysłowienia, oraz powagą tonu, jakiejby się sam Kochanowski nie powstydział, odznacza się wspaniała odezwa *Do moich współziomków*, pełna zrozumienia niezwyklej ważności chwili dziejowej i ogromnej odpowiedzialności zgromadzonych dla ratowania ojczyzny posłów.

**Do moich
współ-
ziomków**
(w skró-
ceniu).

Mądry Polak po szkodzie, — już były te szkody!
Dziś na nas obrócony wzrok mają narody:
Lub nas rządnych, przezornych, czynny świat pochwali,
Lub nad chcącymi ginąć nikt się nie użali!

Nigdy dobrańszych posłów nie miała Warszawa;
Ich cel — ojczyzny dobro, ich nagroda — sława!
Ale, jeśli na sporach czas wycieńczą marnie,
Jeśli wzgląd osobisty serca ich zagarnie,
Jeśli granic obrony silnej nie wyznaczą,
Jeśli jeszcze i tacy na swe zyski baczą,
Jeśli ta góra wielka śmieszna myszkę zlegnie¹:
Już mnie o szczęściu Polski nadzieja odbiegnie.

Kto pragnie pospolite opatrzyć pożytki,
Nieprzyzwoite smutnym niech wytepi zbytki!
Gną się stoly pod srebrem, w galonach lokaje,
Tłoczą nam sok Bachusa Hotentotów kraje,...
A bracia nieobronni w srogiej jęczą doli,
Wolność nasza na obcej gruntuje się woli.
Ojczyzno uszczerbiona! O sławo! po tobie
W najgrubszejby nam chodzić przystało żalobie!
Niech wzgardza obywatel te kosztowne szaty,
Te zgraje służebników, ten pozór bogaty!
Nieludzko nas obdarli opiekuni srodzy:
Nie udajmy bogaczów, kiedyśmy ubodzy!

Jedni frantostwem, drudzy przez użycie wiosła,
Inni dostatki ciągną z handlu i rzemiosła:
My, na szrodku żelaznej wychowani ziemi,
Umiemy kuć orężę, zręcznie władać niemi.
Można z żelazem w rękę zniżyć krytych złotem,
Więcej krwią w roku nabyć, niż ci w sto lat — potem.

Póki u młodych orląt dziób jest niedojrzały,
Póty ich baczny ojciec nie puszcza ze skały;
Ale, gdy jego dziatwie z kończącą się wiosną
Dłuższe pióra stężeją i szpony odrosną,
Sam ich uczy lot śmiały czynić nad obłoki,
Niebezpieczeństwem gardzić, rzucać się na smoki

¹ wydać na świat; było już w starożytności przysłowie: «Rodzą góry, rodzi się śmieszna mysz».

Póki nas oszpecały gnuśność, zdania gminne,
Obrzydliwe pijaństwo, przesady dziecinne, —
Wpóśród mocarstw ogromnych zamknięci, jak w matni,
Do dania im odporu nie byliśmy zdadni.
August raczył powszechniej światło rozprowadzić
I myśleć nas nauczył, i po trzeźwu radzić;
I ta jest między nami najdzielniejsza młodzież,
Co nosiła wojenną jego szkoły odzież.
Tworzy nam w sercach siłę, do męstwa zachęca,
Do obrony ojczyzny nadgrodamy znęca.
Jak poważa w rycerskie wstępujących ślady,
Pamiętne na Kraszewskim znaleźmy przykłady: ε
Ni go zasługa inna, ni go przymiot zdobył,
Za ranę dla ojczyzny król go możnym zrobił¹.

Kiedy się już pomyślnie zbliżają nadzieje,
Obraz nam dają wojny marsowe turnieje²:
Jeśli na tych igrzyskach publiczne przyklaski
I królewskie zyskali przodkujący łaski,
Cóż dopiero za chwałę każdy czynny zyska,
Gdy będziemy ołtarze bronić i ogniska!

Ku broni kierowany, żeby duch nie stygnął,
August naszego posąg bohatera³ dźwignął.
Między starożytnymi Achiwów⁴ zaszczyty
Stał obraz Aleksandra, przez Lizypa ryty;
Gdy w jego rozważaniu Cezar się zatopił,
Szlachetne zawistnemi lice łzami skropił.
Bogdaj podobna zawiść w nas była widziana!
Idźmy ten uczyć posąg walecznego Jana,
A przed nim na dobyte przysiążmy pałasze
Za niepodległość kraju żyć gardła nasze!...

I znowu — słowa śliczne, ale jakos dziwnie brzmiące w ustach Trembeckiego: on, dworak i rozpustnik, budzi w narodzie ducha rycerskiego, on, wielbiciel Katarzyny II i późniejszy przyjaciel targowiczanina Potockiego, nawołuje do walki w obronie ojczyzny! Wszystko to komedia, ale odegrana świetnie, ładująca pozorami szczerego uczucia miłości ojczyzny. Mimowoli przypominają się słowa Krasieńskiego: «Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty sam nie jesteś pięknością».

142. Odrębne stanowisko wśród utworów Trembeckiego zajmują trzy poematy opisowe, wszystkie pisane wierszem trzynastozgłoskowym: krótka, obejmująca niecałe sto pięćdziesiąt wierszy, *Polanka czyli poema wiejskie*, nieco dłuższe (przeszło dwieście wierszy) *Powązki, idylla*, i najdłuższa (przeszło pięćdziesiąt wierszy) *Sofijówka*, w sposobie topograficznym opisanym wierszem. Pierwsze dwa poematy powstały przed rokiem 1782, w którym to De-

¹ generał Kraszewski, regimentarz wielkopolski, stoczył bitwę z Prusakami, wkraczającymi w granice polskie dla dokonania pierwszego rozbioru. ² ćwiczenia wojskowe uczniów Szkoły Rycerskiej. ³ St. August postawił w Łazienkach pomnik Sobieskiemu. ⁴ Grecy.

lille ogłosił swój liczący trzy tysiące wierszy zgórą poemat opisowy *Ogrody*, przez długie lata podziwiany w całej Europie. Tak więc Trembecki, pisząc dwa pierwsze poematy, nie mógł się jeszcze wzorować na Delille'u, ale w *Soffjówce*, napisanej dopiero w roku 1806, już się na nim wyraźnie wzorował, i to nietylko pod względem kunsztownego stylu, ale i w niektórych drobnych szczegółach treści. Tak np. owe wiersze o gajach Tuskulańskich i o Tyburze, których echo słyhać w *Panu Tadeuszu*, zawdzięcza Trembecki poecie francuskiemu.

Wszystkie trzy poematy «opisowe» mają tę wspólną cechę, że... opisów jest w nich bardzo niewiele: przeważają różne osobiste uwagi autora nad życiem ludzkim (pierwiastek refleksyjny), pochlebstwa wobec możnych tego świata (pierwiastek panegiryczny), tudzież drobne opowieści o wymyślonych zdarzeniach (pierwiastek epicki). A jeżeli pomimo to wolno te utwory zaliczyć do poezji opisowej, to dlatego, że ich punktem wyjścia jest opis — czy to Powązek pod Warszawą, folwarku księżny generalowej Czartoryskiej, czy Polanki, włości księcia Stanisława Poniatowskiego, czy to Soffjówki czy Zofjówki, owego wspaniałego parku, który Szczęsny Potocki założył w malowniczej dolinie pod Humanem dla swojej żony, Greczynki Zofji, słynącej zarówno nadzwyczajną urodą, jak rozpustą. We wszystkich zresztą trzech poematach opisy są stroną najslabszą, jako pozabawione — inaczej, niż opisy Delille'a — i barw, i perspektywy i, co zatem idzie, krajobrazu.

Najbardziej podobała się ludziom *Soffjówka* — do tego stopnia, że w swoim czasie (przez lat kilkanaście po jej ukazaniu się) uchodziła za arcydzieło poezji; Mickiewicz nietylko napisał do niej znakomite objaśnienia, ale nawet, jak wieść niesie, przekładał ją heksametrem łacińskim. Dziś to «arcydzieło» wydaje się nam naogół zimmem, a nawet martwym; *Polanka* i *Powązki* mają więcej życia i dużo więcej prostoty. Jeżeli w którym utworze nie umiał Trembecki «ukryć kunsztu», to nadewszystko w *Soffjówce*, może dlatego, że pisał ją już w starości, kiedy «dar przyrodzenia» zanikał; dosyć, że z żadnego innego utworu «kunszt» tak wyraźnie nie wyłazi na wierzch. I to nam właśnie tłumaczy owe zachwyty nad *Soffjówką* w pierwszych latach XIX wieku, to jest w epoce pseudoklasycyzmu, kiedy to, z jednej strony, poezja opisowa była bardzo modna, a z drugiej, szukano w poezji nie natchnienia, tylko nadewszystko kunsztownej rzeźby wiersza i stylu, choćby okupionej brakiem prostoty.

Zaczyna się *Soffjówka* od apostrofy do Ukrainy, jako kraju, płynącego teraz mlekiem i miodem, a dawniej trapionego straszniemi wojnami; pokój i szczęśliwość dała mu dopiero «Katarzyna, przez czyny nieśmiertelna swoje»: «wygnała barbarzyństwo, rzeczy postać inna, — i obfita ziemica jest, czem być powinna» (!!). Następuje pochwała Szczęsnego Potockiego, którego zasługi dla kraju obiecuje Trembecki wypisać «na osobnej karcie», poczem opowiada zmyślone zdarzenie: polował kiedyś Potocki w lasach tulczyńskich na niedźwiedzia, ale, zamiast niedźwiedzia, spotkał Kupidyna, który, zraniwszy mu serce, zapowiedział, że się ożeni (Potocki, nie Kupidyn, ani niedźwiedź) z uroczą Zofją i kazał na jej cześć «niezgrabne jary» zamienić w «rozkoszne sady». Po tym wstępie zaczyna się opis Zofjówki, któremu Trembecki, wiedziony szczęśliwym pomysłem, nadaje postać opowiadania. Oto on sam, poeta, ogląda wszystkie cuda parku — gaiki, grotty, skały, posępne grobowce dzieci Potockiego i gmach Tetydjon. Dlaczego ten

gmach ma takie «zwisko», tłumaczy pocie Metzel (kapitan artylerji, który kierował pracami nad parkiem): oto w tem miejscu Peleusz napadł gwałtownie na Tetydę i poślubił ją. Wysłuchawszy tej historii (opowiedzianej, jak przystało na Trembeckiego, z widoczną lubością i dlatego nie bez życia), poeta siada w łódkę i płynie podziemnym kanałem na wysepkę Anticyrce, nazwaną tak przez przeciwieństwo z wyspą, na której niegdyś Cyrcę Homera zamieniała ludzi w wieprze; tymczasem na tej wysepce zwierzęta tracą swoje cechy zwierzęce: tygrys pozbywa się okrucieństwa, małpeczka — brzydoty, wieprz — łakomstwa¹ i t. d. (Cały ten wysiłek «kunsztu» podjął Trembecki w tym celu, żeby pokazać, jak szlachetna atmosfera panuje na dworze magnata-targowiczana i jego żony-ladacznicy!). Na wysepce pije poeta wodę ze strumyka, zachwyca się jej smakiem i oburza na tych, którzy, zamiast wody, używają szkodliwych napojów, ale pociesza się, że pod opatrnościowemi rządami cesarza Aleksandra nałóg pijaństwa na Ukrainie zniknie, że teraz dopiero będzie się krzewiła oświata wśród ludu, który stanie się wreszcie godnym swoich wielkich przodków-Scytów (!). Od strumyka podąża poeta na «wybrańszemi drzewami opasane pole», zwane Szkołą Ateńską, i tu przysłuchuje się «z zadumieniem prostaczem» rozmowie dwóch «szkolnych atletów». Przez ich usta wypowiada Trembecki własne poglądy na naturę i życie ludzkie, albo raczej nie własne, tylko zaczerpnięte z filozofji poety rzymskiego Lukrecjusza, autora poematu *O rzeczywistości*², i myśliciela greckiego Epikura). Lecz od rozmowy filozoficznej poeta ucieka, żeby «pachnących czerpać rozkosz borów»; poczem przypatruje się robocie nad obeliskiem: «Komu on wystawiony, świadczy napis ryty: — «Wnuk Diony dla czwartej wystawił Charyty?»³ Opis grobowca, w którym spoczyna kiedyś zwłoki Potockiego (poeta nie chce o tem myśleć!), opis kaskady, oraz strzelisty komplement dla Zofji kończą poemat, za który Potocki zgóry wypłacił Trembeckiemu dwa tysiące czerwonych złotych.

Ukraina.

Miła oku, a liczny rozżywiona plodem,
Witaj, kraino, mlekiem płynąca i miodem!
W twych łąkach wiatronogów rżące mnóstwo hasa,
Rozroślejsze czabany⁴ twe błonie wypasa.
Baran, którego twoje utoczyły ziola, —
Ciężary chwostu jego nosić muszą koła⁵.
Nasiona, twych wierzone bujności zagonów,
Pomnożeniem dochodzą babilońskich plonów.
Czernią się żyzne role, lecz bryły tej ziemi
Krwia przemokły, stłuszczone ciała podartemi.
Dotąd jeszcze wieśniaczą grunt sochą rozjęty
Zębce słońców i perskie wykazuje szczęty⁶.
W tych gonitwach, od obcych we śródku poznany⁷,

¹ W przypiskach tłumaczy Trembecki, że tygrys znaczy okrutnika, małpeczka — «ckliwego naśladowcę», wieprz — łakomstwo; (Mickiewicz objaśnia, że małpeczka to kocietka, a wieprz — próżniak). ² «De rerum natura». ³ Diona — matka Afrodyty, a więc babka Kupidyndy; Charyty — trzy towarzyszkii Afrodyty, czwartą jest Zofja Potocka. ⁴ wół rosły. ⁵ Mickiewicz objaśnia: «W głębszych stepach ukraińskich znajduje się gatunek baranów wielkich, którym gospodarze dla ulżenia ciężaru ogony na kolach uwiązują zwykli». ⁶ szczątki; ma tu autor na myśli wojny Persów ze Scytami. ⁷ t. j. zdobytych od obcych, którzy się aż do śródka przedarli.

Szesnaście¹ potem razy kraj odmienił pany;
W nim najsrozsze z Azyją potyczki Europy,
W nim z szlachtą wielokrotnie łamały się chłopy.
Przeszły więc niwy w stepy, a trawa bez kosy
Pokrewne Pitonowi² mnożyła polosy³.
W leciech niższych⁴, otwartej acz nie było wojny,
Utrapiał Ukrainę pokój niespokojny:
To siczowe⁵ nachody, to Tauryckiej Ordy
Zdradne zawsze nad karkiem strzały, spisy, kordy...

Katarzyna, przez czyny nieśmiertelna swoje,
Gdy zniosła Zaporoża i Krymu rozboje,
Odtąd dopiero każdy swojej pewien własci⁶,
Pod zbrojnym żyje prawem, wolny od napaści;
Wygnała barbarzyństwo: rzeczy postać inna,
I obłita ziemica jest, czem być powinna.

Kaskady.

Pójdę tam, gdzie gwałtownym rzeka lecąc szumem,
Gdy słuch zaprzęta brzękiem i wejźrzenie bawi,
Zbyt ściśnionemu sercu jakąś ulgę sprawi.
Dostatek, moc przemysłu i sztuka rzemiosła
Bliższe wody ściągnęła, złączyła, podniosła;
Z nich kanały, fontanny, z nich obrusy szklane
Płyną, skaczą i błyszczą, pod wagą rozlane.
Ale przemogła inne ogromna kaskada,
Którą od siebie większa Kamionka wypada⁷.
Rozścielać się, nurkować, czy piąć się na glazy,
Wzięte posłuszna Nimfa⁸ dopełnia rozkazy
I, mimo praw swej równi⁹, służąc do igrzyska,
Albo ryje otchłanie, albo w obłok tryska.

Zakończanie.

Kto gajów Tuskulańskich¹⁰ smakował ochłody,
Kto uwieńczył Tyburu¹¹ spadające wody,
Kto straszne Pauzylipu¹² przebywał wydroże,
Jeszcze i Sofijówce zadziwiać się może —
I wyzna, jeśli szczerłość usty jego włada:
«Czem tamte w częściach slyną, ta razem posiada!»
Ważąc pracy niezmierność i zdobienie liczne,
Rzeką późni: «Było to dzieło monarchiczne!»
Lecz to miejsce, Sofijo, więcej zdobisz sama.
Podobniejsza niebiankom, niż córkom Adama:
Ciebie tu spuścił Olimp, chcąc trudy nagrodzić
I chcąc takiego męża ważne troski słodzić.
Godne są w jego domu wiek utwierdzać złoty
Twe wdzięki, twe piękności, twe łagodne cnoty;

¹ t. j. kilkanaście. ² straszliwy wąż, zabity przez Apollona. ³ wąż ogromny. ⁴ t. j. w czasach późniejszych. ⁵ kozacki. ⁶ własność. ⁷ Mickiewicz objaśnia: «Rzeczka Kamionka rozszerzonem korytem spada w kształcie kaskady, jest więc przy ujściu większą od siebie, od swego zwyczajnego koryta». ⁸ t. j. woda. ⁹ równowaga. ¹⁰ Tusculum (dziś Frascati) — miasteczko pod Rzymem. ¹¹ Tybur — dziś Tivoli. ¹² Pauzylip — góra niedaleko Neapolu.

A póki między rodem ludzkim raczysz gościć,
Pół świata czić cię będzie, drugie pół zazdrościć!

143. Pochlebstwa, jakimi okadzał króla i magnatów Naruszewicz i Trembecki, nie były odosobnione w poezji stanisławowskiej, na co, prócz odziedziczonej po wieku XVII i czasach saskich tradycji panegiryków, wpłynął niemało przykład dworskiej poezji francuskiej. Nie wszyscy jednak ulegli tej zarazie. Oprócz Krasickiego, który nawet w pochwałach nie tracił ani godności własnej, ani umiaru artystycznego, był jeden poeta, który wpadł w inną, niż pochlebcy, ostateczność: ciał językiem na prawo i na lewo, nie oszczędzając nawet owej «lwiej skóry», o której bał się pisać Klonowicz. Poetą tył był zmarły przedwcześnie staroście, **Tomasz Kajetan Węgierski** (1755—1787) z kaliskiego.

«Przeżyłem trzydzieści lat bez systemu, bez planu, oddany namiętnościom, które jednakże nie były gwałtowne. Biada człowiekowi, który szczęścia swego nie umiał ująć w system, wedle którego mógłby postępować;... kto się zdaje na łaskę bałwanów, ten musi wkońcu utonąć». Tak scharakteryzował sam Węgierski, na kilka miesięcy przed śmiercią, swoje życie (w dzienniczku, pisanym po francusku). Jakoż był to człowiek wykołejony; pragnął szczęścia, a nie umiał go szukać — z winy nie tylko własnej, ale i złego wychowania. Psuty i pieszczony przez matkę, «przywykł — jak mówi — od dzieciństwa iść za popędem fantazji i kaprysu», a skrzywionej duszy nie naprostowały *Nowe Ateny* ks. Chmielowskiego i inne głupstwa, jakimi go raczyła warszawska szkoła jezuicka. Jeżeli wpojono w niego wiarę religijną, to zatracił ją bardzo rychło: pod wpływem wolnomyślniej literatury francuskiej, zwłaszcza uwielbianego Woltera, stał się wyznawcą deizmu: wierzył w Boga, raz nawet wyraził się, że, umierając, chciałby «mieć ostatnią myśl o Bogu», ale w to, żeby Bóg, stworzywszy świat, rządził nim według swojej woli, nie wierzył. A pod koniec życia Bóg był dla niego już tylko «abstrakcją», to jest tylko wytworem umysłu ludzkiego. Jak religijne, tak i moralne podstawy zatracił Węgierski: «zdał się na łaskę bałwanów», które go rzuciły w wir hulastwego życia Warszawy. I oto rujnował zdrowie, a talent marnował na pisanie rozwiązłych i plugawych wierszydeł (nie gorszy w tem jednak wcale od innych, np. od biskupa Naruszewicza, o Trembeckim już nie mówiąc). Mocno zarozumiały, ambitny i zazdrosny, chorobliwie drażliwy i wrażliwy, gryzł się i gniewał, że, kiedy inni, gorsi od niego, wypływają na wierzch pochlebstwem, on, że nie pochlebia, musi skrobać piórem na stanowisku marnego kancelisty. A podrażniona miłość własna zrodziła w jego duszy zgryźliwość, oraz niechęć ku ludziom i pobudziła go do pisania uszczypliwych wierszyków, które mu, naturalnie, nie przyjaćiół, tylko wrogów przysparzały; umacniało go zaś jeszcze w żalu do świata wogóle, a w szczególności do własnej «barbarzyńskiej» (jak się wyraził) ojczyzny to, że się nie poznała na jego cnotach, w których istnienie wierzył głęboko; to też marzył o tem, aby opuścić ojczyznę i osiedlić się zagranicą: «Najpierwej tve, Paryżu, szedlbym widzieć dziwy — i, z źródła różnych zabaw czerpając potrosze, — chwilebym na nauki dzielił i rozkosze, — póki by krew gorąca i potrzebne siły — takiego mi sposobu życia pozwoliły; — ale jakbym się tylko zbliżał do starości, — gdzie mniej trzeba uciechy, a więcej wolności, — tamby najpierwsze osiąść było me staranie, — kędy ojczyzna Rousseau'a, Woltera mieszkanie; — tam, wespół z pracownymi obcując

Szwajcary, — palilibym tym dwom mężom niezgasłe ofiary — i od brzegów Genewy¹ rzekłbym sobie zeicha: — Darmo Polak do dawnej szczęśliwości wzdycha».

Ale marzenie to nie tak się prędko ziściło: «Trzeba zostać w ojczyźnie w liczbie nieszczęśliwych, — codzień się lękać zemsty ukrytej złośliwych». Jakoż na zemstę niedługo czekał Węgierski. Jakiś bezimienny wierszopis z pod ciemnej gwiazdy napisał i wydrukował *Ode do ojczyzny* (1774), której sens moralny jest ten, że Polska nie zginie, póki ma takie czcigodne córki, jak pięć Elżbiet (czyli Izabel), wszystkie z rodów arystokratycznych (z Poniatowskich Branicka, z Czartoryskich Lubomirska, z Flemingów Czartoryska, z Lubomirskich Potocka i z Branickich Sapieżyna). To pochlebstwo, tem wstrętniejsze, że, z wyjątkiem Potockiej, owe matrony bynajmniej nie grzeszyły nadmiarem cnoty, oburzyło Węgierskiego, napisał więc pięć wierszyków ulotnych p. t. *Portrety pięciu Elżbiet, bezstronnym pędzłem malowane*. Z wyjątkiem Potockiej, wszystkim innym Elżbietom przypiał tutaj łaski, bodaj czy nie zasłużone. Rozwściekły się jaśnie oświecone baby i domagały, żeby śmiałka publicznie oćwiczyć, a *Portrety*, które w odpisach obiegały po Warszawie, spalić. Na czem się te pobożne życzenia skończyły, nie wiadomo; wiadomo tylko, że Węgierski musiał na pewien czas wyjechać zagranicę. Minęło lat trzy. Węgierski był już z powrotem w Warszawie, kiedy zdarzyło się, że pewien możny pan (Józef Wilczewski, senator i faworyt królewski) urządził «zajazd» na dom starosty korytnickiego, ojca naszego poety; syn, oburzony do żywego, napisał, wydrukował (1777) i puścił w obieg po stolicy gwałtowny memorjał w tej sprawie, w którym z aż nadto zrozumiałą furją rzucił się na owego zloczyńcę i wogóle na magnatów polskich, np. na Radziwiłła Panie Kochanku, tego «szaleńca możnego i bogatego», który «już trzydziestu ludzi zabił, czleka z psami i niedźwiedziami rozjadłemi zamyka, każe babom kukać i potem strzela do nich». Nie oszczędził i całego «rządu» polskiego wogóle, mówiąc, że «prawa nasze dla słabszych są tylko robione, a mocniejszym pokrywką są i zachęceniem do popełnienia niegodziwości». Że miał słusność, o tem przekonał się — na sobie; faworytowi królewskiemu zbrodnia uszła na sucho, ale autora memorjału wtrącono do więzienia. Całe to zajście jeszcze bardziej zniechęciło Węgierskiego do ojczyzny, to też, odsiedziawszy więzienie, wyjechał powtórnie zagranicę. Zjeździł Włochy, osiadł później we Francji, przez pewien czas bawił w Anglii, popłynął wreszcie do Ameryki, gdzie zwiedził pola, wstawione bitwami Stanów Zjednoczonych z Anglią, poczem znowu osiadł we Francji. Czasu zagranicą nie tracił: kochał się, pisywał po francusku listy miłosne, hulał, grał, myśląc jednak niekiedy o powrocie do ojczyzny. Ale nie wrócił: «krew gorąca i potrzebne siły» wyczerpały się, i umarł Węgierski na obcej ziemi (w Marsylji) w trzydziстым drugim roku życia, «nie budząc — jak to sobie wywróżył — w nikim lży żalu, będąc zapomnianym od najbliższych znajomych, nie oddawszy najmniejszej usługi ojczyźnie, ludzkości, krewnym».

144. Do poezji rwał się niemal od ławy szkolnej, aby «uwiecznić się zawczasu w kościele pamięci». Pomimo to jego spuścizna poetycka jest bardzo szczupła. Utwór większy napisał tylko jeden, — «poema heroikomiczne» p. t. *Organy*, grzech młodości, popełniony w osiemnastym roku życia (wy-

¹ t. j. jeziora genewskiego.

dany dopiero w r. 1784). Jest to satyra na księży (coś w rodzaju *Monachomachji* Krasickiego), będąca naśladowaniem poematów komicznych Boileau'a i Woltera; sam autor nazwie ją później «nędzotą», — bardzo słusznie. Poza tem uprawiał same tylko drobne rodzaje poezji (pisane w latach 1771—1783), jako to: listy poetyckie i wiersze satyryczne, bajki i powiastki, uszczypliwe epigramaty, wierszyki liryczne i t. d. W jednym wierszyku wypowiedział Węgierski swoją *Myśl o poezji*:

Jeśli, do ciężkiej przykuty roboty,
Mam bawić innych wśród mojej tęsknoty;
Jeśli wiersz tylko z pracą wymuszony
Wiecznej pamięci ma być poświęcony;
Jeśli, smutnego słuchając prawidła,
Mam bujnej myśli hamować wędzidła:
Zbyt obciążone chętnie kruszę pióra, —
Dla mnie świat polem, granicą — natura!

Myśl słuszna i trafna, jako obrona swobody twórczości poetyckiej, jako protest przeciwko krępującym ją «prawidłom» i wogóle przeciwko naśladownictwu. Szkoda jednak, że się Węgierski niekoniecznie do tej myśli stosował, zwłaszcza w początkach swej twórczości: zrazu naśladował trochę Naruszewicza i Trembeckiego, a później współczesnych poetów francuskich, z których, oprócz Woltera, dwaj przypadli mu szczególnie do serca: Parny, pokrewny mu manją ośmieszania wszystkiego, nie wyłączając religji, oraz Gilbert, pokrewny mu wygórowaną ambicją i oburzeniem na różnego rodzaju niegodziwość, zgryźliwość, brakiem równowagi duchowej i częstymi skargami na swój los, na rozdźwięk pomiędzy marzeniami o szczęściu i sławie a rzeczywistością.

«Bujnej myśli» niema w utworach Węgierskiego; wiersz rzeczywiście nie jest «z pracą wymuszony», owszem, gładki, ale mu daleko do wiersza Krasickiego; język poprawny, styl prosty, ale często za mało, jak na poezję, kunsztowny. Największą jednak zaletą drobnych wierszy Węgierskiego jest otwartość i szczerość z jaką wypowiada to wszystko, co stanowi ich główną treść, to znaczy własne myśli i uczucia, osobiste życzenia i marzenia.

Poczytując Woltera za alfę i omegę mądrości, śmiało wypowiada Węgierski (najczęściej w listach poetyckich) przejęte od niego poglądy na świat i ludzi, że np. «wszyscy równi na świecie, — odmienna powłoka nie potrafi omamić przezornego oka». Najsilniejsze piętno Woltera i wogóle filozofów francuskich epoki oświecenia nosi na sobie wiersz *Rozum bez przesądów*; jego myślą przewodnią jest, że religja objawiona to przesąd i sidło, zastawione na głupich ludzi, i że rozum ludzki, wolny od tego przesądu, jest źródłem nietylko wiedzy, ale także moralności i szczęścia. Jak Parny, tak i Węgierski żartuje sobie, a czasem nawet szydzi z Objawienia, z dogmatu Trójcy Świętej, z wiary w niebo, z Sakramentu Eucharystji i wogóle z nauki kościelnej. Oto np. co mówi w paszkwilu *Sąd czterech ministrów*: «U drzwi niebieskich stały Cherubiny zbrojne, — a nektar roznosiły Serafiny strojne; — sam na diamentowym siedział Stwórca tronie, — Bóg-Syn, naprzeciw stojąc, patrzył w Jego skronie. — a Duch święty, jako nam Pismo przypomina, — ustawnie się przewijał od Ojca do Syna». A oto jeszcze list *Do Ogińskiego, hetmana wielkiego litewskiego*:

Nie wiem prawdziwie, Mospanie Hetmanie,
Co się na tamtym świecie ze mną stanie.
Książd Łuski¹ powiada, i wierzyć mu trzeba,
Że ja pójdę do piekła, on prosto do nieba.
Cóż robić, kiedy w księgach mego przeznaczenia
Tak stoi? Wyrok losu ciężko się odmienia.
Żal mi jednak, że mnie tam zła prowadzi droga,
Bom ciekawy i radbym widzieć Pana Boga,
Jak poważnie na tronie z diamentów siada,
Jak zręcznie bez ministrów tą machiną włada.
Bo, jak moim rozumem słabym mogę sądzić,
Trudno kawalkiem ziemi, trudniej światem rządzić.
Ale gdy pilnie sobie zważam z drugiej strony,
Żem wcale do śpiewania nieprzyzwyczajony,
To, choćbym był największem nabożeństwem zdjęty,
Nie w taktbym pewnie śpiewał: Święty, święty, święty!

Cefas², który jest na czele
Calej niebieskiej kapele,
Mówią, że jest zapalczywy:
Uciął ucho Malchusowi.

Jak mu się dawna cholera³ odnowi,
Mogę być w niebie z ręki jego nieszczęśliwy.

A potem, jeśli prawdę mam powiedzieć,
Nie mógłbym tam długo siedzieć,
Gdzieby mi w wieczór, w południe i rano
Codzienn to samo śpiewano.

Koncertem takim stęskniony,
Powiedziałbym aniołom: «Skrzydlate stworzenia!
«Czemu się wasz hymn nudny nigdy nie odmienia?
«Czemu innemi Pana nie wielbicie tony?
«On wam tak ładne główki i skrzydła porobił
«I w rozmaite poksztalecił odmiany,
«A żaden się przez wdzięczność na to nie sposobił,
«Żeby był nowym hymnem powitany.
«Jeśli pomiędzy wami geniusza niema,
«Niech się który na moment spuści do Slonima⁴.
«Grzeczniej, niż w Lota domu, pewnie tam przyjęty,
«Wstydzilby się, że śpiewał: Święty, święty, święty;
«A muzykę śmiertelną⁵ z swym równając chorem,
«Nie wiem czyby nie został nieba dezertorem»⁶.

Ogiński! Nim cię przyjdzie ten anioł nawiedzić,
Ja go muszę z pilnością koniecznie uprzedzić.
Muszę też w życiu mojem choć raz być szczęśliwy,
Widzieć ciebie w Slonimie i te wszystkie dziwy,
W których smakować będą anieli i święci,
Podać piękniemi rymy do wiecznej pamięci.

¹ eksjezuita, głośny za Stanisława Augusta literat i dziennikarz. ² wyraz syryjski: skała, opoka, t. j. święty Piotr. ³ gniew. ⁴ rezydencja hetmana Michała Kazimierza Ogińskiego, poety i utalentowanego muzyka (autora melodji Pieśni legjonów). ⁵ t. j. muzykę ludzką, nie anielską. ⁶ czybym nie uciekł z nieba.

Te i tym podobne niesmaczne i niedowcipne szyderstwa doskonale charakteryzują tanią i powierzchowną wolnomyślność religijną epoki oświecenia. Można być pewnym, że pisał je Węgierski nie dlatego, żeby chciał obrazić uczucia religijne wierzących, w których oczach one musiały uchodzić za bluźnierstwo, ani żeby chciał ich gorszyć, albo im wiarę odbierać, ale dlatego poprostu, że takie wiersze były w wieku oświeconym bardzo modne (a jak on sam mówi, «to mi ładne, co modne»); chciał może nadto pochwalić się przed czytelnikiem (i przed samym sobą) swoją niewiarą, swoim «rozumem bez przesądów» — podobny trochę do żaka, który z dumą oznajmia kolegom, że od wczoraj nie mówi pacierza, albo który, nie zdjawszy czapki przed kościołem, ogląda się z dumą na przechodniów, żeby uszczęśliwić ich widokiem swego mądrego oblicza, na którym się maluje «rozum bez przesądów».

Jak myśli swoje, tak i uczucia wypowiada Węgierski z ujmującą szczerością — i z widocznym upodobaniem. Raz wprawdzie mówi: «Milczeć zwykłem, choć mię co zaboli», ale często przerywa milczenie i, podobnie jak Gilbert, «narzeka tonem płacziwym», że się nie poznali na nim ani ludzie, ani Fortuna, bo ludzie go nie lubią, a «niełaskawe losy, — dawszy gust pański, usunęły trzosa». Często dalej, za przykładem Rousseau'a, wyraża swoje życzenia i marzenia np. w wierszyku *Jaka ma być żona moja?* «Pierwej ja się nie ożenię, — aż póki w mej przyszłej żenie — znajdą mili towarzysze — wszystko to, co tu wypiszę: — piękne lica, lata młode, — zdrowie, nadobną urodę, — dobrą duszę, serce czule — i z dukatami szkatułę. — Wychowanie w domu dane, — nie modne, nie formowane, — ambycją, gust do cnoty: — te są, których chcę, przymioty, — miłość pierwszą, rozum zdrowy, — nie modny, nie romansowy; — wdzięki, w farbach nie szukane, — i pieszczoty niezmyślane. — Nie chcę ja tych nauk po niej, — których sama jej pleć broni; — dosyć tej nauki na nią: — umieć być żoną i panią. — Przytem niechaj będzie skromna, — w statku małżeńskim niezłomna, — bo ja nie chcę być żonatym — przeto, żeby być rogatym».

Lubił także Węgierski chwalić się swoją niepodległością duchową, skarżyć na krzywdy, jakich doznawał od złych i zazdrosnych ludzi, i bronić się przeciwko niesłusznym oskarżeniom. Najlepszym i najzupelniejszym wyrazem tych uczuć jest list do satyryka Piotrowskiego p. t. *Moja Ekskuza*, będący naśladowaniem *Mojej apologji* Gilberta.

Moja ekskuza. Do X. Gracyjana Piotrowskiego, pijara. Nie mam w ustach czułości, nie bzdurzę o cnotcie,
Nikt mnie jednak przy podlej nie zastał robocie.
Dla zysku nic nie czynię, prawdę mówić lubię,
Nieprzyjaciół skrytemi podstępny nie gubię.
Dusza moja nie może znieść fireyków dumnych,
Nie cierpię pedagogów¹, ale częż rozumnych
I, lubo na mnie czarna zawiść się oburza,
Nie zrobię karła wielkim, ani Marszem tchórza;
A kiedy przyzwoitą znacę kogo cechą,
Zawsze mię pospolite wspierać musi echo.
Niejeden, co w mych szczerych rymów z chęcią słucha,
Przyjacielowi swemu podszeptnie do ucha:
«Tego poety dzieła ile czytam razy,

¹ moralisci.

«Zda mi się żywe widzieć nalogów obrazy». Wszyscy mi to przyznają, i osoby pierwsze. Za to, miasto poklasku, to trzymam w korzyści, Żem się stał u dusz podłych celem nienawiści; I zdradne ich pociski pewnie mię obarczają, Jeśli mię wierna przyjaźń swą nie złoży tarczą.

Lecz co mówię? Wszystkom ci winien, o przyjaźni! Z tobą mogę wśród wężów chodzić bez bojaźni, Z tobą mi jest nieszczęście mile, a bez ciebie Żyć mi się przykrzyło z aniołami w niebie. Tobie ja, jako bóstwu, postawię ołtarze, Tobie ogniem wdzięczności kadzidło rozżarzę; I niech kto trwały zawiązek ma sobie za baśnię, U mnie pamięć przyjaźni nigdy nie wygaśnie. Wy, którzy nie zdolacie sądzić z przekonania, Ślepo swych mecenasów trzymając się zdania. U was zasług i cnoty ta największa próba, Kiedy się co waszemu łaskawcy podoba. Nie mam wam za złe tego, że z domu do domu Wozicie na mnie grube płotki pokryjomu, Ni was za to potępiać może moral ścisły: Od tego wasza sława z fortuną zawisły. Ale jeśli wam jeszcze umysł uprzedzony Pozwoli słuchać jawnych przyczyn z mojej strony, Jeśli zechcecie sądzić, dopiero poznacie, Że mnie tylko na cudze słowa potępiać. Jakież są najmocniejsze przeciw mnie dowody? «Nadto sobie pozwala — rzecze ktoś — pan młody, «Kiedy mnie, co ni z wzrostu rówien jest, ni z głowy, «Co mi we wszystkim sięga ledwie do połowy, «Śmiał to jawnie w swem jednym piśmie utrzymywać, «Żem bez sensu i składu zwykł wiersze pisywać; «Ale obaczy wkrótce, co go za to czeka, «Że się ważył porywać na wielkiego człeka».

Nie strasz, bracie, bo nikt się twoich gróźb nie boi; Mądre mu się do tego gniewać nie przystoi. Mówmy swolna! Powiedz mi, żeś jest sama cnota, Żeś piękny, żeś zabawny, dobry patryjota: Dla mojej spokojności (powiadam ci szczerze) I takim nawet bajkom bez wstrętu uwierzę. Dość masz ze mnie. Z swej strony pozwól mi tej łaski, Że gorzej trochę piszesz, niżeli Bielawski. «To mniejsza — rzecze drugi — nikt temu nie przeczy, «Że ten jegomość wiersze pisze nie do rzeczy; «Ale za to niemalej wart jesteś nagany, «Że bez braku¹ na wszystkie targnąłeś się stany «I, w swych dziełach późniejszych czyniąc sobie drwinki, «Niejednego rozżalił swojemi przycinkami!»

¹ bez wyjątku.

Prawda! to pozorniejsza jest trochę przyczyna,
I wielkąby niechybnie była moja wina,
Bym, sobie pozwalając żartować tak srogo,
Pojedynczo w mych wierszach śmiały wytykać kogo.
Tak przecie dawniej trochę, modele¹ mej pracy,
Czynił ostry² Boileau i stary Horacy,
I, umiejąc wybornie z szydności³ korzystać,
Udalo mi się nieraz swych ziomków wyświstać.
Pomimo tej jednakże mniemanej przywary,
Mieli wielkich monarchów i przyjaźń, i dary.
Jam ni wsparcie miał takie, ni śmiałości tyle
I, jeżelim satyrze poświęcał me chwile,
Zawszem się starał o to, aby, szydząc z wady
Nigdy szczególnych osób nie brać za przykłady.
To tylko mam nieszczęście, że, czytając chciwie,
Zdarzyło mi się nieraz malować szczęśliwie,
I, lubom nie chciał ściągnąć niczyjej urazy,
Rozumiał świat złośliwy poznać swe obrazy.
Choć-em rzekł na wiatr, że kto czuły albo głupi,
Tysiąc się ludzi do mnie pytać o to kupi⁴,
Czy nie o nich ta wzmianka. Poco to pytanie?
Ty sam siebie najlepiej musisz znać, mospanie!
Tak, nie można lichwiarza portretu wyrazić,
Żeby wszystkich na siebie Żydów nie obrazić;
Nie śmiać się, że kto zawsze goły, robiąc złoto,
Żeby się adeptowie nie gniewali o to;
Nie odkryć, że ktoś cudzą zasługą się szczyci,
Żeby się nie jurzyli⁵ ichmość hipokrycy;
Ni powszechnie naganiać rozsiewaczów plotek,
Żeby pochlebców ani urazić szczebiotek.

Bardzo mi dobrą bajkę mój los przypomina,
Z której początek bierze cała moja wina.
Raz król zwierząt, by swojej chimerze dogodził,
Tym chodem laził na drzewo, jak po ziemi chodził.
Ale gdy się daremnie przez cały czas biedzi,
Spojrzy w górę, a ślimak na wierzchołku siedzi;
Na widok tak niekzemny złość go mocna bierze:
«Jak — pyta — wleźć tam mogło to tak podle zwierzę?»
«Dziwię się — rzekł mu ślimak — żeś tego nie wiedział:
«Kto się czołgać nie umie, nie będzie tu siedziab».
I mnie też to nienawiść sprawiło i biędę,
Że się nie czołgam, ale moim krokiem idę.
Lecz chociażbym do zgonu miał być nieborakiem,
Wolę być lwem w nieszczęściu, niż w szczęściu ślimakiem.

Z wiersza tego widać, że o brak dobrego mniemania o sobie nie można Węgierskiego posądzić; ale i to przyznać mu trzeba, że powiedział prawdę,

¹ moi mistrzowie. ² ma tutaj Węgierski na myśli satyry Boileau'a. ³ szyderstwo. ⁴ ciśnie się. ⁵ gniewać się.

mówiąc: «Nie zrobię karła wielkim, ani Marsem tchórza». Chwalił czasem ludzi, ale nie karłów i tchórzów, tylko takich, co naprawdę na pochwałę zasługiwali, np. Andrzeja Zamoyskiego albo Trembeckiego (nie jako człowieka, naturalnie, tylko jako poetę). Bez porównania jednak częściej ganił, przymawiał, dopiekał, kąsał, drwił, ośmieszał, nie oszczędzając nikogo, «bez braku na wszystkie targając się stany». Obiegały te paszkwile całą Warszawę i jednały ich autorowi niemały rozgłos, ale też ściągały na jego głowę pioruny gniewu i oburzenia. Żył np. na bożym świecie niejaki Bielawski, który pisywał tak liche komedje, że się z nich głośno śmiano; Węgierski ułożył mu za życia nagrobek: «Tu leży Bielawski, szanujcie tę ciszę, — bo, jak się obudzi, komedją napisze». Raz senator jakiś odprawił wjazd uroczysty do Warszawy: Węgierski puścił w obieg wiersz, w którym sarkastycznie ten wjazd opisał, drwiąc sobie niemilosiernie z pana senatora: «Niespracowany senator, choć w drodze, — dźwiga na sobie swej godności znaki: — wstęgi na piersiach, ledwie nie na nodze, — oponcza nawet wydaje, kto taki, — u której gwiazda świeci się na boku; — z teje go poznać w nocy, choć w szlafroku... — Uwielbiaj i ty, Muzo, w skromnej mowie, — wstęgi na brzuchu, a kołpak na głowie!» W taki to sposób ośmieszał Węgierski różnych dostojników; niezawsze wprawdzie nazywał ich po imieniu, ale podchwytliwym ich śmieszności czy grzechy tak zręcznie, że każdy wiedział, o kogo to chodzi. Kiedy czytano np. wiersze: «Gdybym ja był hetmanem, to, jeżdżąc po świecie, — nie chciałbym na koncertach grać na klarynecie; — nie dąłbym się mym brzuchem, gdybym miał łeb pusty», — to domyślano się z łatwością, że hetmanem muzykalnym jest Ogiński, hetmanem zaś brzuchatym, a głupim — Tyszkiewicz. Albo np. rozumiano, że wiersze: «Będąc zdrajcą narodu, nie byłbym zuchwałą — żądać, by mnie za zdradę stany nadgradzwały» — godzą w Ponińskiego. Królowi nawet nie darował Węgierski: «Gdybym był kiedy królem, nie byłbym tak słaby: — nie rządziłby mną Moskał, faworyt, ni baby:... — wiernej mojej ojczyzny nie darłbym, nie łupił, — bym z niej który Belweder lub Łazienki kupił; — nie dawałbym orderu, tylko za zasługi, — byłbym więcej oszczędny, nie znalazłbym, co długi». Ośmieszał i obiady czwartkowe, rozżalony, że go na nie nie proszono: «A uczone obiady? Znasz może to imię, — gdzie połowa nie gada, a połowa drzemie, — w których król wszystkie musi zastąpić ekspensa: — dowcipu, wiadomości i wina, i mięsa!»

Lecz nietylko na jednostki, ale i na całe społeczeństwo był Węgierski biczem bożym, chłoszcząc w wierszach satyrycznych ciemnotę, brak uznania dla rzetelnej zasługi i cnoty, bezmyślność i czezość życia rozbawionej i rozpustnej Warszawy, przedajność i niesprawiedliwość sądów, cheiwość «tłustych prałatów», pychę znieprawionych i powodujących się jedynie prywatą magnatów itd. Do jego najlepszych utworów satyrycznych należy list *Do wierszopisów*, w których ostro skarcił swoich kolegów po piórze za pisanie wstrętnych wierszydeł panegirycznych (przyczem nie omieszczał pochwalić samego siebie.

Moi wielce mości bracia i panowie!

(Boć to i u was czasem państwo w pustej głowie)...

Posłuchajcie! Wszak słuchać nigdy nie zawadzi,

Jeśli kto co dobrego z przyjaciół poradzi.

Niegodnym współczeladnik jest waszego cechu;

Pisałem, nie uszedłem pochwały i śmiechu:
Piszę przecie i pisać jeszcze długo będę,
Nim, w rząd dobrych policzon, na Parnasie sięde.

Są, którzy już za życia ozdobni laurami,
Jako z dziećmi swojemi, postępują z nami,
A bystrym lotem swoim wzniosłszy się wysoko,
Ledwie na liche prace raczą rzucić oko:
Nie będę pochlebnemi (bo mi już obrzydły)
Błagał nieukróconą ich dumę kadzidły,
I żaden mi dotychczas nie zarzuci jeszcze,
Abym miał pochlebstwami podlić dary wieszczce.
Biskupi, kanonicy, świeccy i pijarzy,
Słowem, wszyscy, którym się wiersze pisać zdarzy,
Czyńcie, jak ja: bazgrajcie, drukujcie, co chcecie,
Ale wszystkich bez braku nie chwalcie tak przecie!

Gdziekolwiek się obróce, w które pójdę strony,
Wszędzie modnemi rymy jestem zarzucony.
Ten człeka bez sumnienia pocziwym być głosi;
Ten sprzedawcę ojczyzny w niebiosą wynosi;
Ten, że kto za pieniądze urzędu nabędzie,
Wielbi i w zasłużonych chce go mieścić rzędzie.
Wiersze piszą, byleby czyje imieniny,
Wiersze znowu, byleby czyje urodziny,
Jeszcze wiersze, byleby kto, sprzykrzywszy w domu,
Ślubował przy oltarzu, kaci wiedzą komu.
Jęczą prasy, i biedni drukarze się pocą,
Głupie się mózgownice ledwie nie przewrócą;
Obiecują ojczyźnie poprawę złej doli:
Dlaczego? że się żeni jakiś pan podstoli.
Oto nieszczęścia wszystkie z ojczyzny wystraszy
Żeniący się z sędzianką jakiś pan podczaszy!...

A niech tylko — mówi dalej Węgierski — dziecko na świat przyjdzie, znowuż «hałas na Parnasie»:

Jeżeli syn, to będzie Aleksander pewnie;
Ze się nie chciał urodzić prędej, płaczą rzewnie:
Byłby niechybnie przez swe męstwo i swe dzielą
Obronił to, co obca przemoc Polsce wzięła;
Lecz i tak nieomylnie powzięli nadzieje,
Ze nam z jego pomocą szczęście zajaśnieje.
Jeśli córka, to będzie Lukrecyja czysta:
I z jej to ułożenia już rzecz oczywista.

Każdy to przepowiada, a żadnemu przecie
Nie zdarzyło się zgadnąć dotychczas poecie;
Co dzień, to w rymach waszych nadzieja nas krzepi,
Ze ma być kraj szczęśliwszy, że nam ma być lepij;
Codzień się ludzie rodzą i codzień się żenią,
Losy nasze bynajmniej w lepsze się nie mienia!
Dajcie pokój, gdy się wam nigdy nic nie iści,
Nie mając zwłaszcza żadnej z tych proroctw korzyści!

Zarówno paszkwile, jak wiersze satyryczne Węgierskiego odznaczają się nietylko dowcipem, ile złośliwością, sarkazmem i szyderstwem: pod tym względem miał on niewątpliwy talent satyryczny. Ale co jest źródłem tej złośliwości? Czy może święte oburzenie patriotyczne, które tak pięknie przemówiło w *Świecie zepsutym* Krasickiego? Czy ból na widok nieszczęść Polski? Nie. Wprawdzie i jemu ściśnie się czasem serce na myśl, że «niegdyś u świata zazdrości celem — był Polak, z wolności hardy», lecz teraz «prze stał być wolnym obywatelem — i stał się celem pogardy»: ale głównym źródłem złośliwości i wogóle satyryczności Węgierskiego jest osobisty jego żal do ludzi i «barbarzyńskiej» ojczyzny, płynący z podrażnionej miłości własnej, a nadewszystko wygórowane mniemanie o własnej wartości, o czym aż nadto wyraźnie świadczy jego ulubiony (a zapożyczony od Rousseau'a czy Woltera) zwrot: gdybym był królem, hetmanem i t. d., postępowałbym inaczej, niż wy (bo jestem od was wszystkich lepszy, mędrszy, szlachetniejszy). Ołóż ten pierwiastek osobisty stanowi najwybitniejszą cechę wierszy satyrycznych Węgierskiego i wogóle całej niemal jego poezji, która też jest wolna od pierwiastku dydaktycznego: nie chciał on być pedagogiem swego społeczeństwa, chciał tylko wyrazić swoje myśli i uczucia, które budziło w jego duszy własne życie i obserwacja ujemnych stron czy to jednostek, czy społeczeństwa. Gdyby żył dłużej, kto wie, możeby, przez ten pierwiastek osobisty swojej poezji, odegrał ważną rolę w historii preromantyzmu polskiego, tem więcej, że, jak to widać z jego dziennika podróży do Ameryki, był wrażliwy na piękno natury. Zachwycił go np. wodospad Cahoes. Sama myśl, że się do niego zbliża, wytworzyła (jak pisze) w jego duszy «chaos, jaki lubię odczuwać». Poczem opowiada: «Porzuciliśmy nasze konie i zapuściliśmy się w las, ale czy mogę opisać swoje wrażenia, kiedy z wysokości pagórka ujrzałem tę olbrzymią kaskadę wody, spadającą w otchłań? Rzeka w tem miejscu jest szeroka...; bieg nabiera siły już przed dojściem do przepaści wskutek stromej pochyłości i licznych przeszkód, i woda już się kotłuje... Skąły tworzą w miejscu spadku rodzaj tamy, która, wznosząc bałwany, nadaje im jeszcze więcej gwałtowności i rozpędu... Dodaj jeszcze do tego dziwny urok tęczy, która łączy najwyższe barwy aż do szarości ciemnej, gęstej mgły, zdobi powietrze w najwyższe barwy, i huk straszliwy od spadającej z zawrotnej wysokości... a będziecie mieli blade pojęcie obrazu». A oto jeszcze inny opis, świadczący, że Węgierski czytał i lubił *Pieśni Osjana*: «Zaledwie słońce zaszło, gdy sklepienie niebieskie zajaśniało tysiącami pochodni; księżyc przybladł trochę, stał się bledszy, łagodniejszy, podobny do przygasłej piękności, którą zmęczenie czyni jeszcze bardziej zajmującą. Lekkie chmury tworzyły tysiące miłych obrazów: tu widziałeś łąki, pokryte stadami, tam skały, obrębione drzewami, to znowu lwa, leżącego w całym swoim majestacie, to szarlatana, każącego tańczyć małpie, to bacchantki z rozpuszczonymi włosami... Najwyszukańsze wyrazy poezji byłyby bezsilne wobec tej wspaniałości natury».

Co za szkoda, że ta wrażliwość Węgierskiego na piękności natury przemówiła nie w jego poezjach polskich, tylko w dzienniku, pisanym po francusku — dla jakiejś Julji!

Jest zato w poezjach polskich, oprócz pierwiastku osobistego, coś, co zapewnia Węgierskiemu pewne stanowisko w historii preromantyzmu: wiersz niektórych utworów, i to nietylko bajek (w których, podobnie jak Krasicki, a za przykładem Lafontaine'a, posługiwał się wierszem różnogatłuskowym

i różnorytmicznym), ale i listu *Do Ogińskiego*. Zaczyna się ten list od wierszy trzynastozgłoskowych, ale, kiedy się zaczynają żarty z nieba, wiersze są krótsze i zmieniają rytm, dostrajając się do wesołości poety. A nietylko w wesołej, ale i w poważnej poezji Węgierskiego spotykamy się z tem zjawiskiem: przelumaczył on «scenę liryczną» Rousseau'a p. t. *Pigmaljon* na język polski — wierszem, pomimo, że oryginał jest pisany prozą. Otóż wiersze (rymowane) mają tu różną ilość zgłosek i różny rytm, a to zależnie od różnych uczuć Pigmaljona, zachwyconego wyrzeźbionym przez siebie posągami Galatei, marzącego, żeby posąg przemienił się na żywą istotę i szalejącego z radości, kiedy się to marzenie spełnia. Są to już wiersze «nieregularne mieszane», to jest takie np., jakie będą w *Improwizacji* Mickiewicza.

145. Najwybitniejszym preromantykiem polskim XVIII wieku jest «poeta serca», «śpiewak Justyny» (jak go nazwali już współcześni), autor pieśni *Kiedy ranne* i *Wszystkie nasze*, **Franciszek Karpiński**, urodzony 4 października r. 1741 w Hołoskowie na Pokuciu, zmarły d. 16 września r. 1825 w Chorzowszczyźnie na Litwie. Popularność miał ogromną, i to nietylko wśród inteligencji, jak Krasicki, ale i wśród prostoty: pierwszy to poeta polski, którego pieśni «zblądziły pod strzechy».

Życie jego znamy o wiele dokładniej, niż innych poetów, pozostawił bowiem po sobie pamiętniki (ogłoszone drukiem dopiero w roku 1844). Zaczął je pisać już w późnej starości, skończył — w osiemdziesiątym pierwszym roku życia, a wykończyć ich już nie zdążył; pomimo to mają one niepospolitą wartość literacką: bije z nich świeżość i bezpośredniość — nie z opowiadania o wypadkach, w których autor udziału nie brał (np. o sejmie grodzieńskim, albo o powstaniu Kościuszki), ale z opowieści o własnym życiu, zwłaszcza o dzieciństwie i młodości, o wychowaniu przez groźnego ojca, o pobycie w szkołach stanisławowskich, o różnych fantazjach młodzieńczych, o miłości i t. d.). Wyraźnie miał Karpiński doskonałą pamięć nietylko wypadków, ale i doznanych uczuć! Ujmują nas także pamiętniki prostotą opowiadania i naiwnością epicką, a czasami i mimowolnym humorem, sprzecznym z zamiarami autora: nieraz bowiem czytelnik uśmiecha się, kiedy czyta ustępy, które autor pisał z całą powagą, a nadewszystko kiedy napotyka różne sentencjonalne uwagi, do których autor przywiązywał z pewnością ogromne znaczenie, a które się dzisiaj szczeremu czytelnikowi wydają bardzo naiwnymi.

Na pierwszy plan wysuwa się w pamiętnikach Karpińskiego opowieść o własnym życiu, podobnie, jak pamiętnikach Paska. Ale też jedyne to podobieństwo pomiędzy temi dwoma najwybitniejszymi pomnikami pamiętnikarstwa staropolskiego. Obydwa pamiętnikarze opowiadają szczegółowo o tem, co robili; ale każdy z nich robił co innego: Pasek hulał i pił, bił się i walczył, awanturował i łotrował, żenił się i gospodarował; Karpiński z tego wszystkiego — tylko gospodarował, swoją kopał albo cudzą grzędę: nie hulał, miecza nigdy w życiu do boku nie przypasał, nie ożenił się także nigdy w życiu, chociaż się coś przez połowę życia kochał; a prócz tego kształcił się przez całe życie, uczył dzieci, rozmyślał, marzył i pisał: pamiętniki Karpińskiego to pierwsze w literaturze naszej wyznania człowieka kształcącego się i literata.

Lecz nietylko na znacznem rozszerzeniu pierwiastka autobiograficznego, ale i na jego pogłębieniu polega ważne znaczenie pamiętników Karpińskiego

w literaturze staropolskiej. Opowiada on obszernie nietylko, co robił, ale także, co się w jego duszy działo: jak płakał po śmierci ojca, jak się kochał, jak tęsknił do kraju, jak się gniewał i smucił, gdy go krzywdzono, jak przeklinał swój los, jak bolał po utracie niepodległości i t. d. Raz nawet szczegółowo opisuje cały jeden proces psychiczny, mianowicie walkę, jaka się w jego duszy toczyła: «Będąc ubogim, a widząc zyskowny stan jurystów, wkrótce po skończeniu teologii do palestry udałem się. Umiejąc niezłe łaciński język, w którym ekspedycyje¹ sądowe wychodziły, jeszcze roku na tej drodze nie doszedł, już ja znany byłem z zręczności i dokładności pisywania pozwów albo manifestów, co mi zazdrości w innych młodych kolegach moich narobiło. Jam nie dbał o zazdrość, kiedy mimo niej gęste mi złotówki przychodziły. Raz szlachcic, potrzebny pozwu, kiedy mi krótko sprawę swoją opowiedział i papiery, do niej potrzebne, pokazał, postrzegłem, że sprawę miał najgorszą i chyba tylko wykrętami mógłby ją wygrać. Kiedym mu to przekładał, a on mi kilkanaście czerwonych złotych na pozew tylko oddaje, byleby podstępny i mogącym sąd uludzić sposobem był napisany, uwiedziony zyskiem, wziąłem pieniądze i zrobiłem, jak szlachcic żądał. Po krótkiej złota pociesze przyszła zgryzota. Ojciec mój! jakże to wiele razy w życiu mojem, chociaż już cię nie miałem, ty mnie jeszcze prowadziłeś! Gorzko wspomniałem ostatnie przed zgonem słowa jego: «Franciszek niech idzie prawdą na świat!» Taką to prawdą, pomyślałem sobie, zgubić podstępem niewinnego przeciwnika, któremu pozew napisałem? Cóż mi on będzie winien, że nietylko jego, ale i dzieci jego w ubóstwie zostawię? Albo, jeżeli jeszcze i podstępne pisanie moje odkryje się, jakże ja iść zacząłem przy pierwszym moim wstępie na świat? Takie myśli codziennie mnie trapiły aż do przyjęcia kadencji sądowej, na który czas i szlachcic, któremu pozew pisałem, i pozwany stawili się. Wtenczas mojemu zwodzicielowi nieszczęśne pieniądze powróciłem, upominając, ażeby się z przeciwnikiem swoim bez prawowania zgodził: inaczej sam mu szkodzić mogę, choćbym i sobie razem zaszkodził; szlachta się, jakem żądał, pogodzili, a ja, bojąc się tej śliskiej drogi, zwłaszcza kiedy i inszemi sposobami na chleb zarobić można, po roku porzuciłem palestrę».

A ileż to razy mówi Karpiński o swoim charakterze, o jego dobrych zarówno, jak złych skłonnościach! «W starości mojej terażniejszej przychodzi mi na myśl i też melancholija powiększająca zdrożności moje młodszego wieku: byłem trochę do pychy skłonny, ogadujący drugich, w pierwszym zapędzie gniewu nieumiarkowany aż do chorowania; ...byłem skłonny do kobiet, ...byłem chroniącym się, ile możności, wydatków niepotrzebnych, a szanującym, do zadziwienia inszych, rzeczy nabyte; tak mam dotychczas zwierciadło z szufladkami do golenia się, które całe służy mi od czterdziestu czterech, a zegarek od czterdziestu dziewięciu lat, tylko, jak stary sługa, pomалу idąc, opóźniający się trochę... Gry hazardowej i pijaństwa nie lubiłem. Byłem trochę chępliwy, ale w posiedzeniach² w żartach nie upokarzający drugiego... Na niesprawiedliwości ludzkie oburzałem się, chociażby nie mnie były wyrządzone; na nędzę ludzką, osobliwie biednych, tkliwy i tę tkliwość za zasługę sobie nie poczytuję, bo serce takie wziąłem od natury, że z płaczącym nieszczęśliwym łatwo mi płakać przychodzi».

Krótko mówiąc, w pamiętnikach swoich połączył Karpiński autobio-

¹ akta. ² t. j. w towarzystwie.

grafję z autocharakterystyką. Ten szczęśliwy pomysł zawdzięcza on *Wyznaniom* Rousseau'a (1782) na których się wzorował, pisząc pamiętniki; za jego to przykładem rozwiódł się tak szeroko nad swoim dzieciństwem, przyznawał się otwarcie do różnych wad i ułomności, np. do tego, że kradł, za jego także przykładem opowiadał z naiwną szczerością o różnych wybrykach i rojeniach fantazji dziecięcej, o miłości i przyjaźni i t. d.

146. Chociaż, podobnie jak Rousseau, Karpiński opowiada w pamiętnikach nietylko o swoich przymiotach, ale i o wadach, jego autocharakterystyka jest nadto pochlebna: autor bowiem mocno przeceniał siebie, co więcej, zdawało mu się, że jest wielkim człowiekiem. O tak zasłużonym i mądrym człowieku, jak Grzegorz Piramowicz, odzywa się nietylko protekcyjnie, ale niemal lekceważąco; Kanta (którego, można być pewnym, nigdy nie czytał) gani, że się odwrócił od filozofji doświadczałnej; Kochanowskiego klepie po ramieniu, mówiąc, że jest to wprawdzie «skąd inąd» «nieśmiertelny człowiek» (to «skąd inąd» jest poprostu bajeczne!), ale że w *Psalterzu Dawidowym* «albo pracy sobie zadawać nie chciał, albo przydłuższemi, w poezji lirycznej,... nie tak dobrze brzmiącemi wierszami rzecz swoją rozwlekał»! Takie mając mniemanie o *Psalterzu* Kochanowskiego, sam się potrudził nad *Psalmami Dawida* (1786), naginając wiersz do nowoczesnej muzyki, ale zniekształcając cudowny język Kochanowskiego i obniżając o całe niebo wzniosłość jego psalmów. Jeszcze zabawniejsza jest zarozumiałość Karpińskiego, kiedy, przypisując sobie wielki rozum polityczny, bez zająknięcia obwieszcza światu, że przymierze polsko-pruskie stanęło dzięki... jakimś jego listom, które napisał był w przeddzień wielkiego sejmu i rozesłał znajomym mężom stanu!! W rzeczywistości znalazł się na polityce, jak wilk na gwiazdach albo krowa na kompasie, skoro np. był przekonany, że Marja Teresa «do rozbioru z drugimi dwoma mocarstwami przystąpiła» dlatego jedynie, że chciała uskromić swawolę magnatów polskich!

Ta śmieszna (ale nieszkodliwa) zarozumiałość Karpińskiego tłumaczy się w znacznej mierze tem, że, jak to często bywa w światku literackim, ogromna popularność przewróciła mu w głowie: wierzył coraz mocniej, że jest wielkim człowiekiem. Miał on zresztą pewne słuszne powody do dumy: oto wznosił się znacznie ponad otoczenie, z którego wyszedł. Rodzice jego byli to ludzie ciemni, jak ogół ubogiej, szaraczkowej szlachty; matka nie umiała czytać, ojciec umiał, ale tylko na książce do nabożeństwa i kalendarzu; syn tymczasem miał już mądrość książkową, bo ukończył nietylko szkoły, ale i akademię jezuicką we Lwowie, jeździł nawet do Wiednia, umiał po łacinie, po francusku, a może i po niemiecku; że zaś później, po ukończeniu nauk, nie z jednego pieca chleb jadał, że był i palestrantem, i dzierżawcą, i gospodarzem, i sekretarzem księcia generała Czartoryskiego, jako marszałka trybunału litewskiego, i nauczycielem na dworach możnych panów, więc mu i na mądrości życiowej nie zbywało, tem bardziej, że z natury był sprytny (co nie przeszkadzało, że, kiedy mu się raz koń wyprzągł, nie umiał go, jak przystało na literata, zaprząć).

W jakim otoczeniu wzrastał, o tem szczegółowo opowiada w pamiętnikach. «Ojciec nasz słyszał, jak s. Józef z obrazu swego, który był w izbie, wymówił to słowo: «Cnota»; widział w Wigilię Bożego Narodzenia, także po północy, Najświętszą Pannę na niebie, w żółtym robronie; widział upiora, pokazywał nam wielu włóczących się, opętanych od dyjabła; powiadał wiele

historyj o szarowanych ludziach i urodzajach, o zapisujących się dyjabłom, o czarownicach i babach, na Łysą Górę na ożogu kominem wylatujących, również jak o lunatykach, którzy, kiedy przypadkiem na nich promień księżyca uderzył w nocy przez szczelinę, przez sen przez tę szczelinę po promieniu księżyca na dwór wychodzili; wierzył ślepo przepowiedniom kalendara, a cyganki, włóczące się i wróżące z rąk, z oczu, z fasolów, na stół rzuconych, albo z wosku, roztopionego i wylanego na wodę, najchętniej w domu przyjmował». Synowi nie pozwalał się ani uczyć po francusku, ani grać na skrzypcach. A chował go w staropolskiej grozie. «Kiedy zmłoczek w stodole naszej nożyk swój prosty na progu położył, a jam go ukradkiem schwytał, postrzeżony potem od ojca mojego, żem nim coś strugał, i spytany, skądbym go wziął, do zwyczajnego wykreću, żem go znalazł, udałem się; zwołani domowi wszyscy i spytani, czyjby był nożyk; kiedy się zmłoczek do niego przyznał, kiedy dodał, że ja byłem przy tem w stodole, gdy on ten swój nożyk na progu położył, — kazał naprzód ociec mój, abym padł do nóg wieśniakowi i przeprosił go, żem go tą moją kradzieżą zmartwił; rozumiałem, że się już na tem mojem upokorzeniu skończyło, ale kazano przynieść różgę, i surowy ociec temuż samemu młockowi kazał mi dziesięć różgę wycliczyć, nad którym stał z laską, ażeby w biciu mnie nie folgował; wziął potem sam różgę i za wstyd swój (jak powiadał) jeszcze mi dziesięć różgę swoją ręką przyczynił, a po skończeniu rękę sobie, która karała, całować kazał»... «Po skończonym dwuletnim kursie filozofii przyjechałem na wakacje do brata i rodziców. Mielśmy zawsze największe dla matki naszej, a najbardziej dla ojca groźnego uszanowanie: nie można było w przytomności jego siedzieć, stanąć do niego tyłem, a nawet o ścianę, stojąc przed nim, oprzeć się. Pamiętałem zawsze to wszystko i chętnie sobie przykrość zadawałem, bylebym ojca nie obraził. Chodził raz starzec po izbie, a ja, z kimś rozmawiając, wszystkie te wyżej wspomniane ostrożności zachowałem wględem ojca, kiedy razem¹, przystąpiwszy do mnie, ciężki mi on wyciął policzek i znowu po izbie, jak przedtem, przechodził. Kryminałem byłoby spytać się, zaco to; w milczeniu skromnem, z oczyma, w ziemię spuszczone, czekałem końca; wtem ociec mój rzucił mi się na ramiona i mówić ze łzami począł: «Synu mój! ja symplak², bo czytać tylko i ledwo co napisać umiem, a ty już filozof; doświadczałem cię tylko, jak też przyjmiesz policzek od ojca swego; ale kiedyś ty skromny i pokorny, kiedy mnie w starości mojej szanujesz» — wtem ukląkł w pośrodku izby, i podniósłszy ręce do góry, — «Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba! pobłogosław to dziecię moje, niech żyje długo, zdrowo i szczęśliwie!» Padłem mu do nóg, rozrzewniony i wzruszony mową jego, zapomniawszy nawet o policzku, który odebrałem, a on, klęczący do klęczącego, mówił rozrzewniony: «Synu mój! szanuj ludzi, a będziesz szanowany; ten policzek, który odebrałeś od ojca, niech będzie ostatni, który ci w życiu dany, a gdyby kiedy do tego komu obcemu przyszło, żeby cię tak skrzywdzić miał, krew tylko nieprzyjaciela twego wżgardę takową zmazać może!»

Wdzięczną, pełną czci i miłości, pamięć o tym «groźnym ojcu» przechował Karpiński na zawsze, i ten jego tak znamieny dla obyczaju staropolskiego pietyzm synowski, to śliczna cecha jego charakteru: zapomniał o surowych karach, pamiętał tylko, że go ojciec uczył chodzić drogą prawdy i cnoty.

¹ nagle. ² prostak.

To mu jednak nie przeszkadzało, że od tradycji, wyniesionej z domu rodzicielskiego, odstąpił nie pod jednym względem: mniejsza o to, że nie wierzył już w sny i wróżby; ważniejszą jest rzeczą, że, obdarzony umysłem ciekawym i zdolnym do rozważki, nietylko rozmyślał o sprawach, które za jego czasów były w Polsce przedmiotem troski najpoważniejszych ludzi, np. o naprawie państwa i reformie wychowania, ale nawet zaciekał się w zagadnienia filozoficzne, zwłaszcza moralne. Był także całą duszą po stronie tych, którzy, wbrew tradycji, domagali się reformy społecznej: osiadłszy na Litwie, uwolnił testamentem swoich poddanych na wieczne czasy od podatków, wkładając ten ciężar na dziedzica Chorowszczyzny. A i w pismach jego nieraz dzwięczą humanitarne hasła wieku oświeconego, czy to w rozprawie *O szczęściu człowieka w towarzystwie czyli o Rzeczypospolitej* (1787), czy w wierszu *Żebrak przy drodze*. Słowem, przerósł Karpiński poziom tradycji rodzinnej o całą jedną epokę umysłowości polskiej — epokę oświecenia.

Niedosyć na tem: pod pewnym względem przerósł i epokę oświecenia. Nie był już bałwochwalcą rozumu, jak Trembecki i Węgierski, nie uznawał jego nieograniczonej potęgi, nie wierzył, żeby sam jeden rozum mógł pobudzić człowieka do enońskiego życia, a cóż dopiero, żeby przeniknąć najgłębsze tajemnice świata — bez pomocy serca. Bardzo słusznie i dowcipnie nazywał rozum i serce «klótliwem rodzeństwem» i powoływał na sędziego w tej kłótni rodzinnej częściej serce, niż rozum, — zwłaszcza w dziedzinie religji. To też jego religja była zupełnie inna, niż zagorzałych wielbicieli oświecenia. A była mu ona przez całe życie potrzebą serca.

W młodym wieku, kiedy już był w szkołach, nawiedzała go nawet żądza świętości: «Żywość zrobiła mnie do mojej religji, wpojonej przez ojca, gorąco przywiązany; nasłuchawszy się żywotów świętych pustelników, wzięwszy torbę jakąś i dwa chleby, ukradkiem od naszej gospodyni ucieklem w nocy do bliskiej Stanisławowa dąbrowy, chcąc odłąd mieszkać na pustyni i żyć żołądzia, pomalu do niej przy chlebie przyzwyczajając się. Trzy dni mnie szukano, czwartego... sam przyszedłem, zreflektowany, że nie będę mógł do żołądza przywyknąć. Różga nauczyła pustelnika, iż, żyjąc między ludźmi, więcej bliźniemu przysługi zrobić można, którego kochać na puszczy jest to tylko mówić, a nie czynić! Widząc w ołtarzu obraz świętego Sebastjana, strzałami pokłutego, przyszła mi znowu myśl być męczennikiem dla wiary: wiedziałem, że Chocim, miasto tureckie na Wołoszczyźnie, nie tak od Stanisławowa odległe; umyśliłem tam się koniecznie dostać i w środku tego miasta Mahometa, proroka Muzułmanów, ostatniemi lżyc wyrazami; tak obrażeni Turcy pewnieby mnie za wiarę moją zamordowali. Myśląc o sposobach wypełnienia projektu tego, przyszło mi do głowy doświadczyć pierwej, jak też na cierpienia sam jestem wytrzymały: dużą szpilkę utkwilem sobie w udo; z bólu krzyku narobiwszy i widząc się tak niecierpliwym, i szpilkę, i myśl pozostania męczennikiem porzuciłem». A nietylko męczennikiem, ale i księdzem nie został, pomimo że go jezuita do tego namawiali: on jednak nie czuł powołania, a dla kariery iść na księdza nie chciał, zbyt bowiem głęboko kochał religję, żeby oszukiwać siebie, ludzi i Pana Boga.

Ta zaś jego religja nie miała nie wspólnego z deizmem: jemu się prostu w głowie pomieścić nie chciało, żeby Bóg, stworzywszy świat, nie chciał nim rządzić. W dziele p. t. *Rozmowy Platona z uczniami swoimi* (1802) mówi: «Bóg jest, wszędzie się mięsza i wszystkiem rządzi»; natura «ogląda się często na Pana, jeżeli w czem nie zechce biegu jej wyznaczonego odmie-

me». A cóż dopiero ludzie! «Nie w kamiennego ja wierzę Boga, ale Go sobie wystawiam jak ojca, który lubi być kiedyś proszonym od dziecięcia swego, chociaż mu nie wszystko na prośbę jego uczyni». A stąd bardzo mądra nauka dla ludzi: «We wszystkich zdarzeniach, jeżeli z mym Bogiem w zgodzie, śmielej w Nim ufność, że mnie poratuje, pokładam i śmielej Go o łaskę proszę; ale i sam też nie opuszczam nigdy rąk pracowitych i używam sposobów z taką pilnością, jakgdyby wsparcie Jego nie było mi potrzebnem, a w Nim samym mam zaufanie takie, jakgdybym bez Niego był razem¹ bez sposobów żadnych dokonania dzieła rozpoczętego»; to znaczy: postępuj tak, jakbyś sam mógł zrobić wszystko, co chcesz, a módl się tak, jakgdybyś sam nie mógł zrobić. Wierząc w ciągle rządy Boga nad naturą i ludźmi, ostro wystąpił *Przeciwko deistom*: «Niech się, jako chce, swym pozorem zdoła — czarne deistwo, wszędzie go poznają! — A Bóg, jak żyje i, żyjąc, coś robi, — tak końca Jego działania nie mają... — Bez woli Jego na ziemi nie padnie — mizerny wróbel, i na głowach włosy — On porachował, On jeden tak snadnie — wyrabia w swoich formach polne kłosy... Nie mógł zostawić naturze tej siły, — żeby już wsparcia żadnego nie chciała... A Bógby wszystko powierzył losowi, — losowi, który tak łatwo pobłądzi?... Nie plynie morzem okręt bez żeglarza, — i bez rolnika rola nie zrodziła, — dom pustoszeje, gdy bez gospodarza: — a świątby losu fałszywość rządziła?»

Szczerą religijność Karpińskiego, która pięknie przemówiła w jego poezji, była wolna od dawnej, odziedziczonej po czasach saskich, ciasnoty: sam będąc tolerantem, nie mógł wybaczyć konfederatom barskim ich nietolerancji wobec dysydentów, wierny swojej zasadzie: «Wierz, jak chcesz, ale prawa narodu zachowaj, kochaj ojczyznę, jak matkę, to już tem samem masz cechę obywatela». Istoty religijne nie pokładał w praktykach; twierdził wprawdzie, że «kościół boży» jest «miejsce naznaczone, gdzie człowiek szczególnie do rozmowy z swoim Bogiem przechodzi», ale, rozumiejąc, że Boga można chwalić «w Jego kościołach i w s z e d z i e», wyznaje otwarcie: «Do kościołów nie często kwapiłem się, ale widuję Cię, Boże, na słońcu wschodzącem siedzącego i oglądającego światy niepoliczony». Fanatyzm religijny napiętnował w wierszu *Przeciwko fanatyzmowi*: «Krzyż w jednej ręce, żelazo ma w drugiej, — zaslonił oczy, pozatykał uszy... Gdzie tylko przeszedł, krwią ludzką spluskany, — dojdiesz go czarnym zostawionym śladem; — lubi kaleki, śmierć, nędzę i rany, — pije łyżę cudze, łuczy się swym jadem... Oto syn, tłumiąc przyrodzone prawo, — z własnego ojca uczynił ofiarę: — ten padł, ów, nad nim trzymając broń krwawą, — wraz woła ranny z raniącym: «Za wiarę!» — Wiaro! ty czysta przysłana na ziemię, — ale cię człowiek zabobonem szpeci; — ty chcesz, by ludzkie kochało się plemię, — jako jednego Ojca jedne dzieci».

Nie mniejszy zaszczyt, jak tolerancja religijna i nienawiść fanatyzmu, sprawia Karpińskiemu jego stanowisko względem płytkich i głupich hasel kosmopolityzmu, które nieraz głosiło oświecenie. Mając w pamięci pogląd Rousseau'a, który mądrze powiedział, że kosmopolita kocha mieszkańców drugiej półkuli, żeby być wolnym od obowiązku kochania swoich własnych współobywateli, — Karpiński występuje stanowczo przeciwko kosmopolityzmowi. Oto co mówi w rozprawie *O szczęściu człowieka w towarzystwie czyli o Rzeczypospolitej*: «Niech (dzieci) nie wierzą tym wszystkim, którzy, pod pozorem

¹ jednocześnie.

niby miłości powszechnej ludzi, świata obywatelami nazywają się... Kochać należy ludzi w powszechności, a tak naród każdy jednakie do serca naszego mieć będzie prawo, ale tylko póty, póki nas albo jawną pogardą, albo szkodą rozmyślną nie pokrzywdzi... Ale tem bardziej niech uszy swoje zatykają na głos zwodniczy tych wszyskich, których hasłem: «Gdzie dobrze, tam jest ojczyzna», bo... takim sposobem myślenia osłabiony obywatel w przywiązaniu do kraju swego, przekładając krainę łaką, w której żyćby tylko, a umierać za nią nie trzeba było, nigdy w przygodzie do ratowania swojej ochoczym nie będzie. A tymczasem naród obcy, słabością tak myślących duchów ośmielony, na niegotowych napadłszy: «Ustąpcie — powie gnuśnym — ta ziemia mi się podoba, a wy o nią nie dbacie». Wtenczas te bujne pola, staraniem ojców naszych okryte i potem ich krwawym skropione, człowiek nieznamy między drużynę swoją podzieli i w tych przez nas albo poprzedników naszych powystawianych gmachach, pozrzucawszy z nich znaki imion starożytnych, z cudzem pokoleniem zamieszka. Wtenczas z siedliska swojego wygnany obywatel, ze łzami na zostawione zagrody swoje oglądając się, próżno po świecie, po cudzych kątach poniewierany, schronienia szukać będzie! Które chociażby i znalazł, nigdy mu to, nigdy, sierocie, za jego straconą matkę nie stanie».

W ścisłym związku z tym swoim poglądem na kosmopolityzm i patryjotyzm uczył Karpiński, że «sposób ćwiczenia dzieci szlacheckich być u nas nie może jednaki, jak w inszych krajach Europy», domagał się więc, żeby wychowanie młodzieży polskiej odbywało się w duchu narodowym i patryjotycznym, zgodnie z charakterem narodu polskiego i potrzebami państwa polskiego. Szczególny nacisk kładł na naukę historii ojczystej, której nauczyciel powinien wszczepić w młode serca tę prawdę, «że ojczyzna jest to mieszkanie i groby ojców naszych wspólne, że jest składem chwały i pobudką do dzieł szlachetnych każdego obywatela;... niech uczniom widoczniej wyszczególni, że ten chleb, który jedzą, ta suknia, którą się przyodziewają, to imię uczciwe, które noszą, i wolność, której używają, wszystko spadkiem po dziadach swoich od ojczyzny odebrali, wszystko to teraz nietylko ich własne jest, ale jeszcze i drugim nieporównanych tych imienia i wolności zaszczytów udzielać mogą». Mało kto wówczas miał tak silne, jak Karpiński, poczucie łączności pomiędzy pokoleniem żyjącem a pokoleniami zmarłemi, poczucie, na którym się opiera kult tradycji narodowej i bez którego niema nowoczesnego patryjotyzmu.

Ale bo też był Karpiński patryjotą, chociaż nie tak wielkim, jak mu się zdawało. Opowiada np. w pamiętnikach, że «ruszony patryjotyzmem», miał się przyłączyć do konfederatów barskich; skończyło się na tem, że... wyjechał zagranicę! Nad nieszczęściami kraju płakał rzewnie, ale, żeby walczyć za jego niepodległość, brakło mu odwagi, a kiedy mu ona czasem przyplýwała do serca, powściągał ją takim rozmowianiem: «Odwago! marny zapęd cię uwodzi: — nie wszystko ci się, co pomyślisz, godzi». A zresztą, pozbawiony silnej woli i wogóle hartu duszy, nie wierzył, żeby się Polska mogła ostać o własnych siłach i — już w roku 1783 (!), w wierszu *Przeciwko pojedynkom* — włożył w usta «Matki-ojczyzny» te okropne w swojej bezsile słowa: «Może cierpieniem winy pomażemy, — i los mię przykry goniąc zmorduje się (!!): — naczóż rozpaczać, kiedy nie zgadniemy, — co przychylniejsze jutro nam przyniesie? — Wielkość nieszczęścia wielkie względy wzbudza: — może

nas słabych wesprze litość cudza. — Jedną potęgą Europa się chwali: ¹ — ta, mogąc wszystko, nie zechce źle zrobić! — Ona, jak malka w żalu, różgę spali, — jeśli jej przyszło dziecię swoje pobić. — Najślodsze mi ją przemianami wzrusza — to litość serca, to wspaniała dusza. — Tam się udajcie!... tam was widzieć wolę: — ona wam góry pozniża wyniosłe, — ona honoru pokaże wam pole — i sławy szlaki odkryje zarosłe. — Tak, ratując was wspaniałością rzadką, — stanie się nową malki waszej matką». W powstaniu Kościuszki Karpiński nie brał, oczywiście, udziału. Po upadku Polski i abdykacji Stanisława Augusta oburzał się, że «nasi narodowcy najwesielej, w tańcach, jakgdyby za czasów najlepszych ten dzień przepędzili» — na balu, wyprawionym przez Repnina, ale sam na jego prośbę napisał wiersz *Do Księżęcia Mikołaja Repnina, Jenerala, Gubernatora Litwy 1796*, pełny wprowadzenia smutku po upadku ojczyzny, ale jednocześnie wynoszący pod niebiosa «wysoką cnotę», «litość» i «ludzkość Repnina»; smutek zaś jest przepojony beznadziejnością, której szczytem są słowa: «Ten język i te wiersze słowami polskimi — może za sto lat znane nie będą w tej ziemi»...

Tak więc patryjotyzm Karpińskiego był pozbawiony siły, woli i wiary w przyszłość; płynął ze szczerego serca, ale przejawiał się tylko we łzach. W ich zaś ronieniu był «poeta serca» niezrównanym mistrzem: przychodziły mu one na zawołanie, co się jednak tłumaczy nietyłe dobrocią i szlachetnością, jak mniemał, ile wielką wrażliwością jego natury; a nadto lży sprawiły mu przyjemność, bo go utwierdzały w mniemaniu, że ma serce bardzo czule; więc nawet szukał sposobności, aby je wylewać, jak się do tego sam przyznał w pieśni *Tęskność do kraju*: «Kiedy mną tęskność rządziła, — szedłem nad brzegi Dunaju: ² — odludność ³ mię tam pędziła — i chęć wzdychania do kraju. — Cichości, siostrze tęsknoty! — Ja nie wiem, czem ty mię bawisz, — to wiem, że serce mi krwawisz: — ja przecie lubię twe groty!...» Krótko mówiąc, miał Karpiński serce nietyłe czule, ile czułości kowe; mając dla swoich myśli zarówno, jak uczuć, nieklamany podziw, lubił się z niemi pieścić. Ten sentymentalizm to znamienna cecha jego charakteru, upodobniający go do Rousseau'a, który w swoich *Marzeniach* wysławił sobie takie świadectwo: «We wszystkich nieszczęściach mego życia czulem zawsze, żem jest pełny uczuć czułych, wzruszających, rozkosznych, które, lejąc balsam zbawienny na rany mego rozdartego serca, zdawały się zamieniać ból w rozkosz». Kubek w kubek możnaby to samo powiedzieć o Karpińskim.

Czułości kowość ma to do siebie, że osłabia siłę uczuć; to też czułości kowy Karpiński nie był zdolny do uczuć silnych, nawet względem kobiety. W rozprawce *O szczęściu człowieka* twierdzi (on chyba pierwszy w Polsce), że miłość to najbardziej «ulubione dobro» człowieka, że jest większem szczęściem, niż zdrowie, niż dostatek, niż spokój, niż wiedza, a nawet niż cnota. A w wierszu *Trzeba się kochać* mówi o miłości: «Ale i wtenczas kiedy ją kłamię, — czulem, że była moim żywiołem». Może, ale ten «żywioł» w życiu Karpińskiego nigdy nie był żywiołowy, jak to widać z jego własnych wyznań w pamiętnikach.

W młodości pokochał pierwszą swoją miłością ubogą panienkę, Marjanę Brösselównę; uczucie było szczerze, ale wcale nie głębokie: «I ona we

¹ Ma tutaj Karpiński na myśli... imperatorową Katarzynę! ² t. j. do Wiednia. ³ zamilowanie do samotności.

mnie kochała się, ale nakoniec, kiedy jej zyskowne trafiło się zameście... a ja, ubogi, wzięwszy tę szanowną pannę, chyba bym z nią na służbę poszedł. ze łzami oświadczyłem jej, ażeby za mego rywala poszła; w początkach łzami mi tylko odpowiadała, a potem rzecze: «Ja się dla ciebie prząść nauczę i grzędę kopać będę»; jużem się do niej wracał i byłbym tego nie żałował, ale jej i moi przyjaciele przemogli, którzy mi zyskowniejsze chcieli obmyślić małżeństwo». I tak się skończyła pierwsza miłość «poety serca». Później przez lat dziesięć kochał się w starszej od siebie o lat czternaście pani starościnie Marjannie Ponińskiej, która jednak nie miała ochoty opuszczać męża; a kiedy szczęśliwie owdowiała, wówczas «poeta serca»... nagle przestał ją kochać, co mu zresztą nie przeszkodziło do przyjęcia od niej 5000 złotych... na pamiętkę! Po raz trzeci zakochał się w pannie Franciszce Koziebrodzkiej, starościance olchowieckiej; panna miała wprawdzie narzeczonego, ale go nie kochała, więc nie miała nic przeciwko temu, żeby ją «poeta serca» wykradł; cóż z tego, kiedy «poeta serca» nie chciał. Na schyłku lat trafiła mu się wdowa: wszystko było gotowe do ślubu, ale dobrzy znajomi wyperswadowali «pocie serca» małżeństwo tem łatwiej, że za najbardziej «ulubione dobro» poczytywał w starości już nie miłość, tylko przyjaźń...

Na co «czułe» serce Karpińskiego było naprawdę bardzo czułe, to na wszelkiego rodzaju zyski; był to bowiem, mówiąc prawdę, samolub, wyrachowany, łakomy na rozgłos, a więcej jeszcze na grosz, a stąd, chociaż niby to o godność osobistą wielce dbały, jednak polecający się przy każdej sposobności pamięci króla i magnatów, w przeświadczeniu, że nikt więcej od niego na nagrodę nie zasłużył; a że ta go jakoś mijala, więc wpadał w zły humor, roztkliwiał się nad swoim ubóstwem (którego nigdy nie zaznał), dąsał się i złościł, miał żal do świata i ludzi.

Wogóle przy całej swojej mądrości, cnotliwości, czułości serca i innych przymiotach, o których z taką lubością w swoich pamiętnikach opowiada, był to człowiek przeciętny, często śmieszny, ale przez swoją wręcz dziecięcą szczerłość bardzo sympatyczny.

147. W historii literatury stanisławowskiej zajmuje on stanowisko bardzo wybitne, jako «poeta serca», to znaczy jako liryk, i jako zwiastun nowych poglądów na poezję i nowych prądów w poezji, to znaczy jako preromantyk. Swoje poglądy na poezję wyraził (zasilając się nowymi teorjami, napływającymi z Francji do Polski) w rozprawie *O wymowie w prozie albo w wierszu* (1782). Przez wymowę rozumiał Karpiński całą wogóle literaturę piękną. Otóż po raz pierwszy w Polsce padło w tej rozprawie hasło, które w Anglii wygłosił o lat dwadzieścia trzy wcześniej, Young, mianowicie hasło oryginalności w poezji: «ślepe naśladowanie autorów znakiem jest niedowierzania siłom naszym, a podobno zagrodą wzrostu wymowy, która, jak woda, ażeby zdrowa była, za wolnością płynąć lubi; naśladowanie zaś, trzymając ucznia przy wzorze jego, gnuśnieć mu na miejscu każe, wtenczas kiedy honor i pożytek narodowi zapewne nie kopije, ale same zrobić mogą oryginały». W ścisłym związku z tem hasłem pozostaje hasło swobody twórczości: niechaj się poeta nie kępuje żadnymi regułami, «prócz porządku i przystojności mówienia» (to jest jasności i zwiezłości stylu), oraz «pięknej i wysokiej razem prostoty» (to jest naturalności, połączonej z wdziękiem). Szczególniej pomstuje Karpiński na regułę, zalecającą poetom posługiwanie się mitologją starożytną, i szydzi z tych, którzy ją do swoich utwo-

rów wsadzają: «Zaszyły śluby małżeństwa jakiego, — już zaraz wszystkich bogów i bogiń poeta w nieczemnych wierszach swoich na wesele zaprosił: już mu gra Apollo na lutni, Muzy śpiewają, i Merkury coś bredzi nie do rzeczy; umarł kto, idą Plutony, Prozerpiny, Parki; wojskowy kto, — już on Marsa albo Bellony synem... POCO tych Muz, tych Apollinów w naszych wzywamy poezjach, o których próżności aż nadto przeświadczeni jesteśmy? A tym jeszcze sposobem odbiegamy od jednej z pomiędzy własności tak poezji, jako i pisma każdego, — ażeby powszechnie rozumiane były».

Z hasła jednak swobody twórczości nie wyprowadza Karpiński wniosku, żeby się poeta nie miał kształcić na pięknych wzorach. Przeciwnie: zaleca je przyszlęmu poecie, a zalicza do nich nietylko wielkich poetów i prozaików starożytnych, ale i nowożytnych: «Nabożny Torquato Tasso w swojej *Jeruzolimie wyzwolonej*, a przez Piotra Kochanowskiego przetłumaczonej; wyniosły Milton w swoim *Raju zgubionym*; zabawny Ariost w *Rolandzie oszalonym*;... naturalny Gessner... w sielankach swoich; słodki i razem wspaniały w *Henrjadzie* i nieśmiertelnych swoich tragediach Wolter,... — oto są (między znaczniejszemi) z nowych pisarzy wzory», nie «ażebyśmy, ślepyimi ich niewolnikami będąc, naśladowaniem tylko samem bawili się», ale żebyśmy, «na wzorach... poznawszy prawdziwą piękność, równą tej... drugą utworzyć mogli», to znaczy, żebyśmy pisali nie to samo i nie tak samo, jak dawni pisarze, ale równie pięknie, jak oni.

Lecz rozumiał Karpiński, że samo tylko kształcenie poczucia piękna nigdy nie robi poetą tego, kto nie ma talentu. Na talent zaś składa się, oprócz «pojęcia rzeczy», to jest «dokładnego poznania tego, o czym mówić chcemy», «imaginacja» i «serce czułe». Otóż te pierwiastki talentu można i trzeba kształcić.

Tak np. «między rzeczami, które imaginacją naszą poruszać mogą, rachować można doskonale, a wyrażające akcją jakąś malowanie, np. starych miast rozwaliny, okropne zacienienie lasów i tym podobne widowiska; ale najmocniej myśl ociążała poruszać zdaje się sforna i piękna muzyka, której cudów w ocuceniu imaginacji nietylko dzisiaj doświadczamy, ale która i u dawnych z tejsze siły swojej słynęła». Lecz jest skuteczniejszy jeszcze inny środek: «Możemy imaginacją naszą zagrzeć przez pogłądanie i rozważanie tej książki, którą natura we wszystkich rzeczach stworzonych zawsze nam do czytania podaje. Szczęśliwy, który, nad każdą rzeczą zastanawiając się, nad wszystkim, co obaczył, rozmyślał... Dla niego widowisko natury otwarte jest, ażeby, samemu sobie zostawiony, w milczeniu rozpamiętywając piękności jej, głośnemi je potem, przez czułe wyrazy, czynił. Dla niego uśmiecha się przyjemna łąka, niedostępne zasępiły się skały, w gruzach własnych niedobyte kiedyś zamki dawnej swojej siły i piękności płaczą. Dla niego zachód słoneczny tę bogatą chmurom przyległym rozdaje barwę, księżyc okropnej nocy w cichości panuje, i w niezmierzonej gdzieś tam odległości stateczne gwiazdy migocą. Dla niego szumią nawalne wody, porzuciwszy dawne koryta swoje, płyną swobodnie po fundamentach jeszcze pozostałych miast, kiedyś poniszczonych; potężny sroży się wichur i, w puszcze nie tknioną siekierą, zakradłszy się, wyniosłe powalił dęby, pod któremi... drzewka młodociane i kwiał leśny ubity poległ. Dla niego wpośród głębokiej na wiosnę nocy, kiedy całe uciszyło się stworzenie, słowik wyśpiewuje, poziomy¹ po-

¹ malw.

tem skrowronek wschodzące wita słońce, i, pobudziwszy naród powietrzny, sformne ptaśzał śpiewania, ich pewnie miłości zaczęły się piosnki».

Co to jest «imiginacja», tego nie wyjaśnia Karpiński, wyjaśnia natomiast, co to jest «serce czule»: polega ono, po pierwsze, na umiejętności wglądania w swoje własne wnętrze, a po drugie — na umiejętności wczuwania się w serca innych ludzi, czyli postawienia «się w osobie tego, o którym pisze» poeta, podzielenia jego radości, a nadewszystko smutków; smutek zaś poety, rodzący się «z litości» względem smutków i nieszczęść cudzych, «przeciagnieniem się czyli wejściem w nałóg staje się melancholiją», a stąd prawdziwie mocna poezja jest melancholijna; zresztą i poezja radości jest owocem lez poety — lez szczęścia na myśl o radości swojej czy cudzej; ale tę poezję radości ceni Karpiński, jak wolno sądzić, niżej od poezji melancholijnej.

Ze wszystkich pierwiastków talentu «serce czule» jest najważniejszym: «Wejdz pierwej zawsze, ile możności, w serce twoje, radz go się i słuchaj; a dopiero, co w niem zaczęłeś, niech głowa i dowcip» (t. j. rozmyśl i talent pisarski) «dokończy: oto najmocniejsza sprężyna sztuki», albowiem «to tylko, albo przynajmniej łatwiej pamięci naszej trzyma się, co serce dotknąć mogło». «Czułości serca — dodaje Karpiński — jeżeli kto z natury nie wziął, może ją sobie i sam czasem utworzyć», a to przestając z ludźmi, którzy «ze swojej kliwości serca dobrze są znani», i z ludźmi nieszczęśliwymi, a zacnymi, np. z «niewinnymi w prześladowaniu», «poczciwymi w ubóstwie», «zdatnymi do wielkich rzeczy w pogardzie», oraz często poglądając «na kaleków w niedostalku, na chorych opuszczonych».

Te są główne myśli rozprawy Karpińskiego, będącej jakby programem preromantyzmu. A jego własna poezja, naogół biorąc, zgadza się z tym programem. Znał Karpiński piękne wzory, zarówno starożytne, jak nowoczesne, nieraz tłumaczył nawet drobne ich urywki; w samej rozprawie jest ich kilka z Homera i jeden z *Pieśni Osjana* (pierwszy to przekład Osjana w Polsce) — wszystkie prozą; *Ogrody* zaś Delille'a przełożył całe, naprzemiany wierszem i prozą, i wydał osobno (1783). A wszystkie te i inne jeszcze przekłady są dosłowne, tłumaczeń bowiem uzupełnianych i przerabianych, nadających barwę narodową obcym pomysłom, Karpiński nie cierpiał, poczytując je za ujmę dla tłumaczy i dla literatury narodowej — zgodnie ze swoim wymaganiem oryginalności. Otóż jego własna poezja jest oryginalna: wpływy obce, np. Gessnera albo Osjana, są bardzo nieznaczne, i prawdę powiedział Mickiewicz, że Karpiński, «nie idąc ślepo w niczyje ślady, szukał właściwej talentowi swojemu drogi», że «nie zapatruje się na żaden wzór, nie przybiera żadnego systemu, śpiewa jak ptaszek, wyznając, co ma w duszy, wylewając swoje uczucia». Ma tutaj Mickiewicza na myśli nie dwie liche tragedje i nie lichą komedję Karpińskiego, i nie przekład psalmów Dawida (który jest bluznierstwem estetycznym wobec przekładu Kochanowskiego), tylko sielanki, a nadewszystko lirykę. Niema w niej (jak najczęściej w liryce) ani bujnej imaginacji, ani głębi myśli, ani zapału, ani namiętności, do czego się Karpiński sam przyznał: «A mnie mój ciężar trzyma na nizinie, — próżno się w górę podnoszę». Ale jest zato szczerłość, serdeczność, żywość i ciepło uczucia, jest cicha, łagodna melancholja, jest, krótko mówiąc, owo «serce czule», bez którego «poeta serca» nie rozumiał poezji, serce, patrzące nie tylko w samo siebie, ale i w serca cudze». Ani jeden poeta staropolski nie posiadał tej sztuki w tym stopniu, co Karpiński. Jest także w jego poezji «porządek

i przystojność mówienia», oraz «piękna i wysoka razem prostota». O «kunszt» nieraz troszczył się za mało; naginał np. czasem formy gramatyczne do rymu (np. różow^ę, zam. różow^ą — do rymu z głow^ę), albo rymując łomie z płonie, albo jeszcze pisząc miejscowi zam. miejscu — dla osiągnięcia potrzebnej liczby zgłosek. Usterki te jednak wynagradza melodyjność wiersza i bogactwo zwrotek, których różnorodnością bije Karpiński wszystkich poetów stanisławowskich. W elegji *Myśli jesienne* wiersze są różnogłoskowe, a w wierszyku *Do Pasterki* jest w drugiej zwrotce rym męski, który prawo obywatelstwa zdobędzie dopiero w epoce romantyzmu:

Pod mojem oknem, gdzie ma chatka mała, Jest też tam u was dąb w twoim ogrodzie,
Lilija wonna sadzona. Wierny miejscowi przez swój zgon.
Gdy na nią spojrzę, jak wdzięczna i biała, Gdy go nadybiesz, spocznij w jego chlo-
Myślę o tobie: «To ona». I pomyśl o mnie: «To on». [dzie

148. Utwory swoje wypuszczał Karpiński w świat niewielkimi tomikami: nasamprzód wyszły *Zabawki wierszem i przykłady obyczajne* (1780), potem *Zabawki wierszem i prozą* (siedem tomików: pierwszy r. 1782, ostatni — 1792), wreszcie *Pieśni nabożne* (1792).

W *Zabawkach* mieszcza się, pomiędzy innymi, *Sielanki*, *Pieśni* i *Wiersze różne*. Prawie wszystkie cechuje owa melancholja, którą Karpiński zaczytywał za główne źródło poezji. Utworów wesołych jest bardzo mało, a szkoda, bo te, które są, świadczą niezbitcie o talencie humorystycznym, jak np. *Podróż z Dobiecka na skalę*, powiastka wierszem, żywo przypominająca opowieść Horacego o wycieczce w okolice Rzymu¹, ale, niestety, nieskończona. A oto jeszcze jeden drobny utwór. Ktoś, podczas srogiej zimy, zaprosił Karpińskiego do siebie w gościnę. Karpiński bał się zimna i zawieruchy i, przypomniawszy sobie baśń, słyszaną jeszcze w latach dzieciństwa, o Piotrze Wielkim (że go podczas zawieruchy djabli żywcem do piekła porwali) odpowiedział na zaprosiny tak:

List wymawiający się.

Nie wiesz, jak tu bije w ściany
Z mroźnym wiatrem śnieg zamieszany.
Ledwie dziś pokazał głowę,
Zawiało mi jej połowę.

Zwierz w swoje zabiegł komysze²,
Mróz nagle pościął wodę;
Z ptaków, prócz kruka, nie słyszę,
Który lubi niepogodę.

Jeszczem na koniu drewnianym
Jeździł, gdy o zawołanym³
Aleksiewicz⁴ mówiono,
Że go do piekła ciągniono.

Takaż zawierucha była,
Kruki powietrze mieszały,
Noc się wpośród dnia zrobiła:
Tak to nam kiedyś bajali.

Oh! dziś się z miejsca nie ruszę,
Przyrzekam ci to na duszę.
Przy ciepłym kominie siędę
I Piotrem Wielkim nie będę.

¹ Satyra 5, księgi I. ² zarośla, gęstwina. ³ sławny. ⁴ Piotr Wielki, syn Aleksieja Michajłowicza.

Najbardziej podobały się ludziom *Sielanki* i pieśni miłosne. Znał Karpiński sielanki Wirgiljusza i Teokryta, Szymonowicza i Zimorowicza, ale wołał modne sielanki sentymentalne Gessnera i jego naśladowców francuskich, np. Léonarda, autora *Sielanek obyczajnych*¹. To też i sielanki Karpińskiego są i sentymentalne, i «obyczajne».

Pierwiastku epickiego, t. j. opowiadania autora, jest w nich bardzo mało; stanowiącą przewagę ma forma dramatyczna, t. j. monologi albo dialogi, wypełnione wylewami uczuć pasterzy i pasterek. Z wyjątkiem Justyny i Rozyny, z których imionami do dziś dnia można się spotkać w Polsce, imiona innych pasterek i wszystkich pasterek są niepolskie: Palmira, Laura, Lindora, Dafne, Nice; Medon, Filon, Korydon, Klitus, Mirtyl.

Sielanki tchną czułością, albo raczej czulostkowością i melancholją: pasterze płaczą po rozstaniu się z ukochanymi, rozpaczają po ich śmierci, jęczą i skarżą się na ich niewzajemność, błagają o wzajemność i t. d. Bardzo rzadko rozjaśnia te chmury smutku promień radości: jedno słowo, albo i samo spojrzenie ukochanej pasterki wystarcza, żeby serce pasterza zabiło szczęściem. Raz jednak zdarzyło się, że Korydon zemdlał, zanim mu jeszcze Dafne zdążyła coś o swojej miłości powiedzieć. Imiona swoich ukochanych pasterek wyrzynają pasterze na korze drzewnej, a czasem i na kijach. Aby się przypodobać pasterkom, łapią dla nich motyle; pasterki chowają je parami w klatkach, karnią je ze swych «białych» dłoni, a nie dokuczają im nigdy, bo serca mają tak czułe, że widok zabitej muchy przyprawia je o ból bezmierny. Pasterze i pasterki kochają piękną naturę: wzruszają ich zwłaszcza łączki zielone, strumyczki szemrzące i «pieszczony głos ptaszczy»; nawzajem i natura jest dla nich bardzo czuła: kiedy raz Palmira wyznała miłość Korydonowi, natura o mało nie zwarjowała ze szczęścia: odmłodziła łąka, rozkwitły róże, i zakwitły ptaszęta; a kiedy inna Palmira «ubłociła przy źródle swoją śliczną nogę», «nazajutrz kwiatem brzeg cały usłany tam, — gdzie białymi kłękała kolany». Pasterze, oprócz pasterek, a pasterki, oprócz pasterzy, kochają jeszcze okropnie swoje owieczki i baranki, które pasą, gładzą, pieszczą i nazywają «duszami swoich dusz».

Oto mniej więcej, jak wygląda ten świat «pasterski», z życiem prawdziwych pasterzy i pasterek mało mający wspólnego, będący raczej maskaradą, aniżeli wiernym obrazem rzeczywistości. *Sielanki* Karpińskiego to najznamienniejszy w poezji stanisławowskiej objaw modnego w całej Europie prądu: sentymentalizmu i fałszywej ludowości. A pomimo to, albo raczej właśnie dlatego, zachwycali się nimi współcześni: mieli już dosyć satyry i nauki w poezji, dosyć mieli także chłodu i sztuczności w poezji dworskiej; chcieli ciepła, choćby sztucznego, chcieli czułości serca, zwłaszcza w miłości, chcieli choćby pozorów naturalności i prostoty wiejskiej, — a tego wszystkiego mieli w *Sielankach* po same uszy.

Zachwycano się nimi i później: kochał je przecie Mickiewicz, a i dziś jeszcze słychać tu i owdzie wśród wiejskiej ciszy melodię «Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły, — i coś tam klaszcze za borem». Są to dwa pierwsze wiersze najpopularniejszej i najlepszej sielanki Karpińskiego: *Filon* i *Laura*. Na jej powstanie mogła trochę wpłynąć literatura obca: oda Horacego do Lidji, sielanki Gessnera, sielanka Léonarda (*Niewinność miłości*), a nade-

¹ Idylles morales, 1766.

wszystko grecka sielanka *Dafnis i dziewczyna*, przypisywana Teokrytowi. Ale ten wpływ ogranicza się do drobniutkich pomysłów. Z literatury także wziął Karpiński Akasta i Ismenę, potrzebnych w tej sielance, jak psu piąta noga. Ale poza tem wszystko wziął z życia: i jawor, i maliny, i «pleciankę różową», i nawet kij z wyróżnietemi imionami zakochanych (bo wówczas naprawdę była tak moda), a nadewszystko, dzięki swemu «czułem sercu», wziął z życia to, około czego się cała sielanka obraca: «mozolę z kochania», to jest niezaspokojony głód miłości dwojga młodych («Czy w każdym roku taka z kochania, — jak w osiemnastym mozola?»).

Laura i Filon.

Laura.

Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły,
I coś tam klaszcze za borem;
Pewnie mnie czeka mój Filon miły
Pod umówionym jaworem.

Nie będę sobie warkocz trefiła,
Tylko włos związę spletały,
Boby się bardziej jeszcze spóźniła,
A mój tam tęskni kochany.

Wezmę z koszykiem maliny moje
I tę pleciankę różową;
Maliny będziem jedli oboje,
Wieniec mu włożę na głowę.

Prowadź mię teraz, miłości śmiała,
Gdybyś mi skrzydła przypięła,
Żebym najprędzej bór przeleciała,
Potem Filona ścisnęła!

Oto już jawor... Niemasz milego!
Widzę, że jestem zdradzona!
On z przywiązania żartuje mego...
Kocham zmiennika Filona!

Pewnie on teraz koło bogini
Swej, czarnobrewki Dorydy,
Rozrywkę sobie okrutną czyni
Koszttem mej hańby i biedy.

Pewnie jej mówi, że obłądzona
Wpieram się w drzewa i bory,
I zamiast jego białego łona
Ściskam nieczule jawory.

Filonie, wtenczas, kiedym nie znała
Jeszcze miłości szalonej,
Pierwszy razem ją w twoich zdybała
Oczach i mowie pieśczonej.

Jakże mię mocno ubezpieczała,
Że z tobą będę szczęśliwą!
A z tem się chytrze ukryć umiała,
Że bywa czasem fałszywą.

Słabą niewinność łatwo uwiodą!
Teraz, wracając do domu,
Nauczać będę moją przygodą,
Żeby nie wierzyć nikomu.

Ale któż zgadnie, przypadek jaki
Dotąd zatrzymał Filona?
Może on dla mnie zawsze jednaki,
Możem ja próżno strwożona?

Lepiej mu na tym naszym jaworze
Koszyk i wieniec zawieszę:
Jutro paść będzie trzodę przy borze,
Znajdzie... jakże go pocieszę!...

Oh, nie! on zdrajca, on u Dorydy,
On może teraz bez niary
Na sprosne z nią się wydał niewstydy,
A ja mu daję ofiary...

Widziałam wczoraj, jak na nie mrugał,
Potem coś cicho mówili...
Pewnie to dla niej kij ten wystrugał,
Co mu się wszyscy dziwili.

Jakżeby moję hańbę pomnożył,
Gdyby od Laury uwity
Wieniec na głowę Dorydy włożył,
Jako łup, na mnie zdobyty!

Wianku różany, gdyś mię spletała,
Krwiam cię rąk moich skropiła,
Bom twe najmocniej węzły spajała
I z robotą się kwapiła.

Teraz bądź świadkiem mojej rozpacz
I razem naucz Filona,
Jako w kochaniu nie nie wybaczy
Prawdziwa miłość wzgardzona.

Thukę o drzewo koszyk mój miły,
Rwę wieniec, którym splatała;
Te z nich kawałki będą świadczyły,
Żem z nim na wieki zerwała...

Kiedy w chróście Filon schroniony
Wybiegł do Laury splakanęj,
Już był o drzewo koszyk stłuczony,
Wieniec różowy stargany.

Filon.

O, popędliwa!... o, ja niebaczny!...
Lauro!... poczekaj... dwa słowa!
Może występki mój nie tak znaczny,
Może zbyt kara surowa.

Jam tu przed dobrą stanął godziną,
Długo na ciebie klaskałem,
Gdyś nadchodziła, między chróściecą
Naumyślnie się schowałem,

Chcąc tajemnice twoje wybadać,
Co o mnie będziesz mówiła,
A stąd szczęśliwość moją układać.
Ale czekałem zbyt siła.

Pierwsze twe skargi o Dorys były.
Sądź o mnie, Lauro, inaczej!
Kogożby wdzięki tamtej wabiły,
Kto cię raz tylko obaczy?

Prawda, że czasem z nią się bawiło,
Mając znajomość oddługa,
Ale kochania nigdy nie było:
Nie już ten kocha, co mruga.

Oto masz ten kij, po nim znamiona
Niebieskie, gładko rzezane,
W górze zobaczysz nasze imiona
Obłądnym¹ węzłem związane.

Cóżem zawinił, byś mię gubiła
Przez twój postępek tak srogi?
Czyliż dlatego, żeś ty zbłądziła,
Ma ginąć Filon ubogi?

Jeśli się za co twych gniewów boję,
To mię ta rozpacz strapiła.
Drogom kupował ciekawość moję,
Łzamiś ją swemi placiła.

Ale w tem wszystkim złość nic nie miała,
Wszystko z powodu dobrego.
Ja wiem, dlaczegoś tyle plakała,
Ty wiesz, mój podstęp dlaczego.

Laura.

Dajmy już pokój troskom i zrzedzie,
Ja cię niewinnym znajduję.
Teraz mój Filon droższy mi będzie,
Bo mię już więcej kosztuje.

Filon.

Teraz mi Laura za wszystko stanie,
Wszystkim pasterkom przodkuje,
I do gniewu ją wzrusza kochanie,
I dla miłości daruje.

Laura.

Jedną się Dorys wyłączyć miała,
Jej pierwsze miejsce naznaczę.
Na to wspomnienie drzę zawsze cała,
Cóż, kiedy cię z nią obaczę!

Filon.

Dla twego, Lauro, przypodobania,
Przyrzekam ci to na głowę:
Chronić się będę z nią widywania,
W żadną nie wnidę rozmowę.

Laura.

Czemże nagrodzę za te ofiary?
Nie mam, prócz serca wiernego.
Jedne ci zawsze przynoszę dary;
Przyjmij, jako co nowego.

Filon.

Któżby dla ciebie nie zerwał węzły
Przyjaźni, co mię nęciły?
W twej pięknej twarzy wszystkie uwięzły
Nadzieje moje i siły.

¹ splątany. wijący się.

Laura.

Ja mam mieć z płaczu po twarzy smugi,
Ale jak mi się nadarzy
Splesnąć i ułożyć warkocz mój długi,
Mówią, że to mi do twarzy.

Filon.

Gdyby mi Akast¹ dawał swe brogi
Ze złotem swojej Ismeny,
Rzekłbym: «Akaście, tyś jest ubogi,
Bo moja Laura bez ceny».

Laura.

Ani ja pragnę szczęścia wielkiego,
Które (choćbym też i miała)
Za jeden uśmiech Filona mego
Zarazbym z chęcią mieniała.

Filon.

O, światło moje wpośród tej nocy,
Zagrodo, mego spokoja!
Ty jeszcze nie wiesz o twojej mocy,
A ja czuję ją... o, moja!

Laura.

Polóż twą rękę, gdzie mi pierś spada!
Czy słyszysz to serca bicie?
Za uderzeniem każdym ci gada,
Że cię tak kocha, jak życie.

Filon.

Daj mi ust... z których i niepokoje,
I razem słodycz wypływa;
Tą drogą poślę zapaly moje,
Aż gdzie twa dusza przebywa.

Laura.

Czy w każdym roku taka z kochania,
Jak w osiemnastym, mozoła?²
Jeśli w tem niemasz pofolgowania,
Jak człek miłości wydoła?

Filon.

Ściśnij twójego, Lauro, Filona!
Ja cię przycisnę wzajemnie;

Serca, zbliżone łonem do łona.
Rozmawiać będą tajemnie.

Laura.

Ty mię daleko ściskasz gorącej,
A jam cię tylko dotknęła.
Nie przeto, Filon, kochasz mię więcej:
Miłość mi siły odjęła.

Filon.

Lauro, coś dotąd dla mnie świadczyła,
Jeszcze dowodzi to mało,
Że mię tak kochasz, jakeś mówiła;
Jeszcze mi prosić zostało.

Laura.

Tegom się miała z ciebie spodziewać?
Jakże to skarga niezbożna!
Nie proś, nie każ mi, ty mię chcesz gniewić,
Kochać cię więcej nie można. [wać!

Filon.

Kiedyż mię za to nie będziesz winić?
I kiedy będziesz wiedziała,
Co do dzisiejszej łaski przyczynić,
Że taka miłość nie cała?

Laura.

Filonie, widzisz wschodzące zorze!
Już to drugi raz kur pieje.
Trochę przydlugo bawię na dworze...
Już matka wstała... truchleję.

Filon.

Żal mi cię puścić, nie śmiem cię trzymać.
Kiedyż przyśpieszy czas drogi,
Gdy z moją Laurą i słodko drzymać,
I bawić będę bez trwogi?

Laura.

Miesiącu, już ja idę do domu.
Jeśliby kiedy z Dorydą
Filon tak trawił noc pokryjomu,
Nie świeć, niech na nich dżdże idą!

¹ syn króla Peljasa, jeden z Argonautów. ² męka.

149. Zpośród dwudziestu jeden *Sielanek* Karpińskiego jest pięć utworów, którym byłoby bardziej do twarzy, gdyby je autor włączył do *Pieśni*: są to bowiem nie sielanki, tylko pieśni miłosne, zwrócone do «Justyny», to jest do Marjanny Brösselówny, będące więc zwierciadłem pierwszej miłości poety. Śpiewał on i późniejsze swoje miłości i włączył te śpiewy już nie do *Sielanek*, tylko do *Pieśni*.

Piękniejszych pieśni miłosnych nie zna liryka staropolska: w swoim łagodnym, cichym, spokojnym uczuciu mają one tyle serdecznego wdzięku, ile go nie mają ani pieśni miłosne Kochanowskiego, ani *Rozolanki* Zimorowicza; a i w prostocie wyrazu nie ustępują pieśniom Kochanowskiego, kunsztowne zaś sonety Morsztyna przewyższają o całe niebo.

Łagodna melancholja, znamionująca sielanki, cechuje i pieśni miłosne. Pieśni radosnych, np. *Do Justyny* («Wyszła Justyna, czas przeminął mglisty»), prawie niema; przeważają smutne, pełne albo tęsknoty do miłości, albo utyskiwań na niewzajemność, albo smutku po rozstaniu się z ukochaną, albo też tęsknoty za miłością i żalu po minionym szczęściu. Ale ten smutek jest «słodki», wolny od bólu: nie trudno wyczuć, że się poeta lubuje w rozpamiętywaniu nie tylko radosnych, ale i smutnych chwil swojej miłości (zupełnie inaczej, niż Gustaw Mickiewicza).

Najważniejszą i zarazem najwdzięczniejszą ze wszystkich pieśni, napisaną w czasach, kiedy się miłość dopiero budziła jest *Do Justyny tęskność na wiosnę*, wylew raczej tęsknoty do miłości, niż samej miłości, zespolony tak mocno z wrażeniami na widok natury wiosennej, tak nawet tonący w tych wrażeniach, że, kto wie, gdyby nie tytuł, możeby się nie każdy domyślił, że to pieśń miłosna; z tego względu możnaby ją od biedy zaliczyć do liryki nastrojowo-symbolicznej, to znaczy do liryki, w której poeta wypowiada swoje uczucia nie bezpośrednio, tylko pośrednio, np. zapomocą obrazu natury.

Do Justyny tęskność na wiosnę.

Już tyle razy słońce wracało
I blaskiem swoim dzień szczyli:
A memu światłu cóż się to stało,
Że mi dotychczas nie świeci?

Już się i zboże do góry wzbilo,
I ledwie nie kłos chce wydać,
Całe się pole zazieleniło:
Mojej pszenicy nie widać!

Już słowik w sadzie zaczął swe pieśni.
Gaj mu się cały odzywa,
Kłocą powietrze ptaszkiwie leśni:
A mój mi ptaszek nie śpiewa!

Już tyle kwiatów ziemia wydała
Po onegdajszej powodzi,
W różne się barwy łąka przybrała:
A mój mi kwiatek nie schodzi!

O, wiosno, pokiz będę cię prosił
Gospodarz, zewsząd stroskany?
Jużem dośc ziemię łzami urosił:
Wróc mi urodzaj kochany!

Przypomnienie dawnej miłości.

Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory;
Tam ja z tobą, Justyno,
Słodkie pędził wieczor.

Noc się krótka zdawała,
Żegnamy się z świtaniem;
Miłość sen nam zabrała.
Miłość żyje niespaniem.

Gdy świat zorza pobielei,
Każdy jawór znaczony,
Gdzieśmy z sobą siedzieli,
Karbowany imiony.

Nikt nie widział, nie szydził,
Niebo świadek jedyny!
Jam się nieba nie wstydził:
Miłość była bez winy.

Oczy w oczy patrzyły,
Ręka rękę ścisłała,
Usta nam się złączyły,
Dusza z duszą gałała.

Raz się chmura zebrała,
Piorun skruszył dębinę,

Tys mię drżąca ścisłała,
Mówiąc: «Sama nie zginę!»

Oto przy tym strumieniu,
Oto przy tej jabłoni,
Wieleż razy w pragnieniu
Wodę pilem z jej dłoni?

Dziś, kiedy nas w swym gniewie
Los rozdzielił opaczny,
Znaki nasze po drzewie
Popsuł pasterz niebaczny.

I ślady się zmały,
Las zarasta krzewiną:
Potok, drzewa zostały,
Ciebie nie masz, Justyno!

Zupełnie inny smutek, niż w pieśniach miłosnych, przemówił w elegji *Powrót z Warszawy na wieś* (1784): jest to smutek nie «słodki», tylko gorzki, zmieszany z tem rozgoryczeniem, w jakim Karpiński, po dłuższej nieobecności, zawitał w swoje strony rodzinne. Oto był sekretarzem Czartoryskiego, uczył młodego Sanguszkę, bywał u króla na obiadach czwartkowych, wzruszał serca całej Warszawy swemi sielankami, więc za to wszystko spodziewał się sutej nagrody, a tu tymczasem wrócił do «domu ubogiego» goły, jak święty turecki. Nadomiar nieszcześćcia licha przyniosło mu na kark siostrę z kilkorgiem dzieci, która była pewna, że brał Krezusem powrócił! I jakże tu nie biadać? Jak nie złorzeczyć ludziom, że wielkiego człowieka skrzywdzili? Więc płacze wielki człowiek i zawodzi, i, ząpominając o swej wielkości, odgraża się jak dzieciak: kiedy tak, to nie będę grzeczny! nie warto być cnotliwym, nie warto w pocie czoła pracować, kiedy cnota i praca są «niepopłatne!» Bo tę właśnie myśl nietrudno wyczytać między wierszami elegji, chociaż się autor zastrzega, że cnotcie i prawdzie człowiek powinien służyć bezinteresownie. I oto wyszło sztydło z worka — załapał się biedny Karpiński strasznie: chciał się przedstawić za nieszcześliwą ofiarę cnoty, a pokazał się takim, jakim naprawdę był: małym człowieczkiem! Tak, ale właśnie na tej mimowolnej szczerości, z jaką się scharakteryzował, na prawdzie uczucia polega wdzięk jego elegji; w żadnym innym utworze nie okazała się w takim blasku — jego śmieszna drażliwość i naiwność dziecięca. (W pomyśle swoim przypomina ta elegja jedną z satyr Boileau'a, w której poeta wraca ze stolicy bez grosza, bo nie umiał schlebiać możnym tego świata).

Powrót z Warszawy na wieś. Otóż mój dóm ubogi! Też lepióne ściany,
Też okna różnoszybne, piec niepolewany
I niska strzecha moja!... Wszystko tak, jak było,
Tylko się ku starości więcej pochylilo!
Szcześliwy, kto na małym udziale przebywa!
Spokojny, siadł przy stole wiejskiego warzywa:
Z swej obory ma mięso, z ogrodu jarzynę,
Z domu napój i wierną przy boku drużynę!

Obym ja był tak dawniej myślił, oszukany,
I w ukrytym gdzie kącie żył raczej nieznanym,
Gdzieby o mnie w powiecie nawet nie wspomniano
I tylko mię sąsiadem dobrym nazywano,
Bym się żywił z krwawego rąk moich wyrobku,
Żył na świecie bez wieści, umarł bez nagrobku!

Com zyskał, że, rzuciwszy ubogie zagrody,
Chciałem nie opatrzony¹ płynąć przeciw wody?
I widząc na me oczy, jak drudzy tonęli,
Jam sobie myślił: «Oni płynąć nie umieli!»
Com zyskał, na wysokie pańskie pnać się progi,
Gdzie, po śliskich ich stopniach obrażając nogi,
Nie się z moim lepszemu nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z panem?

Kiedy mię ojciec stary żegnał przy swym zgonie,
«Idź — mówił — synu, na świat! w jakiej będziesz stronie.
«Pamiętaj, że na prawdzie nikt nigdy nie traci!
«Zostawiam cię ubogim: prawda cię zbogaci».
Słuchałem cię, ojczu mój, goszcząc między panów:
Takem pisał lub mówił, jak był przekonany.
Nie brałem sobie za cel ludzkie głosić winy,
A jeśli kogo chwalił, nigdy bez przyczyny.
Cóżem zyskał, podehlebstwem nie służąc nikomu?
Otom wrócił uboższym, niż wyjechał z domu.
Nie przeto, święta Cnoto, porzucić cię trzeba,
Że wieku dzisiejszego nie nie dajesz chleba,
Choćby mi jeszcze wolniej miało szczęście pociec;
Bo i z prawdą pięknie jest, i tak kazał ociec.

Trzeba wyznać, jak było, że mi coś dawano,
Ale wszystkie godziny życia kupić chciano,
Żebym, wieczny niewolnik, nosił jarzmo czyje,
Żył cały komuś, a sam zapomniał, że żyję;
A wreszcie mi nadzieją szafowano szczerze.
Nikomum źle nie zrobił, ani mnie nikt dobrze!
Nadziejo! czyż ja ciebie w złotej chciał mieć szacie,
Żeby oczy pospółstwo obracało na cię?
Żebym sływał majątkiem? drugimi pomiatał?
Nie o tom ja pod drzwiami Fortuny kołatał.
Jedna wioska do śmierci, jeden dóm wygodny.
Gdziebym jadł nie z wymysłem, ale wstał niegłodny.
Gdziebym się nie usuwał nikomu do zgonu,
Swym plugiem zoranego pilnował zagonu!
Spokojny będąc na tem, co stan mierny niesie
Siadłbym sobie na dole, — niech kto inny pnie się!

W tym zamiarze praca mię cale życie tłoczy,
Nad książkami straciłem i zdrowie, i oczy,
Nad książkami, które ja, co gębie odjąłem,
Może zbytęcnym na mnie nakładem ściągnąłem.

¹ nieopatrznie.

Cóż mi książki oddały? Jak niewierna niwa.
Co zgubiła nadzieję rolnikowi żniwa,
Po wieku mego wiosny niewróconej szkodzie.
Nachylony ku ziemie, zostałem o głodzie.

Za lat Symonidesów¹ albo Kochanowskich
Może znalazłbym sobie Zamoyskich, Myszkowskich².
Przy którychbym wygodnie wieku mego użył
I pismem pożytecznem narodowi służył.
Dziś zabierz mi kto księgi, ten sprzęt nieszczęśliwy,
Do których mię przywiązał nalóg uporeczywy.
I, co mi będzie lepiej, w ubóstwie usłuźne
Zamieniaj na motyki i żelaza płuźne!
Porzucę nad pismami myśli kłopotliwe,
A serce niech mi tylko zostanie dotkliwe,
Żebym się mógł nad losem biedniejszych litować
I przy pracy miał sposób bliźniego ratować!

Maryjo, siostró moja! jakżeś się kwapiła!
Prawieś wraz z mym powrotem i ty tu przybyła!
Czego, stojąc w tym kącie z twarzą wyniszczoną,
Otoczona dziatkami, nieszczęśliwa żono,
Poglądasz mi na serce, rychło jakim datkiem
Wesprę cię, już goniącą majątku ostatkiem?
Nędza was, jak popadła, tak statecznie gniecie:
I tyś także, jak widzę, prawdą szła na światcie!
Oplakana rodzinno! Wy myślicie, ślepi:
«On był między panami, i nam będzie lepij?»
Bylem — i byłbym pewnie panom na coś zdatny:
To wiem; a tego nie wiem, za com niepoplatny!
Stało się! Nie mam swojej, kopmy cudzą grzędę!
Podeprzeć tę łepiankę, jeszcze w niej przebędę!

Lecz nie same osobiste smutki dźwięczą w liryce Karpińskiego: miał on zbyt «czule» serce na to, żeby nie odczuwać smutków całego narodu i nie boleć nad tem, że minęły czasy dawnej świetności ojczyzny: «I my też byli, jak naród drugi!... Kiedyś i Polak był panem! — Dziś prawie wszystko poszło na sługi, — i ów pan stał się poddanym». Smutek na myśl o rozlewie krwi bratniej i spustoszenia kraju podczas konfederacji barskiej, oraz o rzezi humańskiej, przemówił rzewnie w dwóch pieśniach: *O nieszczęściach Ojczyzny i rzezi Humańskiej* i *Powietrze i wojna*; w obydwóch uczucie patryjotyczne zespala się z religijnem — z modlitwą do Boga o litość. Łączą się te dwa uczucia także w *Pieśni dziękczynnej za Ustawę 3 maja 1791 r.*, tylko że bije z niej nie smutek, lecz radość, i nie modlitwa błagalna, lecz dziękczynna. Przez to zespalandie uczucia patryjotycznego z religijnem jest Karpiński poprzednikiem naszej wielkiej poezji patryjotyczno-religijnej XIX wieku, od *Hymnu do Boga* Woronicza do *Psalmu dobrej woli* Krasieńskiego.

Widok smutnej teraźniejszości rodził w wielu sercach polskich tęsknotę

¹ Szymonowicz. ² hetman Zamoyski był mecenasem Szymonowicza; Myszkowski — biskup i podkanclerzy w XVI w., mecenas i przyjaciel Jana Kochanowskiego.

do dawnych czasów, kiedy to Polska należała do najpotężniejszych państw na świecie. Otóż ten serdeczny zwrot do przeszłości, który będzie także jedną z najznamienniejszych cech poezji XIX wieku, przemówił w kilku utworach Karpińskiego, najpiękniej — w bardzo oryginalnej pod względem rytmicznym *Dumie*. Tęsknota do przeszłości rycerskiej wywołuje tutaj odruch przeciwko współczesnej zniewieściałości i, co za tem idzie, pobudkę do wskrzeszenia ducha rycerskiego. Słysząc tę pobudkę i w pieśni *O powinnościach obywatela*, w której uosobiona Ojczyzna żąda od synów swoich ofiary z mienia, zdrowia i życia: «Jam jest Ojczyzna, i nie dość tego, — że się nazywasz mym synem: — masz mi poświęcić siebie całego — i nie mazać się złym czynem. — Twoje majątki, życie i zdrowie — jam dobrem prawem dostała; — oddali mi je twoi przodkowie, — gdym między nimi wzrost brała... A gdy nie będzie można wypłynąć — w upadku mego godzinie, — jam aż natenczas powinna zginąć, — kiedy ostatni z was zginie». Raz jeden nawet, kiedy na wielkim sejmie uchwalono stutysięczną armję, zdobył się Karpiński na *Marsz dla żołnierzy* (choć sam nie pomaszerował); otóż i w tym *Marszu* jest także pochwała staropolskiego męstwa.

Powietrze i wojna.

Czyżże ten trup po polach leży?

I co za wrzawa po lesie?

Stąd do mnie, płacząc, kobieta bieży,

Stąd jakieś jęki wiatr niesie.

Gdzież to ja jestem? O, kraju smutny,

Siedlisko ludu nędznego!

Tu ma stolicę los ten okrutny,

Który dosięga każdego.

«Cóż ci to, matko?» Ta od żałości

Słowa przemówić nie zdoła;

Rwie sobie włosy, tłucze wnętrzności

I ledwie z czasem¹ zawoła:

«Ach! nieprzyjaciel pobił mi dziatki,

«Trzech synów zbójce pożarli;

«Teraz pociechy mojej ostatki,

«Czwarte mi z ręku wydarli.

«Nieszczęsna córko! zginęłaś pewnie!

«Z tego mi łona ją wzięli.

«Ja na to tylko płacę tak rzewnie,

«Że matki zabić nie chcieli».

Spojrzę na pole, trupem usłane:

Tym jeszcze rany nie skrzepły,

Tu leżą w sztuki ciała zrabane,

Tu płynie potok krwi ciepły.

Wszystkich do naga prawie wyzuje

Okrutna chciwość zdobyczy,

Ptak się na pastwę dziki zlatuje

I same rany kalęczy.

W przyległym lesie słyszę jęczenie,

Które mi duszę przejmuję,

I tam mnie moja ciekawość żenie,

Gdzie serce jeszcze coś czuje.

Ledwie się trochę przymknął do lasu,

Wołają na mnie: «Tyż z nami?

«Póđż okrutnego dokonać czasu:

«Zapowietrzni tu sami».

Boże! Te gniewu Twojego strzały

Są najostrzejsze na ludzi!

Kraj się w pustynię zamienił cały:

Ten Cię płacz reszty niech wzbudzi!

A jeśli nigdy nikt nie odwróci

W karze niechybnej Twej miary,

Weź mnie z inszymi: to gniew Twój

Należę do tej ofiary! [skróci!

¹ dopiero po chwili.

Duma. Gdzie się podziały szczęśliwe lata naszej chwały,
Kiedy się do nas korony świata ubijały?
Kiedy Czech, Węgrzyn, Wołoch, Prus hardy poddaje się,
I od północy Moskwiin twarde berło niesie?

Póki po zbroi Polaka brodę wiatr rozwijał,
Jadł swoje zboże, pił swoją wodę, wtenczas bijał.
Ale jak zbytki, co wszystko psują, nas tępiły,
Z polską się bronią same mocują rdze i pyły¹.

Wstań z zimnych grobów, obudź zaspale, mężu jaki,
Pokaż do sławy pozarastałe męstwa szlaki!
I, kiedy z siebie nie damy szydzić doostatka,
Swoich się dzieci nie będzie wstydzić Polska-matka.

150. Odębne stanowisko zajmuje w poezji Karpińskiego tak zwana li-ryka sytuacyjna, to jest utwory, w których poeta, wczuwając się swoim «czulem sercem» w różne położenia (czyli sytuacje) innych ludzi, wyraża nie swoje własne uczucia, tylko tych innych ludzi. Są takie utwory w poezji Kochanowskiego i Szymona Zimorowicza, ale Karpiński prześcignął ich obu różnorodnością pomysłów. Oto np. *Zebrek przy drodze* skarży się żałośnie na swoją nędzę: «Ptastwo wolno przelatuje — i wyżywia się z tej niwy; — tu rybak część swą znajduje, — wziął, wiele chciał, zwierzech pierzchliwy! — Ja, równym człkiem stworzony, — próżno pokarmu wyczieram, — na bujne pa-trzę zagony — i z głodu przy nim umieram. — Boże! przy mem prawie stoję, — zwę cię Ojcem ze wszystkimi: — nie widzisz?... ja, dziecko Twoje, — ponieważm się na ziemi». Oto *Matka wyprawia syna do obozu*, poleca go opiece boskiej i zaklina, żeby wrócił żywy. Oto pieśń *Głos zabitego do sądu* (1781), w której po raz pierwszy w poezji polskiej ukazuje się upiór: ktoś zamordowany bez sądu wraca na ten świat upiorem i grozi sędziom pomstą, jeśli nie ukarzą zabójcy: «Gdy, przyjaciółmi otoczeni wkolo, — pędzić będziecie godziny wesoło, — sądząc, że chwile daleko stroskane, — ja niespodziany wpośrzedku was stanę. — Do stołów waszych, na wasze festyny, — przyjdę, mieszkanięc dalekiej krainy, — z strawą, z napojem, co go wam na-lali. — zmieszam krew moję, którąście zdeptali... W tłumie, w ustroniu, w domu, w polu, w drodze, — najmilszym waszym rozrywkom przeszkodzę; — ja wszędzie zgonię mego przeciwnika, — przylecę z głosem dzwonu lub puszczyka». Oto jeszcze Mazur śpiewa swoją miłość ku swojej Jacencie (*Mazurek*), a inny Mazur śpiewa niby to wesołą «i ogromnie przez to smutną» piosenkę o Maćku, któremu dziedzic odebrał żonę, a jego wypędził (*Pieśń mazurska*). Obydwie te pieśni, w których Karpiński doskonale utrafił i w nutę, i w duszę ludową, są także nowością w historii naszej poezji: wprowadzie już w XVII wieku wzorowano się na pieśniach ludowych, jak to widać z nie-kórych pieśni sowizdrzalskich (a może i z *Roxolanek* Zimorowicza), ale utwory te poszły w zapomnienie; otóż Karpiński odkrył na nowo to źródło natchnień poetyckich, z którego później będą czerpali romantycy.

Lecz umiał się on wczuwać w dusze ludzi nietylko sobie współczesnych, ale i dawnych, nawet bardzo dawnych. Nauczyły go tego *Pieśni Osjana*, opie-

¹ pył i rdza zżera oręż polski.

wające uczucia i czyny starodawnych bohaterów, a pełne melancholji, która mu była zawsze tak droga. Podobały mu się zwłaszcza, jak to widać z rozprawy *O wymowie w prozie albo w wierszu*, żale Armina, który «opowiada Alpinowi smutną zgubę dzieci swoich»: «Podnieście się, wiatry jesienne, podnieście się!... Wieście po tej smutnej krzewinie i tę noc okropną przypomnijcie mi, kiedy wszystkie dzieci moje poginęły, kiedy moźny mój Arundal upadł, kiedy wdzięczna moja Daura ginęła — sama na skale w pośrodku morza, falami gwałtownemi tłuczona, córka moja jęczała; jej krzyk był częsty i głośny, a jej ojciec nie mógł ją poratować. Stałem całą noc nad brzegiem, widziałem ją nawet przy słabem świetle księżyca, słyszałem jęczenia jej; wiatr był gwałtowny, i deszcze biły w tę stronę góry; niżeli dzień zaczęło, już głos jej był słabszy. Mignęła się!... jako wiatr wdzięczny, który powionął po kwieciu i przeszedł! padła, umarła». Ołóż pod wpływem *Pieśni Osjana* szukał Karpiński pomysłów poetyckich w starodawnej historii ojczyzny. Czytając kiedyś kronikę Joachima Bielskiego, którą właśnie za jego czasów na nowo wydano (1764), wyczytał w niej wiadomość o niegodziwym czynie księcia wielkopolskiego: «Przemysław, książę poznański pojął Lukierdę, córkę Mikołaja serbskiego¹, a wnączkę szczecińskiego księcia Barwina... Piszą o tym królu, iż... nielitościwy uczynek... uczynił nad... Lukierdą, którą potajemnie pannom jej udawieć kazał, nie mając do niej przyczyny żadnej, jedno tę, że nieplodna była, jakoby to na wolej jej było, a nie w rękach boskich... Píše Długosz, iż jeszcze pieśń staroświecką zastał, którą złożono o tej Lukierdzie a o Przemysławie i śpiewano ją w Wielkiej Polsce, w której go prosiła żona jego, aby ją by² w jednej koszulce do domu odesłał, a okrucieństwa tego nad nią nie czynił». Głęboko zapadło Karpińskiemu w serce to nieszczęście Lukierdy i skojarzyło się z nieszczęściem Armina; i tak powstał, przy pomocy fantazji, jeden z najoryginalniejszych utworów liryki staropolskiej. *Duma Lukierdy*, w której nieszczęśliwa księżna, na podobieństwo Armina, wzywa wiatry, żeby zaniósły jej skargę w strony rodzinne. Jest to pierwszy w naszej poezji XVIII wieku zwrot ku wiekom średnim, który się później nieraz zaznaczy w poezji romantycznej. A tak i pod tym względem, jak pod wielu innymi, jest Karpiński zwiastunem romantyzmu czyli preromantyzmu.

Do liryki sytuacyjnej wolno zaliczyć jeszcze *Pieśń dziada sokalskiego w kordonie cesarskim* (1773) i *Zale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta* (1796), z tem jednak zastrzeżeniem, że uczucia dziada sokalskiego i Sarmaty (to jest starego Polaka) są także własnymi uczuciami samego poety.

Pierwsza pieśń powstała po pierwszym rozbiorze, kiedy «Galicja» dostała się pod panowanie austriackie. «Czuciem przejęty tego okropnego losu — opowiada Karpiński w pamiętnikach — napisałem pieśń..., którą... dziadowi sokalskiemu, chodzącemu z lirą, przy której śpiewywał, na jedną nutę z jego żalońnych pieśni skomponowaną, do śpiewania oddałem, za co on, biedny, potem od Niemców ucierpiał». (Ową nutą była nuta starodawnej pieśni ludowej o najeździe szwedzkim «Stała się nam w Polsce trwoga»). Zasluguje *Pieśń dziada sokalskiego* na uwagę choćby tylko z tego względu, że należy do tych (wstyd powiedzieć) bardzo nielicznych utworów poezji, w których się odbił smutek po pierwszym rozbiorze; zresztą, prawdę powie-

¹ t. j. słowiańskiego; z jakiego rodzaju pochodziła Ludgarda, tego dobrze nie wiemy. ² choćby tylko

dziawszy, jest ta pieśń wyrazem nietyle bólu patriotycznego, ile rozgoryczenia.

Natomiast *Żale Sarmaty*, napisane po trzecim rozbiorze, który się odbił mocnem i żalosnem echem w kilkunastu utworach poezji, to już pieśń bólu, chwytająca za serce rzewnością i serdecznością uczucia. Ani jedna elegja, wywołana trzecim rozbiorem, nie może się nawet równać z tą pieśnią żalobną Karpińskiego; nikt inny nie przeciwstawił tak mocno, a tak wzruszająco dawnej potęgi i chwały Polski jej późniejszej bezsile i upadkowi, nikt inny nie zdobył się na tak wstrząsający obraz nieszczęścia. Ten jeden jedyny raz «czule serce» Karpińskiego zabiło nietylko silnie, ale nawet potężnie. A jednak w tej pieśni «pęknięcie serca znać»: oto bije z niej rozpaczliwa rezygnacja, zupełny brak wiary, że przyjdzie chwila, kiedy się świat skłoni jeszcze «białym orłom». Wprawdzie po trzecim rozbiorze ten brak wiary zatruł na pewien czas bardzo wiele serc polskich, ale nie wszystkie: prawdziwi «Sarmaci» nie złożyli ani szabli, ani lutni na grobie ojczyzny, bo odpowiedzieli na zbrodnie rozbioru legjonami i pieśnią «Jeszcze Polska nie zginęła». Więc minął się Karpiński z prawdą każąc Sarmacie składać przy grobie Zygmunta Augusta szablę i nadzieję, chyba że miał samego siebie na myśli; ale i do tego nie miał prawa, bo szabli nigdy nie nosił. Miał prawo mówić, że składa lutnię (na wzór Osjana), — szkoda tylko, że słowa nie dotrzymał, że złożoną lutnię po kilku latach (1802) znowu wziął w ręce, żeby zagrać na niej pieśń dygnitarzowi moskiewskiemu (*Do Dymitra Koszelewa, litewsko-grodzińskiego gubernatora, oddając mu książkę «Rozmów Platona»*). To wszystko jednak nie przeszkadza, że *Żale Sarmaty* są koroną całej poezji Karpińskiego i jedną z najpiękniejszych pereł naszej liryki patriotycznej.

Pieśń mazurska.

Dla hożej swojej żony
Maciek wypędzony;

Porzucił dom, stodóły,
Uciekł prawie goły.

Widziałem mało potem
Jagnę w czepcu złotym;

Przy karczmie, na uciechu
Podkówkami krzesze,

Oj, będąż w piekle goreć
Po same łopatki!

Przewodzi muzykami,
Sypie złotówkami.

Rece jej pobielaly,
Oczy poczernialy.

Wszyscy ją szanowali,
Bo się pana bali.

Nie dbają, choć to pleban
Broni do męzatki.

Żale Lukierydy.

Powiejcie, wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.
Smutna matka w dłoń uderzy,
Nieszczęściu zaraz uwierzy,
Przyśle mi braty-obronce
I luków syrbskich tysiące.

Powiejcie, wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Ale stójcie, Syrby mężne!
Hamujcie razy potężne!
Choć mię Przemysław chce zgubić.

Ja go jeszcze wolę lubić;
Ja się tylko żalę na to,
Ze moje upływa lato,
Ze mię mej młodości zbawił;
Onby się może poprawił!
Powiejcie, wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Szczęśliwsza wiejska dziewico,
Której miłość tajemnicą,
Nie zna jeszcze serca pana,
I ty, co kochasz, kochana!
Ja, króla możnego żona,
Kochając go, pogardzona, —
Gdy mi dojmie rozpacz sroga,
Błuzniąc, klnę siebie i Boga.

Powiejcie, wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Czego błyszczysz, złoto marne?
Wszystko w oczach moich czarne:
Ten lud, przede mną schylony.
I te Przemysława trony.
Obejrzyj się, mężu twardy!
Jeden uśmiech, a mniej wzgardy,
Wróci szczęściu postać własną,
Da wszystkiemu barwę jasną!

Pieśń dziada sokalskiego.

Śladem bieda przyszła, śladem
Za zbytkami, za nieładem!

Długo nad granicą stała,
Wolności się dotknąć bała.

Wolności się dotknąć bała,
Bo ją dawno szanowała.

Wolności, niebieskie dziecko!
Ułowiono cię zdradziecko;

W klatkę cię mocno zamknięto,
Bujnych skrzydełek przycięto.

Powiejcie, wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Ale on nieublagany!...
Pójdę do matki kochanej,
Pójdę choć w jednej koszuli:
Ona mię w smutku utuli.
Przechodząc lasów tajniki,
Może litościwszy, dziki
Zwierz mi życia nie uszkodzi,
Na które srogi mąż godzi.

Powiejcie, wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Gdzież mię ślepa miłość niesie?
Ona mię zbląka po lesie,
Falszywe ścieżki poradzi
I tu mię nazad sprowadzi,^o
Żebym zgon mój nieszczęśliwy
Widziała, jak popędliwy
Uderzy hartowną strzałą
W serce, które go kochało!

Powiejcie, wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Przedtem u jednego stołu
Król z poddanym jadł pospołu,

Jak ociec dzieci przyjmował,
Jak swych przyjaciół częstował.

Dziś mu u stołu kłękają,
Kości z psietami zbierają.

Głowę, kiedyś w kraju drogą,
Służka pański trąca nogą!...

Pochlebcy go otaczają,
Palcem biednego stykają:

«Ot — mówią — kość polizuje,
«Dawnej wolności żaluje».

Żale Sarmaty.

Ty śpisz, Zygmuncie, a twoi sąsiedzi
Do twego domu goście przyjechali!...
Ty śpisz, a czeladź przyjęciem się biedzi
Tych, co cię czcili, co ci hołdowali!...
Gorzkie wspomnienia, gdy szczęście przeminie!
Czemuż i pamięć o nich nie zaginie?

Nie zostawiłeś syna na stolicy
Przez jakieś na nas Boga rozniewanie,
Któregoby wnuk dziś do swej granicy
Rozrzucił postrach i uszanowanie!
Po tobie poszła na handel korona,
Tron poniżony i rada stępiona!

Ojczyzno moja, na końcuś upadła,
Zamożna kiedyś i w sławę, i w siłę!...
Ta, co od morza aż do morza władła,
Kawałka ziemi nie ma na mogiłę...
Jakże ten wielki trup do żalu wzrusza!!
W tem ciele była milionów dusza...

Patrzcie! Matczyne jakieś leży dziecię,
W wyniosłych piersiach głęboka mu rana,
Którą ślachejne wychodziło życie!
On nie uciekał, bo z przodu zadana!
Jeszcze znać w twarzy, jak jest zemsty chciwy,
Zdaje się gniewać: za co, nieszczęśliwy?

A tam poczciwość, kościół, wstyd zgwałcony,
Pożarem całe spłonęły osady,
W dom gorejący właściciel wrzucony,
Pierwej mu wszystkie zrabowawszy składy.
Wszędzie zajadłość ogniem, śmiercią ciska,
Gdzie spojrzysz — rozpacz, trupy, zgorzeliska!...

Po tych rozbojach jedni zniechęceni
Pod nieznajome rozbiegli się nieba;
Drudzy, ostatnią nędzą przyciśnieni,
W swych kiedyś domach dzisiaj żebrzą chleba;
Insi, rozdani na Moskwę i Niemce,
Na roli ojców płaczą, cudzoziemce!...

Wy, co, domowe oplakawszy klęski,
Poszliście naród ratować niewdzięczny!
W tyłu przygodach wasz oręż zwycięski
Pokazał światu, że i Polak zręczny!
Cóż przynieśliście z powrotem w swą stronę?
Ubóstwo, blizny, nadzieje zwiedzione!

Oto krwią piękna ziemia utłuszczona
Konia i jeźdźca dzikiego wytucza.

A głodne dzieci matka przymuszona
Panującego języka naucza...
Tak jest, jak twardy wyrok jakiś kazał:
Inszych popisał, a Polskę wymazał!...

Wisło! Nie Polak z ciebie wodę pije!
Jego, się nawet zacierają ślady,
On dziś przed swoim imieniem się kryje,
Które tak możne wslawiły pradziady...
Już białym Orłom i bratniej Pogoni
Świat się, przed laty nawykły, nie skłoni!...

Zygmuncie! Przy twoim grobie,
Gdy nam już wiatr nie powieje,
Skladam niezdatną w tej dobie
Szablę, wesołość, nadzieję
I tę lutnię biedną...
Oto mój sprzęt cały!
Łzy mi tylko jedne
Zostały...

152. Oprócz wiersza *Przeciwko deistom* jest w *Zabawkach* Karpińskiego jedna jeszcze pieśń, jakiejby nadaremnie szukać w poezji Krasickiego i Naruszewicza — *O wielkości Boga*. Wprawdzie Krasicki i Naruszewicz nie byli deistami, ale nie czuli w swoich sercach tak żywo, jak Karpiński, obecności Boga i, co zatem idzie, nie czuli Mu się tak bliskimi. A Karpiński, przy całej świadomości, że jest drobnym pyłkiem wobec Boga, czuł Mu się bliskim, bo wierzył w Jego dobroć i miłosierdzie: «Przecież, chociażem istotą tak małą, — pójdę do Ciebie... Twa dobroć mi znana... Przecież ja pójdę, cokolwiek mię czeka, — pójdę do Ciebie!... Bo mi powiadano, — że, byłeś Ty się obejrzał na człeka, — zaraz go w stanie szczęśliwszym widziano. — Tak, jak dziś jestem niedołącznym płazem, — zbitem naczyniem, o które nie stoją, — pokorę tylko wzięwszy z sobą razem, — poniosę głupstwa i nikczemność moją. — Mnie się rozstąpią wybranych Twych rzesze, — mnie nic nie będzie po drodze ustraszac, — jeszcze ich mojem przybyciem pocieszę, — bo powiem, że ja idę Cię przeproszac... Potem przed tronem Twym padnę i powiem: — «Z dalekich krajów przyszedłem w te strony — za moim skarbem, weselem i zdrowiem, — ubogi, smutny, na siłach zwałłony. — Jużbym ja nie chciał mieć pana inszego, — ani Twej woli w czem kiedy być sprzeczny; — ale, gdy moję znasz skłonność do złego, — trzymaj mię Ty sam, bo ja niestateczny». Drugiej pieśni religijnej, tak pełnej wiary w miłosierdzie boże, niema — poza poezją konfederatów barskich — w literaturze stanisławowskiej, zarażonej albo jadem deizmu, albo truczną obojętności religijnej.

Lecz nie poprzestał Karpiński na śpiewaniu uczuć religijnych samemu sobie: wyśpiewał jeszcze *Pieśni nabożne* — «dla pospółstwa» (jak się wyraził). Są tutaj pieśni świąteczne i codzienne, wielbiące i dziękczynne, błagalne i pouczające, są modlitwy o dary dla duszy i dla ciała, o pomyślność ojczyzny i gospodarstwa, są i psalmy. Niektóre z tych pieśni, nadewszystko *Pieśń poranna*, *Pieśń wieczorna* i kolenda *Bóg się rodzi*, poszły w lud, albo

raczej stały się trwałem dobrem całego narodu polskiego i będą niem zapewne dopóty, dopóki narodu polskiego na świecie. Nie brakło przed *Pieśniami nabożnemi* śpiewników (czyli kancjonalów), ale stare poszły w zapomnienie, a nowsze zrażały ludzi brakiem prostoty i rubasznością; oto np. w jednym śpiewniku pieśń o św. Janie Nepomucenie zaczyna się tak: «Niechajże pamięta, kto cudzym honorem — trząsa bez żadnego respektu, — że gęba zawzięta i z swoim aktorem — doczeka się także despektu». Jakże inne są pieśni Karpińskiego! On się umiał zniżyć do pojęć i uczuć «pospółstwa», umiał zdobyć się na istic dziecięcą prostotę, a przytem ani jednego razu nie wpaść w dawną rubaszność. A ze wszystkich pieśni bije wiara, że Bóg jest nie tylko mądrym Stwórcą świata, ale także dobrym i miłosiernym Ojcem ludzi. Tu i owdzie błysnie, pośród prostoty tyłu, graniczącej z pospółnością (umyslną), szczerą poezją, np. w *Pieśni porannej*. Ale bo też ta pieśń powstała pod wpływem psalmu Kochanowskiego: «Ledwie z głębokiego morza — ukaże się rana zorza, — a ja już wołam do Ciebie, — smutne oczy mając w niebie». Raz jeden zapomniał Karpiński o prostocie stylu, ale wynagrodził to zapomnienie naprawdę wielką poezją — w pierwszej strofie kolendy *Bóg się rodzi*. Idąc torem niektórych pieśni średniowiecznych, cud Wcielenia Bożego uwypuklił tutaj zapomocą wspaniałych przeciwieństw; ale w następnych strofach powrócił do prostoty pieśni ludowych. Nie dziw, że ta pieśń jest do dziś dnia nie mniej popularna, jak kolenda XVII wieku *W żłobie leży*.

Zaden inny utwór Karpińskiego, nie wyłączając ukochanych w swoim czasie sielanek, nie rozstawił tak jego imienia, jak *Pieśni nabożne*. O nich to myśląc, wyraził się po jego śmierci Franciszek Morawski, autor *Dworca mojego dziadka*: «Každy dźwięk twój po całym narodzie zasłynął, — jak tkliwy żal dziecinny, w wszystkie serca płynął... Tak z naszym Kazimierzem chwałę podzieliłeś: — on był królem wieśniaków, ty ich wieszczem byłeś».

O Narodzeniu Pańskim.

Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów — obnażony;
Ogień — krzepnie, blask — ciemnieje,
Ma granice — nieskończony.
Wzgardzony — okryty chwałą,
Śmiertelny — Król nad wiekami!...
A Słowo Ciałem się stało.
I mieszkało między nami.

Cóż, Niebo, masz nad ziemiany?
Bóg porzucił szczęście twoje,
Wszedł między lud ukochany,
Dzieląc z nim trudy i znoje.
Niemalo cierpiał, niemalo,
Żeśmy byli winni sami.
A Słowo Ciałem się stało.
I mieszkało między nami.

W nędznej szopie urodzony,
żłób mu za kolebkę dano!

Cóż jest, czem był otoczony?
Bydło, pasterze i siano.
Ubdzy, was to spotkało
Witać go przed bogaczami!
A Słowo Ciałem się stało.
I mieszkało między nami.

Potem i króle widziani:
Cisną się między prostotą,
Niosąc dary Panu w dani:
Mirrę, kadzidło i złoto.
Bóstwo to razem zmieszala
Z wieśniaczemi ofiarami!...
A Słowo Ciałem się stało.
I mieszkało między nami.

Podnieś rękę, Boże dziecię,
Błogosław ojczyznę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspieraj jej siłę swą siłą.

Dom nasz i majętność całą,
I Twoje wioski z miastami.

A Słowo Ciałem się stało.
I mieszkało między nami.

153. Drugim preromantykiem i utalentowanym lirykiem XVIII wieku jest **Franciszek Dionizy Książnin** z Białej Rusi (1750—1807), wychowaniec jezuitów, dworzanin i sekretarz księcia generała ziem podolskich, nauczyciel jego dzieci i poeta nadworny, wierny przyjaciel całego domu Czarotorskich. W poglądach na poezję podobny jest do Karpińskiego: i on za najistotniejszy warunek poezji kładł «czułość», którą nazywał to «darem niebios», to «sprężyną serca i ducha»; i jemu już ciążyły kępujące twórczość prawidła poetyki francuskiej («nie wiem, jeśli genijusz poety potrzebuje prawideł jakich nad jego żywe uczucie wzbogaconej imaginacyi, którą smak i natura kieruje»), chociaż, będąc od Karpińskiego bez porównania mniej śmiałym, często się jeszcze posługiwał mitologją; i on rozumiał, że poczucie piękna poezji można i należy w sobie kształcić i rozwijać na pięknych «wzorach», zarówno starożytnych, jak nowożytnych, to też rozczytywał się w nich pilnie, a niektóre tłumaczył na język ojczysty, jako to pieśni Anakreonta, sielankę Teokryta *Cyklop*, wybrane ody Horacego, wybrane bajki Lafontaine'a, oraz — z przekładu francuskiego — *Pieśni Osjana* (wierszem).

A nietylko poglądami na poezję, ale i rodzajem twórczości jest Książnin podobny do Karpińskiego: próbował wprowadzić swoich sił (podobnie jak Karpiński) na polu tragedji, a nadto, za przykładem Krasickiego, na polu epiki heroik-komicznej (w poemacie *Balon*), lecz tu i tam bez powodzenia; był to bowiem z natury nie dramatyk i nie epik, tylko, jak Karpiński, liryk; pisywał głównie pieśni miłosne, sentymentalne sielanki pasterskie, ody religijne i patriotyczne. Odzwierciedliła się w tych utworach jego czysta i jasna, piękna i szlachetna dusza. Nie odznaczał się on ani byстрыm umysłem, ani głębokim rozumem, ale serce miał dobre i tklive; żył więcej marzeniami, aniżeli rzeczywistością; był skromny i cichy, nieśmiały i potulny, jak dziecko; szczerą i serdeczną wiarą religijną, nie wspólnego nie mającą z deizmem, łączyła się w jego sercu z miłością ojczyzny: «Ojczyzna była jego bożyszczem — mówi Niemcewicz — jej święty płomień zażywał umysł Książnina; rozprzęgły się wszystkie jego umysłowe władze, skoro Ojczyzna żyć przestała». Tak było naprawdę: po upadku powstania Kościuszki dostał Książnin pomieszenia zmysłów.

Lecz, będąc pod względem moralnym wyższym od Karpińskiego, ustępuje mu znacznie talentem. Ma on wprawdzie, jako poeta, jedną wyższość nad «śpiewakiem Justyny»: oto bardzo cierpliwie przysiadł fałdów nad wyglądzaniem i poprawianiem swoich utworów. Wydał za życia, oprócz *Bajek*, trzy zbiory swoich poezyj: *Erotyki* (1779), *Wiersze* (1783) i *Poezycje* (1787); niektóre utwory są we wszystkich trzech zbiorach i za każdym razem mają inną, poprawioną, a czasem i przerobioną formę. Niedosyć na tem: po wydaniu *Poezycj* raz jeszcze wziął się Książnin do wyglądzania stylu i wiersza, ale to zamierzone nowe wydanie (uzupełnione nowemi utworami, a w ich szeregu — *Pieśniami Osjana*) pozostało już tylko w ślicznie wykaligrafowanym rękopisie. Ale cóż z tego, kiedy choćby najpilniejsza praca nad formą nie zastąpi talentu! Książnin miał wprawdzie talent, ale mały. «Wolę ja obrót strumyka wąski, — co z łąki w laszek ucieka, — wilgoć w zielone dając gałązki — i słodki napój dla człeka, — niż potok z góry, ogromem wody — pięknej grożący równinie, — rwie groble, lasy, pochłonął grody — i mętny

w morzu sam ginie». W tych słowach on sam doskonale scharakteryzował swoją poezję: jest ona cała, jak wąski strumyk, cicha, spokojna, często czuła i słodka tak, że często wpada z tkliwości w ekliwą słodycz i w tej słodyczy jest okropnie jednostajna; stąd wystarczy poznać kilka jej utworów, żeby sobie wyrobić pojęcie o całości. «Morzem liryzmu» nazwano poezję Książnina; można się na ten sąd zgodzić, ale z jednym dodatkiem: czytelnik na tem morzu o mały włos nie dostaje choroby morskiej — tak bardzo te poezje są słodkie i jednostajne. Lecz, podobnie jak w morzu kryją się perły i korale, tak są w poezji Książnina utwory naprawdę piękne, wnoszące do literatury stanisławowskiej nowe pierwiastki, preromantyczne, z których jeden, ludowy, jest znacznie bogatszy, niż w poezji Karpińskiego.

154. Rozpoczął Książnin swoją twórczość poetycką bardzo wcześnie, bo jeszcze na ławie szkolnej, i to od poezyj łacińskich, które wydał dopiero w r. 1781 p. t. *Carmina*. Są tutaj przekłady (pomiędzy innymi *Trenów* Kochanowskiego) i poezje oryginalne, rzucające ciekawe światło na charakter ich autora, np. na jego marzycielstwo i skłonność do zagłębiania się w siebie, do rozmowy z własną duszą; (on pierwszy w Polsce, na lat przeszło sto przed Przybyszewskim, posłużył się wyrażeniem «naga dusza» — *nudula anima*).

Pierwsze poezje polskie Książnina zaczęły się ukazywać w czasopiśmie *Zabawy przyjemne i pożyteczne*, a w roku 1776 (na lat trzy przed bajkami Krasickiego) wyszły *Bajki*. Ale z nich jedna tylko zasługuje na uwagę: *Orzeł biały i trzy orły czarne*, przejrzysta alegorja pierwszego rozbioru Polski; jest to, jeżeli nie najwcześniejsza, to jedna z najwcześniejszych u nas bajek politycznych, jakie później, podczas sejmku czteroletniego i w czasach porobiorowych, będzie pisywał Niemcewicz.

**Orzeł biały
i trzy orły
czarne**

Orłów plód starożytny, mężny i wspaniały,
Co, patrząc w słońce niezmrużonem okiem,
Wzbijał się lotem pod niebo wysokiem,
Był to ów sławny niegdyś Orzeł Biały,
Pogromca gadzin i dzikiego zwierza.
Słyszał po okolicach i z mocy, i z pierza,
Zwycięskie łupy niosąc z każdej strony
I krwawym pyskiem, i ostremi szpony.
Żyć na powietrzu i polu odkrytem —
Tym się nad inne wynosił zaszczytem.
A kędykolwiek pęd zamierzył skrzydeł,
Zmykały przed nim pułki okolnych straszyleł.
Poziome rzesze i powietrzne ptastwa —
Zwyczajna to jego pastwa.
Taki on, kędy tylko swym zwrócił zamachem,
Gromił świat cały postrachem.
Czarne tylko trzy orły czasem mu zalatać
I z nim się śmiały co do męstwa bratać:
Lecz każdy sprysnął, czy przyszło do bitwy,
Czy do gonitwy.
Zwarł się z nim najprzód z czerwonym nosem

Orzeł przewrotny, pyszny i zdradliwy¹;
Ale go spłoszył tak pomyślnym losem,
Ze ledwie co zemknął żywy.
Tu go zwycięzca na pował
Gmatwał, kaleczył, mordował
I zagnał nieraz w licznej orląt tłuszczy
Aż do Hercyńskiej puszczy².
Toż więc dwójglówny orzeł od Tryjonu³,
Chcąc dla się zyskać zwycięskiego plonu,
Wydał mu bitwę i krwawą
Pogroził sprawą.
Głupi! nietylko nie mógł mu sprostać,
Samemu przyszło w szpony się dostać,
Gdy go biały król ptaków potężnie przydłabił⁴.
Odarł, wyskubał, zagraził
I aż w zapadłe Hyperborów strony
Pod mroźne zagnał Lapony.
Nakoniec trzeci orzeł od północy⁵
Chciał swej spróbować mocy,
Lecz ile razy śmiał mu się nawinać,
Tyle on razy musiał chyłkiem kinać⁶.
A ten go ztyłu to drasnął w bitwie,
To go pierza udarł w gonitwie.
Gnębiąc nareszcie wśród ostatniej biedy,
W głąb go ponurzył Bałtydy⁷.
A tak, placu u siebie nie dawszy nikomu,
Wszystkich latawców powypędzał z domu,
Rozwijając swe skrzydła w przestronne pochopy
Przed całej obliczem Europy.
Więc, okryty lupami, triumfem i sławą,
Powraca do ojczyzny z chwalebłą odprawą,
A po utarczkach i długim najeździe
W spokojnem osiada gnieździe,
Chcąc po przykrych mozołach i walecznym boju
Kęs użyć sobie słodkiego pokoju;
A kontent, że go świat się cały boi,
Cicho się uspokoi.
Króluje zatem i nie może na nic,
Pewien swego siedliska i dziedzicznych granic.
Tak zaufany w szczęściu i kredycie,
Swobodne sobie gdy prowadzi życie,
Opuściwszy swe skrzydła nieczuło i gnuśnie,
Nakoniec uśnie.
Wtem od Bałtyckiej orzeł głębiny,
Zazwawszy k sobie orła z Hercyny,

¹ Austrja. ² według Juljusza Cezara — góry lesiste od źródeł Dunaju aż do Siedmiogrodu. ³ od północy, t. j. Rosja. ⁴ dłačić = dławić. ⁵ Prusy. ⁶ smyr-gnać, obrócić się, uciec. ⁷ t. j. odebrał mu wybrzeże bałtyckie (pokój toruński).

Puści się wokół ku trzeciemu w drogę
Nad Onegę i Ładogę.
Tu więc, pocichu knując w myśli zdradę,
Uczyni wspólną skrytą z nimi radę:
«Bracia! wszak wiecie, z jaką niegdyś stratą
(«Ach! wstyd i wspomnieć na to!»)
«Orzeł nas biały gromił, poniewierał,
«Jako nas gnębił, odzierał, pustoszył,
«Aby się sam panoszył
«I swoje tylko władzę wszędy rozpościerał.
«Owoż on przedtem butny zuchwalec,
«Co się wam jednym chciał wydawać prawie,
«Gnuśny dopiero leżeń¹ i ospalec,
«Bez sił i mocy usnął w niesławie.
«Posuńmyż zatem teraz we trojgu, mem zdaniem,
«I pomścimy się krzywd swoich na niem.
«Czyliż nam nad tę lepszą się poda
«Kiedy pogoda?»
Więc, gdy przystaną wszyscy na to zgodnie,
Raptem na orla białego napadną,
Co sobie drzemał swobodnie.
Porwą go, zmęczą, zrabują, okradną
I, czyniąc płocze nad nim igrzyska,
Z własnego jeszcze wyprą siedliska.
Stało się! Ten, co był potężny światu
Na wschód, południe i od północy,
Których ze swego straszyl majestatu,
Sam ich ulega przemocy.
Już trzech drapacze, z obłowu weseli,
Do swoich stron ulecieli
W obfitych łupach i złotych mitrzech.
Stara przypowieść, że siła jest złego
Dwóch na jednego,
A tu tem bardziej, że trzech.
Luboć to prawda, że bez oręża,
Zdrada, nie męstwo, tu go zwycięża,
Wszak któż będzie nieprzyjaciół pytał,
Męstwem czy zdradą mają cudze chwycić.

I później jeszcze pisywał Książnin bajki, naśladowując Lafontaine'a, głównie jednak ćwiczył się w pisaniu wierszy miłosnych; wysmażył ich trzysta siedemdziesiąt (!), ...nie kochając jeszcze, do czego się sam kilkakrotnie przyznaje, mówiąc, że «bardziej w myśli są płomienie, niżli są w sercu», że «myśl to przyjemnym dała czuć zapale, — czego nie miałem», że «wśród Cytery² bawiąc przybytku, — miłosne życie mam bez miłości». Takie to też i wiersze: treść ich wzięta nie z serca, tylko z literatury, z poezji miłosnej Anakreonta, Safony, liryków rzymskich i nowoczesnych, zwłaszcza barokowych. Więc np., jak Morsztyn, tak i Książnin obwieszcza światu, jakby tego ty-

¹ próżniak. ² Afrodyta.

siąc razy już nie obwieszczano, że kochać to znaczy żyć «pomiędzy ogniem i pomiędzy wodą: — wewnątrz się pali człowiek, — ogień mu serce i wnętrzości piecze, — a tu lzy płyną z powiek, — gorzkości strumień po jagodach ciecze». Minęło lat kilka, a sam Książnin wyznał: «Wstyd mnie przeszłych edycyj, a osobliwie biednych owych *Erotyków*». W poczciwości swojej wyrzucił sobie nawet, że niektóre pieśni są nieskromne, chociaż, prawdę mówiąc, zbyt sobie pochlebiał, albo też za wiele żądał od fantazji czytelnika.

155. Późniejsza poezja Książnina jest ściśle związana z jego pobytem na dworze Czartoryskich, zwłaszcza z pobytem w Puławach, które, obok dworu królewskiego w Warszawie, były w ostatniej ćwierci XVIII wieku drugim ogniskiem polskiego życia literackiego; bawił tutaj i Zabłocki, i Karpiński, i Niemcewicz, i niejeden uczony, a wszyscy znajdowali nietylko gościnność, ale i podniecie, oraz pomoc do pracy. Otóż niemała część poezji Książnina jest poetyckiem odbiciem życia w Puławach i ma charakter okolicznościowy: każdy wypadek w Puławach, np. puszczenie w powietrze balonu z biednym kotem w łódce (który spadł na ziemię i wyzionął ducha); każda uroczystość familijna: imieniny, urodziny, wesele, — wszystko to dostarczało mu pomysłu i treści czy to do ód, czy nawet do większych utworów. Jest więc Książnin poetą dworskim; ale nie jest poetą-dworakiem, jak Trembecki: on nie pochlebiał, nie kadził, o nic dla siebie nie prosił, a jeżeli chwalił, to szczerze, bo do księcia generała i całej jego rodziny był serdecznie przywiązany. A resztą znaczna część utworów lirycznych nie należy do poezji dworskiej: ich treścią są osobiste myśli i uczucia poety.

Ani jeden poeta staropolski, z wyjątkiem Sarbiewskiego, nie był tak wrażliwy na piękno natury, jak Książnin; zachwycał się on, a częściej jeszcze roztkliwiał na jej widok, i tym swoim uczuciom niejednokrotnie dawał w poezji wyraz, idąc śladami nietylko Sarbiewskiego, którego znał dobrze, jako wychowanek jezuitów, ale także Rousseau'a i wogóle poetów sentymentalnych, tudzież Osjana. Więc np. (w odzie *Do Dionizego Hrebnickiego*) siada poeta pod bukiem i przygląda się łące: «Oto przyleciał kraśny motylek — lilijka gościowi rada; — kilka się u niej zabawił chwilek — i wnet przy innej usiada... Cień, co go chmurka, mijając, rzuci, — tam się i owdzie przemyka: — śmieje się jeden, drugi kwiat smuci, — jak słońce, świeci lub znika. — Łagodny wietrzyk powiewem wzdycha, — liście tej brzozy pokłócił, — ona się k niemu wdzięcznie uśmiecha, — ale on westchnął i rzucił». A oto jeszcze inne zachwyty — w odzie *Poranek*: «O jakże wdzięcznym jesteś, poranku, — jak słodka twoja nam rosa! — Świeżo, w godowym jaśniejąc wianku, — błękitne witasz niebios. — Na twoje postać, na twoje wdzięki — wzbudzone zewsząd ptaszęta, — głosem tkliwości brzmią Temu dzięki, — skąd czucie i skąd ich ponęta. — Roń chętnie ziemi balsamy życia, — napawaj zioła rozkoszą; — te, wśród miłego kwiatów rozwicia, — niech i me serce unoszą». A nietylko dniem słonecznym i pogodnym porankiem roztkliwiał się Książnin, ale i nocą księżycową, np. w odzie *Do nocy*: «Ta cicha rzeczy postawa — jest moim myślom przyjemną. — Witam cię, nocy łaskawa! — tyś sama ze mną! — Ciekawy natręt w tej ciszy — moich tajemnic nie złowi, — a śpiąca chytróść nie słyszy, co serce mówi. — Owoż i księżyc wyziera, — z obłoku wystąpić raczył, — przez te się liście przeziera, — by mię obaczył». I takich urywków możnaby dużo wyłowić z morza ód Książnina. Nie są to jeszcze krajobrazy; to tylko maleńkie opisy l i r y c z n e, tylko

wyraz kilku doznanych wrażeń na widok natury, które dotego nie stanowią głównego tematu ody, lecz służą jedynie (jak to bywa i w pieśniach Kochanowskiego) za tło do tematu głównego, którym są myśli i uczucia poety, kojarzące się z widokami natury. Tak np. w odzie *Poranek* (napisanej w roku 1793) widok pięknego poranku, świtającego po srogiej burzy, rodzi w sercu nieśmiałą nadzieję, że i dla udrczonej Polski zaświta poranek: «Obyś tak mojej błysnął ojczyźnie!... Ty¹, co po zimie prowadzisz wiosnę, — którego ranek ten świeci, — rozkwieć nam znowu myśli radosne — i powróć Maja dzień trzeci!»

Czasem jednak, podobnie jak w pieśni Karpińskiego *Do Justyny, tęskność na wiosnę*, opisy liryczne natury nietylko kojarzą się z uczuciami, ale nadto są ich pośrednim wyrazem. A tłumaczy się to nie tem, żeby Książnin nie uświadamiał sobie jeszcze tych uczuć, jak Karpiński w pieśni *do Justyny*, ale że ich bezpośrednio i wyraźnie wypowiedzieć nie chciał. Dlaczego? Wieś niesie, że pokochał swoją pierwszą i ostatnią miłością młodszą od siebie o lat osiemnaście córkę Adama Czartoryskiego, Marję; o małżeństwie z pewnością nawet nie pomyślał, — jakżeżby córka magnata, a do tego księżniczka, mogła poślubić ubogiego szlachetkę, a do tego nauczyciela? (Później ta córka magnata i księżniczka wyszła za skończonego łotra, Niemca, księcia Wirtemberskiego, siostrzeńca Wielkiego Fryderyka, także skończonego łotra!). Otóż biedny Książnin, czy to widząc ze strony sentymentalnej księżniczki jakiś cień wzajemności, czy tylko marząc o niej, a wiedząc doskonale, że jego miłość jest beznadziejna, wyraził te swoje rozkoszne marzenia i tę swoją beznadziejność w odzie *Dwie lipy*:

Oto dwie lipy zielone
Ze dwóch się brzegów witają,
Jedna ku drugiej skłonione.
Gałęzmi siebie tykają.

Dlaczegoż rozdział im sprawił
Okrutny odmęt tej rzeki?
Skłonność im tylko zostawił,
Lecz się nie złączą na wieki!

Tak mówił Koryl zbłąkany,
O wiernej myśląc Ismenie.
I z najskrytszej w sercu rany
Głębokie wydał westchnienie.

Te same uczucia wypełniają odę *Dwie gałązki*: «Gałązki, jedna z jejonu, — a druga z pięknego klonu, — rzucone jakąś przygodą, — płynęły z wodą»; to się oddalały, to zbliżały — i już już miały się spotkać, kiedy «znów je od siebie zdaleka — uniesie rzeka; — nakoniec jedna przy lasku, — druga zostanie na piasku: — ta uschła, a tamtą marnie — splątały tarnie». Co to znaczy, tego już żaden Koryl nie wyjaśnia, i dlatego wolno zaliczyć tę odę do liryki nie alegorycznej, jak *Dwie lipy*, tylko symbolicznej, jak pieśń Karpińskiego.

Lecz nietylko w takich pieśniach ujawnia się preromantyzm Książnina. Oto w odzie *Do Jana RembIELińskiego* opowiada poeta przyjacielowi, że «ten ostrów², którego pobrzeże — Wisła, nakoło podmywając, strzeże», niegdyś inaczej wyglądał: «gęste miał knieje, kwitnące zagrody — i mnogie trzody», a mieszkał tutaj «Lubimir bogaty» ze swoją ukochaną Rózią; ale przyszła

¹ t. j. Ty, Boże! ² wyspa.

powódź wiosenna, «zarwane poszły na igrzyska lodu — wieś Lubomira i z pięknymi stady, owocne sady; — usycha jabłoni i na prąd się chyli, — pod którą słowik coś smutnego kwili. — Tam, ręce łamiąc, Rózia jego biała — z żalu skonała». Otóż ta «oda» ma w sobie coś z ballady, zarówno przez opowieść o dawno zaszłym wypadku, jak przez to, że opowieść ta jest wywołana widokiem miejscowości, w której zaszedł ów wypadek, podobnie np. jak w balladach Mickiewicza *Świtez i To lubię*. Coś z ballady ma także oda *O Kleonie* (myśl z angielskiego):

Kleon w gromadkę wchodzi zamyślony
Mimo tłum dziewcząt, na siebie zwrócony,
Ani głos strzyma, ani go twarz czyja,
Wszystkie piękności pomija.

Spostrzegł Irenę: zadrzał i zapłonał,
A gdy wzrok jego w pomieszanu tonął,
Biorąc jej rękę: «Ta — mówi — dłoń czuje,
Co w sercu miłość sprawuje».

Ona, rzuciwszy wzrok pełen ostrości,
«Ani mi — rzekła — wspomnij o miłości!»
Posłuszny Kleon rozkaz jej wykonał,
Padł przed okrutną i skonał.

Co zaszło między Kleonem a Ireną dawniej, tego poeta nie mówi, ale czytelnik domyśla się, że coś zaszło; jest więc coś tajemniczego w tym krótkim wierszyku, podobnie np. jak w *Dudarzu* Mickiewicza.

156. Jest dalej i w odach, i w większych utworach Książnina pierwiastek ludowy, co się tłumaczy poczęści jego długoletnim pobytem w Puławach. Czartoryscy bowiem, zarówno August, wojewoda ruski, jak i syn jego, Adam Kazimierz, generał ziem podolskich, wyróżniali się dbałością o dobrobyt włościan, a i księżna Izabela, idąc trochę za głosem serca, a trochę za modłą, otaczała ich opieką: nie tylko nawiedzała osobiście chaty wiejskie w Puławach i niosła im pociec materialną, ale i kazała uczyć dzieci włościańskie. (Zczasem sama napisze, ona pierwsza, popularną historję ojczyzny dla ludu, p. t. *Pielgrzym w Dobromilu*, 1818). Otóż i Książnin zainteresował się życiem ludu tem żywiej, że ono przemówiło mu zarówno do czulego serca, jak i do wyobraźni. Rozumie się, że i on uległ modzie sielankowej — tem więcej, że uległa jej księżna Izabela, która się lubiła bawić w marzenia o szczęściu ludzi prostych na łonie natury i urządziła maskarady sielankowe, polegające na przebieraniu się za pasterzy i pasterki, na budowaniu chatek w parkach i ogrodach i t. p. Nie brak więc wśród utworów Książnina pieśni i sielank sentymentalnych «w rodzaju pasterskim». Pisał je na wzór Karpińskiego i Gessnera, a trochę i Szymonowicza. Występują w nich różne Filony i Alkony, różne Glicery i Neery, a wszystko to wzdycha i jęczy z czulej miłości; bo i tutaj, jak w sielankach Karpińskiego, rozgościła się prawie niepodzielnie melancholja i czułość, i tutaj natura współczuje częstym smutom i rzadkim radościom pasterzy i pasterek. Ale i w tym «rodzaju pasterskim» trafiają się utwory wcale wdzięczne.

jak np. *Pasterz*, gdzie pasterce, kiedy zginął jej ukochany Franek, cały świat wydaje się smutnym: «Maże się niebo, słoneczko nie błyska — skot¹ mój po ziemi ledwo wlecze nogi — bydełko smutne pozwieszało rogi». Nie są bez wdzięku i *Krosienka*, w których słychać coś jakby echo *Kołaczy Szymonowicza*; (szkoda tylko, że srocza Książnina już nie krzeka, jak srocza Szymonowicza, tylko skrzeczy, jak żaba).

Niedosyć na tem. Jest w «rodzaju pasterskim» jeden utwór, wolny od sentymentalizmu i sielankowej maskarady: na dolę swoją skarży się nie żaden Filon, ale poprostu Bartosz, zdradzony przez Kachnę; utwór to tem ciekawszy, że, kiedy go Książnin pisał po raz pierwszy, wpakował doń Filona, skarżącego się na Eglę: pokazuje się więc, że zczasem zaczął uświadamiać sobie całą śmieszność maskarady sielankowej i dążyć do prawdy (realizmu) w poezji.

Krosienka.

Darmo mi, matko, stawisz krosienka,
Insza mię teraz myśl wiedzie:
Ah! pozwól raczej wyrzeć z okienka,
Czylī mój Filon nie jedzie.

Gdyśmy na siebie spojrzeli mile,
Powiedział tylko dwa słowa;
Bez niego teraz przykre mi chwile:
On mojej duszy połowa!

Cóż go tak długo tam zatrzymało?
Drogać mu nie jest daleka!
Serce on moje zna jeszcze mało,
Które na niego tak czeka.

Przez ten ma gaik jechać mój miły:
Kiedyż twarz jego zaświeci?
Ptaki się stamtąd nagle ruszyły:
Zapewne on to już leci.

I srocza z płotu skrzeczy na niego:
Cóż to? nie widać go jeszcze?
Filonie! na blask wzroku twojego
W ręce z radości zakleszczę.

Otóż i widać: gość luby jedzie,
Sercu mojemu życzliwy!
Miłość w te strony wzrok jego wiedzie,
A pod nim igra koń siwy.

Sięde w krosienkach na moment miły,
Abym tę radość ukryła,
By nie zrozumiał Filon przybyły,
Że ja tu po nim tęskniła.

Do Kachny dworki Bartosz sielanin.

Jużem ja nie twój! Moja rzecz — swo-
[boda:
Po czarnej chmurze jaśniejsza pogoda.
Znam radość, której, gdy ciebie kochałem,
Calej nie znałem.

Luboć się człowiek i cieszył w prostocie,
Troskliwym jednak zawsze bywał o cię,
A ten niepokój i we dnie go trudził,
I w nocy budził.

Znałaś to serce! Twojeć słowa były,
Które pamiętam: «Bartoszu mój miły!

«Jakże to twoje serce mi życzliwe,
«Bardzo pocziwe!»

Anoć to dzisiaj wypadło z pamięci:
Rubaszny dworak za tobą się kręci.
Za nic masz, Kachno, pocziwego człeka:
Bartosz zdaleka!

Wysokość teraz, ani spojrzeć na cię:
Piórka na głowie, a sama w bławacie,
Inszy chód tobie, insza dzisiaj mowa.
Pyszniej się zdrowa!

¹ bydło.

Zdradziłaś ty mnie podobno dlatego,
żem ja sielanin, serca zbyt szczerogo:
I ciebie, doznasz, z tej pańskiej czeladzi
Niejeden zdradzi.

Znać dwór niegdys i córka Szymona:
Wróciła do nas, dobrze tam sparzona.
Teraz, gdy wspomni na owe wdychacze,
Gorzko zapłacze.

Daleko jeszcze wymowniejszym od tej małej «sielanki» dowodem, że Książnin z biegiem czasu dążył do realizmu są dwie dłuższe, udratyzowane «sielanki» (które słuszniejby nazwać melodramatami). Pierwsza składała się pierwotnie z dwóch aktów i miała tytuł *Troiste wesele*; grano ją w teatrze amatorskim w Puławach; później przerobił ją autor na *Trzy gody*, w pięciu aktach. Druga sielanka, *Cyganie*, w trzech aktach, ukazała się na scenie teatru amatorskiego w Siedlcach (w pałacu Czartoryskich).

W *Trzech godach rzecz dzieje się* «w Parchatce nad Wisłą, niedaleko Puław, w chacie Grzela i Maryny», rodziców trzech młodych zakochanych córek: Basi, Helenki i Zosi; miłość wieńczy się małżeństwem — wedle serca każdej z córek, a to dzięki dobroci «pani» z Puław, która, żeby upamiętnić dzień swoich imienin dobrym uczynkiem, wyposaża biedne dziewczyny. Jest tutaj jeszcze dużo maskarady sielankowej (kochankiem Helenki jest... Filon!), ale jest i prawda życia wiejskiego. Oto np. Maryna skarży się na złego włodarza, że jeszcze przed świtem zapędza chłopów do pańszczyzny: «Niema się kim wyręczyć, — na parobka nas nie stać, — a wyrozumieć ubóstwa — panowie u nas nie zawsze umieją, — czy też ci raczej, co ich zastępują, — jedynie chodząc z nahajką za nami, — a grosze biorąc za biedę ich ludzi... A w Polsce z całego świata — woli pan ludzi do siebie zgromadzić, — niż jedną duszę ze wsi swej wypuścić, — chyba za wielkim okupem, — a tu i grosza brakuje». Niektóre piosenki wzorował Książnin wyraźnie na pieśniach ludowych. Oto np. piosenka Zosi: «Wiewióreczka w lesie — gdzieś orzeszki niesie: — niesie, niesie wianek — dla mnie mój kochanek! — Sierkierka za pasem, — czapczyzna z kutasem: — obróć na mnie oczy, — a serce wyskoczy! — Kwitną wonne zioła, — zbiera miodek pszczoła: — miód ja w ustach czuję, — gdy cię pocałuję». A Bartek śpiewa Basi: «Kukaweczka kuka — nad zieloną gruszką, — a moje serduszko, — tobie, Basiu, puka! — puk, puk... Miłość ciebie szuka, — nadstaw twoje uszko, — gdy moje serduszko — tobie, Basiu, puka! — puk, puk...». Są i pieśni ruskie. Kozak Zacharenko (mówiący zawsze po rusku) śpiewa np.: «Ot ja, kozak Zacharenko, — z banduroju wesołenko, — nikohda ja ne zapłaczu, — huku, puku! hraj, skaczu. — Trastia tomu, chto sia bedit, — chto nad hroszom tolko sedit: — czerez hrosza, czerez nudy — tnu hołubcia i prysiudy!...»

Pomysł *Cygan* (1787) zawdzięcza Książnin, jak sam świadczy, księżnie Czartoryskiej: jej to «twórca wynalazek pierwsze tu podał rysy i ukazał interes sztuki, szczęśliwemi zaś myślami uczucia i tkliwość dodała rozprze-strzenię się mogącej imaginacyi».

Rzecz dzieje się «w taborze cygańskim pod szatrami¹, w lesie, niedaleko wsi pani Mieszczkowej». A treść sztuki podał sam Książnin w słowach następujących: «Jawnuta cyganka, i wróżyć dobrze, i leczyć umiejąca, w czasie zaboru» (1773) «przeszedłszy z Pokucia w głąb Polski, gdy we wsi jednej wstępuje do chaty, nikogo tam nie znajdując, tylko dwoje niemowląt opuszczonych, zabrała je z sobą i zaszła z niemi na Podole; powziąwszy do nich

¹ namioty.

przywiązanie, za własne ich tam wychowuje dzieci; dziewczynie dała imię Chicha, a chłopcu Dżega. Po rozmaitej tam i owdzie (jak to Cyganom nie nowina) wędrowce, trafiło się, że w kilkanaście potem lat z niemi do tej samej wsi, skąd wzięte były, przy taborze cygańskim przeniosła się. W przeciągu niejakim pobycia tu swojego poznaje ich rodziców, Symona i Jewę, w starości, biednych i bez żadnego wsparcia, tudzież postrzega i miłość Chichy ze Stachem, wójta synem; tknięta pobudką litości, odkrywa tajemnicę: wraca te dzieci rodzicom strapionym i własnemuż ich powołaniu; a tak całe razem uszczęśliwia rodzeństwo».

Otóż i w tej sielance (której treść w jednym szczególe, mianowicie w zniknięciu małych dzieci podczas zawieruchy krajowej, odezwie się echem w *Wiesławie Brodzińskiego*), umiał Książnin utrafić w prawdę życia jeszcze lepiej, niż w *Trzech godach*: maskarady sielankowej niema już tutaj, i zarówno ogólna charakterystyka Cyganów, ponad wszystko ceniących wolność, prowadzących żywot koczowniczy i żyjących z kradzieży, jak różne szczegóły z ich obyczajowości, są prawdziwe, jak np. opis «smagańca», to jest kary za niezręczność w kradzieży; śpiew Rypały: «Nuże tańcuj, nie ustawaj, a drugiemu tył podawaj!» — jest p r z e k ł a d e m piosenki cygańskiej, śpiewanej przy smagańcu przez starego Cygana: «Ne kheł mangi mauszły wawreski, dujo me tut marawa buleski». A i w innych scenach są szczegóły, wzięte wprost z życia, np. w scenie, w której chłopci przychodzą do Jawnuty, by im wróżyła, i dziwią się jej mądrości: «Ach, jakże ona zgadła, ale jak, ale jak!» Wszystko to Książnin na własne oczy widział i, jak widział, tak opisał.

Akt I. Scena druga. Cyganie i cyganki (w taborze przy ognisku).

Rudio. Bywaj nam zdrowa, o, szczęśliwa nocy!
Jam ukradł cielę przy twojej pomocy.

Wszyscy. A to jak?

Rudio. Ot, jak? Byłaby i krowa,
By trochę moja nie podrwiła głowa.
Już był ten powróż namówił jej rogi,
Już była ze mną gotowa do drogi, —
Czy mi czart nadał te wrota?

Skrzypnęły: nuż kundel szczekać!

Aż baba z kijem: «A tuś niecnota!»

Cóż czynić miałem? Uciekać!

Więc cielę na grzbiet i dalej w nogi!

Tymczasem krówka została,

Krówka dojna, krówka biała!

Żal mi jej było, niebogi,

Jak za cielęciami i za mną ryczała.

Ano zjeść djabła sobace i babie!

Jeszcze ja ją tutaj zwabię.

Moryga. Nim krowa nasze powiększy wesele,

Tymczasem dobre i cielę.

A tobie, bracie Rypało,

Co się tej nocy dostało?

Rypało. Kopa tych guzów, panie miłościwy!

Dziś miesiąc dla mnie święcił nieszczęśliwy.
Jać się to byłem do lamusa wdrapał:
I pies nie poczuł, i stróż sobie chrapał.
Tam się przy krokwiach trzymając drabiny,
Jużem na palcach miał połeć słoniny.
Spojrzę, aż wiszą na żerdzi dwa kąpie¹;
Sięgając po nie, na kraj deski stąpię,
Ta się zważyła: buch razem z drabiny
Z deską do licha i z półciem słoniny!
Zleciałem na łeb; ażeby nie skłamał,
Podobnom tego coś karku nadłamał.

1 z Cyganek.
Dżęga.
Rypało.

Ach, prawda! trochę skręciło waszeci.
Odkręci mu się, jak drugi raz zleci.
Gdy tak leżałem bez duszy,
Aż djabeł kogoś tam wzruszy:
Nuż mnie okładać, nuż cucić!
Wskrzesił. Nie wiedząc, gdzie się obrócić,
Ledwie do ciasnej trafielem dziury,
Gdzie może tylko przebiegały szczury:
Batog mię wcisnął. Tym ja dalej gnany
I ze wsi całej psami oszczekany,
Anim co widział, ni słyszał,
Aż poza chróstem oddyszał,
Jak zając szczwany.

Dżęga.

I tak Rypało wyszedł za hamana².
Ho, ho! brak tobie rąk i nóg Cygana.

2 Cyganka.

Alboż to każdy tak dobrze, jak Dżęga,

Jawnuta.

Drapie nogami, a rękami sięga?
Trafi się czasem, choć to dobrze łowi,
Upuścić wróbla samemu kotowi.

Moryga.

By nie te guzy, coś kopę ich dostał,
Tenby cię zaraz basalyk³ wychłostał.
A wy?

3 Cyganka.

Oto rondel i dwie patelnie.

4 Cyganka.

A u mnie młot i kowadło.

5 Cygan.

Jam jedną zrabował kielnię⁴:
Ot chleb i sery, i sadło.

Dżęga.

Toż my to dzisiaj użyjem!

6 Cygan.

A ja Lejbinej, szynkarce,
Ukradłem miodu trzy garce.

Dżęga.

To się i napijem!

Moryga.

No, jakożkolwiek! Oddać to szafarce!

A ty, Gnus? cóż to? nie żyjesz

Czego się za drugich kryjesz?

Ta łapa, co się po kudłach skrobie,

Źle, jako widzę, posłużyła tobie.

Gnus.

Daruj! Zdeptałem całą noc marnie:

¹ kąp' = szynka. ² kukła, którą Żydzi w święto Estery okładają kijami.
³ bicz z kulą ołowianą na końcu. ⁴ skrzynka na wozie.

Wszystkie zamknięte były spiżarnie,
Wszystkie lamusy, wszystkie obory, —
Kłódki wszędzie i zapory.
Ot, jenom od psów uciekał
To sporym krokiem, to kłusem,
Ażem i świtu doczekał,
Panie! zmiłuj się nad Gnusem!

Moryga. Bracia, do pletni! a ty do tańca!...
Zagrać na drumli smagańca!
Ty zaś, Rypało, z nahajem¹
Weźno kij swoim zwyczajem!

Gdy Gnus smagańca tańczy, tymczasem między Stachem z za kulisy a Chichą i Dżegą intryga zachodzi; słowa ich wychodzą w przerwach muzyki przy lekkim graniiu na drumli).

Scena trzecia. (Ciż sami i Stach za kulisą). (Muzyka).

Rypało. Kij ten wodził już niedźwiedzie,
Moryga. Teraz ciebie, Gnusa, wiedzie.
Cyganie z pletniami. Niech ta prosta — uczy chłosta! (dwa razy)
Gnus. Och, daleko jeszcze do sta...
Stach (z za kulisy). Jak zorza, świeci moja piękna Chicha!
Dżega (do Chichy). Siostró! Stach na cię i mruga, i wzdycha.
(Muzyka) Rypało. Nuże, tańcuj, nie ustawaj!
Moryga. A drugiemu tył podawaj!
Cyganie z pletniami. Niech ta prosta — uczy chłosta! (dwa razy)
Gnus. Och, daleko jeszcze do sta...
Stach (z za kulisy). Jakby ją tutaj na stronę sprowadzić?
Chicha (do Dżęgi). Bracie mój miły, chciej temu zaradzić!
(Muzyka) Rypało. Nuże! teraz na kij siadać!
Moryga. A naucz się dobrze kraść!
Cyganie z pletniami. Niech ta prosta — uczy chłosta! (dwa razy)
Gnus. A dalekoż jeszcze do sta?
Dżega (do Chichy). Coby tu począć?... No, ja w to poradzę:
Oto na jarmark wszystkich wyprowadzę.
(Muzyka) Rypało. Nuże! teraz przez kij skakać!
Moryga. Wara stękać! wara płakać!
Cyganie z pletniami. Niech ta prosta — uczy chłosta! (dwa razy)
Gnus. Wytańczyłem już i do sta!
Stach (z za kulisy). Jawnuta, widzę, patrzy na nią z boku,
Strzeże swej córki, jak źrzenicy w oku...

Raz jeden poszukał Książnin treści do poezji nie w życiu ludu, tylko w polskich podaniach ludowych, on pierwszy wśród poetów XVIII wieku (bo podanie ludowe, o którym wspomina Karpiński w *Liście wymawiającym się jest nie polskie, tylko rosyjskie*). Oto kiedy przyjaciel Książnina, uczony lekarz i botanik, Paweł Czempiński, wybierał się w góry karpackie, Książnin napisał do niego żartobliwy list poetycki p. t. *Babia góra*, w którym go prze-

¹ bizun, bat.

strzeża, żeby się miał w górach na baczności, bo się tam straszne rzeczy dzieją; i opisuje te straszne rzeczy — według podań ludowych o czarownikach i Twardowskim, czyli, innymi słowy, opisuje świat fantastyczny — tak, jak go później, w wieku XIX, opisywać będą romantycy w swoich balladach, np. Mickiewicz w balladzie *To lubię*.

Babia góra. Do Pawła Czempińskiego, gdy objeżdżał góry krakowskie.

Trwoga warszawskie gubi dziewczęta!
Ta pierś wzdychaniem obrywa,
Płacz tej nabrzmiałe skrwawił oczęta,
Ta na twą pamięć omdlęwa,

Ta już umarła!... Nie tak się bały,
Gdyś w obce kraje wędrował:
Choć innym nosłeś krok twój niestały,
Serceś im przeciw zachował.

Lecz teraz grożą krępackie¹ kmochy²:
Niechże cię niebo uchowa!
Ach! nacóż tobie, zuchwalcze płochy,
Podróż do tego Krakowa?

Kędyż tam jesteś? Na Babiej górze!
Słońce za chmury zapada,
Krwawią się nieba na nocną burzę,
Wicher się z Tatrów zakrada.

Ale ty, widzę, drwisz z naszej wiary
I gardzisz radą przyjaźni;
Nie wierząc w djabły, upiory, czary,
Śmiejesz się z ojców bojaźni.

Dokąd lat młodych niesiesz powaby?
Nazbyt swej ufasz nauce:
Jeszcze ty nie znasz, co to te baby!
Uległ niejeden ich sztuce!

Już dziesięć wieków, jak Polska stoi:
Wiedmy dotychczas tam były;
Szczęśliwy, kto się bał ich i boi:
Śmiałego zawsze zgubiły.

Niejeden pielgrzym czynił przysięgę,
Jako ich straszne wyroki:
Widziano z ludzi, przez ich potęgę,
Zmije, ropuchy i sroki;

Lub, jeśli który młodzik się ważył
Krok tam posunąć zuchwały,
Przymus go dzikiej pastwie obnażył,
A one kwiat krwi wyssały.

Przebóg! co słyszę? Powietrze świszczy,
Wzjężone włosy powstają,
Wrzawa strasydeł huczy i piszczy,
Miotły, latarnie spadają.

Ucichło; ale nad ów zgiełek srogi
Srozsze to jeszcze milczenie;
Księżyc z za dębów, pełniąc swe rogi,
Blade przeciera promienie.

Nie tak kropidła pocisk mistyczny
Złe duchy w ciele zatrudzi,
Ani tak szarpnie drut elektryczny
Za jednym tknięciem sto ludzi,

Jak one razem, ujrzawszy ciebie,
Mocą ciśnione nieznaną,
Sądziły swoją przepaść w Erebie,
Że tam, skąd wyszły, zostaną³.

Aż siadłszy jedna z nich na łopacie:
«O, głupie siostry! — zawoła —
«Szpiega wy swoich tu ofiar macie,
«Zrywa znajome nam ziola.

«Twardowski jeno mógł one zrywać
«Przeszłemi dawno czasami;
«Wolność mu było tu niegdyś bywać,
«Ale on sprawę miał z nami.

«Ano jak w nasze wszedł tajemnice
«Ten obcy śmiałek i młody?
«Doznasz, co mogę, czarnoksiężnice,
«Doznasz twej na złe urody!»

Rzekła i zgrzytnie; tu zapał dziki
Sprosne im twarze rozżęga,
Chwytają smolnie⁴, widła, motyki
I już, już lecą na szpiega.

Strach owej wyspy przede mną staje,
Gdzie był Ulisses zawiął,
Kwiczeć musiały tam ludzi zgraje;
Roztropny, przecie nie zginął⁵.

¹ Krępak = Karpaty. ² kumy, wiedźmy. ³ t. j. zostaną same — myślały, że nikt nigdy nie ośmieli się zajrzeć do ich siedliska, skrytego, jak przepaść Erebu (piekła). ⁴ smolne główne. ⁵ czarownica Cyrce zamieniła towarzyszy Ulisessa (Odysusza) w świnię; on dzięki roztropności swej ocalał.

Straszy mię bardziej Chirona¹ postać: Umknij się żywo czarnej godzinie!
Czary zapewne to były, Truchleją twe przyjaciółki:
że czleku przyszło półbykiem zostać, Nie tak Centaury ni Cyrce świnie,
Tesalskie ziola sprawiły. Jako im straszne wilkołki.

Wracając nam się tu, do stolicy,
W nagrodę mojej pamięci,
Urwij po drodze garść czemierzycy²,
Bo mi się we łbie coś kręci.

157. Najpiękniej przemówiła szlachetna dusza Książnina w utworach religijnych i patriotycznych.

Z religijnych bije głęboka wiara nie tylko w istnienie Boga, jako stwórcy świata, ale także w Jego ustawiczne rządy nad światem i w Jego miłosierdzie nad ludźmi. Najsilniej przemówiły te uczucia w *Hymnie do Boga* («Ojczel to bowiem Imię Ci właściwe»); widać z niego, że w sercu Książnina nie było nawet śladu różnych wątpliwości, jakie się w XVIII wieku często gnieździły w duszach ludzkich: on ślepo wierzył w dogmaty religii katolickiej i ganił zaciekanie się w ich tajemnice: «Lepsza u Ciebie szczerość i prostota, — niż te nie swoich umysłów zachwyty³... Upadam w skrusze, Samarytan nowy, — gdzie się straszliwe święcą tajemnice! — Pocóż tam wchodzi rozpalone głowy, — mylnemi spory kłócąc Twe świątnice? — Nie daj mych myśli błakaniu się szerzyć: — Czego nie pojnę, dosyć temu wierzyć». Ta jednak prawowierność katolicka (której wyrazem jest także oda *Do Najświętszej Panny*: «O! której tron jest wysoki») nie przeszkodziła jednak Książninowi patrzeć krytycznie na historję Kościoła katolickiego, któremu wyrzucał nietolerancję i «świętą inkwizycję».

Z wiary w Boga, jako miłość, płyną w poezji religijnej Książnina modlitwy błagalne: to o natchnienie poetyckie (w odzie *Do Boga*: «Od Ciebie moja niech zabrzmi lira»), to o pomoc w ciężkich chwilach życia; jest także błaganie o litość dla Polski, bo, jak w poezji Karpińskiego, tak i Książnina, pierwiastek religijny łączy się nieraz z patriotycznym.

Z utworów patriotycznych zasługuje na uwagę nasamprzód obrazek dramatyczny ze śpiewkami (czyli opera, jak nazwał go Książnin) *Matka Spartanka* (1786). Sztukę tę po kilkakroć grano w teatrze puławskim, przyczem aktorami byli sami Czartoryscy (księżna Izabela z synami), oraz Niemcewicz. Jest to, ze względu na dążność swoją, pobudka patriotyczna: Książnin chciał pokazać, jak w Sparcie «oboja płeć tchnęła szlachetnej duchem wolności i jak każdy wiek dążył do męstwa i chwały swego narodu», aby i serca polskie tym samym duchem natchnąć i zagrzać do czynu.

Spartanka Teona wyprawia syna na bój z Tebanami i sama zbroi go w szyszak, miecz i tarczę, mówiąc: «Otóż i tarcza: z tą powróć lub na tej! — Staw się, jak ten lew, jak się ociec stawił, — tobie ją w świętem dziedzictwie zostawił! — Juże uzbrojon... Idź i to pokaż, czego twa krew warta, — czego ja pragnę i co każe Sparta!» Pędzi Likanor na bój, a niebawem przybiega z pola bitwy helota i zwiastuje Teonie wieść radosną, że zwycięstwo przechyla się

¹ jeden z Centaurów, sławny lekarz i mędrzec mityczny, wychowawca Achilleśa.

² ciemierzycy — roślina z rodziny liljowatych (lekarstwo na szaleństwo).

³ t. j. zaciekania się w tajemnice wiary pod wpływem obcych filozofów.

już na stronę Sparty i że Likanor uwija się w boju «jako błyskawica; — gdzie zręczna jego zamachnie prawica, — pękają tarcze i włócznie, i miecze, — temu kark utnie, tego pchnie, tam siecze, — śmierć rozrzucając pomiędzy Tebany». Teona nie posiada się z radości i dumy, kiedy nagle wbiega Likanor, pomieszany i smutny: oto Tebańczycy biorą górę, jego zaś wysłano, aby posiłki sprowadził. A na to Teona: «Ciebie wysłali? toś jeno wart tego, — żebyś był wieścią nieszczęścia naszego? — Nogi masz tylko, nie serce? O, wstydzie! — Sparto! ku tejże ty przyszedł ohydzie, — że się na synach ojcowie zdradzili?... Jakto! wy chcecie, by się za was bili?» Dotknięty boleśnie wyrzutami matki, wybiega Likanor, wraca na pole bitwy i, «jak siły nateżył, — moc nieprzyjaciół stłumił i zwycięzył». Teraz dopiero Teona uznaje go za syna, siostra — za brata, a naręczona — za narzeczonego. Po mieście rozlegają się pieśni radosne i modlitwy dziękczynne.

Jako utwór dramatyczny, niewielką posiada wartość *Matka Spartanka*, ale piękna jest przez swój liryzm: duch rycerski i patryjotyczny bije z każdego niemal wiersza; wszyscy tam myślą o ratowaniu zagrożonej ojczyzny, do boju rwą się nawet dzieci z bratem Likanora, Klitonem, na czele, który woła: «Czemużem ja to później się urodził?... Czemuż to lata moje — sil do serca nie dały? — Niech mi podadzą zbroję, — i ja chcę szukać chwały!»; a jedna z matek na wieść, że jej syn poległ, nie z rozpaczą, ale z dumą i radością woła: «Moim on był synem!» Budziła więc szluka Książnina miłość ojczyzny i ducha rycerskiego, to też słusznie cieszyła się rozgłosem.

Lecz opiewał Książnin uczucia nietylko Matki-Spartanki, ale i Matki-Polki: jak Teonę, kiedy wyprawia syna na bój, miotają dwa sprzeczne uczucia, «rozkosz i trwoga», — rozkosz na myśl, że się syn nieśmiertelną chwałą okryje, a trwoga, że go może hańba czeka — tak i *Matka-obywatelka*, siedząc nad kołyską ukochanego dziecka, pieści się nadzieją, że cały kraj będzie podziwiał czyny bohaterskie jej syna, ale tuż potem drży na myśl, że syn wyrośnie może na zdrajcę ojczyzny. Jedna to z najwdzięczniejszych pieśni Książnina.

Lecz śpiewał on i swoje własne uczucia patryjotyczne, a przedewszystkiem swoje uwielbienie dla przeszłości narodowej, wierzył bowiem, że Polska ma przeszłość moralnie czystsza, aniżeli inne narody, «że nic krwawego, nic dzicy — z dziejów swych nie ma na scenie: — ludzkość się u nas wzdrygała — na wściekłych Anglów topory¹, — na krew, co Paryż zalala² — i na Madryckie potwory³. — Gdy Rzymu obluda sroga — mord uświęcała ościeniny, — z prawem bliźniego cześć Boga — jednoczył Polak sumienny. — Jeżeli świętość skażona — i obyczajów bieg złoty, — toć były Ryksa i Bona — i inne obce niecnoty: — z ich łaski nam niewyzwyczajne — podłość, przekupstwo, mącenia». Przez tę idealizację przeszłości Polski i charakteru Polaków (w odzie *Do księżnej Wirtemberskiej*) jest Książnin poprzednikiem poetów romantycznych.

Najpiękniej przemówiła miłość przeszłości narodowej wraz z tęsknotą do niej w odzie *Do ojczyzny* («Kędyż te słupy, te granice twarde?...»), w odzie, która powstała prawdopodobnie pod wpływem *Dumy* Karpińskiego i satyry Krasickiego *Świat zepsuty*. To samo uczucie dźwięczy w odzie *Do Krakowa*, należącej do poezji grobów, tak znamiennej dla preromantyzmu; a nie są to

¹ rewolucja angielska.

² Noc św. Bartłomieja.

³ inkwizycja hiszpańska.

jakieś fantastyczne groby królów polskich, jak w *Głosie umarłych* Naruszewicza, ale groby prawdziwe — na Wawelu. «Pójdę ze łzami na ten gmach wysoki — uczcić tam, drogie ucałować zwłoki». Wysławia tedy poeta najprzód świętego Stanisława, a potem — Bolesława Chrobrego, Kazimierza Wielkiego, Jadwigi i Jagiełły, Zygmunta Starego, Stefana Batorego. O Zygmuncie III, mając na myśli jego fanatyzm i miłość jezuitów, wyraża się nie bez dowcipnej ironji: «Czyjeż to zwłoki ten marmur okrywa? — Widz to marnego pięknych laurów żniwa! — Niechaj Rzym wielbi cnotę jego czynów: — ja wolę synów». «Sercu twojemu winny hołd zostawię, — Moskwy pogromie, mężny Władysławie: — na pamięć tego drżą jeszcze bojary, — co wiązał cary. — Igrzysko losu w kościele i w polu, — o! nieszczęśliwy, ale zacny królu! — Wart doli lepszej i czulszych wyrazów — ostatni z Wawów!...» «Jakież bohater w oddzielonym grobie — leży w świetniejszej nad innych ozdobie? — Dotąd słowiańskie śpiewają go dzieci! — Tyś to, Jan Trzeci! — Mógłżeś pomyśleć, gdyś Wiedeń obronił, — że ten, co się go zawsze Polak chronił, — utkwi swe orły pełnem wzgardy okiem — pod twoim bokiem?» Po raz pierwszy w poezji polskiej — na pół wieku zgórą przed Wawilewskim i na wiek zgórą przed Wyspiańskim — przemówił Wawel.

Z innych ód patryjotycznych warta wzmianki oda *Do Litwy*, choćby tylko dlatego, że spleca cząsteczkę tego do dziś dnia niespłaconego długu, jaki poezja polska zaciągnęła względem nieśmiertelnego czynu Rejtana: Litwin Książnin nie mógł o nim zapomnieć. «Twój Rejtan zacny, Rejtan nieśmiertelny!... On jeden, aby wzór cnoty ocalał, — stanął i świętym jej ogniem oszalał. — Ojczyzno! Uczcij tak drogie popioły, — wynieś mu posąg w tej czucia postawie! — Niech nasza młodzież na nieprzyjaciół — chwytą z niej ogień i leci ku sławie!»

Ściśle biorąc, do utworów patryjotycznych wolno także zaliczyć bardzo popularną odę *Do wawów*, a to ze względu, że broni tu Książnin obyczaju staropolskiego, przez co jest jednym z twórców tej bogatej poezji ulotnej, która rozkwitła podczas sejmu czteroletniego, a która zachwalała dawne obyczaje i zwracała się przeciwko nowym modom w ubiorach i strojach, w zdo-bieniu głów i twarzy, w manierach towarzyskich i t. d.

Sam Książnin nieraz zabierał głos podczas wielkiego sejmu, pisząc np. odę, nawołującą *Do zgody*, albo *Hejnał na dzień 3 Maja 1792 roku*. Konfederacja targowicka i przegrana wojna z Moskwą odbiła się bardzo przykrym dźwiękiem — w odzie *Do Tadeusza Kościuszki*: «Niech Katarzyna wysoka, — uznawszy Słowian przymioty, — zwróci pogodny rzut oka — na serca nasze i cnoty». To wołanie o litość jest jedyną fałszywą struną w lutni Książnina. Lecz po chwilowem zwątpieniu wstąpiła w jego wierzącą duszę nadzieja, którą wyśpiewał nasamprzód w odzie *Do Ojczyzny* («Czcigodna Matko zacnego narodu!»), a potem — w odzie *Do Boga* («Ty nami władasz, sprawiedliwy Boże»). Przez swoją niemal majestatyczną powagę, przez swoją głęboką wiarę w miłosierdzie boże, w triumf dobrego nad złem, w szczęśliwą przyszłość Polski — jest ta oda *Do Boga* koroną całej liryki Książnina i jakby zapowiedzią majestatycznego *Hymnu do Boga* Woronicza.

Pieśnią łabędzią Książnina, wyśpiewaną na krótko przed zupełnym rozstrojem jego władz umysłowych, jest oda *Na rewolucyją 1794 roku*. Jest to hołd, złożony powstaniu kościuszkowskiemu, w którym «honor z odwagą, wzięwszy się za ręce, — wymknęły skrzydła na wolność orłęce», i wyraz uwielbienia dla Kościuszki, albo raczej jego apoteoza: oto porównywa go poeta nie-

tylko z Dawidem, który się porwał z procą na Goljata, ale i z samym Jezusem Chrystusem: «Bohater w cichej postaci, — z cnotą na ziemi, a ufnością w niebie, — pod świętem hasłem: «Ojczyzno, za ciebie!» — błysnął orężem na czele swych braci... Tak i ów świata Kochanek, — gdy otchłań ludzi pożerała wściekła, — od śmierci wiecznej i od władzy piekła — stawiał się Zbawcą, niewinny Baranek...» «Ale Ten, który wznosił nagle — wszechmocne ramię z ty-skawicą cudu, — uciął wśród burzy sprawę swego ludu — i zwinął razem świętej Łaski żagle. — Ach! cóż sroższego być może — nad te popioły i pola, krwią wrzące, — nad smutek ofiar niewinnych tysiące? — O! niepojętyś w Twoich dziełach Boże! — Słuchaj, niech oko bezbożne — grozę dla pychy w tym pożarze baczy! — A ty, o, cnoto, nie gub się w rozpacz: — dzieło to Boga dla ciebie nie próżne». Widać z tych słów, że, po pierwsze, powstanie Kościuszki porównywał Książnin do ofiary Chrystusowej, i, po drugie, że upadek powstania poczytywał za «dzieło Boga», które nie będzie «próżne» dla Polski. Tak więc są w tej pieśni łabędziej Książnina myśli, które się po latach, kiedy wybuchnie i upadnie powstanie listopadowe, odezwą, z nierównie większą pewnością i siłą, w naszej wielkiej poezji romantycznej.

Matka obywatelka.

Spij, moje złoto! — śpiewała,
Kołyszac matka swe dziecię —
Spij, moja nadziejo cała!

Moje ty życie!

Usnęło: słabe nieboże
Dosyć się, dosyć splakało;
Po płaczu lepiej też może

Będzie mi spało!

Dziecię! O, wieleż to biedy
Mieczyna znieść musi głowa,
Nim się pociecha jej kiedy

Z ciebie wychowa!

Wieleż ja zczasem odbiorę
Miłej mi za to wdzięczności,
Gdy z ciebie uznam podpore

Mojej starości;

Gdy więc i sercem, i głową
Nie dasz przodkować nikomu,
Przydając coraz cześć nową

Dla twego domu;

Tażby nadgroda i ta mi
Pociecha z ciebie być miała?...

— Rzekła i oczy swe łzami

Gorzko zalała. —

Gdy się kraj cały zdumiewać
Nad każdym twej cnoty czynem,
A sława będzie mi śpiewać,

Żeś moim synem!

Któż wie, co jeszcze być może?

Ach! sztylet serce przenika...

Poczwarą jakaś (o, Boże!)

Staje mi dzika:

Może to nikkzemnik jaki,

Co ma swe imię znieważyc

Lub na postępek wszelaki

Niecnoty zażyć?

Wstydu on mego przyczyna

A może i śmierci jeszcze,

Gdy ujrzę niewdzięcznym syna,

Którego pieszczę?

Ojczyzny zdrajca i zbrodzień,

Może krew braci rozleje?...

Ach! serca mego niegodzien!

Cała truchleję!...

Do ojczyzny.

Kędyż te slupy, te granice twarde,

Które nasz Chrobry oznaczał żelazem?

Tenże to naród cary wiązał harde,

Gromiąc i orły, i księżyce razem?

Myż to, Polacy, owych mężów plemię,

Co nam krwią swoją kupili tę ziemię?

O, wielkie dusze, których tu nie zliczę.

Jeśli z swej na nas pogładacie chwały,
Zacni Tarnowscy, mężni Chodkiewiczze!

Nacóż przykłady nam wasze zostały?

Takeśmy podli, że was bierze twoga
Błagać za nami zwróconego BOGA!

Cokolwiek świętej po was jeszcze sławy

Nam się zostało (o, bezczelna zbrodni!),

Głazim do szczętu sromotnemi sprawy,

Wspomnienia nawet waszego nie godni.

Zdradzając braci i wolność, i chwałę,

Cóż poczną serca, hańbą odrętwiałe?

OJCZYZNO! Nacóż nam przeszyte mie-

[czem

Piersi otwierasz? My nie twoje dzieci!

Straciwszy czulość, tam kajdany wleczem,

Gdzie pędzi przemoc lub mamona

[świeci:

Oto na sam brzęk i krótki blask złota

Troskliwem uchem czatuje niecnota.

Skądkolwiek chytra zabyłśnie Intryga,

Leci tam Nędza i co urwać pragnie;

Chelpi się Zdrada, że ją Gwałt podźwiga,

Klaszcze mu Podłość i kark jarzmu na-

[gnie,

Jakże się z twojej wydzwigniesz ruiny,

MATKO, takimi otoczona syny?

Do wásów.

Ozdobo twarzy, wásy pokrętne!

Powstaje na was ród zniewieścialy,

Dworują sobie dziewczęta wstrętne,

Od dawnej Polek dalekie chwały.

Gdy pałasz cudze mierzył granice,

A wzrok marsowy sercami władał,

Ujmując wtenczas oczy kobiéce,

Bożek miłości na wásach siadał.

Gdy szli na popis rycerze nasi,

A męstwem tchnęła twarz okazała,

Maryna, patrząc, szepnęła Basi:

«Za ten wás czarny życiebym dała!»

Gdy nasz Czarniecki sływał żelazem

I dla ojczyzny krew swą poświęcał,

Wszystkie go Polki wielbiły razem,

A on tymczasem wása pokręcał.

JANA trzeciego gdy Wiedeń sławił,

Głos był powszechny między Niemkami:

«Oto król polski, co nas wybawił!

«Jakże mu pięknie z temi wásami!»

Smutne w narodzie dzisiaj odmiany:

Rycerską twarzą Nice się brzydzi,

A dla niej Dorant, wódkami zlany,

I z wása razem, i z męstwa szydzi.

Kogo wstyd matki, ojców i braci,

Niech się z swojego kraju natrząsa:

Ja zaś, z ojczystej chlubny postaci,

Zem jeszcze Polak, pokręcę wása!

Do Ojczyzny.

Czcigodna Matko zacnego narodu!

Uległaś gwałtom i pysze od wschodu,

Z której ust wicher i zdrada

Na łonie twojem osiada.

Ślepa, w zapędach przeciw samej sobie,

Grażąc narody w powszechnej żalobie,

By się straszniejszą okazać,

Imię chce twoje wymazać.

Cisnęła¹ w kłęski najzielenszą ziemię,

Wyrodem twoim twoje hańbiąc plemię²;

Pijana szczęściem i sroga,

Spotwarza cnotę, lży Boga.

Nie bój się, Matko, imię to nie zginie,

Póki w nas ogień i twoja krew płynie.

Brnie oto zbrodni ślepotą,

Ale Bóg z tobą i cnota.

¹ t. j. pycha od wschodu — Moskwa. ² hańbiąc plemię polskie wyrodnymi zdracjami.

Oda do Boga.

Ty nami władasz, sprawiedliwy Boże,

W Twojem imieniu potęga i chwała:

Ta, której wstrzymać świat cały nie
[może,

Upadła na nas z ręki Twojej strzała;

Chciałeś doświadczyć, czy Ciebie kocha-
[my, —

Chciałeś: przyjmujem i Tobie ufamy.

Potwarz ohydna i chytróść przeklęta

Ściskają cnotę w okropnej godzinie;

Schwyceni w sidła i w sromotne pęta,

Jeno krew czujem, co w nas wolna

[płynie.

Cóż ten lud rzecze, co przed Tobą klęka?

«Ojce, niech Twoja nas ratuje ręka!»

Ale dlatego Ty nas pchnąłeś zgóry,

By się Twe jaśniej okazało ramię,

Gdy, nas dźwigając z padole pokory,

Trąci tam pychę i rogi jej złamie,

Gdy tej ruina przed światem wyświeci,

Że Ty Pan jesteś, a my Twoje dzieci.

Gdzież ta potęga, która w ślepych pędzie

Ciebie ma za nic, okrutna, szalona,

Która krwią znaczy śmiałe kroki wsze-
[dzie

I pasie łzami węże z swego łona,

Która Cię bluźni i z urąganiem warczy

Na Twoje hasło i moc Twojej tarczy?

Zagrzmij, o, Panie! a świat Ciebie słucha!

Ale co poczniesz? gdzie pójdziem ubo-
[dzy?

Łyskaj i prowadź! Bo próżna otucha

Bez ognia Twego i bez Twojej wodzy;

Za Twem ramieniem pole jest otwarte,

Cnota się zbroi w cuda nieodparte.

Daj wytrzymałość, a razem i wiarę!

Ta groby wzrusza i góry przenosi,

Ta wróci wnukom wieki ojców stare

I bujnym plonem ich ziemię rozkłosi;

A błędne dzisiaj Twoje ptaki białe

Wrócą do gniazda na dziedziczną skałę.

Gdzie na zasadzie, co ma przeżyć wieki,

Świątynia Twojej Opatrzności stanie,

Tam jej świadectwom potomek daleki

Radosne córki odnowi śpiewanie;

Tam na ołtarzu lud, Tobą szczęśliwy,

Złoży i księgę, i miecz sprawiedliwy!

158. Na ostatnie lata niepodległości Polski, zwłaszcza na epokę sejmu czteroletniego, przypada świetny rozkwit literatury politycznej, na którą się składają zarówno duże książki i traktaty, jak małe broszury i świstki ulotne, oraz mowy sejmowe. Przez mądrość swoją i miłość ojczyzny jest ta literatura wspaniałą ozdobą naszego piśmiennictwa wieku oświeconego, jest nadto niezbitym dowodem, a jednocześnie potężnym czynnikiem odrodzenia mądrości politycznej w społeczeństwie. Że *liberum veto* jest klęską dla Polski i zbrodnią wobec ojczyzny, — tę prawdę zrozumiano już dzięki Konarskiemu; teraz chodziło o to, aby zrozumiano, że klęską jest i tron obieralny, i skarby pusty, i brak potężnej armji, i upośledzenie mieszczan i chłopów: przekonać o tem społeczeństwo, zachęcić je do podjęcia reform i wskazać mu do nich drogę, — oto jakie zadanie miała nasza literatura polityczna i publicystyka. I spełniła je uczciwie: dowodem tego — konstytucja 3 maja, która jest owocem mądrości i patriotyzmu nie tylko mężów stanu, ale i pisarzy, ci bowiem pismami swemi rozbudzili w sercach miłość ojczyzny, a w umysły wpoili przekonanie o konieczności reformy państwa.

Początkiem tej literatury politycznej, mającej na celu dokonanie w s z e c h s t r o n n e j reformy, jest mowa Andrzeja Zamoyskiego, wygłoszona dnia 16 maja roku 1764 na sejmie konwokacyjnym. Narazie jednak przebrzmiała ona bez echa. Dopiero w roku 1776 zapadła uchwała sejmowa, żeby ułożyć projekt nowego zbioru praw, i powierzono tę pracę nie komu innemu, tylko Andrzejowi Zamoyskiemu. Najgorliwszym jego współpracownikiem był

przyszły autor *Pieśni Legjonów*, **Józef Wybicki** (1747—1822), który, żeby przygotować opinię publiczną do przyjęcia nowego kodeksu, napisał i wydał bezimiennie *Listy patryjotyczne* (tom pierwszy w r. 1777, drugi — 1778). Pomiedzy innymi domaga się on tutaj zniesienia pańszczyzny i wogóle reformy włościańskiej — w myśl rozumnych i szlachejnych zamiarów Andrzeja Zamoyskiego, który już dawno zniósł pańszczyznę w swoich dobrach. *Listy patryjotyczne* wywarły niemałe wrażenie; dowiedziano się, kto je napisał, a i o tem się dowiedziano, że ich autor jest współpracownikiem Zamoyskiego w wielkiem dziele ułożenia nowego kodeksu praw. I oto na sejmiku w Środzie (r. 1780) rzuciła się szlachta z szabłami na Wybickiego, który się ubiegał o godność posła na sejm walny, i zarażałaby go na śmierć, gdyby nie marszałek sejmiku: nie mogła mu darować pomysłu reformy włościańskiej! A na sejmie walnym tegoż roku, jak to szczegółowo opowiada Wybicki w swoich pamiętnikach, kodeks Zamoyskiego przepadł z kretesem; co więcej, uchwalono go zniszczyć, żeby się już nigdy nie dostał pod obrady sejmowe. Podłość dyplomacji rosyjskiej ponosi za tę okropną decyzję sejmu tylko częściową odpowiedzialność: nie mniejszą rolę odegrała tutaj ciemnota posłów, którym się w głowach nie chciało pomieścić, że chłop ma takie samo prawo do wolności, jak szlachcic. Lecz po pięciu latach ukazała się bezimienna książka, od której zaczęło się nakoniec szlachcie rozjaśniać nietylko w głowach, ale i w sercach: *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego*.

Autorem tej książki jest patryjarcha demokracji polskiej, **Stanisław Staszic**, urodzony w Pile na początku listopada r. 1755, zmarły w Warszawie dnia 20 stycznia r. 1826, jedna z najszlachetniejszych postaci, jakie wydała Polska przez wszystkie wieki swojego istnienia, jedno z najszlachetniejszych i najgorętszych serc, jakie kiedykolwiek były na ziemi polskiej, jeden z najlepszych i najzasłużeńszych jej synów, żarem uczucia patryjotycznego nie ustępujący z pewnością Mickiewiczowi. Rozległością zaś i wszechstronnością wiedzy, oraz jej namiętną, gorączkową żądzą nie dorównał mu nikt w dawniejszej i nikt we współczesnej Polsce, a w Polsce późniejszej — bardzo chyba niewiele.

Ulubionym przedmiotem jego studjów były nauki przyrodnicze: fizyka, historia naturalna i umiłowana ponad wszystko geologja. Ale mu to nie wystarczało: z niemniejszym zapałem oddawał się filozofji, naukom politycznym i społecznym, historii rodzaju ludzkiego w najszerszym znaczeniu tego wyrazu, a więc historii umysłowości i cywilizacji, religji i obyczajów, państw i społeczeństw. Słowem, Staszic to jeden z największych erudytów polskich; mało kto u nas wziął tak gorąco do serca zasadę starożytną: «Jestem człowiekiem, i obchodzi mnie wszystko, co ludzkie». Jak ogół uczonych i myślicieli wieku oświeconego, tak i on wierzył, że nauka i oświata, rozwijając się i rozpowszechniając, dadzą wreszcie ludzkości zupełne szczęście na tej ziemi; był najgorliwszym, najgorętszym w Polsce rzecznikiem postępu i odzywał się z politowaniem o tych ludziach, «którzy, jak bobry, śladem swoich ojców zawsze jedno budują i zawsze jedno myślą», albo też, «nie umiejac myśleć, lękają się, gdy drudzy myślą». On tymczasem wołał rzeczy nowe od starych, a myśleć nie obawiał się nigdy: był to, co się nazywa, człowiek wolnomyślny i wogóle wolny w duchu. I trzeba było jakiejś ironji losu, że ten wolnomyślny człowiek był księdzem. A stało się to tak. «Matka — pisze Staszic w swej autobiografji (*Krótki rys życia mego*) —

była pełna ludzkości¹, nadzwyczajnie do swoich dzieci przywiązana, mająca wiele religii, ale z nią i przesady; tej jej miłości, jako ku najmłodszemu z dzieci, i tych jej religijnych uprzedzeń stało się skutkiem od dzieciństwa przeznaczenie mnie do stanu duchownego: w dzieciństwie zdrowie moje było słabe, — miłość ku mnie matki i przesąd skłoniły ją, że uczyniła ślub Bogu, iż od dzieciństwa w poświęconej Mu sukience księskiej wychowany będę; dopełniła swe śluby: w takiej odzieży od dzieciństwa byłem wychowany, a przez wzajemną miłość ku tej najlepszej z matek, rosnąc, wchodziłem w jej czucia, w wszystkie nieustannie wskazywane mi życzenia, bym zachował stan duchowny, w którym mnie Bogu poświęciła». Otóż Staszic obiecał matce, że spełni jej życzenie, że zostanie księdzem, — tem więcej, że w latach młodości miał jeszcze, jak wolno mniemać, żywą wiarę katolicką: nie przetłumaczyłby inaczej poematu, będącego uzasadnieniem, obroną i wykładem wiary objawionej: *Religija, poema, w języku francuskim napisane przez Rasyne, przetłumaczone na język polski w roku 1772 przez Stanisława Staszica*. (Autorem tego poematu jest Ludwik Racine, syn znakomitego tragika). Miał wówczas Staszic lat siedemnaście i uczył się jeszcze w starodawnej (założonej jeszcze w XVI wieku) szkole Lubrańskiego w Poznaniu. We dwa lata później (1774), jako uczeń poznańskiej szkoły wojewódzkiej, otrzymał pierwsze święcenia kapłańskie, a wreszcie, po ukończeniu w tejże szkole studjów teologicznych, wyświęcił się na księdza (1778 czy też 1779), pomimo że, jak się zdaje, jego wiara katolicka zaczęła się już wówczas trochę chwiać: oto w roku 1779, ogłaszając drukiem przekład poematu Racine'a o religji, dołączył do niego własny przekład słynnego wiersza... Woltera *O zapadnięciu Lizbony*, wiersza, którego sensem moralnym jest, że ten świat nie jest wcale najlepszym ze wszystkich możliwych światów (jak to się zdawało myślicielowi niemieckiemu Leibnitzowi), bo, gdyby był lepszym, to nie nawiedziłyby Lizbony straszliwe trzęsienie ziemi, którego ofiarą padło tyle niewinnych ludzi (1755).

Wkrótce po wyświęceniu się na księdza Staszic, idąc za radą światłego ojca, wyjechał na studja zagranicę. Zwiedził nasamprzód (ale tylko zwiedził) dwa uniwersytety niemieckie, w Lipsku i Getyndze, a potem przez dwa lata studjował filozofję i swoje ukochane nauki przyrodnicze w Paryżu. Otóż ten pobyt we Francji był w jego umysłowości punktem zwrotnym. Owocześni przyrodnicy francuscy (a filozofowie i historycy także) za jedno z głównych swoich zadań poczytywali doszczętne wyzwoleńie nauki z przekazanych przez tradycję pierwiastków cudowności; na czele tych przyrodników stał wielki uczony i znakomity pisarz, Buffon (1707—1788), autor *Historji naturalnej* i *Epok natury*. Wierzył on wprawdzie w Boga, jako w stwórcyca całego świata, zarówno materjalnego, jak duchowego; wierzył, że Bóg dał człowiekowi duszę, a z nią i rozum, zapomoć którego człowiek może poznać i Boga, i świat, i cele swojego istnienia; wierzył, że te cele wytknął człowiekowi sam Bóg, że polegają one na poddaniu namiętności i wogóle pierwiastków cielesnych pod władztwo rozumu i że od tego warunku zależy szczęście, do którego Bóg człowieka stworzył: ale w to, żeby Pan Bóg, stworzywszy naturę i człowieka, dawszy im niewzruszone prawa i wytknąwszy im niewzruszone cele, miał się ustawicznie wdawać w ich sprawę, nie wierzył Buffon, jak nie wierzyli w to wogóle deści.

Otóż Staszic dostał się w Paryżu pod przemożny wpływ Buffona (któ-

¹ dobroć.

rego poznał osobście) i stracił swą dawną wiarę katolicką — już na zawsze. Ale to nie przeszkadza, że do ostatniego tchnienia był jednym z najreligijniejszych ludzi na świecie, że bez religii nie rozumiał i nie chciał rozumieć życia. Wierzył całym sercem nietylko w istnienie, we wszechmądrość, we wszechmoc Boga-Stworzyciela, ale także w Jego wszechmiłość, objawiającą się, pomiędzy innymi, w tem, że woła Jego jest, żeby człowiek własnym rozumem, w który go On wyposażył, i własną pracą osiągnął szczęście, którego niema i być nie może bez dążenia do doskonałości, do ideałów etycznych; za najwyższy zaś ideał etyczny poczytywał Staszic szczęście całego rodzaju ludzkiego; a za tem poszło, że najwyższą cnotą i najświętszym prawem moralnem była w jego oczach miłość bliźniego, jako nieodzowny warunek tego szczęścia. Oto jego własne słowa: «Jaki zamiar Stwórcy w człowieku na tym świecie? co najpewniej gruntuje szczęście stałe człowieka? Tylko miłość bliźnich, ziszczana przez dobre czyny, jest szczęściem dla ludzi. Tylko ten postępuje najlepiej do celu swojego Stwórcy, kto przez ciąg swojego życia poprawi los, powiększy szczęśliwość drugich ludzi; ten zaś, kto przez swoje życie poprawi i udoskonali los współczesnych lub całych plemion następnych, ten dopełnia całkowicie swojego przeznaczenia, jakie Najwyższe Jestestwo w jego stworzeniu założyło». Przestał jednak wierzyć Staszic, żeby święte przykazanie miłości bliźniego i wogóle wszystkie swoje święte prawa Bóg objawił ludziom już po stworzeniu świata, czy to przez Mojżesza, czy przez Chrystusa: pocóżby miał Pan Bóg objawiać ludziom Swoją wolę, kiedy już przed stworzeniem świata «założył drogi, któremi wszystko biegać musi do zamierzenia Jego», kiedy stworzył ludzi tak, że oni sami, już bez Jego pomocy, mogą własnym rozumem poznać to zamierzenie i pełnić je własną wolą, kierowaną przez rozum? Jak wielu myślicieli XVIII wieku, tak i Staszic miał bałwochwalczą wiarę w potęgę rozumu ludzkiego, i to nietylko jako tej władzy umysłowej, która poznaje Boga, świat, człowieka i jego obowiązki, ale także jako głównej sprężyny woli: «Rodzaj ludzki, wola, chęć ma zawsze dobrą, — on z oświeceniem będzie miał i czyny dobre;... rozwinięcie ludzkości im dalej postąpi, — tem lepsza będzie osób, narodów moralność;... czciciel rozumu odda prawdziwą cześć Bóstwu». Zapominał Staszic o tem, że można być człowiekiem bardzo nawet oświeconym, a jednocześnie bardzo złym; zapominał i o tem, że pobudką do pełnienia dobrych czynów, a cóż dopiero do oddawania «prawdziwej czci Bóstwu», jest nietylko rozum, ile serce. Nieraz jednak serce przypominało mu tę prawdę, i oto ten bałwochwalca rozumu, ten wolnomyśliciel nieraz całym sercem oddawał «cześć Bóstwu» — w modlitwach, w których serce wbrew rozumowi, nie wierzącemu, żeby Pan Bóg człowiekowi pomagał, błagało Go o pomoc dla ludzi. Oto trzy modlitwy Staszica: jedna — w rozprawie *Natura*, poprzedzającej jego przekład *Épok natury* Buffona (1784), druga — w *Uwagach nad życiem Jana Zamoyskiego* (1785), a trzecia — w poemacie *Ród ludzki* (1820).

★Wielki Boże! którego sama przytomność zachowuje naturę i utrzymuje porządek świata; Ty, który z niewzruszonego tronu widzisz pod Twojemi nogami niezliczone niebios ciała, krążące bez zawady i bez zamieszania; który, na łonie spokojności, odnawiasz co moment ich biegu niezmierną szybkość i sam rozrządzasz, w pokoju głębokim, światów i niebios liczbę nieskończoną, — przywróć, przywróć nakoniec pokój zakłóconej ziemi! niech

zachowa milczenie!... Niech przed Tobą niszczeją dumne głosy niezgody i wojny! Boże dobroci, Stwórcu wszystkich rzeczy! Twoje ojcowskie oko równie spogląda na wszystkie stworzenia, ale człowiek jest istotnością Twojego wyboru. Ty natchnąłeś jego duszę promieniem twego nieśmiertelnego światła. Kończ dobrodzieństwo! przesyj jego serce przynajmniej jednym promykiem Twojej miłości! To boskie uczucie, szerząc się, pogodzi nieprzyjazne natury. Odtąd człowiek nie będzie się lękać obecności człowieka, odtąd zbójce nie uzbroi jego ręki; wszystko chłonący ogień wojny przestanie wysuszać źródło rodzaju. Naród ludzki, teraz osłabiony, niedołężny, w samym swoim kwiecie wyżyły, zakwitnie nanowo i rozmnoży się bez liczby. Natura, pod naciskiem tyłu nieszczęść ziemlona, odbierze wkrótce, z swoim nowem życiem, swoją dawną obfitość. A my, Boże miłosierdzia! my dopomagać jej nie zaniedbamy: my ją doskonalić, my bezustannie na nią zapatrywać się będziemy, abyśmy w każdej chwili odnosili Ci nowy hołd naszego zadziwienia i naszej wdzięczności. ★

★Ty, który tę niezmierną bryłę podnosisz, który od wieków pewną liczbę dróg słońcu wyznaczyłeś! Przyspiesz ten bieg jego, pod którym ludzki naród stanie się jednym towarzystwem¹, i każdy człowiek będzie człowieka bratem! A dopóki nie nadejdą te czasy, dopóki pozwolisz tej uciążliwej konieczności, że jednego człowieka woli niezliczone narody słuchać muszą, spuść promień światła niebieskiego na oświecenie królów! Niechaj ten, który prawa ma dawać i rządzić wszystkich ludzi, nie będzie tak słabym i niewiadomym, jak inni ludzie! Boże! To nie zgadza się z rzędem Twej Opatrzności, aby człowiek jeden szkodzić potrafił milionom. ★

Boże odwieczny! Twojej wszechmoności godna
Dziś z tej ziemi do Ciebie podnosi się prośba:
Wsparcia Twojego nie jeden człowiek nieczęściłwy,
Lecz uciemieniony błaga rodzaj cały!...
Zniszcz ciemność, światła Stwórcu! rozszerz w ludziach światło,
A człek nieprzyjacielem nie będzie człowieka!

Te modlitwy, tak wymownie świadczące o piękności duszy Staszica, świadczą jednocześnie o tem, że w pewnych chwilach «czucie i wiara» silniej mówiły do niego, «niż mędrca szkiełko i oko». Ale to czucie i ta wiara nie miały już nic wspólnego z religją dogmatyczną: im dalej w czas, tem bardziej się od niej Staszic oddalał. Szanował ją wprawdzie, rozumiał, że niejeden człowiek, zwłaszcza nieoświecony, utraciłszy wiarę, traci moralność, że «z wolnego myślenia pochodzi wolne czyli raczej rozwiozłe życie»; zalecał nawet (w *Uwagach*) praktyki religijne i radził wydać prawo, nakazujące lekarzom, «aby się żadnej choroby nie podejmowali, dopóki chory spowiedzi nie odprawi»; ale sam już nie wierzył i coraz to więcej umacniał się w poglądzie, głoszonym przez pisarzy francuskich, że Kościół to krzewiciel ciemnoty, fanatyzmu i despotyzmu. W tych poglądach umocnił się jeszcze podczas podróży zagranicznej (1790—1791), której przebieg opowiadał szczegółowo w *Dzienniku podróży*.

Bawił długo we Włoszech, zwłaszcza w Rzymie, gdzie oburzyła go do żywego powierzchowna pobożność ludu rzymskiego i wystawność nabożeństw,

¹ t. j. społeczeństwem.

odbywających się «więcej podług zmysłów, niżeli podług rozumu»: «Jest to niezdrożność¹ w myśleniu tutejszego rządu², który opery i teatru wyklina, a dla sprowadzenia do swoich kościołów ludzi też kościoły w teatru zamienia; lepiej, aby pełno było teatrów w Rzymie, a niechaj kościoły będą miejscem spokojności, w którymby człowiek, od zmysłów nierozlagniony, mógł wnieść łatwiej w siebie i podnieść ducha do Bóstwa». Drażniły go także różne nieestosowne obrazy po kościołach, jak ten np., który wyobrażał zakonnik, widzącego, jak «dusza papieża, promotora wojny świętej³, szła prosto do nieba», albo jeszcze nie licujące z kościołem, jako przybytkiem nabożeństwa chrześcijańskiego, obrazy różnych wojowników, z którymi się sprzymierzali papież, aby zdobyć władzę nad ludźmi i całymi narodami. Gniewały go głupie kazania, które na własne uszy w Rzymie słyszał, w tym np. rodzaju: «Dowodził ksiądz, że ogień w piekle jest nierównie gorszy, jak ogień na tym świecie, albowiem ten jest większy, im zapalistszą ma materiją. Tak ogień może być z drzewa, z tłusta, z oleju. Nadto ludzie mogą sztuką ogień powiększyć tak przez szkła fizyczne. Jakież to musi być ogień w piekle, który ma samą materiją piekielną! Jakież to musi być ogień w piekle, który samego Boga ręką pali! Nadto ogień, ścieśniony w jakiej jamie podziemnej, jak widzimy w Wezuwijuszu, dopóki nie wybuchnie, ma moc niezmierną. Piekło jest to loch niezmiernie wielki, gdzie już tyle milionów, milionów, milionów dusz jęczy, gdzie większa część ludzi urodzonych pali się i jeszcze większa z tych, co się urodzą, palić się będzie. Jakież to loch musi być niezmierny, a z niego niema nigdzie wyjścia, więc ogień ten jest straszny etc. Widziałem po twarzach słuchających bladeść, strach, w oczach łzy. Wtem wyszedłem a spotkałem na ulicy maskaradę, dyjabłów udającą, z których więcej śmieli się — otóż to świat!» Bolały także Staszica niesprawiedliwe rządy papieża w państwie kościelnem, zwłaszcza zdzierstwa, oraz wtrącanie ludzi do straszliwego więzienia w zamku świętego Anioła — bez sądu. I oto w Rzymie do reszty zniechęcił się Staszic do Kościoła katolickiego, i coraz mocniej utrwalał się w jego umyśle ciasny pogląd, że ten Kościół nie odegrał żadnej dodatniej roli w historii rodu ludzkiego, że, przeciwnie, był czynnikiem jego oglupiania i demoralizacji. W tym duchu, niebawem po powrocie do kraju, zaczął obmyślać poemat *Ród ludzki*.

Straciwszy wiarę i zniechęciwszy się do Kościoła, a będąc księdzem, miał trzy drogi do wyboru: albo zrzucić sutannę (jak to za jego czasów nie jeden duchowny zrobił), albo pozostać księdzem i spełniać obowiązki kapłańskie, udając, że się wierzy, albo wreszcie pozostać księdzem, ale obowiązków kapłańskich nie pełnić. Sutanny nie zrzucił, bo nie chciał być powodem zgorznienia; udawać nie chciał — i nie umiał: więc pozostał księdzem, ale ani obrządków kościelnych, ani wogóle obowiązków kapłańskich (z wyjątkiem kazań, które podobno wygłaszał niekiedy dla ludu wiejskiego) nie pełnił: za czysty, za szlachetny był na to, aby, nie wierząc, udawać, że wierzy, aby oszukiwać Pana Boga, ludzi i samego siebie. I w tej swojej wolnomysłności wytrwał do końca życia: przed śmiercią nawet wypowiadać się nie chciał. mówiąc, że «nie potrzebuje gadać ze sługą, kiedy lada chwila rozmówi się z Panem».

A jak do ostatniego tchnienia pozostał wierny swojej wolnej myśli,

¹ brak logiki. ² t. j. rządu papieskiego (w państwie kościelnem). ³ t. j. papieża, który głosił wyprawę krzyżową.

tak do samej śmierci nie sprzeniewierzył się swojemu przykazaniu etycznemu, że «ten postępuje najlepiej do celu swojego Stwórcy, kto przez ciąg swojego życia poprawi los, powiększy szczęśliwość innych ludzi». Doroobiwszy się znacznego majątku, poczytywał się tylko za jego szafarza, nie za właściciela: dla siebie był skąpy, ubiór nosił skromny, sam latal sobie buty, na stół swój wydawał co najwyżej dwa złote dziennie, do teatru, który pasjami lubił, chodził na najtańsze miejsca, ale zato hojną dłońią wspierał ubogich i chorych, sypał pieniędzmi na instytucje dobroczynne. Szczególną opieką otaczał lud wiejski: za czasów niepodległości walczył o jego prawa słowem — takim, jakiego nigdy przedtem nie słyszano w Polsce, a po jej upadku, nabywszy w hrubieszowskim wielkie dobra, podzielił je całe pomiędzy włościan, z prawem własności. A testament Staszica! 200.000 złotych na szpital Dzieciątka Jezus w Warszawie, 200.000 na dom zarobkowy, 45.000 na Instytut głuchoniemych, 100.000 na obłąkanych, 60.000 na utrzymanie nauczyciela ludowego w dobrach hrubieszowskich! I takiego człowieka nazywali niektórzy bezbożnikiem...

Oprócz miłości bliźniego przyświecał mu przez całe życie inny jeszcze ideał: miłość ojczyzny. Wygłosił kiedyś zasadę, że głównym celem wychowania narodowego «być powinna użyteczność obywatela», że «dziecię, które najpierwszy raz otwiera swoje oczy, nie innego widzieć nie powinno nad ojczyznę, dla której samej tylko zamknąć je niekiedy obowiązek będzie miało». Tej własnej zasadzie służył wiernie: «najwyższą miłość» kraju wysłał, jak sam mówi, z piersi matki i nosił ją w sercu przez całe swoje życie. Kochał ojczyznę całym żarem swego namiętłego serca, kochał ją, jak Mickiewicz, tem goręcej, im była nieszczęśliwsza, a kochał w niej, znowu podobnie jak Mickiewicz, nie tylko cały naród, bez względu na stany społeczne, na jakie go podzieliła historia, ale i ziemię polską, którą zjeździł i poznał tak dokładnie, jak nikt inny za jego czasów. On pierwszy w literaturze naszej wypowiedział z siłą uczucia przywiązanie do natury polskiej, która mu się miłszą, piękniejszą od obcej wydawała: «Nie umiałbym wytłumaczyć mego czucia powodu i wiem, że nie każdy mi uwierzy, przecież ja opowiem, co rzeczywiście moja dusza czuła, chociażby to moich zmysłów omamieniem było. Polskiego oddech powietrza zdawał mi się wolniejszym, i wiatr stamtąd niósł w sobie coś miłego: niebo nad tym krajem było czystsze i jaśniejsze, drzewa i łąki zieleńsze... Rzec większą uważałem: ptastwo, z południa na północ przenosząc się, dopóki nad innymi krajami leci, bojaźliwe i posępne bywa, ani z wesołością śpiewać, ani nawet żałości świerkocić nie śmie, boi się piórkiem szelestu uczynić: skoro na polskiej stawa granicy, natychmiast krzyczy wesoło, śmieiej całemi robiąc skrzydłami, głośny po powietrzu turgot sprawuje i tam dopiero swoje miłosne świerki zaczyna». Dźwignąć i uszczęśliwić tę ziemię ukochaną, złożyć jej w ofierze wszystkie nieprzebrane skarby swojej przebogatej natury — i serce kochające, i wiedzę rozległą, i wolę żelazną, — oto główne przykazanie i główna treść całego życia Staszica. Ale cóż! Jako mieszczanin, mógł zrazu służyć ojczyźnie jedynie słowem, bo przecież w służbie publicznej nie było dla mieszczanina miejsca w niepodległej Polsce: «Przy wstępie moim na świat znalazłem... przed sobą zapory nieprzystępne w każdym stanie: w duchownym, wojskowym i cywilnym;... zrodzony z tak zacnych i tak cnolliwych rodziców,... przecież wszędzie wstydzic się musiałem swego urodzenia, wszędzie je znalazłem okryte wżgardą, odrzucone od czci, od urzędów, od ziemi».

Później dopiero, już w Polsce porozbiorowej, nie będzie się potrzebował wstydzić swego urodzenia, — pole służby publicznej stanie mu otworem: to też z młodzieńczym zapałem rzuci się do niej i na każdym polu pracy narodowej — zarówno nauki, jak organizacji wychowania publicznego, handlu, rolnictwa, przemysłu — położy nieśmiertelne zasługi. W dziedzinie tej organizacji szczególnie godne pamięci są jego zasługi około pierwszej akademii umiejętności w Polsce, to jest około warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, którego przez długi czas (od roku 1808 aż do śmierci) był prezesem i dla którego własnym kosztem zbudował gmach nasamprzód na Kanonji, potem na Krakowskim Przedmieściu («Pałac Staszica!»). A w dziedzinie nauki nieśmiertelna zasługa jego polega na tem, że on to jest twórcą polskiej geologii naukowej, jako autor dzieła *O ziemiordztwie Karpatów i innych gór i równin Polski* (1815), oraz twórcą polskiej socjologii i filozofji historii, jako autor poematu *Ród ludzki*. A tak czynem stwierdził Staszic prawdę swojej świętej zasady, wypowiedzianej po upadku Polski: «Paść może i naród wielki, zniszczyć nie może, tylko nikczemny». Słusznie powiedział na jego pogrzebie ksiądz Wojciech Szweykowski, że, «gdyby wszystkie jego dzieła i prace były w jedno zebrane, potomność nie chciałaby wierzyć, że jeden człowiek mógł tylu trudom podołać». Ten zaś pogrzeb Staszica (24 stycznia r. 1826) był jedną z najwspanialszych manifestacyj narodowych. Wprawdzie w testamencie zastrzegł sobie Staszic, żeby nie było na jego pogrzebie żadnych uroczystości: «Pogrzeb mój ma być skromny, nie różniący się od pogrzebu chrześcijanina ubogiego, gdyż przystępując przed oblicze Boga, wszyscy stajemy się takimi, wszyscyśmy równi; przy trumnie nie ma się palić więcej nad sześć świec; światło ognia jest zupełnie niepotrzebne dla umarłego, trawi tylko marnie rzecz, która może być potrzebna i użyteczna żyjącym ludziom». Lecz społeczeństwo, wdzięczne Staszicowi, za jego wielki i zbożny trud życia, domagało się pogrzebu wspaniałego; księża tylko, nie mogąc mu zapomnieć jego wolnomyślności, sprzeciwiali się zrazu i żądali, żeby się Staszic, którego zwłoki włożono do trumny w ubraniu cywilnem, przebrał w suttannę, jako ksiądz. I dopiero, gdy się, przy pomocy dobrych ludzi, przebrał, duchowieństwo z biskupem na czele poprowadziło kondukt pogrzebowy z przedsionka «Pałacu Staszica» na Bielany i, jak sobie tego wielki zmarły życzył, złożyło zwłoki na cmentarzu przy kościele kamedułów.

«Ten kapłan, szerczący religiję obywatelstwa i patryjotyzmu, uczący cnót publicznych nie z ambony, ale ze swych książek, które są jakby płomiennymi kazaniami; ten wysoki urzędnik, używający władzy i wpływów wyłącznie na podnoszenie dobrobytu i oświaty narodu; ten właściciel wielkich dóbr, rozdający je swoim poddanym; ten bogacz, uczęszczający na najtańsze miejsce do teatru, mieszkający w ubogich pokoikach i odziany tak nędznie, że strażnik komory pobił «radcę stanu», w przekonaniu, iż złapał w niedozwolonem miejscu włóczęgę; ten zacny człowiek, gorący patryjota, wielki filantrop, spoczywający w śnie wiecznym pod skromnym pomniczkiem przy kościele na Bielanych — jest w naszych dziejach postacią posagową, chociaż dotąd bez posągu»¹.

159. «Czem dla upadłej, zaprzędanej i zawojowanej Grecji był Demostenes, tem dla gubiącej się i gubionej Polski — Staszic»¹. Nie ocalał wpraw-

¹ słowa Aleksandra Świętochowskiego.

dzie Polski, jak Demostenes nie ocalił Grecji, ale rzucił w przyszłość ziarna gorącego patryjotyzmu i szlacheckiej demokracji, które będą wydawały plon w Polsce porozbiorowej. Dokonał zaś tego czynu w dwóch dziełach, które wywarły nieopisane wrażenie; obydwu wydał bezimiennie, nie ze strachu, żeby się niemi nie narażać tym z pośród szlachty, którzy nie chcieli nawet słyszeć o reformie państwa, ale w przeświadczeniu, że, jeśli ujawni swoje nazwisko mieszczańskie, to ich szlachta nie będzie raczyła czytać. Dzieło pierwsze wyszło na lat trzy przed rozpoczęciem wielkiego sejmu, drugie — w drugim roku jego obrad: *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego, Kanclerza i Hetmana W. K., do dzisiejszego stanu Rzeczypospolitej Polskiej przystosowane* (1785); *Przestrogi dla Polski, z teraźniejszych politycznych Europy związków i z praw natury wypadające* (1790). Tytuł drugiego dzieła jest zupełnie zrozumiały; tytuł pierwszego tłumaczy się tem, że Staszic samem imieniem umiłowanego przez szlachtę wielkiego hetmana i kanclerza chciał ją zachęcić do przeczytania dzieła, do którego dodał *Pochwałę Jana Zamoyskiego*, poświęconą głównie rozważaniom, jakby ratował Polskę Jan Zamoyski, gdyby żył nie w XVI, tylko w XVIII wieku.

Tym dziełom zawdzięcza Staszic swoje nieśmiertelne stanowisko w historii literatury polskiej; żaden inny pisarz polityczny, nie wyłączając Kornarskiego, nie wstrząsnął tak potężnie opinią publiczną, żaden inny, nie wyłączając Skargi, nie wy dobył z serca tyle gorącej i bezinteresownej miłości ojczyzny. Miał Staszic prawo świadczyć sobie: «Nie jestem ani Dworskim, ani Hetmańskim, ani Potemkinowskim, Pruskim, Cesarzkim, ani Moskiewskim,... ale jestem najprzysiężanym stronnikiem Narodu Polskiego».

Od innych utworów staropolskiej literatury politycznej pisma Staszica różnią się tem, że ich pomysły są «z praw natury wypadające», to znaczy, że autor uzasadnia je nie tylko względami praktycznymi, ale także rozważaniami filozoficznymi nad państwem, nad społeczeństwem, nad stosunkiem jednostki do państwa i społeczeństwa i t. d.; tym sposobem praktyka spleta się tutaj z teorią. Niejedną myśl teoretyczną zawdzięcza Staszic myślicielom francuskim, zwłaszcza Rousseau'owi, Helwecjuszowi i Buffonowi, ale każdą unie dostroił do swoich celów, to jest do programu reformy państwa polskiego, nie zapominając o tem, że nie wszystko, co zaleca teoria, jest dobre w praktyce, że «wiele jest rzeczy, które, jak w myśli stawione, ukazują się być powabne i użyteczne, tak przy wykonaniu stają się złe i szkodliwe». Tem bardziej o tem pamiętał, że wiedział doskonale, iż ogół szlachty nie dojrzał jeszcze ani umysłowo, ani moralnie do zgody na pewne reformy, zwłaszcza społeczne: więc starał się nieraz, choćby nawet wbrew własnym poglądom i umiłowaniom, zachowywać złoty środek, np. w dziedzinie pomysłów, dotyczących reformy włościańskiej. Brał także pod uwagę «teraźniejsze polityczne Europy związki», to znaczy, rachował się z tem, że Polska, zwłaszcza w chwili, kiedy jest tak słaba politycznie, jak teraz, i kiedy sąsiedzi na nią czyhają, nie może i nie powinna sobie odrazu pozwalać na takie reformy, któreby stały w jaskrawej sprzeczności z ustrojem i prawami krajów sąsiednich, np. na zniesienie ustroju monarchicznego. Tak więc w obydwóch swoich pismach politycznych musiał Staszic nieraz uciekać się do kompromisów teorii z praktyką, osobistych przekonań i umiłowañ z wymaganiami twardej rzeczywistości.

Myślą przewodnią obu pism jest zupełnie to samo, co wypowie później w *Odzie do młodości* Mickiewicz, który zamłodu oddychał w Wilnie żyw-

czą atmosferą epoki oświecenia: «W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele!» To jest: nikomu nie wolno uganiać się za swoim osobistym szczęściem, o ile ono jest sprzeczne ze szczęściem całego społeczeństwa; albo inaczej: każdy człowiek powinien poczytywać za szczęście dla siebie tylko to, co jest szczęściem dla całego społeczeństwa, a za nieszczęście to wszystko, co jest dla społeczeństwa nieszczęściem. Bo «społeczność — mówi Staszic — jest jedną moralną istotnością, której członkami są obywatele», a nie tylko członkami, ale i własnością, a stąd «zostać obywatelem jest wyzuczyć się czyli oddać swoją wolę i swoją moc osobistą towarzystwu całemu» i uwierzyć, że na tem właśnie polega największe i jedyne prawdziwe szczęście jednostki, do którego dążyć może i powinna. (We Francji głosili tę samą myśl Helwecjus i Buffon). Aby jednak społeczeństwo stanowiło naprawdę «jedną moralną istotność», do tego potrzebny jest odpowiedni rząd, — państwo, które powinno zapewnić społeczeństwu warunki, potrzebne do osiągnięcia powszechnego szczęścia: oto j e d y n e zadanie i cały sens państwa! I jakież to warunki? Pierwszym jest, oczywiście, zrobić duszę każdego obywatela tak, aby właśnie uwierzył, że jego szczęściem jest «użyteczność dla towarzystwa», że «nikt do niewoli, ale każdy rodzi się do posłuszeństwa», że «prawdziwe i własne dobro każdego nie różni się od dobra towarzystwa całego». Urobić zaś duszę człowieka można tylko w młodości («A ze słabością łamać uczmy się zamłodu!», mówi Mickiewicz), a to zapomocą wychowania; otóż wychowanie w duchu obywatelskim, narodowym, to pierwszy warunek szczęścia społeczeństwa, a zatem pierwsze zadanie państwa: «Każda edukacja krajowa tylko się pod strażą rządu utrzymuje». To zadanie państwo polskie już spełniło, tworząc ministerjum oświaty, t. j. Komisję Edukacyjną, której się też Staszic nachwalić nie może: «Niech tylko czuły naród pracę, cnotę i prawdziwą, bo niepłatną, ojczyzny miłość zasiadających w tej Komisji obywatelów bierze za przykład i z wdzięcznością uwielbia! Tych mężów, jeżeli brzydka przemoc jeszcze przynajmniej tak oddychać nieszczęśliwej Rzeczypospolitej pozwoli, — tych mężów szczęśliwsza od nas potomność, jako pierwszych swojej szczęśliwości stwórczytelów, z uszanowaniem czcić i wspominać będzie». Żąda jednak Staszic, aby się nie tylko wychowanie publiczne, ale i prywatne, odbywało pod ścisłym dozorem Komisji.

Natomiast nie spełniła jeszcze Polska dwóch innych warunków, niezbędnych do szczęścia społeczeństwa; a są niemi, po pierwsze, potęga, a po drugie, sprawiedliwość państwa.

Polska musi być państwem potężnem, bo inaczej doreszty rozszarpią ją sąsiedzi, aby zaś być potężnem państwem, musi mieć dobry i silny rząd. Za najlepszą postać rządu poczytywał Staszic ustrój republikański; państw monarchicznych niecierpiał z całej duszy, poczytując panujących za nieprzyjaciół wolności i wrogów rodzaju ludzkiego; ale z drugiej strony rozumiał, że, ponieważ Polska jest «obtoczona despotycznymi krajami», więc i ona musi być także państwem monarchicznym; inaczej, jeżeli się nie przystosuje do współczesnych «związków politycznych», zginie, jak Bóg w niebie, bo «rzecz niepodobna w pośrodku ognia nie być parzonym». I oto swoje ideały republikańskie składa Staszic na ołtarzu zdrowego rozsądku i miłości ojczyzny: «Większego złego chroniąc się, obieraj mniejsze!»; «pierwej naród, potem swobody! pierwej życie, potem wygod!» Słowem, Polska powinna pozostać królestwem; niedosyc na tem: król powinien być nie obieralny, tylko

dziedziczny: «Ustanowienie następstwa tronu utwierdzi na długo Rzeczypospolitej trwałość». Szkoda jednak, że temu dziedzicznemu królowi Staszic nie przyznaje, właściwie mówiąc, żadnej władzy, bo odbiera mu nawet władzę mianowania urzędników i senatorów, którzy, jego zdaniem, powinni być obieralni. Całą zaś władzę prawodawczą i wykonawczą oddaje sejmowi, ale nie zbierającemu się raz na dwa lata, tylko «sejmowi nieustannemu, t. j. zawsze do zwołania gotowemu», na którym «głosów większość prawa stanowić powinna».

Lecz ani tron dziedziczny, ani silny rząd nie ocali Polski, póki nie będzie miała stałej i potężnej armji, liczącej sto, a choćby i dwieście tysięcy żołnierza. Potrzebne zaś Polsce jest tak wielkie wojsko, nie żeby miała najeżdżać cudze kraje: wojnę, mającą na celu bądź ograbienie innego państwa, bądź wzmocnienie władzy panującego-despoty, Staszic poczytywał za zbrodnię; za cnotę natomiast i za święty obowiązek poczytywał wojnę, mającą na celu obronę praw czy to narodu, czy całej ludzkości.

Lecz, aby Polska mogła utrzymać wielką armję, musi mieć dużo pieniędzy, a tymczasem skarb polski świeci pustkami; trzeba więc powiększyć dochody państwowe, a ponieważ ich głównym źródłem są podatki, więc «żaden stan, żaden obywatel od podatku wyjętym być nie powinien»; to znaczy, że podatki powinni płacić nietylko chłop i mieszczaństwo, ale i szlachta: Staszic jest u nas pierwszym pisarzem, który się tak śmiało i jasno domaga powszechnego opodatkowania, przed nim bowiem mówiono o tem tylko półgębkiem. Niedosyć na tem. Żeby można było, rozumuje Staszic, wystawić tak wielką armję i powiększyć dochody państwowe, potrzebna jest, oczywiście, jak najliczniejsza ludność i, co na jedno wychodzi, jak największy jej dobrobyt, to tylko bowiem państwo «ma ludność wielką, składa podatek wielki, które ma urodzaje wielkie». A kiedy ziemia będzie miała «urodzaje wielkie»? Tylko wtedy, «gdy się koło niej praca powiększy». A kiedy się praca powiększy? Odpowiada Staszic: «Ci ludzie tylko więcej pracować będą, gdy wszyscy zdatnymi do nabycia własności zostaną». Równouprawnienie — oto środek do urzeczywistnienia przez państwo drugiego warunku, niezbędnego do szczęścia społeczeństwa: sprawiedliwości, która jest z potęgą państwa nierozłączna. I słusznie nazwano Staszica patriarchą demokracji polskiej, bo nikt przed nim tak jasno i gruntownie nie dowiódł, że szlachta jest nie narodem, ale tylko jedną jego częścią, tylko jednym stanem; że naród, jako całość, jako «jedną moralną istotą», tworzą dopiero wszystkie jego warstwy, jako części, tak ściśle z sobą spojone, iż nieszczęście jednej jest nieszczęściem każdej innej i zarazem nieszczęściem całości, a szczęście jednej jest szczęściem każdej innej i zarazem szczęściem całości. «Wniosek oczywisty: że cokolwiek inne stany uczynią dla stanu rolniczego, to uczynią dla kraju; kiedykolwiek wieśniaka dostatki powiększą, zawsze oni wraz z krajem staną się majątniejszymi: gdziekolwiek rolnik zhańbiony, tego kraju szlachcic w pogardzie; gdzie rolnik niewolnikiem, tego kraju szlachcic musi być cudzym sługą». Więc «ratuj się, szlachto! nie potrzeba, abyś traciła swoje swobody i wolność, ale potrzeba, abyś swoje prawa upowszechniła, abyś powiększyła liczbę obywateli swobodnych i wolnych!» «Bez odmiany poddaństwa rolnika doczesne są wszystkie inne w Rzeczypospolitej odmiany»: «jakikolwiek poczynicie w Rzeczypospolitej ułożenia, jakiegokolwiek porobicie w jej rządzie poprawy, jeżeli tej fundamentalnej ustawy nierządu feodalnego nie wzruszycie, będą to tylko odmiany powierzchowne;

przedłużą, ale nie odwrócą od narodu tej nieszczęśliwej epoki, tego powszechnego zburzenia, w którym nas ogarnie wewnętrzny albo zewnętrzny despotyzm».

Zdawaloby się, że z tego wszystkiego wyprowadzi Staszic wniosek, że trzeba znieść poddaństwo chłopu, a więc pańszczyznę i sądy patrymonjalne, dać mu grunt na własność z prawem dziedzictwa, pozwolić mu się przesiedlać z miejsca na miejsce, — jednym słowem, zrobić go wolnym obywatelem kraju: a wówczas chłop będzie miał za co kochać ojczyznę, będzie jej wiernym synem! Tymczasem wniosek jest połowiczny, bo Staszic, znając szlachtę, wiedział, że nigdyby takiego wniosku nie uchwaliła, i miał słuszność: przecie nawet konstytucja 3 maja nie dała chłopu wolności osobistej. Mówi tedy, że «w całym kraju pańszczyzna dzienna zamienną być powinna albo w wydziałową robotę¹, albo w czynsz; z tych dwóch sposobów wolno każdemu dziedzicowi wybrać sobie jeden; przecież, gdy nierównie użyteczniejsze dla kraju czynsze, te szczególnie prawo zachwali; — obywatelowi, który w swoich dobrach czynsze postanowi i utrzyma, prawo zapewni od Rzeczypospolitej wdzięczność i nadgrody znamię». Mówi jeszcze: «Każdy gospodarz, który obejmie grunt, obejmie go na całe życie; przeto dziedzic nie może go z tego gruntu zrzucić bez okazania mu w sądzie, iż, nieposłuszny prawu, nie odbywał porządnie wydziałowej roboty, albo, w dobrach czynszowych, iż czynszu nie płacił». Ale tuż po tem dodaje: «Nawzajem gospodarz żaden już tego gruntu porzucić, ani z niego pójść nie może, chyba gdy na swoje miejsce innego gospodarza stawi, albo przekona dziedzica, iż go nad prawo krzywdził. Dzieci zaś, które nie obejmą gruntu, wszystkie są wolne: wolno im uczyć się rzemiosła, obsiadać w miastach, obsiadać w innych wsiach, żenić się z temi, z którymi im Bóg i religija pozwala». Oczywiście, żąda także Staszic zniesienia sądów patrymonjalnych (czego domagał się już Modrzewski). Otóż to wszystko jest dużo, może nawet, jak na wiek XVIII, bardzo dużo, — ale nie wszystko, bo do osobistej wolności i równouprawnienia społecznego daleko! O równouprawnieniu zaś politycznem, o tem, żeby i chłopci mieli swoich posłów w sejmie i mogli piastować urzędy, nie wspomina nawet Staszic: niewątpliwie pragnął tego z całej duszy, ale wiedział, że to żądanie byłoby jeszcze bardziej przedwczesne od żądania równouprawnienia społecznego, i to nie tylko dla szlachty, która by odpowiedziała rykiem oburzenia, i dla duchowieństwa, które, «łakostwem skażone... przewróciło prawdy boskie, zgodziło miłość bliźniego z niewolą człowieka», ale i dla chłopów, którzy, po wiekach niewoli i ciemnoty, nie byli jeszcze zdolni do życia politycznego. Żeby ich stopniowo do wolności przyuczać, domaga się Staszic oświaty ludowej.

Nierównie śmielsze są uwagi i przestrogi, dotyczące mieszczaństwa, co się tłumaczy tem, że tak wielkiej przepaści, jak pomiędzy szlachtą a chłopami, nie wykopała historia pomiędzy mieszczańami a szlachtą — nawet w Polsce; a nadto, kiedy chłopci byli jeszcze ciemni, stan miejski «już oświecił się... do tego stopnia, iż czuje, że jest człowiekiem, wyrzekł: proszę o sprawiedliwość, proszę o moje prawo». Więc domagał się Staszic, żeby mieszczanin mógł być właścicielem ziemskim, żeby korzystał z prawa *neminem captivabimus*, żeby miał dostęp do urzędów cywilnych zarówno, jak woj-

¹ t. j. Staszic żąda, aby chłop miał ściśle określoną pracę do wykonania na pańskim gruncie, zamiast żeby pracować przez określoną ilość dni.

skowych; żądał nadto dla mieszczan prawa wysyłania na sejm swoich posłów, którzyby zasiadali w jednej Izbie z posłami szlacheckimi, i to w równej z nimi ilości; wówczas dopiero «miasta i szlachta będą jednym narodem». To zaś, żeby cały naród polski był jednym narodem, było najdroższym ze wszystkich marzeń patryjotycznej duszy Staszica; nikt bowiem inny wówczas nie rozumiał tak dobrze, jak on, że, kiedy się Polska stanie narodem «z jednej bryły», to będzie tak «hartowna, że w gromach nie pęknie». Śmiało można powiedzieć, że to nie Słowacki, tylko Staszic pierwszy wołał, że, dopóki Polska nie zrzuci z siebie «płacht ohydnych» stanowości, dopóki «duszę anielską będzie więziła w czerepie rubasznym», dopóty nie będzie jej «miecz zemsty straszny».

W jak najściślejszym związku ze sprawą polepszenia doli chłopów i mieszczan dotyka Staszic sprawy żydowskiej, bo przecie «Żydzi są pijawkami rolnika» i szkodnikami miast: «Chociaż w Polsce odbierze stan rolniczy sprawiedliwość, a stan miejski bezpieczeństwo i wolność, przecież z trudnością rolnictwo i miasta powstawać będą, dopókad w rękę Żydów szynk trunków zostanie, dopókad Żydzi w miastach będą czynić stan oddzielny, od urzędu miasta niezawisły, ale swój osobny urząd i swoich własnych sędziów mający, czyli w mieście drugie miasto czyniący. Tak długo nasz chłop z swojej nędzy z trudnością dźwigać się będzie i od nałogu pijanstwa nie odswoi się, jak długo ród żydowski, przez swoją religiją, przez wychowanie do oszukiwania sposobiący się, będzie władać tą trucizną, przez którą, gdy zechce, może kilku milionom ludzi bezkarnie głowę zawracać, a na kilka godzin przytomność im odebrawszy, rozrządzać majątkiem polskiego rolnika, jak mu się podoba». Odpowiedzialnością za to rozpajanie chłopów obciąża Staszic, w swoim głębokim poczuciu sprawiedliwości, nie tylko Żyda, ale i szlachcica, który przecie «w swojej wsi, w swoim miasteczku po pięć, po sześć karczem wystawia,... w tych karczmach osadza, dobiera najboglejszych Żydów, którzyby mu jak najwięcej zapłacili, to jest, którzyby umieli jak najsztuczniej zwodzić i rozpajać chłopów». Natomiast całkowitą odpowiedzialnością obciąża Staszic Żydów za ich religję i moralność: «Ten lud ma obyczajność, sposób życia i moralność, z moralnością naszej religii niezgodną: czyta on w swoich księgach, iż za krzywdy, od ludzi innej religii poniesione, pożyczwszy od nich różnych sprzętów i sreber, można te zabrać i uciec; przeciwnie, nasza religija w każdym przypadku kradzieży i oszukania zakazuje;... więc Żyd z swoją moralnością zawsze będzie niebezpiecznym i fałszywym, a przy każdym oszukaniu łatwo zaspokoi sumnienie przezwaniem kradzieży swoich krzywd nadgrodą». Oto dlaczego radzi Staszic, aby (pomiędzy innymi) «żaden Żyd w całej Polsce nie mógł szynkować trunków», aby Żydom odebrać samorząd, który mieli w sprawach religji, oświaty, rządów gminnych i sądownictwa (w sprawach między Żydami), aby «ich wychowanie było poddane Komisji Edukacyjnej, któraby im wyznaczyła nauczycielów, przepisała moralność i inne książki elementarne», i t. d. (Przed niebezpieczeństwem żydowskim będzie Staszic mądrze ostrzegał także Polskę porozbiorową — w rozprawie *O przyczynach szkodliwości Żydów i środkach usposobienia ich, aby się społeczeństwu użytecznymi stali*, 1816).

Oto główne myśli *Uwag nad życiem Zamoyskiego i Przestróg dla Polski*. Nie odznaczają się one porządnym układem treści: przeciwnie, pisane są bezładnie, a co więcej, nie są wolne od sprzeczności w myślach; styl jest

często zaniedbany, tu i owdzie niejasny, niekiedy pozbawiony prostoty i sztucznie uroczyisty, deklamacyjny, język nieraz tak bardzo oryginalny, że aż dziwaczny i niepoprawny. Cóż z tego, kiedy przemawiają te pisma nie tylko do rozumu, ale i do wyobraźni, do serca i do sumienia: nikt inny w literaturze niepodległej Polski, nie wyłączając Skargi, nie umiał tak potężnie wstrząsnąć całą duszą polską, jak Staszic. Aby oddziałać na wyobraźnię czytelnika, kładzie mu on przed oczy obrazy, których treścią jest: to okropna nędza chłopca polskiego, to dokonana pod obcą przemocą elekcja Stanisława Augusta, to przekłętej pamięci sejm roku 1773 pod laską zdrajcy Ponińskiego, krótko mówiąc — wszystkie nieszczęścia i grzechy Polski; opisuje też chętnie, za przykładem Rousseau'a, wizje, które miał niby to we śnie, albo i na jawie, a których treścią są znowu nieszczęścia ojczyzny, zwłaszcza upośledzenie włościan. Aby przemówić do serca, Staszic to prosi i błaga, to upomina i zaklina, to grozi i gromi, to zawstydza i straszy; i śmiało powiedzieć można, że, jak Skarga w wieku XVI, tak on w XVIII był tyranem dusz ludzkich. Poprawnością języka, pięknnością stylu i wogóle sztuką Staszic nawet się równać ze Skargą nie może, ale przewyższa go siłą uczucia. Miłość ojczyzny wyraził Skarga w *Kazaniach sejmowych* pięknie, majestatycznie, Starowolski w *Lamencie* — tkliwiej, ale ani jeden, ani drugi nie wyraził jej z taką wręcz żywiołową potęgą uczucia, z takim ogromem straszliwego bólu patriotycznego, upokorzenia i wstydu na widok jej upadku i świętego oburzenia na jej zdrajców. Z większą siłą przemówi miłość nieszczęśliwej ojczyzny — dopiero w poezji Mickiewicza. A jak Skardze w wieku XVI, tak Staszicowi w XVIII nikt nie dorównał odwagą cywilną: nikt inny nie ośmielił się tak jasno i bezwzględnie powiedzieć narodowi, że on sam odpowiada za słabość swojego państwa, mianowicie, że «pogarda i niedoskonałość praw są nieszczęścia naszego przyczyną», że «w Polsce tylko ten prawa wypełniał, komu się podobało»; nikt inny nie powążył się z taką — już nie bezprzykładną śmiałością, ale z szaloną furją napaść na tych, o których Skarga mówił, że mają «złodziejskie serca», — na magnatów; akt oskarżenia przeciwko możnowładcom jest, zapewne, zbyt namiętny, bo czyni ich odpowiedzialnymi za wszystkie nieszczęścia Polski (jakgdyby i szlachta nie była za nie odpowiedzialna!); ale w swojej odwadze i namiętności jest wprost niezrównany, nie mówiąc już o tem, że zawiera w sobie dużo, bardzo dużo prawdy! A obok tego ustępu godzien stanąć inny, także wspaniały, krwią i łzami pisany, — obraz niedoli chłopskiej, ten najwymowniejszy, najpiękniejszy, najgorętszy wyraz uczucia polskiego XVIII wieku, wznoszący się do godności największej poezji serca, do jakiej się wzniosła nasza literatura stanisławowska.

*** Obraz niedoli chłopskiej.** Jakież to wspaniały widok — w zgromadzeniu, z samego wyboru obywatelów złożonem, które o uszczęśliwieniu milionów ludzi radzi, widzieć Króla na Tronie, po którego prawicy leży Księga Prawa! Taka wielkość, pierwszy raz widziana, przeraziła mię: przed takim Tronem głębokiem uszanowaniem przejęty, stanąłem zdaleka w gminie ludu różnego.

Jak spracowanego długą drogą podróżnika z gór biegnących strumieni mruczenie albo bliższych drzew liścia¹ szelest miłym snem usypia, — tak

¹ liście — rzeczownik zbiorowy (rodzaju nijakiego).

mnie, rażonego wspaniałością Tronu, wolne tłumy ludzi ruszanie się i ciche po tem całym mnóstwie gwary w zamyślenie schwyciły...

Usłyszałem ztyłu głos, który mi przerwał dalsze myśli: człowiek w odzieży ubogiej; jego twarz ukazywała z nieszczęśliwością niewinność; nie był on dziełem sztucznej edukacji — nie miał nauk, ale był człowiekiem natury — miał czułość. Ten z nieśmiałością zapytał mi się, toby w tem zgromadzeniu był Królem. W tej ciekawości zaspokojony, prosił dalej, coby ta kopa ksiąg przy Królu znaczyła. «Są to księgi, — odpowiedziałem — którym wszyscy naszą wolność i szczęśliwość winniśmy;... są to prawa, które dają nam wszystkim życie, majątek i sławę». Na te słowa rzuciły się lzy z oczu człowieka owego. Przeraziło mię to. Pytałem się ciekawie tego zmartwienia przyczyny.

Westchnął i w te odezwał się słowa:

«Ach! nie wszystkim te prawa zapewniają majątek i życie! W tej wielkiej kopie ksiąg tylko kilka tysięcy obywatelów znajduje sprawiedliwość. Milijony tegoż kraju mieszkańców żadnego w nich nie mają ratunku! Z milijona tych nieszczęśliwych i ja jestem. Zachowałem przykazania Boskie, żyłem według świętej religii mojej prawideł. Nie wyrzuca mi summienie, abym kiedykolwiek skrzywdził bliźniego... Chociaż czułem okrutny los poddaństwa mojego, przecież, sądząc go być Opatrznością zrządzeniem, w dzień pracowałem wiernie panu, pracowałem i po nocach dla wyżywienia żony i dzieci... Pociągano mię nad powinność do robocizny, wypędzano do najcięższej pracy, w drogi najgorsze, gdzie siebie i cały mój dorobek zniszczyłem. Nie mogłem się uskarżyć nikomu, gdyż mi nikt sprawiedliwości uczynić nie mógł, tylko pan... Miałem trzech synów. Z tych średni, widząc, iż ledwie jeden nadzieję mieć może objęcia roli po mojej śmierci, a drudzy bez ziemi i bez chleba żyć będą musieli, i krajowi, i sobie nieużyteczni, — nic mi nie powiedziawszy, odszedł; jakom się potem dowiedział, uczył się rzemiosła. Po oddaleniu się jego z domu, pan, surową karą mi grożąc, jeżeli mi syna nie przystawię, — owszem — zaraz do więzienia osadziwszy, nie wypuścił mię, dopóki mu kilkaset złotych za własnego syna nie zapłaciłem. Wkrótce potem, sądząc mię być bogatym i spodziewając się więcej u mnie pieniędzy, kazał mię znowu wziąć do kłody¹ i trzymał dopóty, dopóki mu syna nie powrócę. Gdy wołałem o sprawiedliwość, przypominając, że go już drogo opłaciłem, pan nazwał ten żal mój zuchwałością: zaraz kazał mi wszystko z domu pozabierać, a okrutnie mię skatowawszy, w kajdany zakutego wrzucono do chlewa. Wydobyłem się z tego lochu. Uciekając z nieszczęśliwym życiem, czuję aż nadto, iż dla mnie w kraju niemasz sprawiedliwości... Tylko ten, który mnie krzywdzi, tylko mój tyran być może moim sędzią! W tych prawach mego stanu człowiek nie znajduje więcej od bydła obrony! Król nawet nie może być ojcem nas wszystkich!»

Tu przerwałem mu, nie mogąc dalej wstrzymać mej czułości. Złorzekłem barbarzyństwo kraju, a nie mogąc bliźniemu poradzić, tem tkliwiej czułem nieszczęście jego. W tym jednym przykładzie zdawało mi się widzieć nieskończone krzywdy milionów rolników. Stały mi lzy w oczach...

Nagle spostrzegłem przed bramą mnóstwo ludzi, z których każdy trzymał w ręku papiery...

W jednych ręku taki był napis:

¹ zakuc w dyby.

«Cztery miliony pięćkroć sto tysięcy najużyteczniejszych mieszkańców, których chociaż stan rozróżnić od ludzi zdaje się, przecież nam religija odkrywa jednaki z innymi ludźmi początek, ucząc, że wszyscy od jednego ojca pochodzimy, że każdy inny człowiek jest naszym bliźnim, — więc na miłość bliźniego zaklinamy, prosząc nie o co innego, tylko, aby równą z każdym innym człowiekiem sprawiedliwość mieliśmy; aby ten, kto nas krzywdzić może, nie był w własnej sprawie i stroną, i sędzią».

U drugich widziałem ten wyraz:

«Milion kilkadziesiąt tysięcy kobiet, które w krótkim czasie w dwójnasób kraj zaludnią, jeżeli podług praw boskich, nie pańska wola, ale własna ich wola ślub małżeństwa ważnym uczyni, jeżeli jednej wsi granice nie będą dla nich człowieczeństwa granicą».

U innych czytałem:

«Milion czterokroć sto tysięcy ludzi młodych, jeszcze dwudziestu lat nie mających, przyrzeka w lat kilka liczne Rzeczypospolitej wojsko, obiecuje powiększyć krajowe bogactwa, oszczędzić te miliony, które cudzoziemskim fabrykantom bez powrotu kraj wypłaca, — jeżeli, zamiast uporczywej i namiętnością omamionej dziedzica woli, prawo wróci im wolność naturalną pracowania koło swej żywności wszelkimi pozwolonemi w kraju sposobami i uczenia się, według każdego chęci i zdatności, różnych fabryk i rzemiosł; jeżeli nie jedna wieś, ale cały kraj będzie ich krajem».

Wpółśród tego tłumu słyhać było tu i owdzie przeraźliwy rozpaczających płacz i jęk, wołanie do nieba o pomstę uczynionej im krzywdy i przekleństwo okrutnej niesprawiedliwości. Przybiegłem do jednego z nich i zapytałem się, coby cierpiał. «Krzywdę od samego Prawa», rzekł z zapamiętałością, rzucając mi kartę.

Podniosłem ją. To zawierała w sobie:

«Jestem syn pocziwego ojca i dobrego obywatela. Rodzice dali mi wychowanie, stosowne do tego majątku, który, przy ciężkiej a sprawiedliwej pracy, całe życie dla mnie zbierali i który, jako syn, dziedziczyć miałem. Przebrzydłe łakomstwo odkryło po śmierci ojca mego, że nie był szlachcicem. Nagle ja utraciłem wszystko, zostałem się bez sposobu do życia. Ciężką pracą ojca mego, tę najsprawiedliwszą własność moją, obcy człowiek bezsumienny... zagrabił».

Oddałem mu czem prędzej kartę. Nie mogąc znieść tego niesprawiedliwości obrazu, uciekłem, abym zgubił z oczu te nieszczęsne gwałtu ofiary.

Gdym już nikogo nie widział, rzekłem sam do siebie: «Jakież to praw straszydło! Niewola, gwałt, bezżeństwo, publiczne cudzego majątku odzierstwo — prawem upoważnione! Takie barbarzyństwo w ósmnastym wieku! Rzeczypospolita z takimi prawami, mając sąsiadem Cesarza i Króla Pruskiego, czyliż długo utrzymywać się sądzi? (Uwagi nad życiem Zamoyckiego). ★

.....

★ Pięć części narodu polskiego stoi mi przed oczyma. Widzę miliony stworzeń, z których jedne w pół nago chodzą, drugie skórą albo ostrą siermięgą okryte, wszystkie wyschłe, znędzniałe, obrosłe, zakopciałe. Oczy głęboko w głowie zapadłe. Dychawicznymi piersiami bezustannie robią. Posępne, zadurzale i głupie, mało czują i mało myślą: to ich największą szczęśliwością.

Ledwie w nich dostrzec można duszę rozumną. Ich zwierchnia postać z pierwszego wejrzenia więcej podobieństwa okazuje do zwierza, niżeli do człowieka. Chłop — ostatniej wzdargy nazwisko mają. Tych żywnością jest chleb z sżótu¹, a przez ćwierć roku samo zielsko; napojem — woda i paląca wewnątrzności wódka. Tych pomieszczeniem są lochy czyli trochę nad ziemię wyniesione szałasze: słońce tam nie ma przystępu, — są tylko zapchane smrodem i tym dobrotliwym dymem, który, aby podobno mniej na swoją nędzę patrzali, zbawia ich światła; aby mniej cierpieli, i w dzień, i w nocy dusząc, ukraca ich życie mizerne, — a najwięcej w niemowlęcym wieku zabija. W tej smrodu i dymu ciemnicy dzienną pracą strudzony gospodarz na zgniłym spoczywa barłogu. Obok niego śpi mała, a naga dzia-twa na tem samym legowisku, na którem krowa z cielęciem stoi i świnia z prosiętami leży...

Dobrzy Polacy! Oto rozkosz tej części ludzi, od której los waszej Rzeczypospolitej zawisł! Oto człowiek, który nas żywi! Oto stan rolnika w Polsce!...

Tu, kiedy sobie pomyślę, żem Polakiem, wstyd mię dalej mówić. Kiedy sobie przypomnę, żem człowiekiem, porywa mię rozpacz i zgroza!...

W pośrodku chrześcijan takie okrucieństwo!... Tyrani, bluźniercy! Nie lękaciez się, iż spełni się nakoniec miara nieprawości waszych?...

Jeżeli Bóg jest sprawiedliwy, nie może być w oczach Jego zbrodni, większej nad zbrodnię waszą!

Macież wy miłość Ojczyzny? Nie obywatelami, ale nieprzyjaciółmi Polski jesteście! Więcej szkodzicie temu krajowi, niżeli szkodzili Moskale, Szwedzi, Niemcy, Turcy i Tatarzy! Tych okrucieństwo padało na niektórych i skończyło się w lat kilka. Wasze okrucieństwo trapi nie tylko żyjących, ale nadto kładzie przeszkodę wieczną do podobieństwa, aby Polska mogła z sławą powstać...

Upamiętajcie się! Nie bierzcie na złe cierpliwości Nieba! Czas poprawy, czas ludzkości!

Oddajcie człowieka Bogu! Oddajcie człowiekowi prawo jego natury: «Niechaj rośnie i mnoży się!»

Widzę straszne nieszczęśliwości nad głowy waszemi... A gdy kocham Polskę, a gdy zapomnieć nie mogę, że rodziłem się Polakiem, jakby ten kraj uratować, myślę ustawicznie!...

Przezacne Duchowieństwo! Ty jesteś tłumaczem tych praw, które Bóg każdemu człowiekowi oddał, które mają człowieka zbliżyć do człowieka — nie czynić go ciemnizykiem ludzkości albo nieprzyjacielem plemienia ludzkiego.

KOCHAJ TWOJEGO BLIŹNIEGO, JAKO SIEBIE SAMEGO, A BOGA NAD WSZYSTKO: oto duch tej najświętszej nauki, którą sam Bóg przyniósł z nieba i złożył w rękę waszych. On przy niej dał się męczyć i umarł. Macie przykład, jeżeliście wiernymi uczniami Jego.

W ogłaszaniu tej prawdy nie was fałszywymi czynić nie powinno, ani bogactwa, ani godności, ani śmierć sama! Mówcież więc do Polaków, że ten nie jest chrześcijaninem, ten nie żyje podług nauki Zbawiciela swojego, kto z jakiegokolwiek przyczyny zaprzecza drugiemu człowiekowi sprawiedliwość, małżeństwo, wolność przyrodzoną i własność! Jeżeli nauczacie inaczej, nie

¹ mąka razowa.

uczniami CHRYSZTUSA, ale zdrajcami rodzaju ludzkiego jesteście! Jeżeli pod najświętszym imieniem JEZUSA, łakomcy, oszczercy, dumni, usprawiedliwiacie niewolę, — oto słuchajcie i zadrżycie:

Spadnie niewinna krew ZBAWICIELA-Człowieka na głowy wasze i potępi was!...

Kończę do was, najużyteczniejsi w kraju Nauczyciele Edukacji publicznej, którym Rzeczpospolita powierzyła to, co ma najdroższego — niewinny szczerp takiego obywatelstwa, które ma dokończyć dzieła zbawienia Polski!... Te prawdy... wpajacie w miękkie serca jeszcze cnotliwej młodzieży, tej to jedynej nadziei kochanej Ojczyzny naszej! Niechaj dzieci znają obowiązki człowieka!... Dajcie im poznać, że obojętną uczyniło Europę na rozbiór naszego kraju przez nieprzyjaciół naszych opisanie szlachty, jakby tyranów ludzi! Dajcie im czytać tę ohydę Polaków w pismach Fryderyka II i przydawajcie zaraz, że nie usprawiedliwi się szlachta polska w Europie, nie nabierze swojego szacunku i świetności, tylko gdy odda sprawiedliwość rolnikowi, a złączy się z miastami! Róbcie z młodzieży szlacheckiej i z miejskiej jeden naród! Niszczcie między nimi niechęć! Zakrzewiajcie wzajemną miłość! Dajcie im równie uczuć, że, gdy się wspólnie trzymać będą, Polska zostanie wolną, mocną i sławną! Powtarzajcie im często to wielkie cnotliwego Rzymianina zdanie: Nie całość jednego stanu, ale całość narodu całego jest Prawem najwyższem: *Salus Reipublicae suprema lex esto!* (*Przeestrogi dla Polski*). ★

★ **Magnaci.** Z samych panów zguba Polski. Oni zniszczyli wszystkie uszanowanie dla prawa. Oni, rządowego posłuszeństwa cierpieć nie chcąc, bez wykonania zostawili prawo. Oni zupełnie zagubili wyobrażenie sprawiedliwości w umysłach Polaków. Oni prawo zamienili w cześć formalność, która tylko wtenczas ważną była, kedy prawo ich dumie, łakomstwu i złości służyło...

Kto na sejmikach uczy obywatela zdrady, podstępów, podłości, gwałtu? Panowie! Kto niewinną szlachtę, najpocziwiej i najszczerzej Ojczyźnie życzącą, oszukuje, przekupuje i rozpija? Panowie! Kto od wieku robił nieczynną władzę prawodawczą, rwał Sejmy? Panowie! Kto sądowe magistratury zamienił w targowisko sprawiedliwości albo w plac pijaństwa, przekupstwa, przemocy? Panowie! Kto koronę przedawał? Panowie! Kto koronę kupował? Panowie! Kto wojska obce do kraju wprowadził? Panowie!... Kto przez nierozsądną, nieskróconą osobistość¹ i dumę ród bitnych Kozaków od Polski oderwał i nieprzyjaciółmi Polski być zmusił? Panowie! Kto od pewnego czasu, niby to czynność Sejmu powracając, zamienił wolę Narodu w wolę Dworu Moskiewskiego?² Panowie! Kto przedawał Polaków? Panowie. Kto przy rozbiórce kraju brał zagraniczne pensje?³ Panowie. Kto na terażniejszym Sejmie przeszkadzał do wojska, nie pozwalając na Komisję Wojskową?⁴ Panowie!

Tak jest! Panowie przyprowadzili kochaną Ojczyznę do tego stopnia upadku, słabości i wzgardy, z której ją dzisiaj z taką trudnością — dla przeskody tychże panów! — sama szlachta dźwiga!...

¹ prywata. ² Czartoryscy podczas bezkrólewia w r. 1764. ³ Poniński, kasztelan wileński Radziwiłł i inni. ⁴ Szczęsny Potocki, prymas Poniatowski i biskup Kossakowski.

Wtenczas, kiedy cudzoziemiec rozciągał nad wszystkimi Polakami i nad nimi samymi niewolę; kiedy rzucał na naród wieczną ohydę; kiedy szarpał na sztuki Ojczyznę, oni jeszcze w swojej zaciętości ku sobie nie spokoją się, nie łączą się z sobą; owszem, wewnątrznie cieszą się z gwałtu, który ich przeciwników doreszty niszczy. Żaden z panów nie ruszył się z ofiarą swojego majątku i życia na obronę ginącej Rzeczypospolitej. Jedni, którzy, dopóki z Ojczyzny zyskiwać można było, zebrali znaczne dostatki, używali ich spokojnie w zaciszu, równie jakby w najszczęśliwym czasie Polski. Okazują najlepiej, czem są panowie, te przy rozbiórce kraju od nich wyrzeczone słowa: «Niech się dzieje z krajem, co chce, ja to wiem, iż zawsze w mojej wsi będę wójtem!» Inni zaś widzą, że przy rozboju Ojczyzny łatwo bogacić się z jej łupów, sami nadarzają się cudzoziemcom za narzędzie do prędszego skutecznienia gwałtów; ukazują im sposoby do pozorniejszych formalności; za pensyję, za własne Rzeczypospolitej dobra, bez zapewnienia jakiegoś dalszego losu Ojczyźnie i tej niewinnej szlachcie, którą zdradzili, tylko po zabezpieczeniu swoich osobistych losów i swoich osobistych nadgród, niewolę milionów ludzi podpisali najpierwsi. Szlachcie zaś, który dotąd był ludzony, dopóki był potrzebny, gdy szedł pod jarzmo, opuszczony przez panów, którzy tyle lat silnie nad nim pracowali, aby mu odebrać rozum i duszę, zapomniał w ostatniej potrzebie Ojczyzny, że miał szablę w pochwie.

Ale nad rozbiór kraju gorsze zle panowie wyrządzili Polakom: ztracili narodowy charakter. Szlachcie z nieustraszonego stał się nad wszystko lęklwym, z wyniosłego podłym, z urodzonego do wolności już dojrzałym do najcięższej niewoli: świadkiem tego zabory; stracił to hasło, którego naruszenie w wszystkich jedno czucie budzić powinno; bez wyobrażenia sprawiedliwości, największa nieprawość w nim krwi nie burzy; czyli to gwałt prawa, czyli posłuszeństwo prawu, równy w jego umyśle skutek sprawiają; krzywoprzysięstwo popelnić już mu z łatwością przychodzi; sława Narodu, miłość Ojczyzny nie zapala go do ofiar, nie ma stałości ducha, na wszystko się zastrasza, już nie czuje, iż miłsza śmierć, niż niewola podła. Tak jest: ztracili panowie właściwy naszemu narodowi umysł!

Charakter narodu okazuje się najlepiej w publicznym gwałcie, w niebezpieczeństwie Ojczyzny i w karaniu jawnych zbrodni krajowych. Sławny Naród Polski w podobnych razach: nie brakuje ich w dziejach jego!...

Po owym niesłychanym gwałcie, kiedy z pośród stolicy, podczas Sejmu, wzięto czterech najnotliwszych senatorów, nazajutrz sejmujący o zwyczajnej godzinie zeszli się na sesyję. Nikt nawet głosu nie zabrał o tak niesłychanem wszystkich praw zdeptaniu! Owszem, prócz jednego męża cnoty i stałości, Andrzeja Zamoyskiego, natenczas kanclerza, wszyscy razem ministrowie, senatorowie i wszyscy posłowie, jak gdyby w niczem naruszoną nie była udzielność Narodu, tenże Sejm kończyli.

Ale już wre krew we mnie! Cóżto za rok Polski¹, którego dni nie różnią się od nocy! Zbrodniami i nieczułością Polaków napelnione godziny jego! Czyliż mogła ziemia wydać tak czarną poczware? I nie byłoż żadnego Polaka, któryby z tego straszyla wcześniej był oswobodził Ojczyznę?... Ten nie kocha kraju, kto, czytając to, nie zapali się publiczną zemstą!...

Trzech utrapieńców rodzaju ludzkiego powzięło zamysł, aby na sztuki

¹ 1773.

rozszarpać Naród Polski. Do wykonania takiego bezceństwa potrzebują człowieka Polaka, nierównie od nich złośliwszego, któryby to do skutku przywiódł, co oni pomyśleli, któryby taki rozbój Narodów formalnem Polaków zezwoleniem upoważnił, a zaszczerpionym nierządem w reszcie kraju na zawsze uwiecznił. Ukazują złoto. Na brzęk jego zrywa się Poniński: on jeden z pośrzedka tak wielkiego kraju w dzień, wtenczas, kiedy na niego patrzyli wszyscy, bieży na miejsce spisku. Za dwa tysiące czerwonych złotych wyzuwa się z wszelkiej ludzkości, zrzeka się wszystkich obowiązków poczciwości, wdzięczności. Z wesołością bierze ten puinał¹, który ma nurzać w wnętrznościach swojej Matki...

Pierwszego dnia Sejmu, gdy już zgromadzili się obywatele do Izby Poselskiej, wchodzi tam Poniński. W zgromadzeniu blisko tysiąca osób stawa na pośrzedku Izby. Bierze kij prosty w rękę, podnosi go w górę i woła: «Jestem waszym marszałkiem! rozchodźcie się, a jutro o godzinie ósmej przyjdziecie!» Prawda, że na to zuchwalstwo zbłądło wielu Polaków. Ale nie miał żaden tyle duszy, aby w miejscu zuchwalstwo ukarał. Owszem, jeden tylko Rejtan nie dopuścił gwałcielowi prawa wstępu w miejsce prawa.

Wyszedł z Izby zdrajca Polaków. Polacy, zamiast tem ściślejszego związania się z sobą, zamiast wykrzyknienia z jednomyślnością marszałka, zamiast tem prędszego, skuteczniejszego radzenia, jakby od takiego nieprzyjaciela Ojczyznę uwolnić, — wszyscy z wielką spokojnością wyszli.

Dnia drugiego, gdy się znowu obywatele zgromadzili, Poniński stawa we drzwiach tylko i, prostym kijem o próg uderzywszy, nakazuje Narodowi, aby się zaraz rozszedł, a jutro o tejże godzinie zgromadził. Natychmiast ruszają się wszyscy posłowie, jak gdyby bez Ponińskiego ani rozumu, ani woli nie mieli! Wychodzą z Izby. Jeden poczciwy Rejtan krzyczy, woła, zaklina ich na miłość Ojczyzny, na miłość ich własną, na honor Narodu, aby sobie samym nie czynili tej krzywdy, aby nie gubili Ojczyzny, aby tem usilniej, tem nieodstępniej radzili, im oczywiście odkrywa się kraju niebezpieczeństwo. Ale już natenczas nie czuł szlachcic: już w nim przez długą panów nieprawość tak znikczemniony był umysł, iż kto się poważyl, mógł bezpiecznie deptać po karku jego.

Stąpił Poniński dalej. Zdrajca kraju czyni się publicznym łupieżcą i tyranem jego.

Wieleż to zbrodni zawiera w sobie dzień 21 Kwietnia 1773! Zastanawiam się nad dziejami wszystkich krajów: nie znajduję w żadnym takiego dnia, w którymby tyle razem złoczynstwa jeden człowiek połączył i w którymby jakikolwiek lud do tego stopnia swoją nikkczemność okazał. Najpierwej obtacza swój dom moskiewską wartą. Potem zagrabia pod swoją moc Skarb publiczny. Dalej każe sobie przysięgać Komisy Wojsk Rzeczypospolitej. Z huzarami pruskimi najeżdża domy partykularnych i wymusza Konfederacyi podpis. Z łąz obcego żołnierstwa zbrojną czeredą wpada do Grodu; podaje Akt Konfederacyi, przez siebie tajemnie z nieprzyjaciółami Ojczyzny ułożony, do ksiąg publicznych; wzbraniającym się przyjąć go urzędnikom przytomnem żołdactwem pograża; aby żadnego przeciwko temu Aktowi zażalenia odbierać w Grodzie nie ważono się, surowo zakazuje. Nareszcie twardy człowiek temu udziałnemu Narodowi, tak dla niego powolnemu, tak cierpliwemu, wyrządza ostatnią zniewagę: rozkazuje jednemu z swoich rozesłań-

¹ puginał, sztylet.

ców, aby poszedł do Izby Poselskiej i zapowiedział Narodowi imieniem jego, że mu przykazuje zaraz się rozejść.

Jaka boleść tu ściska serce moje, gdy sobie przypominam, że urodziłem się Polakiem! Szlachta ułękła się więcej groźby śmierci, niżeli sromotnej hańby! Ohyda rodu naszego! Większa część posłów, za odebraniem takich rozkazów, natychmiast rusza z miejsc. Nie na ściganie i ukaranie zuchwalcy, ale posłuszna, z spokojnością garnie się ku drzewom. Jeden Rejtan... Tak jest, jeden poczciwy Rejtan znowu woła, zaklina i krzyczy na wszystkich, aby pamiętali, aby nie opuszczali nieszczęśliwej Polski. A gdy głuchy był na głos męstwa już zepsuty Polak, cnotliwy Rejtan rzuca się w progi pod nogi nieczułych braci. Tam, jęcząc, krzyczy: ZDEPCZCIE MNIE, KALECZCIE MNIE, KIEDY OJCZYZNĘ GNĘBICIE!... Ani ten widok cnoty nie wrócił dzielności duszom Polaków...

Najwięksi złoczyńcy, najwięksi tyrany wzruszali się na świętość cnoty. Poniński, dla którego już u ludzi nic świętego nie było, który z wolności, z prawa, z Narodu, z religii, z przysięgi i z BOGA pośmiewiska sobie czynił, — zamiast zastanowienia się w swoim ślepym zapędzie na taki widok cnoty w człowieku, wpada owszem w największą wściekłość. Składa sam, z swej osoby, sąd: wydziera Polsce ostatniego cnotliwego Polaka, poczciwego Rejtana, konfiskuje dobra, ogłasza praw obrońcę nieprzyjacielem Ojczyzny. Niecnota, rzuca infamią na cnotę.

Cóżto? Ani tu jeszcze nie znalazł się w całej Polsce choć jeden przynajmniej taki obywatel, który, jeżeli nie Ojczyzny, to przynajmniej cnoty mszcząc się, nie utopił miecza w tak czarnem sercu?

Niel...

Czyliż ten naród ma charakter, w którym jeden człowiek potrafił wypełnić tyle zbrodni bezkarnie? — więcej powiem — w którym taki publiczny złoczyńca nietylko nie zginął, ale bawił się w kraju, żył lat piętnaście poważany, zasiadał w Senacie? Tron przybrał go do boku swojego za ministra. Owszem — urzędy handlował, sprawiedliwość przedawał i jeszcze głośno kazał wszystkim powiadać, że u niego wszystko jest na sprzedaż.

I gdzie tu jeszcze charakter Polaków? I gdzie jest to męstwo, ta stałość w przedsięwzięciu, co jest tak potrzebną temu, który kraj z niebezpieczeństwa ratować zamysła? Chcemy dać dowody, że odtąd przy obronie Ojczyzny umierać będziemy, a nie mamy tyle mocy duszy, abyśmy dali dowody, że karać zdrającą Ojczyznę umiemy. Chcemy się groźnymi uczynić przeciwko zawziętym nieprzyjaciółom Ojczyzny, a nam groźnym ukazuje się jeden Poniński w areszcie...

Trzeba koniecznie z powstawaniem naszym podnieść upadły charakter narodu! Ten zniszczyli w szlachcie panowie. Bo nigdy panowie ani do swojej Ojczyzny, ani do szlachty przywiązanymi nie byli...

Panowie!... Wasza duma, wasze łakomstwo, wasze niezgody i wspólne zawiści do tej niedoli przyprowadziły Ojczyznę! Przez zniewagę praw, przez zgwałconą w wszystkich sądach sprawiedliwość zniszczyliście w szlachcie wyniosłość ducha, męstwo, odwagę, stałość w przedsięwzięciu i miłość wolności. Zatraciliście własny Polaków charakter, nadając szlachcie podłość, wszystkiego bojaźń i na bezprawie i niesprawiedliwość zupełną nieczułość!

Czas upamiętania waszego! Czas, abyście wrócili prawu dzielność! Bo was gwałt pogrąży.

Starajcie się, nie mogąc już nadać duszy tym, którzy się z wami po-

starzeli, abyście tej duszy nie kazili w młodzieży!... Nie utrzymujcie bardziej waszej familii, niżeli Rzeczypospolitej!...

Ja z tych powodów uczyniłem do was tę przemowę, aby, przekonawszy was, jak wieleście Polszcze szkodzili, nakłoniłem, żebyście to jej nadgrodzić starali się!... Pamiętajcie, abyście nie skrzywdzili tego sławnego Sejmul... (Przestrogi dla Polski). ★

★ **Wniosek względem Praw Narodów.** Prawami narodów są prawa człowieka powszechniej wzięte.

Jak z natury każdy człowiek ma rozum i moc na obronę swoich praw, nie na wydarcie praw drugim, tak każdy naród mieć powinien wolność używania swojej mocy i rozumu na obronę swoich praw, nie na wydzieranie praw narodom drugim.

Jak w towarzystwie¹ ten obywatel gwałci prawa drugich, który sobie więcej od nich prawa przyczynia, tak w narodach ta familija², ten naród gwałci prawa innych narodów, który więcej od innych sobie praw przywłaszcza.

Wojna jest ustawą Stwórcy: zgadza się z rozrządzeniem Stwórcy, kiedy jej końcem³ jest ocalenie rodzaju ludzkiego. Wojna — jest to jedyny sposób, który Najwyższy Prawodawca podał ludziom dla obronienia swoich praw, dla oswobodzenia się od gwałcicieli. Tylko ta wojna jest godziwą i sprawiedliwą, która prawa ludzi broni.

Gwałcicielem praw narodów jest każdy despota: albowiem, gdziekolwiek choć jeden tylko despotyzm istnieje, tam w pogranicznych narodach już z trudnością utrzymują się rzeczypospolite.

Gwałcicielem praw narodów są wszystkie te familije, każdy ten człowiek, który w jakimkolwiek narodzie sobie jednemu władzę prawodawczą przywłaszcza. Gwałcicielem praw narodów jest ta familija, to społeczeństwo, które utrzymuje wojsko regularne: bo nadaje stu tysięcy ludziom przez sztukę większą moc, niżeli Bóg nadał milionom.

Gwałcicielem praw narodów jest ta familija, albo te familije, które, jak ziemię, bydło i inne stworzenia, tak ludzi swoją własnością nazywać ozuchwalają się.

Gwałcicielem praw narodów jest każdy ten książę, król, cesarz, zgoła jakikolwiek człowiek, jakikolwiek urzędnik, który waży się przymuszać bronią tego człowieka, tę wieś, to miasto, prowincyją, naród, aby pod jego rządem zostawali, kiedy to miasto, prowincyja, naród nie podoba sobie pod takim rządem, chce się przyłączyć do innego towarzystwa, albo obrać sobie inny rząd. Gwałcicielem praw narodów jest taki książę, król, cesarz, który wydaje wojnę jakiemu krajowi dla odzierzenia go, lub dla zagrabienia mu prowincyj, nie wstydząc się zasadzać na tym najsromotniejszym dla ludzi, a najzuchwalszym dla niego dowodzie, że te miliony ludzi są posagiem jego żony, są puścizną po babie, stryju albo wuju. Sprzysięzcami na prawa narodów są wszystkie te familije, pod jakimkolwiek imieniem, które czynią tajemne spiski na podzielenie między siebie narodów, które sprzedają, frymarczą, wojnami sobie wydzierają, — a po wojnach przez ugody dzielą między siebie miliony takichże, jak oni, ludzi, ustępują sobie, zamieniają naród za naród.

¹ społeczeństwo.

² dom panujący, dynastaja.

³ cel.

Podpisywać niewolę jednej części współobywateli żaden człowiek i żadne zgromadzenie nie ma władzy, — tylko trzeba zezwolenia dobrowolnego tych samych ludzi, o których wolność rzecz idzie. Sejm najlegalniejszy tylko część narodu może z swojego towarzystwa wymazać, ale oddawać w niewolę nie ma żadnej władzy. Ktokolwiek na to się poważa, czyni występki przeciwko ludzkości. Człowiek być własnością człowieka nie może.

Dzisiaj już cała ziemia podzielona, obsiadła, jest najsprawiedliwszą własnością tego, co ją uprawia. Przeto dzisiaj inny sprawiedliwy zamiar wojen być nie może, tylko praw narodów całość. Ta każda wojna jest niesprawiedliwą, którą zaczyna ktokolwiek dla innego pożytku, nie dla ocalenia praw narodów, ani dla powrócenia jakiemu ludowi urodzonej wolności zawierania towarzystwa z tym, z kim dobrowolnie zechce, albo obie-rania sobie rządu takiego, jaki mu się podoba.

Dzisiaj nie można prowadzić wojny dla odzierzenia pod jakimkolwiek pozorem ziemi, bo każda ziemia jest własnością ludzi, którzy ją pierwsi obsiedli. Nie można też prowadzić wojny dla odzierzenia tych ludzi, bo ludzie nie są bydłtę, ażeby własnością drugiego człowieka być mogli.

Ale tylko wojna na tem kończyć się powinna, aby tych ludzi przez wojnę postawić w tym stanie wolności, żeby stowarzyszyć się mogli z tym, z kim sami zechcą, i obrali sobie rząd, jaki im się podobać będzie. (*Prze-strogi dla Polski*). ★

160. Od wczesnych lat rozmyślał Staszic nad historją całej ludzkości i zaczął, jak mówi w swej autobiografji, «szukać przyczyny źródłowej... pokrzywdzenia i zboczenia towarzystw ludzkich z drogi szczęścia». Pobudką do tych rozmyślań był widok niesprawiedliwości względem mieszczan i chłopów we własnej ojczyźnie: skąd poszło, że jedna warstwa społeczna jest na górze, a inna na dole? Silniej jeszcze zaczęły się narzucać Staszicowi myśli o dziwnych i zmiennych kolejach ludzkości, kiedy się powstanie Kociuszkowski skończyło kłęką: jak to może być, żeby cały jeden naród poszedł pod but trzech zbrodniarzy? Myśli te dręczyły i szarpały Staszicowi duszę; uspokojenie znalazł dopiero w samotnych wędrowkach «wpośród wielkich opuszczałych¹ borów» zwierzynieckich (pod Zamościem):

Jak tu dobrze!... w tej dzikiej kniei, w borow ładu,
Jaka spokojność w moim czuciu i myśleniu!
Zda mi się, że tu więcej zbliżon do natury!
Trafilem moim życiem na nieszesne czasy,
W których swobodne — tylko te dzicze bezludne,
Gdzie materyi rozumu nie tknęły się władze.
Tu natura nietkniętą jeszcze. W puszczach lasu
Znaiduję niewzruszone mieszkanie pokoju.

I oto w borach zwierzynieckich wykolysał Staszic pomysł olbrzymiego poematu, obejmującego przeszło 17.000 wierszy i uzupełnionego jeszcze licznymi i olbrzymimi przypiskami prozą, p. t. *Ród ludzki, poema dydaktyczne*. Długo pracował nad nim: dopiero w roku 1819, wydał tom pierwszy, a w następnym — drugi i trzeci. Wartości artystycznej utwór ten nie ma, bo jest pisany nie prozą, tylko wierszem, a Staszicowi, chociaż mu w duszy grała poezja (czego dowodem są niektóre ustępy jego pism politycznych), «Bóg...

¹ opustoszał, bezludny, dziki.

odmówił tej anielskiej miary, bez której ludziom nie zda się poeta»; że nie umiał i nie mógł się zdobyć na piękny wiersz, o tem świadczy aż nadto wymownie jego przekład *Iljady* (1815). Wręcz śmieszne wrażenie sprawia często trzynastozgłoskowy wiersz *Rodu ludzkiego*, nie dlatego, że, zamiast rymów, są asonanse (np. ciemności — ludzi, wszystko — niebo), ale dlatego, że jest pozbawiony rytmiki i wogóle dźwięczności. A dotego ortografja i język pełne są dziwactw, jakie opętały Staszica na starość, i z których, przy całej czci dla niego, śmiano się w Warszawie. Krążył np. po mieście wierszyk: «A znasz ty księdza Staszica, — co z ojca zrobił oica?», bo za nic w świecie nie chciał on pisać *j* w środku i przy końcu wyrazów, upierając się przy *i*; upierał się także pisać *puszcza zam. puszcza, nieszczesny zam. nieszczesny, brzenk zam. brzęk, rucać zam. rzucać, smysł zam. zmysł i t. d.* A w języku są takie nowotwory, jak *cherchl* (rżenie rżniętych bydła), *ta dzierz* (własność), *ten dzierz* (władca), *jednodzierz*, *zabobondawca*, *obrzydność*, *bratynstwo* (pobratymstwo) i t. d. Pomimo to wszystko nie wolno w historii literatury niepodległej Polski pomijać tego poematu milczeniem, i to nie tylko dlatego, że wyszedł z pod pióra Stanisława Staszica, ale nade wszystko dlatego, że, chociaż napisany i wydany dopiero w Polsce porobiorczej, treścią swoją i duchem należy do ostatniej epoki literatury Polski niepodległej i że doskonale charakteryzuje umysłowość tej epoki.

Treścią poematu są rozważania nad historją rodu ludzkiego: jakimi drogami kroczyła ludzkość od pierwotnej dzikości do dzisiejszej cywilizacji? co było w tym rozwoju czynnikiem pożytecznym, a co szkodliwym? czy z tego rozwoju dadzą się wysnuć jakieś stałe kierujące nim prawa? czy jest on owocem jedynie wolnej woli człowieka i wrodzonego mu dążenia do możliwie największego szczęścia, czy też jakiejs konieczności, to jest woli bożej? co będzie z rodem ludzkim w przyszłości? Te i inne jeszcze zagadnienia nurtowały w myślącej głowie i w szlachetnem sercu Staszica nie tylko pod wpływem tego, co się za jego czasów działo na świecie (zwłaszcza rewolucji francuskiej i upadku Polski), ale także pod wpływem wielu przeczytanych książek. Bo trzeba wiedzieć, że właśnie w wieku XVIII powstała nauka, która się zajmuje temi wszystkimi zagadnieniami, a której właściwym twórcą jest znakomity myśliciel włoski Vico, jako autor dzieła *Podstawy nowej wiedzy o wspólnej naturze narodów*. «Filozofją historji» nazwał tę naukę Wolter, i on to niemało przyczynił się do tego, że, w drugiej połowie XVIII wieku, jak z rogu obfitości, sypały się w Europie zachodniej rozprawy i książki o rozwoju rodu ludzkiego. Do najznakomitszych badań w tej dziedzinie należy wielkie dzieło myśliciela niemieckiego Herdera (1744—1803) *Pomysły do filozofji dziejów rodzaju ludzkiego* (1791). A nie tylko filozofowie i historycy, ale także poeci zastanawiali się często nad dziejami ludzkości; tak np., jeszcze w pierwszej połowie XVIII wieku, najznakomitszy klasyk angielski, Pope, napisał wierszem niewielki poemat filozoficzny *O człowieku* (1734), a znacznie później pisarz francuski Volney napisał (bardzo poczytny w Polsce) poemat prozą p. t. *Ruiny czyli rozmyślania o rewolucjach państwowych* (1791). Otóż Staszic pochłaniał tego rodzaju książki, które też na jego *Rodzie ludzkim* wycisnęły wyraźne piętno, zarówno na ogólnym pomysle poematu, jak na niektórych jego szczegółach.

«Historija rodu ludzkiego — mówi Staszic w jednym z przypisków — jego cywilizacja czyli ludzkie społeczeństwa, chociaż na tyle podzielone roz-

maitych narodów, różniących się początkiem, krajów strefami, przecież znajduje się wszędzie jeden stały systemat, jedne zasady i jednakowe od tych zasad zdarzają się zboczenia». Tak więc dzieje całej ludzkości, bez względu na składające ją narody, wyobraża sobie Staszic, jako coś jednolitego, podobnie jak *Vico*, który wyimaginował sobie «wieczną idealną ludzkość». I takie właśnie ujęcie przedmiotu jest śmiertelnym grzechem *Rodu ludzkiego*; chociaż bowiem nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wszystkie narody (bez względu na to, w której części świata mieszkają i w jakiej chwili występują na widownię dziejów powszechnych) są podległe wpływom tych samych czynników, np. klimatu, gleby, religji, sąsiedztwa z innymi narodami i t. d., to jednak te same czynniki nie są takimi samymi, bo przecie klimat klimatowi, gleba glebie, religja religji, sąsiedztwo sąsiedztwu i t. d. nie równe! Oto dlaczego «ród ludzki» w poemacie Staszica jest raczej ideą, abstrakcją, aniżeli czemś żywym. Tę zaś jego ideę rozwoju ludzkości możnaby streścić tak.

Zrazu rodzaj ludzki żył, jak zwierzęta, to jest nie wiedząc, poco i naco. Ale Opatrzność dała człowiekowi rozum, który, wciąż się rozwijając, coraz jaśniej uświadamiał sobie, że najwyższym celem życia na tej ziemi jest szczęście całej ludzkości, którego nie może być bez braterstwa i miłości wszystkich ludzi; zrozumiał ród ludzki tę prawdę w miarę uspołeczniania się, to jest tworzenia coraz większych zrzeżeń — od rodziny do państwa. Ale cóż, kiedy na tej drodze ku szczęściu natrafiał na różne przeszkody, albo raczej sam je tworzył, a to dzięki takiej, a nie innej, danej mu przez Opatrzność, naturze, mianowicie naturze swojego umysłu: albowiem z woli Opatrzności «władze rozumu razem władzami są głupstwa; — tem się różnią istotnie ludzie i zwierzęta: — ostatnie ani głupie, ani są rozumne, — człowiek zarówno pierwszym, jak drugim być może»; niedosyc na tem: «władze rozumu», także z woli Opatrzności, póki jeszcze nierozwinięte, nieraz wiodą człowieka nietylko ku dobremu, ale i ku złemu, a więc np. do wojny, do «samodzierzstwa» i «jednodzierzstwa», to jest do despotyzmu i, co za tem idzie, do uciskania ludzi. Do wielu głupstw i wielu objawów złego, stworzonych przez rozum ludzki, zalicza Staszic «zabobonstwo», to jest religję, dającą ludzi pod władzę «zabobondawców», to jest duchowieństwa, wyzyskującego głupi naród dla swych samolubnych celów. Całą wogóle historję kultury kościelno-religijnej poczytuje Staszic za jeden wielki obłęd ludzkości i za jedno wielkie oszustwo ze strony duchowieństwa; Kościoła katolickiego nie nazywa wprawdzie ani razu po imieniu, ale mówi o nim często pod bardzo przejrzystą obłonką: to wszystko mianowicie, co mówi o «zabobondawcach», «popach», «metropopach», «derwiszach», «wściekłowiercach», «biesotłukach», «rajfurach», «świeciarzach», «trupomaszczarzach» i t. d., to jeden wielki akt oskarżenia przeciw Kościołowi; rozmyślnie ogłupianie ludzi, wyzysk materialny możnych zarówno, jak biednych, «wściekłowiarstwo» (to jest fanatyzm), inkwizycja, haniebny oportunizm, mordowanie prawdziwej moralności: oto pogląd Staszica na rolę kulturalną Kościoła. Najgorszym złem jest w jego oczach przymierze «samodzierzstwa» i «jednodzierzstwa» z duchowieństwem, to jest władzy świeckiej z kościelną: ten «związek» jest «w dziejach ludzkich najstraszniejszy», owocem jego bowiem jest największe ze wszystkich nieszczęść — niewola. Ale Opatrzność, rozumuje Staszic, czuwa nad światem: wprawdzie Pan Bóg, stworzywszy świat, a na nim człowieka, nie objawia mu przez nikogo swojej woli i nie wdaje się już sam

w sprawy ludzkie, ale stworzył świat i człowieka tak, że głupstwa i zbrodnie same się karzą, a czyny mądre i cnoty same się nagradzają, jeśli nie w tem, to w przyszlęm życiu, w następnem wcieleniu człowieka (Staszic wierzył w reinkarnację), że, co więcej, największe nawet głupstwa i zbrodnie wychodzą ludzkości na dobre, przyczyniają się bowiem przez to, iż je ona prędzej czy później zwalcza, do postępu umysłowego i, co za tem idzie, do postępu moralności zarówno, jak szczęścia. «Zaboboństwo» runie: ludzie sami, bez pomocy duchowieństwa, i stokroć lepiej, będą wiedzieli, jak pełnić wolę bożą; runie także despotyzm: ludzie będą wolni — i nastanie epoka szczęścia; nie będzie wojen — nastanie pokój, a wszystko to stanie się za powodem rozumu, doskonalącego się ustawicznie dzięki wzrostowi i szerzeniu się oświaty; oświata zaś przestanie być nakoniec własnością jedynie warstw «wyzszych» i będzie dobytkiem wszystkich: «Doskonalijcie władzę powszechnie rozumu, — zbliżycie się do prawdy, szczęścia i pokoju».

W nadejście tej epoki Staszic mocno wierzył, a i w to także wierzył, że się w tej epoce urzeczywistni jeden z jego najdroższych ideałów — zrzeszenie się narodów, i że do urzeczywistnienia tego ideału jest powołane nadewszystko plemię słowiańskie. Tę swoją wiarę wyraził Staszic, zanim jeszcze skończył *Ród ludzki*, w rozprawie p. t. *Myśli o równowadze politycznej Europy* (1816), a potem — w przypiskach do *Rodu ludzkiego*: «Naród Sławian... upornych zetrze, a natura na ich prochach przez Sławian zrzeszenie ludów ziści». To powołanie czyli misję plemienia słowiańskiego uzasadnia Staszic tem, że już w przeszłości położyło ono ogromne zasługi około rodu ludzkiego: «Kto Europie większe od narodu Sławian uczynił przysługi?... Sławianie byli niezłomnem przedmurzem cywilizującej się za nimi Europy. ...Kto niezliczone hordy Tatarów, Baszkierów, Kalmuków, Kozaków i Turków, niosących miecz i ogień na Europę, stale wstrzymywał i rozbijał na brzegach Wisły, Buga, Donu i Dniestru? Polacy. Kto od Bisurmanów jarzma oswobodził stolicę europejskich cesarzów? Polacy. Kto zburzył i do szczytu zniszczył siedz dziczy kozackiej i w rządne pulki ją posforzył? Rosyjanie. Kto wiecznie nieprzestępnie założył grody w górach Kaukazu przeciw najazdom ludów Azji? Rosyjanie. Kto od jednego z największych wojarzy oswobodził Europę? Rosyjanie». Spełnią zaś ludy słowiańskie swoją misję wówczas, kiedy się zrzeszą pod przewodnictwem Rosji: «Połączenie i zrzeszenia Sławian w cesarstwie rosyjskiem sprowadzi zrzeszenie Europy, zniszczy w niej wojny i nada tej części świata stały pokój».

Kiedy Staszic zaczynał pisać *Ród ludzki*, nie sniło mu się jeszcze o tem, żeby Rosja mogła stanąć na czele ludów słowiańskich i powieść je do spełnienia wielkiej misji: myśl ta powstała w głowach polskich dopiero w XIX wieku, już po zwycięstwie Rosji nad «największym wojarzem» (Napoleonem) i po utworzeniu Królestwa Kongresowego; wiele szlachetnych serc polskich, a w ich liczbie serce Staszica, biło wtedy wiarą w cesarza Aleksandra.

Lecz, poza tą jedną myślą, jest *Ród ludzki* odbiciem umysłowości polskiej nie początków XIX wieku, tylko drugiej połowy wieku XVIII, mianowicie epoki oświecenia, i to odbiciem najlepszem, najzupełniejszym, na jakie się literatura nasza zdobyła.

Wszystko się zmienia, wszystko zmieniać będzie,

Tylko ustawy świata są stałe, niezmiennie:

Wszystko na świecie w pewnym zmienia się porządku

I postępuje ciągle do swego umiaru;
Nic nie dzieje się ślepo: natura ma cele;
Do nich musi koniecznie dążyć wsze stworzenie.

To znaczy: jest na świecie «porządek fizyczno-moralny», któremu ród ludzki, czy chce, czy nie chce, musi podlegać, bo to prawo bożę; człowiek z natury swojej musi być mędrszym i lepszym, a przez to coraz szczęśliwszym; wprawdzie ta jego natura nieraz ciągnie go do złego, ale, w miarę rozwoju rozumu, człowiek coraz lepiej zdaje sobie sprawę z tego, co złe, a co dobre, co mądre, a co głupie, i wszystko, co złe i głupie, usuwa powoli z drogi, wiodącej go ku dobremu i ku szczęściu. I w takim właśnie «porządku fizyczno-moralnym» objawia się najwspanialej Pan Bóg; co więcej, taki właśnie «porządek fizyczno-moralny, taka konieczność przyrodnicza postępu ludzkości jest tkwiącą w świecie Opatrznością bożą, bo przecie nie kto inny, tylko Pan Bóg dał człowiekowi taką naturę. Oto przewodnia myśl *Rodu ludzkiego*. Mogła się ona w głowach ludzkich zrodzić dopiero w epoce oświecenia. Odbiły się także w Rodzie ludzkim inne myśli i uczucia tej epoki, a więc: wpadająca w bałwochwalstwo wiara w nieograniczoną potęgę rozwijającego się wciąż rozumu; jednostronny pogląd, że postęp ludzkości zależy jedynie od kultury rozumu; jeszcze ciasniejszy pogląd, że religja dogmatyczna i Kościół to jakiś obłęd «ludzkich zmysłów»; nienawiść wszelkiego «wylącznictwa», to jest egoizmu łbów koronowanych i «wyższych» warstw społecznych, egoizmu, który pociąga za sobą niewolę polityczną i krzywdę społeczną. W żadnym innym utwprze literatury naszej w epoce oświecenia walka o święte prawa człowieka nie jest tak gorąca, jak w *Rodzie ludzkim* Staszica; i w żadnym innym jego utworze nie przemówiła, mimo jednostronnego i ciasnego poglądu na kulturę kościelno-religijną, jego żywa i głęboka wiara religijna nietylko w istnienie Boga i w Jego wszechmoc, ale i w Jego miłość, w to, że «Bóg chce, abyśmy byli wszyscy szczęśliwymi», i że tak stworzył człowieka, że czasem szczęście osiągnie.

Zakończenie
księgi
ostatniej.

Zmienić stosunki Stwórcy z nami, nasze — z sobą
Sam Bóg nawet niemocen: On jest wykonawcą,
Sądzi ich wypełnienia lub onym schybie¹,
On nie widzi obrządków czczych, ani ich nie przyjmie,
Ale czyni człowieka wszystkie zna i czuje;
Tych prawość lub nieprawość nagradza lub karze²,
Więc nie może Mu daną bywać cześć w obrządkach,
Ale tylko w moralnych, tylko w dobrych czynach.

Taką cześć w narodowe, w dni święte spoczynku
Oddaje mu skupiony ród w dobroczynstw domu.
Tam zasiada na czole starszyzna z cnych ojców,
Sam urzędników wybór do tych świąt obrzędów.
Z nich jeden o człowieka mówi powinnościach
Lub o obywateli prawach, obowiązkach,
O krajowych potrzebach, o środkach ratunku;
Potem oddawają cześć religijną Bogu
Przez samych dobroczynnych pełnienie uczynków.

¹ uchybianie.

² bo takie są prawa natury.

Dopiero naczelnicy, pierwszy z urzędników

Czyta głośno wyryte na wielkim kamieniu

To wyznanie powszechne całego narodu:

«Bóg, istota najpierwsza, jestestwo niezmierne

«Istnie od wieków jedne i jest nieśmiertelne,

«Nie ma ani początku, ani nie ma końca,

«Sprawiedliwe; moc Jego nieustannie działa,

«A równie jak niezmierne, tak jest i niezmiennie.

«Od wieków ma swe pewne, prawa zawsze stałe;

«Podług tych praw być może tylko działającym

«I podług nich być wszystko musi Mu podległym.

«Od tych praw wiecznych nikt być wyjętym nie może.

«Moc ogromna, nad sobą którą wszystko czuje,

«Temi jest odwiecznymi prawami władana.

.... Bóstwo! ... na którego niepojętość patrzę,

«Lecz którego początku, końca nie pojmuję,

«Twą moc wszędzie, ustawnie nad sobą doznawam,

«Lecz sobie wyobrazić nigdy Cię nie zdołam.

«Mając związki z tym światem i ze mną niezmiennie,

«Ty czujesz, widzisz moje złe i czyny dobre.

«Zgodne z moim stosunkiem z Tobą wynagradzasz,

«Sprzeczne karą na mnie, na pokoleniach ścigasz.

«Czyny, z prawem ludzkości zgodne, sąc najmilsze:

«Im wyznaczasz nagrody największe, najtrwalsze:

«Za czyn, co ród szczęśliwi, dajesz nieśmiertelność;

«Najstraszniej karzesz czyny, które gwałcą ludzkość.

«Rodzaj człeka jest rodem Twojego wyboru;

«Najzużyteczniejszy ludziom najmiłszym jest Bogu:

«Ten, kto ród doskonali, ten, kto go oświeca,

«Zwiększa swą nieśmiertelność, zbliża się do bóstwa.

«Kto ludzkość zdradził, innym i sobie obrzydły:

«On w nieszczęściu nad sobą ludzkości nie wzruszy,

«Życie jego w zgryzotach, w samych tylko grozach,

«Po śmierci z nim nienawiść, niepokój ma w grobach.

«Bóstwo! Tyś powinności¹ dało mi niezbędność,

«Dla ich spełnienia dałoś pewnych praw należność;

«W tych zachowaniu człeka prawdziwa szczęśliwość,

«W schybianiu² im cierpienie i śmierci przedwczesność.

«Rozum człeka własnością do poznań stosunków,

«Do ich rozróżnień od czczych i mniemań, i fałszów.

«Człek, gdy pojmie rozumem wszech stosunków prawdę,

«Prawdziwej moralności wtenczas pozna księgę.

«Za wszelkie przyrodzenia prawd wiecznych przestępstwa

«Ujrzy swoją, swych dzieci, karę pokolenia.

«Przekona się, że wszystko, co fałszem, jest znikłe,

«To tylko, co prawdą, jest stałe, rzeczywiste,

«Że zły robi dzieło czcze, dzieło oszukania;

¹ obowiązki. ² uchybianie.

«Gdy już, jak cedr Libanu, wyniósł się pod niebo,
«Wtem, ledwo przeszedł mędrzec, już go tam nie było.
«Wtenczas ujrzą tę grozę zbójec i lupiezca,
«Co złośliwych ogarnia, wynędznia i zgubia.
«Jak, kto zdradził ojczyznę, już w życiu nędznieje,
«Plemię jego nieszczęsne, niedługo jest trwałe.
«Ujrzy i syn niewdzięczny swe wszystkie nieszczęścia,
«Niewdzięczność go ohydza, gubi, dni mu skraca;
«Fanatyk w sobie, w innych dręcząc przyrodzenie;
«Rozpustnik pozna bóle, co za życia jeszcze
«Jego kości wysuszą, jego strupią ciało.
«Jednodzierz ujrzy strachy wokrom¹ domu swego,
«Jak sam bez snu, bez mieru² szernieje, a plemię
«Po nim słabnąć, nieplodnieć i nikczemnieć będzie.
«Ponieważ, co raz istnie, to zginąć nie może,
«Tylko kształt zmienia, znawu³ innym kształtem istnie,
«Znawu w prawych stosunkach swoje dobre mienie,
«A w stosunkach fałszywych nieszczęście znajduje.
«Nieśmiertelny duch czleka, który złe wyrządził,
«Który w narodach prawe stosunki fałszował,
«W drugim życiu, pod inną istnienia postacią,
«Toż złe, będzie doświadczać niewolę też samą.
«Nie mogąc użyć prawdziwych stosunków szczęścia,
«Będzie cierpiał z fałszywych niedolę, strapienia.
«Dzierz, jednodzierz⁴ ucierpią to złe, tę niewolę,
«Jaką ludzkie zjarzmili i nędznili plemię.
«Zaboboniec⁵, co fałszu ubóstwiał stosunki,
«Zaciekły nieprzyjaciel swój własny i ludzi,
«On, co mniemał, że wstąpi w światłość, w nieśmiertelność,
«Ujrzy się porzuconym wtenczas w wieczną ciemność».

Uczcież się, ludzie, poznać jestw⁶ z wami stosunki,
Byście swe powinności wypełniać umieli!
Doskonaliście władzę powszechnie rozumu,
Zbliżycie się do prawdy, szczęścia i pokoju.

161. Charakterem i wartością moralną od Staszica o całe niebo niższy, rozumem politycznym prześcignął go książdz **Hugo Kołłątaj** (1750—1812), urodzony w Sandomierskiem (pochodzący z dawnej szlachty smoleńskiej), najznakomitszy ze wszystkich pisarzy politycznych niepodległej Polski i jeden z najznakomitszych polskich mężów stanu, właściwy twórca konstytucji 3 maja. I on, jak Staszic, posiadał rozległą wiedzę, mianowicie w zakresie nauk historycznych, społecznych i politycznych, ale przewyższał go nie tylko zdolnościami, ale nadewszystko logicznością i trzeźwością umysłu, oraz znajomością spraw państwa. I on był gorliwym zwolennikiem postępu, i on wierzył w potęgę wiedzy, ale nie mając w swoim charakterze ani zdźbła marzycielskości, a i gorącością serca bynajmniej nie grzesząc, nigdy się w myślach swoich zbyt daleko nie zapędzał; nie cierpiał marzycieli,

¹ nazewnątrz. ² bez spokoju. ³ despota. ⁴ duchowny. ⁵ t. j. jestestw (innych ludzi).

którzy, jak mówił zbyt ironicznie, «romansami zapalają sobie głowy», nie dał się nikomu, nawet Rousseau'owi, na plewy złapać, ceniąc tylko takie myśli, które się urzeczywistnić dadzą, a pomysły, choćby najpiękniejsze i najszlachetniejsze, ale niepraktyczne, t. j. właśnie owe «romanse», odrzucał bez żadnego wysiłku umysłu i bez żadnej ofiary serca. Krótko mówiąc, był to umysł niezwykle praktyczny (i przez to wręcz wyjątkowy w Polsce), ostrożny, wyrachowany i — chłodny. Kollątaj to nie marzyciel, ale trzeźwy myśliciel, nietylko teoretyk, ile przedewszystkiem mąż czynu. Do czynu zaś parla go poczęści miłość ojczyzny, ale więcej chciwość mienia i zaszczytów, a najwięcej namiętna, szalona ambicja odegrania wybitnej roli politycznej; słusznie powiedziano o nim, że, gdyby był pewny, iż z pomocą diabła wdrapie się wysoko, toby mu bez wahania duszę swoją zapisał. Do celu dążył cierpliwie, wytrwale, ze śmiałością, posuniętą aż do zuchwałości, nie przebierając w środkach; jeżeli został księdzem, to nie dla służby bożej, ale jedynie dla kariery publicznej. I dopiął celu: historja jego życia to część historji całej Polski XVIII stulecia!

W młodym jeszcze wieku, wkrótce po powrocie z zagranicy, gdzie się po ukończeniu akademji krakowskiej lat kilka kształcił, rozpoczął swoją działalność, — zrazu na polu oświaty: był jednym z najczynniejszych i najzasłużeńszych pracowników Komisji Edukacyjnej, z której ramienia wyjechał do Krakowa dla dokonania reformy akademji, i świetnie się z tego zadania wywiązał: w podupadły, zwyrodniały, pogrążony w mrokach średniowieczny uniwersytet wlał nowe życie, podniósł go do godności instytucji naukowej, który to charakter ze szczętem zatracił był uniwersytet w wieku XVII.

Ale ten czyn znakomity nie zaspokoił ambicji Kollątaja: marzył o działalności politycznej. Jakoż, mianowany referendarzem litewskim, mógł ją rozpocząć. Poznani się na jego nadzwyczajnych zdolnościach i referendarz koronny, Stanisław Małachowski, przyszyły marszałek wielkiego sejmku, i Ignacy Potocki, i inni, więc dopuścili go do swych obrad nad wielką reformą polityczną i społeczną, której miał dokonać nadchodzący sejm; z doradcy stał się wkrótce Kollątaj nietylko kierownikiem i przywódcą tych narad, ale i twórcą programu naprawy Rzeczypospolitej, który wyłuszczył i uzasadnił w swoim znakomitem piśmie: *Anonima listów kilka*; pismo to, narówni z dziełami Staszica, wywarło ogromny wpływ na umysły i przygotowało je do podjęcia wielkiej reformy. A kiedy się zaczął sejm wielki, Kollątaj, chociaż z początku bezpośredniego udziału w jego obradach nie brał, wpływał na nie pośrednio, był bowiem duszą stronnictwa patryjotycznego i w dalszym ciągu oddziaływał na opinię publiczną, a to zapomocą pism i broszur politycznych, nietylko własnych, ale i cudzych, wychodzących z tak zwanej «Kuźnicy Kollątajowskiej», t. j. pisanych pod jego kierunkiem i natchnieniem przez jego stronników politycznych. On to jest autorem owego wspaniałego memoriału, który mieszczanie złożyli królowi; za jego to głównie sprawą otrzymali mieszczanie prawa w pamiętnym dniu 18 kwietnia r. 1790; on to kierował czynnościami deputacji, wysadzonej z łona wielkiego sejmku dla ułożenia formy rządu. I dlatego to on jest właściwym twórcą konstytucji 3 maja. Wreszcie, po ogłoszeniu konstytucji, spełniły się jego marzenia: został podkanclerzym koronnym, ministrem, i odtąd już bezpośrednio wpływał na obrady sejmowe. A i w późniejszych wypadkach odegrał rolę wybitną: podczas powstania Kościuszki był nietylko ministrem

skarbu, ale i duszą rządu powstańczego (wraz z Ign. Potockim i Wawrzec-
kim). Ale też na tem skończyła się jego karjera.

Uwięziony przez rząd austriacki, lat kilka męczył się w więzieniu, a później, wypuszczony na wolność, już nigdy nie odegrał wybitniejszej roli politycznej: pragnął wprowadzić całą duszą swoją wypłynąć nawierzeh w Księstwie Warszawskiem, ale mu ludzie nie dali. A dlaczego? Dlatego, że się poznali na jego charakterze, że nie chcieli mu zapomnieć wygórowanej ambicji, mściwości, nieprzebierania w środkach, bezwzględności w postępowaniu z ludźmi, których wyzyskiwał, wyciskał, jak cytrynę, a potem, gdy mu już byli niepotrzebni, odrzucał, szkalował i deptał. A ta bezczynność przymusowa w ostatnich latach życia była mu męką straszliwą; szarpał się i szamotał, jak ptak w klatce, usiłował pogodzić się z losem, — daremnie: ambicja, zazdrość na widok dawnych towarzyszków, pracujących dla dobra ogólnego, pamięć dawnego stanowiska, energia i namiętna żądza czynu, miłość ojczyzny, a nadewszystko świadomość olbrzymich zdolności, idących na marne — słowem, cała jego dusza nie mogła i nie umiała zdobyć się na rezygnację. A do tego sprawdziło się na nim przysłowie: «Poniósł wilk owce, ponieśli i wilka»: mściwi i zazdrośni ludzie szarpali jego sławę, odsądźali go od czci i wiary, oskarżali go Bóg wie nie o co, że np., uciekając z Warszawy w dzień szturm Pragi, ukradł i uwiózł z sobą grosz publiczny i jakieś kosztowności. Co do grosza publicznego — to fałsz niegodziwy; co do kosztowności — to rzecz niedowiedziona. Niestety, inne oskarżenia były poczęści słuszne: jako członek rządu powstańczego, intrygował Kollątaj przeciw Kościuszcze, a odpowiedzialność za krwawe czyny, których widownią była podczas powstania Warszawa d. 9 maja i 28 czerwca, na niego poczęści spada — o tyle, że, mając w ręku władzę, nie zapobiegł im, opętany myślą terroru rewolucji francuskiej. I jeszcze jeden grzech, dawniejszy. Oto, wyjeżdżając z Warszawy zagranicę po zawiązaniu konfederacji targowickiej, złożył Kollątaj na ręce jednego ze swych zaufanych piśmienną obietnicę, że przystąpi do konfederacji, jeżeli targowiczanie nie pozbawią go podkanclerstwa i zwrócą mu skonfiskowany majątek. Uczynił wprawdzie ten krok w nadziei, że, jako członek rządu targowickiego, będzie mógł bronić konstytucji 3 maja i nie pozwolić na jej upadek; jest to niewątpliwie okoliczność łagodząca, ale aż strach, aż zgroza pomyśleć: twórca konstytucji chciał być targowiczanie, a jeżeli nie był, to jedynie dlatego, że targowiczanie nim wzgardzili! Człowiek, tak wielki rozumem i wolą, a tak mały sercem! Litość bierze porównywać go z czystym, jak iza, Staszicem! Tej plamy, tego nieszczęsnego akcesu do Targowicy, nie zmyje nigdy nikt ani nic.

Ale też nigdy nikt ani nic nie odbierze mu tych wielkich zasług, jakie dla ojczyzny położył, jako reformator uniwersytetu krakowskiego i twórca konstytucji 3 maja, i nikt ani nic nie straci go z tego stanowiska, jakie wywalczył sobie w historii literatury polskiej i polskiej myśli politycznej. Piśma polityczne Kollątaja to nietylko zakończenie, ale zarazem korona literatury politycznej niepodległej Polski — tej bogatej, mądrej i szlachetnej literatury, która, stworzona w wieku XV przez Ostroroga, posiada takich przedstawicieli, jak w wieku XVI Modrzewski, Górnicki i Skarga, w XVII — Starowolski i Łukasz Opaliński, w XVIII — Leszczyński, Konarski i Staszic. Tych wszystkich przewyższa Kollątaj nietylko trzeźwością i rozumem politycznym, ale i tem jeszcze, że on jeden jedyny zdobył się na z u p e ł n y

program naprawy Rzeczypospolitej, że on jeden jedyny objął nietylko całość, ale i wszystkie szczegóły reformy.

162. Lecz wysokie stanowisko w historii literatury polskiej zapewniają Kollątajowi nietylko pisma polityczne. Podobnie jak Staszic, był to umysł zdumiewająco wszechstronny i rzutki: równie żywo, jak teraźniejszość Polski (i całej Europy), obchodziła go przeszłość własnego narodu i całej ludzkości, zwłaszcza pierwotna historia rodzaju ludzkiego, oraz historia oświaty, w której czarodziejską potęgę wierzył równie gorąco i fanatycznie, jak Staszic; oprócz polityki i historii, pociągała go filozofja praktyczna, mianowicie etyka; «piękne sztuki, osobliwie budownictwo i malarstwo lubił aż do zapалу» (jak świadczy jego biograf, Jan Śniadecki); zajmował się bardzo żywo — on pierwszy w Polsce — życiem ludu wiejskiego, jego obyczajami, obrzędami, pieśniami, językiem. O wszystkich tych zagadnieniach i przedmiotach pisał Kollątaj, czy to w dziełach, które przeznaczał do druku, czy też w listach do znajomych, a pisał tak, jak o rzeczach naukowych nikt za jego czasów w Polsce nie pisał. Proza Krasickiego jest jasna, swobodna, prosta, wdzięczna, często obrazowa, ale Krasicki nie pisał o przedmiotach naukowych; Naruszewicz pisał, ale ograniczał się tylko do historii, a zresztą jego styl jest, przy wielu swoich zaletach, trochę przyciężki; Staszic umiał się zdobyć na piękno stylu jedynie wtedy, kiedy mu serce biło miłością i litością, albo też oburzeniem i świętym gniewem; lecz kiedy mu pióro prowadził sam tylko rozum, pisał ciężko i zawile. Prawie wszystko, co napisał Kollątaj, wypłynęło nie z żywo bijącego serca, tylko, jak przystało na pisarza o charakterze naukowym, z myślącej głowy: wzruszyć, nie wzruszą one nikogo, ale każdemu dadzą o tem, o czem autor pisze, dokładne pojęcie — bez trudu ze strony czytelnika, a to dzięki doskonałemu układowi treści i przejrzystej budowie najdłuższych nawet okresów, dzięki doskonałej jasności stylu, połączonej z prostotą i powagą, a czasem z ozdobnością i obrazowością, dzięki szczęśliwemu doborowi wyrazów, oddających wiernie myśl autora. «W dziełach Kollątaja — mówi Śniadecki — język wszędzie czysty, żadnem przekręcaniem słów nie dręczony, ani znieważony niepotrzebnych nowem kleceniem, tok rodowity i szczeropolski; styl poważny, płynny i harmoniczny, ciągnący ozdobę ze zdań i myśli, porządnie i jasnie wywiedzionych;... trafić nawet można w pismach Kollątaja na tę szacowną cechę talentu, którym zadziwia Krasicki, — kiedy pojęcia wielkie i głębokie objawia w sposób tak prosty, że im nadaje postać pospolitego rozsądku». «Pokazało się w doświadczeniu, — mówi jeszcze Śniadecki — że język polski w swym rodowitym kroju nie da się przewyższyć żadnemu inszemu do wyłożenia najgłębszych myśli i wynalazków», to jest do nauki. Wprawdzie już w XVI wieku był pisarz, który o przedmiotach filozoficznych pisał językiem nietylko dokładnym, ale i ślicznym: Górnicki; lecz potomność zapomniała o nim na bardzo długo i przypomniała go sobie dopiero za Stanisława Augusta, kiedy to zaczęła się świadoma praca nad pięknem prozy nietylko w powieści i w publicystyce, ale i w nauce. Otóż Kollątaja wolno nazwać odnowicielem pięknej prozy polskiej; rozpoczyna on szereg tych do dziś dnia niewielu w Polsce prozaików, którzy wtedy nawet, kiedy piszą dzieła naukowe, trzszczą się o piękno stylu.

W historii filozofji polskiej zapisał się Kollątaj zaszczytnie, jako autor pierwszego u nas, zbudowanego na większą skalę, systemu etyki niezależnej,

to jest etyki, opartej nie na religji dogmatycznej, tylko na doświadczeniu i rozumowaniu: *Porządek fizyczno-moralny czyli nauka o należytościach i powinnościach człowieka, wydobytych z praw wiecznych, nieodmiennych i koniecznych przyrodzenia*. W druku ukazała się ta książka dopiero w XIX wieku (1810), ale duchem należy, podobnie jak *Ród ludzki* Staszica, do epoki oświecenia.

Jak Staszic, tak i Kollątaj, zasilając się obficie myślą francuską (zwłaszcza dziełami Franciszka Quesnay'a, słynnego ekonomisty), twierdzi, że na świecie panuje niewzruszony porządek «fizyczno-moralny», to znaczy, że zarówno natura, jak człowiek (i wogóle cały świat), podlega pewnym prawom «zawsze jednym, nieodmiennym, koniecznym», a mającym swoje źródło nie w «ślepych trafie», tylko w «pierwszej sile, którą zowiemy przyczyną», a którą jest «Istność najwyższa», czyli «Opatrzność powszechna», czyli, jeszcze inaczej, Bóg. Rozum ludzki nigdy nie pojmie istoty Boga, ale może o własnych siłach dojść do pojęcia tych Jego praw, «którymi utrzymuje się porządek powszechny», to jest porządek natury i rodzaju ludzkiego. Człowiek podlega prawom fizycznym i moralnym. Do fizycznych należą nie tylko te same prawa, którym podlegają zwierzęta i rośliny (np. prawo rozmnażania się, prawo śmierci i t. d.), ale także prawa, właściwe tylko człowiekowi, np. «zdolność udzielania» innym ludziom «swych wyobrażeń przez mowę». Z praw moralnych za najgłówniejsze poczytuje Kollątaj dwa. Pierwszem jest prawo wolnej woli, «to jest, że cokolwiek działamy, działamy podług naszej woli, naszego odbioru, naszego zezwolenia i nie możemy działać inaczej, tak dalece, że wszystko, cobyśmy uczynili nie samowolnie, nie byłoby naszą sprawą, lecz byłoby skutkiem jakiej obcej siły, która do nas nie należy». A drugim zasadniczem prawem moralnem jest, że «każdy człowiek rodzi się z pewnemi należytościami, sobie jedynie właściwemi, do których są przywiązane pewne powinności». (Przez należytości pojmuje Kollątaj prawa człowieka do korzystania z czegoś, np. prawo do zachowania życia, przez powinności — obowiązki). Z tych dwóch zasadniczych praw płynie ogólne i najwyższe przykazanie moralne: «Dochodź twych należytości, czyniąc zadość twym powinnościom».

Jakie zaś są nasze powinności czyli obowiązki, to mówi nam sumienie, które Kollątaj, jak przystało na człowieka epoki oświecenia, wyprowadza z rozumu, nie z uczucia: «Przyrodzenie postanowiło władzę pojmowania sędzią wszystkich spraw naszych; ta władza dochodzi błędów, których się nieuwaga dopuściła, oskarża naszą wolę o zhytnią w obiorze popędliwość, od którego poszło, żeśmy się dopuścili sprawy, przeciwnej naszym należytościom i powinnościom, tak dalece, że sami naganiamy, cośmy zrobili niegodziwie, i radzibyśmy cofnęli błąd popelniony, gdyby to było w naszej mocy; takowy sąd nas samych nazywamy sumnieniem». «Sumnienie,... jeżeli... nie zawsze jest zdolne do poprawienia spraw przeszłych, jest wszelako bardzo pożytecznem do uchronienia nas na przyszłość od spraw niegodziwych». Za popelnianie zaś «spraw niegodziwych» przyrodzenie karze człowieka: «Kaźde przestąpienie naszych powinności, kaźde zgwałcenie należytości drugich ściągą na nas pewne cierpienia gatunki, z których się robi łańcuch trudnych do wyrachowania nieszczęśliwości, przenoszących okropne swe skutki do odległych pokoleń». Gdyby wszyscy ludzie o tem wiedzieli, nie postępowaliby źle: jak wielu bałwochwalców rozumu XVIII wieku, tak i Kollątaj za główne, czy nawet jedyne źródło niemoralnych postępów poczy-

tuje nierozum czyli brak oświaty, zapominając o tem, że są ludzie oświeceni, a jednak źli.

Jakież są powinności człowieka? Dwojakie: wobec siebie i wobec innych; do pierwszych należy np. dbałość o swoje zdrowie i rozwijanie swoich sił duchowych, mianowicie rozumu i woli (o rozwijaniu uczuć milczy Kołłątaj, jak grób!); do drugich — wszystkie wogóle obowiązki społeczne, płynące z tego niezbitego faktu, że każdy człowiek ma takie same «należytości», co inny; a stąd «co Piotr winien Pawłowi względem zachowania jego należytości, toż samo winien Paweł Piotrowi,... i nie może być inaczej, bo trudno sobie wyobrazić należytości jednakie dla wszystkich bez wzajemnej powinności zachowania ich przez wszystkich; inne w tej mierze wyobrażenia byłyby chimera lub złudzeniem»; przecie samo «przyrodzenie, przeznaczywszy nas do społeczności, tak nas usposobiło, że się nie możemy obejść bez pomocy drugich od samego poranku naszego życia». Jeżeli tedy nie możemy się obejść bez pomocy drugich, to i my nawzajem powinniśmy tym drugim okazywać pomoc, świadcząc im, po pierwsze, sprawiedliwość, a po drugie, dobroczynność. «Sprawiedliwość nic innego nie jest, tylko powinność, która nas obowiązuje do ścisłego zachowania prawa, jakie ma każdy do swej własności, bądź ona jest osoby, bądź rzeczy», to znaczy: nie wolno nikomu przywłaszczać sobie osoby innego człowieka, pozbawiając go wolności, nie wolno naruszać jego własności osobistej, nie wolno mu przeszkadzać do doskonalenia własnej osoby, nie wolno «napastować drugiego ani używać przeciw niemu mocy, chyba w potrzebie sprawiedliwej obrony» i t. d. Dobroczynność zaś «jest to powinność, która nas obowiązuje do wspomagania się wzajemnego, ilekolewiek potrzebujemy pomocy drugich lub ją dać komu innemu możemy»; «ta powinność obowiązuje nas tylko w stosunku do naszej możliwości, to jest ile możemy i kiedy możemy».

Pobudką do pełnienia sprawiedliwości jest własny interes człowieka; do pełnienia dobroczynności skłania nas nietylko własny interes, ale także «uczucie politowania»: «nie możemy patrzeć bez łez na nędzę ludzką, cierpimy nawet, gdy nie jesteśmy w stanie wesprzeć nieszczęśliwych, tak dalece, że, kto podobnego w sobie nie ma czucia, można go z tej strony uważać za kalekę albo bardziej za poczwarę przyrodzenia». Lecz, oprócz sprawiedliwości i dobroczynności, obowiązuje człowieka jeszcze jedna cnota, «wyższa nad inne cnoty», a mająca swoje źródło w uczuciu miłości człowieka i społeczeństwa: heroizm, to jest poświęcenie. To, co o tej cnocie pisze Kołłątaj, daje najlepsze pojęcie zarówno o jego stylu, jak o sposobie jego rozumowania i o duchu jego etyki społecznej, i jest zarazem jaskółką, zwiastującą wiosnę poezji Mickiewicza, która cała niemal, jak ziemia około ziemi, obraca się około idei heroizmu.

★ Heroizm jest to sprawa, zasadzona na dobroczynności, kiedy powinność świadczenia pomocy bliźniemu lub całej społeczności znajduje się w zbiegu¹ z powinnością zachowania naszego bytu, a kiedy pierwszą przekładamy nad drugą, albo ją dopełniamy z niebezpieczeństwem dopełnienia drugiej. Nad taką sprawę niemasz większej i szlachetniejszej w porządku moralnym; dlatego też uważa się ona za

¹ w klótni, w konflikcie.

cnotę wyższą nad wszystkie inne. W niej miłość własna ustępuje pierwszeństwa miłości bliźniego lub społeczności całej; w niej przekładamy dobro ludzkiego rodu nad swoje własne.

Nic zgola nie dowodzi tak widocznie, że potrzeba społeczności jest człowiekowi wrodzona i że się bez niej obejść nie może, jak to, że jest zdolny do heroizmu czyli wystawienia na niebezpieczeństwo własnego bytu, aby zachował byt społeczności. Bo gdy człowiek swych zdolności ani namietności sam sobie nie nadał, widać jasno, iż nienapróżno usposobiło go przyrodzenie w czucia i zdolności, które go ośmielają do heroizmu, które robią w nim ślniejszą miłość swego rodu, niż jest ta, którą czuje względem siebie samego.

Nie można tej cnoty odnosić jedynie do zaciągnięcia dobrych nałogów, gdyż nałóg nabywa się przez naśladowanie i przyzwyczajenie, a zatem heroizm stałby się sprawą bardzo pospolitą w społeczności, gdy, przeciwnie, widzimy, że jest cnotą bardzo rzadką i mało naśladowaną. Owszem, jest to zapał, iż tak powiem, niebieski, który wynosi człowieka nad innych, aby mógł zrobić dobrze wielu lub wszystkim. Takowi ludzie, we względzie moralnym uważani, nie należą od każdego pokolenia; są oni osobliwszym darem niektórych tylko wieków, właśnie jak są rzadkie dowcipy¹ w porządku władz umysłowych, które się czasami tylko wślawiają jakim wielkim wynalazkiem.

Aby jednak zrobić sobie jaśniejsze jeszcze wyobrażenie o heroizmie, nie zapominajmy, cośmy przyjęli za prawidło, że wszystkie sprawy, uważane jako cnoty lub przestępstwa, różnią się względem swych stopni moralnych, w stosunku do naszych powinności i należytości, zaczem, im opuszczenie tej cnoty jest mniejszem przestępstwem względem miłości bliźniego i jego rodu, (bo dopełnienie onej znajduje się zawsze w zbiegu z powinnością zachowania własnego bytu lub przynajmniej zaspokojenia przyrodzonych potrzeb), tem ona jest większą, owszem, największą cnotą, nad którą człowiek wyżej postąpić nie może; dowodzi nawet, że takowy człowiek doszedł do najwyższego stopnia doskonałości moralnej. Dlatego z wielką pilnością rozróżnić tu należy wszelkie sprawy, do których nas wiedzie nasze własne uwidzenie, od owych, do których nas zachęca prawdziwa miłość bliźniego lub całego ludzkiego rodu; bo pierwsze, jako nie zasadzone na widocznej potrzebie społeczności, chociażby nas wystawiały na największe cierpienia i przykrości, nie zasługują na imię heroizmu, będą to skutki naszej melancholii, nieukontentowania, złudzenia, uporu, źle zrozumianej miłości własnej lub chęci okazania się osobliwszymi w oczach ludzi i t. d. Przeciwnie, człowiek heroiczny nie myśli o nadgrodzie i sławie, nie chlubi się ze swego uczynku, do którego znalazł powód w dotkliwym uczuciu potrzeby bliźniego, lub całej społeczności.

Gdzie więc nie zachodzi prawdziwa i gwałtowna potrzeba bliźniego lub całej społeczności, tam heroizm niema miejsca; będzie to, że tak powiem, podrzynanie lub udawanie tej najwyższej cnoty. Jeżeli np. postanowiłem sobie dobrowolnie być ubogim, mając sposób do życia, jest to postanowienie urojone; znoszę wprawdzie niedostatek, bom tak chciałem, nie mogę inaczej żyć, tylko z miłosierdzia drugich, wszelako stałem się ciężarem dla społeczności, która mię musi żywić; odbieram chleb prawdziwie ubogim, którzy nie z fantazyi, nie z zaniedbania pracy, lecz przez rzetelne nieszczęścia przyszli do ubóstwa; te i tym podobne sprawy nie zasługują na imię heroizmu. Lecz jeżeli, będąc bogatym, ujęty litością nad tyłu nieszczęśliwymi,

¹ talenty.

rozdalem między nich mój majątek tak dalece, że m się stał przez to ubogim, jest to prawdziwy heroizm. Jeżeli widzę mego bliźniego tonącego lub ogarniętego płomieniem, a wystawiam życie moje na równe jemu niebezpieczeństwo, abym go tylko uratował, jest to heroizm. Jeżeli przenoszę sam raczej cierpieć, jak zdradzić interesy społeczności; jeżeli wystawiam życie na obronę mego bliźniego, tem bardziej na obronę całej społeczności, jest to prawdziwy heroizm; bo w tych wszystkich sprawach przenoszę dobro bliźniego lub całej społeczności nad dobro moje własne.

Możnaby wiele innych zebrać przykładów podobnych cnót heroicznych czyli nadzwyczajnych, dla nas jednak dosyć jest, cośmy powiedzieli, abyśmy mogli mieć jasne wyobrażenie o tych cnotach, o ich różnicy od cnót pospolicitych i od spraw, które pochodzą z urojenia, bez żadnego dla ludzkości pożytku.

Zakończmy już tę długą naukę o sprawach moralnych pocieszającą uwagą, to jest, że nad powinności pospolite jesteśmy w stanie jeszcze robić dobrze, a nad przestąpienie nie jesteśmy w stanie dalej robić źle: uwaga prawdziwie pocieszająca, bo całą moralność zwraca na pożytek rodu ludzkiego, dowodząc, że z samego przyrodzenia więcej jesteśmy zdolni do dobrego, niż do złego. ★

163. Ulubioną nauką Kollątaja była historia, nietylko polska, ale i powszechna. Na zadania nauki historycznej i na zakres historii miał pogląd tak mądry, tak szeroki, jak nikt w Polsce XVIII wieku, nie wyłączając Naruszewicza: świadczy o tem szczegółowy plan dzieła, zamierzonego na olbrzymią skalę p. t. *Pamiętniki historyczne, do objaśnienia dziejów mego czasu służące*. Miało ono ogarniać dzieje Polski od roku 1750 aż do 1796, i to nietylko dzieje państwa, ale i n a r o d u polskiego, jego wszystkich warstw ludności, jego stanu politycznego, społecznego, ekonomicznego, umysłowego i t. d. Na nieszczęście nie skończył Kollątaj tego dzieła, albo raczej zaledwie rozpoczął je pisać: w całości opracował jedną jedyną część, którą ogłoszono drukiem dopiero w roku 1841: *Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III*. Jest to szczegółowa historia całokształtu oświaty polskiej w epoce przed jej reformą, to znaczy nietylko historia szkół, zakonnych i niezakonnych, katolickich i niekatolickich, niższych, średnich i wyższych, ale także historia wychowania pozaszkolnego, np. na dworach wielkopańskich i w palestrze; i o wychowaniu kobiet nie zapomniał Kollątaj. Jego sąd o «stanie oświecenia» w ostatnich latach smutnej epoki saskiej jest bardzo surowy, ale i bardzo słuszny: szkoła nietylko nie dawała uczniom rzetelnej oświaty, ale ich demoralizowała, zatruwając serca jadem fanatyzmu i nietolerancji. Nie tai także Kollątaj, że głównym celem, jaki wychowaniu przyswiecał, była prawowierność religijna, nie zaś rozwój umysłu i uczucia patriotycznego, że zwłaszcza w szkołach zakonnych o to nade wszystko chodziło, aby z nich wychodzili nietylko rozumni i dobrzy Polacy, ile fanatyczni, oddani ślepo Rzymowi katolicy.

Pod względem stylowym największą wartość mają ustępy o charakterze pamiętnikarskim; rzucają one nadto niezmiernie obfite i ciekawe światło na poziom umysłowości czasów saskich. Tu należą np. opowieści o bójce studentów krakowskich z żołnierzami, o dyspacie profesora Polaczka w klasztorze Cystersów w Mogile, o niezbyt czystych i uczciwych zabiegach Akademji

Krakowskiej o kanonizację św. Jana Kantego, albo jeszcze o wojewodzinie sandomierskiej Firlejowej, oszukiwanej przez jezuitów.

★ Firlejowa była panią całego hrabstwa tenczyńskiego, mieszkała w Tęczynie w zamku, o trzy mile od Krakowa odległym, w którym znajdowała się kaplica publiczna, obszerne pańskie mieszkanie, zamknięte fortecą wedle zwyczaju owego wieku. Jezuiti opanowali tę słabą duszę; Firlejowa najpierwej poddała im swoje sumnienie, potem swoje majątności i dochody, odosobniona od całej społeczności, żyła tylko z swoim ojcem duchownym, z jezuitami, lub innemi osobami, które on chciał przypuścić; był już od tego wyznaczony jezuita, który pilnował zwodu¹ przy zamku tenczyńskim: nikomu tam nie wolno było przystąpić, póki nie zdał sprawy dozorczy; wszystkie rzeczy i interesa doczesne załatwiał inny jezuita, który był komisarzem w dobrach. Firlejowa rozmyślała tylko o rzeczach niebieskich, dziękując jezuitom, że przyjęli na siebie ciężar zatrudniać się marnościami tego świata; ojciec duchowny utrzymywał ją zawsze w tej nadziei, że, prowadząc podobne życie, przyjdzie nakoniec do tak szczęśliwego stanu, iż będzie miała wizyje niebieskie i obcowanie z Świętymi. Jakoż w samej rzeczy przyszło do tego, że Firlejowa rozumiała obcować z ś. Alojzym i z ś. Stanisławem Kostką: byli to nowicyjusze od ś. Macieja, których czasami posyłano do Tenczyna, aby się w mistyczny sposób pobożnej objawiali dewotce. Wizyje te bardzo się podobały Firlejowej; święci do takiej przyszli poufałości, że nawet biesiadowali w przytomności wielu; nieraz się dała słyszeć niebieska muzyka, nieraz pobożna Firlejowa tańczyła z ś. Alojzym, lub z ś. Stanisławem Kostką. Ojciec duchowny do tego punktu utwierdzał ją w tej wierze, iż pewną była, że te wszystkie niebieskie słodycze były nadgrodą jej nabożeństw i oddalenia się od świata.

Kiedy przez przeciąg lat wielu jezuiti korzystali z dochodów Firlejowej, a dewotka z wizyj niebieskich, zazdrość szukała sposobów, jakby pomieszać tak przyjemne życie, które było owocem jałmużn, postów i abnegacyj świata. Mimo najbaczniejszego jezuitów dozór, rozchodziły się przeciw wieści o życiu Firlejowej, żywo pogrzebanej w zamku tenczyńskim; daremnie szemrała familija, daremnie narzekali dawni słudzy, nikt nie mógł przeszkodzić kredytowi jezuitów; Firlejowa nikogo więcej nie widziała, z nikim się nie wdawała; było to życie niebieskie, na którym się świat ten nie umie poznać.

Jeden przecież laik od karmelitów bosych, podjął się oswobodzić Firlejową, mimo jej zezwolenia. Był to sławny kwestarz, umiejący doskonale sztukę pochlebstwa, zapomocą którego potrafił przejść za most tenczyński, pod pozorem jałmużny, czynił wszystkie atencyje jezuitcie, który zawiadywał dobrami, a który właśnie miał swój apartament przy samej bramie zamku tenczyńskiego. Kilka razy opatrzony jałmużną, starał się trafiać narzeczcie pod taką porę, że mu dozwolono zanoć u murgrabiego. Dowcipny laik, nie miesząc się w rządy jezuitckie, starał się jednak nabyć wiadomości od ludzi służących, jaki ich pani prowadzi życia sposób: nie oszczędzali słudzy wszystkiego, co się działo. Po opowiedzeniu wszystkich pobożnych historyj, następowało opisać, jakie sobie jezuitci z niej czynią igrzyska: szły historyje o wizyjach i nowicyjuszach, o wieczornych biesiadach,

¹ most zwodzony.

czemu wszystkiemu słudzy ulegać musieli, aby nie utracić zyskownego na dworze miejsca. Doniósł o tem wszystkiem familii i zwierzchności duchownej przebiegły laik, i pierwszy raz dowiedziano się w Krakowie o scenach, które jezuiti wyrabiali na Tenczynie. Nie można się było wziąć do żadnych gwałtownych środków, chodziło albowiem familii o to, aby bogatej nie rozgniewać dziedziczki, która mogła cały majątek alijenować¹. Laik podjął się przez błażństwo i trefnictwo jezuitów z Tenczyna wykurzyć.

Wiedział on którego dnia odprawiać się zwykła niebieska na Tenczynie biesiada; kazał sobie zrobić dwa wielkie klucze i one pozłocić, przygotował sobie domino, któreby go w stroju oddało podobnym ś. Piotrowi, wziął z sobą kursora² konsystorskiego na świadectwo, żeby potem jezuiti nie zaparli wszystkiego, co się działo. Zjechał wedle swego zwyczaju wieczorem i udał się prosto do ks. komisarza, prosząc o jałmużnę i przenocowanie. Naznaczono mu stancją u murgrabiego. Laik napił się dobrego wina dla nabrania śmiałości i dobrego humoru i spokojnie czekał, aż po długich modlitwach Firlejowej zstąpili na ziemię niebiescy goście, i zaczęła się w zamku duchowna biesiada. Wtenczas, przeprowadzony od murgrabiego, przypatrował się z poblizszego pokoju wszystkim zabawom. Trwała w późną noc wspańska kolacja; ku północy dały się słyszeć śpiewania i niebieska muzyka, zaczęły się tańce: Firlejowa poszła w pierwszą parę z ś. Stanisławem Kostką, dalej ojcowie duchowni z pannami JW. pani, i, kiedy cała kompanija w najlepszym znajdowała się humorze, dało się słyszeć brzęczenie i stukanie drzwiami w odległych pokojach, jakiego nigdy do owego czasu nie słyszano; zbliżał się coraz bardziej głos i stukanie, które swą nadzwyczajnością przysposobiły do bojaźni całą kompaniją. Nareszcie okazał się ś. Piotr, jak go zazwyczaj malują: łysy, w niebieskiej sukni, z wielkimi kluczami. Murgrabia i inni słudzy, którzy do sekretu należeli, chcąc powiększyć bojaźń, padli na ziemię. Firlejowa zmieszana się na widok świętego, który, dopadłszy mniemanego ś. Stanisława Kostkę, okładał go bez litości kluczami, narzekając, że dla jego zabaw nie może nieba tak długo trzymać otworem, aż nareszcie biedny nowicyusz zaczął płakać; wtenczas karmelita oświadczył mu, że go pomylił, póki się nie przyzna przed tą pobożną duszą, którą tak zwodził, kto jest w samej rzeczy. Nie trzeba było długo nad nowicyuszem pracować: wyznał swoje przezwisko, powiedział, jak się zowie, zgola odkrył całą scenę z zawstydzieniem wszystkich przytomnych jezuitów, którzy przez tyle lat robili sobie igrzysko z pobożnej, lecz słabej duszy.

Wtenczas laik karmelicki rzekł do nowicyusza jezuitckiego: «Kiedy ty przestałeś być ś. Stanisławem Kostką, i ja przestaję być ś. Piotrem i opowiem wszystko JW. pani, kto jestem i dlaczego osobę ś. Piotra na siebie przybrałem. Jestem laik karmelicki, dostałem się do tego zamku za kwestą: narzekania służących nauczyły mnie, co za dziwactwa jezuiti z JW. panią robią; widziałem, że nietylko nadużywają dobroci pańskiej, ale nawet czynią zgorszenia fałszywymi cudami. Już się to za zamek daleko rozeszło, że nowicyusze jezuitcy udają świętych Pańskich i zwodzą JW. panią, z czego się cały świat naśmiewa; teraz odchodzę i zostawuję woli JW. pani czynić, co się podoba; mnie nie można nic złego zrobić, bo mam z sobą kursora konsystorskiego na świadectwo.

Słuchała z cierpliwością całej tej mowy Firlejowa, spoglądając na za-

¹ przenieść tytuł własności na kogo innego. ² posłaniec.

wstydzonych jezuitów, a obrażona tak długiem swej osoby igrzyskiem, tej samej nocy wszystkich jezuitów do Krakowa odesłała; laika karmelickiego osadzono w apartamencie ks. komisarza, sprowadzono parę karmelitów, którzy zastąpili miejsce ojców duchownych. Firlejowa jednak z swego zamku więcej nie wyjeżdżała, z swymi krewnymi widzieć się nie chciała, przepędziła resztę życia z karmelitami, wystawiła dla nich wspaniały klasztor w lesie na Czerni, opatrzyła bogatym funduszem, i w tym kościele pogrzebać się kazała. Jest to bardzo przyjemne miejsce, niedaleko od Krzeszowic, gdzie dwie wysokie góry, złączone murewanym mostem na arkadach o trzech kondygnacjach. ★

164. Na czele pism politycznych Kollątaja stoi dzieło: *Do Stanisława Małachowskiego, Referendarza Koronnego, Marszałka Sejmowego, i Konfederacji Generalnej Anonima Listów kilka* (1788); część pierwsza obejmuje listy *O podźwignieniu sił krajowych*, druga i trzecia — *O poprawie Rzeczypospolitej*; wszystkich listów jest dwadzieścia, pierwszy z datą 1 sierpnia roku 1788, ostatni — 19 grudnia 1788. Pisał je Kollątaj niby to tylko do marszałka sejmu, w istocie — do całego sejmu. Rozumiejąc, że «stoimy nad przepaścią, od której zwrócić się należy bez żadnego ociągania się», bo «teraz jest chwila, albo nigdy, zrobić dobrze ojczyźnie», — w niezrównany sposób uzasadnił potrzebę reformy i szczegółowo wyjaśnił, na czym ona polegać powinna, i jak jej dokonać można i trzeba.

Ogólny charakter reformy najlepiej on sam określił, nazywając ją «łagodną rewolucją»: jako człowiek mądry, praktyczny, a nadto znający, jak mało kto, swój przywiązany do tradycji i wogóle niechętny nowościom naród, nie zrywał bezwzględnie i raptownie z przeszłością, owszem poczytywał ją za podstawę, na której dopiero coś nowego zbudować można: «Chcę wystawić nową zupełnie budowę, nie należy bynajmniej pogardzać dawnym materiałem, który nie przeto jest zły, że się stara popsuła machina». I miał nadzieję Kollątaj, że tą drogą, jedyną uczciwą i najlepiej do celu wiodącą, odrodzi się i ocaleje państwo polskie, że naród polski «łagodną rewolucją potrafi stanąć na pierwszym powagi stopniu i, udoskonalwszy formę wolnego rządu bez przymusu, bez postrachu, takowe napisze prawa, któreby były przykładem dla obcych narodów i zatary hańbę, którą do dziś dnia okryci jesteśmy».

A jakąż to hańba? Nie jedna, ale dwie. Pierwszą jest brak rządu; bo i czemuż jest Polska? «Nie jest monarchiją, bo ta się z domem Jagiellońskim skończyła; król nie może nic bez narodu. Nie jest rzeczpospolitą, bo ta reprezentuje się tylko co dwa lata przez sześć niedziel. Czemuż jest, proszę? Oto lichą, niedołężną machiną, której ani jeden popychać nie może, ani wszyscy popychać nie chcą, a jeden zawsze zastanowić¹ zdoła». «Ojczyzna nasza niczem dotąd nie jest, tylko austeryją², wygodną lub niewygodną, podług zdarzeń i ślepego trafu». «Co to za wolność, co to za rząd, któremu tylko co dwa roki na sześć niedziel głowę przyprawiają, który, jeśli chce być czynnym, musi buntować się przeciw własnej konstytucyi, bo każda konfederacyja nic innego jest, jak rokosz przeciwko prawom». A druga hańba Polski polega na tem, że niektóre jej prawa «najdują się w sporze z prawami natury, a że jaśniej powiem, — z prawami boskiemi»; tem zaś podeptaniem

¹ t. j. zatrzymać (zapomocą *liberum veto*). ² karczma, oberża.

praw natury i praw boskich jest upośledzenie mieszczaństwa i ludu wiejskiego.

Domaga się zatem dla Polski Kollątaj, podobnie jak Staszic, potęgę i sprawiedliwość. Wogóle pomysły jego są w z a s a d z i e te same, co Staszica, bo też obydwaj należeli całą duszą do stronnictwa patrijotycznego. I on więc domaga się tronu dziedzicznego, sejmu nieustannego czyli gotowego, zniesienia *liberum veto*, powszechnego opodatkowania wszystkich, posiadających jakąś własność, i t. d.

Ale są i różnice, i to zarówno w sposobie wygłaszania i uzasadniania pomysłów, jak w samych pomysłach. Staszic nie dba o dobry rozkład treści swoich pism: Kollątaj troszczy się o porządek i wogóle o jasność. Staszic, człowiek o gorącym sercu, nadewszystko trafia do serca, porywa, wstrząsa, słowem — w r u s z a: Kollątaj, człowiek chłodnego serca, ale zato wyjątkowo jasnej i otwartej głowy, przemawia nadewszystko do rozumu, zniewała sobie czytelnika głównie mądrymi dowodami i logicznym rozumowaniem, słowem — p r z e k o n y w a. Staszic, rozmiłowany w rozmyślaniach nad «naturą rzeczy», zastanawia się nad sprawami ogólnymi; zanim np. powie o wychowaniu, będzie się rozwodził szczegółowo nad naturą ludzką wogóle; zanim doradzi, żeby Polska zaprowadziła dziedzictwo tronu, będzie się długo rozpisywał o królach wogóle: Kollątaj tymczasem, który wprawdzie był także myślicielem, i to nie byle jakim, ale nadewszystko człowiekiem praktycznym, nie lubi się bawić w filozofję, chowając ją dla siebie; więc nie zaczyna każdej sprawy od Adama i Ewy, ale przystępuje odrazu do właściwego przedmiotu.

A i w samych pomysłach jest Kollątaj od Staszica praktyczniejszy. Staszic np., chociaż jest zwolennikiem dziedzicznego tronu, jednak pozbawia króla władzy: Kollątaj przyznaje mu władzę, może niewielką, ale istotną (np. prawo mianowania senatorów i «dozoru nad wszystkimi urzędami wykonawczymi»), słusznie mówiąc: «Cóż król będzie znaczył, gdy mu nic bez narodu czynić nie wolno?» Staszic w zapale swoim radby wystawić 100.000 wojska, a choćby i więcej: trzeźwy Kollątaj — tylko 60.000, bo wie, że się na więcej Polska nie zdobędzie: «Lubo nasz kraj dziś jeszcze obszernością swoją przewyższa królestwo francuskie, nie zapominajmy się jednak, że bardzo nie rychło przy najlepszym rządzie potrafilibyśmy zrównać ludnością, przemysłem, obfitością, a zatem bogactwem, z daleka mniejszym od Francji narodom». Staszic oddaje sejmowi władzę nietylko prawodawczą, ale i wykonawczą, a jako zapalony demokrat, dopuszcza do przedstawicielstwa w sejmie całą szlachtę i mieszczaństwo: Kollątaj tymczasem, bardzo mądrze, powierza sejmowi tylko prawodawstwo, składając władzę wykonawczą w ręce komisyj (t. j. ministerjów), a przy całym swoim demokratyzmie usuwa od przedstawicielstwa w sejmie ubogą i ciemną szlachtę zaściankową; i słusznie: ładnieby wyglądał w sejmie taki np. Guronos albo Żegota! «Cóż, proszę — mówi Kollątaj — w rządowej machinie takowy szlachcic? Stan jego poniżony zajmować powinien całą troskliwość o liche wyżywienie, a dowcip obracać się musi do polepszenia bytu i ułatwienia najbliższej uciśkających go potrzeb. Co za krzywdą stanie się tak ubogiemu szlachcicowi? Zostawiony przy zupełnej wolności, może używać siły i rozumu na wydobycie siebie z pod niedostatku i ubóstwa, może, stopniami idąc, przyjść do większego majątku, pomnożyć swoją własność gruntową przynajmniej do 7½ włók, a wtenczas, gdy już o swoim chlebie wyżywić się potrafi i przy-

stojną dzieciom edukacją dać zdoła, wnijdzie do liczby tych, którzy będą składać władzę rządową». Domagając się tymczasowego usunięcia zaściankowej szlachty od udziału w prawodawstwie, godził Kollątaj i w magnatów, których, podobnie jak Staszic, niecierpiał, bo wiedział, że się ich potęgą opiera w znacznej części na tej właśnie ciemnej i dzikiej szlachcie, która tak tańczyła, jak oni im grali. Co do mieszczan, zgadza się Kollątaj ze Staszicem, że trzeba im zarówno przywrócić prawo nabywania ziemi, jak dać prawa publiczne, ale (inaczej, niż Staszic) doradza, aby posłowie mieszczańscy nie zasiadali w sejmie wraz z posłami szlacheckimi, ale tworzyli osobną Izbę. (Ten projekt jest niekoniecznie praktyczny, bo dwie Izby, różniące się s t a n e m, ustawicznie się kłóciły!).

Do najpiękniejszych miejsc *Listów Anonima* należą te, w których Kollątaj wymownie przekonywa szlachtę, że, w imię miłości Boga, ojczyzny i człowieka, sprawiedliwości i własnego interesu, powinna znieść poddaństwo chłopu, dając mu prawo własności dziedzicznej i wogóle osobistą wolność (zupełnie tak samo, jak Staszic). Wspaniale mówi Kollątaj: «Wszyscy, ile nas tylko ziemia polska nosi, bez żadnego wyjątku ubogiego i bogatego, jesteście poddani Rzeczypospolitej; ona ma najwyższą nad nami władzę... Przez jakież uprzedzenie najlichszego żebraka od tej najwyższej wyjąć możemy władzy? Przez jakąż zuchwałność możemy sobie przywłaszczyć nad ubogim rolnikiem udzielne i niepodległe panowanie?... Prawdo, najlitościwszy nieba darze! jeżeli kiedykolwiek przemieszkowanie twoje między ludźmi gruntowało szczęście narodów, zstąp dzisiaj do serc wolnych Polaków, oświeć ich rozum i natchnij wspaniałem do wolności przywiązaniem! Niech ta ziemia, którą Opatrzna ręka wolności ludzkiej przeznaczyła, nie cierpi więcej w łonie swoim najlichszego niewolnika! Niech najbogatszy i okryty wielkością obywatel odda hold powszechny Opatrzności, szanując ludzkość w najuboższym rolniku! Niech się aby raz na tem pozna, że cała jego okazałość i zbytki są darem nędznej wieśniaka ręki, że cała jego wspaniałość ubogiego ludu świetnieje potem!... Oddajmy to, cośmy mu świętokradzko wydarli, w czemeśmy prawo boskie i ludzkie gwałcili, to jest oddajmy mu wolność — i jego osoby, i jego rąk!... Rolnik, stawszy się w tej ziemi człowiekiem wolnym, nazwałby ją dopiero ojczyzną, a błogosławiąc Najwyższą Opatrzność, rzekły dzieciom: «Pracujmy, pomnażajmy żywności! Oto panowie nasi przypomnieli sobie, żeśmy ludzie, oto nas nietylko nie obarczyli nowymi uciskami i podatkami, ale nadto wrócili nam wolność i sprawiedliwość! A kiedy własność osoby i dorobków naszych jest nam zabezpieczona, praca nasza, zasilona ochotą i radością, powinna się im s owicie wywdzięczać; pomnażajmy im bogactw i dostatków, nadstawmy życia własnego na obronę granic i całości tego państwa, w którym, swobodnie dziedzicom służąc, naszej osoby i naszej własności pewni jesteśmy!»

Doskonale rozumiał Kollątaj, że, jeśli Polska nie nada praw mieszczańom i chłopom, to nigdy nie będzie jednym narodem, «jedną moralną istotnością», o jakiej marzył Staszic. I, podobnie jak Staszic, tak i on rozumiał, że, oprócz nadania praw mieszczańom i chłopom, jest jeszcze jeden warunek, niezbędny do osiągnięcia tego celu: odpowiednie wychowanie. Ono to ma wpoić w młode umysły poczucie przynależności do jednego społeczeństwa i ducha miłości ojczyzny, posuniętej aż do ofiarności, do heroizmu, do wyrzeczenia się, kiedy trzeba, własnego szczęścia na rzecz dobra powszechnego. Niedosyć na tem; jednym z głównych celów wychowania jest (jak tę swoją

wielką myśl Kollątaj nazwie później, już po utracie niepodległości) «wytworzenie jedności przekonań politycznych»: «edukacja» powinna być «na cały naród», «jednostajna» w swoim duchu politycznym, to znaczy, że wszystkie bez wyjątku szkoły powinny wpajać w umysły wszystkim bez wyjątku swoim wychowancom, że są i będą obywatelami państwa polskiego; tylko takie wychowanie może przywrócić «jedność obradom publicznym i magistraturom rządowym, jedność, której teraz nieszczęśliwie dostrzec nie możemy», «dawne męstwo» i «chęć dzwignienia Rzeczypospolitej z upadku, pomśzczenie się jej hańby».

Żeby jednak edukacja mogła spełnić te swoje wielkie cele, żeby wytworzyła «jedność przekonań politycznych», to jest żeby, krótko mówiąc, zaszczepiała w młodych duszach ducha narodowego, trzeba wszystkie bez wyjątku zakłady naukowe oddać pod dozór Komisji Edukacyjnej. «Zadziwia to niepomału — mówi Kollątaj — że Komisya, będąc magistraturą, od Rzeczypospolitej nad edukacją przełożoną, nie ma jeszcze tak powszechniej, jakby przynależało, zwierzchności¹: ksiądz, zakonnik i żołnierz edukuje się w krajach Rzeczypospolitej podług osobnych prawideł»; trzeba więc oddać pod władzę Komisji Edukacyjnej także wszystkie seminarja duchowne, wszystkie szkoły zakonne i wszystkie wojskowe, nie wyłączając Szkoły rycerskiej. Znakomicie wyjaśnić Kollątaj szkodliwość szkół zakonnych, podlegających nie państwu, tylko s w o j e j bezpośredniej zwierzchności, to jest prowincjałom i generałom swoich zakonów, a w ostatniej instancji — Rzymowi: «Duchowieństwo zakonne podlegać musi przełożonym krajów obcych i w materyjach opinii staje się poddane woli swojej zwierzchności tak dalece, że być nieposłusznym gwardyjanowi, przeorowi, prowincyjałowi, a dopieroż generałowi, większym jest u zakonnika grzechem, niż być nieposłusznym biskupowi lub władzy krajowej; pokora i powierchowny układ jest to rzecz, najwięcej zgromadzenia zakonne szczyca: myliłby się jednak, ktoby rozumiał, iż pokorny zakonnik nie wzgardzi dumnie rozkazem zwierzchności krajowej, kiedy ta nie zgadza się z rozkazami jego przełożonych».

Ale to jeszcze nie wszystko. I o tem myślał Kollątaj, żeby szkoła państwa połączyła wszystkie dzielnice Polski w jedną moralną i narodową całość bez względu na to, jaka je ludność zamieszkuje, więc domagał się założenia dwóch nowych uniwersytetów, jednego w Wielkopolsce, a drugiego dla ludności ruskiej — na Ukrainie: «Trzeba założyć na Ukrainie akademiją,... trzeba przy niej ufundować seminaryja dla diecezyj ruskich, trzeba raz na zawsze zrobić fundusz na gorejące światło nauk, któreby wszystkie ciemności rozpędziło, któreby stawilo prawdę przed oczyma kapłana i rolnika;... więcej dokażemy w tamtych stronach przez oświecenie, niż gdybyśmy kilka założyli fortec i kilka zbrojnych przyczynili batalijonów... Nauki ulagodzą dzikość tamtych krajów, nauki zbliżą obrządek do obrządku i ludzi do ludzi».

I wreszcie, w celu wytworzenia przez oświatę moralnej jedności narodu polskiego, doradza Kollątaj reformę wychowania kobiet, ubolewając, że «zatrudniamy się wychowaniem płci żeńskiej, ileby nas bawić lub głowy zawracać zdołała, nie myśląc o tem bynajmniej, aby doglądała naszego charakteru i obyczajów, aby była zasileniem naszego męstwa i pomocą dobrego

¹ t. j. zwierzchnictwa nad wszystkimi szkołami.

rządu»; «nie trzeba, tylko zwyczajnego zastanowienia się nad potrzebami społeczności ludzkiej, ażeby na tak ważną natrafić prawdę, iż matki Rzeczypospolitej, matki stanu rycerskiego, matki gospodarzów i panów, powinny być najgruntowniej oświecone».

Ta wielka myśl Kollątaja, że jednym z głównych celów wychowania jest wytworzenie jedności moralnej narodu, do dziś dnia jest i z pewnością przez całe wieki będzie żywotna.

Przewodnią zaś ideję pedagogiczną Kollątaja można streścić w tych jego własnych, wspaniałych słowach: «Nie jest uczniem szkoły Chrystusa, kto nie jest dobrym obywatelem». A hasło to uzupełnia Kollątaj innem: «Nie jest dobrym obywatelem, kto przytłumił w sobie głos sumnienia, kto za nic waży święte religii prawidła». To znaczy: dobrym chrześcijaninem może być tylko patrijota, ale i odwrotnie: patrijotą może być jedynie człowiek moralny.

Oto główne myśli *Listów anonima*.

Kiedy dnia 10 lulego r. 1790 wyznaczono na wielkim sejmie Deputację do ułożenia projektu reformy, Kollątaj wszystkie swoje pomysły, uzasadnione w *Listach anonima*, streścił, zgromadził w jedną kształtną i systematyczną całość i nadał im postać gotowych projektów do praw: tak powstało jego znakomite dzieło p. t. *Prawo polityczne narodu polskiego czyli układ Rządu Rzeczypospolitej (1790)*; jest to najzupełniejszy i najlepszy projekt naprawy Rzeczypospolitej, na jaki się Polska przez całe wieki zdobyła, jest najistotniejszą treścią i najwspanialszym owocem polskiego rozumu politycznego XVIII wieku, jest podstawą Konstytucji 3 maja. A poprzedził Kollątaj to swoje dzieło wspaniałą przemową *Do Prześwietnej Deputacji, dla ułożenia Projektu Konstytucji Rządu Polskiego, od Sejmu wyznaczonej*. Raz jeszcze zaklął w tem piśmie naród do podjęcia reformy, nadewszystko do nadania praw mieszczanom i chłopom. Najpiękniejsze to ze wszystkich pism Kollątaja i zarazem największe arcydzieło wymowy politycznej sejmu czteroletniego.

Jako właściwy twórca Konstytucji 3 maja, nie dziw, że się do niej Kollątaj, jak ojciec do dziecka, przywiązał; więc, kiedy ją «najjaśniejsza» konfederacja targowicka zamordowała, kiedy nastąpił drugi rozbiór Polski, kiedy się z różnych stron posypały oskarżenia przeciwko sejmowi czteroletniemu, Kollątaj wystąpił z obroną swego dziecka ukochanego — w dziele, napisanem wraz z Ignacym i Stanisławem Potockimi, oraz Franciszkiem Dmochowskim, p. t. *O ustanowieniu i upadku Konstytucji polskiej 3 maja (1793)*. Jest to historia sejmu czteroletniego i zarazem jego obrona, po części stronnicza, bo zwalająca niemal całą odpowiedzialność na króla, na którego pioruny ciska Kollątaj, że przystąpił do Targowicy (a sam to co?), i przemilczająca błędy stronnictwa patrijotycznego, — niemniej przeto wspaniała przez to, że daje Polsce świadectwo przed Bogiem i ludźmi, iż wszystko, co dla swego zbawienia uczynić mogła, uczyniła, że odwołuje się do sprawiedliwości bożej i do «sądu czulszej i sprawiedliwszej potomności»: «Zguba narodu, dopełniona w tym momencie, kiedy on nabył prawa do najlepszych nadziei i kiedy najrozsądniejsze przedsięwziął środki do zbliżenia szczęścia powszechnego, — zwracać zapewne na siebie będzie przyszłych wieków uwagę. Potępiona dotąd niesłusznie Polska, jako siedlisko barbarzyństwa i deprecją prawa ludzkie feudalności, pokazała w ustawach sejmu konstytu-

tucyjnego, iż w prawdziwym oświeceniu, rozsądnem prawodawstwie, uczuciu i szanowaniu praw ludzkich najświetlejszym w Europie narodom wyrównywa... Musiałeś upaść, nieszczęśliwy narodzie!... Zachowuj wdzięcznie pamięć czynów sejmu konstytucyjnego, który zgon swój przez szlachetne usiłowania rozumu, cnoty i prawdziwej miłości ojczyzny uczynił!... Ale nie rozpaczaj jeszcze zupełnie o losie twoim!... Uważaj Konstytucją 3 maja jak ostatnią wolą konającej ojczyzny! zachowuj uczucia braterstwa względem ludu miejskiego, sprawiedliwość najściślejszą względem ludu wiejskiego! Tym sposobem najgodniej się zemścisz, przygotujesz zmianę losu przyszłych pokoleń i uskutecznisz głęboką przestrożę filozofa geneveńskiego» (Rousseau'a), «tak upominającego naród polski: «Polacy! jeżeli przeskodzić nie zdołacie, aby was nie pożarli sąsiedzi, starajcie się, aby was strawić nie mogli!»

Wielkie te słowa Kollątaja, stanowiące zakończenie dzieła, to naprawdę jakby ostatnia wola konającej Polski, to jakby testament i święte przykazanie, pozostawione narodowi przez Matkę-ojczyznę: nie mogliście ocalić niepodległości państwa, ale pamiętajcie, że narodowość swoją ocalić możecie.

★ Do Prześwietnej Deputacyi dla ułożenia projektu Konstytucyi rządu polskiego, od Sejmu wyznaczonej (w skróceniu). Uścili się życzenia całego narodu: już jest wyznaczona Deputacyja do napisania Konstytucyi Rządu naszego, która będzie sławną epoką kończącego się XVIII wieku, jeżeli nam przywróci Rząd dobry, jeżeli Człowieka wróci Człowiekowi, jeżeli Prawa własności osobistej, ruchomej i gruntowej każdemu upewni, jeżeli Człowieka wyjmie od ludzi, a podda Prawu, jeżeli Prawo wydobędzie z prawdziwych jego źródeł, to jest sprawiedliwości naturalnej, jeżeli nakoniec cały Naród ubeścpechność od przemocy wewnętrznej i obcej. Tego to wyciąga po was cała powszechność, zacni Mężowie! Podjęliście się dla Narodu najistotniejszej usługi, dzieła, które wam ma zjednać w odległej potomności błogosławieństwo ludzi, co tę wolną ziemię posiadać będą...

Tak szlachetna posługa dla swej Ojczyzny powinna podnieść dusze wasze wyżej nad wszystkie przeszkody; powinna je złączyć z Prawdą, z tem to przedwiecznym Bóstwem, z którego liłościwych rąk cała natura nieodmienne dla siebie zyskała Prawa. Wy macie być tłumaczami świętych jego ustaw, wy macie przepisać sobie za prawidło działań waszych prawdę, a z tą, jak z zapaloną pochodnią, szukać Praw Człowieka, Praw społeczności, Praw Narodu waszego! Nie obawiajcie się żadnych w dziele przedsięwziętem trudności! Prawda, gdy ją szczerze Narodowi pokazywać będziecie, jest to ten święty ogień, który natychmiast i do rozumu, i do serca ludzkiego przenika. Niemasz mocy, któraby się jej oprzeć na zawsze zdołała, pierzcha przed nią obluda i przesąd, a tyle tylko nad nieszczęśliwym dokazuje ludem, ile przed nim Prawdę ukryć zdoła. Nasiona wyroków tego świętego bóstwa znajdują się w sercu każdego człowieka, i, aby miały wzrost przyzwoity, nie trzeba na to gwałtownego przymusu, nie trzeba miecza i przelewau krwi ludzkiej; dość jest, aby człowiek wrócił się do siebie samego, ażeby rozważył swoje potrzeby, a natychmiast pozna i Prawa, sobie należyte, i te, które drugim winien, i te, na których zależy sprawiedliwość, i te, które są owocem dobroczynności. Nie lękam się przeto o Człowieka i jego społeczność, ale za-

stanawiam się nad wami samymi, Mężowie wybrani! staje mi albowiem przed oczyma los tych, którzy kiedykolwiek chcieli być Prawodawcami ludu...

Prawodawca prawdy nie potrzebował nigdy uzbrajać się przeciwko człowiekowi, dla którego uszczęśliwienia pisał Prawa, przeciwnym wcale idąc sposobem: nie lud, którego pragnął uszczęśliwienia, lecz siebie na przesładowanie i na tysiączne wystawiał pociski. Wyższy nad siebie samego, pogardzający srogością i obludą tyrana, potrafił uszczęśliwić ludzi i ich potomność; lecz tak świętego i prawie boskiego dzieła inaczej skutecznie nie zdołał, tylko ofiarą siebie samego. Tą drogą szedł w Europie Sokrates, nauczyciel obyczajów ludzkich, tą CHRYSYTUS w Azji, Bohater prawdy, Prawodawca i Zbawiciel całego świata! Uległ człowiek pod obludą i zemstą zabobonu greckiego, ale filozofija jego stała się nauką wszystkich oświeconych narodów. Umarł na krzyżu Zbawiciel ludzi, lecz Ewangelija Jego stała się nauką wszystkich narodów, regułą obyczajów, wzorem Praw; ale krzyż Jego zdobi dotąd Korony i Ołtarze. Takie są nadgrody Prawodawców prawdy! temi drogami przechodzi ona do serc ludzkich! Niemasz gwałtu, niemasz siły, niemasz przebiegłości w rozumie, któraby się jej na zawsze oprzeć zdołała!...

Mężowie wybrani! Oto jest wzór dla was, oto jest droga, którą do nieśmiertelności imiona wasze odniesione być mają! Macież w sobie tyle męstwa? czujecież w sobie tyle odwagi, abyście być mogli godnymi podać prawdę Narodowi Polskiemu? Nie oglądajcie się na społecznych! Nie ten to zepsuty wiek ma błogosławić imiona wasze: wy owszem macie wydać walkę uprzedzeniu i obludzie, wy macie przywrócić sprawiedliwość... A zatem wy winniście zupełnie przygotować się przeciw potwarzy, nienawiści i zemście, które interes prywatny, zepsucie serc ludzkich, znarwiona zachwalość przeciw wam wywierać zechce. Nie lękajcie się bynajmniej, że Prawa wasze wzgardzone lub odrzucone zostaną! Prawda mieć będzie swych zwolenników: rozejdą się oni po całym Narodzie, zaniosą ją pod strzechę uciśnionego i wzgardzonego Człowieka; czas dokaże reszty! Do was należy nie odstępować Prawdy ani myśleć o tem, jakimi drogami to święte Bóstwo panować zacznie nad całą Narodu powszechnością. Ufam przeto, że w przepisie Praw waszych nie będzie miała miejsca ani chytra obluda, ani podła bojaźń, ani tem bardziej niesprawiedliwość, na prywatne korzyści względna. Człowiek i jego bezpieczeństwo, Obywatel i jego szczęśliwość, Ojczyzna i jej całość — będą jedynem prawidłem robót waszych.

Ale roztropność, najszlachetniejszy rozumu ludzkiego przymiot,... zastanawiać was podobno będzie nad tem, iż jeszcze nie przyszła pora, ażeby w całej zupełności odkryć można prawdę Narodowi Polskiemu. Lecz taż sama roztropność nigdy tak rozpacznych myśli przypuszczać nie dozwala: jej wysługa w Prawodawstwie potrzebna jest tylko do wynalezienia sposobu, jak ma być prawda ludziom podana, nie zaś do tego, aby ją przed nimi do czasu taić lub przez wzgląd na uprzedzenia łamać Prawa sprawiedliwości i ludzkości. Niemasz czasu ani względu na czas, w którymby się godziło Prawa Człowieka gwałcić lub zgwałconych nie powrócić! Nie może się nazwać ten Naród swobodnym... gdzie Człowiek jest niewolnikiem! Żadne więc prawodawstwo nie powinno przemileczać Praw Człowieka, żadna społeczność nie może robić ofiary z ludzi dla ludzi! Takowa roztropność albo by się nazywała niesprawiedliwością, albo bojaźnią! Mówić albowiem, że lud nie-

oświecony nie może mieć w całości Praw sobie wróconych, jest mówić przeciw regułom roztropności i słuszności... Ktokolwiek na nieoświeconego człowieka jarzmo niewoli wkładać usiłuje, niech się wróci do serca swego, niech pomyśli, że, gdyby przypadek jego samego w liczbie pospólstwa umieścił, pozwoliłby na odjęcie Praw, sobie przyrodzonych? na odjęcie bezpieczeństwa swej osoby i swego majątku? Alboż możemy mówić, że stan szlachecki, któremu nie tylko wolność, ale nawet i równość w Rządzie Prawa Polskie zabezpieczyły, jest powszechnie oświecony?... Taka więc roztropność, która Praw ludzkich człowiekowi wrócić nie chce dlatego, iż nie jest oświeconym, byłaby równie srogą i niesprawiedliwą, jak owa, któraby wydzielała ubogiemu szlachcicowi swobodę obywatelską dla tych samych przyczyn.

Nie sama, prawda, Polska tej dopuszcza się niesprawiedliwości... Państwo moskiewskie... wyspy francuskie, osady holenderskie i angielskie obchodzą się w sroższy nierównie sposób z Murzynami, tymi to nieszczęśliwymi dwóch części świata Obywatelami, w których łzach skropione produkta służą wykwintnym Europejczykom za przysmak i wygodę. Lecz możnaż niesprawiedliwością innych Krajów i zadawnionem uprzedzeniem usprawiedliwiać gwałt Prawu natury?...

Cóż to jest poddany czyjejkolwiek włości? jak go uważać należy w porządku przyrodzenia, względem którego równymi wszystkich mieć chciała Opatrzność? Czy biały, czy czarny niewolnik, czy pod przemocą niesprawiedliwego prawa, czy pod łańcuchami jęczy, — Człowiek jest i w niczem od nas się nie różni!...

Nędza ludzi rośnie w stosunku do ich niewoli; Rzeczpospolita nie cierpi panowania szczególnego ludzi; w Monarchii jest tylko jeden Panujący, lecz w Arystokracji feudalnej każdy prawie chłop ma osobnego despotę. Jakiegoż u nas pragniemy Rządu? chcemyż prawdziwej Rzeczypospolitej, czy Moźnowładztwa? chcemyż Polszcze wrócić wolność, czy tylko niektórym familijom, nad resztą niewolników panującym? Uczynimy, co chcemy: sama natura pomści się na nas tak widocznej niesprawiedliwości! Pospólstwo będzie naówczas, jak jest dotąd, r z e c z ą dziedziców, lecz szlachta będzie niezawodnie pospólstwem, a te same solizmata, których naprzeciw własnemu sercu używamy dzisiaj dla przytłumienia głosu prawdy, służyć będą chciwym sąsiadom do uczynienia nas niewolnikami. Rzekną oni: «Polacy są Narodem barbarzyńskim, nie umieją się między sobą zgodzić, nie umieją być Prawu posłusznymi, nie umieją dla siebie ustanowić pewnej Konstytucji Rządu, pragną wolności, a nie znają się na niej, są despotami nad pospólstwem, a nie chcą nad sobą żadnego znosić panowania; pijaństwo, przekupstwo, podłość, zemsta, lekkomyślność rządzi ich obradami. A zatem nie warci są tej wolności, którą posiadają»... Tak przykre zarzuty znajdują się w dziełach Fryderyka II, Króla Pruskiego, w Berlinie wydanych roku 1788. Zdanie tak Wielkiego Króla świadkiem jest, jaką o nas mają opinią obce mocarstwa, i tej opinii nie poprawić nie może, tylko oddana sprawiedliwość ludziom przez dobrą Konstytucyją Rządu...

Pleci piękna i wy, Matki wolnych Polaków!... Nędza uciśnionego ludu stawia się przed waszemi oczyma! Ratujcie ją, nakłońcie do litości i sprawiedliwości serca Prawodawców! niech jak najrychlej zmażą tę wstydlivą hańbę w Prawach naszych! niech przyczynią jak najprędzej Obywatelów, a tem samem i obrońców, tej nieszczęśliwej Ojczyźnie! niech przez oddanie sprawiedliwości uciśnionemu ludowi przeblagają groźne nad nami Niebo!

Lecz nie lepiejże wprzód oświecić pospólstwo, aby go przysposobić roztropnie do przyjęcia świętego wolności daru? Nie lepiej, odpowiadam: owszem byłby to najśrodszy Prawodawca, któryby oczekiwał oświecenia ludu dla powrócenia mu wolności. Niemasz nic straszniejszego w naturze ludzkiej, jak oświecony niewolnik: czuje on wtenczas cały ciężar niesprawiedliwości, który go uciska, a nie myśląc o niczem więcej, jako o przywróceniu sobie Praw przyrodzonych, obraca do tego cały rozum, aby się mógł zemścić na tym, który Dziedzictwo jego dotąd niesprawiedliwie posiadał, zapala swe serce, aby się zdobyć mogło na najśrodsze sposoby zemsty. Niechaj nikogo nie zadziwia okrucieństwo ludu, o którym albo się nam czytać, albo słyszeć zdarzyło, bo plód, którego Ojcem jest ucisk, a Matką niewola, musi przechodzić jadem i srogością wszystko to, cokolwiek na umyśle wystawić sobie możemy drapieżnego i zabijającego. Śpieszmyż się wrócić ludziom, co im natura ubeścpiczyła; oświeceni, sami sobie odbierają, a nieoświeceni, będą narzędziem obłudnika i despoty, do wydarcia swobód naszych; im mniej zaradzić temu w dzisiejszej Rewolucyi zechcemy, tem pewnością być możemy, że albo my, albo nasze potomstwo stanie się oliarą rozpacz i zemsty ludu. Niech każdy rozważy postać Narodu Polskiego za Mieczysława II, za Jana Kazimierza, za dni naszych! Srogość miecza przytłumi tylko wkorzoną w pospólstwo niechęć, lecz jej nigdy ugasić nie zdoła. Im skromniejszy, im w głębszem mileczeniu westchnienia swoje podnosi ku Niebu niewolnik, tem okrutniejsze gnieździ w swem sercu czucia, aby przy zdarzonej porze wywarł całą swą srogość na nieprawego swej wolności uzurpatora...

Nie ludźmy się wzrastającą siłą wojska naszego! Któż na tem zyskał, że rolników do szczytu wytępił? co warta nasza ziemia bez pracowitej ich ręki? co znaczyć będą nasze bogactwa — przy wytępionej ludności? Gdyby Ojcowie nasi poddali się byli wyrokowi prawdy, gdyby Traktat Hadziacki i Prawa ludzi w całości zachowane zostały, Ukraina po obie strony Dniepru byłaby dotąd własnością Rzeczypospolitej, a Religija Dyżunitów byłaby narzędziem przysposobienia innych Słowiańskich Narodów pod słodkie wolności panowanie.

Ale nie na tem dosyć: roztropność woła na nas, abyśmy, ubeścpiwszy ludzi, upewnili Prawa wszystkich właścicieli ziem. Dziwujemy się niedzy miast naszych, nie mamy żadnego, któreby kwitnym stanem równać się mogło z obcemi. Czemuż? Bo właściciel ziemie miejskiej nie nie znaczy w Rządzie naszym, tak jak rolnik w Prawach Człowieka!... Ktoby mi to dał, ażeby każdy nieuprzedzonym umysłem chciał rozebrać tak wielkie pożytki z przyłączenia do Rządu krajowego rzeczzonego Stanu (t. j. mieszczan)! Jakażby radość nie opanowała natychmiast serca tych obywateli! jaka wdzięczność nie łączyłaby ich najściślej z nami!... jak wiele gorliwości, jak wiele dąłoby się widzieć heroizmów!... Zgoła nowy lud dałby nową Rzeczypospolitej siłę, a my przez sprawiedliwe Prawodawstwa wyroki zasłużylibyśmy na powszechne całej Europy uwielbienie, rzucilibyśmy postrach na nieprawych wolności naszej ciemnocyli, zachęciłibyśmy z odległych krajów przyjaciół wolności, którzy, nie wiedząc, gdzie się przed uciskiem schronić, idą za morze do ziemi Franklina i Waszyngtona. Każdy starałby się Polskę mieć swoją Ojczyzną!...

Polacy! Ośmielcie się, aby raz być Narodem, a Narodem prawdziwie wolnym! Rząd dzisiejszy jest przyczyną, iż nas postronni do obcej przy-

równali hordy, która gwałtownym napływem dawnych podbiła sobie mieszkańców. Czemże się, w samej rzeczy, różniemy od Saracenów, Grecyją i brzegi Afryki posiadających? Naród Mahometa nie jest to naród tych krajów, nad którymi panuje; bo tam mała tylko liczba Turków podzieliła między siebie dawną Grecyją, i ta jedynie między nimi a nami zachodzi różnica, że u nich jeden despota Muzułmanowi, co i Grekowi, rozkazuje, u nas zaś sto tysięcy szlacheckich familij składa Naród arystokratyczno-feudalny, resztę milionów ludzi za obcych mając niewolników. Jeżeli zaś chcemy, abyśmy byli jednym Narodem, potrzeba koniecznie, abyśmy byli wszyscy zupełnie wolnymi, pod panowaniem Praw dobrych, dla całego ludu jednych...

Mężowie wybrani i wy, Prawodawcy wolnego Narodu! Zastanówcie się ze drżeniem i bojaźnią nad stanem nieszczęśliwej ziemi, której mieszkańcy od niespamiętanych czasów ponoszą ucisk i nędzę! Łzy ich nie znają ani końca, ani odpoczynku; niepewność losu odstręcza ich od dbałości na własne zarobki, od przywiązania do swego potomstwa, na które spoglądają, jako na ofiarę niesprawiedliwości i przemocy; pijaństwo jest dla nich zasłoną, z Nieba prawie użyzoną, aby nie widzieli przestraszającej nędzy, w której ich niesprawiedliwość Rządu pograżyła. Nie zwróćcież ku nim nigdy oczów? nie będziez nigdy sprawiedliwość przemieszkować w tym nieszczęśliwym Narodzie? nie zechcemyż ani sobie, ani ludzkości dobrze uczynić? Myślcie, jak chcecie, ulegajcie uprzedzeniom, oglądajcie się na wasze u niesprawiedliwych znaczenie: ja śmiało powiem, iż dłużej jest rzeczą niepodobną, abyśmy się spuszczać mogli na protunkową¹ reformę. Znamy aż nadto skutki tych niedoleźnych odmian, które tyle razy kraj zburzyć i zniszczyć, ale go nigdy uszczęśliwić nie potrafiły. Piąty raz za dzisiejszego panowania bierzemy się do poprawy Rządu²; piąty raz nas samych ludzi będziemy, jeżeli się nie wżemiemy do gruntu, jeżeli nie będziemy odważnymi poddać się panowaniu Prawdy! Oto jest pora najszlachetniejsza użycia w Narodzie waszego kredytu! oto jest sposobność doświadczenia dzielności rozumu i woli waszej! teraz jest czas, jeżeli chcecie prawdziwego dobra Ojczyzny waszej lub jeżeli go do skutku przywieść zdołacie! Bojaźń i podle oglądanie się, aby przyszłość uskuteczniła to, co wy dziś czujecie, zda się tylko na przyprawienie całej Narodu powszechności o nowy upadek; rozpacz zastąpi jej miejsce, rozpacz najokrutniejsza w swych skutkach, a czego prawa władza porządnie i sprawiedliwie ułożyć nie zechce, to zaślepiona zemsta bez porządku, bez względu na cały polityczny układ do skutku przywieść może. Ślepy Samson, obalający gmach cały, siebie, prawda, na zgubę wystawił, ale gruzy, na głowę jego padające, całą przywalily powszechność!★

165. Na literaturę polityczną sejmu czteroletniego składają się nietylko pisma prozaiczne, ale i utwory poetyczne (a przynajmniej wierszowane), i nigdy jeszcze w Polsce poezja nie była tak silną i skuteczną bronią do oddziaływania na opinię publiczną, jak podczas sejmu czteroletniego. Jedni poeci budzili w społeczeństwie ducha patrijotycznego i zachęcali sejmujące stany do godnego wywiązania się ze swych obowiązków; inni ośmieszali albo piętnowali opieszałość, wstecznicтво, prywatę; inni wreszcie targali się na mądrość i cnotę, załatwiając z tym albo z owym swoje osobiste rachunki.

¹ doraźny, tymczasowy. ² w r. 1776 usiłowano znieść *liberum veto*; w r. 1775 powstała Rada Nieustająca; w r. 1870 odrzucono statut Andrzeja Zamoyskiego; w r. 1789 zniesiono Radę Nieustającą.

Krażyło więc po Warszawie całe mnóstwo utworów wierszowanych, najczęściej bezimiennych, jako to ód i odezów patryjotycznych (np. wiersz Trembeckiego *Do moich współziomków*), oraz ciętych epigramatów i uszczypliwych wierszyków, satyr i paszkwilów. Nie wszystkie, naturalnie, paszkwile wypłynęły z miłości ojczyzny i ze świętego oburzenia na jej synów wyrodnych: Zabłocki był wyjątkiem; najczęściej dyktowała je niechęć i złość osobista, albo też chęć popisania się złośliwym językiem i tanim dowcipem; i słusznie oburzał się na takich «poetów» Trembecki w doskonałej *Satyrze przeciw paszkwilom*: «Co was dziś do pisania złych wierszy zapala, — godni wieszczkowie Jasnej Góry i Sokala?¹ — Złość czy zemsta? Bo mogę powiedzieć zawczasu, — że was rządca mądrego nie zagrzał Parnasu², — ni Muzy słodkiej Safo, ni Horacyjusa, — ale raczej Belzebub albo podła dusza. — Czem³ szabli nie weźmiecie w rękę zamiast pióra, — kiedy wam odmówiła darów swych natura?... Albo powiększcie talent, dotąd jeszcze słaby, — a nie skrzeczcie tak głośno, Helikonu żaby!... Uczcie się wprzód poznawać własności człowieka, — niżli się wasza nad nim rozciągnie opieka, — i raczcie go malować częściej z prawej strony, — nie sięgając w nim nigdy wad przez wszystkie tony: — są to znaki wściekłości i mózgu choroby — czernić węglem złej sławy najpierwsze osoby!» Krażyło też po Warszawie podczas sejmu mnóstwo zagadek wierszowanych, np.: «Biskup przystojny, mówca zabawny, — kursor⁴ wyborny, gracz w wista sławny, — intrygant zręczny, podszyty enotą, — króla i naród odda za złoto». Zagadka powiedziała prawdę: zaprzeda niebawem ojczyznę biskup inflancki, Józef Kossakowski, przyszły targowiczanie. Takie zagadki układano na wszystkich uczestników wielkiego sejmu: na króla, biskupów, ministrów, wojewodów, kasztelanów, posłów. Nie zawsze jednak ganily te wierszyki, czasem chwaliły, np.: «Dobrze myśli, mało mówi, — podobien jest strumykowi, — w kilku słowach wiele znaczy; — niech się każdy tak tłumaczy». W zupełności zasłużył sobie na tę pochwałę poseł inflancki, jeden z najrozumniejszych mówców sejmu czteroletniego i jeden z najwybitniejszych przedstawicieli jego poezji politycznej, wierny towarzysz, przyjaciel i powiernik Kościuszki, **Juljan Ursyn Niemcewicz** (1757—1841), urodzony w Skokach na Litwie (o milę od Brześcia), zmarły w Paryżu.

Rozkwit jego działalności literackiej przypada dopiero na czasy porobiorowe, kiedy to ukażą się, pomiędzy innymi, jego słynne *Śpiewy historyczne*, jego powieści i prześliczne *Pamiętniki czasów moich*. Lecz i w literaturze niepodległej Polski chlubnie się już zaznaczył, jako autor komedji *Powrót posła* i innych utworów patryjotycznych. Bo gorący patryjotyzm to najznamienniejsza i zarazem najpiękniejsza jego cecha, i jako człowieka, i jako pisarza. «Nie każdy naród — jak się słusznie wyraził Stefan Witwicki — i nie w każdej bytu swego epoce może podobnych mężów pokazać, mężów, w których tak się skupia i wciela całe jego życie, iż stają się jakby uosobionym narodem; jednym z takich ojców, przez których Opatrzność błogosławi narodowi, takim wcielonym narodem, Człowiekiem-Polską, był Niemcewicz». Był zaś Niemcewicz Człowiekiem-Polską nie tylko dlatego, że przez lat kilkadziesiąt brał czynny udział we wszystkich wypadkach, stanowiących

¹ t. j. warci miana poetów «częstochowskich», albo dziadów sokalskich, klejących liche rymy na odpustach i jarmarkach. ² t. j. Apollon. ³ czemu. ⁴ biegun, biegacz.

najistotniejszą treść naszej historii, poczawszy od sejmu czteroletniego aż do tulactwa na obczyźnie po roku 1831, ale nadewszystko dlatego, że jego życie, od kolebki niemal aż do deski grobowej, to jeden wspaniały poemat miłości, poświęcenia i cierpienia dla Polski.

Ukochał ją, będąc małym dzieckiem, bo miał rozumnych i zacnych rodziców, którzy wpoili w jego serce zarówno miłość tradycji narodowej, jak ból nad bijącymi w ojczyznę nieszczęściami i głębokie poczucie świętości obowiązku służenia jej ze wszystkich sił swoich. Kilkoletni pobyt w Szkole Rycerskiej rozwinął jeszcze i utrwalił w jego duszy te uczucia, a dalszą szkołą patriotyzmu była mu przyjaźń z rodziną Czartoryskich; jako adjutant księcia generała ziem podolskich, odbywał z nim liczne podróże po kraju i całym sercem pokochał ziemię rodzinną, jej bogactwa, jej piękności, jej przeszłość. A nie wyziębily tej miłości długie podróże zagraniczne — po Anglii, Francji, Niemczech, Włoszech — przeciwnie wzmocniły ją jeszcze: widok potęgi politycznej obcych krajów i ich wysokiej cywilizacji (zwłaszcza Anglii) napęłnił serce Niemcewicza bólem na myśl o słabości i ubóstwie własnej ojczyzny; ten zaś ból był mu podniętą do pracy patriotycznej.

Na jej widownię wystąpił po raz pierwszy podczas sejmu czteroletniego, jako poseł inflancki; należał całą duszą do stronnictwa patriotycznego i wierzył mocno w możliwość uratowania Polski, wierzył, że, «jeśli dziś rzeczy polskich nie podniesiemy, nie okoliczności, ale nas samych będzie to winą, na nas spadną lzy i cierpienia pozostałych po domach braci, na nas narzekania następnych wieków, a dręczące sumnienia jędze wyrzucać nam będą przez resztę dni naszych i dzisiejszą opieszałość, i przyszłe nieszczęścia». Wraz z Ignacym Potockim, do którego miał niemal ślepe zaufanie, agitował gorliwie za przymierzem polsko-pruskim, chociaż czasami rodziło się w głębi jego duszy podejrzenie, że «król pruski, zawsze tylko powiększenia swego chciwy, opuści nas i z Moskwą się złączy». Piorunował na sejmie przy każdej sposobności na Moskwę, obrzucając Imperatorową stekiem ostrych, ale zupełnie przez tę ladacznicę zasłużonych wyzisk. Zabierał też kilkakrotnie głos w sprawie reform: przemawiał za uprawnieniem mieszczañstwa i ludu, przeciwko wolnej elekcji, w obronie Komisji Edukacyjnej i w innych jeszcze sprawach, a mówił zawsze doskonale przygotowany, z planem i ładem, jasno i rozumnie, bez czczych frazesów, z głębokim przekonaniem i z sercem; ze wszystkich najświetniejszą jest mowa, wygłoszona dnia 27 stycznia roku 1792, przeciwko Szczęsnemu Potockiemu i Sewerynowi Rzewuskiemu, których, z właściwą sobie odwagą cywilną, napiętnował, jako nikczemnych rokoszan, zdrajców, zbrodniarzy i głupców.

Lecz nietylko żywym słowem, ale i piórem popierał pracę sejmową: pomiędzy innymi, w samym końcu r. 1790 założył wraz z Tadeuszem Mostowskim (kasztelanem raciąskim) i Józefem Weyssenhoffem (posłem inflanckim) *Gazetę narodową i obcą*, którą zamordowała dopiero Targowica mocą uniwersału Jaśnie Wielmożnego Marszałka, Szczęsnego Potockiego (w sierpniu r. 1792). Jest to pierwsze polskie czasopismo polityczne, które wywarło ogromny wpływ na opinię publiczną i przyczyniło się niemało do uchwalenia ustawy majowej. Niemcewicz był nietylko jego redaktorem, ale i głównym, niemal wyłącznym, jego autorem.

Po przystąpieniu króla do Targowicy wyjechał Niemcewicz wraz z innymi patriotami, zagranicę, ale kiedy wybuchło powstanie Kościuszki, powrócił, był adjutantem i sekretarzem Naczelnika, walczył pod Szczekocinami,

a w bitwie maciejowickiej, ranny, dostał się do niewoli. Wywieziony wraz z Kościuszką i innymi bohaterami do Petersburga, przez dwa lata męczył się w lochach twierdzy petropawłowskiej; po śmierci Katarzyny wypuszczony na wolność przez cesarza Pawła, wyjechał do Ameryki tylko dlatego, że nie chciał opuszczać chorego i zboląłego Kościuszki. Ale po latach powrócił do kraju, osiadł w Warszawie i z młodzieńczym zapałem będzie pracował dla ojczyzny; a kiedy wybuchnie powstanie r. 1830, podejmie się, ósmy już krzyżak dźwigając na barkach, poselstwa do Anglii, póki się nakoniec nie osiedli na wychodźstwie w Paryżu i nie dokona swego męczeńskiego, a niepokalanego żywota — żywota, który prawdziwie był «arką przymierza między dawnymi i młodszymi laty» — między Polską niepodległą, za którą walczył, a porozbiorową, w której przez lata całe stał «na straży narodowego pamiątek Kościoła» ten rycearz bez trwogi i zmyła.

166. «Wcześniej — pisze Niemcewicz — obudził się we mnie smak do poezji: w szesnastym roku napisałem poemat *Wojna kobiet...* Od tego czasu zacząłem bazgrać wiersze, i nałóg ten nie opuścił mnie przez lat z górą sześćdziesiąt,... djabełek poezji kusił mnie zawsze». Pisywał więc drobne wierszyki, ody, listy poetyckie, tłumaczył poezję Woltera, powieści angielskie i francuskie, póki wreszcie nie natrafił na drogę, odpowiednią zarówno swemu pogładowi na poezję, jako na środek do nauczania, jak swemu ogromnemu talentowi satyrycznemu. Z drogi tej nie zбочył już do śmierci: jego poezja ma charakter dydaktyczno-satyryczny, uczy mianowicie miłości ojczyzny, a piętnuje lub ośmiesza wszystko, co się tylko z miłością ojczyzny nie zgadza. Duch obywatelski, tendencja patriotyczna, to najznamienniejsza cecha wszystkich wogóle pism Niemcewicza. Nie był on nigdy, jak mówi Mickiewicz, «poetą sztukmistrzem, nigdy nie pisał dla zabawy swych czytelników, nigdy nie składał ofiar sztuce; sztuka nie była jego bożyszczem; był on przedewszystkiem i jedynie Polakiem; dzieła swoje brał za narzędzie do walczenia z nieprzyjaciółmi Polski;... jeżeli wszystko, co się pisze z natchnienia chwilowych okoliczności, co jest przeznaczone do wywarcia wpływu naprędce, godzi się nazwać pamfletem, można powiedzieć, że Niemcewicz nie pisał nic innego, tylko pamflety, że był największym ze wszystkich znanych pamfletistów, zawsze przywiązany do tej samej sprawy, zawsze jednako miłującym ojczyznę, a zawziętym na jej nieprzyjaciół, nigdy nie przestawał on stawać w jej obronie i nigdy nie darował jej wrogom politycznym, moralnym i literackim».

Otóż głównym źródłem natchnienia dla twórczości Niemcewicza były w XVIII wieku sprawy polityczne, zwłaszcza sejm czteroletni i wypadki późniejsze. Jeszcze coś na rok przed wielkim sejmem napisał tragedję, *Władysław pod Warną*, (ogłoszoną drukiem dopiero w roku 1803), niby to historyczną, ale pełną napomknień o sprawach współczesnych. Pragnął mianowicie Niemcewicz przestrzec Polskę przed siłami, które na nią zastawiła Imperatorowa, żeby ją wciągnąć w wojnę z Turcją; otóż wojnę Władysława Warneńczyka z Turcją przedstawia Niemcewicz w tej tragedji, jako wielki błąd polityczny, który się teraz okropnie mści na Polsce: spełnia się prociwo wodza tureckiego, Karambeja, że za złamanie przysięgi przez Warneńczyka (do czego podmówiła go polityka Watykanu), naród polski kiedyś «jęczeć będzie pod srogiej przemocy uciskiem — i stanie się Europy wzgardą i igrzyskiem»; obecnie Polska nie powinna, pod grozą doszczętnego

upadku, nawet myśleć o udzieleniu Rosji pomocy przeciw Turcji, powinna natomiast, w zgodzie z królem, dążyć do zreformowania państwa, znieść wolną elekcję, utworzyć silny i sprawiedliwy rząd: «Niechaj się sprawiedliwość rozciąga jednaka — na pysznych panów i na lichego wieśniaka». Tak więc, pisząc o przeszłości, myślał Niemcewicz o teraźniejszości, — i ta cecha będzie znamiennej dla wszystkich jego późniejszych tragedyj «historycznych» (które napisze dopiero w XIX wieku).

Charakter wybitnie polityczny mają także bajki, pisane podczas sejmów czteroletniego; jest ich kilkanaście, a wszystkie zawierają w sobie aluzje do spraw sejmowych.

Oto np. bajka *Źródła i strumyki*. Drobne strumyki w dolinie, bojąc się, «żeby ich bliskie nie zabrały zdroje», umyśliły połączyć się z sobą, i «wielką utworzyć rzekę». Zrazu powstał na tę myśl nieopisany zapal: «Jeden, chcąc dać przykład z siebie — i przywieść drugich do zgody, — «ja (rzekł) ku wspólnej potrzebie — dam ostatnią kroplę wody — i, choćbym w szczupłym miał oschnąć korycie, — chętnie poświęcę me życie». Drugi w żarliwym zapale, — nadawszy małe swe fale, — «ja (rzekł), gdy łono moje otworzę, — nie rzekę zrobię, lecz morze». — Każdy się z wielkiem zdziwieniem — patrzył nad tem uniesieniem, — i echa, co je słuchały, — gorliwość powtarzały». Kiedy jednak przyszło do wykonania zamiaru, «strumyki głośno krzyczały, — żeby źródła przykład dały». Źródła dały przykład, ale nie utworzyły jeszcze rzeki, a tymczasem strumyki «jęły się klócić w rozmaite strony — i przez żalosne mruczenia — szerzyć swoje zażalenia, — mówiąc: «My wszystko dać zapewne chcemy, — ale cóż, gdy nie możemy». Godzi tutaj Niemcewicz w zamożną, ale skąpą dla ojczyzny szlachtę. Zresztą dodać trzeba, że się przewidywania jego nie spełniły: dnia 26 marca r. 1789 Sejm uchwalił «dobrowolną wieczną ofiarę dziesiątego grosza, z własnej chęci obywatelstwa pochodzącą».

Jak ta bajka, tak i wszystkie inne nie są wyrazem tego lub innego poglądu filozoficznego na świat, przez co nie mają charakteru ogólnoludzkiego, jak bajki Krasickiego; nie są też owocem świadomej pracy artystycznej, jak bajki Krasickiego i Trembeckiego; nie o filozofję i nie o piękno chodziło Niemcewiczowi, lecz jedynie o doraźne oddziaływanie na opinię publiczną, o napiętnowanie różnych ujemnych stron obrad sejmowych, jako to nadmiernego gadulstwa, plotkarstwa, niezgody, prywaty i niegodziwych intryg, jakich się już w pierwszym roku obrad dopuszczali stronnicy Rosji (rekrutujący się z partji królewskiej i ze stronnictwa hetmańskiego), żeby podkopać zamysły stronnictwa patrijotycznego, — na podobieństwo *Kretów*, ryjących ziemię uprawną w ogrodzie. Wogóle wszystkie bajki Niemcewicza są satyryczne.

Zupełnie inny charakter mają dwie *Dumy polskie*, (wydane w drugim, czy też w trzecim roku obrad sejmowych, a później wcielone do *Śpiewów historycznych*). *Duma o Żółkiewskim* i *Duma o Stefanie Połockim*. Narówni z *Dumą* Karpińskiego i odą Książna *Do Ojczyzny*, są one najpiękniejszym wyrazem budzącej się wśród zniewieściałości czasów Stanisławowskich tęsknoty do męstwa staropolskiego i pobudką do walki za ojczyznę. Na obydwóch wycisnęła wyraźne piętno poezja osjaniczna; zarówno Stefan Potocki, który poległ bohaterską śmiercią w bitwie nad Żółtymi wodami, jak Mikołaj Sieniawski, w którego usta włożył Niemcewicz dumę o Żółkiewskim, a który zasłynął męstwem w walkach z Kozakami

i Tatarami, — to nietylko dzielni rycerze, ale i czuli kochankowie; niedosyć na tem: Sieniawski «rymy» swoje o Żółkiewskim śpiewa przy świetle księżycy, a «w dzień... zły przygody» nad Żółtymi Wodami «słońce... w krwawych obłokach powstało». Otóż zarówno księżyc, jak krwawe, poszarpane obłoki, należą do ulubionych pierwiastków pejzażu w poezji osjanicznej i wogóle preromantycznej. Dodać trzeba, że obydwie dumy Niemcewicza, jak wogóle to wszystko, co napisał, są utworami tendencyjnemi; w *Dumie o Żółkiewskim*, napisanej jeszcze w roku 1786, pragnął autor, podobnie jak w tragedji *Władysław pod Warną*, przestrzec Polskę przed wojną z Turcją; a *Duma o Stefanie Potockim*, napisana w pierwszej połowie roku 1789, kiedy to napływały do Warszawy pogłoski o buncie chłopów na Ukrainie, i kiedy zaczęto wysyłać wojska dla jego stłumienia, jest pobudką bojową: «Jeśli kiedyś rycerz mężny — w tej tu znajdzie się krainie, — spojrzawszy na grób potężny, — niech, jak ty, walczy i ginie».

Krety.

Kiedy wszystko źle się dzieje,
Kiedy nieufność, niezgody,
Zniszczywszy wszystkie nadzieje,
Zostawia rzeczy, jak wprzódy,
W smutnych losów naszych względzie
Niech przynajmniej wolno będzie,
Kiedy już prawda niemiła nikomu,
Siedzącemu cicho w domu
Przed kochanemi współbracią
Powiedzieć prawdę pod bajki postacią.

Ogrodnik jeden rozsądny,
Pracowity i porządny,
Dostał po ojcu niedbałym
Sad, drzewy zewsząd okryty.
Sad ten był niegdyś ogrodem wspaniałym,
Lecz czas srogi, nieużyty,
A bardziej jeszcze przeszli ogrodnicy,
Co się w tym sadzie rządźili,
Tak go srodze opuścili,
Żeś już nie poznał i jednej ulicy:
Same chwasty i rośliny,
Pomiędzy niemi gadziny,
Kwatery pozarzucane,
Drzewa wszędy połamane.
Słowem, z pełnego wprzód owoców sadu
Zrobili puszcę bez sprawy i ładu.
Tak więc rzeczy opuszczone
W spadku nowemu dostały się Panu.
Chciał je przez prace łozne
Do dawnego przywieść stanu:
Plantę¹ więc nową porządnie ułożył,

Tutaj ulice nazaczył,
Dalej inspekta założył,
Tu drzewom, owoc noszącym,
Tutaj lipom, wonią tchnącym,
Właściwe miejsca przeznaczył.
Gdy się nadziei podaje
Przyszłego szczęścia, porządku,
Zaraz na samym początku
Nieznosnych przeszkód doznaje.
Kto rzeczy ważnej chce się podejmować,
Nim postąpi w swoim dziele,
Znosić musi przeszkód wiele
I z zazdrością się pasować.
Ten los spotkał ogrodnika.
Zaledwie pierwszą ulicę wytyka,
Więcej użytku pragnąc, niż zalety,
Wnet utajone Krety
Ziemie, która się zaczęła prostować,
Jęły ryć w koło i toczyć, i psować!
A choć wprzód z sobą niezgodne,
Chęć psucia i wywracania
Złączyła plemię odrodne.
Już są jednego zdania,
I te, co pierwaj na siebie pryskały,
Dziś się czule całowały.
Daremnie ogrodnik smutny
Przekładał im raz okrutny,
Który robocie jego zadawały,
Krety wcale nie słuchały.
«Przebóg! wstrzymajcie się proszę,
«Od tego rycia i toku,
«Jakież w tem macie rozkosze!

¹ plan.

«Pan Bóg wam nawet nie użył wzroku,
«Ślepe, prawdziwie nie wiecie,
«Czego chcecie, co robicie!»
Próżne gadanie: rodzaj zaperzony
Toczył we wszystkie strony.
Owszem, do siebie tak Krety mówili:
«Byśmy tylko przeszkodzili,
«Żeby przed zimą nic się nie zrobiło,
«Tośmy już potym wygrali:
«Wiatr północny¹ z całą siłą
«Przyjdzie i wszystko obali».
Nie były słowa daremne:
Dotrzymały Krety ciemne
Układy swoje zdradliwe.

Na próżnych usiłowaniach
I ustawicznych psowaniach
Minęło lato szczęśliwe.
Zniknęła wszelka otucha,
Zima, śnieg i zawierucha
Zniszczyły wszelkie roboty.
Ucieszyły się niecnoty,
Biedny ogrodnik ciężko się zasmucił
I dzieło swoje porzucił.
A tak przez Kretów utraconym czasem
Ogród znowu stał się lasem,
I kto chciał, to w nim polował,
Niszczył, wycinał, płądrował.

**Duma o Żół-
kiewskim.**

Za szumnym Dniestrem, na Cecorskim błoniu,
Gdzie Żółkiewskiego spotkał los okrutny,
Jechał Sieniawski odważny i smutny
W błyszczącej zbroi i na śnieżnym koniu.

Maj właśnie drzewa i kwiaty rozwijał,
Księżyc, w noc cichą świecąc roztoczony,
O srebrne skrzydła i hełm się odbijał:
Lecz rycerz wzdychał, żalem obciążony.

Niebieskie oczy serce mu zraniły
I swą srogością pokoju zbawiły:
Wzdychał; koń jego myślom się stosował,
Z zwieszoną głową zwolna postępował.

Tak dumał, alieć po bladym promieniu
Błyszącą widzi stał pomiędzy krzaki:
Był to hełm; na nim w zbyt drogim kamieniu
Herb Żółkiewskiego i rdzy krwawej znaki.

Zdjął go i na tak tkliwe widowisko
Jął mężny rycerz rzewne łzy wylewać,
A widząc srogie walk pobożowisko,
Usiadł i takie zaczął rymy śpiewać:

«Cecorskie pola i wy, głuche lasy,
Co na wierzchołkach swych wiatry niesiecie,
Roznieście ciężkie żale me po świecie
Nad wodzem, sławnym w wiekopomne czasy!

Mężu, co sławy chęć wyssałeś w mleku!
Zamoyski twoje przepowiadał enoty;
Pod jego znakiem w wiosny jeszcze wieku
Słałeś mord srogi w liczne Niemców roty.

Cóż², gdy hetmanem zostałeś z rycerza
I świetnym pułkom przywoździć zacząłeś!

¹ Rosja.

² cóż dopiero.

Granice Polski ręka twa rozszerza,
Podbiliś państwa, już i Moskwę wzięłeś.

A gdy się wałą wieże niebotyczne
Dawnego grodu, oręż twój gotowy,
Wojska Moskalów rozproszywszy liczne,
Wkłada na carów zwycięskie okowy.

Hetmanie, pelen nieśmiertelnej sławy!
Dniu, w sercach polskich nigdy niezmazany,
Kiedyś, z szczęśliwej wróciwszy wyprawy,
Przed zgromadzone stawiał jeńców stany!

Król Zygmunt siedział na tronie, a wkolo
W szkarłatnych szatach poważni ojcowie;
Młody Władysław pozierał wesoło,
Wtem szedł Żółkiewski, a za nim carowie.

«Królu! narodzie wolny i potężny!
«Wiodęć ród carów, nieszczęsny, lecz mężny;
«Przyjm go, nie jako chluby widowisko,
«Lecz jak odmiennej fortuny igrzysko!

«Bodajby nieba, co nam dziś szczęściły,
«Wiodły zwycięstwa za orły polskiem!'
«Bodajby wnuki sposoby srogiem!'
«Za krzywdy przodków nigdy się nie mściły!

«Ty, Władysławie, byś jej klęski słodził,
«Moskwać przeze mnie śle poddaństwa śluby;
«Rządź nią, lecz pomnij, kędyś się urodził:
«Niechaj ci kraj twój zawsze będzie luby!»

Tak mówił hetman. Któżby rzekł, że chwile
Tak świetne w ciężkie zamienią się klęski,
Że, nie mogąc się Turków oprzeć sile,
Szanowną głowę da pod miecz zwycięski?

Obóz mu cały wśród lez i rozpaczy
Wyniósł grobowiec i zwłoki w nim schronił;
Na nim ten napis śmierć i cnotę znaczy:
«On piersi swemi ojczyznę zasłonił».

Ty, drogi helmie, skronie mu wieńczyłeś
I włos, zsiwiały na pracach ojczyzny,
Ty w bitwach młodym rycerzom świeciłeś,
Tyś mu na czole krył szlachetnem blizny!

Przysięgam, że cię na głowę nie włożę,
Aż nieprzyjaciół krwią mego nie zmyję,
Aż ceniom wodza ofiary nie złożę
I pół Cecorskich trupem nie okryję.

A tak Sieniawski, każdy bój stoczony,
 Chciał, by dla niego był chwałą lub zgubą:
 Dotrzymał słowa i laurem wieńczony
 W ogromnym helmie stanął przed swą lubą.

Niebieskie oczy przyjęły go mile,
 Bo zdawna cnotę tylko zwykły cenić:
 Po bojach słodkie przyszedł pędzić chwile
 I laur za mirtu gałązkę zamienić.

167. Najznakomitszym pamfletem politycznym Niemcewicza z czasów Sejmu czteroletniego jest *Powrót posła* (1790), najoryginalniejsza komedia staropolska, wystawiona po raz pierwszy na scenie warszawskiej dnia 15 stycznia roku 1791 (pod tytułem *Powrót syna do domu*). To pierwsze przedstawienie wywołało w przepelnionej sali teatralnej nieopisany entuzjazm; to nie było powodzenie — to był triumf! Triumfem były i dalsze przedstawienia, co się tłumaczy nie samą osnową komedji i nietylko jej rzetelnym komizmem. Osnowę stanowi miłość dwojga młodych: posła Walerego, syna państwa Podkomorstwa, i Teresy, córki pana Starosty z pierwszego małżeństwa; na drodze do szczęścia stają im różne «przeszkody zawzięte»: niechęć pana Starosty i jego drugiej żony ku Waleremu, oraz konkury pana Szarmantkiego o rękę Teresy i jego podstęp z portrecikiem panny (podstęp, znany już Moljerowi i Stanisławowi Herakluszowi Lubomirskiemu). Pan Starosta dlatego niechce pozwolić na małżeństwo, że sam, będąc zakutym wstecznikiem, nie chce, żeby córka wyszła za postępowego młodzieńca; pani Starościna, pretensjonalna, sentymentalna i ogłupiała od czytania czułych poezyj i romansów kwoka, obiecała rękę swojej pasierbicy panu Szarmantkiemu, który jest wprawdzie głupi jak but, ale który umiał sobie pozyskać względy pani Starościny udanym sentymentalizmem, elegancją, i fireykostwem. Ostatecznie jednak wszystko «kończy się dobrze»: Teresa zaręcza się z Walerym. Pomysł takiej osnowy (małżeństwo z przeszkodami!) zawdzięcza Niemcewicz Moljerowi i wogóle komedjopisarzom francuskim; z tego samego źródła pochodzi pomysł wprowadzenia do komedji dwojga służących (którzy się także zaręczają). Jedność miejsca i czasu zachowane ściśle; jedność akcji rozbijają różne dodatki, jak np. spazmy pani Starościny i przepyszna parodia stylu panegirycznego w *Elegji na śmierć Szambelana* (będącej echem *Płaczów na śmierć uróbla* Katullusa). Lecz ani ta osnowa, ani te dodatki nie stanowią jeszcze właściwej treści *Powrotu Posła*; żeby zaś zrozumieć, co jest właściwą treścią tej komedji, trzeba wiedzieć, co skłoniło Niemcewicza do jej napisania.

Dnia 14 czerwca roku 1790 stanęła na sejmie uchwała o przedłużeniu obrad, czyli o tak zwanej prorogacji, mocą której sejm i konfederacja miały trwać aż do 12 lutego roku 1791. Po powzięciu tej uchwały miała nastąpić limita, to jest przerwa w obradach, ale nie nastąpiła: obradowano w dalszym ciągu, zdając sobie sprawę, że wobec konieczności uchwalenia reform, rozstrzygających o istnieniu Polski, poprzednio uchwalony termin prorogacji jest za krótki. W październiku tedy postanowiono, że się sejm nie rozwiąże, póki nie skończy obrad, że jednak do dawnych posłów przybędą nowi, których wybór wyznaczono na dzień 16 listopada; postanowiono da-

lej, że sejmiki dadzą posłom instrukcje przed ich wyborem, i że posłowie w miesiąc po wyborze mają się stawić w Warszawie i przystąpić do konfederacji. Rozumiejąc zaś, że od nowych posłów będzie zależała przyszłość zamierzonej reformy państwa, jej zwolennicy, z królem na czele, rozpoczęli agitację wyborczą. Do apelu stanął i Niemcewicz: na początku października zaczął pisać na gwałt broszurę agitacyjną, którą jest właśnie *Powrót posła*. Ukończył jej druk dnia 7 listopada, a więc w dziewięć dni przed wyborami: bo pierwotnie przeznaczal komedję do czytania, a dopiero później na scenę.

W przedmowie wyjaśnił wyraźnie, o co mu chodziło: powtarzając za innymi, że komedja ma na celu poprawę obyczajów, dodaje, że «w kraju wolnym, gdzie każdy obywatel składa część powszechnego rządu, nietylko prywatnego życia obyczaje, ale zdrożne względem całości krajowej opinije prostować należy». Zdrożne zaś względem całości krajowej opinije rozlegały się często podczas sejmów czteroletnich: wygłaszało je stronnictwo starszylacheckie, wsteczne, bądź słowem — na obradach sejmowych, bądź piórem — w książkach i broszurach, sprzeciwiając się, wbrew stronnictwu patrijotycznemu, wszelkim śmielszym reformom, zezwalając co najwyżej na niektóre drobne, powierzchowne zmiany. Tę właśnie walkę dwóch stronnictw, która stanowi całą niemal treść działalności wielkiego sejmów, uobrazil Niemcewicz w swojej komedji, wystawiając w pięknym świetle patrijotów, a ośmieszając wsteczników, aby, jak mówi, «wyszydzić ostatek zakorzenionych przesądów». Tym sposobem jest *Powrót posła* komedją polityczną, pierwszą komedją polityczną w Polsce, bo wszystkie dawniejsze komedje, Bohomolca, Krasickiego, Zabłockiego i innych, były obyczajowe (a co najwyżej — społeczne).

Przedstawicielami stronnictwa patrijotycznego są w komedji Niemcewicza pan Podkomorzy i Walery. Obydwaj są szlachetni i rozumni, hołdują zasadzie, że «dom zawsze ustępować powinien krajowi», cieszą się całym sercem z działalności wielkiego sejmów, rozumieją potrzebę reform nietylko politycznych (np. zniesienia tronu obieralnego), ale i społecznych: pan podkomorzy w radosny dzień zaręczyn swego syna ze starościanką obdarza wszystkich swoich chłopów wolnością (podobnie jak Tadeusz w poemacie Mickiewicza, kiedy się zaręczył z Zosią). Krótko mówiąc: Podkomorzy i Walery to uosobienia wszelkich rozumów i wszystkich cnót, zarówno rodzinnych, jak patrijotycznych.

Przedstawicielem stronnictwa starszylacheckiego jest pan Starosta, który się niedarmo nazywa Gadulski: «Jak zaczął to o sejmie, to o wojnach bając, — ze wszystkimi się sprzeczać, wszystkich klócić, lajać, — gęba się nie zamknęła przez całą wieczność; — powywracał butelki, szklanki i talerze; — naostatek, chociaż mu nikt nie odpowiadał, — on jednak, zaperzony, jak gadał, tak gadał; — i dopiero, jak spostrzegł, że już wszyscy spali, — że świece gasły, przecież, mrużąc, wyszedł z sali — i na schodach dokończył ostatek swej mowy». Otóż w tych mowach pana starosty odzwierciedla się przepysznie jego charakter, zwłaszcza jego ciasny, zakuty łeb starszylachecki, w którym się pomieścić nie może, aby Rzeczpospolita potrzebowała jakiegokolwiek reformy: przecież wszystko, co stare, to mądre, a wszystko, co nowe, to głupie! «Bóg wie, co porobiły sejmujące stany: — dlaczego ten rząd, poco te wszystkie odmiany? — Alboż źle było dotąd? a nasi przodkowie — nie mieliżto rozumu i oleju w głowie? — Byliśmy potężnymi pod ich ustawami: — jak to Polak szczęśliwie żył pod Augustami! — Co to za dwory, jakie try-

bunały huczne, — co za paradne sejmy, jakie wojsko juczne! — Człek jadł, pił, nic nie robił, i suto w kieszeni! — Dziś się wszystko zmieniło i bardziej się zmieni: — zepsuli wszystko, tknąć się śmieli okrutnicy — *liberum veto*, tej to wolności żrzenicy! (*placze*). Przedtem bez żadnych intryg, bez najmniejszej zdrady — jeden poseł mógł wstrzymać sejmowe obrady, — jeden ojczyzny całej trzymał w rękę wagę: — powiedział Nie pozwalam! i uciekł na Pragę! — Cóż mu kto zrobił? jeszcze za tak przedni wniosek — miał promocje i dostał czasem kilka wiosek, — dzisiaj co kto dostanie? nowomodne głowy — chcą robić jakieś straża, jakiś sejm gotowy¹, — czyste do despotyzmu otwierają pole!...» «Czyliż się to z rozumem może zgodzić zdrowym, — żeby poseł w urzędzie był dwa lata trwale? — Sejm powinien być tylko o świętym Michale, — nie więcej, jak sześć niedziel: tak przedtem bywało!...» «Ale jakże też można mieć tak dzikie zdania — i przez sukcesją naród chcieć jarmem uciskać? — W tym przypadku pytam się: co kto może zyskać? — Król dziś umrze, nazajutrz syn po nim nastaje, — wszystko się w spokojności, jak wprzód, zostaje, — wszystko cicho, i nikt się nikomu nie skłoni; — w elekcji każdy swego kandydata broni, — wszyscy na koń wsiadają i, podług zwyczaju, — zaraz panowie partje formują po kraju; — ten mówi do mnie z miną rubasznie-przyjemną: — «Kochany panie Piotrze! proszę, bądź Waśc ze mną!² — Między nami, tę wioskę weź niby w dzierzawę!»; — drugi, żebym był za nim, puszcza mi zastawę, — ten daje sumę, i tak człek się zapomoże! — Prawda, z tego wszystkiego przyjsć do czubów może, — i tak było po śmierci Augusta wtórego: — ci bili Sasów, owi bili Leszczyńskiego, — palili sobie wioski: no, i cóż to szkodzi? — obce wojsko, jak wkroczy, to wszystko pogodzi! — potem amnestja, panom buławy, urzędy, — szlachcie dadzą wójtostwa, obietnice, względy, — niebyłóż to tak dobrze?» Kiedy pan Podkomorzy obdarza włóścian swoich wolnością, pan starosta, oczywiście, nie posiada się z oburzenia: «Potrzebne to rzeczy? — do czego to znów przypiąć to ich uwolnienie? — to tylko Waćpan robisz dla drugih zgorznień!»

Oto są «zdrożne względem całości krajowej opinije», które niemiłosierdzie ośmieszył Niemcewicz, wkładając je w usta pana Starosty; aby zaś już doreszty dobić w opinji publicznej stronnictwo starszslacheckie, zrobił z pana Starosty nietylko skończonego głupca i wsteczніка, ale nadto pijaka i niedołęgę, skąpca i cheiwcę, słowem odsądził go od czci i wiary. To też, jak *Sarmatyzm* Zabłockiego jest, dzięki postaci Guronosa, najostrejszą w literaturze XVIII w. satyrą na sarmatyzm w życiu domowem, tak *Powrót* posła Niemcewicza jest, dzięki postaci pana Starosty, najostrejszą satyrą na sarmatyzm w życiu publicznem, jest jakby ostatniem słowem w tej walce przeciwko wsteczniństwu i nierozumowi politycznemu, którą jeszcze w wieku XVI rozpoznał Górnicki w swojej *Rozmowie Polaka z Włochem*.

¹ Sejm sześciotygodniowy zamierzono zamienić na sejm gotowy, który możnaby było zwołać każdego czasu w razie potrzeby — z posłów, obranych na przeciąg czasu nie sześciotygodniowy, ale dwuletni; w czasie niesejmowym miała pomagać królowi do wykonania uchwał sejmowych straż, złożona z dwunastu członków, a wybierana przez sejm na dwa lata. ² Jak pisze sam Niemcewicz w «Pamiętnikach czasów moich», Branicki na sejmie r. 1775 obstawał «w rubasznej mowie» za utrzymaniem dawnej kawalerji, złożonej z samej majątnej szlachty: «Niewielebym ufał — wykrzykiwał — tej z chłopstwa złożonej piechocie, lecz wszystkiego dokaże, kiedy, obróciwszy się do szlachty, do chorągwi poważnych, zawołam: «Panie Piotrze, panie Pawle! hejże, bracia, za mną!»

Ale i o «prywatnego życia obyczajach» nie zapomniał Niemcewicz i napiętnował ich rozluźnienie pod wpływem cudzoziemszczyzny: Szarmantcki mianowicie — to doskonale przedstawił napoły scudzoziemczalej i na sprawy ojczyzny zupełnie obojętnej «złotej młodzieży» warszawskiej, to typ «fircyka», «lwa salonowego», którego główną specjalnością jest próżniactwo i rozpusta, zabawa i polowanie — nietylko na zwierzęta, ile na posażne panny. W osobie zaś pani Starościny, także napoły sfrancuziałej, ośmieszył Niemcewicz «żony modne» z ich sentymentalizmem i pozowaniem na poetyczne istoty, z ich zdumiewającą zdolnością do omdlewania i spazmów na każde zawołanie, z ich przewróconymi głowami i obojętnymi na sprawy narodowe sercami.

Jak postać pana Starosty ma swoje przeciwieństwo w postaci pana Podkomorzego, tak przeciwieństwem Szarmantckiego i pani Starościny są Waleri i pani Podkomorzyna: pragnął Niemcewicz uwydatnić przeciwieństwo dwóch światów polskich, zarówno w zakresie życia publicznego, jak obyczajowego, i zamiar swój spełnił znakomicie.

W całym swoim blasku zajaśniał w *Powrocie posła* ogromny talent satyryczny Niemcewicza: w postaci dodatnie (w pana Podkomorzego, w panią Podkomorzynę, w Walerego, w Teresę) nie umiał technąć życia — są to ludzie papierowi; ale postaci ujemne (pan Starosta, pani Starościna, Szarmantcki) to ludzie żywi, nadewszystko pan Starosta. Wogóle jest *Powrót posła* nietylko najoryginalniejszą, ale i najlepszą komedią polską — przed Fredrą.

168. Przy końcu *Powrotu posła* wypowiedział Niemcewicz przez usta pana Podkomorzego swoje własne serdeczne marzenie: «Bodajbyśmy, wraz dzieląc pomyślnie godziny — między słodkim staraniem krewnym i domowi — i tem, co się należy własnemu krajowi, — cnotliwie wszyscy w zgodzie i jedności żyli — i na szczęście ojczyzny i dzieci patrzyli!» Marzenie to zdawało się ziszczać: w kilka miesięcy po pierwszym przedstawieniu komedji stanęła konstytucja 3 maja; Polacy, jak pisze Niemcewicz, «potargali pęta, zmazali hańbę, stali się narodem; Europa czyn ich z zadziwieniem i poklaskiem przyjęła, naród zaprzysiągł być rządym i niepodległym, albo zginąć; nie było przykłady powszechnej zgody i jedności, nie można jej było dosyć uwielbić, nie można było ani dość gorących do Boga ślać modłów, ani dosyć żywej podawać się radości». Dla uczczenia pierwszej rocznicy konstytucji napisał Niemcewicz «dramat» *Kazimierz Wielki* (1792). Utwór to bardzo słaby, pisany na większy jeszcze gwałt, niż *Powrót posła*, ale nie-małe na widzach wywarł wrażenie — przez to samo, co i *Powrót posła*, t. j. przez swoją aktualność. Autor bowiem, dopatrując się pomiędzy czasami Kazimierza Wielkiego a St. Augusta, pomiędzy statutem wiślickim a konstytucją 3 maja, podobieństwa, wziął je za «materyją dramy»; chodziło mu nie o prawdę historyczną, nie o odtworzenie ducha czasów Kazimierza Wielkiego i nie o statut wiślicki, tylko o naukę patrijotyczną, o czasy obecne, o apoteozę konstytucji 3 maja; oto dłaczego Kazimierz Wielki w tym «dramacie» pseudohistorycznym to nie Kazimierz Wielki, tylko Stanisław August; Nałęcz to nie Nałęcz, tylko Małachowski; statut wiślicki to nie statut wiślicki, tylko konstytucja 3 maja i t. d.; niektóre monologi i dialogi są echem mów, listów i broszur z czasów sejmu czteroletniego. Tę intencję Niemcewicza publiczność doskonale zrozumiała, i raz po raz rozlegały się w sali

teatralnej grzmiące oklaski. Ogromne wrażenie musiały np. wywrzeć kończące dramat słowa Kazimierza W.: «Niechże ten dzień będzie hasłem powszechnej narodu radości! niech Polacy w najpóźniejszych wiekach obchodzą go, jako pamiątkę szczęśliwej ustawy sejmu wiślickiego!» — (t. j. 3 maja) — «niech pamiętają, że tą ustawą położyli koniec wstydowi, kłęskom i długim cierpieniom i że tej winni są szczęście, spokojność i niepodległość swoją». Szczególniej jednak wspaniała była chwila, kiedy Kazimierz Wielki przemówił ze sceny w te słowa: «Ustawy wiślickie zbawienne są; poznał je naród i nadwreżyć ich nie dopuści, a jeśliby zdrajca jaki znalazł się, któryby z obcą mocą chciał zadawać bliźny ojczyźnie, która go urodziła i karmiła, wtenczas ja, choć stary, choć z siwą już głową, stanę na czele poczytywych Polaków i albo trupem padnę, albo zostawię Polskę niepodległą, świetną i poważaną!» Nagle powstał St. August, wychylił się z łoży i zawołał: «Stanę i wystawię się!» A sala zatrzęsa się od grzmotu oklasków.

Na nieszczęście, nie stanął i nie wystawił się St. August w obronie konstytucji: przyłączył się do Targowicy. Ta najhaniebniejsza hańba w dziejach dawnej Polski, ten «bólów ból» odbił się w sercu Niemcewicza echem strasznego oburzenia, którego wyrazem są jego złośliwe paszkwile na targowiczán. Pierwszy, napisany w połowie lipca roku 1792, a więc jeszcze przed przystąpieniem króla do Targowicy i przed wyjazdem Niemcewicza do armji, — *Forma prawdziwego wolnego rządu, przez konfederacją targowicką ułożona* — jest parodią (nie odbiegającą zresztą tak dalece od rzeczywistości) nikiemnych odezów targowiczán, wywracających, niby to w imię dobra ojczyzny i wolności narodu, wielkie dzieło «spisku warszawskiego», t. j. «głupiej i szalonej konstytucji 3 maja» (!!). Oto np. artykuł o miastach i mieszczanach: «Nieszczęśliwe skutki okazują się już z nadanych praw stanowi miejskiemu przez spisek warszawski; miasta te zaczynają się murować, obcych do nich przybywać, a nawet w niektórych miejscach nieznanie dotąd fabryki i rękodzieła zaprowadzać; mieszczenie wraz z szlachtą za panie bracie chcą kraju swego bronić i ofiarę składać. Przeto, tak fatalnemu zgorzeniu kładąc wieczną zaporę, wszystkie przywileje, miastom przez spisek warszawski nadane, kasujemy». Artykuł o chłopach: «Żaden chłop człowiekiem nie ma być nazwany, ale panowie będą ich używać, jak koni i wołów». Artykuł o sejmie: «...Idąc przykładem ojców naszych, wolno będzie zerwać sejm przy obraniu marszałka; ...wszystko *unanimitate*¹ ma być traktowane i *liberum veto*, jako źrzenica wolności, troskliwie piastowane; prawdziwa bowiem wolność zależy na tem, aby jeden mógł tamować wolę wszystkich». Nie zapomniał Niemcewicz i o tej, jednej z największych, zbrodni targowiczán, którą było zniesienie Komisji Edukacyjnej: «Komisyja Edukacyjna, jako przez królki czasu przeciąg szkodliwie w młodzieży zaszczerpiła światła i *principia*, zniesiona być ma. Zakon zaś księży jezuitów, pod którego dozorem obywatele byli oświeceni i pomysłnie, zwłaszcza od Jana Kazimierza aż do ostatniego panowania, zarządzali Rzeczpospolitą, — przeto zakon ten, jako w żadne intrygi nie mieszający się i we wszystkich krajach kochany, powracamy, z obowiązkiem, aby uczył Alwaru i trochę arytmetyki, nie wając się dawać innych nauk, jako szkodliwych prawidłom narodu naszego targowickiego... Żeby zaś pamiątki czynów wszelkich wiecznie w umysłach młodzieży zostały, naznaczą *proemium*² dla tych, którzyby napisali

¹ jednomyślnością. ² nagroda.

najpiękniejsze pochwały Radziejowskiego, Zebrzydowskiego, mianowicie zaś pochwałę konfederacyi radomskiej i nieśmiertelnego, a cnotliwego związku naszego targowickiego. Ze zaś znaleźć się mogą niepoczczeni ludzie, którzy historiją czasów dzisiejszych pisać będą i czyny nasze potomności bez pochwał podawać zechcą, przeto surowo zakazujemy, aby nikt historii nie pisał».

Ale jeszcze złośliwszym jest paszkwil drugi. Publicystyka francuska podczas wielkiej rewolucji posługiwała się nieraz trawestacją różnych ustępów z Pisma Świętego, oraz modlitw, jako bronią satyryczną. Publicystyka polska przejęła ten zwyczaj. Były np. takie bezimienne trawestacje: «Wierzę w Katarzynę, Imperatorowę całej Rosyi, i we Fryderyka, syna jej jedynego, który się począł z ducha wojennego, urodził się z nieostrożności polskiej...» «Zdrowaś Maryja Teresa, łaski Pańskiej pełna, Fryderyk z tobą...» «Ojciec nasz, któryś jest w Wiedniu, Berlinie, Petersburgu, święć się imię twoje w t a m t y c h krajach, wyjdź królestwo twoje z naszej Polski...» Otóż i Niemcewicz chwycił tę broń satyryczną i napisał *Fragment Biblije Targowickiej: Księgi Szczęsnowe* (1792); jest to trawestacja kilku początkowych rozdziałów Starego Testamentu (*Ksiąg Rodzaju*), — i na tem właśnie polega piekielna złośliwość pomysłu: jak Bóg przez sześć dni stwarzał świat, tak «naród i wszystko, co w nim dziś jest, przez sześć dni tworzy Szczęsny». Oto np. dzień drugi stworzenia: «I rzekł Szczęsny: Niech wszelki rząd i wszelka sprawiedliwość ustaną, niech szlachcic posłuszny będzie panom, a miasta niech się znowu pogrążą w ubóstwie i ciemności; to, co wybrani od współziomków swych ludzie postanowili, niech będzie zbrodnią i spiskiem, a to, co ja rozkażę, niech będzie prawem! Rzekł też Szczęsny: Niech drukarnie przestaną drukować, a ludzie niech przestaną mówić, czytać, pisać i myśleć! I nazwał to Szczęsny wolnością».

★ Rozdział III. Szczęsny opowiada ród i początek swój, i całe plemię swe od początku aż do końca. I rzekł Szczęsny: Żebyście wiedzieli, kto ja jestem i ci, którzy ze mną przedsięwzięli to osobliwe odrodzenie Polski, powiem wam, że ja ród mój wiodę od tych pysznych aniołów, którzy nawet Boga, Twórcę swego, uznawać nad sobą nie chcieli i zbuntowali się przeciw Niemu. Większa część tych aniołów wraz do piekiełw wtrącona była, kilku z nich zostało na ziemi i rozeszli się po różnych krainach, i od nich pochodzą wszyscy burzyciele i wichrzyciele ziemi tej. I w Polsce został się z nich jeden, i od niego pochodzi Sieciech, wojewoda krakowski, który za Bolesława Krzywoustego zdradził swe ziomki i uciekł z placu bitwy, a król przysłał mu kądziel; i prządl lat osiemdziesiąt... i pogardzon był i umarł. Z Sieciecha w dalszych pokoleniach zjawił się Szamotołski, wojewoda poznański; ten, zdradziwszy ojczyznę swą, przeszedł do Krzyżaków i był potem rozsiekan i umarł. A z biodrów Sieciecha wyszedł później Gliński, który podniósł bunt przeciw Zygmunutowi I i chciał się ogłosić wielkim księciem litewskim i przeszedł do Moskwy, i żył lat pięćdziesiąt, i wylupiono mu oczy, i umarł. A potomkowie Glińskiego spłodzili Radziejowskiego, który Szwedów sprowadził na Polskę i wiele złego broił i żył lat sześćdziesiąt... I życie jego było pełne zgryzoł, a wszyscy stronili od niego, i był pogardzan, i umarł. I weszła dusza Radziejowskiego w Chmielnickiego, Doroszeńkę i Niczaję i rozmnożyła się, a z nich, dla bliskości miejsca, w Ponińskiego, we mnie, Szczę-

snego, i w Branickiego, i Rzewuskiego, i Kossakowskiego. I pojąłem żonę, ..i wydała liczne plemię, które wami rządzić będzie». ★

Inny charakter ma wiersz Niemcewicza *Na hersztów targowickich* (1792). I tutaj jest oburzenie, szczere, silne, nie wybucha już jednak krwawym szyderstwem, jak w paszkwilach, ale przemawia z powagą i smutkiem; a oprócz oburzenia względem zdrajców, jest tu jakiś żal do ojczyzny, że ich nie pokarała, ale nadewszystko jest ból głęboki na myśl, że targowiczanie unicestwili całą pracę wielkiego sejmu; broni się poeta przed zwątpieniem, jak może, chciałby uwierzyć, że to niepodobna przecie, aby Bóg «miał nas zostawić w wiecznym ucisku i wstydzie»: ale ta wiara w miłosierdzie jest słaba — zwątpienie przemaga.

Silniejszym jeszcze wyrazem oburzenia Niemcewicza na hersztów targowickich jest napisana na początku roku 1793 *Obrona wojska moskiewskiego w Polsce Iwana Wasilewicza, oficera w temże wojsku* — silniejszym dlatego, że akt oskarżenia przeciwko Targowicy wkłada Niemcewicz w usta wroga Polski — uczciwego oficera rosyjskiego, który jednocześnie tym aktem broni swojego państwa i swojej «monarchini»: gdyby nie wasi własni zdrajcy, nie byłoby wojska rosyjskiego w naszym kraju! Niemcewicz z pewnością wiedział doskonale, że wojsko rosyjskie wtargnęłoby do Polski i bez Targowicy, ale właśnie dlatego, że udaje, iż o tem nie wiedział, i że, co za tem idzie, całkowitą odpowiedzialność za nieszczęście składa na zdrajców targowickich, akt oskarżenia przeciwko nim przybiera na sile.

Najpiękniejszym z drobnych utworów patriotycznych Niemcewicza, napisanych w tej okropnej epoce hańby i klęski, jest elegja p. t. *Wiosna*; «mało co czulszego i lepszego Niemcewicz kiedykolwiek napisał», mówi słusznie jego biograf, Adam Jerzy Czartoryski. Bije z tego utworu szczery, głęboki, rozdzierający, chociaż napozór spokojny ból patriotyczny, wywołany drugim rozbiorem, a połączony, podobnie jak w wierszu *Na hersztów targowickich*, ze zwątpieniem: «Czemuż nieba nie raczą bohatera wskazać, — coby śmiał kraj uwolnić i wstyd jego zmasać?» Rozpaczy jednak niema, bo nie rozpacza ten, kto ze zwątpieniem walczy i nie stracił jeszcze wiary we własne siły: «Ale może wojownik ziemię krwią zrumienić,... świat zburzy, lecz nie zegniesz cnotliwego męża». A nie były to, jak pokazała bliska przyszłość, czczone słowa: ani hańba, ani klęska nie zgięła Niemcewicza, i, kiedy «nieba wskazały» bohatera, kiedy wybuchło powstanie kościuszkowskie, jego w niem nie zabrakło. Lecz zanim stanął w szeregach Kościuszki, zdążył jeszcze napisać jedną z najlepszych swoich bajek *Pożar* (1794), w której napiętnował, jako zdrajców ojczyzny, tych, co do powstania iść nie chcieli.

Na hersztów targowickich Jakże? kiedy, z pogardą i wstydu i prawa
(w skróceniu). Spisek zdrajców na własną ojczyznę powstawa...
Gdy szerzy dziką zemstę i mordy bezkarne,
Naród w milczeniu patrzy na mordy tak czarne?...
I nie znajdzie się ręka Bruta lub Scewoli,
Coby nas uwolniła z tak ciężkiej niewoli?
Więc, gdy Polak, zbyt dobry, sztyletem się brzydzi,
Niechaj, czyni ich głosząc, światu ich ohydzi,
Niech powie, że zgubili ojczyznę kochaną!...
Głosicie wolność, równość: ja prześladowanie

I nie wolność, lecz kilku widzę panowanie...
Porzuć, Szczęsny, szyderstwo! Połączać z uciskiem
Sejm prawy, zbiór cnotliwych śmiesz nazywać piskiem?
Ty, coś zgwałcenia wszystkich praw jawnym dowodem,
Samotrzcę w Targowicy nazwał się narodem,
Ty śmiesz buntów zadawać? Jakże? Lud zebrany,
Co haniebne nad sobą potargał kajdany,
Co, jedynie zajęty miłością ojczyzny,
Zniósł błędy, wskrzesił prawdę, uleczył swe bliźny, —
Ten sejm winien u ciebie? Ach! nie tak osądzi
Publiczność i potomność, co nigdy nie błądzi!...
Ta powie kiedyś: «Był sejm z cnotliwych złożony,
«Co przywiódł do świetności kraj długo zhańbiony,...
«Który rozsądną równość między ludźmi wrócił
«I źródło nieszczęść Polski — pychę możnych — skrócił.
«Lecz byli zdrajcy, co kraj zburzyli szczęśliwy:
«Był Szczęsny, był Rzewuski, Brancki zdradliwy
«I Kossakowskich chytre i zwodnicze plemie:
«Ci zgubili na zawsze tę nieszczęsną ziemię!...»

Lecz, jeśli panujecie i mieczem, i trwogą,
Wiedźcie: triumfy wasze długie być nie mogą:
Wkrótce zapalczywości i gniewu zasłona
Spadnie — i stanie w oczach ojczyzna zgubiona...
Natenczas wlec się będą dni wasze w tęsknotach,
Nie znając, co sny słodkie; w okropnych ciemnotach
Poległych ziomek cienie stać będą przed wami
I zadanymi przez was przerażać ranami.
Wpośród przekleństw rodaków do grobu zstąpicie,
Lecz straconego szczęścia Polsce nie wróćcie!

Lecz trudno, by Bóg, którzy rządzi przeznaczeniem,
Bóg, co nas dźwignął swoim potężnym ramieniem,
Miał nas zostawić w wiecznym ucisku i wstydzcie,
Może pora szczęśliwa dla Polaków przyjdzie!
Trudno, by ten dzień wielki, gdzie świętym obchodem,
Boże! król w Twym obliczu łączył się z narodem,
By ten dzień, Panie, w którym przybytek Twój święty
Lud, Tobą i ojczyznę jedynie zajęty,
Napelniał, gdzie przez szczere i radosne pienia
Skladał Ci, Boże, za Twe dary dziękczynienia;
Gdzie strzec wolnych swych ustaw zaprzysiął przez śluby, —
By dzień ten dniem się stać miał krzywoprzysięstw, zguby!
Jeśli zaś w gniewieś wyrzekł, Boże władogromy,
Że szczęście nasze przejdzie, jako sen znikomy,...
Wtenczas któż znieść potrafi tylu klesek brzemień?
Cnotliwy rzuci z smutkiem tę zgnębianą ziemię,
A widząc szczęścia Polski zgubione nadzieje,
Nad zhańbioną ojczyznę rzewne lzy wyleje,

Pójdzie, gdzie niepodległym być się jeszcze godzi
I gdzie nad ludźmi pycha kilku nie przewodzi.

**Obrona
wojska mo-
skiewskiego.**

Czas już, żeby ustaly te skargi i żale,
Że Polska nieszczęśliwa, to winni Moskale!
Potwarz mię ta obchodzi, — i ja też mam duszę,
Za skrzywdzony mój naród ująć się więc muszę.
Prawda, Polska zgubiona, w nieszczęśliwym stanie,
Nie słyhać, tylko jęki, płacz i narzekanie:
Ale kto temu winien? Mówmy poufale!
Czy związek Targowicki, czyli też Moskale?
Weszliśmy w wasze kraje: lecz któż nas sprowadził?
Ten, co was dzisiaj dręczy, co was wprzód zdradził:
Szczęsny, co na kraj własny spisek w Jassach knował,
Płaszczyl się w Petersburgu, by w Polsce panował.
On się powstaniem swojej ojczyzny obraził,
On prosił, by nasz oręż piersi wasze raził.
Przysięgam na mój honor, po tureckiej wojnie,
Gdyśmy po domach naszych żyć chcieli spokojnie,
Zamiast pokoju, przeciw wam kazali czynić¹.
Mówiliśmy: «Co mógł nam naród ten zawinić?
«Jakże za to, że lud ten, cierpiąc klęsek tyle,
«Odrodził się w swych prawach, znaczeniu i sile,
«Że chciał być niepodległym, że chciał być szczęśliwym,
«My go niewinnie mamy ścigać mieczem mściwym?
«Co nam do tego, jak się kto u siebie rządzi?»

Ale Szczęsny powiedział: «Kto tak myśli, błądzi.
«Jam jest narodem, moja święcona osoba!
«Co Polacy zrobili, mnie się nie podoba.
«Padłem do nóg wspaniałej naszej monarchini, —
«Słuchajcie! ona w Polsce w imię moje czyni!»

Słuchać potrzeba było. Zaczęły się mordy,
Dońców naszych po włościach rozbiegły się hordy;
Ale, ilekroć przyszło z wami się próbować,
Musieliśmy waleczność wojsk waszych szanować.
Zieleńce i Dubienkę głosić będzie sława:
Widać, żeście walczyli za wolność i prawa.
Lecz jaką wzdargę wzbudzał z wami porównany
Przełęczniony Rzewuski, Branicki pijany:
Pierwszy wśród boju skrył się za szopę niewielką,
Drugi szeregi nasze przebiegał z butelką,
Wrzeszcząc: «Pijcie i bijcie!» Niech, jak kto chce, ludzi,
Obcy nawet nie może czić podobnych ludzi!
Ulegliście, choć nigdy nie będąc zwalczeni,
Z jakich powodów, niechaj każdy, jak chce, mieni.

Tu się skończyła dla nas zbyt przykra robota:
Dzisiaj nie my rządzimy, lecz zdrajców niecnota;
Nie myśmy zawikłali w nierząd naród cały,

¹ walczyć.

Nie my wydajem pozwy i uniwersały,
Ale to Szczęsny, pierwszy król z niełaski Boskiej,
Rzewuski i Branicki, niecny Kossakowski, —
Ci przywłaszczoną sobą i nieprawną władzą
Bez zwołania narodu stanowią i radzą.
Ci w skrytych swych widokach i w zyskach swych wspólni,
Wszystko wam zakazując, mówią, żeście wolni;
Ci dwa silne narody, Litwę i Koronę,
Chcąc łatwiej oba zgubić, chcą mieć rozdzielone;
Ci śmieli (żeby własne wojsko upokorzyć),
Powieszonemu zbiega generałem tworzyć.
A wytępiając honor i pamięć zwycięstwa,
Pozdzierali z rodaków dowody ich męstwa.
Możnaż tak plamić honor i hańbić odwagę?
Ta bezwstydnosc w nas samych wzbudziła zniewagę!
Nikt nie powie, żeby to Moskale zrobili.
Moskale Kossakowskim, Szczęsnemu radzili,
By, znosząc edukację, przyszłe pokolenia
Przygotować do jarzma, hańby i spodlenia?
Nie my poczciwych ludzi chcieli prześladować,
Nie my po domach waszych kazali szpiegować,
Lecz oni, szerząc tylko gwałt despotom znany,
Na myśli nawet wasze wtłoczyli kajdany;
Wolność zwierzenia trosków — i tę wam odjęto,
Pieczęć na listach waszych nie jest dla nich świętą;
Oni wiedzą największe wasze tajemnice,
Co mąż żonie powierza, co dzieciom rodzice;
Lecz, gdy w męczenie swoją wysilają dzielność,
Co najbardziej oburza, to brzydka bezczelność,
Z którą, gdy prawa tłumią i każdemu szkodzą,
Chcą wmówić, że powszechną szczęśliwość przywodzą.
Jak was mają za ciemnych! Ja, kiedym zły troszki
I żołdatowi memu każe dać batożki,
Choćbym sto razy mówił, że go nie urażam,
Że dobrodziejstwo świadczę i że go poważam,
Nie uwierzy zapewne, bo człowiek, bo tkliwy,
Bo, kiedy cierpi, trudno, żeby był szczęśliwy.
Ale mi kto zarzuci, że te krzywdy srogie,
Co znoszą miasta, szlachcic i kmiotki ubogie, —
Te już nie Targowica, ale Moskal czyni;
Możeż temu uwierzyć nasza monarchini?
Wy jęczycie pod srogiem zewsząd udręczeniem,
Szczęsny wysłał do niej posłów z dziękczynieniem;
Tam Branicki w pisanej przez kogoś perorze,
Choć przed obiadem, a już w wesołym humorze,
Twierdzi, że przez broń ruską Polak stał się wolnym,
Że radość ziomków ledwie wyrazić jest zdolnym,
Na rząd, który zaprzysiągł, składa nieszczęść winę
I obok Pana Boga mieści Katarzynę;

Mówi, że, chcąc, by w Polsce zawsze się szczęściło,
Trzeba, by odtąd w kraju tak, jak teraz było.

Cóż zyskali posłowie? (darujcie, zem szczerzy!)
Dla was jarzmo, dla siebie złote tabakiery,
I dziwić-że się może myśl czysta i zdrowa,
Że z zdrady ziomek waszych korzysta carowa?
Wiercie, własny pożytek wszystkie dwory rządu,
Kto myśli, że mu obcy dobrze życzy, błądzi.
Nie wińcie Katarzyny, że wam rząd wasz znosi,
Że wielkość swą nad waszą szczęśliwość przynosi:
Wielka to pani, ona mocarstw trzyma wagę.
Ona jedna wie, jak swą zachować powagę;
Przy stałości w przygodach i rzadkim rozumie,
Przyznajcie: ona jedna w świecie rządzić umie.
Płacz wasz i narzekania, i stan bliski zgonu,
Wiercie, że się nie mogą przedrzeć do jej tronu,
Bo zdrajcy, których zyskiem istność waszą zwałać,
Złe przed nią taić muszą i prawdę oddalać.

Lecz cieszcie się! Wyrodki przebrali już miarę,
Za popełnione zbrodnie odnoszą już karę.
Patrzcie, co im ściągnęły zamysły ich harde:
Nienawiść własnych ziomek, Europy pogardę!
Przynieśli dla was więzy, lecz, ślepi, nie znali.
Że się sami w tych więzach pierwsi uwikłali.

Koń z jeleniem, na błoni pasący się w chłodzie,
Rozgniewał się, że jelen wybiegł go w zawodzie;
Prosił człeka o pomoc i przyjął wędzidło,
Pokonał towarzysza, lecz wraz poznał sidło;
Bo człowiek, korzystając z szaleństwa nieuka,
Nie zsiadł mu więcej z grzbietu, ani zdjął munsztuka.
Podobny los wyrodki wasze będą mieli:
Zatrzymają kajdany, gdy rządu nie chcieli.

My więc, świadkowie waszych cierpień oczywiści,
Żałujem was bez żadnych dla siebie korzyści!
Smutny pobyt nasz w Polsce! Wszak sami widzicie:
Niewiasty, co wdziękami słodkiem czynią życie,
Cnotliwość, co wspierali kraj radą lub bronią,
Nie dziw, że nas nie lubią i że od nas stronią;
A jeśli mała liczba podłych nadskakuje,
I Moskał w towarzystwie podłych nie smakuje.
Przebóg więc, darujcie nam tyłu nieszczęść winę,
W nas widzicie narzędzie, lecz w zdrajcach przyczynę.

Wiosna. Tehnąca przyjemną wonią, z majowym porankiem
Przyszła wiosna, kwiecistym ozdobiona wiankiem;
Przyszła wesola, a gdy luźne jej spojrzenie
Wzbudza rozkosz i całe cieszy przyrodzenie,
Gdy ziemia, przyodziana ozdobnymi szaty,
Pyszni się nowem liściem¹ i świeżemi kwiaty:

¹ liście — rzeczownik zbiorowy rodzaju nijakiego.

Szczęśliwy, kto, nie znając ni smutku, ni męki,
Wesołem okiem patrzy na te lube wdzięki!
Lecz ten, co stracił wszystko, co nie ma ojczyzny,
Co czasem niezatarte w sercu nosi blizny,
Dla tego, co nadziei stracił promyk słaby,
Czarną krepą okryte te wdzięczne powaby!

O, ojczyzno! Dla ciebie już słońce pogodne
Nie wznijdzie, bo już obcy i ziomki odrodne,
Słodkich nadziei pierwsze zgasiwszy promienie,
Zepchnęli Cię bezbożnie w straszne grobów cienie.
Przebóg! pośród niesilnych i lez, i rozpaczy,
Srogi wojownik chciwe zabory już znaczy:
Od wschodu słońca aż do bałtyckiego brzegu
Mileczą prawa, szczęk obcej broni się rozlega.
I, gdy śmierć nam gotują umowy zwodnicze,
Kto wodze rządu trzyma? ah! ręce zbrodnicze,
Co za kruszec zbyt podły przyjęły kajdany
I nad ojczyzną obce postawiły pany.

Ojczyzno! gdyby jeszcze można cię ratować!
Któżby, kiedy ty giniesz, chciał życie zachować?
Czemuż nieba nie raczą bohatera wskazać,
Coby śmiał kraj uwolnić i wstyd jego zmasać?
Ale, zamiast nadziei, niewola i nędze —
Te dni osierociałych zwiajać będą przedze.
Giniesz wśród ciężkich klesek, nieszczęsna kraino,
Wpród wszystkich starań celu, a dziś lez przyczyno!
Wy, gmachy królów naszych, o! wspomnienie smutne,
Gdzie nas długo niszczyły niezgody okrutne,
I kędy raz ostatni lud wolnie zabrany
Stanowił święte prawa i kruszył kajdany!
Głos wolny sklepień waszych więcej nie uderzy:
Rozkazy panów nowych lub szelest puklerzy —
Te was przerażać będą! Wy, domy ojczyste,
Co was kryją swym cieniem dęby wiekuiste!
Wy, groby przodków naszych, i wy, rozrzucone
Po rozległych równinach mogiły skrwawione
Dzielných rycerzy! Oni kraj piersi własnymi
Bronili, dziś ich zwłoki w obcej leżą ziemi!

Lecz tak przedwieczne niebios wyroki zrządziły:
Jak ludziom, tak mocarstwom kres swój naznaczyły.
Wieleż to sławnych królestw i grodów zamożnych
Dziś noszą postać ruin i pustyń bezdrożnych!
Gdzie Babilon? Niniwy? i wy, przed wiekami
Pyszne przychodniom Teby setnemi bramami?
Zginęło plemię Rzymian, i ty, ich przewago,
Imię nawet straciłaś, potężne Kartago!
Między cierniem i między głuchemi rośliny
Sławnych Aten zaledwie widać dziś ruiny.
Podobnie Polska, długim gnębiona uciskiem,
Przewrotności i zdrady stała się igrzyskiem.

Cięży na wolnych barkach obce panowanie,
Lecz kiedy z twych popiołów mściciel nie powstanie,
Gdy zgon twój oplakujesz, przykryta żalobą,
Któreż cnotliwe serce nie westchnie nad Tobą?
Któż wam holdu nie odda, wy, dusze wspaniałe,¹
Co, w kluby rządu wzięawszy bezprawia zuchwałę,
Zmieniając hańbę kraju w pomyślniejsze bycie,
Poświęcili ojczyźnie majątki i życie?
Nie zginą prawa wasze z powszechnym upadkiem:
Będą cnoty i światel waszych wiecznym świadkiem;
I będzie miał czem Polak potwarców rumienić:
Dowiódł, że chciał być rządnym i umiał się cenić.

Może niejednen dzisiaj z tych ludzi cnotliwych
Stał się ofiarą gwałtu i przewodzeń mściwych?
Może rycerz, którego nieskażone dłonie
Miecz wzniosły raz ostatni w ojczyzny obronie,
Dziś, w srogiej żyjąc nędzy, okryty bliznami,
Jęczy nad swem kalectwem i Polski stratami?
Jęczy, ale w uściskach ulga mu zostaje,
Ulga, której występny nigdy nie doznaje:
Na nieskażone serce wspomniawszy i cnoty,
Pozna, że łżejsza nędza, niżeli zgryzoty,
I, gdy śmierć przyjdzie, zamknie powieki spokojnie.

Ale ci, co ojczyznę najechali zbrojnie,
Co, zgubiwszy swe ziomki wyniosłością hardą,
Kryją się w gmachach obcych przed światła pogardą, —
Mimo świetne bogactwa i majątek drogi,
Gorzkie będzie ich życie i śmierć pełna trwogi!...²

Lecz co widzę? już ziemia, krwią przodków zdobyta,
Obcemi orły, obcym żołnierzem okryta!
Przyszedł już srogi moment wiecznego rozstania,
Wiecznej niedoli, wiecznych skarg i narzekania.

Jak ciężko Polskę obcem imieniem nazywać!
Jak ciężko słodkie związki natury rozrywać!
Brat bratu stał się cudzym; co mówię, o zbrodnię!
Gdy zawiść wśród mocarzów rzuci swe pochodnie,
Kiedy ludem zabranym wojny zaczną toczyć,
Ziomek we krwi współziomka oręż będzie broczyć.
Ah! niech mię wprzód mogiła i cyprys żalobny
Przykryją, niżbym patrzył na widok podobny!

O, lutni moja! Był czas, gdzie twojemi tony
Nucilaś dawny blask, mej ojczyźnie wrócony;
Dziś, dotknięta ostatni raz od drżącej ręki,
Już nie jej głosisz sławę, ale smutne jęki,
I kryć się przed okrutnym musisz przeciwnikiem,
I dźwięk twój wkrótce obcym stanie się językiem!
Chyba starzec w ustroniu, ciesząc swą siwiznę,
Wnukom wspominać będzie dawną ich ojczyznę

¹ patryjoci na sejmie czteroletnim. ² targowiczanie.

I lzy wyleje nad jej ciężkimi stratami.
Tak pomiędzy samotnej Szkocyi skałami,
Kędy morze roztrąca fale rozhukane,
Pasterz żałośnie nuci rymy już nieznane¹.

Tak państwa upadają; ruiny i zdrady —
Te są na ziemi wojen pustoszących ślady.
Ale może wojownik ziemię krwią zrumienić,
Wywracać grody, postać narodów odmienić:
Stanie się strasznym zdradą i siłą oręża,
Świat burzy, lecz nie zegnie cnotliwego męża!

**Pożar, bajka
oryginalna.**
(1794).

W obszernym domie, zdawna zamieszkanym,
Lecz, jak się zdaje, na klęski skazanym,
W domie, gdzie mieszkał bogaty i mierny,
Zajął się pożar niezmierny.
Co bardziej jeszcze powiększyło trwogę,
Ze wszech stron wiatry srogie,
Wznosząc iskry, dym, płomienie,
Ognistą łoną² niebieskie sklepienie
Okryły. Dzielni mieszkańcy atoli
W tej ostatecznej niedoli,
Miasto rozpaczy, frasunku,
Rzucili się do ratunku.
Porwali się, niepomni na własną swą zgubę,
By obronić szczyty lube.
Gaszenia rodzaj wszelaki:
Sikawki, woda i haki,
Co roztropność, albo też męstwo znakomite
Kazały, wszystko tam było użyte.
Gdy wszyscy walczą w powszechnej obronie,
Jeden samolub, w najmodniejszym tonie,
Mniej dbając, że się dom cały mógł spalić,
Byleby własne tłumoczki ocalić,
Zabrawszy ruchomość swoją,
Wyszedł przez tylne podwoje
I do obcej się kamienicy schronił.
Niezmiernie kontent, że siebie obronił,
Tam przez lornetkę i w oknie stojący,
Spokojnie patrzył na dom gorejący.
Nie pierwszy przykład, że zamysł cnotliwy
I hazardy, i starania
Skutek wzięły nieszczęśliwy:
Mimo pracy obrońców i usiłowania
Dom ów ze wszystkim się spalił,
I szczyt się cały zawalił.
Mieszkaniec, który się go obronić spodziewał,
Smutne popioły gdy łzami oblewał
I wpośród gruzów zamysłony siedział,
Przyszedł do niego samolub kochany

¹ «Pieśni Osjana». ² łuna.

I rzekł mu: «Jam to wszystko przepowiedział,
«Nikt wam rozumu tego nie pochwali.
«Co za zamysł niesłychany
«Biec do obrony, kiedy dom się pali!
«A potem — całe dzieło bez porządku,
«Bez ładu i bez rozsądku.
«Kto widział, wodą chceć ugasić mury?
«Ja na mnie winy tej nie będę składał»...
Przerwał mieszkaniec: «Wyrodku natury,
«Ty, coś siebie nad dobro powszechne przekładał!
«Kto dzielić z cnotliwymi hazardów się boi,
«Temu zarzutów czynić nie przystoi.
«Nie śmiałeś z nami rzeczy powszechnej zasłaniać:
«Nie masz dziś prawa naganiać,
«Ni zamysłu, ni sposobu!
«Zginęliśmy: lecz z sobą przeniesiem do grobu
«Czułe pocziwych wspomnienia,
«Spokojność i świadectwo własnego sumnienia.
«Ty, coś zakładał szczęście twoje w złocie,
«Żyj z niem, żyj razem w hańbie i zgryzocie!»

169. W kilka miesięcy po *Powrocie Posła Niemcewicza*, dnia 7 września roku 1791, w rocznicę elekcji Stanisława Augusta, ukazał się na scenie warszawskiej «dialog» pod tytułem *Dowód wdzięczności narodu*. Rzecz dzieje się na wsi — u tych samych państwa Podkomorstwa, co w *Powrocie Posła*, tylko, że kiedy w komedji Niemcewicza panuje nastrój radosnej nadziei, że sejm dokona reformy państwa, w dialogu króluje radość, że reformy już dokonano, że już konstytucja uchwalona. Państwo Podkomorstwo spraszają gości na uroczystość zawieszenia portretu króla na szczycie umyślnie w tym celu zbudowanej świątyni Sławy. Zjeżdżają się już nie tylko «urodzeni» (szlachta), ale także «sławetni» (mieszczanie) i «pracowici» (chłopi), i tym sposobem uroczystość jest naprawdę «dowodem wdzięczności narodu» — całego narodu, który teraz dopiero, po uchwaleniu konstytucji, w obliczu praw i wolności, bądź już osiągniętych, bądź spodziewanych, może się stawać «jedną moralną istnością». W pośród gości jest i pan Szarmantcki, ale zmieniony do niepoznania: firecyk, lew salonowy, przeistoczył się w ożywionego duchem patrijotycznym rotmistrza armji narodowej! Jest i pan Starosta, także zmieniony! I teraz wprawdzie jest to szlachcic-karmazyn, w żaden sposób nie może się pogodzić z myślą, żeby chłopom dać wolność i żeby on, starosta, pochodzący ze starożytnego rodu, pieczętujący się «Świnią Głową i Panną w Koronie», miał zasiąść do stołu wraz z mieszczanami. Ale zato całem sercem cieszy się pan Starosta, że uchwalono konstytucję, a z nią tron dziedziczny; ku królowi pała tak wielką miłością, że, jak mówi: «kto mi słowo piśnie na niego, i uszy, — i ręce poobcinam, na honor przyrzekam, — że go po staropolsku na bigos posiekam»; cieszy się na widok dzielnego wojska, czując, że i w niego, choć stary, wstępuje staropolski duch rycerski, i płacze, ale już nie nad zniesieniem *liberum veto*, jak w komedji Niemcewicza, tylko na myśl, że się sam nie będzie już bił za ojczyznę, że będzie już w trumnie, kiedy «waleczne młodzieńce — zwycięskie na swych głowach nosić będą wieńce». Ten pomysł wewnętrznej przemiany człowieka

(znany już naszej literaturze dzięki *Trenom*, *Nadobnej Paskwalinie*, *Przypadkom Doświadczynskiego*) będzie bardzo częsty w poezji i powieści naszej XIX wieku. Szkoda tylko, że, z wyjątkiem pana Starosty, osoby, występujące w dialogu, to marjonetki, które porusza sam autor.

Że jednak autor był mocno wzruszony i ucieszony z uchwalenia konstytucji, że kochał króla i wierzył w lepszą dolę swej ukochanej ojczyzny, — więc te wszystkie jego własne uczucia żywo dźwięczą w ustach czy to pana Podkomorzego, który ufa, że, umierając, zostawi ojczyznę «wolną, zgodną, urządzoną — i mężnem, choć nielicznem, wojskiem opatrzoną», czy mieszczanina Gębosza, który wdzięczny jest królowi «za dar, najdroższy ludziodom, bo za dar wolności», czy to włościanina Jakuba, który mówi o sobie: «Choć czasem głodem przymrę, choć się w mustrze spocę»... «zawszem rzeński, ochoczy, do wszystkiego zdolny, — jak sobie tylko wspomnę, że już jestem wolny». Wszystkie te uczucia są wypowiedziane w sposób ujmująco prosty, i właśnie ta prostota, szczerłość i serdeczność budzą i w dzisiejszych jeszcze czytelnikach głęboką sympatię dla autora i każą im zapominać o licznych usterkach dialogu. Ale bo też wyjątkowo sympatyczną postacią był autor *Dowodu wdzięczności narodu i Krakowiaków i Górali*, Wielkopolanin, **Wojciech Bogusławski** (1757—1829), jeden z najzacniejszych ludzi, z najszlachetniejszych demokratów, z najgorętszych i najzasłużeńszych patriotów, jakich miała Polska.

Złotemi zgłoskami zapisało się jego nazwisko nietylko w historii teatru polskiego, ale i w historii polskiej kultury duchowej, mianowicie, patriotyzmu polskiego, który on przez lata całe, za Stanisława Augusta, a potem długo jeszcze w Polsce porobiorowej, podtrzymywał, rozwijał i krzepił; pod tym względem godzien stanąć tuż obok Niemcewicza. Narzędziem zaś do tej zbożnej i owocnej pracy była mu scena.

Będąc w ciągu lat kilkunastu (z przerwami) dyrektorem i przedsiębiorcą teatru warszawskiego, pracował w pocie czoła, nie zrażając się żadnemi przeszkodami, nad rozwojem sceny narodowej, której za St. Augusta nie pozwolił upaść, a którą później, już za Księstwa Warszawskiego, doprowadził do prawdziwej świetności; założył nadto w Warszawie (1811) pierwszą polską szkołę dramatyczną. A i scena lwowska późniejszą swoją świetność (około r. 1840) zawdzięcza w znacznej mierze także Bogusławskiemu, który po upadku Polski osiadł był na pewien czas we Lwowie i krzątał się tutaj około teatru narodowego równie gorliwie, jak przedtem w Warszawie. Lecz nietylko Warszawę i Lwów, ale całą niemal Polskę ogarnęła jego działalność: ze swoją trupą dramatyczną jeździł po kraju, dawał przedstawienia w Wilnie, Grodnie, Białymstoku i Dubnie, w Łowiczu, Kaliszu, Poznaniu i Gdańsku, budząc wszędzie i krzewiąc zamiłowanie teatru, miłość żywego słowa polskiego i uczucia patriotyczne, — pomimo wstrętów, jakie mu czyniły rządy zaborcze. A repertuar jego był bogaty: obejmował sztuki nietylko polskie, ale i cudzoziemskie.

Ze sztuk polskich na uwagę zasługuje przedewszystkiem komedia Józefa Wybickiego *Szlachcic mieszczanin*, wystawiona w Warszawie dnia 25 listopada r. 1791, a będąca obroną i pochwałą zrównania mieszczań ze szlachtą. Wcześniej jeszcze (dnia 11 lipca r. 1778) ukazała się na scenie warszawskiej pierwsza opera (albo raczej pierwsza operetka) polska p. t. *Nędza uszczęśliwiona*. Napisał ją i ogłosił drukiem w roku 1770, a przerobił w roku 1776 Bohomolec. Tę jednoaktową komedyjkę ze śpiewami miano

wystawić, ale nie wystawiono w Szkole Rycerskiej: wystawił ją dopiero w teatrze warszawskim (z muzyką Macieja Kamińskiego) Bogusławski, uzupełniwszy ją nowemi scenami i śpiewkami i podzieliwszy na dwa akty. Otóż w tej dopiero postaci jest *Nędza uszczęśliwiona*, jak mówi Bogusławski, «pierwiastkowym źródłem, z którego wypłynęła ...sztuka narodowego śpiewu», to jest opera polska. Krótka treść jest taka. Z Kasią, córką ubogiej wieśniaczki, pragnie się ożenić biedny parobek Antek i bogaty mieszczanin Jan. Kasia kocha Antka, ale matka ją błaga, by wyszła za Jana. Dobry pan, dowiedziawszy się o rozterce serdecznej dziewczyny, obsypuje Antka pieniędzmi i darami; a wówczas matka pozwala Kasi pójść za głosem własnego serca. Morał jest ten, że szlachcic tylko wtedy jest prawdziwie szczęśliwy, «kiedy z poddanych kogo uszczęśliwia, — tę jedną rozkosz czuje z panowania, — że ma sposobność nędznych ratowania».

Wśród sztuk cudzoziemskich, wystawionych przez Bogusławskiego, są utwory różnych autorów od XVII do XIX wieku, francuskich, włoskich, niemieckich i angielskich. Nie kto inny, tylko on wystawił po raz pierwszy w Polsce — najprzód we Lwowie (1797), później w Warszawie — *Hamleta* Szekspira we własnym przekładzie (dokonanym jednak nie z oryginału, tylko z tłumaczeń i przeróbek francuskich i niemieckich). Nie kto inny, tylko on, wystawiając nowoczesne sztuki *f a n t a s t y c z n e*, przygotował w Polsce grunt, na którym w XIX wieku wzrosnie dramat fantastyczny romantyków.

Za te wszystkie wielkie zasługi słusznie przypadło mu w udziale imię ojca teatru polskiego. Prawda, że pierwszy teatr publiczny w Warszawie założono, kiedy Bogusławski miał lat osiem, kiedy więc z pewnością nie myślał jeszcze ani o teatrze, ani może nawet o służbie wojskowej, do której wstąpi później; prawda, że dopiero w dziewiętnastym roku życia, kiedy go minął awans w gwardji litewskiej, został aktorem — z rozpaczki: a jednak nie jest przesadą nazywać go ojcem teatru polskiego; przed nim bowiem ten teatr tylko wegetował, a dopiero dzięki niemu zaczął naprawdę żyć. I nie będzie przesadą powiedzieć, że, zostawszy zrazu tylko aktorem, a potem i dyrektorem teatru, poświęcił mu odtąd Bogusławski swoje życie, walcząc z brakiem kultury artystycznej i obojętnością ogółu, z jego dzikimi uprzedzeniami wobec artystów teatralnych, z zazdrością i chciwością ludzką, z cenzurą i innymi podłościami rządów zaborczych, a czasem nawet — z nędzą i głodem.

170. Skromniejsze, niemniej przeto wybitne, stanowisko zajmuje Bogusławski, jako *a u t o r*, w historii polskiej poezji dramatycznej. «Wolny — jak mówi w napisanych pod koniec życia *Dziejach teatru narodowego* — od wszelkiej autorskiej sławy», był literatem nietyłe z powołania, ile «z biedy»: pisywał utwory dramatyczne jedynie w celu zasilenia i urozmaicenia teatru, którego był dyrektorem. Jest ich około osiemdziesięciu, ale są to po większej części przekłady i przeróbki sztuk obcych, głównie francuskich. Wszystkie wymownie świadczą o dobrej woli autora, o jego prostej, a zacnej duszy, ale wybitniejszego talentu dramatycznego (i wogóle poetyckiego) nie znamionują.

Popularność, jako autor, zdobył sobie Bogusławski już w roku 1792 — komedją *Henryk VI na lowach*, której treść wziął głównie z francuskiego przekładu powieści trzeciorzędnego pisarza angielskiego Dodsley'a, p. t.

Król i młynarz w Mansfield. Jest to tak zwana «komedja płacziwa» (to jest pobudzająca raczej do łez i współczucia, aniżeli do śmiechu), a zarazem pierwsza w Polsce komedja historyczna. Rzec bowiem dzieje się w wiekach średnich, w Anglii, za panowania króla Henryka VI (1422—1461). Nie o Anglii jednak, ani o wiekach średnich myślał Bogusławski, tylko o Polsce i o wieku XVIII, który się nakoniec zbuntował przeciw niewoli społecznej: napiętnował tedy autor «panów», zwłaszcza jaśnie wielmożnych, jako krzywdzicieli ludu wiejskiego, przeciwstawił zbytckowne, rozpustne życie arystokracji — nędznemu, prostemu życiu ludu i wystąpił w obronie nie tylko jego praw, ale i jego godności ludzkiej. «Poczekaj, — mówi pan, — nauczę ja ciebie, niegodziwy hullatau, co to jest uszanowanie dla osób mego stanu». A na to chłop: «Mospanie,... proszę W Pana, niechże ten wyraz hullatau już ostatni raz od niego slysę. Winien jestem W Panu poszanowanie, jako osobie wyższego stanu, ale rozumiem, że ci w niczem nie uwłócę, kiedy mówię, że jesteś człowiekiem do mnie podobnym... Muszę ci powiedzieć prawdę: żołnierz, który lat dwadzieścia dźwigał karabin na plecach, okryty bliznami ran, odebranych w obronie ojczyzny, wart jest, zdaje mi się, jednego pysznego młokosa, który, prócz zbytcków i zgorszenia obyczajów, nic więcej nie przyniósł swojemu krajowi».

O wielkiem wrażeniu, jakie ta sztuka sprawiła, świadczy, oprócz kilku przedstawień w teatrze, jeszcze to, że w jednym tylko roku 1792 ukazały się trzy jej wydania. Arystokracja pieniała się ze złości, targowiczanie zwłaszcza poczuli się dotknięci w swoim honorze (jakgdyby zdrajcy mogli mieć honor) i zakazali przedstawień. Ale nie pomogło nic: «sztuka. — opowiada sam Bogusławski — powrócona na scenę przy wielokrotnem powtarzaniu, pozyskała mi dowody przychylności i szacunku rodaków, których wspomnienie jeszcze ostatnie życia mego chwile osładzać mi będzie».

Lecz jeszcze większą sławą, i to nie tylko w Polsce niepodległej, ale i w pierwszych latach porozbiorowych, w Księstwie Warszawskim i w Królestwie Kongresowem, opromieniła Bogusławskiego opera, albo raczej komedja ze śpiewkami (wodewil) p. t. *Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale*. Sztuka ta, jedyna wśród jego utworów niepozabawiona wartości artystycznych, zajmuje bardzo wybitne stanowisko w historii naszej literatury i jeszcze wybitniejsze w dziejach naszego ducha narodowego, a to ze względu na swoją obywatelską, patryjotyczną i demokratyczną dążność, oraz na pierwiastek ludowy i wogóle swojski charakter treści (mimo że niektóre pomysły autor zawdzięcza komedji francuskiej Poinsinet'a, *Czarownik*¹, i komedji niemieckiej Weidmanna, *Student żebrzący, czyli burza z piorunami*²).

Żadna inna polska sztuka teatralna nie ma tak ciekawej historii, jak *Krakowiacy i Górale*, i żadna inna, przed *Weselem* Wyspiańskiego, nie budziła w duszach polskich tylu i takich uczuć patryjotycznych. Zagrano ją po raz pierwszy w teatrze warszawskim dnia 1 marca roku 1794, kiedy w Warszawie już wrzało przeciwko załodze moskiewskiej. Otóż, jak opowiada Niemiec Seume, poeta... i oficer sztabowy Igelströma, «wystawiona w stolicy sztuka, p. t. *Krakowiacy*, podniosła zapał do niesłychanej wyżyny...; trzebaby bardzo być zimnym z natury, by nie dać się porwać powszechnemu entuzjazmowi; ja sam byłem obecny dwa razy w czasie trzykrotnego jej wystawienia i muszę wyznać, że nigdy w życiu nie zauważyłem, ani też sam nie

¹ «Le Sorcier». ² Der Bettelstudent, oder das Donnerwetter».

doznałem wrażeń silniejszych, głębszych i trwalszych». Cóż wywołało ten entuzjazm? Z całą dokładnością tego nie wiemy, a to dlatego, że nie znamy pierwotnego tekstu, w którym wystawiono *Krakowiaków i Górali*, nie ogłosił go bowiem Bogusławski drukiem: nie pozwoliła na to cenzura, zrazu moskiewska, potem pruska, a jeszcze później, w Królestwie Kongresowem, ...polska; stąd w wydaniu zbiorowem pism Bogusławskiego (1820—1823) niema ani *Krakowiaków*, ani *Dowodu wdzięczności narodu*. Drukiem ogłoszono *Krakowiaków* już po śmierci Bogusławskiego, dopiero w roku 1841 — z jakiegoś lichego odpisu ...w Berlinie! Z odpisu lepszego wydano ich dopiero w roku 1923! Otóż nie wiemy, czy w tych odpisach tekst nie uległ jakim zmianom. Wolno jednak mniemać, że treść pozostała niezmieniona, że więc można się na jej podstawie domyślać, dlaczego sztuka wywarła tak ogromne wrażenie.

Rzecz dzieje się pod Krakowem. W akcie pierwszym, drugim i czwartym «teatr reprezentuje z jednej strony chałupy wiejskie, pośród nich widać karczmę z wystawą; po drugiej stronie pod laskiem młyn i rzeczka, na której stoi mostek; w głębi widać wieś Mogiłę, kościół i grobowiec Wandy». W akcie trzecim «teatr reprezentuje las». Osnowa zaś sztuki jest w krótkości taka.

Stach, syn furmana Wawrzeńca, kocha Basię, córkę młynarza Bartłomieja; dziewczyna płaci mu wzajemnością, ale cóż z tego, kiedy o małżeństwie dwojga młodych «ani se gadać nie da» «niewzruszona, jak góra w Tatrach skalistych», macocha Basi Dorota, która, sama się podkochując w Stachu, pragnie się pozbyć Basi i w tym celu przyobiecała jej rękę góralowi Bryndasowi; stary młynarz wolałby wprawdzie wydać córkę za Stacha, ale się nie śmie odezwać, bo go młoda żona «tak osiodłała, jak kobyłę starą», i zgadza się na wszystko. Tego samego więc dnia jeszcze mają się odbyć zaręczyny Basi z Bryndasem, którego tylko patrzeć. Na szczęście dla Basi i Stacha zjawia się w Mogile, z książkami i maszyną elektryczną na plecach, ubogi student z Krakowa, Bardos, wypędzony ze szkół (jeśli tylko nie kłamie) za to, że miał więcej rozumu od swoich czcigodnych profesorów (co się jednak czasami zdarza nietylko w szkołach średnich, ale i wyższych). Otóż student odrazu pomiarkował, co się dzieje w sercu Basi i Stacha, i, wzruszony ich niedolą, obiecuje im swoją pomoc. Niebawem przybywają z za Wisły Górale z Bryndasem na czele, ale Bartłomiej, podmówiony przez Bardosa i osmielony jego obecnością, odprawia ich z kwitkiem. Górale nie posiadają się z oburzenia, Bryndas zwłaszcza: «Nic z tego nie daruję: niechaj mię pierony — ubiją, jeżeli się nie pomszę za taką — krzywdę!» Daremnie Bardos usiłuje ich ułagodzić: Górale uchodzą, ale nie z próżnymi rękami, — porywają Krakowiakom bydło, przeprawiają się z nim na krypach przez Wisłę i co tchu umykają w góry. Pędzą za nimi z pałkami Krakowiacy, ale nie dogoniliby ich nigdy, gdyby nie student, który pomknął zawczasu ze swoją «elektryką» w las i przez drogę przeciągnął drut elektryczny; uciekający Górale przewracają się jeden za drugim, aż tu przypadają Krakowiacy. Do bitki jednak nie dochodzi: Krakowiacy na wezwanie studenta spuszczają pałki, a Górale, zdumieni i oszołomieni różnemi «cudami» maszyny elektrycznej, nietylko zwracają Krakowiakom bydło «co do jednej kozy», ale nadto składają żal z serca, jedną się z nimi, i wszyscy w jak najlepszej kompanji śpieszą napowrót do Mogiły, aby uczestniczyć w uroczystości zaręczyn Basi ze Stachem: bo i Dorotę umiał mądry student ugłaskać, a ra-

czej napędzić jej takiego stracha, że się raz na zawsze swoich «jamorów» ku Stachowi odrzeka i zezwala na jego małżeństwo z Basią. Wszystko tedy kończy się zobopólną radością i powszechną zgodą. Krakowiacy nie mają słów wdzięczności dla pocziwego studenta, który nawzajem pokochał prostych, ale dobrych wieśniaków, nie chce już wracać do Warszawy, gdzie panuje «przewrotna moda», i osiedla się we wsi krakowskiej, gdzie «jeszcze szczerza zostaje cnota».

Swojskość tematu, obfitość rysów obyczajowych z życia ludu polskiego (których prawie nie było ani w *Panu Dobrym* i w *Nędzy uszczęśliwionej Bohomolca*, ani w *Trzech Godach* Książnina) zapewnia *Krakowiakom* i *Góralom* ważne stanowisko w historii poezji polskiej XVIII wieku. «Wezwałem — mówi autor — całej mojej pamięci, całej zdolności do odmalowania zwyczajów, zdań, uczuć, mowy i zabaw ludowych». I ten swój cel spełnił: doskonale uwydatnił żywość i porywczosć, pierwotność i odruchowość uczuć *Krakowiaków* i *Górali*, ich przywiązanie do wsi rodzinnej i dobytku; odmalował wcale wiernie ich zwyczaje i obyczaje, jako to uroczystości weselne — przybycie pana młodego z drużbami i podarkami, błogosławieństwo rodziców, pożegnanie panny młodej przez druchny, tańce, śpiewy i t. d. Nie zapomniał i o języku: inaczej mówią chłopci, inaczej organista Miechodmucha, inaczej student Bardos. Takiej obfitości pierwiastku ludowego i takiej prawdy, takiego realizmu w jego artystycznym uobrażeniu, jak w *Krakowiakach* i *Góralach*, niema w żadnym innym utworze poezji stanisławowskiej; to też słusznie nazwał Bogusławski Goszczyński skowronkiem, zwiastującym wiosnę nowoczesnej poezji polskiej, która się często zasilala pierwiastkiem ludowym.

Lecz przy pisaniu utworu przyświecała autorowi dążność nietylko literacka, ale nadewszystko państwotyczna: Bogusławski, wierny żołnierz, brał czynny udział w przygotowaniach do powstania r. 1794; otóż, ponieważ powstańcy obiecywali sobie dużo po ludzie wiejskim, zwłaszcza krakowskim, więc ten żołnierz pragnął rozbudzić w sercach polskich miłość do ludu i wiarę w jego niespożyte siły żywotne. I to jego pragnienie ziściło się: jego «opera» była pobudką do powstania Kościuszki, do walki z przemocą: «Gdzie się w niewoli żyje, — niemas tam swej lubości. — Pies na powrozie wyje, — każdy pragnie wolności». A że nadzieje, pokładane w ludzie wiejskim, nie zawiodły, tego dowiodła bitwa raclawicka.

Oprócz tendencji państwotyczno-politycznej jest w *Krakowiakach* i *Góralach* inna jeszcze, społeczna; oto przez usta Bryndasa taką daje autor naukę moralną: «Nie pogardzaj ubogimi, — choć jesteś bogaty, — bo nie cynią nas wielkimi — klejnoty i saty; — nie wydzieraj co cudzego, — sanuj wszystkie stany, — poznaj w cłku brata swego, — a będzies kochany». Duch więc *Krakowiaków* i *Górali* jest wybitnie demokratyczny.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Kiedy *Górale* uprowadzili bydło *Krakowiakom*, ci gotują się do odebrania go im przemocą; wówczas jeden z *Górali* śpiewa: «Trzeba nam się mężnie bronić, — lub zwyciężać, lub umierać! — Bracia stańmy krzepko w boju, — nie załujmy krwi i znoju»: otóż współcześni wlot zrozumieli, że to pobudka nie do odebrania bydła *Góralom*, tylko do wypędzenia Moskali z Warszawy. I takich aluzyj, zwłaszcza w śpiewkach, było z pewnością pełno w *Krakowiakach* i *Góralach*: oto dlaczego sztuka ta budziła taki entuzjazm, oto dlaczego po trzecim przedstawieniu ambasador rosyjski zakazał dalszych przedstawień. Ale Bogusław-

ski nie dał za wygraną: po upadku Polski wystawiał *Krakowiaków* we Lwowie i w Krakowie (walcząc, jak mógł, z podłą, ale, na szczęście, głupią cenzurą austriacką), a potem, w Księstwie Warszawskim i w Królestwie Kongresowem, znowu w Warszawie. Obliczono, że od roku 1792 do 1820, odbyło się w teatrach polskich sto czterdzieści cztery przedstawienia *Cudu mniemanego*, co na owe czasy jest cyfrą ogromną: żadna inna opera, ani polska, ani obca, nie mogła się poszczycić takim triumfem. Piosnki układano coraz nowe, stosownie do okoliczności: układał je sam Bogusławski, układali inni, improwizowali aktorzy, a wszystkie wzywały do zrzućcia kajdan niewoli.

Akt 1, scena 2. *Stach, Jonek, Basia.* (*Stach i Jonek rozmawiają przed młynem; przez okno na poddaszu młyna pokazuje się Basia.*)

Stach. Basiu, moja ty dusko! znijdź tu do nas trocha!

Basia. Nie mogę, bo młyn wejcie¹ zamknęła macocha.

Ale patrzajcie jeno, jest ona w stodole?...

Jezeli jej nie widać, zejść choć po kole.

Jonek. Niemas jej: chwilka temu, posła za ogrody.

Stach. Zejść więc, tylko ostrożnie, abys sobie skody

Nie zrobiła.

Basia. Nie bój się, nie pierwszy raz ci to! (*schodzi dymnikiem; pokazuje się na kole, po którym pomalu schodzi; Stach jej podaje rękę*)...

Stach. Ach, Basiu, życie moje! cóżto będzie z nami?

Basia. Alboz co?

Stach. Juz dwie krypy płyną z góralami.

Niezadługo tu staną.

Basia. A to niech i staną!

Stach. To cie wej nic nie martwi? To chces być wydana
Za Bryndasa, górala?

Basia. Nic z tego nie będzie:

Wsak wies, ze, kiedy u nas był raz po kołędzie,

Powiedziałam mu wyraźnie,

Ize ja się z nim nie drażnie,

Ale mu scyrze mówię, że jak djábła, jego

Nie cierpię i ze pójde za Stacha mojego;

A ze on nie chce wierzyć, ze tak jest uparty,

Niechze go porwą carty!

Jak przyjdzie, tak tez pójdzie nazad z kwitkiem.

Stach. Dobrze to, moja Basiu, ale gdy z tem wsytkiem

Ojciec cię musić będzie albo tez macocha?

Basia. Ojciec tego nie robi, bo mnie mocno kocha,

A matuli tez powiem: matulu, słuchajcie,

Kiej wam tak góral miły, to se go kochajcie,

Ja zaś wej za górala nie chcę pójść, i kwita,

A jak mnie weźmie gwałtem, pozná, zem kobiéta:

Tak go gryźć, tak cartowsko żyć-em z nim gotowa,

¹ wej, wejcie (patrz, patrzcie) — ot, oto.

Ze mu za jeden tydzień, jak' kadź, spuchnie głowa...
Juz se więc nie gryź głowy, juz ja w to poradzę,
Ze tego natrętnego górala odsadzę;
A jak będzie uparty, zaśpiewam mu wreście
Tę piosneckę, co to ją jakaś panna w mieście
Swemu kawalerowi przed ślubem śpiewała,
Kiej ją matka za niego gwałtem przymuszała,

(*śpiewa*) Mospanie kawalerze, Nie zdá się baran kozie,
Nie zeń się, prośę, ze mną, I kacka nie zna kruka,
Bo ja powiadám scerze, Wabią się ptaki w łozie,
Ze ci nie będę wzajemną... Kazde swojego suka.

Gdzie się w niewoli zyje,
Niemas tam swej lubości;
Pies na powrozie wyje,
Kazdy pragnie wolności.

Akt II, scena 1. (*Słychać najprzód muzykę góralską, a wkrótce przyplływają dwie krypy z góralami i góralkami, niosącemi różne rzeczy, jako to: ser owczy, ryby suszone, kwiczoły i szpaki, bryndzę*). *Muzyka ich składa się z piszczałek, jednego bębna, trąby, drumłów, na których grają przy wysiadaniu z kryp, i idą do wioski, śpiewając wszyscy. — Chór góralów.*

My, mieszkańcy Tatrów górnych, Jest i bryndza, i lipienie¹,
Idziem do was, Krakowiaków, Są kwiczoły, jemioluchy:
Niesiem w darze worek spaków Niechajże to nasycenie
I sto serków przewybornych. Służy dla waszej dziewuchy.

Przyjmijcie nas do gościny
I otwórcie wasę chaty,
A my pošlem nase swaty,
By dziś kończyć zaręczyny.

Akt II, scena 2. (*Ciż sami, Bartłomiej, Dorota, Wawrzeniec, Stach, Basia, Jonek, Miechodmucha pijany, Krakowiacy z karczmy wychodzą na przywitanie góralów, Basia i Stach są smutni, Dorota ma minę triumfującą, a Bryndas trzyma kawał pieczeni przy ustach*).

Bartł. Witamy gości do nas.

Miech. Witamy, witamy!

Za wasze zdrowie duszkiem szklanki wychylamy.

Bryndas. Dziękujemy.

Morgal. Dziękujemy.

Miech. (tonem oracyi). O, jak się cieszymy,

Ze przecie dzisiaj z wami tańcować będziemy.

Dziś pierwsze zaręczyny, a niedługim czasem

Bryndas złączy się z Basią, a Basia z Bryndaszem.

Obym wam prędko zagrał! obym też kubany¹

Doszał, obym was, obym! obym!...

Bartł.

Mój kochany

¹ ryby.

² pieniądze.

Panie Miechodmuch! Dosyć! Niech raczej panowie
Spocną sobie z podróży.

Miech. Zgoda! Ja za zdrowie
Ichmościów lyknę jeszcze choć jedną szklenicę!

Bryndas. A ja, za pozwoleniem panacka mojego
I godnej wejcie matki, niech oblubienicę
Przywitam. (*całuje Basię w rękę*)

Morgal. Nie tęskniłaześ, Basiu, bez swego
Jamanta?

Basia. Nie!

Bryndas. Jakto zaś?

Barł. Ma dosyć zabawek.

Bardos. Czasem też pasie krówki lub szuka turkawek.
(*na stronie*) Oj, już ten nie dla ciebie przysmaczek, nieboże,
Którego ty tu szukasz!

Swistos. Jednak casem moze

Wspomniała panienska na swego Bryndasa?

Basia. Raz tylko.

Morgal. Bo nowego pewnie umizgasa
Dostała panna.

Basia. Moze.

Dorota. (*ciągnąc ją za suknię*). Cyt-ze!

Stach. Mów wyraźniej!

Dorota. Milc-ze, bo jak się z głupiem słówkiem tu wysłiznies,
To cię tak pálnę w papę, ze się az obliżnies.

Morgal. To cię panna Barbara tylko pewnie drażni.
Zwyczajnie się panienska przed ludźmi sromają,
Nigdy nie mówią tego, co w serdusku mają.

Bryndas. Já tak myślę. Bo tez to, Bogu wejcie dzięki,
Tak dobrze, jak i drugi, wartem Baški ręki.
Wsakze i já nie wypadł sroce z pod ogona!
Raz mi Baška przez ojca była przeznaczona,
Tego się trzymam! Dla niej, choć z niemalą stratą,
Odrzuciłem niedawno dziewczynę bogatą;
A wsycy mnie z nią chcieli poswatać górale,
I miała tez dobytek, miała tez korale
I spore stado owiec, i płócien niemaló;
Ale mi się to wysystko lichem w oczach zdało,
Jakem wspomniął na Basię! Dalejno, panusko!
Nacóz się z tem utajając, co cuje serdusko?
Wiem, ze mnie kochas, bo tez mas co kochać we mnie:
Przypatržno się, jak zewsząd wyglądam przyjemnie.

(*obraca się wkoło, śpiewając*)

Kazda mi mówi dziewczyna,
Zem chiopak hozy i rosły,
Wysmukły jestem, jak trzcina,
Chodzę, jak zóraw wyniosły.

Wąs carny, wargi zwiesiste,
Ustecka, kiejby malował,

Ciało mam białe i cyste,
Bom się na mleku wychował.

Kiedy z siekierką harcuje,
Wsycy ode mnie zmykają,
Dziewki mię okiem zjadają,
Kiej im zwęgierska tańcuje.

Będzies się mogła pochłubić,
Ześ se chłopaka dobrała.
Po ślubie będzies mnie lubić,
Byleś mnie lepiej poznała!

Stach. Nie wytrzymam i grzmotnę za kark samochwała!
Jonek. Cicho! będzie cas na to.

Basia. Nie wiele dobrego
Morgał. Mówią sąsiedzi o tym, co się sam wychwała.
Panienko, niemas u nas górąla zadnego,
Coby nie przyznał prawdę panu Bryndasowi.
On pierwszy rej prowadzi pomiędzy chłopaki,
Onto najzręcniej pstrągi i lipienie łowi,
On, jak kot, łapie w sidła kwicoły i spaki.
Biega wej, kieby jelen, mil pietnaście na dzień
I do Warszawy często chodzi z obrazami.
Co się on tam napatrzal! Oj, tego z nas zadzien
Nie widzial; ma tez olej w głowie!

Swistos. On wej z nami

Dwa razy w rok na odpust chodzi do Krakowa.
On kompaniją wodzi, jako pierwsa głowa;
A gdy do Karmelitów przychodzi na Piaski,
On nas zawse tak suto częstuje z swej flaski,
Ze, jak po nabożeństwie z kościoła wyjdziawa,
Co do krzty wsytkie rzepy w Krakowie wyjewa.

Morgał. Łatwo mu mieć przyjaciół, bo tez ma i grose,
A więc ja, jako pierwszy druzba, panny prosię,
Aby, nie zwłóćąc dłużej chwalebneho dzieła,
Do serca i do chaty swojej nas przyjęła.
Wprzódy jednak, jak kaze zwyczaj, bądźcie grzeczni
Przypatrzyc się, jak wasi sąsiedzi zarzeczni
Śpiwają i tańcują wedle swojej mody,
Kiedy przychodzą w swaty do obcej gospody.
Nuz, chłopáci, do skoków! siadźcie, gospodarze!
Já przysiępiwywać będą; zagrąjcie, dudarze!

(Mazurek góralski).

Darmo *Kasia* od nás stroni, Lepiej się same poddajta!
Bo juz górál za nią goni;
Górál má nogi bocianie, Raz się *Zosia Bartka* bała
Kogo zechce, to dostanie, I na górę uciekała,
Próżno więc nie uciekajta, Ale tez zato z wierzcholka
Wywróciła w dół koziołka...

Bartł. Prosiemy teraz z nami społem na śniadanie,
Potem z sobą o rzeczy pomówiemy.

Doroła. Panie
Bryndas, weźcie za rękę swoje narzeczoną,
Wsak ona juz niedługo będzie wasą zoną.

(*cicho do Basi*). Dajze mu rękę, ani mi słowa piśnij!..

Arja Bardosa (scena 7, aktu I).

Świat srogi, świat przewrotny,
Wszystko naopak idzie:
Kto nie wart, pan stokrotny,
A człek poczciwy w biędzie.

Nie mądry, kto wśród drogi
Z przestrachu traci męstwo:
Im srozsze ciernie, głogi,
Tem miłsze jest zwycięstwo.

Im sroższy Los nas nęka,
Tem mężniej stać mu trzeba;
Kto podło przed nim kłęka,
Ten nie wart względów Nieba.

Lecz rozum górę bierze:
Tem sobie życie słodzę.
I ja porosnę w pierze,
Choć dziś bez butów chodzę.

Na górze mieszka sława,
A Szczęście jeszcze wyżej.
Lecz gdy chęć nie ustawa,
Wnet się człek do nich zbliży.

Mnie chociaż głód dojmuje,
Lecz duszy mej nie szkodzi:
Śpiewaniem będę truję,
Wesołość troski słodzi.

Ze sceny 2, aktu II.

Pastuch. ...Dalej, prędzej! Zbierzcie się, kto cuje,
Niech biegnie, niech swe bydło cempredzej ratuje!
Wsak Górale na ludzi naszych się porwali,
Związali ich i wszystko bydło nam zabrali...

Wawrzen. Dalej, bracia, do pałek! siadajmy do łodzi,
Bierzcie siekiery, cepy, niech każdy przychodzi!

Pastuch. Ale oni ruśnice¹ i śturmaki¹ mają,
Kto się do nich przybliży, jak w dzika, strzelają.

Stach. Strasny i ozog w dłoni,
Gdy kto swojego broni.

171. Jak upadek konstytucji 3 maja i drugi rozbiór Polski, tak upadek powstania Kościuszki i ostateczna utrata niepodległości odbiły się w poezji współczesnej echem smutku i bólu; *Żale Sarmaty* Karpińskiego nie są bynajmniej jedynym jego wyrazem: rzewnie przemówił ból patriotyczny w elegji, a raczej w obszernym, liczącym pięćset sześćdziesiąt wierszy, poemacie elegijnym p. t. *Bard polski*. Poemat ten, napisany na wiosnę roku 1795 (a więc już po traktacie podziałowym pomiędzy Austrią a Rosją, ale przed traktatem pomiędzy Rosją a Prusami), przez pół wieku niemal spoczywał w rękopisie; w druku ukazał się dopiero w roku 1840, w Paryżu (w czasopiśmie *Skarbiec Historji Polskiej* i w osobnym wydaniu). Piękną przedmową poprzedził go Niemcewicz, który jednak nie wymienił nazwiska autora, mówiąc tylko: «Jest to dzieło Polaka w pierwszym naówczas kwiecie młodości; Opatrzność obdarzyła go wyniosłą duszą i rzewnym sercem: całe jego późniejsze życie było ciągłą poezją czynów i cierpień». Tym młodym Polakiem jest syn księcia generała ziem podolskich, **Adam Jerzy Czartoryski** (1770—1861), uczestnik powstania kościuszkowskiego, późniejszy przyjaciel cesarza Aleksandra I i rosyjski minister spraw zagranicznych, reformator szkół polskich na Litwie i na Rusi, prezes rządu tymczasowego w czasie powstania r. 1831, a wreszcie emigrant, zmarły na ziemi francu-

¹ rodzaj strzelb.

skiej. Nietylko w latach młodości, ale i przez całe życie swoje kochał Czar-toryski poezję i uprawiał ją w chwilach wolnych, przyczem, jako wierny uczeń Książnina, bardzo się pilnie troszczył o piękną formę swoich utworów; do pracy nad oglądą *Barda polskiego* zasiadał kilkakrotnie: podzielił go na części, wykreślił kilkadziesiąt wierszy, które uznał za najslabsze, natomiast dodał sto kilkadziesiąt wierszy nowych. Na tych wszystkich późniejszych zmianach i dodatkach niemało zyskał poemat pod względem artystycznym; ale i bez nich, tak nawet, jak wyszedł w XVIII wieku z pod ręki dwudziestoletniego młodzieńca, jest *Bard polski*, mimo niezbyt wyk-wintnej formy, utworem niemałej wartości, a to przez bijące z niego go-rące i szlachetne uczucie.

Jak Dante w *Boskiej komedji* odbywa z Wirgiljuszem wędrówkę po piekle, tak w *Bardzie polskim* autor w towarzystwie barda, który go nau-czył kochać pieśń i ojczyznę, wędruje po ziemi polskiej, wylewając łzy nad jej nieszczęściem:

. O, ziemio kochana!
Jakiż okropny widok, jakaż sroga zmiana!
O, ziemio! jam cię widział, kiedyś rozkwitnęła,
Gdy twoja ludzi wszystkich powabność ujęła:
Ojczyste siadła¹ rzucał mieszkaniec daleki,
Ród pracowny i mienie oddać ci na wieki².
Kędyż twoje wesole, te zdobne osady?
Stadami pyszne łąki, owocami sady?
Kędyż są kłosem bujnym pozłoczone żniwa,
Których-to obfitości glos narodów wzywa?
Gdzie spojrzę, spustoszenie okropne i srogie
Zżarło, co tylko ludziom na ziemi jest drogie...
Nigdzie pożycia śladu, wzrok nigdzie nie spocznie;
Z gruzów, napół skopconych, wymknięty ubocznie
Dym tylko błękit niebios kłębami przerywa;
Tam, ówdzie smutna stoi w nagiem polu śliwa.
Pusto; zabite okna, gdzie zostaje chata,
Przez które rolnik witał roboczego brata.
Las, zewsząd osepiał, wyziera zdaleka,
Dokąd drżący mieszkaniec z swem życiem ucieka.

Na widok spustoszonej ziemi przypomina sobie autor wszystko, co się na niej świeżo działo, a więc powstanie Kościuszki, tego «męża świętego», który, «ziomków chwala i szczęściem zajęty, — umysł się jego boski z czło-wiektwa wyzuje — snu i pokarmu nie zna, za wszystkich pracuje»; i wzywa autor barda, aby «zabrzmiął o pięknym zawodzie», aby wyśpiewał i Racla-wice, «kosami sławne», gdzie «prawych kmieci szczątek — leci na działa, na ostrza sterczące — i pierwsze wolnych wykrzykną zwycięstwo», i «krwa-we» Szczekociny, i «Krupczyc trupem zasłane zagony»;... «ah! odwróć od tej strony twoje smutne oczy: — Maciejowic nieszczęsny tam widok zasko-czy; — doły, pagórki, zgrzęzłej każda zmiana roli — innąc ofiarę wspomni śmierci lub niewoli». Wszystkie te wspomnienia potęgują jeszcze smutek

¹ siedliska. ² za sejmu czteroletniego zaczęło napływać do Polski mnóstwo osadników niemieckich.

autora. Nagle spotykają wędrownicy dziewczynę biedną, nieszczęśliwą, która się skarży na swoją niedolę:

«O, żale, których powódź świat cały zaléwa,
Przybądźcie wszystkie! mocy macie mało:
Serce bez życia teraz was wyzywa, —
Już waszej całej srogości doznało!...
Czemu się owa za nieszczęsną mniema,
Że ni schronienia, ni ojczyzny nie ma?
A tamta czemu, osuta w żalobie,
Usiadła we łzach na rodziców grobie?
Ty jęczysz, która z dni twoich poranka
Straciłaś serce, straciłaś kochanka!...
A jaż się teraz czem nazwę, co jedna
Wszystko to razem utraciłam, biedna?
Żale, zgryzoty! już się was nie boję:

Niczem się już nie zmartwię, niczem nie ukoję.

O, na Twoje stworzenia, miłosierny Boże,
Cóż tu Ciebie uczynić tak okrutnym może?
Jam Ciebie tak gorąco, tak szczerze prosiła:
Czyż Tobie co ta ziemia w świecie przewiniła?
Jedno dla niej skinienie czyż Tobie wadziło?
Jednem¹ jedynie wdzięk jej, szczęścieby odżyło!
Ty wolałeś wysłuchać krwawożerców prośby,
Ziścić srogie układy i nieludzkie groźby.
Patrzałam, jak dom płonął i mile zagrody,
Kędy się mój szczęśliwie przesunął wiek młody.
Nie was ja płaczę, złotej mierności dostatki,
Lecz wasza strata sroższej jest przyczyną:
Straty i ojca, i kochanej matki.

Żal ich i nędza w swe płachty zawiną.

I próżno się silily te nieszczęsne dłonie
Wstrzymać głód nieużyty, ulżyć w ciężkim zgonie.
Nieraz pierwsze po zmierzchu chłodne wiatru wienie
Przynosi ich żalosalne nade mną jęczenie!

I mój młodzieniec, zawsze mną zajęty,
Chociaż srogą ode mnie wiecznością przecięty,
Lekkiem mżeniem powieki byle się zlepily,
Wnet mię odwiedza i wszędy znachodzi.
Całą mą istotność ogarnie cień miły,
Tęskność moję niby słodzi.

Lecz czasem ran tysiącem rażą go morderce:
Każdą ja czuję, każda moje krwawi serce.

O pomoc dla mnie, zdaje mi się, woła;
Lecę... wstrzymują... dobiegam... upada...

Swego się kwiatu trzyma listek mały,
Mech się czepia wkoło skały:

Lube me związki wszystkie rozerwane,

I samotna na wielkiej ziemi pozostanę».

¹ t. j. jednym skinieniem.

Tak mówiąc, listki i mech, co skubała,
Składa znowu, żalując, że ich rozłączała...

W dalszej wędrówce autor i bard spotykają młodzieńca, który rozpacza na myśl, że, wzrósłszy w wolności, resztę życia przepędzi pod obcym panowaniem; «zaco z braćmi na polu chwały nie zginąłem? — zszedłbym do grobu z cnotą i nadzieją społeczną, — że się mój naród szczęścia raz jeszcze doczeka!»

Lecz silniejszą jeszcze jest rozpacz starca, którego wędrowcy spotykają pod samą Warszawą, a który opowiada im wszystko, co widział i co przeżył podczas szturmów i zdobycia Pragi przez wojska rosyjskie: oto w ten dzień okropny stracił nie tylko syna i córkę, ale i wiarę w Opatrzność boską.

«Próżno — mówi — sędziwość mrozi moje ciało,
Próżno tyle kolei me oko widziało.
Tyle odmian postaci w nieszczęsnej krainie:
Szczęście z nieszczęściem równo do wieczności płynie!
Dla niej jednej czułości narody nie znały
I zimno na okropne jej klęski patrzyły.
Zdradzona zawsze była w stanie opuszczenia:
Ja wszystkie jej przeżyłem szlachetne silenia.
Próżno mi śmierci bliskie wskazujecie lata,
Niezmienną zawsze płonność nikczemnego świata,
Czucie nawet niszcząca, kiedy wasza zima
Od najsroźszej rozpaczki mej duszy nie wstrzyma;
Nią się rozpada serce i jak w żywym kraje.
To tylko w błędnej myśli przytomnem zostaje:
Zginęła już ojczyzna, straciłem me dzieci!
Jeszcze każdy huk zdala równą trwogę wznieci.
Jak gdy ze snu dział bicia pierwsze usłyszałem,
Każde się drgnieniem o duszę obilo.
Z nieospanego łoża się porwałem:
Głębokiej nocy gwiazd kilka świeciło.
Ale, skoro dzień smutnym pojrzy na nas brzaskiem,
Słychać już jędze z srogim wpadające wrzaskiem,
Lecą rozbite naszych i giną tysiące...
Błysk oręza ich ściga i konie depczące.
Uchwyci mię o syna troskliwość śmiertelna:
Znałem, na co wystawi cnota jego dzielna.
Już on dla mnie stracony! drogie nawet zwłoki
Zsłochanych oczu nasycić nie miały,
Próżno szukając, słabe wiodłem kroki,
By miejsce zgonu lzy moje poznały!
Lecz coraz okropniejsze widoki nastają
I żal straszliwszym coraz żalem wypierają.
Rozhukana zajadłość srogością szaleje;
W zwierza się mieni ludzkość w nich zgłuszona,
Piękność, że, ku nim ręce wznosząc, mdleje,
Starość, że zniża pokorne ramiona,
Na sroższy urąg jeszcze i zgubę się wyda;
Niewinność, ani słabość świętości nie przyda.

Matka próżno do łona swe dziecię przyciska;
Jeden miecz ich przeszycje, wspólna ich krew tryska.
Starców, którym zejść tylko do grobu zostało,
Niemowlę, co dopiero dnia światłość ujrzało,
Mord srogi ku swej pastwie zarówno połączy;
Krew zmieszana z natłoku zaledwie się łączy
Między różnych płci, wieków napół martwe kupy.
Spodnich konaniem wierzchnie ruszają się trupy.
Lub kto jeszcze w nadziei na wierzch się przedziera,
Jeszcze braknący sobie cios śmierci odbiera.
Bezbronny nawet jeniec, co już w więzach jęczy,
I tego wściekłość hordy szalona zamęczy.
Słowem: co tylko może w ludzkości zniewadze,
Dopuszcza się dzikość na nieszczęsnej Pradze!
Pożar okropny chmurą wybuchnie płomieni
I dzień biały w noc razem jaskrawą zamieni.
Noc ta ludzi tysiące swym cieniem okryła
I w serce to strapione na zawsze zstała!...
Jeszcze córki kochanej widzę obraz drogi.
Zrazu serce jej mężne nie uczuło trwogi:
Tylko się biedna tuli do mojego łona,
Mysząc, że pewna dla niej tu zawsze uchrona.
Lecz gdy mężnych ostatek braci się rozproszy,
Cała jej czułość o mnie i troska się wzruszy.
Ale jędz rozbestwionych, jej nawet widokiem
Nie zmiękczyła się srogość nieużyta:
Patrzała twardem i zażartem okiem,
Jak dłoń jej miękka miecz krwawy odchwyta.
Głos samą treść tklivosti wydaje przez łkania:
Za mną się tylko wstawia, sobą mnie osłania...
Dotąd prośba mi do nich obrzydła, nieznana;
Lecz za nią drżące także uginam kolana...
Ręce ich krwawe ociec i corka całuje!...
Próżno: na mnie ich naprzód zajadłość poszczuje,
I twarz córy nadobną krew ojca oprysnie.
Czemuż ten raz mi reszty życia nie wyciśnie?
Zacóż, w gorzkiej niemocy powalony stanie,
Musiałem na jej patrzeć okropne skonanie?
Już dusza zwłok zszarpanych ze krwią się wyrzeka,
Sroga jeszcze rozpusta nad nią się zacieka.
O, męko! o, rozpaczy!... cóż mi się zostaje?...
Potworo sroga! klęsk wszystkich przyczyna,
Tyś je zesłała na niewinne kraje:
Że chciały szczęścia, to u ciebie wina.
Na toż lat tyle pobożnie przeżyłem,
Byś w końcu życia, o, Potworo sroga!
Przyczyną była, że nawet zwątpilem
O rządzie prawej Opatrzności Boga!...
Przeklinam ciebie! jeśli gdziekolwiek zdoła,
Zgnębiona tu niewinność przeklęctwem zawoła.

Niech się unudzi zbytek, co z bliska otacza,
A opodal ze znojów nędzy się wytłacza!
W rozpuście, co z wszelkiego wstydu się wyzuła
Bodajbyś kliwość tylko zmierzioną uczuła!
Niechaj ta tobie próżność, co pożarła cnoty,
Zniżona, męką srogiej stanie się zgryzoty!
Bodajeś straszne widma wszędy spotykała,
Których dusze przez ciebie porzuciły ciała,
Owe niewinnych stworzeń tysięcy tysiące!...
Kiedy snu żądać będą oczy, trwogą drżące,
Mara z pod krwawej szaty niech wskaże ci rany,
Przypomni szczęście dzieci i stan odebrany!
Jeśli zechcesz sumnienie zagłuszyć zabawą,
Niech wszelki widok staje zapriskywany krwawo;
Głos w twem uchu najmiłszy zmieni się w jęczenie.
Okropniejsze nad hałas niech wzdryga milczenie!
W sercu spokojność, a sen na skroniach nie siedzie.
Niech śmierć najsroższą chwilą z twego życia będzie!
Ty zaś, trupami syta, krwią synów nasiękla,
Rozstąp się, ziemio, krwawem próchnem zmiękla!
Nie bujne plony, lecz mgły wyrwij zaraźliwe,
Niechaj swoje rozleją soki, śmierci chciwe.
Drżycie, podle narzędzia rozsrożonej zbrodni,
Niechaj głód i mór srogi pozrze was, wyrodni!
A na gruzach, gdzie wściekłość morderstwo wywiera,
Niech się własne nawzajem szaleństwo pożera!...
Ale czuję kres bliski: gasnąca zgrzybiałość
Nie doczeka już moję tym nasycić żalność.
Jeśli nawet dla kraju lepsze błysną wieki,
Moje w grobie już tego nie ujrzą powieki.
A choćbym i najdłuższe miał przed sobą życie,
Kochane dzieci! ojcu wy się nie wrócićie.
Rzekł i siwe rwie włosy: część wiatry rozwiały,
Część wiślane uniosły brudne pianą wały.

Autor, przerażony tem wstrząsającym opowiadaniem starca, modli się, aby nadzieja nigdy serc polskich nie opuszczała, poczem wraz z bardem składa swoją lutnię na mogile, «jakby na ojczyzny grobie; — tu zostań! chyba odżyć dozwolą jej losy, — wtedy razem świetniejsze odżyją twe głosy». Kończy się poemat sześciowerszowem *Pożegnaniem*:

Żegnamy Ciebie, ziemio ulubiona!
Mus nas okrutny spędza z twego łona.
Drżącemi usty dotknijmy powłoki
Poległych braci! O, święte wy, cienie!
Bądź nas gdziekolwiek powiodą wyroki,
Niech wasze nami kieruje westchnienie!

Pożegnanie to z ziemią rodzinną, jak zresztą cały poemat, jest wyrazem własnych uczuć Czartoryskiego, który napisał ten poemat w Grodnie,

po drodze do Petersburga, dokąd jechał (wraz z bratem Konstantym), jako zakładnik.

W historii literatury polskiej zajmuje *Bard polski* stanowisko ważne, nie tylko przez to, że jest w poezji XVIII wieku jedyną większą pieśnią bólu patriotycznego, ale i przez to, że w zarodku zawiera już w sobie te uczucia i myśli, które rozwinie i spotęguje nasza wielka poezja patriotyczna XIX wieku: miłość ziemi rodzinnej i jej wielkiej przeszłości, ból nad jej nieszczęściami, płynący z tego bólu żal do Boga, a nawet zwątpienie o Jego Opatrzności i sprawiedliwości, oraz fałszywy pogląd, że Polska jest niewinna i nieodpowiedzialna za te klęski, jakie na nią spadły.

Jako poemat elegijny, należy *Bard polski* do poezji osjanicznej. Samo już pojęcie barda, jako pieśniarza, śpiewającego na grobie ojczyzny, i jako wiernego towarzysza rycerzy, walczących za wolność kraju rodzinnego, zawdzięcza Czartoryski *Pieśniom Osjana*. A i melancholja, która owiewa cały poemat, tło akcji: góry, dzika okolica, mgły, nurty rzeki, ciemny las, wieże, zamczyska, noc księżycowa, wiatr, roznoszący jęki ludzkie — to wszystko pierwiastki osjaniczne. Jest ich tak wiele, że wolno postawić *Barda polskiego* na samym czele naszego preromantyzmu XVIII wieku. Lecz nie brak i pierwiastków starych; są np. ulubione przez klasyków postaci alegoryczne i uosobienia pojęć oderwanych: oto Mus i Niewola kuja w swej kuźni wyroki losu, Nadzieja wije uploty, Cnota walczy żelazem z Niecnotą; słycać Jędze, wpadające ze srogim wrzaskiem; są apostrofy do Rozkoszy i Wolności.

Tak więc *Bard polski*, zarówno przez swoją treść, jak i formę, jest łącznikiem pomiędzy poezją dawną a nową, jest jakby słupem granicznym pomiędzy literaturą niepodległej Polski a Polski porzobiorowej.

ZAKOŃCZENIE

«A jeśli komu droga otwarta do nieba, — tym, co służą ojczyźnie». Jeżeli to prawda, co mówi Kochanowski, jeżeli zasługi, położone dla ojczyzny, otwierają drogę do nieba, to ogromna większość pisarzy naszych, których dzieła tworzą literaturę niepodległej Polski, dawno się już cieszy «rajskim przebytem» — w tej samej krainie, w której polskie serce Kochanowskiego widziało nie tylko Piastów i Jagiellonów, ale i bajecznych książąt pogańskich. Prawie wszyscy bowiem pisarze staropolscy służyli wiernie ojczyźnie — piórem, «omoczonym» we łzie i we krwi «orła białopiórego», i Matce swojej za to, że ich «urodziła i wychowała, nadała, wyniosła», złożyli w hołdzie czci i wdzięczności piękną, mądrą, szlachetną, chrześcijańską i patriotyczną literaturę — taką, na jaką, prócz nas, nie zdobył się ani jeden «cny naród słowiański», nie wyjmując naszych nauczycieli, Czechów, których dogoniliśmy i przegonili w drugiej połowie XVI stulecia. Nie dogoniliśmy zato naszych nauczycieli zachodnio-europejskich. W wieku XVI wprowadziliśmy dotrzymywaliśmy im kroku, ale później cofaliśmy się przez całe półtora wieku i dopiero w drugiej połowie XVIII stulecia zaczęliśmy ich gonić na nowo, tylko że oni czekać na nas nie chcieli.

Wogóle literatura staropolska nie wzniosła się, nawet w wieku złotym i w wieku oświeconym, na te wyżyny, na jakie się wzbily wielkie literatury zachodnio-europejskie: włoska w wiekach XIV, XV i XVI, francuska — w XVII i XVIII, hiszpańska — w XVI i XVII, angielska — w XVI i XVII, niemiecka — w XVIII. Prawda, że są w literaturze niepodległej Polski wielkie, znakomite nazwiska: Kochanowski, jako autor *Trenów*, to najznakomitszy liryk europejski XVI wieku; arcydzieł, równych *Kazaniom sejmowym* Skargi, niewiele posiada wymowa kaznodziejska całej nowoczesnej Europy chrześcijańskiej; Krasicki to jeden z największych klasyków, jakich wydała Europa w XVII i XVIII wieku. A tacy pisarze, jak Długosz, Modrzewski, Szymonowicz, Staszic, Kollątaj, nie przynieśliby wstydu żadnej literaturze, owszem każdej, choćby najbogatszej w talenty, rozumy i serca, byłiby zaszczytem i ozdobą.

Tak, to wszystko prawda. Ale położmy rękę na sercu i odpowiedzmy bezstronnie: czy niepodległa Polska wydała takich pisarzy, jeśli już nawet nie tak genialnych, jak Dante, Szekspir, Milton, Moljer, Goethe, Schiller, to przynajmniej tak znakomitych, jak Ariosto i Tasso, jak Corneille i Racine, a choćby takich, jak Erazm z Rotterdamu, Wolter, Rousseau (żeby już innych nie wylizać)? Nie! Wielkość literatury naszej przypada dopiero na czasy porozbiorowe: wielkość da jej dopiero Mickiewicz: literatura zaś niepodległej Polski jest bogata, piękna, rozumna, moralnie czy-

sta, ale wielką, pomimo Kochanowskiego, Krasickiego, Skargi i Modrzewskiego, Staszica i Kollataja, nazwać jej nie można; wzrosła pod cudzą opieką, a i nadal bez cudzej opieki obejść się nie mogła, — rozwijając się nie w niewolniczej wprawdzie, ale w niemałej zależności od literatur obcych: zarówno rzymskiej i greckiej, jak czeskiej, włoskiej, francuskiej, angielskiej. Nie była więc literatura staropolska samodzielna w formie, a często i w treści; swój wiek złoty zawdzięcza głównie Rzymianom i Włochom; w wieku XVII zaczęła już trochę gardzić obcą pomocą i... zatracala stopniowo piękno i mądrość, póki w czasach saskich nie zatraciła ich niemal doszczętnie; a jeżeli za Stanisława Augusta dźwignęła się z upadku i wzniosła wysoko, to znowu — przy obcej pomocy, głównie francuskiej, a trochę angielskiej.

A jednak, pomimo zależności od wzorów obcych, jest literatura staropolska literaturą narodową: odbiły się w niej, jak w zwierciadle, duch i charakter narodu w swoim rozwoju historycznym, i wogóle odbiło się w niej życie polskie, zarówno w swoich pierwiastkach i czynach dodatnich, jak ujemnych, zarówno w dobrej, jak w złej doli.

Niedosyć na tem. Literatura w niepodległej Polsce była nietylko zwierciadłem życia, ale także jego mądrą i uczciwą mistrzynią: usiłowała je podnieść na swoje wyżyny — na wyżyny ideału chrześcijańskiego wogóle, a patrijotycznego w szczególności, nie psuła i nie gorszyła narodu, ale pragnęła go poprawić i uszlachetnić, wpajając w serca uczucia chrześcijańskie i patrijotyczne. Trafiały się naturalnie wyjątki: Orzechowski, Fredro, Lubomirski, pisarze polityczni z obozu starszlacheckiego na sejmie czteroletnim byli złymi nauczycielami narodu; byli i tacy, którzy obcym bogom stawiali ołtarze; były nawet całe epoki, w których, jeżeli ze szczerem nie zanikał, to w każdym razie wypaczał się albo karłał duch rzetelnego chrześcijaństwa i rozumnego patrijotyzmu, schodząc na bagniste niziny fanatyzmu religijnego i szowinizmu narodowego. Ale ogromna większość pisarzy staropolskich — poczynając od Kadłubka, który głosił, że «szlachecciem jest ten tylko, kogo uszlachciła własna cnota», i że miłość ojczyzny powinna być «mocna, jak śmierć», aż do Niemcewicza, który uczył, że «dom zawsze ustępować powinien krajowi» — nie sprzeniewierzyła się w pismach swoich ani świętej nauce Jezusa Chrystusa, ani «świętej miłości kochanej ojczyzny». Otóż ten duch chrześcijańsko-patrijotyczny, ta wierna służba obywatelska — to najwybitniejsza cecha literatury niepodległej Polski (zarówno prozy, jak poezji, która nietylko «sobie śpiewała a Muzom», ale nadewszystko ojczyźnie).

A niechaj narodowie wždy postronni znają,
Iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają!

«Ponieważ wszystkie wszystkich ludzi miłości jedna ojczyzna w sobie zamyka, tedyć onę nad wszystko trzeba przekładać i wszystkie prace dla niej mężnie i śmieie podejmować».

Służmy pocziwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże!

«Jako namilejszej Matki swej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła i wychowała, nadała, wyniosła? Bóg Matkę czcić rozkazał. Przeklęty, kto zasmuca Matkę swoją! A która jest pierwsza i zasłużeńsza Matka, jako ojczyzna?»

Zadnechy jarmarki

Takiego specyjału, choćbyś wszystkie fraszki
Zakupił, objechawszy Paryż i Damaszki,
Nie dały, jako gdybyś za miłą ojczyznę
Podjętą na swem ciele synom przyniósł bliznę.

Niemasz zasług: to, co my zowiemy zasługi,
Są tylko ku ojczyźnie wypłacone długi.
Ojczyzna nie nam nie jest winna: ona pani,
My jej sługi, jej więźnie, jej obowiązani.

Miło służyć ojczyźnie, miło dla niej ginąć:
Ale cierpieć bez zysku i nieszczęściem slynąć,
Ale czuć się niewinnym, a być w złej maszkarze,
Ale służyć niewdzięcznym i znosić potwarze —
To heroizm prawdziwy...

«Nie jest uczniem szkoły Chrystusa, kto nie jest dobrym obywatelem».
«Nie jest dobrym obywatelem, kto przytłumił w sobie głos sumnienia, kto
za nic waży święte religii prawidła».

«Społeczność jest jedną moralną istotnością, której członkami są oby-
watele; zostać obywatelem jest wyzucić się czyli oddać swoją wolę i swoją
moc osobistą towarzystwu całemu».

Oto jakie hasła przyświecały najznakomitszym pisarzom staropolskim,
oto jakie prawdy pragnęli oni wpajać w serca czytelników! A nie są to wcale
oderwane frazesy, któreby się przypadkowo do ich pism zaplątały: to naj-
lepsza treść ich duszy, najistotniejsza cecha ich twórczości.

Na nieszczęście naród nie posłuchał swoich mądrych i zacnych nau-
czycieli: słowo ich było mu «za śpiewanie i muzykę, po której się słucha-
niu nic nie zawiąże». «Chwalili, a żywota swego nie poprawiali». Pomędzy
literaturą a życiem panował rozbrat — ale to już nie literatury wina! Ona
uczciwie pełniła służbę obywatelską, «jako mogła, ku pożytkowi dobra spół-
nego pomagała» i nakoniec doczekała się tego, że nie była już tylko «za śpie-
wanie i muzykę»: za Stanisława Augusta nie było już rozbratu pomiędzy ży-
ciem a literaturą, rzucono się do ratowania tonącego okrętu — za późno!

Lecz literatura i wtedy nie załamała rąk: «Aleć i grzech jest wielki
i nigdy nie godzi się desperować o Rzeczypospolitej»; «Rozpacz — podział
nikczemnych». I jeżeli straszliwe proroctwo Skargi spełniło się tylko w po-
łowie, jeżeli wolności nasze «utonęły i w śmiech się obróciły», ale nie zgi-
nął język i nie zginął naród — to zasługa nietylko Komisji Edukacyjnej,
ale i literatury, która była potężnym czynnikiem naszego odrodzenia ducho-
wego w XVIII wieku.

A kiedy zatonał okręt, wzbila się literatura nasza na takie wyżyny,
jakich nigdy za czasów niepodległości nie dosięgła, odegrała w życiu na-
rodu tak wielką rolę, jak nigdzie indziej na świecie, i stwierdziła, ile to prawdy
mieści się w słowach Brodzińskiego: «Literatura każdego narodu jest jego
moralnym bytem, bezpieczną w swoich granicach, żadnemu zniszczeniu nie-
podległą».

BIBLIOGRAFJA

Wielka literatura powszechna, wydawnictwo zbiorowe, obejmujące całość literatury świata, pod redakcją Stanisława Lama (dotychczas tom pierwszy; dalsze w druku).

Handbuch der Literaturwissenschaft, herausgegeben von Oskar Walzel, dzieło zbiorowe, kilkunastotomowe, obejmujące całokształt literatury świata, jeszcze nie skończone. — Periods of European Literature, edited by Professor Saintsbury, dzieło dwunastotomowe, obejmujące historję literatury powszechnej od wieków średnich. — Revue de Littérature comparée (kwartalnik, od roku 1921). — Literaturblatt für germanische und romanische Philologie (miesięcznik, od roku 1888). — Janet-Séailles. Histoire de la philosophie, les problèmes et les écoles. — Fouillée. Histoire de la philosophie. — Windelband. Lehrbuch der Geschichte der Philosophie. — Fuetter, Geschichte der neueren Historiographie; (jest i przekład francuski). — Janet. Histoire de la science politique dans ses rapports avec la morale. — Dunlop-Liebrecht. Geschichte der Prosadichtungen oder Geschichte der Romane, Novellen, Märchen u. s. w. — Busse. Das Drama (w zbiorze Aus Natur und Geisteswelt).

Poetyka Arystotelesa; przekłady polskie: 1) St. Siedleckiego, w Sprawozdaniu gimnazjum św. Anny, Kraków 1887; 2) Eckhardta, w Sprawozdaniu gimnazjum wyższego w Samborze, Sambor 1905. — Volkelt. System der Aesthetik. — Müller-Freienfels. Psychologie der Kunst. — Müller-Freienfels. Poetik. — Dilthey. Das Erlebniss und die Dichtung. — Norden. Die antike Kunstprosa. — Życzyński. Teorja dramatu. — Lanson. L'Art de la prose. — Ochorowicz. Liryczna twórczość poetów.

Korbut. Wstęp do literatury polskiej (zarys metodyki badania literatury). — Kridl. Krytyka i krytycy. — Wskazówki metodyczne do programu gimnazjum państwowego. Język polski (gimnazjum wyższe); metodykę nauczania historji literatury ojczystej opracował tutaj Konstanty Wojciechowski — jest to w swoim rodzaju arcydzieło. — Borowy. O wpływach i zależnościach w literaturze. — Walzel. Gehalt und Gestalt im Kunstwerk des Dichters. — Walzel. Das Wortkunstwerk, Mittel seiner Erforschung. — Dragomirescou. La science de la littérature. — Lanson. Histoire littéraire, w książce: De la méthode dans les sciences (serja druga); przekład polski Turowskiego (Sfinks 1912, sierpień i wrzesień). — Suchodolski. Przebudowa podstaw nauk humanistycznych (odbitka z Przeglądu Historycznego, 1928, tom VI, zeszyt 3).

T. Zieliński. Die Antike und wir. — T. Zieliński. Historja kultury antycznej. — Sinko. Żywy spadek po Grecji i Rzymie.

T. Zieliński i Srebrny. Literatura starożytnej Grecji epoki niepodległości. — Sinko. Literatura grecka (w druku). — Schmid und Stählin. Geschichte der griechischen Literatur. — Wilamowitz-Moellendorff. Die griechische

Literatur des Altertums. — Alfred Croiset et Maurice Croiset. Manuel d'histoire de la littérature grecque.

K. Morawski. Historia literatury rzymskiej do końca III wieku po Chrystusie (siedem tomów). — K. Morawski. Historia literatury rzymskiej (jeden tom). — Schanz. Geschichte der römischen Literatur bis zum Gesetzgebungswerk des Kaisers Justinian. — F. Leo. Die lateinische Literatur und Sprache. — Pichon. Histoire de la littérature latine. — T. Zieliński. Cicero im Wandel der Jahrhunderte.

Manitius. Geschichte der lateinischen Literatur des Mittelalters. — Baumgartner. Die lateinische und griechische Literatur der christlichen Völker.

Vlček. Dějiny česke literatury. — Jakubec. Geschichte der českischen Literatur. — Brückner i Lehr-Splawiński. Zarys dziejów literatur i języków literackich słowiańskich.

Storia letteraria d'Italia, scritta da una società di professori, dzieło zbiorowe w dziewięciu tomach; obecnie ukazuje się wydanie nowe, gruntownie przerobione. — Francesco de Sanctis. Storia della letteratura italiana. — Flaminio. Storia della letteratura italiana. — D'Ancona e Bacci. Manuale della letteratura italiana (bogate wypisy!). — Hauvette. La littérature italienne. — Wiese und Percopo. Geschichte der italienischen Literatur.

Histoire de la langue et de la littérature française sous la direction de L. Petit de Julleville, dzieło zbiorowe, w ośmiu tomach. — Lanson. Histoire de la littérature française. — Lanson. Histoire illustrée de la littérature française. — Histoire de la littérature française sous la direction de Bédier et Hazard, dzieło zbiorowe, w dwóch tomach. — Suchier und Birch-Hirschfeld. Geschichte der französischen Literatur.

Cambridge History of English Literature, dzieło zbiorowe w szesnastu tomach (dwa ostatnie — literatura amerykańska). — Courthope. A history of English Poetry. — Saintsbury. A short History of English Literature. — Gosse. A short History of modern English Literature; (przekład francuski: La littérature anglaise). — Legouis et Cazamian. Histoire de la littérature anglaise. — Wülker. Geschichte der englischen Literatur. — Tarnawski. Historia literatury angielskiej od najdawniejszych czasów do Milтона i Drydena.

(Inne literatury europejskie — niemiecka, hiszpańska, rosyjska, skandynawskie — zaczęły wpływać na polską dopiero w XIX wieku; odkłada się przeto odnośną bibliografię do «Historji literatury Polski porozbiorowej (1795—1918)».

Polska, jej dzieje i kultura od czasów najdawniejszych aż do chwili obecnej, dzieło zbiorowe, pod redakcją St. Lama, jeszcze nie skończone. — Gloger. Encyklopedia staropolska ilustrowana, cztery tomy. — Brückner. Dzieje kultury polskiej (tom I, dalsze w druku). — Łoziński. Życie polskie w dawnych wiekach. — Kot. Historia wychowania.

Grycz. Przewodnik dla korzystających z bibliotek. — Karol Estreicher. Bibliografia polska, część II, tom 1 i 2, ogólnego zbioru tom 8 i 9 (spis chronologiczny druków polskich od najdawniejszych czasów aż do końca XVIII wieku). — Karol Estreicher. Bibliografia polska, część III, tomy 1—16, ogólnego zbioru tomy 12—27 (spis alfabetyczny druków polskich od najdawniejszych czasów do końca XVIII wieku; od tomu 23 wydaje to dzieło pomnikowe Stanisław Estreicher; dalsze tomy — w druku). — Przewodnik biblio-

graficzny (miesięcznik, 1887—1913). — Bibliografja Polska (miesięcznik, 1914—1919). — Przewodnik bibliograficzny (miesięcznik, 1920—1921 i 1924—1928). — Przewodnik bibliograficzny (miesięcznik dla wydawców, księgarzy, antykwariuszy, jako też dla czytających i kupujących książki), od roku 1929. — Urzędowy wykaz druków w Rzeczypospolitej Polskiej, od roku 1928. — Katalogi rękopisów ob. Grycz, j. w.

Czasopisma, poświęcone historii literatury polskiej: 1) Pamiętnik Literacki (kwartalnik, od roku 1902); 2) Ruch Literacki (miesięcznik, od roku 1926).

Korbut. Literatura polska od początków do wojny światowej, książka podręczna informacyjna dla studujących naukowo dzieje rozwoju piśmiennictwa polskiego. Wydanie drugie, powiększone; tom I, od wieku X do XVII; tom II od wieku XVIII do r. 1820; (dwa następne tomy w druku). Dzieło to, owoc nadludzkiej pracy jednego człowieka, jako zawierające w sobie (prócz zwięzłych poglądów na główne zjawiska literatury polskiej, oraz biografij pisarzy) dokładną bibliografję zarówno wydań utworów literackich, jak opracowań historyczno-literackich, powinno — narówni z Pamiętnikiem Literackim i z Ruchem Literackim — znajdować się w każdej bibliotece szkolnej. Ponieważ Korbut daje całości bibliografję historii literatury polskiej, więc na tem miejscu przytacza się jedynie to minimum, które jest bądź konieczne, bądź przydatne dla miłośnika literatury staropolskiej.

O zbiorach pisarzy polskich czyli o tak zwanych «Bibliotekach pisarzy» w Polsce ob. artykuł p. t. Biblioteka Narodowa, w książce p. t. Almanach Biblioteki Narodowej, Kraków, 1929, str. 11—20. Oto najważniejsze zbiory (w nawiasach — skróty, które oznaczono poszczególne «Biblioteki» w niniejszej bibliografji).

Biblioteka Polska, wyd. Józef Kazimierz Turowski w Sanoku, Przemyślu i w Krakowie (BT).

Biblioteka najcenniejszych utworów literatury europejskiej, wyd. S. Lewental w Warszawie (BNU).

Biblioteka kieszonkowa klasyków polskich, wyd. Jan Nepomucen Bobrowicz w Lipsku (BKK).

Biblioteka pisarzy polskich, wydawana przez Polską Akademię Umiejętności w Krakowie (BAU).

Arcydzieła polskich i obcych pisarzy, wydawana przez Feliksa Westa w Brodach (AW).

Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików polskich, wydawana przez Teodora Wierzbowskiego w Warszawie (BW).

Pisarze polscy i obcy, nakładem Gebethnera i Wolffa w Warszawie (PPO).

Wielka Biblioteka, nakładem «Biblioteki Polskiej» w Warszawie (WB).

Biblioteka Narodowa, nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej w Krakowie, pod redakcją Stanisława Kota (BN); serja pierwsza obejmuje literaturę polską, druga — obcą.

Taszycki. Wybór tekstów staropolskich XVI—XVIII wieku. — Małecki. Wybór mów staropolskich. — Kazimierz Bartoszewicz. Księgi humoru polskiego, cztery tomy. — Lorentowicz. Polska pieśń miłosna. — Lorentowicz. Ziemia polska w pieśni. — Merwin. Polskie listy miłosne. — Folkierski. So-

net polski, BN, 62. — Lemański. Satyra polska, antologia, dwa tomiki. — Ejsmond, Antologia bajki polskiej. — Borowy. Od Kochanowskiego do Staffa, antologia liryki polskiej (w druku).

Dobrzycki. Der Geist der polnischen Literatur (Wiedeń 1917). — Polak. Alcune caratteristiche della letteratura polacca (toż w książce Pagine di cultura e di letteratura polacca). — Maver. Carattere patriotico e tendenze universali della letteratura polacca (wykład wstępny w Uniwersytecie Rzymskim 1930). — Chrzanowski. O literaturze polskiej (wykład wstępny w Uniwersytecie Jagiellońskim 1910).

Michał Wiszniewski. Historia literatury polskiej (dziesięć tomów, 1840—1857). — Tarnowski. Historia literatury polskiej, tom 1, 2 i 3. — Chmielowski. Historia literatury polskiej, wydanie nowe St. Kossowskiego, tom pierwszy. — Pilat. Historia literatury polskiej, wykłady uniwersyteckie; tom drugi: część 1, Rozwój poezji łacińskiej w pierwszej połowie XVI wieku, Rej-Kochanowski; część 2, Następcy i naśladowcy Kochanowskiego; tom trzeci: Historia poezji polskiej od r. 1632—1740; tom czwarty: część 1, Czasy Stanisława Augusta; część 2, Czasy porozbiorowe i Księstwa Warszawskiego, 1795—1815. — Brückner. Dzieje literatury polskiej w zarysie, wydanie trzecie, tom pierwszy. — Dobrzycki. Historia literatury polskiej, tom pierwszy: Literatura Polski niepodległej. — Dzieje literatury pięknej w Polsce, dzieło zbiorowe w dwóch częściach, jako tom 21 i 22 Encyklopedji Polskiej, wydawanej przez Polską Akademię Umiejętności. — K. Wojciechowski. Dzieje literatury polskiej, wydanie trzecie; (rzecz popularna, znakomita).

Smoleński. Szkoły historyczne w Polsce (Pisma historyczne, tom trzeci). — Struve. Historia filozofji w Polsce, zeszyt pierwszy (więcej nie wyszło). — Struve. Historia logiki, jako teorii poznania, w Polsce, wydanie drugie. — Chmielowski. Dzieje krytyki literackiej w Polsce. — T. Grabowski. Krytyka literacka w Polsce w epoce pseudoklasycyzmu. — Janik. Z dziejów wymowy XVII i XVIII wieku (Pamiętnik literacki, tom VII i VIII). — Z. L. Zaleski. Z psychologii i dziejów wymowy (w książce Dzieło i twórca). — K. Wojciechowski. Historia powieści w Polsce. — Chmielowski. Nasza literatura dramatyczna, dwa tomy. — Windakiewicz. Teatr ludowy w dawnej Polsce. — Windakiewicz. Teatr polski przed powstaniem sceny narodowej. — Szykowski. Dzieje nowożytnej tragedji polskiej, typ pseudoklasyczny, 1661—1831. — Szykowski. Dzieje komedji polskiej w zarysie. — Pollak. Morze w poezji staropolskiej (Strażnica Zachodnia 1913). — Dobrzycki. O kołędach (Wykłady powszechne Uniwersytetu Poznańskiego, nr. 1—2). — Nowaczyński. Satyra staropolska (Szkice literackie). — Tretiak. Najświętsza Panna w poezji polskiej. — Sinko. Echa klasyczne w literaturze polskiej. — K. Bartoszewicz. Pierwsi antysemita w literaturze polskiej XV—XVII wieku.

Łoś. Wiersze polskie w ich dziejowym rozwoju. — Nitsch. Z historii polskich rymów. — Wóycicki. Forma dźwiękowa prozy polskiej i wiersza polskiego. — Bem. Teoria poezji polskiej. — Chmielowski. Stylistyka polska. — Komarnicki. Stylistyka polska.

Eicken. Geschichte und System der mittelalterlichen Weltanschauung. — H. O. Taylor. The mediaeval mind: a history of the development of thought and emotion in the middle ages. — Ptaśnik. Kultura wieków średnich. —

Chrzanowski. Idea kultury średniowiecznej (w książce Wśród zagadnień, ksiązek i ludzi).

Pilat. Historia literatury polskiej od czasów najdawniejszych do roku 1815, wykłady uniwersyteckie, tom pierwszy (opracował St. Kossowski). Część pierwsza: Literatura średniowieczna w Polsce od czasu przyjęcia chrześcijaństwa do końca XIV wieku; część druga: Literatura średniowieczna w Polsce w wieku XV.

Zeissberg. Dziejopisarstwo polskie w wiekach średnich (przekład z niemieckiego).

Anonim t. zw. Gall, kronika polska, wydał Grodecki, BN 59.

Magistri Vincentii... Chronica Polonorum, edidit Przeździecki (oryginał i przekład polski Józefczyka i Studzińskiego). — Zeissberg. Vincentius Kadłubek. Bischof von Krakau, und seine Chronik Polens.

Żerbiłło. Kronika Janka z Czarnkowa (przekład polski). — Kubala. Janko z Czarnkowa (Biblioteka Warszawska, 1871, III i IV). — Brückner. Repertuar igrców średniowiecznych (Pamiętnik Literacki, XXV).

Tymieniecki. Moralność w stosunkach między państwami w poglądach Pawła Włodkowica (Przegląd Historyczny 1919—1920).

Długosz. Opera omnia, czternaście tomów (staraniem Przeździeckiego; przekład Kroniki — Mecherzyńskiego). — Bobrzyński i Smolka. Jan Długosz, jego życie i stanowisko w piśmiennictwie. — Bitwa Grunwaldzka (z kroniki Długosza), BN 31, wyd. Jan Dąbrowski.

Kallimacha Życie i obyczaje Grzegorza z Sanoka, rzecz, poprzedzona rozprawą Sinki Spór o Grzegorza z Sanoka.

Pawiński. Jana Ostroroga żywot i pismo O naprawie Rzeczypospolitej (studjum, tekst łaciński i przekład polski). — J. S. Ptaszycki. Ze studjów nad Memorjałem Ostroroga.

Brückner. Literatura religijna w dawnej Polsce, trzy tomy. — Łoś. Początki piśmiennictwa polskiego (przegląd zabytków językowych). — Brückner. Średniowieczna pieśń religijna polska, BN 65. — Vrtel-Wierczyński. Średniowieczna poezja polska świecka, BN 60. — Brückner. Polska proza średniowieczna, BN 68. — Taszycki. Najdawniejsze zabytki języka polskiego, BN 104. — Dobrzycki. Polska poezja średniowieczna (Z dziejów literatury polskiej). — Dobrzycki. Najdawniejsze kołody polskie (tamże). — Brückner. Z rękopisów petersburskich. III. Powieści (Prace Filologiczne V). — Rozmyślanie o żywocie Pana Jezusa, BAU 54, wyd. Brückner.

Vogt. Die Wiederbelebung des klassischen Altertums oder das erste Jahrhundert des Humanismus. — Burckhardt. Die Kultur der Renaissance in Italien; (nowy przekład polski M. Kreczowskiej: Kultura Odrodzenia we Włoszech, ze wstępem Zyg. Lempickiego). — Zyg. Lempicki. Renesans, oświecenie, romantyzm. — Dilthey. Weltanschauung und Analyse des Menschen seit Renaissance und Reformation. — Burdach. Reformation, Renaissance, Humanismus. — Szujski. Odrodzenie i reformacja w Polsce. — K. Morawski. Czasy Zygmuntofskie na tle prądów Odrodzenia. — Brückner. Różnowiercy polscy. — Merczyng. Polscy deści i wolnomysłciela za Jagiellonów (Przegląd Historyczny 1919). — T. Grabowski. Literatura lutrska w Polsce wieku XVI, 1530—1630). — T. Grabowski. Z dziejów literatury kalwińskiej w Polsce. — T. Grabowski. Literatura arjańska w Polsce. — T. Grabowski. Piotr Skarga na tle katolickiej literatury religijnej wieku XVI. — Kolbuszewski.

Postyllografja polska XVI i XVII wieku. — Warmiński. Andrzej Samuel i Jan Seklucjan. — Reformacja polska, czasopismo pod red. St. Kota (od roku 1921).

Tarnowski. Pisarze polityczni XVI wieku, dwa tomy. — Brückner. Przysłowia, kartka z dziejów literatury i kultury polskiej (Ateneum 1895, III). — Wąsik. Piśmiennictwo staropolskie w przedmiocie zagadnień etycznych (Przełąd Filozoficzny XXII). — M. Czapska. Polemika religijna pierwszego okresu reformacji w Polsce (Reformacja Polska, zeszyt 19). — K. Hartleb. Polskie dzienniki podróży XVI wieku. — W. Nartowski. Stan włościański w utworach poetyckich polskich doby renesansowej (kwartalnik Lud 1915). — W. Szyszkowski. Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XV i XVI wieku (tamże). — Bruchnalski. Pojęcie i znaczenie poezji u poetów polskich XVI wieku (Eos, 1900). — Chlebowski. Indywidualizm, jako czynnik rozwoju artyzmu polskiego w wieku XVI (Pisma, tom II). — Hahn. Literatura dramatyczna w Polsce XVI wieku. — Bobowski. Polskie pieśni katolickie od najdawniejszych czasów do końca XVI wieku. — Windakiewicz. Pieśni i dумы rycerskie XVI wieku (Pamiętnik literacki, III). — Dobrzycki. Humor i dowcip w Polsce XVI wieku (Z dziejów literatury polskiej). — Dobrzycki. Przyroda w literaturze polskiej XVI wieku (tamże). — Chrzanowski i Kot. Humanizm i reformacja w Polsce, wybór źródeł dla ćwiczeń uniwersyteckich.

Corpus antiquissimum poetarum Poloniae latinorum usque ad Cochranovium: poezje Pawła z Krosna i Jana z Wislicy (wydał Kruczkiewicz), Krzyckiego (— Morawski), Hussowskiego (— Pelczar), Janickiego (— Cwikliński). — Pelczar. Mikołaj Hussowski. — Jan Kasprowicz. Hussowskiego Pieśń o żubrze i Pan Tadeusz (Kurjer Warszawski 1913, nr. 313—316). — Cwikliński. Klemens Janicki, poeta uwieczony. — Poezje Ludwika Kondratowicza, wydanie zupełne, tom ósmy (przekład poezyj Janickiego).

Pamiętniki Janczara, *BAU* 63, wyd. Łoś. — Bernacki. Pierwsza książka polska. — Biernata z Lublina Ezop, *BAU* 55, wyd. Chrzanowski; tamże — antologia bajki staropolskiej. — Brückner. Ezopy polskie. — Opeć. Żywot Pana Jezu Krysta, przedruk homograficzny wydania 1522, Kraków 1882. — Pussman. Historyja barzo cudna, *BAU* 10, wyd. Celichowski. — Powieść rzeczy istej, wydał Joachim Lelewel w Pamiętniku sandomierskim 1830, tom II. — Rozmowy Salomona z Marchołem, wyd. Bernacki. Haarlem 1913. — Sowizrrzał — niema jeszcze wydania krytycznego; fragmenty wydał Julian Krzyżanowski w książce zbiorowej «Ign. Chrzanowskiemu». — Historyje Rzymskie, *BAU* 29, wyd. Jan Bystron. — Poneyjan (Historyja o siedmiu mędracach), *BAU* 79, wyd. Julian Krzyżanowski. — Historyja o żywocie Aleksandra Wielkiego, wyd. Mirosław Kryński, Prace filologiczne IX. — Historyja o zburzeniu państwa trojańskiego, *BAU* 31, wyd. Adalberg. — Julian Krzyżanowski. Romans pseudohistoryczny w Polsce XVI wieku. — Andrzej Głabera Gadki o składności członków, *BAU* 28, wyd. Rostafiński.

Brückner. Mikołaj Rej, studjum historyczne. — Brückner. Mikołaj Rej, człowiek i dzieło. — Windakiewicz. Mikołaj Rej z Nagłowic. — Janik. Mikołaja Reja żywot i pisma, wydanie drugie. — Bruchnalski. Studja nad literaturą polską w epoce odrodzenia. I. Rozwój twórczości pisarskiej M. Reja. — Krótka rozprawa *BAU* 23, wyd. Zawiliński. — Wizerunk, wyd. Ptaszycki (Petersburg 1886). — Zwierciadło, wyd. Czubek, Łoś i Chrzanowski (Akademja Umiejętności). — (Zwierzyniec, *BAU* 30, wyd. Bruchnalski). — (Kupiec, *BAU* 77, wyd. Brückner i Kotula). — Figliki, wyd. (w podobiznie) Wittyg (Kraków 1905). — Pisma prozą i wierszem, wydał i objaśnił Brückner, *BN* 40.

Chrzanowski. Marcin Bielski, studjum historyczno-literackie, wydanie drugie. — Satyry, *BAU* 4, wyd. Wisłocki. — Komedya Justyna i Konstancyej *BW* 7. — Nehring. O życiu i pismach Joachima Bielskiego. — Breitmeier. Szkice literackie. — Breitmeier. Joachim Bielski. — Kronika, *BT*.

Eichhorn. Der ermländische Bischof M. Kromer. — Finkel. M. Kromer, historyk polski XVI w. — Kromer. Rozmowy dworzanina z mnichem, *BAU* 70, wyd. Łoś. — Polonia sive de situ etc., *BAU* 40, wyd. Czermak; przedkład Syrokomli: Polska czyli o położeniu etc.

Kot. Przyczynki do dziejów wychowania i oświaty w Polsce. I. A. F. z Modrzewa O wychowaniu i szkole. (Muzeum 1910). — Kot. Wpływ starożytności klasycznej na teorje polityczne A. F. z Modrzewa. — Kot. A. F. Modrzewski. — Modrzewskiego o poprawie Rzeczypospolitej, przedkład Cyprjana Bazylika (z wyjątkiem księgi O Kościele) — *BT*.

Kubala. St. Orzechowski i wpływ jego na rozwój i upadek reformacji w Polsce. — Orichoviana, *BAU* 19, wyd. Korzeniowski. — Opowiadanie upadku przyszłego, *BW* 16. — Polskie dialogi polityczne *BAU* 74, wyd. Łoś i Kot. — Żywot Tarnowskiego, *BT*. — Kroniki (przedkład Włyńskiego) i Mowy, *BT*.

Kozielewski. Ł. Górnicki. — Dzieła wszystkie, trzy tomy, wyd. R. Loewenfeld, *BNU*. — Dworzanin polski, *BN* 109, wyd. Pollak.

Chlebowski. J. Kochanowski w świetle własnych utworów (osobno i w Pismach II). — Chlebowski. Artyzm Kochanowskiego (tamże). — Nehring. J. Kochanowski, życie i dzieła. — Brückner, wstęp do dwutomowego wydania Pism zbiorowych (Warszawa 1924). — Windakiewicz. Jan Kochanowski. — Treny, *BN* 1, wyd. Sinko. — Treny, *WB* 8, wyd. Adamczewski. — Odprawa posłów greckich, *BN* 3, wyd. Sinko. — Pieśni i wybór wierszy, *BN* 100, wyd. Sinko. — Wybór poezyj, *WB* 134, wyd. Adamczewski. — Ejsmond. Pod lipą czarnoleską, przedkład najpiękniejszych wierszy łacińskich Kochanowskiego.

Henryk Sienkiewicz. M. S. Szarzyński (Pisma, nie objęte wydaniem zbiorowem, tom pierwszy). — Rytmy oraz anonimowe pieśni i listy miłosne z wieku XVI, *BN* 118, wyd. Sinko. — Nadolski. Ze studjów nad twórczością Szarzyńskiego (Pamiętnik Literacki XXVII).

Nehring. O życiu i pismach R. Heidensteina. — St. Lempicki. Zamoyski współpracownikiem Heidensteina. — Dzieje Polski od śmierci Zygmunta Augusta do roku 1594, przedkład Gliszczyńskiego, przedmowa Spasowicza. — Pamiętniki wojny moskiewskiej, przedkład Czubka.

Kraszewski. O Strykowski i jego Kronice, Wybór pism Kraszewskiego, tom X, Warszawa 1894. — Kronika polska etc. (oraz pomniejsze dzieła), wyd. Malinowski, dwa tomy.

Kraszewski. Klonowicz (Studja literackie j. w.). — Jasek. F. S. Klonowicz (Przewodnik Naukowy i Literacki 1913). — Nadolski. Geneza Roksolanji S. Klonowicza (w księdze zbiorowej Szymon Szymonowicz i jego czasy). — Mierzyński. De vita, moribus scriptisque latinis Acerni — w studjum tem znajduje się wydanie Roksolanji; przedkład polski w wydaniu zupełnem Poezjy Kondratowicza, tom VIII. — Flis, wyd. Węclewski (Chełmno 1862). — Pisma poetyczne polskie, *BT*.

A. Berga. Un prédicateur de la Cour de Pologne sous Sigismond III, Pierre Skarga, étude sur la Pologne du XVI-e siècle et le protestantisme polonais. — Windakiewicz. Piotr Skarga. — Tretiak. P. Skarga w dziejach i li-

teraturze Unji Brzeskiej. — Mitana. Religijność Skargi, studjum psychologiczne. — Kazania na niedziele i święta całego roku, trzy tomy, Lwów 1883. — Kazania sejmowe, wyd. Chrzanowski, wydanie drugie (1912). — Kazania sejmowe, BN 70, wyd. Kot. — Chrzanowski. W sprawie Kazań sejmowych Skargi.

Brückner. Cechy literatury szlacheckiej i miejskiej XVII wieku (Księga Pamiątkowa ku czci Bolesława Orzechowicza, tom I). — Brückner. Studja nad literaturą wieku XVII, część pierwsza. — Mienicki. Poglądy polityczne w dziejopisarstwie polskiem XVII wieku (Przegląd Historyczny 1913). — Czermak. Kilka słów o pamiątnikach polskich XVII wieku (Ateneum 1896, IV). — Mieczysław Hartleb. Początki poezji barokowej w Polsce (Studja Staropolskie, Księga ku czci Brücknera). — Pollak. Od renesansu do baroku (Przegląd Warszawski 1923, nr. 19). — Pollak. Uwagi o seicentyzmie (Przegląd Współczesny 1925, nr. 43). — J. Felicka. Epitet i porównanie u poetów polskich epoki baroku. — Windakiewicz. Pieśni i erotyki popularne z XVII wieku (kwartalnik Lud 1905). — Brückner. Pieśni polsko-ruskie (Pamiętnik Literacki X i XII). — Windakiewicz. Teatr kolegijów jezuickich w dawnej Polsce. — Brückner. Dawne powieści i romanse polskie (Biblioteka Warszawska, 1901, II).

Badecki. Literatura mieszczańska w Polsce XVII wieku. — Brückner. Dawna literatura mieszczańska (Przegląd Humanistyczny 1925, III). — Julian Krzyżanowski. Peregrynacja Maćkowa, szkic z dziejów romansu staropolskiego (kwartalnik Lud 1929). — Facecye polskie z roku 1624, BAU 47, wyd. Brückner. — Co nowego, zbiór anegdot polskich z r. 1650, BAU 48, wyd. Brückner. — Pieśni, tańce i padwany, BW 19. — Albertus z wojny, wyd. Kraśzewski w Pomnikach do historii obyczajów w Polsce z XVI i XVII wieku. — Colloquium Janasa Knutla, BW 15. — Sejm piekielny BAU 45, wyd. Brückner.

W. Kosiński. Jacek Mijakowski, kaznodzieja barokowy. — Birkowski. Mowy pogrzebowe i przygodne, dwa tomy, wyd. Szlagowski.

Heck, Szymon Szymonowicz, jego żywot i dzieła. — Kallenbach. Wejście w Szymonowicza (w księdze Szymonowicz i jego czasy). — Sielanki i kilka innych pism Szymonowicza, wyd. Węclewski, Chełmno 1864. — Sielanki i inne wiersze polskie, BAU 68, wyd. Łoś. — Sielanka polska XVII wieku, BN 48, wyd. Brückner.

Sarbiewski. Poemata omnia, wyd. T. Wall (Staraviesiae 1892). — Przekład Kondratowicza, Poezje, wydanie zupełne, tom 9. — Windakiewicz. Liryka Sarbiewskiego. — Julian Krzyżanowski. Ze studjów nad twórczością Sarbiewskiego (Myśl narodowa 1916, Petrograd). — Sinko. Poetyka Sarbiewskiego.

Szymon Zimorowicz. Roksolanki, BN 73, wyd. Brückner. — Brahmer. O języku miłosnym Roksolanek (Studja Staropolskie, studja ku czci Brücknera).

Kolbuszewski. Poglądy polityczne Starowolskiego (tamże). — Bielak. Źródła i tendencja Prawego Rycerza S. Starowolskiego (tamże). — Prawy Rycerz, Reformacja obyczajów polskich, Lament, BT.

Szajnocha. Krzysztof Opaliński. — Rabski. Ueber die Satiren des Christoph Opaliński. — Mandybur. K. Opaliński, jako pisarz satyryczny (Sprawozdanie gimnazjum w Jarosławiu 1889). — Satyry, wyd. K. Bartoszewicz (Kraków 1884).

Lukasz Opaliński. Obrona Polski, przekład Tyszkowskiego. (Warszawa

1921). — St. Zawadzki. O pismach Ł. Opalińskiego (Prace Komisji do badań nad historją literatury i oświaty, wydawnictwo Towarzystwa Naukowego w Warszawie, tom I).

Tarnowski. A. M. Fredro, charakterystyka literacka. — L. Kosiński. Przysłowia A. M. Fredry. — Przysłowia mów potocznych, *BT*; wydanie krytyczne (Sternbacha) *BAU* — w przygotowaniu.

Piotr Kochanowski. Goffred, *BAU* 41 i 46, wyd. Rydel; toż *BN*, serja druga, 4 wyd. Pollak. — Orland Szalony, *BAU* 50, 51 i 52, wyd. Czubek. — Pollak. Goffred Tassa, Kochanowskiego.

Mecherzyński. O poezjach Hieronima Morsztyna (Biblioteka Warszawska 1859, II). — Porębowicz. Andrzej Morsztyn, przedstawiciel baroku w poezji polskiej. Folkierski. Cyd Corneille'a w Polsce. — Poezje oryginalne i tłumaczone, pierwsze wydanie zbiorowe, *BNU*, wyd. Chmielowski. — Cyd Corneille'a, *BN*, serja druga, 8, wyd. Folkierski. — Jakuba Teodora Trembeckiego Wirydarz poetycki, dwa tomy, wyd. Brückner, Lwów 1910.

Chlebowski. Samuel ze Skrzypny Twardowski, Daphnis, sielanka miłosna, Nadobna Paskwalina (Pisma, tom III). — Turowski. S. Twardowski i jego poezja na tle współczesnem. — Poezje, Przeważna Legacja, *BT*. — Nadobna Paskwalina, *BN* 87, wyd. Pollak.

Heck. Życie i dzieła Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów. — Adamczewski. Oblicze poetyckie Bartłomieja Zimorowicza. — Sielanki, *BAU* 71. — Sielanka polska XVII wieku, *BN* 48, wyd. Brückner.

Czubek. Wacław z Potoka Pótockiego (życiorys). — Belcikowski. Wacław z Potoka Pótockiego (Ze studjów nad literaturą polską). — Brückner. Spuścizna rękopiśmienna po W. Potockim (dwie części). — Brückner. Język W. Potockiego. — Rappaport. W. Potocki, jako satyryk. — Chlebowski. W. Potocki, jako autor Wojny Chocimskiej (Pisma, t. III). — Śmieciuszewski. W sprawie źródeł Wojny Chocimskiej W. Potockiego. — Szucki. Erazm z Roterdamu a W. Potocki. — Bobek. Argenida W. Potockiego w stosunku do swego oryginału. — Wojna Chocimska, *BN* 75, wyd. Brückner. — Wiersze wybrane, *BN* 19, wyd. Brückner. — Ogród Fraszek, wyd. Brückner, dwa tomy, Lwów 1907.

Czubek. Wespazjan z Kochowa Kochowski (życiorys). — Nehring. W. Kochowski i jego liryki (Studja literackie). — Turowski. W. Kochowski na tle współczesnem, jako poeta. — Bielak. Mesjanizm Kochowskiego w świetle poglądów pisarzy XVII wieku (Prace Polonistyczne, ofiarowane J. Łosiowi). — Pisma wierszem i prozą, *BT*. — Psalmodyja polska oraz wybór liryków i Fraszek, *BN* 92, wyd. Julian Krzyżanowski.

Morawiecki. Poglądy Stanisława Herakljusza Lubomirskiego (Sprawozdanie gimnazjum w Tarnowie 1903). — Magiera. Muza Salomona polskiego. (Spraw. gimn. w Nowym Sączu 1904). — Sinko. Polski Anti-Lukrecjusz. — Brahmer. Echa Ariosta i Marina w Tobjaszu Wyzwolonym St. H. Lubomirskiego (w Pracach Polonistycznych, ofiarowanych J. Łosiowi). — Szczygiel. Źródła Rozmów Artaxesa i Ewandra Lubomirskiego. — O znikomości rad, wyd. Marylski.

Czubek. Jan Chryzostom z Gosławic Pasek (życiorys). — Chlebowski. J. Ch. Pasek i jego Pamiętniki (Pisma, tom III). — Pamiętniki, wydanie krytyczne, *BAU* 81, wyd. Czubek. — Pamiętniki, *BN* 62, wyd. Brückner. — Pamiętniki (wybór) *WB* 136, wyd. Kaznowski.

Smoleński. Wiara w życiu społeczeństwa polskiego w epoce jezuickiej. (Pisma, tom I). — Czasy saskie, wybór źródeł, BN 110, wyd. J. Feldman.

Spasowicz. Marcin Matuszewicz, jako pamiętnikarz. (Ateneum 1876. I). — Pamiętniki Matuszewicza, cztery tomy, wyd. Pawiński (Warszawa 1876).

Brodnicki. W przededniu odrodzenia literatury polskiej. Wacław Rzewuski. (Odbitka z Filarety. Poznań).

Tretiak. Elżbieta Drużbacka. (Księga zbiorowa Charitas, Petersburg 1894). — Bojarski. E. Drużbacka, życie i pisma. (Sprawozdanie gimnazjum w Przemyślu 1895). — Poezje, BKK 30—31. — Jabłonowski. Skrupuł bez skrupułu, BT. — Głos wolny Stanisława Leszczyńskiego wydał i przedmową poprzędził A. Rembowski. (Warszawa 1903).

Konopczyński. Stanisław Konarski. — W. J. Rose. Stanisław Konarski, Reformer of Education in XVIII-th. Century Poland. — Wybór pism, BN 35, wyd. Konopczyński.

Lecky. History of the rise and the influence of the spirit of rationalism in Europe (przekład polski M. Feldmanowej p. t. Dzieje wolnej myśli w Europie). — Viale et Denise. Idées et doctrines littéraires du XVIII siècle. — Brunetière. Histoire de la littérature française classique, tom II i III. — Hettner. Geschichte der englischen Literatur im XVIII Jahrhundert; przekład polski Chmielowskiego i Grabowskiego: Historja literatury angielskiej, 1660—1770. — Mornet. Le romantisme en France au XVIII-e siècle. — van Tieghem. Ossian et l'Ossianisme dans la littérature européenne au XVIII-e siècle. — van Tieghem. La poésie de la Nuit et des Tombeaux en Europe au XVIII-e siècle. — van Tieghem. Les Idylles de Gessner et le rêve pastoral dans le préromantisme européen (Revue de la Littérature Comparée 1924, nr. 1). — van Tieghem. La notion de vraie poésie dans le préromantisme européen (tamże 1921, nr. 2). — Kluckhohn. Die Auffassung der Liebe in der Literatur des XVIII Jahrhunderts. — Wieser. Der sentimentale Mensch. — Phelps. The beginnings of the English romantic movement.

Pamiętnik anegdotyczny z czasów Stanisława Augusta. — Kartki z pamiętnika M. Starzeńskiego (Biblioteka Warszawska 1911). — Bukar. Pamiętniki z końca XVIII i początków XIX wieku. — J. Kossakowski. Pamiętnik. — Wybicki. Życie moje, BN 106, wyd. Skałkowski. — Ochocki. Pamiętniki. — Wasylewski. Przypadki króla Jegomości. — Kajetan Koźmian. Pamiętniki, tom pierwszy.

Kraszewski. Polska w czasie trzech rozbiorów, wydanie drugie. — Smoleński. Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII, wydanie drugie. — Wasylewski. Na dworze króla Stasia. — Wasylewski. Rozmowy z ludźmi. — Wasylewski. Portret kobiety w Polsce XVIII wieku. — K. M. Morawski. Z wieku Łazienek.

K. Wojciechowski. Wiek oświecenia. Historja literatury wieku oświecenia w Polsce (dzieło nieskończone). — Bełcikowski. Dwie epoki naszego pseudoklasycyzmu. (Ze studjów nad literaturą polską). — Sinko. Spór o antyk w XVII i XVIII wieku. (Przegląd Warszawski, 1922, nr. 14). — Ł. Zalewski. Sztuka rymotwórcza Franciszka Ksawerego Dmochowskiego. — M. Dynowska. Franciszek Nerjusz Golański na tle współczesnej epoki. — B. Zaleski. Poetyka Golańskiego. — Mańkowski. O poglądach na sztukę w czasach Stanisława Augusta. — Gubrynowicz. Walka o mitologję (Prace polonistyczne, ofiarowane J. Łosiowi). — Dobrzycki. Notatki do dziejów języka polskiego

literackiego. Z dziejów języka krytyki literackiej polskiej (Prace Filologiczne, VII).

Chodynicki. Poglądy na zadania historii w epoce Stanisława Augusta. — Pilat. O literaturze politycznej sejmu czteroletniego (Przegląd Polski 1872 i osobno). — Stanisław Grabski. Zarys rozwoju idei społeczno-gospodarczych w Polsce od pierwszego rozbioru do r. 1831 (Przegląd Polski 1902 i osobno). — Smoleński. Publicyści anonimowi z końca XVIII wieku (Przegląd Historyczny 1912 i osobno). — Smoleński. Publicystyka polska wobec projektów wiecznego pokoju (Księga Pamiątkowa ku czci Oswalda Balzera, t. II). — Gubryniewicz. Romans w Polsce za czasów Stanisława Augusta. — Konfederacja Barska, wybór tekstów, BN 102, wyd. Konopczyński. — Poezja Barska, BN 108, wyd. Kolbuszewski. — Włoch. Elegja patryjotyczna w epoce rozbiorów. — Drogoszewski. Zbyteczna troska o honor pokolenia (Przegląd Humanistyczny 1925, I). — Bernacki. Teatr, dramat i muzyka za Stanisława Augusta, dwa tomy.

Sinko. Polski Anti-Lukrecjusz. — Smoleński. Montesjkusz w Polsce XVIII wieku. — Smolarski. Studja nad Wolterem w Polsce. — Dadlez. Pope w Polsce w XVIII wieku. — Helsztyński. Polskie przekłady Milтона i Pope'a (Pamiętnik Literacki XXV). — Szykowski. Myśl Jana Jakóba Rousseau w Polsce. — Szykowski. Osjan w Polsce. — Szykowski. Gesneryzm w Polsce. — Szykowski. Dzieje polskiego upiora przed Mickiewiczem. — Szykowski. Edwarda Younga. Myśli nocne w Polsce.

Belcikowski. Pierwszy sceniczny pisarz polski (Ze studjów nad literaturą polską). — Stender-Petersen. Die Schulkomödien des Pater F. Bohomolec.

Juljan Bartoszewicz. Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku, tom pierwszy. — Belcikowski. A. Naruszewicz, jako poeta (Ze Studjów nad literaturą polską). — Maślak. Charakterystyka ód Naruszewicza i ich znaczenie we współczesnej literaturze. — Chrzanowski. Z dziejów satyry polskiej XVIII wieku. — Lelewel. Rozbiór prac historycznych A. Naruszewicza i T. Czackiego (Pisma, XVII); Porównanie Karamzina z Naruszewiczem (Pisma, XVIII). — Wybór poezyj z dołączeniem kilku pism prozą oraz listów, BNU wyd. Chmielowski.

Chrzanowski. Gracjan Piotrowski i jego Satyr (Z dziejów satyry polskiej XVIII wieku).

Kitowicz. Obraz obyczajów i zwyczajów, BN 88, wyd. Janik. — M. Janik. Niedrukowany rozdział Opisu obyczajów i zwyczajów Kitowicza, Pamiętnik Literacki, XXVII.

K. Wojciechowski. Ignacy Krasicki, wydanie drugie. — Chmielowski. Charakterystyka I. Krasickiego (Studja i Szkice, tom I). — Nehring. Poezje Krasickiego (Studja literackie). — Tretiak. I. Krasicki, charakterystyka w ramach szkicu biograficznego (Biblioteka Warszawska 1901, IV). — Tretiak. O satyrach Krasickiego (Szkice literackie, tom I). — K. M. Górski. Studja nad bajkami Krasickiego (Pisma literackie). — Kleiner. Krasickiego Bajki i Przypowieści (Studja z zakresu literatury i filozofji). — Dzieła wierszem i prozą, dziesięć tomów, wyd. F. Dmochowski (Warszawa 1802—4). — Dzieła, 6 tomów, BNU wyd. Chmielowski i Krzeziński. Warszawa 1878—1879. — Myszeidos. Pieśni X, wyd. Bruchnalski. — Monachomachija i Antimonachomachija, PPO 3, wyd. Z. Gąsiorowska. — Satyry i listy, wyd. Bernacki (Lwów 1908). — Satyry, WB 10, (wyd. Skulski). — Bajki i przypowieści, AW nr. 22, wyd. Kurpiel. — Bajki i przypowieści, BW 83, wyd.

Vrtel-Wierczyński, bez komentarza. — Doświadczyńskiego przypadku, *BN* 41, wyd. Gubrynowicz. — Pan Podstoli, *BN* 101, wyd. Juljan Krzyżanowski.

Bernacki. Źródła niektórych komedyj Zabłockiego (Pamiętnik Literacki VI; wydanie osobne, znacznie uzupełnione 1908, i w dziele Teatr, dramaty i muzyka w czasach Stanisława Augusta). — Pisma (ody, pasterki, satyry, wiersze rozmaite, pamflety, przekłady, urywki komedyj), wyd. Erzepki, Poznań 1903. — Dzieła, dwa tomy (komedje), *BNU* wydał Chmielowski. — Fircyk w załotach, *AW* 58, wyd. Kąsinowski. — Zabobonnik, *AW* 43—44, wyd. Kąsinowski. — Sarmatyzm, *BN* 115, wyd. Bernacki.

Tretiak. Mickiewicz i Trembecki (Szkice literackie, tom pierwszy). — Szykowski. S. Trembecki. (Biblioteka Warszawska 1912, I). — Woroniecki. S. Trembecki, jako słowianofil (tamże 1913, I). — Pisma, dwa tomy, wyd. Ziemia, Lwów 1882. — Sofijówka i wybór poezyj, *BN* 80 (wyd. Władysław Jankowski).

Kossowski. Z życia Kajetana Węgierskiego, pamiętniki i listy (Przewodnik Naukowy i Literacki 1908). — Bem. Śmielsze błyski *humoru* satyrycznego w literaturze staropolskiej (Studja i szkice literackie). — Pisma wierszem i prozą, wyd. Estreicher, Lwów 1883.

K. M. Górski. Franciszek Karpiński (Pisma literackie). — Jankowski. F. Karpiński (Ze studjów nad literaturą polską). — Tretiak. F. Karpiński i jego poezja (w czasopiśmie lwowskim Tydzień 1876—1877 i Stopa. Stanowisko filozoficzne Karpińskiego (Odbitka z Przeglądu Filozoficznego 1926). — Stopa. Idee pedagogiczne Karpińskiego (Muzeum 1926). — Dzieła wierszem i prozą, edycja nowa i zupełna, wielu pismami od autora pomnożona, cztery tomy, Warszawa 1806. — Pisma, wydanie zupełne, *BT*. — Wybór poezyj, *BN* 89, wyd. Wład. Jankowski. — Pamiętniki, *BN* (w przygotowaniu).

W. Jankowski. Pierwiastek ludowy w poezjach F. D. Książnina (kwartalnik Lud 1902). — W. Jankowski. F. D. Książnin (Pamiętnik Literacki, III). — Kalisz. Liryka Książnina a poezja klasyczna (tamże XXI). — Dzieła, siedem tomów, wyd. F. S. Dmochowski (Warszawa 1828—9).

Leśniewski. Stanisław Staszic, jego życie i ideologia w dobie Polski niepodległej (1755—1795). — «Stanisław Staszic», Księga Zbiorowa pod redakcją Zygmunta Kukulskiego, Lublin 1926. — Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego, *BN* 90, wyd. Czarnowski. — Przestrogi dla Polski, *BN* 98, wyd. Czarnowski. — Pisma pedagogiczne, wyd. Kukulski, Lublin 1926.

M. Janik. Hugo Kołłątaj, monografia. — Tokarz. Ostatnie lata Hugona Kołłątaja. — L. Rybicka-Dobrzyńska. System etyczny Hugona Kołłątaja. — Wybór pism, wyd. Rymar, Kraków 1912. — Do prześwietnej Deputacji, *AW* 82, wyd. Janik. — Porządek fizyczno-moralny, wyd. Z. Daszyńska-Golińska (Biblioteczka dzieł społeczno-ekonomicznych. Serja I, tom 9).

Dihm. Niemcewicz, jako polityk i publicysta w czasie sejmku czteroletniego. — Powrót Posła oraz wybór bajek politycznych z epoki sejmku wielkiego, *BN* 4, wyd. Kot.

Leon Galle. Wojciech Bogusławski i repertuar teatru polskiego w pierwszym okresie jego działalności (do roku 1794). — Brumer. Służba narodowa W. Bogusławskiego. — Dzieła dramatyczne, dwanaście tomów (Warszawa 1820—1823). — Cud mniemany czyli Krakowiaczy i Górale, *PPO* 6, wyd. Kucharski.

A. Czartoryski. Bard polski, *AW* 79, wyd. Kallenbach.



1993-02-9-

14. 05. 1999

7 0 600Z

7 0 -60-600Z

2013-02-05

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

szafa

12690 spec.

12690